

CZEŚĆ I

KIRA IZMAJŁOWA



MAG
NIEZALEZNY
FLOSSIA NAREN



fabryka słów
WWW.FABRYKA.PL

Spis rzeczy

- [CZĘŚĆ I](#)
- [Karta tytułowa](#)
- [ROZDZIAŁ 1](#)
- [ROZDZIAŁ 2](#)
- [ROZDZIAŁ 3](#)
- [ROZDZIAŁ 4](#)
- [ROZDZIAŁ 5](#)
- [ROZDZIAŁ 6](#)
- [ROZDZIAŁ 7](#)
- [ROZDZIAŁ 8](#)
- [ROZDZIAŁ 9](#)
- [ROZDZIAŁ 10](#)
- [ROZDZIAŁ 11](#)
- [ROZDZIAŁ 12](#)
- [ROZDZIAŁ 13](#)
- [Przypisy](#)

- [CZĘŚĆ II](#)
- [Karta tytułowa](#)
- [ROZDZIAŁ 14](#)
- [ROZDZIAŁ 15](#)
- [ROZDZIAŁ 16](#)
- [ROZDZIAŁ 17](#)
- [ROZDZIAŁ 18](#)
- [ROZDZIAŁ 19](#)
- [ROZDZIAŁ 20](#)
- [ROZDZIAŁ 21](#)
- [ROZDZIAŁ 22](#)
- [ROZDZIAŁ 23](#)
- [ROZDZIAŁ 24](#)
- [ROZDZIAŁ 25](#)
- [ROZDZIAŁ 26](#)
- [ROZDZIAŁ 27](#)
- [ROZDZIAŁ 28](#)
- [ROZDZIAŁ 29](#)
- [ROZDZIAŁ 30](#)
- [ROZDZIAŁ 31](#)
- [ROZDZIAŁ 32](#)
- [Przypisy](#)



KIRA IZMAJŁOWA

MAG NIEZALEŻNY
FLOSSIA NAREN

CZEŚĆ I



Przełożyła:
Ewa Białołęcka

Fabryka Słów: 2011

ROZDZIAŁ 1

Problem na skalę smoka

Widok... No cóż, trzeba przyznać, widok robił wrażenie. Któryś z rekrutów właśnie zostawiał za dużym kamieniem resztki obiadu. Szczerze mówiąc, nawet ja czułam się nieswojo, mimo że widywałam w życiu gorsze rzeczy. Jednak już dawno oduczyłam się publicznego rzygania na widok tego typu martwej natury, więc z wyrazu mojej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

Śnieg na dość szerokiej kamiennej półce przed jaskinią był przesiąknięty gęstą krwią do tego stopnia, że stał się ciemnoczerwony, prawie czarny. Zresztą jaki śnieg? Breja.

Nad samym skrajem przepaści solidnie zmaltretowany trup w powyginanej starożytnej zbroi.

Twarzy nie posiada - została spalona prawie do kości.

Trochę dalej, nieopodal wylotu jaskini, leży ogromna tusza smoka. To jego krwią zalane jest wszystko dookoła. Szerokie skrzydła, wyłamane w ostatniej próbie wzniesienia się w powietrze, przypominają podarte żagle na strzaskanych masztach. Mocne łapy są niezgrabnie zgięte. Tuż przy wykrzywionym, potwornym, ale nadal w jakiś sposób urokliwym pysku - dopełniająca obrazu martwa księżniczka.

Zresztą smok wydawał się ogromny wyłącznie na pierwszy rzut oka. Gdy

tylko człowiek podszedł bliżej, stawało się jasne, że wcale nie był aż taki duży, przynajmniej w porównaniu z dojrzałymi osobnikami. Na dodatek miał czerwono-brązowe ubarwienie, podczas gdy dorosłe smoki zwykle są czarne z metalicznym połyskiem. Czasami, bardzo rzadko, zdarzały się srebrne, złote lub stalowe... Oglądałam ich łuski w zbiorach Kolegium*1*[2]

Po prawdzie, w ogóle nie miałam dotąd okazji na żywo zobaczyć dorosłego smoka.

- To on... go spalił? - półgłosem zapytał młodziutki porucznik gwardii, chyba nie zwracając się do nikogo konkretnie. Kilku żołnierzy pod jego rozkazami stanowiło moją eskortę. Nie żebym jej naprawdę potrzebowała, ale kto to widział, żeby mag-justycjariusz osobiście grzebał przy trupach?

- Nie - raczyłam otworzyć usta. Porucznik podniósł głowę, spoglądając na mnie z przestrawieniem i ciekawością jednocześnie.

Westchnęłam ciężko. Przecież nie będę mu ze szczegółami tłumaczyć, że na pobliskich skałach nie ma ani śladu ognia, a zbroja nie została nadtopiona. Ten smok nie skorzystał ze swojej najbardziej znanej broni. I to nawet nie dlatego, że nie zdążył. Po prostu, głuptas jeden, wierzył w przewagę siły fizycznej.

- To co się tu w takim... - Porucznik nie skończył zdania, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że jest za bardzo bezczelny. No i rzeczywiście, nie miałam obowiązku składania meldunków każdemu chłoptasiowi w mundurze.

Co robiłam w tej dzikiej okolicy? No zgadza się: smok. Dokładnie tak, jak to one mają w zwyczaju, porwał dziewczynę. Ktoś prawdopodobnie uznał, że uda mi się przekonać bestię, by zwróciła pannę rodzinie. Bo chyba nie liczył, że będę z tym smokiem walczyć! Ostatecznie to nie moja specjalność... Mimo to nie odmówiłam przyjęcia zlecenia, ponieważ sprawa wyglądała co najmniej interesująco. Ale niestety, zanim dotarłam na miejsce,

sytuacja uległa zmianie. W najbliższej smoczego leża górskiej wsi dowiedziałam się, że ktoś mnie wyprzedził, i to o prawie dwie doby. Bohaterski smokobójca już do wsi nie wrócił, ale i gada więcej nie widziano. Tak więc musiałam leźć jeszcze wyżej w góry, aby rozeznać się w sytuacji: gdzie zniknął smok i co się stało z księżniczką.

Historia z pozoru była straszliwie, przygnębiająco banalna. Chłopak w starożytnej zbroi, uzbrojony w długą lancę, którą niewiadomym sposobem wciągnął na zbocze, nie powinien mieć najmniejszej szansy w walce ze smokiem. Żadnej realnej szansy! Niestety, los całkiem często ma swoje oryginalne pomysły i przy tej okazji wszystkie realne szanse trafia szlag.

Sądząc ze śladów, smok rozbroił samozwańczego rycerza w kilka chwil - po prostu złamał ten jego patyk i odrzucił biedaka na skraj przepaści. A potem chyba uznał, że go na koniec trochę postraszy i przy okazji wykaże się wielkodusznością przed jedynym obecnym świadkiem (czyli księżniczką), pozostawiając głupiego dzieciaka przy życiu. I tak by się stało, gdyby przerażony „rycerz” nie wystawił przed siebie odłamka lancy. To by bestii nie zaszkodziło w najmniejszym stopniu, ale w przyływie niespodziewanego szczęścia niewydarzonemu smokobójcy udało się solidnie zaklinować drugi koniec drzewca pomiędzy kamieniami. Ostry czubek trafił dokładnie w gardło pewnego siebie młodego smoka - w miejsce, gdzie łuski jeszcze nie były wystarczająco mocne.

Biedak nie zdążył się zatrzymać i z rozpędu sam nadział się na lancę. Musiała trafić dokładnie na arterię, w przeciwnym razie smok by tak łatwo nie umarł. Zresztą dookoła było tyle krwi, że pod nogami aż chlupało, w związku z czym mogłam być w zasadzie pewna słuszności moich przypuszczeń. Smocza krew jest z założenia dla ludzi trująca, a zwycięski rycerz został ochlapany nią od stóp do głów, więc nie miał już czasu ani okazji do świętowania tryumfu. Po zaledwie chwili został z niego wyjęty z

rozdzierającego bólu i przerażenia zakrwawiony kawałek mięsa. Podejrzewam, że trwało to tylko parę minut, nie więcej - szok też potrafi zabijać.

Nie miałam zamiaru tłumaczyć tego wszystkiego porucznikowi. Wystarczy, że czekało mnie składanie sprawozdania przed radą królewską.

- Niech pan rozkaże ludziom, żeby uważali - powiedziałam, uznając, że nie ma konieczności narażania żołnierzy. Krew smoka w ranach tegoż krzepnie bardzo szybko, ale jak już wycieknie, to pozostaje płynna nawet na mrozie, więc chlupało nam pod nogami całe jezioro tego dobra. Po wystygnięciu nie jest aż tak niebezpieczna, ale nadal można dorobić się poważnego oparzenia. - Mają nie dotykać smoka ani nie chwytać niczego gołymi rękoma. Jasne?

- Tak jest, panno Naren. - Chłopaczek stanął na baczność, zezując na skuloną w śniegu martwą księżniczkę i mnąc w dłoniach czapkę, zdjętą z szacunku ni to do trupa, ni to do mnie. - Szkoda dziewczyny, mówili, że ładna była jak z obrazka...

Porucznikowi znowu nie udało się utrzymać języka za zębami, chyba jego ciekawość była silniejsza niż obawa przed magiem-justycjariuszem.

- A ona tak ze strachu czy jak...?

Podeszłam bliżej. W tych warunkach próby oszczędzania eleganckiej sukni wydawały się cokolwiek bezsensowne, więc kucnęłam wprost na niej i dokładniej przyjrzałam się dziewczynie, ostrożnie unosząc jej głowę. To prawda, była piękna, nawet śmierć jej nie zaszkodziła. Błada twarz o zdecydowanych rysach była ubrudzona ciemną krwią. Na policzku przytulonym do smoczych łusek zamarzły łzy. Cienkie, delikatne ręce obejmowały przerażający pysk. W uszach dziewczyna miała wspaniałe kolczyki z rubinami i brylantami antycznej roboty, na szyi kolię do kompletu. A żadna z tych rzeczy nie występowała na liście klejnotów, które miała na

sobie w chwili porwania - smok porwał ją z przedsiionka łaźni, więc była tylko w spodniej sukni, skromnych kolczykach i kilku cienkich złotych pierścionkach. Poza tym smocza krew nie zrobiła jej krzywdy. Czyli dokładnie tak, jak się spodziewałam...

Na ciele księżniczki nie było żadnych śladów przemocy, po prostu zamarzła na śmierć. Nic dziwnego, tutaj nawet ciepło ubrani żołnierze kulili się z zimna. Porucznik miał czerwony nos i uszy, dalsze stanie bez czapki jak najbardziej mogło skończyć się odmrożeniem tych ostatnich. A dziewczyna miała na sobie jedynie cienką suknię z jakiejś zwiewnej tkaniny. Nigdy przedtem nic podobnego nie widziałam, pewnie smocza zdobycz przywleczona skądś zza morza. Ile ona czasu spędziła w śniegu? Na oko ponad dobę...

Za moimi plecami młodziotki porucznik siąkał nosem, jednak o nic więcej nie pytał.

Obciągnęłam kurtkę, westchnęłam, ale nadal milczałam, w naszej robocie lepiej jest czasem trzymać język za zębami. Biedne dziecko...

Omiotłam spojrzeniem półkę przed jaskinią. W duszy rosła mi głucha irytacja na niesprawiedliwość losu - kompletnie bezużyteczne uczucie, ale chyba nie do usunięcia. Jeszcze raz spojrzałam na zabitego smoka i martwą księżniczkę. Duma tatusia, mądra i miła dziewczynka...

Mądra i miła dziewczynka zamiast czekać na ratunek w ciepłej i wygodnej jaskini wołała na zawsze usnąć w krwawym śniegu, tuląc się do martwego smoka!

Byłam gotowa założyć się o swoje roczne zarobki (wcale niemałe), że w ludzkiej postaci ów smok był bardzo przystojny, wesoły i sympatyczny - oczywiście na swój smoczy sposób. W końcu ile trzeba młodej panie, żeby się zakochać? Szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, że akurat zaloty zawsze smokom szły doskonale. I gdyby nie ten kretyń w zbroi pradziadka

oraz głupia pewność siebie młodego smoka, to najpewniej on i księżniczka żyliby razem szczęśliwie do końca jej ludzkiego życia.

Szczerze szanowałam smoki za to, że zawsze zostawały ze swymi wybrankami, a nie porzucały ich na widok pierwszych odznak nadchodzącej starości. Co prawda gwoli sprawiedliwości warto też zauważyć, że i kobiety, które zdecydowały się, by złączyć z nimi życie, nigdy nie zmieniały się w pomarszczone starowinki, uroda nie opuszczała ich aż do samej śmierci. Natomiast smoki w trakcie swojego długiego żywota zakochiwały się wielokrotnie, ale za każdym razem prawdziwie i szczerze opłakiwały swoje krótkowieczne przyjaciółki.

Żeby go licha, ten pechowy zbieg okoliczności! A teraz ja stałam po kostki w krwawej śniegowej brei i w myślach próbowałam ułożyć raport satysfakcjonujący zarówno niepokieszonego ojca, który stracił ukochaną córkę, jak i właściciela ziem, na których cała sprawa miała miejsce - Jego Królewską Mość Arneliusza. I nie ma co, łatwe to to nie było...

- Panno Naren? - porucznik jednak zdecydował się przerwać moje pełne skupienia milczenie.

- Moi ludzie skończyli w jaskini. Możemy...?

Czyli skarbiec wyniesiony. Szczerze mówiąc, dużo tego nie było. Zupełnie młodziutki był ten smok, głupi dzieciak... chociaż dziwnie się mówi w ten sposób o kimś starszym od ciebie o minimum sto lat. Jednak setka wydaje się poważnym wiekiem tylko wedle ludzkiej miary, a i to wyłączając z tej reguły magów, którzy żyją znacznie dłużej. Dla smoka stulecie to nadal dzieciństwo.

Zmusiłam się, by powrócić do rzeczywistości. Zgodnie z zasadami ciała smoka należało do prowadzącego śledztwo maga - czyli w tym przypadku do mnie. Miałam prawo przeprowadzić autopsję w celach badawczych, ale serce i wątrobę musiałam przekazać do Kolegium, jako że były one zbyt cenne, by

należć do jednej osoby. Używano ich do produkcji preparatów, za które ludzie gotowi byli sprzedać duszę, gdyby ją mieli i akurat trafił się kupiec. Co prawda smoki nie były gatunkiem wymierającym, ale nadal dostatecznie rzadkim. Całkiem logiczny wydawał się też fakt, że amatorów polowań na nie było jak na lekarstwo, więc ciało smoka do badań stanowiło wielki prezent od losu.

Tym bardziej że swoich zmarłych i rytuały pogrzebowe traktowały z wielkim szacunkiem. o ile mi wiadomo, zmarły smok powinien spłonąć w ogniu rozpalonym przez jego współbraci. Jednak istniała nieoficjalna ugoda, zgodnie z którą ciało smoka, który zginął w uczciwej walce z człowiekiem, należało do zwycięzcy (co prawda nikogo nie dziwiło, że liczba takich przypadków oscylowała blisko zera). Mimo całego bezsensu sytuacji ta konkretna potyczka zaliczała się właśnie do uczciwych pojedynków.

Miałam okazję uczestniczyć w autopsji smoka tylko raz, bardzo dawno temu, gdy jeszcze byłam uczennicą. Towarzyszyła mi wtedy dziesiątka takich samych młodzików. Autopsję przeprowadzał mag-badacz z Kolegium i trzeba przyznać, że była ona całkiem ciekawa. A teraz sama miałam okazję do podobnego badania... Ale jakoś wcale nie miałam ochoty ciąć na kawałki właśnie tego smoka, który w tak głupi sposób zakończył swoje długie i barwne życie na samym jego początku. Nie dlatego, że nie chciałam brudzić sobie rąk -ostatecznie zetknęłam się w swoim życiu z wystarczająco dużą ilością trupów, by się na nie uodpornić. Ale wystarczyło tylko spojrzeć na nich, smoka i księżniczkę, i w sercu coś nieprzyjemnie ścisnęło, chociaż nigdy nie byłam szczególnie sentymentalna. Mistrz nie pochwaliby mnie za takie podejście, bardziej odpowiednie dla panny na wydaniu, a nie magajustycjariusza, ale... Mistrz już od bardzo wielu lat nie był dla mnie najwyższym autorytetem.

- Poruczniku... - Spojrzałam na umęczonego młodzieńca. Ten stanął na

baczność.

- Panno Naren?

- Z nim już skończyłam. - Zrobiłam gest w kierunku trupa w starożytnej zbroi. - Możecie zabierać.

- Tak jest!

- Poruczniku - skrzywiłam się - bardzo proszę, bez głośnych dźwięków. Albo tamta skała - spojrzałam w górę - w którejś radosnej chwili po prostu zleci nam na głowy.

Porucznik podążył za moim spojrzeniem i zauważalnie pobladł. Nad wejściem do jaskini zwisał solidny skalny daszek. W zasadzie trzymał się bardzo dobrze i tylko porządne trzęsienie ziemi (które zresztą w tych okolicach się nie zdarzały) mogłoby go naruszyć, ale młodzieniec nie był chyba szczególnie lotnego umysłu, ewentualnie obawiał się ze mną kłócić, więc zaczął wydawać polecenia stłumionym szeptem.

- Wy dwaj! Łapcie go i nieście...!

Uśmiechnęłam się skąpo. Porucznik zezował na mnie jednocześnie z obawą i czymś w rodzaju ciekawości. Nic dziwnego. Wiedziałam, jak wyglądam, i nigdy nie żywiłam złudzeń odnośnie swojej prezencji. Na ludziach należy robić wrażenie, więc musiałam utrzymywać pewien styl. W moim przypadku nie było to szczególnie uciążliwe.

Tak... Póki dwóch żołnierzy guzdrało się, próbując stabilniej złapać zwłoki rycerza, należało skorzystać z okazji. Dobrze... Nie powinno to wymagać szczególnego wysiłku...

- Hej, raz... - Ciało zostało przerzucone na zaimprovizowane nosze. - Hej... dwa... Heeej...

- Szlag! - Pechowy żołnierz nagle potknął się o jakiś kamień i niezgrabnie upadł, prawdopodobnie skręcając kostkę. - Ażeby to...!

- Uwaga! - Mój donośny głos łatwo przebił się nad krzykiem

poszkodowanego, a kamienie pod nogami zadrżały z pretensją. - Na bok, uciekajcie!

Nikt nie ucierpiał, wszystko dobrze wyliczyłam. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżeli martwy smok i księżniczka, teraz wznosił się solidny kamienny kopiec. Oczywiście było, iż nie da się go rozebrać nawet przez miesiąc. A nawet jeśli, to i tak byłby to trud bezsensowny, bo pod zawałem znaleźlibyśmy tylko krwawą miazgę.

- Poruczniku... - Jak gdyby nigdy nic pykałam fajkę, która pozostawała jedną z moich niewielu słabostek, odkąd skończyłam piętnaście lat. - Chyba uprzedzałam, że nie wolno tu krzyczeć?

- Panno Naren...

- Z powodu waszej nieodpowiedzialności zniszczeniu uległy cenne próbki tkanek młodego smoka - stwierdziłam, nadal patrząc na młodzieńca z góry. Biedny dzieciak, czerwieńszy już chyba nie będzie... - A Jego Królewska Mość Nikkej III stracił możliwość pochowania córki zgodnie z obyczajem królewskiego domu Stalwii. Co to pańskim zdaniem oznacza?

Oznaczało koniec jego kariery i młody porucznik doskonale to rozumiał.

- My... rozbierzemy zawał, my... - wyszeptał, ale pozostałam niewzruszona.

- Do wiosny może rozbierzecie. Niestety, nie mam tyle wolnego czasu.

Zmierzyłam chłopaczka zimnym spojrzeniem, ten zaś zmienił barwę z buraczkowej na trupio bladą. Żołnierze stojący nieopodal ucichli. Nawet ten, który tak nieszczęśliwie się potknął, przestał jęczeć i kląć przez zęby.

- No dobrze - wycedziłam powoli po dłuższej chwili.

- Teraz już i tak nic nie poradzimy.

Może to i lepiej... przynajmniej dla pańskich ludzi. Zamiast dwóch trupów i tuszy smoka trzeba będzie znosić tylko jednego nieboszczyka i tego rannego idiotę.

- P-panno Naren...! - wydusił porucznik. Pewnie chciał wysunąć kolejną wysoce sensowną propozycję, ale odwróciłam się już i zaczęłam schodzić wąską ścieżką w dół. Do stolicy kawał drogi, więc powinno mi starczyć czasu na wymyślenie przekonywającego meldunku dla rady królewskiej.

Chyba nie warto zdradzać całej prawdy, należy więc chwilę się zastanowić i wymyślić jakąś sensowną wersję wydarzeń...



- Zgodnie z moją oceną śmierć księżniczki nastąpiła prawie natychmiast po śmierci... hmm...

rycerza. Podejrzewam atak serca na skutek skrajnego przerażenia. - Zamilkłam, dając do zrozumienia, że to koniec raportu i czekam na pytania.

Członkowie rady królewskiej, z wyjątkiem przewodniczącego, Jego Królewskiej Mości Arneliusza, cieszyli me oko różnorodną gamą uczuć malujących się na twarzach - od irytacji do oczywistej niechęci. Główny skarbnik chyba wyliczał właśnie, ile kosztował ten gest dobrosąsiedzkiej woli. Moje usługi nie należały do tanich. Z jednej strony magia jest dobrem luksusowym, a z drugiej - kto i kiedy widział dobrego, a taniego specjalistę? Ten pierwszy powód wystarczał, by neir Dellen nie przepadał za magami ogólnie, ale jego*3* niechęć do mnie była nawet większa. Szanowny skarbnik był skąpy jak setka lichwiarzy i każdy ar wydawał, jakby łożył na sprawy państwowe pieniądze z własnej kieszeni. Moim skromnym zdaniem w dniach świątecznych i przy okazji większych wydarzeń neir Dellen kładł się do łóżka z migreną, niezdolny znieść tak bezsensownego marnotrawienia funduszy. Co prawda pozory często mylą, a Jego Królewska Mość był ze swojego skarbnika bardzo bardzo zadowolony, więc wybaczał mu wieczne narzekanie.

Tym bardziej że nie zawsze bezpodstawne.

Trójka doradców wojskowych również spoglądała na mnie niezbyt przyjaźnie. Ich zdaniem spokojnie można było poradzić sobie własnymi siłami i załatwić sprawę bez zapraszania maga-justycjariusza. Bo w końcu co tam było do zbadania? Wszystko i tak jasne! A jakby trzeba było tego smoka... spacyfikować, to należało wynająć maga bojowego, wyszłoby znacznie taniej. Oczywiście żaden nie powiedział tego na głos, ale ich zdanie znałam doskonale. Niestety, smok to istota władającą magią, a w takich przypadkach zaproszenie maga-justycjariusza jest konieczne. Gdyby Jego Królewska Mość wpadł na pomysł poradzenia sobie beze mnie, w sprawę najpewniej wtrąciłoby się Kolegium. Wojskowi doskonale to rozumieli, ale bynajmniej nie zmniejszało to ich niechęci do mojej osoby.

Arneliusz patrzył w bok z wyrazem lekkiego znudzenia na arystokratycznej, zadbanej twarzy.

Gość - Jego Królewska Mość Nikkej III, ojciec nieszczęsnej księżniczki, był pogrążony w rozpacz i nie patrzył na mnie w ogóle, oglądając własne palce.

- Być nie może... - wykrztusił w końcu. - Ze strachu? Ale ona była taką odważną dziewczynką...

- Powtarzam, jest to wyłącznie hipoteza - powiedziałam chłodno, całą sobą demonstrując stosunek do laików wątpiących w moje słowa, niechby byli dziesięć razy królami. - Jestem gotowa przeprowadzić autopsję w celu określenia przyczyny śmierci księżniczki, ale tylko w wypadku, jeżeli otrzymam ciało. Mam nadzieję, że rada królewska nie będzie nalegać, bym osobiście rozgrzebywała zawał na miejscu zdarzenia?

Rada królewska nie nalegała, czego się zresztą spodziewałam.

- A przy okazji, panno Naren, czemu doszło do zawału? - wyrwał się młodszy pomocnik skarbnika. - Jak to się stało?[*4*](#)

- Nad wejściem do jaskini zwisał spory daszek skalny - odparłam obojętnie, nie wyjmując z ust fajki.

Z tym można było nie bawić się w konwenanse. Dopiero co wszedł do rady i na moje oko za wszelką cenę pragnął zwrócić na siebie uwagę Jego Królewskiej Mości. Jeśli wierzyć słuchom, neir Gress był tchórzem i nie posiadał zbyt wiele skrupułów. Tyle dobrego, że Arneliusza obawiał się bardziej niż kogokolwiek innego, więc starał się być uczciwy. Zresztą, gdyby król nie był Gressa pewien, to ten prędzej zobaczyłby kwitnący kamień niż miejsce w radzie.

- Pewnie służył smokowi do ochrony przed kiepską pogodą - ciągnęłam. - Oglądając miejsce zdarzenia, zauważyłam, że skała jest słaba i może w każdej chwili runąć. Najpewniej ranny smok kilkakrotnie uderzył w nią ogonem i ją naruszył. - Założyłam ręce za plecy i zrobiłam kilka kroków wzdłuż długiego stołu, przy którym siedziała rada. - Uprzedziłam, że na miejscu zdarzenia należy zachowywać ciszę, ale ludzie pana porucznika uznali, że nie mają obowiązku mnie słuchać.

- Młodziutki porucznik, który był na radzie obecny jako świadek wydarzeń i wyglądał na wyraźnie umęczonego obecnością tyłu osobistości, zalał się rumieńcem. - W wyniku nieuwważnego zachowania jednego z żołnierzy doszło do obsunięcia się skalnego daszku. Tylko szczęśliwy traf sprawił, że nikt nie ucierpiał.

- Kto to zrobił? - nieprzyjemnym głosem spytał Jego Królewska Mość Arneliusz.

- Nie mam obowiązku znać z imienia każdego żołnierza - odparłam. Oczywiście mijałam się z prawdą. Dokładnie tak, jak wymaga tego mój rodzaj zajęć, mam doskonałą pamięć, w związku z czym pamiętałam imiona ludzi, z którymi spędziłam parę tygodni. Inna sprawa, że nie miałam zamiaru się z tym zdradzać, bo umiejętność trzymania języka za zębami również jest

w moim zawodzie znacznym atutem.

Słowa te zabrzmiały cokolwiek nieuprzejmie, ale dobry mag-justycjariusz może sobie pozwolić na wiele, w szczególności na taki sposób zwracania się do głów koronowanych. A jeszcze nikt nie odważył się zaprzeczyć, że jestem właśnie dobrym magiem-justycjariuszem.

- Myślę, że w tej sprawie lepiej jest zwrócić się do obecnego tu pana porucznika - dodałam.

Żołnierzyc zmienił ubarwienie z buraczkowego na kolor zsiadłego mleka. Nie pierwszy raz miałam okazję obserwować tego typu grę kolorów na jego fizjonomii, więc zaczęłam się zastanawiać, czy gwardia królewska jest dla niego aby na pewno właściwym miejscem. Z takimi delikatnymi nerwami chyba lepiej czułby się przy robótkach ręcznych.

- No dobrze. Trzeba będzie to sprawdzić, czyż nie? - Arneliusz odwrócił się do chłopaka, który stanął na baczność, z oddaniem wwiercając się spojrzeniem w Jego Królewską Mość. Skronie i górną wargę młodzieńca zrosiły kropelki potu, chociaż na sali nie było gorąco. - I dowiedzieć się, z czyjej winy nasz szanowny brat - tu król skierował spojrzenie w kierunku

Nikkej a - pozbawiony jest możliwości pochowania jedynej córki ze wszystkimi należnymi jej honorami. Poruczniku...?

- Tak jest, Wasza Królewska Mość! - odrzekł zapytany, blednąc jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe. Żeby tylko nie zemdłał...

- Szanowny bracie, winny zostanie ukarany - Arneliusz zwrócił się do Nikkeja. Zawsze bawił mnie ten zwyczaj koronowanych głów, by nazywać się nawzajem braćmi i siostrami. Moim zdaniem trudno o głupszy pomysł. Chociaż tu mogłam się mylić...

Słowa z ust Arneliusza toczyły się, krągłe i lśniące jak perły - Jego Królewska Mość był mistrzem w retoryce. Nie wątpiłam, że Nikkej za chwilę straci wątek i dobrze będzie, jeśli nie zapomni, w jakiej sprawie przyjechał.

Chociaż świta powinna mu przypomnieć, w końcu do czegoś jest potrzebna.

Nie miałam najmniejszej ochoty na słuchanie króla, ale nikt mnie nie zwolnił, a wypadało zachowywać przynajmniej pozory uprzejmości. Tak więc, nieszczególnie zwracając uwagę na słodkie słówka Arneliusza, przespacerowałam się po sali i spojrzałam w wysokie okno, sięgające od podłogi aż do sufitu. Już zapadł zmrok, więc ciemne szkło nieźle udawało lustro. Spojrzała na mnie z niego wysoka, chuda kobieta w nieokreślonym wieku, w męskich spodniach (przecież nie mogłam włożyć na tę górę w spódnicy!) i podbitej futrem kurtce. Nie miałam okazji się przebrać, przy bramie już na mnie czekali z prośbą Jego Królewskiej Mości o natychmiastowe przybycie. Wypadałoby oczywiście zdjąć przynajmniej okrycie, ale moja koszula nie była szczególnie świeża. A że nie cierpiałam z gorąca, uznałam, że mogę pozostać w kurtce. Poprawiłam czerwoną chustę, którą zawsze wiązałam na głowie -co by nie mówić, włosy też trzeba będzie umyć - trochę podciągnęłam szeroki pas z masą groźnie wyglądających błyskotek (nie były niczym ponad to, nic ważnego na widoku nie noszę).

Jeśli idzie o prezencję, nic więcej poprawić nie mogłam.

Ubieram się cokolwiek niezwykle dla tych okolic, ale ma to swoje zalety - ludzie patrzą na moje ubranie i drobiazgi, takie jak chociażby fajka, na niezbyt ładną twarz i zbyt wysoki jak na kobietę wzrost, a ja w tym czasie mogę popatrzeć sobie na nich. Cóż począć, zawód maga-justycjariusza - a warto dodać, że jestem justycjariuszem dziedzicznym - skłania ku temu, żeby podtrzymywać pewien obraz własnej osoby. Jako jasnowłosej i uśmiechniętej pannie z dołeczkami w policzkach znacznie trudniej byłoby mi robić karierę.

Odbicie szybko mi się znudziło, więc przeniósłam spojrzenie na kolumny podtrzymujące łukowe sklepienie. W tej sali byłam po raz pierwszy. Król umyślił sobie przebudowę pałacu i dopiero niedawno przeniósł posiedzenia rady do nowego, świeżo wykończonego skrzydła. Cóż, śliczny kamień,

jasnoniebieski z karmazynowymi i złocistymi żyłkami. Wyglądał ładnie, ale nie kiczowato, Jego Królewska Mość miał całkiem niezły gust... A ja - spore wątpliwości odnośnie tego, czy tego typu minerał występuje w naturze. Zmrużyłam oczy i przyjrzałam się dokładniej. Wielu moich kolegów uznałoby tę małą zabawę za niegodną wysoko wykwalifikowanego magajustycjariusza, ale ja lubię ćwiczyć na tego typu drobiazgach. Hm... nieźle. Zmiana powiązań elementów z późniejszą modyfikacją struktury kryształu... I z najzwyklejszego w świecie ponurego szarego kamienia otrzymujemy kolumny jak najbardziej godne królewskiego pałacu. Ale nie wmawiajcie mi, że Arneliusz w przyływie rozrzutności zdobył się na to, by opłacić pełne przekształcenie materiału.

Tego typu usługi nie należą do najtańszych, a tu widać było rękę mistrza. Mogłam nawet zgadywać którego. A nasz król, łagodnie mówiąc, nie należał do szczodrych. Przyjrzałam się uważniej i stłumiłam uśmiech. Materiał nie został przekształcony w całości. Środek kolumny został zamknięty w ślicznej błękitnej skorupie, grubej na jakieś trzy palce. Trzeba przyznać, że był to niezły pomysł.

Takie kolumny doskonale wytrzymają wagę stropu, a Arneliusz nieźle zaoszczędził na pracy maga.

Tymczasem królewski monolog dobiegł końca. Zdążyłam już zbadać cały wystrój sali i doszłam do wniosku, że do cech Jego Królewskiej Mości zaliczyć należy nie tylko skąpstwo, ale i wyobraźnię, bo kolumny wcale nie były najzabawniejsze z tego, co tu dostrzegłam.

- Nie będziemy już pani dłużej zatrzymywać, panno Naren. - Arneliusz uprzejmie skinął mi głową. - Jesteśmy całkowicie zadowoleni z przeprowadzonego przez panią dochodzenia. Honorarium otrzyma pani natychmiast.

- Dziękuję - odparłam sucho. - Mam nadzieję, iż Wasza Królewska Mość

nie zapomni, że oprócz umówionej opłaty należy mi się pięć procent wartości znalezionej smoczego skarbcza. Pięć, a nie dwa czy półtora.

Arneliusz zacisnął wargi, ale nie zripostował. Skarbnik stłumił rozpaczliwe westchnienie.

Oprócz tego, że byłam najlepszym magiem-justycjariuszem w okolicy, nie należałam do Kolegium ani do żadnego z cechów. Czyli nie wiązała mnie umowa cechowa, w każdej chwili mogłam zebrać swoje niewielkie bagaże i udać się chociażby pod skrzydła Nikkeja do Stalwii, a nawet do wielkiego księcia Welskiego czy Tarnajskiego (co prawda wątpię, żeby tych dwóch ostatnich posiadało wystarczające fundusze). Trzeba było się z tym liczyć - maga-justycjariusza w kapuście nie znajdziesz i Arneliusz był tego doskonale świadom.

Krótko skłoniłam się w stronę Nikkeja:

- Wyrazy współczucia z powodu straty Waszej Królewskiej Mości.

I z tymi słowami, nie tracąc już czasu na dworskie konwenanse, ruszyłam w kierunku wyjścia.

Spojrzenia siedzących przy stole skupiły się na pechowym poruczniku i nawet zaczęłam mu troszkę współczuć. Mimo to nie miałam najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu tego, że wrobiłam jego i prawie mi nieznanego żołnierza. Najgorsze, co im groziło, to pozbawienie miesięcznego żołdu. Król Arneliusz łatwo wybaczał, a jak już mówiłam, był dusigroszem, więc wołał kary pieniężne od cielesnych.

Nie marnowałam czasu w pałacu. Nie miałam tam absolutnie nic do roboty oprócz słuchania szeptów za plecami, co nie należało do moich ulubionych rozrywek. Dworacy nie przepadali za mną, mimo że okazywali szacunek. Zresztą trzeba przyznać, że sama dostarczałam im wystarczająco dużo powodów do niechęci, paskudny charakter jest niemalże wizytówką magów-justycjariuszy.

W odróżnieniu od magów zwykłych, którzy muszą iść na służbę wszelakiej maści władców i mają okazję odczuć na własnej skórze wszystkie uroki ścisłej konkurencji, nie cenimy sobie aż tak bardzo protekcji możnych. Bo magomedyków jest tyle co pcheł na psie, czyli znacznie więcej niż ciepłych posadek przy ludziach wysoko urodzonych i bogatych. Gdy tylko takie miejsce się zwalnia, natychmiast pojawia się też kolejka chętnych, by na nim zasiąść!

O tak, magów nie jest mało. Więc wcale nierzadkie są przestępstwa dokonywane przy użyciu magii i właśnie wtedy potrzebni są tacy jak ja. Zwykły człowiek nie zauważy nic a nic w miejscu, w którym mag znajdzie całą masę poszlak. Nad zwykłymi przestępstwami też pracujemy, bo również tutaj niektóre nasze umiejętności bardzo się przydają.

Trudno powiedzieć kto i kiedy nazwał moich kolegów po fachu magami-justycjariuszami.

Faktycznie mamy uprawnienia do samodzielnego ferowania wyroków, o ile dochodzenie jest prywatne. Ale jeżeli przestępstwo jest zbyt poważne, sprawa tyczy się określonych dziedzin lub mag-justycjariusz prowadzi dochodzenie z polecenia władz, to przekazuje im podejrzanego. Albo do Kolegium, jeżeli okaże się on magiem.

Przedstawiciele naszego gatunku są tak rzadcy i potrzebni, że ani jeden władca, jakkolwiek by nie był zadufany w sobie i despotyczny, nie będzie próbował z nami zadzierać ani oszukiwać przy zapłacie. Chociażby dlatego, że natychmiast będzie miał przeciw sobie całe Kolegium magów, które otrzymuje pewien procent naszych niemałych dochodów. Tak więc, nawet jeżeli biedakowi uda się rozwiązać sprawę pokojowo, w przyszłości czekają go minimum podwójne stawki.

Jego Królewska Mość Arneliusz któregoś razu spróbował delikatnie oszukać mnie w sprawie honorarium (nie wykluczam, że z inicjatywy

skarbnika). Jako że była to pierwsza taka próba, porozmawiałam z królem osobiście, nie angażując oficjalnego przedstawiciela Kolegium. Osiągnięte porozumienie usatysfakcjonowało nas oboje i od tej pory żyliśmy w całkowitej zgodzie: on regularnie ponawiał próby, a ja podejmowałam środki zaradcze. Zabawa sprawiała nam obojgu wiele satysfakcji, a jeśli szło o wyniki, to na razie prowadziłam ze sporym zapasem.

Czyli teraz do domu, słodkiego domu... Jak już wspominałam, goniec złapał nasz oddział przy bramie miasta, tak więc musiałam udać się na spotkanie rady w stroju podróżnym, i teraz nie mogłam się doczekać chwili, kiedy się go pozbędę. Nie jestem wybredna, ale gdy człowiek przez kilka tygodni nie ma okazji do zmiany ubrania, to zaczyna cenić uroki domowego ogniska.

Mój dom przycupnął pomiędzy dwiema luksusowymi kupieckimi willami przy ulicy Zarzecznej. Część miasta oddzielona od starego centrum rzeką nazywała się Zarzeczem jako całość, zaś moja ulica uznawana była za miejsce zamieszkania najbogatszych mieszkańców stolicy, chociaż nie arystokracji. Uczciwie mówiąc, z wielką przyjemnością przeniosłabym się gdzieś na obrzeża miasta - jest tam spokojniej, a każdego twojego kroku nie śledzą dziesiątki oczu. Niestety, mag-justycjariusz musi dbać o reputację. Jeżeli mieszkam na Zarzecznej, to moje sprawy stoją tak, że lepiej nie można, a na me usługi jest popyt. Poza tym mieszkanie w pałacu byłoby znacznie gorsze, więc traktowałam ciekawskie spojrzenia sąsiadów z filozoficznym spokojem. Tym bardziej że obserwowanie mnie szybko im się znudziło. A skoro już o tym mowa, wcale nie tak znowu często bywałam w domu.

Brama była zamknięta - mrok już zapadł, a na Zarzecznej nocne spacerowanie nie są przyjęte, tu mieszkają przyzwoici obywatele. Zapukałam, po czym odczekałam chwilę. Koniuch nareszcie otworzył i z pokłonem przejął ode mnie wodze.

- Przepraszamy, że zamknęliśmy bramę, nie spodziewaliśmy się, że pani wróci tak późno...

- Drobiazg... - Machnęłam ręką. Któż mógł wiedzieć, że Jego Królewska Mość będzie chciał widzieć się ze mną natychmiast? Tyle dobrego, że nie zatrzymał mnie do rana, nie byłby to pierwszy raz...

W domu było cicho i ciemno. Chyba wszyscy już spali.

Bezgłośnie weszłam po schodach na piętro, gdzie znajdowały się moje pokoje, otworzyłam drzwi i natychmiast zachwiałam się pod nieoczekiwanym ciężarem.

- Flo...! - Lela uwiesiła się na mojej szyi, nie spuszczając ze mnie lśniących szczęściem oczu. - Flo, wróciłaś!

- Na to wygląda. - Ostrożnie postawiłam dziewczynę na podłodze i rozejrzałam się. - Jak myślisz, w kuchni znajdzie się coś do jedzenia?

- Oczywiście, że tak, Flo! - Lela rzuciła się w kierunku drzwi, ale natychmiast wróciła. - Flo, a kąpiel?

- Nie ma co się z tym bawić w środku nocy. - Skrzywiłam się, z łoskotem zrzucając na podłogę ciężki pas i rozpinając kurtkę. Owszem, przez całą drogę marzyłam o gorącej wannie i czystym ubraniu, ale...

- Flo, ja mam już wszystko przygotowane! - Lela uśmiechnęła się radośnie. - Czekałam na ciebie co wieczór... Przecież wiedziałam, że wrócisz głodna i zmęczona, a ja mam wszystko gotowe, i nawet nie trzeba czekać!

- Co ja bym bez ciebie zrobiła - powiedziałam bez cienia ironii, patrząc na jej uśmiechniętą buzię.

Kiedy Lela kończyła ostatnie przygotowania do kąpeli, naprędce przekąsiłam zimnym mięsem z chlebem. Dziewczyna aż paliła się, by odgrzać mi kolację, ale odmówiłam - za dużo tego dobrego.

Leniwie przeżuwałam posiłek i patrzyłam, jak biega tam i z powrotem najpierw z ręcznikami, a potem z czymś jeszcze. Chyba dzień, w którym ją

kupiłam, faktycznie był z każdej strony udany.

Właściwie potrzebowałam tylko kolejnej służącej. Posiadałam już dwójkę niewolników: koniucha Dima i kucharkę Rimę. Ale nie miałam nikogo do pracy w domu. Najemne służące z jakiegoś powodu nie zatrzymywały się na dłużej, więc sprzątanie spadało na Rimę, która nie była już młoda i praca ta nieco przerastała jej siły. Moje dochody jak najbardziej pozwalały na nabycie kolejnej niewolnicy, która nie kaprysiłaby jak wynajęci służący. Idąc na targ, miałam w planach zakup doświadczonej kobiety, najlepiej w średnim wieku. Stanowczo nie chodziło mi o zapłakanego dwunastoletniego podlotka, na dokładkę prawie niemówiącego w naszym języku. Nadal nie byłam pewna, co mnie wtedy naszło.

Dopiero po pół roku, gdy Lela mniej więcej opanowała język, dowiedziałam się, jak trafiła na targ. Zresztą nie było w tym nic zaskakującego. Piraci zgarnęli dziewczynę z jednej z wielu wysp zachodniego archipelagu. Wiadomo nie od dziś, że północni są nie tylko łupieżcami, ale i handlarzami niewolników. Nie brzydzą się również porwaniami, szczególnie jeśli idzie o młode ślicznotki. Lelę czekało życie w burdelu i nie zdziwiłabym się, gdyby była to jedna z najlepszych instytucji tego typu w stolicy, ponieważ dziewczyna miała bardzo egzotyczną urodę. Delikatna, szczupła, o jasnej skórze, z chmurą jasnorudych włosów i jaskrawoniebieskimi oczyma, na pewno cieszyłaby się sporym wzięciem. Może nawet zostałaby lokalną gwiazdką - takie przypadki też były mi znane. I chyba dostałam chwilowego zaćmienia umysłu, że kupiłam kompletnie mi niepotrzebną dziewczynę. Z kolei Lela miała wszelkie powody, by uznawać to za największy fart swojego życia i tak też chyba uważała, ponieważ nie odstępowała mnie na krok, irytując tym straszliwie.

Muszę przyznać, że nie straciłam na tej transakcji. Ledwo co zadamowiwszy się w nowym miejscu, mała wyspiarka zabrała się do

porządkowania domu i nawet Rima na widok takiej pracowitości przestała z niezadowoleniem zaciskać wargi.

Od tamtego dnia minęło już sześć lat i ze ślicznego dziecka Lela wyrosła na olśniewająco piękną dziewczynę, za którą odwracało się wielu mężczyzn z naszej ulicy. A ona nadal zajmowała się moim domem, ponieważ sama nigdy nie miałam do tego głowy.

- Flo, wszystko gotowe! - Właśnie przysiadła na podłodze, by pomóc mi zdjąć buty. Ewentualne protesty były z góry skazane na porażkę - któregoś dnia zdecydowała, że winna jest okazywanie mi honorów, które zgodnie ze zwyczajami jej rodziny należne były głowie rodu, czyli władzy najwyższej i ostatecznej. Najpierw mnie to irytowało, potem śmieszyło, ale w końcu się przyzwyczaiłam.

- O nie! - Zatrzymałam jej ręce w samą porę. - Ze spodniami jakoś poradzę sobie sama.

Ściągnęłam koszulę przez głowę i krytycznie obejrzałam się w lustrze. Ciekawy paradoks: w sukni, nawet tej uszytej przez najlepszą krawcową, najbardziej ze wszystkich rzeczy przypominałam stracha na wróble. Natomiast w męskim przyodziewku byłam nawet podobna do kobiety. Co prawda zbyt wysokiej i chudej (żeby nie powiedzieć kościstej), j ednak mając do wyboru powyższe opcje, wolałam tę drugą. Chociaż uczciwie mówiąc, najlepiej prezentowałam się w ogóle bez ubrania. No dobrze, byłam chuda, a nawet żylasta i nie miałam cieszących męskie oko bujnych krzywizn. Ale z drugiej strony, ponad połowę roku spędzałam albo w siodle, albo wspinając się na góry, tudzież łażąc po lasach lub dzielnicach biedoty... Szkoda tylko - uśmiechnęłam się do siebie - że tego mojego najlepszego wizerunku nie można zaprezentować w królewskim pałacu.



Marzyłam o tej kąpeli od przynajmniej tygodnia, tak więc w końcu spędziłam w niej więcej czasu niż zwykle. Ale niestety, woda zrobiła się zimna, w związku z czym czas był najwyższy, by zacząć zbierać się do łóżka.

- Flo, a do gościa zejdiesz, czy mam mu powiedzieć, żeby przyszedł jutro? - spytała Lela, podając mi nocną koszulę.

- Jakiego gościa? - zdziwiłam się. - Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas ktoś na mnie czekał, a ty nie powiedziałaś ani słowa?

- To pan Naren... - Opuściła głowę tak, że widziałam tylko jej rudą czuprynę. Lela ledwie sięgała mi do piersi. - Flo, ja...

Dalej mogłam nie słuchać. Zresztą i tak nie miałam zamiaru się na nią gniewać. Bo uczciwie i szczerze, nie bardzo chciałam spotkać się z ukochanym dziadkiem natychmiast po powrocie do domu.

Teraz, po posiłku i doprowadzeniu się do porządku, chyba byłam gotowa do wysłuchiwania pouczeń.

Swoją drogą ciekawe, co go przywiało w środku nocy.

- Długo czeka? - spytałam, narzucając chustę.

- Pojawił się dwie godziny przed twoim przyjazdem - odparła Lela, nadal ze spuszczoną głową. - I sobie siedzi na dole.

Ciekawostka. Czyli dziadek miał szpiega, który pobiegł do niego z donosem, gdy tylko wjechałam przez miejską bramę. Po czym ukochany krewniak ruszył do mnie, naturalnie nie spodziewając się, że król będzie oczekiwał natychmiastowego meldunku. Najpewniej nie pofatygował się też, by pytać o pozwolenie na wejście, i nawet nie obudził Dima, który przecież uprzedziłby mnie o jego wizycie. Potem już tylko taki drobiazg, jak otwarcie zamka... Mogłam sobie wyobrazić, jak nastraszył Lelę!

- Mam nadzieję, że przynajmniej zaproponowałaś mu coś do zjedzenia - powiedziała, skręcając wilgotne włosy w węzeł i owijając głowę szalem.

- Podawałam kolację, ale pan Naren odmówił.

Jak najbardziej w stylu dziadka. Ciekawe, czego chce? A zresztą nie ma co zgadywać, należy zejść i sprawdzić.

- Dobry wieczór - powiedziałam, wchodząc do salonu oświetlonego wyłącznie przez ogień palący się na kominku.

- Już dawno noc - zakrakał dziadek z niezadowoleniem. Istotnie przypominał starego wyleniałego kruka. Właśnie po nim odziedziczyłam ostre rysy twarzy i paskudny charakter.

A na dokładkę jeszcze zdolności magiczne. - Czy nie uprzedzałem, żeby ta twoja ruda dziwka nie pchała mi się przed oczy?

- Uprzedzałeś - odparłam ugodowo, nabijając fajkę. Z jakiegoś powodu dziadek znieubił Lelę od pierwszego wejrzenia, z całkowitą wzajemnością. - I co z tego?

Prychnął z irytacją i wbił we mnie nieruchome spojrzenie. Niestety, ja również byłam w tym całkiem niezła i przez chwilę w milczeniu gapiliśmy się na siebie nawzajem. Dziadek poddał się pierwszy.

- Nic - burknął. - Powiedz jej, żeby nie prezentowała mi swoich wdzięków, nie jestem kupieckim synalkiem.

- Powiem koniecznie - skinęłam głową.

- I mogłabyś się ruszać nieco zwawiej, skoro wiedziałaś, że czekam - gderał dalej. Uznałam, że nie będę opowiadać o drobnej zemście Leli, i słuchałam w milczeniu, utrzymując na twarzy wyraz szacunku.

- A co sprowadza cię o tak późnej godzinie? - spytałam, gdy narzekanie w końcu mu się znudziło.

- Jakbym nie miał sprawy, tobym nie przyjechał - prychnął, pochylił się nad stołem i spojrzał wprost na mnie. - Gdzie jest smok?

- Jaki smok?

- Floszsa! - Dziadkowi brakowało kilku zębów, więc moje imię w jego wykonaniu brzmiało właśnie tak. - Nie rób ze mnie kretyna! Mówię o tuszy tego smoka, z powodu którego musiałaś się wlec na koniec świata. Czy chcesz mi powiedzieć, że zostawiłaś ją gdzieś bez nadzoru, a sama ruszyłaś do domu? Do reszty straciłaś rozum?

I w tym momencie wszystko stało się jasne.

- Nie ma żadnego smoka - odparłam ze zmęczeniem, wydmuchując kółeczko dymu i patrząc, jak ucieka w mrok.

- Co to znaczy „nie ma”? - Dziadka zatkało. Opadł z powrotem na fotel, po czym wczepił się w podłokietniki z taką siłą, że zaczęłam poważnie obawiać się o ich wytrzymałość. Siły mu na pewno starczy, a szkoda mebla, był całkiem wygodny.

- Mogę powtórzyć to, co opowiedziałam Jego Królewskiej Mości Arneliuszowi dziś na radzie królewskiej. - Stłumiłam ziewnięcie. - Skała nad jaskinią ledwo się trzymała. Spadła, a smok i księżniczka zostali pod rumowiskiem. Nie oczekujesz chyba, żebym je rozgrzebywała?

Dziadek wrócił do świdrowania mnie spojrzeniem.

- Floszsa, nie opowiadaj mi bajek - skomentował wreszcie. - Zachowaj je dla rady królewskiej albo dla kmiotków, ale nie rób ze mnie idioty! - Odkasznął. Nie wiem, co ci znowu wpadło do głowy... jak można było zrobić coś aż tak głupiego?! Sama własnoręcznie pozbawiłaś się unikalnej możliwości...

- Skała runęła sama z siebie - skonstatowałam niewzruszenie. Dziadek mógł długo opowiadać mi o unikalnych możliwościach, ale powody jego niezadowolenia były oczywiste - miał nadzieję na udział w autopsji smoka jako mój najbliższy krewny i przy okazji mistrz. -Poza tym nigdy nie ciągnęło mnie do grzebania w czyichkolwiek bebechach. Mówiąc między nami, nie miałam zamiaru poświęcać życia na badania smoczego gatunku.

- Idiotka! - krzyknął dziadek, po czym na dłuższą chwilę umilkł, targany napadem kaszlu, i wydyszał: - Dokładnie taka sama jak twój ojciec!

- To musi być kiepskie dziedzictwo - odparłam. Rozmowa skręciła ze śliskiego tematu powodów runięcia skały w stronę zwyczajowych narzekań i mogłam się rozluźnić. - Słyszałam, że tato był dokładnie taki sam jak ty w młodości.

- Floszsa...! - Dziadek zapowietrzył się ostatecznie i chyba miał zamiar nagrodzić mnie kolejnym nieprzyjemnym epitetem, ale rozmyślił się i tylko splunął. - I to ma być moja dziedziczka...

Z takim podejściem do pracy na zawsze pozostaniesz rzemieślniczką! Przestań dymić! Nadal jeszcze mam nadzieję doczekać się zdrowego następcy! - Dziadek spojrzał na mnie spode łba. - Na twoim miejscu bym się z tym pośpieszył, póki ja jeszcze żyję i mogę zająć się edukacją prawnuka. Bo strach pomyśleć, czego ty go nauczysz, z twoimi zdolnościami!

Mogłabym odpowiedzieć, że z moimi zdolnościami i podejściem do sprawy niebezpiecznie jestem uważana za jednego z lepszych magów-justycjariuszy w zamieszkałych okolicach i klienci całkiem dosłownie ustawiają się do mnie w kolejce. Dziadek natomiast już od jakichś dziesięciu lat nie praktykował - zdrowie nie pozwalało mu na pierwsze zawołanie ruszyć tam, gdzie wrony zawracają. I, jeżeli już mamy być całkiem szczerzy, wynajem jego domu opłacałam ja, jak również służących i niewielkie fanaberie. Ale akurat tego tematu lepiej było nie wyciągać, bo na pewno usłyszałabym, że odmawiam człowiekowi na starość szklanki wody.

- Ja rozumiem, że z taką twarzą nie masz co liczyć na męską uwagę - ciągnął tymczasem mój taktowny krewniak. - Ale mam nadzieję, że starczy ci mocy, żeby sobie zaczarować jakiegoś porządnego faceta na noc?

- Jak najbardziej - odparłam, cały czas zachowując spokojny ton. Wielu dworskich kawalerów bynajmniej nie przejęłoby się moją twarzą, która tak

właściwie wcale nie była brzydka, tylko dosyć nietypowa dla tutejszych okolic. Ostatecznie w ciemności twarzy i tak nie widać, a za to można zaspokoić ciekawość, która zżerała wszystkich, od zielonych młodzików do statecznych ojców rodzin.

Czasami dostawałam całkiem niedwuznaczne propozycje, ale puszczałam je mimo uszu, nie mając najmniejszego zamiaru rujnować sobie reputacji przelotnym romanssem. Dokładnie tak samo, jak nie zamierzałam uszczęśliwić dziadka prawnikiem, ale ten temat również lepiej było pominąć milczeniem. Będąc dziedzicznym magiem-justycjariuszem, miał on maniakalny pomysł stworzenia dynastii i prawie mu to się udało - ja byłam już czwartym pokoleniem. Ale na tym sprawa nieco utknęła. - Ale uczciwie biorąc, to twarz mam po tobie.

- Z tobą się w ogóle nie daje rozmawiać. - Dziadek machnął ręką. Czasy, gdy mógł wydawać mi polecenia jako wnuczce i uczennicy, już dawno minęły, lecz niestety on nijak nie chciał przyjąć tego do wiadomości. - Tylko wiatr ci hula w głowie!

Z tymi słowami podniósł się i ruszył w kierunku drzwi. Nie proponowałam odprowadzania, ponieważ gdy zbliżałam się do domu, zauważyłam w uliczce wynajęty powóz. Wtedy nie zwróciłam na niego szczególnej uwagi, bo w końcu mógł czekać na każdego, ale znając zapobiegliwość dziadka...

Wróciłam na piętro. Lela, zwinięta w kłębek na fotelu, na dźwięk moich kroków uniosła głowę.

- Pan Naren się bardzo gniewał? - spytała żałośnie. - Wiem, że kazał, żebym mu się nie pokazywała, ale Rima już się położyła, więc uznałam, że sama podam kolację.

- Przeżyje. - Machnęłam ręką. Chciałabym wiedzieć, za co dziadek ją tak zniechęcił! - Czas do łóżka.



Miałam szczerzy zamiar odespać te wszystkie dni, które spędziłam w drodze, i otworzyłam oczy dopiero po południu. Lela wiedziała o moim przyzwyczajeniu do wylegiwania się, gdy tylko miałam ku temu szansę, więc ciężkie zasłony jeszcze wieczorem zostały dokładnie zsunięte i w pokoju panował przyjemny półmrok.

Wstałam powoli, umyłam się, ubrałam i zeszłam na dół. Lela, która jak zwykle zerwała się o świcie, podała mi śniadanie i, podczas gdy ja powoli rozprawiałam się z przygotowanymi przez Rimeę przysmakami, opowiadała najnowsze miejskie wiadomości. Co prawda bardziej niż wiadomości interesowały mnie pogłoski i plotki, ale o te musiałabym zapytać Rimeę. Lela ani nie umiała, ani nie lubiła wymieniać plotek z innymi służącymi, podczas gdy kucharka to uwielbiała.

- Oj, Flo, tam na ciebie czeka jakiś pan! - Lela zreflektowała się sztucznie, gdy skończyłam jeść.

- Od dawna? - spytałam. Próby rozmowy z dziewczyną na ten temat z góry skazane były na porażkę. Jeżeli akurat spałam albo jadłam, to nie było bata, by pozwoliła mi przeszkodzić i dowolny gość, nawet gdyby był samym królem, musiałby czekać dokładnie tyle, ile byłoby to konieczne.

- Nie więcej jak godzinę - uspokoiła mnie. - Spytałam, czy to coś pilnego, a on powiedział, że tylko chce z tobą porozmawiać i że zaczeka.

- No to chyba pójdę i sprawdzę, kto to... - westchnęłam. Jakoś dużo gości w moim domu ostatnio.

Drzwi gabinetu otworzyły się, wpuszczając wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę w średnim wieku. A może i starszego. Jego twarz pozbawiona była zmarszczek, we włosach nie było śladu siwizny, poruszał się również jak człowiek całkiem młody i tylko oczy... Ich spojrzenie należało do

człowieka niemłodego. Albo nieczłowieka, zrozumiałam, przyjrząwszy mu się trochę uważniej .

- Dzień dobry - odezwałam się. - Co sprowadza smoka do mojego skromnego domu?

- Dzień dobry, panno Naren. - Mój gość lekko pochylił głowę, zajmując wolny fotel. -Widzę, że moja maskarada pani nie oszukała.

- A może się pan przedstawi? - zaproponowałam.

- Proszę mówić do mnie Garresz.

- Czym mogę panu służyć, panie Garresz? - spytałam. Byłam niemal całkowicie pewna, że ta dziwna wizyta miała jakiś związek z moim ostatnim śledztwem. Ostatecznie smoki pojawiały się w naszych miastach bardzo rzadko, szczególnie jeśli nie miały ku temu ważkiego powodu.

- Ja... - Garresz popatrzył na mnie wprost i mimowolnie się wzdrygnęłam. Wyglądało na to, że ten smok ma bardzo wiele lat. Okazał się pierwszą istotą w moim życiu, której nie mogłam patrzeć w oczy. Uciekłam spojrzeniem jako pierwsza, a on kontynuował: - Chciałem podziękować pani za syna, panno Naren.

- Nie bardzo rozumiem, o co panu... - zaczęłam, ale przerwał mi.

- Wiem, co pani zrobiła i co opowiedziała radzie królewskiej.

- Zaczynam myśleć, że w tym momencie już każdy napotkany przechodzień wie, co zrobiłam... - burknęłam. - A pan jak się dowiedział?

- Echo pani magii jeszcze się utrzymywało, gdy dotarłem na miejsce. - Garresz uśmiechnął się ze smutkiem. - Proszę się nie martwić, ludzcy magowie nic by nie zauważyli nawet natychmiast po zawale, jest pani prawdziwą mistrzynią w swojej dziedzinie, ale dla nas...

Nie skończył zdania, ale i tak zrozumiałam - smoki są znacznie bliższe magii niż ludzie, więc nasze żalosne próby wpływania na otaczający świat przy jej użyciu są dla nich jaskrawo widoczne, choćbyśmy bardzo próbowali

je ukryć.

- A skąd pan wiedział o tym, co się stało? - spytałam.

- Arasz wołał o pomoc - powiedział Garresz tak, jak gdyby to wszystko wyjaśniało, ale na widok mojego oczywistego niezrozumienia wyjaśnił: - Zawsze wyczuwamy, gdy z kimś z naszego rodzaju dzieje się coś złego, szczególnie jeżeli jest to ktoś nam bliski. Będzie mi ciężko wyjaśnić pani, jak to działa...

- Jestem tylko człowiekiem. - Uśmiechnęłam się bez cienia wesołości.

- Dokładnie. - Garresz pozostał poważny. - Ale i tak mam wrażenie, że mogłaby pani usłyszeć takie wołanie, gdyby wiedziała, jak nastawić się na jego odbiór.

- Może warto spróbować... Ale w tej chwili nie rozmawiamy o mnie. Czyli usłyszał pan wołanie syna i...

- Oczywiście ruszyłem w jego kierunku. Ale niestety byłem zbyt daleko... Śpieszyłem się jak mogłem, ale już czułem, że jest za późno, by go ratować. Miałem nadzieję, że zdążę przynajmniej pomóc dziewczynie... Ale i tu się spóźniłem. - Umilkł i po chwili kontynuował: - Nie wiem, czemu pani to zrobiła, i nie będę pytał, ponieważ dla mnie nie jest to istotne. Po prostu chciałem podziękować za to, że mój syn pozostał w górach, a nie trafił na stół sekcyjny pani kolegów. - Smok ponownie zamilkł, patrząc w podłogę, a potem dodał: - Arasz był takim dobrym chłopcem...

- Był pana jedynym synem?

- Nie. - Pokręcił głową. - Trzecim, najmłodszym. Ale to, że pozostało mi jeszcze dwóch, wcale nie sprawia, że czuję się lepiej.

- Rozumiem.

- Po raz pierwszy się zakochał... - Garresz uśmiechnął się z przymusem i spojrzał na mnie, a ja doszłam do wniosku, że chyba wołałabym, by nadal patrzył w podłogę. - Miał szczęście. Ta dziewczyna, Mairin, była... Może

pani sobie wyobrazić, że zazdrościłem własnemu synowi?

- Westchnął. - Chyba za dużo już powiedziałem. Czas na mnie, panno Naren.

- Proszę poczekać! - zatrzymałam go. Unikalna możliwość, smok w moim domu, nie mogłam pozwolić mu tak po prostu odejść. - Panie Garresz, czy mogę zadać jedno pytanie? Może jest ono nieco nie na miejscu, ale... Pozwoli pan?

- Proszę - skinął głową.

- Po co porywacie ludzkie dziewczyny? - spytałam. - Od wielu lat trwają kłótnie na ten temat, ludzie wymyślili masę teorii, a ja mam wrażenie, że to wszystko totalne bzdury.

- Wszystko jest banalne. - Tym razem uśmiech smoka był szczery. - Wcale nie jest nas aż tak mało. Inna sprawa, że w miarę możliwości unikamy kontaktów z ludźmi. Tak więc... jest wśród nas zbyt wielu mężczyzn i zbyt mało kobiet. Gdyby nie ludzkie dziewczyny, nasz rodzaj dawno zniknąłby z powierzchni ziemi. Czy taka odpowiedź panią zadowala?

- Ale dlaczego właśnie dziewice? - wyrwało mi się. Niewątpliwy był fakt, że ludzkie kobiety czasami rodziły swoim smoczym kochankom dzieci, tak samo jak i ten, że dzieci te dziedziczyły cechy gatunkowe po ojcu, natomiast nie wydawało się to mieć żadnego związku z dziewiczym stanem smoczej wybranki. - To jakaś tradycja, czy może coś innego?

- Ten temat jest nieco bardziej skomplikowany. - Garresz oparł łokcie o biurko i położył podbródek na złączonych dłoniach. - Z jakiegoś powodu w takiej sytuacji największe jest prawdopodobieństwo tego, że smok i ludzka dziewczyna będą mieli potomstwo. Czasami zdarzało się, że ktoś z nas wybierał nie młodą dziewczynę, a powiedzmy wdowę, czy nawet mężatkę... Nie chodzi mi w tej chwili o uczucia, ale z jakiegoś powodu takie pary nigdy nie miały dzieci. - Westchnął. - Nie mam pojęcia, gdzie leży przyczyna, i

uczciwie mówiąc, teoretyczna strona zagadnienia nigdy mnie nie ciekawiła. - Spojrzał na mnie z ukosa. - Swoją drogą, to powinno również wyjaśniać, czemu wolimy panny szlachetnej krwi?

Stłumiłam mimowolny chichot. A jakże! Czystość dziedziczek szlachetnych rodzin była pilnowana tak dokładnie, że biedaczki najczęściej do samego zamążpójścia nie miały pojęcia, skąd się biorą dzieci. I im wyższa pozycja społeczna rodziny, tym większa szansa, że piękna córka okaże się dziewicą. Czyli to stąd brały się bajki o porwanych księżniczkach i bynajmniej nie chodziło o wysoki okup.

- Teraz rozumiem - odparłam. - I przepraszam za nieskromne pytanie, ale pana synowie są...?

- Ożeniłem się z dziewczyną naszego gatunku - odrzekł Garresz z uśmiechem. - Można powiedzieć, że na swój sposób miałem szczęście. Ale i tak zazdrościłem Araszowi. - Uśmiech ponownie zgasł. - Zawsze był szczęściarzem. Nawet i tutaj miał szczęście, już za pierwszym razem...

- Smok opuścił głowę. - Niedawno byli u nas z wizytą, moja żona natychmiast wszystko zrozumiała, przed nią się nic nie ukryje. Gdybym wiedział, jak to się skończy, to zmusiłbym Arasza do pozostania z nami...

„I tutaj miał szczęście, już za pierwszym razem” - powtórzyłam w myślach.

- A w czym miał szczęście? - spytałam, unosząc się w fotelu. Chyba zapomniałam, że nie jestem na przesłuchaniu. - Panie Garresz, co pan miał na myśli?

Smok spojrział na mnie z niezrozumieniem, po czym chyba przypomniał sobie własne słowa.

- Chciałem powiedzieć, że moi starsi synowie nie śpieszą się, by uczynić mnie dziadkiem, a Arasz...

W oszołomieniu opadłam na fotel. Dobrze sobie! Czyli zrzucenie tej

przeklętej skały znacznie ułatwiło życie nie tylko mnie, ale wielu innym! Niech diabli wezmą tego całego Arasza, ale księżniczka! Gdyby jej ciało zabrane zostało do stolicy, a król Nikkej nalegał na dokładne określenie przyczyny zgonu, a co za tym idzie - autopsję... Nawet nie potrafię sobie wyobrazić skutków wynikłego skandalu! Mało prawdopodobne, by udało się zataić, że jedyna córka władcy nie tylko została porwana przez smoka, ale na dokładkę zaszła z nim w ciążę! A z takiej wiedzy wysuwały się całkiem proste wnioski. „Smoki kradną nasze kobiety, smoki korzystają z nich jak z klaczy rozplodowych, smoki mają dużo złota...” - i ludzie złapaliby za broń. No dobrze, królowie zwykle nie są idiotami, szczególnie nasz Arneliusz, ale zaślepiiony bólem Nikkej pewnie wpadłby na jakiś głupi pomysł i smoki mogłyby na zawsze zapomnieć o spokoju. A temat względnie pokojowej koegzystencji zostałby ostatecznie zamknięty i głęboko pogrzebany.

Chyba powinnam częściej kierować się sentymentami.

Garresz uważnie obserwował grę uczuć na mojej twarzy.

- Widzę, że pani wszystko zrozumiała - stwierdził po chwili. - I chyba powinienem podziękować pani nie tylko za syna, ale i za wielu innych... którzy pozostaną przy życiu. Żegnam panią.

Położył coś na stole i ruszył w kierunku drzwi.

- Niech pan to zabierze! - zawołałam, nawet nie dotykając pozostawionego przedmiotu. - Nie zrobiłam tego dla pieniędzy.

- To nie jest zapłata, tylko prezent - odparł, otwierając drzwi.

Wzięłam drobiażdżek do ręki. Był to gładki, czarny jak węgiel kamyczek długości pół palca, na prostym łańcuszku. Z wyglądu przypominał kawałeczek zwykłego żwiru, ale tak naprawdę... A tak naprawdę licho go wiedziało. Miałam świadomość, że smoki nie robią zwykłych prezentów (to znaczy, nie licząc przypadków obsypywania złotem sympatycznych panienek), dlatego należało ten kamyczek traktować z szacunkiem,

przynajmniej do chwili, gdy zrozumiem, czym jest i do czego służy.



Od rozmowy ze smokiem minęło kilka dni. Właśnie spacerowałam po pałacowym ogrodzie.

Umówiłam się na spotkanie z pewną dwórką, która miała zamiar wynająć mnie do jakiejś błahostki, oferując sporą kwotę. Ale nie stawiała się w ustalonym miejscu, chyba uznając, że taniej jej wyjdzie zatrudnić paru najemników, by sprawdzić, kogo odwiedza jej mąż. Nie to nie. Przespacerowałam się po alejce, zajrzałam do stawu, po którym latem pływały łabędzie, odnotowując, że czas najwyższy, by go wyczyścić albo za chwilę ptaki będą człapać po błocie. Zbierałam się już do odejścia, gdy z tyłu usłyszałam głośne kroki. Postanowiłam poczekać i sprawdzić, komu tak bardzo się śpieszy. Mało prawdopodobne, by dwórką tak tupiała, co oznaczało mężczyznę. Ciekawe którego?

Okazał się to być mój znajomy porucznik. Chyba Jego Królewska Mość jednak ulitował się i nie zdegradował chłopaczyny do zwykłego szeregowca. Albo wysoko postawieni krewniacy wystąpili w jego obronie. Chociaż... Sądząc z prezencji tego dzieciaka, nie spodziewałabym się, by miał on jakichkolwiek dobrze sytuowanych krewniaków! Wystarczyło porównać go z innymi młodymi gwardzistami. Mundur to mundur, przed nim nie uciekniesz, ale koszule z cieniutkiej, drogiej materii, szpady od znanych płatnerzy, wypolerowane do lustrzanego blasku buty z najdroższej skóry to już co innego... A ten tutaj wyraźnie żył jedynie za swój żołd. Nie był niedbały, wymiętoszony czy źle ubrany, wprost przeciwnie - wysportowany i bardzo schludny, lecz była to skrajna schludność, cechująca raczej ludzi biednych. Z jakiegoś powodu miałam wrażenie, że nawet jego szpada była nie rodowa,

tylko wydana przez kwatermistrza, a sam chłopak nie ma rissa przy duszy.

Czyżby młodszy syn w dużej i niezasobnej rodzinie, której wystarczyło środków, by wypchnąć chłopaka do gwardii, ale już nie na jego utrzymanie? Na dobitkę pewnie odsyłał większość żołdu do domu... Tak, chyba tak właśnie było.

- P-panno Naren! - wydyszał porucznik, gdy w końcu udało mu się do mnie dotrzeć.

- Wojna się zaczęła? - spytałam. Chmura dymu dotarła do żołnierzyka i dostał ataku kaszlu.

No wiecie co...? To przecież najlepszy karris,*5*jaki da się kupić w Arastenie! W dodatku z przemytu.

- Czy ktoś zabił króla?

- Dlaczego pani tak myśli? - zdziwił się.

- A z jakiego innego powodu miałyby pan za mną biec? - Uniosłam brew. - Chyba tylko po to, żeby wezwać do pałacu w ważnej sprawie. Czy to nie mnie pan gonił?

- Panią... - Porucznik zaczerwienił się zauważalnie. - Panno Naren, chciałem pani powiedzieć... znaczy...

Czekałam cierpliwie. W końcu przestał się jąkać, spojrzął mi prosto w twarz i z nieoczekiwaną złością rzucił:

- Wie pani, że tego żołnierza powieszono?!

- Jakiego żołnierza? - spytałam bez szczególnej ciekawości.

- Tego, który wtedy krzyknął w górach... - Porucznik przełknął nerwowo. Chyba miał zamiar powiedzieć mi wiele rzeczy, a może nawet ułożył całą przemowę, ale pod moim niewzruszonym spojrzeniem uciekła mu z pamięci.
- Gdy skała się zawaliła...

- A, tego... - Popatrzyłam w zimne szare niebo. Ciekawe, czy w tym roku

czeka nas prawdziwa zima, czy jednak nie? - I co mi do tego?

- Ale... - Chłopak zaciął się. Chyba oczekiwał, że będę rozpaczać razem z nim. - Czy pani...

pani jest... wszystko jedno?!

- Jeżeli pan uważa, że powinnam po nim lamentować, to się pan pomylił - odparłam chłodno.

W zasadzie faktycznie było mi trochę żal tamtego biedaka, który po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu i czasie - prawdopodobnie to Nikkej domagał się jego karni, bo jak już wspominałam, Arneliusz miał raczej spokojny temperament... a poza tym to nie była jego córka.

Niestety, w świetle tego, co usłyszałam od Garresza, los jednego żołnierza nie wydawał się szczególnie istotny. Tym bardziej jeśli miało to uspokoić Nikkeja, by nie zechciał dogrzebywać się do sedna sprawy. - Niech się pan cieszy, że nie wisi obok.

Twarz porucznika straciła wszystkie kolory i wyraźnie zaznaczyły się na niej piegi. Ciekawe, jak taka cieplarniana roślinka poradzi sobie w walce, jeżeli jednak zacznie się wojna?

- Pani... pani... pani jest potworem!

Na chwilę zapadła cisza. Prawdopodobnie chłopaczek spodziewał się, że spopielę go na miejscu, ale nie miałam zamiaru spełniać tych oczekiwań.

- Poruczniku, nie zamienię pana w żabę za te słowa z jednego jedyne powodu - odparłam sucho. - Umrze pan z głodu, bo będzie panu żal łapać komary. I proszę nie nawijać mi się więcej przed oczy, bo następnym razem mogę się nie powstrzymać.

Powoli ruszyłam alejką, czując na plecach jego spojrzenie. Chyba właśnie zdobyłam nowego wroga. Chociaż, jednego więcej, jednego mniej - w tym momencie to już bez znaczenia.

Dwórkę jednak spotkałam. Biedaczka zgubiła się w parku, który był

prawdziwym labiryntem. Z wiadomych względów nie wzięła przewodnika, więc nie miał jej kto wyprowadzić na właściwą alejkę.

Wpadłyśmy na siebie zupełnym przypadkiem, z czego ona ucieszyła się bardzo, a ja znacznie mniej.

Co prawda gdy wyłożyła sprawę, humor mi się nieco poprawił. Okazało się, że nie miałam śledzić wcale jej męża („bo i tak wiem, do kogo on łązi” - stwierdziła starzejąca się ślicznotka), a jednego z kochanków, którego mimo wielu wysiłków nie potrafiła wyśledzić ani sama, ani przy pomocy przyjaciółek. Zgodnie z tym, co mi opowiedziała, rzeczony młodzieniec wykazywał wprost nadnaturalne zdolności do maskowania się i uciekania przed szpiegami. Dama podejrzewała, że w tej sprawie nie obeszło się bez magii, więc zwróciła się do mnie. I tak dalej, i tym podobnie... Płaciła całkiem nieźle, a przy braku większych zamówień nie jestem ponad takie drobiazgi.

Należy dodać, że zadanie wykonałam. Wszystko okazało się nad wyraz proste i bez śladu magii.

Przedsiębiorczy młody człowiek ubierał w swoje szaty sługę podobnego wzrostu i figury. Ten dorastał na miejskich ulicach i dobrze znał każdy zakamarek, więc z łatwością uciekał próbującym go śledzić dyletantom. A sam młodzieniec, gdy już pozbył się uwagi podstarzałej piękności, odwiedzał jej starszą córkę. Szlachetna rodzinka targnięta została solidnym skandalem, ale koniec końców sprawę załatwiono ku satysfakcji wszystkich stron. Młody człowiek ożeniony został ze zbezczeszczoną panienką (nieszczęśliwie się opierał, jako że posag miała solidny, a jej rodzina była znacznie bardziej arystokratyczna niż jego), a matka panny znalazła pocieszenie w ramionach trójki swoich pozostałych kawalerów.

Ale to mnie już nie interesowało, ponieważ dostałam kilka kolejnych zleceń i zagłębiłam się w pracy.

Tymczasem niepokieszony król Nikkej udał się do domu, do sąsiedniej Stalwii. Mieszkańcy pałacu odetchnęli z ulgą, jako że podejmowanie najjaśniejszego królewskiego brata mimo żałoby musiało trzymać należyty poziom, a Arneliusz nie przepadał za wyrzucaniem pieniędzy w błoto, w związku z czym od dłuższego czasu miał kiepski humor. Życie zaczęło powoli wracać do normy.

ROZDZIAŁ 2

Moja twierdza

Na zewnątrz panował wczesny, zimny poranek, a mnie już za kilkanaście minut czekał wyjazd na obrzeża miasta w celu dokonania oględzin miejsca kolejnego przestępstwa. Tymczasem jadłam przygotowane przez Rimę smakowite śniadanie i z roztargnieniem słuchałam paplaniny Leli. W niepewnym świetle dwóch świec jej rude włosy wydawały się odlane ze złota, a sympatyczna twarzyczka z zadartym nosem wyglądała nieoczekiwanie dorośle i poważnie.

- Że co? - W pewnym momencie usłyszałam coś, co wydało mi się ciekawe. - Powtórz, co właśnie powiedziałaś?

- Oj, Flo, to przecież drobiazg... - Lela próbowała uników, ale natychmiast się poddała. - Pan Sawrin, ten, co mieszka na naszej ulicy, znaczy najmłodszy syn kupca Sawrina, mi się oświadczył.

Powiedział, że mnie wykupi i się ożeni...

- A ojciec mu potem kij złamie na plecach - prychnęłam. - Pewnie nawet wcześniej, jak tylko usłyszysz o zabawach kochanego synalka.

- Nieee! - Lela podniosła na mnie swoje dziecięco okrągłe błękitne oczy. - Ojciec go kocha, trzech starszych dobrze ożenił, a młodszemu na wszystko pozwala.

- Odnoszę wrażenie, że młodszy Sawrin bynajmniej nie ma zamiaru się z

tobą żenić - skomentowałam chłodno. - Pobawi się przez jakiś rok, potem mu się znudzisz, odstąpi cię kolejnemu panu i tyle. Zresztą tak czy siak nie mam zamiaru cię sprzedawać i na tym możemy zakończyć.

- Flo, też tak myślałam! - Lela złapała moją rękę i przycisnęła do delikatnego policzka.

- Przecież nikomu mnie nie oddasz?

- Nikomu - potwierdziłam, czochrając jej bujne kędziory. - A z młodszym Sawrinem pogadam, żeby nie plótł bzdur. Przy okazji, może jeszcze ktoś coś ci proponował?

- Proponowali... - Lela zaczerwieniła się. - Tylko żaden nie wspominał o ożenku ani o wykupie.

Mówili „chodź ze mną” i obiecywali pieniądze...

- Hm... - mruknęłam. No proszę, proszę... I to ma być przyzwoita ulica! Zresztą nic dziwnego.

Lela wyrosła na prawdziwą piękność, a szanowni kupcy byli przecież mężczyznami, w dodatku pewnie mieli powyżej uszu swoich coraz starszych i brzydszych żon, więc ciągnęło ich do młodej, urodziwej panienki. Co dopiero mówić o ich synalkach, którym niczego jeszcze nikt nie odmówił!

- Więc tak. Nie waz się wychodzić sama na ulicę. Jeżeli będziesz musiała iść na targ, to z Rimą, a jeszcze lepiej bierzcie ze sobą Dima. Przy okazji wam pomoże z zakupami. Bo znam ja tych kupców...

- Martwisz się o mnie? - spytała Lela ze zdziwieniem.

- Oczywiście - uśmiechnęłam się krzywo. - Jeszcze któremu zalotnikowi od siedmiu boleści wpadnie do głowy coś głupiego. Czas na mnie. I nie czekaj, nie wiem, kiedy wrócę.

- Wracaj szybko! - żałośnie poprosiła Lela. - Bez ciebie jest nudno...

Wyszłam bez komentarza. Myślałby kto, że ze mną było wesoło! Gdy akurat nie pracowałam i nie podejmowałam gości, to albo rozmyślałam,

patrzac w sufit i kopcac fajke, albo czytalam, albo po prostu spalam - zdarzalo sie, ze nie moglam zmruzyc oka, tak bylam zajeta, wiec musialam niekiedy odsypiac. A na puste rozmowki nie mialam ani czasu, ani ochoty. Poza tym, o czym tu rozmawiac z Lela? Przeciez ona w zyciu nic nie widziala oprócz mojego domu i sasiednich ulic. Nawet targu niewolników i rodzimej wyspy prawie nie pamietala. No dobrze, mogla mi opowiedziec najnowsze miejskie wieści, ale na tym koniec. Chyba nikt nie spodziewal sie, ze bym dzielila sie z nia przemyśleniami odnośnie kolejnego dochodzenia! Przeciez i tak by nie zrozumiala. Byla miła dziewczyną, przyzwyczailam sie do niej, całkiem dobrze opiekowala sie domem, ale tylko tyle. A ze sie do mnie przywiazala... co z tego? Psy rowniez przywiazuja sie do wlascicieli, tesknia do nich, a ile uciechy, kiedy pan wraca! Pewnie jej radość to rowniez coś w tym stylu.

A kupców tak czy siak warto bylo uprzedzic, nie czekajac, az któryś z nich zrobi mojej Leli brzuch. Tylko tego mi brakowalo do pełni szczescia!



Wróciłam do domu głęboką nocą, którą w zasadzie można było nazwać bardzo wczesnym porankiem. Tym razem i na miejsce zdarzenia, i z powrotem zawiózł mnie powóz klienta, więc nawet nie musiałam budzić koniucha. Cicho weszłam do domu, gdzie również panowała cisza. Z pokoiku dobiegało stłumione chrapanie Rimy, a Lela pewnie również od dawna spała, bo zdaje się kazałam jej nie czekać. Zresztą czasami zdarzało się jej przesiadywać po nocach...

Weszłam do swojego pokoju, nie zapalając świec, przebrałam się powoli i zabrałam do rozczesywania włosów, gdy nieoczekiwanie poczułam czyjąś obecność.

- Lela? - spytałam cicho, czując jednak, że to wcale nie ona, a w domu znajduje się ktoś obcy.

Nie zdążyłam zrobić nic ponad to, ponieważ rozproszyła mnie nieoczekiwana myśl: gdzie w takim razie jest Lela i co się z nią stało? W tym momencie na moją potylicę spadł mocny cios, a na twarzy wylądowała szmata nasączona czymś potwornie śmierdzącym.



Obudziło mnie przejmujące zimno, podłóże pode mną trzęsło się niemiłosiernie. Natychmiast zorientowałam się, że ktoś mnie dokądś wiezie. Sądząc z tego, jak bardzo rzucało powozem, znajdowaliśmy się nie na starannie wybrukowanych ulicach Zarzecza, a gdzieś na przedmieściach.

Nieźle... musiałam stracić przytomność na dłużej!

Oczywiście nie miałam zamiaru zdradzać, że doszłam już do siebie. Skoro tak głupio wpadłam, to teraz warto pomyśleć nad sposobem wybrnięcia z sytuacji. Nie zmieniając rytmu oddechu ani nie poruszając nawet powieką - kontrolowanie własnego ciała jest czymś, czego każdy dobry mag uczy się wcześniej niż czytania i pisanie - wsłuchałam się w swój organizm. Głowa pulsowała bólem, co po takim ciosie było oczywiste. Trochę mnie mdliło, pewnie przez to śmierdzące świństwo. Chyba porywacze uznali, że samo ogłuszenie mnie może nie wystarczyć, i zabezpieczyli się jakimś środkiem odurzającym. Ręce miałam związane tak, że nie mogłam poruszyć nawet palcem. Zdaje się, że jeszcze owinęli mi dłonie kawałkami worka. Na nogach również miałam więzy, w ustach knebel, a na oczach przepaskę. Ciekawe to wszystko. Nad wyraz ciekawe.

Nieznani przestępcy działali w sposób wyjątkowo nieprzemyślany. Kara za porwanie maga-justycjariusza, a tym bardziej świadome stworzenie

zagrożenia dla życia tegoż maga, była zawsze jednakowa: śmierć. Tak stanowiło prawo Kolegium magów i ani jeden władca nie śmiał mu się sprzeciwić, ponieważ prawdziwych magów-justycjariuszy było bardzo mało, co oznaczało, że byliśmy ogromnie wartościowi. W zasadzie trzeba przyznać, że przeżyłam niejedyn zamach na moje życie, ale zwykle sprawcami byli albo rabusie, niemający pojęcia, kim jestem, albo bandyci, których tak czy siak czekał stryczek. Z najemnymi mordercami zetknęłam się tylko raz i już na pierwszym przesłuchaniu zdradzili imię klienta. A po ich straceniu dalszych chętnych zabrakło. Ale próby zabicia mnie były cokolwiek zrozumiałe. Natomiast zachowanie moich porywaczy w żaden sposób nie mieściło się w granicach zdrowego rozsądku.

Ciekawe, do czego byłam im potrzebna. Bo istotnie użyli środków niewątpliwie słusznych i zasadnych przy próbie unieszkodliwienia dowolnego maga. Wersję, że nie mieli świadomości, z kim mają do czynienia, od razu można było wyrzucić na śmietnik. Jeżeli udało im się włamać do mojego domu, to wiedzieli, że jestem magiem-justycjariuszem, prawdopodobnie nawet słyszeli, że niezależnym, tylko... Wyglądało na to, że za kluczowe w tym zdaniu uznali słowo „mag”. Wtedy wszystko się zgadzało. Żeby pozbawić klasycznego maga możliwości pracy trzeba unieruchomić jego ręce, a najlepiej również nogi (tyle dobrego, że po prostu je związali, bo jeszcze mogli wpaść na pomysł, żeby połamać mi kości), jak również dobrze zatkać usta. Niestety, taka jest właśnie największa wada magii klasycznej - mag potrzebuje swobodnych rąk (albo przynajmniej palców) do wykonywania gestów oraz ust - dla wymówienia potrzebnych formułek, popularnie zwanych zaklęciami. Czyli w założeniu szanowni porywacze wszystko zrobili dobrze. Ale było zupełnie oczywiste, że nie mieli pojęcia, czym od maga klasycznego różni się mag niezależny.

Moje rozmyślenia przerwane zostały gwałtownym zatrzymaniem

powozu, chyba właśnie dotarliśmy na miejsce. Faktycznie, po chwili ktoś, stękając z wysiłku, spróbował wyciągnąć mnie na zewnątrz. Niestety, próba zakończyła się fiaskiem, jako że podniesienie bezwładnego ciała, na dokładkę tak ciężkiego jak moje, nie jest szczególnie łatwym zadaniem nawet dla silnego mężczyzny.

Po chwili porywacze zabrali się do tego we dwójkę i poczułam, że niosą mnie gdzieś na dół, pewnie do piwnicy.

- Mamy - rozległ się ochryply męski głos, gdy niezbyt delikatnie zostałam położona na zimnej kamiennej podłodze.

- Doskonale - odparł inny, młodszy i bardziej dźwięczny. - Pomóżcie mi.

Ktoś rozwiązał mi ręce, po czym zostałam podniesiona i nie bez wysiłku ustawiona pionowo.

Muszę przyznać, że czerpałam szczerą satysfakcję z niewygody nieszczęsnych porywaczy, ale ostatecznie na moich nadgarstkach zatrzasnęły się zimne metalowe bransolety. Zwisanie na rękach, szczególnie gdy kajdanki wrzynają się w skórę, jest bolesne i niezbyt wygodne, w związku z czym uznałam, że czas najwyższy dojsć do siebie.

- O, patrzcie, ocknęła się! - ze zdziwieniem stwierdził znany mi już ochryply głos i ktoś zerwał mi zasłonę z oczu, wydzierając przy okazji solidny kłak włosów. - Mocna baba!

- Zamknij się i wyjdź za drzwi pilnować - padł rozkaz. Lekko odwróciłam głowę i zobaczyłam dziwnie znajomą twarz. Teraz musiałam tylko przypomnieć sobie, gdzie dokładnie miałam okazję poprzednio ją widzieć. Bo przecież niejedną raz mogłam spotkać tego młodzieńca o wojskowej postawie...

Zresztą miejsce naszego poprzedniego spotkania było na pewno mniej fascynujące niż moja obecna sytuacja. No cóż... Byłam rozpięta na kamiennej ścianie, plecy zaczynały mi zamarzać, a czucia w dłoniach nie miałam prawie

zupełnie. Ale bywało gorzej...

- A teraz nam pani wszystko opowie - uprzejmie stwierdził młody człowiek. -Wszystko, jak zdarzyło się naprawdę, bez wykrętów.

Popatrzyłam na niego jak na wariata i pokręciłabym palcem u skroni, gdybym tylko mogła.

Ciekawe, jak według niego miałam cokolwiek opowiadać z kneblem w ustach?

Chyba na to samo wpadł i starszy mężczyzna, który nijak nie mógł zebrać się do wyjścia za drzwi (ciekawość pierwszym stopniem na szafot). Dotknął rękawa dowódcy - od razu dawało się wyczuć, że to młodszy mężczyzna jest tu ważniejszy - i wskazał na nieszczęsny kłęb szmaty.

- Jeżeli go wyjmemy, to będzie mogła czarować - zauważył młodzieniec z konsternacją. Do takiego obrotu spraw wyraźnie nie był przygotowany. Ale cóż zrobić, umiejętność przesłuchiwania magów nie była dostępna pierwszemu lepszemu człowiekowi z ulicy. Bo tego również trzeba się uczyć, długo i z mozołem. Zgodnie z oficjalną wersją, takich mistrzów miało wyłącznie Kolegium i byli nie mniej cenni niż magowie-justycjariusze.

- Ale na wypowiedzenie zaklęcia będzie potrzebować czasu - do rozmowy włączył się trzeci z porywaczy, wyglądający na równie młodego jak dowódca - więc zdążymy zareagować. Poza tym, wiem z całą pewnością, że zwykłe mówione zaklęcia najczęściej nie są zbyt skuteczne i magowie potrzebują pomocy rąk, a ona nie może nimi ruszać.

- No dobrze - niechętnie zgodził się porywacz pierwszy i wyciągnął z moich ust knebel, po czym rzucił wściekłe spojrzenie w kierunku właściciela ochryplego głosu. Ten chyba zrozumiał, że w jego obecności nie zostanie już powiedziane nic ciekawego, więc pokornie udał się w górę schodów - usłyszałam, jak trzasnęły drzwi.

Pierwszym, co zrobiłam, było soczyste splunięcie na podłogę, by pozbyć

się paskudnego posmaku w ustach. Następnie spytałam:

- Młodzi ludzie, czy wy chociaż rozumiecie, co zrobiliście?

- Może pani być pewna, że rozumiemy - odpowiedział dowódca.

- Wiecie, jaka jest kara za zamach na maga-justycjariusza?

- Wiemy - skinął głową. - Akurat tego jesteśmy całkowicie świadomi, tak więc może wróćmy do tematu.

Musimy uzyskać od pani pewne konkretne informacje i tyle.

- I mam rozumieć, że po ich uzyskaniu puścicie mnie wolno? - prychnęłam.

- Przecież nie jest pani na tyle naiwna, żeby uwierzyć, nawet jeśli jej to obiecamy. -Przywódca porywaczy był uczciwy. - W końcu nie jesteśmy samobójcami. Jeżeli dobrowolnie nam pani wszystko opowie, to obiecuję, że pani śmierć będzie szybka. A jeśli nie... no cóż.

Tutejsze ściany są bardzo solidne i nikt nic nie usłyszy.

- Bardzo ciekawe... - Uśmiechnęłam się krzywo, próbując zdmuchnąć z czoła kosmyk włosów.

- I cóż to za istotne informacje, dla których zaryzykowaliście napad na mnie w moim własnym domu?

- Chcemy wiedzieć, jak naprawdę umarła księżniczka Mairin - oznajmił drugi młodzieniec, robiąc krok do przodu. - I musi nam pani o tym opowiedzieć. Na pewno pani wie, ale z jakichś powodów nikomu tego nie zdradziła.

- Czyli to tak... - mruknęłam. W tym momencie uświadomiłam sobie, gdzie miałam okazję widzieć obu panów: w świcie króla Stalwii! Mundur można zdjąć, ale żołnierskiej postawy się nie ukryje. Zapewne obecni tu młodszy oficerowie, jak to się zwykle zdarza, byli po uszy zakochani w księżniczce. Ale trzeba naprawdę nadprzeciętnej głupoty, żeby wpaść na tego typu pomysł!

- A czy Jego Królewska Mość Nikkej jest świadom, jak spędzają wolny czas oficerowie jego gwardii? - spytałam.

- Król o niczym nie wie! - gwałtownie przerwał mi dowódca. - To nasza osobista sprawa!

Już w to wierzę! Żeby dwóch nieszczęsnych, zakochanych młodzików przy wsparciu jakiegoś bandziora popełniło takie przestępstwo wyłącznie po to, by dowiedzieć się, jak umarła księżniczka. O nie, na pewno ktoś za nimi stał i głupie szczeniaki zostały umiejętnie poszczute. Ale kim mógł być? I na co mu ta wiedza? Zresztą miałam wrażenie, że niedługo sami mi wszystko opowiedzą.

- Gadaj - rozkazał pewny siebie dzieciak, podnosząc do moich oczu ostry nóż. - I mów po dobroci, słyszysz, więdźmo?!

„A za wiedźmę dostaniesz dodatkowego kopa” - obiecałam w myśli. Też się znalazł spec...

Nazwać maga-justycjariusza wiedźmą! Toż to w ogóle trzeba nie mieć żadnego pojęcia o magii.

Ostrze dotknęło mojej szyi. Cięcia nie poczułam, ale po skórze pociekły krople krwi. Co za bzdura, czy on naprawdę chciał mnie w ten sposób nastraszyć? No dobrze. Czas kończyć z tymi bzdurami i zabrać się do poważnej rozmowy o sensie życia.

O dziwo, w określeniu „niezależny mag-justycjariusz” najważniejsze jest słowo „niezależny”.

Oznacza nie tylko naszą niezależność od dowolnych władz. O nie, sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana! Jesteśmy niezależni nie tylko od królów i innych władców, ale również od składnika magii klasycznej, który tak bardzo działa na niekorzyść zwykłych magów. Mówiąc prościej, wcale nie muszę mamrotać zaklęć czy machać rękoma, by na przykład zmienić moje kajdany w kupkę rdzy.

Oczywiście szczególnie skomplikowane i niebezpieczne zaklęcia wymagają pewnych elementów magii klasycznej, ale przecież w tej konkretnej chwili nie chodziło mi o wywołanie trzęsienia ziemi.

Potrzebowałam wyłącznie pozbyć się łańcuchów...

Ale dokładnie w chwili, gdy obejmujące moje nadgarstki metalowe obręcze cienkimi strumykami rdzawego pyłu opadły na podłogę, zdarzyło się coś, co doszczętnie zrujnowało mi plany.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i z hukiem rąbnęły o ścianę, a za nimi wdarły się do piwnicy dwie osoby. Dowódca porywaczy, który nadal przyciskał do mojej szyi ostrze, zadrżał i oparł się na mnie całym ciężarem, po czym runął na podłogę. Spomiędzy jego łopatek wystawała rękojeść noża do rzucania. Drugi młodzieniec powoli zsuwał się wzdłuż ściany, próbując zacisnąć ranę na szyi. Sądząc z tego, że krew z niej tryskała fontanną, kolejny rzucony nóż trafił w tętnicę. Po chwili ten chłopak również opuścił świat żywych, a ja miałam okazję przyjrzeć się moim wybawcom. Bo to, że są właśnie wybawcami, stało się oczywiste, gdy spojrzałam na pierwszego z nich.

- Panno Naren! - krzyknął. - Pani... Czy wszystko z panią w porządku?

- Niewątpliwie - odparłam zgryźliwym tonem, zdzierając z rąk szmaty. - Czego nie mogę powiedzieć o tych biedakach... Poruczniku, oczywiście jestem panu bardzo wdzięczna za pomoc, ale niestety w swojej gorliwości pozbawił mnie pan możliwości rozmowy od serca z obecnymi tu dwoma, niezbyt w tej chwili żywymi panami.

Był to nie kto inny, a właśnie ten dzieciak, który towarzyszył mi w podróży w góry. Wyglądał na zmieszanego. Miałam wrażenie, że liczył na rolę bohatera, który ratuje młodą niewinną pannę.

Niestety, mało tego, że moja niewinność przeszła do historii całe lata temu, to i młodość przeminęła bezpowrotnie. Z ratowaniem własnej osoby

również bym sobie wcale dobrze poradziła.

Ku memu niezadowoleniu porucznik był naprawdę niezły w rzucaniu ostrymi przedmiotami - obaj porywacze wyglądali na ostatecznie i zdecydowanie martwych.

O ile mogłam zgadywać, ich wspólnik skończył dokładnie tak samo. Hm, ale jedna rzecz w tym wszystkim wydawała się ciekawa. Byłam pewna, że porucznik miał osobowość cieplarnianej roślinki, ale na widok trupów, i to trzeba zauważyć, trupów własnej produkcji, nie próbował tracić przytomności ani go nawet nie mdliło. Ciekawe, czyżby to nie byli jego pierwsi... „klienci”? W życiu bym nie pomyślała...

- P-p-panno Naren... Ale kto to był? I po co oni panią porwali? - wyjąkał porucznik, ale odsunęłam go i ruszyłam na górę. Zgadzało się, trzeci bandyta również nie żył. Leżał twarzą do dołu, a rana na plecach świadczyła, że sztych trafił go prościutko w serce.

- Poruczniku... - Zatrzymałam się i spojrzałam na niego przez ramię. - Przecież panu wyraźnie powiedziałam, że dzięki pana gorliwości nie miałam szansy się tego dowiedzieć. Wiem, kim byli i czego ode mnie chcieli, bo byli tak uprzejmi, by mnie o tym poinformować, ale tylko tyle.

- Czy to mało? - Chłopaczek beczelnie wpatrywał się we mnie z dołu schodów.

- Ano niech pan sobie wyobrazi, że tak - odparłam, wychodząc na zewnątrz.

Zgodnie z moimi przypuszczeniami, była to stara część miasta, jakiś porzucony dom na peryferiach. Niebo ledwo zaczynało szarzeć, ale cóż zrobić, jesień, słońce wstawało późno.

W zamyśleniu przeszłam na drugą stronę ulicy, odwróciłam się i ponownie spojrzałam na budynek. Nie, coś się w tym wszystkim nie zgadzało... Kto napuścił na mnie tych młodych idiotów? I po co mu były

potrzebne informacje o prawdziwych okolicznościach śmierci stalwijskiej księżniczki?

Możliwe, że nie był to Nikkej, ale na pewno ktoś z jego najbliższego otoczenia. Czy ta szara eminencja istotnie nie miała pojęcia o różnicach pomiędzy magiem niezależnym a klasycznym? Czy też zleceniodawca specjalnie nie poinformował o tym drobnym szczególe porywaczy? Bardzo dziwne.

Oczywiście najprościej byłoby uwierzyć, że chłopaczki wzięły się za tego wszystkiego z własnej, wrodzonej głupoty, ale przywykłam wierzyć intuicji, bez której dobry mag nie jest wiele wart. Intuicja głośno krzyczała, że w całej tej sprawie coś mocno śmierdzi. Może miało to być zwykłe ostrzeżenie?

Póki co tylko ostrzeżenie... W takim razie czego dotyczyło? Same zagadki!

Cóż... Właśnie od tego są zagadki, żeby można było poszukiwać rozwiązań, a ja miałam szczerzy zamiar znaleźć to właściwe. Tym bardziej że sprawa w sposób bezpośredni tyczyła się mojej drogocennej osoby!

- Panno Naren - cichy głos porucznika zabrzmiał tuż obok. - A jednak... Kto to był?

- Tacy sami młodzi idioci jak pan - odparłam. Zmierzyłam spojrzeniem towarzysza młodzieńca, starszego, ale krzepkiego kaprała, który jak skała wyrastał za jego plecami. -Kaprału, ma pan co zapalić?

- Tak jest, psze pani - spieszenie zapewnił mnie zapytany. - Ale... psze pani... znaczy... ja to mam karris z tych tańszych...

- Wszystko jedno. - Machnęłam ręką i natychmiast otrzymałam wprawnie zwiniętego żołnierskiego skręta. Kaprał potarł zapalnik o podeszwę buta, podał mi ogień, a ja głęboko zaciągnęłam się cierpkim dymem.

- Muszę zameldować dowództwu - poinformował mnie porucznik po chwili namysłu. Jego twarz nadal nosiła oznaki głębokiej zadumy.

- O czym? - zdziwiłam się demonstracyjnie.

- Że została pani zaatakowana! - Porucznik zdumiał się całkiem szczerze.

- Mamy dowody, ciała tej trójki. I... panno Naren, przypomniałem sobie, gdzie widziałem jednego z nich. Był członkiem świty króla Nikkeja.

- Owszem! - odparłam gwałtownie. - I właśnie dlatego nie będzie pan nikomu nic meldował. A dowodów również nie mamy.

- Dlaczego nie? A co z... - zaczął porucznik, ale uciszyłam go gestem i z przyjemnością zaciągnęłam się jeszcze raz.

Z dopalającego się skręta zerwała się iskra, która po chwili utonęła w mroku. Skupiłam się. Po kolejnej chwili dom przed nami zajął się gwałtownym i przerażającym płomieniem, aż pękały kamienie w ścianach. Po ciałach tym bardziej nie powinien zostać nawet popiół.

- Żadnych dowodów - stwierdziłam z satysfakcją. - Poruczniku, rozumie mnie pan?

- Ale... - młodzieniec nijak nie chciał się uspokoić.

- Dziwi mnie, że muszę panu tłumaczyć tego typu sprawy. Poruczniku, naprawdę ma pan tak wielką ochotę wziąć udział w wojnie? Mogę zapewnić, że to jedno z najnudniejszych zajęć pod słońcem.

Chyba coś zaczęło do niego docierać. Jeżeli poddani jednego króla, ba, jego oficerowie, dokonują zamachu na maga-justycjariusza znajdującego się pod opieką drugiego króla, jest to doskonały powód do wszczęcia wojny. Nikt i nigdy nie uwierzy, że ci idioci działali wyłącznie pod wpływem nieodwzajemnionej miłości do księżniczki Mairin. Raczej uzna się, że wykonywali polecenie swojego władcy, który miał w planach skomplikowanie życia najjaśniejszego sąsiada. Hm... swoją drogą, a może właśnie to było celem nieznanego podżegacza? Wersja wcale nie gorsza od innych i warto by o niej pamiętać! W takim razie zniszczeniem wszystkich dowodów właśnie pokrzyżowałam mu plany. Co by nie było takie złe.

- A przy okazji, poruczniku, jak się pan tu znalazł? - spytałam wcale przyjaźnie.

Młodzieniec podrzucił głowę, ocknął się z ciężkich rozmyślań i chyba dopiero teraz zauważył, że stoję w samej tylko koszuli nocnej, ledwo co sięgającej kolan, a dokoła panuje zimna jesienna pogoda. Zaczął zdzierać z siebie mundurową kurtkę.

- Niech pan przestanie - odezwałam się leniwie. - Po pierwsze, nie jest mi zimno, a po drugie, pański mundur będzie na mnie stanowczo za mały.

Kapral okazał się bardziej roztropny niż dowódca i narzucił mi swoją kurtkę na ramiona.

Podziękowałam i w myślach uśmiechnęłam się ironicznie - biorąc pod uwagę, że cały czas miałam bose nogi, gest był czysto symboliczny. Ale to nic, naprawdę potrafiłam nie czuć chłodu, nawet nie musiałam w to wkładać szczególnego wysiłku.

- Więc jak się pan tu znalazł? - powtórzyłam pytanie.

- Ja... - Porucznik wziął głęboki oddech, jak gdyby zamierzając zanurkować w jeziorze. - Panno Naren, śledziłem panią.

- Po co?! - Autentycznie mnie zaskoczył.

- Ja... - Porucznik znacząco spojrzał na kaprała, który spełniając milczące polecenie, odszedł trochę dalej, by nie słyszeć naszej rozmowy. - Wtedy w parku... mówiła pani straszne rzeczy i ja...

- Uznał pan, że będzie mnie śledził i przekona się, że nie tylko „mówię straszne rzeczy”, ale w ogólności jestem koszmarną istotą - dokończyłam.

- Nie... - Młodzieniec wbił spojrzenie w ziemię. - To nie tak... Po prostu cały czas myślałem o tej skale. A potem zobaczyłem... śledziłem panią i widziałem, co może pani zrobić - tak jak teraz!

- Poruczniku, czy byłby pan łaskaw wypowiadać się w sposób bardziej zrozumiały? - poprosiłam. - Mam trudności z nadążaniem za tokiem

pańskich myśli.

- Dobrze... - Dzieciak zaczerwienił się lekko, ale zebrał w sobie i prawie przestał zacinać.

- Zrozumiałem, że może pani robić różne rzeczy... znaczy, czarować, ale nie tak jak dworscy magowie.

Pani... przecież przed chwilą to pani spaliła ten dom?

- Oczywiście, że ja. Nie myśli pan chyba, że ta rudera zajęła się ogniem sama z siebie, i to tak fortunnie, że ogień nie przeskoczył na żaden z sąsiednich domów, a na dokładkę do tej pory nikt nie wyjrzał na ulicę i nie słyszymy przerażonych okrzyków z powodu pożaru?

- No właśnie. I tę skałę nad jaskinią również zwała pani!

- Zabójcza logika! - Uśmiechnęłam się kwaśno. - Mój mistrz byłby zachwycony. Z tego, że mogę spalić dom, wynika, że zrzuciłam skałę. Ale dobrze, nie będę pana męczyć. Ma pan rację.

- Ale po co? - Na twarzy dzieciaka czytałam tak rozpaczliwą chęć zrozumienia, że się ulitowałam.

- A uwierzy pan, że ze współczucia? - spytałam powoli. Nie uwierzy. No cóż...

- Ze współczucia? Ale dla kogo? - zdziwił się i nagle mrugnął długimi rzęsami, bardziej pasującymi urodziwej pannie. - Chce pani powiedzieć, żeby nie... żeby oni zostali razem?

- Jest pan zadziwiająco domyślny - mruknęłam z ironią. - Ale owszem, właśnie tak. A potem poznałam jeszcze kilka faktów, o których nie powinien pan wiedzieć, ale które dobitnie przekonały mnie, że ta decyzja była bardziej niż słuszna. I jeszcze coś. Jeżeli ten powieszony żołnierz był panu naprawdę tak bardzo drogi... Mogę pana zapewnić, że takiego rozwoju wydarzeń w planach nie miałam.

- Tyle zrozumiałem... - odparł chmurnie. - To Jego Królewska Mość

Nikkej nalegał. Panno Naren, zachowałem się wtedy niewybaczalnie. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

- Proszę uznać je za przyjęte - westchnęłam. Nagle naszła mnie pewna myśl. -Poruczniku, proszę mi powiedzieć... A swoją drogą, niech mi pan przypomni, jak się pan nazywa.

Zwykle nie mam powodów, by narzekać na pamięć, ale nazwisko porucznika faktycznie wyleciało mi z głowy, co w sumie nie było takie dziwne - ostatecznie dopiero co w nią oberwałam.

Pamiętałam tylko, że nazwisko to brzmiało straszliwie głupio.

- Laurinne - odparł. - Porucznik Laurinne, do usług szanownej pani.

„Faktycznie durne nazwisko” - pomyślałam i kontynuowałam wątek:

- Mówi pan, że mnie śledził. Nie zauważył pan przypadkiem nic podejrzanego?

- W jakim sensie podejrzanego? - nie zrozumiał. No cóż, nie można wymagać zbyt wiele. Mimo wszystko był tylko młodszym oficerem gwardii królewskiej, a nie zawodowym detektywem. Nawet jeśli coś zobaczył, to pewnie i tak niczego nie skojarzył.

- Powiedzmy, czy nie śledził mnie przypadkiem ktoś oprócz pana - wyjaśniłam cierpliwie. - I czy przy moim domu przypadkiem nie kręcił się podejrzanym typem z jednym okiem, fałszywą brodą i o kulach...

- Nie, nic takiego... - rozpoczął Laurinne, nie dostrzegając ironii, ale nagle poprawił się: - Nie... nie wiem, na ile to ważne, ale...

- Proszę mówić, ileż można dukać! - zaczynałam tracić do niego cierpliwość.

- Ta piękna panienska, która mieszka w pani domu... - Oczy porucznika na chwilę przesłoniła marzycielska mgiełka. - Gdy wychodziła z domu, pewnie na targ, bo szła z koszem... Dwa razy widziałem, jak podszedł do niej ten sam mężczyzna i dłuższą chwilę ze sobą rozmawiali.

- Proszę mi go opisać - rozkazałam. Pewnie widział młodszego Sawrina albo jakiegoś innego sąsiada.

Ale w miarę tego, jak porucznik odmalowywał zagadkowego nieznajomego, nabierałam pewności, że nie był to ani Sawrin, ani żaden z kupców mieszkających na naszej ulicy. Zupełnie nieznany mi człowiek, a Laurinne scharakteryzował go bardzo dokładnie. Trzeba przyznać, że byłam przyjemnie zaskoczona - dzieciak miał doskonałą pamięć wzrokową, a na dokładkę do niej nadprzeciętny zmysł obserwacji. Poza tym udało mu się śledzić mnie tak, że tego nie wykryłam, co również było warte uznania. Gdybym jeszcze nie musiała kleszczami wyciągać z niego każdego słowa!

Zaraz, ale o czym ja myślę?! Jaki „zupełnie nieznany mi człowiek”? Resztę mózgu mi chyba odjęło po tym ciosie! Przecież to trzeci porywacz, ten zachrypnięty! I wtedy wszystko zaczęło do siebie pasować. Pewnie próbował wyciągnąć od Leli informacje o moich zwyczajach, kiedy wracam, kto jeszcze mieszka w domu...

Stop. Nagle po moich plecach ruszył tłum zimnych mrówek i mimowolnie się wzdrygnęłam.

Jak oni weszli do domu? Tak po prostu by się nie dało - miałam specjalną ochronę przed nieproszonymi gośćmi. Moim domownikom nie przeszkadzała, ponieważ została ustawiona tak, by przepuszczać swoich. Oraz tych, których domownicy z własnej woli ze sobą przyprowadzili...

Czyli to tak. Ktoś z trójki moich niewolników wpuścił porywaczy. Kto dokładnie? Mało prawdopodobne, by był to Dim. W zasadzie nie wchodził do domu dalej niż do kuchni, a mieszkał w izdebce nad stajnią, bo interesowały go wyłącznie konie. Mówiąc zupełnie szczerze, wyraźnie miał coś z głową i naprawdę nie należało spodziewać się po biedaku jakichkolwiek intryg. Rima? Możliwe, choć mało prawdopodobne. Po co jej to? Cóż takiego mogli jej obiecać? Rima była dosyć wredną staruchą i kłótni

z nią unikał nawet mój dziadek. Poza tym, mimo ciągłego burczenia, kucharka miała do mnie przyjazny stosunek. O ile wiem, w porównaniu z jej poprzednimi właścicielami faktycznie można mnie uznać za ideał dobroci i cierpliwości. Rima była niemłoda i w przypadku śmierci właścicielki czekała ją w najlepszym razie praca w kuchni jakiejś podrzędnej karczmy - nikt nie kupi starej kucharki z paskudnym charakterem, jeżeli okaże się, że mój majątek pójdzie na sprzedaż. Nie, Rima nie odniosłaby ze zdrady żadnych korzyści, wręcz przeciwnie. A poza tym była podejrzliwa i na tyle rozsądna, że gdyby ktoś próbował ją wypytywać, natychmiast by mnie powiadomiła.

Pozostawała Lela. Moja mała, śliczna Lela...

- Poruczniku - rzuciłam przez zęby. - Pewnie przyjechał pan wierzchem?

- Zgadza się, panno Naren.

- Niech mi pan przyprowadzi konia - rozkazałam. - Pojedzie pan ze mną. Kapralu, obstawiam, że da pan radę dotrzeć do koszar na piechotę?

- Tylko po co, panno Naren? Wyprzągłem konika z wozu. Przecież nie zostawię na zmarnowanie. A bez siodła to jakoś dam radę.

- Tym lepiej. Ruszamy.

Gdy lekko wskoczyłam na siodło należące do kaprała rosłego gniadego wałacha resskiej krwi, porucznik gapił się na mnie z otwartymi ustami. Miałam wrażenie, że zamurowało go nie z racji moich umiejętności jeździeckich, tylko dlatego, że moja koszula przy tej okazji uniosła się całkiem bezwstydnie. Osobiście się tym nie przejmowałam. Skóra to zawsze skóra, czy to na rękach, czy na udach. Ale wyglądało na to, że Laurinne był wyjątkowo cnotliwy jak na gwardzistę. Żeby nie krępować go widokiem moich gołych nóg, pozwoliłam porucznikowi jechać przodem, za nim wysłałam kaprała, a sama ruszyłam na końcu.

Ciekawe, co jej obiecali? Lela, która kochała mnie z taką czułością i oddaniem, wpuściła do domu porywaczy. Zresztą, co tam łagodzić,

morderców! Może ją przestraszyli? Zagrozili czymś? Nie, to bez sensu, w takim wypadku nałożone przeze mnie zaklęcia nie wpuściłyby ich do środka. Lela musiała dobrowolnie przyprowadzić ich ze sobą, a pewnie jeszcze napoić jakimś narkotykiem Dima i Rimę - kucharka miała bardzo lekki sen i na dźwięk cudzych kroków na pewno by się obudziła.

Pogrążona w rozważaniach, nie zauważyłam, kiedy dotarliśmy do mojego domu. Tyle dobrego, że zawczasu wpadłam na pomysł, by narzucić na naszą trójkę niezbyt skomplikowane zaklęcie rozpraszające uwagę. Jeszcze tego brakowało, żeby śledziło nas mrowie ciekawskich oczu - na ulicach już zaczęli pojawiać się pierwsi przechodnie.

Brama była otwarta, drzwi domu również. Gestem kazałam obu gwardzistom być cicho, weszłam po schodkach na ganek, a następnie do sieni. Z izdebki Rimy dolatywało miarowe sapanie. Faktycznie, jakiś środek nasenny, zwykle kucharka wstawiała o świcie... Bezszelestnie weszłam na piętro. Za mną, desperacko próbując nie tupać, stąpali gwardziści.

Usłyszałam ciche nucenie - Lela zawsze podśpiewywała sobie przy pracy. Co prawda tym razem nie sprzątała w moim pokoju, a robiła minki przed lustrem, mierzyła jakieś błyskotki, podnosiła włosy na skroniach to tak, to siak. Miała na sobie tylko cieniutką halkę, która nie ukrywała pociągającej figury. Za moimi plecami Laurinne mimowolnie głębiej wciągnął powietrze.

Słyszając ten dźwięk, Lela odwróciła się gwałtownie... i na mój widok upuściła wszystko, co akurat trzymała w rękach.

- Flo! - Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu, ale wyczułam, że się boi. - Flo, wróciłaś! A ci ludzie to twoi goście? Przygotuję śniadanie, Rima się źle czuje i...

Patrzyłam na nią w milczeniu. Nie była aż tak dobrą aktorką. Mimochodem spojrzałam w lustro i wydawało się oczywiste, że widząc mnie w takim stanie: pomięta i brudna nocna koszula, na ramionach kurtka

gwardzisty, bosa stopy, rozczochrane włosy okrywające mnie jak płaszcz - powinna była pisać, jęknąć, zawołać o pomstę do nieba i zacząć zadawać pytania, a nie zachowywać się jak gdyby nigdy nic. Ale jednak potrafiła grać na tyle dobrze, by oszukiwać mnie latami.

- Co ci obiecali? - spytałam wprost. - Pieniądze? Klejnoty? Co?

Lela w końcu spojrzała wprost na mnie i zaskoczyła mnie wściekłość, która zapłonęła w jej jeszcze niedawno ciepłych błękitnych oczach.

- Obiecali mi wolność - powiedziała cicho, nawet nie próbując zaprzeczać czy szukać usprawiedliwień. - Wolność! Powiedzieli, że nic złego ci się nie stanie, tylko z tobą porozmawiają, a ja będę mogła odejść! Zabiorą mnie do innego miasta, innego kraju! - Lela przełknęła i ciągnęła dalej:

- Odeszłabym z tego ciemnego domu, rozumiesz? Ja... ja... Gdziekolwiek, z kimkolwiek, byle tylko wydostać się z tego grobowca! Flo, ja chcę żyć, chcę kochać mężczyzn, przystojnych i szczodrych...

ale ty tego nie zrozumiesz, ty jesteś z kamienia!

Czyli to o to chodziło... Oczywiście, mogłam się od razu domyśleć! Moja malutka dzikuska marzyła o wolności, a ja nie rozumiałam jej aluzji. Wcale nie była głupia, liczyła, że może w chwili słabości ją uwolnię. Dlatego raczyła mnie tymi wszystkimi opowieściami o propozycjach, które robili jej bogaci mężczyźni! Lela rozumiała swoją siłę, uświadomiła sobie, że uroda może dać jej wielkie, bardzo wielkie korzyści... Ten, kto kupił ją obietnicą wolności, nieźle odrobił pracę domową.

- A więc to tak - powiedziałam.

„Lelo, a ja ci przecież ufałam... - przemknęło mi przez głowę. - Byłaś dla mnie kimś więcej niż tylko służącą, piękną niewolnicą. Ale, moja ruda ślicznotko, zdradziłaś mnie, a zdrady nie wybaczę nigdy. Szczególnie tobie”.

Zrobiłam jeszcze jeden krok, po czym gwałtownie ją spoliczkowałam. Dziewczyna poleciała do tyłu i niezgrabnie klapnęła na podłogę, a jej halka

zadarła się nad kolana. Tym razem nie doczekałam się westchnienia porucznika, chyba w ogóle bał się oddychać.

- A więc chcesz kochać mężczyzn? - rzekłam. - Przystojnych i szczodrych? No cóż, spełnię twoje życzenie, to nie jest wcale trudne. Kapralu!

- Tak, panno Naren?! - zapytany przecisnął się obok porucznika i stanął przede mną na baczność. Chyba nie miał nawet cienia wątpliwości odnośnie tego, czy mam prawo mu rozkazywać.

- Niech pan weźmie to wcielenie niewinności - skinęłam głową w kierunku Leli -chocham mam wrażenie, że ten tytuł nieco się przeterminował... Proszę ją stąd zabrać, zawieźć do portu i sprzedać do jakiegoś bogatszego burdelu. Może się pan targować, może oddać za darmo. Jeśli coś zapłacą, to proszę sobie zatrzymać pieniądze. Może pan też rozdać je żebrakom, przepić, wszystko mi jedno.

Wykonać.

Dotknęłam niewolniczego kolczyka*6*Leli - gdy tylko kapral wykona rozkaz, pojawi się na nim imię nowego właściciela.

- Tak jest, panno Naren - odpowiedział służbiście żołnierz i postąpił krok do przodu.

Nieoczekiwanie porucznik doznał przypływu odwagi i zdecydował się wtrącić:

- Panno Naren, pozwoli pani, że ja sam...

- Nie pozwolę - ucięłam. - Poruczniku, proszę stać, gdzie pan stoi. Nikt pana o nic nie prosił.

Kapral zerknął na swojego smarkatego zwierzchnika ze współczuciem, po czym bez trudu podniósł Lelę z podłogi.

- No, chodź, moja śliczna! Ruchy, ruchy...

Dziewczyna wywinęła mu się i rzuciła do mnie, próbując złapać za rękę,

ale odskoczyłam od niej, jakby była zakaźnie chora.

- Flo! - krzyknęła. - Flo, nie! Flo, nie rób tego!

- Kapralu, proszę ją zabrać - rozkazałam ze wzgardą. - Mam dość tego cyrku.

- Panno Naren! - Laurinne jak zwykle nie mógł znaleźć lepszej chwili na pokazówkę szlachetności. - A może jednak nie trzeba? Przecież widzi pani, że ona żałuje tego, co zrobiła i...

- Poruczniku, proszę nie dawać mi rad odnośnie tego, jak mam postępować z moją własnością - odparłam zimno. - Kapralu, pan jeszcze tutaj?

- To okrutne! - rzucił Laurinne, patrząc na mnie oskarżycielsko. Jakież toto potwornie naiwne.

Koszmar, po prostu koszmar...

- Dlaczego? - spytałam, otwierając szafkę i wyjmując pękatą butelkę z zielonego szkła. Wrzaski Leli dolatywały już z ulicy i miałam wrażenie, że sąsiedzi w pełni korzystali z okazji obejrzenia sobie darmowego przedstawienia. - Chciała wesołego życia, miłości, przystojnych, szczodrych mężczyzn...

Teraz będzie miała aż w nadmiarze i zabawy, i mężczyzn. Nie mogę co prawda ręczyć, że każdy będzie przystojny, ale szczodrość gwarantowana.

W końcu marynarze rzadko widują kobiety podczas rejsów...

- Ale przecież ona pragnęła wolności - mruknął Laurinne. - Tego samego, ale żeby być wolną, żeby samej wybierać...

- Jak sobie zapracuje, to kupi wolność i będzie mogła wybierać - odparłam i pociągnęłam łyk wprost z butelki. - Poruczniku, na wolność trzeba sobie zasłużyć. Albo ją kupić. Wie pan, za wszystko w życiu się płaci. Lela zdecydowała, że zapłaci zdradą, no to dostała wedle zasług... Poczęstuje się pan?

Gdyby porucznik miał więcej doświadczenia w sporach filozoficznych, mógłby zaprzeczyć, że Lela nie utraciła wolności i nie została niewolnicą z własnego wyboru, albo powiedzieć coś w tym stylu. Ja zaś rozpocząłabym długie rozważania na temat interpretacji sensu wolności ludzkiej w różnych systemach filozoficznych. Szczęśliwie nie wdawał się w dyskusje, tylko z wyrazem oszołomienia na twarzy zabrał z moich rąk butelkę, również przyssał się do szyjki, zakrztusił i zgiął w długim napadzie kaszlu.

- Czy to znaczy, że nigdy nie miał pan okazji próbować orte? - spytałam ze współczuciem.

Laurinne gwałtownie pokręcił głową. No cóż, pierwsza znajomość z tym napojem zawsze jest mocnym przeżyciem. Zresztą potem człowiek również czuje się, jakby przełykał płynny ogień, na dokładkę gęsty i słodki.

- Dlaczego pani... - Biedak w końcu złapał oddech. - Dlaczego mi pani nie pozwoliła...?

- Poruczniku, przecież pan ma wszystko wypisane na twarzy - westchnęłam ze znużeniem. - Mam wrażenie, że chciał się pan zabawić w bohatera. I uwolniłby tę dziwkę, nie odchodząc nawet od bramy. Pewnie jeszcze by pan ją zaprosił do siebie, bo przecież biedaczka zupełnie nie ma dokąd pójść.

Młodzieniec zaczerwienił się gwałtownie, czyli zgadłam. Chyba urok Leli podziałał na wyobraźnię Laurinne'a zbyt mocno. Tak... chyba tak właśnie by się skończyło. Lela na krótko zamieszkałaby z oczarowanym chłopakiem, by zostawić go natychmiast po napotkaniu lepszej partii.

- Przynajmniej mogła jej pani pozwolić się ubrać. Przecież jest zimno... - powiedział.

- Wytrzyma - odparłam. - A w nowym miejscu ją ubiorą znacznie lepiej. Poruczniku, starczy już o niej. Nie mam zamiaru słuchać o czymkolwiek, co dotyczy tej wywłoki. Przy okazji, może pan już odejść.

- Jak pani sobie życzy... - Porucznik skierował się do drzwi, ale w pół drogi zatrzymał się i odwrócił. - Czy nawet trochę pani jej nie żal? Tak naprawdę? Ja rozumiem, że nie żal pani tamtego żołnierza, on był dla pani obcy, ale ona...

Przed udzieleniem odpowiedzi chwilę milczałam.

- Nie, poruczniku, nie jest mi jej żal. Wcale a wcale - powiedziałam w końcu po przełknięciu kolejnej porcji orty i odrzuceniu do tyłu włosów. Pewnie wyglądałam jak ta szalona żebraczka z Nowego Mostu, ona też miała długie włosy, do pasa. Gęste i w straszliwym nieładzie, tyle że siwe, a nie czarne.

Laurinne wyszedł, nadal mając na twarzy wyraz kompletnego zagubienia, a ja usiadłam w fotelu i zagapiłam się w sufit. Nie, faktycznie nie było mi żal Leli. Żałowałam dziewczyny, którą pamiętałam, ale tą nową Lelą mogłam wyłącznie gardzić... jak żalonym insektem.

„No cóż - rzekłam do siebie - ciekawa jestem, jak ułoży się jej kariera”. I wyrzuciłam sprawę z głowy.

Moje myśli krążyły dookoła zupełnie innych kwestii. Na początek moje porwanie i jego cel.

Miałam już pewne przypuszczenia, na oko całkiem sensowne. Teraz należało tylko określić, kto był zainteresowany napuszczeniem na siebie dwóch państw. A to nigdzie nie ucieknie. Następnie porucznik Laurinne. Po pierwsze, chłopaczkę okazał się wcale nie taki głupi, jak się mogło wydawać.

Po drugie, najwyraźniej został wychowany na kompletnie szalonych ideach rycerskiego honoru, co czyniło go dosyć nieprzewidywalnym. I co miałam niby z nim zrobić? W sumie byłam pewna, że o naszej nocnej przygodzie nikomu nie opowie. Kapral również będzie milczał - zdążyłam już zrozumieć, że bez wiedzy swego dowódcy nie zrobi kroku. Był klasycznym przykładem oddanego służbisty. Ale i tak warto było przyjrzeć

się im bliżej, na wszelki wypadek. Swoją drogą, ciekawe, w jaki sposób mnie tyle czasu śledził? I jak tłumaczył swoją nieobecność w koszarach? Czy może wojskowa dyscyplina w tym kraju poszła w odstawkę?

Odpowiedź na ostatnie pytanie uzyskałam bardzo szybko. Sprawdziłam tu i ówdzie i okazało się, że już od prawie miesiąca porucznik Laurinne raczył cierpieć z powodu niebezpiecznie zwichniętej kostki, co zostało poświadczane przez medyka. Dlatego też nie pojawiał się w garnizonie, wypoczywając w domu. Faktycznie, nie można chłopakowi odmówić inwencji! Ciekawe, ile zapłacił medykowi za fałszywe świadectwo? Może warto było zorganizować mu prawdziwe zwichnięcie, żeby trochę zwolnił tempo?

Ostatecznie biedny porucznik uniknął uszkodzeń ciała wyłącznie dlatego, że dostałam nową sprawę i musiałam niejako z przymusu przestać rozmyślać nad porwaniem oraz zbyt dociekliwym młodzieńcem. Co prawda o ostrożności nie zapomniałam, rozglądając się na boki podwójnie uważnie.

ROZDZIAŁ 3

„Jabłonie”

Przedzimie*7*powoli zmieniło się w zimę, nad podziw śnieżną i zadziwiająco spokojną. Nie miałam nic a nic do roboty i byłam bliska tego, by uwierzyć, iż wszyscy szanujący się bandyci wolą spędzać wolny czas koło ciepłych palenisk i kominków lub pod pierzynami. Jeśli takie posiadali, rzecz jasna.

Nie zajmowałam się drobnymi codziennymi przestępstwami, zostawiając je wydziałowi śledczemu.

(Oczywiście, jeżeli klient był gotów słono zapłacić, a ja akurat nie miałam nic lepszego do roboty, to potrafiłam zapomnieć o zasadach). Poza tym istnieli też zwykli detektywi pracujący dla tych, którzy z jakiegoś powodu nie mieli ochoty udawać się do królewskich śledczych lub brakło im pieniędzy na zapewnienie sobie usług maga-justycjariusza. Bo skoro już o tym mowa, do moich klientów zwykle zaliczali się ludzie bogaci i bardzo bogaci, posiadający fundusze na opłacenie trzech rzeczy: poznania prawdy, tego, by nigdy nie dotarła ona do postronnych uszu oraz terminowości. Zwykły detektyw jak najbardziej mógł rozwiązać skomplikowaną sprawę morderstwa czy porwania. Oczywiście istniała też szansa (zwykle wprost proporcjonalna do wysokości honorarium), że szczegóły dotyczące śledztwa pozostałyby pomiędzy nim a klientem. Natomiast nikt nie mógł

zagwarantować, że gdzieś po drodze nie trafiłby w ślepy zaułek lub na coś, co tak czy siak wymagałoby interwencji maga. Dlatego też, zwłaszcza w sprawach szczególnie delikatnych czy pilnych, klienci przychodzili wprost do magów-justycjariuszy - takowych w naszej stolicy było dwoje: ja i jeszcze jeden starszy mag. W zasadzie nawet troje, jeżeli wliczyć również mojego dziadka, ale on już od dawna nie praktykował. Warto też zaznaczyć, że drugi aktywny mag prawie ze mną nie konkurował. Specjalizował się w skomplikowanych kradzieżach i problemach rodzinnych, a ja najczęściej zajmowałam się morderstwami oraz sprawami, które przyciągnęły uwagę Jego Królewskiej Mości Arneliusza (co nie oznaczało jednak, że nigdy nie zdarzało mi się wziąć zlecenia innego rodzaju). Poza tym, z uwagi na dosyć podeszły wiek, mój kolega po fachu wolał nie oddalać się za bardzo od miejskich murów, więc w okolice, skąd zawracają wrony, nie dawał się zwabić nawet bajecznym honorarium. Ja natomiast stanowczo przedkładałam podróże nad siedzenie w jednym miejscu, w związku z czym spędzałam w domu znacznie mniej czasu niż pod otwartym niebem. W każdym razie pracy zwykle starczało dla nas obojga, czasami aż z nadwyżką.

Tak więc wydawało się, że tej zimy wszyscy mieszkańcy stolicy zrobili się wyjątkowo praworzadni. Od dawna nie pojawiały się żadne wiadomości o zuchwałych kradzieżach czy napadach z bronią w ręku. Nie słyszałam nawet plotek o tym, by jakaś dama doprawiła mężowi rogi, nie wspominając już o zмовach z kochankiem w kwestii wykończenia ślubnego. Trudno powiedzieć, co działo się w innych miastach, ale jako że w ciągu całej zimy do stolicy nie wpadł ani jeden goniec na spienionym koniu, to tam również nie zaszło nic na tyle nadzwyczajnego, by wymagało interwencji maga-justycjariusza.

Z jednej strony świadomość, że w kraju panował spokój, była budująca. Ale z drugiej... po prostu się nudziłam! Z braku lepszych opcji zabrałam się

do porządkowania zapisków o najciekawszych sprawach, które miałam okazję prowadzić, ale daleko nie zaszłam. Byłam głęboko przekonana, że na pisanie pamiętników było o wiele za wcześnie, a do zwykłego przepisywania oszczędnych notatek nie miałam zapału. Wszystko, co ważniejsze, i tak pamiętałam, a nieistotnych drobiazgów nie było po co zapisywać.

Jakiś czas spędziłam na zapoznawaniu się z nowinami nauk magicznych, udawszy się w tym celu na sympozjum do bogato urządzonej willi za miastem, należącej do Kolegium. Niestety, nie potrafiłam znaleźć żadnego zastosowania dla zaklęć wspomagających rozwój szarego porostu oraz leczących świerzb u bydła. Oczywiście dla kogoś na pewno takie rzeczy były ważne. Przetworzonego szarego porostu używano w medycynie, a kosztował całkiem sporo, więc medyk, któremu zawczasu udało się uzyskać patent na to zaklęcie, na pewno szybko się wzbogaci. A drugie zaklęcie powinno zostać hojnie opłacone przez hodowców rogacizny. Ale niestety, jak miałabym wykorzystać te dwa niewątpliwie wspaniałe wynalazki do wykrywania przestępców? Zdusiłam w sobie rozczarowanie i wróciłam do domu.

Kilka mrocznych zimowych wieczorów spędziłam z książką przy kominku - brak zajęć w końcu skłonił mnie do rozejrzenia się za nowymi lekturami i bardzo fortunnie udało mi się trafić w jednym z kramów na rzecz całkiem ciekawą. Mający dosyć lekkie pióro pisarzyna opowiadał o przygodach pewnego arystokraty, który z braku lepszych zajęć, w towarzystwie sprytnego służącego, zajmował się rozwiązywaniem zagadek kryminalnych. Oczywiście autor zmyślał na potęgę, zapełniając strony powieści niebezpiecznymi ślicznotkami, niewyobrażalnymi potworami, mrozącymi krew w żyłach tajemnicami i całą resztą atrybutów niezbędnych w tego typu dziełach. Trzeba jednak przyznać, że robił to z takim wdziękiem, że naprawdę trudno było się od jego książek oderwać. Na dodatek miał bardzo żywy i barwny język oraz dosyć charakterystyczny lekki, ironiczny

styl. „To wszystko bujdy, sam w to nie wierzę - dawało się odczuć w każdym słowie - ale tylko mi, drogi czytelniku, powiedz, że te bujdy ci się nie podobają!” Zupełnie mnie nie dziwiło, że autor ten szybko zyskiwał na popularności.

Akurat docierałam do końca drugiej powieści, sprawa zmierzała do finału, tajemniczy spiskowiec w masce właśnie miał ukazać swą prawdziwą twarz, a czarująca dama przestać się wahać i w końcu paść w objęcia swojego wybawcy, czyli głównego bohatera. Niestety, w tym momencie pojawiła się Rima z powiadomieniem, że czeka na mnie dziadek. Z żalem odłożyłam książkę - dawno nie miałam okazji trafić na nic tak zajmującego - poleciłam kucharce przynieść nam coś gorącego do picia i zesłam na dół do roboczego gabinetu, gdzie zwykle przyjmuję klientów.

Okazało się, że dziadka również zżerała nuda. W odróżnieniu ode mnie przymierzał się do napisania pamiętników i już nawet wykonał kilka podejść, ale za każdym razem coś stawało mu na przeszkodzie. Najpierw dosyć aktywna praktyka zawodowa, potem, po śmierci moich rodziców, konieczność wychowania małej wnuczki (czyli mnie) i nauczania jej wszystkiego, co mogło okazać się przydatne w życiu dobrego magistrystycjariusza. W tym konkretnym momencie obstawiałabym już tylko totalny brak uzdolnień pisarskich. Niestety, wycpiny mojego dziadka najbardziej ze wszystkiego przypominały raporty z autopsji: ten sam suchy i naukowy język, ogromna ilość uwagi poświęcona najdrobniejszym szczegółom, przy absolutnym braku śladowej nawet intrygi. Czytanie czegoś takiego mogłabym polecić wyłącznie zaszuszonemu nudziarzom z biura śledczego i wydaje mi się, że dziadek również doskonale to rozumiał, więc regularnie rzucał swoje pisarskie próby w kąt i wpadał w mizantropiczny nastrój.

- A gdzie ta twoja ruda? - zapytał, gdy Rima rozstawiła nakrycia i z

ciężkim westchnieniem wyszła, szurając nogami. - Czy w końcu uznałaś, że spełnisz moją prośbę, i nakazałaś, by schodziła mi z oczu?

- Już jej tu nie ma - odparłam sucho.

- Jednak posłuchałaś dobrej rady i ją sprzedałaś? - Dziadek rozpląnął się w uśmiechu. - Jeśli to nie jest tajemnica, kogo nią uszczęśliwiłaś?

- Nie mam pojęcia! - prychnęłam. - Sprzedano ją na moją prośbę, ale nie wiem komu. Na pewno miał duże szczęście. Albo i nie, zależy, z której strony spojrzeć.

Dziadek patrzył na mnie wyczekująco, z głową przechyloną w bok, jak nigdy przypominając starego kruka. Ja natomiast uznałam, że przy okazji mogę uzyskać odpowiedź na pewne interesujące mnie pytanie:

- Powiedz, czemu aż tak ją znieubiłaś? Zdaje się, że od samego początku?

Dziadek parsknął cicho, siorbnął gorącego rintu i z zadowoleniem rozparł się na fotelu, składając ręce na brzuchu.

- Czyżbyś się w końcu zaciekawiała, dlaczego staruch, który do reszty rozum stracił, tak niesprawiedliwie traktuje skrzywdzoną przez okrutny los słodką dziewczuszkę? - zapytał ironicznie.

- Powiesz czy nie? - Uniosłam brew. Jeżeli dziadek akurat miał ochotę, to mógł zrobić się nie do wytrzymania. Zresztą była to cecha rodzinna.

- Powiem, powiem... - Ponownie spojrział na mnie jednym okiem. Zapewniał wszystkich, że drugim niedowidzi, ale najpewniej było to tylko udawanie. W przeciwnym razie już ładne parę lat temu znalazłby sobie dobrego magomedyka. - Dawno chciałem ci powiedzieć, ale nie miałaś najmniejszej ochoty słuchać. Ta twoja ruda kurwa... Nie krzyw się, twoje grymasy na mnie nie działają! Tak więc, ta ruda... - Dziadek westchnął. - Floszsa, możesz uznać mnie za zbzikowanego starucha, ale równie kłamliwego i dwulicowego stworzenia w życiu nie widziałem, a życie

miałem długie... Jesteś zbyt niedbała i ani razu nie pofatygowałaś się nawet, żeby zerknąć w lustro i dowiedzieć się, jak ta ruda na ciebie patrzy, gdy myśli, że nie widzisz. Niejeden raz próbowałem zwrócić na to twoją uwagę, ale czy ty mnie słuchasz? Nie, bo przecież jesteś już na tyle dorosła, by kierować się własnym rozumem.

- Przyznaję, że w tym wypadku faktycznie byłam niewybaczalnie niedbała -powiedziałam powoli, w widoczny sposób lejąc balsam na dziadkowe serce.

- To co się stało? - Aż wychylił się do przodu.

Zastanawiałam się przez chwilę. Opowiedzieć wszystko od początku do końca? W sumie, dlaczego nie? Dziadek był znacznie bardziej na bieżąco ze wszystkimi tajemnicami wyższych sfer niż ja. Kajam się, nie zawsze poświęcałam dosyć uwagi temu, co akurat działo się na dworze, ponieważ ciekawiło mnie to wyłącznie w granicach niezbędnych do rozwiązania kolejnej sprawy. Bardzo prawdopodobne, że niesłusznie uważałam, iż jestem ponad te wszystkie skomplikowane gierki, ale niestety, nie mam ani skłonności, ani chęci do wplątywania się w nieskończone intrygi! Nie to, co dziadek - on zawsze z wielką przyjemnością gotował się w dworskim kotle, i nawet jeśli nie znał ostatnich plotek, to nadal miał niesamowite doświadczenie. A poza tym, jak nie jemu, to komu miałabym opowiadać...?

8

Tak więc oświeciłam dziadka odnośnie mojej przygody, prawie nic nie pomijając. Nie wiem czemu, ale nie miałam ochoty wyjawiać uczestnictwa porucznika Laurinne'a w całej tej historii.

Niestety, nie mogłam też go przemilczeć, ponieważ dziadek na pewno zauważyłby dziurę w opowieści.

- Czyli to taaak... - mruknął po dosłuchaniu do końca. - Nieźle nabroiła ta ruda! Ni mniej, ni więcej, tylko wysłała swoją panią na pewną śmierć!

Daleko dziewczynka zajdzie... Ty, Floszsa, to masz szczęście do służących...

- Nie dobijaj mnie - poprosiłam chmurnie. - Lepiej powiedz, co o tym wszystkim sądzisz.

- Sądzę? - Dziadek popatrzył na mnie swoim firmowym przenikliwym spojrzeniem, jak gdyby właśnie przypomniawszy sobie młodość i osobiście przesłuchanych podejrzanych. - Powiem ci, co sądzę, gdy opowiesz mi prawdę o księżniczce Mairin. Bo przecież ci idioci chcieli się od ciebie czegoś dowiedzieć, czyż nie?

Faktycznie, skoro już wypowiedziałam pierwsze słowo, to trzeba powiedzieć również drugie, a nawet zaśpiewać do końca całą balladę ze wszystkimi refrenami. Westchnęłam i wyłożyłam, co wiedziałam, czyli całkowity przebieg wydarzeń, część historii zasłyszanej od smoka imieniem Garresz, a na koniec dołożyłam jeszcze wnioski, do których doszłam sama. Nagrodzona zostałam wspaniałym widowiskiem - oczy dziadka powoli przyjmowały kształt spodków. Pod koniec mojej opowieści przypominał nie tyle kruka, ile siwego puchacza.

- I ty jeszcze milczałaś?! - krzyknął, gdy tylko odzyskał zdolność mowy.
- Floszsa, zaczynam żałować, że zbyt rozpieszczałem cię w dzieciństwie!

- Uznałam, że im mniej ludzi dowie się o całym wydarzeniu, tym lepiej - zauważyłam dyplomatycznie. - Nie zapominaj, że sam nauczyłeś mnie trzymania języka za zębami.

- Próbujesz mi powiedzieć, że rozpałałbym te rewelacje o smokach i ich potomstwie po całym królestwie? - Dziadek się nastroszył. - Chociaż, co by nie mówić... wspaniale, po prostu wspaniale, i na dokładkę to takie proste! A teoria tego idioty Zoriema nie wytrzymuje żadnej krytyki, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę to, jak sprawy się mają naprawdę...

- Nie zapędzaj się - ostrzegłam. - Nie wolno o tym opowiadać i sam to

doskonale rozumiesz.

Niech ten twój cały Zoriem nacieszy się chwilową sławą.

- Masz rację - burknął dziadek. - Niech mu będzie... - Otrząsnął się i spojrzał na mnie, a jego oczy były uważne i zimne, jak wiele lat temu. - Muszę jednak przyznać, że tym razem dziedzictwo twojej prababki naprawdę się przydało...

- A co to ma do rzeczy? - skrzywiłam się.

- Można pomyśleć, że nie wiesz - prychnął dziadek. Owszem, wiedziałam. Mój pradziadek był pierwszym w naszej rodzinie magiem-justycjariuszem, a prababka, jego żona -bardzo potężną dziedziczną wiedźmą. Magowie zwykle traktują wiedźmy z wyższością, ale albo mój przodek miał zapatrywania bardzo liberalne jak na tamte czasy i swoją pozycję, albo faktycznie się w prababce zakochał (o ile mi wiadomo, była ona wyjątkowo piękna). Tak czy inaczej, ożenił się z wiedźmą. O dziwo, pasowali do siebie jak ulał, chociaż awantury w domu przebiegały w sposób naprawdę widowiskowy - tak twierdził mój dziadek. Tak więc moc magiczna przechodziła w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie, natomiast wiedźmia, sądząc z oznak, okazała się recesywna. Nikt z rodziny nie miał pełnowartościowej wiedźmiej mocy, ale za to każde następne pokolenie posiadało jakieś umiejętności, które nie przystawały do zwykłego maga. Na przykład mój dziadek był wspaniałym wróżem i jego przepowiednie zwykle się sprawdzały (inna sprawa, że często potrzebował dłuższej chwili, by je zrozumieć). Poza tym zawsze i bez namysłu potrafił określić, czy ktoś mówił prawdę, co okazywało się szczególnie przydatne podczas przesłuchań. Z dumą mogę się pochwalić, że byłam jak dotąd jedyną osobą, której czasami udawało się go okłamać. Sądząc z jego opowieści, mój ojciec również wykazywał umiejętność odróżniania kłamstwa od prawdy w cudzych słowach, a poza tym potrafił spojrzeć człowiekowi w oczy, skoncentrować

się i pomóc mu przypomnieć sobie ze wszystkimi szczegółami dowolny moment z życia, i to bez żadnych zaklęć wspomagających. Też całkiem przydatne dla maga-justycjariusza. Niestety, ja nie odziedziczyłam żadnej z tych pożytecznych cech, ale wiedźmia krew jednak dała o sobie znać. Przede wszystkim: moja intuicja.

Byłam przyzwyczajona jej ufać, a ona prawie nigdy mnie nie zawodziła. Czasami to, co „wyczuwałam szóstym zmysłem”, nie dawało się logicznie wyjaśnić, ale nie ryzykowałam działania wbrew takim przecuciom, ponieważ wyjaśnienia zawsze się w końcu pojawiały. Poza tym posiadałam również inną umiejętność. Prawdopodobnie była ona tak wyraźna, ponieważ byłam kobietą, a wiedźmy zwykle są kobietami. Pełnowartościowy wiedźmin wśród mieszkańców kontynentu to prawdziwa rzadkość.

Mimo protestów dziadka nauczyłam się korzystać z tego, co podarował mi kaprys natury. Do tej pory ani razu nie okazało się to prawdziwie przydatne, ale... a nuż? Od przybytku głowa nie boli.

- Mówię o twojej intuicji - potwierdził dziadek.

- Oczywiście szkoda było stracić tego smoka... tak... Możliwość zbadania jego ciała czy prawdopodobieństwo, że powtórzy się „karmazynowa zima”... hm...

Westchnęłam. „Karmazynowa zima” miała miejsce, gdy w pewnym niewielkim księstwie zaczęto systematyczne wyrzynanie wszystkiego, co w jakikolwiek sposób różniło się od zwykłych ludzi. Wszystkiego, czyli najczęściej absolutnie niegroźnych wiejskich wiedźm. Zresztą zabijano także każdego oskarżonego o czary, jak również mniej lub bardziej groźne istoty, które powszechnie występowały na terenie tego księstwa. Direkki, dalekich krewnych smoków - nierozumne skrzydlate jaszczury trochę tylko większe od owcy. Gerreny - wielkie, białe jelenie, które z daleka można było wziąć za mityczne jednorożce i wiele innych. Wszystkie te istoty zostały wyjęte spod

prawa. Szczyt aktywności tępicielei wszelakiej magii trafił akurat na zimowe miesiące, stąd wzięła się nazwa „karmazynowa zima” - wieść gminna niosła, że śnieg był czerwony od przelanej krwi. I dopiero gdy doszło do zamordowania maga-justycjariusza, którego wysłano, by zbadał sprawę, Kolegium raczyło się ruszyć. Zabójców powstrzymano, ale gerrenów w tamtych okolicach już nie ma, a direkków od wielu lat nie widziano w ogóle nigdzie... Kto wie jak skończyłaby się cała ta historia, gdyby ludzie zaczęli wojnę nie z nierozumnymi zwierzętami, a ze smokami! Oczywiście było ich o wiele mniej, ale z drugiej strony niezbyt wielki smok potrafi samodzielnie zrównać z ziemią tak samo niewielkie miasto. A z kolei dobry mag bojowy może poradzić sobie ze smokiem... I obawiam się, że w takiej wojnie nie byłoby zwycięzców.

- Uczciwie mówiąc, najbardziej interesuje mnie osoba stojąca za Nikkejem -przyznałam w zamyśleniu.

Dziadek zmrużył oczy.

- A jesteś pewna, że ktoś za nim stoi?

- Bardziej niż pewna. Wystarczająco dobrze znam naszego najjaśniejszego sąsiada. Może się zapieniść i narobić głupstw, ale potem ostygnie i ma wyrzuty sumienia. Arneliusz jest doskonale tej cechy świadomy i ze sporym powodzeniem ją wykorzystuje. Zresztą po co ja ci to opowiadam?

Przecież wiesz lepiej ode mnie...

- Wiem - prychnął dziadek. - Ale może jestem ciekaw toku twojego rozumowania. Czyli uważasz, że ktoś wykorzystuje Nikkeja a, by ukryć własne działania?

- Nie mogę odrzucić takiej możliwości - odrzekłam. - Ta dwójka młodych idiotów... Nie, po prostu nie mogę uwierzyć, że sami zaplanowali moje porwanie. Mogli to rozważyć w pojedynkę, a nawet w większym gronie, ale

nie starczyłoby im tupetu, by wcielić te fantazje w życie. Ktoś ich... hm... zachęcił. Ale nie wiem kto i nie mam nawet pomysłu.

- Hmm... - Dziadek zachmurzył się. - Muszę przyznać, że twoje wywody jako całość wyglądają przekonująco. Ktoś bardzo chciał się ciebie pozbyć i w ten sposób sprowokować Arneliusza...

Chociaż... - Popatrzył na mnie uważnie. - Floszsa, a nie dopuszczasz do siebie myśli, że mogli chcieć cię usunąć właśnie dlatego, że poznałaś tajemnicę księżniczki? Po to, żebyś nie miała czasu komukolwiek o niej opowiedzieć?

- Zastanawiałam się nad tym - przyznałam - ale doszłam do wniosku, że jest to mało prawdopodobne, zbyt skomplikowany łańcuszek. Najprościej byłoby wykończyć mnie wprost w domu, bez ciągnięcia na kraniec miasta i ryzykowania wpadki. Nie, chyba pozostanę przy teorii, że ktoś zręcznie wykorzystał tych smarkaczy, by się ze mną rozprawić. I wydaje mi się, że ten towarzyszący gwardzistom typek mógł wiedzieć więcej o naszej tajemniczej postaci. Szkoda tylko, że nie zdążyłam ich wypytać.

- Oj tak, ten żołnierz wykazał się niezłą aktywnością! - warknął dziadek. - Szkoda tylko, że jak zwykle w najmniej odpowiednim momencie.

- I co z tym wszystkim zrobimy? - pośpiesznie zmieniałam temat. - Nie jestem pewna, czy należy meldować o wszystkim Arneliuszowi.

- Hm... - Dziadek złożył palce w trójkąt. - Tak myślisz?

- Tak - odparłam. - I bez tego traktuje Nikkeja z pewną podejrzliwością. Poza tym, jak wyobrażasz sobie ten ewentualny raport? „Wasza Królewska Mość, porwali mnie gwardziści Jego Królewskiej Mości Nikkeja, żeby wypytać o szczegóły śmierci księżniczki Mairin, która, ale pech, była w ciąży ze smokiem-porywaczem, o czym wam nie powiedziałam, mimo że znałam prawdę...”

Jakoś tak?

- Faktycznie, nie brzmi to przekonująco. I chyba masz rację. Póki co warto jest utrzymać tę niewielką przygodę w tajemnicy. Ale Flossza, na przyszłość jednak bądź bardziej uważna i nie przyciągaj do domu różnych śmieci!

- Bez obaw, będę wcieleniem ostrożności - obiecałam chmurnie i na tym się rozstaliśmy.

Niestety, rozmowa z dziadkiem niczego nie wyjaśniła, tyle dobrego, że nie skomplikowała sytuacji jeszcze bardziej. Ażeby szanownego porucznika wzięło i trafiło czymś ciężkim! Przecież mógł wparować tam parę minut później albo przynajmniej trochę gorzej rzucać nożami! Gdyby choć jeden z moich porywaczy pozostał przy życiu, miałabym teraz o wiele więcej informacji. Ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem... Zobaczymy, co dalej!

Po podjęciu takiej decyzji w końcu oderwałam się od historii swego porwania i wróciłam do książki.

Czytanie zajęło mi czas do wieczora, a następnego dnia w nieskończonym nicnierobieniu nareszcie pojawił się jakiś prześwit: mroźnym słonecznym rankiem do mojego domu zawitał klient.

Był to sympatyczny mężczyzna koło pięćdziesiątki, przy kości i - sądząc z ubrania -dobrze sytuowany właściciel ziemski.

- Flossia Naren, do usług - powiedziałam, siadając w ulubionym fotelu. Klient kręcił się na krześle i uśmiechał z przymusem. - Z kim mam przyjemność?

- Neir Weren Szloss - gość przedstawił się nieoczekiwanie pięknym, głębokim basem.

- Jestem... jest mi bardzo miło panią poznać, panno Naren!

Uznałam, że daruję sobie zwyczajowe formułki o wzajemnej radości z poznania i przesłałam do rzeczy:

- Tak więc, nieir Szloss, czemu zawdzięczam pańską wizytę?

- O...! - Nagle klient w bardzo zabawny sposób stracił rezon i popatrzył na mnie z takim roztargnieniem, jakby sam zapomniał, z czym przyszedł. Czekałam cierpliwie. - Wie pani, gdy próbuję komuś opowiedzieć, o co chodzi, to zaczyna mi się to wydawać taką błahostką... Aż mi się robi niezręcznie!

- Niech pan mimo wszystko spróbuje - zaproponowałam. Gołym okiem widać było, że gość się denerwuje. Ciekawe, jakie problemy mógł mieć ten zwyczajnie i całkiem solidnie wyglądający człowiek? Żona go zdradzała? Znikały rodzinne klejnoty?

- Dobrze... Tak, spróbuje nie zając pani zbyt wiele czasu... - Szloss nerwowo zacisnął pulchne palce na skraju mego biurka. - Widzi pani, panno Naren, ja... Jestem pisarzem. Trochę śmiesznie to brzmi, ale mimo wszystko... Uczciwie mówiąc, traktuję to jak zabawę, a ludziom się nie wiedzieć czemu podoba... I, znaczy, mam stałego bohatera.

Całą sobą wyrażałam pełne szacunku zaciekawienie. Takich ludzi jak Szloss nie można poganiać, a nawet zadawać pytań naprowadzających, w przeciwnym razie gubią się ostatecznie i zapominają, co chcieli powiedzieć. Zaraz się uspokoi i wszystko opowie...

- Tak więc chodzi o to, że w ostatnich czasach dookoła mnie dzieją się dziwne rzeczy... - ciągnął.

Pytająco uniosłam brwi, czekając na ciąg dalszy.

- Znaczy... takie rzeczy, które mogłyby się przydarzyć mojemu bohaterowi, ale w żadnym razie nie mnie! - wyjaśnił Szloss. - Niedawno w moim życiu pojawiła się kobieta... jakby żywcem wyjęta z kart mojej powieści! Widzi pani, jest tam taka dama, Elejna Dor, awanturniczka, która ciągle rzuca kłody pod nogi głównemu bohaterowi...

To imię wydało mi się znajome. Ciekawe, gdzie miałam okazję je

słyszeć?

- Moment! - olśniło mnie. - Czy to pan napisał „Ołowianą koronę”?

- Czytała pani? - Szloss rozpląnął się w zachwycie. - Nigdy bym nie pomyślał, że pani...

Podobało się pani?

- Całkiem ciekawe - uśmiechnęłam się. - Czy to nie są przypadkiem powieści autobiograficzne?

- Nie, co też pani! - Mój gość lekko spąsowiał. - Jestem tylko skromnym ziemianinem... Wszystko wymyślam.

- Nie najgorzej panu to wychodzi - pochwaliłam.

- Dziękuję... - Uśmiechnął się z zażenowaniem. Chyba udało mi się osiągnąć pożądaną efekt - rozluźnił się i opowieść popłynęła swobodnie. Byłam pewna, iż będzie mówił długo, rozpraszając się na drobiazgi mające ze sprawą wspólnego niewiele albo zgoła nic, ale to nawet lepiej - nie lubię klientów, z których wszystkie szczegóły trzeba wyciągać siłą. A rzeczy na pierwszy rzut oka mało znaczące mogą ostatecznie okazać się bardzo istotne, więc nie należy pomijać najmniejszych nawet drobiazgów. - Wie pani, to wyszło jakoś przypadkiem. Latem mam wiele spraw w majątku, ale w zimie nuda jest zabójcza. Moja żona nie żyje, dzieci wyrosły i rozjechały się tu i tam, więc siedzę sam jak ta żaba na mokradłach... W pewnej chwili zainteresowałem się powieściami awanturycznymi, przeczytałem chyba wszystko, co kiedykolwiek wydano. A potem nagle mnie coś strzeliło i zacząłem wymyślać ciąg dalszy pewnej historii. I jakoś mi to tak zgrabnie wyszło, że aż się sam zdziwiłem. A potem pomyślałem, że ci wszyscy panowie autorzy to przecież się nie uczyli specjalnie pisania książek! Sprawdziłem, jeden był jakimś tam urzędnikiem, drugi to w ogóle prowadził kram... W czym ja niby gorszy? No to spisałem swoją opowieść i zawiozłem do miasta, znalazłem wydawcę, a tu nagle jemu się spodobało... - Szloss

uśmiechnął się z zażenowaniem. O dziwo, nie było w nim ani kropli samozadowolenia. Zdawał się naprawdę zdziwiony nagłą popularnością. - Tylko musiałem użyć pseudonimu. Moje nazwisko nie brzmi najlepiej, poza tym jakoś mi niezręcznie przed znajomymi, w moim wieku wymyślanie takich rzeczy to jakoś niesolidnie...

- Rozumiem. - Uśmiechnęłam się również. - No to co w końcu z tą damą?

- Oj, tak! - wrócił do tematu. - Przyjechała kiedyś późnym wieczorem, powiedziała, że zabłądziła, spytała o drogę. Zaproponowałem nocleg - bo to się przecież nie godzi wyganiać damę, gdy prawie noc na dworze! A rano poprosiła, żebym pozwolił jej u siebie trochę pomieszkać. Powołała się na jakieś tajemnicze okoliczności, które wymagały od niej opuszczenia stolicy i zamieszkania w głuszy...

- I pan nie mógł się powstrzymać - skonstatowałam.

- Niech mnie pani dobrze zrozumie. Jestem tylko ziemianinem. Najbardziej ekscytującym wydarzeniem w moim życiu były chyba narodziny pierwszego dziecka i może jeszcze noc, gdy w nasze podwórko uderzył piorun i rozłupał drzewo. A ta dama... Jak gdyby zeszła z kart mojej powieści. Co prawda na imię ma nie Elejna, tylko Ilana, Ilana Ten, ale jeśli idzie o resztę... Jest oszałamiająco piękna, wyraźnie szlacheckiego pochodzenia i ma jakąś tajemnicę...

- A co wzbudziło pański niepokój, jeśli idzie o tę damę? - wtrąciłam.

- Jak by to pani powiedzieć... - Zrobił nieszczęśliwą minę. - Sama tylko Ilana to jeszcze nic takiego, zdarza się, że szlachetne damy czasem wpadają w nieprzyjemne sytuacje. I to, że trafiłem się na jej drodze, jak najbardziej mogło być przypadkiem. W końcu pisarzem zostałem przypadkowo, czyż nie?

Lekko kiwnęłam głową. Szloss mi się podobał. Gdy przestawał się denerwować i zacinać na każdym słowie, wyglądał na człowieka rozsądnego

i niegłupiego. Nie wydawał się też skory do konfabulacji, jakkolwiek dziwnie by to nie brzmiało w stosunku do pisarza.

- Tak więc gotów byłem zaakceptować pojawienie się Ilany - ciągnął Szloss. - Ale dalej...

Wkrótce w moim domu zaczęły dziać się dokładnie takie same rzeczy, jakie opisałem w „Posiadłości duchów”. - Popatrzył na mnie wyczekująco.

- Jeszcze nie miałam okazji tego czytać. Niech mi pan pokrótce opowie.

- Aha... - Szloss milczał przez chwilę, zbierając myśli. - Chodzi o młodego człowieka, który odziedziczył stary majątek. Zamieszkuje w tym domu, ale okazuje się, że nie można w nim żyć: ze ścian zlatują obrazy, drzwi i okna same otwierają się i zamykają... Ogólnie jakiś wredny duch znienawidził nowego właściciela i próbuje się go pozbyć.

- I jak młodzieniec radzi sobie z problemem? - spytałam. - Niewątpliwie przy pomocy pańskiego ulubionego bohatera?

- Oczywiście! - odparł z uśmiechem. - Ten akurat przejeżdża obok i opowieść biedaka budzi jego ciekawość.

- I, naturalnie, duch zostaje spacyfikowany?

- Nie, raczej wypuszczony na wolność... - W ton Szlossa wkradła się nuta nieśmiałości.

- Niezbyt znam się na magii, więc to, co wymyśliłem, może się pani wydać śmieszne... Znaczący, dawno, dawno temu ten majątek należał do kobiety z bardzo dobrej, ale biednej rodziny. Mimo wielkiej biedy odmówiła sprzedania ziemi bogatemu sąsiadowi, a gdy jemu udało się w nieuczciwy sposób ją zagarnąć, przysięgła, że nowi właściciele nigdy nie zazną spokoju, nawet po jej śmierci. No więc umarła i została duchem, po czym przez kilkaset lat nie dawała żyć kolejnym lokatorom, aż majątek całkiem podupadł. - Szloss westchnął. - A opuścić go również nie mogła...

- I jak pana bohater sobie poradził? - spytałam nie bez ciekawości.

- Znalazł lukę w umowie - mruknął Szloss. - zaproponował, by młody człowiek zwrócił majątek prawowitej właścicielce, czyli pannie-duchowi. A ten go posłuchał, ponieważ w starym domu i tak nie dawało się mieszkać.

- Pomogło?

- Tak. Dama otrzymała swoją własność z powrotem i znikła. A razem z nią budynek. - Szloss nieoczekiwanie dziarsko się uśmiechnął. - Okazało się, że on również od wielu lat był duchem, bo tak naprawdę zostały tam wyłącznie ruiny.

- Ciekawe. A przy okazji, nie zamierzam się śmiać. Nawet jeśli nie jest pan obeznany z magią, wyszło panu całkiem prawdopodobnie. Duchy wysokiego poziomu zdolne są do ciekawszych rzeczy...

- Uznałam, że jednak wrócę do tematu naszej rozmowy. - Czyli w pańskim domu również zaczęło się dziać coś dziwnego?

- Tak, panno Naren. - Szloss skinął głową i ponownie miło się uśmiechnął. - Ale mogę panią zapewnić, że żadnych oszukanych dam, morderstw, straszliwych przekleństw czy innych rzeczy nadprzyrodzonych w historii naszego rodzinnego majątku nie było. - Zakasłał z zażenowaniem.

- Przyznam się, że przekopałem wszystkie archiwa. Ziemia trafiła do mojego przodka całkowicie legalnie, wykupił ją od korony za dosyć znaczną jak na tamte czasy sumę, osuszył mokradła, wyhodował sad, zbudował dom... I tyle. Kompletnie nie ma powodów do pojawienia się ducha!

- Faktycznie dziwne - mruknęłam. - Wszystkie te zdarzenia rozpoczęły się od przyjazdu owej pięknej damy?

- Krótko po tym.

- Uważa pan, że może mieć z nimi jakiś związek?

- Nie wiem... - odparł z wahaniem. - Może to zbieg okoliczności, a może i nie, trudno mi wnioskować...

- Jest pan tylko skromnym ziemianinem - weszłam mu w słowo.

- Zgadza się. - Bynajmniej się nie obraził. - Podoba mi się wymyślanie różnych tajemniczych historii, ale wolałbym, żeby zostały na papierze. I na pewno nie będę się podejmował samodzielnego rozwikływania zagadek, tak jak robi to mój bohater. To, co dobre dla powieści, w prawdziwym życiu nie zdaje egzaminu, a dochodzenie powinien prowadzić zawodowiec.

- Podoba mi się pański punkt widzenia - uśmiechnęłam się. - Najczęściej ludzie uważają, że doskonale dadzą sobie radę sami, na skutek czego sprawa się jeszcze bardziej komplikuje. Czyli chce pan, żebym doszła do przyczyny tego wszystkiego?

- Zgadza się... Panno Naren, wyjątkowo niezręcznie mi prosić panią tuż przed świętami - powiedział ze skrępowaniem - ale... Muszę przyznać, że się boję. W innej mojej powieści akcja dzieje się właśnie tuż przed świętem zimowym. I chodzi tam o morderstwo! Proszę mnie nie uznawać za panikarza, ale...

- Rozumiem pana obawy - odrzekłam. - To, co pan opisał, rzeczywiście wygląda dziwnie, ale nie mogę rozmawiać o czymś, czego nie widziałam na oczy. Będę musiała pojechać do pana majątku.

- Nawet nie śmiałem żywić nadziei, że się pani zgodzi! - Rozjaśnił się.

- Zna pan cenę moich usług? - spytałam uprzejmie, by ściągnąć go na grzeszną ziemię.

- Oczywiście! - Teraz wydawał się trochę urażony. - Przecież bym do pani nie przyszedł, gdybym nie był w stanie opłacić pani pracy!

- Doskonale. - Wstałam, dając do zrozumienia, że wstępna rozmowa jest zakończona. - A więc tak. Żeby zdążyć przed świętami, musimy wyruszyć natychmiast. Jeżeli pan chwilę poczeka, zbiorę to, co najpotrzebniejsze, i możemy jechać.

Szloss tylko zamrugął, wyraźnie nie spodziewał się po mnie takiego tempa.

- Wyślę kogoś do gospody po moje rzeczy - powiedział w końcu. -
Również wolę podróżować z minimum bagażu...

Tak naprawdę byłam bardzo zadowolona, że trafiła się przynajmniej jakaś sprawa. Wyjątkowo nie lubię przebywać w stolicy podczas hałaśliwych obchodów świąt zimowych. Tym bardziej że na pewno zostanę zaproszona do pałacu na bal z tej okazji, a moja niechęć do balów jest jeszcze większa niż do świąt jako takich. Tak więc gdy Szloss po raz kolejny zaczął przeproszać za to, że wyciąga mnie z domu w jakąś głuszę, gdy wszyscy dookoła się bawią, dosyć gwałtownie poprosiłam go, by więcej tego tematu nie podejmował.

Zimowe święta w Arastenie są faktycznie całkiem ciekawe. Obecna dynastia rządząca wyróżniała się wyjątkową tolerancją religijną, na skutek czego w stolicy co rusz ktoś świętował.

Prawie każda religia miała jakieś święto zimowe, tylko że - a to pech - nie pokrywały się one w czasie.

Tym sposobem przez tydzień hucznie świętowali czciciele Matki Noann (w tym czasie naturalnie nie pracując), przez kolejne trzy dni - Białe Siostry, i tak dalej, i tym podobnie. Pał sześć samych zainteresowanych, ale niejako na skutek ich świąt wszędzie zaczynał panować bałagan, bo nie mogli pracować również ci, którym Białe Siostry dostarczają tkanin i kolorowych nici do haftowania, a czciciele Matki Noann - prawie sami hodowcy bydła - przerywali dostawy świeżego mięsa. Koniec końców przodek Arneliusza, Jego Królewska Mość Aner, miał tego serdecznie dosyć i przeprowadził hurtową reformę religijną. W wyniku tego lista świąt państwowych wydłużona została o święto na cześć środka zimy, które jest jedno dla wszystkich wyznań i trwa przez cały tydzień, ani dnia dłużej.

Jeżeli nawet byli jacyś niezadowoleni, to szybko zostali przekonani o konieczności przeprowadzenia zmian. A przeważająca część ludności, czyli

zwyczajni obywatele, w których głowach ta mnogość religii i tak mieszała się w pstrokaty koktajl, niezbyt dbała o to, co świętować i kiedy. Tym bardziej że z okazji tych konkretnych obchodów zawsze urządzano przedstawienia przebierańców oraz parady, w trakcie których przedstawiciele różnych wyznań próbowali prześcigać się w widowiskowości.

Oczywiście świąteczny tydzień będzie obfitował w przestępstwa, ale większość z nich to zwykle banalne kradzieże oraz zabójstwa po pijaku, które absolutnie nie były dla mnie interesujące. A skutki bardziej skomplikowanych działań, specjalnie zaplanowanych na okres świąt, i tak wypłyną dopiero po zakończeniu karnawału, bo w trakcie nikt po prostu nie zauważy nic podejrzanego. Tak więc zdecydowanie nie miałam w mieście nic do roboty...



Z rozkoszą wciągnęłam do płuc mroźne powietrze. Moja kobyła parsknęła i ostrożnie grzebnęła kopytem po udeptanym śniegu.

Szloss, co dziwne dla człowieka jego wieku i budowy, trzymał się w siodle całkiem znośnie.

Dosyć sprawnie radził sobie z dużym karmelowym rumakiem, na którym wyglądał cokolwiek zabawnie.

Uśmiechnęłam się. Wszystko układało się wspaniale: miałam spędzić święta z daleka od stolicy, a w dodatku nikt wiedział gdzie. Czyli Jego Królewska Mość nie mógł uszczęśliwić mnie dodatkowym towarzystwem czy eskortą żołnierzy.

„Ożeż! Wykrakałam...” - pomyślałam z irytacją, widząc przed sobą samotną postać. Ulica była pusta, ludzie odsypiali, przygotowując się do nocnych hulanków, tak więc naprawdę trudno było jej nie zauważyć.

Na mój widok porucznik Laurinne podskoczył, wyprostował się w siodle i brawurowo oddał honory. Nieznacznie poruszyłam głową, dając mu do zrozumienia, że powitanie zauważyłam, ale nie mam zamiaru nawiązywać rozmowy, po czym razem ze Szlossem ruszyliśmy dalej.

I co mnie podkusiło, żeby się odwrócić? Laurinne sterczał na skrzyżowaniu jak obraz nędzy i rozpaczy. Jego gniadosz ponuro opuścił łeb i całość kompozycji wyglądała wyjątkowo smętnie.

- Proszę chwilę poczekać - powiedziałam do Szlossa, zawracając kobyłę.
- Muszę zamienić parę słów ze znajomym.

Kiedy podjechałam, Laurinne nieco odżył.

- Panno Naren... - zaczął, ale natychmiast urwał.

- Pan pewnie ma wolne? - spytałam uprzejmie. - Szuka prezentów na święta?

- Nie... - Znowu zmarkotniał. - W tym tygodniu jestem w patrolu. Teraz czekam na swoich. Za dni świąteczne płacą podwójnie... A prezentów tutaj nie mam dla kogo kupować, chyba że dla Iwasa...

- Zerknął na mnie. - Pani pewnie z wizytą do znajomych?

- Bynajmniej - mruknęłam. - Służbowo.

W oczach młodzieńca wyraźnie dawała się odczytać szalona nadzieja, że zaraz rozkaże: „Poruczniku, będzie mi pan towarzyszył, proszę jechać za mną”. Faktycznie, patrolowanie miasta w święta nie jest przyjemnym zajęciem, obserwacja mojej pracy byłaby pod każdym względem bardziej interesująca. Ale oczywiście nie miałam zamiaru robić nic podobnie głupiego. Zamiast tego powiedziałam:

- Poruczniku, jeżeli przypadkiem znajdzie się pan w okolicach ulicy Sadowej i nie będzie to dla pana zbyt kłopot, to proszę zajrzeć do domu pod numerem szesnaście i przekazać panu Naren, że wyjechałam na kilka dni do majątku Szloss w sprawach służbowych. Będę panu bardzo wdzięczna.

- Oczywiście, panno Naren. - Porucznik ożywił się nieco. - Przekażę na pewno!

- Doskonale. Wszystkiego najlepszego. - Trąciłam kobyłkę obcasem. Jednak Laurinne trafił się jak znalazł. Dziadek nikomu nie zdradzi, gdzie jestem, a mimo wszystko nie wypada znikać bez śladu, choćbym tego bardzo pragnęła. Bo różnie się w życiu zdarza...

- Pani również życzę wesołych świąt - powiedział porucznik w kierunku moich pleców i prawie natychmiast o nim zapomniałam.



Posiadłość Szlossa o skromnej nazwie „Jabłonie” leżała niezbyt daleko od miasta, droga była doskonała, tak więc utrzymywaliśmy niezłe tempo. Po noclegu w gospodzie planowaliśmy przybyć na miejsce już następnego wieczora, toteż czas był najwyższy, by uzgodnić pewne szczegóły.

- Niech mi pan opowie coś więcej o majątku - poprosiłam Szlossa. - I o swojej rodzinie. Bo chyba wspomniał pan, że dzieci mieszkają osobno?

- Dokładnie... - przytaknął. - Córka wyszła za męża, mój zięć służy w mieście, więc wyjechała z nim. Bardzo dostojny człowiek, szkoda tylko, że ma ciężki charakter.

Ale ją kocha... Przyjeżdża latem w odwiedziny, przywozi wnuki... - Szloss uśmiechnął się radośnie. - Podoba im się w „Jabłoniach”, na świeżym powietrzu.

- A inne dzieci?

- Inny - poprawił mnie. - Mam tylko dwójkę. Syn jest nicponiem - westchnął. - W wieku lat trzynastu zaciągnął się na statek jako majtek. Przez rok nie mieliśmy pojęcia, czy w ogóle żyje... Potem się pojawił.

- Miał dość przygód? - spytałam z prawdziwą ciekawością. Zwykle zapał młodych romantyków nie trwa długo, szybko go gasi parę miesięcy szorowania pokładu i kotłów w kambuzie.

- A gdzie tam! - Szloss machnął ręką. - Gdyby tylko... Nadal służy na statku. Wpada na kilka dni w roku i żartuje sobie, że jak awansuje na admirała, to się ustatkuje i osiadzie w „Jabłoniach”.

- I jeszcze długa droga przed nim? - uśmiechnęłam się.

- Kto tam wie? - odparł Szloss z ukrytą dumą. - Nie ma jeszcze dwudziestu pięciu lat, a już jest starszym oficerem.

- Ciekawe... - mruknęłam. - Czyli ma pan dwójkę dziedziców w prostej linii. A inni krewni?

- Tak... - Zastanowił się. - Są jacyś bardzo dalecy powinowaci ze strony żony. Dawno temu wyprowadzili się gdzieś na południe i nawet nie pamiętam, kiedy ich ostatnio widziałem.

- Ciekawe... Dobrze. Neir Szloss, a co stanowi podstawę wartości pańskiego majątku?

- Podstawę wartości? - Popatrzył na mnie z niezrozumieniem. - Nie mam pojęcia... Majątek jak każdy inny, niezbyt duży, przynosi dochód, ale nie powiem, żeby krocie. Dom jest stary, samo odnawianie kosztuje tyle, że... Chyba że sad owocowy... Wie pani, panno Naren, jeszcze mój pradziadek go sadził. - Szloss uśmiechnął się marzycielsko. - Kwitnące jabłonie na wiosnę są takie piękne!

- Rozumiem... - westchnęłam. Uczciwie mówiąc, na razie kompletnie nic nie rozumiałam.

Pierwsza teoria, jaka przyszła mi do głowy, była dość banalna. Ktoś, najprawdopodobniej jakiś krewniak Szlossa, chciał przejąć majątek i w tym celu zaplanował przedstawienie z duchami. Ale wyglądało to jak porywanie się z armatą na muchę, przynajmniej jeśli mówić o próbie przejęcia

posiadłości niezbyt dużej i nieprzynoszącej krociowych zysków. Chyba za tym wszystkim kryło się jeszcze coś i nie rozumiem co dokładnie, póki nie obejrzę wszystkiego na własne oczy.

- Neir Szloss - powiedziałam - mam wrażenie, że nie warto jest afiszować się z tym, kim jestem.

- Też o tym myślałem - odparł poważnie. - Jeżeli to wszystko nie jest owocem mojej wyobraźni i ktoś faktycznie planuje coś niedobrego, to samo pani imię wystarczy, żeby spłoszyć przestępcę.

- No właśnie... - Zamyśliłam się na chwilę.

- Może przedstawić panią jako mojego gościa? - zaproponował Szloss.

- Goście przyjeżdżają z solidnym bagażem, a nie z jedną torbą - westchnęłam. - Nie. Zrobimy inaczej. Proszę mi powiedzieć, na pewno ma pan spór z kimś z sąsiadów?

- Zgadza się. - Szloss wyraźnie się zdziwił. - Skąd pani wie?

Zbyłam go parsknięciem. Drobni ziemianie zawsze wyklócają się o jakieś skrawki ziemi, na których nawet koza by się nie wyżywiła.

- Proszę mi coś więcej o tej sprawie opowiedzieć poprosiłam. - Przedstawię się, powiedzmy...

Moje imię nie jest aż tak rzadkie, chociaż... Niech pan nazywa mnie Flossi Niks. A dla pańskich domowników będę urzędnikiem sądowym, którego zaprosił pan, żeby ostatecznie rozstrzygnąć spór z sąsiadem. Myślę, że nikogo to nie zdziwi.

- Chyba tylko fakt, że urzędnik sądowy pracuje w święta - słusznie zauważył Szloss.

- Sądy nie znają świąt - uśmiechnęłam się kpiąco. - A poza tym zaprosił mnie pan właśnie po to, żeby wzbudzić moją sympatię i przekonać do wydania decyzji na pańską korzyść.

- Rozumiem. - Szloss skinął głową i uśmiechnął się chytrze. - Będę więc

zwracał się do pani z największym możliwym szacunkiem!

Stłumiłam śmiech. Mój rozmówca popełniał ten sam błąd, co większość prostych ludzi, ale w sumie nie było to nic dziwnego. Mało kto wiedział, jak naprawdę przedstawiała się kwestia urzędników sądowych.

Korzenie całej historii kryły się w dosyć dalekiej przeszłości. Jeden z przodków obecnie panującego króla, Arwejn II, miał przy którejś okazji dosyć wysłuchiwanie skarg swoich poddanych na to, że władza sądownicza robi, co jej się żywnie podoba. Przy czym skarżyli się bynajmniej nie chłopci i mieszczanie, tylko najprawdziwsi arystokraci. Faktycznie, trzeba przyznać, że mieli powody do buntu, jako że szanowni panowie prawnicy zatracili resztki sumienia i niemal otwarcie domagali się łapówek, grożąc, że pogrzebią sprawę pod toną innych, nie mniej istotnych, o ile oskarżyciel czy oskarżony nie wniesie pewnej dodatkowej opłaty. W domyśle opłata ta powinna zostać uiszczona bezpośrednio do kieszeni sędziego, który zajmował się sprawą.

Tak więc cierpliwość Arwejna II skończyła się. Ponieważ królowie z obecnej dynastii jak jeden mąż znani byli ze skąpstwa i zdrowego rozsądku, a na dodatek stałowych nerwów, miałam wrażenie, że urzędnicy faktycznie musieli się o to dobrze postarać. Co prawda chodzą leż słuchy, że w sprawę była zamieszana pewna dama, do której król żywił sympatię, a która ucierpiała na skutek działań szanownych urzędników. Po krótkiej chwili zastanowienia (a przynajmniej tak głosi plotka, ja natomiast podejrzewam, że Jego Królewska Mość niejedną raz rozważył wszystkie „za” i „przeciw”) monarcha doszedł do trochę niecodziennego rozwiązania. W wyniku czego otrzymaliśmy nie zwykłych śledczych, oskarżycieli i sędziów, tylko urzędników sądowych, którzy w razie konieczności potrafili występować we wszystkich trzech rolach. Poza tym wprowadzone zostało parę tuzinów stopni dla tychże urzędników. Posiadacze najniższej możliwej rangi mogli

rozstrzygnąć bodajże tylko kłótnię dwóch handlarek na targu w sprawie, powiedzmy, kurczaka. Natomiast posiadający rangę wyższą wydawali naturalnie decyzje w poważniejszych sprawach. Oczywiście te najbardziej skomplikowane i zagmatwane nie były oceniane w pojedynkę - w tym celu zbierało się całe kolegium.

W ogólnym rozrachunku, na pierwszy rzut oka dosyć skomplikowany system działał naprawdę nieźle.

Przynajmniej teraz kancelaria królewska nie była zasypywana skargami na sąsiada, który przeniósł swój płot o pięć kroków dalej, niż powinien, a na dobitkę wypuszcza kury na podwórko oskarżyciela, co tegoż oskarżyciela strasznie irytuje.

Obywatele również się ucieszyli, uznając, że przekupienie jednego urzędnika, by jego decyzja była korzystna dla konkretnej osoby, będzie znacznie prostsze niż całe go kolegium sędziowskiego.

Niestety, grubo się pomylili. Arwejn II miał jeszcze jedną cechę, charakterystyczną dla całej rodziny królewskiej: specyficzne poczucie humoru. Biedni urzędnicy sądowi fizycznie nie mogą brać łapówek, nad czym pracowali najlepsi królewscy magowie. (Mam zresztą wrażenie, że Kolegium również się postarało, tam zawsze lubiono tego typu eksperymenty). Poza tym biedacy kompletnie nie są w stanie skłamać zwierzchnikom w kwestii prowadzonego śledztwa ani nie są całkowitymi panami własnych emocji. Tak więc zdarza im się osądzić naprawdę miłych i czarujących przestępców, jak również wypuścić nieprzyjemnych, ale niewinnych obywateli. Procedura przyjmowania urzędników sądowych do służby nie jest zbyt skomplikowana, ale bolesna i kosztowna, tak więc nie każdy się na nią decyduje. Nagrodą jest możliwość zrobienia niezłej kariery, ale każde znaczne podniesienie rangi wiąże się z powtórzeniem operacji oraz nałożeniem dodatkowych ograniczeń. Najpewniej właśnie z tego powodu

większość urzędników przez całe życie rozwiązuje nieskomplikowane sprawy typu: czy jest winny chłop, który puścił kozy na wypas i ich nie przywiązał, czy jego sąsiad, który otworzył bramę na oścież, na skutek czego powyższe kozy wyjadły mu ogródek. Ale tak czy siak otrzymują oni solidne pensje, powiększające się znacznie z każdą kolejną rangą.

Magowie-justycjariusze stoją trochę obok całego tego systemu. W odróżnieniu od urzędników sądowych mamy całkowicie wolną wolę i możemy zachować prawdę dla siebie albo zwyczajnie skłamać. Ogólnie rzecz biorąc, ponad nami nie ma nikogo prócz naszego własnego sumienia. Nie licząc takiego drobiazgu jak Kolegium Magów, które przeprowadza pewne sprawdziany i na podstawie ich wyników decyduje, czy kandydat jest godzien szczytnego miana. Szkoda tylko, że Kolegium nie interesuje się wszystkimi sprawami, a nie każdy mag posiada sumienie. Co prawda tacy osobnicy sporo ryzykują - wiadomo doskonale, że każdy mag może przypadkiem zabłądzić w jakiś ciemny zaułek, przypadkiem potknąć się i przypadkiem rozwalić sobie głowę albo przypadkiem nadzieć się na bełt z kuszy... A poza tym maga-justycjariusza z raz przybrudzoną reputacją już nikt nie wynajmie. Dokładnie jak w każdym innym zawodzie - najpierw trzeba zapracować na reputację, a potem ona zapracuje na ciebie. Jeszcze mieszkając na północnych wyspach, zaczynałam od całkiem śmiesznych spraw: kradzieży sieci jednego rybaka przez drugiego czy zdrad małżeńskich. Ale powoli pogłoski o mnie dotarły do Stalwii, po czym dostałam zaproszenie na dwór Jego Wysokości Nikkeja, a od niego przeniosłam się do Arastenu. Co prawda moje nazwisko było najpewniej nie najmniej ważnym powodem tego zaproszenia...

Ale zboczyłam z tematu. Jako mag-justycjariusz bez trudu potrafiłam udać urzędnika sądowego.

Natomiast wypowiedź Szlossa w kontekście powyższego była całkiem

zabawna. Gdybym faktycznie była urzędniczką, to jego chęć przyjęcia mnie ze wszystkimi honorami oraz spełnienia dowolnych zachcianek natychmiast wzbudziłaby moją podejrzliwość i najpewniej zagrała przeciw niemu w trakcie dochodzenia. Ale dokładnie jak większość obywateli, Szloss nie miał pojęcia o procedurach związanych z zostaniem prawdziwym urzędnikiem sądowym. Szczęśliwie albo pechowo, była to jedna z najpilniej dochowywanych tajemnic zawodowych. I niech takową pozostanie.

ROZDZIAŁ 4

Duch

Jechaliśmy w milczeniu. Niebo zachmurzyło się i zaczął padać śnieg. Spróbowałam przypomnieć sobie, o co jeszcze nie spytałam Szlossa. O, właśnie...

- O ile rozumiem, pańska żona umarła jakiś czas temu? - zagałam.

- Już ponad dziesięć lat minęło - odpowiedział ze smutkiem, nawet nie dziwiąc się gwałtownej zmianie tematu.

- Na co umarła?

Milczał chwilę, wyraźnie nie były to najszcześniejsze wspomnienia.

- Miała słabe serce - odparł w końcu. - Medycy dziwili się, że udało jej się urodzić dwójkę dzieci. Staraliśmy się jej niepotrzebnie nie denerwować, żeby nie spowodować ataku. Wszyscy ją kochali... Prawie pół roku ukrywałem przed nią ucieczkę syna, mówiłem, że wysłałem go na północ, w odwiedziny do starego przyjaciela, pisałem listy w jego imieniu... A ona dawno się wszystkiego domyśliła i milczała. Któregoś dnia po prostu zasnęła i już się więcej nie obudziła. - Odwrócił się i zaczął szukać po kieszeniach chusteczki. -Przepraszam... chwileczkę...

Czekałam cierpliwie. Chyba faktycznie kochał żonę, co w obecnych czasach było rzadkością.

Ciekawe, czy z wzajemnością?

- Czemu się pan ponownie nie ożenił? - spytałam, gdy w końcu udało mu się pozbiierać.

Spojrzał na mnie z urazą, ale chyba zrozumiał, że nie pytam z czystej ciekawości i odpowiedział:

- Najpierw... Wie pani, bardzo Malenę kochałem. Nie potrafiłem sobie wyobrazić innej kobiety na jej miejscu. Poza tym dzieci, zawsze mi się wydawało, że lepiej im będzie w ogóle bez matki niż z macochą. - Westchnął. - Aż w końcu one dorosły, a ja uznałem, że już zbyt późno na ponowny ożenek.

Poza tym która za mnie wyjdzie? Albo wdowa z dziećmi, albo uboga panna z kresów... Po co mi to?

- A jak stoją pana sprawy z kobietami w ogólności? - spytałam bezceremonialnie. - Jest pan jeszcze w kwiecie wieku.

- Hm... - zauważalnie się zawstydził. - To... tak, oczywiście. Rozumiem, o co pani chodzi. Nie to, żeby nie... Ale zawsze starałem się być ostrożny i nikogo nie skrzywdzić... - „I nie spłodzić bękarta” - dodałam w myślach. - Nigdy nie było to nic trwałego. Koniec końców zawsze można pojechać do miasta...

Stremował się ostatecznie i zamilkł, ale zrozumiałam myśl przewodnią. Nawet najdurniejszy ptak nie brudzi we własnym gnieździe, a Szloss stanowczo nie był głupi. Po co kombinować ze służącymi i chłopkami, które mogą poważnie go skompromitować, jeżeli stolica jest o dwa dni drogi, a zawsze znajdą się tam chętne panny, które nawet nie pytają klienta o imię?

- Chciałem tylko powiedzieć: jeżeli wydaje się pani, że to jakaś urażona kobieta chce się na mnie w ten sposób zemścić... - dodał Szloss. - Nie, to niemożliwe, zapewniam panią.

- Mam taką nadzieję - westchnęłam i dalej jechaliśmy w milczeniu.

Słysząc było tylko skrzypienie śniegu pod kopytami, cichy brzęk ogłowia i parskanie koni.

Wszystko dookoła było białe, śnieg poza traktem sięgał prawie do pasa i schodząc z drogi, człowiek ryzykował utknięcie w śnieżnej pułapce. Pewnie wiosna znowu przyjdzie nieoczekiwanie i sprawa skończy się niewielką powodzią, która zniesie jakąś tamę.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oświadczył Szloss w końcu.

Było już po zmroku. Jechaliśmy wąską aleją wśród drzew, na której z trudem wyminęłyby się dwa powozy. Po chwili namysłu uznałam, że jest to sad - pewnie te właśnie jabłonie, o których z takim zachwytem opowiadał Szloss. Potężne, zadbane, rosnące w równych rzędach, a ich korony zamykały się wysoko nad drogą. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak wyglądało zbieranie owoców z takich gigantów!

W końcu drzewa uciekły na boki i dojrzałam dom o nieco już przestarzałej architekturze. Nie zamek, tylko właśnie duży trzykondygnacyjny dom. Zgodnie z obecnie panującą modą nie można go było uznać za ładny, ale miał swoisty urok. Gdy tylko zesliśmy na ziemię, służący odprowadził zmęczone konie, a ja z ciekawością rozejrzałam się dokoła. Ciekawe... Gospodarstwo wyraźnie było dobrze zarządzane: na podwórzu panował idealny porządek, który bynajmniej nie był znakiem firmowym starych majątków. Nie zdziwiłabym się na widok wozu bez jednego koła, paru belek czy jakichś czekających na spalenie gratów. Ale na oko nic wymagającego naprawy się nie poniewierało, a śmieci czekały na swój koniec gdzieś z dala od ludzkich spojrzeń.

- Proszę bardzo, zapraszam! - Szloss uprzejmie przepuścił mnie przodem w otwartych przez służbę drzwiach.

Musiałam przyznać, że wejście z mrozu do dobrze nagrzanego domu było wyjątkowo miłe.

Ściągnęłam rękawiczki, zrzuciłam płaszcz i ciepłą kurtę na ręce służącego, po czym rozejrzałam się we wnętrzu. Dom faktycznie był bardzo stary, ale bynajmniej nie wyglądał tak, jakby zaraz miał się rozsypać. Wręcz przeciwnie, w oczy rzucało się, iż właściciel lubi swoje miejsce zamieszkania i o nie dba. Meble nie wydawały się ani zbyt drogie, ani przesadnie ozdobne, nie próbowały wypalić dziury w oku ostentacyjnym przepychem. Całość była urządzona dosyć zwyczajnie, solidnie, ale jednak gustownie.

- Wszystko jest tak, jak za życia Maleny - powiedział Szloss na widok mojej ciekawości. - Nic nie zmieniłem, zostawiłem, jak jej się podobało. A przy okazji, chce pani ją sobie obejrzyć?

Muszę przyznać, że na taką propozycję trochę mnie zatkało, ale nieporozumienie natychmiast się wyjaśniło: Szloss wskazał portret naturalnej wielkości, wiszący na klatce schodowej. W panującym w holu przytulnym półmroku wydawało się, że to gospodyni stoi na schodach i zapraszająco uśmiecha się do gości.

Przyjrzałam się jej uważnie. Bez wątpienia obraz nie wyszedł spod pędzla nadwornego malarza, ale jego autor wyraźnie miał talent. Równie wyraźnie był on amatorem, tło zostało ledwo nakreślone, sukni również nie poświęcono wiele uwagi. Jednak kobieta na portrecie wydawała się żywa. Niezbyt wysoka, raczej pulchniutka, bynajmniej nie piękność, ale zadziwiająco sympatyczna... O taką nie będą pojedynkować się napuszeni młodzi dworacy, ale za to pokochają ludzie tacy jak Szloss, zdolni zobaczyć pod niezbyt interesującą powłoką prawdziwe piękno duszy.

- Kto namalował ten portret? - spytałam.

- Syn pewnego przyjaciela rodziny - westchnął gospodarz. - Był zakochany w Malenie.

Poświęcał jej wspaniałe wiersze, namalował ten obraz...

- I pan o wszystkim wiedział? - zdziwiłam się. Ciekawych rzeczy się

człowiek dowiaduje...

- Oczywiście - odparł Szloss. - Eryh nawet nie próbował ukrywać swojego uczucia. A poza tym doskonale rozumiał, że nie ma na co liczyć, mógł być jej synem... Ona również wiedziała i było jej go

bardzo żal. Taki był świetny chłopak...

- Był? - zwęszyłam trop.

- Tak... - odparł Szloss niechętnie. - Widzi pani, jego ojciec ze wszystkich sił próbował zrobić z Eryha prawdziwego mężczyznę, a przynajmniej ucieleśnienie swojej wizji onego. Niestety, chłopak nie miał najmniejszych skłonności do zabaw w rodzaju polowania. Najbardziej ze wszystkiego lubił malować, tylko że nie chciał martwić ojca. Skutek: pewnego razu koń go zrzucił i Eryh strasznie się pokaleczył.

- Śmiertelnie? - sprecyzowałam.

- Niektórzy uznali, że lepiej by było śmiertelnie. Biedak został kaleką... Potem umarł jego ojciec, matka nie żyła już od dawna. Natychmiast pojawili się dalsi krewni, którzy chcieli wysłać chłopaka do odpowiedniej placówki, ale nie pozwoliłem i zabrałem go do siebie. Myślę, że Malena wsparłaby mnie w tej decyzji.

- Mieszka tutaj? - spytałam.

- Oczywiście - odpowiedź brzmiała tak, jakby takie rozwiązanie sprawy było zrozumiałe samo przez się.

- Chciałabym z nim porozmawiać. O ile rozumiem, jest przykuty do łóżka? Swoją drogą, czy jego ojciec albo pan nie próbowaliście skorzystać z usług magomedyka?

- Co też pani! - Szloss zachnął się. - Zaprosiliśmy najlepszych. I nawet co nieco udało im się zdziałać. Przynajmniej teraz Eryh ma władzę w górnej części ciała i może długo siedzieć. Ale tylko tyle... Swoją drogą, nadal maluje. Oczywiście nie ma już mowy o dużych obrazach, ale wychodzą mu

znakomite miniatury, nawet ja moim niewprawnym okiem to widzę.

Zamyśliłam się. Dalsi krewni, tak? A o ile zdołałam zrozumieć, jedyny dziedzic mieszkał u przyjaciela rodziny. W takim razie może nie było to polowanie na Szlossa, tylko na tego całego Eryha? Tym bardziej warto spotkać się z tym młodym człowiekiem. Ale natychmiast zrozumiałam, że rozmowę trzeba będzie odłożyć. W holu pojawiła się dama, w której na podstawie opisu mego klienta bez trudu rozpoznałam tajemniczą Ilanę Ten.

- Werenie? - odezwała się ta nad wyraz niezwykła osóbka, zbliżając się do nas szybkimi krokami. - Wrócił pan? Jak to dobrze, martwiłam się! Kim jest ta kobieta?

Iłana nie mówiła, a jak gdyby strzelała krótkimi zdaniami. I była naprawdę piękna - tu Szloss ani trochę nie przesadzał. Wysoka jak na kobietę (a przynajmniej wyższa od gospodarza), bardzo szczupła, o gracji dzikiej kotki. Faktycznie robiła niezapomniane wrażenie. Jej kruczoczarne włosy ułożone zostały w sztucznym nieładzie, z wąskiej arystokratycznej twarzy patrzyły jasnobrązowe oczy w otoczeniu długich puszystych rzęs, a nieco przydługi nos z zauważalnym garbkiem nadawał Ilanie wyraz szczególnej, niemalże królewskiej arogancji. Rzeczywiście, prawie dokładna kopia bohaterki z powieści Szlossa, niebezpiecznej i przebiegłej jak setka jadowitych żmij Elejny Dor. Z tym że tamta miała oczy barwy zielonej. Ponadto dookoła tej damy natychmiast wyczułam wyraźne, chociaż dosyć słabe echo mocy. Niestety, było pasywne, kompletnie szczątkowe i nie miałam najmniejszych szans określić jej istoty, o ile nie zostanie użyta ponownie. Obstawiałam którąś z dziedzin praktycznych, ponieważ magia bojowa czy lecznicza daje zupełnie inne i bardziej wyraźne echo. Co prawda nie mogłam z całą pewnością wykluczyć tego, że wszystko sprowadzało się do zwykłego amuletu. Na przykład antykoncepcyjnego. Co by nie mówić, w arsenale podręcznym współczesnych dam można było natrafić na rzeczy

dużo ciekawsze.

- Pozwoli pani, że przedstawię. - Szloss nieco się pogubił. - To pani... eee... Flossi Niks, urzędnik sądowy...

- Urzędnik sądowy trzeciej rangi - poprawiłam z wyższością. - Z prawem wydawania decyzji w sprawach ogólnocywilnych do siódmej kategorii ważności, nie dotyczących interesów korony.

- Oj, tak, przepraszam najmocniej... - Szloss stremował się do reszty. - Pani Niks uprzejmie zgodziła się rozwiązać nasz nieskończony spór z sąsiadem... Ilano, pamięta pani, jak o tym opowiadałem?

- Och, tak! - Zapytana wydeła wargi. - Przerażliwie bezsensowna historia. Tyle problemów z powodu jakiejś zabłoconej łąki! Mam nadzieję, że pani... hm... Niks raz i na zawsze uwolni nas od tych nudnych kłótni i sporów! - To „hm” w ustach Ilany wyraźnie dawało do zrozumienia, jaki był jej stosunek do jakichś tam urzędniczek, które na pewno należały do niższej warstwy społecznej i w dodatku ośmielały się naruszać jej spokój.

- Właśnie po to tu jestem - podsumowałam, lekko zmrużyłam oczy i popatrzyłam na Ilanę z góry. Nie na leży zapominać o tym, że kobiety zdolne do zrobienia kariery, na którą się powołałam (w końcu trzecia ranga dla urzędnika sądowego to naprawdę niezły wynik), musiały cechować się stanowczym charakterem, a czasem również brakiem ogłady. - A przy okazji, kim pani jest dla neira Szlossa? Poza tym nie miałam przyjemności poznać pani imienia.

Chyba Ilana nie spodziewała się takiej bezczelności po zwykłej mieszczance, więc w końcu zdobyła się tylko na żałosny pisk:

- Werenie...!

- To neira Ilana Ten - Szloss śpiesznie przyszedł jej w sukurs. - Moja... eee... mój gość.

- Nie krewna?

- Nie...

- Doskonale - odparłam, udając, że całkowicie straciłam zainteresowanie Ilaną: bo skoro nie była krewną, to trwający spór kompletnie jej nie dotyczył, w związku z czym po prostu mnie nie obchodziła. Czy muszę dodawać, że w istocie sprawy miały się dokładnie odwrotnie? - Miło mi poznać. Neir Szloss, proszę mi powiedzieć, o której tu się zwykle jada kolację?

- Już niedługo! - Gospodarz wyraźnie się zdenerwował i zaczął dawać jakieś znaki służącemu.

- Niedługo podadzą... Akurat zdąży pani odpocząć po podróży... Zaraz ktoś panią odprowadzi do pokoju!

Udałam się za podstarzałą służącą, która zaprowadziła mnie do przestronnego, czystego i akurat w sam raz dogrzanego pokoju. Stanowczo podobał mi się ten dom! Ale nie należało zapominać o celu wizyty...

Zamknęłam drzwi na zasuwę, żeby ktoś nie wpakował się do środka w najmniej odpowiedniej chwili, po czym przygotowałam się do tego, żeby słuchać. „Słuchanie” jest najprostszą możliwą sztuczką, którą opanowałam we wczesnym dzieciństwie i oczywiście wykorzystywałam w celach bynajmniej nie chwalebnych. Co się działo w tym domu...? Nie, tu nie było nic ciekawego, służące w kuchni śpiesznie przygotowywały kolację z resztek dzisiejszego obiadu i rzeczy przeznaczonych na jutrzejsze śniadanie. Chyba nie spodziewali się pana tak wcześnie, na dokładkę z gościem. Tu znów miałam stajennego, który czyścił konie i podśpiewywał pod nosem... Aha, tutaj!

- Werenie, po co panu tutaj ta... ta kobieta? - oburzała się nasza tajemnicza szlachcianka.

- Widzi pani, Ilano, trafiła się wprost bajeczna okazja - bronił się Szloss. Bierz ją, włóż swoją wspaniałą pisarską wyobraźnię! - Panna Niks jest jedną z najlepszych w swojej dziedzinie i zupełnym przypadkiem była wolna.

Przecież nie mogłem pozwolić, by taka sposobność przeszła mi koło nosa!

Trzeba ją przyjąć z możliwie większym szacunkiem i jestem pewien, że decyzja zapadnie na moją korzyść.

- Nie śmiem w to wątpić! - prychnęła Ilana. - Decyzja będzie na korzyść tego, kto jej więcej zapłaci! I jakim cudem tak fortunnie była wolna tuż przed świętami?

- Znaczy... - mruknął gospodarz.

- Ja panu powiem jakim! - gniewnie ciągnęła dama. - Ona chce sobie przyjemnie spędzić czas za pańskie pieniądze. Oczywiście, na co jeszcze może liczyć taka stara panna?! Pewnie nawet konie przed nią uciekają!

„Oj, przeginasz, moja miła - pomyślałam z uciechą. - Akurat konie mnie lubią...”

- Ilano, niech pani przestanie - oburzył się Szloss. - Panna Niks nie dała pani najmniejszego powodu, by tak o niej myśleć!

- Ach, przepraszam... - zmieszała się dama. - Werenie, po prostu biorę pana problemy za bardzo do serca, martwiłam się o pana! Bardzo proszę o wybaczenie...

- Ilano, co też pani...

Zerwałam kontakt i potrząsnęłam głową. A więc co my tu mamy...? Ta cała Ilana z pewnością była doskonałą aktorką. Gdyby na miejscu Szlossa znalazł się kto inny, niewątpliwie udałoby się jej go oszukać. Ale sam fakt zwrócenia się do mnie o pomoc świadczył o intelekcie naszego gospodarza.

A może o jego intuicji, nieistotne. Oczywiście mnie Ilana nie oszuka i właśnie dlatego tak przejęła się moim pojawieniem: a nuż przyjezdna urzędniczka zauważy coś nieodpowiedniego w jej zachowaniu?

Ostatecznie urzędnicy z natury są wyjątkowo przenikliwi i dociekliwi oraz w niewielkim stopniu skłonni do przyjmowania na wiarę romantycznych bzdur. No cóż, zobaczymy, jak sprawy się rozwiną...

Zawołano mnie na kolację, która, o dziwo, okazała się wcale znośna. Ilana zachowywała grobowe milczenie, wbijając wzrok w talerz i tylko co jakiś czas posyłając w kierunku Szlossa przepełnione uczuciem spojrzenia. Ja zachowywałam kamienny spokój, rozprawiałam się ze smażonym kurczakiem (miałam nadzieję, że neira Ten dostawała właśnie wysypki, widząc moje maniery, a raczej ich całkowity brak) i wypytywałam gospodarza o historię jego kłótni z sąsiadem, wgłębiając się w najdrobniejsze szczegóły. W końcu poczyniłam pełen namysłu komentarz, że muszę się jeszcze zastanowić i poznać opinię strony przeciwnej, ale najpewniej decyzja, która zapadnie, będzie na jego korzyść. Tym optymistycznym akcentem kolacja została zakończona; oznajmiłam, że udaję się do siebie, a po drodze znaczącym spojrzeniem dałam Szlossowi do zrozumienia, że chciałabym porozmawiać z nim na osobności.

Szczęśliwie gospodarz okazał się domyślny i natychmiast zaproponował, iż pokaże mi dom, żebym przypadkiem nie zabłądziła, a Ilana, całą sobą wyrażając pogardę, udała się do własnych komnat, co jak najbardziej mnie satysfakcjonowało.

Dom zbudowany został w sposób prosty i wygodny, nie zabłądziłoby w nim nawet pięcioletnie dziecko. Pozwoliłam zaprowadzić się do prawego skrzydła, gdzie najwyraźniej nikt nie mieszkał - było na to stanowczo za zimno.

- Mam nadzieję, że nikt nas tu nie podsłucha? - zauważyłam. Mogłam ręczyć za brak magicznych uszu, ale zawsze pozostawali zwykli służący.

- Zgadza się, nikt tu nie mieszka - odparł Szloss. - Przepalamy tylko raz na tydzień, żeby wilgoć nie weszła w ściany, szkoda marnować opał...

- Pewnie chce pan wiedzieć, co myślę? - spytałam. Gospodarz nie mógł znaleźć sobie miejsca z ciekawości.

- Póki co jest za wcześnie na jakiegokolwiek wnioski - ciągnęłam. - Na

początek chciałabym porozmawiać z tym młodym człowiekiem, Eryhem. Oraz ze służbą. Zanim będę miała ku temu okazję, nic panu nie powiem.

- Z Eryhem najlepiej będzie porozmawiać teraz - odparł Szloss. - On nie śpi do późna... A Ilana do niego nie zagląda o tej porze. Służba... Zapowiem im, żeby odpowiadali na wszystkie pani pytania.

- Doskonale. To proszę mnie zaprowadzić do Eryha. A potem zaraz iść do siebie, żeby nie wywoływać podejrzeń. Bo Ilanie może przecież przyjść chętka na odwiedzenie pana.

Szloss lekko poczerwieniał, co nasuwało wniosek, iż taka nocna wizyta już miała miejsce.

Ciekawe, czym się skończyła...?

- Proszę, odprowadzę panią - powiedział i ruszyłam za nim do drugiego skrzydła budynku.

Pod drzwiami pokoju Eryha Szloss poprosił, bym chwilę zaczekała, i poszedł uprzedzić młodzieńca, po czym zaprosił mnie do środka i wyparował. Wyjątkowo domyślny człowiek, nawet nie musiałam prosić go o zostawienie nas samych, co bardzo mnie ucieszyło.

Po wejściu do pokoju nie bez ciekawości rozejrzałam się dokoła. Wielkie okna -pewnie w dzień było tu bardzo jasno - regały z książkami, skomplikowana konstrukcja w rogu (okazała się być wymyślną podstawką, pozwalającą choremu na pisanie lub rysowanie), rysunki na ścianach...

Powietrze było świeże, niezatęchłe. Kompletnie nie czuło się w nim zapachu panującego zwykle w siedzibach osób przykutych do łóżka. Widać było, że Szloss rzeczywiście dbał o podopiecznego.

Odwróciłam się i napotkałam spojrzenie młodzieńca, na wpół leżącego na szerokim łóżku.

Gdybym nie wiedziała na pewno, że już od kilku lat był on pozbawiony możliwości samodzielnego poruszania się, nie wzięłabym go za kalekę. Jasne

i pełne inteligencji szare oczy na porażająco brzydkiej, ale sympatycznej chudej twarzy patrzyły z żywą ciekawością, a skóra nie była chorobliwie blada, jak to zwykle bywa z ludźmi stale zamkniętymi w czterech ścianach. Nie wiedziałam, ile ma lat, ale po chwilowym zastanowieniu doszłam do wniosku, że około trzydziestki. Wyglądał natomiast o wiele młodziej. Nie mogłam powstrzymać się przed określeniem stanu jego zdrowia. Niestety, Szloss miał rację - Eryh doznał zbyt poważnych obrażeń, choć magomedycy zrobili wszystko, co w ich mocy, a nawet trochę ponad to. Delikatne badanie wykazało, że młodzieniec powinien spędzić resztę życia kompletnie unieruchomiony, ale miał niesamowite szczęście.

- Pani Flossia Naren - odezwał się. - Wuj Weren mówił mi o pani.

- Ma pan rację. Ale w tej chwili jestem Flossi Niks i prosiłabym o używanie właśnie tego imienia - odparłam. Widać Szloss podzielił się z Eryhem swoimi planami.

- Rozumiem - skinął głową. - Niestety, nie przedstawiono nas sobie, zakładałam, że wuj Weren nie podał pani mojego nazwiska. Neir Eryh Dorzhe, do usług.

- Bardzo mi miło poznać. - Skinęłam uprzejmie głową i bez zaproszenia zajęłam fotel przy łóżku. - Pewnie domyśla się pan, o czym chciałam z nim porozmawiać, czyż nie?

- Zgadza się.

Chude ręce o delikatnych palcach malarza spokojnie leżały na kołdrze - moja wizyta widocznie go nie zaniepokoiła.

- Wuj Weren dzielił się ze mną swoimi podejrzeniami. Bo i z kim innym? Przecież nie ze służącymi. Tak więc wiem o całej sprawie.

- Przede wszystkim interesuje mnie pana zdanie o Ilanie Ten - powiedziałam.

- Moje zdanie? - Eryh zamyślił się, a jego brzydka twarz rozjaśniła się w

zadziwiająco przyjemnym uśmiechu. - Trudno jest wyrobić sobie zdanie o prawie całkiem nieznanym osobie, ale spodobała mi się. Nie dlatego, że jest taka piękna, chociaż to również... Widzi pani, Neira Ten jest jedną z niewielu osób, u których moje kalectwo nie wywołuje obrzydzenia. Pani również do nich należy. W odpowiedzi uśmiechnęłam się krzywo. Powiedzieć mu, że w swoim życiu widziałam dużo mniej przyjemne rzeczy niż sparaliżowany chłopak? Chybaby jednak nie zrozumiał...

- Zachowuje się wobec mnie tak, jakbym tylko lekko niedomagał - ciągnął Eryh. - Prawie tak samo jak wuj Weren. I często wpada do mnie na plotki. Rozumiem, iż to najpewniej dlatego, że się w tym domu po prostu nudzi, ale mimo to... Niezbyt często mam okazję, by porozmawiać z kimś nowym, więc cieszę się z każdej wizyty. Wuj Weren zagląda do mnie kilka razy dziennie, czyta na głos kawałki ze swojej najnowszej powieści, przekazuje wiadomości...

W tym momencie mogłam tylko westchnąć. Tacy ludzie jak Szloss są prawdziwą rzadkością.

Nie każdy zgodziłby się wziąć na siebie ciężar w postaci młodego kaleki, który może przeżyć jeszcze wiele lat. A do tego nie oddawać go wyłącznie pod opiekę służących, tylko traktować jak członka własnej rodziny.

- Neira Ten opowiada mi tyle różnych ciekawych rzeczy o życiu w stolicy - ciągnął Eryh. - A poza tym pozwoliła, żebym ją narysował. Chce pani spojrzeć?

Przytaknęłam. Portret mógł okazać się interesujący.

- Szkice są tam, na biurku - wskazał Eryh. Wstałam i podeszłam do szerokiego blatu, zavalonego przeróżnymi teczkami.

- Ta na górze, z niebieską okleiną - podpowiedział chłopak. Podałam mu teczkę i po chwili pokazał mi rysunek. - Tu jest...

Spojrzałam na szkic. Niewątpliwie przedstawiał Ilanę. Eryh faktycznie

był utalentowany, za pomocą zaledwie paru kresek udało mu się oddać jej dziką, niezwykłą urodę, twarz na portrecie była zaskakująco żywa. Czarująca, przepełniona życzliwością i współczuciem...

Ale mnie zaciekało bynajmniej nie podobieństwo.

- Niech pani nie myśli, że to moja wyobraźnia. - Eryh zauważył coś w wyrazie mojej twarzy.

- Tak rzadko mam okazję do rysowania nowych ludzi z natury, że staram się nic od siebie nie dodawać.

Ona naprawdę taka jest!

„Jeżeli ona taka jest, to jesteś genialnym portrecistą, chociaż sam nie masz o tym pojęcia” - pomyślałam.

Wiedziałam, że tak bywa, ale po raz pierwszy miałam okazję obejrzeć takie dzieło na własne oczy. Węgiel Eryha odtworzył piękną kobietę właśnie tak, jak widziały ją jego oczy, najpewniej nieco zamglone urodą. Ale ręka i to szczególne nienazwane „coś”, co mieszka w każdym artyście, nie pozwoliły mu zafałszować rzeczywistości i odwzorowały Ilanę Ten nawet zbyt dokładnie. Zgadza się, dama na portrecie była przepiękna, uśmiechała się, była wcieleniem łagodności. Ale wystarczyło przyjrzeć się dokładnie, by zauważyć, co naprawdę wyraża jej spojrzenie. A dawało się w nim wyczytać pieczołowicie ukrywaną pełną obrzydzenia żalność, która budzi się w większości ludzi, gdy patrzą na beznadziejnie okaleczonego człowieka. Wydawało mi się, że jak na razie Eryh sam jeszcze nie zrozumiał, co dokładnie narysował. Ale jeżeli miałabym mu wierzyć i faktycznie nie dodał nic od siebie, tworzyło to obraz nad wyraz intrygujący...

- Prawie wszystko, co o niej wiem, usłyszałem od wuja Werena, sama niezbyt chętnie o sobie opowiada - ciągnął młodzieniec. - Nie mogę dodać nic nowego... Może Ila... neira Ten po prostu nie chce opowiadać o okolicznościach, które spowodowały, że musi się ukrywać?

- To już inna kwestia - powiedziałam, uśmiechając się do siebie. Eryh konsekwentnie nazywał tę damę neirą Ten, tymczasem z jego warg cały czas uciekało czułe „Ilana”. Chyba ślicznotka jednak oczarowała malarza! - A jak wygląda sprawa dziwnych nocnych wydarzeń?

- Mówi pani o tych tak zwanych duchach? - upewnił się. - Nie wiem... Tutaj nic się nie działo.

Ale zauważyłem - kontynuował - że sądząc z opowieści wuja Werena i sług, wszystkie te wydarzenia dzieją się w miejscach, gdzie na pewno ktoś je zauważy. Czyli albo w kuchni, gdyż tam zawsze jest pełno ludzi, albo w salonie, kiedy wuj Weren i neira Ten akurat jedzą posiłek...

- To interesujące... - Zmrużyłam oczy. Hm... ciekawe, czy lekkie echo magii, unoszące się nad Ilaną, nie było przypadkiem przyczyną tych wszystkich tajemniczych wydarzeń? Nawet najśłabszy mag może zrzucić ze ściany obraz czy sprawić, by naczynia zaczęły skakać po stole. Ale mało prawdopodobne, by Ilana osobiście myszkowała w kuchni... Ciekawe, czy ma własnych służących?

Trzeba by zapytać. - Naprowadził mnie pan na pewną myśl. Będę musiała coś sprawdzić.

W sumie nie bardzo miałam o czym rozmawiać z Eryhem. Jego wiedza o tajemniczych wydarzeniach nie była szczególnie imponująca, a poza tym opowiedział mi już wszystko, co mógł. Ale z jakiegoś powodu nie miałam ochoty odejść. A zresztą...

- Proszę mi opowiedzieć o sobie - poprosiłam.

- O sobie? - zdziwił się. - A po co to pani?

- Próbuję zrozumieć pana Szlossa.

- Skoro tak... - Uśmiechnął się. - Tylko nie ma za wiele do opowiadania. Nasz majątek znajduje się w okolicy. Ojciec niemalże od dzieciństwa przyjaźnił się z wujem Werenem, tak że uważam go za krewnego. Gdy

zdarzył się wypadek, wuj bardzo mi pomógł. Poważnie się wtedy zastanawiałem nad samobójstwem... - Eryh westchnął. - A potem przyszło mi do głowy, że gdyby ten koń mnie nie zrzucił, ojciec nie zrezygnowałby z pomysłu, by uczynić ze mnie swoją kopię. Panno Niks, on nie był złym człowiekiem. Poza tym doskonale jeździł konno, tresował psy, polował, uprawiał fechtunek i strzelał z kuszy. Bardzo chciał, żebym był do niego podobny...

- A pan nie... - Pokiwałam głową.

- A ja nie - powtórzył Eryh jak echo. - Tylko nikt mnie nie pytał o zdanie. Ale do czego zmierzam... Gdyby nie ten koń, to na pewno stałoby się coś innego. Trafiałbym na polowaniu na dzika albo niedźwiedzia. I to dopiero by był koniec... - Uśmiechnął się krzywo. - A tak... przynajmniej mogę robić to, co lubię.

- Słyszałam, że pański ojciec nie żyje? - spytałam delikatnie. - Ma pan jeszcze jakichś krewnych, zgadza się?

- Chodzi pani o to, że komuś może być na rękę właśnie moja śmierć? - podchwycił malarz, czym trochę mnie zadziwił. Chociaż. Zerknęłam na półki z książkami. Po przeczytaniu takiej ilości powieści awanturniczych właściwie nie jest trudno wpaść na podobny pomysł. - Nie, panno Naren, o mnie im na pewno nie chodzi. Tak, byłem jedynym spadkobiercą ojca, ale dobrowolnie zrezygnowałem z dziedziczenia na korzyść rodziny. Przecież mnie to wszystko absolutnie na nic...

- Nachmurzył się. - Tamci krewni proponowali wujowi, że będą przynajmniej płacić za moje utrzymanie, ale on się obraził i kazał pogonić ich z domu. Powiedział, że sam sobie poradzi...

- Czyli jeśli o pana chodzi, to wszystko jest jasne - podsumowałam. - Wróćmy do pana Szlossa.

I nie tylko do niego. Co może mi pan powiedzieć o jego żonie?

- O Malenie? - Eryh drgnął mimowolnie. - To znaczy...

- Pan Szloss mówił mi, że był pan w niej zakochany - zauważyłam.

- A co to ma do rzeczy?!

- Pozwoli pan, że nie będę odpowiadać na jego pytanie - odparłam sucho.

-Przypominam, że jestem niezależnym magiem-justycjariuszem i nie mam obowiązku tłumaczyć się z moich działań przed nikim, z wyjątkiem klienta i rady Kolegium Magów.

- Przepraszam... - wykrztusił młodzieniec, wyraźnie przestraszony gwałtowną zmianą tonu.

Trzeba przyznać, że był na tyle inteligentny, by się nie obrazić. - Po prostu się nie spodziewałem... Ale tak, to nie jest żadna tajemnica. Byłem w Malenie zakochany. Wszyscy ją kochali. Nie można jej było nie kochać...

- I nie liczył pan na wzajemność?

- No co też pani mówi... - Roześmiał się nerwowo. - W końcu byłem od niej dwa razy młodszy, a poza tym kochała wuja Werena. Nie, na nic nie liczyłem. Po prostu cieszyłem się z tego, że istniała.

Malena była naszym słońcem... A potem - przygryzł dolną wargę - potem to słońce zaszło. Panno Niks, niech pani weźmie tamtą teczkę, z szarymi wstęgami. Proszę sobie obejrzeć, a ja będę opowiadał.

Przeglądałam szkice i słuchałam Eryha. Na rysunkach widniała Malena Szloss. Malena, Malena, Malena... Sama, z dziećmi, z mężem, wesoła, zamyślona, zirytowana, ale nigdy smutna. Zrozumiałam, że ta kobieta nad podziw kochała życie i miała mocny charakter. Pewnie ona i Szloss tworzyli wspaniałą parę...

Eryh cicho opowiadał wszystko, co pamiętał, a było tego niemało. Jego historia tylko dodała mi pewności w kwestii poprawności moich wywodów. Ale bardziej niż nieżyjąca Malena Szloss interesował mnie jej małżonek. Bo to aż dziw spotkać takich ludzi, i to od razu dwoje... Szloss faktycznie

uwielbiał żonę, a po pogrzebie nie zapomniał o niej. Pamiętał, kochał, smucił się, ale nie pozwolił, by jasny smutek przerodził się w czarną rozpacz, która zatrzymała życie jego i dzieci. Zgadza się, wszystko w domu pozostało tak, jak było za życia Maleny, ale nie zmienił się on w zakurzony grobowiec, który miał jedynie przechowywać wspomnienia o zmarłej właścicielce. Owszem, Szloss nie ożenił się ponownie, by nie zdradzać pamięci żony, ale nie darzył kobiet niechęcią. Za życia Malena Szloss była jasną osobą i po śmierci również nią pozostała. Wydawało się oczywiste, czemu Szloss zaopiekował się Eryhem - nie tylko synem starego przyjaciela, ale i człowiekiem, który znał, pamiętał i kochał Malenę. Pewnie czuł się bardzo samotny w dużym starym domu, szczególnie kiedy dorosłe dzieci już rozjechały się po świecie. A Eryh miał zostać z nim na zawsze...

- Chyba teraz rozumiem, czemu pan Szloss nie do końca ufa Ilanie - zauważyłam, gdy Eryh przerwał w celu zaczerpnięcia oddechu. Mój klient przyzwyczajony był do szczerości w słowach i postępkach, więc gra Ilany, mimo iż naprawdę mistrzowska, nie mogła nie wzbudzić jego podejrzeń. - Ale nadal nie pojmuję, do czego jej potrzebny cały ten spektakl.

- Również długo się nad tym zastanawiałem, panno Naren - przyznał Eryh. - Może chce, by wuj Weren się z nią ożenił? Ale po co? On nie ma żadnych niezmiernych skarbów, dla których warto by tak się starać. Poza tym ma dziedziców, pewnie pani mówił? Syn Maren, córka Alissa, wnuki...

- Zmarszczył brwi. - Kiedy te wszystkie dziwne wydarzenia się zaczęły, to przyznam, że zastanawiałem się nawet, czy ktoś nie ma zamiaru pozbyć się wuja Werena z domu. Tylko w jakim celu?!

- I właśnie to interesuje mnie najbardziej - powiedziałam cicho, wstając i odkładając na miejsce teczkę z rysunkami. Dlaczego? Po co? Gdy tylko uda mi się odpowiedzieć na te pytania, sprawa zostanie rozwiązana. - Dziękuję. Wiele mi pan objaśnił. Dobranoc.

- Dobranoc - odrzekł Eryh, uprzejmie skinąwszy głową.



W nocy nie mogłam spać. Zresztą był to standardowy objaw tego, że w głowie poniewierało mi się zbyt wiele nieuporządkowanych informacji. Żeby usnąć, musiałam najpierw jakoś poukładać sobie kolejne elementy, ale tym razem szło to marnie. Wszystkie posiadane przeze mnie dane o Werenie Szlossie tworzyły obraz spójny i logiczny. Natomiast Ilana Ten i tajemnicze wydarzenia, które wyglądały, jakby ich celem było pozbycie się mojego klienta z domu, nijak nie chciały dopasować się do już powstałej układanki. Albo istotnie Ilana nie miała z nimi kompletnie nic wspólnego, w co nie bardzo chciało mi się wierzyć, albo brakowało jakichś szczegółów, co było dużo bardziej prawdopodobne. Potrzebny był motyw... Znużona przewijającymi się po głowie mniej lub bardziej fantastycznymi teoriami, nałożyłam na siebie proste zakłęcie nasenne i w końcu zasnęłam...



Kolejne dwa dni nie dały absolutnie żadnych wyników. Chodziłam po majątku i atakowałam pytaniami każdą napotkaną osobę. Słudzy zostali przez Szlossa uprzedzeni i udzielali mi wszelkich możliwych informacji. Niezbyt chętnie, ale szczerze - po tylu latach pracy raczej potrafiłam odróżnić prawdę od kłamstwa. Jednak nie dowiedziałam się niczego nowego. Wszyscy bez wyjątku żywili ciepłe uczucia do swojego pana, miło wspominali jego żonę i dzieci oraz nie przepadali za Ilaną.

Swoim wielkopańskim zachowaniem damulce udało się w rekordowo

krótkim czasie zrazić do siebie całutką służbę. Moim zdaniem było to wyjątkowo nieprzemyślane z jej strony, służący wcale nie są drobiazgiem, z którym można się nie liczyć. Szczególnie jeżeli pomiędzy nimi nie ma żadnych konfliktów, a wszyscy razem gotowi są zgodnie wystąpić w obronie ukochanego pana.

Moje przypuszczenia okazały się słuszne - Ilana miała służącego, jednego, jedyne, co było bardziej niż dziwne dla neiry, za którą się podawała. Kto to widział, żeby dama podróżowała nawet bez pokojówki! Nie mówię już o kilku lokajach i woźnicy, bo przecież Ilana przybyła w karocy. A jej sługa bynajmniej nie wyglądał na wystarczająco wszechstronnego, by zarówno oporządzić konie, jak i zasznurować gorset swojej pani. Niestety, miałam okazję obejrzeć go sobie wyłącznie z daleka, ponieważ starannie mnie unikał, co tylko budziło dodatkowe podejrzenia. Szczerze mówiąc, najbardziej wyglądał mi na wiernego ochroniarza, co nawet pasowało do podanej przez Ilanę wersji o tym, że jest jakoby szlachcianką, która na skutek nieszczęśliwych wydarzeń musiała przed kimś uciekać i ukrywać się na prowincji. Ale w żaden sposób nie tłumaczyło niechęci do rozmowy ze mną.

Co prawda człowiek ten nie rozmawiał również z miejscowymi i zdecydowanie nie przysparzało mu to sympatii.

Jeśli zaś chodzi o tajemnicze wydarzenia, od których wszystko się ponoć zaczęło, to z chwilą mojego przybycia do majątku psotne duchy wyraźnie się uspokoiły. Nie miałam okazji obejrzeć sobie na własne oczy ani jednej manifestacji sił nadprzyrodzonych. Co prawda spokój zapanował wyłącznie w pańskich pokojach - w kuchni nadal nie było dnia bez niespodzianek. Jedną z kucharek o mały włos oparzyłby wrzątek z kotła, który nagle i bez uprzedzenia się przewrócił. Pomywaczce udało się wytłuc połowę zastawy obiadowej, mimo że nigdy przedtem nie upuściła nawet spodka, za co była szczególnie ceniona. Na dodatek kilka dań okazało się kompletnie

niejadalnych z powodu chaotycznego melanzu przypraw, który tajemniczo dostał się do garnków. Pewnego razu zajrzałam do kuchni i dokładnie zbadalam pomieszczenie, co zaowocowało wykryciem śladów delikatnego działania magii. Ale ponieważ znacznie różniły się od echa utrzymującego się dookoła Ilany, doszłam do wniosku, że jej towarzysz bynajmniej nie był sługą, tylko partnerem.

Czułam gorącą chęć, żeby złapać ślicznotkę za delikatne gardziółko i wycisnąć z niej prawdę, ale niestety, chwilowo nie miałam ku temu najmniejszego powodu. Z jeszcze większą przyjemnością porozmawiałabym sobie z jej nieuchwytnym służącym, bo tu mogłabym działać bez najmniejszych ceregieli. Ale nie miałam zamiaru ujawniać się przedwcześnie. Gdybym ich za bardzo przestraszyła, mogliby uciec, ale grożące Szlossowi niebezpieczeństwo wcale nie musiało zniknąć razem z nimi. A w tym momencie nie miałam już prawie żadnych wątpliwości odnośnie tego, że niebezpieczeństwo to było jak najbardziej realne. Obeszłam cały dom i okolice, ale nie znalazłam nic a nic, co mogłoby skusić przestępców.

Chociaż mogło być i tak, że po prostu szukałam w nieodpowiednich miejscach i nie tego co trzeba. Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że nawet najbardziej drobiazgowa i dociekliwa urzędniczka sądowa nie mogła siedzieć w „Jabłoniach” w nieskończoność. Już i tak przeważającą część dnia spędzałam na wędrówkach po okolicy i udawaniu, że po raz kolejny pojechałam na spotkanie z sąsiadem Szlossa, który był drugą stroną sporu o jakąś durną łąkę. Jeszcze trochę i czekał mnie powrót do miasta z niczym. Czy muszę dodawać, że taka perspektywa mnie nie zachwycała?

Intuicja podpowiadała, że Ilana również nie była szczególnie zainteresowana przeciąganiem wydarzeń. Ta szanowna dama w miarę upływu czasu robiła się coraz bardziej nerwowa, w rozmowach ze mną wiele trudu kosztowało ją, by nie przekroczyć tej granicy, za którą szlachcianki

zapominają o swoich wspaniałych manierach i szarpią przeciwniczki za włosy jak zwykle kramarki. Szlossowi urządzała prawdziwe awantury domowe. Stanowczo przeszkadzałam w wykonaniu jej planu, jakikolwiek by był. Czyli mogłam spokojnie czekać, aż Ilana dostatecznie się nakręci i popełni jakiś kardynalny błąd. Ale mogłam też spróbować nieco przyspieszyć bieg wydarzeń. Druga opcja podobała mi się znacznie bardziej, więc czekałam na odpowiedni moment - jak się okazało, nastąpił wkrótce.

Pozostawało tylko właściwie z niego skorzystać.



Pewnego pięknego dnia drogą obok majątku Szlossa przejeżdżał samotny wędrowiec, którego bardzo fortunnie spotkałam podczas przejażdżki. Młody człowiek najzwyczajniej w świecie uciekał przed wściekłym mężem, znanym z wyjątkowo rozłożystego poroża, i bardzo żałował, że nie zdążył zabrać ze sobą ani pieniędzy, ani nawet ubrania na zmianę. Uznałam, że Szloss nie zbiednieje, udzieliwszy tak aktywnemu młodzieńcowi schronienia na noc, podarowałam gorącemu kochankowi trochę pieniędzy i dałam mu niezbyt skomplikowane zadanie. Oczywiście o wszystkim uprzedziłam Szlossa, skorzystawszy w tym celu z pomocy Eryha - starałam się unikać spotkań z gospodarzem sam na sam, żeby nie wzbudzać w Ilanie dodatkowych podejrzeń. (Muszę przyznać, że cała ta zabawa w kotka i myszkę zdążyła mnie już porządnie znudzić. Wolę dochodzenia w sprawach przestępstw już dokonanych, a nie szukanie nie wiadomo czego nie wiadomo gdzie. Lecz tu wielkiego wyboru nie miałam).

Następnego ranka młody człowiek, już znacznie weselszy i trochę bogatszy, opuścił „Jabłonie”, a w całym domu zaczęła się krzątanina. Pokoje w prawym skrzydle były wietrzone i dogrzewane, wytrząsano pierzyny,

wyciągano świeżą pościel, myto podłogi i przecierano okna. Na uzasadnione pytanie Ilany o powody całego zamieszania Szloss z rozjaśnioną twarzą pokazał jej list, napisany delikatnym kobiecym pismem (strasznie musiałam się nad nim napracować, zwykle bazgrzę jak kura pazurem), po czym zdradził najświeższe wiadomości. Otóż mieszkająca w mieście Alissa, jego córka, przekazała ojcu posłańcem wiadomość. Ostatnimi czasy nie najlepiej się czuła i medycy zalecili jej dla poprawienia zdrowia całkowity spokój oraz świeże powietrze, a w rodzinnym domu jednego i drugiego jest pod dostatkiem! Tak więc natychmiast po zakończeniu świąt Alissa z dwójką swoich dzieci miała przybyć do rodzinnego majątku i zamieszkać w nim na czas nieokreślony. Oczywiście jej mąż zamierzał odwiedzać ukochaną żonę co najmniej raz na tydzień. Szloss lśnił szczerą radością (w tym krągłym człowieczku drzemał nadprzeciętny talent aktorski), co nie było szczególnie dziwne - bardzo kochał córkę. Ilana po usłyszeniu nowiny zmieniła się na twarzy. Co tam przyjezdna urzędniczka, która nie dziś, to jutro spakuje się i odjedzie w siną dal... Rodzona córka Szlossa, która zamieszka na dłużej, to dopiero był problem. Miałam nadzieję, że nie pomyliłam się w szacunkach i nasza szanowna awanturniczka zacznie działać natychmiast.



Czy mówiłam już, że przywykłam wierzyć swojej intuicji? Tym razem również mnie nie zawiodła.

Tego wieczoru główna kucharka naprawdę się postarała, pewnie z radości. Taka kolacja byłaby ozdobą królewskiego stołu, a jako posiłek skromnego ziemianina prezentowała się nadzwyczaj okazale. Szloss wydawał się nie zauważać łakoci pod swoim nosem i nie zamykał ust ani na chwilę, opowiadając o swojej ukochanej córce Alissie oraz wspaniałych wnukach,

rozrabiakach i psotnikach, tak bardzo podobnych do wujka Marena, który uciekł na morze. Ilana dławiła się delikatną pieczenia, a ja cierpliwie czekałam na wynik całego przedstawienia.

Gdy zza drzwi dobiegł nas rumor, zrozumiałam, że się nie przeliczyłam.

- Co to?! - Oczy Ilany zaokrągliły się ze strachu. Szloss wyszedł do holu. Oczywiście poszłam jego śladem, a po chwili dołączyła również nasza piękna dama.

Okazało się, że źródłem hałasu był portret Maleny Szloss, który runął na podłogę. Na naszego gospodarza żal było patrzeć. Pocieszał go jedynie fakt, że samo płótno nie ucierpiało, a tylko masywna rama wykrzywiła się i roztrzaskała. Poleciał, żeby obraz zanesiono do jego sypialni i z samego rana wezwano stolarza do naprawienia ramy, po czym wróciliśmy do stołu.

- A już myślałem, że te dziwne wydarzenia się zakończyły - powiedział Szloss ze smutkiem. - I za co taka kara?

- Istotnie, nie wygląda pan na grzesznika - przytaknęła Ilana i z kompletnie nieznanego powodu zdecydowała, że koniecznie muszę potwierdzić jej opinię. - Czyż nie, panno Niks?

- Nie mogę odpowiedzieć na tak postawione pytanie - odparłam, na chwilę przerywając przeżuwanie. Tutejsza kucharka była jednak wspaniała, nawet moja Rima nie mogła się z nią równać.

- Zdarzało mi się spotkać niereformowalnych przestępców o porażająco niewinnych obliczach, jak również ludzi podobnych do zwierząt, ale z duszą delikatną i czystą... Tak więc, neuro Ten, muszę panią poinformować, że próby zgadnięcia, kto jest do kogo podobny są cokolwiek niewdzięcznym zajęciem.

Ilana uśmiechnęła się z przymusem i wróciła do grzebania widelcem w talerzu. Szloss spróbował zmienić temat i nie znalazł nic lepszego niż:

- Panno Niks, proszę spróbować tego!

- A co to jest? - spytałam.

- O! - Szloss rozpląnął się w zadowolonym uśmiechu. - To ulubione danie mojej żony. Zdarzało się, że Malena sama je robiła i ucziwie powiem, że nasza obecna kucharka się do niej nie umywa. A robi się je wyjątkowo łatwo...

Niestety, gospodarz nie miał szans opowiedzieć, jak dokładnie przygotowuje się tę całkiem apetycznie wyglądającą potrawę. Nieoczekiwanie okno z hukem otwarło się na oścież, po czym podmuch lodowatego wiatru - na dworze akurat zaczynała się zamieć - zgasił wszystkie świece.

Jedynym źródłem światła zostały lekko tłące się węgle w kominku oraz niezbyt jasne światło księżyca, ledwo widocznego zza postrzępionych chmur.

- Ccco to?! - krzyknęła Ilana głosem kobiety, która zamierza stracić przytomność, gdy tylko poczuje, że kawaler gotów jest ją pochwycić w ramiona. Nigdy nie widziałam, żeby zemdlona szlachcianka padła na podłogę. Zwykle damy te albo z premedytacją osuwają się na kozetkę, próbując przy okazji nie wymiać sukni, albo zawisają na rękach odpowiedniego mężczyzny, któremu akurat zdarzy się przechodzić obok.

- Zaraz zamknę. To pewnie zasuwka... - zaczął Szloss, ale nagle w prostokącie otwartego okna pojawiła się zielonkawa, półprzezroczysta figura. Dookoła unosił się łatwo wyczuwalny (przynajmniej dla mnie) powiew magii. Zdecydowanie sprawczynią zjawiska nie była Ilana, która siedziała tuż obok i zauważyłabym jakiegokolwiek aktywne działania z jej strony. Czyli jednak sługa. Miło wiedzieć, że się nie pomyliłam!

- Werenie... - jęknął kobiecy głos, a jasna figura zaczęła sunąć w naszym kierunku.

- Kto to?! - pisnęła Ilana melodyjnym głosem. Powiedziałabym, że jego ton był nieco zbyt pewny jak na prawdziwie przestraszoną kobietę.

- Werenie... - nadal szeptała szmaragdowa zjawa. W tym momencie węgle w kominie, prawdopodobnie rozdmuchane przez wiejący przez okno wiatr, nagle zaświeciły jaśniej i mogliśmy obejrzeć sobie jej twarz.

Weren Szloss złapał się za serce, a Ilana zaczęła osuwać na krzesło, nie tracąc jednak przytomności. W naszym kierunku szła Malena Szloss, jak gdyby żywcem zdjęta z portretu.

- Malena...? - szepnął porażony do głębi duszy gospodarz. - To ty?! Ale jak...?

- Werenie, czemu mnie niepokoisz? - ze smutkiem szepnęła kobieta, a jej półprzezroczysta figura zachwiała się w kolejnym porywie wiatru. Spaprana robota, prawdziwy duch nie powinien reagować na ruchy powietrza i nawet minimalnie wykwalifikowany mag to wie! Ale za to iluzja reaguje jak najbardziej. - Po co mnie wołasz?

- Wołam? - Szloss wyraźnie się zdziwił i zapomniał, że rozmawia z duchem. - Jak to? O co ci chodzi?!

- Nie pozwalasz mi spocząć w spokoju... - szeptała Malena, przysuwając się coraz bliżej. Po nogach ciągnęło mi chłodem i ktoś naiwny mógłby łatwo uwierzyć, że to działanie sił nadprzyrodzonych. - Codziennie, co godzinę, ty, Eryh, wszyscy w tym domu wspominają mnie, niepokoją, wołają... Werenie, ten dom jest moim więzieniem!

- Nie rozumiem... - Szloss wyglądał żałośnie.

- Tutaj wszystko jest jak za mojego życia... - Duch Maleny zatoczył ręką, wskazując pokój.

- Ale ja nie żyję! Uwolnij mnie!

- Jak...? - szepnął Szloss drżącymi wargami. Biedak wyraźnie gotów był uwierzyć w te brednie...

- Uwolnij mnie... - Hm, czyżby coś się zacięło? Rysy Maleny co i rusz wykrzywiały się, zmieniając sympatyczną kobietę w koszmarne potwora.

Wspólnik Ilany był naprawdę kiepski w tworzeniu iluzji. - Zostaw mnie w spokoju...

- Ale jak? - Szloss już chyba zdążył całkiem ogłupieć.

- Wszystko... wszystko... wszystko mnie tutaj trzyma... - marudził duch. - Portrety... rysunki Eryha... dom... Ogień, ogień wszystko oczyści!

- Ogień? - Mój klient na chwilę doszedł do siebie.

- Spal wszystko, spal, wypuść mnie na wolność! - błagał duch o twarzy Maleny. Ech, i to mnie dziadek nazywał rzemieślniczką oraz dyletantką! Przecież Ilana miała tyle okazji, by lepiej wypytać Eryha, ale na to nie wpadła. Duch ubrany był dokładnie tak, jak Malena na portrecie, a młodzieniec opowiadał mi, że nigdy nie miała ani takiej dworskiej sukni, ani klejnotów - po prostu je wymyślił.

Dwójka spiskowców nie mogła jednak o tym wiedzieć. Co prawda Szloss był w takim szoku, że nie zauważył żadnych niezgodności.

- Spalić dom? - powiedział z bezbrzeżnym zdumieniem. - Ale... co z dziećmi? To przecież dla nich...

- Proszę poczekać! - Ilana ruszyła do walki, wyraźnie widząc, że gospodarz się waha. Z tym „wszystko spal” faktycznie przesadzili. - Proszę poczekać, ale... czy koniecznie trzeba wszystko niszczyć? Może tylko portrety...

- Dom... dom... - jęczał duch.

- A jeśli... jeśli odkupię majątek od pana Szlossa? - Ilana wykazała się nadprzeciętną domyślnością. Muszę przyznać, że naprawdę nieźle kombinowała jak na damę w stanie na wpół zemdlonym. - Wymienię wszystkie sprzęty, do ostatniego stołka! Czy to pomoże?

- Nie wiem... nie wiem... - wzdychał duch, powoli rozpluwając się w powietrzu. - Weren, uwolnij mnie... W imię naszej miłości, uwolnij...

Ilana chlipnęła przez ściśnięte gardło, Szloss jęknął głucho i na tej

tragicznej nucie duch w końcu zniknął. Wiatr namiótł już niewielką zaspę pod oknem. Zapanowała martwa cisza, którą przerwałam głośnymi oklaskami. Co prawda nie zapomniałam o środkach ostrożności, bo a nuż ci cokolwiek parszywi aktorzy jednak mieli w rękawie jakąś niespodziankę.

- Panno Niks? - Szloss powoli dochodził do siebie. - Co...

- Pozwoli pan...? Zimno tu - powiedziałam, wstając. Wyminęłam skamieniałą Ilanę i dokładnie zatrzęsnęłam okno. W ramach dodatkowej premii udało mi się złapać jej sługę, który nawet nie próbował się ukrywać, pewny, że nikt nie jest świadom jego obecności. Teraz czekała go chwila na mrozie w objęciach mojego zaklęcia ścigającego. Umrzeć od tego nie powinien, ale na pewno będzie miał okazję doświadczyć całego bukietu nieprzyjemnych odczuć. Zajmę się nim potem.

Wróciłam do stołu, bez szczególnego pośpiechu zapaliłam świece i usiadłam na swoim miejscu.

- To teraz możemy sobie porozmawiać.

Szloss poprawił się na krześle i otarł czoło drżącą ręką. Ilana prezentowała mi uśmiech porcelanowej lalki.

- Czyli, neiro Ten, jest pani gotowa, by wykupić majątek neira Szlossa - podsumowałam. - Mam rozumieć, że za pół ceny?

- Ależ skąd! - zaprotestowała. - Ja... teraz mam pewne problemy, ale gdy tylko je rozwiążę, a nastąpi to lada moment, zapłacę za posiadłość pełną cenę!

- Jeżeli neir Szloss zgodzi się ją sprzedać - zauważyłam.

- Ale przecież pani słyszała...

- O tak! - Uśmiechnęłam się półgębkiem. - Czego to ja nie słyszałam... Neir Szloss, wszystko z panem w porządku? Nie najlepiej pan wygląda.

- Tak, w porządku... - odparł Szloss i nalał sobie wina. - W moim wieku takie przeżycia są jednak trochę za mocne. Malena... I kto by pomyślał...

- Werenie, ale chyba nie zamierza pan naprawdę spalić domu? - Ilana dobrała moment idealnie.

- To naprawdę nie ma sensu! Najpierw trzeba wypróbować inne metody.

- Co? Oczywiście, że nie! Co to za bzdura - spalić dom! Malenie by nigdy nie przyszło do głowy coś takiego. Zawsze marzyła, że będą w nim mieszkać nasze wnuki i prawnuki!

Ilana zauważalnie zmieniła się na twarzy, a ja ledwo powstrzymałam uśmiech. Szanowni intryganci po prostu źle trafili, Szloss bynajmniej nie był takim mazgajem, jakim się wydawał na pierwszy rzut oka. Ale czas najwyższy, żebym ja również coś powiedziała...

- No cóż, neir Szloss, wydaje mi się, że ma pan już wszystkie dowody na to, że źródłem tajemniczych zdarzeń w pana domu jest ta oto miła dama i jej sługa - powiedziałam i z przyjemnością zapaliłam fajkę. Ilana popatrzyła na mnie z nieudawanym przerażeniem i nawet nie wiem, co je wywołało, moja fajka (bo przedtem nie miała okazji mnie z nią zobaczyć) czy słowa. - Potem panu zademonstruję drugiego ptaszka, jest na dworze. A jeśli pan chce, to mogę opowiedzieć moją wersję wydarzeń.

- Oczywiście, panno Niks. - Szloss nieco odzyskał humor.

- Tak jak przewidywałam na początku, przestępcy koniecznie potrzebują do czegoś pańskiego majątku zaczęłam. - Nie wiem, co prawda, kto jest szefem tego duetu, ale z jakiegoś powodu wydaje mi się, że „sługa”. Chociaż zaangażowany w to może też być ktoś jeszcze. Tak czy inaczej, tutaj mamy tylko dwójkę, więc to o nich będziemy rozmawiać. -Wygodniej ulokowałam się na krześle i kontynuowałam: - Cała operacja została nieźle przemyślana i cisną mi się na usta takie słowa jak „bezczelna” czy „oryginalna”. Pomysłodawcy naprawdę nieźle się przygotowali, przeprowadzili wywiad, i to na tyle niezły, by odkryć, że jest pan pisarzem. Wyraźnie liczyli na to, że w związku z tym jest pan nieprzeciętnie wrażliwy i ma bujną wyobraźnię,

więc urządzili swoje pojawienie się w pańskim domu wyjątkowo romantycznie: piękna dama, uciekająca przed kimś albo przed czymś, prosi o schronienie. Będąc człowiekiem honorowym, nie mógł pan odmówić. - Szloss pokiwał głową.

- Ponadto, żeby już na pewno się pan zaciekawił, dobrali aktorkę do głównej roli tak, by możliwie najbardziej przypominała pańską bohaterkę. Nie wiem, czy szukali celowo, czy po prostu tak się złożyło. Swoją drogą - zwróciłam się do Ilany - wydaje mi się, że włosy ma pani farbowane.

Zagadnięta zgrzytnęła zębami, ale milczała. A ja uśmiechnęłam się z zadowoleniem i ciągnęłam dalej:

- I dokładnie tak samo, w oparciu o pańską wrażliwość, zaplanowali również pozostałą część operacji. Duch, który jakoby zagnieżdżył się w domu, powodując swoimi drobnymi psotami zauważalne niewygody, miał stworzyć odpowiednią atmosferę, wytrącić pana z równowagi i przygotować do sceny finałowej, którą właśnie mieliśmy przyjemność podziwiać. - Skrzywiłam wargi.

- Otóż objawia się panu duch żony i z nieznanego powodu nalega, by pozbył się pan domu. W dowolny sposób, może spalił do fundamentów albo sprzedał tej tu czarującej damie, podejrzewam, że zdołałaby pana do tego namówić. Niestety - ponownie odwróciłam się do Ilany - nieco się przeliczyliście. Gołym okiem widać, że nigdy nie mieliście styczności z prawdziwymi duchami. Zresztą zwykły człowiek pewnie nawet by się na waszą sztukę nabrał. Przecież nie mogliście wiedzieć, że pan Szloss okaże się człowiekiem nie tylko wrażliwym, ale i praktycznym, w związku z czym zwróci się do zawodowca w celu zbadania przyczyny tych zagadkowych wydarzeń.

- A poza tym ten duch wcale nie był podobny do Maleny - wtrącił Szloss.
- To znaczy, najpierw prawie uwierzyłem, ale potem... Panno Niks, przecież

ludzie po śmierci nie powinni się zmieniać, prawda? A ta... hm... istota mówiła zupełnie inaczej niż Malena.

- Nieco się pan myli - zauważyłam delikatnie. - Człowiek i jego duch to dwa zupełnie odrębne byty, ale nie będziemy się teraz wdawać w nudne szczegóły. Powiem tylko, że duch człowieka, trzymany na tym świecie przez zbyt jaskrawe wspomnienia bliskich osób, to materiał na powieść, ale nic ponad to.

W tym miejscu mogłabym wygłosić przydługi wykład na temat „Zjawy, duchy oraz niespokojne dusze: symptomy, zwyczaje i metody walki z nimi”, ale uznałam, że nie będę zamęczać słuchaczy. W końcu naprawdę mało kto ryzykuje wzywaniem duchów osób nieżyjących. Ba, udaje się to jeszcze mniejszej liczbie osób, a nawet oni nie mogą być do końca przekonani, że naprawdę przywołali ducha osoby nieżyjącej, a nie coś, co tylko przyjęło postać tejże osoby. Ogólnie to dosyć śliski temat. Mogę tylko powiedzieć, że obecność w domu prawdziwej zjawy, ducha czy czegoś w tym stylu jest oczywiste dla doświadczonego maga, a w tym majątku nie było absolutnie żadnych tego oznak. Duch Maleny był wyłącznie iluzją i byłam gotowa podpisać się pod tym stwierdzeniem obiema rękami.

- Tak więc - doprowadziłam wątek do końca - doszłam do wniosku, że ktoś jest wyjątkowo zainteresowany kupnem „Jabłoni”, ale z jakiegoś powodu wybrał wyjątkowo skomplikowaną drogę do celu. Moje przekonanie jeszcze wzmocniło się na wieść, że sąsiad, z którym prowadzi pan spór, otrzymał bardzo kuszącą propozycję zakupu jego ziem. Padła z ust człowieka podejrzenie podobnego do sługi panny Ten.

Sprawa wypłynęła w rozmowie z owym sąsiadem. Skoro już miałam grać jakąś rolę, chociażby i urzędniczki sądowej, to równie dobrze mogłam podejść do sprawy z całą starannością.

- Póki co się namyśla, ale wydaje mi się, że odmówi. Jak zrozumiałam,

zajmuje się hodowlą kłaczy rozplodowych, więc te grunty są mu potrzebne. Wydaje mi się, że pan by się nie zastanawiał nawet chwili.

- Oczywiście, że nie - w głosie Szlossa brzmiało zdziwienie. - Po co miałbym sprzedawać „Jabłonie”?

- No właśnie - westchnęłam. - I dlatego też spróbowali podejść pana od innej strony.

Podejrzewam, że jeżeli wypytamy pana sąsiadów, okaże się, że propozycję kupna ziem dostał niejeden. Jedyna rzecz, o której póki co nie mogę wypowiedzieć się z całkowitym przekonaniem, to przyczyny polowania na te tereny. Obstawiam, że szukana rzecz najpewniej skrywa się pod ziemią, ponieważ tutejsze okolice na pierwszy rzut oka nie odznaczają się kompletnie niczym ani z militarnego, ani z handlowego punktu widzenia.

Nieoczekiwanie Ilana wybuchła śmiechem. Śmiała się długo, prawie do łez. Czekałam cierpliwie, aż się uspokoi, ale w pewnym momencie śmiech przeszedł w łkania i groził histerią.

Uznałam, że czas się wtrącić, wzięłam ze stołu pucharek z wodą i bez żadnych ceregieli wylałam ją damie na głowę. Doskonały środek na uspokojenie, prawie stuprocentowa skuteczność.

- Pani... och! - Wytarła się rękawem. - Sądowa psinka nie złapała najciekawszego tropu!

Jeżeli miała zamiar mnie obrazić, to porównanie z psem było strzałem mocno chybionym.

Bardzo szanuję psy, a szczególnie moich, jeśli można się tak wyrazić, kolegów po fachu: królewskich tropicieli, silne i mądre zwierzęta. Jeżeli któremuś z nich udaje się zwęszyć trop, to rozproszenie go jest bardzo, ale to bardzo trudne. A jeżeli złapie przestępcę, to ten praktycznie nie ma szans na ucieczkę.

- A to już drobiazg. - Uśmiechnęłam się miło. - Wyraźnie widzę samo

przestępstwo, a o jego powodach może pani opowiadać w sądzie. Zresztą teraz też pani może, jestem pewna, że neir Szloss jest bardzo ciekaw.

Zapytany skinął głową, sprawa faktycznie go interesowała. A Ilana w widoczny sposób miała ochotę się wywnętrzyć. Świeżo złapani przestępcy czasem mają takie objawy.

- Tutaj... - Ilana wskazała palcem podłogę - kryje się prawdziwa żyła złota. Dalii, mój partner, jest niezłym naukowcem, chociaż mag z niego kompletnie do kitu. Wyliczył, że pod wszystkimi tymi ziemiami powinna zalegać ruda żelaza, rozumiecie? Zabrał mnie tu, żebym sprawdziła, i okazało się, że to prawda!

Czyli to o to chodziło z tym echem. Nie pomyliłam się, magia praktyczna. Nasza tajemnicza dama okazała się wykrywaczem rud, to często spotykany rodzaj słabiutkiej i bardzo wyspecjalizowanej magii. Ależ ciekawy obraz powstaje...

- Dalii ma pewne fundusze... - Ilana naląła sobie wina i wychyliła kielich jednym haustem, odrzucając w końcu wielkopańskie maniery. Wyglądało, że taka sama z niej neira jak ze mnie. Czyli żadna. - Ja również mam pewne oszczędności. Uzналиśmy, że najpierw kupimy tyle ziemi, ile damy radę, a dopiero potem zgłosimy znalezisko...

- Niezły sposób na zrobienie pieniędzy - skinęłam głową.

Faktycznie... złoża rudy żelaza tuż pod samą stolicą! Ciekawe, czemu nikt nie wykrył jej wcześniej? Nie zastanawiali się nad taką możliwością? Mało prawdopodobne...

Niemniej odkrycie mogło postawić na głowie całą gospodarkę królestwa. Nie brakowało nam żelaza, ale wydobywane było głównie przy wschodniej granicy, gdzie znajdowały się również huty. A do stolicy i innych miast wieziono gotowe sztaby. Hm... I jakie mogą być tego skutki? Wschodni „neirowie żelaźni” tracą znaczną część klientów, którzy skupiają się przede

wszystkim w centrum kraju. Port rzeczny również jest pod bokiem, więc wywożenie metalu na eksport opłaci się bardziej niż ze wschodu. I chyba myśli Jego Królewskiej Mości popłyną podobnym torem: naruszenie delikatnej równowagi gospodarczej w tej konkretnej chwili kompletnie się nie opłacało, co oznaczało, że same próby eksploatacji nowych złóż miały się z celem. Chociaż warto było o nich pamiętać...

- Kupić ziemię, a potem ją sprzedać kilka razy drożej - westchnęłam. - Jakie to banalne.

- Każdy orze jak może! - odgryzła się Ilana i zwróciła do Szlossa: - Słyszysz pan? Teraz pan wie!

Siedzi pan na worku z pieniędzmi, wystarczy tylko wyciągnąć rękę! Jak pan nie chce sprzedawać majątku, to niech wynajmie robotników, żeby kopali... Od północnego zachodu na południe, akurat wzdłuż tamtego dużego parowu!

- Pod moim sadem? - Szloss uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Właśnie, pod pańskim durnym sadem, od słuchania o którym kompletnie mi już zwiędły uszy!

- Ale żeby... eee... kopać, jak to pani mówi, trzeba będzie wykarczować drzewa? - w jego głosie słychać było wyraźne zwątpienie.

- Oczywiście, że tak! - Ilana spojrzała na gospodarza, jakby był chory na umyśle. -Dotarło do pana w końcu? Werenie, proszę posłuchać, przecież nieźle się dogadywaliśmy... -Teraz ponownie wyglądała na wielką damę, która została stworzona, by uwodzić. - Ja i Dalii damy panu udział, starczy dla wszystkich. - Uśmiechnęła się czarująco. - Przecież nam pan wybaczy ten mały spektakl? Wiem, że pan wybaczy, jest pan taki wielkoduszny! Tylko proszę odesłać tę tutaj, przecież dochodzenie zostało rozpoczęte na pańską prośbę, zgadza się? I jeżeli pan wycofa skargę, zostanie wstrzymane!

Niech pan to zrobi... dla mnie... - Pod takim spojrzeniem stopniałby

nawet posąg, co dopiero mówić o zwykłym mężczyźnie, ale Szloss nawet nie drgnął. Bardzo usilnie się nad czymś zastanawiał.

- Czyli się pan zgadza? - mruknęła Ilana i z triumfem spojrzała na mnie. Ja cierpliwie czekałam na ciąg dalszy.

- Nie! - twardo odparł gospodarz. - Nie pozwolę ruszyć mojego sadu.

Ilana na chwilę oniemiała, a ja podziwiałam przedstawienie.

- Niech pan zrozumie, głupi człowieku, że to prawdziwy skarb! - spróbowała jeszcze raz. - Ile dochodu przynosi ten pański sad? Grosze w porównaniu z tym, co mógłby pan mieć!

- Skarb? - w głosie gospodarza brakło zrozumienia. - Ale po co? Starcza mi tego, co mam, dzieci są zabezpieczone, czego jeszcze miałbym chcieć?

Ilana znowu straciła mowę, a ja zdecydowałam, że czas skończyć z tą farsą.

- Moim zdaniem już wszystko wiemy - stwierdziłam. - Pani, występująca pod imieniem Ilana Ten, a także jej wspólnik zwany Dalii i udający służącego są niniejszym aresztowani i zostaną zatrzymani aż do wydania decyzji sądu. Majątek neira Szlossa, jak również ziemie jego sąsiadów, od tej chwili znajdują się pod opieką Jego Królewskiej Mości i bez jego wyraźnej zgody nie mogą zostać sprzedane ani przekazane komuś w darze.

- Nic z tego! - z triumfem w głosie zakrzyknęła Ilana. - Sama pani mówiła, że pani ranga pozwala na podejmowanie decyzji wyłącznie w sprawach cywilnych niedotyczących interesów korony! A ta sprawa jak najbardziej ich dotyczy! I nie ma pani prawa przemawiać w imieniu króla!

- Ma pani całkowitą rację - odparłam chłodno. - Urzędniczka trzeciej rangi Flossi Niks faktycznie nie ma prawa podjąć decyzji w tej sprawie. Ale na moje szczęście kompetencje niezależnego maga-justycjariusza Flossii Naren są w tym celu bardziej niż wystarczające.

Zamilkłam, zadowolona z wywołanego wrażenia. Mało kto spróbuje się

kłócić z niezależnym magiem-justycjariuszem pracującym na zlecenie korony. Bynajmniej nie zamierzałam przyznawać się, że król jak na razie nie miał bladego pojęcia o całej sprawie. Co prawda nie sądziłam, by Arneliusz miał się obrazić na wieść o tym, że zdecydowałam się przemówić w jego imieniu. W większości spraw nasze opinie były całkowicie zbieżne.

Ilana spróbowała powiedzieć coś jeszcze, ale jej przerwałam.

- Neir Szloss, jeżeli nie chce pan zawstydzić damy, to proszę się odwrócić. Mam zamiar ją przeszukać.

Przeszukanie wykazało, że w posiadaniu czarującej panny Ten było szesnaście magicznie naładowanych błyskotek, które w sumie dawały trzy lata więzienia za złamanie prawa o przechowywaniu i użyciu artefaktów bojowych. Tyle dobrego, że nie zdążyła żadnej z nich aktywować, bo budynek mógłby na tym poważnie ucierpieć. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, niech żyją okoliczności obciążające. Pan Dalii również powinien posiadać przy sobie coś podobnego i to pomoże ostatecznie usadzić ten słodki duecik.



Znowu wyszło na moje. Następnego ranka Szloss osobiście odprowadził mnie do miasta. Ilana i Dalii podróżowali w towarzystwie kilku bardziej postawnych pachołków. W stolicy przekazałam ich w ręce moich kolegów z odpowiedniej instytucji, po czym udałam się prosić Jego Królewską Mość o posłuchanie, którego natychmiast mi udzielono. Po wzajemnych reweransach i złożeniu życzeń z okazji minionych świąt, Arneliusz zapytał o powody wizyty, a ja zreferowałam mu szczegółowo wydarzenia w majątku Szlossa. W trakcie mojej opowieści Jego Królewska Mość kilka razy zmienił się na twarzy, ale przy scenie finałowej wyraźnie się uspokoił. Miałam rację i moje

działania uzyskały pełną królewską aprobatę, a pół godziny po moim meldunku wyszło w świat rozporządzenie, zgodnie z którym wskazane obszary już oficjalnie znalazły się pod opieką korony. Trzeba przyznać, że teraz następcy Szlossa i jego sąsiadów nie będą mieli łatwo. Sprzedaż gruntów, czy nawet samodzielne wydobywanie bez osobistego pozwolenia Jego Królewskiej Mości nie wchodziły w grę. Przeczucie mówiło mi, że kiedyś wszystkie te tereny przejdą na własność korony, ale jeszcze nie teraz. Niemniej jednak ani Arneliusz, ani jego skarbnik nie spuszcza oczu z małego majątku, który tak nieoczekiwanie odnalazł się tuż pod ich nosem. Wydawało mi się, że wiedzieli oni o złożach już wcześniej, ale woleli czasowo zapomnieć o ich istnieniu z tych samych względów, które przyświecały mnie.

Los Ilany i Dalliego mało mnie obchodził. Najgorsze, co im groziło, to kilka lat więzienia - za oszustwo i przechowywanie artefaktów bojowych więcej się nie dostaje. Co prawda jeżeli uwzględnimy posiadane przez nich informacje... Miałam wrażenie, że wyjdą na wolność nieprędko, jeżeli w ogóle. Ale to naprawdę nie była moja sprawa.



Szloss czekał na mnie przy bramie pałacu.

- Panno Naren, chciałem jeszcze raz podziękować - powiedział. - I kto by pomyślał... Zaczęło się od ducha, a skończyło sprawą wagi państwowej.

Mogłam się tylko uśmiechnąć.

- Och, prawie zapomniałem... - Były już klient podał mi jakąś paczkę. - Eryh prosił, żeby to pani przekazać.

Rozwinęłam gruby papier, który skrywał rysunek, przedstawiający... mnie. Hm... Na portrecie byłam nieco ładniejsza niż naprawdę. Chyba Eryh jednak nie mógł się powstrzymać i trochę poprawił rzeczywistość. Ale trzeba

przyznać, że mój krzywy uśmiech (cecha rodzinna) udał mu się doskonale.

- Proszę przekazać Eryhowi moje podziękowania - powiedziałam. - To bardzo miłe z jego strony.

Szloss skinął głową i zebrał się do odejścia, ale nieoczekiwanie odwrócił się.

- Panno Naren, chciałbym zapytać, czy nie miałaby pani nic przeciwko, abym opisał te wydarzenia w mojej nowej książce?

- Żadnych imion - ostrzegłam. - I żadnych wzmianek o złóżach.

- Oczywiście! - Zamachał rękoma. - A poza tym, jestem przecież znanym bazarzem, nikt nie weźmie tego serio! Powiedzmy, że oszuści będą polowali na skarb schowany w podziemiach pod majątkiem...

„Ciekawa jestem, co to za podziemia - pomyślałam - że mierzą sobie kilka dni drogi?” Ale znając fantazję Szlossa, mogłam mieć pewność, że książka wyjdzie co najmniej ciekawa.

- Niech pan pisze - odparłam. - Ale proszę okazać uprzejmość i pozwolić mi zostać pierwszą czytelniczką. Chciałabym mieć możliwość usunięcia wszystkich aluzji do prawdziwych wydarzeń.

Szloss z ręką na sercu zapewnił mnie, że zobaczę rękopis jako pierwsza, po czym wyruszył w drogę powrotną do swego domu, a ja udałam się do swojego.

Na stoliku do korespondencji znalazłam notatkę od dziadka, głoszącą, że jeśli jeszcze raz przyjdzie mi do głowy powiadomić starego krewnego o swoich planach, mam zrobić to osobiście, a nie przysyłać mu jakiegoś półgłówka w mundurze, który nie potrafi z sensem powiedzieć paru słów, o odpowiadaniu na pytania nie wspominając. Mogłam się tylko uśmiechnąć. Biedny Laurinne! Pewnie dziadek swoim zwyczajem szalenie ucieszył się z „przypadkowego świadka” i urządził mu prawdziwe przesłuchanie, a biedak nie wiedział nic ponad to, o czym raczyłam go poinformować. To się dopiero

nazywa „wpaść jak śliwka w kompot”.

Oprócz notatki na stoliku leżał niewielki prezent z okazji święta: zimowy bukiet, tradycyjne minimum dla trzech albo i czterech najbardziej powszechnych wierzeń. W swoim życiu miałam okazję widzieć naprawdę niesamowite konstrukcje, a żeby opowiadać o tych, które znajdowały się w pałacu królewskim, po prostu braknie słów. Ten tutaj był natomiast bardzo prosty: dwie delikatnie zgięte gałązki „wdowich łez”, udekorowane karmazynowymi owocami, które wydawały się szczególnie jaskrawe na tle ciemnych igieł czarnospilca. Do tego delikatny, złotawy zasuszony kulokwiat. Bukiet był prosty, ale gustowny, chociaż żaden kram z kwiatami by go nie wziął - takie plebejskie rośliny można było dawać chłopkom, a nie bogatym damom. Po co dziadek miałby przysyłać mi prezent, i to jeszcze własnoręcznie wykonany? A może bukiet wcale nie był od niego?

Ale w takim razie od kogo? Ta zagadka okazała się ponad moje siły, w związku z czym zanotowałam w pamięci, by przy następnym spotkaniu zapytać dziadka, czy to on przysłał mi bukiet, po czym nieszczęsny prezent przeniósł się do miedzianego wazonika na gzyms kominka, a ja udałam się do swego pokoju.



Szloss dotrzymał obietnicy i nowa powieść powstała wyjątkowo szybko, po czym dostałam rękopis, w którym wedle życzenia mogłam coś wykreślić albo poprawić. Muszę przyznać, że nie musiałam za dużo zmieniać. Bardzo zręcznie i jak zawsze pomysłowo udało mu się pominąć milczeniem udział w całej sprawie maga-justycjariusza. Również tym razem knowania przestępców zniweczone zostały przez jego ulubionego bohatera, który z powodu szalejącej śnieżycy utknął w majątku skromnego pisarza.

Oczywiście główną sprężyną intrygi była Elejna Dor (a nie nikomu nieznana Ilana Ten), która ponownie uciekła przed sprawiedliwością, by móc dalej zatruwać życie bohatera, a złowieszcze podziemia kryły w sobie niezmiernie skarby. Przez tę ucieczkę od prawdy książka nie straciła ani trochę, o czym też z przyjemnością poinformowałam autora. Jeszcze bardziej przysłużyły jej się ilustracje Eryha Dorzhe'a - i właśnie za ten pomysł, który przypadkiem podsunęłam Szlossowi w czasie pogawędki, powinnam zażądać dedykacji na stronie tytułowej oraz procentów ze sprzedaży. Ale uznałam, że nie będę się rozdrabniać.

Tak oto skończyła się historia niewielkiego majątku, w którym rozegrał się prawdziwy dramat.

Tymczasem święta przeminęły, a po nich jak zwykle pozostała masa śmieci - dosłownie i w przenośni - które sprzątać musieli nie tylko zmiataacze, ale również ja i moi koledzy. Uczciwie mówiąc, zmiataacze mieli łatwiej. Stare dekoracje i połamane gałęzie dawały się zgarnąć na kupy i wywieźć za miasto, gdzie można je po prostu spalić. Niestety, ludzkich śmieci nie można było potraktować w podobny sposób, choćbyśmy tego bardzo chcieli. Tak czy inaczej, nie miałam już czasu, by się nudzić i ten błogosławiony okres potrwał aż do wiosny.

ROZDZIAŁ 5

Wiosna w Arastenie

Jak zwykle w tych okolicach, początek wiosny był wilgotny i zimny. Ziemia jeszcze dobrze nie odmarzła, z nieba leciało coś pomiędzy deszczem a śniegiem, pod nogami chlupało błoto, drzewa nadal stały czarne i nagie. Pogoda w sam raz odpowiednia dla osobników hołubiących myśli samobójcze. Nawet nieszczególnie zdziwiło mnie, gdy w mieście wybuchła epidemia. I to nie było czego, tylko czerwonej febrzy, której w okolicach nie widziano już od jakichś dwudziestu lat!

Czerwona febra miała nawet nazwę medyczną, długą i wykręcającą język. Jednak zwykli ludzie najczęściej nazywają choroby zgodnie z oznakami zewnętrznymi, kompletnie nie zwracając uwagi na różnice dosyć istotne z technicznego punktu widzenia. Tak więc w przyrodzie istniały febra czerwona, szara i czarna. Ta ostatnia, mimo przerażającej nazwy, była z nich wszystkich najmniej groźna - chory wyglądał, jakby umazał się błotem, a najpoważniejsze komplikacje stanowiły brzydkie, odbarwione plamy na twarzy. Szara febra była już trochę poważniejsza, jako że najmniej groźnym z jej objawów były paskudnie wyglądające ropnie, bez odpowiedniego leczenia i pielęgnacji mogła (ale nie musiała) zakończyć się śmiercią.

Czerwona febra była ze wszystkich powyższych najbardziej wredna i zaraźliwa. Jedna chora osoba w mieście oznaczała, że czas składać hurtowe

zamówienia na trumny, bo epidemia już stoi u bram. Pozostawało tylko zgadywać, skąd paskudztwo się wzięło, bo na wszystkich wjazdach do stolicy i w portach dyżurowali nie tylko strażnicy i żołnierze, ale też magomedycy, dla których było to obowiązkiem cechowym. Każdy podejrzany przyjezdny natychmiast trafiał na kwarantannę, więc było mało prawdopodobne, by choroba przyszła z zewnątrz - okres inkubacji czerwonej febry wynosił dwa dni, ale już w trakcie jego trwania chory był zauważalnie osłabiony. Biorąc pod uwagę, że w miejskiej kwarantannie czasowo mógł wylądować zarówno drobny kupiec ze zwykłym katarem, jak i przyjezdny arystokrata, naprawdę nie byłabym skora do rzucania oskarżeń o niedbałość pod adresem straży. Z drugiej strony, nikt nigdy nie prowadził poważnych badań na temat źródeł czerwonej febry, zwracając uwagę raczej na sposoby walki z nią. Gdy epidemia już wybuchała, wszystkie siły koncentrowano na jej stłumieniu i badanie źródeł było w oczywisty sposób mniej ważne, a gdy w końcu udawało się paskudztwa pozbyć, wszyscy oddychali z ulgą i zapominali o nim do kolejnego nawrotu. Niestety, medycy zwykle mieli na głowie wystarczającą ilość bieżących problemów, które nie zostawiały zbyt wiele czasu na czysto teoretyczne badania, a poza tym czerwona febra nawet nie była pierwsza na liście śmiertelnie groźnych chorób. Bo w końcu przy pomocy wykwalifikowanego magomedyka można było się z niej wyleczyć szybko i bezboleśnie, a wiele osób zdrowiało nawet i bez tego, na dokładkę zdobywając odporność. Ogólnie na setkę chorych przeżywała mniej więcej połowa. Co prawda część ozdowieńców nie wychodziła z tego bez szwanku - ten osłabł na umyśle, ów miał kłopoty ze wzrokiem, kto inny ogłuchł albo dorobił się niedowładu nóg... Ale tak czy siak, wystarczyła jedna interwencja magomedyka w porównaniu chociażby z tańcami z bębniem, których wymagało powstrzymanie epidemii dżumy. Tej ostatniej co prawda też już od dawna nikt nie widział, ale bym się nie zarzekała.

Tak więc miasto natychmiast zamknęło bramy, z portu nie wypuszczano statków, a nowo przybyłe stały na redzie kawałek od brzegu. Jego Królewska Mość Arneliusz z rodziną i dworem zabarykadował się w podmiejskiej rezydencji, do której bardzo fortunnie udał się dwa dni przed wybuchem epidemii. Nikogo tam nie wpuszczano ani nie wypuszczano. Król miał do swojej dyspozycji najlepszych magomedyków, więc tu akurat powodów do obaw nie było. Ale miasto wyglądało na wymarłe, w domach panowała pełna przerażenia cisza, ludzie chowali się za szczelnie zamkniętymi drzwiami i oknami, chociaż stanowiły one słabą przeszkodę dla zarazy. Po ulicach poruszali się tylko wybitnie odważni mieszkańcy, jakieś przypadkowe patrole straży oraz magomedycy. W pierwszych dniach po wybuchu choroby ceny ich usług sięgnęły niebios, ale bardzo szybko wtrąciło się Kolegium, zobowiązując bezczelnych medyków do udzielania pomocy po normalnych (albo tylko troszkę zawyżonych) stawkach i nieodmawiania nikomu z cierpiących.

Niemniej magów brakowało -chorych było zbyt wielu, więc nawet po ogłoszeniu rozporządzenia Kolegium sytuacja nieszczęśliwie zmieniła się na lepsze.

Niestety, inne metody walki z zarazą były prawie bezskuteczne i pozostawało wyłącznie czekanie. Za parę tygodni w mieście zostanie około połowa mieszkańców, a ci, co przeżyją, będą musieli zabrać się do sprzątnięcia trupów. A jeszcze przez długi czas wszyscy będą podejrzliwie patrzeć na każdego kichającego.

Epidemia czerwonej febry zawsze kończyła się tak samo nieoczekiwanie, jak zaczynała.

Wiadomo było, że choroba nie przenosi się ani w jedzeniu, ani w wodzie, wyłącznie od człowieka do człowieka. Zaatakowane przez infekcję miasto bardzo szybko przestawało być groźne dla przyjezdnych, chociaż

spodziewałabym się, że Jego Królewska Mość na wszelki wypadek przeniesie stolicę gdzie indziej. Albo i nie, w końcu ten człowiek był wystarczająco nieprzewidywalny i, co w tym wypadku ważniejsze, skąpy. Jeśli pomyśleć, ile pieniędzy wpakował w przebudowę pałacu, mało prawdopodobne, by jakaś tam febra była w stanie zmusić go do opuszczenia świeżo odnowionej rezydencji.

Swego czasu ktoś sugerował, że czerwona febra ma pochodzenie magiczne, a nie naturalne.

Jednak temu mogłam z całą pewnością zaprzeczyć. Natura ma przed nami niemało tajemnic, w związku z czym nie wiemy, skąd ta choroba się pojawia i jak znika, ale nie ma w niej za grosz magii.

A jeśli idzie o rozprzestrzenianie jej metodami magicznymi w celu, powiedzmy, neutralizacji wrogiego wojska, to mag, próbujący użyć czegoś tak nieprzewidywalnego, musiałby mieć nie tylko znaczną moc, ale i problemy z głową.

Z wiadomych przyczyn znów nie miałam kompletnie nic do roboty. Do miasta nikogo nie wpuszczano, a poza tym i tak wszyscy potencjalni klienci woleli w tej sytuacji omijać stolicę z daleka.

Miejscowi mieli na głowie ważniejsze sprawy niż prowadzenie śledztw. Tak więc siedziałam i patrzyłam w sufit. No dobrze, prawie. W końcu miałam okazję uporządkować pewne papiery oraz najcenniejsze zapiski. Próbowałam zająć się tym w zimie, ale porzuciłam pomysł, gdy tylko pojawiła się lepsza alternatywa. Teraz natomiast nie miałam absolutnie żadnej. Niestety, moje pismo jest tak parszywe, że czasami sama z trudem je odczytuję, szczególnie gdy notuję coś w ruchu lub na kolanie - i to dosłownie. Wygląda jak skomplikowany szyfr. Ani ja, ani moi domownicy nie musieliśmy przejmować się chorobą. Magowie z zasady mają zwiększoną odporność na wszystko, mogłabym bez żadnych konsekwencji spacerować

po mieście, w którym szaleje dżuma, i obcować z jego mieszkańcami. A własne podwórko zaczarowałam, by nie mieć problemów z chorymi służącymi.

Niestety, tego typu zaklęcie nie dawało nałożyć się na całą ulicę, a tym bardziej miasto, bo trzeba by w tym celu setki magów mojego poziomu. Ponieważ takowych w zasięgu ręki nie było, poprzestałam na własnych włościach i teraz siedziałam w nich uwięziona na własne życzenie, nie wychodząc już którąś z kolei dobę.

Kucharka w swej izdebce cicho modliła się do jakichś bogów, koniuch był na swoim miejscu, czyli w stajni, pilnując koni. Ponieważ żadne z naszej trójki nie miało wygórowanych wymagań, zapasów w piwniczce spokojnie mogło starczyć do jesieni, więc nie mieliśmy żadnego powodu, by wysuwać nos na ulicę. Tym bardziej że panowała tam cokolwiek niesympatyczna atmosfera. Sądząc ze słupów dymu, które pojawiały się raz po jednej, raz po drugiej stronie, jeszcze (albo już) zdrowi mieszczanie zabrali się za sprzątanie, zupełnie słusznie uznając, że zarazę najlepiej wypala się ogniem. Miałam tylko nadzieję, że z rozpędu nie wyrządzą miastu jeszcze większych szkód niż choroba. Chociaż przy takiej pogodzie ewentualny pożar nie powinien się rozprzestrzenić, wydawało się bowiem, że wszystko jest na wskroś przesiąknięte wodą. Deszcz nijak nie chciał ustać, wciąż tak samo drobny, paskudny i zimny.

Któregoś kolejnego parszywego poranka do mojej furtki ktoś zapukał. Takie pukanie rozlegało się dosyć często, a następująca po nim prośba zawsze była taka sama: pójść i kogoś wyleczyć. Z konieczności musiałam odmawiać - nie posiadałam licencji medyka. Nie znaczyło to, że nie potrafiłam leczyć, ale moje honorarium w tej sytuacji powinno odpowiadać statusowi maga-justycjariusza, pod groźbą sankcji zarówno ze strony Kolegium, jak i cechu magomedyków, którzy mają bardzo niechętny

stosunek do ludzi podbierających im klientów. Niestety, żadna z osób, które się do mnie zwróciły, nie mogła pozwolić sobie na taki wydatek. Prawdopodobnie w panującym bałaganie nikt nie zauważyłby naruszenia zasad, ale wolałam nie tworzyć precedensu.

Tak więc do furtki ktoś zapukał... A nawet nie tyle zapukał, co desperacko załomotał pięścią. Z kuchni wychyliła się strwożona Rima i krzyknęła do stajennego:

- Idź, zobacz, kto się tak niecierpliwi!

Sama nie miała najmniejszego zamiaru wychodzić na dwór, a ja całkowicie ją popierałam.

Febra febrą, ale wyskakując z ciepłej kuchni na taki deszcz, można złapać przeziębienie.

- Kto tam? - chmurnie zapytał Dim, nawet nie fatygując się otworzyć furtki. Wysłuchał niewyraźnej odpowiedzi, z namysłem podrapał się w skroń, po czym poczłapał przez błoto w kierunku domu.

- Psze pani! - zawołał mnie z szacunkiem, nie wchodząc na ganek. Żywił głębokie przekonanie, że pańskie pokoje to nie miejsce dla koniucha, więc dalej niż do sieni się nie zapuszczał.

- Co się dzieje? - spytałam od progu, gdyż nie spodziewałam się żadnego gościa. Nie miałam specjalnej ochoty wychodzić na tę pluchę.

- Jakiś gwardzista do pani - zameldował Dim niepewnie. - Znaczy się, bardzo zatrwożony. Żeby się tylko nic nie stało...

- Wpuść go - westchnęłam i szczerze otuliłam się płaszczem, wychodząc na deszcz. Miałam pewne niewyraźne przeczucia odnośnie osoby za furtką. - Nie bój się - dodałam, widząc wahanie Dima. - Zaraza tu nie wejdzie.

Wyraźnie się uspokoił i odsunął zasuwę, a nieoczekiwany gość wpadł na podwórko. Nie tracąc czasu na wstępy, padł przede mną na kolana wprost w brudną kałużę i nawet otworzył usta, ale na widok wyrazu mojej twarzy

słowa zamarły mu w gardle. Był to znajomy kapral.

- No nie...! - warknęłam, robiąc krok do tyłu i próbując przy tej okazji nie wpakować się w błoto. - Tylko proszę mi nie mówić, że...

Niestety, moje przeczucie sprawdziło się w stu procentach, a na dobrą sprawę nawet w dwustu.

Chyba jakieś siły wyższe zesłały na mnie stałą karę w postaci Laurinne'a, porucznika gwardii królewskiej. Z jednej strony, mogło być gorzej, ale z drugiej... Nie, gorzej być już nie mogło!

Dokładnie tak, jak można się tego było spodziewać, ta ofiara losu złapała czerwoną febrę. O dziwo, nie pierwszego dnia, ale po dłuższym czasie. Zgodnie z tym, co powiedział stary kapral, który, o ile zdołałam zrozumieć, zawsze towarzyszył pechowemu porucznikowi, przez parę dni młodzieniec doglądał chorych towarzyszy, po czym trafiło również jego. Najwidoczniej kapral był dla porucznika kimś w rodzaju osobistego służącego. Na początku myślał, że jakoś to będzie, bo chłopak młody i silny (w tym miejscu pozwoliłam sobie na sceptyczny uśmiech), więc sam z tego wyjdzie. Niestety, szybko się okazało, że nie, nie wyjdzie. Czerwona febra to kapryśna choroba i czasami zdarza się, że przeżywają ją starzy kalecy, podczas gdy tacy oto młodzi i silni umierają już na drugi dzień. Tak więc ostatecznie kapral wezwał do porucznika pracującego w koszarach magomedyka.

- I co? - Przyznam, że się zdziwiłam. Zwykle jedna wizyta takiego specjalisty jak najbardziej wystarczała, by wyleczyć chorego. Z pewnym trudem zmusiłam kaprala do wstania z kolan, ale cały przemoknięty i tak stanowił bardzo żaloszny widok.

- A nic... - Wzruszył ramionami. - Przyszedł, pomachał rękami. Faktycznie, młody pan się poczuł lepiej, był wesoły i nawet żartował... a następnego ranka znowu padł.

Taki obrót spraw był cokolwiek niezwykły. Czerwona febra nie ma

nawrotów, szczególnie po profesjonalnym magicznym leczeniu. Bardzo ciekawe... Albo gwardzistów leczył jakiś konował, który zdobył prawo wykonywania zawodu zupełnym przypadkiem, albo coś było nie tak z samym porucznikiem.

- Ale czego pan chce ode mnie? - spytałam ponuro, mimo że odpowiedź znałam doskonale.

W tym momencie kapral poczynił kolejną próbę padnięcia na kolana, ale chyba jednak zrozumiał, że takie gesty na mnie nie działają.

- Panno Naren, zaklinam na niebiososa, niech mu pani pomoże! - powiedział drżącym głosem.

Deszcz nadal padał i nie mogłam odgadnąć, czy po zarośniętych policzkach starego płyną krople wody, czy łzy. - Wszystko dla pani zrobię, zostanę niewolnikiem, będę zamiast psa podwórzowego mieszkał koło progu, tylko niech pani ratuje chłopaka! Tutaj... Tutaj jest wszystko, co mamy, niech pani pomoże!

Nie wyciągnęłam ręki po chudą sakiewkę, więc wylądowała w kałuży. Z urywanych zdań dawało się zrozumieć, że kapral poskładał do kupy całą posiadaną w domu gotówkę, za bezcen zastawił swojego wałacha i konia porucznika (w takiej sytuacji mało kto potrzebuje koni), po czym zebrał się w sobie i zjawił u mnie w domu z tym całym... majątkiem. Nie ma cudu, by starczyło tego na opłacenie moich usług, ale...

Westchnęłam z irytacją. Chyba siły wyższe uznały, że porucznik Laurinne jeszcze nie napsuł mi dość krwi. Dziadek pewnie znowu wytknąłby mi miękkie serce, ale czułam autentyczną litość w stosunku do starego kaprala, i to nawet bardziej niż do chorego porucznika.

- No dobrze - odparłam. - Dim, osiodłaj mi konia. I drugiego dla tego pana. - Wskazałam na gwardzistę.

Ten się rozpromienił, mimo wszystko wylądował na kolanach i

spróbował złapać moją rękę, chyba z zamiarem pocałowania.

- Pojadę z panem pod jednym warunkiem - stwierdziłam ostrzegawczym tonem, cofając się przezornie o kolejny krok. - Przestanie się pan czołgać, łapać mnie za ręce i dziękować. Nie cierpię, jak ludzie się tak zachowują. I niech pan zabierze tę sakiewkę sprzed moich oczu!



Miasto sprawiało wyjątkowo smętne wrażenie. Śnieżną zimą było zadbane i dumne, a teraz przypominało żałosne ruiny - szczególnie gdy przejeżdżało się obok kolejnego splądrowanego domu.

W zaułkach przemykały jakieś cienie, prawdopodobnie rabusie. Porządni obywatele nie mieli powodów, by chować się na widok munduru gwardzisty, nawet tak ubłoconego. W oddali smętnie wył pies, krakały wrony. Po prostu nędza i rozpacz. Tyle dobrego, że zimno, bo niepogrzebane trupy już dawno śmierdziałyby na całą okolicę.

Okazało się, że porucznik mieszka na drugim końcu miasta, w wynajętych pokojach. Kaprał powiedział, że sąsiedzi oraz właściciele domu wynieśli się precz na samym początku epidemii i od tamtej pory nikt ich nie widział. A Laurinne po prostu nie miał dokąd uciekać, więc został na miejscu.

Na pierwszy rzut oka trzykondygnacyjny budynek wyglądał wcale przyzwoicie, ale z bliska widać było, że okna na parterze ktoś powybił, a w pokojach panował chaos. Czyli złodzieje pewnie już tu byli.

Porucznik zajmował dwie malutkie izdebki na poddaszu, a jego majaczenie usłyszałam już na schodach. Czerwonej febrze zawsze towarzyszyła bardzo wysoka gorączka i wiele osób umierało nawet nie przez chorobę, a z powodu niewydolności serca.

- Tutaj, tutaj, szanowna pani. - Kapral odprowadzał mnie na górę i widać było, że czuje się nieswojo. Strop był tak niski, że w pewnym momencie musiałam pochylić głowę. Sens życia w miejscu, gdzie sufit prawie dosłownie próbował przygwoździć człowieka do ziemi, wymykał się mojemu pojmowaniu. - Tutaj leży...

- Widzę - stwierdziłam, omiatając spojrzeniem łóżko i jego okolice. - No dobrze... Proszę mnie zostawić samą, jak będzie trzeba, to zawołam.

Kapral niechętnie wyszedł za drzwi i łatwo było zgadnąć, że usiadł na schodach tuż obok, by w razie czego móc natychmiast ruszyć na pomoc młodemu panu. Ciekawe... Kim był Laurinne, że miał takiego wiernego „psa”? Tacy towarzysze zwykle od dzieciństwa zajmowali się potomkami szlacheckich rodów, w miarę możliwości wychowywali ich, pilnowali, by chłopcy zachowali umiar w psotach i tak dalej. Gdy tenże owoc rozłożystego drzewa genealogicznego dorastał i ruszał na podbój gwardii, wychowawca zwykle udawał się razem z nim. Otrzymywał jakiś niższy stopień, a w sumie nadal robił za niańkę młodego panicza. Czyli moje domysły okazały się prawidłowe i Laurinne faktycznie pochodził ze szlacheckiej rodziny... Jednak wszystkie bardziej znane rody Arastenu i sąsiednich krajów znałam na pamięć, razem z ich skomplikowanymi koligacjami, a na pewno nigdzie nie trafiłam na nazwisko Laurinne. Może był w niełasce? Albo służył pod cudzym nazwiskiem?

Chociaż akurat to mało było prawdopodobne - młodzieńcy jego pokroju zwykle mieli kompletnego świra na punkcie rodzinnego honoru. Co prawda akurat w obecnej sytuacji rodowód nie liczył się absolutnie, ponieważ księżę krwi w malignie niczym nie różni się od prostaka. Zresztą rozróżnianie ich w takiej sytuacji byłoby po prostu bezcelowe.

Czyli co ja tu miałam? Ano chorego na czerwoną febrę. Na rękach i twarzy chłopaka widniały charakterystyczne czerwone plamy, od których

choroba ta wzięła nazwę. Gorączkę miał tak wysoką, że czułam ją na odległość, bez konieczności dotknięcia czoła. Puls - w tym momencie musiałam jednak złapać porucznika za rękę - bardzo szybki i nierówny... Serce chorego znajdowało się u kresu wytrzymałości i mogło w każdej chwili odmówić dalszej pracy. Bardzo niedobrze. Należało natychmiast zabrać się do leczenia, ale z jakiegoś powodu nie mogłam się zdecydować.

Coś mi tu nie pasowało. Z jednej strony - klasyczny obrazek, jak z podręcznika medycyny. Ale z drugiej... Sprawdziłam otoczenie w poszukiwaniu echa oddziaływania magicznego. Całkowicie zgodnie z oczekiwaniami nie wyczułam nic oprócz śladów działalności magomedyka. Magomedyk był jak najbardziej autentyczny, a jego manipulacje stosowne do sytuacji. Kompletnie nie mogłam zrozumieć, dlaczego Laurinne najpierw zaczął zdrowieć, a potem nastąpił regres.

- Mamo...? - usłyszałam ochrypy jęk, odwróciłam głowę i napotkałam spojrzenie porucznika.

- Mamo... ty...

„Czy naprawdę aż tak źle wyglądam, że pomylił mnie ze swoją matką?” Ta myśl była całkiem nie na miejscu i natychmiast czmychnęła gdzieś na krańce świadomości. Porucznik patrzył nie na mnie, a jak gdyby przeze mnie. Miałam wrażenie, że nie jest w stanie skupić wzroku na niczym rzeczywistym.

- Nie, nie chcę... - Nagle rzucił się na łóżku, nadal nie odrywając spojrzenia od pustego kąta.

- Mamo, nie! Nie mogę! A dziewczynki...? Przecież prosiłaś, żebym się nimi... Mamo, nie mogę z tobą iść... Dlaczego... Mamo, nie!

W tym momencie poderwał się z taką siłą, że wyłącznie błyskawiczny unik uchronił moje zęby od bliskiego spotkania z jego czołem. Musiałam zawołać kaprała i dopiero we dwójkę udało nam się ułożyć rzucającego się

dzieciaka z powrotem na łóżku.

- Wołał matkę... - mruknął kapral, patrząc na mnie z przestraczem.

- Ano wołał - burknęłam, wymacałam na szyi porucznika odpowiedni punkt i gwałtownie nacisnęłam. Jego ciało nagle się rozluźniło i tylko niewidzące spojrzenie nadal błędziło w przestrzeni.

Kapral aż podskoczył z wrażenia, ale go uspokoiłam: - Nie ma się czym przejmować, to tylko, żeby sobie nie nabił guza, jak znowu zacznie się rzucać. O co chodzi z tą jego matką?

- Nie żyje - niechętnie odparł kapral. - Już od trzech lat.

- Tak myślałam. Bredzi...

Zamarłam. Pod moimi palcami nadał trzepotał puls na szyi chłopaka. A ja już wiedziałam, skąd wziął się mój niepokój!

Czerwona febra nigdy nie wywołuje sensownych majaków. Nigdy. Po wyzdrowieniu ludzie opisywali swoje odczucia zawsze jednakowo: gorączka, karmazynowa lepka mgła, która otula ze wszystkich stron i nie daje oddychać. Nigdy nikt nie zobaczył niczego konkretnego. Oczywiście mogło okazać się, że Laurinne był ponad wszystkie podręczniki medycyny, ale jednak było to zbyt mało prawdopodobne.

- To nie jest czerwona febra - wycedziłam przez zęby. Podejrzenie, które do tej pory majaczyło mi na skraju świadomości, właśnie wypuściło obfite pędy i zaowocowało okazałą hipotezą, którą oczywiście należało potwierdzić albo odrzucić. - Kapralu?

- Tak, panno Naren? - Żołnierz mimowolnie stanął na baczność.

- Proszę natychmiast jechać do mnie do domu. Powie pan koniuchowi, żeby zaprzęgał, weźmie wóz i wróci tutaj. Trzeba przewieźć chorego do mnie, i to im szybciej, tym lepiej.

- Ale ja na rękach... - zaczął, ale przerwałam mu.

- Powiedziałam: wozem, natychmiast! Przypilnuję go w tym czasie.

Kapral zniknął w okamgnieniu. A ja, korzystając z braku ciekawskich oczu, wzięłam się do pracy. Najpierw należało zmniejszyć gorączkę, bo ryzykowałam, że zostanie mi tu tylko trup porucznika. Nawet żywy sprawiał wystarczająco dużo problemów.

Po zakończeniu tego nieskomplikowanego działania otworzyłam okno, rozejrzałam się dookoła i wybrałam na pobliskim dachu możliwie największą wronę. Trudno o lepszego gońca w mieście. Na pewno jest lepsza niż jakiś durny gołąb czy wróbel, którego po drodze może napaść chociażby dokładnie taka sama wrona.

Zdążyłam akurat przed powrotem kaprala - turkot kół po kocich łbach był słyszalny z daleka.

Wóz w zasadzie służył do przewożenia siana i opału, ale cóż począć, skoro nie posiadałam karocy?

Osobiście wolę podróżować wierzchem, żeby nie być zależną od bitych traktów, które zwykle prowadzą nie tam, gdzie bym chciała, i od delikatnej konstrukcji na czterech kołach, która może zepsuć się w najmniej odpowiedniej chwili. W przypadku, gdy zachodzi ostra konieczność, karocę zawsze można wynająć.

Drogę do mojego domu pokonaliśmy w milczeniu. Kapral kierował zaprzężonym do wozu mułem, a ja jechałam za nim i przy okazji zastanawiałam się nad moją hipotezą. Wydawała się na tyle szalona, że sama nie byłam do końca gotowa w nią uwierzyć. Z drugiej strony, bardzo często właśnie najbardziej szalone i mało prawdopodobne teorie okazywały się tymi właściwymi. Ale tak czy siak, przydałaby mi się rada.

Kapral transportował nieprzytomnego porucznika na piętro, niosąc go na rękach - w sumie nic dziwnego, był z niego potężny kawał chłopca, a Laurinne w jego ramionach wydawał się chłopczykiem.

W krótkim czasie zakończyłam wszystkie konieczne przygotowania i

akurat w samą porę zjawił się kolejny gość.

- Floszsa, do reszty postradałaś zmysły! - poinformował mnie zamiast powitania, rzucając mokry płaszcz wprost na podłogę. Rima bez słowa podniosła go i zniosła do kominka, żeby przesechł w ciepłe. - Jeżeli tak bardzo potrzebujesz mojej rady, to mogłaś przyjechać sama, a nie zmuszać starego człowieka, by włókł się w tej paskudnej siąpawicy przez całe miasto... khe-khe... I to jeszcze jak w mieście panuje zaraza! Co tam masz?

- Widzisz... - zaczęłam, odkładając dopiero co zapaloną fajkę. - Dziś rano zostałam poproszona o wyleczenie pewnego chorego.

- I mam rozumieć, że powlokłaś się do niego? - Dziadek uniósł kosmate brwi. - No cóż, można się po tobie spodziewać wszystkiego. I co, teraz nie wiesz, ile masz od tego ozdrowieńca wziąć za swoje usługi?

- Problem polega na tym, że nie mam tu ozdrowieńca, tylko chorego - odparłam. - Tutaj, na piętrze.

- Przywlokłaś do domu chorego na czerwoną febrę?! - Pytaniu towarzyszył wyraz kompletnego oszołomienia w wytrzeszczonych oczach dziadka. - Floszsa, ty chyba do reszty rozum straciłaś! Po kiego grzyba? A jeśli nawet, to po co ci jeszcze ja?

- Mam dosyć poważne podejrzenie, w zasadzie graniczące z pewnością, że w mieście grasuje bynajmniej nie czerwona febra - oznajmiłam.

- W takim razie co to jest twoim zdaniem? - jadowicie zapytał dziadek. - Może świerzb?

- Tirota - odparłam krótko i miałam rzadką przyjemność zobaczyć, jak mojemu szanownemu krewniakowi opada szczęka.

- Stanowczo ci odbiło - stwierdził po chwili z przekonaniem.

- Jak mi nie wierzysz, to idź i sam się przekonaj - rzuciłam. - Właśnie po to cię ściągnęłam.

Nigdy nie miałam okazji widzieć na oczy chorych na tirotę, a ty chyba

mówiłeś kiedyś, że zetknąłeś się z tym paskudztwem.

- Idziemy! - Dziadek nieoczekiwanie rześko ruszył po schodach. Wyraźnie zapomniał, że już od dziesięciu lat nie rozstaje się z laską, bo kuleje na obie nogi. Zawsze podejrzewałam, że to wyłącznie zręczna mistyfikacja.

Powód do zignorowania własnych problemów zdrowotnych (jeżeli się takowe miało) był poważny. W odróżnieniu od czerwonej febrы tirota była chorobą pochodzenia magicznego. Nie wiadomo, kto i kiedy stworzył to obrzydlistwo, ale trudno było delikwentowi odmówić inwencji.

Nawet najlepszy magomedyk nie potrafił z marszu wykluczyć czerwonej febrы. Symptomy były prawie identyczne, z wyjątkiem chyba tylko tych majaków. Oraz tego, że czerwoną febrę miało się szansę przeżyć nawet bez pomocy medyka, a tiroty już nie. Bardzo nielicznych podobno choroba omijała, ale fakt ten nadal pozostawał niewyjaśniony. Mało tego, mimo pochodzenia magicznego, tirota nie dawała leczyć się przy pomocy magii, co tłumaczyłoby również przypadek porucznika: magomedyk usunął tylko widoczne symptomy, ale nie źródło problemu. I właśnie na tym polegało największe zagrożenie: maskując się jako czerwona febra, nieodpowiednio leczona tirota potrafiła wykosić cały kraj, zanim w końcu ktoś wpadł na prawdziwą istotę problemu. Poza tym twórca tego draństwa miał spaczony humor. Co prawda nie dawało uleczyć się magicznie, ale lekarstwo owszem istniało. Receptura była nawet wyjątkowo prosta, tylko że wychodziło z niej naprawdę rzadkie świństwo. Chociaż akurat tę cechę ma większość skutecznych specyfików.

- O dziwo, masz rację - stwierdził dziadek, gdy już zakończył oglądanie i obmacywanie nieprzytomnego porucznika. - To faktycznie tirota.

Przeniósł spojrzenie na mnie.

- Floszsa, rozumiesz, co to oznacza? - zapytał surowo.

- Zdziwisz się, ale rozumiem - odparłam.

Historię znałam doskonale. I oczywiście pamiętałam, że jeszcze jakieś sto pięćdziesiąt lat temu (akurat w czasach burzliwej młodości mojego dziadka) doświadczenia z tirotą zakazane zostały przez Kolegium. Zarówno w celach wojskowych, jak i dowolnych innych, wliczając w to badania. Decyzja została podjęta po tym, gdy w Stalwii przez głupotę jakiegoś eksperymentatora choroba wyrwała się na wolność i narobiła wielkich szkód - zanim połapano się, o co chodzi, i podjęto odpowiednie środki zaradcze, wykosiła prawie połowę ludności. Przypuszczalnie Kolegium posiadało próbki zarazków (ale czegoż ono nie posiada!), prawdopodobnie mieli je również prywatnie praktykujący magowie, którzy zignorowali polecenie przekazania ich do Kolegium. Najwyraźniej korzystano z nich nadzwyczaj ostrożnie, ponieważ od tamtego czasu aż do teraz nie odnotowano ani jednego przypadku zachorowania na tirotę.

Tak więc obecne wydarzenia w stolicy miały dwa możliwe wyjaśnienia: albo celowe działanie na szkodę, albo karygodna niedbałość. Tak czy inaczej, trzeba było się tym zająć.

- Floszsa, twoim obowiązkiem... - zaczął dziadek, ale przerwałam mu:

- Doskonale znam swoje obowiązki. Przejdę do ich wykonywania natychmiast po tym, jak skończę z tym tutaj... - rzuciłam na porucznika nieprzyjazne spojrzenie nieporozumieniem. Mam nadzieję, że mi pomożesz.

Dziadek złośliwie zachichotał, ale jednak nie odmówił i skrupulatnie sprawdził skład wykonanego przeze mnie paskudnego wywaru. Nawet nie chciałam sobie wyobrazić, jak mógł on smakować. Gdyby Laurinne nie był nieprzytomny, mało prawdopodobne, by udało nam się zmusić go do wypicia tego paskudztwa.

- Natychmiast ruszam do Jego Królewskiej Mości - oświadczyłam, gdy już skończyliśmy z porucznikiem. - Kapralu, póki co może pan zostać tutaj.

- Przynajmniej się przebierz, w końcu do króla idziesz, a nie do stajni! - krzyknął dziadek w kierunku moich pleców, ale puściłam ten komentarz mimo uszu. Nie miałam zamiaru bez sensu marnować czasu.

Chociaż ogólna sytuacja nie wyglądała najlepiej, brama miejska nadal była strzeżona. Nie wiem, jaka siła utrzymywała na nogach wartujących żołnierzy, którzy wyglądali na chorych. Pewnie ta cała powinność wojskowa. Zupełnie jeszcze młodziutki magomedyk wydawał się skrajnie wyczerpany i cichutko drzemał w kąciku. Uznałam, że nie będę domagać się otwarcia bramy, bo to zajęłoby zbyt wiele czasu i wysiłku. Oprócz bramy istniała jeszcze służbowa furtka, wystarczająco szeroka dla mojej kobyłki, więc nie czekało mnie ani użeranie się z osłabionymi wartownikami, ani piesza podróż.

Okazałam papier z królewską pieczęcią, a wymęczony strażnik nawet nie próbował wczytywać się w jego treść.

Wyjazd z miasta okazał się znacznie prostszy niż późniejsze wejście do podmiejskiej rezydencji króla. Była ona chroniona o niebo lepiej, i to nie tylko przez gwardzistów, ale też magów, którzy z uporem godnym lepszej sprawy odmawiali rozpoznania mojej osoby, chyba próbując się za coś odegrać. Szczęśliwie nie zdążyli mnie dobrze rozzłościć, bo Jego Królewska Mość musiałby od nowa stawiać ogrodzenie. Ktoś posiadający resztki rozumu jednak wpadł na to, żeby zameldować Arneliuszowi o mojej niespodziewanej wizycie i ten rozkazał, by natychmiast mnie wpuszczono.

- Panno Naren, czy coś się stało? - zapytał król po zakończeniu wymiany pozdrowień. Nie wyglądał na szczególnie zaniepokojonego, ale w dobrze pilnowanej rezydencji istotnie nie miał wielu powodów do zmartwień.

- Ano stało się - odparłam. - Jak Wasza Królewska Mość wie, w stolicy szaleje epidemia.

- Obawiam się, że ta wiadomość jest nieco spóźniona. - Arneliusz

pozwoił sobie na uśmiech.

Któryś z królewskich magów zachichotał w kułak. No nic, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni...

- To nie jest czerwona febra, tylko tirota - rzuciłam sucho.

Niektórzy z zebranych magów, ci starsi, zmienili się na twarzy - faktycznie, przegapić coś takiego! Pozostali zaczęli wymieniać spojrzenia i komentarze. Niestety, efekt mojego wystąpienia został mocno nadwątlony przez fakt, że Arneliusz nigdy nie słyszał o tirocie. Tyle dobrego, że któryś z dworskich magów szybko wypełnił tę lukę w królewskiej edukacji.

- No dobrze... - rzekł władca po chwili milczenia. - Ale nie widzę wyraźnej różnicy. Nie ta choroba, to inna...

- Wyraźna różnica istnieje - weszłam mu w słowo. - Po pierwsze: po czerwonej febrze przeżyje co drugi chory, po tirocie nikt. Ale tylko w wypadku, gdy choroba nie zostanie na czas rozpoznana i nie będzie leczona.

- Czyli jest uleczalna? - Arneliusz poweselał. - Doskonała wiadomość... A po drugie?

- Po drugie, ta epidemia jest skutkiem czyjejś złej woli lub niedbałości - oznajmiłam głośno i wyraźnie, patrząc królowi prosto w oczy. - Dlatego też, korzystając z prawa maga-justycjariusza, żądam rozpoczęcia dochodzenia.

- Mam rozumieć, że na pani zwykłych warunkach? - skrzywił się Arneliusz.

- Oczywiście - przytaknęłam. - Ale jest to przede wszystkim w waszym interesie, Wasza Królewska Mość. Nikt nie zaręczy, że jutro epidemia tiroty nie wybuchnie w innym mieście.

- Tak, tak, oczywiście... - mruknął król, zapewne podliczając w myślach straty. Szczęśliwie neira Dellena nie było w pobliżu, biedak mógłby paść na zawał.

- Dobrze, panno Naren, dajemy zgodę na przeprowadzenie dochodzenia.

A panowie -zwrócił się do swoich dworskich magów - mają udać się do stolicy. Skoro przegapiliście tę... hm... tირეტę, to teraz zajmiecie się jej leczeniem.

Pozwoliłam sobie na skąpy uśmiech, widząc oczami wyobraźni to stado napuszonych indorów podających paskudny specyfik zwykłym robotnikom. A to właśnie ich czekało. Z Arneliuszem nie ma żartów, na pewno nie warto się z nim wyklócać. Chyba że jest się niezależnym magiem-justycjariumsem...



Do domu trafiłam dopiero na drugi dzień - ktoś musiał przecież królewskimi magami pokierować.

Potem oddano ich pod opiekę magomedyków i mój udział stał się zbędny, więc mogłam wrócić do siebie.

Miasto powoli odżywało albo przynajmniej robiło takie wrażenie - chmury odpłynęły i deszcz w końcu ustał. Kałuże jeszcze nie wyschły, ale w porannym słońcu nawet nie wyglądały szczególnie paskudnie.

W domu panowała cisza. Dim przejął ode mnie kobyłę i zabrał do stajni. Weszłam na piętro i zajrzałam do pokoju gościnnego. Drzemiący na krześle przy drzwiach kapral na odgłos moich kroków podskoczył, a następnie stanął na baczność, świdrując mnie spojrzeniem. „Znaczy, pacjent żyje i ma się lepiej” - skostatowałam z nutką humoru. Przy okazji przydałoby się odesłać porucznika do jego własnego miejsca zamieszkania. Nie lubię, gdy po domu kręcą się obcy, a już Laurinne szczególnie mi wadził. Poza tym musiałam skupić się i zastanowić nad sposobem znalezienia przestępcy, a to najprościej robi się w ciszy i samotności.

Zaabsorbowana własnymi myślami weszłam do pokoju i spojrzałam na

łóżko. Młodzieniec spokojnie spał, a właściwie udawał, że śpi. Aktorem był kiepskim: za mocno zacisnął powieki, długie rzęsy mu drżały, oddychał też zbyt szybko jak na kogoś pogrążonego we śnie.

- Poruczniku! - zawołałam. - Starczy tego przedstawienia.

Niechętnie otworzył oczy i próbował usiąść, równocześnie okrywając się prześcieradłem, ale bez skutku. W całym zamieszaniu zapomniałam o tym, że dla jego własnego dobra go unieruchomiłam, w związku z czym pozostał w tym stanie znacznie dłużej, niż było to konieczne i teraz niezbyt dobrze kontrolował własne ciało.

- Niech pan przestanie się tu wic jak węgorz - skrzywiłam się. - Wydaje się panu, że nigdy w życiu nie widziałam gołego mężczyzny? A poza tym, niech mi pan wierzy, po spojrzeniu na pana kobieta nie straci snu i apetytu.

Laurinne zrobił się czerwony i przestał się wiercić.

- Panno Naren... - wykrztusił. - Ja... zawdzięczam pani życie. Zapłacę, tylko... nie od razu.

- Poruczniku, pańska pensja nie wystarczy na opłacenie moich usług, nawet jeżeli przez kilka lat nie będzie pan jadł, pił, zmieniał ubrań, opłacał mieszkania i wysyłał pieniędzy siostrze - westchnęłam.

- Skąd pani wie?!

- O siostrach? Sam się pan wygadał w malignie. A co, to jakaś wielka tajemnica?

- N-nie... - Odpowiedź brzmiała nie do końca pewnie, a sam porucznik patrzył na mnie spode łba. - Ale, panno Naren... niech pani o tym nikomu nie mówi. Proszę.

- Nie interesują mnie pańskie tajemnice rodzinne. - Wzruszyłam ramionami. - A przy okazji, poruczniku, czy byłby pan łaskaw nie zacinać się na każdym słowie? To straszliwie irytujące.

Skinął głową, ponownie oblewając się rumieńcem.

- Muszę przyznać - ciągnęłam - że zrobił mi pan niemały kłopot. Ale dzięki temu nam wszystkim udało się uniknąć problemów o wiele poważniejszych. Więc proszę zapomnieć, że jest mi pan coś winien i - nie potrafiłam się powstrzymać - na wszystkich bogów, proszę możliwie szybko wynieść się z mojego domu!

- Oczywiście, panno Naren - odparł pokornie. Ciekawe, na krótkich zdaniach się nie zacinał.

- Jak pani sobie życzy...

- Doskonale - podsumowałam i wychodząc z pokoju, rzuciłam spojrzenie przez ramię.

Laurinne patrzył przez okno i z wyrazu jego uparcie zaciśniętych warg wywnioskowałam, że nie ma najmniejszego zamiaru zapomnieć o swoim „długu”, w związku z czym mogłam pożegnać się ze spokojem.

ROZDZIAŁ 6

Nieprzypadkowe spotkania

Na krótki czas udało mi się zapomnieć o poruczniku. Wierny kapral zabrał swego podopiecznego do domu, a ja mogłam spokojnie prowadzić dochodzenie. Niestety, nie miałam dobrego pomysłu, od czego właściwie je zacząć. Epidemia nie była kradzieżą ani morderstwem, gdzie zaczyna się od opróżnionej skrytki na biżuterię lub od trupa. Przy takich okazjach zasada jest zawsze ta sama: szukać, kto na tym zyskał. Nawet jeżeli na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że powody do zabicia tej czy innej osoby nie istnieją, a jej śmierć nie przyniosła nikomu żadnych korzyści, ostatecznie i tak się okazywało, że krewni, znajomi albo pozornie całkiem obcy ludzie jednak mieli jakiś motyw, żeby się denata pozbyć. I wcześniej czy później dawało się do tego dokopać. Z drugiej strony, epidemia jak najbardziej mogła być rozpatrywana jako próba masowego morderstwa. Ale kto miałby na tym skorzystać? I czy faktycznie istniały jakieś ukryte powody, czy może u źródeł całej historii leżało całkiem zwyczajne niedbalstwo? Tak czy inaczej, osoba, która wypuściła zarazę na świat, była winna przynajmniej jednego przestępstwa - jak już wspominałam, wykorzystywanie zarazków tiryty w dowolnych celach było kategorię zabronione.

Warto byłoby odnaleźć delikwenta, który wypuścił to paskudztwo na wolność. Fakt, że rozpatrywałam zakaźną chorobę jak żywą istotę, może wydać się trochę dziwny, ale na dobrą sprawę wcale nie była to przesada. Bo

przecież zaraza, która - metaforycznie ujmując - uciekła badaczowi, wcale nie była mniej groźna niż uwolniony ze zwierzyńca drapieżnik. A nawet wprost przeciwnie.

Zresztą to wszystko już są nadnaturalne dywagacje, a ja powinnam zająć się sprawami dużo bardziej przyziemnymi.

Tak więc przestępca... Załóżmy na chwilę, że choroba jednak została przywleczona z zewnątrz.

W takim razie do stolicy powinny już dotrzeć plotki o ogniskach epidemii gdzieś w okolicy. Tirota wcale nie była mniej zaraźliwa niż czerwona febra, a przenosiła się jeszcze łatwiej, więc nie mogło zakończyć się na jednym chorym. Ale wokół panowały cisza i spokój, w związku z czym można było założyć, że korzeni całej historii należy jednak szukać w stolicy. Gdybym jeszcze mogła mieć pewność, że winowajca nie został pierwszą ofiarą zarazy!

Gra w zgadywanki była zajęciem cokolwiek bezcelowym, należało zabrać się do sprawy praktycznie: zacząć od określenia, w jakim mniej więcej rejonie rozpoczęła się epidemia. Akurat to dawało się zrobić bez większego wysiłku, wystarczyło udać się do szefa cechu magomedyków i dokładnie go wypytać.

Pan Gerwo Karchen nie był już młody i dobrze znał mojego dziadka jeszcze z czasów burzliwej młodości. Warto dodać, że panowie za sobą nie przepadali. Medyk pewnie miał ku temu swoje powody - dziadek od zawsze był znany z umiejętności robienia sobie wrogów, w szczególności dzięki paskudnemu charakterowi i jeszcze gorszemu zwyczajowi nazywania rzeczy po imieniu, czyli walenia prawdy prosto w oczy. Chyba oczywiste, że takie zachowanie mało komu się podobało! Nawet nie byłam pewna, co konkretnie mój kochany przodek zrobił temu biedakowi, ale na sam dźwięk nazwiska

Naren i po sprawdzeniu, że faktycznie jestem krewną Fergusu Narena, magomedyk natychmiast przybrał nieprzyjemny i pełen wyższości wyraz

twarży. Niefortunnie dla pana Karchena, niezbyt przejmowałam się jego stosunkiem do naszej wspaniałej rodziny, a poza tym miałam w ręku miłutki dokument z podpisem Jego Królewskiej Mości, rozkazujący, by jego poddani udzielali mi wszelkiej możliwej pomocy. Inna sprawa, że akurat z tego atutu zwykle wołałam nie korzystać, radząc sobie własnymi siłami.

- Panno Naren, nadal nie rozumiem, czego pani ode mnie chce. - Karchen wysłuchał mojej prośby i zacisnął wargi.

- Mogę powtórzyć. - Uśmiechnęłam się uprzejmie. - Doskonale wiem, że pański cech prowadzi bardzo dokładne zapiski dotyczące wszystkich masowych chorób, które miały miejsce w miastach i wsiach. A poza tym każdy magomedyk prowadzi własne notatki. I nie uwierzę, że w tych papierach nie ma informacji o tym, w jakiej konkretnie części miasta wylęła się choroba. A ja dokładnie to chciałabym wiedzieć.

- Ależ panno Naren... - Na pulchnej twarzy Karchena pojawił się wyraz głębokiego żalu.

- Obawiam się, że tym razem naprawdę nie będę w stanie wiele pomóc. Epidemia zaczęła się niespodziewanie i nikt jeszcze nie miał czasu systematyzować notatek! Chyba żeby odpytać wszystkich magomedyków...

Na jego wargach pojawił się wredny uśmieszek. Prawie niezauważalny, niemniej go dostrzegłam. Czyli pan Karchen bardzo przejmował się faktem, że ani on, ani jego koledzy nie rozpoznali na czas choroby znacznie groźniejszej niż czerwona febra. Jeszcze tydzień, a może i zaczęliby podejrzewać, że coś jest nie tak, ale niestety ja ich wyprzedziłam.

Na skutek tego wiedza oraz umiejętności zawodowe magomedyków zostały całkiem słusznie podane w wątpliwość zarówno przez zwykłych obywateli, jak i, co gorsza, przez Jego Królewską Mość. A teraz ktoś, na przykład ja, musiał za to zapłacić. Tym bardziej że byłam rodzoną wnuczką starego wroga, co brzmiało jak dodatkowy dobry powód. (Swoją drogą,

trzeba będzie kiedyś zapytać dziadka, o co im poszło. Czasami miałam wrażenie, że udało mu się zadrzeć absolutnie ze wszystkimi mieszkańcami stolicy z wyjątkiem, o dziwo, najwyższych władz). Niechaj ta nachalna przedstawicielka paskudnej rodziny zedrze sobie buty, włócząc się po mieście i odpytując jednego magomedyka po drugim. Ale tym razem szanowny pan Gerwo bardzo się przeliczył i z prawdziwą przyjemnością mu to uświadomiłam.

- Panie Karchen - mój głos był suchy i pozbawiony wyrazu. - Powinien pan być świadomy, że nie mam czasu na przesłuchiwanie każdego magomedyka w tym mieście. Jak również musi pan zdawać sobie sprawę, że odmawiając wsparcia magowi-justycjariuszowi w służbie Jego Królewskiej Mości i przeciągając dochodzenie, wywołuje pan określone podejrzenia. A jeżeli pan nie rozumie, o co mi chodzi, to mogę wyjaśnić ze szczegółami.

Karchen rozumiał, widziałam to w jego uśmiechu, który nagle stał się wymuszony. Bo faktycznie, niechęć do dzielenia się nieurtajnioną informacją mogła zostać odebrana zupełnie jednoznacznie. Po prostu sam był zamieszany w tę brudną historię! Ostatecznie kto miałby bawić się niebezpieczną zarazą, jak nie magomedyk...? Jego motyw to osobna kwestia i zajmie się nią Kolegium, które w miejsce władz świeckich zajmuje się podejrzanymi o popełnienie przestępstwa magami. Gotowa byłam się założyć, że pan Karchen nie miał najmniejszej ochoty stanąć przed Kolegium jako podejrzany, choćby nawet był nieskalanie niewinny. (Jakkolwiek by był niesympatyczny, nie mogłam wystosować wobec niego uzasadnionego oskarżenia z braku zarówno dowodów, jak i poszlak). Rozumiał jednak, że bynajmniej nie żartowałam i byłam jak najbardziej skłonna załatwić mu wyborną rozrywkę w postaci długiego i męczącego przesłuchania - bo hipoteza maga-justycjariusza nadal była dla Kolegium wystarczającym powodem, by rozpocząć taką procedurę.

- Panno Naren, proszę sobie nie robić kłopotu - wykrztusił mój rozmówca. - Wszystko rozumiem... Natychmiast wydam odpowiednie polecenia i moi ludzie dostarczą pani potrzebne dane.

Ale obawiam się, że będą one nieco... mmm... nieuporządkowane...

- To nic - uśmiechnęłam się miło - umiem pracować z informacją.



Dobry mag-justycjariusz uczy się porządkować dane w zasadzie od momentu, gdy wymawia swoje pierwsze słowo. Poza tym nie był to jakiś szczególnie ciężki przypadek, wystarczyło wyobrazić sobie chociażby pogryzione przez myszy i robactwo archiwa sprzed paru wieków. A że magomedycy również mieli za sobą całkiem solidne wykształcenie, ich notatki były dostatecznie wyraźne, dokładne, zrozumiałe i mimo nadmiaru zawodowego żargonu bez trudu wyczytałam z nich co najważniejsze.

Niestety, początkowe zachorowania przeszły prawie niezauważone. Prawdopodobnie pierwsi chorzy po prostu nie zwrócili się do magomedyków, a zatem udokumentowane zostały dopiero te przypadki, gdy chorowały już całe rodziny. Zdołałam jednak zlokalizować ten rejon miasta, gdzie epidemia się rozpoczęła, a to już było coś. Następne zadanie: znaleźć w tej okolicy osobnika, który mógł być pierwotnym źródłem tyfoty. A to było równie łatwe jak odszukanie ziarenka piasku na plaży.

Zresztą miałam pomysł jak sprawę przyśpieszyć, choć trzeba było najpierw dopracować szczegóły. Po nocy spędzonej na rozmyślaniach, nad ranem miałam ułożony niezgorszy plan działania.

Powiedzmy, że osoba, do której miałam zamiar zwrócić się najpierw, pomoże mi bez żadnych pytań. Ale cała reszta wcale nie musiała być aż tak chętna do współpracy. Niestety, w naszej pięknej stolicy nie każdy obywatel

gotów był paść na kolana zdjęty nabożnym szacunkiem na dźwięk słów „niezależny mag-justycjariusz”. Założyłabym się nawet, że sporo z nich, szczególnie mieszkańców biedniejszych dzielnic, nigdy nawet nie słyszało o istnieniu takiego dziwaczego stworzenia. A właśnie tam miałam zamiar się udać. Przekonywanie miejscowych o ważności mojej osoby mogło okazać się nudne i męczące. A widok wojskowego munduru zwykle działał uspokajająco na przedstawicieli dowolnej klasy społecznej. Pozostawała kwestia zdobycia w możliwie krótkim czasie paru gwardzistów albo przynajmniej zwykłych żołnierzy. Dwóch starczy - większej ilości nie potrzebowałam, bo dwójka to tylko towarzystwo, za to trzech i więcej wygląda już zbyt solidnie, a nawet groźnie. Zwróciwszy się do Jego Królewskiej Mości, mogłam spodziewać się współpracy z jego strony, ale marne szanse, by król ograniczył się do dwójki mundurowych, natomiast zastosowania dla tuzina nie miałam. Poza tym Arneliusz nadal siedział w podmiejskiej rezydencji, więc należałoby wysłać kuriera, a potem jeszcze czekać, aż wydelegowani żołnierze dotrą do miasta...

Jak to zwykle bywa, rozwiązanie miałam tuż pod nosem. Uśmiechnęłam się mimowolnie. Z jednej strony, po raz kolejny musiałam się zetknąć z pewnym niezrównoważonym młodym człowiekiem, ale z drugiej - tym razem miał wobec mnie dług wdzięczności, więc powinien wypełniać polecenia bez szemrania. Napisałam krótki liścik, wysłałam Dima, by zaniósł go pod już znany mi adres, po czym poleciłam Rimie przygotować coś do jedzenia.

Śniadanie bardzo sprzyja działalności umysłowej i dzień dzisiejszy wcale nie był w tej kwestii wyjątkiem.

- Porucznik do pani i jeszcze jeden... ten stary... - burkliwie zameldowała Rima, zaglądając do jadalni. Jako że po odprawieniu Leli nikt nie pilnował mojego spokoju podczas posiłków, o gościach dowiadywałam się

natychmiast. - Mam wpuścić?

- Proś - rozkazałam. To by było na tyle w kwestii ciszy i spokoju przy stole. Nie mogłam przewidzieć, że porucznik okaże się aż tak gorliwy i przybędzie natychmiast po otrzymaniu mojego listu.

Załomotały wojskowe buty, w drzwiach pojawił się Laurinne. Z jakiegoś powodu kapral odrzucił moje zaproszenie, ale sądząc z odgłosów, Rima zabrała go ze sobą do kuchni.

- Dzień dobry, panno Naren - powitanie nie było wylewne.

- Dobry, dobry... - mruknęłam, nabijając fajkę i przyglądając się młodzieńcowi. Nie wyglądał najlepiej i raczej nie było to skutkiem przebytej niedawno choroby. Miał bladą, mizerną twarz i głodne oczy. A od nakrytego stołu dochodziły takie aromaty, że nawet mnie leciała ślinka. - Niech pan nie sterczy w progu, tylko siada do stołu.

- Dziękuję, panno Naren, ale jestem po śniadaniu - odparł porucznik bohatersko, chociaż było widać po nim oznaki wewnętrznej walki.

- Laurinne, nie potrafię jeść, kiedy ktoś stoi mi nad głową - burknęłam. - Dlatego ma pan przestać udawać kapryśną panienkę. W pańskim wieku drugie śniadanie na pewno nie będzie nadmiarowe. Rima!

Zresztą Rima nie czekała nawet na polecenie i sama przyniosła drugie nakrycie, po czym zmierzyła porucznika niechętnym spojrzeniem i bez słowa zniknęła za drzwiami.

Trzeba przyznać, że kierowała mną bynajmniej nie miłość bliźniego, tylko dbałość o własne interesy. Moje motywy były naprawdę banalne. Porucznik z pewnością nie miał rissa przy duszy.

Pewnie trzeba było wykupić konie oraz opłacić procent u lichwiarza, na jedzenie widocznie im zostało niewiele. O ile wiedziałam, następny żołd wypłacano za ponad dwa tygodnie, a obstawiałam, że chłopak raczej by się powiesił, niż poszedł pożyczać pieniądze od znajomych. Tyle dobrego, że

żołąd mimo wszystko dostawał regularnie. Niemniej chłopcy w jego wieku mają wilczy apetyt. Ja natomiast nie potrzebowałam towarzysza, który w każdej chwili mógł zemdleć z głodu.

Trzeba przyznać, że naprawdę próbowałam się hamować i udawać najedzonego po uszy, ale ostatecznie poddałam się i oddałam honory wspaniałej kuchni Rimy. Po serwowanym przez nią śniadaniu spokojnie można było nie jeść obiadu, a nawet kolacji, co zresztą zwykle robiłam.

- Wydaje mi się, że zrozumiałe opisałam, do czego jest mi pan potrzebny.
- Uznałam, że czas najwyższy wyklarować sprawy. - Chodzi mi wyłącznie o tę jedną rzecz: potrzebuję towarzystwa w wycieczce po mieście. Poradziłby z tym sobie dowolny osobnik w mundurze gwardzisty, ale pod ręką mam tylko pana i pańskiego kaprała. Poza tym, jeśli dobrze rozumiem, nie porzucił pan tego głupiego przekonania, że jest mi coś winien. Prawda?

Porucznik pokiwał w milczeniu głową. Kiedy siedział cicho, nie gadał od rzeczy i nie zadawał głupich pytań, znoszenie jego towarzystwa było znacznie prostsze, poczułam więc szczerą wdzięczność w stosunku do osoby, która wpoila mu, że nie wolno mówić z pełnymi ustami.

- Rozwiążemy sprawę w najprostszy możliwy sposób: usługa za usługę - ciągnęłam. - Pan i pański kaprał na parę godzin zostaniecie moimi cieniami, po czym możecie uznać, że jesteśmy kwita.

Pod paroma warunkami - dodałam, widząc, że porucznik ma zamiar coś powiedzieć. - Będzie mnie pan słuchał bez gadania, nie będzie się w nic pakował ani nie będzie podejmował żadnych działań, nie mając na to bezpośredniego rozkazu ode mnie. Rozumiemy się?

Porucznik ponownie skinął głową.

- Doskonale - stwierdziłam. - A teraz jeszcze chwilę posiedzi pan w milczeniu, ja dokończę śniadanie, po czym udamy się w pewne bardzo ciekawe miejsce.



Okolica, w jaką zaprowadziły mnie poszukiwania tajemniczego złoczyńcy (tudzież nieostrożnego badacza), była rzeczywiście jeśli nawet nie ciekawa, to przynajmniej całkiem barwna. Leżała w jednym z najbiedniejszych rejonów miasta, ściśniętym między targowiskiem, gdzie handlowali przyjezdni chłopcy oraz drobni straganiarze, a rzeką, która razem ze swoją odnogą dzieliła miasto na trzy nierówne części. Mieszkali tutaj najprzeróżniejsi ludzie, zaczynając od uboższych rzemieślników, poprzez pracujących na targu tragarzy, a kończąc na barwnej zbieraninie oszustów i innych niezbyt praworządnych obywateli. Generalnie nie polecałabym wchodzenia do Dzielnicy Targowej (nieoficjalnie zwanej Rozbójniczą) żadnemu lepiej ubranemu obywatelowi. O ile na centralnej ulicy wszystko wyglądało względnie spokojnie, o tyle w zaułkach nawet dla paru rissów można było oberwać po głowie czymś ciężkim, albo nawet dostać nożem między żebra. Wiedzieli o tym wszyscy, ale mimo to nadal bywali w tym jakże intrygującym miejscu. Niektórzy w poszukiwaniu przygód, większość po prostu z konieczności. Można tu było znaleźć wszystko lub prawie wszystko: dziwki o różnym stopniu zużycia, tanie trunki, równie tanich najemników, którzy za umiarkowane pieniądze byli gotowi do różnych rzeczy, jak również wiele innych towarów i usług, często nie całkiem legalnych. Nie potrzebowałam dziwek czy alkoholu, bez najemników mogłam przeżyć, ale za to liczyłam, że wyjdę stamtąd bogatsza o informacje.

Tymczasem od dzielnicy Targowej dzieliło mnie prawie całe miasto, a przebycie go okazało się trudniejsze, niż człowiek by się spodziewał. Mało tego, że na ulicach było pełno błota, to na domiar złego co i rusz musieliśmy objeżdżać barykady z różnych gratów, którymi mieszcuchy próbowały

odgradzać się od zarazy. Jakby tego było mało, obaj moi towarzysze dosiadali końskich szkieletów, zdobytych chyba w jakiejś mydlarni. O ile zdołałam zrozumieć ich wstydlive mamrotanie, jeszcze nie udało im się wykupić własnych koni, bo lichwiarz akurat też padł na tirocę i nie było z kim sprawy załatwić. Czyli wzięli służbowe, albo za skromną opłatą wypożyczyli te wspaniałe rumaki od właściciela jakiejś gospody. Zdążyłam już kilka razy skłąć się za to, że nie kazałam Dimowi osiodłać dla gwardzistów koni z mojej stajni, ale mimo wszystko nie jechaliśmy na koniec świata, więc nie zarządziłam powrotu. Poza tym szybkość naszej podróży miała również pewne plusy. Zdążyłam obejrzeć sobie cały ten bałagan: drzwi i okna opuszczonych domów porozwalane przez włamywaczy, kupy niewywiezionych śmieci (kto by miał do tego głowę podczas zarazy?), a nawet jeden czy dwa wypalone budynki - cud, że przy okazji nie poszła z dymem cała dzielnica. Mało przyjemny widok, chyba potrafiłam zrozumieć, czemu Arneliusz i jego rodzina nie kwapili się do powrotu z podmiejskiego pałacu.

Tu i tam wpadaliśmy na grupy strażników, od czasu do czasu mijały nas wysokie i solidne powozy z malutkimi zakratowanymi okienkami - w takich zwykle przewożono przestępców.

- Łapią grasantów - potwierdził moje wnioski kapral Iwas. - Powyłąziło ich jak karaluchów, to niechaj teraz posiedzą. Ludzie mają tragedię, a oni tylko...

Kapral machnął ręką, całą swoją osobą prezentując wstręt do rzeczonych osobników, którzy gotowi byli zarobić na czymkolwiek, nawet na plądrowaniu pustych po śmierci gospodarzy domów czy kramów. W zasadzie się z nim zgadzałam, z jedną różnicą: żywiłam głębokie przekonanie, iż złapanych na miejscu przestępstwa złoczyńców należało natychmiast wieszać. Niestety, poglądy Jego Królewskiej Mości były bardziej

humanitarne i sprowadzały się do najpierw sprawiedliwego osądzenia, a następnie uwięzienia (co w zasadzie było finansowaniem ich dalszego życia ze skarbcza) lub katorgi (przynajmniej jakiś pożytek, chociaż cokolwiek wątpliwy), a na samym końcu wspomnianego już stryczka. Niestety, pojedynczym jednostkom udawało się mimo wszystko pozostać na wolności.

Laurinne milczał, jakby nabrał wody w usta, dokładnie zgodnie z poleceniem. Ograniczał się do krótkich: „tak, panno Naren” i „rozkaz, panno Naren”, za co byłam mu niesamowicie wdzięczna.

Gdzieś przed nami załomotały buty, po czym usłyszeliśmy krzyk, niewybredne przekleństwa i na ulicy pojawił się przysadzisty brodacz w średnim wieku oraz dwójka młodzieńców. Brodacz taszczył na ramieniu niezbyt wielki, ale wyraźnie ciężki worek. Jeden z chłopaków również miał przy sobie łupy - na naszych oczach rzucił je na ziemię, rozumiejąc chyba, że z bagażem strażnikom nie ucieknie. Następnie trójka rozdzieliła się, brodacz i jeden z młodzików uciekli na lewo, do zaułka, podczas gdy drugi zamarudził przez chwilę, po czym nagle rzucił się z powrotem. Wraz z jego zniknięciem hałas przybrał na sile, po czym ucichł. Po krótkiej chwili zza węgła wyłoniło się dwóch strażników, wlokących naszego bohatera. Zmierzyłam go spojrzeniem. Gdyby nie brud i świeże zadrapania, mógłby nawet ująć za sympatycznego. Miał otwartą twarz chłopaka z dobrej rodziny rzemieślniczej, czy nawet kupieckiej. Jak to się teraz modnie mówi „szczerą i otwartą twarz”. Dziwne, że ktoś taki zajął się kradzieżą...

- Ciekawe, czego on tam szukał? - z pewnym zdumieniem zapytał kapral. Ponieważ nie miałam dobrej odpowiedzi, uznałam, że nie będę się odzywać. Ale zaraz rozwiązanie zagadki samo pojawiło się przed naszym nosem: śladem chłopaka strażnicy wlekli jeszcze jednego oberwańca, który po dokładnym obejrzeniu okazał się płci żeńskiej. A, czyli to tak... Wrócił po przyjaciółkę.

Nagle porucznik wydał zduszony okrzyk, po czym wytrzeszczył oczy na dziewczynę. Ciekawe, co do tego stopnia zdziwiło go w tej brudasce? Przyjrzałam się dokładniej: rozczochrane włosy zwisały w kłakach, prawie całkowicie zakrywając twarz. Podarta, zbyt krótka spódnica wydawała się składać z samych łąt i odkrywała gołe nogi w zniszczonych męskich butach, całe pokryte sińcami i zadrapaniami oraz posiniałe z zimna. Strażnicy niespecjalnie cackali się ze zdobyczą, w szamotaninie urwali jej rękaw koszuli, obnażając ramię, zadziwiająco kształtne, chociaż również niemożebnie podrapane i brudne. Trzeba zaznaczyć, że panna - bo teraz wyraźnie widzieliśmy, że jest ona jeszcze całkiem młoda - nie szła po dobroci. Zapierała się ze wszystkich sił, wierzgała, próbowała gryźć i klęła tak, że tragarz portowy miałby masę powodów do zazdrości. Dopiero gdy pod poplątanymi kłakami włosów koloru niemożliwego do odgadnięcia pod warstwą brudu wściekle zalśniły niebieskie oczy, w końcu ją poznałam. No ładnie!

- To przecież... - wykrztusił porucznik. - Panno Naren! To przecież pani...

- Poruczniku, chyba obiecał mi pan, że będzie niemy jak ryba - upomniałam go, bez szczególnego zainteresowania obserwując, jak strażnicy sprawnie wiążą tamtą parkę i wpychają ich do furgonu, który akurat podjechał od drugiej strony. Tymczasem kapral pokazał jednemu z mundurowych kierunek, w którym uciekła pozostała dwójka złodziei. - To proszę być cicho.

- Ale...

- Poruczniku, proszę nie wystawiać mojej cierpliwości na próbę. - Ruszyłam do przodu. - I bez pańskiej pomocy doskonale widziałam, kto to był. Przecież mówiłam, że ona nie zginie. Przy okazji zauważy pan, że przystojnego mężczyznę sobie znalazła. Chłopak wcale niczego sobie. Nie wiem co prawda, jak u niego ze szczodrością...

Laurinne przełknął przygotowane zdanie i na dłuższą chwilę zaniósł się kaszlem, a ja tylko westchnęłam. No cóż, Lela faktycznie nie zginęła. Obstawiałabym, że po wybuchu epidemii panny z przybytku, w którym ulokował ją kapral (stary służbista zameldował mi o tym, nawet nie próbując kłamać), rozpierzchły się na wszystkie strony, a może nawet w większości nie przeżyły epidemii. Tak czy siak, Lela znalazła się na ulicy i jak widać, nie zginęła. Wyglądało, jakby niewolniczy kolczyk wydarła sobie wraz z kawałkiem ucha, ale tego można się było spodziewać.

W sumie szkoda mi było jej przyjaciela, który wyglądał na chłopaka z przyzwoitej rodziny. Z drugiej strony, gdyby nie miał skłonności przestępczych, mało prawdopodobne, by zdołała tak łatwo sprowadzić go na złą drogę. A z trzeciej - ta mała paskuda potrafiła oszukać nawet mnie, co dopiero głupiego dzieciaka! I należało znaleźć sobie inny temat do rozważań, bo Lela chyba właśnie trafiła na początek końca swoich przygód.

Dalsza droga upłynęła w milczeniu, co mnie osobiście jak najbardziej odpowiadało.

Dobłą wiadomością dnia było to, że schowana w przytulnym zaułku gospoda o niewymyślnej nazwie „Trzy Kufle”, jak również jej właściciel okazali się cali i zdrowi. Co prawda ulica była przegrodzona zwałami bali, ale uprzątnięto już wąski przesmyk i dało się przejechać.

„Trzy Kufle” jak na Dzielnicę Targową były miejscem dosyć nietypowym. Po pierwsze, nie zdarzali się tu pijani w sztok marynarze z rzecznych barek czy, uchowaj dowolny boże, ponuro łypiący znad kufla rzeźnicy. Specjalnie do kontaktów z kłopotliwymi klientami właściciel trzymał kilku wykidajłów. Jeżeli ich ciężkie spojrzenie nie wystarczało do ostudzenia zapału podejrzanych osobników, zawsze istniały jeszcze psy, duże jak cielaki i bynajmniej nie jak cielaki łagodne.

Wszyscy w okolicy doskonale wiedzieli, że tatko Wałasy bez wahania

spuści te doskonale wytresowane zwierzaki z łańcucha, więc unikali wszelkich zadrażnień z karczmarzem.

Bo tatko Wałasy preferował zupełnie inny rodzaj gości niż ci tradycyjnie zalegający w rozmaitych spelunkach. Średnio zamożnych handlarzy czy też właścicieli wspomnianych już rzecznych barek, w sumie ludzi całkiem przyzwoitych. A poza tym często bywali u niego co biedniejsi studenci, zwabieni tanim, a mimo to niezgorszym piwem. Tych ostatnich tatko traktował opiekuńczo i nawet czasem zgadzał się nalać kufelek na kredyt: jego najmłodszy syn kruszył właśnie głązy nauki na uniwersytecie i bywał w domu tylko po to, by napchać brzuch na zapas. Tak więc zawsze głodni i weseli żacy w „Trzech Kuflach” mogli liczyć na ciepłe przyjęcie. Oczywiście dopóki nie wszczynali awantur. Zresztą karczmarz cieszył się szacunkiem, więc w celu zrobienia rozróby towarzystwo udawało się do jakiegoś mniej renomowanego lokalu.

Wjechaliśmy na podwórze i nieznany mi służący natychmiast rzucił się odebrać od nas konie, a w progu pojawił się tatko Wałasy we własnej osobie. Trzeba przyznać, że miał naprawdę imponującą siatkę wywiadowczą. Podejrzywałam też, że opłacał uliczne dzieciaki, które wiecznie kręciły się koło bramy, by informowały go, gdy na horyzoncie pojawiali się goście wyglądający na ważniejszych.

Każdy poczuje się mile połączony, gdy wita się go tak, jakby tylko na niego czekano, tak więc gospodarza lubiano również za podejście do klienta.

- Panno Naren! - Tatko rozpląnął się w uśmiechu i rozłożył ręce. Oczywiście nie miałam najmniejszego zamiaru się z nim obejmować, ale witał w ten sposób wszystkich. - Co też panią do mnie sprowadza?

- To samo co zwykle, panie Wałasy, to samo co zwykle - uśmiechnęłam się półgębkiem.

Za sobą usłyszałam przytłumione prychnięcie. Odwróciłam się i moim

oczom ukazał się piękny obrazek: Laurinne zastygł w nienaturalnej pozie, wyraźnie bojąc się poruszyć chociażby palcem, a dwa czarne psie nosy przeprowadzały dokładne badanie jego osoby.

- To swoi - pogonił je tatko, na co zwierzaki zostawiły porucznika, zerknęły na kaprala i podeszły do mnie przywitać się.

- A czemu one nie są uwiązane? - spytałam, głaszcząc psiny po łbach. Znały mnie doskonale i uznawały za swoją, w związku z czym mogłam sobie pozwolić na taką poufałość.

- Ot, kręcą się tu różni... - Tatko rozłożył ręce. - Wszystkich się nie upilnuje, a nic, tylko patrzą, jak by co podprowadzić. To musiałem spuścić pieski, bo one to na pewno nikogo obcego mi na podwórko nie wpuszczą. Ale, panno Naren, co też ja panią trzymam na ulicy. Zapraszam, zapraszam!

Uśmiechnęłam się i ruszyłam jego śladem do wnętrza gospody.

- P-panno Naren! - niezbyt głośno zawołał do mnie Laurinne. - Mamy tu zostać?

- Nie, pan ma iść ze mną - zdecydowałam. - Kapralu, pan niech poczeka we wspólnej sali, my tu tylko na chwilę.

Obaj gwardziści obeszli psy boczkiem, po czym weszli za mną. Kapral, dokładnie tak jak kazałam, usiadł przy stole koło okna, a ja jak zwykle przeszłam przez całą salę nierzucających się w oczy drzwi. Za nimi tatko Wałasy urządził niewielkie izdebki dla klientów, którzy musieli przedyskutować jakieś tajemnicze sprawy handlowe bez ściągania na siebie nadmiernej uwagi. W zasadzie to właśnie ci klienci stanowili podstawowe źródło dochodu gospody, a hałaśliwe studenckie kompanie we wspólnej sali robiły za całkiem skuteczny parawan.

Po wejściu do środka Laurinne wyraźnie się rozluźnił, a ja nie mogłam utrzymać języka za zębami:

- Laurinne, aż tak się pan boi psów?

- Panno Naren, nie boję się psów - burknął odważny porucznik.

- O tak, miałam właśnie przyjemność zobaczyć, jak bardzo się pan ich nie boi - prychnęłam.

- Gdyby na tym podwórzu rosło jakieś drzewo, to w jednej chwili znalazłby się pan na jego czubku.

- Bynajmniej, panno Naren. Przy takich psach wykonywanie gwałtownych ruchów nie jest wskazane - odpowiedź brzmiała cokolwiek ponuro.

- No tak, tu ma pan rację. - Uznałam, że zgłębianie tematu nie ma sensu. - Cóż, proszę się rozgościć, zaraz przyjdzie nasz gospodarz i sobie porozmawiamy.

Nie musieliśmy czekać długo, tatko osobiście przytaszczył wielgachną tacę, z której dolatywały takie aromaty, że nie można było się nie skusić mimo niedawnego sutego śniadania.

- Panno Naren, dla pani to co zwykle? - troskliwie zapytał tatko Wałasy, stawiając przede mną kufel ciemnego piwa i talerz z zakąską. - Przepraszam, nie wiem, co pan gwardzista woła, ale jestem pewien, że coś się znajdzie wedle gustu. A jak nie, to proszę słowo rzec, się zaraz zrobi!

- Pan gwardzista nie są wybredni i jedzą, co się im zaproponuje - przyhamowałam śpiesznie zapędy gospodarza. - Tym bardziej że u pana złego jedzenia nie bywa z definicji, a piwo najlepsze w całym mieście.

Tatko rozpląnął się w szerokim uśmiechu, po czym nagle przypomniał sobie, że miał przynieść jeszcze jakieś wspaniałe danie, i z zaskakującą przy jego posturze chyżością pomknął w kierunku kuchni.

Porucznik podejrzliwie badał zawartość swojego kufla.

- Laurinne, niech pan się nie waży proponować gospodarzowi pieniędzy, obrazi się śmiertelnie.

Rozumie pan? - uprzedziłam.

- Tak jest, panno Naren. - Porucznik najwyraźniej poddał się, jeśli idzie o próby rozumienia sensu moich poleceń i po prostu zaczął je wykonywać bez żadnego „ale, po co i dlaczego”. W końcu!

Moja znajomość z tatkiem Wałasym zaczęła się kilka lat temu, gdy był on głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo. Wszystkie poszlaki dosyć wyraźnie wskazywały właśnie na niego, tak więc gdyby ta sprawa przypadkiem nie przecięła się z inną, prowadzoną właśnie przeze mnie, to wisiałby sobie nad placem, osierociwszy cały tłumek krewnych. Szczęśliwie dla niego udało mi się połączyć dwa wątki w jeden, po czym bez trudu udowodniłam, że jeśli idzie o morderstwo, to był wobec prawa czysty jak świeży śnieg i został zwyczajnie wrobiony. Tatko został całkowicie oczyszczony z zarzutów i od tej pory uważał mnie za wybawicielkę, prawie że wznosił modły do mojej osoby i gotów był spełnić każdą prośbę, nie mówiąc już o takim drobiazgu, jak darmowe obiady. Zazwyczaj nie nadużywałam tych przywilejów, ale akurat w tym wypadku nie bardzo potrafiłam poradzić sobie bez tatka Wałasego oraz jego kolekcji pogłosek i plotek.

Rozmowa jak zwykle zaczęła się od wymiany uprzejmości.

- I jak u pana sprawy? - spytałam.

- A, powoli się wszystko układa. - Gospodarz pogładził się po brodzie. - Teraz ludkowie trochę dojdą do siebie, kwarantannę z miasta zdejmą, to w ogóle będzie doskonale. Bo póki co, klientów niewielu, sama pani widziała, gospoda prawie pusta.

- Nieźle pana urządziła ta epidemia - skomentowałam.

- Oj nieźle, nieźle... - Tatko spochmurniał. - Matce Noann niech będą dzięki, moi prawie wszyscy żywi, tylko młodsza synowa umarła i zostawiła trzy dzieciaczki... Ale to nic, masarz na sąsiedniej ulicy córkę ma, też owdowiała, a dobra kobieta, syn się z nią ożeni, już żeśmy się ugadali.

- A pan do tego jeszcze będzie mógł kielbasy kupować poniżej ceny rynkowej - pozwoliłam sobie na lekki docinek, ale gospodarz się nie obraził. Nie widział nic niestosownego w takim podejściu do sprawy. Jeśli się nad tym chwilę zastanowić, to ja również, ale obstawiałabym, że biednego Laurinnea mogło to zaszokować.

- Coś Grena nie widzę? - dodałam.

Gren był starym niewolnikiem, który, odkąd pamiętałam, usługiwał „szczególnym” klientom - tatko Wałasy ufał ciemnoskóremu słudze jak sobie samemu. O ile wiedziałam, Gren został dawno temu kupiony do opieki nad małym Wałasym i jako towarzysz zabaw -gospodarz pochodził z całkiem majątnej rodziny, która mogła sobie na to pozwolić. Od tamtej chwili niewolnik i jego pan byli nierozłączni. Gren był chyba dziesięć czy dwanaście lat starszy od Wałasego, ale to bynajmniej nie wadziło ich niecodziennej przyjaźni. Wałasy odziedziczył rodzinny interes i majątek, po czym kilka razy próbował uwolnić starego przyjaciela, ale ten go po prostu zbywał. Niby dokąd miałby teraz iść, skoro całe jego życie upłynęło w Arastenie? A skoro i tak zostawał z Wałasym, to co za różnica, czy jest wolny, czy nie?

- Bo Gren to umarł... - Gospodarz wyraźnie się zasmucił. - Panno Naren, taka szkoda, bo przecież choroba go nie dopadła...

- To co się stało?

- No jak co... Stary był! - westchnął Wałasy. - Przez ten tydzień to się cały czas zamartwiał, o mnie, o dzieci, to w końcu...

- Ciężko pan będzie miał bez niego - skomentowałam ze współczuciem.

- Oj tak, niełatwo - w głosie tatka brzmiał niekłamany smutek. - No dobrze, panno Naren, my tu cały czas o mnie i o mnie! A pani to do mnie pewnie z jakąś sprawą!

- No dobrze, więc przejdźmy do tematu - skinęłam głową.

Gospodarz spoważniał i nadstawił uszu.

- O ile wiem, epidemia zaczęła się w tej okolicy, prawdopodobnie gdzieś blisko rzeki - powiedziałam. - Niestety, nie mam za wiele poszlak. Muszę możliwie dokładnie ustalić miejsce, z którego rozpełzła się zaraza. Jeżeli na dokładkę uzyskam informację o tym, kto był jej pierwszą ofiarą, to tym lepiej. Pozostałe pogłoski i plotki również się przydadzą. Ot, taka zagadka.

Mimochodem pożałowałam braku Grena, który akurat w tej sprawie mógłby okazać się wyjątkowo przydatny. O ile wiedziałam, w zbieraniu pogłosek specjalizował się właśnie on.

- Zagadka, zagadka... - mruknął gospodarz, składając ręce na wystającym brzuchu. - Proszę mi dać minutkę, panno Naren, a nuż coś sobie przypomnę...

Myślenie zajęło mu bynajmniej nie minutkę, a dobre pół godziny. W tym czasie ja zdążyłam wykończyć kufel piwa, a Laurinne - swoje nerwy. Jednak zabranie go ze sobą było błędem, niechby posiedział z kapralem we wspólnej sali...

- Nad rzeką są domy do wynajęcia - oznajmił w końcu tatko Wałasy. - I to nie w całości, tylko na pokoje i kąty, komu na co starcza.

Czekałam w milczeniu, świadoma, że gospodarz jest człowiekiem drobiazgowym i zamierzał wyklądać posiadane informacje kolejno, by w końcu dojść do interesującego mnie kawałka.

- Tam się przez ostatnie dwa lata urządzili studenci - ciągnął. - I to nieźle urządzili, z pomysłunkiem, do uniwersytetu mają rzut beretem, tyle co przez most, a mieszkanie o wiele tańsze niż po bogatej stronie.

Przywołałam w pamięci mapę miasta. Faktycznie, nieźle pomyslane. W starej części miasta, gdzie znajdował się również główny korpus uniwersytetu, ceny mieszkań sięgały niebios i biedni studenci nawet nie mieli co o nich marzyć. Dokładnie tak samo sprawa miała się z Zarzeczem, gdzie, jak już wspominałam, mieszkali przeważnie zamożni i nobliwi obywatele.

Zresztą Zarzecze nie było zabudowane tak gęsto jak Stare Miasto, więc trafiały się tam prawdziwe wille z solidnymi ogrodami, podczas gdy w centrum budynki z konieczności tuliły się do siebie. Oczywiście na obrzeżach miasta kwatery były dużo tańsze niż w okolicy uniwersytetu, ale ile to trzeba czasu, żeby stamtąd gdziekolwiek dotrzeć na piechotę. To było niezłe wyjście - zebrać większe towarzystwo i zamieszkać w Targowej, odnajmując cały dom. Pewnie siedzieli sobie nawzajem na głowach, ale młodzież tak potrafi. Za to na uczelnię parę kroków, żeby dotrzeć na zajęcia wystarczy się tylko przeprowić przez odnogę rzeki i przejść kawałek miastem. A mostów ci u nas dostatek, jak również łódek.

- No więc, tuż zanim wprowadzono kwarantannę, jak zwykle bawili u mnie studenci -ciągnął gospodarz. Laurinne nadstawił uszu, widocznie również zrozumiał, że to nie są czcze gadki. - I mam wrażenie, panno Naren, że właśnie ich pani szuka, bo cały czas żartowali, że to pewnie ten zimny wiatr od rzeki taki strasznie szkodliwy dla zdrowia i trzeba się dobrze „ogrzać”, żeby choroby się nie kleiły jak do co poniektórych. Więc pewnie już ktoś wtedy chorował, ale im wiatr w głowie hula, więc póki piorun nie trzaśnie... - Tatko Wałasy machnął ręką.

W milczeniu nabijałam fajkę. To miało sens. Wilgoć i chłód od rzeki faktycznie były źródłem wielu chorób, tak więc nikt się nie zmartwił, póki nie było za późno. A poza tym studenci...

Niektórych to można nie karmić, wystarczy dać okazję do wycięcia jakiegoś numeru. Czy w ręce któregoś z nich mogła wpaść kultura tiroty? Dlaczego by nie? Miałam w życiu nieprzyjemność zetknąć się z dużo dziwniejszymi sytuacjami. Poza tym w tych domach nad rzeką przecież nie mieszkali wyłącznie studenci, więc mogli tam zawitać różni ludzie! O papiery nikt ich nie pytał, bo to w końcu nie przyzwoita gospoda, gdzie gościa się obejrzy i prawie że obwącha ze wszystkich stron.

Skoro płaci, to już wystarczy.

- A pojawiają się jeszcze ci studenci? - spytałam.

- Już od dłuższego czasu nie byli - odparł tatko Wałasy.

- Dwóch czy trzech żem widział na ulicy, ale to tyle.

- Rozumiem - westchnęłam. - No cóż, bardzo mi pan pomógł.

- Panno Naren, jak jeszcze mogę coś zrobić, to pani tylko powie! - Gospodarz złożył ręce jak do modlitwy i wbił we mnie oddane spojrzenie.

- Póki co, nic więcej mi nie trzeba - uśmiechnęłam się uprzejmie. Był znakomitym informatorem, zatem cierpliwie znosiłam jego zachwyty, które nie były zresztą szczególnie uciążliwe.

Ale wyglądało na to, że czekała mnie wycieczka do przyrzecznych dzielnic i najpierw trzeba było się do niej przygotować. Musiałam trochę dostosować plany i przede wszystkim pozbyć się gwardzistów.

Zwykli obywatele szanowali mundury, mniej lub bardziej, ale w przypadku studentów łatwo było osiągnąć efekt odwrotny do zamierzonego. Niechęć między gwardią a bracią studencką była już tradycyjnie ugruntowana. A że wyobraźnię mieli bujną, to robili wszystko, co w ich mocy, żeby dopiec odwiecznym wrogom! Czasami wychodziło śmiesznie, czasami paskudnie, ale za to nikt się nie nudził. Tym bardziej że od czasu do czasu gwardziści jednak tracili cierpliwość, zdobywali się na zemstę, i to całkiem wymyślną. Dopóki szkody nie były zbyt duże, miejskie władze przymykały oczy na rozróby, uważając, że młodzież musi się wyszaleć i jeśli nie leje się krew i nie dochodzi do podpaień, to niechaj dzieci się bawią.

Tak więc pojawienie się w tej zaimprovizowanej bursie w towarzystwie dwójki gwardzistów oznaczało zawalenie sprawy, co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. Oczywiście szkoda, że tatko Wałasy wskazał mi właśnie te okolice, a nie, powiedzmy, ulicę Rzeźniczą czy domy publiczne, ale jak się nie ma, co się lubi...

- Panowie, wasze usługi nie są mi już potrzebne - powiedziałam nawet dosyć uprzejmie, gdy tylko znaleźliśmy się z powrotem na ulicy. - Możecie wracać, dalej ruszam sama.

Kapral bez zastrzeżeń oddał honory i zawrócił konia, ale Laurinne nie śpieszył się, żeby pójść za jego przykładem.

- Czego jeszcze? - spytałam, widząc, że nijak nie może zebrać się w sobie.

- Panno Naren, niech pani pozwoli sobie towarzyszyć! - wypalił.

- Poruczniku, przecież powiedziałam, że pańskie usługi nie są mi już potrzebne -powtórzyłam cierpliwie. - Tam, gdzie się udaję, paradowanie w mundurze gwardzisty jest gwarantowanym sposobem, by oberwać zza rogu kamieniem w potylicę.

- Mundur można zdjąć - uparcie ciągnął Laurinne.

- I co, pojedzie pan w samej koszuli? Dawno pan nie miał zapalenia płuc? Niech pan nie liczy, że będę go znowu leczyć.

- Ja... tego... - W tym momencie porucznik doznał olśnienia. - Widziałem po drodze kram ze starzyzną... Panno Naren, bardzo proszę, pani poczeka chwilę!

- Czekać nie zamierzam - ucięłam. - Jak pan ma ochotę, to proszę mnie doganiać, śpieszyć mi się nie spieszy. Nie dogoni pan - to pański problem, ja pana nie zapraszałam.

I na tym się rozstaliśmy. Laurinne pogonił swoją chabetę gdzieś do tyłu, a ja ruszyłam w kierunku rzeki. Faktycznie, nigdzie mi się nie śpieszyło, tym bardziej że po drodze musiałam się nad paroma sprawami zastanowić. Nie zajęło to dużo czasu, a potem moje myśli z braku innego tematu wróciły do Laurinne'a. Ciekawe, co też porucznikowi strzeliło do głowy, że zapragnął się ze mną zabrać? Wydawałoby się, oddał ten swój głupi „dług”, to się powinien cieszyć... Może jego zdaniem konna przejażdżka po mieście i obiad

w gospodzie to zbyt mała opłata za leczenie? Całkiem prawdopodobne. Czy też - uśmiechnęłam się półgębkiem - w grę wchodziła zwykła młodzieńcza ciekawość? Bo szczerze mówiąc, szczególnie przy braku funduszy, służba w gwardii była wyjątkowo nudnym zajęciem: ani nie napijesz się z kolegami, ani sobie nie dogodzisz... A tu tajemnice, epidemie, dzielnice biedoty... Było czym sobie połaskotać nerwy. Czyli najpewniej Laurinne usprawiedliwiał się „długiem”, a w rzeczywistości miał ochotę na własne oczy zobaczyć zakończenie całej historii. Nawet jeśli sam sobie tego nie uświadamiał.

Z tyłu dobiegło mnie stukanie kopyt po bruku, po czym w polu widzenia pojawił się porucznik we własnej osobie, zawzięcie poganiający swoją szkapinę. Wyglądało na to, że w ciągu krótkiego czasu zdołał całkiem sprawnie wywrócić ten cały kram do góry nogami - bo w życiu nie uwierzę, że tak wybitne elementy garderoby mogły leżeć gdziekolwiek na widoku! Laurinne miał na sobie połataną skórzaną kurtkę, jakie zwykle noszą najemnicy. Trzeba faktycznie mocno się postarać, żeby doprowadzić tego typu odzież do stanu, w którym wyglądała na zrobioną z zamszu. Poza tym kapota była na niego wyraźnie za duża. Szerokie spodnie założył chyba wprost na swoje mundurowe i nie podjęłabym się opisanie ich, bo do tego trzeba by literata w rodzaju neira Szlossa. Całą kompozycję wieńczył kapelusz, którego słowem nie opiszesz, pędzlem nie odmalujesz. Trudno o lepszy sposób, żeby ściągnąć na siebie uwagę całej okolicy!

- Jeszcze powinien pan sobie dokleić sztuczną brodę - powiedziałam z sarkazmem, podziwiając stracha na wróble, w którego zamienił się zwykle schludny i zadbany porucznik. - I brak panu przepaski na jedno oko.

Laurinne zaczerwienił się jak burak, a ja odczułam coś w rodzaju litości.

- Ostatecznie może być. Ale niech pan wyrzuci ten koszmary kapelusz. I podwinie rękawy, bo cały czas je pan podciąga! Poza tym proszę bardziej nasunąć spodnie na cholewki, bo te pana buty wyglądają zbyt mundurowo.

O, bardzo dobrze...

Po tych drobnych poprawkach Laurinne przybrał wygląd młodzieńca, który już dawno solidnie osiadł na mieliźnie, próbował zostać najemnikiem, ale utknął w okolicach pierwszej napotkanej karczmy. Nie był to towarzysz, jakiego powinna mieć przyzwoicie ubrana kobieta, ale wielkiego wyboru nie miałam.

Droga do celu upłynęła nam w milczeniu. Rozmyślałam o obecnej gwardii. Nie były to myśli szczególnie budujące. Kiedyś, dawno temu, była ona elitarna, a gwardzistami zostawali najlepsi z najlepszych. Z upływem lat powolutku stała się czymś w rodzaju przechowalni dla bogatych smarkaczy, którzy potrafili wyłącznie zgrabnie nosić mundur, walczyć w pojedynkach, spożywać niesamowite ilości alkoholu oraz brawurowo uganiać się za kobietami. Na placu boju ci „wojacy” mieli wartość zerową, co stało się oczywiste już podczas pierwszej kampanii, w której ta zreformowana gwardia wzięła udział. Może i w jej szeregach znaleźli się jacyś utalentowani żołnierze, ale w zdecydowanej mniejszości.

Za rządów Arneliusza sytuacja nieco się poprawiła. Zwykli gwardziści byli rekrutowani jak normalni żołnierze, może tylko szukano bardziej postawnych i nieco bardziej inteligentnych. Kaprale i sierżanci zwykle awansowali z szeregowców, ale za to oficerowie byli szlachcicami. Poruczników w gwardii było niewiele mniej niż szeregowców, a większość nigdy w życiu nie miała okazji do wydawania rozkazów własnemu oddziałowi z uwagi na kompletny brak talentów w tym kierunku.

(Akurat tutaj Laurinne budził moje zdziwienie, bo z żadnej strony nie wyglądał na człowieka, któremu można powierzyć choćby i dziesiątkę żołnierzy. Ale z drugiej strony miał rozsądnego i doświadczonego kaprała). Niektórym udawało się zrobić karierę i oszłamiająco awansować na sam szczyt, a inni przez całe życie zostawali z posiadany już stopniem i wcale

nie uznawali tego za coś uwłaczającego. Tym sposobem na dworze można było spotkać zarówno siwego jak gołąbek porucznika, jak i całkiem młodego generała. Mimo wszystko królewscy gwardziści cieszyli się niesłabnącą miłością ludu, a w szczególności kobiet dowolnego wieku i warstwy społecznej. Wyjątek od reguły stanowili tylko studenci, ale oni ponoć mieli swoje powody, ginące w pomroce dziejów.

Poza tym gwardia nadal uchodziła za elitę wojskową, chociaż tytuł ten był cokolwiek zdewaluowany.

Osobiście uważałam, że warto byłoby przetrzepać całość od góry do dołu i pogonić nierobów do ich majątków, ale Arneliusz na razie nie spieszył się do wykonywania tak radykalnych kroków, wykorzystując rzeczonych nierobów na tysiąc i jeden sposobów. Na przykład wysyłał do eskortowania jakichś ważnych osobistości. Z jednej strony, taki gość czuł się mile połączony, a z drugiej, dawało to jakieś zajęcie gwardzistom.

Moja kobyła prychnęła z niezadowoleniem, wrywając mnie z rozmyślań. Chyba byliśmy już na miejscu. Trzeba przyznać, że okolica była nieszczerólnie sympatyczna, rzeka bynajmniej nie pachniała różami, z rynsztoków dolatywały jeszcze gorsze aromaty, a w uliczkach było tak ciasno, że dwa konie ledwo mogły się wyminąć. Laurinne jak zwykle nie miał szczęścia i prawie trafił pod strumień pomyj, które ktoś wylał na ulicę wprost z okna. Na wszelki wypadek przesunął się bliżej środka ulicy, ale to dla odmiany wywoływało wyraźne niezadowolenie osób jadących ku nam z naprzeciwka, a porucznik usłyszał o sobie wiele ciekawych rzeczy.

ROZDZIAŁ 7

Psiarz

Interesujące nas domy stały nad samym brzegiem rzeki i od zewnątrz wyglądały wcale przyzwoicie. Zapewne raz na jakiś czas malowano je na koszt państwa, aby nie raziły widokiem obdrapanych ścian przepływających obok handlowców. Ewentualnie miejscowej arystokracji na spacerowych łódeczkach.

Chociaż chciałabym zobaczyć dziwoląga, mającego ochotę powiosłować właśnie tutaj - na tym odcinku rzeka niosła wszystkie ścieki kanalizacyjne i przemysłowe! Magistrat zabraniał wylewania nieczystości do wody, ale bez większych skutków - każdego łamiącego zakaz trzeba by najpierw złapać za rękę. Kolegium już od wielu lat obiecywało opracować jakieś filtry do wody, tylko nijak nie mogło się do tego zabrać. Tymczasem ludzie gadali, że w rzece zaczynają się pojawiać ryby bez łusek, a nawet z trzema oczami.

To, że w tych trzech domach obok siebie mieszkali właśnie studenci, widać było gołym okiem.

Po pierwsze, na każdym budynku z okna zwisały „flagi” z herbem uniwersytetu, namalowanym czerwoną farbą na prześcieradłach, czy też obrusach. Po drugie, przed gmachem z lewej, wprost na czymś w rodzaju klombu który o tej porze nie zdążył jeszcze zarosnąć chwastami i ostem, spał nieogolony młodzieniec, ubrany z żebraczą elegancją, z którą umieli stroić

się wyłącznie stołeczni studenci. We śnie tulił do siebie wielką na wpół pustą flaszkę, więc obstawiałabym, że akurat jemu przeziębienie nie groziło.

Pozostali mieszkańcy nie śpieszyli się, by trafić przed me oblicze, wobec tego uznałam, że na początek musi mi starczyć materiał dostępny pod ręką.

Zsiadłam z kobyły i przekazałam wodze porucznikowi, po czym podeszłam do śpiącego studenta, rudego, piegowatego i na drugi rzut oka wcale już nie tak młodego, a w każdym razie starszego od Laurinne'a. Czyli nie pierwszorocznik, a prawie absolwent (nie tylko ja głowiłam się nad tym, jakim cudem żacy przy tak imprezowym trybie życia potrafili wynieść z tej swojej cytadeli nauki jakąś wiedzę, a potem jeszcze wybić się gdzieś i zdobyć sławę). Pochyliłam się i szturchnęłam młodziana w ramię. Zero efektu. W drugiego szturchnęłam więcej wysiłku.

- Skarbie, idź sobie... - mruknął pojednawczo, przekręcając się na drugi bok. - Jestem spłukany...

W tym momencie zrozumiałam, że metody tradycyjne nie pomogą. Rozejrzałam się, znalazłam w krzakach pustą butelkę i z rozmachu przyłożyłam nią o kamień nad uchem śpiącego. Gdyby i to nie pomogło... Ale pomogło. Tym razem pijaczyna zerwał się, jakby go kto oblał wrzątkiem, obmacał swój pękaty skarb, przekonał się, że jest on cały i zdrowy, a następnie odetchnął z wyraźną ulgą.

Dopiero potem zaszczycił mnie spojrzeniem.

- A pani to kto? - spytał ze zdziwieniem. - Jak po pieniądze, to przecież zapłaciliśmy na miesiąc do przodu. Czy to było poprzednim razem...?

- Nie po pieniądze - uspokoiliam go. - Szukam tu kogoś.

- To w takim razie szanowna pani dobrze trafiła! - ucieszył się, stanął na nogach, delikatnie ulokował flaszkę na klombie i całkiem zgrabnie się uklonił. - Gannis Waisz do usług pani... eee?

- Naren - odparłam i z satysfakcją zanotowałam kompletny brak reakcji

na dźwięk mojego nazwiska. Doskonale.

- Czyli pani Naren... - Gannis skinął głową. - A kogo pani szuka i po co? Ktoś pani córkę ukrzywdził czy coś?

- Panna. I raczej coś. - Mimowolnie się uśmiechnęłam. - Panie Waisz, a może byśmy się przenieśli do jakiegoś bardziej przytulnego miejsca?

- Dobra myśl - zgodził się student i ulokował butlę pod pachą. - Proszę do domu. Co prawda mamy tam bałagan i ogólny chlew, ale za to ciepło. Tak więc zapraszam uprzejmie, chyba że się pani boi karaluchów!

- Laurinne, chodźmy - zarządziłam.

- Proszę przywiązać konie tutaj - poradził Gannis. - Nikt nie ruszy, to nasz teren. Wszyscy wiedzą, że jak ktoś coś ukradnie, to znajdziemy i powyrywamy rączki...

Karaluchy faktycznie czuły się w studenckim lokum jak w raju. Para rudych gigantów ulokowała się wprost na stole. W zamyśleniu poruszały wąsami i pewnie obgadywały między sobą nieproszonych gości. Student zdradzającym doświadczenie gestem zrzucił plotkarzy na podłogę, postawił na stole swoją drogocenną flachę, po czym szarmancko zaoferował mi jedyne siedzisko w okolicy - kulawy stołek. Wyglądał, jakby kiedyś ktoś coś na niego wylał, ale akurat do takich drobiazgów mam stosunek filozoficzny, tym bardziej że cokolwiek to było, dawno już musiało wyschnąć. Sam Gannis usadowił się na niskiej leżance, która z nieznanego mi powodu zaścielona była końską derką, a porucznikowi wskazał stosik grubaśnych książek z sympatyczną koronkową serwetą na wierzchu. Laurinne nie skusił się na tę chwiejną konstrukcję i stwierdził, że woli sobie postać.

- Ja w tym domu jestem kimś w rodzaju starosty - wyjaśnił Gannis, gdy już przeprosił nas za brak poczęstunku. - Tak że mam osobne apartamenty, bez towarzystwa, jeśli nie brać pod uwagę karaluchów.

- I przy tak wspaniałych warunkach mieszkaniowych jeszcze pan śpi na

klombach? - spytałam z ironią.

- Nie potrafię odpowiedzieć, jak to mogło się stać, proszę szanownej pani. - Gannis rozłożył ręce. - Pamiętam, że wracałem do domu, ale widać nie dotarłem. Najważniejsze, że jej nie rozbiłem...

- Co pan tam ma? - Byłam autentycznie ciekawa. - Ortę?

- Co też pani, jaką ortę?! - We wzroku studenta płonęło święte oburzenie.
- Płynny ogień!

Chemicy prosili, żebym dla nich znalazł, a ja zdobyłem i nawet doniosłem. Dobrze, że nie rozbiłem po drodze, boby się to skończyło pożarem.

Zanotowałam w myśli, że jeśli przyrzeczne dzielnice nagle i niespodziewanie się spalą, to będę wiedziała, gdzie szukać winnego, po czym zarządziłam:

- Panie Waisz, wróćmy do tematu.

- Wróćmy - radośnie zgodził się student. - Ale bardzo bym prosił bez tego „panawaisza”, bo się czuję jak na egzaminie! Pani chyba mówiła, że kogoś szuka? Co on takiego zmajstrował?

- Gannis, niech się pan nie śpieszy - poprosiłam. - Po kolei. Czyli jest pan starostą w tym domu?

- W tym byłem przedtem - pokiwał głową - ale teraz pilnuję też pozostałych, bo tamci starostowie niedawno pożegnali się z tym okrutnym światem, a lud się nijak nie może zebrać i wybrać nowych.

- Zmarli w czasie epidemii? - Uniosłam brew.

- Ano... Nie mamy pieniędzy na magomedyków, tak że sporo umarło. Ale za to teraz przynajmniej każdy ma własne łóżko.

Laurinne prychnął z oburzeniem.

- Ale z drugiej strony - gospodarz nie wyglądał, jakby się tym przejął -

płacić też nie ma kto, więc trzeba będzie szukać nowych lokatorów.

- Dobrze, to tyle już wiem - kontynuowałam. - Czyli zna pan wszystkich tutejszych mieszkańców?

- Chyba tak - odparł student po krótkiej chwili namysłu. - Z naszych domów znam wszystkich, jak nie z imienia, to z twarzy, a sąsiadów też często widuję.

- A czy przypadkiem na krótko przed wybuchem epidemii nie pojawił się w okolicy ktoś nowy? - spytałam.

- Oj, coś pani zadaje za dużo pytań. - Gannis przymrużył oko. - Prawie jak ktoś ze śledczego...

- Prawie ma pan rację - odparłam chłodno - ale nie mam honoru pracować w urzędzie śledczym.

Niech pan mnie uważa za prywatnego detektywa.

- Hmm... - zamyślił się. - Detektywów wynajmują zwykle ludzie niezbyt biedni... A my musimy jakoś zapłacić czynsz...

- Dobrze wynagradzam za informację - odparłam. - Ale podkreślam, za informację, a nie za puste gadanie.

- Czyli można uznać, że dobiliśmy targu - mruknął student.

- I pan wyda swojego? - Uniosłam brew.

- Jeśli był tak głupi, by się pakować w podejrzone sprawy i może za sobą pociągnąć pozostałych, to wydam - odpowiedź brzmiała całkiem poważnie. - Niech pani już pyta, nie ma co przeciągać.

- Dobrze... - Na chwilę zamilkłam. - Na początek niech mi pan powie, czy w tej okolicy ludzie zaczęli chorować, zanim ogłoszono epidemię czy już po tym?

- Żebym to ja pamiętał... - Student podrapał się po potylicy. - Rzeka blisko, więc mamy mokro i zimno, cały czas komuś leci z nosa. Poza tym... -

Wyglądał na zmieszanego. -Wszystkich się nie upilnuje. Jeden siedzi u siebie w pokoju, drugi w areszcie, jeszcze ktoś biega po mieście, a kto inny po pijaku urządza burdę... Ale w zasadzie... Chyba jednak przed kwarantanną. Właśnie! - Nagle Gannis podskoczył na swojej leżance, na skutek czego drugi stos książek, który znajdował się w pobliżu jego buta, niebezpiecznie się zachwiał. -Pamiętam! Tu niedaleko jest piekarnia, a piekarz miał małą córeczkę. Pamiętam, jak jej matka przychodziła do naszych medyków prosić o coś na przeziębienie, mówiła, że z małą coś niedobrze. Nasi mają dobre serce, to poszli, zrobili jakiś dekokt... Ale nie pomogło. Potem pamiętam, że któryś z medyków zachorował. Właśnie... A tak w ogóle to by trzeba zapytać nasze panny. One nie piją tyle co my, więc powinny lepiej pamiętać co i jak. Niech pani chwilę czeka...

Gannis wyskoczył z pokoju, a po chwili wrócił z chudą i bladą dziewczyną, otuloną wielkim szarym szalem, na skutek czego panna zdecydowanie przypominała mi mola. Straciłam chwilę, by wyjaśnić jej sprawę, dziewczynina zastanowiła się i po chwili namysłu potwierdziła słowa Gannisa:

- Nie wiem, czy nasi to złapali od córki piekarza, czy nie, ale troje medyków padło od razu. Sam sobie przypomnij - zwróciła się do starosty - Gais Rzep, Janika i jej przyjaciel, Wit.

Cała trójka zmarła, mimo że nasi na nich wypróbowali chyba wszystko, co tylko mieli. A o epidemii żeśmy się dowiedzieli dopiero potem. Czyli co - spojrzała znów na mnie - wychodzi, że to od nas zaraza poszła?

- Może od was, a może i nie - odparłam w zamyśleniu, uznając, że panna-mól jest całkiem niegłupia. - Gannis, to wróćmy do mojego pierwszego pytania: czy w okolicy tuż przed tym wszystkim nie pojawił się przypadkiem ktoś nowy?

- Jakoś sobie nie przypominam. - Starosta znowu podrapał się po

czuprynie. - Bo tutaj przecież wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, jak we wsi. Ktoś nowy będzie jak na dłoni. Niezauważalnie się do nas nie wprowadzi, bo swoich to znamy wszystkich, chyba żeby ktoś przyprowadził przyjaciela czy przyjaciółkę, ale to przecież nie na długo...

- Kłamiesz - ucięła panna. - A kto przez pół roku żył z Mirą, szwaczką, jak nie ty?

- A wyście się burzyli niby?! - prychnął starosta. - Przecież póki ona tu mieszkała, to dla każdego coś uszyła. Poza tym kiedy to było!

- U nas na pewno nikt obcy się nie pojawił - odparła panna-mól, nie zwracając na niego uwagi.

- Ale za sąsiednie domy jak Gannis ręczyć nie będę, wszystkiego się nie upilnuje.

Z tymi słowami wyszła z pokoju.

- A co to był za cud natury? - spytałam.

- To? Nea Goss, od chemików - odparł student. - Koszmarna dziewczucha, mało, że strach na wróble, to jeszcze ma charakterek. Marzy jej się, że kiedyś będzie sławna. Do licha, przecież ten płynny ogień był właśnie dla niej...!

- Cóż, sądząc z oznak, nie będzie pan miał dla mnie żadnych więcej ciekawych informacji - westchnęłam.

- Co wiedziałem, powiedziałem. - Gannis wzruszył ramionami.

- A to już coś - mruknęłam w zamyśleniu, jeden po drugim kładąc na stole kilka arów. - Niech mi pan jeszcze powie, jak mam znaleźć tego piekarza z chorą córką...

Nie miałam najmniejszej ochoty wychodzić z brudnego, ale ciepłego studenckiego domu z powrotem na zewnątrz, ale mus to mus. Laurinne kulił się i wyraźnie marzył w tej swojej zbyt dużej kurtce, przez którą wiatr hulał jak chciał. Ja nie marzłam, ale nie miałam ani odrobiny sympatii do obecnej pogody - nie przepadam za przenikliwym, mokrym wiatrem.

Pozostający pod wrażeniem honorarium Gannis osobiście odprowadził nas do piekarza, przez całą drogę przekonując mnie o swojej szczerzej miłości do prywatnych detektywów, ich bogatych klientów, a także zapraszając do zwracania się do niego z pytaniami o każdej porze dnia i nocy.

Zanotowałam sobie starostę w pamięci. Może studenci i są nieodpowiedzialni, ale zdarza im się bywać w najprzeróżniejszych miejscach oraz widzieć i słyszeć wiele ciekawych rzeczy. W związku z czym na niektóre pytania można od nich uzyskać naprawdę fascynujące odpowiedzi.

- To tyle, dalej nie idę - powiedział przewodnik, wskazując nam niski domek z wysokim kominem, ściśnięty pomiędzy dwoma większymi budynkami. - Piekarz jest na nas cięty, odkąd naszym się nie udało wyleczyć jego córki... Panno Naren, wszystkiego najlepszego!

- Wzajemnie. - Skinęłam mu na pożegnanie. - Laurinne, a pan czego stoi, chodźmy porozmawiać z tym całym piekarzem...

To biedne dziecko musiało się od kogoś zarazić. Tirota nie pojawia się sama przez się, to przecież nie czerwona febra. Czułam, że jestem bardzo blisko trafienia na ślad, ale niestety zdążył on już dobrze wystygnąć i miałam szczerą nadzieję, że mój nos mnie nie zawiedzie.

- Zamknięte - usłyszałam zza drzwi piekarni w odpowiedzi na pukanie.

- Urząd śledczy - powiedziałam głośno, uznając, że do rozmowy ze zwykłym praworządnym obywatelem należy przyjąć nieco inny ton niż przy dyskusji ze studentami. -Pan będzie łaskaw otworzyć.

Drzwi w jednej chwili stanęły otworem, prawie uderzając mnie w twarz. W progu zobaczyłam gospodarza, niezbyt wysokiego, szczupłego człowieczka. Za jego plecami dało się dojrzeć dorodną matronę, do spódnicy której tuliła się dwójka, może trójka dzieciaków.

- Zap-praszam, pani wejdzie... - wydukał gospodarz. - Przepraszam szanowną panią za takie powitanie, ale teraz po ulicach chodzą różne ludzie,

to się człowiek boi...

„W takim razie mogłeś mnie przynajmniej spytać o dokumenty - pomyślałam. -Zresztą nawet jakbyś spytał, to jak byś sprawdził, czy są prawdziwe?”

W taki sposób dowolny bandyta mógł twierdzić, że też jest ze śledczego i nie sposób było udowodnić mu kłamstwa.

- Jest pan świadkiem w sprawie studentów medycyny - stwierdziłam, bez zaproszenia siadając przy stole.

- J-jakich studentów? - Piekarz zamarł.

- Tutaj niedaleko mieszka większa grupa studentów - wyjaśniłam cierpliwie. - Są wśród nich przyszli lekarze czy jak pan woli: medycy. No więc, szanowny panie, ci niedouczeni kretyni prowadzili praktykę medyczną, co jest surowo zabronione. O ile mi wiadomo, pan również padł ofiarą ich nieprofesjonalnych działań. A raczej nie pan, tylko pańska córka. Zaprzeczy pan?

- Nnie! - rzucił piekarz. - Dokładnie tak!

- No to niech pan opowie ze szczegółami - rozkazałam.

- Mała gorączkowała... - Piekarz usiadł naprzeciwko mnie i wyraźnie się zasmucił. Jego żona nadal stała w rogu z rękoma złożonymi na brzuchu. - Pewno się przeziębiła. Miała szczeniaka, a on wziął i ni to się czymś struł, ni to co, a ona cały czas siedziała przy nim na dworze, to i zachorowała...

My nie jesteśmy bogaci, to nie mamy pieniędzy na dobrego medyka. Najpierw jej matka dawała zioła, ale nic nie pomagało, tylko gorzej i gorzej... To sąsiadka jej poradziła, żeby poszła do studentów, bo oni też umieją leczyć, sama od nich kupowała jakiś specyfik. - Piekarz westchnął. - To moja idiotka wzięła i poleciała tam do nich. A oni przyszli aż we trójkę, się pokłócili co to za choroba i jak ją leczyć. Zostawili dekoka, ale nic nie pomogło. Teraz córeczka nie żyje, a jedna tylko była...

- A ci tutaj to co? - zachmurzyłam się, gestem wskazując dzieciarnię kręcącą się dookoła kobiety.

- Sąsiadki dzieciaki. - Piekarz machnął ręką. - Właśnie ta cała sąsiadka, co radziła, to wzięła i umarła, a miała trójkę i bez męża. Póki co wzięliśmy do siebie, może się jakaś rodzina znajdzie. A jak nie...

- To sami wychowamy - odezwała się jego żona. - Ich matka dla mnie była jak siostra, tak więc nawet mi nie wyskakuj z przytułkiem, nie oddam!

- Cicho, głupia! - piekarz podniósł głos. Wyglądało na to, że ta dyskusja nie zaczynała się po raz pierwszy.

- Więcej nikogo obcego tu nie było? - spytałam bez większej nadziei.

Dokładnie tak samo odruchowo zadałam obowiązkowe pytania o podejrzanych nowych sąsiadów lub gości. Ale ani piekarz, ani jego żona nic nie zauważyli.

Niepewna nitka tropu urwała się i teraz czekało mnie szukanie liścia na drzewie... Na dobrą sprawę można było odpytać nawet i wszystkich mieszkańców dzielnicy, ale jaki w tym sens? Po szoku, wywołanym ostatnimi wydarzeniami, najpewniej nie przypomnę sobie nic, nawet jeśli widzieli kogoś podejrzanego, a przecież wcale nie musieli go widzieć! Albo widzieć, tylko że nie podejrzanego. Albo... Sama już nie byłam pewna!

- Panno Naren... - Póki piekarz i jego żona dalej wymieniali poglądy, Laurinne podszedł bliżej i pochylił się do mojego ucha: - Panno Naren, a pies?

- Jaki pies? - zachmurzyłam się i odwróciłam głowę, by spojrzeć na porucznika.

- Szczeniak tej dziewczynki... - przypomniał mi Laurinne. - Nie mogła się zarazić od niego?

Psy ani żadne inne zwierzęta nie chorują na tirocę, tyle to wiedziałam na pewno. Ale...

- Na co chorował szczeniak? - spytałam, przerywając kłótnię gospodarzy.
- Co? - Jedno i drugie spojrzęło na mnie bez krzty zrozumienia.
- Szczeniak - powtórzyłam. - Ten, z którym bawiła się państwa córka.
- A kto go tam wie... - Piekarz wzruszył ramionami. - To trzeba Psiarza pytać, on o psach wie wszystko.

- Jakiego Psiarza? - Czyżby kolejny trop?
- Wynajmuje kwaterę u sąsiadów - wyjaśnił piekarz.
- Dawno tu mieszka? - Byłoby miło, gdyby tym razem na końcu nici znalazło się coś wartego uwagi.

- Już kilka lat... - Piekarz spojrzęł na żonę. - Był, jak nasza mała jeszcze była w pieluchach.

Czyli ze siedem lat, a może nawet więcej.

- Kim jest i co robi? - W zasadzie przestępca wcale nie musiał być kimś obcym. Jeżeli odrzucić tę hipotezę, to... - Nazwisko?

- A kto go tam wie, kim on jest... Erlen. Nazwiska chyba nie podał, a nikt go nie pytał. Po co nam? - Piekarz podrapał się w skroń. - Chyba mówił, że go wykopali ze studentów. Przecież mówię, że on ciągle ze zwierzętami siedzi. Psy, koty... Leczy je, nawet pieniędzy za to nie bierze. Tutaj wszyscy na niego wołają Psiarz.

- Z czego żyje? - Pytanie było jak najbardziej zasadne.

- Pewnie rodzice mu co przysyłają - westchnął piekarz. - I jeszcze sobie dorabia gdzie może.

Nam czasem narąbie drew, jakoś mu pewnie na życie starcza.

- Nadal tu jest? Żyje?

- A co mu się miało stać...? Matko, wczoraj żeśmy go chyba widzieli, nie? - Piekarz spojrzęł na żonę w poszukiwaniu wsparcia.

- Widzieli - potwierdziła i znowu zastygła w bezruchu.

- Dobrze. - Wstałam. - Proszę mi wyjaśnić, jak trafić do tego Erlena. Laurinne, nie stoi pan jak słup, tylko idzie za mną, no już!

Tajemniczy Erlen mieszkał tuż obok, po drugiej stronie ulicy. Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku, która na pytanie o lokatora wskazała prowadzące do góry schody, po czym natychmiast przestała się nami interesować. Czyli Erlen często miewał gości. Zapukałam do drzwi.

- Otwarte! - Gospodarz miał całkiem przyjemny głos. - Proszę wejść!

Skorzystałam z zaproszenia i znalazłam się w dość dużym, ale niezbyt bogato urządzonym pokoju. Było tam wąskie łóżko, stół, krzesło, własnoręcznie wykonane półki na ścianie - tyle jeśli idzie o meble. Na stole stały różnorakie naczynia, które budziły pewne podejrzenia. Pachniało czymś znajomym, ale nie potrafiłam określić czym.

- Pan jest Erlen, znany także jako Psiarz? - spytałam, nie marnując czasu na powitania.

- Tak - odpowiedział gospodarz z uśmiechem. Okazał się dosyć wysokim, jasnowłosym młodzieńcem szczupłej budowy, z zadziwiająco delikatnymi jak na mężczyznę dłońmi. Nie zdziwiłabym się na wieść o jego szlacheckim pochodzeniu, nie wyglądał na kogoś z plebsu. - Coś się stało?

- Pytania będę zadawać ja! - Stałam naprzeciw Erlena, zakładając ręce za plecami. Nie miałam żadnych dowodów, ale intuicja krzyczała, że należy złapać tego uśmiechniętego chłopaczka, przyczepić się do niego jak rzep, po czym trząść nim dopóty, dopóki nie wyleci coś wartościowego.

- A pani to, przepraszam, kto? - zdziwił się.

- Flossia Naren - odparłam. - Niezależny mag-justycjariusz.

- O...! - Twarz Erlena rozpromieniła się w niemalże dziecięcym uśmiechu. - Nigdy nie widziałem żywego maga-justycjariusza... Może jednak powie mi pani, co się stało?

- Córka piekarza, pańskiego sąsiada, miała szczeniaka, który na coś

chorował. Czy może mi pan powiedzieć na co? - ciągnęłam, nie zwracając uwagi na jego pytania.

- Zjadł trutkę na szczury. - Erlen sposepniał. - Biedny piesek... Próbowałem mu pomóc, ale było już za późno.

- Co to znaczy: pomóc? Jest pan medykiem?

- Nie... Znaczy, nie mam dyplomu... - Młodzieniec zmieszał się. - Ale nie biorę pieniędzy od pacjentów, więc nie może mnie pani oskarżyć o niezgodne z prawem praktyki!

- Czyli tak pan to ujmuje - mruknęłam. - Doskonale. A jak pan leczy te zwierzęta?

- Pewne metody poznałem podczas nauki na uniwersytecie, inne sam wymyśliłem. - Ten temat stanowczo budził u gospodarza przyjemniejsze skojarzenia.

- A przy okazji, za co wyleciał pan ze studiów? - spytałam.

- Nie wyleciałem, tylko odszedłem - nachmurzył się. - Nikt mnie tam nie rozumiał, tylko się śmiali, a nawet nazywali wariatem.

„I mam wrażenie, że niezbyt się mylili” - pomyślałam, a na głos ciągnęłam odpytywanie:

- Co takiego śmiesznego widzieli w panu koledzy?

- Ja... widzi pani... - Erlen zawahał się. - Nie wiem, jak to wyjaśnić, żeby pani zrozumiała.

Kiedyś dawno miałem psa, takiego wielkiego wilczura, i bardzo go kochałem. A on złapał gdzieś kiskojad i zdechł. - Erlen podniósł na mnie przepiękne smutkiem spojrzenie. - Nigdy nie zapomnę, jak się męczył przed śmiercią... Wtedy zdecydowałem, że znajdę lekarstwo na tę chorobę! Ale na uniwersytecie nikt nie chciał mi pomóc, tylko powtarzali, że kiskojadu się nie leczy i tyle.

- I jak, udało się panu? - zaciekawiałam się. Kiskojad faktycznie był

paskudną chorobą, szczęśliwie niegroźną dla człowieka. Kiedyś uważano, że we wnętrznościach zwierzęcia zamieszkuje robak, który wyjada je od środka, stąd nazwa. Choroba ta rzeczywiście była uważana za nieuleczalną.

- Tak! Jestem pewien, że mi się udało! - Erlen znowu promieniował entuzjazmem. -Ale póki co nie miałem okazji wypróbować tego specyfiku. Znaczący... wypróbowałem na szczeniaku, bo symptomy wyglądały bardzo podobnie. A teraz wydaje mi się, że gdybym wcześniej zrozumiał, że on się tylko struł, to mógłbym go uratować.

„Jeżeli okaże się, że robiąc lek dla psów, przypadkiem wyhodowałam kulturę tiroty, to zjem swoją chustę” - obiecałam w myśli. Zdarzenie takie byłoby bardziej niż nieprawdopodobne, ale... na razie nie widziałam innej możliwości.

- Wie pani, mówi się, że klin klinem. - Erlen znowu odzyskał animusz. - Tamten pan bardzo mi pomógł...

- Jaki pan?! - prawie że zawyłam boleśnie. Ilu ta cała historia miała uczestników?!

- Pan z karczmy, tu niedaleko. Tam mu okulał koń, to zawołali mnie, żebym pomógł - wyjaśnił Erlen. - Zaczęliśmy rozmawiać, opowiedziałem mu o kiskojadzie...

Z opowieści naiwnego młodzieńca wynikało, że ów nieznajomy bardzo zaciekał się jego opowieścią, po czym poskarżył na brak czasu i dał mu jakiś specyfik, podobno wynik jego wieloletnich badań. Za młodu rzekomo próbował wynaleźć lek na wszystkie choroby, a wyszedł mu ten cały „klin”, którym można wybić chorobę, nawet groźną, ale nie każdą. Tak więc tenże miły pan, rozczarowany swoimi dokonaniem medycznymi, zobaczył w Erlenie kogoś, kto mógłby kontynuować jego misję, i tak dalej, i tym podobnie. Strasznie się śpieszył, a na kiskojadzie warto było poeksperymentować... Poza tym tajemniczy medyk ostrzegł Erlena, że dla

zdrowego człowieka jego specyfik może okazać się śmiertelnie niebezpieczny, więc przed rozpoczęciem pracy z nim koniecznie należało zażyć odtrutkę. Na wszelki wypadek.

I w tym momencie zrozumiałam, czym pachniało w pokoju! A tak się nad tym głowiłam, podczas gdy był to tylko i wyłącznie paskudny zapach środka na tirotę! Czyli co, jakiś tajemniczy mężczyzna tak po prostu i zwyczajnie podarował temu idiocie butelkę z zarazą?!

- Jak się nazywał ten człowiek i dokąd się udał? - Żeby dostać odpowiedź na to pytanie, byłam gotowa związać Erlena w supeł.

- Nie przedstawił się, a jechał... - Młodzieniec zamyślił się. - Wyjeżdżał z miasta, powiedział, że akurat był przejazdem w interesach, a teraz wraca do siebie, do Estalu.

Obawiam się, że w tym momencie moja szczęka z łoskotem wylądowała na podłodze, i kątem oka zauważyłam, że Laurinne również desperacko próbował zapanować nad wyrazem twarzy. Estal był stolicą sąsiedniego państwa, Stalwii, gdzie królował miłościwie panujący Nikkej i...

Co to mogło oznaczać? Jeżeli ów tajemniczy mężczyzna faktycznie był poddanym Nikkeja, całą sytuację można określić wyłącznie słowem „dywersja”. A jeśli nie? Jeśli... Przypomniałam sobie wcale nie tak dawne wydarzenia, kiedy zostałam porwana przez Stalwian. Wtedy uznałam, że sprawa byłaby doskonałym powodem rozpoczęcia działań wojennych, ale nie potrafiłam zrozumieć, po co i komu mogłoby to być potrzebne. A teraz bardzo podobna historia! Łatwo sobie wyobrazić, jak nasi spokojni mieszkańcy zareagują na wieść o tym, że sąsiedziomalże nie wyludnili im stolicy.

Zamieszki murowane. Stop! Skąd owi spokojni mieszkańcy mieliby poznać szczegóły? Przecież przestępca nie mógł zakładać, że zaczęł dochodzenie... Ale z drugiej strony, mogłam sobie wyobrazić tok jego myśli.

W mieście mieszkało sporo magów, więc wcześniej czy później jeden z nich musiałby jednak rozpoznać turotę, a wówczas dochodzenie byłoby nieuniknione. Poza tym, jeżeli magowie jednak okazaliby się ślepi i miasto wymarłoby prawie w całości... To wcześniej czy później gdzieś pojawiłby się Erlen, który zawczasu przyjął lekarstwo i nadal miał zapas swojego cudownego specyfiku dla psów - i kolejna epidemia gotowa. W końcu ktoś by go złapał. I na sto procent wszystkie szczegóły odnośnie pana z Estalu padłyby już na pierwszym przesłuchaniu. I wyszłoby szydło z worka...

Czyli albo prowokował nas sam Nikkej, albo jakaś trzecia strona. Jeżeli słuszna była ta druga hipoteza, to w odpowiedzi na oskarżenia z naszej strony Estal obraziłby się śmiertelnie, że wieszamy psy na ich praworządnych obywatelach. Słowo za słowo i też mogło skończyć się nieciekawie. Bo Arneliusza i Nikkeja nie łączyły aż tak dobre stosunki, jak mogłoby się wydawać z boku. A do tego Stalwianie mogli być nieco drażliwi po śmierci swojej księżniczki. Ale komu i na co to wszystko potrzebne?!

Uświadomiłam sobie, że stoję zamyślona na środku pokoju, a Laurinne i Erlen gapią się na mnie jak na jakieś zamorskie dziwadło. No dobrze, nad motywami nieznanego przestępcy można się zastanowić potem, tymczasem trzeba unieszkodliwić Erlena.

- Gdzie jest ten pana magiczny specyfik? - spytałam.

- Tutaj. Właśnie miałem zamiar sprawdzić, z czego on jest zrobiony i... - zaczął Erlen.

- Proszę mi go natychmiast oddać! - rozkazałam.

- Ale... - Młodzieniec wyglądał jak dziecko, któremu ktoś próbuje odebrać cukierka.

- Natychmiast!!! - ryknęłam.

- Pani również... - Jego brwi zaczęły uciekać do góry i wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem. - Właśnie tacy jak pani nigdy mi nie wierzyli! A

teraz chce pani zabrać to, co należy do mnie?! Po moim trupie!

Erlen rzucił się do okna. Najpierw uznałam, że ma zamiar wyskoczyć na ulicę, więc przygotowałam się, żeby łapać skoczka przy użyciu „siatki”, by przypadkiem nie rozbił się o bruk. Ale on miał inne plany. Wyciągnął skądś, chyba spod parapetu, szpadę i boczkiem ruszył do stołu, wystawiając ją przed sobą.

- Nie ruszać się! - krzyknął.

W tym momencie ostatecznie przekonałam się o jego szlacheckim pochodzeniu: broń była stara i wyraźnie bardzo droga, w zwykłym kramie takiej nie kupisz. Czyżby rodowa? Podniosłam rękę, aby rozbroić bohaterskiego badacza (szkoda tej szpady, ale cóż zrobić!), lecz wtrącił się Laurinne, który widać nudził się bez zajęcia.

- Panno Naren, czy mogę...? - Nie skończył zdania i rzucił się do przodu. Szczęknęła stal, Erlen cofnął się.

Miałam mierne pojęcie o fechtunku, ale wyglądało na to, że obaj młodzieńcy wiedzą, co robić z ostrym kawałkiem żelaza. Wyraźnie też widać było, że Erlen od dawna nie ćwiczył. Laurinne nie pozwolił mu przejść do kontrataku, a poza tym starczyło mu rozsądku, by odepchnąć przeciwnika od stołu i przycisnąć do ściany. Coś szczęknęło po raz ostatni i szpada Erlena z łoskotem uderzyła o podłogę.

- Doskonale - odparłam. - Ja bym poradziła sobie szybciej, ale całość była naprawdę bardzo widowiskowa. Niech pan zwiąże tego idiotę chociażby tamtymi prześcieradłami, a ja, póki co, sprawdzę, co on tu ma...

Butelka z kulturą tiroty znalazła się natychmiast - zdecydowanie wyróżniała się z różnej wielkości wysłużonych naczyń, których Erlen używał przy doświadczeniach. Zabrałam ją ze sobą, ale mimo to na wszelki wypadek na głucho zapieczętowałam izbę, żeby mogli ją otworzyć wyłącznie magowie z Kolegium albo ja sama. Jeżeli miało się okazać, że tirota faktycznie była

środkiem na kiszkojad, to dopiero byłby to przedni dowcip! Nie ma to jak podpalanie domu w celu pozbycia się karaluchów...

Związanego Erlena załadowaliśmy na konia - i gdybym zawczasu nie osłoniła nas zaklęciem, co najmniej połowa dzielnicy już stałaby dookoła, podziwiając widowisko. Teraz czekało mnie tylko złożenie raportu Jego Królewskiej Mości.

- ... I jeżeli jest to dywersja, to bardzo dziwna - zakończyłam przemówienie. - Mało prawdopodobne, by przestępca mógł wiedzieć, kiedy dokładnie Erlen skorzysta ze specyfiku. Miał szczęście, że pies sąsiada zatrął się kilka dni po tym, jak chłopak spotkał „pana z Estalu”. Zwierzęta nie chorują na tirotę, ale dziewczynce starczyło samego obcowania z poczęstowanym miksturą psem - pewnie polizał ją po rękach... Dalej zaczęła się reakcja łańcuchowa. Swoje domysły odnośnie powodów dywersji już Waszej Królewskiej Mości wyłożyłam.

- Zgadzam się, panno Naren, to wszystko wygląda bardziej niż dziwnie - powoli odparł Arneliusz. - Nie wydaje mi się, żeby mój królewski brat mógł sam opracować tak skomplikowany plan. Czyli jednak istnieje jakaś trzecia strona... Dziękuję. Będę musiał zastanowić się nad zaistniałą sytuacją. Bardzo mi się ona nie podoba.

- A co planuje Wasza Królewska Mość zrobić z Erlenem? - spytałam.

- Historia z „panem z Estalu” nie może ujrzeć światła dziennego - powiedział Arneliusz wymijająco.

- Niemniej jednak sporo ludzi wie, że w mieście szalała tirota, a nie czerwona febra i że z tego powodu prowadzono dochodzenie - przypomniałam mu. - Wasza Królewska Mość, przepraszam, ale przy całym moim do was szacunku nie mogę ogłosić, że zakończyło się ono niepowodzeniem.

Zaszkodzi to mojej reputacji.

- Pani reputacja jest dla nas wszystkich święta, panno Naren. - Arneliusz uśmiechnął się z przekąsem. - Ale nie trzeba będzie nic ukrywać, już mamy oskarżonego.

- Erlena? - Uniosłam brew.

- Zgadza się. Przy okazji, miała pani rację, pochodzi z bardzo dobrej rodziny. Littowie, zna pani? Najstarszy syn... Gdyby nie oszalał na punkcie psów, mógłby zostać znanym naukowcem. Ale teraz to już nieważne. Wersja oficjalna będzie brzmiała tak, że podczas swoich chałupniczych eksperymentów ten młody człowiek przypadkiem wyhodował zarazki tiryoty.

- Brednie - orzekłam, przypominając sobie, jak z braku wersji myślałam dokładnie nad tym samym. Jak również swoją obietnicę. Ale ponieważ hipoteza okazała się fałszywa, moja chusta ocalała. - Nikt w to nie uwierzy.

- Zwykli obywatele uwierzą - stwierdził Arneliusz. - I niech się kłóca, czy to możliwe, czy nie.

Jeżeli Kolegium się zainteresuje, chyba można powiedzieć im prawdę, ale bez wzmianek o Estalu. Po prostu „jakiś pan”. W tej chwili moi magowie pracują nad pamięcią tego młodego człowieka. Można być pewnym, że nazwa „Estal” w tej sprawie w ogóle nie padnie.

- I co z nim dalej? - spytałam.

- Najpewniej uda się do zakładu dla umysłowo chorych. - Arneliusz skrzywił się. - Stanowczo jest na bakier ze zwykłym światem. Może po jakimś czasie oddadzą go krewnym.

- Jeżeli zainteresuje się nim Kolegium, uznając za niebezpieczny samorodny talent, to bardzo łatwo wyciągną z niego wszystkie szczegóły odnośnie tego „pewnego pana”. I magowie Waszej Królewskiej Mości niewiele mogą zrobić, żeby im w tym przeszkodzić -zauważyłam. - Tym bardziej...

Wasza Królewska Mość jest ich całkowicie pewien?

- Kolegium Erlena Litta nie dostanie - uciął Arneliusz, pozostawiając moje pytanie bez odpowiedzi. Czyli wszystko jasne, w niedługim czasie biednego Psiarza czekał nieszczęśliwy wypadek. Albo samobójstwo.

- W takim razie, Wasza Królewska Mość, dochodzenie uznaję za zakończone. -Ukloniłam się.

- I niniejszym chciałabym się pożegnać.

- Wszystkiego dobrego. - Król skinął mi głową.

Przed powrotem do domu przespacerowałam się po parku, co okazało się nie najlepszym pomysłem - dopadł mnie tam Laurinne.

- Poruczniku, lubi pan umawiać się na randki w parku? - spytałam uprzejmie. - Już drugi raz pan tu na mnie czatuje.

- Panno Naren, przepraszam... - Porucznik jak zawsze wyglądał na stremowanego. -Chciałem tylko zapytać, co będzie z Erlenem? Stracą go?

- Nie wydaje mi się. - Kopnęłam leżący na mej drodze kamyczek. - Już ogłoszono, że jest nieporozumiany, a takich się nie wiesza. - Spojrzałam na porucznika z ukosa. - Laurinne, czy pan w ogóle zrozumiał, co się stało? Cała ta sytuacja nic panu nie przypomina?

- Tak jest, panno Naren. Ma pani na myśli... pana z Estalu?

- Niech pan raz i na zawsze zapomni ten zwrot - ostrzegłam. - W przeciwnym razie ryzykuje pan znalezienie się w jednym komfortowym pokoiku z naszym Psiarzem.

- Tak... Panno Naren, to... to samo, co się stało na jesieni? - wydukał Laurinne. - To, o czym kazała mi pani milczeć?

- Dokładnie, poruczniku, właśnie coś takiego. Tym razem Jego Królewska Mość wie o całej sytuacji. - I po co ja mu to mówię? - Mam nadzieję, że nie muszę panu dwa razy uświadamiać konieczności trzymania języka za zębami?

- Panno Naren, będę milczał... - zapewnił mnie poważnie.

- Nikt oprócz mnie i Erlena nie jest świadom pana udziału w tej sprawie - poinformowałam go.

- Ale Psiarz nie zna pańskiego nazwiska ani nie ma pojęcia, że jest pan gwardzistą. Mogłam sobie wziąć za przewodnika kogokolwiek. Rozumie mnie pan?

- Nie było mnie z panią. - Chłopak skinął głową ze zrozumieniem. Cóż to, czyżby jakieś przejawy zdrowego rozsądku?

- Właśnie. Siedział pan w domu i się nudził. Albo kręcił po ulicach i cierpiał z powodu nieodwzajemnionej miłości. Nieważne... Poruczniku, naprawdę mam pana powyżej uszu, ale tak czy siak nie chciałabym, żeby na pana głowie wylądowała jakaś przypadkowa cegła.

- Dziękuję, panno Naren - odparł Laurinne chmurnie. - Pozwoli mi pani na ostatnie pytanie?

- Proszę.

- Czy dobrze rozumiem, że Erlen nie wyjdzie z tego żywy?

Milczałam przez chwilę. Laurinne bynajmniej nie był tak głupi, jak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. I potrafił zadawać niewygodne pytania. Szczęśliwie na dokładkę do powyższych cech potrafił również milczeć albo musiałabym rozważyć, jak się go pozbyć.

- Zgadza się, poruczniku - odparłam. - Ma pan całkowitą rację.

- Bardzo mi go szkoda - przyznał się. - Wie pani, panno Naren, pani to pewnie nie zainteresuje...

Ale mógłbym być na jego miejscu. Również miałem psa, którego bardzo kochałem...

- Zdechł na jakąś chorobę? - spytałam, sama nie wiem po co.

- Nie, panno Naren, po prostu ze starości. - Laurinne z uniesioną głową popatrzył na czubki drzew, bardzo często mrugając. - A starości się nie leczy.

Ruszyłam dalej alejką, zostawiając porucznika samego. Czy dobrze zrobiłam, pozwalając, by mi wówczas towarzyszył? Nie byłam pewna... Koniec końców, o chorym psie pomyślał właśnie on. Cóż, zobaczymy, co dalej. To nawet wygodne: mieć stałego przybocznego, nie musieć za każdym razem przyzwyczajać się do nowej twarzy i pomysłów kolejnego gołowaśa, którego Jego Królewska Mość z dobroci serca odda pod moje rozkazy. Chociaż, uczciwie mówiąc, wolałabym kaprała Iwasa. Ale zupełnie inną kwestią jest to, co Laurinne mógł słyszeć, a czego nie. Już w tej chwili wiedział więcej niż Arneliusz, a to... Na razie, nie miałam powodów wątpić w jego dyskrecję, ale istnieją na tym świecie mistrzowie, którzy nawet kamień potrafiliby zmusić do mówienia. Nie, wygoda wygodą, ale chyba powinnam darować sobie dalsze kontakty z Laurinneem. Jak dla niego, starczy już tajemnic. Im mniej wie pojedyncza osoba z mojego otoczenia, tym mniej będę miała na skutek tego problemów. I ten człowiek również.

ROZDZIAŁ 8

Fortuna

Ostatecznie sporządzony przeze mnie raport spotkał się z całkiem przychylnym przyjęciem przez radę królewską, co przyniosło mi ulgę. Tym razem miałam poparcie samego Arneliusza, który gotów był w każdej chwili uciąć niewygodne pytania. Kolegium chwilowo siedziało cicho, najpewniej próbując przetrwać nieprawdopodobne informacje i osądzić, czy jakiś samouk faktycznie potrafiłby wyhodować turotę w warunkach domowych. Już niedługo powinni dojść do wniosku, że nie, i król będzie musiał poczęstować ich zawczasu przygotowaną historyjką o tajemniczym panu znikąd, po czym szybko pozbyć się Erlena. I w tym momencie pozostawali już tylko dworscy magowie, którzy pracowali nad chłopakiem. Z jednej strony, wiązała ich umowa z Jego Królewską Mością, ale z drugiej - mieli obowiązek dbać o dobro Kolegium. I można było tylko zgadywać, co wybiorą: trzymanie języka za zębami czy możliwy awans w magicznych kręgach. Najpaskudniejsze w całej sytuacji było to, że przy zdradzie jednego z nich nie było sposobu, by dojść, który to był. Inna sprawa, że Arneliusz dobrze znał swoich magów i raczej nie dopuściłby do Erlena kogoś, kogo nie byłby całkowicie pewien.

Ale tak czy siak, trochę czasu zyskaliśmy. I teraz wszystko zależało od tego, czy Kolegium miało zamiar grzebać głębiej. Wolałabym nie, ale jednak... Jednak bardzo chciałabym wiedzieć, kto stał za tymi wszystkimi

osobliwymi wydarzeniami. Nie lubię pracować z zawiązanymi oczyma, muszę rozumieć związki przyczynowo-skutkowe. A skutek widziałam, podczas gdy przyczyny nadal chowały się w mroku. Pozostawało tylko czekać w nadziei, że prędzej czy później coś się wyjaśni.



Tymczasem życie toczyło się dalej i już po paru dniach odwiedził mnie pierwszy po długiej przerwie klient, tak więc chwilowo wyrzuciłam z głowy tajemnicze spiski. Niestety, żadne ciekawsze sprawy nijak nie chciały się trafić, sama rutyna.

Nowy klient pojawił się wczesnym rankiem, musiał więc poczekać, aż raczę wstać i zjeść śniadanie. Niezależnie od powodu zmartwienia, oczekiwanie ostatecznie go dobiło.

- Czym mogę służyć? - spytałam, przyglądając się petentowi. Wyglądał na handlarza średniej klasy, sądząc z oznak niezbyt zamożnego, ale również nie biednego. W stolicy i okolicach było ich naprawdę sporo. Nie może przecież być tak, żeby wszyscy mieli wspaniale prosperować lub cierpieć biedę, musi istnieć jakiś złoty środek.

- Panno Naren, jest pani moją ostatnią nadzieją! - zakrzyknął handlarz, patrząc na mnie błagalnie. Mimowolnie się skrzywiłam - to zdanie słyszałam w ciągu swojej kariery prawie tyle razy, ilu miałam klientów, a była ich już czterocyfrowa liczba.

- Jak najbardziej wierzę - odparłam. Sądząc z wyrazu jego twarzy, powodów do niewiary mieć nie powinnam, biedak rzeczywiście był zdesperowany. - Tylko niech pan będzie łaskaw i najpierw się przedstawi! A potem opowie mi o sprawie.

- Oczywiście, przepraszam... Nazywam się Doro, Doro Limes, jestem

handlowcem... A cała sprawa jest bardzo prosta, panno Naren. Skradziono mi konie.

- Konie?! - Wytrzeszczyłam mimowolnie oczy. Jeszcze mi tylko koniokradów brakowało do pełni szczęścia! - Jest pan pewien, że trafił pod dobry adres? Może warto się przejść do śledczych?

- Od tego zacząłem. Od razu jak się zorientowałem, że zginęły, to się rzuciłem właśnie tam! - zapewnił mnie Limes. - Przyszli, patrzyli, szukali, nawet przyprowadzili psa. Ale on odmówił złapania śladu! Poza tym na ziemi w ogóle śladów niewiele, poprzedniego wieczoru padało, na ulicy pełno błocka... Znaczy, nie było śladów kopyt, bo innych to pełno. No i wtedy mi poradzili, żebym się zwrócił do pani, bo jak nie pani... - Nagle tragicznie siąknął nosem. - To mi zostaje tylko pójść i się powiesić!

- Panie Limes, jednak proszę zacząć od początku. Kim pan jest, skąd pan się wziął, co to za konie i dlaczego zamierza się pan z ich powodu wieszać?

- Panno Naren, ja handluję końmi - Doro Limes rozpoczął swoją smutną opowieść. - I czasem robię za pośrednika, ponieważ handel idzie średnio, a żyć z czegoś trzeba. No więc...

Jeżeli wyrzucić z przemowy handlarza niekończące się biadania, zostawało, co następuje: pewien ziemianin kupił kilka koni, zapłacił zaliczkę, a Limes jako pośrednik miał dostarczyć towar do nabywcy, odebrać resztę pieniędzy i po odjęciu swojej niewielkiej prowizji oddać je sprzedawcy. O ile zdołałam zrozumieć, mojemu ewentualnemu klientowi średnio wiodło się w interesach, ale był uczciwy i dobrze znany sprzedawcy. Nie po raz pierwszy świadczył tego rodzaju usługi i dlatego wybór padł właśnie na niego. Poza tym nie najgorzej znał się na koniach, doskonale sobie z nimi radził i można mu było powierzyć cenny nabytek. W stolicy był przejazdem, zatrzymał się w gospodzie, żeby rano ruszyć dalej, do nabywcy, który mieszkał gdzieś niedaleko. Nazwisko wydało mi się znajome, a po chwili przypomniałam

sobie, że chodziło o sąsiada neira Szlossa, tego, który miał niewielką hodowlę koni. Ależ ten świat jest mały! I bynajmniej nie pierwszy raz się o tym przekonywałam.

- No dobrze. Czyli zatrzymał się pan w gospodzie, konie ulokował w stajni i co dalej? - spytałam.

- Właśnie w tym problem, że nic! - Limes zmartwił się jeszcze bardziej. - Całą noc przespałem... Ech, jakbym wiedział, że tak wyjdzie, to sam bym został w stajni, ale liczyłem na Zająca...

- Jakiego zająca? - Jeszcze byłam cierpliwa.

- Zając, mój pomocnik - wyjaśnił klient. - Takie przezwisko, malutki jest, uszaty i zęby mu sterczą - zając, wypisz, wymaluj. Został w stajni, dopilnować tych ślicznotek...

- I co, nic nie zauważył?

- Przecież mówię, że zniknął, zniknął razem z końmi! - Limes wyraźnie się wzburzył. A ja naprawdę nie potrafiłam sobie przypomnieć, żeby mówił cokolwiek o pomocniku.

- Nie zastanawiał się pan przypadkiem, czy to nie ten cały Zając ukradł pańskie konie? - spytałam. - Tym bardziej że były do niego przyzwyczajone i byłyby posłuszne.

- Panno Naren, w tym momencie to ja się już zastanawiałem nad wszystkim - odparł kupiec z rozpaczą. - Ale dlaczego w takim razie stróże nic nie słyszeli ani nie widzieli, a pies nie łapie tropu?

Mówię pani, musi w tym być jakiś zły czar!

- Stróżów można przekupić, a psu zepsuć węch. - Wzruszyłam ramionami. - Ale tutaj, panie Limes, chyba dotarliśmy do najciekawszej kwestii w całej pańskiej historii. Dlaczego te pańskie konie są tak cenne, żeby z ich powodu ktoś fatygował się wyczyniać takie sztuki? Oczywiście zakładając, że faktycznie to zrobił.

- To ja nie mówiłem? - mój rozmówca wyraźnie się zdziwił. - Panno Naren, to przecież były wejreny. Sześć kobył rozplodowych... Pójdę i się powieszę!

- Niech pan z tym jeszcze chwilę zaczeka. - Byłam całkowicie poważna.

W tym momencie doskonale zrozumiałam desperację Doro Limesa. Wejreny uznawane były za najdroższe konie pod wierzch, na dokładkę warte swojej ceny. Nie uważałam się za wielką znawczynię koni, ale patrząc na wejrena niezmiennie wstrzymuję dech na widok jego urody. Zresztą konie te były nie tylko piękne, ale i szybkie, bardzo wytrzymałe i zadziwiająco mało wymagające. Mniej więcej miałam wyobrażenie, ile kosztowała rozplodowa kobyła z rodowodem, i musiałam przyznać, że interesy neira Rema naprawdę miały się bardzo dobrze, skoro mógł pozwolić sobie na zakup aż sześciu! Ciekawe, w jakim celu? Czyżby planował zostać dostawcą królewskich stajen? W sumie nikogo nie dziwiło, że Arneliusz wolał właśnie ten gatunek i tutaj nawet jego słynne skapstwo kapitulowało bez walki.

Bez większego namysłu mogłam podać kilka wersji wydarzeń. Pierwsza i najbardziej oczywista: neir hodowca uznał, że głupio byłoby płacić szalone pieniądze, skoro mógł zdobyć konie mniej uczciwym sposobem. Zastaw w tej sytuacji przepadał, ale w porównaniu z całością sumy był to drobiazg. Czy szanowny hodowca potrafiłby zorganizować kradzież? A dlaczego nie? Ale nie mógł nie rozumieć, że w pierwszej kolejności podejrzania padną na niego. Poza tym znacznie łatwiej byłoby zabrać ze sobą kilku co postawniejszych pachółków, przebrać ich za rozbójników, złapać Limesa gdzieś w drodze i odebrać konie bez kombinowania w gospodzie. Przy okazji...

- Swoją drogą, czy pan miał tylko tego pomocnika? - spytałam. - Żadnej ochrony?

- No co też pani! - Limes zamachał gwałtownie rękami. - Kto by mi na to

pozwolił?! Mam ze sobą trzech ludzi pana Witz'a i jeszcze trzech od neira Rema.

Rem to nasz koniarz, czyli Witz to sprzedawca. Hm... No dobrze, mając własnych ludzi w ochronie, neir Rem ułatwiłby sobie przejęcie koni, ale w tym wszystkim istniało jedno małe „ale”.

Potem musiałby jakoś wytłumaczyć, jak do jego stajni trafiło sześć kobył, które jakoby zostały ukradzione przez bandytów. I wątpię, że nie był tego świadom. Wejreny nie dawały się pomylić z innymi końmi, oglądający je musiałby być ślepy od urodzenia. Nie dałoby się ich również zamaskować. Poza tym ostatecznie Rem kupował je w interesach, a nie dla własnej przyjemności! Ale chyba na razie nie warto było definitywnie wyrzucać tej wersji na śmietnik, bo czasem ludzka zachłanność potrafi dawać naprawdę dziwne efekty.

- I gdzie była ta cała ochrona, gdy konie zniknęły? - Trzeba przyznać, że sprawa robiła się coraz ciekawsza.

- Pilnowali na dworze, po kolei... - Limes był niepokojony. - Jak zwykle. I nic nie widzieli ani nie słyszeli! Teraz się sami kają...

Inna wersja: konie ukradł ktoś obcy, na przykład na zamówienie. Możliwe też, że w sprawę zamieszani byli zarówno ten cały Zając, jak i niespodziewanie głusi i ślepi stróże. Istniała również wersja absolutnie fantastyczna: winien był pan Witz, który miał ochotę dostać pieniądze i zatrzymać konie. Ale należało wszystko dokładnie sprawdzić...

- No dobrze - powiedziałam po chwili namysłu do pechowego kupca. - Czy ten ktoś, kto radził panu skorzystać z moich usług, oświecił pana również odnośnie ich ceny?

Zapytany skinął głową.

- Panno Naren, mam pieniędzy tylko na trzy dni pani pracy - oznajmił ze smutkiem.

- Czyli spróbujemy rozwiązać sprawę w ciągu trzech dni. A potem się zobaczy.

Przede wszystkim poleciłam, by zaprowadził mnie do tej pechowej stajni, w której miała miejsce kradzież.

- Też pan sobie znalazł miejsce na postój! - Na widok obszarpanego szyldu z napisem „Odpocznij Sobie” i rysunkiem śpiącego grubasa, tulącego do siebie kufel i baranie udko, mogłam tylko pokręcić głową z politowaniem.

- A co? - Limes aż podskoczył.

- Teraz już nic... - westchnęłam. Ta gospoda cieszyła się zasłużoną złą sławą: cały czas działo się w niej coś niedobrego. A to powiesił się im gość, a to znów ktoś spadł ze schodów i skręcił kark...

Budynek w ciągu ostatnich sześciu miesięcy zaliczył też co najmniej trzy zaproszenia ognia. Poza tym lokalizacja... Gospoda stała tuż obok Dzielnicy Targowej, a mieszkające tam towarzystwo można było określić, delikatnie mówiąc, jako „ciekawe”. - Kto doradził panu postój w tym miejscu?

- Nikt mi nie radził, zawsze się tu zatrzymuję, gdy przyjeżdżam do stolicy - odpowiedział Limes z lekkim zdumieniem. Zmierzyłam go spojrzeniem. Hm... A może to on sam zorganizował kradzież?

Oczywiście nie dla siebie, bo co miałby począć z sześcioma wejrenami? Ale jeśli ktoś mu dobrze zapłacił... Całkiem sensowna opcja!

- No dobrze, to zajrzyjmy do stajni - westchnęłam. Dokoła nas zaczynał zbierać się tłumek i wcale a wcale mi się to nie podobało.

Bynajmniej nie zdziwiło mnie również, że zarówno na ulicy, jak i w samej stajni wszystko było wydeptane tak, jakby przespacerowało się tam całe miasto. Nic dziwnego, że pies nie potrafił złapać śladu! Chociaż Limes zapewniał, że pies był tu rano, czyli zanim pojawiła się procesja ciekawskich.

Stajnia była zaskakująco solidna, czysta i nie zawierała nic a nic ciekawego. Teraz stała tam dziesiątka najzwyczajszych koni, należących do

klientów.

- Pańskie konie stały obok siebie, czy osobno? - spytałam. Wewnątrz było sporo pustych boksów.

- Poprosiłem, żeby postawili je obok siebie - odparł Limes. - Przyzwyczyły się do siebie a jak obok były inne konie, to się denerwowały.

W stajni jako takiej nie znalazłam najmniejszych oznak magicznej interwencji. Jeżeli nawet ktoś wyprowadził stąd konie, to zrobił to najzwyczajniej w świecie - przez wrota. No dobrze, czas sprawdzić, czy na zewnątrz nie znalazłoby się coś ciekawego.

Zacząłam od rozmowy z ochroniarzami Limesa i miejscowymi stróżami. Ochroniarze jak jeden mąż okazali się zdrowymi młodymi byczkami. Mało kto odważyłby się z nimi zadzierać, a spora część ludzi miałaby obawy, żeby choćby przejść obok. Dwóch rozpoznałam - miałam okazję widzieć ich w majątku neira Rema zimą, kiedy rozwiązywałam sprawę „ducha”. Szczęśliwie nie mieli aż tak dobrej pamięci do twarzy jak ja.

Z opowieści wynikało, co następuje: dwóch ochroniarzy spokojnie odsiedziało swoją część nocy (stróżowali w parach - jeden człowiek Rema i drugi Witza, wcale rozsądnie pomyślane), po czym obudzili następną dwójkę i poszli spać. Ich zmiennicy również przesiedzieli trzy godziny na dworze, po czym na ich miejsce weszła ostatnia dwójka. Żaden nic nie widział ani nie słyszał. Znaczący, w karczmie naprzeciwko do północy trwała hulanka, czasami pies łańcuchowy dopełnił swojego obowiązku i kogoś obszczekał, ale na podwórze nikt obcy nie wszedł ani tym bardziej nie wyszedł i za to chłopcy gotowi byli ręczyć głową. Albo zawczasu bardzo dobrze się zgadali, albo w jakiś kompletnie niezrozumiały sposób faktycznie udało im się te konie przegapić. Bardzo szybko wyjaśniło się również, iż miejscowy stróż tylko udawał, że przez cały czas pilnował i nawet na chwilę nie zmrużył oka, podczas gdy tak naprawdę zalał się w trupa i całą noc przespał. W ten sposób

niejako poświadczył swoją niewinność - nikt nie potrafiłby symulować takiego kaca.

Goście również nie zauważyli niczego dziwnego, a raczej po prostu nie zwrócili uwagi. Nawet gdyby ktoś usłyszał stukot kopyt, to wątpliwe, by uznał go za coś ważnego -ostatecznie to jest gospoda, co i rusz ktoś przyjeżdża lub wyjeżdża. Gospodarz cały trzął się z przerażenia, że zaraz ktoś przyjdzie i zażąda od niego pokrycia wartości skradzionych koni. Nie potrafił powiedzieć absolutnie nic sensownego. Wydusiłam z niego tylko tyle, że oprócz Limesa i jego chłopców ani wczoraj, ani poprzedniego dnia nie było żadnych nowych gości, a dziś z rana nikt z wcześniej przybyłych nie wykazał chęci, by natychmiast lecieć gdzieś w ważnych sprawach. Niestety, tu również nie dowiedziałam się niczego pożytecznego.

Jeśli chodzi o służbę, cokolwiek rozsądnego usłyszałam tylko od kucharki, która wstała jeszcze przed świtem i zaczęła przygotowywać śniadanie. Spytana, czy w nocy przypadkiem nie słyszała czegoś podejrzanego, zastanawiała się dłuższą chwilę, aż w końcu odparła:

- Pies za bardzo szczekał. No prawda, naprzeciwko świętowali, rozeszli się późno. Ale to przecież było koło północy, a on zaczął dopiero nad ranem - to się zebrałam, żeby wstawać.

Pamiętam, wściekałam się, że mnie tak wcześnie obudził swoim ujadaniem!

- A zwykle nie szczeka w nocy? - spytałam.

- Jak ktoś będzie pukał do bramy czy popróbuje przełazić przez płot, to oczywiście, że szczeka.

- Kucharka była bardzo konkretna. - A jak ktoś sobie po prostu przechodzi, to siedzi cicho, inaczej byśmy dawno zwariowali, tutaj co i rusz ktoś łązi tam i z powrotem. Czasem bywa, że w nocy sobie świętują, ale przed świtem jest spokój: jedni dopiero co posnęli, inni jeszcze nie wstali, nie

ma na kogo szczekać.

Ciekawe. Czyli jednak jakiś ruch przy bramie był, skoro pies szczekał. Ale ludzie nie widzieli ani nie słyszeli niczego podejrzanego. Albo kłamali, albo faktycznie coś tu śmierdziało. No cóż, trzeba sprawdzić...

Jak już wspominałam, na dworze wszystko było zdeptane tak, że zwykły człowiek mógł od razu darować sobie szukanie śladów. Ale w przypadku maga to trochę inna sprawa.

Dla ignorantów moje działania musiały wyglądać cokolwiek bezsensownie: przespacerowałam się tam i z powrotem, w jednym miejscu postąpiłam chwilę w milczeniu, w innym kucnęłam, podniosłam z ziemi jakiś kamyk... Wynik badań mnie nie zaskoczył: ktoś jednak używał tu magii, przy czym bardzo ostrożnie i nawet całkiem zgrabnie. W tym momencie zyskałam też pewność w kwestii czasowej.

Sądząc ze śladów obcej magii, kradzieży dokonano właśnie przed świtem. Nie najgorzej pomyślane, jak słusznie zauważyła kucharka, to najbardziej spokojny okres, jedni jeszcze śpią, drudzy już śpią, a ochroniarze próbują podpierać oczy zapałkami. Co prawda nie posuwałabym się tak daleko, by skreślać tych ostatnich z listy winnych, ale nawet zakładając, że nie kłamali, powstały obraz wyglądał całkiem interesująco.

Byłam skłonna uznać, że sprawca przybył z zewnątrz. Sprawdziłam wszystkich gości oraz służących i byłam pewna, że nikt z nich nie miał zdolności magicznych, czyli fizycznie nie mógł być wykonawcą. Mogli w kradzieży współuczestniczyć, ale to już inna bajka i tymczasem tej wersji nie rozważałam. Czyli nasz tajemniczy ktoś poczekał na odpowiednią godzinę i dostał się do stajni. Nawet średnio uzdolniony mag może zrobić to w taki sposób, by stróże nic nie zobaczyli ani nie usłyszeli (co prawda można tego dokonać i bez pomocy magii, miałam okazję spotkać podobnych speców). Ale psa się magią nie oszuka, więc kundel zaczął szczekać. Przystępca

całkiem rozsądnie założył, że nikt nie zwróci na to szczególnej uwagi, więc po prostu wszedł do stajni i wyprowadził konie... W tym miejscu napotkałam na niewielki problem: samodzielne radzenie sobie z sześcioma końmi wcale nie było takie łatwe, a zaklęcie ich nie wchodziło w rachubę, ponieważ na konie magia prawie nie działa, a nawet jeśli działa, to często w sposób nieprzewidywalny - mogą się na przykład zbiesić i urządzić raban. Tego nasz złodziej w planach na pewno nie miał, czyli albo nie był sam, albo skorzystał z pomocy śpiącego w stajni koniucha, jak mu tam było? Zająca. Człowieka dość łatwo można skłonić do współpracy, szczególnie jak złapie się go śpiącego i nie pozwoli dojść do siebie, albo po prostu zawczasu napoi odpowiednim naparem. Ewentualnie po prostu dokona magicznej wymiany lojalności za złoto.

Fajerwerki dopiero się zaczynały. Przypuszczałam, że tajemniczy mag skorzystał z „powietrznej ścieżki”, aby wyprowadzić konie z podwórza. Banalne, a zarazem skuteczne: wprost nad powierzchnią ziemi tworzy się cienką warstwę gęstego powietrza, po której nawet można chodzić.

Wygodny sposób na poruszanie się przykładowo po błocie czy głębokim śniegu i właśnie w tym celu to zaklęcie zostało wymyślone. Co prawda akurat w tym przypadku „ścieżki” użyto, by nie zostawić śladów. Poza tym przygłuszała też tupot kopyt bez konieczności kombinowania i obwiązywania ich szmatami. Nie ma co, sprytnie pomyślane. Oczywiście złodziej nie mógł nie rozumieć, że tak niezwykłą kradzieżą zainteresują się również magowie, w związku z czym nie nadużywał „ścieżki”: za bramą gospody wszystkie ślady magii znikają całkowicie. Teraz nie musiał martwić się o psy, gdyż do momentu, gdy ktokolwiek zauważył kradzież, po ulicy zdążyło przejść tylu ludzi i przejechać tyle zaprzęgów, że w kakofonii zapachów nie połapałby się nawet najlepszy gończy. Poza tym przy tak szczegółowo pomyślanym planie złodziej mógł dodatkowo zagwarantować brak pogoni, używając jakiegoś

środką pozbawiającego psy węchu. Co jak co, ale ten specyfik wszędzie można dostać.

Aktualnie już wiedziałam, jak odbyła się kradzież. Pozostało tylko ustalić, kto jej dokonał i gdzie podziały się konie.

Byłam przekonana, że ukrywanie w mieście szóstki wejrenów nie było najlepszym pomysłem.

Zbyt rzuciły się w oczy. Z drugiej strony, próba natychmiastowego wyprowadzenia ich z miasta również mijała się z celem, bo wydawało się oczywiste, że Limes w te pędy poleci do wydziału śledczego, skąd wyjdzie zarządzenie, by sprawdzać na wyjeździe wszystkie konie tej rasy. Te właściwe powinny łatwo dać się odnaleźć po znaku hodowli. Pan Witz znaczył swoje źrebaki całkiem zmyślnie - nie tylko godłem, ale też dodatkowo kombinacją cyfr i liter, które oznaczały datę pojawienia się konia na świecie i jego przynależność do tej czy innej linii hodowlanej.

Trzymanie wszystkich koni razem było bezsensowne i niebezpieczne. Natomiast pojedynczo...

Wśród mieszkańców stolicy znalazłoby się wielu, którzy mogli pozwolić sobie na zakup wejrena, a z kolei sprawdzanie wszystkich tutejszych stajni zajęłoby masę czasu i raczej nie przyniosło wielkich efektów. Obstawiałabym też, że koniokrady miały jeszcze jakieś sztuczki w zapasie. Mogli na przykład próbować pozbyć się znaków Witza, co byłoby trudnym i ryzykownym, ale całkiem opłacalnym rozwiązaniem, szczególnie jeśli mieli przy sobie maga. Skoro nie ma godła, to niech im ktoś spróbuje udowodnić, że to właśnie ta skradziona kobyła, a nie zakupiona zupełnie gdzie indziej, w sposób całkowicie legalny!

Hmm... Czyli trzeba się pośpieszyć albo faktycznie skończy się tym, że będę przeczesywać miasto!

Nagle zauważyłam wśród gapiów znajomą piegowatą twarz.

- Hej, panie Waisz, podejdzie pan na chwilę! - zawołałam.

- Panna Naren! - Rudy student rozpląnął się w uśmiechu. - Jak widzę, pani znowu po uszy zarobiona? Znalazła pani tego, kogo szukała poprzednio?

- Znalazłam, i to nie bez pańskiej pomocy - mruknęłam.

- To może tym razem też by pani miała jakieś zagadki? - pytanie Gannisa brzmiało całkiem niewinnie. - Bo znowu czas płacić za wynajem, a nie mamy nawet połowy pieniędzy...

- Właśnie po to pana wołałam. - Z mimowolnym uśmiechem odwróciłam się do mojego klienta, który już pewnie w myślach wybierał miejsce na stryczek. - Panie Limes! Niech pan poczeka, niedługo wrócę. I niech pan póki co zaczeka z tym wieszaniem, jeszcze mi pan nie zapłacił.

Przecisnęłam się przez gruby kordon gapiów i z westchnieniem ulgi rzuciłam do Gannisa:

- Proponuję, żebyśmy usiedli w jakimś spokojnym kąciku i spróbowali pomóc sobie nawzajem.

Spokojny kącik znalazł się nawet całkiem blisko i pokrótce wyłożyłam Gannisowi istotę sprawy. Niczym nie ryzykowałam - historia tej kradzieży przekazywana była z ust do ust od samego ranka i chyba tylko głusi jej jeszcze nie słyszeli. A student mógł mi bardzo pomóc w zdobywaniu informacji.

- Czyli mówi pani, że złodzieje koni... - Gannis podrapał się po potylicy. - Tego tałająstwa jest pełno, ale, panno Naren, ani razu nie słyszałem, żeby jakiś koniokrad bawił się w czarowanie. A nawet jeśli, toby przecież o tym nie rozpowiadał, chyba że jest kompletnym idiotą...

- Niekoniecznie muszą to być opowiadki o magii - odparłam. - Może krążyły historie o kimś, kto ma większego farta niż inni. Wie pan, jak te bajeczki o słynnych złodziejach, którzy na szafocie potrafią ukraść topór katu. Coś w tym rodzaju, o mistrzach, którzy umieją ukraść konia wprost

spod generała, a on nic nie zauważy.

Student zamyślił się głęboko, ale w końcu pokręcił głową:

- Nie, panno Naren, o niczym takim nie słyszałem. Gadali, że w zeszłym tygodniu dwóch handlarzy pokłóciło się o konia i padły, niestety, dwa trupy. I o tym, jak pewien zmyślny kupiec pomalował zwykle nieujeżdżone konie w paski i sprzedał za obłędne pieniądze jako dzikie kuangi z południowych pustyń. Co prawda potem go znaleźli i wsadzili do ciupy za oszustwo. A to, co pani mówi... Nie, nic w tym stylu nie słyszałem. Może to pierwszy raz w ten sposób?

- Mało prawdopodobne, złodziej zbyt pewnie działał - odparłam z namysłem. - Raczej był na tyle inteligentny, żeby się nie obnosić ze swoimi zdolnościami. Albo, co równie możliwe, jest pierwszy raz w stolicy i póki co słuchy o nim tutaj jeszcze nie dotarły. Szkoda. Wielka szkoda...

Gannis wyraźnie sposepniał, widząc, że pieniądze przejdą mu koło nosa.

- W takim razie jeszcze coś - przypomniałam sobie. - Na pewno ma pan możliwość rozpytania miejscowych, czy nie widzieli wczesnym rankiem albo w ciągu dnia chłopaczka w wieku lat około trzynastu...

Powtórzyłam mu opis wyglądu zaginionego Zająca, jaki podał mi Limes. Sądząc z jego słów, mały miał wyjątkowo szpetną gębę, takiego z nikim nie szło pomylić. Mogłam spróbować sama go poszukać, ale jak na złość handlarz nie miał ani jednego należącego do chłopaka przedmiotu.

Smarkacz pewnie nosił cały dobytek przy sobie.

- A, to chwila, moment i załatwimy, panno Naren - ucieszył się student. - Zaraz zawołam jakiegoś dzieciaka, wyjaśnię co trzeba i w jednej chwili przeszukają całą okolicę. Ulicznicy nie lubią obcych, więc jeśli ten pan Zając gdzieś przebiegł, to powinni byli zauważyć.

Musiałam przyznać, że znajomość z Gannisem okazała się zadziwiająco pożyteczna. W ciągu kwadransa po ulicach rozpierzchnął się spory tłumek

obszarpanych chłopców i dziewczynek. Temu, kto znajdzie Zająca, obiecałam sowitą nagrodę i chętnych do poszukiwań było więcej niż trzeba. Po chwili namysłu kazałam im też, żeby zwracali uwagę również na wejreny, szczególnie w miejscach, gdzie raczej nie powinny się one znajdować, chociażby w dzielnicach biedoty. Nadzieja, że złodziej zrobi coś tak głupiego, była niewielka, ale a nuż...

Teraz pozostawało tylko siedzieć i czekać na wyniki. Gannisowi dałam parę tessów za pomoc, zatem również nie marnował czasu, obszedł wszystkich swoich znajomych i wypytał ich o ostatnie plotki. Niestety, niczego nowego się nie dowiedzieliśmy, o szczególnie fortunnych koniokradach nikt nie gadał. Czyli faktycznie ktoś zamiejscowy albo...

Albo wcale nie zawodowy, że tak powiem, koniokrad. Mógł to być całkiem zwykły mag, wynajęty wyłącznie po to, żeby uprowadzić te konkretne konie. Ubolewania godne, ale wśród naszej braci zdarzają się osobniki o niezbyt czystych rękach i bynajmniej nie jest ich tak mało.

Odpytywanie sąsiadów również nic nie dało. Dokładnie tak jak można się było spodziewać, przed świtem wszyscy mocno spali i nawet jeśli słyszeli, że ktoś przejechał ulicą, po prostu nie zwrócili na to uwagi. To w cichym Zarzeczu każdy obcy dźwięk natychmiast zostanie zauważony. W tym miejscu hałas na ulicy był traktowany z całkowitą obojętnością i mieszkańcy zatrwożyliby się raczej j, gdyby dookoła nagle zapanowała absolutna cisza.

Pod wieczór wrócili nasi młodzi poszukiwacze, ale oni również nie przynieśli pocieszających wieści. Nie widzieli nikogo nawet z grubsza podobnego do Zająca, jak również nikt o nim nie słyszał.

O czym to mogło świadczyć? Albo chłopak był rzeczywiście współnikiem złodzieja i ukrywali się razem, albo został czarami zmuszony do współpracy, i kiedy ocknął się w nieznanym miejscu, przerażony uciekł w jakiś ciemny kąt, a teraz siedzi i drży, bojąc się wyściubić nos na ulicę...

Istniała też możliwość, niestety, że jego ciało leży gdzieś na dnie rzeki. Pozbycie się świadka było dużo prostsze niż ciągnięcie go ze sobą czy próby czyszczenia pamięci. Nawet zaczarowany człowiek całkiem nieświadomie pewne rzeczy dookoła siebie zauważa. I przy odrobinie umiejętności można tę wiedzę z niego wyciągnąć. Jeśli nasz złodziej był magiem, to na pewno o tym wiedział. Jeżeli chłopak został przekupiony, a nie zaczarowany, to właściwie jego szanse były jeszcze mniejsze. Tak że najpewniej tego ranka krótkie życie Zająca dobiegło końca.

Hm... I co niby miałam z tym fantem zrobić? Kradzież i podejrzenie o morderstwo. Przy całkowitym braku podejrzanych. Co prawda można było zaczynać badanie wersji, w których podejrzanyymi byli: pan Witz, neir Rem, ochrona, sam Limes, jacyś nieznani konkurenci czy to Witza, czy Rema, dowolny miłośnik koni w samym mieście oraz jego okolicach... Jednakże taka praca wymagała sporo czasu, a ja go nie miałam. Jeden dzień z trzech już się skończył, a Limes nie miał pieniędzy, by zapłacić mi za więcej niż trzy dni pracy. Zresztą to wszystko i tak było bzdurą. Nie mogłam rzucić nierozwiązanej sprawy, nawet gdybym nie miała dostać za dochodzenie ani rissa.

Ucierpiałaby na tym moja reputacja.

Cała historia miała trochę za dużo bohaterów, a wszyscy oni razem i każdy z osobna wyglądali na całkiem praworządnych obywateli. Tak więc albo któryś z nich kłamał, albo ten bezczelny złodziej faktycznie przyszedł z zewnątrz.

Nie miałam w zwyczaju opuszczania rąk i bynajmniej nie zamierzałam tego robić. Rzuciłam kilka drobnych monet ulicznikom i kazałam, by dalej szukali Zająca, po czym postanowiłam, że rano zabiorę się za ochronę. Może i mówili prawdę, ale sprawdzenie nigdy nie szkodzi. Czekają mnie stosowanie nietradycyjnych metod przesłuchania, mimo że za nimi nie

przepadałam. Szkoda, że nie mogłam zapytać psa, który na pewno widział złodzieja, ani któregoś z pozostałych w stajni koni.

Dlaczego Kolegium, zamiast wymyślać kompletnie nikomu niepotrzebne rzeczy, nie mogło zająć się problemem wykorzystania zwierząt w charakterze świadków? Wiedziałam, że prowadzono podobne prace nad drobnymi zwierzątkami w rodzaju myszy czy szczurów, a nawet pajaków, ale, niestety, w tej sytuacji kochane pająki nie mogły mi pomóc. Te wspaniałe istoty mogły zostać wykorzystane wyłącznie jako urządzenie podglądowe, a i to nie w każdej sytuacji. Owady widzą zupełnie inaczej niż ludzie, więc żaden pająk nie mógłby mi narysować portretu przestępcy...

Pożegnałam się z Gannisem, poprosiłam Limesa, by poczekał z samobójstwem przynajmniej do jutra, po czym ruszyłam w kierunku domu. Na moście spotkałam patrol gwardii, na którego czele stał dobrze mi znany major Wislas z wydziału śledczego. Ciekawe, z jakiego powodu chciało mu się ruszyć z posterunku...?

- Dobry wieczór, panno Naren - przywitał się na mój widok. - Słyszałem, że wzięła pani tę sprawę kradzieży koni? I jak pani idzie?

- Za wcześnie, by o tym mówić - odparłam mgliście. - A panowie co tu zgubili?

Major natychmiast spoważniał.

- Raczej znaleźliśmy. Dziś rano wyłowiono z rzeki zwłoki gwardzisty. Niby tylko szeregowiec, ale sama pani rozumie... Zabójstwo.

Rozumiałam doskonale! Kara za zabicie wojskowego była bardzo surowa, a na dodatek wszystkie służby mundurowe stawały na uszach, by znaleźć winnego.

- Czy już wiadomo, dlaczego zginął? - spytałam.

- Trudno powiedzieć. - Wislas wzruszył ramionami. - Sądząc z tego, że w chwili śmierci był mocno podpity, najpewniej w pijackiej burdzie.

Obstawiałbym, że kiedy ci dranie wytrzeźwieli, uświadomili sobie, co zrobili, i postanowili, że jak najszybciej pozbędą się ciała.

Nagle ukłuło mnie niewyraźne przeczucie.

- Był w mundurze? - spytałam.

- Był - potwierdził major mrocznie. - Wie pani, nowicjusz, a ci nawet do karczmy chodzą ubrani jak na apel. Wyobraża pani sobie, ile trzeba wychłać, żeby nie rozpoznać munduru gwardzisty? Jeżeli zabójcy byli aż tak zamroczeni, dzisiaj nawet jakby chcieli, to nic sobie nie przypomną.

Milczałam. Major patrzył na mnie z nadzieją: czasami zdarzało mi się wspomagać wydział śledczy, szczególnie jeżeli w trakcie dochodzenia trafiałam na coś, co mogło ich zainteresować. W rewanżu śledczy również dzielili się ze mną informacjami i obie strony były jak najbardziej zadowolone ze współpracy.

- Majorze, mam do pana dwa pytania - odezwałam się w końcu. Ten organ, który u detektywa jest odpowiednikiem psiego węchu, wyraźnie czuł zdobycz. - Gdzie wyłowiono tego biedaka i kiedy, zgodnie z oceną eksperta, nastąpiła śmierć?

- Wyłowili go trochę poniżej Garncarskiej, zahaczył o przystań dla łódek - odparł major. - W przeciwnym razie by go poniosło dalej, sama pani wie, jaki tu prąd. Wiadomo, dlaczego ta dzielnica jest zwana właśnie Rozbójniczą. Teraz próbujemy ustalić, w jakiej karczmie pił. Nie mogła być daleko od rzeki...

- A moje drugie pytanie? - przypomniałam.

- Kiedy go zabili? - zachmurzył się Wislas. - Trup zupełnie świeży, w wodzie przeleżał krótko, więc spece z kostnicy jednogłośnie twierdzą, że gdzieś koło czwartej nad ranem, najpóźniej o piątej.

Czemu pani pyta?

- Chciałabym zerknąć na tego waszego topielca.

- Nie jest topielcem - poprawił mnie major. - Rozbito mu głowę.

- Tym bardziej! - podsumowałam entuzjastycznie.

Mój rozmówca wyraźnie nie zrozumiał mojego zachwytu, ale odeskortował mnie na miejsce. W oczywisty sposób liczył, że zdejmę z jego barków dochodzenie w sprawie śmierci tego pechowego gwardzisty. Zresztą, jeżeli moja teoria była prawdziwa, to jego nadzieje miały szansę się spełnić.

Ciało zabitego faktycznie prawie nie ucierpiało. Należało uznać to za wielki fart, zwykle wyłowione z rzeki trupy nie bywają ani pierwszej świeżości, ani zachowane w przyzwoitym stanie.

Trochę go poobdzierało o słupy przystani, o które zahaczył, ale ogólnie jego stan był bardziej niż zadowolający.

Mnie najbardziej ze wszystkiego ciekawiły powody śmierci gwardzisty. Major nie kłamał, chłopakowi faktycznie solidnie rozbito głowę, i to jednym ciosem - osoba, która go zadała, musiała być nadprzeciętnie silna. Ale po bliższym przyjrzeniu się denatowi znalazłam coś, czego przy całym swoim zawodowym przygotowaniu śledczy znaleźć nie mogli. Po prostu dlatego, że ja miałam pojęcie, gdzie szukać, a oni nie.

- Majorze! - zawołałam znużonego Wisłasa, gdy już skończyłam oględziny zwłok. - Wydaje mi się, że ten pański trup ma bezpośredni związek z moimi zaginionymi końmi.

- Mam nadzieję, że okazję do obejrzenia sobie mojego trupa będzie pani miała nieprędko - ponuro zażartował major. - Ale jeżeli mówi pani o tym biedaku, to się cieszę.

- Nawet pan sobie nie wyobraża, jak ja się cieszę - mruknęłam. - Widzi pan, te konie jak gdyby zapadły się pod ziemię. Wydaje mi się, że nasz denat coś widział i dlatego zginął.

- Czyli to nie pijacy - skonstatował major. - Już lepiej. W takim razie kto? Ten pani koniokrad?

- Najpewniej tak - skinęłam głową. - Widzi pan, czaszka tego biedaka ucierpiała już po śmierci.

- A teraz bym prosił o więcej szczegółów. - Major zachmurzył się. - Co ma pani na myśli?

- Mam już całkowitą pewność, że mój złodziej jest magiem, a nie zawodowym koniokrądem - odparłam sucho. - Świadczy o tym zarówno charakter kradzieży, jak i znalezione przeze mnie w miejscu przestępstwa ślady magiczne.

Pokrótkie przedstawiłam majorowi tok moich myśli.

- Wydaje mi się, że złodziej zabrał konie dosyć daleko od gospody. Akurat koło tego mostu, przy którym się spotkaliśmy, jest kilka spokojnych miejsc. Mam wrażenie, że chciał się pozbyć dzieciaka, bo trudno o lepszą okazję. I w tym momencie zobaczył go nasz gwardzista - zakończyłam opowieść.

- Ale on co robił koło tego mostu? - zastanowił się Wislas głośno.

- Tego się nie dowiemy - westchnęłam. - Dookoła jest pełno karczem, może wyszedł się przewietrzyć albo miał ochotę na kąpiel, pijani często miewają dziwaczne pomysły. Tak czy inaczej, złodziej został przyłapany w miejscu kolejnego przestępstwa. Muszę przyznać, że ten człowiek ma naprawdę zimną krew, bez chwili namysłu zabił człowieka w mundurze gwardzisty.

- Może to z zaskoczenia? Przestraszył się i...

- Nie. - Pokręciłam głową. - Nie jest pan magiem, więc nie mogę panu tego pokazać, ale spróbuję wyjaśnić. Ten młody człowiek zginął na skutek bardzo ukierunkowanego zaklęcia o wielkiej mocy. W odróżnieniu od zwykłej magii bojowej, działa mniej więcej w ten sposób, że zmienia w farsz tylko mózg. I zapewniam, że nie sposób stworzyć tak precyzyjnego, powiedziałabym nawet, że wręcz finezyjnego ładunku z zaskoczenia czy

przestrachu. - Odetchnęłam głębiej. - Na zewnątrz nie zostawia żadnych śladów. Więc co robi przestępca?

- Dla niepoznaki rozbija denatowi głowę kamieniem - odrzekł major ze zrozumieniem. - A kamień teraz pewnie spoczywa na dnie rzeki. No cóż, muszę przyznać, że dobrze kalkulował... Ktoś na pewno zainteresowałby się gwardzistą zmarłym z absolutnie nieznanymi przyczynami, a po znalezieniu go w tym stanie śledczy uznali, że miała miejsce pijacka burda.

- Czyli dokładnie to, co i pan pomyślał. Prawdopodobnie morderca się śpieszył, skoro nie zdarł z trupa munduru i wrzucił go do rzeki w pełnych regaliach. Prawdopodobnie liczył, że prąd wyniesie ciało poza granice miasta, a do czasu, gdy ktoś je znajdzie, będzie już w stanie takiego rozkładu, że nie da się określić prawdziwej przyczyny zgonu.

- Czyli tego chłopaczka, Zajęca, należy szukać dalej w dół rzeki - stwierdził Wislas ponuro.

- Zarządzę, żeby informowali mnie o topielcach z peryferii. A co z naszym przestępcą?

- Trzeba go łapać! - prychnęłam zgryźliwie. - Nie podoba mi się. Uczciwi złodzieje się w ten sposób nie zachowują.

- Łatwo powiedzieć „łapać”. - Major pozwolił sobie posępny uśmiech. - Skoro nawet pani nie dała rady złapać śladu...

- Nie złapałam go koło gospody - poprawiłam spokojnie. - Bo tam złodziej korzystał z magii bardzo ostrożnie i przewidział możliwość, że będzie go szukał inny mag. To świadczy o jego zdrowym rozsądku. Ale w wypadku gwardzisty chyba jednak na chwilę stracił panowanie nad sobą i popełnił błąd. Majorze, ruszamy. Trzeba przeszukać okolice mostu.

Morderca (bo teraz nie był już tylko złodziejem) popełnił duży błąd. Zabójstwo dokonane przy użyciu magii pozostawia zauważalny ślad, w związku z czym teraz miałam szansę jednak wysledzić przestępcę. Dlaczego

byłam tak przekonana, że gwardzistę zabił właśnie mój koniokrad? Każdy mag posiada swoją indywidualną „sygnaturę”, która nie daje się pomylić z podpisem kogo innego. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że „powietrzną ścieżkę” stworzyła dokładnie ta sama osoba, która zabiła gwardzistę. I gdybym nie spotkała majora i nie miała w zwyczaju wymieniać z nim informacji... Wcześniej czy później usłyszałabym o zamordowaniu gwardzisty, ale pytanie, czy powiązałabym to w jakikolwiek sposób z kradzieżą? W każdym razie zmarnowałabym cenny czas, a po złodzieju by ślad zaginął, dosłownie i w przenośni.

Na zewnątrz zrobiło się prawie całkiem ciemno i o ile w centrum paliły się uliczne latarnie, o tyle przy moście w Dzielnicy Targowej panował mrok. Na szczęście miałam płomyka-towarzysza, ale nawet bez niego bardzo szybko znalazłabym interesujące mnie miejsce, idąc śladem resztek magii. W ten sposób dotarłam do samej podpory mostu, tuż koło wody. Z daleka nic nie widać, tym bardziej przy kompletnym braku oświetlenia. Może morderca miał zamiar napoić konie, chociaż tylko ktoś nienormalny ryzykowałby pojenie bezcennych wejrenów z brudnej rzeki! Nie, na pewno pozbywał się ciała Zająca. A pijany gwardzista, który pojawił się w zupełnie niewłaściwej chwili, skomplikował mu plany.

Ciekawe, jak morderca miał zamiar dalej radzić sobie z szóstką koni? Może ktoś tu na niego czekał? Niewykluczone...

Płomyk-towarzysz świecił na tyle mocno, że mogłam rozróżnić odciski podków na ziemi. Konie do wody nie podchodziły. Zobaczyłam ślady wojskowych butów z bardzo charakterystycznym obcasem. Sądząc z oznak, biedak naprawdę solidnie się zataczał. W jednym miejscu na błotnistej ziemi zobaczyłam odcisk czegoś niedużego, było to chyba ciało Zająca. Obok ślady stóp, które prawdopodobnie należały do mordercy. Wnioskując z nich, nie był szczególnie mocno zbudowany, raczej chudy, bo nawet na wilgotnej

ziemi nie były zbyt głębokie. Ciekawe, mimo to wykazał się wcale nie małą siłą. Nie każdy potrafiłby tak rozwalić komuś głowę. Kolejne ślady... Czyli jednak ktoś na niego czekał. Ale, co było o wiele cenniejsze, pozostały tu wyraźne echa mocy po pracy maga i trzeba było podążyć za tropem, nim zupełnie zaniknie.

- Ruszamy - zarządziłam zdecydowanie i zrobiłam pierwszy krok w ciemność.

Za mną ruszyli major oraz jego podwładni. Zabraną z wydziału pies tropiący powarkiwał entuzjastycznie i próbował urwać się ze smyczy - współpraca z nim ułożyła mi się doskonale, bo jedno z nas potrafiło złapać ślad w miejscu, w którym gubiło go drugie.

Przez dłuższy czas krążyliśmy pośród krzywych chałup i starych płotów. Ta część miasta została zabudowana bez żadnego planu i zachodziłam w głowę, jakim cudem sami mieszkańcy tu nie błądzili. W końcu trafiliśmy nosami w parkan, niezbyt nowy, ale wysoki i solidny. Ponad krawędzią ogrodzenia widać było tylko dach znajdującego się za nim budynku. Na podwórzu nie było psów, bo już na pewno zaczęłyby szczekać.

- Teraz cicho... - syknęłam, zapobiegawczo gasząc płomyk.

- Ty, ty i ty - Wislas zaczął szeptać rozkazy - idziecie sprawdzić, jak to wygląda od tyłu...

Żeby nam podwórzami nie uciekł.

- Ale ostrożnie - dodałam. - To w końcu mag. Najpewniej klasyczny, ale może mieć w pogotowiu coś niebezpiecznego.

- Szanowna pani się nie martwi - odparł ktoś niewidzialny w mroku. - Nie pierwszy rok w tym fachu pracujemy...

Żołnierze rozplłynęli się w ciemności. Jeżeli przestępca będzie próbował uciekać przez jakąś tylną furtkę czy skoczy przez płot, to i tak go nie powstrzymają, ale przynajmniej będą w stanie powiedzieć, którędy pobiegł!

Brama była zamknięta od wewnątrz, ale akurat to nie stanowiło dla mnie żadnej przeszkody.

Gdy ja i major weszliśmy na podwórze, zawiasy nie ośmieliły się nawet pisnąć. Kolejna trójka podwładnych Wislasa bezgłośnie rozpięzchła się po podwórzu, a pozostali zostali z psem za bramą.

Niewielki dom, właściwie zwykła chałupa, wydawał się niezamieszkanym, ale wyczuwałam w środku czyjąś obecność. Poza tym właśnie tutaj prowadził ślad, a w tej kwestii nie mogłam się mylić.

Skądś słyhać było parskanie, co zwiastowało obecność koni -pewnie stały po drugiej stronie budynku.

W środku panowała cisza. Albo przestępca przyczaił się i próbował wciągnąć nas w pułapkę, albo okazał się na tyle pewny siebie, że po prostu zapadł w drzemkę i nie wyczuł mnie, ewentualnie uznał za część majaków sennych.

No dobrze, skoro jemu tam dobrze i ciepło, to chyba powinnam pofatygować się do środka.

- Czekajcie tutaj - poleciłam majorowi. - W razie czego... Zresztą pańscy ludzie i tak wiedzą, co robić.

Wislas bez słowa skinął głową. Jeżeli ma się ze sobą wystarczająco wielu ludzi, maga również można pokonać. Co prawda przy tej okazji najpewniej zabije on wielu atakujących. Ale jeśli uda się podejść niepostrzeżenie, to szanse znacznie się wyrównują...

Powoli ruszyłam w kierunku drzwi, próbując nie robić za dużo hałasu. Niestety, potknęłam się o jakieś graty i ponownie przywołałam płomykatowarzystę, żeby przynajmniej widzieć, gdzie stawiam nogi. Dostyc głupia to śmierć wskutek skręcenia karku na dnie jakiejś starej studni, przestępca w zasięgu ręki.

Pociągnęłam za klamkę i zardzewiałe zawiasy niechętnie się poddały.

Drzwi otwierały się na zewnątrz. Zostały od środka pomalowane na biało, i to całkiem niedawno. Z jakiegoś powodu poczułam ukłucie niepokoju i prawdopodobnie to mnie uratowało, ponieważ zrobiłam krok do tyłu, nawet zanim usłyszałam brzęknięcie cięciwy. Ciężki bełt z głuchym stukiem wbił się w drewno dokładnie w miejscu, w którym sekundę wcześniej znajdowała się moja głowa. Drugi przyszpilił tylko róg mej chusty.

- Wislas, na ulicę, szybko!!! - wrzasnęłam. - Uciekną!

Strzelano z lewej strony - tam tuliła się do płotu kolejna chałupka. Płomyk-towarzysz, posłuszny gestowi ręki, uniósł się w powietrze, oświetlając nienaturalnym światłem kilka najbliższych budynków. Z ulicy doleciał tupot butów i ochryple szczekanie psa: gwardziści rzucili się w pogoń za strzelcem. Oczywiście żadne „w imieniu króla!” w takiej sytuacji nie było specjalnie pomocne. Chyba że w celu dodania przestępcy skrzydeł...

Rozwścieczona, wdarłam się do chałupy, robiąc przy tym tyle hałasu, że nawet jeśli moja ewentualna zdobycz spała, to w tej chwili musiała zerwać się na równe nogi. Na wszelki wypadek postawiłam mocniejszą tarczę, bo jeszcze mógłby potraktować mnie tym świństwem, którym zamordował gwardzistę. A ryzykowanie bez dobrego powodu nie należy do moich ulubionych rozrywek.

- Poddaję się, poddaję! - krzyknął ktoś z najdalszego kąta. Teraz, gdy otwarcie korzystałam z magii, morderca nie mógł nie poczuć „kolegi”. Oczywiście też stało się, że byłam od niego znacznie lepsza. Chyba trafiłam na jakiś ostrożny egzemplarz... albo po prostu tchórza.

- Wyłaź - warknęłam przez zęby.

Na spotkanie wyszedł mi młody mężczyzna, ostrożnie rozglądający się dokoła. Od razu dało się określić, że był to właśnie ów mag, złodziej i morderca, którego szukałam. Takiego trzeba pilnować w dwójnasób, tchórza też można niezłe udawać...

Dokładnie tak jak myślałam, okazał się niezbyt wysoki, drobnokościsty, smagły i z daleka mógł uchodzić za chłopaczka. Jego twarz wydawała się w jakiś nieokreślony sposób obca, może z powodu rozstawienia oczu, które były wąskie i nieco skośne, a może szerokich kości policzkowych, lekko spłaszczonego nosa i grubych warg. Nie był brzydki, ale żadnym sposobem nie mógłby udawać miejscowego.

- Gadaj, jak się nazywasz! - zażądałam.

- Ludzie zwą mnie Ireo - odpowiedź brzmiała nieoczekiwanie uprzejmie.

- Ireo Szczęściarz.

- Po co ci były te konie? - spytałam gwałtownie. Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że właśnie odpowiedź na to pytanie kryła w sobie wyjaśnienie całej historii.

- Nie potrzebowałem koni. - Znów ta spokojna uprzejmość. - Potrzebował ich mój klient. A mnie wynajęto, żebym je ukradł.

- Kto cię wynajął? Imię!

- Nie znam. Wynajął mnie przez pośrednika. I to on miał zaprowadzić konie do klienta.

Pośrednik? To pewnie ten typek, który do mnie strzelał...

- Znasz jego nazwisko?

- A na co mi jego nazwisko? - Myślałby kto, że to uprzejma dyskusja o pogodzie. - On się nie przedstawił, ja nie spytałem. U nas nie jest przyjęte, by pytać o imię, jeśli człowiek sam nie chce go podać.

„Skąd żeś ty się wziął!?” - pomyślałam z irytacją. Mówił z osobliwym akcentem. Stanowczo przyjezdny i do tego sprawiał wrażenie, jakby miał trochę nierówno pod sufitem.

- Kim ty w ogóle jesteś? Co robisz? - spytałam w końcu.

- Ja? - Pytanie wyraźnie go zdziwiło. - Pracuję za pieniądze. Robię to, o co mnie proszą. Dobrze pracuję, niech pani zapyta kogokolwiek w Tenejrze.

Wszyscy mnie tam znają.

Tenejra? Wolne portowe miasto na dalekim południu, do naszych ziem to trzy tygodnie morzem, jak nie więcej. Za to podobno można tam spotkać naprawdę ciekawych ludzi. Pewnie takich świrów jak ten tutaj również było pełno.

Koniec końców udało mi się wyciągnąć z tego uprzejmego przestępcy dosyć spójną historię.

Ireo Szczęściarz był najemnikiem i, mimo swojej rzucającej się w oczy naiwności, najemnikiem niezłym. O ile zrozumiałam, pochodził z jakiegoś dalekiego kraju i stąd dziwny akcent, niecodzienny wygląd oraz osobliwy stosunek do świata. Co prawda w Tenejrze nikogo to nie interesowało, o ile najemnik pracował skutecznie.

Ponad miesiąc temu Ireo został wynajęty przez pewnego przyjezdnego pana, który szczerze mu zapłacił i kazał udać się do Arastenu, czyli naszej wspaniałej stolicy, dokładnie zbadać miasto i czekać na instrukcje. To osobliwe zlecenie nie wzbudziło najmniejszego zdziwienia najemnika, bo zdarzało mu się mieć najprzeróżniejszych klientów. W końcu doczekał się też właściwej roboty: kazano mu wykraść sześć koni z karczemnej stajni, i to w taki sposób, by tego żywa dusza nie widziała. Ireo postąpił zgodnie z rozkazem, co prawda popełnił mały błąd, jeśli szło o psa.

- Można było go zabić, ale nie starczyło mi czasu - przyznał się z rozbijającą szczerością.

Czasu faktycznie nie miał wiele. Ireo wszedł do stajni podczas pierwszej zmiany warty, trafił tam na Zająca i dokładnie tak jak myślałam, użył go w swoich celach, bo magiem był całkiem niezłym. W czasie drugiej zmiany wartowników akurat udało mu się wyprowadzić konie z podwórza.

Wyglądało na to, że budzenie towarzyszy zajęło ochroniarzom dobrą chwilę.

- A gdyby ktoś wyszedł na dwór i zobaczył otwartą bramę? - pytanie było całkowicie zasadne.

- Tobym go zabił - odpowiedział Ireo wciąż z tak samo uprzejmym uśmiechem. - Ale nie byłoby to dobre, bo proszono mnie, żebym nie robił zamieszania w gospodzie.

Wniosek: na ulicy już można było „robić zamieszanie”. Zaczarowany Zając zrobił się dosyć niewygodny, więc złodziej zdecydował, że się go pozbędzie. Tym bardziej że miał rozkaz poczekać z końmi przy moście - trudno o lepsze miejsce, nawet jeśli specjalnie poszukać.

- Czyli gwardzistę też zabiłeś ty - było to stwierdzenie.

- Zauważył mnie i zaczął krzyczeć. - Ireo wydawał się nawet trochę skruszony. - Chyba po prostu chciał przejechać się wierzchem. Bardzo nieładnie wyszło, spróbowałem zrobić tak, żeby nie znaleźli go od razu. Ale pan pośrednik był bardzo niezadowolony.

Pośrednik pojawił się, gdy było już po wszystkim. We dwójkę zabrali konie w głąb Dzielnicy Targowej. Rano najemnik z pieniędzmi miał ruszyć w podróż powrotną, a mężczyzna z końmi - do klienta. Ale wcześniej pojawiliśmy się my...

- Panno Naren! - Do izby wpadł zziębnięty major. - Uciekł! Uciekł po dachach, a zanim wyszliśmy z tego labiryntu...

Machnął ręką, zniechęcony.

- Przynajmniej go obejrzelście? - spytałam.

Ireo nie okazał się szczególnie pomocny, widział pośrednika wyłącznie w nocy, w dodatku z kapeluszem nasuniętym na sam czubek nosa. Tak więc w opisie figurowała przede wszystkim broda, ale założyłabym się, że ona również była fałszywa.

- Gdzie tam! - Major splunął ze złością. - A co z tym? Śpiewa?

- Jak słowik. Tylko nic nam z tego śpiewu.

Zwróciłam się ponownie do Irea:

- Czy mógłbyś powiedzieć mi, czemu twój partner do mnie strzelał? I gdzie mógł uciec?

- Nie wiem - najemnik pokręcił głową. - Dostałem połowę zapłaty. Powiedział, że pójdzie po pieniądze, rano mi je odda, zabierze konie i wtedy się rozstaniemy.

Czyli daleko ten typek nie zaszedł, zaczął się na dachu z parą kusz. Godna pochwały ostrożność, ale coś mi w tym wszystkim nie pasowało.

- Przepraszam, szanowna pani - ostrożnie odezwał się Ireo. - To ile muszę zapłacić, żebyście mnie puścili?

Ja i major spojrzeliśmy po sobie i zarechotaliśmy tak, że sfatygowany dach prawie zleciał nam na głowy Biedny Ireo... Ludzie gadali, że w Tenejrze faktycznie to tak działało: jeżeli cię złapią, możesz się wykupić całkiem zgodnie z prawem. Za kradzież jedna taryfa, za morderstwo - inna.

Ktokolwiek wynajął chłopaka, nawet nie uprzedził go, że w Arastenie obowiązywały inne zasady. Co prawda nie należało zapominać, że ten „biedaczek” z zimną krwią zabił dwóch ludzi i bez wahania załatwiłby również nas, gdyby nie zrozumiał, że ze mną sobie nie poradzi. Poza tym dobrze wiadomo, iż nieznamość prawa nie zwalnia od jego przestrzegania.

Obezwładnionego przeze mnie Irea przewieziono do wydziału śledczego. Wkrótce miał trafić tam, gdzie zwykle trzyma się tego rodzaju przestępców, a rano czekała go wizyta w Kolegium. Może i nie był tutejszy, ale nadal pozostawał magiem, więc sądzić go również powinni magowie.

Tak więc zgubiliśmy niewidzialnego i bezimiennego „pośrednika”, ale za to znaleźliśmy konie.

Przez całą drogę do gospody podziwiałam wejreny - niesamowicie piękne i zgrabne, nic dziwnego, że ktoś posunął się do przestępstwa, by je zdobyć. Pan Doro Limes na ich widok zapłakał w głos ze szczęścia i na oczach

wszystkich gości rzucił się do całowania kobył po pyskach. Potem przymierzał się również do obślinienia mnie, ale na to mu nie pozwoliłam.

Przestępca (a przynajmniej jeden z nich) został złapany, towar wrócił do właściciela...

Dlaczego w takim razie nie mogłam się uspokoić?

- Panno Naren... - ostrożnie zagaił major. Jechaliśmy bok przy boku.

- Tak?

- W żaden sposób nie potrafię przestać myśleć o tych drzwiach - przyznał się zamyślony Wislas.

Jego nieładna, prosta twarz była chmurna. Zbyt chmurna jak na człowieka, który zrzucił z barków szczęśliwie rozwiązana sprawę o morderstwo.

- A co z nimi nie tak? - nadstawiłam uszu.

- Kto i po co miałyby bielić drzwi od wewnątrz? - rzucił major w zamyśleniu. - I to w takiej nędznej chałupie?

Nagle zobaczyłam całą sytuację z boku: oto otwieram drzwi, robię krok do przodu... Nawet gdybym nie miała przy sobie płomyka-towarzysza, to nadal na tle jasnych drzwi odcinałby się ciemny zarys mojej postaci. Z odległości dwudziestu kroków - a mało prawdopodobne, by do dachu, na którym leżał „pośrednik”, było o wiele dalej - nie chybi nawet średniej klasy strzelec. Ot, ciekawostka...

- Wydaje mi się, panno Naren, że ktoś ma do pani jakąś zadrę... - major wypowiedział moje podejrzenia na głos.

Faktycznie... Ale to by oznaczało, że cała kradzież została zaplanowana wyłącznie po to, żebym wcześniej czy później stanęła na tle tych drzwi jak tarcza strzelecka? Była w tym szaleństwie jakaś logika, choć całkiem obłąkana! Nie tak trudno było przewidzieć, że Limes przyleci do mnie, może nawet być tak, że to właśnie „pośrednik” podpowiedział mu, do kogo się

zwrócić. To, że będę grzebać, aż odnajdę te konie, również było oczywiste dla każdego. Gdybym trafiła w ślepy zaułek, to zawsze można było podrzucić mi wskazówkę... A wyszło nawet lepiej. Jeżeli istotnie miałam rację, to kręcący się po mieście „pośrednik” nie mógł nie usłyszeć, że znaleziono trupa zabitego przez Irea gwardzisty, co oznaczałoby, że niedługo dowiem się tego i mogę zacząć szukać miejsca przestępstwa, skąd łatwo złapię ślad najemnika. W dowolnym wypadku dotarłabym do tamtej chałupy, a na wypadek gdyby miało to miejsce nocą, „pośrednik” przygotował drzwi (trudno odmówić mu oryginalnego myślenia).

Za dnia w ogóle nie byłoby problemu. Czyli to dlatego na wszelki wypadek leżał w zasadzce. I prawie mu się udało!

Ale kto potrzebowałby aż tak zmyślnej kombinacji? Czy nie łatwiej było po prostu złapać mnie gdzie indziej? Przecież często włóczę się po mieście o dziwnych porach! Czy to miał być pewniak? A może... Może kradzież była niezależna od zamachu? „Pośrednik” nie musiał pracować dla jednego pana. I ten drugi zleceniodawca szybko skojarzył, jak można wykorzystać całą historię dla osiągnięcia swojego celu, skoro pojawiłam się w samym środku wydarzeń i nadarzyła się odpowiednia okazja. A może to nie był żaden zamach, tylko ja i major dostaliśmy ataku wybujałej fantazji? Z drugiej strony, Irea wynajęto zawczasu, więc całkiem możliwe, że miał czekać na odpowiednią okazję, gdy można będzie go użyć. Chociaż... Negocjacje pomiędzy Witzem i Remem odnośnie sprzedaży koni mogły zacząć się już jakiś czas temu i na pewno ktoś o nich usłyszał. Ta osoba musiała tylko przygotować się i czekać, aż będzie można wprowadzić najemnika do gry. Jeżeli dobrze poszukać, to da się znaleźć tych, którzy wiedzieli o transakcji. Ale, niestety, nie miałam powodu pchać się z pytaniami do Witza i Rema. W obecnej sytuacji wyglądałoby to cokolwiek podejrzanie.

Czyli, jeżeli to jednak był zamach, a na to wyglądało, to pytanie

brzmiało: komu nadepnęłam na odcisk? Miałam wrażenie, iż... Tak, chyba to znowu odezwał się ten tajemniczy osobnik, który koniecznie chciał skłócić ze sobą naszych wspaniałych królów. Byłam gotowa się założyć, że obok mojego zimnego trupa ktoś odnalazłby przypadkiem jakiś „zgubiony” przedmiot, jednoznacznie wskazujący na to, że morderca pochodził ze Stalwii. Powiedzmy, kuszę z imiennym grawerunkiem lub pomięty liścik. Albo nawet ciało jakiegoś estalskiego młokosa w rodzaju tych, którzy porwali mnie poprzednio. Bo w końcu mogłabym go wykończyć jeszcze przed własnym zgonem, a on - mieć przy sobie dokumenty... Ale to już nieważne.

Czyli, ktokolwiek by to był, nie tylko potrzebował wojny, ale chciał również pozbyć się mnie.

Ciekawe, w czym mu tak bardzo przeszkadzałam? I co takiego niebezpiecznego wiedziałam? Bo kimkolwiek był ten tajemniczy wróg, wątpliwe, by chodziło mu o tajemnicę księżniczki Mairin! To musiało być coś innego. Na pewno wiedział, że już domyślałam się jego istnienia. Zabawne. On wiedział, że ja wiedziałam, że on wie... Tyle że tak naprawdę nic nie wiedziałam i to właśnie było najgorsze. Nie lubię, gdy ktoś próbuje wodzić mnie za nos!

- Majorze - odezwałam się z westchnieniem - wydaje mi się, że niedługo zaczniemy podejrzewać własne cienie.

- Taka praca - zabrzmiało to dość niewesoło.

- Ale może nie będziemy się do niej ograniczać. Ten chłopak po prostu się przestraszył i dlatego strzelił. Pewnie strzeliłby również do pana, gdyby to pan się znalazł na widoku. Proszę, darujmy sobie zbędne fantazje.

- Jak pani sobie życzy, panno Naren - w burknięciu majora wyczułam urazę. Przepraszam, kochany, ale ta sprawa stanowczo nie jest dla ciebie.

Uśmiechnęłam się krzywo. Jeżeli faktycznie był to zamach, teraz niech

ów tajemniczy władca marionetek próbuje zgadnąć, czy po prostu na to nie wpadłam, czy jednak się domyśliłam i teraz świadomie nie podejmuję żadnych działań.

I zobaczymy, jaki będzie jego następny krok...

ROZDZIAŁ 9

Podróż

Niestety, czekać musiałam długo. Tajemniczy nieprzyjaciel uznał chyba, że chwilowo się przyczai i będzie obserwował moje poczynania. Ponieważ ja też siedziałam cicho, żadna reakcja nie nastąpiła.

Nie żebym martwiła się tym szczególnie mocno - przypuszczałam, że wcześniej czy później musi dojść do konfrontacji, a wtedy miałam zamiar zrobić wszystko, by przeciwnik mi się nie wywinął!

Tymczasem pochłaniały mnie codzienne sprawy. Klientów miałam aż nadto wielu. Wiosna szybko minęła, a latem natomiast w stolicy niewiele było do roboty. Królewska rodzina jak zwykle wyjechała do podmiejskiej posiadłości, część dworu udała się śladem władcy, a część wyruszyła do własnych majątków. Pozostali męczyli się w skwarze - w tym roku słońce prażyło jak rzadko. Nawet bliskie sąsiedztwo morza nie dawało żadnej ulgi - leciutki wiaterek nie przynosił orzeźwienia. W takim upale nie chciało się nawet ruszać, a co dopiero mówić o kradzieżach, intrygach czy morderstwach...

Tak więc zaproszenie Jego Królewskiej Mości przyszło w samą porę - brak zajęć zaczął mi już poważnie doskwierać. Jedynym minusem był fakt, iż przyszło mi jednak ruszyć się z domu mimo lejącego się z nieba żaru. Po

dotarciu do królewskiej letniej rezydencji ociekałam potem - moją koszulę można było wyźymać, a sama przypominałam mokrą wronę. Miałam straszliwą ochotę zanurkować w marmurowej fontannie przedstawiającej kształtną gołą babę z wielgachnym dzbanem, po czym pozostać tam do wieczora, póki temperatura nieco nie spadnie. Niestety, nie wypadało zmuszać króla do czekania, więc z wielką niechęcią ograniczyłam się do wpakowania głowy pod tryskającą z dzbana lodowatą wodę. To nieco poprawiło sytuację, a moje włosy i koszula przed tą procedurą i tak wcale nie były o wiele suchsze. Nie czułam się też szczególnie speszona, że kapało z nich na wspaniały parkiet.

Jak można było zgadnąć, nasz władca miał do mnie sprawę, która na pierwszy rzut oka wydawała się błaha: gdzieś daleko od stolicy, w dzikiej głuszy, w jakiejś gospodzie, popełniono morderstwo. Człowiek mógłby powiedzieć, że przecież się zdarza i sprawa niewarta uwagi, gdyż morderstwa zdarzają się co i rusz, ale nic bardziej mylnego! Niezwykła była osoba zabitego oraz pewne okoliczności jego śmierci. Denat był mianowicie poborcą podatkowym. Co prawda tego czy owego poborcę niejeden miałby ochotę ukatrupić, zwykle jednak tego nie robiono. Jak by nie było, ważny urzędnik państwowy na odpowiedzialnym stanowisku!

Wysłany do tamtej wsi śledczy z najbliższego miasta - oczywiście z sądowych, ale jakaś zupełna płotka - nie potrafił powiedzieć nic sensownego oprócz tego, że niefortunny poborca zmarł w okolicznościach co najmniej dziwnych. Poza tym urzędnik uparcie twierdził, że w całej sprawie nie obeszło się bez magii i zdecydowanie była to magia podejrzana. Przekonywał go o tym miejscowy mag, może stareńki i słabiutki, ale będący członkiem Kolegium, co nadawało pewną wagę jego słowom.

Kto inny łatwo mógłby zignorować staruszka, po czym wszyscy spaliby spokojnie. Ale urzędnik sądowy, niestety, tak nie potrafił: magicznie wbite w

niego poczucie odpowiedzialności wzięło górę i wysłał raport do stolicy. Jego Królewska Mość najpewniej machnąłby ręką na cały niefortunny incydent, ale rada królewska - a w szczególności neir Dellen i jego pomocnicy - przestraszyła się. Po części słusznie - zginął nie chłop, nie handlarz i nawet nie jakiś tam szlachetka, tylko królewski urzędnik! W całej sprawie natychmiast zwężono czyjeś nieczne plany i ślady zmywy przeciwko monarsze. To najpewniej był wymysł nudzących się doradców wojskowych, bo o ile mi wiadomo, pracownicy biura bezpieczeństwa nie wyglądali na specjalnie przejętych, a ci akurat o spiskach dowiadywali się pierwsi. Tak czy inaczej, sprawie nadano oficjalny bieg, a niebawem uznano, że koniecznie wymaga ona udziału maga-justycjariusza, czyli mnie.

- Wasza Królewska Mość, jeśli chcecie znać moje zdanie, to są to jakies brednie -powiedziała ucziwie po wysłuchaniu treści zlecenia. - Najpewniej chłop upił się i pokłócił z miejscowymi, tyle wszystkiego. Dostał po łbie czymś ciężkim, a rozumie się samo przez się, że tamci nie chcą wydać swojego, więc zwalają wszystko na siły nadprzyrodzone.

- Mam wielką nadzieję, że sprawy mają się dokładnie tak, jak pani mówi - uśmiechnął się Arneliusz. - Niemniej jednak, panno Naren, nalegam, by pani się tam udała. Sama pani wie, że nie ma lepszego sposobu na zamknięcie ludziom ust niż ujawnienie prawdy.

- Wasza Królewska Mość, bynajmniej nie odmawiam wykonania zlecenia, ale ponieważ czeka mnie praca na wyjeździe, a dodatkowo trzeba wziąć pod uwagę fakt, iż leży tam bardzo już nieświeży trup, to mam zamiar zwiększyć moje standardowe wynagrodzenie o pięćdziesiąt procent.

- Panno Naren, niechże pani ma sumienie! - oburzył się król. - Pięćdziesiąt procent za przyjemny spacer przy obecnej wspaniałej pogodzie i przekonanie się, że sprawa nie była niczym więcej niż zwykłą pijacką burdą?!

- To niech Wasza Królewska Mość znajdzie kogoś innego, kto będzie miał ochotę na podróż w tym skwarze na koniec świata i oglądanie mocno stęchłego trupa. - Wzruszyłam ramionami, doskonale świadoma, że Arneliusz próbuje targować się wyłącznie dla zasady.

Nie miał najmniejszej szansy, by wysłać kogoś innego, chociażby dlatego, że mój jedyny miejscowy kolega po fachu nie oddalał się od miejskich murów dalej niż o trzy dni drogi za żadne pieniądze, o czym wszyscy doskonale wiedzieli. Można było oczywiście poszukać kogoś innego w innych miastach, ale najpierw trzeba by takiego delikwenta sprowadzić, a potem jeszcze się z nim dogadać, przy czym jedno z drugim zajmie sporo czasu. Poza tym mnie Arneliusz znał i darzył sporym zaufaniem, podczas gdy obcy... W dodatku rada królewska nie uwierzyłaby na słowo nikomu oprócz maga-justycjariusza, czyli na pewno nie odczepiliby się od króla ze swoimi durnymi teoriami spiskowymi.

Tak więc wyszło na moje. Arneliusz zacisnął zęby i zgodził się na proponowane warunki.

Niestety, nie doceniłam go - znalazł sposób, by odpłacić pięknym za nadobne.

- Oczywiście nie mogę puścić pani samej - oświadczył, gdy już miałam zamiar go pożegnać i wyjść z chłodnych pałacowych murów na pałac słońce - ponieważ sprawa, którą będzie pani badać, dotyczy bezpieczeństwa państwowego. - Byłam gotowa przysiąc, że z jego uśmiechu przebijała czysta złośliwość. - Muszę przydzielić pani odpowiednią eskortę. I proszę nie odmawiać! - zastrzegł, nie pozwalając mi nawet na zasygnalizowanie oburzenia. - Panno Naren, powiedziałbym, że dziesięciu gwardzistów powinno wystarczyć. Proszę mi wierzyć, robię to wyłącznie dla pani bezpieczeństwa.

- Wasza Królewska Mość, nie śmiałabym wątpić - uśmiechnęłam się

uprzejmie i zaczęłam rozmyślać, czy nie skasować go na kolejną okrągłą sumkę za straty moralne, które na pewno czekały mnie w takim towarzystwie. - Tylko proszę uprzedzić ich dowódcę, że jeżeli będą puszczali moje ŻYCZENIA - to słowo podkreśliłam - mimo uszu, to nie mogę ręczyć za skutki.

- Oczywiście, jak najbardziej. - Arneliusz zrobił minę pełną ubolewania, ale gotowa byłam przysiąc, że miał dla mnie w zanadrzu jeszcze jedną nieprzyjemną niespodziankę. Nie pomyliłam się.

- Ich dowódca z własnego doświadczenia wie, czym kończy się ignorowanie pani poleceń, i jestem pewien, że nie pozwoli sobie na nic podobnego. O ile wiem, nieźle go pani zna. To porucznik Laurinne.

- Tak, przypominam go sobie - wycedziłam przez zęby. Ciekawe, król dopiero co wpadł na ten pomysł w ramach zemsty za podwyższoną opłatę, czy może miał wszystko przygotowane zawczasu?

Zresztą co to za różnica, i tak nie pozbędę się ani porucznika, ani jego oddziału!

- Od teraz zostaje on na stałe przydzielony do pani dyspozycji - dobił mnie Arneliusz.

- No cóż, Wasza Królewska Mość... W takim razie wszystko ustalone. Mam zamiar ruszyć już jutro, o świcie.

- Oddział będzie na panią czekał przy bramie - podsumował Arneliusz i na tym się rozstaliśmy, on wyraźnie z siebie zadowolony, a ja - lekko rozstrojona.

W drodze do domu rozmyślałam nad postępkami króla. Wysoce wątpliwe wydawało się, że wierzył, iż w wypadku jakichś niespodziewanych wydarzeń dziesiątka gwardzistów była w stanie zapewnić bezpieczeństwo niezależnemu magowi-justycjariuszowi. Chyba raczej na odwrót...

Arneliusz był doskonale świadom, że wolałam podróżować samotnie i z

minimum bagażu, a do tej pory nigdy mi się nic nie stało. Nie, eskorta wyraźnie miała zrobić na kimś wrażenie.

Najprawdopodobniej na tej przeklętej radzie królewskiej. Niechaj widzą, że władca nie lekceważy ich opinii, tylko uważnie słucha i nie uważa teorii spiskowych za brednie znudzonych staruchów.

Radzenie sobie z nimi nie było łatwe, ale Arneliusz był w tej dziedzinie wirtuozem. W całym tym towarzystwie znalazłoby się góra pięć osób, których zdanie faktycznie uważał za godne uwagi, podczas gdy większość jego najlepszych doradców pochodziła spoza oficjalnej rady królewskiej, gdyż mieli za mało znamienity rodowód, by do niej należeć. Tyle że tradycja była tradycją i nie opłacało się jej ignorować - jeden z królewskich przodków sporo zapłacił za swoją niedbałość.

Ale zapomnijmy na chwilę o radzie. Jeżeli gwardziści nie będą za bardzo działać mi na nerwy, powinnam wytrzymać ich towarzystwo w podróży. Właściwie dlaczego nie wysłał ze mną zwykłych żołnierzy, tak jak zrobił to w zimie? Gdyby oddziałem dowodził któryś z moich znajomych, w ogóle bym się sprawą nie przejmowała - doświadczeni wojacy doskonale znali mój charakter i starali się trzymać na dystans. Ale Laurinne... Westchnęłam ciężko. I to akurat, gdy uznałam, że nie chcę mieć z nim więcej nic wspólnego! Jednak królowi się nie odmawia. Ja właściwie mogłabym sobie na to pozwolić, ale wówczas na pewno zapytałby o powody i tu pojawiłby się problem.

Ale nic to, jeśli od razu dam porucznikowi do zrozumienia, że nie powinien chodzić za mną krok w krok, a jego oddział ma służyć wyłącznie do dekoracji, istniała szansa, że obie strony wyjdą z tej wycieczki bez szwanku.



Następnego ranka, o świcie, gdy panował jeszcze przyjemny chłód, zjawiłam się przy miejskiej bramie. Dokładnie tak jak obiecywał Jego Królewska Mość, eskorta już czekała.

Oczywiście na czele oddziału stał porucznik Laurinne, a u jego boku trwał wierny kapral (to akurat mnie ucieszyło). Z takimi jak on radziłam sobie doskonale. Pozostawało mieć nadzieję, że porucznik będzie słuchać doświadczonego towarzysza, a jemu z kolei uda się wytłumaczyć dzieciakowi podstawowe zasady, jak przetrwać, jeżeli moje delikatne sugestie nie trafią do celu.

- Dzień dobry, panno Naren! - zakrzyknął porucznik na mój widok.

- Nie widzę w nim nic dobrego - wymamrotałam, nie wypuszczając z ust fajki. -Poruczniku, starczy tych uprzejmości, im szybciej ruszymy, tym szybciej będziemy na miejscu.

„I tym szybciej się ciebie pozbędę” - pomyślałam, ale powstrzymałam się przed wypowiedzeniem tego głośno. Porozmawiam z nim później, z dala od uszu podwładnych. Niezależnie od mojego stosunku do takich ludzi nie powinnam traktować go jak smarkacza w krótkich spodenkach, gdy podkomendni się przysłuchują.

Skierowałam kobyłę na trakt, a gwardziści ruszyli moim śladem. Niczego sobie eskorta honorowa... Nie zwykli żołnierze, tylko królewscy gwardziści - na pierwszy rzut oka widać, że towarzyszą znamienitej osobie. Całe przedstawienie najpewniej jednak było przeznaczone dla rady królewskiej, a ja miałam wystąpić w głównej roli. Niegorszy prezent mi zrobił Arneliusz!

Mimo deklaracji nie śpieszyłam się zbyt. Tym bardziej że dość szybko zrobiło się znów gorąco i pośpiech był, łagodnie mówiąc, niewskazany. Biedni gwardziści po prostu gotowali się w swoich mundurach polowych, aż zlitowałam się i poczyniłam w kierunku kaprała delikatną aluzję, że nie

uważam za szczególnie obrazoburczy pomysł, by dzielni wojacy rozebrali się chociażby do koszul.

Koniec końców na tej drodze nie powinniśmy spotkać zbyt wielu świadków, a od miejsca, w którym był potrzebny cały ten blichtr, dzielił nas już spory kawałek.

Dokładnie tak jak się spodziewałam, kapral Iwas okazał się rozsądnym towarzyszem podróży.

Bez trudu przyjął do wiadomości, że od mojej obstawy potrzebuję jednej jedynej rzeczy, a mianowicie pozostawienia mnie w spokoju. Gwardziści szczerze ucieszyli się z takiego postawienia sprawy - chyba spodziewali się ważnego i skomplikowanego zadania, a tymczasem mieli do czynienia z przyjemną wycieczką krajoznawczą. Tylko Laurinne z całych sił próbował pilnować mojego bezpieczeństwa: najpierw starannie wybierał miejsce na nocleg, a potem próbował argumentować, że nie powinniśmy zatrzymywać się w gospodzie, bo tubylcy mieli zbyt bandyckie miny. Przez jakiś czas po prostu puszczałam jego wypowiedzi mimo uszu, a potem sam się uspokoił. Albo został uspokojony przez kaprała.

Tak czy inaczej, w końcu przestał przychodzić do mnie po wskazówki i nie próbował forsować swojego punktu widzenia. Chyba zrozumiał, że i tak wyjdzie na moje.

Wkrótce skręciliśmy z uczęszczanego traktu na leśną drogę i podróż zrobiła się znacznie przyjemniejsza. Nad ścieżką łączyły się korony drzew, więc słońce nie prażyło tak, jak na otwartym terenie i mogłam spokojnie wydać rozkaz zwiększenia tempa. Teraz była to nie podróż w interesie państwowym, tylko czysta przyjemność. Chyba konie również tak uważały albo po prostu wystąły się w stajni, gdyż truchtały naprawdę zwawo. Tylko moja kobyła nie wykazywała jakiegokolwiek zainteresowania otoczeniem. Drugiego tak spokojnego stworzenia w życiu nie widziałam i właśnie za to

tak bardzo ją lubiłam.

Zdobyłam ją pięć lat temu i od tamtej pory towarzyszyła mi w każdej podróży. Wówczas akurat trwał jakiś poważniejszy konflikt, ruszyły się bandy rozbójników na górskich szlakach i Arneliusz wysłał kilka oddziałów z magami bojowymi w celu oczyszczenia atmosfery. Ja również musiałam tam być, żeby wyjaśnić pewne sprzeczności, zresztą mniejsza o to dlaczego. Sprawa skończyła się całkiem poważną potyczką, ponieważ okazało się, że bandyci posiadali własnych magów bojowych - może i niedouczonego, ale za to było ich dwukrotnie więcej. A pole bitwy magów bojowych, nawet jeżeli nie są oni specjalnie potężni czy sprawni, nie jest miejscem, gdzie człowiek miałby ochotę się znaleźć.

Z obozu zbójców nie został nawet kamień na kamieniu, a te kilka wierzchowców, które przeżyły magiczną bitwę, oszalało ze strachu, pozrywało postronki i rozbiegło się. Ostała się jedna jedyna młoda kobyłka, przywiązana lepiej niż reszta. A przynajmniej na pierwszy rzut oka tak to wyglądało.

Ostatecznie okazało się, że to niezbyt sympatyczne szare stworzenie nieokreślonej rasy po prostu nie zwracało uwagi na rejwach dookoła. Niektórzy sądzili, że kobyłka jest głucha, ale stwierdziłam z całą pewnością, że słuch ma nie gorszy od mojego. Szkoda, że konie nie potrafią mówić. Naprawdę chciałabym wiedzieć, co ta biedaczka musiała przeżyć, skoro nie przejęła się nawet potężnymi fajerwerkami urządzonymi przez magów!

Tak czy inaczej, zatrzymałam ją. Nikt, łącznie z samą kobyłą, nie zgłaszał zastrzeżeń, a niepłochliwy koń stanowi dla maga prawdziwy skarb. W większości takich przypadków zwierzę jest po prostu za głupie, żeby się bać, ale moja zdobycz była wyjątkowo inteligentna. Poza tym miała charakter... Troszkę potrwało, aż uznała mnie za swoją panią, a całą resztę świata mogła nadal potraktować zarówno zębami, jak i z kopyta. Nie chciałabym być w

skórze biedaka, który próbowałby ją ukraść. Na co dzień prezentowała filozoficzny spokój, ale naprawdę nie przepadała za obcymi.

Słyszałam opinię, że ja i ta kobyła jesteśmy do siebie podobne: tak samo wysokie, chude, kościste i z paskudnymi charakterami. Uczciwość nie pozwalała mi zaprzeczyć. Co prawda dziadek marudził, że przy moich honorariach mogłabym kupić sobie coś bardziej reprezentacyjnego, ale puszczanie jego pretensji mimo uszu weszło mi w krew już ładne parę lat temu.

Tymczasem kobyłka wydawała się bardzo nie lubić zarówno porucznika, jak i jego nerwowego gniadosza. Ten ostatni był dosyć młodym półkrwi tainenem - takie konie nieźle radziły sobie na wyścigach, ale niezbyt nadawały do dłuższych podróży. Na dokładkę często bywały złośliwe i nieposłuszne, więc potrzebowały doświadczonego jeźdźca, a porucznik raczej się do takowych nie zaliczał. Gdy ta dwójka pojawiała się gdzieś w pobliżu, Szarka zaczynała paskudnie zezować w ich kierunku, jakby chciała pokazać, że podziela mój niechętny stosunek do porucznika. Chociaż... czy ja go naprawdę aż tak nie znosiłam? Z jednej strony, nie miałam szczególnych powodów, ostatecznie niedawno nawet podrzucił mi niezły pomysł, a jego zdolność do wpadania w tarapaty mogła budzić co najwyżej politowanie. Z drugiej, ta jego szczenięca ruchliwość, jak również durny idealizm budziły we mnie niepohamowaną irytację. Nasz porucznik potrafiłby wytrącić z równowagi nawet słupek milowy, który niejako z definicji powinien posiadać dużo więcej cierpliwości niż ja. Na szczęście Laurinne nie usiłował prowadzić ze mną długich rozmów, ograniczając się do pojedynczych zdań dotyczących noclegu czy postoju, więc ostatecznie podróż można było uznać za udaną. Niemniej jednak bardzo się ucieszyłam na wieść, że już prawie dotarliśmy do celu.

W niewielkim miasteczku Weins, w miejscowym garnizonie, czekał na

nas urzędnik, który rozpoczął całą tę kołomyję. Zaoferował, że będzie nam towarzyszył na miejsce, i po kolejnych dwóch dniach podróży wyboistą drogą dotarliśmy do malutkiej wsi, przycupniętej tuż przy najmroczniejszym lesie, jaki miałam okazję w życiu oglądać. Droga biegła dalej jego skrajem, nie zagłębiając się pomiędzy drzewa. Zresztą to, co znajdowało się za lasem, niezbyt mnie ciekawiło. Interesująca była wyłącznie ta wieś, a raczej wydarzenia, jakie w niej zaszły.

Wioska, którą miejscowi nazywali po prostu Leśną, była może i niezbyt duża, ale bynajmniej nie biedna. Była tu nawet karczma, więc pewnie po tej całej drodze jednak ktoś jeździł. I właśnie w tejże karczmie zabito pechowego poborcę, a teraz jego ciało, obłożone przez miejscowego maga zaklęciem konserwującym, czekało w przybudówce.

O tym, że staruszek nie był najlepszym specjalistą w tej dziedzinie, przekonałam się natychmiast po dotarciu na miejsce. Co prawda nie widziałam żadnych much, ale dolatujący z komórki zapach powodował, że człowiek miał ochotę zatkać nos. Nie żebym miała z tym jakieś problemy, ale idący za mną porucznik zauważalnie zmienił się na twarzy.

- Gdzie znaleziono ciało? - spytałam chmurnego urzędnika sądowego.

- Pod schodami - brzmiała odpowiedź. - W zasadzie to powinniśmy je tam zostawić do pani przyjazdu, ale sama pani rozumie...

Rozumiałam. Właściciel karczmy nie miał najmniejszej ochoty na trzymanie pod schodami śmierdzącego trupa, który odstraszałby wszystkich klientów.

- Potem mi pan pokaże, gdzie dokładnie. Teraz chciałabym spojrzeć na ciało. Proszę za mną.

Oczywiście porucznik wziął to polecenie do siebie. Nie mam pojęcia, co spodziewał się zobaczyć, ale, sądząc z oznak, widok zrobił na nim wrażenie. Przyznam, że na mnie również.

Spodziewałam się, iż śmierć poborcy nastąpiła na skutek pijackiej burdy (bo w karczmach to nic dziwnego), więc biedak oberwał po głowie czymś ciężkim, w najgorszym przypadku siekierą. Ale rzeczywistość przerosła moje oczekiwania...

Naciągnęłam rękawice, kucnęłam przy trupie i zabrałam się do badania w świetle magicznego ognika. Urzędnik sądowy sterczał mi za plecami, widziałam kątem oka, jak Laurinne robi się coraz bledszy i przestępuje z nogi na nogę przy drzwiach. Hm, o ile pamiętam, trupy nie wyprowadzały go z równowagi...

- Interesujące - stwierdziłam i przekreśliłam głowę denata. - Panie Szenis, proszę spojrzeć. Co pan sądzi o tej ranie?

Rana istotnie była warta uwagi - głowę prawie odcięto od ciała, trzymała się tylko na kawałku skóry.

- Właśnie o to idzie, panno Naren - powiedział urzędnik melancholijnie. - Od razu mi się wydała dziwna. Bo to przecież na pewno nie nożem...

- Ani toporem - dodałam w zamyśleniu, oglądając trupa z różnych stron. Takie rany już miałam okazję widzieć, dosyć dawno i daleko stąd. Wyglądało, jakby biedak z rozmachu oberwał szablą, a przynajmniej rodzaj cięcia był bardzo podobny. Problem polegał na tym, że w tych okolicach nie używa się szabli, a szpada nie da rady nikomu odciąć głowy. W tym momencie spojrzałam na porucznika i w sam czas zarządziłam: - Laurinne! Jeżeli ma pan taką ochotę zademonstrować wszystkim obecnym swoje śniadanie, proszę to zrobić na zewnątrz i nie psuć mi tu martwej natury!

Laurinne był już bladozielony niczym młoda trawka. Na dźwięk moich słów zasłonił usta ręką i wyskoczył na dwór, po czym usłyszałam, jak wymiotuje za węgłem.

Najprawdopodobniej jego wytrzymałość dotyczyła wyłącznie świeżych trupów...

- Młodzież... - Urzędnik sądowy spojrzął za porucznikiem i skrzywił się niechętnie. - Panno Naren, co pani na to powie?

- Zgadzam się z pańskim raportem z wyjątkiem jednego elementu. - Wstałam i rzuciłam brudne rękawice na podłogę. - Morderstwo faktycznie wygląda dziwnie, powiedziałabym, że dokonano go szablą albo czymś w tym rodzaju. Przestępca doskonale posługuje się swoją bronią i ma sporą krzepę.

Natomiast nie czuję żadnych śladów magii. Ale i tak trzeba się problemem zająć. Panie Szenis, niech pan zajmie się przygotowaniem pogrzebu - dodałam, kierując się do wyjścia. - A ja zajmę się przesłuchiwaniami świadków.

Zawstydzony Laurinne kręcił się w pobliżu z nieszczęśliwym wyrazem twarzy. Mogłabym go pocieszyć, powiedzieć, że również nie przepadam za trupami, ale ostatecznie darowałam sobie takie sentymenty. Zamiast tego kazałam:

- Poruczniku, niech pan znajdzie mi jakąś pustą izbę. Najlepiej taką ze stołem. A potem proszę iść do pana Szenisa, on powie, co dalej.

Kiedy Laurinne wykonywał polecenie, poszłam na skraj wsi, by rozejrzeć się dokoła, a przy okazji spokojnie wypalić fajkę. Ciekawostka, wszystkie zabudowania stały daleko od linii lasu i wydawało się, że w ostatnich latach nie pojawiła się tu ani jedna nowa chałupa. Wszystko wyglądało może nie na zmurszałe, ale jednak było wyraźnie stare. Wieś od dawna się nie rozbudowywała.

Ciekawe dlaczego? W końcu uznałam, że pewnie młodzież nie miała ochoty na siedzenie w takiej głuszy i uciekała do miasta, po czym wróciłam do karczmy.

Tymczasem porucznik dokonał małego cudu. Pokój, który załatwił u karczmarza, może nie był zbyt obszerny - mieściły się w nim dwie ławy i toporny stół - ale za to czysty i dobrze oświetlony.

Zapewne była to mała jadalnia dla „lepszego” towarzystwa, które nie miało ochoty na spożywanie posiłków obok jakichś tam woźniców. Nie żebym widziała tu jakichkolwiek klientów...

Tak czy siak, do moich celów izba nadawała się doskonale. Rozłożyłam na stole przybory do pisania i kazałam porucznikowi zapraszać świadków po jednym. Zresztą świadkowie w tej sytuacji to za dużo powiedziane, bo samego morderstwa nikt nie widział ani nic podejrzanego nie słyszał. I właśnie to wydawało mi się w całej historii najdziwniejsze.

Właściciel gospody, przysadzisty, niezbyt jeszcze stary mężczyzna przekonywał, że był zmęczony po całym dniu pracy i spał jak zabity.

- A co, było dużo gości? - spytałam mimochodem. Bo chyba tylko dlatego mógłby się biedak przemęczać. Chyba że samodzielnie rąbał drwa na opał.

O dziwo, to niewinne pytanie sprawiło, że szanowny Moric się zaciął.

- Znaczy się tego... - wydukał w końcu, wczepiwszy kurczowo palce we własną brodę, którą przed chwilą statecznie gładził. - Nie było żadnych klientów, żywej duszy. Po zniwach to chodzą karawany, a na początku lata pusto jest jak nic...

- To czemu się pan tak zmęczył? - spytałam.

- Tego, no... - zaczął znów Moric, ściskając brodę w garści. Po chwili chyba go olśniło, ponieważ radośnie wypalił: - Myśmy przecież czyścili studnię, a to, psze pani, dopiero jest praca!

Najpierw trzeba wszystko wyczerpać, potem wyczyścić, a do tego jeszcze odnowić cembrowinę.

Nic nie odpowiedziałam, chociaż pamięć podsunęła mi obrazek tutejszej cembrowiny. Bale wyglądały na solidne, ale bynajmniej nie nowe, a jeżeli coś tam i było odnawiane, to chyba w czasach, gdy szanowny Moric biegał po wsi w krótkich spodenkach.

- Czyli w nocy pan nic nie słyszał? - pociągnęłam wątek.

- Nic a nic! Dopiero rano się obudziłem, jak się kucharka wydarła, wyskoczyłem w samych gaciach... khy... Pani szanowna wybaczy... Znaczy się wyskoczyłem, a on leży pod schodami i dookoła krwi tyle, jakby prosiaka zarzynali!

- Jak długo pana zdaniem był martwy? - pozwoliłam, by w moim głosie zabrzmiało znudzenie.

- Znaczy... - Moric zamyślił się. - Pewnie chwilę już. Krew zdążyła przyschnąć, ledwośmy potem doszorowali.

- Czyli wówczas był jedynym gościem? - sprecyzowałam.

- Toć mówię, że jeden był. - Gospodarz pokiwał głową jak dziecięca zabawka na sprężynce, a jego twarz z jakiegoś powodu rozchmurzyła się. - Przecie mówię pani, w naszych okolicach na wiosnę czy z początkiem lata - żywej duszy!

Zrozumiałam, że nic więcej z Morica nie wyciągnę, więc puściłam go wolno i wysłałam Laurinne'a na poszukiwanie następnej ofiary, a sama zamyśliłam się głęboko. Gospodarz wyraźnie coś ukrywał. Mogłam się założyć, że poborca nie był w tamtym czasie jedynym gościem w gospodzie. A szanowny Moric usilnie próbował nie zdradzić tego drugiego. Ciekawe dlaczego? Bał się? Możliwe.

Czyżby w tych okolicach zagnieździli się rozbójnicy? Skoro pod jesień podróżowały tędy wyładowane karawany, to chyba bywała jakaś zdobycz. Nie słyszałam jednak ani jednej wzmianki o tym, by ktoś tu został obrabowany. A wręcz przeciwnie, uważano te okolice za spokojne jak rzadko. Poza tym co można ukraść z takiej karawany? Powiedzmy ziarno, jakieś warzywa, może samodiał, gliniane garnki, w najlepszym razie końską uprząż - czyli to, co chłopci wiozą na najbliższy jarmark.

Zdecydowanie nie była to zdobycz dla rozbójników. Oni wolą bardziej

uczęszczane szlaki, po których przemieszcza się prawdziwy łup: drogie tkaniny, zamorskie ciekawostki, kosztowne futra, a nawet klejnoty. Czyli chodziło o coś innego.

Nie zdążyłam dokończyć myśli. Do pokoju weszła solidnych rozmiarów panna, która wlepiła we mnie zalęknione krowie spojrzenie. Była to córka szanownego Morica, Wela. Oczywiście od progu zaczęła mnie przekonywać, że nic nie słyszała, nie widziała i w ogóle spała jak zabita, bo bardzo się zmęczyła w ciągu dnia.

- Pomagałaś ojcu czyścić studnię? - spytałam, nie odrywając wzroku od szarego skrawka papieru, na którym robiłam notatki. Nie miały żadnego sensu i w zasadzie kompletnie nie były mi do niczego potrzebne - nie uskarżam się na pamięć, ale dawno zauważyłam, że zapisana kartka miała na prostych ludzi iście hipnotyzujący wpływ.

- Jaką studnię? - zdziwiła się Wela. - Przecie na wiosnę ją czyścili, jak ino śniegi zeszyły...

Z trudem powstrzymałam uśmiech. Kłamać tu nie potrafili, oj nie... No dobrze, spróbujmy z innej strony.

- Słuchaj, słodziutka - przybrałam surowy ton. - Wydaje mi się, że ty tu w żywe oczy bajki prawisz. Wróćmy do pierwszego pytania: co widziałaś czy słyszałaś tamtej nocy? I nie bój się, przecież ciebie za to nikt karał nie będzie.

Na twarzy Weli pojawiły się czerwone plamy, ale koniec końców panna nie wytrzymała mojego spojrzenia i zaczęła opowiadać. Faktycznie nie spała, ponieważ czekała na odwiedzinę młodego stajennego. Tak więc coś faktycznie słyszała. A mianowicie, jedyny klient, czyli tenże właśnie poborca, zszedł na dół z piętra, gdzie znajdował się jego pokój, potem z kimś cicho rozmawiał, a później nastąpił łomot, jak gdyby coś upadło, było słychać rżenie, a potem zapadła cisza. Wela do rana drżała pod kołdrą, aż wrzaski kucharki pobudziły wszystkich domowników. A stajenny do niej i

tak nie przyszedł...

- Ale, psze pani szanownej, to nie on! - błagalnie dodała dziewczyna na sam koniec. - On by nie mógł! No bo po co? Przecież chcemy się pobrać, ja braci nie mam, więc on będzie po tatku dziedziczył! No dobra, jakby jeszcze pieniądze zabrał, ale toć je przecież znaleźli!

Tu miała rację: torba z pieniędzmi leżała nienaruszona. Poborca był osobnikiem wyjątkowo pedantycznym i wszystkie zebrane podatki dokładnie zapisywał. Inna sprawa, że spisy były dwa: jeden z prawdziwymi kwotami, a drugi z wyraźnie zaniżonymi. Prawdopodobnie zamierzał zachować część „urobku” dla siebie. Ale nie zdążył, a znaleziona w torbie suma zgadzała się z rachunkami.

Odesłałam Welę i znów się zamyśliłam. No dobrze, dziewczyna próbowała bronić narzeczonego, który najpewniej i tak z całą sprawą nie miał nic wspólnego. Ale kogo w takim razie krył jej tatuś? Zobaczymy...

Jako następnego przepytalam więc stajennego - sympatycznego chłopaka o otwartej, przystojnej twarzy. On również zaczął opowiadać o swoim zmęczeniu i o tym, jak zasnął jak trup wprost w stajni, ale odeszła mi ochota na słuchanie bajek.

- Dobrze, kochany, możesz kłamać, ale przynajmniej rób to jakoś zgrabnie. Twoja przyjaciółka powiedziała, że tamtej nocy miałeś do niej przyjść, ale z jakiegoś powodu się nie pojawiłeś. A ja chcę wiedzieć dlaczego.

Stajenny na dobrą chwilę stracił dar mowy, po czym zwiesił kędzierzawą czuprynę i pokajał się:

- Tak, szanowna pani... Chciałem przyjść, kto by nie chciał? Wela to sprawna dziewczyna, do tego jej tato posag daje... Tylko po drodze skręciłem do stajni, coś gniada tego pana była niespokojna, to żem chciał spojrzeć na wszelki wypadek... - Stajenny westchnął ciężko i kontynuował: - Kobyłkę

uciszyłem, wchodzę do domu... Cicho tak wchodzę, coby podłoga nie skrzypiała, patrzę - leży! A dookoła krwi tyle co wody w sadzawce! No to uciekłem, wlałem na stóg siana i czekałem do rana...

Ale szanowna pani, to nie ja! - Wlepił we mnie wytrzeszczone z przerażenia oczy. - Nie ja!

- Nie trzęś się tak - odparłam z irytacją. - Wiem, że nie ty.

Tylko kto? Stajenny powiedział „gniada tego pana”. A poborca podatkowy jeździł na starym wałachu, jabłkowitym siwku. Stanowczo nie dało się go pomylić z gniadą kobyłą. Czyli jednak istniał jeszcze jeden gość i wyglądało na to, że to właśnie jego krył Moric.

Wzięłam na spytki wszystkich służących, sąsiadów, prawie całą wieś, ale wszyscy uparcie powtarzali tę samą śpiewkę: nikogo obcego prócz poborcy tamtego dnia nie było. Ale mnie wychodziło, że był! Nie mogło nie być! Tylko gdzie się podział potem? Ruszył dalej traktem dokoła lasu? Dostyc prawdopodobne... Chyba powinnam przycisnąć karczmarza, a nuż da się coś z niego wydusić. Ale to jutro, dziś musiałam sobie jeszcze wszystko poukładać w głowie.

Aby pomyśleć w spokoju, udałam się na skraj lasu. Oczywiście ruszył za mną Laurinne, mając chyba zamiar pełnić rolę ochroniarza na wypadek, gdyby zza jakichś krzaczorów wyskoczył wilk i próbował zakąsić magiem. Tak dosłowne wypełnianie królewskiego zalecenia „towarzyszyć panie Naren” budziło we mnie na przemian wściekłość i rozbawienie. A ponieważ złość nie była szczególnie konstruktywna, uznałam, że spróbuję w miarę możliwości porucznika ignorować. Niestety, postanowienie to było wyłącznie piękną teorią.

- Panno Naren... - zawołał mnie niepewnym głosem.

- Pozwoli pani pytanie?

- No...? - mruknęłam, nie wypuszczając z zębów fajki.

- Nie wie pani, czemu miejscowi nie chodzą do lasu?

- Wybrał sobie pan właściwą osobę do pytania - prychnęłam. - Trzeba było z tym iść do miejscowych.

- Pytałem - przyznał się porucznik. - Tylko że oni nie mówią nic konkretnego: podobno w lesie jest niebezpiecznie i tyle. Nie podchodzą dalej niż na sam brzeg. A poza tym, gdy mówią o lesie, to robią o tak...

Laurinne wykonał prawą ręką skomplikowany gest. Wyszło mu niezbyt dobrze, ale rozpoznałam znak ochronny, używany przez czcicieli Matki Noann, jednej z wielu bogiń naszego królestwa.

Nie było w tym nic dziwnego. Jego Królewska Mość Arneliusz odznaczał się wyjątkową tolerancją religijną i nie zakazywał żadnych wyznań ani kultów, z wyjątkiem tych, które wymagały krwawych ofiar z ludzi. Bo co jak co, ale takie sekty wypalał do gołej ziemi, do ostatniego człowieka.

Wspomniani już członkowie rady królewskiej nieraz robili aluzje, że wypadałoby wyznaczyć jakąś jedną religię państwową i skłonić ku niej większość poddanych, ale Arneliusz tylko się od nich opędział. Za to, jako człowiek prawdziwie praktyczny, wprowadził niewielki podatek. Dla obcokrajowców wyglądało to cokolwiek kuriozalnie: możesz wyznawać co chcesz, ale skarbiec musi dostać swoje. O dziwo, wyznawcy płacili. Pewnie słyszeli, co stało się w jednej z południowych krain, gdzie władca zabrał się do wprowadzania religii państwowej. Dworacy nadal marudzili, że mocna religia ma duże świątynie, a nie chałupki w lesie, więc darowizny od narodu też sporo większe i podatki można by z nich ściągać dużo konkretniejsze. Ale w tym wypadku dziedziczny zdrowy rozsądek górował w Arneliuszu nad równie dziedzicznym skąpstwem, więc wszystko zostawało po staremu. Poza tym zakładałabym, że król był doskonale świadom, jak duży wpływ na ludzi mogą uzyskać kapłani tak wyniesionego wyznania i uchronienie się przed taką sytuacją warte było pozostawienia spraw po staremu, nawet przy

mniejszych zyskach.

Tak więc kult Matki Noann był bardziej niż pokojowy, a zaprezentowany przez porucznika gest uznawano za jeden z najsilniejszych znaków odpędzających zło. Wśród moich znajomych było sporo wyznawców tej wiary, więc doskonale wiedziałam, że używanie go bez powodu było zabronione.

Niemniej jednak, o ile Laurinne miał rację, miejscowi powtarzali go za każdym razem, gdy wspominali o otaczającym wioskę lesie. Bardzo dziwne...

Zwróciłam baczniejszą uwagę na drzewa i zauważyłam coś, co powinnam dostrzec dużo wcześniej: z tamtego kierunku bardzo wyraźnie załatywało magią. Niezbyt mocno, ale zauważalnie dla dobrego maga. Oczywiście, o ile mag ten pofatygowałby się, by poświęcić temu lasowi więcej niż pobieżne spojrzenie. Hm... Coś z nim było nie tak. Z jednej strony, miejscowi wyraźnie się go bali, ale z drugiej, nie podejmowali żadnych prób, żeby ruszyć się stąd i przenieść gdzieś dalej. Zresztą Moric z dumą mówił, że jego przodkowie już od pięciu wieków mieszkali w jednym miejscu i jego wnuki też będą tutaj żyły, bo korzenie mają mocne. Gdyby las stanowił prawdziwe zagrożenie, to żadne „korzenie” by ludzi nie powstrzymały. Ale przecież żyją, i to żyją nieźle... I chronią mordercę.

Dodajmy, że chroni go cała wieś!

- Laurinne, a do tego lasu nie ma przypadkiem żadnej drogi? - spytałam.

Porucznik pokręcił głową.

- Nie, panno Naren, nawet ścieżki. Chyba że na samym skraju, gdzie ludzie chodzą po chrust i po grzyby. A drzew tu nie ścinają w ogóle - jeżdżą do tamtego lasku za pagórkami. -Laurinne machnął ręką w kierunku, z którego przyjechaliśmy i gdzie faktycznie rósł las, nie tak gęsty jak ten tutejszy, ale również całkiem spory. Co prawda był do niego kawałek,

ściągnięcie stamtąd opału musiało nastęrczać trudności.

Miejscowi wyraźnie wiedzieli o lesie coś, co nie powinno trafić do uszu ludzi spoza wioski, a wiedza ta być może przekazywana była nawet z pokolenia na pokolenie. Obstawiałam, że potrafiłabym wytrząsnąć z nich prawdę, ale potrzebowałabym na to czasu. A nie miałam najmniejszego zamiaru bawić się w piękne słówka, gdy mogłam po prostu sprawdzić sama.

Nie było to szczególnie skomplikowane, w każdym razie nie dla mnie - zmusić zwierzę, by posłużyło swoimi oczami. Uznałam, że gadatliwa sroka, siedząca na najbliższym drzewie i bezwstydnie oplotkująca mnie i porucznika, nada się w sam raz. Głowę bym dała, że nie miała nam nic miłego do powiedzenia. Wbrew swojej woli czarno-biała gaduła wzniosła się nad lasem, na pewno wyżej, niż latała zwykle. Nie miałam zamiaru jej męczyć, a wszystko, co mnie interesowało, dało się zobaczyć w ciągu kilku minut, po których puściłam ptaszynę wolno. Przerazona sroka, wywrzaskując potok przekleństw w swoim skrzekliwym języku, w jednej chwili zniknęła w koronach drzew.

- Laurinne, wie pan co...? - powiedziałam wolno. - Tam jednak jest droga. Nawet w całkiem niezgorszym stanie. Na pewno nie porzucona. I mam przeczucie, że nasz morderca właśnie nią odjechał.

Porucznik otworzył usta, ale przez dłuższą chwilę milczał. W końcu się odezwał:

- A więc myśli pani, że nie jest stąd?

- Oczywiście, że nie - westchnęłam. - Tutejsi naprawdę nie mieli powodu, żeby zabijać tego poborcę. Chyba że zobaczył czy usłyszał coś, czego nie powinien wiedzieć.

- Ale dlaczego w takim wypadku po prostu go cichutko nie przydusili? - spytał Laurinne całkiem rozsądnie. - A potem nie zakopali w jakimś dole? Że niby poszedł na spacer do lasu i już nie wrócił.

Z początku pytanie to również nie dawało mi spokoju. Po co im było wzywianie urzędnika sądowego? Zakopaliby trupa gdzieś w lesie, w końcu iluż to ludzi ginie na leśnych duktach... Ale potem dowiedziałam się, że poborca wcale nie był głupi i zabezpieczył się (pewnie nauczony doświadczeniem). Natychmiast po dotarciu do wsi ogłosił, że odłączył się od swoich towarzyszy, którzy przyjadą następnego dnia, bo nieco zamarudzili po drodze. Ale na pewno go dogonią, bo dokładnie wiedzą, dokąd się udał. Tak że lepiej było jednak zostawić ciało w spokoju i zwałać wszystko na siły nad przyrodzone. A gdy chłopci zrozumieli, że żadnych towarzyszy nie było, dochodzenie już się zaczęło i było po ptakach.

Mniej więcej coś takiego powiedziałam porucznikowi.

- Czyli myśli pani, że to ten obcy zabił poborcę i uciekł? - Historia tylko rozpałała jego ciekawość.

- Jaki on tam obcy, skoro go cała wioska kryje - mruknęłam. - I wydaje mi się, że odjechał właśnie leśną drogą.

- A gdzie ona jest? - Laurinne nie wytrzymał. - Wszystko tu z Iwasem obeszliliśmy, ale nie znaleźliśmy żadnej drogi!

- Nic dziwnego. - Uśmiechnęłam się kpiąco. - Po prostu jej pan nie widzi. Ale nic, jutro pokażę.

Uczciwie mówiąc, mnie również gryzła ciekawość. Co to za droga, dokąd prowadziła, cóż to za dziwna magia, którą wyczuwam w lesie, kto zabił i na końcu: w czym mu w ogóle przeszkadzał ten cały nieszczęsny poborca? Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że rozwiązanie zagadki kryje się właśnie w lesie, a byłam przyzwyczajona ufać swojej intuicji.

- Chce pani tam pojechać? - Laurinne wytrzeszczył oczy.

- Dlaczego by nie? - Spojrzałam w niebo, by określić godzinę. - Niech pan idzie i powie ludziom, żeby się pakowali. Ruszamy jutro o świcie.

Porucznik jeszcze się ociągał, chyba licząc, że się rozmyślę. Ponieważ

nadal trwałam w milczeniu, odwrócił się i pomaszerował wykonać rozkaz.

A ja poszłam do Morica i od progu wzięłam byka za logi.

- Wydaje mi się, szanowny panie - powiedziałam, surowo patrząc mu w oczy - że próbuje mnie pan oszukać. Wcale pan tamtej nocy nie spał, a do tego doskonale zna mordercę. Tyle że go pan kryje.

- Ale jak pani może...! - Gospodarz zachłysnął się oburzeniem, ale przerwałam mu:

- Oczywiście, że mogę. Wiem, że on nie jest miejscowy, nie ze wsi. I coś mi się wydaje, że ten typ na płochliwej gniadej udał się o, w tamtym kierunku.

Machnęłam ręką w stronę lasu.

Nie wiem, co zdziwiło Morica bardziej, wskazany przeze mnie kierunek czy słowa o gniadej.

Niemniej żal było na niego patrzeć.

- Mam rację? - Uniosłam brwi. Gospodarz skrzywił się cierpiętniczo, ale jednak skinął głową.

- To dlaczego nie chce mi pan opowiedzieć prawdy? Nie może?

Potakiwał tak desperacko, że aż czapka zleciała mu z głowy i plasnęła o podłogę. Moric patrzył na mnie z nadzieją.

- To nie będę pana męczyć. Jak nie może pan powiedzieć, niech nie mówi. -Wzruszyłam ramionami. - Sama zobaczę, co się w tym waszym lesie dzieje.

Idąc w kierunku schodów, rzuciłam spojrzenie przez ramię. Moric patrzył za mną z wyrazem równocześnie przerażenia i ulgi na pulchnej twarzy. I kreślił w powietrzu dobrze mi znany symbol...

Noc minęła szybko, żadne koszmary mnie nie dręczyły. Jedyne problem stanowił jakiś uparty komar, który natrętnie bzyczał w ciemności i nijak nie

mogłam drania ubić. W końcu poszłam po rozum do głowy i otoczyłam się magiczną strefą ciszy. Niech drań gryzie, byle dał pospać! Wstałam tuż przed świtem, szybko zebrałam swoje rzeczy - przyzwyczajenie do podróży bez bagażu jest pożyteczne - i wyszłam na dwór. Ale do stajni nie dotarłam, ponieważ na spotkanie wyskoczył mi zdenerwowany Laur inne.

- Co się stało? Jeszcze jeden trup? - Starłam się zachować spokój.

- Nnnie, panno Naren. - Porucznikowi język stawał kołkiem. - Tylko...
Znaczy...

- Co?

- Moi ludzie... - Porucznik przełknął ślinę, ale jednak desperacko dokończył zdanie: -Moi ludzie odmawiają jechania do lasu! Oni... Panno Naren, oni się po prostu boją! Miejscowi im naopowiadali takich potworności, że włosy dęba stają!

- Doskonale - mruknęłam. Karczmarzowi nie można było odmówić szybkości! Czy też założył, że zainteresuję się lasem, i zawczasu podjął środki zaradcze? A zresztą nieważne. Nawet lepiej, nikt mi się nie będzie kręcił pod nogami. - W takim razie nie będziemy ich zmuszać, pojedę sama. A pan zostanie tu z oddziałem i będzie na mnie czekał.

- Nie, panno Naren, jadę z panią - nachmurzył się.

- Czyli nie boi się pan wiejskich straszaków? - uśmiechnęłam się krzywo.
Laurinne lekko wzruszył ramionami.

- Panno Naren, dostałem rozkazy - odparł. - Czy się boję, czy nie boję...
Mam rozkaz, żeby pani towarzyszyć, czyli będę pani towarzyszył.

Na takie stwierdzenie mogłam tylko pokręcić głową. Laurinne był wyraźnie mocno zaniepokojony. Gwardzistów też ktoś musiał nastraszyć bardzo solidnie, ostatecznie to nie ciemni chłopci oderwani od pług! Wiedziałam, że lepiej bym wyszła na eskorcie złożonej ze zwykłych żołnierzy - tamci nie mają w zwyczaju takiego kręcenia nosem. Szczególnie,

że za odmowę wykonania rozkazu grozi im więzienie albo nawet kara śmierci.

Ale naprawdę niezłe opowieści do poduszki muszą mieć ci miejscowi! Ciekawe jakie? Czym można przerazić dziesiątkę gwardzistów do tego stopnia, żeby odmówili wykonywania rozkazu? Może ten smarkaty porucznik nie posiadał wybitnego autorytetu, ale odmowa wykonania polecenia dowódcy to nie żarty. Jednak jakoś się tej dyscypliny pilnuje!

Zresztą o powody dziwnego zachowania oddziału mogłam spokojnie wypytać Laurinne'a po drodze, a teraz czas był najwyższy ruszać.

ROZDZIAŁ 10

Las

Cała wieś zebrała się, by nas pożegnać. W domach zostali chyba tylko najbardziej zgrzybiali starcy i niemowlęta. Wszyscy stali, gapili się w milczeniu, ni to jak na wariatów, ni to jak na żywe trupy.

Gwardziści chmurnie wlepiali spojrzenia w ziemię, ale żaden nie zaproponował, że jednak pojedzie z nami. Z wyjątkiem kaprała Iwasa, ale w jego przypadku wierność porucznikowi była silniejsza niż strach. Jemu rozkazałam, by został - ktoś musiał przecież pilnować pozostałych „walecznych wojaków”.

- O ile zdołałam dojrzeć, droga prowadzi daleko za wzgórze - powiedziałam do porucznika.

Cicho, żeby miejscowi nie słyszeli. - A zresztą pan pewnie nic nie wie o żadnych wzgórzach... Dobrze, to proszę uwierzyć mi na słowo. W jeden dzień się nie wyrobimy, to mogę zagwarantować.

- Zastanowiłam się, ile czasu potrzebuję na zaspokojenie ciekawości. Jazda tam, następnie z powrotem, jeszcze dorzucić trochę zapasu na nieprzewidziane okoliczności... - Powie im pan, żeby czekali na nas przez dwa tygodnie. Jeżeli nie wrócimy ani nie damy o sobie w żaden sposób znać, niech kapral sam zdecyduje, co dalej.

- Dwa tygodnie?! - Laurinne nawet nie próbował powstrzymać zdziwienia.

- Ma pan jakieś zastrzeżenia? - spytałam.

- Bynajmniej, panno Naren - brzmiała odpowiedź. - Przekażę pani rozkazy.

- Ani przez chwilę w to nie wątpiałam - prychnęłam. - A potem ma pan natychmiast wsiadać na konia i ruszamy!

Miałam wrażenie, że Laurinne do ostatniej chwili nie wierzył, że faktycznie udamy się na wyprawę w głąb lasu. Zresztą kto by uwierzył, skoro nie prowadziła tam żadna droga, a nawet ścieżki nie było widać?! Ale mimo wszystko ta droga istniała, tyle że bardzo dobrze schowana. Zaczynała się w płytkim parowie tuż za wsią. Zbocze było dość łagodne i miałam wrażenie, że przejechałby tamtędy nawet wyładowany wóz. Jar zarastały krzaki, które na pierwszy rzut oka wyglądały na nie do przebycia, a jeszcze dalej zaczynały się takie chaszczki, że każdy głupi by zrozumiał, iż nie ma sensu się tam pchać. Ale zwróciłam uwagę na coś, czego nie zauważył urzędnik, a raczej czego zauważyć w żaden sposób nie mógł, ponieważ nie był magiem. Oczywiście wszyscy przedstawiciele jego zawodu dostawali amulety nastawione na rozpoznawanie i neutralizowanie pewnych rodzajów wrogiej magii, ale tylko tyle. Natomiast tutaj wykorzystano czary innego rodzaju, które nie zaliczały się do wrogich.

Nieskomplikowane, ale bardzo skuteczne zaklęcie, przez prostych ludzi nazywane zwykle „zawracajką” lub „zawrotką”. W przygranicznych siołach używano go często, by uchronić się przed wizytą bandytów czy innych niemile widzianych gości (na przykład poborców podatkowych). Działo banalnie: człowiek zbliżał się do miejsca obłożonego „zawracajką”, po czym odczuwał ostrą niechęć na myśl o kontynuowaniu podróży w tym kierunku. Krajobraz przestawał mu się podobać, wyobrażenia podsuwała jakieś

podejrzane stwory mające w krzakach, ewentualnie przypominał sobie o jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie, którą ma załatwić w całkiem innym miejscu. Oczywiście człowiek mógł się wysilić i przejść jeszcze kawałek, ale to miało szansę zaowocować poważnymi zaburzeniami równowagi psychicznej. Konie za tego rodzaju zaporami też nie przepadały.

Poza tym oprócz „zawrotki” na leśnym trakcie użyto również doskonałej iluzji, która przedstawiała nieprzebyte chaszczce i dobrze maskowała szlak. Całość ciągnęła się dość daleko wzdłuż drogi, chyba po to, by ktoś, kto już do lasu wszedł, przypadkiem nie natrafił na nią gdzieś dalej od parowu. Nie każdy mag potrafił nałożyć tak wyśmienite zaklęcie, wymagające zarówno mocy, jak i umiejętności. W sumie powiedziałabym, że to dzieło jakiegoś mistrza, na które przyjemnie było popatrzeć. Ale wykonane dawno, możliwe, że nawet nie w naszym stuleciu. Nic, tylko zazdrościć ówczesnym magom! Twórcy najpewniej nie było już na tym świecie, a zaklęcie nadal trwało, jak gdyby je rzucił wczoraj! Samo tylko zaklęcie wystarczyło, by dodatkowo pobudzić moją ciekawość: co takiego skrywało się w tym lesie, że do jego osłony potrzebne były takie sztuczki?

- Ruszamy - rozkazałam, kierując kobyłą w stronę parowu. Sądząc z chmurnych spojrzeń, które rzucali miejscowi, moje hipotezy były prawdziwe.

Gniadosz porucznika gwałtownie strzygł uszami i tańczył w miejscu - jar wyraźnie mu się nie podobał i nie miał najmniejszego zamiaru tego ukrywać. Laurinne z trudem go opanował. Moja Szarka co prawda położyła uszy, ale nie stroiła fochów.

Zastanowiłam się chwilę. Na niszczenie mistrzowsko wykonanej „zawrotki” i iluzji za nią straciłabym w najlepszym przypadku dwa dni, a nie miałam czasu na grzebanie w starożytnych zaklęciach. Ale mogłam uprościć sobie zadanie: otoczyłam siebie i porucznika kokonem energetycznym, praktycznie niwelując działanie „zawrotki” na nas i na nasze zwierzęta. Iluzja

co prawda została... Ale cóż, tu trzeba będzie zastosować bardziej przyziemne metody. Swoją drogą, ciekawe jak ten człowiek na gniadoszu tędy przejechał. Nie czułam śladów cudzej magii, ale to jeszcze nic nie znaczyło, bo mógł mieć przecież amulet.

To wszystko jeszcze bardziej rozpalało moją ciekawość!

- Niech mi pan da wodze, poruczniku - rozkazałam, po czym przywiązałam je do łąku swojego siodła. - Proszę zamknąć oczy i mocno się trzymać.

Mówiąc te słowa, popędziłam swoją kobyłkę, która bez chwili wahania ruszyła w kierunku zarośli. Iluzje jako takie słabo działają na zwierzęta i historia zna masę przypadków, gdy perfekcyjnie wykonany miraż sypał się przez jakiegoś kota, który najspokojniej w świecie przechodził przez na pozór solidną ścianę! Ta sytuacja nie była wyjątkowa i kobyła bez żadnych oznak zdenerwowania ruszyła przez gałęzie. Na wszelki wypadek przymknęłam oczy - jechanie przez iluzję nie należy do przyjemności, ponieważ wzrok wchodzi w konflikt ze zdrowym rozsądkiem i całą resztą zmysłów.

Zarówno dla miejscowych, jak i dla gwardzistów wyglądało to tak, jakbyśmy dotarli do zarośli, a następnie po prostu się w nie wtopili. Prawdopodobnie identycznie zachowywał się nocny gość (a może goście?), w związku z czym chłopci mogli uznawać go za istotę nadprzyrodzoną albo przynajmniej posiadającą moc magiczną.

Iluzja miała trwać przez dłuższy czas, a ja miałam powyżej uszu podróży z zamkniętymi oczami, więc je otworzyłam. Musiałam się trochę przyzwyczać, ale ogólnie nie było tragicznie.

Tymczasem powieki porucznika pozostawały szczelnie zaciśnięte, pewnie z ciekawości spróbował rozejrzeć się dokoła i posmakował całego bukietu odczuć naraz. Dobrze, że nie zleciał z konia i nie musiałam się nim

zajmować. Może to i lepiej, że żołnierze zrezygnowali z wycieczki, robiło mi się lekko nieswojo na samą myśl o tym, że musiałabym prowadzić tędy cały oddział.

- Może pan otworzyć oczy - powiedziałam w końcu i Laurinne z wyraźną ulgą wykonał polecenie.

- Panno Naren, gdzie my jesteśmy? - zapytał ze zdziwieniem, rozglądając się na boki.

- W lesie. Ale to chyba widać? - Wzruszyłam ramionami, oddając mu wodze gniadosza. - Na drodze.

Laurinne wlepił we mnie oszołomione spojrzenie, jak gdybym była jarmarcznym kuglarzem, który wyciągnął zza jego ucha złotą monetę. Takie traktowanie zawsze mnie szalenie irytowało, więc ciąg dalszy brzmiał cokolwiek obcesowo:

- Niech pan kopnie tego swojego truposza, bo tempo to on ma ślimacze. Nie jesteśmy na spacerze!

Popędziłam moją kobyłkę, która przeszła w równy kłus, zostawiając gniadosza z tyłu. Nie nadawała się do udziału w wyścigach, zresztą ciężar bagażu i tak nie pozwalał na osiągnięcie zawrotnego tempa, ale za to moja Szarka mogła pochwalić się nadprzeciętną wytrzymałością.

Porucznik szybko mnie dogonił i jechał z tyłu, zachowując pełne urazy milczenie. Cóż, akurat to mi jak najbardziej odpowiadało. Tak oto upłynął nam czas do południa, kiedy zdecydowałam się urządzić popas i coś zjeść. Niebawem ruszyliśmy dalej, gdyż miałam zamiar w ciągu tego dnia pokonać możliwie najdłuższy odcinek drogi. Dotychczasowe tempo podróży satysfakcjonowało mnie. Nie brakowało nam wody, dookoła było pełno strumyczków, z których mogliśmy napełnić podróżne bukłaki.

Las żył własnym życiem: wśród gałęzi rozbrzmiewały nawoływania ptaków, raz czy drugi w zaroślach przy drodze zauważyłam jakieś drobne

zwierzątko, a w pewnej chwili drogę przeciął lis.

Zdawało się, że to najzwyczajniejszy las, taki ze starymi drzewami, do których nigdy nie zbliżył się drwal.

Jednak cały czas czułam się niepewnie, jak gdyby ktoś przyglądał mi się krytycznie. A może to po prostu wyobraźnia płatała mi figle?

- Laurinne... - zawołałam, gdy milczenie już mi się znudziło. - A cóż takiego przerażającego miejscowi opowiedzieli pańskim żołnierzom?

- Opowiedzieli im o lesie, panno Naren. - Na wszystkich bogów, ileż urazy w głosie! Ciekawe, o co tym razem?

- A konkretnie? - Przyhamowałam kobyłkę, by porucznik zrównał się ze mną. - Co ja właściwie mam zameldować Jego Królewskiej Mości? Że niby mili tubylcy powiedzieli: „Panowie gwardziści, nie chodźcie do tego lasu, bo tam straszy”?

- No... coś w tym rodzaju... - wydukał porucznik, zawstydzony.

- Oczywiście. A odważni gwardziści natychmiast uwierzyli w brednie przesądnych chłopów.

Wyobrażam sobie, jak bardzo ucieszy się Jego Królewska Mość na tę wieść! Doborowy oddział wojaków do tego stopnia przestraszył się wiejskich bajek, że odmówił wykonania rozkazu. Wprost wspaniale! Dopiero trybunał wojenny będzie boki zrywał! - Na wspomnienie trybunału na twarz porucznika wystąpiły czerwone plamy, ale zmilczał. - Laurinne, wie pan co? Ja również bym chętnie posłuchała takiej bajki!

- Panno Naren... - Porucznik obrzucił mnie spojrzeniem urażonego dziecka. - Gdyby oni prawili o wilkach czy tam o jakichś potworach, to pośmialibyśmy się i tyle. Po wsiach zawsze krążą takie historie!

- Tymczasem oni mieli do powiedzenia coś prawdziwie przerażającego. - Skinęłam głową ze zrozumieniem. - Laurinne, starczy tych wymówek, niech pan gada!

- Mówili, że dawno temu w tych okolicach znajdowała się świątynia jakiegoś złego bóstwa - zaczął porucznik, tajemniczo zniżając głos. - Podobno wybudowana została przez potężnego czarnoksiężnika i...

- I jego wyznawcy nadal siedzą w lesie, porywają niemowlęta i gotują zupę z żywych dziewczic - dokończyłam. - Albo na odwrót. Wyście się naprawdę przestraszyli takich bredni? Laurinne, wstyd mi za pana.

Porucznik zaczerwienił się jeszcze bardziej, ale koniec końców wydukał:

- A poza tym mówią, że jak ktoś ze wsi czy z przyjezdnych wejdzie do lasu, to już nie wraca. To znaczy, za dnia niekoniecznie, ale jak zostanie tam na noc, to już nie ma co na niego czekać... Czasem tylko ktoś przypadkiem trafi na kości... - Laurinne podniósł głowę i spojrzał na mnie buntowniczo.

- Panno Naren, teraz to może brzmi śmiesznie! Ale jak opowiadali w nocy i słychać było, jak tuż obok ten cały las szumi...

- To zajęcze serduszko chowało się w okolicach pięt - mruknęłam. - Jakie jeszcze bajki wam opowiedzieli?

Porucznik zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć.

- Mówili, że las kradnie dusze. Ludzie nie tak sobie giną, tylko... A potem taki trup może przyjść do rodziny i ich wszystkich...

- Laurinne, no co to za bzdury! - przerwałam mu podniesionym głosem. - Niech mi pan tu nie opowiada bredni o żywych, a raczej wskrzeszonych trupach. Widziałam takich na własne oczy i niech mi pan wierzy, że duchy osób zmarłych naprawdę nie mają z tym nic wspólnego!

- Naprawdę? - W jego oczach zabłysła ciekawość. - Naprawdę ich pani widziała? Panno Naren, niech pani opowie!

- Nie płacą mi za prawienie bajek - burknęłam. - A poza tym, jak teraz coś takiego opowiem ze wszystkimi szczegółami, to pana na pewno zemdle, a ja nie mam czasu się z panem cackać. Proszę mi lepiej wyjaśnić, czego pańscy gwardziści się tak wystraszyli? Nie sądzę, by mieli w ten sposób

reagować na wilkołaki czy inne strzygi...

- Znaczy... - Porucznik ponownie się zachmurzył. - Panno Naren... jakoś tak się złożyło, że oni prawie wszyscy wierzą w Matkę Noann i...

- I co? - Uniosłam brwi. - Zresztą niech pan nie mówi, sama zgadnę... - Zastanowiłam się chwilę, przypominając sobie dogmaty tej religii. - Aha, czyli to tak...

Dla czcicieli Matki Noann nie było nic straszniejszego niż utrata duszy. Śmierć ciała martwiła ich w znacznie mniejszym stopniu. Wierzyli w to, że po ich śmierci dusza natychmiast odradza się w nowym ciele i tak bez końca. Ale jeśli jakiś zły duch albo, co gorsza, niedobry człowiek taką duszę porywał, to nie mogła się ponownie urodzić, lecz była zmuszona przez całą wieczność wykonywać rozkazy nowego pana. A to powodowało, że nie mogła wypełnić swojego przeznaczenia: wiecznie żyć i wiecznie się zmieniać, tylko tkwiła w stanie zawieszenia. Dla noannitów było to gorsze od piekła, w które wierzono w innych religiach. Ale wiadomość była cokolwiek nieprzyjemna...

Wyznawcy Matki Noann zwykle byli doskonałymi żołnierzami i pewnie dlatego aż tylu ich znalazło się w przydzielonym mi oddziale. Nic dziwnego - niezbyt przejmowali się ranami czy śmiercią. Ale za to przestraszyli się złej magii. Pewnie te chłopskie opowieści były dość przekonujące... Arneliusz koniecznie musiał się o tym dowiedzieć, póki ten aspekt religii noannitów nie doprowadził kraju do poważniejszych kłopotów. Czyli ci biedacy nie unikną sądu... Nie chciałam, by historia skończyła się w ten sposób, ale innego wyjścia nie widziałam. Nie da się tego incydentu przemilczeć. Poza tym, no dobrze, ja mogłam sobie bez tych paru żołnierzy poradzić, ale co będzie, jeśli potem taka historia powtórzy się przy okazji jakiejś kampanii wojennej?! Dziwne, że do tej pory obeszło się bez precedensów. Co prawda gdyby ci gwardziści mieli poważniejszego dowódcę, to sprawy też najpewniej

potoczyłyby się inaczej. Z drugiej strony, jeśli nie uszanowali nawet magajstycjariusza... Chyba warto byłoby znaleźć czas i dokładniej zapoznać się z doktryną tego kultu. A zanim się do tego zabiorę - sprawdzić, jakie konkretnie „bajeczki” opowiadali chłopi i w jaki sposób dowodzili ich prawdziwości. Bo to mogło mi się jeszcze przydać.

- Poruczniku, a pan? - spytałam. - Nie wierzy pan w Matkę Noann? Skoro się pan nie bał jechać ze mną?

Laurinne nieznacznie wzruszył ramionami.

- To, w co ja wierzę, nie ma najmniejszego znaczenia... - odparł chmurnie. - Mam rozkaz pani towarzyszyć. I towarzyszę...

„Boi się” - zrozumiałam. Boi się tak, że mu serce ucieka w pięty. W lesie trzasnęła jakaś gałąź, a on niemalże podskoczył w siodle i ciągle się jeszcze rozgląda na boki. A mimo to ze mną jedzie...

Dawno nie spotkałam nikogo z tak solidnym poczuciem obowiązku! Hmm... Któż to wie, może z tego chłopaczka jednak wyrośnie coś sensownego?

Rozmowa się nie kleiła. Laurinne wyraźnie wzdrygał się na każdy odgłos, a zwykły duży ptak, który hałaśliwie wystartował z krzaka przy drodze, chyba prawie przyprawił go o zawał. I co niby miałam robić z takim „ochroniarzem”? Przecież w nocy mu mogło do reszty odbić ze strachu!

Zaczynało się zmierzchać i czas był najwyższy poszukać miejsca na nocleg. Z jakiegoś powodu kompletnie nie miałam ochoty na wchodzenie do lasu, chociaż „zawrotka” nie powinna działać wewnątrz, a w dzień nic podobnego nie czułam... Tylko że spędzanie nocy na środku drogi było pomysłem jeszcze głupszym. Ledwo co zdążyłam skończyć tę myśl, gdy moja kobyła nadstawiła uszu.

Zza zakrętu przed nami dobiegł wyraźny tętent kopyt. Jeźdźców musiało być kilku.

O, jeszcze ktoś tu jest! Ciekawe, któż to...? Zresztą zaraz mieliśmy się tego dowiedzieć.

Zza zakrętu wyłonili się konni. Na nasz widok zatrzymali się w odległości jakichś dziesięciu kroków, by nas sobie obejrzeć. Łagodnie rzecz ujmując, wyglądali na zdziwionych. Skorzystałam z okazji i również zlustrowałam ich od stóp do głów. Ludzie jak ludzie, niczego nadprzyrodzonego.

Zdolności magicznych również żadnych, jedynie lekkie tło od prościutkich amuletów przynoszących szczęście, chroniących przed złymi spojrzzeniami i tak dalej, i tym podobnie. Ubrani byli prosto, praktycznie, nie wyglądali na podróżnych z daleka. Konie duże, zadbane, ale również były najzwyczajniejszymi zwierzętami. Co prawda nie umiałam rozpoznać rasy - garby na nosach jak u taienów, ale zbyt duże i grubokościste. Pewnie jakaś krzyżówka.

- A wy kim jesteście? - zapytał w końcu jeden z jeźdźców - niewysoki, ciemnowłosa i niezbyt przystojny. W siodle trzymał się pewnie, a przy pasie miał taki arsenał, że można by tym obdzielić ze trzy osoby.

- Flossia Naren, do usług - przedstawiłam się chętnie, wyjmując z ust fajkę. - Niezależny mag-justycjariusz, obecnie pod opieką Jego Królewskiej Mości Arneliusza. A ten tu młodzieniec - machnęłam ręką w stronę mojego towarzysza - to porucznik gwardii królewskiej, Laurinne. Moja eskorta.

- I czego tu szukacie? - zapytał ten sam jeździec podejrzliwie.

- Widzi pan, prowadzę dochodzenie. - Moja odpowiedź brzmiała całkiem przyjaźnie, nie zamierzałam od razu psuć sobie stosunków z miejscowymi. - Próbuję ustalić okoliczności śmierci poborcy podatkowego i ślady zaprowadziły mnie do tego lasu. Miałam nadzieję znaleźć tu kogoś, kto będzie w stanie odpowiedzieć na moje pytania.

- Jak wyście tu w ogóle trafili? - ze złością zapytał drugi jeździec, młody

jasnowłosego chłopak z blizną na czole. - Obcy tutaj nie mają wstępu!

- Szanowny panie, przecież się przedstawiłam. - Cały czas zachowywałam uprzejmy wyraz twarzy i zignorowałam również wściekły grymas, adresowany do młodzieńca przez ostatniego z towarzyszy. - Jestem magiem i ta śliczna „zawrotka” wzmocniona iluzją na mnie nie działa. A poza tym panowie nadal się nie przedstawili. Czyż nie jest to trochę nieuprzejme wobec damy?

- Hmm... - Mój pierwszy rozmówca zawstydził się jakby i może również doszedł do wniosku, że złośczenie maga nie jest najlepszym pomysłem. - Pani wybaczy... eee... waćpani, my tu ludzie prości i nienauczeni dworskich manier... Ja jestem Walt, ten tu -wskazał palcem młodzika z blizną - to Sors, a tamten - Rin.

- Bardzo mi miło panów poznać. - Skinęłam głową. - A teraz może zejdziemy z koni i zastanowimy się nad noclegiem? Niedługo zapadnie zmrok!

- Słusznie pani prawi - zgodził się Walt. - Proszę za nami, tutaj obok jest niezłe miejsce.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Cała trójka miejscowych przyglądała mi się z ukosa, wyraźnie uznawszy porucznika za niegodnego uwagi. Ja natomiast patrzyłam na nich. Niby ludzie jak ludzie, tylko ta trochę dziwna wymowa. Waćpanią od bardzo dawna mnie nikt nie nazwał, ten zwrot do reszty już wyszedł z mody. A poza tym niektóre inne słowa...

- Mieliście szczęście, że trafiliście na patrol, póki jest jeszcze jasno - przerwał milczenie Walt.

- Ludzie we wsi mówili, że w lesie nocą jest niebezpiecznie - odrzekłam.
- Czyli to nie wymysły?

- Jakie tam wymysły, waćpani - westchnął Walt. - Jakbyśmy na was nie wpadli, to rano zostałoby po was tylko wspomnienie.

- A można prosić konkretniej? - nadstawiłam uszu.

- Konkretniej to wam opowie reie Fein, jeśli uzna, że można - odpowiedź była wymijająca.

- Odprowadzimy was do niego, tak czy siak powinniśmy wracać. I sobie porozmawiacie o wszystkim, o czym tam trzeba, bo my ludzie maleńkie, nie dla naszych uszu taka wiedza... - Zamilkł na chwilę, a potem dodał: - Tylko niech mi waćpani uwierzy, nocą w lesie samotny człowiek naprawdę nie ma czego szukać. I lepiej się od nas nie oddalajcie nawet o krok, bo różnie to bywa.

Sądząc z wyrazu twarzy porucznika, miał ochotę zaskowyczeć ze strachu.

Mnie tymczasem bardzo zainteresowało nazwisko pana tej trójki. A nawet nie nazwisko, tylko tytuł. Mianem „reie” określano szlachtę bogowie wiedzą ile wieków temu, jeszcze zanim na terenach obecnego Arastenu pojawili się hrabiowie i baronowie, zmieceni następnie przez wojsko Arasta I, który z kolei powołał do istnienia arnaiów i neirów. Co tu się, u licha ciężkiego, działo?

O dziwo, noc upłynęła spokojnie i rano ruszyliśmy w dalszą drogę. Walt powoli się rozkręcił i mimo że nadal nie udało mi się wyciągnąć z niego żadnych cennych informacji, czegoś się jednak dowiedziałam. Odbywali zwykły patrol. Teoretycznie mieszkańcom lasu nikt nie zagrażał, ale przybysze to co innego i dość głupio byłoby ignorować potencjalne niebezpieczeństwo. Dlatego już od wielu lat po drogach (jako że ta tutaj nie była wcale jedyna) jeździli uzbrojeni strażnicy. Zwykle nic ciekawego się nie działo, ale tym razem trafili na nas.

Powoli zaczynałam rozumieć, że w głębi tego gęstego lasu tętni życie. Raz Sors wspomniał coś o „zamku”, za co oberwał od Rina (umiejętność trzymania języka za zębami chyba nie była mocną stroną chłopaka). Ale skoro istniał zamek, to powinien też istnieć jego pan, najpewniej ten cały reie

Fein, do którego nas prowadzono. Miałam nadzieję, że przynajmniej on jest bardziej rozmowny!

Podróż nie zajęła wiele czasu, rano czwartego dnia droga gwałtownie zanurkowała w dół, a następnie znowu ruszyła do góry. Drzewa rozstąpiły się, otwierając przed nami widok na zamek na wzgórzu. Dostyc spory, najwyraźniej stary i budzący mimowolny szacunek.

- I oto jesteśmy na miejscu - z głosu Walta było zadowolenie. - Waćpani popatrzy, to właśnie on.

- A ma jakąś nazwę? - byłam autentycznie ciekawa.

- Noo... - Walt zamyślił się. - Ile spomnę, to od zawsze był po prostu Zamek. Albo jeszcze Zamek-Nad-Lasem. A po co go nazywać inaczej? Przecież jest jeden jedyny...

Nie mogłam nie przyznać, że jego wywód był w pewien sposób logiczny.

Przy wjeździe przez zamkową bramę poczułam na sobie kilka zszokowanych spojrzeń.

Najpewniej już od dłuższego czasu nie mieli tu gości, a już na pewno nie takich, którym udało się samodzielnie trafić do lasu. Uśmiechałam się uprzejmie, rozglądając dokoła. Zdaje się, że mieszkało tu całkiem sporo ludzi. Ciekawe, skąd brali żywność? Mało prawdopodobne, by z zewnątrz, to by przecież musiało wywołać jakieś plotki! Czyli najpewniej jakoś sobie radzili własnymi siłami.

Walt pobiegł gdzieś, po czym wrócił i zameldował:

- Zaraz przygotowują pokój dla waćpani i drugi dla pani towarzysza. A póki co...

- A póki co, bardzo chciałbym poznać szanowną panią - ktoś wszedł mu w słowo. Na dziedzińcu pojawił się niewysoki, chudy mężczyzna o postawie już na pierwszy rzut oka zdradzającej arystokratę.

- Werger Fein, do usług.

- Reie Fein, bardzo się cieszę z tego spotkania. - Uprzejmie pochyliłam głowę. Uznałam, że będę nazywać gospodarza tak samo jak miejscowi. Język mi od tego nie uschnie, a pan zamku będzie przychylniej nastawiony. - Flossia Naren, niezależny mag-justycjariusz. A to jest porucznik Laurinne.

- Przejdźmy do mojego gabinetu - zaproponował Fein. - Póki służba przygotowuje pokoje, chciałbym z panią porozmawiać.

- Z przyjemnością - odpowiedziałam tak miło, jak tylko zdołałam, i ruszyłam za gospodarzem, zostawiając Laurinne'a, by doglądał koni.

Gabinet reie Feina był obszerny, przytulny i trochę zagracony. Widać było, że gospodarz nie tylko przyjmuje w nim gości, ale również pracuje.

Zaproponował mi wygodny fotel przy oknie, a sam usiadł naprzeciwko.

- Reie Naren, proszę się częstować - zaproponował ceremonialnie, biorąc karafkę. - To wino jabłkowe. Jestem pewien, że jest pani spragniona po długiej drodze.

- Bardzo dziękuję za poczęstunek. - Uprzejmie umoczyłam wargi w alkoholu i odstawiłam pucharek. Byłam doskonale świadoma, jak bardzo zdradliwe są takie napoje: pijesz jak wodę, a potem tracisz głowę szybciej niż po orcie. - I nie jestem reie. Pochodzę z rodziny dziedzicznych magów-justycjariuszy, ale nie ma ona arystokratycznych korzeni, więc nie roszczę sobie praw do żadnych tytułów. Wystarczy po prostu „panna”.

- Jak pani woli, panno Naren. - Fein skinął głową, porzucając uroczysty ton. - Tak więc co sprowadza panią w nasze okolice?

Zdecydowałam się na szczerą. Ostatecznie moja obecna sprawa nie stanowiła żadnej tajemnicy.

- Prowadzę dochodzenie. We wsi pod lasem, w karczmie, ktoś zabił poborcę podatkowego. I z całą pewnością mogę poświadczyć, że morderca był miejscowy. - Westchnęłam. - Nie pasowały mi pewne szczegóły. Tamtejsi mieszkańcy stanowczo nie potrafią kłamać i oczywiste było, że kogoś kryją.

Ślady zaprowadziły mnie tutaj.

- Rozumiem... - Reie Fein nieco spochmurniał, ale skinął głową. - Panno Naren, ja... Odpowiem na pani pytania, ale najpierw chciałbym panią o coś poprosić.

- I chyba nawet wiem o co - uprzedziłam go. - Chce pan, żebym nikomu nie opowiadała o tym, co tu zobaczyłam, czyż nie?

- Dokładnie. - Fein popatrzył mi głęboko w oczy. - Będę musiał zaufać pani słowu.

Skwitowałam to stwierdzenie mruknięciem. Coś mówiło mi, że gdybym nie była magiem, sprawa skończyłaby się na dwóch niepozornych mogiłkach w lesie - jednej dla mnie, drugiej dla Laurinne'a. Gdyby Fein był trochę głupszy, to właśnie taki rozkaz by wydał, po czym najpewniej zostałby tu sam, na malowniczych ruinach zamku. Jednak okazał się na tyle inteligentny, by nie popełnić podstawowego błędu. I wydawało mi się, że mimo odcięcia od świata w tej puszczy wiedział też o reputacji i niektórych zwyczajach magów-justycjariuszy. Mógł być pewien, że jeśli dam słowo, że nikomu nie opowiem o tym, czego się tu dowiedziałam, to tak właśnie zrobię.

- Obiecuję, że nikt i nigdy nie usłyszy ani ode mnie, ani od mojego towarzysza o Zamku-Nad-Lasem - odparłam - ale tylko w wypadku, gdy otrzymam wyczerpujące odpowiedzi na swoje pytania i odnajdę mordercę. To wszystko, co jest mi potrzebne.

- Już obiecałem, że odpowiem na pani pytania - odrzekł Fein. - Ale na początek opowiem co nieco o naszych okolicach.

Jak to czasem bywa, dawno, dawno temu pewien wielmoża, czy to uciekając przed prześladowaniami ze strony władcy, czy to z jakiegoś innego powodu, zebrał całą swoją rodzinę i służbę, wyniósł się ze starego miejsca zamieszkania, po czym osiadł w tej głuszy. Podobno w tamtych czasach człowiek, gdzie nie splunął, to trafiał na jakieś cudo. Przodek reie Feina też

trafił - do tego lasu. A las tymczasem okazał się... żywy. Oczywiście nie potrafił rozmawiać ludzkim językiem ani nic w tym stylu, niemniej miał swoisty charakter. Owszem, uratował uchodzących przed pogonią ludzi Feina, po czym zrobił mielonkę z ich prześladowców. Nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób, ale sądząc z tego, że rodzinę zostawiono w całkowitym spokoju, metoda była aż nadto skuteczna. A potem ów obrotny przodek jakoś się z lasem dogadał. Ludzie ruszyli jeszcze dalej w głąb i tam osiedli, a nawet wybudowali zamek. (No cóż, tu pod własnym ciężarem waliła się wersja o rodzinie i wiernych sługach, jako że musiał mieć przy sobie tłumy rzemieślników i chłopów, a na dokładkę niewielkie wojsko, ale mniejsza z tym). W okolicach zamku wyrosły dwie wsie, część lasu została wykarczowana pod uprawy, a jeszcze dalej, za rzeką, znalazło się kilka wspaniałych łąk do wypasania bydła. Tak więc nie wiadomo, z jakiego powodu przodek Feina tak bardzo się lasowi spodobał, ale z ich umowy wynikało, co następuje: ludzie mieszkają w lesie, a las chroni ich przed obcymi. A tego, co wyprawiał z owymi obcymi, którym zebrało się na nielegalną wycinkę czy kłusowanie, nie wspominało się przy posiłku. Nawet Fein wzdrygnął się, opowiadając, w jakim stanie znajdował się pechowy myśliwy, odnaleziony kiedyś przez jeden z patroli.

I wszyciutko się pięknie układało, pozostał tylko jeden problem: z kim mieli żenić się synowie pana na zamku? Przecież nie z chłopkami! Z biegiem lat wszyscy tutejsi reie zdążyli po kilka razy połączyć rody, na skutek czego rodzące się dzieci były słabe, chore albo nawet i gorzej. Rozpaczliwie potrzeba było świeżej krwi i wyjście się znalazło. Młodzi ludzie ruszali w szeroki świat w poszukiwaniu narzeczonych i oczywiście je znajdowali. Rozkochanie w sobie jakiejś młodszej córki z biednej szlacheckiej rodziny zwykle nie było trudne. Trochę strachu, gdy trzeba było wprowadzić taką narzeczoną do lasu, ale okazało się, że komuś, kto podróżuje z miejscowymi,

las nie zrobi krzywdy. A potem nowa dziewczyna musiała spędzić w lesie noc ze swoim narzeczonym, dokonać pewnego obrzędu, po czym zostawała uznana za swoją i już mogła bez przeszkód chodzić, gdzie i kiedy chciała.

I tak to trwało przez kolejne paręset lat... Już dawno temu „leśni” nawiązali kontakty z kilkoma okolicznymi wsiami i kupowali w nich ziarno czy inne potrzebne towary. Płacili futrami, haftami (jako że w zamku mieszkały wspaniałe hafciarki), bronią - byli tu zarówno kowale, jak i płatnerze, a rudę przywożono z daleka, z okolic, gdzie wzgórze przechodziły w góry, bo żywy las sięgał aż tam.

Tak więc ród Feina rządził sobie swoim maleńkim królestwem i było im całkiem dobrze!

- Niezgorzej! - skomentowałam po wysłuchaniu opowieści do końca. - I nawet baśni o was nie opowiadają, że niby stoi sobie zamek na środku magicznego lasu...?

Fein uśmiechnął się krzywo.

- Muszę przyznać, że po prostu mieliśmy szczęście - odparł. - Uczciwie mówiąc, nasz Las nie ma najlepszej reputacji. Oczywiście, zdarzają się poszukiwacze przygód, ale rzadko. A to przecież kompletna głusza...

- Swoją drogą, jak wasi młodzi ludzie przechodzą przez „zawrotkę”? - Tego byłam autentycznie ciekawa. - O ile zdołałam zrozumieć, nie macie magów.

- Owszem. Ze starych czasów zostały nam pewne drobiazgi i to właśnie one pozwalają wychodzić do zewnętrznego świata i wracać. Nie mamy ich wiele, przechodzą z ojca na syna i chronimy je bardziej niż niejeden skarb...

- Oczywiście. - Uśmiechnęłam się. No cóż, i tym razem miałam rację: jakieś starożytne amulety. Szkoda, mało prawdopodobne, by pozwolili mi się jednemu z nich przyjrzeć. - Reie Fein, czy moglibyśmy teraz przejść do rzeczy? - poprosiłam.

- Może po obiedzie? - zaproponował. - Zaraz ktoś zaprowadzi panią do komnaty, by mogła się przebrać po podróży, a potem zapraszam, aby dołączyła pani do nas przy posiłku. Rzadko mamy gości.

- Wyobrażam sobie... - mruknęłam. Fein czegoś mi nie mówił, ale niech mu będzie po obiedzie.

Tym bardziej że faktycznie byłam głodna.

Obiecany pokój okazał się całkiem przyzwoity, duży i jasny. Nie pytałam, co zrobili z porucznikiem, ale nie sądziłam, by go ułożono w psiarni. Umyłam się, uczesałam, włożyłam świeżą koszulę i udałam za służącym do jadalni.

Zebrało się w niej sporo ludzi, goście pewnie pojawiali się tu raz na dziesięć lat albo jeszcze rzadziej. Tym bardziej tak niezwykli. Traktowano mnie jak prawdziwe dziwo i oczywiście każdy musiał mnie osobiście poznać, ledwo nadążałam z zapamiętywaniem imion i twarzy. Laurinne również się tu znalazł i również budził zainteresowanie, przede wszystkim kobiet, żeby było zabawniej - wcale nie tych najmłodszych. Wydawało się, że dla panien nie przedstawiał sobą niczego ciekawego, ale za to w matronach wyraźnie budził instynkty macierzyńskie.

Rozdawałam uśmiechy na prawo i lewo i już czułam zmęczenie mięśni twarzy. Zauważyłam też pewną ciekawostkę. Fein siedział u szczytu stołu, dokładnie tak, jak gospodarz powinien. Po jego prawej stronie zajmował miejsce chłopak o sympatycznej twarzy, na oko dwudziestoparoletni. Wyraźnie było po nim widać powielone rysy Wergera Feina, czyli pewnie syn. „A to zapewne jego żona” - pomyślałam, widząc obok młodego człowieka śliczną dziewczynę w widocznej ciąży. I w tym wszystkim nie byłoby kompletnie nic dziwnego, gdyby nie jeszcze jedna postać. Trochę dalej siedział kolejny mężczyzna, również uderzająco podobny do pana zamku i mający około trzydziestu lat. Zdziwił mnie wyraz jego twarzy:

nieobecny, oderwany od rzeczywistości. Całkowicie sprawiedliwie nazywa się takie spojrzenie „szklanym”.

Uznałam, że najpewniej jest to starszy syn gospodarza. Ale dlaczego w takim razie nie siedział na miejscu następcy? Czyżbym się pomyliła i jednak to jakiś siostrzeniec czy inny dalszy krewny?

Czasem zdarza się, że siostrzeniec jest bardziej podobny do wuja niż rodzony syn! Prezentacja też nic nie dała, zamyślony mężczyzna okazał się Aleinem Feinem, a chłopak z ciężarną żoną - Elerem Feinem. Uznałam, że będę dochodzić, kto jest kim po obiedzie, i zabrałam się do konsumpcji wspaniale przygotowanych dań. Choć miałam z tym pewne problemy - ze wszystkich stron rozpraszano mnie rozmową. Najnowsze wiadomości docierały tu chyba z naprawdę wielkim trudem, więc wydarzenia sprzed trzech lat jak najbardziej uznawano za świeże. Chyba ci wszyscy młodzi ludzie, szukający narzeczonych, niezbyt interesowali się polityką czy ekonomią. Musiałam się więc wysilić, opowiadając, co działo się w stolicy i w ogóle w królestwie jako takim.

Alein Fein przez cały obiad nie wyrzekł ani słowa. Miałam wrażenie, że chyba nawet nie jadł, bo wszystko, co mu podawano, wyglądało na nieruszone. Na drugim końcu stołu zauważyłam prześliczną pannę - zdaje się, że przedstawiono mi ją jako Olorę - która słała mu przepiękne uczuciem spojrzenia. Co tu niby mamy, tragiczną miłość? Tego tylko brakowało!

Posiłek dobiegł końca, po czym niemalże siłą zabrałam Feina z jadalni mimo czynionych przez niego aluzji, że powinniśmy poczekać na deser. Ale miałam już powyżej uszu przebywania w centrum uwagi, za to miałam ochotę otrzymać odpowiedzi na swoje pytania. Przed wyjściem zdążyłam jeszcze zamienić parę słów z porucznikiem.

- Jak pana tu traktują? - spytałam.

- Całkiem niezłe - brzmiała odpowiedź. - Ale poprosiłem, żeby mnie zakwaterowali gdzieś obok pani...

- Po co?!

- No, jak to? A gdyby pani czegoś ode mnie potrzebowała, przecież nie będzie mnie pani szukać po całym zamku! - Fakt, coś w tym było. - Ale oni powiedzieli, że... znaczy za wysokie to dla mnie progi, żeby na wyższe piętra...

Jego twarz wyrażała takie oburzenie, że nie mogłam powstrzymać śmiechu. Rzeczywiście, wyszło dosyć zabawnie! Na wyższych piętrach zamku mieszkała szlachta (choć moim zdaniem niższe były po prostu cieplejsze), w związku z czym mnie również umieszczono u góry, żeby zademonstrować całą głębię szacunku dla mojej osoby. A Laurinne został zakwaterowany na dole, ze sługami. Dowcip polegał na tym, że wcale nie należałam do arystokracji. Mój pradziadek był synem generała, który awansował z samego dołu drabiny społecznej, natomiast jego matką była branka, którą tenże generał zdobył w jednej z kampanii na południu. Co prawda legendy rodzinne głosiły, że prapradziad zabrał ze sobą nie byle kogo, tylko córkę wielmoży, o mało co nie królową, ale tak czy siak - u nas kobieta ta była uważana za niewolnicę. Nawet mój lubiący się puszyć dziadek nigdy nie próbował przekonywać nikogo o swoim arystokratycznym pochodzeniu. Choć z drugiej strony, mógł też czerpać niczym niezmaconą przyjemność z faktu, że jako człowiek z nizin społecznych mógł bez ceregieli odnosić się do króla, a nawet mówić mu prawdę prosto w oczy. Natomiast Laurinne wyraźnie wywodził się ze szlachty, o czym już nieraz myślałam. Mało tego, najpewniej nie był nawet neirem, tylko najprawdziwszym arnaiem. A tu taka niesprawiedliwość!

Ale teraz nie miałam czasu, by radzić sobie z jego problemami, i ruszyłam śladem Feina.

- Pan uparcie próbuje coś przede mną ukryć - oznajmiłam, gdy już znaleźliśmy się w jego gabinecie.

- Raczej na odwrót, chciałem pani coś pokazać - odparł. - Wydaje mi się, że zwróciła pani uwagę na moich synów?

- Aha, czyli jednak obaj są pana synami - mruknęłam. - Bo już zaczęłam wątpić... Tak, ma pan rację, zwróciłam uwagę, że coś jest nie tak. Dlaczego na miejscu następcy siedział młodszy syn, a nie starszy?

- Chodzi o to... - Fein wydał z siebie ciężkie westchnienie. - Chodzi o to, że Alein nie może już być moim następcą. Dla Elera jest to wielki problem, bo przyzwyczał się do bycia młodszym synem i będzie mu bardzo trudno poradzić sobie z Zamkiem i resztą gospodarstwa...

- A co stało się z Aleinem? - moje pytanie zabrzmiało trochę gwałtownie. - Ma to jakiś związek z moim śledztwem?

- Myślę, że tak - odparł Fein. - Widzi pani... To Alein zabił tamtego człowieka... Nie, nie, nie!

- Zobaczyłem, że próbuję coś powiedzieć i nieco podniosłem głos. - Niech mi pani pozwoli wyjaśnić! Proszę zrozumieć, Alein wracał do domu z narzeczoną... - Gospodarz wstał i przespacerował się po gabinecie.

- Panno Naren, to naprawdę żałosna historia. On po prostu ukradł tę dziewczynę. Jej rodzice od samego początku byli przeciwni tej znajomości. Pochodziła ze starego rodu, a kim był dla nich Alein?

Żebrakiem ze szlaku!

- Ale zdaje się, że ona nie miała nic przeciwko - zauważyłam. Może i syn gospodarza nie był szczególnie przystojny, ale wyglądał bardzo męsko. Miałam wrażenie, że kobiety za nim przepadały... do czasu.

- Oczywiście, że nie, ona bardzo go kochała... - w głosie Feina brzmiał smutek. - Tak więc Alein zabrał ją z rodzinnego domu i ruszył okrężną drogą, bojąc się pościgu. Dotarli do wsi pod wieczór, więc uznał, że na wszelki

wypadek nie będzie pchał się do lasu o tej porze i zostali na noc w karczmie.

A jak na złość pojawił się ten poborca! - Fein uderzył pięścią w otwartą dłoń i wbił we mnie spojrzenie. - A na dodatek rozpoznał dziewczynę! Nieraz bywał w jej rodzinnych stronach i już zdążył się dowiedzieć, że została porwana!

- Próbował szantażować Aleina?

- Zgadza się. Żądał pieniędzy. Alein odmówił, bo wiedział, że to nic nie pomoże. W nocy on i dziewczyna chcieli odejść, ale ten drań próbował ich zatrzymać. Alein mówił, że stanął im na drodze, u podnóża schodów... zagroził bronią... To mój syn wziął zamach i ciął, jak go uczono. Nie miał pojęcia, że tamten człowiek broń nosił tylko dla dekoracji i nie umiał się nią posługiwać, więc nie dał rady zasłonić się przed śmiertelnym ciosem.

- Ale przecież to nie z powodu morderstwa jest w takim stanie? - Znowu obudziła się we mnie ciekawość. Jak na razie dotychczasowe domysły okazały się zgodne z prawdą i wszystko idealnie do siebie pasowało. Co prawda przy trupie nie znaleziono żadnej broni... Wątpliwe, żeby to Alein ją zabrał, ale miejscowi też mogli się postarać. Zresztą akurat to było mniej istotne.

- Nie... To z powodu Raity... Jego narzeczonej - wyjaśnił Fein, a jego twarz skurczyła się z bólu.

- Zginęła.

- Jak?

- Z niewiadomego powodu poszła w nocy sama do lasu. Rano ją znaleźliśmy w parowie. Nie żyła. I od tej pory Aleina jakby kto podmienił. Najpierw twierdził, że Raitę zamordowano, ale kto niby miał to zrobić i po co? Była z niej taka wspaniała dziewczyna! A potem się zaczął zachowywać jak teraz przy obiedzie... - Fein westchnął ciężko. - Z nikim nie rozmawia, całymi dniami milczy, prawie nic nie je. Eler musiał przejąć jego obowiązki...

- Ciekawostka... - mruknęłam.

- Wydaje mi się, że to los panią do nas przywiódł - rzekł gospodarz.

- A to dlaczego? - Udałam zdziwienie, ale już domyślałam się dalszego ciągu.

- Nie chcę stracić syna, a wszystko ku temu idzie - ciągnął Fein. - Panno Naren, niech nam pani pomoże! Albo znajdzie mordercę Raity, chociaż osobiście nie wierzę, żeby ją ktoś zabił, albo udowodni, że zginęła przez własną nieostrożność! Pani Alein uwierzy...

- Hm... A co będę z tego miała?

- Oczywiście zapłacę - dodał śpiesznie. - Nie mamy wiele gotówki, tym bardziej dzisiejszych pieniędzy, ale mamy klejnoty. I oczywiście ktoś odprowadzi panią do wsi. Następny patrol w tamtą stronę ruszy za trzy lub cztery dni. A poza tym gdyby nie ja, to nigdy nie dowiedziałyby się pani, kto zabił tego poborcę!

- Oj tak! - mruknęłam. - Tylko, niestety, w ręce sprawiedliwości morderca i tak nie trafi! Więc co to za różnica, czy go znalazłam, czy nie... Zresztą - dodałam, oceniając wyraz twarzy reie - miał miejsce nieszczęśliwy zbieg okoliczności i muszę przyznać, że denat sam był sobie winny.

- Czyli weźmie pani tę sprawę? - Gospodarz nadal był posepny.

- Muszę się zastanowić - odparłam. - Powiedzmy, do jutra. I wtedy powiadomię pana o swojej decyzji.

Właściwie decyzję już podjęłam. Trzeba przyznać, że z Feina był naprawdę niezły szantażysta.

Z oczywistych powodów bez pomocy jego ludzi o wydostaniu się z lasu można zapomnieć. Mogłam oczywiście spróbować, ale po co podejmować nieuzasadnione ryzyko? Poza tym co mi w końcu szkodziło zająć się jeszcze jednym morderstwem, szczególnie jak mieli mi za nie zapłacić? Właśnie, nic a nic. A do tego dochodzenie oznaczało możliwość spacerów po okolicy i

dowiedzenia się o niej czegoś więcej, co z kolei służyło zaspokojeniu mojej ciekawości.

Następnego dnia rano poinformowałam Feina o mojej zgodzie, po czym wiadomość w jednej chwili rozleciała się po całym zamku. Najpierw odwiedził mnie Alein, w którego oczach zalśniła nieśmiała nadzieja - koniec końców okazało się, że nie wszyscy uznali jego podejrzenia za brednie.

Długo opowiadał mi o Raicie, ale właściwie wszystkie jego wywody udało się Wergerowi już poprzedniego dnia zamknąć w dwóch słowach. A potem czekało mnie dobrze znane zajęcie - odpytywanie wszystkich, którzy mieli jakikolwiek związek ze sprawą. Ta nudna i niewdzięczna robota zajęła mi pół dnia, po czym poczułam nagłą potrzebę poukładania swoich myśli i ponownie udałam się na spotkanie z Wergerem Feinem.

- Panno Naren, coś pani już wie? - Na mój widok oderwał się od swoich zajęć.

- Chyba uważa mnie pan nie za maga-justycjariusza, tylko za cudotwórczynię! -prychnęłam.

- Proszę mieć na uwadze, że pewne różnice istnieją. Póki co niczego istotnego się nie dowiedziałam, ale możliwe, że tylko mi się tak wydaje.

Gospodarz spochmurniał.

- Reie Fein, czy mogę opuścić Zamek? - spytałam. - Mam ochotę obejrzeć sobie okolicę i chwilę pomyśleć.

- Oczywiście, panno Naren - odpowiedź padła natychmiast. - Przecież jest pani naszym gościem i może chodzić, gdziekolwiek pani będzie chciała. Ale bardzo proszę, niech pani wróci przed zachodem słońca!

- Oczywiście - odparłam. Nie miałam najmniejszej ochoty sprawdzać gościnności miejscowego lasu, a raczej Lasu, na własnej skórze.

ROZDZIAŁ 11

Zamek-Nad-Lasem

Za dnia brama Zamku otwarta była na oścież - miejscowi nie bali się wrogów z zewnątrz, a od Lasu odgradzali się tylko w nocy. Poza tym miałam wrażenie, że to drugie robili raczej z przyzwyczajenia - nikt nie wierzył, że Las mógłby świadomie skrzywdzić swoje dzieci. Właśnie wychodziłam poza mury, gdy ktoś mnie zawołał:

- Panno Naren!

- Laurinne, czego pan jeszcze chce? - spytałam przez zęby. A już myślałam, że tym razem obejść się bez jego towarzystwa!

- Muszę pani towarzyszyć.

To jego ulubione zakłęcie czy jak? Jęknęłam bezgłośnie i zagłębi serca życzyłam Jego Królewskiej Mości Arineliuszowi, by po trzykroć zapadł się pod ziemię. Jak najbardziej gotowa byłam uwierzyć w jego szczere chęci, ale czy zastanowił się choć przez chwilę, ile nerwów będzie mnie kosztowało takie „towarzystwo”? Wydawało się to cokolwiek wątpliwe!

- Więc niech pan towarzyszy... - Wiedziałam doskonale, że się porucznika nie pozbędę, a nie miałam siły ni ochoty na kłótnie. - Tylko niech pan mi się nie pcha przed oczy, rozumiemy się?

- Tak jest... - mruknął Laurinne i faktycznie przez całą drogę zachowywał

się bardzo cicho, aż prawie udało mi się zapomnieć o jego obecności.

Spacer był długi i kojący. Na początek obeszłam Zamek dookoła. Stał na niewysokim wzgórzu, tak że rozciągał się z niego ładny widok na najbliższą okolicę. W sumie nie było tam nic ciekawego: na północy znajdowała się jakaś wieś, niewielkie pola i przydomowe ogrody warzywne, wystarczające tylko na własne potrzeby. Swoją drogą, ciekawe, jak wygląda kwestia rozmnażania u chłopstwa, nadal żenią się pomiędzy sobą czy również wyprawiają się w poszukiwaniu narzeczonych poza Las? Dalej, jeżeli wierzyć słowom Feina, znajdowała się kolejna wieś, a jeszcze dalej, już na podgórzu, nie było stałych osad i tylko czasem trafiali się pasterze ze stadami. A potem już tylko góry. Na północ i wschód od Zamku - nieprzebyte chaszczce na wiele dni albo i tygodni podróży. O ile pamiętałam mapy, te rejony zostały na nich oznaczone jako praktycznie niezbadane i całkowicie bezużyteczne. I opinia ta chyba uznawana była za bardziej niż oficjalną, jako że nikt nie zdradzał szczególnych chęci, by badać owe niezbyt przyjazne obszary. A może Arneliusz po prostu uważał te ziemie za rezerwę na wypadek gwałtownego wzrostu liczby ludności kraju - kto mógł wiedzieć, co mu chodziło po głowie? Na zachodzie również rozciągała się puszcza, ale już nie tak gęsta, chyba tylko parę dni podróży do skraju, a drogi tu mieli nie najgorsze. Oczywiście wyłącznie w wypadku, gdyby towarzyszył mi ktoś z Zamku, bo w przeciwnym razie mało prawdopodobne, bym dotarła dalej niż do pierwszego nocnego postoju. Chyba ja i Laurinne powinniśmy uznać napotkanie tego patrolu za duże szczęście. Nawet za dnia Las wyglądał dosyć wrogo, cały czas wydawało mi się, że na plecach czuję czyjś wzrok z gęstwiny. Nie wyczuwałam w okolicy żywej duszy z wyjątkiem drobnych ptaków i insektów, ale wrażenie nadal nie chciało zniknąć. Sądząc z tego, że Laurinne co i rusz się wzdrygał, całkowicie podzielał moje odczucia, co z kolei oznaczało, że nie były one wyłącznie płodem mojej wyobraźni.

Zresztą nigdy nie zauważyłam u siebie skłonności do zwidów.

Z oczywistych powodów nie miałam najmniejszej ochoty na wycieczkę do Lasu. Z trzech stron podpełzał do Zamku tak blisko, że wystarczyłoby zejść do połowy wzniesienia i już człowiek znalazłby się między drzewami. Od zachodu natomiast wzgórze kończyło się dosyć stromym zboczem parowu. Na jego dnie płynęła rzeczka otaczająca wzgórze. I właśnie z jej nurtem miałam zamiar się przespacerować. Zresztą „rzeczka” to określenie nieco na wyrost, raczej zwykły strumyk. Dosyć szeroki, ale płytki, o kryształowo przezroczystej wodzie, przez którą można było dojrzeć wszystkie kamienie na dnie. Osłoniłam dłonią oczy przed słońcem - wydawało mi się, że jeden z kamieni na brzegu kolorystycznie nie pasuje do krajobrazu. W okolicy przeważały dosyć spokojne i niejaskrawe barwy: szarzielona, różne odcienie brązu, liliwoszara, beżowa... A ten kamień wnosił do otoczenia pewien dysonans. Naturalnie uznałam, że mogę od razu zejść na dół i przyjrzeć się temu cudowi natury z bliska. I oczywiście natychmiast usłyszałam jęk:

- Panno Naren, co pani robi?

- Laurinne, niech pan zostanie tam, gdzie stoi - rozkazałam. - Skoro już pan za mną polazł, proszę mi się przynajmniej nie plątać pod nogami!

Przytrzymałam się gałęzi krzaków i bez większych problemów zesłam po zboczu na brzeg strumyka. Z bliska wyglądał na znacznie szerszy, ale tak czy siak dowolna kura potrafiłaby go przekroczyć, nie zamaczając brzucha.

Z tyłu usłyszałam szelest osypującej się ziemi - oczywiście Laurinne nie potrafił ustać w miejscu i ruszył moim śladem. Tyle dobrego, że nie zleciał głową w dół. Znalazł się poszukiwacz przygód...

Kamień, który wzbudził moją ciekawość, znajdował się na przeciwległym brzegu rzeczki, więc musiałam ją przebyć w bród. Ale tak czy siak, zaledwie trochę zamoczyłam buty.

Niewielki odłamek skały z bliska wyglądał równie dziwnie jak z daleka i wyraźnie nie pasował do krajobrazu. Po pierwsze, był brudnoczerwony i mogłam się założyć, że gdybym postawiła sobie za cel zdjąć z jego boków warstwę brudu i mchu, zobaczyłabym przed sobą wspaniały egzemplarz tak zwanego różowego ersu . A w tych okolicach różowy ers stanowczo był nie na miejscu.

- O! - usłyszałam okrzyk zdumienia i odwróciłam się. - Panno Naren, proszę tylko spojrzeć!

Trochę dalej parów gwałtownie zakręcał, ukrywając za załomem coś, co znalazł mój żądny przygód towarzysz. Obeszłam przeszkodę i nie mogłam powstrzymać gwizdu. Stał tutaj jeszcze jeden głaz dokładnie tego samego rdzawego koloru i jego boki, stanowczo zbyt gładkie, musiały być wytworem pracy ludzkiej. Ale dużo bardziej zadziwiająca była kolumna. Ano właśnie, dokładnie za kamieniem zobaczyłam solidnie przekrzywioną i wrośniętą w ziemię kolumnę. Była nawet niezłe zachowana, oczywiście jeżeli wziąć pod uwagę, że pozostał z niej tylko niezbyt wysoki odłamek. Ją również wykuto z różowego ersu wysokiej jakości, który całkiem niezłe przetrzymał próbę czasu.

Kamień zwietrzał, ale w słońcu kolumna nadal jaśniała tym specyficznym różowo--liliowym blaskiem, którym charakteryzują się tylko najlepsze gatunki ersu.

Spojrzałam pod nogi. Ano zgadza się, żwir koło strumienia miał niepasujący do okolicy czerwonaworóżowy kolor. Czyli były to najpewniej resztki pozostałych kolumn czy co tu jeszcze stało...

- Panno Naren, skąd tutaj to wszystko? - w głosie Laurinne'a brzmiało zdziwienie.

Obeszłam kamień, by bliżej przyjrzeć się kolumnie, po czym potknęłam się o resztkę kamiennego murku. Nie ma co, gęsto tu kiedyś budowali!

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałam uczciwie. Żaden z miejscowych nie wspominał o niczym podobnym. Sami mogli nie być świadomi istnienia tych ruin, a nawet jeśli, to być może nawet o nich nie pamiętali, przekonani, że istniały one „od zawsze”. Ostatecznie były tak stare, że przy nich Zamek mógł uchodzić za budownictwo współczesne.

- Ciekawe, co to była za budowla... - mruknął Laurinne, przyglądając się kamieniowi. - Panno Naren, co pani o tym sądzi?[*9*](#)

Pod dotykiem rąk ciekawskiego młodzieńca warstwa narosłego na kamieniu mchu zsunęła się w dół, odsłaniając kawałek równej powierzchni. W dawnych czasach najpewniej była ona wypolerowana do połysku. A przyczyna, dla której na czymś tak gładkim pojawił się mech, z bliska wydawała się całkiem oczywista - tu i ówdzie na kamieniu widniały dosyć głębokie, równe bruzdy, w tej chwili zapchane ziemią.

- Tu jest jeszcze jedna... I tutaj... - Ta zabawa chyba porucznika wciągnęła i ostatecznie udało mu się oczyścić całkiem spory niezniszczony kawałek.

Po chwili stało się jasne, że bruzdy są częścią ornamentu. Nie potrafiłam powiedzieć zupełnie nic na temat wzorów, z których składał się rysunek: podwójne okręgi przecięte krzyżami, najprzeróżniejsze zawijasy, otoczone podwójnymi i potrójnymi kawałkami prostych linii, romby z półksiężycami w środku... Nie, zdecydowanie nigdy w życiu niczego takiego nie widziałam, mimo że niektóre elementy wydawały się jakby skądś znajome. Ornament był cokolwiek toporny, ale zarazem czuło się w nim jakąś moc.

- To wszystko coś znaczy? - zapytał Laurinne, ostrożnie przeciągając koniuszkami palców po jednym z wyciętych w kamieniu okręgów.

- Bardzo prawdopodobne... Nie znam tych znaków. - Wzruszyłam ramionami i z braku lepszego miejsca usiadłam wprost na kamieniu. Zapaliłam, zmrużyłam oczy i spojrzałam w górę. Nie mogłam nie zauważyć,

że Zamek wybudowany został ze sporym pomysłem. Nawet teraz, gdy znajdowałam się daleko pod nim, nie sprawiał wrażenia, że chce przyduścić mnie do ziemi, lecz unosił się w powietrzu, ledwo co dotykając podstawą gruntu. A przy okazji, to całe wzgórze wydawało się trochę zbyt regularne.

- Może była tu jakaś świątynia - porucznik nie chciał porzucić tematu.

- Może i była - odparłam, wzdychając. Swoją drogą, ciekawe, w tamtych wiejskich bajkach chyba wspominali o jakiejś świątyni. Naprawdę ciekawe... Chyba temat był wart zastanowienia w wolnym czasie.

Nieoczekiwanie nabrałam ochoty, by sprawdzić zdolności porucznika do logicznego myślenia, więc spytałam:

- Jak się panu wydaje, którą częścią budowli jest ten kamień?

Laurinne spojrzał na mnie, wyraźnie spodziewając się podstępu, następnie okrążył kamień, oglądając wyryte na nim wzory, wyciągnął rękę i pogłaskał kolumnę.

- Najpewniej kawałkiem muru - zawyrokował w końcu. Zauważyłam, że odpowiadając na tego typu pytania, zawsze zbierał się w sobie jak dobry uczeń przed obliczem mistrza, przestawał plątać się i jąkać.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Znaczy... - zawahał się. - To przez ten ornament. Biegnie... a raczej biegł liniami. Tutaj... i tutaj, widzi pani? Wydaje mi się, że te wzory znajdowały się jeden pod drugim, w rzędach. Mało prawdopodobne, by ktoś dekorował w ten sposób sufit. Nie mówiąc o tym, że sam kamień jest za duży na blok stropowy!

- Próbuje mi pan powiedzieć, że może wyobrazić sobie budowlę ze ścianami złożonymi z takich kolubryn? - mruknęłam sceptycznie. - Proszę spojrzeć, to wyraźnie jest odłamek, na dodatek bardzo zniszczony. Nigdzie nie widzę prostych kątów, czyli po poprzednim kształcie nie zostało nawet wspomnienie. Jeśli uwzględnimy uszkodzenia, to niewątpliwie nasz kamyk

jest kawałkiem większej całości. I w tym momencie nasuwa się pytanie o jego początkowe rozmiary.

- Bardzo duże, panno Naren - przyznał porucznik, ale natychmiast się ożywił. - A jeśli to tylko warstwa zewnętrzna? Przecież różowy ers jest zbyt rzadki i drogi, żeby z niego cokolwiek budować.

Do tego nieszczęśliwie wytrzymały...

- Ta wersja wydaje się bardziej prawdopodobna - przyznałam. O tak, mój porucznik wcale nie był głupi, choć czasem sprawiał takie wrażenie. I różowy ers rozpoznał, i jakieś tam pomysły miewał... - Ale tak czy siak, kamień jest zbyt duży. Proszę spojrzeć, ten odłamek sięga panu do pasa.

Teraz proszę sobie wyobrazić, ile on waży. Jeżeli pańskim zdaniem jest to kawałek dekoracji ze ściany, to jakim cudem go tam w ogóle wciągnęli? Poza tym: grubość. Dekoracja takiej grubości kompletnie nie zdaje egzaminu, ponieważ ostatecznie po prostu wyląduje na ziemi pod własnym ciężarem. Oczywiście można użyć magii, ale to kompletnie nieracjonalne. - Porucznik przygarbił się ze wstydem i uznałam, że czas się nad nim zlitować. - Niech pan spojrzy, tutaj są resztki kamiennego muru... Nie tam, na lewo, w piasku.

- Faktycznie... - Mój towarzysz przykucnął i rozgrzebał piasek. - Wygląda jak ściana...

- Bo to jest ściana - powiedziałam. - Te bloki również są spore, ale jednak dałyby się podnieść.

Przy okazji, mieli doskonały cement, widać, że nie wykruszył się za bardzo.

- Ale do czego w takim razie służył ten kamień? - Laurinne wpatrywał się we mnie w oczekiwaniu na odpowiedź.

Obdarzyłam go szerokim uśmiechem.

- Poruczniku, nie mam pojęcia! - Na widok jego rozczarowania dodałam: - Jak ma pan ochotę, to proszę się samemu zastanowić.

- Może kawałek schodów? - niepewnie zaproponował Laurinne, ale natychmiast odrzucił tę wersję. - Nie, trzeba by kretyna, żeby budować schody z całego kawałka różowego ersu... a poza tym ornament... - Z ciekawością obserwowałam tok jego myśli. Swoją wersję już miałam i ciekawiło mnie, czy ostatecznie porucznik dojdzie do identycznego wniosku, czy może jednak wysunie inną hipotezę.

Tymczasem on nagle spojrzał na mnie wprost i wypalił: -Panno Naren, a może to kiedyś był ołtarz?

Taki zwykły albo ofiarny? Widziałem podobny w pewnej świątyni, wycięty z jednolitego kawałka drewna żelaznego, a przecież ci tutaj mogli zrobić swój z ersu?

- To całkiem prawdopodobna teoria - przyznałam z aprobatą. Faktycznie, przyjemnie mnie zaskoczył, a wynik jego rozważań okazał się identyczny z moim. - Do tej wersji ornament jak najbardziej pasuje. A przy okazji, Laurinne, czemu pańskim zdaniem powierzchnia kamienia ma taki kolor? To przecież ma być różowy ers, a nie szaroburomalinowy. Niech pan spojrzy na tę kolumnę, ona ma odcień absolutnie charakterystyczny dla tego kamienia, a i tutaj, w dolnej części, nasz duży blok wcale się od niej nie różni. Natomiast wierzch, o ile to oczywiście jest wierzch, i boki są rdzawe.

Po kolejnych pięciu minutach rozmyślań Laurinne się poddał:

- Nie mam bladego pojęcia. Panno Naren, może po prostu kamień był nie najlepszej jakości?

Słyszałem, że takie się trafiają, z przebarwieniami i plamkami...

- I naturalnie ktoś z tego ersu podrzędnego gatunku wykuł ołtarz! - mruknęłam zgryźliwie.

- Poruczniku, przecież pan już prawie na to pytanie odpowiedział! Proszę się jeszcze zastanowić. Jeżeli pańskim zdaniem jest to ołtarz ofiarny, to do czego musiał służyć?

- Do składania jakichś ofiar - odpowiedź była oczywista.

- A raczej składania w ofierze - westchnęłam. - I to nie czegoś, tylko kogoś. Widzi pan, poruczniku, ers ma taką nieprzyjemną właściwość: wchłania obce substancje i zabarwia się na ich kolor, czasem nawet bardzo głęboko. Właśnie dlatego zawsze jest tak dokładnie polerowany. Na wygładzonej powierzchni brud się nie trzyma, ale tak czy siak kamień należy utrzymywać w czystości albo pojawią się plamy. Proszę spojrzeć na tę kolumnę. Widzi pan? -Wskazałam interesujący mnie fragment ustnikiem fajki i faktycznie, w miejscach, gdzie wypolerowany kawałek ukruszył się, widać było plamy najprzeróżniejszych odcieni.

- Chce pani powiedzieć... - Laurinne nerwowo przełknął ślinę i mimowolnie zrobił krok do tyłu.

- N-na tym kamieniu składano ofiary i... i... to jest krew...?

- Dokładnie tak, to jest najprawdopodobniejsza wersja. - Zeskoczyłam na ziemię, próbując nie denerwować młodzieńca bardziej, bo znów się zaczął jąkać. - Kamień wyraźnie był wypolerowany w całości i dopiero potem wycięto ornament. Podejrzewam, że krew ciekła tymi bruzdami i wsiąkała w kamień.

- To ile jej było trzeba, żeby zabarwić na taki kolor całą wielgachną bryłę? - porucznik prawie krzyknął.

- Laurinne, niech się pan trochę uspokoi - skarciłam go. - Wydaje mi się, że niemało.

Z oznak wynika, że czczono tu dosyć krwiożerczych bogów.

- W takim razie możemy się tylko cieszyć, że to miejsce zostało zniszczone - mruknął mój towarzysz i z pewną obawą przyjrzał się kamieniowi, jak gdyby oczekując, że nagle wyskoczy zza niego jakiś zarośnięty kapłan z zakrzywionym nożem ofiarnym.

Miałam własne przemyślenia w kwestii zniszczenia świątyni, ale

uznałam, że nie będę się nimi dzielić z Laurinne'em, by nie pozbawiać go resztek spokoju i snu. Nie mogłam nie zauważyć, że wzgórze miało podejrzanie regularny kształt, przypominający piramidę. I jeżeli miałabym założyć, że znajdują się pod nim ruiny świątyni, to kształt ten łatwo dawał się wyjaśnić - ostatecznie piramida była jednym z najbardziej popularnych i najstarszych symboli magicznych. Ale to rodziło kolejne pytania: dlaczego odłamki ołtarza znalazły się na zewnątrz i skąd w ogóle w tych okolicach wziął się doskonałej jakości różowy ers, na dodatek tak duży i bez żadnej skazy? Jeżeli wziąć pod uwagę, że wydobyć kamieni na wielką skalę ruszyło w najlepszym razie ze trzysta lat temu, to cała sprawa wyglądała coraz ciekawiej. Zamek-Nad-Lasem podobno miał ponad osiemset lat, co oznaczało, że ta starożytna świątynia była jeszcze starsza albo mieszkańcy by o niej pamiętali. Najpewniej została zniszczona długo przed wybudowaniem Zamku (i warto wspomnieć, że nie znalazłam w nim ani kawałka różowego ersu). Może w starożytnych czasach istniały inne, teraz już zapomniane kamieniołomy?

Poczułam, jak budzi się moja żyłka badacza. Oj, tak... przyjechać tu z tuzinem członków Kolegium i dopiero by prace zawrzały! Chociaż z drugiej strony, któż może wiedzieć, na co natrafilibyśmy pod tym wzgórzem? Czasami lepiej, żeby historia na zawsze pozostała za zasłoną niepamięci. Poza tym początek badań automatycznie oznaczałby koniec tajemnicy Zamku-Nad-Lasem, a ja traktowałam składane przez siebie obietnice z pełną odpowiedzialnością.

Z pewnym żalem porzuciłam myśl o zbadaniu tego miejsca. Pocieszyłam się tym, że mogę przynajmniej później przedyskutować temat z dziadkiem. Jego zainteresowania byłam pewna, ponieważ uwielbiał historie o starożytnych świątyniach. W tym miejscu warto nadmienić, że w czasach młodości bardzo lubił je plądrować i, co ciekawe, ani razu nie padł ofiarą

przekleństwa czy też zemsty obrażonego bóstwa. Przeważnie musiał uciekać przed tłumem wściekłych wyznawców, czasami do reszty zdziczałych. Ale akurat te strony swojej biografii najczęściej pomijał milczeniem.

Słońce zachodziło, barwiąc wzgórze na różne odcienie czerwieni. Wielki kamień, który z braku lepszych hipotez chyba faktycznie był zrujnowanym ołtarzem, wyglądał w tym świetle dosyć złowieszczo. Kolumna podświetliła się na krwawą czerwień. Hm... najpewniej właśnie gdzieś tutaj znajdowało się wejście do świątyni, a różowego ersu użyto, by osiągnąć pożądany efekt optyczny. W świetle zachodzącego słońca świątynia prawdopodobnie wyglądała jak wnętrze jakiegoś potwora.

Nie no, co za pomysły! A podobno nie mam skłonności do głupich fantazji?

- Laurinne, chodźmy - rzuciłam. - Słońce siada, więc wolałabym się nie spóźnić.

Porucznik wzdrygnął się, ocknął z jakichś swoich rozmyślań, po czym zwinnie zaczął wspinać się w górę zbocza. Próbował wyciągnąć do mnie rękę, ale w odpowiedzi posłałam mu takie spojrzenie, że dalsze idiotyczne propozycje pomocy umarły w zarodku, co niezmiernie mnie ucieszyło.

Po dotarciu na względnie równy kawałek wolno ruszyliśmy w kierunku bramy. Niestety, z rozmyślania na spacerze niewiele wyszło, za to pojawił się pewien drobny szczegół, który też miał wszelkie szanse okazać się elementem układanki. I jeśli nim był, to sprawa się komplikowała.

Chciałabym tylko wiedzieć na ile...

- Panno Naren - odezwał się porucznik. - Pozwoli pani pytanie?

- Niech pan pyta... - westchnęłam.

- Czy pani... naprawdę weźmie się pani do tego dochodzenia, o którym wszyscy gadają?

- A co, mam jakiś inny wybór? - parsknęłam kąśliwie.

Laurinne rzucił mi pytające spojrzenie, więc musiałam wyjaśnić:

- Zgodnie z tym, co powiedział Fein, a póki co nie mam żadnego powodu mu nie wierzyć, kolejny patrol ruszy interesującą nas drogą dopiero za trzy dni. Nikt tu nie będzie stawiał swoich planów na głowie wyłącznie z naszego powodu, bo nie mają aż tylu ludzi. Samodzielnie się stąd nie wydostaniemy. A raczej mogłabym spróbować przebić się przy użyciu tak zwanej brutalnej siły - dodałam po ponownym oszacowaniu własnych szans - ale co wówczas będzie z panem? Jeśli idzie o mnie - uśmiechnęłam się marzycielsko - to jak najbardziej może pan tu zostać, ale obawiam się, że Jego Królewska Mość tego nie zrozumie. Poza tym i tak nie mam co robić przez ten czas, a skoro mają zamiar zapłacić za przeprowadzenie śledztwa, nie widzę powodu, by odmawiać. Mam nadzieję, że wyrobię się przez trzy dni. Jeśli uda nam się utrzymać sensowne tempo, to kolejne trzy spędzimy w drodze i dotrzemy do wsi, nim skończy się umówiony termin. Moim zdaniem niezły plan, a pańskim?

Zapytany lekko wzruszył ramionami:

- A jest pani pewna, że da radę w trzy dni? - spytał cicho.

- Chce się pan założyć? - spytałam z lekką pogroźką w głosie. Ponieważ Laurinne nie miał ochoty na hazard, temat został niniejszym wyczerpany.

Uczciwie i szczerze, trzy dni to stanowczo za mało. W Zamku było za dużo obcych ludzi o nieznanym mi zwyczajach. W miarę możliwości warto było przyspieszyć bieg wydarzeń, w przeciwnym razie mogłam utknąć tu na dłużej. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że Fein nie zamierza mnie wypuścić, zanim nie potwierdzą podejrzeń jego syna lub im nie zaprzeczę. I fakt, że przy odpowiednim stopniu skupienia potrafiłam rozłożyć Zamek-Nad-Lasem na czynniki pierwsze, nie miał najmniejszego znaczenia. Las nadal rósłby dokładnie tak jak teraz, a na wypalenie go do ostatniego drzewka miałam o wiele za mało mocy. Poza tym, uczciwie mówiąc, nie

miałam na to najmniejszej ochoty. Cóż, nie najlepiej się czułam w roli zakładniczki, ale zawsze można było robić dobrą minę do złej gry i udawać, że to wszystko dzieje się na moje własne wyraźne życzenie...

Na takich rozważaniach upłynęła mi połowa drogi do bramy.

- Panno Naren... - odezwał się Laurinne ponownie. - Pozwoli pani pytanie?

- Pozwalam... - westchnęłam. - Poruczniku, wie pan co? Proszę odczytać się tego prośzenia o pozwolenie. Tracimy w ten sposób więcej czasu, niż gdyby od początku zadał pan pytanie właściwe! A jeżeli zada je pan w złym miejscu lub czasie, to z pewnością o tym poinformuję. To o co tym razem chodzi?

- Uważa pani, że ta dziewczyna rzeczywiście została zamordowana?

- Dopuszczam taką możliwość - mruknęłam. - Niestety, za późno już, by można było sprawdzić, czy przypadkiem nie umarła śmiercią naturalną.

- A jeżeli faktycznie zabił ją Las? - ciągnął Laurinne.

- Akurat w to nie bardzo chce mi się wierzyć - odparłam. Te dysputy były nawet dość zabawne.

Zwykle wolałam zastanawiać się nad hipotezami w ciszy i spokoju, ale ta gra w „pytania i odpowiedzi” miała swój urok. - Widzi pan, poruczniku... Nie rozumiem, dlaczego ta dziewczyna samotnie poszła do Lasu. Przecież wszyscy doskonale wiedzieli, że za kilka dni uda się tam ze swoim narzeczonym. Tak bardzo chciała zostać zaliczona do „swoich”? Przecież czekała od kilku tygodni, nie mogła jeszcze paru dni?

- To przecież różnie bywa... - Chłopak spojrział na mnie z pewną obawą. - Kobiety są... eee...

- Nieprzewidywalne - dokończyłam. - Ale przecież nie do tego stopnia! Poza tym zgodnie ze słowami wszystkich, którzy ją znali, bynajmniej nie była głupia. I co, poszła spędzać noc w Lesie w domowej sukience? Nawet

bez płaszcza? Laurinne, proszę wziąć pod uwagę, że mówimy o czymś, co miało miejsce półtora miesiąca temu, na wiosnę. A w tym okresie tutejsze noce są bardzo zimne. To jak, głupia była i nie miała o tym pojęcia?

- Może ktoś ją jakoś obraził i uciekła... - podsunął porucznik niepewnie.

- O ile mogę wierzyć świadkom, tamtego dnia Raita była w doskonałym nastroju, dokładnie tak jak każda panna przed ślubem z ukochanym mężczyzną - odparłam. - Możemy założyć, że była genialną aktorką, ale tu z kolei nie pasuje powszechna opinia, że wszystkie uczucia zawsze miała wypisane na twarzy. A w tej kwestii zgadzają się wszyscy mieszkańcy Zamku, wliczając jej niedoszłego męża.

- W takim razie kompletnie nic nie wiemy - mruknął Laurinne.

- Chce pan najprostszą wersję, pierwszą z brzegu? - spytałam retorycznie.

- Raita nie była żadną genialną aktorką, tylko zwykłą dziewczyną, wesołą i sympatyczną. I wcale się nie wybierała na żadne spacerki do Lasu. Tamtego dnia Aleina Feina nie było w Zamku, bo udał się na patrol. - Złapałam głębszy oddech. Porucznik słuchał z głową zabawnie przechyloną na bok. - No więc, Laurinne, Raita nie zdążyła jeszcze nawiązać bliskich przyjaźni, więc nie zwierzała się nikomu oprócz narzeczonego i korzystając z nieobecności Aleina, ktoś zapewne powiedział jej, że ma dla niej pewne informacje...

- Jakie?

- Nie mam pojęcia ani nie jest to szczególnie istotne. - Kopnęłam czubkiem buta leżący pod nogami kamyk. - Może zaproponował, że opowie, do której wiejskiej ślicznotki Alein biega, i jeszcze przedstawi dowody. Można wymyślić naprawdę dowolną bajeczkę! No więc, ów ktoś stwierdził, że nie będzie mówił w Zamku, z uwagi na - powiedzmy - zbyt dużą ilość ludzi dookoła, i zaprosił Raitę na spacer po Lesie, dosłownie na chwilę.

- A ona nie bała się pójść, ponieważ ten hipotetyczny „życzliwy” był

miejscowy! -zawołał Laurinne. Zauważyłam, że w jego ciemnoszarych oczach zapaliły się złociste iskierki podniecenia.

- Dokładnie tak. - Zwolniłam kroku. - Mam opowiadać dalej czy sam się pan domyśli?

- Prawdopodobnie... - Porucznik zastanowił się. - Prawdopodobnie zaprowadził ją daleko w Las, a potem... nie wiem, na przykład ogłuszył i wrócił do Zamku. Bo o ile wszystkie te historie o Lesie są prawdziwe, to nawet nie musiał jej zabijać.

- I tu jak najbardziej ma pan rację - przytaknęłam. - Zostaje jeden drobny szkopał. Okazuje się, że strażnicy nie zauważyli, jak Raita wychodziła z Zamku, czy to sama, czy w towarzystwie. Ani nie widzieli, by ktokolwiek inny do niego wchodził. A bramę na noc się tutaj zamyka.

- Może oni też są w to wplątani? - zasugerował Laurinne. Wyglądało na to, że jemu zabawa w pytania i odpowiedzi również się spodobała.

- Za wielu ludzi próbuje pan wplątywać w jedną prostą historyjkę! - odparłam. - Nie mówiąc o tym, że do tej pory ktoś by się musiał wygadać. Ja obstawiam, że nikt nie widział ani Raity, ani jej tajemniczego towarzysza, ponieważ nie wyszli przez bramę.

- To jak w takim razie...? - zaczął porucznik, ale gestem nakazałam mu ciszę - już przechodziliśmy przez bramę, a na terenie samego Zamku warto było zachowywać milczenie. Miałam wrażenie, iż dookoła pełno jest uszu.

Moja teoria była banalnie prosta: na pewno w tak starej budowli istniało niejedno tajemne przejście na zewnątrz. I bardzo prawdopodobne, że prowadziły one przez porzuconą świątynię pod wzgórzem, o ile rzeczywiście takowa istniała. A coś podpowiadało mi, że tak. Nasz przestępca musiał doskonale znać układ Zamku, więc albo mieszkał tu od urodzenia i zdążył wszystko dokładnie zbadać, albo po prostu miał szczęście i przypadkiem trafił na wejście do takiego korytarza... No tak... Pole dla hipotez było aż

nadto szerokie!

- Poruczniku, niech mnie pan zostawi samą - rzuciłam. - Muszę się jeszcze nad czymś zastanowić.

- Tak jest, panno Naren - odparł pokornie i zniknął.

A ja udałam się do przydzielonego pokoju, wygodnie usiadłam w fotelu i głęboko zamyśliłam.

Niczego sobie zagadka! I pełen Zamek podejrzanych! Zaczynając od samego reie Feina, który mógł nie ucieszyć się z wyboru starszego syna, a kończąc na jakimś szurniętym kucharzu. Gdybym przynajmniej znała motyw...

Coś nie dawało mi spokoju, więc zamknęłam oczy i próbowałam się skupić. Gdzie znaleziono ciało Raity? W parowie koło Zamku. „Leśni” uznali, że dziewczyna widocznie bardzo się czegoś przestraszyła, rzuciła do ucieczki i spadła z urwiska, a jest tam bardzo wysoko. Spadając, uderzyła głową o kamień i roztrzaskała sobie czaszkę. Śladów przemocy na ciele nie odkryto, nie licząc zadrapań po gałęziach oraz urazów powstałych na skutek upadku. I właśnie to było dziwne. Przecież wszyscy zgodnie twierdzili, że Las zwykle kaleczył swoje ofiary tak, że trudno było je potem zidentyfikować. Twarze tych, których udało się odnaleźć, były tak wykrzywione przerażeniem, że z trudem dawało się je rozpoznać. A twarz Raity - zgodnie z tym, co powiedział mi zarówno niepokieszony narzeczony, jak i cała reszta tutejszych mieszkańców - miała wyraz spokoju.

Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej byłam przekonana, że w chwili lądowania na dnie parowu dziewczyna już nie żyła. A przynajmniej była nieprzytomna i już świadomości nie odzyskała. Niestety, teoria ta nie była niczym potwierdzona i pozostawała wyłącznie hipotezą.

Nagle usłyszałam pukanie do drzwi, i to tak gwałtowne, że aż podskoczyłam. Kogóż to licho przyniosło?

- Zapraszam! - krzyknęłam.

Jak się mogłam spodziewać, na progu pojawił się Laurinne, który wyglądał równocześnie na zdenerwowanego i pełnego triumfu. Dałabym głowę, że poznał jakąś wielką tajemnicę, a teraz próbował ją do mnie donieść i nie rozlać po drodze.

- Co pan tam ma? - spytałam, widząc w jego ręku jakiś nieforemny pakunek.

- Tutaj... - Podał mi wygnieciony kawałek szmaty, który po bliższych oględzinach okazał się bezlitośnie zmiętą halką z bardzo delikatnego materiału.

- Nieźle! - stwierdziłam. - Laurinne, od kiedy kolekcjonuje pan damską bieliznę? I po co mi pan to przyniósł?

- Tutaj... niech pani spojrzy! - Porucznik nie zareagował na zaczepkę, tylko rozprostował rąbek halki, a ja ledwo powstrzymałam przeciągłe gwizdnięcie.

Na tkaninie widniał haft, przedstawiający znane już nam tajemnicze symbole -dokładnie takie jak te, które widzieliśmy na brzegu strumienia wyrte na kamieniu ofiarnym. Przy samym rąbku ciągnął się szlaczek z podwójnych okręgów, trochę nad nim - pasek rombów i niezbyt dokładnie skopiowanych niezrozumiałych zawijasów.

- Skąd pan to ma?! - z wrażenia powiedziałam to chyba zbyt głośno. Potem uświadomiłam sobie, że nie najgłupszym pomysłem w tej sytuacji byłoby zaryglowanie drzwi i natychmiast to zrobiłam.

- Z tylnego dziedzińca. - Porucznik gapił się w podłogę, jakbym przed chwilą oskarżyła go o jakieś niehonorowe zachowanie. - Pomyślałem, że na pewno z tego Zamku są jeszcze inne wyjścia, nie może być, żeby ich nie było, bo u nas... - Urwał, a ja po raz kolejny nie mogłam powstrzymać się od myśli: „Chłopak wcale nie jest tak głupi, na jakiego wygląda!”. Co prawda

po mojej aluzji takie rozwiązanie nasuwało się samo przez się. Ale jego ostatnie słowa... No cóż, jeśli faktycznie był arnaimem i miał gdzieś rodowy zamek, to musiałby być idiotą, żeby nie pomyśleć o tajemnych przejściach! Ciekawe, dlaczego tak bardzo starał się nie wspominać o swoim pochodzeniu, ale akurat w tej chwili było to najmniej istotne. Tymczasem Laurinne ciągnął: - Uznałem, że pójdę i poszukam, trochę po drodze zabłądziłem... Gdy wyszedłem na tylny dziedziniec, akurat wisiało tam pranie.

Pomyślałem, że przejdę na wprost, zaplątałem się w jakimś prześcieradle, a jak już się wyplątałem, to zobaczyłem... to coś... i zdecydowałem, że powinienem pokazać pani.

- Dzięki niech będą wszystkim bogom, jacy tylko istnieją! - mój okrzyk był całkiem szczery.

- Przynajmniej raz coś zrobił pan absolutnie właściwie! A przy okazji, czy ktokolwiek zauważył, jak przywłaszcza pan sobie ten element garderoby?

- Nikogo tam nie widziałem - porucznik pokręcił głową.

Skrzywiłam się, lecz powstrzymałam od wyjaśnienia, że chodziło mi o to, czy przypadkiem ktoś nie widział jego, a nie na odwrót. Nawet jeśli był tam jakiś „ogon”, to byłam gotowa się założyć, że tak fascynujące znalezisko skupiło na sobie całą uwagę chłopaka!

- Ciekawe, do kogo należy... - zastanowiłam się głośno i przeciągnęłam palcami po materiale.

- Pewnie do którejś służącej - powiedział Laurinne.

- A dlaczego pan tak uważa? - Spojrzałam na niego z ukosa.

- Zbyt toporny haft - brzmiała odpowiedź. - Najpewniej jakaś dama podarowała ją służącej, a ta na miarę swojego gustu dodała dekoracje...

Taką tezę mogłam wyłącznie skwitować prychnięciem.

- Niech pan spojrzy uważniej, przecież ta halka jest zupełnie nowa.

Ludzie w Zamku nie opływają w luksusy, więc kto tu robiłby takie prezenty służącym? A poza tym widział pan może tutejsze służebne i pokojówki? Która z nich niby miałyby się w czymś takim zmieścić? - Uwaga była jak najbardziej słuszna, tutejsze pokojówki przeważnie były niemłode, wywodziły się z chłopskich rodzin i nie mogły pochwalić się wiotkimi kibiciami. Natomiast trzymana przeze mnie halka pasowała na kobietę smukłą i delikatną. - I skoro już o tym mowa, to która służąca wywiesiłaby swoje pranie razem z ubraniami jaśnie państwa?

- Tylko że ten haft... - zająknął się Laurinne, ale bezlitośnie mu przerwałam:

- Haft faktycznie jest dosyć toporny. Pytanie tylko, co to oznacza... Całkiem prawdopodobne, że jakaś służąca zrobiła go dla swojej pani.

- Przecież wszystkie szlachetnie urodzone panny umieją haftować... - zauważył porucznik.

- Ale może ta konkretna panna nigdy nie widziała na oczy takich wzorów i nie potrafiłaby ich powtórzyć? - odparłam w zamyśleniu. - Albo... nie potrafiłaby zawrzeć w nich tego co trzeba.

- Co ma pani na myśli? - Laurinne nie zrozumiał, ale zbyłam go machnięciem ręki.

Ten nieskomplikowany i dość topornie wykonany deseń emanował pewną mocą.

Dokładnie taką samą, jaką wyczułam w okolicy ołtarza ofiarnego z różowego ersu. A to mogło oznaczać jedno: w Zamku-Nad-Lasem najpewniej zalęgły się jakieś mroczne czary!

- I jak mamy się dowiedzieć, do kogo ona należy? - zapytał porucznik bez entuzjazmu. Chyba postanowił, że skorzysta z bezmyślnie udzielonego pozwolenia i będzie zasypywał mnie pytaniami, aż rozkażę, by zamilkł.

- Można przejść się po Zamku, podsuwając halkę pod nos każdej

napotkanej damie i pytając, czy to przypadkiem nie ona zgubiła - mruknęłam.
- Ale mam niejasne wrażenie, że poszukiwana przez nas osoba raczej nie przyzna się do tego jakże ślicznego elementu garderoby. Można zapytać praczki, ale czy jest pan gotów zaręczyć, że to nie ona wykonała ten haft?

- To jak w takim razie? - Zapas pomysłów Laurinne'a wyczerpał się.

- Ot, poruczniku, są sposoby na tej ziemi.

Nadszedł czas, by sięgnąć po coś z mojego całkiem okazałego arsenału. Dziadek zawsze uczył, że w śledztwie wpierw należało do oporu wykorzystać zwykłe ludzkie możliwości, a do magii sięgać dopiero, jeżeli okazały się one nieskuteczne. Całkowicie zgadzałam się z jego podejściem, w związku z czym moi klienci rzadko mieli okazję nacieszyć się widokiem rytualnych tańców nad zimnym trupem.

- Na parapecie stoi miednica, proszę ją tu przynieść. A przy okazji jeszcze ten dzban obok niej.

Gdy naczynie znalazło się na stole i zostało do połowy napełnione wodą, wyciągnęłam nóż i bez wahania odciąłem kawał rąbka halki, starając się nie uszkodzić haftu zbyt mocno. Włożyłam skrawek materii do wody, obejrzałam powstałą kompozycję i uznałam ją za zadowalającą.

- Laurinne, niech mi pan poda rękę - rozkazałam. Młodzieniec posłusznie wyciągnął dłoń, ale natychmiast wyrwał mi ją z cichym okrzykiem bólu. - Przepraszam, źle wyliczyłam...

- A to fo ho? - Porucznik dziecięcym gestem włożył rozcięty palec do ust i teraz mówił nieco niewyraźnie.

- Aby zaklęcie, którego chcę użyć, było skuteczne, potrzebuję kilku kropel krwi - wyjaśniłam.

- Ale nie mojej, ponieważ to ja je buduję. Skoro szczęśliwie akurat był pan obok, proszę nie narzekać!

Zresztą Laurinne nie wyrzekł ani słowa protestu. Wyglądał na bardzo

przejętego tym, że mam zamiar uciec się do magii.

- Panno Naren, a jak to działa? - zapytał z powątpiewaniem, patrząc na miednicę z wodą, w której smętnie pływał kawałek mokrej szmaty.

Nie zaszczyliłam go odpowiedzią. Zgarnęłam ze stołu prawie wygasłą fajkę i rozpaliłam ją mocniej, a następnie szczelnie zasunęłam kotary, tak że w pokoju zapanował półmrok.

- Poruczniku, niech pan patrzy, ale nie waży się wydawać głośnych dźwięków -uprzedziłam. - I proszę nie poruszać stołem.

Z tymi słowy wydmuchałam dym wprost na powierzchnię wody. Nie uciekł na boki, tak jak można by się tego spodziewać, a zawisł nad miednicą jak całkiem solidna chmurka. Dodałam jeszcze trochę i w końcu przestał się zbierać i jak gdyby wchłonął do wody. Ta na chwilę zatraciła przezroczystość, ściemniała, a następnie w zaimprovizowanym lustrze zajaśniał mętny obrazek.

- Kompletnie niewyraźne... - mruknęłam, ignorując zdziwione westchnienie Laurinne'a. - Nie ma to jak używanie przypadkowo znalezionych komponentów!

Tymczasem obraz stał się jaśniejszy i dało się rozróżnić, że przedstawia kobietę. Niezbyt młodą, ale i nie całkiem starą, postawną, o chmurnej twarzy. Na jej głowie zgodnie z miejscowym obyczajem zawiązana była chusta, tak więc nie można było określić koloru włosów, a oczy były opuszczone w dół, w kierunku robótki. Tak, dokładnie jak można się tego było spodziewać, kobieta haftowała. Sądząc z tego, jak poruszały się jej wargi, coś szeptała, a może się modliła.

- Laurinne, niech pan zapamięta tę twarz - szepnęłam. - Dokładnie zapamięta...

Gdy tylko zdążyłam wypowiedzieć te słowa, odbicie hafciarki rozmyło się w mętną plamę, z której zaczęła wyłaniać się inna postać, najpewniej

właścicielki halki. Przysunęłam się bliżej, z drugiej strony nad miednicą pochylił się mój towarzysz. Widziałam, jak drży jego leżąca na stole ręka i akurat zbierałam się do przypomnienia mu, że miał nie ruszać mebla, ale nie zdążyłam - ktoś głośno i uroczyście zapukał do drzwi. Nie do końca ukształtowany obraz zadrżał i rozplynał się. W jednej chwili magiczne lustro zmieniło się w to, czym było na początku - miednicę z wodą i gęstą chmurą dymu tytoniowego. Laurinne zakasłała, bezskutecznie próbując rozgonić go rękami, a ja odwróciłam się w kierunku drzwi i spytałam:

- Kto tam?

- Panno Naren, zapraszamy do stołu - dobiegła uprzejma odpowiedź z zewnątrz. - Reie Fein prosi, by wyświadczyła mu pani ten honor i przyłączyła się do niego podczas kolacji.

- Proszę przekazać, że zaraz zejść do jadalni - powiedziałam głośno i odwróciłam się w kierunku porucznika, szepcząc: - I jak? Zapamiętał pan tę kobietę?

- Tak - stwierdził. - Ona ma taką twarz... Nie można się pomylić! Tylko co z właścicielką halki?

Nie da się jeszcze raz tak samo?

- Jakby się dawało, tobym zrobiła - odparłam z lekką irytacją. - Przy użyciu prymitywnych środków na pewno się nie uda. Poza tym nie wydaje mi się, żebyśmy mieli zobaczyć cokolwiek wyraźnego. Widzi pan, przy pomocy takiego lustra i wybranej rzeczy można zobaczyć człowieka, który jest emocjonalnie z danym przedmiotem związany.

Rozumie pan?

- Chyba... - odpowiedź brzmiała cokolwiek niepewnie.

- W takim razie wyjaśnię - odparłam, wkładając kurtkę i zapinając pas, bo nie mogłam przecież zejść na dół w samej koszuli. - Kobieta, która wyhaftowała te wzory, nie siedziała ot, tak sobie, dłubiąc igłą w materiale.

Coś do swojej pracy dołożyła. Jeśli będzie to dla pana bardziej zrozumiałe, powiedzmy, że duszę, ale nie wiem, czy to zgodne z pana wierzeniami. Mniejsza o to. Póki co nie wiem, co to za wzory, może mają na celu ochronę, a może jeszcze coś innego, ale obstawiałabym to pierwsze. - Złapałam głębszy oddech. - Czyli nie jest to taki zwykły haft. Natomiast właścicielka tej halki najpewniej po prostu ją nosiła, i to nawet niezbyt długo. Nie potrafię powiedzieć, czy wierzyła w skuteczność tych wzorów. Jeśli tak, to może udałoby nam się coś zobaczyć. Ale sądząc z tego, jak wiele czasu zajęło wykształcenie się obrazu, szanse były marne.

- Ten sługa i tak pojawił się w bardzo nieodpowiedniej chwili... - burknął porucznik i akurat tu nie mogłam się z nim nie zgodzić.

- Podsumowując... Poruczniku, spróbuję zadać reie Feinowi kilka pytań i mam nadzieję, że usłyszę na nie sensowne odpowiedzi - ciągnęłam. - A pan niech się od rana zajmie tą hafciarką. Niech pan pochodzi sobie po Zamku, popatrzy dookoła. Może się pan skarżyć, że go do reszty zamęczyłam durnymi poleceniami. Wiadomo, że służba kuchenna zwykle daje się złapać na takie gadki. Niech pan zostanie stałym bywalcem kuchni, tam można sobie obejrzeć całą służbę. - Zachichotałam, wyobrażając sobie, jak Laurinne będzie próbował oczarować którąś z postawnych kucharek. Miałam wrażenie, że ktoś w jego typie mógł wywołać w nich tylko jedną żądzę - nakarmienia chłopaczka do syta. Ale to nic, powinno mu to nawet wyjść na dobre. - Jeśli uda się panu trafić na właściwą chwilę, może się pan rozpytać o to, co się w Zamku ciekawego dzieje, ale ostrożnie. Miłego zwiadu.

- Kucharki...? - Wyraz twarzy porucznika nie dawał się opisać ludzkimi słowami. -Ale panno Naren...

- Powiedziałam: miłego zwiadu. - Otworzyłam drzwi. - Ma pan czas do rana na opracowanie strategii podboju. Koniec końców, które z nas jest wojskowym, pan czy ja?

ROZDZIAŁ 12

Domysły

Kolacja z reie Feinem nie przyniosła żadnych nowych informacji. W jadalni było pełno służących, przy których nie chciałam zaczynać rozmowy o ruinach starożytnej świątyni czy zagadkowych symbolach, a odpowiednia okazja się nie nadarzyła. Tak więc poprosiłam gospodarza, by ponownie opowiedział mi historię tragicznie zmarłej Raity, i po raz kolejny przekonałam się, że albo mówił on czystą prawdę, albo po prostu bardzo drobiazgowo swoje słowa przemyślał, bo nie mogłam go przyłapać na żadnych nieścistościach. Po kolacji w wyjątkowo paskudnym humorze udałam się na spoczynek. Miałam ogromną chęć popodsłuchiwać, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami, przy odrobinie wysiłku było to nietrudne, ale ostatecznie uznałam, że nie warto ryzykować. W Zamku działo się coś niedobrego i jeżeli mimo wszystko ukrywał się tu jakiś mag czy wiedźma, to moje działania nie pozostałyby niezauważone. A tego z kolei bardzo nie chciałam, bo tylko spłoszyłoby mi potencjalną zdobycz.



Kolejny dzień upłynął mi pracowicie: obeszłam cały Zamek w poszukiwaniu tajemnych przejść, ale żadnego nie znalazłam. No ale jak tu

pracować, jeżeli twoim śladem snuje się całe stado gapiów? Ktoś mógłby pomyśleć, że jestem wędrownym kuglarzem, a nie magiem-justycjariuszem! Zresztą mimo wszystko czegoś pożytecznego się w trakcie tej wędrówki dowiedziałam. Po pierwsze, nigdzie w Zamku nie było śladu dobrze mi znanych symboli, na ścianach widniały freski zupełnie innego rodzaju. Po drugie, nie natrafiłam również nawet na okruch różowego ersu - wszystkie dekoracje wewnątrz wykonano z delikatnie błękitnego, liliwoszarego i złocistozielonego kamienia - musiałam przyznać, że bardzo gustownie.

Gdy gapiom nareszcie znudziło się łażenie moim tropem, mogłam w końcu złapać reie Feina na osobności w jego gabinecie i wprost zadać nurtujące mnie pytanie:

- Czy wie pan, co oznaczają te znaki? - Wzięłam pióro z kałamarza i w przybliżeniu nakreśliłam na odwrocie jakiejś kartki wzory z kamienia ofiarnego.

Fein przez chwilę podziwiał moje wysiłki artystyczne, przekręcił kartkę do góry nogami i z powrotem, ale ostatecznie odparł:

- Nie, panno Naren, nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- A co wie pan o starożytnej świątyni, która kiedyś znajdowała się w tym miejscu? - spytałam jak gdyby bez wyraźnego związku. Wbrew temu, czego się spodziewałam, nie próbował zaprzeczać.

- Tylko tyle, że istniała. Ale nie bardzo rozumiem, w jaki sposób to jest związane z...

- Później wyjaśnię - obiecałam. - A póki co, niech mi pan opowie, co wie na ten temat.

- Prawie nic. - Gospodarz wzruszył ramionami. - Istnieje stara bajka, że kiedyś w miejscu, w którym teraz stoi Zamek, istniała świątynia jakiegoś przerażającego starożytnego bóstwa. Potem jakiś bohater, mówi się nawet, że założyciel naszego rodu, zniszczył ją, wygnał bóstwo i położył kamień

węgielny pod fundamenty naszej siedziby rodowej. O ile pamiętam, oprócz tego dogadał się z Lasem, żeby ten nie ruszał jego potomków ani ich wasali. I to by było na tyle.

- Niezbyt się pan interesuje historią - powiedziałam z pewną pretensją. Miałam wrażenie, że za drzwiami ktoś stoi i próbuje podsłuchiwać. Osobiście uważałam, że mieli w okolicy stanowczo zbyt dużo ciekawskich uszu! - Reie Fein, mam jeszcze jedno pytanie. Czy Zamek-Nad-Lasem ma jakieś tajemne przejścia?

- Oczywiście, że tak - w tonie rozmówcy zabrzmiało łagodne zdziwienie.

- Osobiście wiem o trzech.

- A gdzie się znajdują?

- Jedno prowadzi z piwnicy do podnóża wschodniego muru - wyjaśnił Fein. - Drugim kiedyś można było wyjść do Lasu, ale tunel się zawalił. O ile dobrze pamiętam, to trzecie zaczyna się w stajni i prowadzi na przeciwległy brzeg strumienia. Najpewniej w przeszłości istniał tam jakiś naturalny schron, ale teraz to otwarte miejsce, widoczne praktycznie z każdej strony, tak że cała tajemność jest kompletnie bez sensu.

- Czy nie wydaje się panu, że Raita mogła skorzystać z któregoś z nich? - spytałam.

- Zastanawiałem się nad tym - przyznał. - Alein oprowadził ją po zamku, więc mógł pokazać też przejścia. Wszyscy po nich biegaliśmy w dzieciństwie. W takiej sytuacji zrozumiałe byłoby, dlaczego strażnicy przy bramie jej nie widzieli.

- Rozumiem - westchnęłam. - Dziękuję za poświęcony czas.

Udałam się do swojego pokoju, po drodze snując rozważania. Jeżeli Raita wyszła przy podstawie wschodniej ściany, to musiałaby zrobić solidną pętlę, by trafić na szczyt urwiska, pod którym ją znaleźli. A przecież w tym czasie ktoś mógł zobaczyć ją z murów -wierzchołek wzgórza nie był zarośnięty

krzakami, więc postać w jasnej sukni powinna być dobrze widoczna. Jeżeli miałam wierzyć Feinowi, drugie przejście nie nadawało się do użytku. A trzecie zaczynało w stajni, w której zawsze był choć jeden koniuch, o czym sama zdążyłam się przekonać. Oczywiście można było uznać, że wszyscy stajenni (i kto tam akurat jeszcze przebywał) jak jeden mąż przegapili pojawienie się narzeczonej dziedzica w tak nieodpowiednim miejscu, ale osobiście nie przepadam za tego typu założeniami. Natomiast bardziej podobała mi się inna wersja, dopuszczająca istnienie innego tajemnego przejścia, o którym Fein nie miał pojęcia. Albo którego istnienie zataił. Zgodnie z jego własnymi słowami „osobiście” wiedział o trzech, czyli jak najbardziej mogły być jeszcze jakieś. Tak czy siak należało sprawdzić, czy ten zawalony korytarz faktycznie jest aż tak nieprzebyty, jak mnie zapewniano. Będzie robota dla porucznika.

- Panno Naren! - zawołał mnie przejęty głosik. Odwróciłam się i zobaczyłam Olorę, jedną z nielicznych w Zamku szlachcianek. O ile dobrze pamiętałam, jej ojciec był prawą ręką Feina. - Panno Naren, proszę poczekać...!

- Chciała pani o coś zapytać? - Zatrzymałam się.

- Tak... - Olorę zarumieniła się lekko i wypaliła: - Panno Naren, ja bardzo przepraszam, ale przypadkiem słyszałam pani rozmowę z reie Feinera Ojciec mnie do niego wysłał z poleceniem, ale usłyszałam głosy i nie mogłam się zdecydować, żeby wejść, a potem... Wiem, że powinnam odejść, ale...

- A mogę prosić o przejście do sedna? - przerwałam jej. - Słyszała pani naszą rozmowę, w której nie było nic szczególnie ciekawego, ale z jakiegoś powodu postanowiła mnie odnaleźć. I co dalej?

Olorę zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Potem poszłam do reie Feina z tym poleceniem od ojca... - wymamrotała. - I zobaczyłam rysunek na jego biurku... Przypomniałam

sobie, że pytała pani o te znaki!

- Faktycznie pytałam. - W tym momencie dziewczynie udało się wzbudzić moją ciekawość.

- Coś pani wie na ten temat?

- Nie... - Olorą uciekła spojrzeniem. - Ale kiedyś coś podobnego widziałam.

- Gdzie? - Napiełam uwagę. Jeśli teraz powie, że chodzi jej o kamień przy strumieniu...

- W Lesie, koło tego parowu, w którym znaleziono Raitę... Na takim dużym kamieniu. - Olorą załamała ręce i spojrzała na mnie z desperacją. - Panno Naren, co to wszystko może oznaczać?

- Jeszcze nie wiem - odparłam. - Mogłaby mi pani pokazać ten kamień?

- Tak, oczywiście... - Olorą z wahaniem spojrzała za okno. Dzień już wyraźnie chylił się ku końcowi. - Tylko kiedy?

- Nawet i teraz - odparłam. Co by nie mówić, czas uciekał. - Jeżeli oczywiście nie jest to dla pani problem. Zdążymy wrócić przed zachodem słońca?

- Oczywiście! - Dziewczyna ożywiła się. - To niedaleko, a poza tym przecież pójdę z panią, więc nie ma się czego bać!

- W takim razie ruszajmy - zdecydowałam. - Czy musi się pani przebrać?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Tylko coś wezmę, niech pani chwilkę poczeka - odparła i odeszła w pośpiechu.

Zdążyłam się chwilę zastanowić i po jej powrocie spytałam:

- Proszę mi powiedzieć, możemy wyjść z Zamku tak, by nikt nas nie zauważył?

- Jak pani na to wpadła? - Olorą wydawała się zdziwiona i rozbawiona,

ale miałam wrażenie, że moje pytanie nieco ją zdenerwowało. - Akurat miałam zaproponować wyjście nie przez bramę, żeby nie okrążyć całego wzgórza! W takim razie chodźmy, pokażę drogę...

Idąc śladem dziewczyny, znalazłam się na którejś z niższych kondygnacji Zamku. Wyglądało na to, że rzadko uczęszczanej, gdyż korytarze były puste i nie zauważyłam oznak częstych gości.

- Tutaj - powiedziała Olor a i z wysiłkiem pociągnęła za jakiś metalowy zawijas na wielgachnej starożytnej tarczy, umocowanej na ścianie. Część muru ze zgrzytem odsunęła się na bok, otwierając ciemne przejście. - Ojej, nie wzięłam świecy...

- To nic - odparłam i jako pierwsza zrobiłam krok do przodu. I to by było na tyle, jeśli idzie o przejście, o którym nie wiedział Fein. Nie była to piwnica, bo piwnice znajdowały się jednak znacznie niżej... - Potrafię zapewnić światło.

Przejście było suche i w miarę czyste. Wyglądało na to, że używano go całkiem często - kurzu na podłodze niewiele, a pajęczyny na ścianach zostały bez litości poobrywane. Szłyśmy dość długo.

Korytarz opadał coraz niżej i niżej. Kilka razy słyszałam jakieś głosy za ścianą, pewnie mijałyśmy kuchnię albo inne robocze pomieszczenia. W końcu ściany zrobiły się wyraźnie wilgotne, zauważyłam też na nich pleśń. Najwyraźniej wyszłyśmy już poza obręb murów.

- Już niedaleko - uspokoiła mnie Olor a i rzeczywiście, po krótkiej chwili z przodu pojawiło się światło.

Wyszłyśmy na zewnątrz w gęstych zaroślach. Wylot tunelu był tak dobrze zamaskowany, że gdybym nie wiedziała, gdzie szukać, minęłabym je w odległości paru kroków i nic nie zauważyła.

Rozejrzałam się dookoła. Hm... To miejsce było mi dobrze znane! Zachodnie zbocze wzgórza, w okolicy strumienia. Z zamkowych murów tego

kawałka terenu kompletnie nie było widać, niedobry kąt, a do tego krzaki... No cóż, całkiem prawdopodobne, że Raita skorzystała właśnie z tej drogi.

- Panno Naren, chodźmy! - zawołała moja towarzyszką, zagłębiając się w chaszczę. Ruszyłam jej śladem.

Okazało się, że do właściwego miejsca było dość daleko, nawet zdążyłam zwątpić, czy wrócimy przed zachodem słońca. Ale obecność Olory uspokajała, a za dnia Las wcale nie wydawał się aż tak przerażający. Tyle że było parno jak w łaźni, najpewniej zbierało się na burzę - nawet lekkiego podmuchu wiatru. Mimo wszystko wolałabym uniknąć niezaplanowanej kąpieli...

Moje plecy były już całkiem mokre, gdy Olorą nagle zatrzymała się na niewielkiej polanie.

- Jesteśmy prawie na miejscu... - powiedziała, ocierając pot z czoła. Chyba nie była przyzwyczajona do takich spacerów. - Teraz trzeba tylko wyjść do urwiska, a tam znajdę właściwe miejsce... - Zdjęła wiszącą przy pasku flaszkę, odkorkowała i już unosiła do ust, ale spojrzała na moją rozpaloną twarz i podała mi butelkę. - Panno Naren, proszę, niech pani się napije.

- A pani? - spytałam dla przyzwoitości, przyjmując naczynie. Woda była ciepława i wydawała się niezbyt świeża, ale i tak lepsza niż nic.

- Niech mi pani zostawi jeden łyżeczek - uśmiechnęła się dziewczyna. - Ja jestem przyzwyczajona do naszych upałów... Gdzie jest to urwisko? Wie pani, czasami Las się zmienia zupełnie nieoczekiwanie: była sobie ścieżka, a tu nagle nie ma! Jestem prawie pewna, że tutaj rośnie takie drzewo z dziwnym konarem... Gdzie ono jest?

Pokręciłam głową. Chyba upał faktycznie miał na mnie nie najlepszy wpływ - czułam się coraz bardziej senna. Czekałam, aż Olorą znajdzie to swoje charakterystyczne drzewo, usiadłam na jakimś pniu i oparłam

podbródek na dłoni.



Otworzyłam oczy i przez dłuższą chwilę nie mogłam zrozumieć, dlaczego tuż przed moim nosem sterczy jakiś niebieski kwiatek. Potem... Potem do głowy przysłała mi pierwsza tego dnia rozsądna myśl: „Wygląda na to, że po prostu leżysz na ziemi i tyle!”. To się nawet zgadzało. Ale dlaczego? Co mnie naszło, by tak po prostu się położyć, i to jeszcze w niewygodnej pozycji? A na dokładkę w Lesie? W tym momencie mojej umęczonej głowie udało się jakoś uszeregować wydarzenia i przypomniałam sobie: Olor! Poszłam do Lasu razem z Olorą... I bardzo chciałabym wiedzieć, gdzie ona się podziała.

Za trzecią próbą udało mi się usiąść, powstrzymać zawroty głowy i rozejrzeć. No tak... Znana mi polana, pień, na którym usiadłam, zanim zleciałam na ziemię. Tyle dobrego, że nie trafiłam twarzą w mrowisko, które znajdowało się niedaleko. I żadnych śladów mojej towarzyszki. Jak również flaszki, którą przedtem trzymałam w ręku.

- Flossio, jesteś idiotką - rzekłam głośno, gdy w końcu dotarło do mnie, co się stało. - Podeszła cię jak ostatnią kretynkę!

Doprawdy, dziadek powiedziałby, że zgubiła mnie własna arogancja i poczucie nietykalności.

Olorą... Kto by to pomyślał! Ciekawe, co miała w tej flasce. Na pewno nie truciznę, bo w takim przypadku natychmiast bym się połapała. Najpewniej jakiś dodatek na bazie roślin, wcale nie trujący, raczej o działaniu nasennym. A to, że powaliłyby konia, to już zupełnie inna kwestia. Czyli Olorą... Nie musiała sobie nawet brudzić rączek, wystarczyło zostawić nieprzytomne ciało na tej polanie i cichutko się wycofać, po czym zaczekać,

aż zajmie się mną Las. Słońce już prawie schowało się za czubkami drzew, więc nie miałam co liczyć, że uda mi się wrócić do Zamku przed zmrokiem. W nocy na pewno nikt nie będzie organizował poszukiwań, nawet jeśli zauważą, że mnie nie ma - w końcu miejscowi nie wychodzili na zewnątrz bez wielkiej potrzeby, a ja stanowczo się do takich potrzeb nie zaliczałam.

Poza tym Olorą zawsze mogła opowiedzieć historyjkę o tym, jak poprosiłam, by nikt nie niepokoił mnie do rana, bo musiałam się nad czymś zastanowić. Mieszkańcy Zamku już przyzwyczaili się do mojego ekscentrycznego zachowania, więc nikogo by to nie zdziwiło. Raczej nie powinnam czekać na pomoc nadciągającą z tamtego kierunku. Jak również z dowolnego innego.

Ale dlaczego ta dziewczynka... Stop. Nad tym można było zastanowić się później, a chwilowo należało opracować jakiś plan spędzenia nocy. W tym momencie było całkiem oczywiste, że nie mam szansy wydostać się z Lasu przed zmierzchem, w związku z czym musiałam zdecydować, jak przeprowadzić całą operację z możliwie najmniejszymi stratami własnymi.

Rozejrzałam się dookoła i zauważyłam ogromne iglaste drzewo, wyglądające na jakiś gatunek sosny. Jego szerokie gałęzie sięgały prawie do samej ziemi, zasłanej grubą warstwą igliwia. Ujdzie, miewałam w życiu gorsze noclegi. Po chwili namysłu darowałam sobie rozpalanie ogniska - Las mógł źle na nie zareagować, więc ryzyko było stanowczo nieopłacalne. Dokładnie z tego samego powodu, mimo wielkiej ochoty, zrezygnowałam z rozpalania fajki.

Mrok zapadał gwałtownie, jak gdyby na dworze panowało nie lato, a głęboka jesień. Póki jeszcze można było cokolwiek zobaczyć, wczołgałam się do szałasów utworzonych przez dolne gałęzie „mojego” drzewa i usiadłam pomiędzy wystającymi z ziemi grubymi korzeniami, oparta plecami o pień. Ciekawe, czy w nocy to drzewo nabierze ochoty, by mnie zjeść? A skoro już

byłam przy temacie jedzenia, to jakieś by nie zaszkodziło...

Urządziłam remanent swojego skromnego dobytku i nawet co nieco znalazłam w kieszeniach.

Garść orzechów, odrobinę jakichś suchych jagód, które były straszliwie kwaśne, a nawet - ot, ciekawostka! - wyschnięty kawałek chleba. Ciekawe, co robił w mojej kieszeni, kompletnie nie potrafiłam sobie przypomnieć, bym miała zamiar karmić jakieś ptaki. Ale akurat w tej chwili rezultaty mojego roztargnienia były mi jak najbardziej na rękę - złożyły się może nie na królewską, ale całkiem znośną kolację. A w międzyczasie zapadła ciemność.

- No to jak, proszę szanownego drzewa? - powiedziałam w pustkę, opierając się potylicą o pień.

- Mam nadzieję, że nie masz zamiaru mnie w nocy zabić czy pożreć? Zapewniam, że jestem kompletnie niesmaczna, więcej kości niż mięsa. - Uśmiechnęłam się krzywo. Dobrze, że nikt nie słyszy, jak sobie gawędzę z drzewami! Ale z jakiegoś powodu mnie samej nie wydawało się to aż takie dziwne. - A poza tym po co mnie zabijać? Koniec końców nic złego ci nie zrobiłam, a do Lasu w nocy trafiłam wbrew woli, mimo że przez własną głupotę... - A to co znowu...? Może mi się tylko wydawało, ale gałęzie opadły jeszcze niżej ku ziemi, do reszty zmieniając moją kryjówkę w szałas.

Chyba jednak wiatr się nimi bawił i mogłam tylko mieć nadzieję, że burza jednak przejdzie bokiem...

- Tak więc, drzewo, bardzo liczę na twoją ochronę... w razie czego... - Ziewnęłam, a potem zrobiłam coś kompletnie nieoczekiwanego. Nawet nie wiem, jaki impuls mnie ku temu popchnął, ale rozgrzebałam igły u podstawy pnia i położyłam tam resztkę chleba. - Wiem, że to niewiele, ale czym chata bogata...

Po zakończeniu tych cokolwiek dziwnych działań zapatrzyłam się w mrok i zaczęłam kombinować. Dlaczego Olora próbowała się mnie pozbyć?

No dobrze, wiedziałam, że podsłuchała moją rozmowę z Feinem na temat zagadkowych znaków i tajemnych przejść, po czym uznała, że niewiele mi brakuje, by na coś ważnego wpaść. Gdyby tylko wiedziała, że znajdowałam się dopiero na samym początku śledztwa! Ciekawe, co ją bardziej przestraszyło, znaki czy tajemne przejścia? Raczej to ostatnie. Całkiem prawdopodobne, że to ona wyprowadziła Raitę z zamku, pewnie nawet tym samym korytarzem co mnie. A dalej... Dalej uderzyła ją kamieniem w głowę i w takim razie już wiadomo, czemu ta biedaczka miała taki spokojny wyraz twarzy - zupełnie nie spodziewała się ataku.

Potem Olorą zrzuciła ciało do parowu. Jak zrozumiałam, Las nie interesował się trupami, a wyłącznie żywymi intruzami, tak więc Raita pozostała w jednym kawałku. I nikt by się niczego w tym nie dogrzebywał, gdybym akurat się nie pojawiła.

No dobrze, ale jak do tego wszystkiego miały się znaki? Olorą stanowczo w coś była zamieszana. Najpewniej ta haftowana halka należała do niej: figura akurat odpowiednia, szczupła i niezbyt wysoka. Nad znakami można się zastanowić później, a chwilowo jedno należało uznać za pewnik: Raitę zabiła Olorą. Po co? Hm... Dziewczyna była córką reie Niana i prawdopodobnie liczyła na względy Aleina Feina. A on zamiast tego przywłókł sobie pannę z zewnętrznego świata i dał kosza miejscowym ślicznotkom. Pozostałe trochę popłakały i znalazły sobie lepsze zajęcie, ale Olorą chyba nadal planowała, że młodzieńca odzyska. Na korzyść tej tezy świadczyły chociażby rozkochane spojrzenia, które posyłała mu przy kolacji. Czyli motyw dobry jak każdy inny, zazdrosna kobieta bywa zdolna i do gorszych zbrodni.

Ale mimo wszystko nie wątpiałam, że znaki byty w całej sprawie dosyć istotne. Może dowiedziała się czegoś o starożytnej świątyni i przyzywała zapomnianych bogów, by pomogli jej w morderstwie? Ale w takim razie co

ze służącą? Stanowczo odgrywała w całej sprawie jakąś poważniejszą rolę i należało się nią natychmiast zająć. Oczywiście natychmiast po wydostaniu z Lasu.

Jeśli uda mi się z niego wydostać...

W Lesie niespodzianie zrobiło się całkiem cicho i nawet nocne ptaki zamilkły. A potem usłyszałam kroki. Powolne, ciężkie, miękkie kroki. Ktoś szedł Lasem, zbliżając się do drzewa, pod którym się ukrywałam. Mało tego, był to chyba ktoś bardzo, ale to bardzo duży. W tym momencie jak nigdy cieszyłam się z braku nadmiernie wybujałej fantazji, która nakreśliłaby mi obraz kroczącego potwora, ponieważ mogłabym umrzeć na serce. A i tak się bałam. Ba, powiem uczciwie, do tego stopnia nie bałam się jeszcze nigdy w życiu... Po prostu dlatego, że nie miałam pojęcia, czego się spodziewać i nawet nie mogłam zgadywać, z czym się zetknęłam. Upiorne wrażenie potęgował fakt, że kompletnie nic nie widziałam, zupełnie jakbym oślepla.

Kroki zbliżały się i miałam wrażenie, że ziemia ugina się pod jakimś potwornym ciężarem.

Ostatecznie stwór zatrzymał się tuż obok i usłyszałam głośne sapanie, od którego włosy stanęły mi dęba. Nie czułam żadnego zapachu, co było tylko kolejnym dowodem na to, że mój nocny gość stanowczo nie był istotą z krwi i kości. Co nijak nie wpływało na fakt, że jak najbardziej mógł przerobić mnie na mielonkę.

Przycisnęłam się plecami do sosnowego pnia. W żadnym razie nie miałam zamiaru poddać się bez walki. Miałam w arsenale parę zaklęć bojowych... Pytanie tylko, czy moja magia tutaj w ogóle zadziała? Las miał swoją własną moc, bardzo starożytną i bardzo dziwną, i mogło się okazać, że moje żałosne próby obrony nie wyrządzą temu... tej... istocie żadnej krzywdy.

Tymczasem nocnemu wędrowcowi wyraźnie znudziło się czekanie, aż w końcu wrzasnę ze strachu i zacznę uciekać, więc zrobił kolejny krok do

przodu. I w tym momencie stało się coś niewiarygodnego. Poczułam, jak gałęzie drzewa z kłującymi gęstymi igłami zsuwają się i opadają niżej ku ziemi, otulając mnie i całkiem jednoznacznie przegradzając drogę każdemu wrogowi z zewnątrz. Usłyszałam zdziwione i rozczarowane westchnienie, bezwiednie dotknęłam gałęzi, czując, jak stroszą się na nich bojowo ostre igły, całkiem jak na poirytowanym jeżu. Jeszcze jedno głębokie westchnienie i to „coś”, co stało tuż obok mnie, po prostu sobie poszło. Miękkie kroki rozbrzmiewały coraz dalej i dalej, aż w końcu zupełnie ucichły.

- D-d-dziękuję... - powiedziałam, z trudem opanowując drżące wargi.

Po takiej przygodzie nie widziałam kompletnie nic dziwnego w tym, by dziękować drzewu.

Obronilo mnie - co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. Ale nigdy bym nie przypuszczała, że w życiu się z czymś takim spotkam! Ciekawe, czy tej nocy przybyły mi jakieś siwe włosy? Całkiem możliwe!

Nieoczekiwanie przyszła mi do głowy fascynująca myśl, która brzmiała cokolwiek mało prawdopodobnie, ale w zaistniałych okolicznościach nie wydawała mi się już zupełnie wzięta z sufitu. „Trzeba będzie to sprawdzić” - przykazałam sobie i... zasnęłam. Głupio byłoby do rana siedzieć i trząść się ze strachu. Jeżeli drzewo raz zdecydowało się mnie ochronić, to raczej nie powinno nagle dać mi kopa i wywalić na polanę pod gołe niebo, prawda? Przez sen wydawało mi się, że słyszę jakieś dźwięki, coś łąziło dookoła, trzeszczało gałęziami i szeleściło trawą, ale mojego spokoju nikt nie zakłócił.

Obudziłam się wczesnym rankiem, obolała od leżenia na twardej ziemi. Słońce już zdążyło wysuszyć rosę, czyli czekał nas kolejny upalny dzionek.

Kłujące gałęzie, które w nocy leżały prawie przy samej ziemi, teraz uniosły się, otwierając wyjście. Miałam poważne wątpliwości, czy cała sprawa po prostu mi się nie przyśniła.

- Drzewo, dziękuję ci za pomoc - powiedziałam, wyłaząc na zewnątrz na czworakach. Chyba jednak przyśniło. Pewnie Oloro dodała do wody jakiegoś paskudztwa o właściwościach narkotycznych i odczuwałam jego skutki. - Och...

Mimo że pogoda była całkowicie bezwietrzna, jedna z gałęzi nagle opadła w dół, dotykając mojego policzka. Poczułam, jak gdyby pogłaskała mnie kłująca futrzana łapa. No tak... Niniejszym możemy uznać, że to jednak nie był sen.

Potrząsnęłam głową, próbując obudzić się do końca. Do zamku czekała mnie daleka wędrówka przez krzaki i różne wądoły. Mogłam też pójść na prawo, jak przypuszczałam, powinnam dotrzeć do drogi, którą przybyliśmy do Zamku. Sprawdziłam słuszność tej hipotezy, zmuszając jakiegoś ptaszka, by przez chwilę posłużył mi oczyma. Faktycznie, okazało się, że do traktu wcale nie było daleko i, co przyjemniejsze, prowadził w dół.



Z Lasu wyszłam akurat koło południa, podrapana, rozczochrana - ponieważ zauważyłam, że moją chustę zostawiłam pod drzewem, pod którym spędziłam noc, ale uznałam, że nie będę po nią wracać. Mimo to byłam całkiem zadowolona z życia. Było gorąco, ale humor mi dopisywał. Co by nie mówić, niniejszym mogłam sprawę zabójstwa uznać za rozwiązaną, wydawało się też, że leśne ścieżki same ścielą mi się pod nogi. W każdym razie nie potykałam się o korzenie, nie utykałam w jeżynach, a nawet komary niezbyt dawały się we znaki. Po drodze trafiłam na niewielki strumyk, z którego napiłam się do syta, a na jego drugim brzegu znalazłam polanę z poziomkami. Garstka jagód to żadne jedzenie, ale spacer nagle zrobił się znacznie przyjemniejszy niż o pustym żołądku. Kilka razy przy

pomocy ptaków sprawdziłam, czy idę w dobrym kierunku, ale wszystko było w jak najlepszym porządku, a mój ostatni pomocnik trafił na coś wyjątkowo ciekawego.

Po wydostaniu się na trakt nie ruszyłam w kierunku Zamku, tylko spokojnie siadłam na kamieniu przy drodze, z prawdziwą przyjemnością zapaliłam i zaczęłam czekać. Po niecałym kwadransie usłyszałam w pobliżu stukot kopyt. Konie szły truchtem i z łatwością usłyszałam przemowę jakiegoś mężczyzny, sądząc z akcentu, miejscowego.

- Mówię panu, że to totalna bzdura! Nie znajdziemy jej. Po prostu nie znajdziemy, chyba żebyśmy się zabrali do przeczesywania Lasu, ale to też bez sensu. Przecież panu mówię, że obcy w Lesie nie przeżyje!

- Panna Naren nie jest zwykłym człowiekiem! - zabrzmiał w odpowiedzi przepełniony uporem i złością głos mojego porucznika. - I mogła ocaleć!

- Głupoty pan gada - sprzeciwił się tubylec. - A poza tym dziwna ta pańska przełożona... No po jakie лихо iść tuż przed nocą do parowu? I to jeszcze sama? A w ogóle skąd pan o tym wie?

- Chciała jeszcze raz obejrzyć miejsce, gdzie znaleziono tamtą dziewczynę, Raitę -odparł Laurinne. - Powiedziała mi reie Nian.

Czyli to taką bajeczkę wymyśliła Olor! No cóż, niegłupie, niegłupie... Jednak ktoś zauważył moją nieobecność, pewnie Laurinne przyszedł zameldować o swoich sukcesach, ale nie znalazł mnie i postawił cały Zamek na bacność. Wtedy Olor opowiedziała mu całkiem prawdopodobną historyjkę, jakoby umyśliłam sobie, że przespaceruję się do parowu i obejrzę miejsce zbrodni. A że nie wróciłam o czasie... Przecież w Lesie bardzo łatwo zabłądzić! Skąd Olor o tym wie? Akurat przechodziła, jak komuś mówiłam, więc usłyszała i tyle! Mogło też być tak, że spytałam ją o drogę.

- Ale dlaczego pan uważa, że należy jej szukać w okolicach parowu? - głądził pierwszy głos.

- Przecież mogła zabłądzić gdziekolwiek!

- Mało prawdopodobne, by poszła dalej niż do parowu - odparł porucznik trochę jakby niepewnie. - A tam... różnie to bywa. Może spadła jak ta wasza Raita, rozbiła sobie głowę...

- Laurinne, głowę to ja panu rozbiję, jak nie przestanie pan gadać takich bzdur! - podniosłam głos. Jeźdźcy jeszcze nie wyłonili się zza zakrętu, ale na pewno już mogli mnie usłyszeć.

Na chwilę zapanowała cisza, po czym powolny truchcik zmienił się w galop i zza zakrętu wyleciał Laurinne na swoim gniadoszu. Ja jak gdyby nigdy nic siedziałam na kamieniu i pykałam fajkę, delektując się wywołanym wrażeniem. Zresztą porucznik efektami się nie przejmował, zeskoczył z konia niemalże w biegu i dopadł do mnie.

- Panno Naren! Pani żyje? Wszystko z panią w porządku? - zasypał mnie pytaniami. - Co się z panią działo?!

- Poruczniku, ciszej - poprosiłam. - Jak sam pan widzi, żyję, jestem cała i nawet w nie najgorszym nastroju. Ale bardzo szybko się on pogorszy, jeśli się pan nie uspokoi. O tym, co się ze mną działo, opowiem w Zamku, żeby nie strzępić sobie języka dwukrotnie. - Popatrzyłam na zaszokowanych jeźdźców, którzy najwyraźniej już mnie skreślili z listy żyjących. Laurinne obdarzył ich zwycięskim uśmiechem pod tytułem: a nie mówiłem?!

- Coś niewielka ta grupa poszukiwawcza... - mruknęłam.

- Reie Fein nie dał więcej ludzi - doniósł porucznik z goryczą. - Powiedział, że to i tak bez sensu, bo nie ma co pani szukać, chyba żeby ktoś przypadkiem trafił na zwłoki... a poza tym jest pani obca.

- Doskonale go rozumiem - westchnęłam i podniosłam się z kamienia. - No cóż, panowie. Mam nadzieję, że któryś z was użyczy damie konia? Poruczniku, panu dziękuję, ten gniadosz jest dla mnie zbyt nerwowy, ktoś z tej tutaj dwójki...

Ostatecznie dostała mi się sympatyczna płowa kobyłka, która co prawda nie mogła równać się z moją Szarką, ale była całkiem przyzwoita.

- To jak pani sama w nocy w Lesie... - zaczął jeden z miejscowych, ale nie dokończył pytania. Tak czy siak, doskonale wiedziałam, co miał na myśli.

- Jakoś. - Wzruszyłam ramionami. - Faktycznie, bardzo łatwo się tu zgubić. Pochodziłam sobie aż do zmroku, potem zanocowałam pod drzewem. Rano spojrziałam na słońce, poszłam do drogi i tyle.

Bardzo fortunnie trafiłam na was.

Złapałam spojrzenie Laurinne'a, który nie uwierzył nawet w jedno słowo tej historyjki. W sumie nic dziwnego, kto jak kto, ale on miał doskonałą świadomość tego, jak radzę sobie w terenie.

- A co to było za drzewo? - zapytał drugi z jeźdźców. Ciekawe, po co mu ta wiedza?

- Jakieś iglaste. - Nie miałam powodów utrzymywać akurat tego w tajemnicy. - Dolne gałęzie prawie do samej ziemi, jak szłas. Takie gęste, igły na długość mojego palca. Czemu się na mnie tak gapicie?

- Toć to łap-drzewo! - wypalił mężczyzna ze wzburzeniem.

- I co z tego? - Przyczyny jego zdumienia nadal pozostawały dla mnie niezrozumiałe.

- Przecież ono jest drapieżne! - wyjaśnił i pokierował koniem tak, by znaleźć się jak najdalej ode mnie. - Mówią, że może nawet i za dnia złapać, a w nocy to dopiero... Zdarzało się, że patrole znajdowały takich... pechowców!

- Czyli jestem szczęściarą. - Wzruszyłam ramionami i lekko przyhamowałam konia, aby zostać z tyłu. Laurinne na widok tego manewru również ściągnął wodze.

Na wszelki wypadek rzuciłam na nas zaklęcie odwracające uwagę i teraz jadący przodem nie mogli nas słyszeć ani nawet nie zauważyli, że zostaliśmy

kawałek za nimi.

- Panno Naren, co się tam naprawdę stało? - cicho zapytał porucznik. - Przecież wiem, że nie mogła pani zabłądzić...

W paru słowach nakreśliłam mu sytuację, szczególną uwagę zwracając na nocne wydarzenia. Pomysł, który wtedy przyszedł mi do głowy, w tej chwili wydawał się znacznie mniej fantastyczny niż na początku.

- Myśli pani, że Las nie ma nic wspólnego z tym wszystkim? - zapytał Laurinne po uważnym wysłuchaniu mojej historii.

- Wydaje mi się, że Las wcale nie jest wrogi ludzom - odparłam. - Jak by tu najprościej wyjaśnić... Poruczniku, dla pana nie będzie to takie oczywiste, bo nie jest pan magiem. Proszę mi uwierzyć na słowo, że magia tego miejsca jest dziwna, nigdy przedtem się z takim czymś nie zetknęłam, ale zdecydowanie nie ma na celu wyrządzenia ludzom krzywdy.

- Dlaczego w takim razie Las ich zabijał? I jak można mimo to mówić, że nie jest wrogi?

- Las ich nie zabijał - pokręciłam głową i spojrzałam na chłopaka. Przypominał dziecko, któremu ktoś opowiada straszną bajkę. Z jednej strony ciekawość, jak cała sprawa się zakończy, a z drugiej strach - bo koniec wcale nie musi okazać się szczęśliwy! - Ale byli obcy, więc po prostu ich nie obronił.

- Chce pani powiedzieć... - Ze zdumienia Laurinne aż otworzył usta. Złociste iskierki w jego szarych oczach błyszczały coraz mocniej, chyba poważnie się całą sprawą przejął. -Chce pani powiedzieć, że Las chroni tutejszych mieszkańców... Ale przed czym?

- I na to pytanie bardzo bym chciała znać odpowiedź - westchnęłam. - Jest tutaj coś jeszcze, coś niedobrego. Mam wrażenie, że jakoś wiąże się z tamtą starożytną świątynią. Ale tak czy siak, Las chroni przed nim ludzi. Urodzonych tutaj i tych, którzy zostali mu przedstawieni jako swoi. Jak

również takich, którzy wpadną na pomysł, by poprosić o ochronę.

- A gdyby pani na to nie wpadła... - porucznik nie dokończył zdania.

- Mam wrażenie, że wówczas skończyłabym jako czyjaś późna kolacja. Oczywiście wymagałoby to pewnych wysiłków ze strony biesiadnika, ale kto wie co za paskudztwo tutaj mieszka?

Całkiem prawdopodobne, że jest zbyt wredne nawet dla maga bojowego. No dobrze, Laurinne, a jak tóra pańskie sprawy? Znalazł pan naszą hafciarkę?

Istotnie, dokładnie tak jak się spodziewałam, chciał zameldować o sukcesie, nie znalazł mnie i uznał to za dostatecznie dobry powód do wszczęcia rabanu. Tajemniczą hafciarką okazała się jedna ze starszych służących, surowa kobieta bardzo szanowana przez czeladź. A raczej nie tyle szanowana, ile po prostu się jej obawiano. Wieść gminna niosła, że miała złe oko, a nawet mogła celowo rzucić na kogoś zły urok, więc ludzie woleli z nią nie zadzierać. Co prawda takich „wiedźm” w każdej wsi było co najmniej z tuzin, ale kawałki układanki pasowały do siebie aż zbyt idealnie. Wiele lat temu kobieta ta była niańką pewnej dziewczynki, która - no co za zbieg okoliczności! - miała na imię Olor a i podobno bardzo kochała swoją wychowankę. Panienska szczęśliwie dorosła, niańka nie była już potrzebna, na pokojówkę wzięli jakąś młódkę, a starsza kobieta objęła kierownictwo nad służącymi.

Niemniej jednak Laurinne dowiedział się, że dziewczyna nie zapomniała o starej niańce, ciągle zapraszała ją do siebie na plotki i obsypywała prezentami.

- No, poruczniku, nie najgorzej - pochwaliłam go. - Moim zdaniem naprawdę niezły wynik, szczególnie dla takiego łamagi jak pan.

Na ten wątpliwy komplement na twarz Laurinne'a wypełzły czerwone plamy, ale nic nie powiedział.

- Przypadkiem nie próbowali zatuczyć tam pana na śmierć? - spytałam. -

Zebrał pan tyle plotek, że pewnie cały dzień siedział w kuchni...

Młodzieniec zrobił się jeszcze czerwieńszy, więc pewnie zgadłam.

- No więc tak: do Zamku przez bramę nie wracamy - zarządziłam. - Niechaj nasi przewodnicy spokojnie pojedą sobie dalej i zameldują, że mnie nie znaleźli, a pan odmówił powrotu i szuka dalej.

- Myśli pani, że uwierzą? - zapytał Laurinne ostrożnie.

- A dlaczego nie? - Wzruszyłam ramionami. - Przecież uwierzyli, że zabłądziłam w Lesie.

Tymczasem pan ma coś nie w porządku z głową, co widać na pierwszy rzut oka, więc jestem przekonana, że nikt się nawet nie zdziwi.

- Tylko czy oni nie wygadają? - Porucznik puścił przytyk mimo uszu i brodą wskazał znajdujących się przed nami towarzyszy.

- Wie pan, w końcu jestem magiem. - Pozwoliłam sobie na lekki uśmiech.

- Nawet nie będą pamiętali, że mnie widzieli. Niestety, będę musiała oddać konia, ale to nic, w końcu to nie tak daleko, więc pójdziemy piechotą.

- Chce pani wrócić przez to tajemne przejście? - domyślił się Laurinne.

- Dokładnie - podsumowałam i już nie mogąc wytrzymać, rzuciłam: - Niechże pan w końcu zostawi te wodze! Kto pana uczył jazdy konnej?

Młodzieniec ponownie zrobił się czerwony jak piwonia, ale nie powiedział słowa i przestał miętosić wodze. Nic dziwnego, że ten jego wierzchowiec był taki nerwowy, ja też bym się na jego miejscu wkurzała, gdyby ciągle mnie ktoś ściągał przy pysku. Zresztą większość wojskowych tak jeździ, dla nich najważniejsze jest, by koń był posłuszny, a to, co on przy tym czuje, to sprawa drugorzędna.

- Już lepiej - skomentowałam. - Poruczniku, ja bardzo pana proszę, niech pan nie męczy zwierzęcia. Jeżeli nie umie pan jeździć konno, proszę zafundować sobie kilka lekcji, to naprawdę nie jest aż tak straszliwy wydatek. Rozumie mnie pan?

Kiwnął głową, w oczywisty sposób niezbyt uszczęśliwiony moimi uwagami. Ale szczerze mówiąc, akurat tym mało się przejmowałam. Jeśli miał zostać moim stałym przybocznym, to czekało go opanowanie jazdy konnej na poziomie wyższym od średniego żołnierskiego. Zresztą tą kwestią mogłam zająć się później, teraz należało zdecydować, w jaki sposób wrócić do Zamku niepostrzeżenie.

Nie bardzo miałam ochotę korzystać z przejścia pokazanego mi przez Olorę. Po pierwsze, dzielił nas od niego kawał drogi, a po drugie, z jakiegoś powodu miałam wrażenie, że wejście tamtędy mogłoby okazać się znacznie bardziej skomplikowane od wyjścia. A zwykle ufałam swoim przeczuciom. Podstawa wschodniego muru również mnie nie urzędziała, ponieważ ten teren był doskonale widoczny z Zamku, a żadne zakłęcie nie uchroni człowieka na otwartej przestrzeni przed przypadkowym obserwatorem. Powrót przez stajnie nie wchodził w grę o tyle, że musiałabym omamić co najmniej kilka albo nawet i kilkanaście osób. A na to nie czułam się na siłach. Pozostawało przejście, które uznawano za zasypane. Fein opowiedział mi o jego przebiegu, więc miałam pojęcie, gdzie się zaczynało. Prowadziło w jakieś zupełnie nieużywane rejony Zamku, a właśnie tam chciałabym się dostać. Natomiast drobiazg w rodzaju gruzowiska nie powinien nastreczyć mi szczególnych problemów. A jeśli nawet, to ostatecznie zawsze można zawrócić i zastanowić się nad inną drogą.

- Niech pan odda konia naszym towarzyszom i ruszamy - poleciłam porucznikowi, widząc w oddali zamkowe wieże. Za chwilę mieliśmy wyjechać na obszar widoczny z murów, a tego wolałam uniknąć.

Porucznik niechętnie posłuchał i dwójka przewodników ruszyła dalej, głośno dyskutując nad durnotą zapalczywego młodzika, który ryzykował własną głową w imię głupio pojmowanego honoru.

Zanim dotrą do Zamku, powinni omówić to we wszystkie strony do tego

stopnia, że będą święcie przekonani, iż nie widzieli mnie na oczy, a Laurinne ze zwykłego oślego uporu został w Lesie i dalej szuka swojej pani. Prościutka sztuczka, ale dosyć pewna, nieraz miałam okazję z niej skorzystać.

W Lesie nadal było gorąco i parno, chyba ten wczorajszy deszcz jednak postanowił spaść dzisiaj. Włosy lepiły mi się do czoła, a koszula nadawała się do wyżęcia. Za moimi plecami ciężko dyszał Laurinne, który właśnie wspinał się na kolejny pagórek i nie wyglądał ani odrobinę lepiej.

- To już niedaleko - dodałam mu otuchy i wskazałam ręką cel wędrówki.
- Teraz zejdziemy do tamtego parowu i powinniśmy trafić na wejście do tunelu.

Porucznik tylko ze zmęczeniem pokiwał głową na znak, że zrozumiał.

Parów okazał się całkiem głęboki. Na wiosnę prawdopodobnie płynęła wtedy prawdziwa rzeka, ale w tej chwili pomiędzy kamieniami sączył się tylko cieniutki strumyczek, a w zasadzie po prostu łańcuszek kałuż. Na pewno nie próbowałabym się z niego napić, ale do ochlapania twarzy nawet i taka woda nadawała się doskonale.

Zbocza parowu zarosły gęstymi krzakami i nawet mając pewność, że gdzieś tutaj znajduje się na poły zawałone wejście do tunelu, można było szukać go do skończenia świata. Nie miałam szczególnej ochoty na marnowanie czasu i zaglądnienie pod każdą gałązkę, w związku z czym po prostu skorzystałam z kolejnej chytrej sztuczki i sprawdziłam solidność otaczających nas ścian. Dwie pierwsze próby okazały się fiaskiem - trafiłam na jakieś stare i porzucone nory, ale jak to mawiają, do trzech razy sztuka.

- No cóż, trochę wysoko... - mruknęłam, patrząc w górę. W tym konkretnym miejscu parów był szczególnie głęboki, a wejście do podziemnego tunelu było położone dość niefortunnie: niemalże w połowie zbocza - tak, że trudno było dostać się do niego z dołu, a i z góry również nie

wyglądało to najlepiej. Miałam wrażenie, że nadeptanie na jeden kamień mogło spowodować obsunięcie pozostałych i zafundowałibyśmy sobie połamanie nóg. -Zdaje się, że od czasów, gdy Fein tu bywał, jar zdążył się znacznie pogłębić!

Gdybyśmy mieli jakąś linę, moglibyśmy wyjść na wierzch, przywiązać ją do jakiegoś drzewa i spokojnie zejść na dół, ale niestety liny w podręcznym bagażu nie posiadaliśmy. Moje umiejętności magiczne też były średnio przydatne - z powietrza się nic nie robi, a pełzające Ilany czy dzika larrika*10*, które po paru manipulacjach mogłyby zastąpić linę, w Lesie nie rosły.

Jednak zauważyłam niedaleko wejścia do tunelu spory kamień, który wydawał się względnie stabilny. Niestety, nie miałam pomysłu, jak do niego dotrzeć. Chociaż w zasadzie... Gdybym mogła sięgnąć do tamtej niewielkiej półki, a z niej przejść na sterczący ze zbocza gruby kawał korzenia...

Faktycznie, w takim wypadku potrafiłabym przeskoczyć na kamień. Półka wyglądała w miarę solidnie, ale sięgałam do niej ledwo koniuszkami palców, i to przy moim wcale niemałym wzroście!

Niestety, podciągnięcie się na nią nie wchodziło w grę. Na czym by tu stanąć... W tym momencie moje spojrzenie padło na Laurinne'a, którego myśli biegły najwyraźniej podobnym torem.

- Panno Naren, podsadzę panią - zaoferował, oparł się plecami o ścianę jaru i splótł palce w kołyskę. - Zapraszam...

- Nie utrzyma mnie pan w ten sposób - przyhamowałam jego szlachetne zapędy. -Jeszcze połamię panu palce... Spróbujmy inaczej. Niech pan przyklęknie.

Uczciwie i szczerze, nie spodziewałam się, żeby ten sposób okazał się dużo bardziej skuteczny.

Porucznik wyglądał jednak na zbyt wątpliwy. Ale, o dziwo, starczyło mu

sił, by wytrzymać moją całkiem solidną wagę, gdy najpierw stanęłam na jego zgiętym kolanie, a potem na podstawionym ramieniu. Nie spodziewam się, by zdołał się wyprostować, ale też nie musiał. Zaimprovizowana podpora nie była wysoka, ale starczyło jej, bym sięgnęła półki, znalazła nowy punkt oparcia i podciągnęła się do góry. Nie spodziewam się, bym przedstawiała sobą przyjemny widok, gdy wspinałam się, czepiając krzaków i sterczących korzeni, ale nie było tu żadnych widzów oprócz porucznika, a jego zdanie niespecjalnie mnie obchodziło.

Półka spełniła moje oczekiwania i nie próbowała zawalić się pod stopami. No dobrze, teraz z łatwością mogłam dotrzeć do upragnionego wejścia, ale jak zwykle pozostawał jeden malusieńki problem do rozwiązania. Nazywał się porucznik Laurinne i jakimś sposobem trzeba było jego również wciągnąć na górę, ponieważ mimo wszystko nie miałam w planach porzucania biedaka w Lesie.

Zresztą z tym problemem łatwo sobie poradziłam: długości mojego paska starczyło, by młodzieniec złapał się jego końca i wspiął na półkę. Okazał się całkiem zwinny, więc poszło jak z płatka, ale nawet jakby nie znalazł oparcia dla nóg, to mogłabym go po prostu wciągnąć.

W tunelu było wilgotno, był o wiele bardziej zaniedbany od przejścia, którym Olorą wyprowadziła mnie do Lasu. Dawno nikt tędy nie chodził, ściany porosły mchem i pleśnią, a gdzieś tam trafiały się nawet białawe psie grzyby. Cóż, jeśli zawał faktycznie okaże się nie do przebycia, cały trud pójdzie na marne. Odpędziłam tę myśl i ruszyłam do przodu, zapalając swój magiczny płomyczek.

Niestety, poruszanie się korytarzem wymagało schylenia głowy. Chyba nawet w czasach dawnej świetności przejście to nie było szczególnie wysokie, a teraz jeszcze bardziej osiadło. Ciągłe odsuwanie jakichś wiszących korzeni i ścieranie z twarzy osypującej się ziemi nie należało do

przyjemności, a strop wyglądał, jakby miał wielką ochotę ostatecznie runąć. Jednak ktokolwiek budował ten tunel, mimo wszystko znał się na swojej robocie. Jakoś to się jeszcze trzymało. Na razie nie zauważyłam również śladów starego gruzowiska, mimo że przeszliśmy już spory kawałek drogi i zgodnie z moimi obliczeniami niedługo mieliśmy dotrzeć na miejsce. Jeśli wierzyć Feinowi, tunel zawalił się gdzieś na jednej trzeciej długości, licząc od Zamku, ale na razie droga była wolna.

„Ciekawe, czy tam w ogóle cokolwiek runęło?” - pomyślałam chmurnie i po raz kolejny bezskutecznie próbowałam znaleźć w otaczających ścianach jakiegokolwiek ślady osuwiska. No cóż, przynajmniej porucznik miał używanie, właśnie ponownie wysforował się do przodu i czujnie rozglądał dookoła w poszukiwaniu potencjalnego niebezpieczeństwa, przed którym mógłby mnie chronić.

- Panno Naren! - nagle usłyszałam stłumione wołanie.

- Co tym razem? - podeszłam bliżej.

- Proszę spojrzeć... - Laurinne wskazał na leżący u swoich stóp przedmiot, który z daleka uznałam za kamień.

Światła mojego płomyka-towarzysza w zupełności starczyło, by rozpoznać starą czaszkę.

Zresztą... wcale nie aż tak starą, nie miała chyba nawet stu lat.

- Hm... - Rozejrzałam się dookoła na tyle, na ile pozwoliła mi ciasnota tunelu. - Aha...

A tu mamy resztę kości. Całkiem postawny człowiek, Laurinne, niech pan spojrzy.

Istotnie, w najlepszym razie sięgałabym właścicielowi szkieletu do ramienia. A tunelem najpewniej poruszał się na czworakach. Albo po prostu pełzył - dostrzegłam, że jedna z kości nóg była złamana. Natomiast w czaszce widniała solidna dziura. Nigdzie w okolicy nie znalazłam żadnej broni,

jedynie strzępki kiedyś dosyć bogatego, a teraz zbutwiałego ubrania. Ciekawostka! Wychodziło na to, że kimkolwiek był, próbował uciec podziemnym przejściem, ale prześladowcy dorwali go i bez gadania poczęstowali czymś ciężkim w głowę. Możliwe nawet, że nie śmiertelnie, po czym zostawili konającego w tej norze. Ale jak to się stało, że taki wielkolud nie walczył? Gdyby wpadł na taki pomysł, to w ciasnym tunelu mógłby zwojować naprawdę wiele.

- Kim on jest? - szeptem zapytał Laurinne.

- Poruczniku, nie wiem więcej od pana! - burknęłam. - Kolejna tajemnica Zamku-Nad-Lasem, a ja nie mam najmniejszej ochoty na grzebanie w niej. Ciekawi mnie natomiast co innego. Nasz uprzejmy gospodarz jest święcie przekonany, że ten tunel zawalił się jeszcze za czasów jego dzieciństwa. Stojąc tutaj, widzimy, że nie jest to zgodne z prawdą. Ale przecież w Zamku jest sporo dzieci, jak to się stało, że żadne z nich nigdy nie spróbowało zbadać, czy faktycznie nie da się tędy przejść?

- Może zamurowali wejście z tamtej strony, żeby dzieci nie próbowały sprawdzać i przypadkiem się nie skaleczyły? - zasugerował mój towarzysz. Widać było, że w towarzystwie szkieletu czuje się trochę nieswojo. Dziwny on jakiś, kompletnie nie boi się świeżych trupów, nie przejmuje na widok krwi, a w takich sytuacjach jak ta... - W sensie, zamurowali pod jakimś pretekstem. A ponieważ do Lasu dzieci pewnie samych nie puszczają, nie miały możliwości sprawdzić od drugiej strony.

- Brzmi prawdopodobnie - uznałam. Ale w tej sytuacji czekało nas walnięcie nosem w jakąś kratę albo, co gorsza, w kamienny mur. - Ciekawa jestem, kim był ten trup i dlaczego zostawili go, by tu zgnił, na dokładkę zamykając w tym celu cały tunel?

- Wątpię, żeby jakiś miły człowiek - mruknął Laurinne. - Panno Naren, on mi się nie podoba...

- Czy panu naprawdę się wydaje, że ja tak bardzo przepadam za nieboszczykami sprzed półwiecza? - mruknęłam. Ale coś w słowach porucznika jednak było. Ja również czułam się nieswojo na widok szczątków człowieka, który umarł śmiercią daleką od lekkiej. I mimo że kompletnie nie rozumiałam, co takiego przerażającego może być w starym szkielecie, ani nie wierzyłam w bajki o tym, że tacy jak on potrafią wstać i naprzykrzać się żywym, absolutnie nie miałam ochoty zostawiać go za plecami. No, ale jak taki szkielet miałby wstać? Przecież po prostu się rozleci! - Niech pan mi zrobi miejsce...

Przykucnęłam i dokładniej obejrzałam szczątki. Ciekawe, na kościach nie było żadnych śladów zębów, a przecież drobne ścierwojady powinny skorzystać z takiej uczty... Na całkiem niezłe zachowanym skórzanym pasie trupa nie znalazłam nic ciekawego, rzemień jak rzemień. Obuwia brakowało, co naprowadzało na myśl, że delikwent zakończył życie boso. Bo jeśli tajemniczy prześladowcy nie zdjęli z jego szyi grubego ozdobnego łańcuszka, to dosyć wątpliwe, by skusili się na parę butów!

A skoro już mowa o łańcuszku... Pociągnęłam, a on z łatwością zsunął się z kręgów szyjnych.

Wyglądał na złoty, ale interesował mnie nie tyle sam łańcuszek, ile przymocowany do niego wisiorek.

Dosyć toporny, najzwyklejszy w świecie okrągły kawałek metalu. Wytarłam przybrudzony krążek o spodnie i przywołałam bliżej mój płomyk, zauważając przy okazji, że porucznik jest blady jak prześcieradło - moje grzebanie przy tajemniczym szkielecie wyraźnie naruszało spokój jego ducha.

Uważniej spojrzałam na wisiorek, po czym przeciągle gwizdnęłam. Miałam dobry powód do zdziwienia!

- Laurinne, niech pan spojrzy - powiedziałam, wstając i próbując nie

walnąc głową o niski strop.

- Bliżej, bliżej, niech się pan nie boi, on nie gryzie.

Porucznik posłusznie podszedł do mnie, ale nie wykonał żadnego ruchu, by wziąć błyskotkę z mojej ręki. Po prostu stał, wyciągając szyję i unosząc coraz wyżej brwi ze zdziwienia.

- Ale przecież to są... - zaczął, ale urwał, patrząc na mnie okrągłymi oczyma.

- Dokładnie te same znaki, które widzieliśmy na kamieniu ofiarnym - dokończyłam za niego.

- Laurinne, to wszystko mi się nie podoba. Fein powiedział, że przejście zaważyło się bardzo dawno temu, gdy miał około dziesięciu lat. Czyli coś koło pięćdziesięciu lat temu. Sądząc z wyglądu tego tu truposza - machnęłam ręką w kierunku szkieletu - leży w tym miejscu mniej więcej od tego właśnie czasu. Stanowczo nie umarł śmiercią naturalną, czyli załatwili go mieszkańcy Zamku. Ale z jakiegoś powodu zostawili tutaj niepogrzebanego, nawet nie wyciągnęli na zewnątrz, a potem porzucili to przejście. Wygląda na to, że ojciec reie Feina wiedział coś ciekawego... Szkoda, że nie przekazał tego synowi!

- Może chciał, ale nie zdążył? - odezwał się porucznik. - Służące mówiły mi, że stary pan umarł niespodziewanie, w chwili gdy jego syn nie miał jeszcze dwudziestu lat.

- Też ciekawostka - wycedziłam przez zęby. - Umarł i nie zdążył opowiedzieć dziedzicowi o czymś, o czym tamten koniecznie powinien wiedzieć... Chyba że dziedzic wie, ale nie ma zamiaru zdradzać obcym rodzinnym tajemnic. No dobrze, Laurinne, ruszamy dalej. Myśleć można również, idąc.

W Zamku działo się coś niepokojącego. Zaczęło się nie wczoraj, ani nawet nie przedwczoraj i było w jakiś sposób powiązane z dziwnymi

znakami na kamieniu przy strumyku, z haftem, z tym tu wisiorkiem... Jednym słowem - teraz byłam tego pewna - z dawno temu zapomnianą świątynią, znajdującą się pod wzgórzem. Ciekawe, w co się tym razem wpakowałam? A tak fajnie się zapowiadało: prościutkie morderstwo z zazdrości!

W zamyśleniu prawie wpadłam na ścianę. Aha... To mi wyglądało na wyjście z tunelu od strony Zamku, zgodnie z przypuszczeniem Laurinne'a solidnie zamurowane. A właściwie skąd wzięło się moje początkowe przekonanie, że zewnętrzne wejście nie zostało zamknięte? Tamten wielgachny głaz jak najbardziej mógł kiedyś zasłaniać otwór, akurat pasował rozmiarami. Jeżeli przedtem tunel otwierał się na dno parowu, to kilku dobrze zbudowanych mężczyzn bez większego trudu mogło przyturlać ten kamyczek... A następnie, gdy całymi latami deszcze wymywały ziemię, a zbocze zaczęło się osuwać, pod własnym ciężarem oderwał się i spelzł w dół, koniec historii. Cóż, brzmiało na tyle prawdopodobnie, że faktycznie mogło tak być...

- I co dalej? - zapytał Laurinne za moimi plecami. Sądząc z tonu jego głosu, nie czuł się w podziemiach jak u siebie w domu.

- Będziemy się uczyć przechodzenia przez ściany. - Wzruszyłam ramionami. Nawet nie musiałam się odwracać, by wiedzieć, że szczeka porucznika właśnie walnęła o ziemię. -Niech pan się cofnie.

Oczywiście nie miałam najmniejszego zamiaru próbować przechodzenia przez ścianę. Ba, wątpiłam, by ktokolwiek to potrafił, mimo że od różnych ludzi słyszałam, że widzieli „wielkich” mistrzów przy takiej robocie. Najpewniej byli to zwykli jarmarczni kuglarze albo magowie-iluzjoniści. Bo mag bojowy może przejść nawet i przez mur obronny... zostawiając za sobą dziurę. Nie miałam najmniejszej ochoty na taki wysiłek, tym bardziej że hałas prawdopodobnie zwabiłby tu wszystkich lokatorów Zamku. Tak więc

poszłam łatwiejszą drogą. Położyłam ręce na murze i spróbowałam wyczuć, jakiej jest grubości. Wyglądało na to, że niezbyt gruby, czyli o jeden problem mniej.

Moje wyliczenia okazały się jak najbardziej słuszne. Nie ruszałam samych kamieni, działając jedynie na łączącą je zaprawę. Może i była mocna, ale wobec magii niewiele to znaczyło, więc po chwili po prostu zmieniła się w piasek.

- Laurinne! - zawołałam. - Niech pan tu podejdzie, pańska kolej. Proszę rozebrać tę ścianę. Ale ostrożnie, wołałabym, żeby się pan nie zranił.

Pierwsze dwa kamienie z górnego rogu poddały się nie bez trudu, nawet bez zaprawy nieźle do siebie pasowały. Ściana zbudowana została solidnie. Potem praca nabrała tempa i wkrótce w ścianie pojawiła się dziura wystarczająca, by mógł przez nią przejść człowiek. Za ścianą dalej ciągnęło się przejście podziemne. Po kilku zakrętach, dokładnie tak jak na to liczyłam, tunel wyprowadził nas na tyły Zamku. Wyjście okazało się pomysłowo schowane, a znajdowało się w jednej ze studni, których na tylnym dziedzińcu było kilka. Ta jako jedyna była sucha, a w kamienną obmurówkę wbito zardzewiałe metalowe uchwyty, które miały służyć jako schodki.

ROZDZIAŁ 13

Ucieczka

Po wyjściu z zatęchłego podziemia powietrze wydawało się czyste jak nigdy, mimo że dziedziniec pachniał tak samo jak zawsze: praniem, jedzeniem, chlewem, zwykle spotykaną w większych skupiskach ludzkich mieszanką zapachów.

Otrzepałam ubranie z kurzu i chwilę się zastanowiłam. Miałam obmyślane dwa warianty działania, a teraz należało wybrać lepszy z nich. Po chwili namysłu podjęłam decyzję i zarządziłam:

- Laurinne, chodźmy. Posłuchamy sobie, co dzieje się w Zamku. Tylko niech pan nie tupie i nie gada, zrozumiano?

- A jeśli ktoś nas zobaczy? - Jego sceptycyzm był całkiem usprawiedliwiony.

- Nie zobaczy - skwitowałam krótko.

Dowolny średnio kumaty uczeń maga powie, że kompletna niewidzialność jest niemożliwa. Ale jak najbardziej można schować się przed ludzkim wzrokiem. W tym celu należy albo skutecznie udawać jakiś przedmiot z otoczenia, albo po prostu zasugerować ciekawskim, że powinni patrzeć gdzie indziej. Pierwsza opcja wymaga stania w kompletnym bezruchu i niewydawania dźwięków, których wszak nie wydaje krzesło czy stoliczek.

Należy również być przygotowanym na to, że ludzie na widok powiedzmy drzewa będą odpowiednio je traktowali. Na przykład mogą podejść za potrzebą albo nawet z siekierą.

Druga metoda jest trudniejsza, ale daje większą pewność. Ludzie patrzą na ciebie, lecz nie zauważają. Ale ma to swoje wady, na przykład takie maskowanie się w dużym tłumie wymaga wielkiego wysiłku i ktoś tak czy siak może nas zauważyć. Tym razem musiałam tylko przejść niezauważona korytarzami niezbyt zaludnionego Zamku, a w tym celu drugi ze sposobów nadawał się idealnie.

Rozpoczęliśmy od stajni, ale akurat tam nie działo się nic ciekawego. Chłopcy stajenni kłócili się, kto otrzyma należącego do porucznika gniadosza i ostatecznie doszli do wniosku, że najpewniej reie Eler Fein. Laurinne za moimi plecami sapnął z rozpaczą i dostał ode mnie kuksańca w bok.

Szczęśliwie w stajni nawet bez nas panował spory gwar, więc nikt niczego nie zauważył.

W strażnicy przy bramie również było dość nudno. Żołnierze grali w kości, opowiadali sprośne kawały i przeklinali. O nas, zaginionych w Lesie, wspominali wyłącznie pod kątem „no i po problemie”. Specjalnie mnie to nie zdziwiło, ostatecznie miejscowi niezbyt przepadali za obcymi.

Było im trochę szkoda porucznika, ale to z racji jego wyjątkowo młodego wieku.

- Tutaj też nic nowego... - mruknęłam pod nosem. Niemniej jednak miałam dziwne przeczucie, które nie pozwalało mi się uspokoić, chociaż nie rozumiałam go do końca. -Chodźmy dalej.

Zdawało mi się, że spędziliśmy na łożeniu po korytarzach całą wieczność. W tym czasie udało mi się niezauważalnie ściągnąć w kuchni coś do jedzenia i w ten sposób mogliśmy zjeść z porucznikiem skromny obiad w jakimś zakamarku.

Już straciłam nadzieję, że dowiem się czegośkolwiek pożytecznego, ale, o dziwo, w końcu szczęście się do mnie uśmiechnęło. W jednej z pustych galerii usłyszałam czyjeś głosy, więc wymierzyłam porucznikowi kolejnego kuksańca, by przestał sapać, i nadstawiłam uszu.

- Przepraszam, byłem dla ciebie niemiły - powiedział mężczyzna i wówczas rozpoznałam Aleina Feina. - Nie chciałem...

- To nic... przecież rozumiem! - Oloro, dokładnie tak jak można się było spodziewać! - Też powiedziałam ci wiele takich rzeczy, których teraz żałuję... Ale, Alein, zrozum, to tak bolało, tak... - Urwała z łkaniem, po chwili jednak ciągnęła dalej stłumionym głosem: - Przecież zawsze byliśmy razem, od dzieciństwa. Przyzwyczaiałam się, by uważać cię za brata... tyle że... tyle że... - Znów szloch.

- Potem zrozumiałam, że braci się tak nie kocha, ale już było za późno... ty pokochałeś inną... a ja pozostałam dla ciebie młodszą siostrzyczką?

- Oloro... - sądząc po tonie, to wyznanie było dla Aleina sporym zaskoczeniem. Chyba rzeczywiście nie rozpatrywał towarzyski dziecięcych zabaw jako potencjalnej ukochanej i jej przemówienie wyprowadziło go z tego stanu permanentnej rozpacz, w którym znajdował się od chwili śmierci Raity. - Oloro...

- Przecież ja cię nie obwiniam... - Panna bardzo niedystyngowanie pociągnęła nosem. - Tylko... ty tak kochałeś Raitę, a ona... Ach, teraz to już i tak za późno!

- O co ci chodzi? - Alein cały się zjeżył.

- O nic... - Zabrzmiało to cokolwiek nieprzekonywająco. Niezła z tej małej aktorka, w tej chwili każdy by uwierzył w jej szczerość, nie tylko człowiek pogrążony w żalobie.

- Oloro! Co chciałaś powiedzieć o Raicie? - w jego głosie zabrzmiała stal. Dziewczyna wykręcała się jeszcze chwilę, po czym zaczęła w końcu mówić,

zniżywszy głos. Porucznik u mego boku przestał nie tylko sapać, ale chyba w ogóle oddychać, bojąc się przegapić choćby słowo.

- Dowiedziałam się przypadkiem... - Olorą ponownie rozpaczliwie chlipnęła. - Przecież sam pamiętasz, jak ona się bała Lasu. Najpierw myślałam, że to po prostu dlatego, że była obca i się jeszcze nie przyzwyczaiła, ale potem...

- Mów w końcu, o co ci chodzi! - Alein wyraźnie tracił cierpliwość.

- Ona... ona modliła się do jakichś dziwnych bogów - te słowa wypowiedziane zostały prawie szeptem. - Zawsze ukradkiem... Widziałam ją raz... Oj, nie będę o tym mówić!

- Jak już zaczęłaś, to chcę usłyszeć wszystko do końca - rozkazał chłopak i Olorą (czemu mnie to nie zdziwiło?) usłuchała.

- Na brzegu rzeki jest taki kamień. Pamiętasz może: wielki, czerwony? Kiedyś lubiłam tam haftować, w słońcu bardzo dobrze się na nim siedziało... Teraz już tam nie chodzę!

- Co ty takiego widziałaś? - W Aleinie wyraźnie wszystko się już gotowało.

- Raita... Raita na tamtym kamieniu zabiła gołębia... - wyszeptała dziewczyna. - Pamiętasz, jak zginął z gołębnika ten najlepszy, pstrokaty? Wszyscy wtedy myśleli, że go czarnogon*11*ukradł... To nie był żaden czarnogon! - Wypełniony uczuciem monolog wchodził na wyższe tony. - I... potem sobie pomalowała twarz krwią... Pomyślałam, że jak mnie zauważy, to nie ujdę z życiem! A jeszcze cały czas pytała, czy w okolicy nie ma podobnych kamieni. Pewnie uznała, że poszuka w Lesie, ale sam wiesz, że Las...

Jak dla mnie Olorą gadała kompletne bzdury, ale Alein jej chyba uwierzył.

- Jaki kamień? - zapytał ostro. - Pokażesz mi?

- Nie, nie...! - Zgodnie z kanonem sztuki aktorskiej mała kłamczucha teraz powinna desperacko kręcić głową. - Nie wrócę tam! Za nic nie wrócę i ty też nie powinienes!

- Muszę sam sprawdzić, o co w tym wszystkim chodzi - rzekł z uporem. - Dziękuję, że mi powiedziałaś...

- Alein! - krzyknęła Olor a ledwo co zdążyłam przycisnąć się plecami do ściany, bo zawołany wyminął mnie szybkim krokiem. Sądząc z wyrazu twarzy, wierzył i zarazem nie wierzył w te rewelacje. Z jednej strony, wydawało mu się pewnie, że towarzyska jego dziecinnych zabaw nie mogła wymyślić tak potwornego kłamstwa. Z drugiej, w takim razie musiałby uwierzyć w przerażającą historię o dziewczynie, którą kochał...

Ciekawe, co planował znaleźć przy tym kamieniu? W dodatku do zachodu słońca pozostało nie tak znów wiele czasu - co niby chciał tam znaleźć w ciemnościach? Nie zdążyłam zastanowić się nad tematem głębiej, ponieważ dwa kroki ode mnie zaszeleściły spódnice Olory. Również się dokądś śpieszyła, a na jej twarzy malowała się determinacja.

„Szybko za nią” - poleciłam porucznikowi wymownymi gestami.

- A on? - spytał bezgłośnie, samymi wargami.

„Potem!” - machnęłam ręką niecierpliwie.

Droga nie była daleka - panna udała się do swoich apartamentów. Niestety, zbyt szybko zatrzasnęła za sobą drzwi i musieliśmy ograniczyć się do podsłuchiwania od zewnątrz.

- Uwierzył mi, uwierzył! - oznajmiła od progu, pewnie ledwo powstrzymując się od tańczenia z radości. - Poszedł do kamienia!

- Dobra dziewczynka... - w niskim kobiecym głosie brzmiała pochwała. - Poszedł sam?

- Tak, nianiu, samiuteńki!

Spojrzeliliśmy z porucznikiem po sobie. No proszę, tajemnicza hafciarka

też się znalazła...

- W takim razie zbieraj się - rozkazała Olorze.

- Nianiu... - Olorze nieoczekiwanie straciła cały swój radosny humor. - A on... Na pewno mu się nic nie stanie?

- Nic a nic - odburknęła zapytana. - Przeżyje twój ukochany, nie martw się. I będzie cały twój, możesz się z nim miłować, ile dusza zapagnie.

- A dlaczego... - Dziewczyna zawahała się. - Dlaczego to musi być Fein? I to koniecznie Alein, nie Eler?

- Dlaczego Fein? - Służąca powtórzyła pytanie, a ja nadstawiłam uszu. - Dlatego, że to ich przodek winien tego, co uczynili reie, więc żeby go uwolnić, nada się tylko krew Feina, mężczyzny z rodu Fein. Do tego nieżonatego. Teraz rozumiesz?

- Rozumiem... - mruknęła Olorze. - To też mam zabrać?

Za zamkniętymi drzwiami trwała krzątanina. Bardzo nie spodobał mi się sposób, w jaki służąca wypowiedziała słowo „reie”. Co za reie, o jakiego pana mogło chodzić? Bo przecież nie o reie Feina.

Najpewniej miała na myśli to okropieństwo, które do tej pory powstrzymywał Las i co chodziło w nocy po okolicy. Bardzo wątpiłam, że do jego uwolnienia wystarczy kilka kropel krwi Aleina Feina.

Najpewniej mężczyzna miał zostać złożony w ofierze, pradawni bogowie są zachłanni. Ba, będziemy mieli szczęście, jeśli skończy się tylko na nim.

Uczciwie mówiąc, mało obchodziło mnie, jak nazywało się bóstwo, które w starożytnych czasach zostało uwięzione przez dawnego pana tego Zamku. O wiele bardziej chciałabym wiedzieć, jak nie dopuścić do jego obudzenia. Chyba dzisiejszy dzień był jakiś szczególny, skoro stara służąca właśnie tę porę wybrała na składanie ofiary.

Hm... ale za to teraz wszystko do siebie pasowało. Zabili Raitę, żeby nie dopuścić do ślubu - skoro Alein musiał koniecznie pozostać w stanie

kawalerskim. Dziwne gusta miało to bóstwo, ale nie moja to sprawa... Olorą wplątała się w to tylko dlatego, że obiecano jej chłopaka na własność. Czyli niewielu wyznawców pozostało w okolicy, skoro musieli korzystać z usług kompletnie obcej dziewczyny. Zresztą grupa od samego początku musiała być bardzo nieliczna, inaczej wcześniej czy później ktoś by ich wykrył. Jak na przykład pięćdziesiąt lat temu zdemaskowano tego wielkoluda,

który na zawsze pozostał w podziemnym tunelu. Może i on przygotowywał się do złożenia podobnej ofiary, ale to już były czyste spekulacje. Pewnie ktoś odkrył jego plany, on spróbował uciec, ale nie zaszedł daleko. Mogło też okazać się, że był krewnym tej służącej.

- Szybko! - rozkazałam szeptem. - Do strumienia...!

Teraz należało się pośpieszyć, by zdążyć na miejsce przed Olorą i jej niańką. Nawet jeżeli skorzystają z podziemnego przejścia, to nie tego zaczynającego się w stajni - za duże ryzyko, że ktoś je zauważy. Tak że najpewniej wyjdą do Lasu i będą musiały iść dookoła. Ale my nie musieliśmy bać się cudzych spojrzeń, więc wróciliśmy do stajni i odbyliśmy długą wycieczkę zakurczonym przejściem, która zakończyła się na brzegu strumienia. Niestety, do właściwego miejsca trzeba było przejść jeszcze kawałek z prądem.

I wtedy okazało się, że pomyliłam się w szacunkach. Z Zamku musiało prowadzić jeszcze jakieś przejście nad strumień, i to krótsze od naszego, bo cała trójka miejscowych już była na miejscu, koło wielkiego kamienia.

Czerwonawa tarcza słoneczna właśnie kryła się za horyzontem, ale wciąż jeszcze dawała dość światła, więc doskonale widzieliśmy przebieg wydarzeń i chwilowo sytuacja nie wyglądała najlepiej.

Służąca ruchami zdradzającymi doświadczenie związała Aleina jak cieleń na ubój i załadowała na kamień. Najwyraźniej ominęło nas, jak dała mu czymś ciężkim po głowie, bo w tej chwili był nieprzytomny. Olorą stała obok

z jakimś zawiniątkiem w rękach. Gołym okiem widać było, że strasznie martwi się o ukochanego. Moim zdaniem niebezpiecznie.

Ciąg dalszy niewiele różnił się od wielokrotnie przeze mnie widzianych nabożeństw w innych regionach kraju. Tyle że tam na ofiary dla bogów i duchów przeznaczano zwierzęta, a nie ludzi.

Służąca stanęła przed kamieniem, wyciągnęła z pakunku Olorę niepokojąco solidny nóż z zakrzywionym ostrzem i zaczęła śpiewną recytację, zwracając się w stronę wzgórza, pod którym podejrzewałam obecność świątyni. Nie rozumiałam słów, ale jak najbardziej potrafiłam wyczuć emanującą z nich mroczną moc. Cokolwiek ta kobieta chciała wywołać, było bardzo starożytne i bardzo niebezpieczne...

I w tym miejscu ponownie popełniłam błąd! Nie wiem, czemu założyłam, że rytuał będzie długi i zdążę obmyślić jakąś strategię, ale się przeliczyłam: służąca błyskawicznie zakończyła przemowę i podniosła nóż...! Nie miałam czasu na wahania - posłałam w jej kierunku ładunek energii wystarczający, by zwalić z nóg byka. Ale ona zaledwie się zachwiała! Nóż ruszył w dół, Olorę, która w końcu zrozumiała, że odrobina krwi nie wystarczy i jej Alein za chwilę umrze, wrzasnęła rozdzierająco. W drugi ładunek wpakowałam całą dostępną moc, ale ledwo zdołałam trochę odepchnąć kobietę od ołtarza. Nóż trafił Aleina, przebijając mu ramię. Olorę dostała rykoszetem mego ciosu i upadła na ziemię, chyba tracąc przytomność. Na szczęście ból otrzeźwił ofiarę: Alein zaczął się miotać i stoczył z kamienia. Niestety, związane kończyny nie pozwoliły mu na podjęcie dalszych działań.

Laurinne rzucił się mu na pomoc, ale w porę złapałam go za ramię. Było już za późno - krew trafiła na ołtarz i mimo że Alein nadal żył, nawet ta odrobina wystarczyła, by tajemniczy „reie” się przebudził.

Nawet ktoś całkowicie pozbawiony mocy magicznej nie mógł przegapić takiego przedstawienia: wzgórze potężnie zadrżało, a ołtarz słabo, ale

dostatecznie przerażająco rozjaśnił się od wewnątrz karmazynowym światłem. Wiatru nie było, ale wydawało się, że otaczające nas rośliny uginają się pod porywami niewidzialnego wichru. Kobieta przy ołtarzu uniosła ramiona i raz za razem powtarzała jakieś słowa, chyba przyzywające jej pana. Potem zerwała coś z szyi - domyślałam się, że byt to wisiołek identyczny jak ten, który znaleźliśmy przy szkielecie w podziemiach - i rzuciła wprost na ołtarz. W niebo wystrzelił słup światła brudnoczerwonego koloru, strumień spienił się, a Las zaszeleścił jakby z przestachem. Ziemia pod naszymi nogami wyraźnie drżała, a ja miałam wrażenie, że Zamek zaczął powoli przechylać się na jedną stronę.

Prawdopodobnie przodkowie Feina wiedzieli, jak wezwać na pomoc siły Lasu. Niestety, ojciec obecnego pana Zamku-Nad-Lasem zmarł, zanim przekazał tę wiedzę synowi, czyli jego wnuk również był w obecnej sytuacji kompletnie bezradny. Nawet gdyby nie krępowały go sznury, mało prawdopodobne, by Alein zdołał cokolwiek zdziałać.

Ja również niewiele mogłam, chociaż nie to, żebym nie próbowała. Ale mojej mocy w oczywisty sposób nie wystarczało - co może zrobić zwykły człowiek potężnemu starożytnemu bóstwu, wydostającemu się z wielowiekowego więzienia? Moje próby opanowania wyrywającej się na zewnątrz cudzej mocy przeszły kompletnie niezauważone. A właściwie zostałam zauważona i potraktowana tak, jak człowiek traktuje uciążliwego komara.

Wprasowało mnie plecami w urwisko, po czym osunęłam się na ziemię. W oczach mi pociemniało, czułam, jak z nosa strumieniem leci mi krew.

„A wszystko zaczęło się od banalnego morderstwa...!” - przyszło mi do głowy ni stąd, ni zowąd.

- Panno Naren, panno Naren...! - Laurinne trząśł mnie za ramiona, nie pozwalając, bym ostatecznie straciła przytomność. Twarz miał podrapaną,

jak gdyby przeszorował nią po ziemi. Ale innych uszkodzeń nie zauważyłam.
- Co to jest?!

- Żebym ja wiedziała! - stęknęłam. - Nieważne, poruczniku, zaraz będzie po nas! Niech pan się schowa, a może ocaleje!

Chociaż wydawało się oczywiste, że Laurinne nie będzie nawet próbował uciekać.

Jakoś stanęłam na nogach i szarpnęłam za kołnierz koszuli - brakowało mi powietrza. Zerwał się wiatr. Skręcał się wokół ołtarza w wielką trąbę powietrzną, podświetloną sinawoczerwonym blaskiem, przypominającym kolor nieświeżego mięsa.

Moja ręka sama zacisnęła się na garści amuletów, które nosiłam na szyi. Przeważnie nie nadawały się kompletnie do niczego oprócz wywoływania wrażenia. Zresztą tutaj nawet prawdziwy mag bojowy by sobie nie poradził. Gdzie tam, nawet dziesięciu magów! Czułam się niesamowicie głupio, umierając w ten sposób!

Złapałam w garść kilka błyskotek, ile zdołałam zgarnąć, zerwałam sznurki, po czym nieoczekiwanie dla siebie samej wzięłam zamach i cisnęłam je w tornado. O dziwo, wichur na sekundę ucichł, trąba powietrzna jakby się zatrzymała, a następnie zaczęła wirować znowu, lecz już o wiele wolniej. Gdzieś wysoko narastał ciężki huk... Co ja takiego miałam w tych wisiorkach?

„Smoczy prezent! - olśniło mnie nagle. - Czyżby...?”

Czyżby Garresz coś przeczuwał? Miałam pełną świadomość, że jego rasa wiedziała bardzo wiele. Ale umiejętność przewidywania przyszłości... Zresztą dlaczego nie? Co my w końcu wiedzieliśmy o smokach?

Huk stawał się nie do wytrzymania i nawet szalona kobieta przy ołtarzu próbowała zasłaniać uszy rękoma. Ja również byłam tego bliska, ale w tym momencie niebo spadło nam na głowy...

No dobrze, niebo nie spadło, ale mimo to wrażenie końca świata było jak najbardziej kompletne.

Wiatr nasilił się tak, że nawet wiekowe drzewa w Lesie się uginały. Zanim zwiało mnie jak źdźbło trawy, upadłam na ziemię, zakrywając głowę rękoma, a Laurinne nie miał lepszego pomysłu, niż zwalić się na mnie, próbując osłonić własnym ciałem. Idiota -oczywiście, że nic z tego nie wyszło...

Gdy było już po wszystkim, wielokrotnie żałowałam, że nie obejrzałam sobie tego w całej okazałości. Ale tam, na miejscu, po prostu miałam inne priorytety. Dokładnie pamiętam, że wszystkie moje myśli poświęcone były pozostaniu przy życiu, a losy świata wydawały się mało istotnym drobiazgiem.



Cisza... Wycie wichury umilkło, odważyłam się oderwać głowę od ziemi. Ołtarz ofiarny przemienił się w kupę gruzu, wzniesiony w powietrze kurz opadł, a nad Lasem rozciągało się czyste niebo, na którym właśnie zaczynały pojawiać się pierwsze gwiazdy. Chyba straciłam przytomność na dość długo...

- Laurinne, jest pan cały? - wychrypiałam, strząsając z siebie porucznika, który nie dawał oznak życia.

- Chyba tak... - odparł niepewnie po dłuższej chwili, gdy już wytarł oczy i skończył kasłać.

- Panno Naren, co to było?

- Nie mam zielonego pojęcia... - burknęłam i otrząsnęłam się, zezując w kierunku nieba. Po powrocie do domu trzeba będzie spróbować skontaktować się z Garreszem i wyjaśnić, co tu się stało! I skąd już kilka miesięcy temu

wiedział, że los rzuci mnie w te okolice! - Niech pan sprawdzi, jak się ma Alein.

O dziwo, potomek Feina żył, mimo że był nieźle poturbowany. Odrzuciło go na bok, pod osłonę urwiska. Rana na ramieniu okazała się płytka. Nieźle poharatał się o kamienie, ale jego życiu nic nie zagrażało. Olorą miała dużo mniej szczęścia - przy upadku trafiła skronią na kamień... dokładnie tak jak biedna Raita. Po jej służącej prawie nic nie zostało - wyglądało to tak, jakby magiczne tornado rozsmarowało ją po okolicy.

Tymczasem w Zamku nastąpiło jakieś poruszenie, ktoś krzyczał coś o pożarze, kto inny domagał się natychmiastowego otwarcia bramy. Jak to zwykle bywa, publiczność ocknęła się dopiero, gdy było po wszystkim. Po kwadransie - akurat zdołałam wypluć cały zebrany w ustach piasek oraz jakoś się pozbierać, w czasie gdy Laurinne próbował ocucić Aleina - na zboczu pojawił się cały tłum z pochodniami, z Wergerem Feinem na czele. Nad Olorą rozpaczliwie płakała jakaś kobieta, pewnie jej matka, pan na Zamku rzucił się w kierunku syna, sprawdził, że żyje oraz jest względnie cały, po czym podszedł do mnie.

- C-co tu się stało? - wydukał z pewnym trudem.

- Ot, drobiazg... - odparłam ze zmęczeniem, próbując od nowa zapleść potargany warkocz. Nic mi z tego nie wychodziło, więc ostatecznie dałam sobie spokój. - Niewielki prezent z przeszłości.

Swoją drogą, znalazłam mordercę Raity. Tu leży - wskazałam na Olorę. - Chociaż jeśli mam być sprawiedliwa, to była tylko trybikiem w planie kogoś innego.

- To niemożliwe! - Fein potrząsnął głową. - Jak to w ogóle...

- Może poczekajmy z wyjaśnieniami - przerwałam mu. Czułam się obolała na całym ciele, jakby pobito mnie pałką, i najbardziej chciałam paść na jakąś mniej więcej równą powierzchnię i zamknąć oczy, by świat w końcu

przestał się kołysać. - Wszystko panu opowiem, ale później... I proszę tu nic nie ruszać.

Oszacowałam spojrzeniem odległość do Zamku i zrozumiałam, że pokonanie jej w moim obecnie opłakanym stanie zajmie mi dużo czasu. Mogłam się pobawić w samouzdrawianie (na oczach kilkudziesięciu obcych ludzi), ale żeby odzyskać siły -potrzebowałam siły i tak kółeczko się zamykało.

Eler Fein chyba zauważył, że nie wyglądałam najlepiej, i oddelegował kilku postawniejszych chłopaków do pomocy. Jednak Laurinne ich do mnie nie dopuścił - sam podał mi szczupłe, ale, jak już zdążyłam się przekonać, bynajmniej nie wątle ramię. I tak razem pokuśtykaliśmy na szczyt wzgórza.



Doszłam do siebie dopiero następnego dnia koło południa. Zostałam zdrowo poturbowana, a do tego wykorzystałam sporo mocy. Miałam szczęście, że po spotkaniu z tym całym „reie”, jakkolwiek by nie miał na imię, w ogóle pozostałam przy życiu.

Werger Fein wraz z synami czekał na mnie w gabinecie. Zauważyłam, że Alein do reszty otrząsnął się z apatii i teraz wyglądał jak człowiek, który poniósł ciężką stratę, ale próbuje żyć dalej.

Jeżeli odczuwał jakiś ból z powodu odniesionej rany, to nie było tego po nim widać. Tymczasem Eler wyraźnie czuł ulgę, że starszy brat doszedł do siebie i może z powrotem podjąć obowiązki. Miałam też wrażenie, że Werger Fein był bardzo przestraszony, ale panował nad sobą.

- No dobrze, panno Naren, czy teraz może nam pani opowiedzieć, co się stało? -zapytał, ledwo przekroczyłam próg. - Czujemy się jak dzieci we mgle!

- Widzę - odparłam i bez zaproszenia usiadłam w fotelu, niestety, nogi

nadal odrobinę się pode mną ugiwały. - A przy okazji, co panowie zrobili z moim porucznikiem?

- Pewnie jest w swoim pokoju - odrzekł gospodarz.

No dobrze, zajrzę do niego później. On też oberwał, więc w sumie nie zaszkodzi, jeśli chwilę poleży w spokoju.

- Dobrze. Nie mam siły na długie przemowy, więc spróbuję podsumować wydarzenia możliwie krótko. Reie Fein, pamięta pan, jak pytałam o starożytną świątynię?

- Pamiętam. Czy ma to jakiś związek z ostatnimi wydarzeniami?

- Całkiem bezpośredni. - Zapaliłam, kompletnie ignorując zszokowane spojrzenie Elera.

- Wygląda na to, że pański przodek nie dość dobrze wytępił wyznawców tamtego starożytnego bóstwa.

Niektórzy ocalili i, sądząc z oznak, nie tracili nadziei na sprowadzenie swojego „reie” do naszego świata. A w tym celu potrzebowali krwi kogoś z pańskiego rodu. Dokładniej rzecz ujmując: młodego nieżonatego mężczyzny. Czyli pańskiego starszego syna. Ale Aleinowi zebrało się do żeniaczki i mógł zniweczyć wszystkie ich plany. Właśnie z tego powodu zginęła Raita.

- Ich? - zachmurzył się Werger Fein. - Kim są „oni”?

- Nie wiem kim ani ilu ich tak naprawdę było. - Potrząsnęłam głową. - Może tylko ta służąca i Olor, a może w tej historii siedzi jeszcze ktoś. Tak czy inaczej, wykorzystali uczucia dziewczyny do pańskiego syna i obiecali w zamian za współpracę jego rękę i serce. Musiała tylko zabić Raitę... Co prawda mam wrażenie, że nie wahała się specjalnie.

Trójka Feinów siedziała w ponurym milczeniu, a ja pokrótce opowiedziałam o zamachu Olory na moje bezcenne życie. A przy okazji o ciekawym zachowaniu Lasu w stosunku do mnie oraz moich domysłach odnośnie jego natury.

- Nisko upadliśmy... - Werger Fein pokręcił siwiejącą głową. - Przyjezdny mag opowiada nam tajemnice, które powinny przechodzić z ojca na syna... Ale teraz wiele rozumiem!

- Słyszałam, że pański ojciec zmarł niespodziewanie - zauważyłam. - Pewnie nie zdążył panu przekazać wszystkiego. Możliwe też, że jego śmierć nie była przypadkowa.

Po usłyszeniu opowieści o szkielecie zamurowanym w podziemnym przejściu Werger Fein do reszty spochmurniał.

- Pamiętam, że niedługo przed śmiercią ojciec zrobił się jakiś podejrzliwy, tygodniami krążył po okolicy, przeprowadzał prawie że obławy w naszych własnych wsiach. Wyglądało, jakby kogoś szukał. Czyli najpewniej czegoś się dowiedział i polował na tych ludzi...

- Obstawiałabym nawet, że kogoś znalazł, ale to starożytne bóstwo wyraźnie miało więcej niż jednego wyznawcę - powiedziałam. - I myślę, że zemścili się na pańskim ojcu. Czy pan w tamtym okresie miał już żonę?

Reie Fein w milczeniu skinął głową na znak potwierdzenia.

- Czyli musieli czekać, aż trafi się odpowiednia okazja - ciągnęłam. - Nie wiem, czemu odłożyli wszystko, aż Alein dorósł, a Eler się ożenił, może tego ich „reie” można przywoływać nie codziennie, a powiedzmy raz na dziesięć lat i tylko w niektóre dni. Tutaj mogę tylko snuć hipotezy.

- Kto by pomyślał, w samym Zamku, praktycznie pod naszym nosem! - rzucił Eler. -A do tego Olor... do głowy by mi nie przyszło, że była zdolna do takich rzeczy!

- Myślę, że bardzo kochała pańskiego brata, skoro zdecydowała się z jego powodu zabić.

- Wzruszyłam ramionami. - Ale też została bardzo umiejętnie oszukana, bez dwóch zdań. I to w zasadzie koniec historii, szanowni panowie.

- Ale co się stało wczoraj? - Werger nie mógł się uspokoić.

- Już powiedziałam. Służąca Olory próbowała przywołać swojego „reie”, ale jej nie wyszło.

- To pani ją powstrzymała? - Alein popatrzył na mnie z pewną obawą.

- Częściowo. - Prawie nie skłamałam. Ostatecznie, gdybym akurat nie znalazła się we właściwym miejscu i czasie, to cała historia mogła zakończyć się o wiele gorzej! - Ołtarz został zniszczony, ale na waszym miejscu poczekałabym ze świętowaniem zwycięstwa. Może okazać się, że nie był jedyny.

- Myślę, że warto jest przeczesać Zamek i wieś - Werger Fein skinął głową. - Alein, Eler, natychmiast się tym zajmijcie. Macie szukać takich znaków. - Chwilę pogrzebał w biurku i podał synowi kartkę z moimi rysunkami.

- Albo amuletów takich jak ten. - Pokazałam Aleinowi blaszkę, którą zdjęłam z trupa w podziemnym tunelu.

- Rozumiem - odparł i śpiesznie wyszedł pokoju, ciągnąc za sobą brata. Po chwili usłyszeliśmy, jak skrzykuje podwładnych. Miałam wrażenie, że w najbliższych dniach atmosfera w okolicy będzie daleka od sielankowej.

- Mam nadzieję, że nie ma już istotnych spraw dla mnie? - spytałam. - Mam wrażenie, że ten patrol we właściwym kierunku powinien ruszyć lada dzień?

- Oczywiście, panno Naren. Otrzyma pani również całość należnego honorarium. Kto by pomyślał... Gdyby nie trafiła pani do Lasu albo gdybym ja nie posłuchał syna... Mało tego, on mógł przecież zginąć! Nigdy nie dowiedzielibyśmy się prawdy o Lesie...

Tu gospodarz rzucił mi znaczące spojrzenie, a ja doskonale pojęłam aluzję. Gdyby ludzie w okolicy dowiedzieli się, że Las jest zupełnie niegroźny, spokojne życie w Zamku-Nad-Lasem natychmiast dobiegłoby końca. I mimo tego, że teraz Las będzie prawdziwie bezpieczny - bo

obstawiałabym, że wraz z „reie” znikły również nocne potwory - Werger Fein bynajmniej nie śpieszył się, by publicznie to ogłaszać.

- Złożyłam obietnicę, że będę milczeć o wszystkim, co tutaj zobaczę - odparłam. - I nie ma pan powodów, by nie ufać mojemu słowu.

- Panno Naren, pani jak najbardziej ufam. - Gospodarz pokiwał głową. - Ale pani towarzysz... W tak młodym wieku bardzo łatwo jest przypadkiem coś chlapanąć.

- W takim razie czego pan chce? - Uniosłam brew. - Uciąć chłopakowi język? Wobec tego niech mu pan jeszcze oberźnie palce, bo jest wykształcony i potrafi pisać.

- Prościej by było po prostu go zabić - rzekł Fein cynicznie. - Ale przecież nie ma żadnej potrzeby, by sięgać do tak okrutnych metod. Niech zostanie tutaj, w Zamku. Nam zawsze przyda się świeża krew, a jeśli dobrze panią rozumiem, on nie jest nisko urodzony?

- Nie wiem, nie miałam okazji prowadzić z nim dyskusji o przodkach - mruknęłam. To się dopiero nazywa łapanie za słówka... Zostawić Laurinne'a w Zamku! Z jednej strony, w ten sposób na dobre pozbyłabym się jego towarzystwa, ale z drugiej... Posłałam rozmówcy promienny uśmiech, w myślach karcąc się za rozkojarzenie. - Reie Fein, niestety zapomina pan o tym, że on również poznał tajemnicę Lasu. I jeżeli zechce, spokojnie przejdzie go w każdej chwili, o ile naturalnie nie przywiąże pan chłopaka na łańcuchu.

- Faktycznie, zapomniałem - zmartwił się gospodarz.

I w ten sposób upadł taki świetny plan... Teraz pewnie Fein powróci do wariantu pierwszego.

- Jestem gotowa za niego poręczyć - uprzedziłam jego słowa. - Jeżeli pan chce, porucznik również złoży przysięgę na swój honor, że się nie wygada. Dla niego takie przyrzeczenie to coś więcej niż puste słowa.

- Tak, to chyba będzie najlepsze wyjście z sytuacji. - Fein obdarzył mnie chłodnym uśmiechem.

- No cóż... Panno Naren, jestem pani bardzo wdzięczny. Patrol wyrusza pojutrze rano, a póki co może pani wypoczywać.

- Z przyjemnością. - Wstałam i przeciągnęłam się, aż mi trzasnęło w krzyżu. - Tylko najpierw zajrzę do porucznika, jemu też nieźle się oberwało...

Odprowadzana pochmurnym spojrzeniem Feina wyszłam na korytarz i udałam się na poszukiwanie kwatery Laurinne'a. Intuicja podpowiadała mi, że wydostanie się z Zamku może okazać się niełatwe. No dobrze, mnie raczej nie ruszą, ale porucznika mogą potraktować nożem w poprzek gardła. Wszyscy widzieli, jak wyglądały stosunki pomiędzy nami, i pewnie uznali, że jest dla mnie czymś w rodzaju zgarniętego z ulicy psiaka - wiele hałasu i zero pożytku. W zasadzie to nawet się zgadzało, z tym że chłopak był królewskim gwardzistą, a ja wynajęta zostałam, by służyć Jego Królewskiej Mości Arneliuszowi i na wszelkie sposoby bronić jego królestwa oraz obywateli onego.

Laurinne, jakiegokolwiek bym o nim miała zdanie, również podpadał pod tę definicję. Ale chłopak faktycznie był chodzącym źródłem kłopotów...

Izdebka, w której go umieścili, okazała się mroczna i duszna. Porucznik leżał na wąskim łóżku w samych spodniach i koszuli, a na mój widok wpadł w lekki popłoch i próbował zerwać się na nogi.

- Niech pan leży - rzuciłam. - W tej klitce jest dość miejsca tylko dla jednej stojącej osoby.

Jednak Laurinne usiadł, narzucił na ramiona mundur, bardzo wybrudzony i miejscami podarty, oraz podciągnął boscie nogi pod łóżko. Dobre wychowanie najwyraźniej nie pozwalało mu przebywać na wpół ubranym w towarzystwie damy.

- Da pan radę wsiąść na konia? - spytałam, przysiadając na brzeжку

taboretu, który stanowił trzeci i ostatni element wyposażenia pokoju, wliczając łóżko i krzywonogi stolik.

- Jeżeli będę musiał, to wsiądę - chmurnie odparł porucznik i spojrzał gdzieś w bok. Spod kołnierza jego koszuli wyglądał gigantyczny krwiak, przy którym podbite oko wydawało się zupełną drobnostką. - Coś się stało?

- Nic szczególnego - odparłam. - Widzi pan, nasi szanowni gospodarze nie ufają mojemu poręczycielstwu i mają zamiar pana zlikwidować, by przypadkiem nie wygadał pan tajemnic tego miejsca.

- Pani... - Laurinne popatrzył wprost na mnie i zabawnie mrugnął, ostatecznie upodobniając się do zbitego psiaka. - Pani za mnie ręczyła...?

- Czemu to pana dziwi? - Uniosłam brwi. - W końcu jest pan porucznikiem gwardii królewskiej, a nie żebrakiem z traktu. Dlaczego miałabym za pana nie poręczyć? Czy może ma pan zamiar opowiadać wszystkim znajomym i nieznanym o tym, co tu widział?

- Mogę przysiąc, że nic nikomu nie powiem. - Laurinne potrząsnął rozczochraną głową. - Ale jeżeli to im nie wystarczy...

- Nie wystarczy - westchnęłam. - Mnie będą się bali ruszyć, co prawda... Lepiej daruję sobie dzisiejszą kolację. Panu również radzę to samo, już raz miałam okazję spróbować tutejszych ziółek.

Ale tak czy owak, poruczniku, dziś w nocy trzeba będzie się stąd ulotnić.

- W nocy... - Młodzieniec skrzywił się z niezadowoleniem. - Jak jacyś złodzieje... Przecież pani jest... Panno Naren, przecież pani jest magiem-justycjariuszem. Proszę mi nie mówić, że pani się ich boi?

- Nie boję się, ale nie mam najmniejszej ochoty urządzić tu pobojuwiska -mruknęłam. - W całej tej historii i tak jest za dużo trupów. Niech pan skończy te grymasy. Jak tylko w Zamku wszystko ucichnie, proszę wyjść na dwór i poczekać na mnie koło stajni. Alein i Eler pojechali na poszukiwania spiskowców we wsiach, zabierając ze sobą większą część mężczyzn.

Wątpliwe, by pozostali szybko ruszyli w pogoń. A my do rana będziemy już daleko. Rozumie pan?

- Rozumiem, panno Naren. - Porucznik skinął głową, ale na jego twarzy wyraźnie widziałam niezadowolenie z takiego rozwoju wydarzeń.



O dziwo, wszystko poszło jak z płatka. Musiałam użyć odrobiny magii, żeby uśpić stajennych, a następnie oszołomić strażników, żeby otworzyli bramę i zamknęli ją za nami. Do rana nikt się nie połapie, a dalej zobaczymy...

Noc była księżycowa, wypoczęte konie szły lekkim kłusem. W takim tempie, nim wstanie słońce, powinniśmy być już daleko, a wysłanie pościgu zajmie mieszkańcom Zamku-Nad-Lasem trochę czasu. Zwłaszcza że w ostatniej chwili wpadłam na świetny pomysł i uszkodziłam wiszące w stajni siodła: wszystkie sprzączki od popręgów zmieniałam w rdzawy pył. Prosta, acz bardzo skuteczna sztuczka, szczególnie jeśli komuś sumienie nie pozwala kaleczyć koni.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie porucznik, który miał coraz większe problemy z utrzymaniem się w siodle. Jak na złość jego wierzchowiec miał bardzo twardy chód, więc potłuczony Laurinne musiał boleśnie odczuwać każdy jego krok.

- Postój - ogłosiłam na widok sympatycznej polany na skraju Lasu.

Mój towarzysz z widoczną ulgą zsunął się z konia i przez dłuższą chwilę stał, trzymając się jego grzywy. Hm... Czy on w ogóle da radę wleźć z powrotem na siodło? Ale to też moja wina, wiedziałam, że trzeba będzie uciekać, i to szybko, więc mogłam zwrócić uwagę, że chłopak kuleje, a do tego podejrzenie przechyla się na bok! Dobrze, jeśli nie ma połamanych

żeber...

- Laurinne, da pan radę jechać dalej? - spytałam po powrocie zza krzaka.

W odpowiedzi młodzieniec skinął głową, choć bardzo wyraźnie widziałam, że jedyne jego pragnienie sprowadzało się do tego, by położyć się na ziemi bez ruchu.

- Kłamie pan - skonstatowałam. - I nawet się nie czerwieni, co jest do pana kompletnie niepodobne. Wie pan co, poruczniku, czasami wydaje mi się, że to niebiosa mi pana zesłały... - Na widok jego zdziwionych oczu pośpiesznie dodałam: - I bardzo chciałabym wiedzieć, za jakie grzechy ta kara! Dlaczego od razu mi pan nie powiedział, że jest tak mocno poturbowany?

- Mówiła pani, że musimy tej nocy jechać... - mruknął, ponownie spuszczać głowę.

- Nie chciałem pani zatrzymywać...

- I oczywiście kompletnie nie pomyślał pan o tym, że ranny towarzysz zatrzyma mnie dużo skuteczniej - zrzędziłam. - Ani o tym, że jestem przecież magiem. No dobrze, poruczniku, tym razem nieco pana podleczę. - Laurinne wzdrygnął się, przypominając sobie moje metody leczenia. - Ale na przyszłość będzie pan uprzejmy i nie udaje bohatera z romansu dla młodych panienek. Tylko tacy mogą jechać galopem pół dnia ze strzałą wystającą z głowy... A i to wyłącznie dlatego, że w tej głowie kompletnie brak jakiegokolwiek zawartości.

Z bliska sprawy nie wyglądały aż tak źle, jak się spodziewałam. Żebra ocalały, tylko jedno wyglądało na lekko nadpęknięte. Chłopak był jedynie poobijany ze wszystkich stron jak ulęgałka.

Trochę czasu i będzie zdrów jak rydz, więc nie marnowałam mocy i tylko zdjęłam ból.

- Niech pan wsiądzie na mojego konia - rozkazałam, patrząc w górę.

Niebo powoli jaśniało i należało się śpieszyć. - Chodzi bardziej miękko.

Laurinne nie bez obawy podszedł do mojej Szarki, wspiął się na siodło i zebrał wodze. Kobyła ze zdziwieniem odwróciła łeb, by spojrzeć, co to za idiota ośmielił się zająć moje miejsce.

- I niech pan nie miętosi wodzy - uprzedziłam. - Nie lubi tego i może nawet ugryźć, więc proszę uważać na kolana.

- Dziękuję za ostrzeżenie... - odburknął Laurinne, w samą porę usuwając nogę z zasięgu końskich zębów.

Kobyła, rozczarowana nieudaną próbą, kilkakrotnie obróciła się w miejscu i wyraźnie przymierzyła się do wierzgania. Musiałam ją uspokajać i przekonywać, by przez jakiś czas zносиła porucznika na swoim grzbiecie.

Ja również miałam pewne problemy z gniadoszem, który tańczył i nie chciał mieć ze mną do czynienia. Laurinne musiał wkładać sporo wysiłku w powodowanie nim, dawno już nie widziałam tak kiepsko ujeżdżonego konia. Nie da się ukryć, akurat pasował do właściciela... Niemniej gniadosz szybko zrozumiał, że u mnie sobie nie podokazuje, i ruszył do przodu bez żadnych sztuczek.

Faktycznie miał szalenie twardy krok. Porucznik również jakoś dogadał się z moją kobyłą, więc podróż upływała nam bez przygód.

Nawet jeżeli wysłano za nami jakąś pogoń, pozostała ona daleko z tyłu. Nie zadowoliliłam się posiadaniem wyprzedzeniem i zostawiałam za nami małe, ale nieprzyjemne drobiazgi, coś w rodzaju mniejszych wersji klasycznej „zawrotki”. Zanim ewentualni prześladowcy poradzą sobie ze zbuntowanymi końmi, minie trochę czasu.

Spaliśmy może ze dwie godziny na dobę. Ja mogłam egzystować w ten sposób przez dłuższy czas. Wyglądało na to, że porucznik również w trakcie służby nauczył się radzić sobie przy minimalnym odpoczynku. Oczywiście konie były zmęczone, ale pod koniec trzeciego dnia podróży udało nam się

wydostać z Lasu. I okazało się, że w sam czas - właśnie upływał określony przeze mnie termin.

Biedny kapral aż schudł ze zgryzoty. Najwidoczniej uznał, że już nigdy nie zobaczy swojego podopiecznego. Miałam wrażenie, że o mnie martwił się w dużo mniejszym stopniu -w sumie całkiem słusznie, bo potrafiłam sama o siebie zadbać. Na widok żywego i zdrowego Laurinne'a kapral nie posiadał się ze szczęścia. Na twarzach reszty gwardzistów wyczytałam ulgę przemieszaną z zażenowaniem. No tak, odmowa wykonania rozkazu to nie żarty. A poza tym, gdybym w tym lesie zginęła, Arneliusz pourywałby głowy takim „ochroniarzom”.

Oczywiście, zostaliśmy zarzuceni pytaniami typu „jak tam?” oraz „co tam?”. Zachowywałam milczenie oraz chmurny wyraz twarzy. Laurinne tylko machał ręką. Mieszkańcy wsi patrzyli na nas spode łba i wymieniali szeptane komentarze.

- Panie Szenis - powiedziałam, gestem wzywając do siebie urzędnika sądowego, który natychmiast zamienił się w słuch. - Uznaję dochodzenie za zakończone. W toku śledztwa ujawniono, że poborcę podatkowego zabił ktoś miejscowy albo przypadkowy podróżny. Uważam, że pokłócili się po pijanemu z powodu kobiety. Potem morderca zrozumiał, co uczynił, i uciekł do lasu. Tutejszy las - wzdrygnęłam się demonstracyjnie - jest miejscem cokolwiek nieprzyjemnym. Podejrzewam, że mieszkają w nim jakieś duże drapieżniki. Kilka dni drogi stąd ja oraz porucznik - skinęłam głową w kierunku Laurinne'a - widzieliśmy nadjedzonego trupa. Czyż nie, poruczniku?

- Tak jest, panno Naren! - odpowiedział porucznik służbiście, nadając twarzy wyraz krańcowego wstrętu.

- Najpewniej to on był mordercą. Przepraszam, panie Szenis - uśmiechnęłam się krzywo - ale nie zabraliśmy go ze sobą. I panu również nie

radzę podejmować wypraw do lasu. Udało nam się ujść z życiem wyłącznie dlatego, że jestem niezgorszym magiem.

- Tylko co z... - zaczął urzędnik, ale przerwałam mu kategorycznie.

- Dochodzenie jest zakończone, a ja natychmiast wracam do stolicy. Co za głupota tracić tyle czasu z powodu zwykłej pijackiej burdy... Poruczniku!

- Tak, panno Naren?

- Niech pan wyda rozkazy odnośnie kolacji. Wyruszamy jutro rano. I niech pan wieczorem do mnie wpadnie, mam dla pana kilka poleceń.

Nawet jeżeli Laurinne się zdziwił, to nie dał po sobie nic poznać, a wieczorem faktycznie się u mnie zjawił.

- Proszę nie sterczeć w drzwiach, tylko wejść do środka - poleciłam. - Niech pan trzyma.

- Co to jest? - zdziwił się na widok sakiewki.

- Pańska działka. Ostatecznie brał pan aktywny udział w badaniu morderstwa Raity, tak więc należy się panu drobna część mojego honorarium. Niech pan zabiera i się nie kryguje, Fein był całkiem szczodry.

Przemilczałam fakt, że nie pofatygował się, by przekazać mi należną zapłatę, w związku z czym musiałam odebrać ją sama. Oczywiście bez uprzedzenia o tym fakcie zleceńodawcy. Ale cóż zrobić, magowie muszą dbać o własne interesy!

Laurinne pokręcił głową, a nawet schował ręce za plecami.

- Przepraszam, panno Naren, ale nie mogę... - wykrztusił. - Ja... znaczy...

- Wiem, wiem, otrzymuje pan żołąd. A teraz niech pan przestanie marudzić i zabiera pieniądze.

Kupi pan sobie za nie nowego konia, bo ten pański gniady jest zupełnie do niczego!

W tym momencie porucznikowi chyba przyszła do głowy jakaś mądra

myśl, bo jego twarz niespodziewanie pojaśniała.

- Panno Naren, bardzo pani dziękuję - powiedział arcyuprzejmie, po czym złapał rzuconą sakiewkę. - Jest pani bardzo miła...

- Niech pan już idzie. Wyruszamy wcześniej.



Wieśniacy żegnali nas znacznie przyjaźniej, niż witali. Nie wiem, co dokładnie wiedzieli o Lesie, ale chyba ucieszyło ich, że jego tajemnice pozostały ukryte przed postronnymi. Chyba całkiem nieźle zarabiali na odsprzedaży do Zamku-Nad-Lasem ziarna oraz innych rzeczy, które na jesieni wożono po tutejszych traktach. A ja się zastanawiałam, po co w takiej głuszy wieś, i to na dokładkę z gospodą...

Teraz wszystkie kawałki układanki trafiły na swoje miejsca. Tylko nieszczęsny urzędnik sądowy miał powody do niezadowolenia, ale w żaden sposób nie mogłam mu pomóc.

Koniec części I

Przypisy

[1] Mag niezależny Flossia Naren - część I

[2] Wszyscy magowie mają obowiązek rejestracji w Kolegium. Po dopełnieniu pewnych procedur i zaprzysiężeniu mag może stać się aktywnym członkiem Kolegium, co daje mu prawo do uczestniczenia w głosowaniu, zgłaszania własnych projektów itp. Dowolny aktywny członek Kolegium może zostać wybrany do **Małej Rady**. W skład Rady wchodzi dwunastu magów, którzy wybierani są przez aktywnych członków Kolegium w niejawnym głosowaniu. W dużych krajach, takich jak Arasten czy Stalwia, w celu rozwiązywania bieżących problemów działa kilka Małych Rad (po jednej w każdym z większych miast). Raz do roku, w celu przedyskutowania sytuacji ogólnoswiatowej i rozwiązania spraw znajdujących się poza kompetencją rad regionalnych, zbiera się **Wielka Rada**, składająca się z przedstawicieli wszystkich Małych Rad, wybieranych w niejawnym głosowaniu wewnątrz Rad. W wypadku sytuacji nadzwyczajnej Wielka Rada może zostać zwołana na prośbę każdej z Małych Rad w dowolnej chwili. Ogólne zarządzanie Kolegium, wypracowywanie strategii rozwoju oraz decydowanie o najcięższych przypadkach leżą w gestii **Najwyższej Rady**. W jej skład wchodzi sześciu magów - najczęściej tych najpotężniejszych i najbardziej doświadczonych, wybieranych dożywotnio w głosowaniu otwartym. Pracują oni wspólnie z doradcami, których wybierają osobiście (po akceptacji pozostałych członków Najwyższej Rady). Zdjęcie jednego z takich magów z zajmowanego stanowiska możliwe jest wyłącznie na podstawie decyzji Najwyższej Rady, ale podobny precedens nie miał miejsca już od

wielu setek lat.

[3] **Neir** (rodz. żeński **neira**) - przyjęty w Arastenie sposób zwracania się do arystokraty, jeżeli nie należy on do arystokracji dziedzicznej, a tytuł nabył bądź otrzymał za zasługi. W rozmowach z potomkami towarzyszy Arasta I (nie zostało ich zbyt wielu), którzy otrzymali swoje tytuły w tamtych czasach, jak również potomkami arystokracji przedarastowej przyjęty jest zwrot **arnai** (rodz. żeński **arnaia**). Pozostali, zaczynając od drobnych sklepikarzy do bogatych kupców i znanych aktorek, jak również ludzie w służbie państwowej (niezależnie od znamienitości ich rodziny) muszą zadowolić się zwrotem „pan” lub „pani”. Jest on neutralny i dopuszczalne jest nazwanie w ten sposób każdej osoby, której status jest nam nieznany. Tytuły, które istnieją w sąsiednich krajach (jak hrabia, markiz, baron), nie są w Arastenie używane.

[4] Ar - złota moneta, używana zarówno na terenie Arastenu, jak i poza jego granicami. Tak samo powszechnie używa się srebrnego **tessa** wartego 1/20 ara oraz mniejszych monet: **rysza** (moneta z brązu o wartości 1/10 tessa), **rissa** (moneta z brązu o wartości 1/20 tessa). Praktycznie wyszły z użycia **awery** (srebrne monety o wartości 1/10 ara).

[5] **Karris** - roślina pochodząca z wysp zachodnich archipelagów. Miejscowi używają suszonych liści do palenia. Na kontynent karris trafił dzięki handlarzom i cieszy się wielkim popytem. W rejonach z odpowiednim klimatem jest nawet kultywowany w celu uzyskania nowych gatunków.

Niemniej jednak za najlepszą nadal uznaje się dziką odmianę karrisu z Wysp Ogniwych, którą bardzo trudno jest nabyć legalnie.

[6] Niewolnik w Arastenie musi koniecznie nosić znak z imieniem właściciela. W starych czasach znaki wypalano, ale dzięki wynalazkowi Kolegium zwyczaj ten odszedł w niepamięć. Teraz znakiem może być kolczyk, pierścionek lub bransoleta (zwykle zakłada się je kobietom). Taka

„błyskotka” jest zwykle zakładana przy nadaniu osobie statusu niewolnika i może zostać zdjęta wyłącznie przez właściciela. Oczywiście niewolnik może próbować odciąć sobie palec, a nawet rękę, by się jej pozbyć.

Dlatego w przypadku niewolników skłonnych do buntu i uciezek zwykle używa się obroży. Dzięki nieskomplikowanemu w obsłudze zakłębciu, po wypowiedzeniu standardowej formułki w czasie transakcji imię kupca zostaje zastąpione imieniem nabywcy. Tego typu ozdóbka nie jest tania, ale ponieważ niewolników kupują zwykle ludzie zamożni, stać ich na taki wydatek.

[7] W opisywanych okolicach rok dzielony jest na sześć sezonów: wiosna, lato, polecie, jesień, przedzimie, zima. Jest to spowodowane klimatycznymi właściwościami regionu.

[8] Rint - napar ziołowy doprawiany winem.

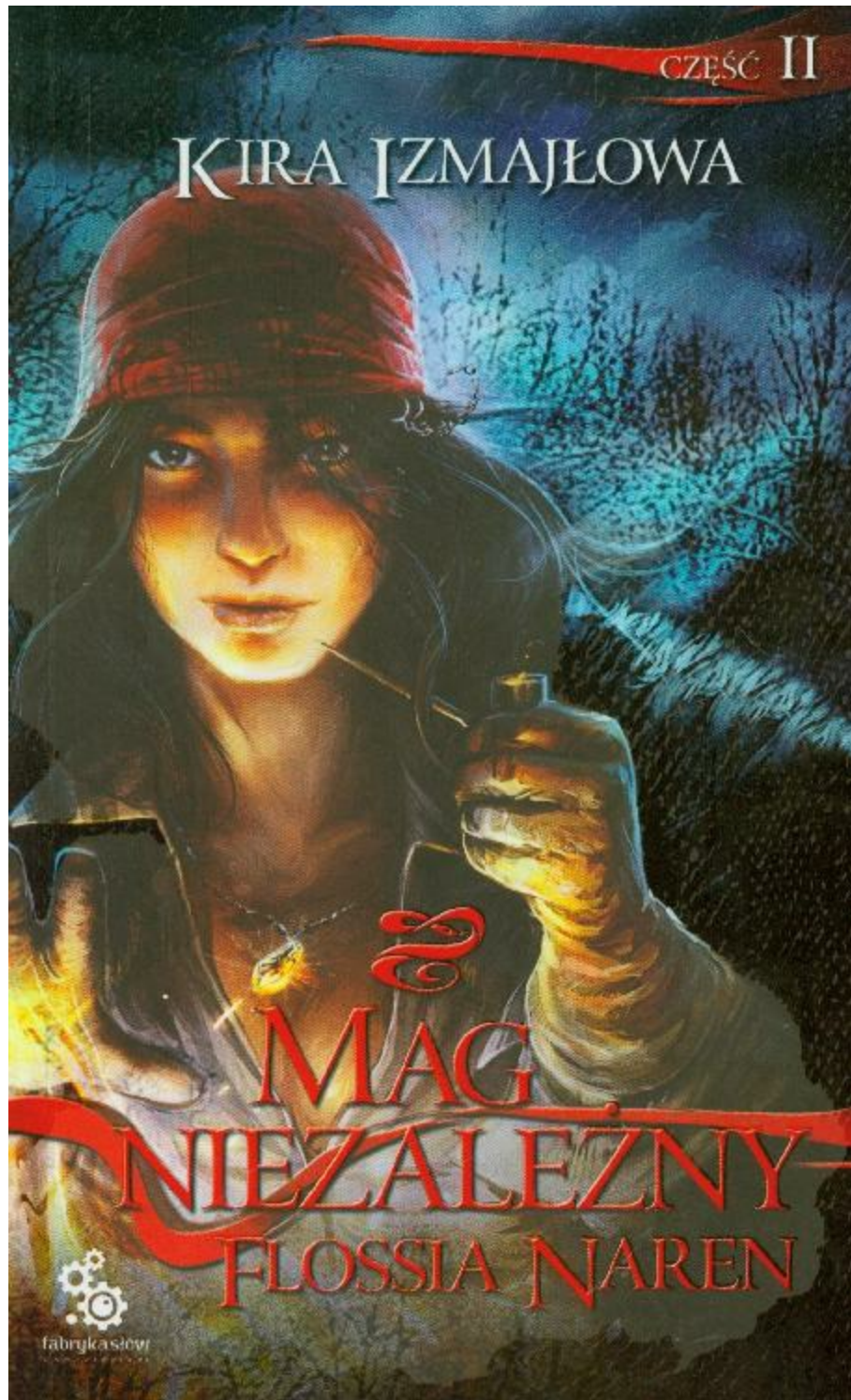
[9] Ers - kamień, używany zwykle do dekoracji wnętrz, jak również przy tworzeniu rzeźb (biały ers). Kolorowe rodzaje ersu są bardzo cenione jako ozdobne i sporo kosztują.

[10] **Larrika** - pnącze, dosyć powszechne na niektórych obszarach Arastenu. Jego dekoracyjne gatunki są często używane w ogrodnictwie. Larrika znana jest z wytrzymałości - roczne pnącze potrafi wytrzymać wagę człowieka.

[11] **Czarnogon** - drapieżny ptak, często mylony z jastrzębiem, ale sporo od niego większy i bardziej niebezpieczny.

CZĘŚĆ II

KIRA IZMAJŁOWA



2
MAG
NIEZALEZNY
FLOSSIA NAREN


fabryka słów
www.fabrykaslow.pl



KIRA IZMAJŁOWA

MAG NIEZALEŻNY
FLOSSIA NAREN

CZEŚĆ II



Przełożyła:
Marina Makarevskaya

Fabryka Słów: 2011

ROZDZIAŁ 14

Tajemnice rodzinne

Pragnąc możliwie przyśpieszyć podróż do stolicy, narzuciłam oddziałowi ostre tempo. Gwardzistom również wyraźnie nudziło się w tych zapadłych lasach i mimo że byli doskonale świadomi tego, co czekało ich po powrocie, żaden nie zaprotestował ani słówkiem przeciw szybszej podróży. Lepiej nie przeciągać... Ostatecznie, skoro nie wydarzyło się żadne nieodwracalne nieszczęście, mogli liczyć na wyrozumiałość.

Gdyby nie porucznik...

– Panno Naren... – Podszedł do mnie na kolejnym postoju, wyglądając równocześnie na zawstydzonego i nastroszonego. Siniak pod jego okiem nieco zbladł, ale nadal prezentował się wyjątkowo okazale.

– Czego? – spytałam bez cienia uprzejmości. Towarzystwo Laurinne’a w większych dawkach nadal było dla mnie dosyć trudne do zniesienia. Ta mieszanka oślego uporu oraz patologicznej miłości do prawdy potrafiłaby wyprowadzić z równowagi nawet kamienny posąg, a ja zdecydowanie nie byłam z kamienia.

– Panno Naren... znaczy... – Laurinne stremował się i zaciął na moment, ale w końcu jednak wypalił: – Niech mi pani pozwoli na kilka godzin opuścić oddział! Dogonię was niedługo.

– Bardzo ciekawe. – Uniosłam brwi. – Jakie pan ma sprawy w tej głuszy?

Może ukochana mieszka w pobliżu?

– Nie – odburknął. – Tu... Znaczy... Nasz majątek... Jest trzy godziny drogi stąd.

– A, czyli o to chodzi! – Byłam naprawdę zaskoczona. Więc jednak majątek. Laurinne mimo wszystko należał do arystokracji... Miałam wielką ochotę spojrzeć na jego gniazdo rodowe! – Ale, poruczniku, dlaczego pan nie zaprasza w gości? Wszyscy już mamy dość noclegów pod gołym niebem, możemy spokojnie nadłożyć drogi i spędzić noc pod dachem. Mam nadzieję, że nie będziemy pana za bardzo krępować?

– Nnnie... – wykrztusił młodzieniec, ale widać było, że bynajmniej nie ucieszył się z takiego obrotu sprawy. Ciekawe, jakie rodzinne tajemnice chciał ukryć?

– W takim razie niech pan rozkaże, żeby ludzie się zbierali – poleciłam. – Jeśli to faktycznie trzy godziny, akurat przed zmrokiem będziemy na miejscu.

Jak można się było spodziewać, porucznik poważnie minął się z prawdą i podróż trwała znacznie dłużej, a na dodatek droga okazała się wyjątkowo parszywa. Chyba od bardzo dawna nikt tędy nie jeździł i niegdyś szeroki trakt zmienił się w wąziutką ścieżynkę kluczącą wśród wzgórz. Laurinne tymczasem robił się coraz bardziej ponury, a gdy w oddali nareszcie pokazały się jakieś zabudowania, na jego twarzy zastygł brzydki grymas. Z jakiegoś powodu porucznik bardzo nie chciał, by w jego domu rodzinnym pojawili się obcy ludzie. „No cóż, każdy ma prawo do tajemnic – osądziłam. – Może po prostu wstydzi się ubóstwa swojej rodziny. Poza tym nie da się ukryć, że dziesiątka żarłocznych mężczyzn faktycznie może znacznie uszczuplić zawartość spiżarni... a przy okazji również zbałamucić śliczne służące!”

– Zrobimy tak – powiedziałam, wstrzymując konia i odwracając się w kierunku gwardzistów. Przygarbiony Laurinne chmurnie patrzył przed siebie.
– Muszę odwiedzić pewien majątek... mmm... w ważnych sprawach.

Poruczniku, uda się pan ze mną. A panowie – skinęłam na pozostałych – poczekają na nas tutaj. Iwasie, pan dowodzi.

– Tak jest, panno Naren! – Kapral skinął głową, a jego twarz pojaśniała. Prawdopodobnie stary żołnierz doskonale wiedział, z jakiego powodu porucznik nie życzył sobie gości, i ucieszył się z mojej decyzji. Z kolei gwardziści w ogóle nie mieli pojęcia, dokąd zmierzaliśmy. Majątek to majątek, kazano czekać, to będą czekać. Tym bardziej, że noce były dość ciepłe i spędzenie jeszcze jednej pod otwartym niebem nie było może przyjemnością, ale też nie stwarzało szczególnych problemów.

– Ruszamy! – Machnęłam ręką na porucznika, kierując kobyłę w dół zbocza.

– Dziękuję, panno Naren – powiedział cicho, gdy konie się zrównały. – Ale... pani...

– Poruczniku, nie mam pojęcia, co za tajemnice pan tam ukrywa – odparłam. – Ale proszę mi wierzyć, że kompletnie mnie nie obchodzą. Po prostu chciałabym spędzić noc pod dachem, a najchętniej w łóżku. Mam nadzieję, że przynajmniej to jest mi pan w stanie zaoferować?

Laurinne w milczeniu pokiwał głową.

– No to świetnie – rzuciłam. – Więc proszę przestać się naburmuszać, bo mam wrażenie, że jedzie pan nie do domu, a na własny pogrzeb.

Jak się okazało niebawem, stwierdzenie to nie było dalekie od prawdy. Wkrótce budowla objawiła się w całej okazałości i nie udało mi się powstrzymać gwizdnięcia. Zamek stanowczo liczył sobie niejedno stulecie – taki styl w architekturze obowiązywał ponad pół milenia temu. O dziwo, klasyczne kształty nie zostały zeszpecone przez późniejsze przybudówki. Chyba gospodarze mieli dobry gust. Albo, co znacznie bardziej prawdopodobne, nie posiadali wystarczających funduszy do przeprowadzania eksperymentów architektonicznych. Niestety, wspaniałość gniazda rodzowego

Laurinne'a pozostała w bardzo dalekiej przeszłości. Teraz prezentowało się wprost okropnie: jedna z wież wbijała się w niebo bezsensownym ogryzkiem, a całe wschodnie skrzydło leżało w ruinie. Jako tako zachowało się tylko skrzydło zachodnie wraz z wieżą, natomiast część centralna wyglądała, jakby miała się w każdej chwili zawalić. Łagodnie mówiąc, widok nie napawał optymizmem i nic dziwnego, że porucznik nie chciał prezentować tego obcym.

Kiedy podjechaliśmy jeszcze bliżej, stało się oczywiste, że nie tak dawno wybuchł tu pożar, i to całkiem duży, skoro spowodował zawalenie się wieży, a cała reszta budynku była w tak opłakanym stanie. Ciekawostka...

Zauważono nas, gdy tylko wjechaliśmy na otoczony niszczącym murem podwórzec. Fosa dawno zarosła, a most zwodzony wyglądał, jakby go nie podnoszono od wieków. Prawdopodobnie mechanizm już dawno się zepsuł, a właściciel nie widział sensu w jego naprawianiu.

Wokół nas natychmiast zebrało się z piętnaście osób: chyba cała służba. Pod nogami kręciło się kilka wychudłych psów. Jakaś starsza kobieta, prawdopodobnie niania, płakała i cały czas próbowała ucałować rękę Laurinne'a, stajenni zajęli się końmi, a reszta po prostu cieszyła się z przyjazdu młodego pana i popatrywała na mnie z zauważalnym niepokojem. Nigdzie nie dostrzegłam niewolniczego kolczyka ani bransolety – może gospodarze byli zbyt biedni, by pozwolić sobie na posiadanie niewolników.

A Laurinne rozglądał się dookoła, wyraźnie kogoś szukając.

– Och, braciszek! Braciszek przyjechał! Leido, Leido, chodź szybko! – zabrzmiał dziewczęcy głosik.

Odwróciłam się w tamtym kierunku. Więc to są siostry Laurinne'a, te właśnie, o których chyba nikt nie wie. Przyjrzałam im się dokładniej i po raz kolejny pogratulowałam sobie samokontroli...

Jako pierwsza do porucznika podbiegła, co rusz potykając się na zupełnie

równym dziedzińcu, dziewczynka na oko dziewięcioletnia, której głowę spowijała chusta. Ale i tak bez trudu można było dostrzec, że mała nie ma brwi ani rzęs, a zamiast twarzy koszmarną maskę źle wyleczonych blizn po oparzeniach. I takie same ślady na rękach. Za nią podążała druga dziewczynka, starsza o jakieś cztery czy pięć lat, która wyraźnie utykała i musiała wspierać się na kuli domowej roboty. Paskudnie zrośnięta złamana kostka – określiłam – plus uszkodzenie stawu biodrowego. Co się tu, do licha, stało?

Ale pytania tego oczywiście nie zadałam, gdyż bez dwóch zdań miałam przed sobą ofiary pożaru. Ciekawe, czy był tu może jeszcze jakiś krewny porucznika?

– Pójdę zobaczyć się z ojcem – powiedział Laurinne, kiedy w końcu udało mu się odczepić od siebie dziecięce rączki. Co za gapa, nie przywiózł żadnego prezentu dla sióstr! Co prawda nie wiedział, że uda mu się po drodze zobaczyć o dom... Ale mógł przynajmniej orzechów nazbierać po drodze, przecież mijaliśmy leszczyny! – Panno Naren... Przepraszam, ale mój ojciec... Już od dawna nie może chodzić. Nie mam pewności, czy będzie mógł dołączyć do nas przy kolacji.

– Poruczniku, niech pan nie przeprasza – odparłam. – Przecież nie podejmuje pan Jego Królewskiej Mości.

– Nono... – Laurinne zwrócił się do kobiety, która wcześniej całowała mu rękę. – Zaprowadź pannę Naren do domu i rozkaż, żeby podawali kolację. I zabierz dziewczynki, nie mają na dworze nic do roboty...

Nona skłoniła się plecami do pana, zgarnęła obie podopieczne, które gapiły się na mnie z zachłanną ciekawością, i odezwała się niepewnie:

– Zapraszam łaskawą panią... O, tutaj... Przepraszamy bardzo, nieposprzątane jest. Nie spodziewaliśmy się, że ktoś przyjedzie, młodego pana już od roku w domu nie było...

Ruszyłam za nią. Od wewnątrz zamek nie prezentował się aż tak przygnębiająco jak od zewnątrz, ale nadal miałam pewne obawy co do zlatującego na głowę sufitu czy zapadających się pod nogami schodów. Z pełnymi honorami odprowadzono mnie do komnaty, która wydawała się jadalnią, chociaż nie wyglądało, by ktokolwiek jej używał od ładnych paru lat. Ostrożnie usiadłam na fotelu, który wydawał się pamiętać młodość mojego dziadka, i głęboko się zamyśliłam.

Czyli to takie szkielety chowa w szafie porucznik Laurinne... Na wpół zniszczony zamek, kilkoro wiernych służących, którzy nie uciekli przed biedą, a na dokładkę troje kalek pod opieką. I o ile ojciec najpewniej długo już nie pożyje, o tyle o siostry będzie musiał troszczyć się przez resztę życia, co bynajmniej nie jest terminem krótkim.

Od rozmyślań odciągnęła mnie krzątająca – w jadalni śpiesznie sprzątano, nakrywano do stołu, służący kręcili się dookoła, przeszkadzając sobie nawzajem, a psy i pełna energii młodsza siostra porucznika (której mi w zamieszaniu nie przedstawiono) wzmagali ogólny chaos. Ostatecznie pomieszczenie doprowadzono do jakiegoś takiego ładu, a mnie uroczyście zaproszono do stołu. Zresztą brakowało jeszcze pana domu i wkrótce zobaczyłam również jego: głowa rodziny zniesiona została wprost na fotelu przez dwóch barczystych służących. Wyglądało na to, że dla niespodziewanego gościa zdecydował się odstąpić od swoich zasad. W przypadku ojca Laurinne'a wszystko również wydawało się bardziej oczywiste – ciężka choroba stawów, ręce poskręcane jak ptasie łapy, a do tego poważne uszkodzenie kręgosłupa. Nic dziwnego, że nie mógł się poruszać samodzielnie. Ale za to spojrzenie miał uważne i skupione, jak najbardziej rozsądne. Ciekawe, porucznik nie przypominał ojca nawet odrobinę, chyba że upartą linią zaciśniętych ust.

– Milo mi powitać panią w naszych skromnych progach – powiedział

staruszek (wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat i ani miesiąca więcej, nawet jeżeli wzięlibyśmy poprawkę na chorobę). – Pani... Hmm...?

– Panna Naren – podsunął Laurinne pośpiesznie. – Jest... eee... starszym królewskim śledczym. Zostałem wyznaczony na jej towarzysza, a panna Naren okazała się tak miła, że pozwoliła mi... – W tym miejscu porucznika opuściło natchnienie (wyraźnie nie radził sobie ze zdaniami złożonymi) i zakończył niezdarne: – Znaczy... tu przyjechać.

– Czuję się niezmiernie zaszczycony wizytą tak ważnej osobistości. – Starzec pochylił głowę. – Mam nadzieję, że wybaczy nam pani panujący dookoła bałagan, zamek jest powoli odbudowywany, ale...

Odbudowywanie zamku nawet się nie zaczęło i było to bardziej niż oczywiste, ale włączyłam się do gry gospodarza i zapewniłam, że nie widzę nic strasznego w jego chwilowych problemach. Bardziej ciekawiło mnie co innego. To ci dopiero porucznik wykombinował! „Starszy królewski śledczy”! W życiu nie podejrzewałabym go o taką inwencję! Zresztą... Miałam pewne podejrzenia, graniczące z pewnością, dlaczego nie przedstawił mnie prawdziwym tytułem, a teraz błagalnie gapił się z drugiego końca stołu, wyraźnie prosząc o nieujawnianie kłamstwa. Nie miałam zamiaru tego robić i spokojnie dyskutowałam ze starym Laurinne’em o ostatnich wydarzeniach w stolicy. Najwidoczniej nie docierały tu najświeższe wiadomości, więc staruszek interesował się absolutnie wszystkim. Porucznik natomiast, gdy zwracano się do niego, odpowiadał niewyraźnymi pomrukami, a gdy męcząca kolacja dobiegła końca, uciekł, by zająć się jakimiś ważnymi sprawami. Jego ojciec tymczasem zaczął przysypiać i służący ostrożnie zabrali go z powrotem do komnat, Nona zagoniła dziewczynki do łóżek, a ja, w czasie gdy przygotowywano obiecany mi pokój gościnny, wyszłam na dwór.

Dookoła panowała zachwycająca noc, ciepła i księżycowa. O tej porze

roku przyjemniej jest nocować przy ognisku niż w takim mrocznym zamku. Właściwie dlaczego nie chciałam puścić porucznika samego?

Gotowa byłam się założyć, że nie wymieni konia na lepszego, a wszystkie otrzymane ode mnie pieniądze zostaną w majątku. Darowałby sobie przecież wycieczkę do domu, gdyby nie chciał podratować rodziny finansowo.

Przysiadłam na pniu, który z bliżej nieznanego powodu leżał pod ścianą, i zapaliłam – nie chciałam za bardzo szokować staruszką, więc do tej pory wytrzymałam bez fajki. Spojrzałam w górę. Zbliżała się połowa lata, jak ten czas leci...

Niebo było czyste i wydawało się, że gwiazdy czekały na wyciągnięcie ręki. Wpatrzyłam się w gromadę, która była tej nocy doskonale widoczna. Prawie wszędzie zwano ją Pasem Noann – że niby to bogini upuściła na niebie naszywany klejnotami pasek – albo po prostu Pasem. Na północy natomiast przyjęła się nazwa Ślad Statku – bo takie samo pasmo białej piany zostaje za rufą. W jednym z dalekich krajów słyszałam też legendę, według której gwiazdy są klejnotami rozsypanymi przez piękną królową uciekającą przed smokiem. Rozrzuciła je, by rozproszyć jego uwagę, a kiedy smok zbierze wszystkie i dogoni pannę, nastanie koniec świata... Zmrużyłam oczy: niezbyt jasno lśniła zielonkawa gwiazdka – Królowa, a po drugiej stronie Pasa z pełną mocą świeciło sześć dużych – Smok. Piękna legenda, tylko jaka panna będzie uciekać przed smokiem? Pewnie bajkę wymyślił ktoś, kto smoka na oczy nie widział, a jeśli już, to z daleka nie w ludzkiej postaci.

Gdzieś z boku usłyszałam kroki. Zbliżający się porucznik próbował nie hałasować, ale jak zwykle niezbyt mu wychodziło.

– Niech pan siada – powiedziałam, przesunawszy się nieco – a nie stoi jak słup. Przecież pan wie, że tego nie lubię.

Laurinne bez słowa usiadł obok, opierając się plecami o ścianę.

Domyślałam się, że jest bardzo zmęczony.

– Co się tu u was stało? – spytałam po chwili milczenia. – I tak widzę, że był jakiś pożar, ale od czego się on zaczął?

– Piorun uderzył we wschodnią wieżę – cicho odpowiedział porucznik. – Stropy są tu stare, drewniane... zajęły się natychmiast. Lato było suche, więc ogień ogarnął wszystko. Przecież widzi pani, co zostało ze wschodniego skrzydła.

– A dziewczynki? – spytałam, mimo że znałam przybliżoną odpowiedź. Dziwny to jakiś piorun był. Chociaż na tym świecie różne rzeczy potrafią się zdarzyć.

– Pokój dziecięcy był właśnie we wschodnim skrzydle. – Odpowiedź wiele porucznika kosztowała, ale nie próbował nic przemilczeć. Pewnie niemożliwość podzielenia się z kimś swoim bólem męczyła go już od dawna. – Ojciec... próbował tam wejść, schody się pod nim zawaliły. Służący go wyciągnęli, ale miał przetrącone plecy, a nogi... My z bratem przeszliśmy po gzymsie... – „Czyli był jeszcze jakiś brat” – odnotowałam. Laurinne ni to westchnął, ni to chlipnął. – Znaleźliśmy dziewczynki, ale tam już wszystko płonęło. Starszą, Leidę, wyrzuciłem przez okno, nie miałem siły jej podnieść, wyskoczyłem za nią... Teraz kuleje. A brat długo szukał młodszej, Mii, bo przestraszyła się i schowała w jakimś kącie. Potem spróbował ją wynieść, prawie mu się udało. Belka na nich spadła... Zasłonił Mię własnym ciałem, więc się wydostała, ale on został w środku. Wybiegła, a włosy, sukienka – wszystko na niej płonęło... Nona się domyśliła, żeby narzucić na nią koc. Potem długo chorowała, ale żyje mimo poparzeń. Tylko teraz coraz gorzej widzi...

Laurinne przycisnął potylicę do zimnej ściany. Jego oczy były zamknięte, a wargi lekko drżały.

– Mama umarła po miesiącu – dokończył. – Cały czas prosiła, żebym się

zaopiekował siostrami. Gdy tylko mogłem, pojechałem do stolicy. Ubłagałem, żeby mnie przyjęli do gwardii. – Twarz chłopaka wykrzywiła się w chwilowym skurczu, widać było, że musiał zapukać do niejednych drzwi, żeby dostać ten swój niewysoki stopień – Ojciec ma malutką rentę. On też kiedyś służył.

Dobrze wiedziałam, jak skromne są takie renty. I miałam niegorsze pojęcie, ile dostawał porucznik w rodzaju Laurinne'a. Ledwo co starczało, by nie paść z głodu. A jeśli ojciec umrze, to biedakowi zostanie już chyba tylko wyjście na trakt i rozbój, żeby jakoś wykarmić siostry. Albo robienie kariery – tylko jak tu ją robić, siedząc w stolicy? Dobrze, jeśli dostanie awans po pięciu latach doskonałej służby. Szybkie wzloty możliwe są tylko na wojnie. A na wojnie... tam najłatwiej jednak o śmierć.

Spojrzałam na porucznika z ukosa. Po jego policzku – na oko chłopak nawet nie musiał się jeszcze porządnie golić, ciekawe, ile on miał lat, osiemnaście, dziewiętnaście? – ciągnęła się wilgotna ścieżka. Zupełny dzieciak. Powinien się dobrze ożenić albo znaleźć bogatą kochankę, o wielkim sercu, a jeszcze lepiej kilka... Tylko czy on na to pójdzie? Nigdy w życiu. I o pomoc prosił nie będzie, głupia duma nie pozwoli mu zapytać, czybym na ten przykład ja nie zajęła się jego siostrami. Po prostu dlatego, że wie, ile kosztują moje usługi, a nie ma pieniędzy nawet na zwykłego magomedyka – widać przecież, że dziewczynki leczono zwykłymi domowymi metodami. A nie ma nic gorszego dla kogoś takiego jak Laurinne, niż czuć się wobec kogoś zobowiązanym. Dlatego też nikomu nie powiedział, że jestem magiem. Pewnie bał się, że ojciec nadeptnie własnej dumie na gardło i będzie błagał mnie o pomoc.

W sumie mogłam sama zaproponować, że zajmę się leczeniem dziewczynek. Staremu Laurinne'owi już nie bardzo mogłam pomóc, ale im owszem, tylko że... Takie działanie byłoby dla porucznika śmiertelną obrazą.

Kogoś takiego jak on cudza litość rani bardziej niż cios nożem. Raczej będzie głodował, aniżeli podzieli się z kimś swoimi problemami. Mnie opowiedział o nich z musu, więc ponizanie go teraz litością było kompletnie nie do przyjęcia.

– Dobranoc, poruczniku – powiedziałam, wstając. Widać było, że Laurinne z trudem powstrzymuje się od płaczu w mojej obecności, więc uznałam, że oszczędzę jego i bez tego zszarpane nerwy.

Odpowiedzi nie otrzymałam.

Zwykle nie mam najmniejszych problemów z zasypianiem w cudzych domach i łóżkach, ale tym razem było inaczej. W pokoju było duszno, pościel pachniała wilgocią. Pewnie już od wielu lat nikt tutaj nie nocował. Na dodatek doskonale słychać było wszystko, co działo się dookoła. Tam nijak nie chciała położyć się spać mała Mia, Nona burknęła coś z niezadowoleniem i mała wybuchnęła płaczem. Po chwili zabrzmiały znajome kroki i dziewczynka natychmiast się uspokoiła, chyba każdy sposób był dobry, by znaleźć się w towarzystwie ukochanego starszego brata. Na górze ciężko kaszlał stary Laurinne, skrzypiały stopnie pod nogami sług. Innymi słowy, kompletny brak warunków do spania.

W końcu zamek się uspokoił. Ostrożnie, starając się nikogo nie obudzić, przeszedł korytarzem Laurinne, zaskrzypiały drzwi. Porucznik chyba zajmował pokój tuż obok mojego. Cichy szelest, skrzypienie łóżka. I jeszcze jakiś dźwięk, ni to westchnienie, ni to jęk. Nie, stanowczo nie miałam dzisiaj większych szans na zaśnięcie.

Ostatecznie nie wytrzymałam, bezgłośnie wyszłam na korytarz i zaczęłam nasłuchiwać przy sąsiednich drzwiach. Cichutko, bez skrzypienia i szelestu otworzyłam je i zajrzałam do środka. Na wpół ubrany Laurinne leżał na łóżku twarzą w dół. Chude plecy okryte cienką koszulą gwałtownie drżały i, zagłuszany przez poduszkę, na zewnątrz wydostawał się nawet nie płacz,

tylko jakieś rozpaczliwe zwierzęce wycie. Stałam tak chwilę, ale w końcu nie wytrzymałam tego widoku. „Śpij!” – rozkazałam w myśli. Najprostsze zaklęcie, nie wymagało żadnego wysiłku. Porucznik zadrżał po raz ostatni zwiotczał.

Doskonale, do rana będzie spał bez snów. Przynajmniej ten jeden raz. Wróciłam do swojego pokoju i położyłam się, patrząc w sufit. Nie mogłam zrobić dla porucznika nic, by go nie poniżyć i nie obrazić. Prywatnie uznawałam jego zachowanie i durne zasady za zwyczajnie głupie, ale też moje wychowanie drastycznie różniło się od wychowania młodych szlachciców, takich jak Laurinne. Z drugiej strony było mi go szkoda, co zdarzało się zadziwiająco rzadko. Zresztą jeśli już miałabym się bawić w analizowanie, to żałowałam nawet nie tyle porucznika, który potrafił siebie zadbać, ile jego sióstr. Młodsza była jeszcze zbyt mała, by do końca zrozumieć swoje nieszczęście, otoczona przez oddanych i kochających ludzi, ale... Nieprzypadkowo w zamku nie zauważyłam ani jednego lustra. Starsza, o ile mogłam zgadnąć, już doskonale rozumiała, że bez posagu i tak zeszpecone na zawsze zostaną w tym starym zamku. I co będzie dalej? Dobrze będzie, jeśli pogodzą się z losem, a nie wściekną na niego i nie znienawidzą całego świata. Bo w takim przypadku naprawdę porucznikowi nie zazdrościłam.

Zresztą to i owo jednak mogłam zrobić, zupełnie się nie ujawniając. Niech wszyscy po prostu myślą, że w końcu pomogły ziołowe kompresy. Leida nadal będzie mogła chodzić bez kuli, choć nadal utykając. Jeśli idzie o młodszą, sprawa była znacznie bardziej skomplikowana. Chyba żeby przyspieszyć proces regeneracji? Zajmie to kilka lat, ale powoli dziewczynka odzyska normalną twarz w miejsce koszmarnej maski, a przy okazji nie straci wzroku. Chyba tak... Podejrzewałam, że dziadek nie pochwaliłby mnie za takie działania, ale ostatecznie czy sam nigdy nie robił niczego podobnego?

Byłam pewna, że tak, mimo że nigdy o tym nie opowiadał. Zresztą przecież i tak się nie dowie. Hołubiąc takie myśli, zasnęłam, a we śnie przyszedł mi do głowy kolejny ciekawy pomysł...

Poranek był dosyć chmurny. Ze względu na nocne przygody nie miałam najmniejszej ochoty na opuszczanie łóżka. Jednak mus to mus, czas był najwyższy ruszać w drogę, ale przedtem wprowadziłam w życie swoje plany co do dziewczynek, a następnie spytałam chmurnego i bladego Laurinne'a:

– Poruczniku, a ma pan w domu jakąś bibliotekę?

– Tak jest, panno Naren. – Laurinne uciekał przede mną spojrzeniem. Chyba żałował wczorajszego ataku szczerości. – O dziwo, ocalała.

– Niech mi pan pokaże – zażądałam i zostałam zaprowadzona do zachodniej wieży.

Biblioteka okazała się dosyć nudna, jak to większość księgozbiorów w takich starych zamkach. Całe mnóstwo nigdy przez nikogo nieprzeczytanych tomisk, które z niejasnego powodu zakupione zostały przez pokolenia gospodarzy i w większości pełniły jedynie rolę dekoracji. Ale po chwili grzebania w zakurzonych książkach znalazłam kilka całkiem ciekawych pozycji. Jedną z nich, wspaniałe leksykon trucizn pochodzenia roślinnego i zwierzęcego, wyglądała na dosyć wyświechtaną, ale zachowała się naprawdę nieźle. A mnie bardziej interesował stan zawartości, a nie okładki. Znalazłam też wspaniale wydany grubaśny zbiór starożytnych legend, zdobiony prześlicznymi miniaturami i na oko rzadko czytany. Prawdopodobnie właśnie z tego powodu znajdował się w stanie idealnym.

– Skąd tu się wziął leksykon trucizn? – spytałam.

– Nie mam pojęcia. – Laurinne wzruszył ramionami. – Pewnie po prababce. Mówią, że bawiła się w różne takie. Jeżeli pani potrzebuje, to proszę go sobie zabrać. Tak czy siak, nikt tych książek nie czyta, sama pani widzi, ile tu kurzu. I pleśń...

– Poruczniku, pan kompletnie nie dba o swój majątek – Mówiłam z naganą. – Co to znaczy „proszę zabrać”? Ja go od pana odkupię. I niech pan nie protestuje! – powstrzymałam go, widząc, że gotów jest coś powiedzieć. – Proszę nie wątpić, dam panu sprawiedliwą cenę. A jeśli mi pan nie wierzy, to proszę wejść do dowolnego kramu z książkami w stolicy i zapytać, ile taka książka kosztuje.

– Wejść na pewno – obiecał mi Laurinne przez zęby, chmurnie obserwując, jak zdejmuję z pasa sakiewkę. Gdyby w tym momencie powiedział choć słowo o opłacie za śledztwo, to przyznaję uczciwie, że zdzieliłabym go nią przez łeb. Mawiają, że wstrząsy całkiem nieźle potrafią wstawić klepki na właściwe miejsca.

– A przy okazji, tę również kupię. – Gestem wskazałam książkę z legendami. – Przyznaję się, lubię piękne bajki...

– Panno Naren... – zaczął Laurinne, zaciął się i z nieoczekiwaną wściekłością wypalił: – Po co pani to wszystko? Zresztą dlaczego ja w ogóle pytam... Przecież może pani pójść do tegoż kramu z książkami i kupić tam dokładnie takie same legendy, zamiast wlec je stąd!

– Mogę – zgodziłam się. – Ale może się okazać, że nie chcę. Widzi pan, Laurinne, magowie, dokładnie tak samo jak kobiety, są dosyć nieprzewidywalni w swoich działaniach i zachciankach. A magowie płci żeńskiej są podwójnie nieprzewidywalni. Powinien pan to już zrozumieć, przecież zna mnie pan nie pierwszy dzień. Po prostu mam taką fanaberię!

– Fanaberię, jeszcze czego... – burknął Laurinne pod nosem, ale usłyszałam i uśmiechnęłam się w odpowiedzi. – Pani nigdy nic nie robi tak po prostu!

– Poruczniku, może pan myśleć co się panu podoba – odparłam. – A teraz proszę za mną, czas na nas. Niech pan pożegna się z rodziną i ruszamy.

Droga powrotna upływała w prawie całkowitym milczeniu i wkrótce

dołączyliśmy do reszty naszego oddziału. Kapral Iwas błędził spojrzeniem ode mnie do Laurinne'a, próbując odgadnąć, co zaszło w majątku. Ale z mojej twarzy nie mógł wyczytać niczego, a na fizjonomii porucznika gościł wyraz kompletnego wyobcowania. Młodzieniec bardzo głęboko się nad czymś zamyślił, co było u niego zjawiskiem rzadkim. Tak czy siak, do samej stolicy wszystkie próby nawiązania rozmowy kwitował pojedynczymi słowami i to zwykle jednosylabowymi. Uczciwie mówiąc, niezbyt mnie interesowało, nad czym się zastanawiał, ponieważ przez całą drogę próbowałam ułożyć raport dla rady królewskiej. Ostateczna wersja wyglądała chyba całkiem przekonująco... A przynajmniej nikt z członków rady nie zauważył w niej żadnych nieścisłości. Tak więc wszyscy szczęśliwie uwierzyli, że poborcę podatkowego przypadkiem po pijanemu zabił zazdrosny stajenny, który po wytrzeźwieniu uświadomił sobie, co narobił, i uciekł tak skutecznie, że zaginął bez śladu w okolicznych gęstych lasach. Jego Królewska Mość miał wyjątkowo zadowoloną minę i wyraźnie widziałam, że takie zakończenie dochodzenia bardzo mu odpowiada. Faktycznie, gdyby rozpatrywać zabójstwo poborcy w taki sposób, jak chciała rada, czyli jako zdradę państwową, należałoby szukać nieistniejących spiskowców, a to kosztuje dużo, zarówno czasu, jak i pieniędzy. A poza tym podsuwa pewnym ludziom niezbyt chlubne myśli (Jego Królewska Mość Arneliusz jako monarcha wystarczająco inteligentny pozwalał swoim poddanym na pewne swobody, by nie dusili w sobie niezadowolenia. Można pomyśleć, że ktoś wyczuje pismo nosem i urządzi zamieszki, ale, o dziwo, za panowania obecnego króla bunty zdarzały się rzadko i były jakieś niemrawe, bez wewnętrznego płomienia i poważnych konsekwencji. Arneliusz wiedział, gdzie można popuścić cugli, a gdzie na odwrót, należało pokazać twardą rękę).

Tak więc, tajemnica Zamku–Nad–Lasem pozostała tajemnicą. W każdym

razie byłam pewna, że Laurinne się nie wygada, a ja ponad wszelką wątpliwość zamierzałam milczeć..

Zresztą istniała jeszcze jedna rzecz, która nie dawała mi spokoju, budząc palącą wręcz ciekawość. I tylko dlatego po odejściu ministrów i doradców poprosiłam Jego Królewską Mość, by poświęcił mi kilka minut prywatnej rozmowy.

– Panno Naren, czy coś się stało? – zdziwił się Arneliusz.

Niezbyt często miewałam takie prośby czy pytania.

– Zupełnie nic, Wasza Królewska Mość – odparłam, patrząc wprost w najjaśniejszą twarz. – A nawet jeśli się stało, to bardzo dawno temu. Chciałabym dostać odpowiedź na jedno pytanie.

– W takim razie słucham – rzekł Arneliusz łaskawie, tego dnia miał dobry humor. – Jeśli będę mógł, to pani odpowiem.

– Dobrze – rzuciłam i po paru sekundach milczenia spytałam, patrząc królowi prosto w oczy: – Wasza Królewska Mość, po co przydzielono mi tego porucznika?

– Ja tylko wyznaczyłem pani stałego towarzysza. – Arneliusz uniósł brwi. – Przecież sama pani skarżyła się kiedyś, że tępota wojskowych ją męczy. Wydawało mi się, że ten młodzieniec jest wystarczająco inteligentny, by sprostać pani wysokim wymaganiom.

– Wasza Królewska Mość, to nie jest żadna odpowiedź – odparłam chłodno. – Na dworze znaleźć można masę inteligentnych, jak to się Wasza Wysokość wyraził, młodych ludzi. Do tego większość z nich znacznie lepiej od porucznika Laurinne’a zna się na wykonywanej pracy, gdyż muszę przyznać, że on jest w dużo większym stopniu źródłem problemów niż pomocy. – Król patrzył na mnie w milczeniu, ale widziałam, że moje słowa nie sprawiają mu przyjemności. – Tak więc dlaczego Wasza Wysokość musiał zrobić z Laurinne’a chłopca na posyłki akurat przy mojej osobie?

Myśli o tym, że ma mnie śledzić, nawet nie zamierzam rozpatrywać, ponieważ jest całkiem bezsensowna. Szpieg z niego kompletnie do niczego. Strażnik również. – Król zachmurzył się, ale nie zamierzałam przerywać monologu. – Nie zaprzeczę, że dobrze włada szpadą, wspaniale rzuca nożem, a nawet miał okazję kogoś zabić, ale przecież ani razu nie brał udziału w prawdziwej bitwie. Tak więc, Wasza Królewska Mość, po co to wszystko? Kto tu kogo ma chronić? – Z wyrazu twarzy Arneliusza wywnioskowałam, że przesadzam, więc szybko złagodziłam: – Jeżeli uznamy, że Laurinne mnie, to sprawa wygląda cokolwiek śmiesznie. Jeżeli na odwrót... Moim zdaniem, to również nie trzyma się kupy – westchnęłam. – Można by założyć, że ten wzór wszelkich cnót oficerskich przypadkiem dowiedział się czegoś, co zagroziło jego życiu, więc powinien być trzymany z dala od pałacu, ale to zalatuje banalną powieścią awanturniczą. Zresztą mogę podać Waszej Królewskiej Mości jeszcze z dziesięć takich teorii, ale żadna z nich nie brzmi prawdopodobnie. I jestem pewna tylko tego, że Wasza Wysokość nie oddał porucznika Laurinne’a pod rozkazy przypadkowo. Mam rację?

– Ma pani rację. – Arneliusz wstał i przespacerował się po gabinecie tam i z powrotem. Był dosyć wysoki, dorównywał mi wzrostem. – Niestety, panno Naren, nic więcej powiedzieć nie mogę. – Król odwrócił się i spojrzał mi w oczy. Miał przy tym dosyć ponurą minę. – Zresztą obstawiam, że jeśli będzie pani miała ochotę, to i tak dogrzebie się do prawdziwych powodów. Nie będę pani w tym przeszkadzał, ale na pomoc również proszę nie liczyć.

– Rozumiem. – Skinęłam głową. – Cóż, to mi w zupełności wystarcza. Dziękuję, Wasza Królewska Mość.

Po opuszczeniu pałacu na dłuższą chwilę popadłam w głębokie zamyślenie. Co tu się działo? Dlaczego Aureliusz żywił takie dziwne zainteresowanie losem Laurinne’a? Może chłopak faktycznie wiedział coś, czego wartości nie podejrzewał? Hm... Taka możliwość istniała, ale była

mało prawdopodobna. Nie, tu chodziło o coś innego, znacznie ciekawszego. Przyszła mi do głowy całkowicie obłąkana myśl. Nim ją zdążyłam odpędzić, wyobraziłam sobie twarze równocześnie Laurinne'a i Jego Królewskiej Mości. Nie, nie... Kompletnie nic wspólnego. Obecna dynastia królewska znana jest z bardzo mocnej dziedzicznej linii (oczywiście magicznie wzmocnionej^[1]), która czyniła króla Arneliusza kubek w kubek podobnym do jego pradziadka (czy raczej do jego portretu). Tak samo synowie Jego Królewskiej Mości podobni byli do niego. Tak więc hipotezę, jaka mi nieproszona wlaźła do głowy, również można było uznać za całkiem nierealną.

Ale z niewiadomego powodu nadal wydawało mi się, że źródła tego rozkosznie poplątanego dramatu szukać należało w przeszłości. No cóż... mimo że poszukiwania historyczne nie były podstawowym profilem mojej działalności, wiedziałam, skąd należało zacząć.

Przede wszystkim odwiedziłam archiwum. Logiczne wydawało się, że skoro ojciec porucznika służył w gwardii, to powinny zachować się dokumenty o jego przyjęciu na służbę, jak również, awansach i odejściu na emeryturę. Nikt nie kocha biurokratów ani stosów papierków, bez których człowiek nie może kroku zrobić, ale czasami właśnie te papierki potrafią znacznie ułatwić życie.

W archiwum bez słowa sprzeciwu przynieśli mi parę ciężkich foliałów – wszystkie dokumenty składowane były w porządku chronologicznym i znajdowały się w stanie idealnym. Jego Królewska Mość nie tolerował chaosu w papierach, więc kiedyś rozkazał spędzić trochę czasu na doprowadzeniu archiwum do przyzwoitego stanu i od tego momentu bez większych problemów udawało się znaleźć w nim dowolny dokument. Oczywiście, jeżeli miało się odpowiednie pozwolenia.

Jakoś nikt nie wątpił, że ja posiadam nieograniczony dostęp do

archiwum, mimo że szczerze mówiąc, nie miałam na to żadnych papierów, gdyż jakoś nigdy nie zdarzyła się okazja do ich wyrobienia. Ale z drugiej strony, na co mi one? W całym okresie zamieszkiwania w Arastenie korzystałam z archiwum może ze dwa razy, a jeżeli nagle będę musiała, tak jak dziś, to mało prawdopodobne, by ktokolwiek stanął mi na drodze. Wszyscy byli doskonale świadomi, że magowie justycjariusze nie wyróżniają się miłym charakterem, więc niezbyt zalecane jest wkurzanie ich papierologią stosowaną...

Tak więc dostałam dokumenty do rąk i zaczęłam poszukiwania tych, które były mi potrzebne. O dziwo, bez skutku. Ani w rozkazach, ani w naganach, ani w wykazach wydatków dla różnych pułków, ani na żadnych innych listach nie pojawiło się nazwisko Laurinne. To znaczy: na pewno pojawiło się tam w ciągu ostatnich trzech lat, ale w danej chwili mój znajomy porucznik niezbyt mnie interesował. Potrzebowałam jego ojca, a akurat tego nie mogłam w żaden sposób odnaleźć.

Bardzo to wszystko dziwne. Niemożliwe, by człowiek szlacheckiego pochodzenia, który spędził ileś tam lat w gwardii, a na dodatek otrzymywał rentę – o czym nie raz wspomniano przy kolacji w zamku – nie występował w żadnych dokumentach. Chociaż... Za niektóre poważne wykroczenia oficerów karano właśnie w ten sposób – degradacją i usunięciem ze wszystkich oficjalnych dokumentów, jak gdyby nigdy nie istnieli na tym świecie. Czyżby właśnie coś takiego przytrafiło się staremu Laurinne'owi? Dlaczegoż by nie? Ale w takim wypadku w archiwum nie znajdę kompletnie nic. Co prawda nie sądziłam, by usunięte papiery niszczone, ale nie mogłam liczyć na to, że dostanę je tak po prostu do ręki. Zacząłby się cały proces urzędniczy, a ja musiałabym wymyślać powody, dla których te dokumenty są mi potrzebne. Szkoda marnować czasu. A zresztą miałam alternatywny sposób.

Oczywiście mój dziadek w ostatnich latach znacznie zwolnił tempo, ale, dziękować wszystkim bogom, nadal znajdował się w pełni władz umysłowych i nie zamierzał tego zmieniać. A dodatkowo miał prawdziwie fenomenalną pamięć i właśnie na nią liczyłam.

Okazało się jednak, że nie ma go w domu. Nie było w tym nic dziwnego. Choć już nie praktykował, bardzo często udzielał różnym ludziom konsultacji w najrozmaitszych dziedzinach (naturalnie nie charytatywnie). Jednak nigdy nie zniknął na długo, więc postanowiłam na niego poczekać, tym bardziej że po drodze przyszedł mi do głowy kolejny pomysł, wart sprawdzenia. Wizyta u dziadka natomiast była ku temu doskonałą okazją, ponieważ miał on w bibliotece mnóstwo map. Ot, takie hobby – zbieranie starożytnych lub po prostu starych map. Od wielu lat planował napisać pracę naukową na temat zmian w nazewnictwie obiektów pochodzenia naturalnego, ale miałam wrażenie, że nigdy się do tego nie zabierze. Tak czy siak, jego kolekcja naprawdę warta była uwagi. Pamiętam, że kiedy byłam dzieckiem, kochałam oglądać starożytne mapy oraz atlasy i porównywać pięknie wypisane nazwy rzek, jezior i gór sprzed trzystu lat z obecnymi. Ale aż tak stare mapy nie przedstawiały dziś dla mnie żadnej wartości, w zupełności wystarczał zwykły atlas podróżny, który akurat zbliżał się do stuletniego jubileuszu.

Kiedy po pewnym czasie do biblioteki wkroczył dziadek, zastał mnie leżącą na podłodze. Z głową opartą na ręce i melancholijnie pykając fajkę, przewracałam kartkę po kartce w poszukiwaniu tego, co mnie interesowało. W procesie poszukiwań nieco się zagalopowałam, więc zajęły mi więcej czasu, niż planowałam. Ale sprawa była całkiem ciekawa, w atlasie zaznaczono granice lasu, w którym skrywał się Zamek, wieś i drogę do niej! A na współczesnych mapach w tym miejscu były tylko zawijasy oznaczające pustkowie i bezdroża, a droga prowadziła nie do wsi, lecz zupełnie gdzie indziej. Nic dziwnego, że biedny poborca podatkowy zabłądził!

– Co tu robisz? Nie masz nic do roboty? – burkliwie zapytał dziadek, ogarniając spojrzeniem pogrom, jaki urządziłam w bibliotece. Niestety, jego zbiorom daleko było do biblioteki królewskiej, utrzymywanej w idealnym porządku. Tutaj wyciągnięcie czegokolwiek bez zrzucenia na siebie góry książek było wręcz niemożliwe.

– Czy nazwisko Laurinne nic ci przypadkiem nie mówi? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie. Dziadek marudził bardziej z przyzwyczajenia, a tak naprawdę cieszył się, że mam do niego jakąś sprawę, ponieważ świadczyło to, że nie dawałam sobie rady bez jego pomocy, co mile łechtало próżność mego kochanego krewnego.

– Oczywiście, że tak! – prychnął, rozsiadając się w fotelu. – To ten twój porucznik.

– Tyle to sama wiem – mruknęłam, przygryzając ustnik fajki. – A więcej nic sobie nie przypominasz?

Dziadek zamyślił się. Był wyraźnie zaciekawiony, ale nie chciał pytać, po co mi wiadomości o rodzie Laurinne. Pewnie czekał, aż sama wszystko opowiem. Oczywiście miałam zamiar zaspokoić jego ciekawość, ale nie od razu. Niech się chwilę pomęczy. On również często tak robił, więc możemy uznać to za cechę rodzinną.

– Pamiętam, że jakieś dwadzieścia lat temu, a może nawet więcej, pojawiła się przy dworze pewna panna Laurinne, arnaia – powiedział dziadek w końcu, po dłuższej chwili ruszania wargami. – Następnie wyszła za jakiegoś dworaka i zniknęła z widoku. Tak przy okazji, ten twój chłopaczek jest do niej bardzo podobny. Pewnie jakaś krewna w linii ojca, może ciotka.

– I tyle? – zdziwiłam się. – Więcej nikogo nie pamiętasz? Powinien być jeszcze jakiś oficer.

– Nie pamiętam – odparł dziadek z niezadowoleniem.

A to już było bardzo ciekawe! Jeżeli dziadek nie pamiętał oficera

nazwiskiem Laurinne, to jak najbardziej mogło się okazać, że oficer taki w ogóle nie istniał. Pamięć mojego dziadka była godna zaufania nawet bardziej niż królewskie archiwum.

W tym momencie natrafiłam w końcu na właściwą stronę w atlasie, odczytałam ozdobny napis i przeciągle gwizdnęłam. A więc to tak! Na mapie nie było żadnego majątku Laurinne'ów. To znaczy jakiś majątek był, ale wnioskując z mapy (której nie miałam powodów nie wierzyć), należał on do rodziny Lagarstów. Kompletnie nieznanе mi nazwisko, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło.

– Co tam takiego znalazłaś? – ponaglił mnie dziadek. Zżerała go ciekawość, ale nie miał najmniejszego zamiaru się do tego przyznawać.

– Czy nazwisko Lagarst cokolwiek ci mówi? – zadałam kolejne pytanie.

– Czy my dziś mamy sprawdzian z wiedzy na temat szlacheckich rodów Arastenu? – stęknął, niemniej jednak odpowiedział praktycznie bez namysłu: – Pamiętam go. O ile się nie mylę, arnai Ferenc Lagarst. Naprawdę wspaniały oficer, szkoda tylko... – zawahał się.

– Tylko co? – tym razem ja poczułam ciekawość.

– Tylko przed piętnastu laty zniknął bez śladu – mruknął dziadek. – Krążyły jakieś pogłoski, że ten Lagarst splamił swój honor. Wiesz sama, jaka za to grozi kara.

Faktycznie. „Splamienie honoru” to sformułowanie bardzo rozmyte, można pod nie podciągnąć naprawdę wiele rzeczy, ale w tej chwili nie to było istotne. Tak więc Ferenc Lagarst skazany został za splamienie honoru. Poważne oskarżenie... I karane właśnie pozbawieniem stopnia oraz przywilejów szlacheckich, jak również, w najlepszym razie, wygnaniem. W sumie można powiedzieć, że miał sporo szczęścia, że odesłali go tylko do rodzowego majątku, a nie poza granice kraju. Czyli tak: oficer Ferenc Lagarst zniknął, jak gdyby go nigdy nie było. A potem w stolicy pojawia się porucznik

Laurinne. leżeli oprzeć wnioski o obserwacje empiryczne, to nasz młodzieniec był synem wygnanego Ferenca Lagarsta.

Co zresztą tłumaczyłoby, dlaczego nawet szpadę miał z przydziału – zgodnie z zatwierdzoną procedurą szpadę rodową łamie się na szafocie, zamiast ściąć jej właściciela. Oczywiście piękny rytuał, ale prywatnie ciekawiło mnie, co robili dwieście lat temu, gdy powszechnie używano dwuręcznych mieczy? Ale mniejsza o to. Czyli nasz porucznik był potomkiem Lagarsta, ale występował pod cudzym nazwiskiem. Chociaż... dlaczego koniecznie cudzym? Wcale nie!

– No i...? – groźnie spytał dziadek, niezadowolony z przeciągającego się milczenia. – Co tam jeszcze wymyśliłaś?

– Widzisz... – Usiadłam na podłodze, krzyżując nogi. – Tamta panna Laurinne, którą pamiętasz, najpewniej nie jest dla naszego porucznika żadną krewną ze strony ojca, tylko matką.

– I co z tego? – zdziwił się dziadek. – Od kiedy to fascynuje cię genealogia podupadających rodzin szlacheckich? Czy to jakaś praca?

– Żadna praca. – Machnęłam ręką. – Ćwiczenie na wiedzę ogólną.

Zmyślny ten był oficer Lagarst! Ponieważ nie został mi przedstawiony, sama zaczęłam zwracać się do niego „arnai Laurinne”, ze zrozumiałych powodów zakładając, że ojciec porucznika powinien mieć to samo nazwisko, a on nie zaprzeczył. Co tam, żaden z nich nie zaprzeczył!

– Nie masz co robić?! – prychnął dziadek. – Tylko marnować czas na takie bzdury? A fe!

Rzeczona fraza oznaczała w jego przypadku skrajne niezadowolenie, ale tym razem nie miałam zamiaru wysłuchiwać jego gniewnych tyrad. I tak już wiedziałam prawie wszystko, co mnie interesowało, więc mogłam się pożegnać. Czyli co pozostawało? Żeby w jakiś sposób utrzymać rodzinę, syn zesłanego Lagarsta udał się do stolicy, przybrawszy nazwisko matki. Cóż,

wcale rozsądne i całkiem dopuszczalne wyjście, w wielu krajach rody liczy się w linii matki, a nie ojca. Chyba nikt nie zamierza kłócić się z tym, że dowolny człowiek jest zawsze dzieckiem swojej matki, niezależnie od tego, kto był jego ojcem? Zresztą w przypadku braku wzmocnienia linii dziedzicznej ojcostwo trzeba jeszcze umieć określić.

Tak więc nasz młody człowiek dostał się do gwardii, gdzie pewnie przyjęto założenie, że syn nie odpowiada za grzechy ojca. Miałam wrażenie, że wszyscy wyżsi stopniem doskonale wiedzieli, kim był naprawdę: arnaia kompletnie nieznanego pochodzenia zwykle dokładnie sprawdzano, więc prawda natychmiast zostałaby ujawniona. I Jego Królewska Mość również musiał wiedzieć – w końcu rozkazy podpisuje on. Temu konkretnemu rozkazowi musiało towarzyszyć jakieś pismo wyjaśniające sprawę. Mało prawdopodobne, by Arneliusz nie przypomniał sobie nazwiska, które swego czasu sam skreślał z listw...

W mojej głowie pojawiła się pewna wątpliwość, ale na razie nie mogłam dokładniej jej określić, więc zostawiłam sprawę do późniejszego przemyślenia. Tak naprawdę w całej historii zdziwiła mnie tylko dbałość Jego Królewskiej Mości o los Laurinne'a. Nijak nie pasowała ona do charakteru Arneliusza, a nie potrafiłam znaleźć żadnych obiektywnych przyczyn takiego zachowania. Poza tym troska ta była jakaś dziwna. Jeżeli założymy, że porucznik faktycznie był nieślubnym królewskim synem (choć prawdopodobieństwo tego określiłabym jako wręcz wyjątkowo niskie), to istniała cała masa sposobów, by lepiej zatroszczyć się o los potomka. I tu znowu przestawałam cokolwiek rozumieć...

ROZDZIAŁ 15

Kara

Moja kobyłka spokojnie klekotała podkowami po bruku, zmierzając w kierunku domu. Już dawno przyzwyczała się do tego, że raz na jakiś czas pani zapomina o wodzach, ale nigdy nie pozwoliła sobie na żadne wybryki. Co tu kryć, z tym koniem miałam dużo szczęścia.

Droga przebiegała obok koszar i ciekawym zbiegiem okoliczności mój wzrok trafił na znajomego kaprała. Wolni po dyżurze gwardziści – przeważnie młodszy oficerowie – sterczeli koło bramy, spędzając czas na pogwarkach. Co rusz słyszałam wybuchy śmiechu, chyba przedmiot dyskusji był dosyć pikantny. A kaprał wyraźnie nudził się na boku, nie biorąc udziału w ogólnej zabawie.

– Kaprału Iwas! – zawołałam. Biedak podskoczył, gapiąc się na mnie jak na ducha. No dobrze, zgadzam się, w nocy można się mnie przestraszyć, ale w środku dnia...?

– Dzień dobry, panno Naren – odparł w końcu. – Czego pani sobie życzy?

– Proszę przekazać porucznikowi Laurinne’owi, by natychmiast się u mnie zjawił. W najbliższym czasie będę go potrzebować.

– Przepraszam, panno Naren... – Kaprał wyglądał na zawstydzonego.

Gwardziści w pobliżu nadstawili uszu. – Obawiam się, że nie da rady...

– Co to znaczy: nie da rady? – zdziwiłam się. – Umiera, czy jak? Zaczyna mu to ostatnio wchodzić w nawyk!

– Nie, panno Naren, porucznik jest jak najbardziej zdrowy, tylko nie da rady przyjść – niepewnie ciągnął Iwas. – On... Znaczy...

– Niechże pan to z siebie wydusi! – zezłościłam się. – Zamiast się jąkać. Od Laurinne'a się pan nauczył czy jak?

– Pan Laurinne nie da rady przyjść – wypalił kapral i spojrzał na mnie z urazą.

– Bardzo ciekawe – wycedziłam. – A gdzie w takim razie znajduje się ten wzór wszystkich cnót?

– Był u siebie w mieszkaniu... – przyznał się kapral. Zaczęłam zawracać konia. – Panno Naren! Panno Naren, proszę poczekać! Pozwoli pani, że ją zaprowadzę...

Wzruszyłam ramionami.

– Znam drogę. Ale jeśli ma pan tak wielką ochotę, to proszę mnie dogonić.

Iwas pojawił się za moimi plecami bardzo szybko. Zamiast swojego karego wałacha dosiadał siwego wierzchowca. Może złapał pierwszego osiodłanego konia z brzegu, by nie tracić czasu.

Jechaliśmy w milczeniu. Kapral parę razy próbował rozpocząć rozmowę, ale nie reagowałam na zagajenia. Nie żebym była aż tak bardzo pogrążona w myślach, nawet na odwrót, ale po prostu nie miałam ochoty na pogawędkę, szczególnie z nim.

Po dotarciu do domu, w którym mieszkał porucznik, Iwas spróbował mnie jeszcze raz zniechęcić do odwiedzin, ale bez skutku. Po prostu odsunęłam nieboraka z drogi i weszłam na górę. Bezceremonialnie otworzyłam drzwi i moim oczom ukazał się piękny widok. Istotnie,

porucznik nie miał szans na samodzielne dotarcie do mojego domu.

Chłopak był pijany jak bela. Pod stołem zauważyłam kilka butelek z zielonego szkła. O ile Laurinne nie odziedziczył w ostatnich dniach jakiegoś majątku, mało prawdopodobne, by zawierały ortę. Było to zapewne jakieś najtańsze, ale niewątpliwie mocne świństwo.

– Ładne kwiatki... – mruknęłam, stojąc w drzwiach, po czym odwróciłam się do kaprała, który właśnie wszedł po schodach. – Iwasie, pan pewnie zna powód tej imprezy? Co się stało?

Zapytany umknął spojrzeniem, ale w końcu niechętnie odpowiedział:

– Wczoraj przyjechał kurier z domu.

– Złe wieści?

– Nie najlepsze... – Kaprał westchnął i wyraźnie zebrał się, by wyłożyć wszystko, co wiedział. – Siostra pana porucznika, panna Mia, przeziębila się i zmarła. W dwa dni się spaliła w febrze. A starszy pan z żalu po córce zmarł zaraz potem... Już pewno oboje pochowano, bo droga daleka i nim posłaniec dotarł, dużo czasu minęło...

– A co z drugą dziewczynką? – zapytałam szybko. – Leidą?

– Z nią chyba wszystko dobrze. – Przesądny kaprał nakreślił w powietrzu charakterystyczny znak, który miał chronić przed złem. Czyli Iwas był wyznawcą sławetnej Matki Noann. Nie miałam pojęcia, czy ta informacja kiedykolwiek mi się przyda, ale wolałam pamiętać takie drobiazgi. – Pisali nawet, że prawie przestała kuleć...

– Ach tak... – mruknęłam.

Interesujące. Ledwo zdążyłam się wtrącić, by odrobinę przyśpieszyć zdrowienie małej Mii, ona natychmiast łapie jakąś chorobę i umiera. Zaraz po niej odchodzi ojciec. Natomiast Leida jest cała i zdrowa, a nawet jej się polepsza. Bardzo ciekawe.

Ten łańcuszek zdarzeń naprowadził mnie na bardzo ciekawą myśl. Cały

szereg śmierci... Podobno właśnie w ten sposób działa zaklęcie kary, przez zwykłych ludzi nazywane przekleństwem. Jest to naprawdę dosyć niebezpieczna zabawka, którą stosuje się wyłącznie w celu ukarania tych, którzy złamali zasady i próbowali zgłębiać wiedzę zakazaną, na przykład nekromagię[2]. Niestety, do praktykowania nekromagii człowiek bynajmniej nie musiał być magiem – wystarczały zaklęcia z ksiąg (oczywiście zakazanych) oraz naładowane artefakty, które można kupić od każdego w miarę kompetentnego maga, nie wzbudzając przy tym najmniejszych nawet podejrzeń.

Właściwie nie są nawet skomplikowane, ale za to dosyć nieprzyjemne. Rzadko który z szanujących się magów będzie próbował czegokolwiek w tym kierunku, choć wydawałoby się, że powinna to być podstawowa specjalizacja chociażby magów–justycjariuszy. Sprawa nad wyraz banalna: przepytać ducha ofiary przestępstwa, by dowiedzieć się, kiedy i w jaki sposób została zabita. Faktycznie, nie byłoby to specjalnie trudne, nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, aby próbować czegoś podobnego. Niestety, adepci nekromagii zbyt drogo płacą za swoją wiedzę, a ja na razie zbyt wysoko ceniłam sobie zarówno życie, jak również parę innych rzeczy. Nie wierzę w większość bóstw wyznawanych na terenie naszego królestwa, ale nie oznacza to, że zaprzeczam możliwości ich istnienia. Powszechnie uważa się, że adept nekromagii przywołuje duchy nieżyjących, ale dla wyznawców Matki Noann taka teoria zupełnie nie ma sensu, ponieważ zgodnie z ich wierzeniami dusze zmarłych natychmiast przenoszą się do ciał istot dopiero co narodzonych. Pozostałe religie upowszechniają tezy o istnieniu światów pozagrobowych, do których udają się dusze nieżyjących, choć szczerze mówiąc, nie jest ich zbyt wiele. Jak dotąd nikt nie zdołał ustalić z całą pewnością, dokąd po śmierci człowieka przenosi się jego duch – czy dusza, jakkolwiek by nazwać. Teorii na ten temat istnieje nieskończona ilość, ale nie

dają się one sprawdzić, ponieważ z tamtego świata nikt jeszcze nie wrócił i nie opowiedział o swoich wrażeniach. A skoro tak, to powstaje ciekawe pytanie: kogo lub co przywołuje człowiek, decydując się złamać zasady i skorzystać z posiadanej mocy? Naprawdę dobre pytanie... Osobiście zawsze uważałam, że na taki zew przychodzą pewne niekoniecznie przyjacielsko nastawione istoty, dla których jest to jedyny sposób przekroczenia granicy między światami. A w tak szczytnym celu gotowe są udawać nie tylko ducha nieżyjącego wujka Forasa, ale nawet dziewiczą księżniczkę Ewellę, od której zgodnie z legendą wywodzi się obecna rodzina królewska Stalwii (co prawda jeśli mielibyśmy wierzyć dziennikom tamtejszego maga–justycjariusza, winić należy raczej przedsiębiorczego majordomusa oraz pewną dużą ławę, na którą udało mu się powalić przejrzałą księżniczkę).

Reasumując, mało tego, że przywoływane istoty raczej nie są przyjacielsko nastawione, to jeszcze Kolegium uważnie pilnuje, by wszyscy magowie bezwzględnie przestrzegali zakazu. Doskonale wiadomo również, jakie konsekwencje czekają osobnika, który ośmieli się go złamać: zaklęcie kary. Gwoli ścisłości, ono również należy do sztuk zakazanych i dlatego też żaden mag nie zna całości. Kilku członków Kolegium posiada po części zaklęcia, które przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Można je aktywować tylko wówczas, jeżeli zbierze się ich wszystkich razem. Pamiętam, że któregoś razu wynikła z tego dość absurdalna sytuacja, gdyż trzeba było ukarać maga, który właśnie kontrolował jedną z części. Nie pamiętam, jak Kolegium wtedy z tego wybrnęło, chyba zmusiło przestępcę do zdradzenia swojej tajemnicy specjalnie wybranemu następcy.

Niemniej zaklęcie kary nie jest stosowane tak po prostu, z byle powodu. I zwykle jego celem jest całkowite zniszczenie rodziny przestępcy.

Dlaczego właśnie ono przyszło mi do głowy? Cóż, wydarzenia w rodzinie Lagarst–Laurinne zbytnio przypominały działanie zaklęcia kary. Powiedzmy,

że Ferenc Lagarst rzeczywiście został oskarżony o pewne zakazane praktyki i na niego oraz jego rodzinę rzucono to zaklęcie. Jakieś trzy lata temu wyjątkowo potężny piorun niszczy wschodnią wieżę zamku, a pożar zabija najstarszego syna Lagarsta. On sam zostaje przy tej okazji ciężko okaleczony i prawie traci zdolność poruszania. Obie córki również ucierpiały. W jednym kawałku zostali tylko żona i najmłodszy syn. Co prawda żona umarła niedługo później, ale chyba po prostu nie zdołała podnieść się po tak strasznym ciosie. Sam Lagarst wiódł żałosny żywot, jego córki również. Powstaje pytanie: dlaczego nic nie stało się naszemu porucznikowi?

Rozwiązanie zagadki było banalne i doskonale pasowało do znanych mi faktów. Zaklęcie kary może zostać nałożone zgodnie z najprzeróżniejszymi parametrami. Zwykle przy jego użyciu niszczy się całą rodzinę. Ale można nieco ograniczyć działanie i wówczas zaklęcie zabije tych jej członków, w których żyłach rzeczywiście płynie krew przestępcy. Ferenc Lagarst był ciemnookim brunetem (choć mocno posiwiałym) i, o ile dobrze pamiętałam, oczy małej Mii były równie ciemne jak u ojca, a tymczasem mój znajomy porucznik miał szare oczy i jasne włosy i zgodnie ze słowami mojego dziadka był bardzo podobny do matki. Pozostawał jeden możliwy wniosek: Ferenc Lagarst nie miał nic wspólnego z poczęciem Laurinne'a. Najpewniej Leida również nie była córką Ferenca. A jej kalectwo... Prawdopodobnie obrażenia odniesione przez dziewczynkę były zupełnie przypadkowe. Fatalny upadek pomnożony przez to, że w okolicy nie było dobrego medyka. W przeciwnym razie albo od razu złamałaby kark zamiast nogi, albo podzieliła los Mii: zaklęcie kary jest podstępne i czując, że stan ofiary się polepsza (że też musiałam się wtrącić!), natychmiast upomniało się o swoje. Krwi Lagarsta na tym świecie być nie powinno, koniec i kropka.

Ciekawostka! Gdybym jeszcze miała sposób na potwierdzenie tych wszystkich wniosków...

– Kapralu, proszę mi powiedzieć – rzuciłam – na pewno zna pan Laurinne’a już wiele lat... Czy porucznik bardzo jest podobny do matki?

– Prawie jak odbicie w lustrze, panno Naren – chętnie odparł Iwas. – I panna Leida też była do niej strasznie podobna... A pan Lucjusz i panna Mia to w ojca poszli.

– Lucjusz to starszy brat tego tu... zewłoka? – Machnęłam głową w kierunku nieprzytomnego porucznika. Zanotowałam też, że Iwas nie tytułuje swojego pana arnaim, czyli pewnie dostał wyraźny rozkaz, by milczeć o jego pochodzeniu.

– Właśnie. – Iwas posmutniał. – Zginął pan Lucjusz, w pożarze zginął. I mały panicz razem z nim... a taki był zabawny szkrab, też cały w ojca!

– Proszę poczekać – przerwałam mu. – Kto tam jeszcze zginął? I ile dzieci łącznie miał Ferenc?

– Przecież mówię – ciągnął Iwas. – Pan Lucjusz był najstarszy, po nim mój pan, panna Leida, panna Mia i mały panicz Lenn. On dopiero co dwa latka skończył. Jak zamek zapłonął, to pani go wyciągnęła z łóżeczka i uciekła. Sama przeżyła i małego uratowała, tylko że się przeziębził i tydzień później już nie żył.

– A kto jeszcze zginął w pożarze?

– Jeszcze... – Kaprał zastanowił się. – Jeszcze syn kucharki, pomagał wyciągać rzeczy i schody pod nim runęły. Całkiem młody chłopak... i... znaczy się... ludzie gadali, że też był pana Ferenc synem. Co by nie mówić, faktycznie bardzo podobny, ale jego matka trzymała język za zębami.

No cóż, to również potwierdzałoby moją teorię. Mały Lenn umarł prawie natychmiast po pożarze. Dla zaklęcia kary najważniejsi są potomkowie płci męskiej, nieważne, czy z prawego łóża, czy nie... Dziewczynki zawsze liczyły się w mniejszym stopniu, przynajmniej dopóki nie miały szansy na znalezienie męża i przekazanie przeklętej krwi potomkom. Czyli na razie

wszystko pasowało. Teraz należało sprawdzić jeszcze kilka szczegółów...

– Iwasie, niech pan wyjdzie – rozkazałam.

– Ale...

– Niech pan wyjdzie.

Kapral nie ośmielił się dłużej protestować.

Wyrzuciwszy go za drzwi, zastosowałam wobec biednego porucznika proste, ale bardzo skuteczne zaklęcie, które w żargonie magomedyków nosi nazwę „trzeźwiak”. Działa natychmiast, ale, niestety, jest bardzo bolesne, więc młodzieniec zagwarantowaną miał raczej nieprzyjemną pobudkę.

Cierpliwie poczekałam, aż otworzy oczy i poradzi sobie z chęcią zostawienia wnętrzości na najbliższej zasłonie, po czym spytałam troskliwie:

– Poruczniku, żyje pan?

– Chyba... – mruknął niepewnie, po czym spojrzał na mnie i otworzył usta ze zdumienia. – Panno Naren?! Pani tutaj... skąd?...

– Nieważne – odparłam. – Laurinne, ja tu potrzebuję pomocy w pewnej sprawie i znajduję pana w tak obrzydliwym stanie... nie wstyd panu?

Na twarzy młodzieńca wypisane było, że wstyd, ale nie aż tak bardzo, by błagać o wybaczenie. Przynajmniej tyle dobrego.

– Dobrze. Zapomnijmy o tym. Niech mi pan lepiej powie, dlaczego rozpoczął służbę pod cudzym nazwiskiem?

Sądząc z tego, jak śliczny buraczkowy kolor przybrała twarz mojego rozmówcy, trafiłam w czuły punkt.

– No dobrze, nie do końca pod cudzym – sprecyzowałam. – To jest panińskie nazwisko pańskiej matki, czyż nie?

– Tak... – odburknął Laurinne i spuścił głowę, kontemplując podłogę pod swoimi stopami. – Skąd pani wie?

– Użyłam głowy – mruknęłam. – Poruczniku, wiem o nieszczęściach pańskiej rodziny i bardzo panu współczuję.

Obawiam się, że wypadłam niezbyt przekonująco, ale Laurinne podniósł głowę i zapatrzył się na mnie, jak gdyby oczekując wsparcia.

– Teraz ma pan tylko jedną siostrę – powiedziałam z naciskiem.

– Tak... boję się o nią... – przyznał.

– Nie ma się pan czego bać – westchnęłam. – Poruczniku, wie pan, że pański ojciec... mam na myśli Ferenc Lagarsta, został zesłany?

– Tak – odparł młodzieniec i dodał, jak gdyby nie zauważając mojego celowego doprecyzowania: – On nie był moim rodzonym ojcem.

– O, czyli pan wie? – przyjemnie się zdziwiłam.

– Tak... – Laurinne zapatrzył się na swoje ręce. – Matka... powiedziała mi przed śmiercią... Jestem bękartem. Ferenc Lagarst nie był moim ojcem. Cały czas starałem się nie wygadać. Żeby on się nie domyślił, że wiem.

– Cóż, dzięki temu pan ocalał. – Wzruszyłam ramionami. – Więc ja bym nie narzekała. Do nazwiska matki ma pan pełne prawo, tak więc...

– Wszyscy zginęli... – cicho poskarżył się Laurinne. – Wszyscy... Zostaliśmy tylko ja i Leida. Ona jest tam sama i... Boję się o nią.

– Nie ma pan powodów – odparłam. – Wyglądacie prawie identycznie. Podejrzewam, że matka nie powiedziała panu całej prawdy. Wydaje mi się, że Ferenc nie miał również żadnego związku z narodzinami Leidy.

– Naprawdę? – Laurinne podniósł głowę, a w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania. – Ale... to, co się stało... Przecież wszyscy albo zginęli, albo zostali poranieni w pożarze, tylko ja i mama wyszliśmy bez szwanku. Powiedziała, że to dlatego, że żadne z nas nie miało w sobie krwi Lagarstów, że to przekleństwo, zły los... Ale co w takim razie z Leidą? Bo ona przecież złamała nogę...

– Wydaje mi się, że pańska matka sama do końca nie wiedziała, komu

zawdzięcza starszą córkę, czy Ferencowi Lagarstowi, czy może pańskiemu nieznanemu ojcu – rzuciłam, uznawszy, że nie ma po co wchodzić w szczegóły zaklęcia kary. Nie miałam pojęcia, czy Laurinne miał świadomość ciężących na Lagarście oskarżeń o praktykowanie zakazanej magii, a jeśli nie, to nie zamierzałam tego zmieniać. – I dlatego nic panu o niej nie powiedziała, po prostu nie była pewna. Ale ja uważam, że to złamanie było czysto przypadkowe. Obawiam się, że w przeciwnym razie już podążyłaby śladem Mii.

– Czyli... – Porucznik spojrział na mnie z nadzieją. – Czyli na Leidę nasze przekleństwo nie zadziała? Skoro ona również nie jest tak naprawdę z Lagarstów?

– Najpewniej. – Skinęłam głową. – Na pańskim miejscu ściągnęłabym dziewczynkę gdzieś bliżej siebie. Wie pan, w stolicy istnieje szkoła z internatem dla panien z dobrego domu. Mam wrażenie, że pańskie środki powinny wystarczyć, by zapłacić za pobyt Leidy w tej instytucji. Przeważnie uczą tam oczywiście panny szpetne i bez posagu, ale warunki są naprawdę nie najgorsze. Celem jest wychowanie przyzwoitek dla bogatych dam.

– Przecież Leida nie ma posagu – głucho rzucił Laurinne. – I do tego jeszcze kuleje...

– Lepiej być dobrze opłacaną przyzwoitką, niż na zawsze utknąć w prowincjonalnej głuszy – ucięłam zimno. – Ale to pańska sprawa.

– Pewnie ma pani rację, panno Naren – mruknął Laurinne. – Trzeba zabrać Leidę tutaj... Ale co z majątkiem? Sługami? Jak oni sobie poradzą? Nie będę mógł im pomagać...

– To już pański wybór – odparłam. – Albo sługi, albo siostra. Koniec końców oni zawsze mogą wrócić do wsi, z których pochodzą. Ma pan tam dosyć ziemi pod uprawy, nie zginą z głodu.

– Tak, oczywiście... – Laurinne ponownie opuścił głowę i zdawało się, że

popadł w głębokie zamyślenie.

– No cóż, poruczniku, nie będę panu przeszkadzać – stwierdziłam, ruszając do drzwi. – Gdy już dojdzie pan do siebie, proszę do mnie zajrzeć, mam dla pana zadanie.

Oczywiście nic dla niego nie miałam, a zakończyłam rozmowę w taki sposób wyłącznie dlatego, że umysł ludzki najlepiej zapamiętuje ostatnie wypowiedziane zdanie. Wcale nie potrzebowałam, by Laurinne myślał, że celem mojej wizyty było wyłącznie wypytanie o jego rodzinną klątwę. W razie czego wymyślę dla niego jakieś zajęcie, to niezbyt skomplikowane.

Ogólnie można było powiedzieć, że sytuacja się wyklarowała. Pozostawał tylko mały szczegół, który jednak udało mi się doprecyzować po dwóch dniach, kiedy wezwano mnie do pałacu królewskiego w celu przydzielenia kolejnego zadania. Cóż, dłuższe siedzenie bez pracy jak zwykle mi nie groziło.

Zapoznałam się ze sprawą, a okazała się ona na tyle osobista, by Jego Królewska Mość uznał za stosowne opowiedzieć mi o niej w cztery oczy, i to nie w swoim gabinecie, lecz w parku, na otwartej przestrzeni. No dobrze, żaden mag nie miałby najmniejszego problemu z podsłuchaniem nas, ale zwykły człowiek nie miałby takiej okazji. Najwidoczniej Arneliusz był pewien swoich magów, ale już nie zwykłych dworaków.

Tak czy inaczej, rozmowa nie zajęła zbyt wiele czasu. Przed pożegnaniem chciałam zadać królowi pewne pytanie, ale uprzedził mnie.

– Panno Naren, nadal ciekawi panią tamta stara historia? – zapytał jak gdyby nigdy nic.

– O jakiej historii Wasza Królewska Mość mówi? – udałam, że nie rozumiem. – Zresztą... Chodzi o porucznika Laurinne'a?

– Właśnie – skinął głową Arneliusz, patrząc na mnie uważnie.

– Nie, Wasza Królewska Mość, ta historia już nie jest dla mnie

interesująca – westchnęłam. – Rozwikłane zagadki tracą cały urok.

– Ach tak? – Król uniósł brwi. – W takim razie chciałbym wiedzieć, do czego udało się pani dogrzebać.

– Proszę bardzo. – Wzruszyłam ramionami i w skrócie opowiedziałam odtworzoną przeze mnie kronikę zdarzeń, zaczynając od momentu zesłania Ferencza Lagarsta i kończąc na dniu dzisiejszym.

– Cóż, panno Naren, należą się pani gratulacje – cicho powiedział Arneliusz, gdy skończyłam. – Doszła pani do absolutnie właściwych wniosków.

– Ani przez chwilę w to nie wątpiałam – odparłam bez przesadnej skromności. – Ale nie będę ukrywać, że w całej sprawie pozostał jeszcze jeden niewyjaśniony element. Nie powiedziałabym, że kluczowy, ale niewątpliwie należałoby go uznać za istotny.

– I cóż to za element? – zapytał król.

– Wasza Królewska Mość, nie do końca rozumiem waszą rolę w całej historii – odparłam. – Wydaje mi się, że kryją się za tym jakieś motywy osobiste, ale, niestety, nawet nie mogę zgadywać, jakie konkretnie.

– I oczywiście oczekuje pani, że z ręką na sercu wyłożę wszystko ze szczegółami – rzucił ironicznie.

– Nie śmiem mieć nadziei na taką uprzejmość z waszej strony. – Lekko skłoniłam głowę.

Arneliusz był bardzo interesującym rozmówcą, szczególnie gdy przestawał zachowywać się jak zapatrzony w siebie przedstawiciel starożytnej dynastii panującej i stawał się zwykłym człowiekiem: mądrym, czarującym, trochę ironicznym i chyba niezbyt radosnym. W takich chwilach zapominałam, że niezależny mag–justycjariusz chlubi się tym, iż nie chyli czoła ani przed królem, ani nawet przed cesarzem, i zachowywałam się stosownie do okoliczności. Teraz wyraźnie należało się pohamować i

zapewnić rozmówcę o swoim szacunku.

– No dobrze – powiedział nieoczekiwanie. – Ostatecznie to i tak już nikogo nie interesuje. Chyba tylko panią, panno Naren. – Zamilkł na chwilę. Szliśmy alejką, a on strącał laską puchate główki obłoczniaków, które bezczelnie wyrastały tu i ówdzie mimo ciągłych wysiłków tępiących je ogrodników. – A poza tym to żadna tajemnica. Widzi pani... dwadzieścia... tak, dwadzieścia dwa lata temu zobaczyłem na balu wiosennym pewną dziewczynę, dla której straciłem głowę jak jakiś smarkacz. Zresztą przecież ja wtedy byłem smarkaczem. A ona miała na imię Magea. Magea Laurinne.

Z trudem powstrzymałam cisnące się na wargi przeciągłe gwizdnięcie. Jednak los czasami potrafi wywinąć numer!

– Pochodziła z niezbyt bogatej rodziny – ciągnął król. – Bardzo stary, ale biedny, gasnący ród. Była jedyną córką. Nie piękność, ale miała w sobie to coś. Jakimś cudem rodzina załatwiła jej miejsce na dworze, pewnie wykorzystując przy tym wszystkie posiadane koneksje... – Arneliusz ponownie przerwał na chwilę, a potem kontynuował: – W tamtych czasach byłem już żonaty, ale nawet gdyby nie, nikt by mi nie pozwolił ożenić się ze zubożałą szlachcianką. Panno Naren, pewnie nie pamięta pani mojego ojca...

– Dlaczego nie? Pamiętam doskonale – odparłam. – Co prawda w tamtych czasach stale mieszkałam na północy, ale i tak miałam honor zostać przedstawiona Jego Królewskiej Mości Arastowi Trzeciemu.

Arneliusz popatrzył na mnie z konsternacją, a ja odpowiedziałam ironicznym spojrzeniem. Nie, i tak nie domyśli się, ile ja tak naprawdę mam lat. Zresztą nawet gdyby odgadł, to fakt ten mnie zbytnio nie wzruszy. Magowie żyją znacznie dłużej niż zwykli ludzie, więc właściwie znajdowałam się teraz w połowie młodości.

– No dobrze, w takim razie powinna pani wiedzieć, że miał on dosyć gwałtowny temperament – ciągnął król. – Oczywiście mnie osobiście nic nie

groziło, ale Magea wraz z całą jej rodziną mogli raz–dwa znaleźć się na zesłaniu. Wystarczyłaby zaledwie plotka głosząca, że mam zamiar się z nią ożenić. Zresztą zesłanie wcale nie byłoby takie najgorsze... Ale to już moje domysły. A przecież i tak byłem żonaty. – Król skrzywił się. Wszyscy doskonale wiedzieli, że nie przepadał za swoją żoną, jej wysokością Rameą – kobietą postawną, władczą i tak brzydką, że samo w sobie wydawało się to pociągające, co czasami zdarza się przedstawicielkom bardzo starożytnych rodów. – Magea mogłaby zostać moją faworytą, ale nigdy nie odważyłem się poruszyć tego tematu w jej obecności.

Przyznam, że to mnie zdumiało. Jego Królewska Mość Arneliusz, znany bawidamek, którego w tej materii potrafił przebić wyłącznie obecny arksiążę[3], przestraszył się młodziutkiej panny?

Król uśmiechnął się, widząc wyraz niedowierzania na mojej twarzy.

– Ano właśnie, panno Naren, proszę się tak nie zdumiewać. Tak właśnie było. Zaproponować Magei coś takiego? O nie. To byłoby jak świętokradztwo. Oczywiście, mimo że była dobrze wychowaną panną, doskonale rozumiała, co dzieje się na dworze, jednak niemniej... Mówię przecież, coś takiego w niej było, można powiedzieć, że specyficzna duma. – Arneliusz spojrział w górę, na splatające się nad ścieżką gałęzie drzew. – A potem wyszła za Ferenca Lagarsta. Był od niej znacznie starszy, ale nie miał problemów finansowych i w ogóle był jednym z najlepszych oficerów korony. Kiedy oświadczył się Magei, jej rodzice byli zachwyceni. Wydaje mi się, że ona sama go nie kochała, ale nie próbowała się sprzeciwić. Zostali w stolicy. Rok później Magea urodziła syna, chyba Lucjusza. Po kolejnych dwóch latach następnego. Już nigdy nie wróciła na dwór, ale dochodziły mnie wieści, że była całkiem zadowolona z życia. I próbowałem o niej zapomnieć.

Zapomnieć Jego Królewska Mość próbował tak uparcie, że jego ojciec na

wieść o kolejnym wysoku syna (rozebrał posła sojuszniczego kraju i wypuścił go nagiego na mróz, czy też urządził coś w podobnym stylu) zakrztusił się podczas spożywania obiadu i zmarł. Jak na złość w pobliżu akurat nie było żadnego medyka, nawet takiego zwykłego, nie mówiąc już o magu. A nim ktoś pobiegł i onego sprowadził, było już za późno. Arneliusz odziedziczył koronę, po czym się ustatkował, skończył z imprezowaniem i zmienił się w przykładowego ojca rodziny.

– A po kolejnych czterech latach Ferenc Lagarst stracił stopień oficerski i został skazany na dożywotnie zesłanie do majątku oraz pozbawienie tytułu – ciągnął Arneliusz.

– Co on w ogóle takiego zrobił? – spytałam cicho.

– Ciemna i brudna historia. – Król machnął ręką. – Uwiódł dziewczynę, córkę jednego ze swoich przyjaciół, miała chyba piętnaście lat. A potem oczywiście porzucił, gdy tylko okazało się, że panna oczekuje dziecka. Pojęcia nie mam, jak on miał zamiar się z tego wykręcić. Może miał nadzieję, że ona będzie milczeć? Tymczasem dziewczyna popełniła samobójstwo, ale zostawiła liścik, w którym winiła za wszystko Lagarsta.

W tym momencie mogłam tylko pokręcić głową. Jaka szkoda, że w tamtych czasach nie było mnie w stolicy! Niestety, przeniosłam się tutaj dopiero przed dziesięciu laty, gdy dziadek poinformował mnie, że już nie radzi sobie z obowiązkami, więc jako jego uczennica i następczyni powinnam bezwzględnie objąć stanowisko maga–justycjariusza, i wymusił na mnie przenosiny ze Stalwii do Arastenu.

– I sąd wydał wyrok na podstawie tak niepewnych dowodów? – spytałam. – Kto może wiedzieć, co tej panie przyszło do głowy! Liścik... A gdzie dowód, że to w ogóle ona pisała?

– Mniej więcej to samo usłyszałam od pani wielce szanownego dziadka, panno Naren – uśmiechnął się Arneliusz. – Jak tylko dowiedział się o całej

sprawie. Muszę przyznać, że rzadko miewałem okazję zobaczyć go aż tak wściekłego. Niestety, gdy sprawa się wydała, nie miałem czasu na przeprowadzenie dochodzenia, oficerowie gwardii po prostu oszaleli i żądali natychmiastowego wyroku, a pan Naren jak na złość akurat wyjechał z miasta. Miałem w tamtej chwili trochę innych problemów i zbuntowana gwardia dodatkowo nieszczególnie mnie urządziła. – Król chyba dostrzegł cień sceptycyzmu w moich oczach, ponieważ dodał: – Panno Naren, niech pani mnie źle nie zrozumie. Nie próbowałem pozbyć się Ferenca Lagarsta. Był doskonałym oficerem, ceniłem go, a podwładni darzyli szacunkiem. To, że ożenił się z Mageą, nic a nic nie zmieniało. Nie był dla mnie rywalem i nigdy nie zniżyłbym się do tego, by mścić się na nim w podobny sposób, tym bardziej po tylu latach. Westchnęłam. Cóż, byłam skłonna uwierzyć Arneliuszowi. Prędzej wyzwałby Lagarsta na pojedynek i przy dziesięciu świadkach zrobił z niego sito, ale to również przeprowadziłby od razu – za młodych lat Jego Królewska Mość nie grzeszył nadmiarem cierpliwości. Mściwość, i to jeszcze w tak wrednym stylu, stanowczo była dla niego zupełnie nietypowa i gotowa byłam z pełną świadomością podpisać się pod tym stwierdzeniem.

– Magea przyjechała błagać o łaskę dla męża – rzucił król, patrząc w bok. – Wzięła ze sobą dzieci. Prosiła o ułaskawienie... Gdyby zaczęła płakać i padła mi do stóp... Nie wiem, co bym zrobił. Ale ona była tak samo dumna, nie próbowała się poniżyć. Po prostu prosiła... A ja patrzyłem na jej dzieci. Wie pani, panno Naren, już wtedy domyśliłem się, że młodszy syn nie jest dzieckiem Ferenca. – Spojrzał na mnie z ukosa. – Lagarstowie to starożytny ród, a wie pani, że takie dziedziczne linie są często magicznie wzmacniane.

– Dokładnie tak samo jak królewska – dodałam. – Również o tym myślałam.

– Tak więc starszy chłopiec wyglądał jak młodsza kopia Ferenca –

ciągnął Arneliusz. – A młodszy był ogromnie podobny do matki. Patrzyłem na nich i myślałem, że mogliby być moimi synami, gdyby wszystko ułożyło się inaczej.

– Ale Wasza Wysokość nie uratował Lagarsta – skomentowałam. – Został pozbawiony wszystkiego.

– Uratowałem mu życie – odparł Arneliusz. – Nic więcej nie można było zrobić. Co prawda wielu szeptało po kątach, że szafot byłby lepszy niż taki los, ale ja wiedziałem, że Ferenc bardzo kochał życie. Poza tym nadal miał swój zamek, Mageę i dwójkę dzieci. Kochał chłopców i wszyscy o tym wiedzieli. Wyjechali całą rodziną i od tamtej pory nie widziałem już ani jej, ani jego.

Zastanowiłam się chwilę. O ile mogłam zgadnąć, Leida miała czternaście lat. Mało prawdopodobne, by ten tajemniczy kochanek odwiedzał Mageę w majątku męża, co oznaczało, że wyjeżdżała ze stolicy, będąc już w ciąży. Było to mało istotne, ale mimo wszystko trochę mnie ciekawiło, kim był tamten mężczyzna.

– A trzy lata temu Lagarst został oskarżony o praktykowanie nekromagii, zgadza się? – powiedziałam głośno.

– Tak – potwierdził Arneliusz. – Tym razem dowodów było więcej niż dosyć. Ferenc zainteresował się jakimiś zakazanymi rytuałami... Sprawę badała komisja z Kolegium. O ile pamiętam, wtedy akurat znajdowała się pani w dłuższej podróży.

– Tak czy siak, nie mam uprawnień, by samodzielnie badać takie sprawy – westchnęłam.

Ciekawe, o czym Lagarst chciał rozmawiać z umarłymi. Może pragnął czegoś się dowiedzieć? Na przykład tego, kto zrobił go w tamtą podejrzaną historię z panną... Z jakiegoś powodu miałam dosyć silne przeczucie, że był niewinny. Ot, widzicie państwo, taka luźna myśl po osobistym poznaniu

rzeczonego osobnika. Oczywiście minęło sporo czasu, ludzie się zmieniają, ale mimo wszystko nie wyglądał mi na człowieka zdolnego zawrócić w głowie młodej pannicy, na dodatek córce przyjaciela, po czym przestraszyć się i dziewczynę porzucić, nie pomyślawszy nawet o konsekwencjach. Oczywiście nie miałam żadnych dowodów, ale byłam przyzwyczajona ufać swojej intuicji.

Swoją drogą, ciekawe, dlaczego Ferenc aż tyle czekał? Nie miał możliwości pozyskania potrzebnych ksiąg i artefaktów? Całkiem prawdopodobne... Sam nie miał prawa opuszczać majątku, ale w tamtych czasach jego starszy syn był już wystarczająco dorosły i można go było wysłać do miasta po wszystko, co potrzebne. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że w nekromagię ojciec i syn bawili się razem. Mało tego, to właśnie Lucjusz mógłby okazać się podżegaczem i właśnie dlatego to on zginął jako pierwszy. Chociaż z drugiej strony – nieślubny syn Ferenc również zginął, a mało prawdopodobne, by i jego wciągnęli do zakazanych praktyk. Niestety, dowodów brak, niczego więcej nie wymyślę...

– Kolegium wydało wyrok, standardowy w takich przypadkach – ciągnął Arneliusz. – Zniszczyć całą rodzinę, do ostatniego człowieka.

– Ale jednak udało wam się kogoś uratować – napomknęłam.

– Owszem. Wydawałoby się, że to niewielkie zastrzeżenie, ale jednak bardzo wiele zmieniło. Musiałem wtedy wyklócać się prawie do ochrypnienia, ale sprawa była tego warta. Wiedziałem, że przynajmniej Magea i jedno z jej dzieci będą żyli...

– Dwoje – rzuciłam. – Starsza dziewczynka również nie jest córką Lagarsta.

– Niezgorzej! – Arneliusz chyba niezbyt się zdziwił. – Tak więc udało mi się przekonać przedstawicieli Kolegium. A dalej... Dalej, po mniej więcej pół roku, w stolicy pojawił się ten dzieciak. Oczywiście otrzymałem stosowny

meldunek, w końcu majątku pilnowano. Pamiętam, że przedstawiciele Kolegium długo debatowali, dlaczego zaklęcie nie zadziałało od razu. Zgodnie z ich zamysłem wszyscy, w których płynęła krew Lagarsta, powinni zginąć natychmiast, a jak na złość niektórzy pozostali przy życiu. Tylko nie Magea...

– Kolegium również popełnia błędy. – Wzruszyłam ramionami. – Możliwe, że wszystko poszło nie tak właśnie przez to wasze „zastrzeżenie”. Tak więc chłopak pojawił się w stolicy i...?

– Podpisałem rozkaz o wcieleniu go do gwardii – Arneliusz mówił cicho. – Miał dość rozsądku, by podać nazwisko matki, i nikt się niczego nie domyślił. Oczywiście oprócz tych, którzy wiedzieć musieli z racji zajmowanego stanowiska. Ale oni z kolei mają w zwyczaju trzymanie języka za zębami.

– A poza tym Wasza Królewska Mość wyznaczył rentę dla Ferenc Lagarsta – dodałam.

– Żyli w prawdziwej biedzie – powiedział król, jak gdyby próbując się usprawiedliwić. – Powinna pani zobaczyć tego dzieciaka, w chwili gdy przyjechał do miasta. I tak nie opływali w dostatki, a po tym pożarze... – Machnął ręką. – Ale to było wszystko, co mogłem dla nich zrobić. Czy raczej nie mogłem NIE ZROBIĆ.

– Lepiej odrobina niż absolutnie nic – westchnęłam. – No cóż... Zaklęcie kary zakończyło swoje działanie.

– Czyli...? – Arneliusz uniósł brwi.

– Nikt jeszcze nie złożył meldunku? – teraz z kolei ja się zdziwiłam. – Kilka dni temu umarła Mia Lagarst, a zaraz po niej również Ferenc. Tak że z całej rodziny zostali tylko nasz porucznik i Leida.

– A więc to tak... – mruknął. – No i dobrze...

– Ale jednak, dlaczego Wasza Królewska Mość wyznaczył Laurinne’a na

mojego towarzysza? – spytałam.

– Ach, to – westchnął Arneliusz. – Po pierwsze, żeby możliwie jak najrzadziej widywać go w pałacu. W końcu gwardziści pełnią rolę straży honorowej i co rusz wpadałem na tego dzieciaka. A on jest zbyt podobny do Magei...

„I to wszystko?” – zdziwiłam się w duchu. No kto by pomyślał!

– A po drugie?

– A po drugie, żeby nie wpakował się w jakąś głupią historię – odpowiedział Arneliusz. – Pewnie pani już zauważyła, że porucznik Laurinne jest mistrzem we wpadaniu w tarapaty?

– Oj, tak, zauważyłam. – Uśmiechnęłam się krzywo. – I Wasza Królewska Mość uważa, że w mojej obecności będzie rzadziej wpadał w rozmaite dołki? Czy może ja miałabym go z tych dołków wyciągać? Przepraszam, Wasza wysokość, ale nie jestem niańką. Ośmielę się przypomnieć, że jestem niezależnym magiem–justycjariuszem.

– Hm... – Arneliusz spojrział na mnie z ukosa. – Przepraszam, panno Naren, nie najlepiej się wyraziłem. Miałem na myśli to, że kipiąca energia, która jest nieodłączną cechą młodości, często powoduje, że pan porucznik wpada w tarapaty. A znajdując się obok pani, jest zajęty czymś pożytecznym.

– Czyli, innymi słowy, próbuje Wasza Królewska Mość skierować jego energię na coś konstruktywnego. Jakie to czarujące. Mądra decyzja, jak zwykle zresztą. No cóż, pozwoli Wasza Królewska Mość, że wrócę do siebie.

– Wszystkiego najlepszego, panno Naren. – Nawet jeżeli rozmówca zauważył ironię w moich słowach, zdecydował się tego nie komentować.

Ruszyłam dalej alejką, a Arneliusz pozostał w miejscu, oglądając liście jakiegoś krzewu. W tej chwili zupełnie nie przypominał króla, tylko zwykłego niemłodego już i zmęczonego życiem człowieka, który, jak się właśnie okazało, zdolny był do nieoczekiwanych decyzji pod wpływem

emocji. Miałam wrażenie, że naprawdę kochał Mageę Laurinne. Szkoda tylko, że jedynie w bajkach królowie mają prawo do szczęśliwych miłości...

ROZDZIAŁ 16

Delikatna sprawa

Zaimprovizowane śledztwo nie przyniosło mi nic prócz satysfakcji moralnej z własnych zdolności. Czasami ordynuję sobie taką gimnastykę umysłową w ramach tak zwanych korzyści niewymiernych. Szczerze mówiąc, dane o nieżyjącej królewskiej ukochanej były dla mnie kompletnie bezwartościowe. Ale z drugiej strony teraz przynajmniej wiedziałam, czemu zwalono mi na kark tego pechowego porucznika, a to można było uznać za plus. Po chwili namysłu stwierdziłam, że pewnie sam los postanowił pokierować sprawami w ten sposób, więc nie powinnam się na niego skarżyć. Nie żebym się nie odważała rzucać mu wyzwania, po prostu w tym przypadku nie wkładałam w śledztwo wiele serca. No dobrze, mogłam się zaprzeć i zażądać innego towarzysza. Gdybym wyraziła tę prośbę z wystarczającym naciskiem, to najpewniej Jego Królewska Mość by ją spełnił, ale raczej bez zachwyty, więc w nagrodę za swój upór dostałabym pewnie kolejnego kretyna w charakterze eskorty, na dodatek psując sobie stosunki z Arneliuszem. Z dwojga złego naprawdę prościej było znieść towarzystwo Laurinne'a. Tym bardziej że ostatnimi czasy chyba trochę się dotarł w moim towarzystwie i już nie wyprowadzał mnie z równowagi tak bardzo jak przedtem. Poza tym warto pamiętać, że dowiedział się wielu rzeczy, o których teoretycznie wiedzieć nie powinien, co oznaczało, że należy go mieć na oku. Nawet nieszczególnie się bałam, iż może zdradzić komuś jakieś

tajemnice, w końcu trzymanie języka za zębami było jedną z niewielu rzeczy, które naprawdę potrafił. Ale mimo wszystko, jeżeli do chłopaka dobiere się dostatecznie wyszkolony mistrz odpowiednich sztuk, to informacje poleją się z niego strumieniem. Zresztą mogło się okazać, że w przypadku porucznika wystarczyłyby nawet znacznie prostsze metody. Kto go tam wie, ale... Jakoś nie ciągnęło mnie, żeby sprawdzać. Nie ma to jak niespodzianki!

Tak czy inaczej, nie spodziewałam się w tej chwili żadnych zadań poza miastem, więc spokojnie pracowałam sobie w jego obrębie i byłam z tego faktu całkiem zadowolona. Bieżący rok obfitował we wszelakie wyjazdy, więc wyjątkowo cieszyłam się z okazji spędzenia choć paru tygodni w jednym miejscu. Kocham podróże, ale we wszystkim trzeba znać umiar!

Oczywiście wystarczyło, bym zaczęła rozmyślać na ten temat, a już następnego dnia do bramy zapukał goniec ubrany w królewskie kolory. Tego tylko brakowało! Co się znów mogło stać w pałacu?

Tym bardziej się zdziwiłam, gdy stwierdziłam, że list nie został opieczętowany przez Arneliusza. Zresztą Jego Królewska Mość nigdy nie pisywał do mnie listów i wolał omawiać wszystkie sprawy osobiście. Był to całkiem rozsądny środek ostrożności: niezależnie od stopnia wierności i oddania gońca dookoła zawsze jest zbyt wielu ludzi gotowych na wszystko, by choć jednym okiem zajrzeć do królewskich tajemnic. Tak więc posłańcy od króla najczęściej przekazywali mi wyłącznie zaproszenie do pałacu w najbliższym możliwym terminie. Zresztą zboczyłam z tematu...

Pieczęć świadczyła, że ni mniej, ni więcej, tylko na moją skromną osobę zwróciła uwagę Jej Wysokość królowa Ramea. Fascynujące... Ciekawe w jakim celu.

Szybko przejrzałam list. W wyjątkowo uprzejmych i pokręconych zdaniach łaskawie nam panująca monarchini prosiła mnie o złożenie jej wizyty w najszybszym możliwym terminie oraz o niepowiadamianie o tym

fakcie nikogo, łącznie z Jego Królewską Mością. Wszystkie szczegóły swojej „delikatnej misji” miałam poznać podczas owej osobistej wizyty. Mimowolnie się uśmiechnęłam, wyglądało na to, że wszyscy członkowie rodziny królewskiej byli dosyć ostrożni w kwestii możliwych przecieków informacyjnych. I dobrze. No cóż... Może być i delikatna misja. Jeżeli dobrze się zastanowić, to rzadko zdarzają mi się inne.

Przebrałam się natychmiast, rozkazałam, by osiodłano konia, i już po chwili jechałam śladem posłańca do pałacu. Wyglądało na to, że Jej Króлева Mość wróciła z podmiejskiej rezydencji wyłącznie w celu odbycia tego prywatnego spotkania. Oczywiście zawsze mogła ściągnąć mnie za miasto, ale taka wizyta na pewno nie pozostałaby niezauważona. Tymczasem moja obecność w pałacu nie była dla nikogo zaskakująca, w końcu bywałam tam dosyć często i nikt nie powinien podejrzewać, że przyjechałam na prośbę królowej, a nie samego Arneliusza czy któregoś z wielmożów. Królowa była bardzo mądrą kobietą, przynajmniej tak wielokrotnie słyszałam, bo osobiście widywałam ją bardzo rzadko i wyłącznie w formalnych okolicznościach. „No cóż, zawsze to okazja do nadrobienia zaległości” – uśmiechnęłam się do siebie.

Królowa, dokładnie tak samo jak jej najjaśniejszy małżonek, wolała prowadzić rozmowy o interesach w parku. Całkiem rozsądne – jeżeli ktoś zobaczy nas razem, pomyśli, że było to spotkanie całkiem przypadkowe, tym bardziej że wszyscy doskonale wiedzieli o moim zwyczaju spacerowania po alejkach pałacowego zieleńca.

Niezwykłe było to, że dookoła Jej Królewskiej Mości nie dostrzegłam wianuszka dworek. Oczekiwała na mnie w obecności jedynej służącej, zapewne najbardziej zaufanej. A i ta została odprawiona machnięciem ręki, gdy tylko władczyni mnie dostrzegła. Zostałyśmy same.

Patrzyłam na rozmówczynię nie bez ciekawości. Wspominałam już, że

królowa była nieładna w wyjątkowo wysublimowany sposób, doskonale o tym wiedziała i nie próbowała ukrywać swoich wad. Wolała podkreślać zalety. Nawet teraz, po urodzeniu czwórki dzieci, poszczycić się mogła doskonałą figurą, mimo że już straciła ona panięską wiotkość. Ramea wyglądała na swój prawdziwy wiek i w żaden sposób nie próbowała maskować śladów, które czas zostawił na jej twarzy. A przy tym prezentowała się znacznie lepiej od wielu damulek, za wszelką cenę próbujących zatrzymać młodość. Na ich twarzach kreda i puder zwykle tworzyły warstwę osypującego się tynku, poza tym przyrządzane przez wszelakiej maści oszustów „cudowne odmładzające specyfiki” są prawdziwym wyzwaniem dla budżetu.

Jej Królewska Mość również patrzyła na mnie z zainteresowaniem i nijak nie mogła nawiązać rozmowy, wyraźnie nie wiedząc, od czego zacząć. Ostatecznie zdecydowałam się przemówić pierwsza.

– Wasza Królewska Mość, sądząc z listu Waszej Wysokości, zadanie, które otrzymam, jest dosyć delikatnej natury... – zagałam.

– Ma pani rację... – odrzekła powoli, jakby nadal się wahając, czy należy opowiedzieć mi wszystko ze szczegółami, czy może jednak nie. – Jest faktycznie bardzo... prywatne.

Przyznam, że byłam naprawdę ciekawa, jakiego rodzaju problemy mogła mieć królowa. I dlaczego koniecznie chciała ukryć je przed Arneliuszem? Czyżby starzejąca się dama znalazła sobie młodego kochanka? W sumie czemu nie? Co prawda awantury z kochankami to nie do końca mój profil... Ale może w przyływie uczuć podarowała temu człowiekowi coś, co mogło ją poważnie skompromitować i co musiała za wszelką cenę odzyskać? Z kolei nie była to praca dla maga–justycjariusza, tylko dla jakiegoś dyskretnego najemnika.

– W takim razie proszę opowiedzieć mi, o co chodzi – spytałam nieco

obcesowo. Nie przepadam za krążeniem dokoła tematu, a poza tym zostałam kompletnie rozpieszczona przez Arneliusza, który nie zamęczał ani siebie, ani mnie niepotrzebnymi uprzejmościami. – W przeciwnym razie wiele nie pomogę.

– Oczywiście, rozumiem. – Królowa skinęła głową i postąpiła kilka kroków wzdłuż alejki, gestem zapraszając, bym dołączyła. – Widzi pani, panno Naren, nigdy przedtem nie musiałam robić nic podobnego, więc czuję się nieco... niepewnie.

Mogłam tylko westchnąć. Sądząc ze wstępu, ta rozmowa mogła się poważnie przeciągnąć. Jednak ku mojej olbrzymiej radości Jej Królewska Mość przestała się wahać i przeszła do sedna.

– Pewnie jest pani zdziwiona tym, że prosłam o utrzymanie tej rozmowy w tajemnicy przed Jego Królewską Mością – rzekła. – Rozumiem, że wygląda to nieco podejrzanie. Ale, panno Naren, zapewniam, że chodzi o problem, który nie ma nic wspólnego ani z polityką, ani z żadnymi sprawami państwowymi.

– Niemniej jednak...? – Uniosłam brew.

– Niemniej jednak gdy Jego Królewska Mość dowie się o sprawie, może się wtrącić i wiele zepsuć – ucięła królowa bez ceregieli. No dobrze, czyli raczej nie rozmawiałyśmy o kochanku. – Poza tym to nie ja potrzebuję pomocy, a nie chciałabym powierzać problemów bliskiej mi osoby nikomu prócz pani. Nawet jeżeli rzeczonym „kimś” miałby być mój mąż.

Jeszcze ciekawsze. Bliskiej osoby? Czy mogło chodzić o kłopoty z dziećmi? Mało prawdopodobne, przecież czegoś takiego by nie ukrywała przed Arneliuszem. Chociaż...

– Spróbuję wyjaśnić, o co mi chodzi – ciągnęła królowa. – Zawczasu przepraszam za rozwlekłość, ale nie mam pojęcia, co w tej sytuacji może okazać się ważne, a co nieistotne. – Na chwilę zamilkła, widocznie zbierając

myśli. – Panno Naren, mam przyjaciółkę lat dziecięcych, rosłyśmy razem, a teraz, mimo że ona rzadko bywa w mieście i nie mamy okazji do częstych spotkań, utrzymujemy ze sobą kontakt listowny.

– I to przyjaciółka Waszej Królewskiej Mości ma problemy.

– Właśnie tak. Najpierw tylko napomykała o nich w swoich listach, ale w ostatnim otwarcie poprosiła o pomoc. – Królowa Ramea spojrzała na mnie znacząco. – A ja nie mogę odmówić, zbyt wiele nas ze sobą łączy.

Doskonale, czyli sprawa nie dotyczyła królewskiej rodziny! Cóż, w takim razie można spokojnie wysłuchać całej historii.

– Moja przyjaciółka nazywa się Ewina. Ewina Liselle – oznajmiła królowa. Wiedziałam, że Liselle to bardzo stara i bogata rodzina, której korzenie sięgają równie głęboko jak i rodu królewskiego. – Nasze majątki znajdowały się obok siebie, więc kiedy byłyśmy dziećmi, często się odwiedzałyśmy.

Przed zamążpójściem królowa nazywała się Ramea Laien i o ile pamiętałam, wiejska posiadłość jej rodziców istotnie graniczyła z majątkiem Liselle'ów.

– W ich rodzinie wczesne małżeństwa nie są niczym nadzwyczajnym – ciągnęła królowa. – Ewina została wydana za mąż, gdy miała piętnaście lat, i postąpiła dokładnie tak samo ze swoją córką, więc w tej chwili jej wnuki są rówieśnikami moich młodszych dzieci.

Zmarszczyłam brwi. Coś się nie zgadzało. Jeżeli Ewina Liselle była zamężna, to dlaczego nadal nosiła nazwisko panieńskie? Czy może królowa nazywała tak przyjaciółkę z przyzwyczajenia? Ale i ta zagadka natychmiast się wyjaśniła.

– Zapomniałam powiedzieć – dodała Jej Królewska Mość, widząc moją minę. – W rodzinie Liselle'ów bardzo rzadko rodzą się chłopcy, więc żeby uniknąć przerwania rodu, przyjęli następujący zwyczaj: nie oddają córek, a

zamiast tego przyjmują mężczyzn do rodziny. Moim zdaniem, jest to całkiem rozsądne rozwiązanie.

Milczeniem wyraziłam zgodę. Teraz wszystko do siebie pasowało: przyjęty do rodziny mężczyzna zwykle przyjmował nazwisko żony, więc taki krok podejmowano albo z wielkiej miłości, albo dla równie wielkiej korzyści. No, chyba że było się najmłodszym synem w jakiejś licznej rodzinie, bez szans na jakikolwiek spadek.

– Teraz z dzieci Ewiny żyje tylko jeden syn – ciągnęła królowa. – Ale to nie ma wielkiego znaczenia, ponieważ i tak zawsze dziedziczy najstarsza córka. Już od wieków Liselle’owie uważają, że mężczyźni sami powinni o siebie zadbać. Ale, niestety, dziewczyna zmarła kilka lat temu...

– Czyli kto teraz będzie dziedziczył majątek? – poczułam przyływ zainteresowania. Sprawy spadkowe zawsze mi się podobały. Człowiek miał okazję zagłębić się w poplątane korzenie rodowodów poszczególnych osób.

– Wnuczka Ewiny – odparła królowa i z niewiadomego powodu uznała, że wymaga to dodatkowego wyjaśnienia: – Córka jej zmarłej córki.

– Rozumiem – odparłam. – W takim razie na czym polega problem? Syn pani przyjaciółki rości sobie prawa do spadku?

– Nie, ależ skąd – uśmiechnęła się. – Jej syn jest człowiekiem nastawionym bardzo pokojowo. A poza tym zawarł bardzo udane małżeństwo i teraz mieszka dość daleko stąd. Chodzi o coś innego...

– Mianowicie?

– Ewina ma wrażenie, że z jej wnukami jest coś nie tak. Przez jakiś czas uważała, że to tylko fantazje, ale ostatnimi czasy coraz bardziej utwierdza się w przekonaniu, że to nie tylko wytwór jej wyobraźni...

– W takim razie co takiego dzieje się z dziećmi? – Zachmurzyłam się. – I przy okazji, ile one mają lat?

– O ile się nie mylę, jedenaście – odparła królowa. – To bliźnięta,

chłopiec i dziewczynka. Ich matka nie żyje od trzech lat z górą. Jej mąż zachował się dosyć dziwnie: pewnego dnia oświadczył, że nie może mieszkać pod jednym dachem z własnymi dziećmi, po czym po prostu wyjechał i od tamtej pory nie pojawił się ani razu. Dlatego też Ewina musiała sama zająć się wychowaniem wnuków.

To było dosyć ciekawe. Dlaczego ojciec porzucił dzieci, pozostawiając je babce? Dowiedział się, że żona go zdradzała i potomkowie nie są jego? W sumie dlaczegoż by nie?

– Jeżeli wydaje się pani, że córka Ewiny mogła urodzić dzieci innego mężczyzny – rozmówczyni jakby czytała w moich myślach – i właśnie dlatego jej mąż zachował się tak, a nie inaczej, to muszę panią rozczarować. Bliźnięta są tak podobne do ojca, że Ewina z początku nawet się tym przejmowała. A poza tym to byłoby stanowczo zbyt proste wytłumaczenie.

– Najprostsze wytłumaczenia są zwykle najprawdziwsze – zauważyłam.

– Istotnie, ale obawiam się, że nie w tym przypadku – westchnęła Ramea.

– Tak więc, wracając do Ewiny... Z początku naturalnie to matka zajmowała się dziećmi i babka widywała wnuki znacznie rzadziej. Natomiast, gdy sama zajęła się ich wychowaniem i kształceniem, zauważyła, że są... jakby to lepiej wyjaśnić... nieco dziwne.

Mogłabym powiedzieć, że większość dziwactw również ma zwykle bardzo proste wyjaśnienia, ale uznałam, że daruję sobie banały.

– Dziwne do tego stopnia, że czasem budzi to przerażenie – uzupełniła królowa.

– Może to coś najzwyklejszego w świecie? – spytałam. – Nastolatki w pewnym wieku czasami zachowują się obrzydliwie.

– Nie o to mi chodzi. – Jej Królewska Mość pokręciła głową. – Ewina doskonale wie, jakie bywają nastolatki i jak sobie z nimi radzić. Ale tutaj chodzi o coś, czego nie rozumie, a nawet, jak mi się wydało z jej listów, po

prostu się boi.

– A na czym polega ta „dziwność”?

– Już mówiłam, że kiedy dzieci były małe, Ewina nie miała okazji do częstych kontaktów – odpowiedziała królowa. – Zresztą o ile sobie przypomina, wydawały się one najzwyklejszymi dziećmi. Ale teraz...

Zamilkła, a ja czekałam cierpliwie, aż będzie łaskawa kontynuować.

– Nie mogę wyjaśnić, na czym dokładnie to dziwactwo polega – powiedziała w końcu. – Ewina sama nie potrafi tego sensownie opisać. Ale ostatnimi czasy skarży się, że w domu panuje atmosfera wprost nie do wytrzymania, a w nocy pozostaje już tylko schować się pod kołdrą i trząść z przerażenia.

– I ona uważa, że winne są dzieci? – zdziwiłam się.

– Tak. Proszę nie pytać dlaczego, bo nie mam pojęcia. Wiem tylko, że moja przyjaciółka jest bardzo przestraszona i nie rozumie, co się dzieje. Dlatego też, panno Naren, proszę, by udała się pani do majątku Liselle’ów i zbadała, o co w tym wszystkim chodzi. Bardzo prawdopodobne, że Ewinie po prostu się nudzi, więc wymyśla sobie cuda i potwory, zawsze miała bardzo bogatą wyobraźnię. Ale jeśli nie mam racji i stanie jej się coś złego dlatego tylko, że zlekceważyłam prośbę o pomoc, to nigdy sobie tego nie wybaczę. – Królowa zaczerpnęła głębiej tchu. – Oczywiście niezależnie od wyniku śledztwa otrzyma pani odpowiednie wynagrodzenie za swoją pracę.

– Dobrze – odparłam. – Ale mam wrażenie, że wybranie się tam jako mag–justycjariusz nie jest dobrym pomysłem. Wszyscy zainteresowani od razu będą się mieli na baczności.

– Już się nad tym zastanawiałam. Panno Naren... Czy może zgodzi się pani odegrać rolę nauczycielki? Z jakiegoś powodu wychowawcy również nie zatrzymują się w majątku dłużej, więc pani nieoczekiwany przyjazd i równie nieoczekiwane zniknięcie nie wywołają żadnych niepożądanych

pytań.

– Dlaczegoż by nie... – mruknęłam. No cóż, to będzie nawet zabawne, jeszcze nigdy nie musiałam udawać nauczycielki. – Oczywiście zakładając, że ta maskarada również zostanie odpowiednio wynagrodzona.

– Oczywiście – potwierdziła królowa. – Czyli mogę na panią liczyć?

– Jak najbardziej – odpowiedziałam. – Ile mam czasu na spakowanie się?

– Natychmiast wyślę do Ewiny posłańca z listem – odparła monarchini. – Wydaje mi się, że pojutrze będzie pani mogła ruszyć w drogę.

– Doskonale – podsumowałam. – W takim razie nie marnujmy czasu. I jeszcze jedno, Wasza Królewska Mość... Czy przyjaciółka Waszej Wysokości wie, kogo konkretnie ma się spodziewać?

– Nie, wspomniałam tylko, że znam osobę, która na pewno będzie umiała się w tym wszystkim połapać – odparła królowa z pewnym zdziwieniem.

– Doskonale. W takim razie proszę powstrzymać się od informowania jej o mojej prawdziwej tożsamości. Na miejscu zobaczę, czy warto w ogóle wspominać, że jestem magiem.

Królowa skinęła mi głową i po wymianie pożegnalnych uprzejmości rozeszłyśmy się każda w swoją stronę.



Wracając do domu, co rusz czułam, jak moje wargi rozciągają się w szerokim uśmiechu. Oj, tak, nauczycielka ze mnie będzie cud-miód! Można się zakładać, kto kogo wystraszy: te „dziwne” dzieci mnie, czy może dokładnie na odwrót. Ale przygotować się trzeba tak czy siak, i to bardzo dokładnie. W jednym Jej Królewska Mość miała rację. Całkiem prawdopodobne, że obawy jej przyjaciółki wywołane zostały przez nadmiar

lektury powieści awanturniczych z siłami nadprzyrodzonymi w rolach głównych, ale nie była to jedyna możliwość. Tak więc nie należało zawczasu traktować tej sprawy jako wycieczki krajoznawczej. Jak mawia mój dziadek, zawsze lepiej jest „prze–dobrzyć” niż „nie–dobrzyć”, a ja zwykle się z nim zgadzam. Miałam zamiar raczej pojawić się tam z pełnym arsenałem armat i śmiać się sama z siebie na widok siedzącego na płocie wróbla niż na odwrót: liczyć na łut szczęścia, a trafić na prawdziwe niebezpieczeństwo kompletnie nieprzygotowana.

Jak maskarada, to maskarada! Nie to, żebym szczególnie kochała przebieranki, ale w moim zawodzie daleko się bez nich nie zajdzie, więc musiałam opanować niezbędne umiejętności. Czyli nauczycielka...

Powiedzmy, że będzie się nazywać Flossi Niks. Poprzednim razem ta dama spisała się na medal, więc teraz również ujdzie. Poza tym to proste imię, niezbyt pompatyczne, czyli coś w sam raz dla skromnej nauczycielki. Doskonale. Teraz należało zadbać o ubranie.

Po przetrząśnięciu garderoby zdecydowałam się na trzy zestawy. Wystarczy, bym założyła suknię, i od razu robię się podobna do stracha na wróble. Jednak w obecnej sytuacji dokładnie taki efekt chciałam uzyskać. Co prawda krój pozostał ładne parę lat za obowiązującą modą, ale tym lepiej. Moim zdaniem, właśnie takie ubrania powinna nosić już nie wiośnianej młodości, ale jeszcze niezbyt stara kobieta, która dorabia sobie jako guwernantka. Suknia uszyta została w ten sposób, że figura wydawała się kompletnie płaska (nie żebym posiadała jakieś rzucające się w oczy krągłości), a obniżona talia skutecznie skracała nogi. Do tego wysoki koronkowy kołnierz, złoty łańcuszek na szyję...

Teraz fryzura. Sprawiała mi trochę więcej problemów niż ubranie, włosy miałam zbyt długie, by uczesać je tak, jak zwykle robią to damy, a nie miałam najmniejszego zamiaru skracać ich wyłącznie w celu zagrania roli

nauczycielki. Po chwili namysłu upięłam je w zwykły węzeł na karku. Ta gładka fryzura stała się niemodna jeszcze przed suknią i jak ulał pasowała do całości obrazu. Szkoda tylko, że włosy miałam nie tylko długie, ale też nieposłuszne i od razu kilka kosmyków uciekło spod władzy spinek, luźno zwisając wokół twarzy. Zwykle zawiązuję na głowie chustę, ale tym razem musiałam skorzystać z paskudnych przyrządów, za pomocą których kobiety zwykle konstruują na głowach skomplikowane fryzury.

Odrobina makijażu i natychmiast zrobiłam się o dziesięć lat starsza. A, tak, przydałoby się też dodać parę siwych włosów. Zresztą – uśmiechnęłam się – skoro już mowa o wieku, to na pewno byłam starsza od kobiety, którą miałam zamiar udawać. Tylko nadal mi czegoś brakowało. Po chwili namysłu pogrzebałam w szufladzie i wyciągnęłam spomiędzy rozmaitych błyskotek okrągłe okulary. Oczywiście takie ze zwykłymi szklami, gdyż miałam doskonały wzrok. A okulary były mi potrzebne w zupełnie innym celu – zmieniały twarz do tego stopnia, że kompletnie nie można było mnie poznać. Szczególnie jeśli zsunęłam je na koniec nosa.

Mimo swojej niezaprzeczalnej przydatności okulary nie były w Arastenie powszechnie używane. Bogaci ludzie woleli zapłacić magomedykowi i rozwiązać wszystkie problemy ze wzrokiem raz a dobrze. A ludzie biedni po prostu nie mieli pieniędzy na taki, jednak nie najtańszy, przyrząd, więc musieli radzić sobie za pomocą zwykłej lupy albo po prostu mrużąc oczy. Z okularów korzystali więc najczęściej niezbyt majątni handlowcy, urzędnicy i ludzie podobnego kalibru – czasem nawet nie dlatego, że musieli, tylko dla dodania sobie powagi. Tak więc ten rekwizyt akurat nadawał się dla dość dobrze sytuowanej nauczycielki.

Problem miałam tylko z rękoma, których nie mogłam zamaskować kosmetykami, tak jak twarzy. A nawet jeśli, to wcześniej czy później i tak przyjdzie mi je zamoczyć. Tymczasem moje ręce w żaden sposób nie mogły

należć do kobiety w średnim wieku i gdyby ktoś zwrócił na to uwagę, cały mój kamuflaż zdałby się psu na budę. Ale po chwili namysłu i ten problem udało mi się rozwiązać. Zupełnie niepasujące kolorem do reszty stroju koronkowe rękawiczki dodały mi niezgrabności, a przy okazji doskonale ukryły ręce.

Przejrzałam się w lustrze, zadowolona z wyniku. Patrzyła na mnie zaczynająca się starzeć wysoka i chuda kobieta, ubrana schludnie, acz niemodnie. Łańcuszek na szyi i bezsensowne koronkowe rękawiczki wydawały się jedyną próbą ubarwienia jej wyglądu. Sądząc z chłodnego spojrzenia znad okularów i surowo zaciśniętych warg, uczniowie owej damy byli z pewnością ciemżonymi biedactwami. Tylko dobrze znający mnie człowiek zdołałby rozpoznać w tym strachu na wróble Flossię Naren, a ja miałam nadzieję, że takowych ludzi w majątku Liselle'ów nie spotkam.

Niestety, moja zwykła torba podróżna katastrofalnie nie pasowała do tej maskarady. Po chwili namysłu uznałam, że postaci guwernantki doskonale dopełniłby sfatygowany kufer. Nie miałam w swoim gospodarstwie niczego podobnego, ale o ile wiedziałam, dziadek a i owszem, posiadał tego rodzaju skrzyneczkę.

Wysłałam Dima po potrzebny mi przedmiot, a sama bez przebierania się usiadłam w fotelu i zapaliłam. Swoją drogą, z palenia również tymczasowo będę musiała zrezygnować – skromna nauczycielka nie może przecież dymić jak komin. Z drugiej strony mało prawdopodobne, bym musiała mieszkać w jednym pokoju z dziećmi, a nikt nie musi wiedzieć, co robię u siebie. Koniec końców lekka ekscentryczność nie powinna za bardzo wadzić...

Ale co takiego dziwnego mogło być w tych dzieciach? Co tak przstraszyło ich babcię? No dobrze, królowa twierdziła, że jej przyjaciółka ma bardzo bogatą wyobraźnię. Czy mogła wziąć zwykłe wybryki dorastających dzieci za „coś dziwnego”? Któż to mógł wiedzieć... Nie,

bawienie się w zgadywanki nie miało sensu, musiałam obejrzeć to wszystko na własne oczy i dopiero potem decydować co i jak.

A przy okazji, czego ja miałam te dzieci uczyć? Tak, to mogło stanowić pewien problem! Posiadałam od groma wiadomości wszelakich, ale jakoś nie sądziłam, by należało opowiadać jedenastolatkom o sposobach określenia przyczyn oraz czasu śmierci denata czy podobnych niesmacznych drobiazgach. Hm... Chyba powinnam odświeżyć sobie coś bardziej pokojowego, tym bardziej że czas na to jeszcze miałam.

Cały następny dzień spędziłam nad tymże ciekawym zagadnieniem. Nie byłam orłem w dziedzinie matematyki, postanowiłam więc położyć nacisk na nauki przyrodnicze, z którymi radziłam sobie doskonale. Poza tym zawsze mogłam wyciągnąć również języki obce, których znałam aż osiem, nie licząc gwar regionalnych, a jeszcze kolejnych parę całkiem znośnie rozumiałam, choć nie potrafiłam nimi mówić.

Ostatecznie uznałam, że z tym wszystkim będę radzić sobie na miejscu. Zawsze można będzie dostosować się do aktualnej sytuacji, nie pierwszy raz zresztą. A poza tym jak tu cokolwiek planować, nie mając pojęcia, z czym przyjdzie mi się zetknąć i czy przyjdzie w ogóle!



Ze stolicy wyjechałam jeszcze przed nastaniem świtu. Tym razem musiałam wynająć powóz, gdyż przyzwoita dama nie mogła podróżować konno, i to jeszcze samotnie. Szkoda, bo wierzchem byłoby o wiele szybciej – królewski posłaniec zdążył tam i z powrotem w mniej niż dwie doby. Z drugiej strony on po drodze wymieniał konie i pewnie jeszcze gnał na złamanie karku. Mojej kobyły raczej bym do tego nie zmusiła.

Wbrew oczekiwaniom podróż okazała się krótka i niezbyt męcząca,

mimo że moja niechęć do jazdy powozem żyła i miała się jak najlepiej. Ale tym razem po prostu trafiła mi się czy to porządna karoca, czy też równa droga, dobry woźnica lub wszystkie powyższe czynniki za jednym zamachem. Tak czy siak, prawie nie odczuwałam kołysania. Nocowałam w karczmach i rankiem czwartego dnia nareszcie zobaczyłam daleko przed nami dachy zamku Liselle. Trzeba przyznać, że robił wrażenie. Pewnie w chwalebnej przeszłości zamek Lagarsta wyglądał podobnie, może był tylko trochę mniejszy.

Tymczasem moje przyszłe miejsce pracy prezentowało się wprost doskonale. Oczywiście budowla nie próbowała nawet udawać nowej, ale widać było, że właściciele ciągle i bardzo pieczołowicie dbają o swoją siedzibę, nie żałując wysiłku ani środków. A roztaczającego się dookoła parku i kwiatów mógłby pozazdrościć nawet pałac królewski. Osobiście co prawda wołałam tamtejszy park (a szczególnie jego starszą część, którą celowo stylizowano na lekko zdziczałą) niż ten tutaj, gdzie wszystkie krzaki i drzewa wyglądały na przycinane z linijką w rękę. Zresztą pewnie tak było, aktualnie panowała moda na wymyślne żywopłoty, a dobry ogrodnik potrafił wyciąć z biednego krzaka najrozmaitsze zielone stwory. Oczywiście prezentowały się wspaniale, ale ja na ich widok zawsze czułam litość w stosunku do maltretowanych roślin.

Dobrze wyszkolony lokaj otworzył drzwi karocy i wyszłam na zewnątrz, bardzo fortunnie potykając się o rąbek własnej sukni – już od dłuższej chwili nie miałam przyjemności plątania się w tych niezliczonych spódnicach! Służący spróbował złapać mnie pod ramię, ale wyrwałam się z oburzeniem, dokładnie tak, jak powinna zrobić to stara panna, zebrałam fałdy spódnicy i drobnymi kroczkami ruszyłam ku drzwiom, już otwartym przez innego lokaja. Mogłam nie wątpić, że mój bagaż cały i nienaruszony dotrze do pokoju przydzielonego nauczycielce. Mnie tymczasem czekało spotkanie z

chlebodawczynią, czyli przerażoną Ewiną Liselle.

Po wejściu do środka wsłuchałam się w siebie. Hm... Na razie nie mogłam z całą pewnością powiedzieć, czy czułam w budynku obecność magii, ale coś w nim na pewno było, o to się mogłam założyć. Może po prostu atmosfera charakterystyczna dla bardzo starych gmachów, w których żyło i umarło całe mnóstwo ludzi, ale może i nie. Tak czy siak, warto było zwrócić na to uwagę, mogło się okazać, że obawy arnai Liselle wcale nie były aż tak bezpodstawne... A skoro już mowa o tym, sama arnaia, do której natychmiast mnie zaprowadzono, nie wyglądała na szczególnie przerażoną. Była to wysoka dama, nieco przy tuszy, ale całkiem sympatyczna, za młodu pewnie uważana za piękność. Wydawała się młodsza od Jej Królewskiej Mości, ale to akurat mógł być skutek nadwagi – na pulchnej twarzy zmarszczki są po prostu mniej widoczne, podobnie jak siwe pasma w jasnych włosach.

– Dzień dobry – przywitałam się uprzejmie, stając w drzwiach z rękoma złożonymi na brzuchu. – Czy mam honor poznać arnaię Ewinę Liselle?

– Tak – odpowiedziała dama z niejakim roztargnieniem. – Miło mi panią widzieć. O ile dobrze rozumiem, jest pani damą poleconą mi przez... hm... moją drogą przyjaciółkę?

– Oczywiście – potwierdziłam, z całego serca rozbawiona całą sytuacją. Arnaia Liselle wyraźnie spodziewała się kogoś bardziej... hm... podobnego do osoby, która zdolna jest jednym ruchem ręki rozwiązać wszystkie jej problemy, a tymczasem stała przed nią typowa nauczycielka – stara panna. – Mam nadzieję, że takie rekomendacje pani wystarczą?

– Słucham...? Ach tak, oczywiście! – Moja przyszła niby-chlebodawczyni przypomniała sobie, że zgodnie z legendą właśnie najmuje do pracy nauczycielkę. – Moja przyjaciółka opisywała panią w bardzo... pozytywny sposób!

– Zapewne chciałyby pani ze mną porozmawiać? – spytałam, bez zaproszenia wchodząc do pokoju i siadając w fotelu przy niskim stoliku.

– Dokładnie tak! – zdecydowanie odparła gospodyni, nieoczekiwanie podniosła się ze swojego miejsca, podeszła do drzwi i gwałtownie je otworzyła. Co ciekawe, zrobiła to bezszelestnie, czego raczej nie spodziewałam się po osobie o takiej tuszy. – Aż dziwne, że nikogo nie ma!

Wszyscy w tym domu uwielbiają podsłuchiwać – poskarżyła się, wracając i siadając naprzeciwko mnie. – Szczególnie służący. Zresztą dzieci również, a nie chciałabym, by usłyszały to, co będziemy teraz omawiać.

Klientka spojrzała na mnie z pewną podejrzliwością, chyba mój wygląd w jej wyobraźni nie chciał łączyć się z moją misją.

– To przejdźmy do rzeczy – rzuciłam, wychodząc z roli skromnej nauczycielki. – Jestem tu po to, by określić, czy w tym domu dzieje się coś podejrzanego, a jeśli tak, to z jakiego powodu. I teraz chciałabym usłyszeć od pani dokładną opowieść o tym, co konkretnie panią niepokoi. Niestety, pani przyjaciółka nie posiadała pełnych informacji, więc nie mogła mi ich dostarczyć. Tak więc słucham!

Wygodnie usiadłam w fotelu i wyczekująco popatrzyłam na arnaię Liselle.

– Ach... – powiedziała zmęczonym tonem i nagle zakłopotana się. – Jak mam się do pani zwracać? Ramea nie podała mi pani nazwiska...

– Flossi Niks – przedstawiłam się.

– Bardzo mi miło panią poznać, panno Niks – uprzejmie odrzekła gospodyni. – Na czym to stanęłyśmy? Ach tak... Widzi pani... Po prostu nie wiem, od czego zacząć! To wszystko jest takie dziwne...

– W takim razie może od początku – poradziłam. – Powiedzmy, od chwili, kiedy umarła pani córka.

– Och... – Pulchna twarz rozmówczynie wykrzywiła się, ale udało jej się

powstrzymać łzy. – Tak, oczywiście...

Niczego nowego się od Ewiny nie dowiedziałam, wszystko już słyszałam od Jej Królewskiej Mości: niecałe pół roku po pogrzebie jej zięć nagle spakował manatki i zniknął. Wyjechał w nocy, prawie bez rzeczy i pieniędzy, zostawiając po sobie tylko notatkę. Pisał w niej, że nie może znieść widoku własnych dzieci i liczy na to, że babcia, czyli Ewina, zadba o nie lepiej niż ktokolwiek inny. Więcej wiadomości o nim nie otrzymali, nigdy nawet nie zapytał o zdrowie dzieci.

Gdyby wspomniany młody człowiek uciekł, zabierając ze sobą klejnoty żony, sprawa byłaby zrozumiała, ale Ewina (imię to wyjątkowo do niej pasowało i w myśli zaczęłam nazywać ją właśnie tak) szczególnie podkreślała, że zięć odjechał, zabierając ze sobą tylko komplet ubrań i bardzo nieznaczną ilość pieniędzy na drogę. I właśnie to budziło jej obawy.

– Rozumie pani, to kompletnie nie w jego stylu – powtarzała ze smutkiem. – Zawsze byłam dla niego bardzo serdeczna, był takim uprzejmym i dobrze wychowanym młodzieńcem. Z Ewiną również im się dobrze układało. Wydawało mi się, że kocha dzieci, a tu nagle taka niespodzianka!

– Rzeczywiście dziwne zachowanie – zgodziłam się. – A co na to dzieci?

– Dzieci... – Ewina zacisnęła wargi. – Oczywiście, że za nim tęskniły! W końcu to naprawdę nie do pozazdroszczenia, najpierw zostać bez matki, a potem prawie natychmiast jeszcze bez ojca. Co prawda na początku mówiłam im, że wyjechał w ważnych sprawach i niedługo wróci, ale... – westchnęła – któryś ze służących miał za długi język, czy może same się domyśliły, ale już wiedzą, że ojciec porzucił je na zawsze.

– I kiedy zaczęły się te wszystkie... dziwne wydarzenia, o których pani pisała? – spytałam.

– Nie tak dawno... – po chwili namysłu odparła Ewina. – Moje wnuki

zostały sierotami, gdy miały osiem lat. Potem wszystko szło normalnie, ale około pół roku temu... zaczęło się...

– Co dokładnie? – dociekałam cierpliwie.

– Nie mogę tego opisać! – Gospodyni z przestachem załamała ręce. – Nic konkretnego, ale... W zamku zrobiło się jakoś nieprzytulnie. Ciągłe słyszeć jakieś szelesty, stukanie, kroki. I to nawet nie w nocy, tylko w biały dzień!

– Wydaje mi się, że jest tu sporo ludzi – zauważyłam. – A stare domy zawsze wydają... hm... swoje odgłosy. To normalne zjawisko.

– I właśnie o to chodzi! – krzyknęła Ewina. – Wyrosłam w tym zamku, wiem, jaki dźwięk wydaje każda klepka w podłodze, każdy schodek! I o duchu w galerii portretów również wiem, w dzieciństwie wraz z kuzynkami straszyłyśmy się nim nawzajem. Ale to wszystko zawsze było takie znajome, przyjazne... – Rzuciła mi spojrzenie pełne rozpacz. – Oczywiście przedtem również słyszałam w nocy różne dźwięki, ale były zwykłe i normalne, a teraz... Panno Niks, szczególnie przerażające są te kroki! Człowiek leży w łóżku i drży, a na korytarzu tup, tup, tup, jak gdyby ktoś szedł. A potem zatrzymuje się pod drzwiami i stoi! Kilka razy nie wytrzymałam i otworzyłam je – nikogo... Teraz nocują ze mną dwie służące, w ten sposób jest trochę różniej.

Zamilkłam. Albo Ewinę zawodziły nerwy, albo w zamku rzeczywiście coś się działo. Ja to mam szczęście, jeśli idzie o domy z duchami i innymi zjawami!

– Nauczyciele dzieci również długo nie wytrzymują – Ewina skarżyła się dalej. – Panno Niks, ja pani to wszystko mówię, na wypadek gdyby się pani wydawało, że do reszty zwariowałam. A przecież nie ja jedna to słyszę! Służący również, i goście... Poza tym, proszę sobie wyobrazić, duch się przestał pojawiać!

– Ten z galerii? – Uniosłam brwi.

– Właśnie ten. Był zupełnie niegroźny, pojawiał się dwa razy na tydzień, oczywiście po zapadnięciu zmroku. Taki przezroczysty zarys postaci, nawet nie dało się określić, czy to mężczyzna, czy kobieta. Przechodził przez galerię i znikał w ścianie. A teraz już nie chodzi...

– Skąd pani o tym wie? – spytałam. – Śledziła pani ducha?

– Naturalnie nie ja – uśmiechnęła się Ewina. – Dzieci służących przekradają się do galerii pilnować ducha. Patrzą na to przez palce, gdyż nie wyrządzają żadnych szkód. Kilka razy go widziały, ku swemu ogromnemu zachwytowi. A teraz podobno już od prawie pół roku się nie pojawił...

– Może dzieci po prostu nie trafiły w te noce, kiedy on chodzi. – Wzruszyłam ramionami.

– Och, nie zna pani tych urwisów! – Ewina machnęła ręką. – Przecież oni tam urządzili dyżur całodobowy! I nic... Wyobraża pani sobie, jaka szkoda? Ten duch miał już co najmniej pięćset lat i nagle zniknął!

Poczułam mimowolne rozbawienie. No tak, stracić zamkowego ducha to wielka strata. A przecież one wcale nie znikają ot, tak sobie – jeżeli już się w domu pojawiły, to będą trzymać się swego terytorium wszelkimi siłami. Skoro tak stary duch nagle uciekł z domu, musiało się wydarzyć coś wyjątkowego. Sprawa stawała się coraz bardziej interesująca!

– Ale to jeszcze nic – ciągnęła Ewina ze smutkiem. – Ostatnie kilka miesięcy to istny koszmar!

– Co dokładnie ma pani na myśli?

– W nocy lepiej nie wychodzić ze swoich komnat – poinformowała mnie gospodyni z przekonaniem. – A i w środku człowiek czuje się dość nieswojo. Któregoś razu wracałam późnym wieczorem z biblioteki do sypialni. Nie mogłam zasnąć, więc uznałam, że poszukam jakiejś lektury... Och... – Kobietą wstrząsnął mimowolny dreszcz. – Szłam przecież ze świecą, sensu w

tym ani szczypty! We wszystkich kątach ciemno jak w studni, coś szeleści, skrobie...

– Może myszy? – zasugerowałam.

– Żadne myszy! – oburzyła się Ewina. – Zresztą do myszy jeszcze dojdziemy. Tak więc po kątach coś szura, a kiedy doszłam do schodów, omalże nie omdlałam...

– Co takiego tam pani zobaczyła? – spytałam.

– Tam... – Ewina na chwilę zamilkła. – Niby zupełnie nic, tylko... Gdy spojrzeć wprost, to zupełnie pusto, a wystarczy się odwrócić... a TO przemyka.

– Co przemyka?

– Nie mam pojęcia, po prostu widzę kątem oka, że przemknęło! Czasem coś dużego, czasem mniejszego... Moja pokojówka twierdzi, że widziała czarnego psa, ale najpewniej kłamie – nieoczekiwanie dodała Ewina.

– Dlaczego pani tak uważa? – zdziwiłam się.

– Ona zawsze kłamie, nie potrafi inaczej – padło wyjaśnienie. – A poza tym cóż takiego przerażającego jest w psie? Proszę wyjrzyć, mamy ich pełno na dziedzińcu. Chyba że byłby wściekły... A kiedy tak... przemyka, jest się czego bać.

– A co z dziećmi? Czy one słyszą to całe stukanie i szuranie? – spytałam niecierpliwie.

– Mówią, że słyszą – niechętnie odparła Ewina. – Jednak nie mam możliwości sprawdzenia, czy to prawda. A najważniejsze jest to, że one w ogóle się nie boją! Nawet służący wieczorami nie wychodzą w pojedynkę, a one nic a nic...

– Zabawne – westchnęłam. – Czyli to właśnie dlatego uznała pani, że coś jest nie tak z dziećmi?

Gospodyni odchrząknęła jakby z zawstydzeniem i nagle poderwała się:

– Całkiem zapomniałam o myszach!

– A co takiego się stało z myszami?

– Mieszkały sobie w zamku, jak to zwykle bywa – odparła. – Mamy tu koty, nawet sporo, ale i tak do końca nigdy się szkodników nie wytepi...

Mogłabym się z tym kłócić, zarówno myszy, jak i szczurów można łatwo się pozbyć, zapraszając wykwalifikowanego maga deratyzatora. Ale Ewina mogła o tej możliwości nie słyszeć albo po prostu wolała bardziej tradycyjne metody.

– Jak już mówiłam, myszy zniknęły – ciągnęła. – Proszę sobie wyobrazić, nie pojawiają się nawet w kuchni.

– A koty? – spytałam podejrzliwie.

– A co z kotami? – Ewina lekko zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc pytania. – Żyją, co im się miało stać? Tylko teraz musimy je wszystkie karmić. O, proszę spojrzeć...

Wskazała w kierunku kanapy, na której faktycznie ulokowały się dwa koty. Jeden był delikatny, puchaty i lekko złocisty, pewnie rasowy. Drugi natomiast miał najzwyczajniejsze plebejskie umaszczenie. Pręgowany, zwiny i szczupły – prawdziwy myśliwy. Osobliwe... Koty i konie najsilniej ze wszystkich zwierząt odczuwają wszelkie przejawy sił nieczystych. Jeżeli założymy, że myszy znikły, ponieważ w zamku dzieje się coś złego, to koty powinny były uciec jeszcze przed nimi. A one sobie leżą, mruczą i popatrują z ciekawością, czyli jednak wyczuwają emanującą ze mnie magię.

– W takim razie co z końmi? – spytałam na wszelki wypadek. – Jak one się zachowują?

– A jak mają się zachowywać? – ponownie zdziwiła się Ewina. – Najzwyczajniej w świecie. Przynajmniej nikt mi o niczym dziwnym nie meldował.

Nieźle. Konie i koty nie wyczuwają sił nadprzyrodzonych ani wrogiej

magii, ale po zamku i tak... coś przemyka. I duch zniknął. Wyglądało na to, że sprawa bynajmniej nie będzie aż tak prosta, jak zakładałam... Tym lepiej!

– No cóż – powiedziałam powoli. – Muszę się rozejrzeć po zamku. Tak więc, szanowna arnaio, proszę uważać, że znalazła pani guwernantkę dla wnuków. Gdy rozeznam się w sytuacji trochę lepiej, będę wiedziała, co robić dalej.

Ewina wpatrzyła się we mnie, mechanicznie kiwając głową.

– Doskonale. – Podniosłam się, szeleszcząc spódnicami. No co za durne ubranie, robi tyle hałasu, że nie sposób się w nim skradać! Chociaż z drugiej strony mojej gospodyni jakoś się to udawało. Pewnie kwestia praktyki. – I skoro już mam na jakiś czas zostać opiekunką dzieci, proszę mnie z nimi zapoznać.

Na dźwięk srebrnego dzwonka pojawił się służący, który wysłuchał poleceń arnai i ponownie wyparował.

– Zaraz je przyprowadzi – rzuciła Ewina, znów wyciągając rękę w stronę dzwoneczka. – Może życzy pani sobie coś do picia? Dopiero pani przyjechała...

– Nie, dziękuję bardzo – odmówiłam. – Jeżeli nie ma pani nic przeciwko, wolałabym od razu obiad.

– Oczywiście wszyscy służący są do pani dyspozycji – odparła gospodyni i natychmiast po tych słowach drzwi otworzyły się ponownie. – O, już są pani podopieczni! Moi drodzy, wejdźcie!

Z ciekawością spojrzałam na dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, niepewnie stojących w progu. Bliźnięta były niezwykle podobne do siebie, niemal zupełnie identyczne, tylko chłopiec był nieco wyższy, a jego siostra miała dłuższe włosy. Oczywiście różniły się także strojami. Ale gdyby oboje ubrać jednakowo, to rozróżnienie ich byłoby dla osoby postronnej bardzo trudne.

– Oto Erwin i Erna – Ewina dokonała prezentacji. Aha, czyli tak jak w większości starych rodów hołdowano tu tradycji nazywania potomków na jedną literę. Zresztą moja rodzina również miała podobny zwyczaj, mimo że nie płynęła w nas szlachećna krew. – Poznajcie waszą nową nauczycielkę, pannę Flossi Niks.

– Bardzo nam miło! – bliźnięta jednocześnie wypowiedziały wyuczone zdanie i zmierzyły mnie nieszczerólnie entuzjastycznymi spojrzeniami. Następnie dziewczynka dodała: – Mamy nadzieję, że pani się u nas spodoba...

– Ja również mam taką nadzieję. – Uśmiechnęłam się, wczuwając w rolę.

– Możecie już iść – poleciła Ewina i gdy tylko dzieci zniknęły za drzwiami, odwróciła się do mnie. – I co pani na to?

– A cóż mogę powiedzieć po minucie oglądania i usłyszaniu dwóch wypowiedzianych przez nie zdań? – prychnęłam. – Gdy poznamy się bliżej, coś może się wyjaśni.

Te dzieci były jak najzwyklejsze ze zwykłych, nie wyczułam w nich ani śladu kontaktów z siłami nadprzyrodzonymi, ani żadnej magii. Ale z drugiej strony na razie nie chciałam grzebać głębiej, to spokojnie mogło poczekać. Bardziej zaciekały mnie same bliźnięta.

Miały tak niecodzienny dla naszych okolic wygląd, że ich ojciec na pewno musiał pochodzić z daleka. Zresztą ja też nie wyglądałam jak typowa Arastenska. Jeśli można się tak wyrazić, przeważnie spotyka się tu ludzi jasno u maszczonych, czyli o włosach blond lub kasztanowych, oczach szarych, niebieskich, zielonych (brązowe są rzadkością) i jasnej skórze. Ja natomiast jestem dość smagłą, czarnooką brunetką, jak zresztą wszyscy w naszej rodzinie. Dziedzictwo po prababce, kiedyś już przeze mnie wspomnianej niewolnicy z południa. Zakładałam jednak, że ona musiała być piękna, inaczej pradziadek by się na nią nie skusił, gdy tymczasem mnie do piękności było

daleko. Zresztą to i tak nieważne...

Chodziło wyłącznie o to, że bliźnięta Liselle wśród miejscowych wyglądały bardzo obco. Miały wyjątkowo jasne, prawie białe włosy i byłam pewna, że nie chodziło o zwykłe wypłowienie w słońcu. Ewina także była blondynką, ale jej włosy miały odcień ciemnego złota, czyli dzieci musiały pójść raczej w ojca, a nie matkę. Ich oczy, również bardzo jasne, były lodowoniebieskie, w zaskakująco ciemnej oprawie rzęs i brwi. Mówi się, że to oznaka szlacheckiej krwi, ale to było oczywiste – mało prawdopodobne, by dziedziczka rodu Liselle wyszła za człowieka z gminu.

Jeśli idzie o rysy twarzy i figurę, bliźnięta również zupełnie nie przypominały babki. Ewina Liselle była wysoka i postawna, ze skłonnością do tycia, podczas gdy jej wnuki, choć wysokie, jak na swój wiek, wyglądały na bardzo chude i delikatne, wydawało się, że starczy dmuchnąć i odlecą. Jednak dobrze wiedziałam, jak bardzo mylne bywa wrażenie kruchości – człowiek takiej budowy mógł okazać się silniejszy i bardziej wytrzymały od każdego klocowatego osiłka. Pozostawał jeszcze kolor skóry – jasny jak u Arasteńczyków, ale w zupełnie innym odcieniu. Ojciec Erwina i Erny najwyraźniej pochodził z północy, i to nawet nie z wysp, na których kiedyś mieszkałam, lecz z okolic jeszcze dalszych. Miałam kiedyś okazję poznać podobnie wyglądających ludzi. No cóż, zawędrował daleko od domu...

Ale wygląd jako taki nie był najważniejszy. Znacznie bardziej zainteresował mnie wyraz dziecięcych twarzy. Tak wyglądają bardzo posłuszne dzieci, które zostały wymusztrowane przez niezliczonych opiekunów, nauczycieli i innych treserów aż do stanu kompletnej bezmyślności. Choć niekoniecznie... Miałam przecucie, że bliźnięta zachowały wystarczająco sztywne karki, by skutecznie udawać dobrze wychowane dzieci, robić wszystko, czego żąda od nich władcza babka, ale przy tym jednak nie zatracić osobowości. Interesujące dzieci... Zwykle

niepokorne latorośle uciekają z domu przy pierwszej możliwości i wydawało mi się, że te tutaj również mogą tak postąpić. W odróżnieniu od swojej babki nie wyglądały na przestraszone „przemykającymi cosiami”, albo też próbowały tego nie okazywać. Jeżeli to drugie, panowały nad sobą wyjątkowo dobrze, jak na swój wiek.

Ale co w takim razie do tego stopnia wystraszyło mieszkańców zamku? Co czy kto?

Mój pobyt w tych okolicach zapowiadał się bardzo interesująco.

Przede wszystkim należało rozejrzeć się w zamku i właśnie tym się zajęłam. Przygotowany dla mnie pokój znajdował się tuż obok sypialni bliźniąt. Był spory i dobrze urządzone, ale nieprzytulny. Wymyślne, ciężkie meble, bardzo stare i znacznie lepiej nadające się do podziwiania niż użytkowania, portiere pełne fałd i zakładeczek, doskonałe do zbierania kurzu. Zamiast dywanu na podłodze leżała niedźwiedzia skóra, łącznie z łbem szczerzącym kły. To dopiero miły widoczek, zwłaszcza w nocy, kiedy człowiek jest rozespany i mało przytomny.

– Dzieci mieszkają w jednym pokoju? – spytałam Ewiny, zanim odprowadzono mnie do przydzielonej kwatery.

– Jeszcze tak – odparła. – Właściwie mają już po jedenaście lat i czas najwyższy je rozdzielić. Od dawna miałam zamiar przenieść je do osobnych sypialni, ale teraz twierdzą, że w samotności czują się nieswojo, i nawet im wierzę... szczególnie w zaistniałych okolicznościach. Dlaczego pani pyta?

– Tak tylko – odparłam wymijająco. Coś mi podpowiadało, że faktycznie należało zwrócić uwagę właśnie na bliźnięta. Tylko jeszcze nie wiedziałam, czego konkretnie mam szukać.

Podczas kolacji panowało całkowite milczenie. Dzieci jadły osobno, a z dorosłych obecne byliśmy wyłącznie ja i gospodyni. Ewina prawdopodobnie również wolała jadać posiłki we własnym pokoju, ale na cześć gościa

rozkazała, by nakryto do stołu w dużej jadalni. Muszę przyznać, że dawno nie miałam okazji przeżyć gorszego posiłku. Chodziło przy tym nie o jakość serwowanych dań, gdyż tutejszy kucharz okazał się prawdziwym mistrzem i nie miałam nawet pojęcia, jak nazywały się niektóre z tych frykasów. Niemniej całość urządzona została tak pompatycznie, jak gdyby gospodyni podejmowała jakąś koronowaną głowę. Siedziałyśmy na przeciwległych krańcach wyjątkowo długiego stołu, za którym spokojnie zmieściłoby się przynajmniej pięćdziesiąt osób, co skutecznie uniemożliwiało prowadzenie jakiegokolwiek rozmowy bez wydzierania się na całe gardło. Cała zgraja służących czyhała na każdy mój ruch i gdy tylko sięgnęłam do karafki czy talerza, natychmiast nalewali, nakładali... prawie wpychali do ust i przeżuwali za mnie. Przysięgam, że nie widziałam nic podobnego nawet na wielkich przyjęciach królewskich! Jednym słowem, wstałam z za stołu w nie najlepszym humorze, dosyć oziębłe życzyłam Ewinie dobrej nocy i udałam się do siebie.

Nie miałam najmniejszego zamiaru kłaść się spać. Przeciwnie, chciałam przejść się w nocy po zamku i sprawdzić, cóż takiego tajemniczego przemykało w nim po kątach i czy na pewno warto się tego czegoś bać. Zresztą i tak nie miałabym szans zasnąć, jakieś dziesięć razy do pokoju zajrzała służąca z pytaniem, czy na pewno mi nic nie potrzeba, doprowadzając mnie w ten sposób do wściekłości. W końcu zamknęłam drzwi od środka na klucz i dla pewności jeszcze przystawiłam do nich ciężki fotel. Wścibska służba zaskrobała jeszcze raz czy drugi, ale w końcu zostawiła mnie w spokoju. Jak ja nie cierpię tak natrętnej gościnności!

Zamek powoli zasypiał, głosy i kroki robiły się coraz cichsze, ale za to słyszalne stawały się inne dźwięki. Trzaski, stukanie, szuranie, skrzypienie – na razie nie słyszałam nic nadzwyczajnego. W moim miejskim domu czasami było dużo głośniejsze. Żadnych podejrzanych kroków, o których mówiła mi

Ewina, szemrania po kątach. Miałam wrażenie, że gospodyni nieco ubarwiła fakty, by brzmiały bardziej przekonująco.

Zza ściany, z sypialni bliźniąt, usłyszałam przygłuszone głosy. Ciekawe, o czym tak sobie przed snem rozmawiały...

Dyskusja dzieci była zbyt cicha, a ściana zbyt gruba, więc musiałam użyć zaklęcia wyostrzającego słuch.

– Eri, jak myślisz... – to był chłopiec. – Ona jest zła?

– Nie mam pojęcia – odparła jego siostra. – Chyba nie bardzo...

– Poprzedni nauczyciel też wydawał się dobry – mruknął Erwin. – A okazało się...

– Cóż, zawsze możemy powiedzieć babci, że jest dla nas niedobra, to ją wyrzucą – rozsądnie zauważyła mała.

– To nie słyszałaś, co powiedziała Lita? – zapytał chłopiec.

– A co mówiła?

– Że tę nauczycielkę przysłała babci sama królowa – szepnął Erwin. – Przecież wiesz, one się z babcią przyjaźnią, cały czas to powtarza... Mało prawdopodobne, że się jej pozbędziemy.

– Tak... pewnie masz rację – westchnęła Erna. – Ale może najpierw zobaczymy, jaka ona jest, a dopiero potem będziemy się zastanawiać. Dobrze?

– Dobrze – zgodził się jej brat.

– A teraz spać – poleciła dziewczynka. – Bo jutro znowu nam się oberwie, że siedzimy senni na lekcjach.

– Bez tych lekcji to było dobrze... – marzycielsko stwierdził Erwin.

Za ścianą coś zaszurało, po czym zapadła cisza. Cóż, w jednym Ewina miała rację, słudzy rzeczywiście podsłuchiwali, i to w sposób wprost mistrzowski, a następnie plotkowali pomiędzy sobą. Dzieci też miały uszy

czujnie nastawione. Nie zdołałam powstrzymać mimowolnego uśmiechu. Wyglądało na to, że nauczyciele bliźniąt nie zostawiali w zamku dłużej nie tylko z powodu dziejących się tutaj „dziwactw”. Miałam wrażenie, że te małe nicponie jak najbardziej przyłożyły rękę do tego, by pozbyć się z domu niesympatycznych im opiekunów. Jeżeli wiedzieć, od której strony się do tego zabrać, wcale nie jest to skomplikowane.

O dziwo, pierwsze skrzypce w tej parze grała dziewczynka. Brat najwyraźniej jej słuchał. Zresztą czego się spodziewać po rodzinie, w której prawie od zarania dziejów rządziły kobiety?

I właśnie rozmyślając nad tym ciekawym zagadnieniem, nie zauważyłam nawet, kiedy zasnęłam, zawalając tym samym nocny spacer po zamku. Muszę przyznać, że spało mi się wprost doskonale. Żadne obce dźwięki czy koszmary nie mąciły mego spokoju i rano obudziłam się we wspaniałym nastroju.

ROZDZIAŁ 17

Bliźnięta

Rano Ewina pojawiła się w jadalni, wyglądając cokolwiek niewyraźnie. Już od progu zaczęła uskarżać się na bezsenność, co skwitowałam milczeniem. Niestety, ponieważ jedynym usprawiedliwieniem podobnej impertynencji było ciągle przeżuwanie, poświęciłam się temu całkowicie. Ostatecznie gospodyni uznała, że nie wzbudzi we mnie współczucia, surowo obsztorcowała służącą za kilka okruszków na obrusie, po czym sucho poinformowała:

– Panno Niks, dzieci czekają na panią w sali lekcyjnej. Lokaj panią zaprowadzi.

„No dobrze, mogą być i lekcje – pomyślałam, kończąc posiłek. – Tylko chyba będę musiała zmienić pierwotny plan”. Kreowanie się na wredną starą pannę nie miało sensu. Z jednej strony nieźle byłoby poznać metody, które bliźnięta stosowały w celu pozbycia się niechcianych nauczycieli, ale z drugiej – takie zabawy byłyby stratą czasu. Poza tym najlepszym sposobem, by dowiedzieć się, co było „nie tak” z dziećmi, było nawiązanie z nimi bliższego kontaktu. Musiałam w jakiś sposób spróbować, zdobyć ich zaufanie. Jak? A to się już zobaczy w trakcie...

Bliźnięta powitały mnie ostrożnymi spojrzeniami jednakowych błękitnych oczu.

– Dzień dobry – przywitałam się.

– Dzień dobry, panno Niks – zabrzmiała chóralna odpowiedź.

Hm... I od czego by tu zacząć? Nigdy nie miałam nauczycieli, wszystkiego uczył mnie dziadek, który nie potrzebował w tym celu żadnych wprowadzeń.

– Na początek może opowiecie, co już wiecie – olśniło mnie. Bliźnięta spojrzały po sobie, nieco zmieszane.

Trochę to potrwało, ale w końcu udało mi się wydusić z nich przybliżoną listę informacji, którymi już je nafaszerowano. Wyglądało na to, że w ich edukacji brakowało jakiegokolwiek systemu, a każdy następny nauczyciel po prostu podchodził do sprawy zgodnie ze swoim własnym widzimisię, tylko pogłębiając chaos panujący w tych jasnych główkach.

– No dobrze – westchnęłam. No nie, chyba nie warto dalej komplikować sytuacji, więc dzieci będą musiały poradzić sobie bez matematyki i całej reszty przedmiotów ścisłych. – W takim razie zacznijmy. Jak rozumiem, na razie wasza wiedza z zakresu nauk przyrodniczych jest niewielka, więc na początek opowiem wam o krajach, które są naszymi najbliższymi sąsiadami.

Zauważyłam przebłysk zainteresowania w spojrzeniu Erwina i dodałam, niby w zamyśleniu:

– Od czego by tu zacząć? Może... Tak, oczywiście, zaczniemy od księstw północnych!

Teraz z ciekawością patrzyła na mnie również Erna i zrozumiałam, że jestem na dobrej drodze. O historii oraz zwyczajach księstw północnych mogłam opowiadać długo, ponieważ spędziłam tam spory kawałek życia i bardzo tamte okolice lubiłam. Chyba nawet trochę się zagalopowałam, ponieważ do rzeczywistości przywróciło mnie dopiero delikatne pukanie do drzwi i pojawienie się służącego z wiadomością, że podano do stołu. Bliźnięta, słuchające mnie z otwartymi ustami, spojrzały po sobie z

rozczarowaniem.

– Panno Niks, a pani osobiście była kiedykolwiek w tamtych okolicach?
– spytała nagle Erna.

– Raz czy drugi – odparłam. Wolałam nie kłamać otwarcie, gdyż dzieci doskonale to wyczuwają, a nie chciałam nastawiać tej dwójki przeciwko sobie z powodu takiego drobiazgu.

– I naprawdę wszystko tam jest tak, jak pani opowiada? – Dziewczynka patrzyła na mnie podejrzliwie. No tak, dzieciom hodowanym w srogim reżimie opowieści o panującej na północy wolności musiały wydawać się bajkami.

– Jeżeli w ciągu ostatnich dziesięciu lat nie zaszły jakieś większe zmiany, to tak. – Uśmiechnęłam się. – A teraz idźcie na obiad, dokończymy później.

Niestety, po obiedzie nie miałam okazji kontynuować rozmowy z bliźniętami. Po godzinie odpoczynku Erwin udał się na lekcję szermierki. Erna tymczasem trafiła pod skrzydła ochmistrzyni i zajęła się haftem. No tak, nauki naukami, ale potomek szlacheckiego rodu musi znać się również na sprawach przyziemnych. Czyli zgodnie z tradycją jazda konna i fechtunek dla chłopców oraz robótki ręczne dla dziewczynek.

W ten sposób zyskałam kilka wolnych godzin, które poświęciłam na zbadanie zamku. I znowu nie udało mi się wykryć absolutnie nic niezwykłego! Budynek jak budynek, nawet w pałacu królewskim było więcej śladów wszelakich drobnych istot nadprzyrodzonych, mimo że królewscy magowie regularnie przeprowadzali tam czystki. Nie, nie miałam bladego pojęcia, co tu mogło „szurać” po nocach!

Odwiedziłam również galerię portretów, ale czekało mnie kolejne rozczarowanie. Kiedyś rzeczywiście mieszkał w niej duch, ale już dawno ją porzucił, a ja nie potrafiłam znaleźć wytłumaczenia. Wbrew temu, co myślą zwykli ludzie, duchy pojawiają się nie dlatego, że czyjaś niespokojna dusza

ma ochotę na straszenie mieszkańców domu czy też bardzo pragnie im o czymś opowiedzieć. Nie zagłębiając się zbyt w teorię, mogę powiedzieć tylko tyle, że pojawienie się duchów w starych zamkach jest całkowicie zrozumiałe, ponieważ przez wieki powstają w takich miejscach ogromne skupiska energetyczne, a do nich, jak muchy do miodu, zlatują wszelakie bezcielesne istoty. Dla ducha energetyka domu jest tym samym, czym dla nas zwykłe jedzenie. I ten, kto zdoła zagarnąć taki teren przed innymi, nie musi już nigdy więcej martwić się o to, co włoży do garnka. (Teoretycy nie pierwszy wiek spierali się, czy duchy mają przynajmniej zalążki rozumu, ale do tej pory nie doszli do żadnych konkretnych wniosków). Zdarzało się, że w jednym budynku mieszkało nawet i dziesięć duchów, ale było to zjawisko bardzo rzadkie – najwyraźniej niechętnie wpuszczały one obcych na swoje łowiska. Z uwagi na brak materialnego ciała nie mogły też w żaden sposób zaszkodzić ludziom, najwyżej tylko przstraszyć, a i to wyłącznie te najwrażliwsze osoby. Zjawy były nieco bardziej niebezpieczne, ale sądząc z opisu Ewiny, w zamku Liselle mieszkał właśnie duch, zupełnie nieszkodliwy i znany wszystkim mieszkańcom. Miał sporo szczęścia, niezłe warunki lokalowe i jeśli miałabym wierzyć Ewinie, to spędził tutaj około pięciuset lat, po czym niespodziewanie zdecydował się porzucić zamek... Czyżby do cna wyczerpał tutejsze zasoby? Niemożliwe, duchy nie potrzebowały jakichś niesamowitych ilości energii, a w zamku, dokładnie tak jak przedtem, mieszkała cała masa ludzi, więc zapasy energii powinny raczej rosnąć. Najpewniej coś go przstraszyło, ale co? Przegonienie ducha, który zbyt narusza spokój mieszkańców, nie przekracza możliwości nawet przeciętnego maga, ale tutaj nie wyczuwałam żadnych śladów działalności kolegów po fachu. Wyglądało na to, że pewnego pięknego dnia (czy też nocy) duch po prostu zdecydował się zmienić miejsce zamieszkania, spakował manatki i odleciał z zamku. Ale to się po prostu nie zdarza!

W głębokim zamyśleniu zesłam do salonu, gdzie natychmiast dopadła mnie Ewina.

– Znalazła pani coś? – spytała wprost.

– Jeszcze nie – odparłam. – Zupełnie nic podejrzanego. Zresztą jeszcze nie próbowałam nocnych spacerów. Gdy tylko czegoś się dowiem, powiadomię panią.

– A dzieci? – Ewina wyglądała na przestraszoną. – Co pani o nich myśli?

– Dzieci jak dzieci... – Wzruszyłam ramionami. – Nieco zamknięte w sobie, ostrożne w stosunku do obcych, ale to całkiem normalne zachowanie. A przy okazji, czy mają możliwość kontaktów z rówieśnikami?

– Rzadko... – przyznała gospodyni. – W okolicy nie ma dzieci w ich wieku. Czasami przyjeżdża mój syn ze swoimi, ale nie bardzo się dogadują. Tamci moi wnukowie są zupełnie inni, hałaśliwi, prawdziwe łobuziaki. Nic tylko biegają wszędzie na złamanie karku i niszczą wszystko, co im stanie na drodze. Moim zdaniem, ich rodzice w ogóle nie zajmują się ich wychowaniem!

– Mówiła pani, że w zamku mieszkają dzieci służących – przypomniałam.

– Tak, ale... – Ewina spojrzała na mnie z naganą. – Nie chce chyba pani sugerować, że powinnam pozwolić swoim wnukom na kontakty z jakimiś nieokrzesaniami! Wyobraża pani sobie, czego mogą się od nich nauczyć? Nie, to wykluczone!

– Rozumiem – westchnęłam. Cóż, nie moja sprawa, ale miałam wrażenie, że Ernie i Erwinowi brakowało kontaktów z rówieśnikami. Tyle dobrego, że było ich dwoje, gdyż w pojedynkę zdziczeliby do reszty.

– Skoro już mówimy o dzieciach... – przypomniała sobie Ewina. – Panno Niks, chciałam panią poprosić, by zadbała pani o nie wieczorem. Widzi pani, długo zasypiają, a służący boją się w nocy poruszać po zamku... A pani pokój

znajduje się tuż obok dziecięcego.

– W takim razie dlaczego służący nie mogą po prostu nocować w pokoju bliźniąt? – spytałam. – Przecież mówiła pani, że w jej sypialni nocują dwie pokojówki.

– Tak, ale... – Gospodyni szalenie się zmieszała. – Przecież chciała pani się im lepiej przyjrzeć, moim zdaniem, to bardzo dobra okazja.

– Ma pani rację. Zajmę się dziećmi – odparłam, skrywając uśmiech. Arnaia Liselle próbowała wycisnąć ze mnie wszystko, co tylko się dało. Nie mogłam wykluczyć, że służący istotnie bali się spacerować wieczorem po zamku, ale najpewniej to Ewina tak bardzo chciała sprawdzić swoje podejrzenia co do bliźniąt, że gotowa była zamknąć mnie z nimi w jednym pokoju na klucz, byle tylko otrzymać upragnione wyniki. No dobrze, mogłam wyjść jej naprzeciw, tym bardziej że było to również w moim interesie.



Bliźnięta nie okazały radości na widok mojej osoby w swojej sypialni. Zapewne natrętni służący byli już złem oswojonym, podczas gdy kompletnie nie wiadomo było, czego spodziewać się po mnie. A że nie miałam najmniejszego zamiaru bawić się w niańkę, więc zakomunikowałam wprost:

– Wasza babcia prosiła, by was przypilnować.

– Nie trzeba nas pilnować – odezwała się Erna. – Jesteśmy już dość duzi.

– Chętnie wam uwierzę – odparłam i poprawiłam okulary, które ciągle próbowały ześlizgnąć mi się z nosa. – W takim razie możecie się szybciotko rozebrać i wskoczyć do łóżek!

– Sami? – niepewnie zapytał Erwin.

– Chcesz mi powiedzieć, że nadal was rozbierają i ubierają niańki? –

zdziwiłam się. – Dobrze sobie...

Bliźnięta spojrzęły po sobie i zaczęły rozpinąć niezliczone guziki. No tak, to mogło chwilę potrwać...

– A babcia do tej pory ubiera się przy pomocy służących – odezwała się Erna, próbując wyplątać się z sukienki.

– Wasza babcia musi zakładać wszelaką kobiecą uprząż, z którym to wielce trudnym zadaniem jedna osoba faktycznie sobie nie poradzi. – Uśmiechnęłam się. – A całą resztę odzieży spokojnie można zarówno założyć, jak i zdjąć samodzielnie. Oczywiście, jeśli trochę się poćwiczysz – dodałam, patrząc na męczarnie dzieci. Nie prosiły jednak o pomoc.

Hm... Chyba troska o wnuki w wersji Ewiny osiągnęła nieco przesadną skalę. To naprawdę dziwaczne, by jedenastolatki nie potrafiły ubrać się bez pomocy służących! No dobrze, odświętne szaty to co innego, z nimi nawet nie każdy dorosły sobie poradzi, ale codzienne ubranie?! Pamiętam, że ja doskonale obywałam się bez pomocy, odkąd skończyłam pięć lat. Co prawda wtedy już mieszkaliśmy na północy, a tam ludzie ubierają się znacznie prościej i wygodniej.

W końcu dzieci, starannie odwróciwszy się do siebie plecami, założyły długie aż do podłogi koszule nocne, które sprawiły, że oboje byli już zupełnie nie do rozróżnienia, po czym wlażyły każde do swojego łóżka.

– No cóż – powiedziałam. – W takim razie dobrej nocy.

– Panno Niks! – zawołała Erna. – A mogłaby pani... mogłaby pani chwilkę z nami posiedzieć?

– Oczywiście, że mogłabym – odparłam. No to zobaczymy, co mi mała odpowie... – Tylko po co? Boicie się ciemności?

– Ciemności? – Bliźnięta swoim zwyczajem spojrzęły po sobie i pokręciły głowami. – Nie, nie boimy...

– W takim razie po co? – zdziwiłam się sztucznie.

– Nie opowiedziała nam pani do końca o północnych księstwach – odrzekła dziewczynka.

– Opowiem jutro na lekcji – odpowiedziałam z uśmiechem. – Jeszcze sporo zostało, trwało by to całą noc. A czas najwyższy spać.

– W takim razie niech nam pani po prostu coś opowie – odezwał się Erwin, siadając w łóżku. – Takiego króciutkiego, żeby nie trwało całą noc!

Uważniej przyjrzałam się bliźniętom, napotykając ich wyczekujący wzrok. No tak, gdzie ja miałam oczy? Och, Ewino, Ewino...! W tych swoich próbach wychowania wnuków idealnych chyba kompletnie zapomniałaś o jednej rzeczy. Dzieci uczono wszystkiego, czego się tylko dało, karmiono delikatesami, na jedno kichnięcie wzywano najlepszych magomedyków, na każde skinienie pojawiała się dziesiątka służących, ale... Wyglądało na to, że od bardzo dawna nikt z nimi nie rozmawiał tak po prostu, zwyczajnie. Nie jak z następcami, potomkami rodziny Liselle, nie pouczając, jak należy się zachowywać, lecz tak o niczym, o błahostkach... A potem ktoś się dziwi, że zachowują się „nie tak”!

– Opowiedzieć wam bajkę? – zaproponowałam.

– Bajkę? – Bliźnięta ponownie wymieniły spojrzenia, a Erna nieufnie spytała:

– To pani umie opowiadać bajki?

– Czego to ja nie umiem – uśmiechnęłam się. – No to jak, mam opowiadać czy nie?

Bliźnięta skwapliwie pokiwały głowami. Usiadłam na brzegu łóżka Erny i poleciłam Erwinowi:

– Chodź do nas, będzie ci wygodniej słuchać.

Długo prosić nie musiałam i w jednej chwili znalazł się u boku siostry. Hm... Tylko jaką bajkę miałabym opowiedzieć? Szczerze mówiąc, nie pamiętałam ich wcale aż tak wiele. Gdybym wiedziała, że przyjdzie mi się

bawić w bajaranę, to przekartkowałabym tamten gigantyczny zbiór starych legend, który tak fortunnie udało mi się wywieźć z majątku Lagarstów. A zresztą jakoś sobie poradzę.

– Żyła sobie kiedyś księżniczka – zaczęłam. – Na imię miała, eee... a zresztą nieważne. Była to bardzo piękna księżniczka, ojciec był z niej straszliwie dumny i planował wydać ją za najlepszego rycerza, jakiego tylko uda mu się znaleźć we wszystkich okolicznych królestwach. A kiedy rycerze kruszyli kopie na turniejach, księżniczka została porwana przez smoka. Bo smoki już tak mają, zobaczy któryś, że piękna księżniczka nudzi się sama w swojej wysokiej wieży, to koniecznie musi ją ukraść, jak by jej nie pilnowali! – Sądząc z tego, że bliźnięta patrzyły na mnie jak zahipnotyzowane, moja improwizacja się spodobała. Albo po prostu od bardzo dawna nikt nie opowiadał im bajek. – Oczywiście król ojciec był zdesperowany, bo mało tego, że ukradziono mu córkę, to teraz jeszcze wszyscy sąsiedzi mówiliby, że jego straż jest do niczego, skoro nie dała rady upilnować księżniczki. Więc dokładnie tak, jak zwykle robi się w takich przypadkach, natychmiast ogłosił, że jak ktoś znajdzie księżniczkę i ją uratuje, to otrzyma tyle złota, ile tylko będzie mógł unieść.

– A księżniczkę na żonę? – wtrącił Erwin.

– Siedź cicho! – Siostra szturchnęła go łokciem. – A jeśli ją uratuje jakiś chłop z gminu, to co, ona ma za niego wychodzić?

Nie dało się ukryć, że dziewczynka była wyjątkowo, jak na swoje lata, rozsądna. Powstrzymałam uśmiech i ciągnęłam dalej:

– Wielu rycerzy odpowiedziało na to zawołanie i wyruszyło na poszukiwania księżniczki. Tylko żaden z nich nie powrócił zwycięsko...

– Smok wszystkich zabił? – przeraziła się Erna.

– Bynajmniej. Po prostu niektórym nie udało się odnaleźć smoczego leża, a wstyd im było się przyznać. Kto inny zobaczył smoka i uznał, że żadne

złoto świata nie jest droższe od własnego życia – wyjaśniłam. – Ale w końcu znalazł się jednak pewien bardzo odważny rycerz, który zdecydował, że uratuje księżniczkę za wszelką cenę. Nie był on szczególnie bogaty, posiadał tylko zbroję po pradziadku i długą lancę. Szedł więc lasami i górami, aż w końcu znalazł tę, na której mieszkał smok, i nawet zdołał się na nią wdrapać, by wyzwąć gada na pojedynek – złapałam oddech. – Tylko że rycerz szukał bardzo długo, przecież smoki latają znacznie szybciej, niż biegnie najszybszy nawet koń z jeźdźcem, a smok zabrał swoją księżniczkę prawie na kraniec świata. I do czasu, gdy rycerz dotarł do tamtych okolic, księżniczka...

– Umarła? – pisnęła Erna. Hm, jakieś podejrzenie chmurne myśli kręca się wewnątrz tej blond główki.

– Nie, coś ty – odparłam. – Smoki bardzo dobrze traktują swoje zdobycze. Ten konkretny smok w żaden sposób księżniczki nie skrzywdził, umieścił ją w swojej najlepszej jaskini, a muszę wam powiedzieć, że jaskinie mają ciepłe i wygodne, żadne tam gołe kamienie. Zasypywał ją klejnotami, opowiadał magiczne historie, po prostu nosił na rękach...

– W jaki sposób smok mógł nosić księżniczkę na rękach? Przecież on nawet nie ma rąk – rozsądnie zauważył Erwin.

– To nie powiedziałam? – zdziwiłam się sztucznie. – Przecież smoki potrafią zamieniać się w ludzi. A w ludzkiej postaci ten smok był przystojnym i wesołym młodzieńcem, lepszym i bardziej szlachetnym od wielu rycerzy. Myślę, że nawet czytywał księżniczce wiersze, bo wiecie, smoki doskonale znają się na poezji. I jeszcze zabierał ją na przejażdżki na swoim grzbiecie pod gwiazdzistym niebem. Wyobraźcie sobie tylko, jakie to było wspaniałe! Tak więc księżniczka po prostu nie mogła go nie pokochać i najpewniej żyliby razem długo i szczęśliwie...

– A co w takim razie z rycerzem? – spytał Erwin. – Przecież wyzwął smoka na pojedynek?

– Wyzwał – potwierdziłam. – Ale smok tylko się z niego pośmiał i próbował dobrze nastraszyć, żeby rycerz uciekł i opowiedział wszystkim, że ze smokiem lepiej nie zadzierać. Tylko że rycerz był nie tylko odważny, ale jeszcze bardzo głupi. Nie uciekł, a spróbował zasłonić się przed smokiem odłamkiem lancy – westchnęłam. Obraz niedawnych wydarzeń stał mi przed oczami, jak gdybym miała okazję ponownie zobaczyć wszystko w najdrobniejszych szczegółach. – I okazało się, że lanca zaklinowała się pomiędzy kamieniami, a smok przypadkiem się na nią nadział. Tak w ogóle to bardzo trudno się je zabija, ale nic nie uchwyci przed aż tak głupim zbiegiem okoliczności...

– Więc smok umarł? – cicho spytała Erna.

– Smok umarł – potwierdziłam. – A rycerz przestraszył się tak bardzo, że również umarł.

– A księżniczka? – Erwin zadał bardzo sensowne pytanie. – Wróciła do ojca?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Księżniczka przytuliła się do smoka, zasnęła i już więcej się nie obudziła... Dokładnie jak powinno dziać się to w każdej bajce, to może i żyli niezbyt długo, ale szczęśliwie i umarli tego samego dnia.

– To bardzo smutna bajka – powiedział Erwin i pociągnął nosem.

– Ale dobra! – Erna, zupełnie się nie krępując, ocierała oczy rękawem. – Panno Niks, bardzo mi szkoda tej księżniczki, pewnie była bardzo miła...

– Tak, ta księżniczka była bardzo dobrą dziewczynką – zgodziłam się. Pewnie nie należało jeszcze raz wyciągać tamtej historii, ale skąd nagle miałam wytrzasnąć im bajkę? Następnym razem będę mogła opowiedzieć na przykład o zaczarowanym lesie. Co prawda w tamtej opowieści również było trochę zbyt wiele trupów, ale można spróbować jakoś to obejść.

– Moim zdaniem, to nie jest do końca bajka – nagle stwierdził Erwin,

bardzo mnie zaskakując. Już przyzwyczaiałam się do myśli, że był milczkiem, pozwalającym bardziej przebojowej siostrze prowadzić się za rękę, a tu nagle...

– Dlaczego tak uważasz? – spytałam.

– Ponieważ wszystkie bajki dobrze się kończą – odpowiedział poważnie.

– Tak powinno być. Nie bywa tak, żeby w bajce umarli wszyscy, co do jednej osoby. Tak bywa tylko w prawdziwym życiu.

Ciekawą to dziecko miało logikę! Chociaż z drugiej strony...

– Masz rację – przyznałam. – To nie jest bajka. I to wszystko zdarzyło się naprawdę...

– Naprawdę? – Bliźnięta patrzyły na mnie płonącymi oczyma. – Czyli smoki też istnieją?

– Istnieją. – Uśmiechnęłam się i nie wiedzieć czemu dodałam: – Nawet kiedyś jednego widziałam. Co prawda wyglądał jak człowiek, ale i tak dało się dostrzec, że tak naprawdę był smokiem.

Po takim wstępie trzeba by odrywać bliźnięta ode mnie za pomocą co najmniej kołowrotu! Po wyciągnięciu ze mnie wszystkiego, co wiedziałam na temat smoków, dzieciaki nieco się uspokoiły i Erna spytała:

– Panno Niks, a czy zna pani może takie prawdziwe historie, w których wszystko się dobrze skończyło?

– Obawiam się, że nie – odparłam uczciwie. – W takich historiach nigdy nie bywa tak, żeby wszystko i dobrze. A, niestety, zupełnie nie pamiętam bajek. Jakoś nigdy nie miałam okazji ich opowiadać.

– Mama zawsze opowiadała nam bajki... – mruknął Erwin. – I tata również.

– Tylko bajki taty były zawsze o morzu, statkach, morskich potworach i bitwach – westchnęła Erna. – Erwin wolał takie, a ja te mamy... Panno Niks, a chce pani, żebyśmy jej coś pokazali?

– Chcę.

Plan na dziś wieczór można było uznać za wykonany z nawiązką. A przynajmniej udało mi się zbliżyć do dzieci, dokładnie tak, jak założyłam.

– Eri, a jeśli... – zaczął Erwin, ale siostra mu przerwała:

– Tylko, panno Niks, bardzo prosimy, niech pani nie opowiada o tym babci! Bo ona się bardzo pogniewa.

– Dobrze. Obiecuję.

Ciekawe, co takiego Erna chciała mi pokazać, o czym nie powinna wiedzieć jej babcia? Jakie sekrety mogły mieć bliźnięta?

Tymczasem dziewczynka zeskoczyła z łóżka i na bosaka pobiegła do okna. Pogrzebała pod parapetem – usłyszałam charakterystyczne szczęknięcie zamka otwieranej skrytki – i wróciła na łóżko, trzymając w rękach jakiś przedmiot szczelnie owinięty grubym płótnem.

– Niech pani zobaczy. – Erna delikatnie odwinęła materiał i zobaczyłam niewielki obraz w prostej ramie. – To nasi rodzice...

Ostrożnie wzięłam od niej portret, który był odrobinę mniejszy od zwykłego arkusza do pisania i powinien być w zasadzie nazwany miniaturą. Niegorsza robota, w nieco staroświeckim stylu, ale bez dworskiej, ulizanej gładkości. Obrazowi co prawda daleko było do rysunków Eryha Dorzhe’a, ale jego autorowi również nie brakowało talentu.

Córka Ewiny była bardzo podobna do matki. Taka sama okrągła twarz, włosy koloru pszenicy, wesołe szare oczy. A mężczyzna musiał być ojcem bliźniąt, gdyż rzucało się w oczy ich wzajemne podobieństwo: niemal identyczne lodowato niebieskie oczy, prawie białe włosy i tylko twarz miał smagłą, opaloną wyraźnie nie przez tutejsze słońce. Okazał się młodszy, niż zakładałam, może tylko o pięć lat starszy od żony, chociaż z takiego obrazu trudno wnioskować. Ale mimo młodości wyraźnie dawało się dostrzec, że człowiek ten sporo w życiu widział. Przyjrzałam się uważniej. Malarz

precyzyjnie odwzorował kolczyki i pierścionki złotowłosej dziewczyny, a szyję mężczyzny ozdobił wisiołek w kształcie rombu – dosyć spory, najwyraźniej z ciemnego metalu, z wygrawerowanymi na nim prawie niewidocznymi znakami. Spotkałam się już w swoim życiu z takimi ozdóbkami i już wiedziałam, kim był ojciec bliźniąt. Potwierdzał to również fakt, że dzieci podobne były do niego, a nie do matki – wcale nie tak łatwo jest przebić magicznie wzmocnioną linię, a rodzina Liselle przecież takową posiadała... Do tej wiedzy nie pasowało mi natomiast coś zupełnie innego: jak on mógł porzucić własne dzieci?!

– Prawda, że mama jest piękna? – Erwin przerwał milczenie. – Babcia też jest piękna, mimo że stara. Tylko że mama była dobra, a ona...

– Babcia nie jest niedobra – odezwała się Erna. – Tylko... ona...

– Rozumiem – powiedziałam. – Tylko jest dla was surowa i cały czas wychowuje, prawda?

– Czasami wydaje się, że zupełnie nas nie kocha – szepnęła Erna. – Chociaż zawsze mówi, że kocha...

– Dlaczego tak uważasz? – spytałam. Skoro ja odczuwałam desperacką chęć, by już drugiego dnia znajomości udusić Ewinę Liselle, to mogłam sobie tylko wyobrazić, co przeżywały dzieci! Za rozsypaną sól mogła besztuć służącą przez prawie godzinę, przy tym cały czas utrzymując na twarzy wyraz dobrotliwej nagany. Nie wiem, jak innych, ale mnie osobiście tacy ludzie zawsze doprowadzali do szału.

Oczywiście na swój sposób Ewina kochała wnuki, a miłość ta wyrażała się w chęci zrobienia z dzieci godnych spadkobierców rodu Liselle mimo stawianego przez nie oporu. Obawiałam się tylko, że bliźniaki takiego wyjaśnienia nie zrozumieją.

– Nie wiem. – Erna zasmuciła się. – Nigdy nie przychodzi do nas tak po prostu, żeby posiedzieć i opowiedzieć o czymś tak jak pani w tej chwili.

Tylko pyta o lekcje, cały czas czegoś zabrania i gani, jeśli źle się zachowujemy...

– Byłoby lepiej, żeby sprawiła nam lanie – odezwał się Erwin.

– Dziwne życzenie – skomentowałam.

– Wcale nie dziwne – zaprzeczył. – Kiedy przyjeżdża do nas wujek Erryl z naszymi kuzynami, to również zabrania im wielu rzeczy. Tylko oni się nie słuchają i wtedy wujek ich karze. Sam widziałem, jak Estan celowo stłukł ulubiony wazon babci, po czym wujek Erryl złapał go i sprawił lanie swoim pasem.

– Babcia by się tylko na nas pogniewała – dodała jego siostra. – Ona by się na nas bardzo, bardzo długo gniewała! I potem by z nami tydzień nie rozmawiała. Albo nawet dwa.

– A wujek Erryl zbił Estana i natychmiast mu wybaczył – dokończył myśl Erwin.

– I pojechali na przejażdżkę, mimo że Estana siedzenie bolało.

Cóż, koncept był nawet zrozumiały. Sądząc z oznak, metody wychowawcze Ewiny Liselle stanowczo nie należały do najskuteczniejszych.

– Kiedyś u nas też tak było – powiedziała Erna. – Kiedy mama jeszcze żyła i tata nie wyjechał. A potem...

Pociągnęła nosem i odwróciła się.

– Potem babcia przegoniła tatę – dokończyła cicho.

To było coś nowego! Ewina twierdziła, że jej zięć wyjechał potajemnie, w nocy... Czyżby kłamała?

– Jak to przegoniła? – spytałam ze zdziwieniem.

– Nie wiemy. – Erna znowu odpowiedziała za nich oboje. – Nie słyszeliśmy. Tylko babcia i tata wcześniej też się dużo kłócili... Znaczy kiedy mama jeszcze żyła. Babcia mówiła, że tata psuje nie tylko nas, ale i mamę.

Hm... Czyli coś zaczynało się wyjaśniać. Pewnie trafiła kosa na kamień. Zięć Ewiny bynajmniej nie był łagodnym barankiem i charakter miał równie mocny. Odniosłam wrażenie, że nie musiał za bardzo się trudzić, by wyrwać żonę spod wpływu władczej matki. I dzieci najpewniej wychowywał tak, jak podobało się jemu, nie zwracając większej uwagi na zdanie teściowej. Ma się rozumieć, że ta ostatnia niespecjalnie cieszyła się z takiego obrotu sprawy.

– A jak mama umarła – dodała Erna – zrobiło się jeszcze gorzej. Babcia nawet kilka razy nakrzyczała na tatę, i to tak, że ojej!

– Tylko tata ją przekrzyczał – dodał Erwin, by sprawiedliwości stało się zadość. – Panno Niks, pani nie wie, jaki on ma głos!

Dobre sobie... Ciekawe, do jakiego stopnia trzeba wyprowadzić z równowagi doskonale wychowaną Ewinę Liselle, by podniosła głos? Hm... Niemniej mogłam wyobrazić sobie tę scenę, kiedy Ewina próbuje przekrzyczyć zięcia. Coś mi podpowiadało, że nie miało to cienia szansy na powodzenie, tacy jak on muszą mieć głos jak syrena.

– Oni się kłócili dlatego, że babcia nie pozwoliła tacie próbować wyleczyć mamy, gdy chorowała – ciągnęła Erna. – Tata mówił, że umie, ale babcia nadal mu nie pozwoliła, tylko zawołała medyka rodzinnego. A tatę w końcu do mamy nie puścili... Tylko potem, już kiedy...

Erna nie dokończyła i chlipnęła, a ja się zamyśliłam. Jakim cudem zdołali nie dopuścić tego człowieka do chorej żony? Chyba go związali i wsadzili do piwnicy. Zresztą... Widziałam tutejszych służących, byli wśród nich tacy bysie, że nawet dobry wojownik by sobie z nimi nie poradził, gdyby rzucili się całą gromadą. Ale z drugiej strony ojciec bliźniaków musiał być nawet nie dobrym wojownikiem, lecz doskonałym – co mogliby mu zrobić zwykli chłopcy? Podejrzane...

– Długo ze sobą nie rozmawiali – dodała Erna. – A potem się niby pogodzili...

– Wcale się nie pogodzili – burknął Erwin. – Tylko już więcej nie krzyczeli.

– Może i tak... – westchnęła Erna. – A potem tata wyjechał i już nie wrócił.

– A wiecie, dlaczego wyjechał? – spytałam ostrożnie.

Erna pokręciła głową. Erwin powtórzył jej gest, a następnie zerknął na mnie spode łba.

– Wszyscy mówią, że nas porzucił – odparł. – Ponieważ babcia tak powiedziała. Że niby tata zostawił list. Ale tego listu nikt nie widział! Babcia powiedziała, że go spaliła...

– Tak powiedziała – potwierdziła Erna. – A tak naprawdę... Oj, panno Niks, tylko niech pani babci nie mówi, ona nie wie!

– Nie powiem – zapewniłam. Biedne dzieci, zdradzić wszystkie swoje tajemnice pierwszej napotkanej osobie, która okazała im nieco uwagi! A gdyby na moim miejscu znalazła się prawdziwa nauczycielka? Całkiem prawdopodobne, że doniosłaby Ewinie, i co wtedy?

– Tamtej nocy tata do nas przyszedł – szepnęła Erna. – Myślał, że śpimy, ale my nie spaliśmy i wszystko słyszeliśmy.

– Ja spałem – poprawił Erwin. – Potem mi opowiedziałaś...

– Tata przyszedł bardzo cicho – ciągnęła dziewczynka. – Posiedział najpierw na moim łóżku, potem Erwina. Wydaje mi się, że nawet płakał... Powiedział, że musi wyjechać. I prosił nas o wybaczenie, że nie może zabrać nas ze sobą, bo teraz nie ma nawet własnego domu... Myślałam, że to mi się śni, bo inaczej nigdy bym go nie puściła!

– A rano babcia powiedziała, że tata nas porzucił – dokończył Erwin. – Bo nie wiedziała, że w nocy do nas przychodził, a Eri nie spała i słyszała wszystko, co powiedział.

– Rozumiem... – mruknęłam.

Szczerze mówiąc, nie rozumiałam nic a nic! Dlaczego ojciec bliźniąt odjechał w nocy, w tajemnicy? Naturalnie nie mógł zabrać ze sobą dwójki małych dzieci. Gdzie niby miałyby się z nimi podziać, bez pieniędzy, bez pomocy i na środku szlaku?! Ale dlaczego później nie wrócił? Tacy jak on się nie poddają! Czy może odpowiedni czas jeszcze nie nadszedł?

– Przecież on wróci, prawda, panno Niks? – cicho zapytał Erwin.

– Oczywiście – odparłam z przekonaniem. – Na pewno wróci. A powiedzcie mi, czy może wiecie, jak on się nazywał, zanim ożenił się z waszą mamą?

Erwin skinął głową.

– Wiemy. Długo się uczyliśmy... I innych imion też się uczyliśmy, tylko w tajemnicy przed babcią.

– Jakich innych imion? – nie zrozumiałam.

– Imion przodków – poważnie wyjaśniła Erna. – Jak nazywali się nasza druga babcia i dziadek, prababcia i pradziadek, i jeszcze wiele, wiele innych pra–pra!

– Rozumiem – uśmiechnęłam się. Całkiem logiczne, ludzie z północy doskonale znali swoje korzenie, więc nic dziwnego, że ten człowiek również chciał opowiedzieć dzieciom o przodkach ze swojej linii, a nie tylko linii Liselle. – A jak nazywał się wasz tata?

– Gerstain–ar–Sagrelle z domu Aolle – z patosem zadeklamował Erwin. Gwizdnęłam w myśli. No, naprawdę daleko od domu trafił ten ptaszek!

– Spróbuję się czegoś o nim dowiedzieć – obiecałam. – A teraz chowajcie wasz skarb i szybko do łóżek!

Dopilnowałam, aby bliźnięta naprawdę ułożyły się do snu, i poszłam do siebie. Musiałam się chwilę zastanowić, i to nad bardzo poważnymi sprawami. A przy okazji zwróciłam uwagę na to, co działo się na korytarzu. A raczej to, co się tam nie działo. Żadnego podejrzanego mroku po kątach ani

żadnych szelestów czy przemykania. Zdecydowanie nic w tym wszystkim nie było typowe!

Sytuacja stawała się coraz bardziej skomplikowana. Z rozmów służących, którym znudziły się plotki we własnym gronie, w związku z czym chętnie podzielili się informacjami ze mną, wywnioskowałam, co następuje: przyszły zięć Ewiny pojawił się w zamku niespodziewanie. Po prostu przejeżdżał obok, musiał przekuć konia i zatrzymał się w majątku, by zapytać, czy nie znajdzie tam kowala. Kowal oczywiście się znalazł, a gościowi zaproponowano nocleg, ponieważ na człowieka z gminu nie wyglądał. Przy kolacji miał okazję poznać córkę gospodyni. Oczywiście wędrowiec doskonale znał pozycję rodu Liselle i nawet by mu do głowy nie przyszło uderzenie w konkury do Einy Liselle, gdyby nie przemili kowal, który oświecił go w kwestii zwyczajów tejże wspaniałej rodziny. Tak więc gość zatrzymał się w majątku na dłużej, a po paru dniach oświadczył się dziewczynie. Dodajmy, że Eina nawet nie próbowała się krygować dla przyzwoitości. Ewina była tak oszołomiona wigorem swojego przyszłego zięcia, że kompletnie przegapiła właściwy moment, a kiedy się ocknęła, jej córka była już żoną niejakiego Gerstaina–ar–Sagrelle z domu Aolle. I właśnie w tym momencie zaczyna się najciekawsze. „Dom” to bardzo nieprecyzyjne tłumaczenie słowa pochodzącego z pewnego północnego dialektu. Oznacza ono nie dom, tylko coś w rodzaju klanu. A nawet i to nie do końca właściwe słowo, ponieważ taki dom łączy nie krewnych, lecz przyjaciół, towarzyszy broni i ich rodziny. Najdokładniejszym określeniem byłaby chyba „drużyna”, a jeśli być tak zupełnie i do końca uczciwym, to „banda”. Ponieważ domy północne są niczym innym jak pirackimi watahami, których wyczyny poważnie dają się we znaki wszystkim porządnym kupcom. Co prawda po zapłaceniu piratom okupu zwykle nie ruszają oni flotylli, a nawet odprowadzają ją do miejsca przeznaczenia, by przypadkiem nie napatoczyła

się piracka konkurencja. Natomiast jeśli się odmówi... Lepiej było nie odmawiać.

Książęta północy udają, że desperacko zwalczają piratów, ale jest to wierutne kłamstwo. Chociażby dlatego, że solidny procent zdobyczy zostaje właśnie w księstwach, ze względu chociażby na to, że w domach zrzeszona jest jedna trzecia ludności. Na przykład książę Garastas, z którego gościnności ja i dziadek długo korzystaliśmy, sam w młodości sprawdził się w roli pirata, miał więc do nowego ich pokolenia stosunek bardziej niż przychylny.

Dom Aolle jest jednym z najbardziej znanych i bogatych. I naprawdę chciałabym wiedzieć, jakim cudem Gerstain–ar–Sagrelle trafił w te okolice. W końcu jeśli dobrze rozpoznałam tamten wisior z zawiłymi znakami, to żaden z niego szeregowy pirat, tylko kapitan własnego okrętu wojennego, bo tylko oni noszą takie ozdóbki. Zresztą nieważne, jak tu trafił. Mógł właśnie podróżować z zadaniem od głowy swojego domu, mógł po prostu na chwilę zejść na brzeg w celach prywatnych, któż to mógł teraz wiedzieć. Tak czy siak, utknął na lądzie na znacznie dłużej, niż planował. Ale naprawdę nieźle mu poszedł abordaż Einy Liselle, czyżby się naprawdę zakochał? Chociaż dlaczego nie? Jeśli idzie o przyjęcie nazwiska żony, to Gerstain absolutnie nic nie stracił, a nawet zyskiwał, gdyż północni piraci nie mają nazwisk w ogóle. Jak w takim razie orientują się, kto jest czyim krewnym? Jeśli zna się na pamięć wszystkich swoich przodków przynajmniej dwadzieścia pokoleń wstecz, można bardzo łatwo dojść wszystkiego ze szczegółami. Pewnie liczył na to, że za jakiś czas zabierze Einę ze sobą, nie wziął tylko pod uwagę Ewiny Liselle. Potem pojawiły się dzieci, a jednak nie można ciągnąć kobiety z dwoma niemowlętami na kraj świata! Tak więc nasz pirat solidnie się zakotwiczył. Mogłam sobie tylko wyobrazić, ile go to kosztowało – w końcu tacy jak on nie mogą żyć bez morza. Ale chyba Eina i dzieci byli dla niego

cenniejsi niż morze, skoro nawet z teściową wytrzymał. A potem Eina umarła. I to również było dosyć dziwne. Nie udało mi się dowiedzieć, na co chorowała. Gerstain twierdził jakoby, że mógłby ją wyleczyć, ale Ewina nie pozwoliła mu nawet spróbować. Bardzo ciekawe... Co w takim razie z magomedykami? Wzywał ich ktoś? Trzeba będzie dokładniej sprawdzić ten wątek.

Idźmy dalej. Po śmierci Einy natychmiast zaognił się konflikt z Ewiną, który wcześniej córka pewnie umiejętnie łagodziła. Przez około pół roku Gerstain i pani na zamku żyli jak pies z kotem, a potem Ewinie chyba udało się wygryźć zięcia z domu. W jaki sposób? Naprawdę ciekawe, jak można było uderzyć tego człowieka, czym mu zagrozić? Na razie nie miałam żadnej teorii. Tak czy siak, odjechał dokładnie tak, jak się pojawił, zostawiając dzieci.

Przez jakiś czas wszystko szło w miarę normalnie. Ewina wychowywała wnuki najlepiej jak potrafiła i tak jak przedtem wychowywała własne dzieci. Hm... Przy okazji, jej młodszy syn mieszkał osobno i chyba był z tego bardzo zadowolony. Natomiast podwaliny wychowania Erwina i Erny położył ich ojciec, a ja nawet potrafiłam sobie wyobrazić, jak wyglądało, skoro sama wyrosłam na północy. Miałam wrażenie, że po czymś takim trafienie w ręce Ewiny okazało się dla dzieci ciężkim przeżyciem. Ale przez jakiś czas to znosiły, po czym nagle zaczęły się te wszystkie „dziwne rzeczy”, po których nadal nie znalazłam nawet śladu, jeżeli nie liczyć zniknięcia ducha.

O co w tym wszystkim mogło chodzić? Byłam golowa się założyć, że po zamku nie kręcił się nikt obcy...

Nieoczekiwanie doznałam olśnienia. Przecież odpowiedź cały czas leżała wprost przed moim nosem! Zresztą gdyby nie opowieść bliźniąt o ojcu, to jeszcze długo ganiałabym własny ogon.



Swoją teorię sprawdziłam już następnego ranka i nawet się nie zdziwiłam, widząc, że była absolutnie słuszna. Teraz została mi tylko poważna rozmowa z Ewiną, po czym jak najszybsze opuszczenie tego niegościnnego miejsca i zrzucenie z siebie idiotycznych fatałaszków. „Zresztą – uznałam – co mi szkodzi przebrać się nawet teraz?!”

Nawet nie jestem w stanie opisać, ile radości może dostarczyć zdjęcie koszarnej sukni z naręczem wykrochmalonych halek i założenie zwykłego ubrania, które przezornie zabrałam ze sobą!

Zresztą wyraz twarzy Ewiny Liselle, w chwili gdy zobaczyła mnie w tak zwanej zwykłej postaci, również dostarczył mi sporo radości.

– Pani...? – szepnęła biedna gospodyni i usiadła, gdzie stała. Szczęśliwie akurat stał za nią wygodny fotel.

– Przepraszam za ten maleńki spektakl – powiedziałam, siadając naprzeciwko i odruchowo zakładając nogę na nogę. – Nie chciałam zwracać na siebie nadmiernej uwagi. Nie będzie pani miała nic przeciwko, jeśli zapalę?

Przerażona Ewina pokręciła głową, co wzięłam za oznakę zgody.

– Tak więc, arnaio Liselle, muszę panią poinformować, że wydarzenia w zamku zostały przeze mnie wyjaśnione – rzuciłam po chwili milczenia. – I niniejszym uznaję dochodzenie za zakończone.

– Dochodzenie?!

– A, właśnie – uśmiechnęłam się. – Pozwoli pani, że jeszcze raz się przedstawię. Niezależny mag–justycjariusz Flossia Naren, do usług.

– Mag–justycjariusz! – Ewina wyraźnie miała zamiar zemdleć. – Ach, Ramea... Tego się po niej nie spodziewałam!

– Prosiłam Jej Królewską Mość, by nie wspominała mojego imienia i profesji – ciągnęłam. – Tak więc, arnaio Liselle, czy chce pani zapoznać się z uzyskanymi przeze mnie wynikami?

– Oczywiście! – Gospodyni udało się pozbierać. – Słucham panią.

– Na początku to ja chciałabym posłuchać pani – ucięłam zimno. – Pewne rzeczy nadal pozostają dla mnie niezrozumiałe, a są to szczegóły dosyć istotne.

– Ale... co chciałaby pani wiedzieć? – Ewina nic już nie rozumiała.

– Na początek pytanie: na co chorowała pani córka?

– Eina...? – Spojrzała na mnie ze zdumieniem. – Zaziębiła się, bardzo poważnie. A raczej wszyscy myśleli, że się zaziębiła... Tak naprawdę to była to zgnilizna płucna i... i... – Ewina zakryła twarz ręką.

– Chce mi pani powiedzieć, że żaden z wezwanych magomedyków nie rozpoznał tej zarazy i nie zdołał uratować pani córki? – spytałam lodowatym tonem. – Proszę podać mi ich nazwiska. Ta sprawa powinna zostać rozpatrzona przez Kolegium.

Tak zwana zgnilizna płucna bardzo dobrze udawała zwykłą febrę, ale bez interwencji magomedyka potrafiła zabić nie gorzej od dżumy. Co prawda ostatnio wynaleziono metodę leczenia jej bez użycia magii, ale była bardzo długa i skomplikowana, więc na razie nie była powszechnie stosowana. Ktoś doszedł, że chorobę wywoływały pewne małe istoty, które trafiały do organizmu człowieka na przykład w brudnej wodzie i osiedlały się w płucach. Następnie mnożyły się z oszałamiającą prędkością i nawet dzień zwłoki w leczeniu wystarczył, by pacjent zmarł. Tak więc idiota, który przegapił płucną zgniliznę, powinien zostać poćwiartowany na centralnym placu stolicy jako nauczka dla pozostałych.

– Magomedyków? – zdziwiła się Ewina. – Ależ nie wzywałam ich. Nasz rodzinny lekarz powiedział, że to zwykłe przeziębienie. Potem gdy Einie się

pogorszyło, wezwałam magomedyka z miasta, ale...

– Ale było już za późno – rzuciłam przez zęby. W przypadkach, gdy choroba zdążyła się już rozwinąć, nawet magia była bezsilna. – Rozumiem. W takim razie drugie pytanie. Dlaczego nie pozwoliła pani, by mąż Einy się z nią zobaczył?

– Ja... Skąd pani wie? – obruszyła się Ewina.

– Nie chce pani odpowiadać? – Zmrużyłam oczy. – To zapytam inaczej: w jaki sposób udało się pani wyrzucić go z domu? Czym mu pani zagroziła? Wiedziała pani, kim on naprawdę jest?

– Tak, ja... – Z twarzy Ewiny dawało się wyczytać, że jest bliska poddania. Co nastąpiło prawie natychmiast. – Tak, wiedziałam! Panno Naren, ja dowiedziałam się o nim wszystkiego, wszystkiego!

– No to proszę mi opowiedzieć – poleciłam.

Jak zwykle, historia okazała się tak prosta, że aż banalna. Gerstain nie był durniem i przedstawił się jako młodszy syn jednego z północnych książąt, o których w tych okolicach prawie nikt nic nie wiedział. Miejscowym nawet nie przyszło do głowy, by sprawdzać. Dlaczego – to inna kwestia, do późniejszego rozpatrzenia. Ale pewnego dnia, gdy bliźnięta skończyły już sześć lat, Ewina była w stolicy, przypadkiem usłyszała znajomy zwrot „dom Aolle” i nastawiła uszu. Uzyskane wiadomości ją, łagodnie mówiąc, zszokowały. Okazało się, że jej zięć nie był synem żadnego księcia, tylko najpospolitszym piratem! Dama nie poprzestała na tym i wynajęła jeszcze kogoś, tym razem by przeprowadził dochodzenie już na temat samego Gerstaina, a wyniki zaszokowały ją jeszcze bardziej: okazało się, że w Stalwii wyznaczono za jego głowę pokaźną nagrodę, a i u nas został dawno wyjęty spod prawa, jak i cała reszta piratów. Co prawda akurat to w praktyce nic nie oznaczało. Jego Królewska Mość głupi nie był i nie miał najmniejszego zamiaru zaczynać waśni z pirackimi domami, wysyłając na

szafot ich członków. Północni doskonale zdawali sobie sprawę z tego pragmatycznego podejścia, ale gdyby Arneliusz nie wydał odpowiednich dekretów, to z kolei sąsiedzi zaczęliby zerkać na Arasten podejrzliwie, a komu to potrzebne?

Nie miałam bladego pojęcia, czym Gerstain aż tak naraził się Stalwii, ale podejrzewałam, że tylko próbował przesiedzieć gdzieś na odludziu, póki sprawa nie przycichnie, i właśnie dlatego znalazł się w tych okolicach. Nie wiadomo, gdzie miał zamiar się udać, ale i tak tam nie dotarł.

Oczywiście Ewina nie próbowała zatrzymać uzyskanych informacji dla siebie, lecz wykorzystała je jako sposób, by przycisnąć zięcia.

– Opowiedziała pani o wszystkim córce? – spytałam gwałtownie.

– Tak... wszystko, do ostatniego szczegółu! – przyznała. – Kiedy Gerstain po raz kolejny wyprowadził mnie z równowagi! Miałam nadzieję, że w końcu wyrzuci go za drzwi...

– I co się stało?

– Okazało się, że o wszystkim wiedziała! Od samego początku doskonale wiedziała, kim on był! – Ewina zacisnęła drżące wargi. – Moja córka świadomie wyszła za jakiegoś rozbójnika, za mordercę!

– Czyli to, że nie dopuściła pani Gerstaina do Einy, gdy zachorowała, było po prostu drobną zemstą? – spytałam. – A przy okazji, jak się to pani udało?

– Bardzo łatwo: postawiłam przy drzwiach czwórkę strażników z kuszami i rozkazałam, żeby strzelali, jeśli spróbuje wejść.

Czyli to tak... Miałam wrażenie, że Gerstainowi udałoby się przedrzeć nawet przez dziesięciu stojących na drodze strażników, ale w tym celu musiałyby ich najpierw zabić. A on nie potrafił się zdecydować, by zrobić to dosłownie na oczach żony i dzieci. Czy mogłam mieć do niego pretensje?

– A wie pani, że on naprawdę mógłby uratować Einę? – spytałam. –

Można powiedzieć, arnaio Liselle, że własnymi rękoma zabiła pani swoją córkę.

– Jak to...? – Ewina pobladła do tego stopnia, że zaczęłam się poważnie obawiać, czy przypadkiem nie straci przytomności. Jednak powinnam bardziej uważać na słowa...

– Kiedy Gerstain mówił, że potrafi ją wyleczyć, nie kłamał – ciągnęłam.
– Nie pozwoliła mu pani wejść do pokoju Einy, a wiedźmini nie umieją leczyć na odległość, nawet niewielką. W odróżnieniu od magomedyków potrzebują bezpośredniego kontaktu. Ci ostatni też nie najlepiej radzą sobie na dystans, ale nadal...

– Co pani mówi? – szepnęła Ewina na granicy omdlenia.

– Wiedźmin – powtórzyłam. – Istnieją kobiety wiedźmy i istnieją mężczyźni wiedźmy, dla ułatwienia nazywa się ich wiedźminami. Wśród ludów północy spotyka się ich znacznie częściej niż u nas. A wśród piratów chyba połowa umie coś niezwykłego. Jeden wzbudza wiatr, drugi odwraca uwagę wroga... Najpewniej Gerstain potrafił jeszcze leczyć.

I właśnie dlatego nie udało mi się od razu wykryć śladów cudzej magii, gdyż wiedźmę trudniej wyczuć niż maga, najpierw trzeba się domyślić, że istnieje, a potem jeszcze specjalnie przestroić percepcję. Tak też zrobiłam i od tej chwili nie miałam już najmniejszych wątpliwości.

– Nie... – Ewina złapała się za głowę. – Pirat... wiedźmin... No jakże to?!

– A dalej pozbyła się go pani z domu – ciągnęłam, nie zwracając uwagi na te jęki. – Przy okazji, w jaki sposób?

– Ja... zagroziłam, że wyślę posłańca do Estalu... – przyznała. – Jeśli nie zgodzi się wyjechać... Chciał zabrać dzieci, ale na to mu nie pozwoliłam! Powiedziałam, że jeśli choćby spróbuje, to każę sługom go związać i sama osobiście zawiozę do Stalwii!

Chyba Gerstain jednak cenił własną głowę, skoro zdecydował się

wyjechać. Mimo to miałam wrażenie, że zamierzał w najbliższym czasie wrócić po dzieci. Jeśli moje szacunki były poprawne, to nie było go akurat tyle, ile potrzebował na potwierdzenie swojego statusu w domu Aolle. Czyli na odtworzenie żeglarskich umiejętności po dłuższym pobycie na lądzie, potwierdzenie prawa do okrętu, zebranie pieniędzy... Tego wcale nie robi się aż tak szybko. Ale ciekawe, jak planował zabrać dzieci, w tajemnicy czy wparowałyby do zamku Liselle w całej okazałości, na czele oddziału doborowych zabijaków? Najpewniej jednak to pierwsze, bo drugie już podpadało pod rozbój na terenie naszego królestwa, a z tego nikt by się nie ucieszył, nawet jego własny dom.

– A teraz przejdźmy do pani „dziwności” – podsumowałam z satysfakcją w głosie. – Miała pani rację, w tym wszystkim chodzi o dzieci.

Ewina gapiła się na mnie, zdjęta absolutnym przerażeniem.

– Proszę tak na mnie nie patrzeć, nic strasznego się nie stało – ciągnęłam. – Pewnie bała się pani, że dzieci okażą się podobne do ojca nie tylko z wyglądu, i poważnie zabrała się do ich wychowania. Obstawiam, że miała pani nadzieję, iż wnuki zostaną godnymi przedstawicielami rodziny Liselle. Ale, niestety, bliźnięta jednak zbyt wiele odziedziczyły po ojcu...

– Co chce mi pani przez to powiedzieć? – szepnęła Ewina.

– Tylko to, że sądząc z oznak, odziedziczyły po ojcu zdolności. Przy czym wygląda to u nich bardzo ciekawie, jakby jeden dar podzielony został na dwie osoby – odparłam. – Mało prawdopodobne, by pojedynczo były do czegokolwiek zdolne. Z bliźniętami wszystko jest zwykle bardziej skomplikowane... Tak czy siak, ani Erwin, ani Erna nie umieją świadomie korzystać ze swoich zdolności.

– Chce mi pani powiedzieć, że to wszystko... wszystko... – Ewina zrobiła nieokreślony gest. – To ich sprawka?

– Zapewniam, że kompletnie nie miały pojęcia, co czynią – mruknęłam. –

Z wyjątkiem tego ducha. Widzi pani, dzieci były doskonale świadome, że jest pani tak bardzo dumna z tego „rodzinnego ducha”, a chciały zrobić pani jakąś drobną przykrość.

O tym zdążyłam porozmawiać z bliźniętami wczesnym rankiem. Usłyszałam, że po prostu „bardzo mocno chciały, by ducha już więcej nie było”, więc zniknął. Już kiedyś wspominałam, że wygnanie ducha wcale nie jest aż tak trudne.

– Z myszami sprawa wygląda identycznie – dodałam. – Erna boi się myszy, więc pozbyła się ich raz na zawsze, oczywiście przy pomocy brata. Ale tylko te dwa działania były mniej lub bardziej zaplanowane. Wszystkie te dźwięki, kroki, cienie i „przemykania” to skutek uboczny stanu permanentnego przygnębienia, w którym znajdują się dzieci.

– Nic nie rozumiem – szepnęła Ewina.

– To bardzo proste – odparłam. – Jest im tu źle. Bliźnięta bardzo kochały matkę i ojca, przyzwyczyły się do tego, że również są kochane...

– Ale ja je kocham! – krzyknęła Ewina.

– Kocha pani nie ich, tylko to, co można z nich zrobić – zauważyłam chłodno. – Dziedziców rodziny Liselle. I nawet tego nie potrafi pani sensownie okazać. Przez jakiś czas to znosiły, ale teraz nie mogą już dłużej wytrzymać. Poza tym zaczynają dojrzewać, a sama pani rozumie... – westchnęłam. – Jednym słowem, przeżywane przez nich negatywne emocje częściowo się materializują, właśnie w postaci wszystkich tych „nadprzyrodzonych” zjawisk. Najczęściej w nocy, kiedy dzieci śpią i nie mogą się kontrolować. To nie jest takie straszne, gdy tylko nauczą się panowania nad sobą, wszystko powinno przejść bez śladu.

Zresztą już przechodziło. Wystarczyło, żebym przez chwilę traktowała bliźnięta nie jak drewniane lalki, które można ubierać i bawić się z nimi w dom, lecz jak normalne dzieci, to „dziwne zjawiska” natychmiast zniknęły.

Ewina zgarbiła się i patrzyła w podłogę.

– I co teraz? – spytała gorzko. – Miałam taką nadzieję... Moja Eina nie żyje, Erry jest nicponiem i nie chce mnie oglądać na oczy, ale przynajmniej wnuki... Ale to... to są jakieś potwory!

– No tak, widzę, że faktycznie je pani kocha – zauważyłam uprzejmie. – Tak czy owak, arnaio Liselle, trzeba nauczyć dzieci korzystania z ich daru albo to wszystko może się źle skończyć. I jeszcze jedno, w żadnym razie nie wolno ich na długo rozdzielać, wzajemnie ładują się energią, a w tym celu potrzeby jest ciągły kontakt.

– Tak... ściągnę ze stolicy najlepszych nauczycieli... – westchnęła Ewina.
– Niech mi pani tylko powie kogo.

– Arnaio Liselle, nie rozumie mnie pani – ciągnęłam cierpliwie. – Zabieram bliźnięta ze sobą, do stolicy. Kolegium ma pewną szkołę, w której kształcą się właśnie takie dzieci jak pani wnuki.

Była to najprawdziwsza prawda. Oczywiście dziedzicznych magów w tej szkole nie było nigdy, ale Kolegium gdzie mogło zbierało dzieci posiadające nawet najsłabsze umiejętności. Co prawda czasami zdarzały się wśród nich prawdziwe perły, jak chociażby wielki magomedyk Eintofer czy kilku wyjątkowo potężnych magów bojowych, których znaleziono jako niemowlęta niemalże w szczerym polu.

– Nie ma pani prawa! – podskoczyła Ewina. – Te dzieci znajdują się pod moją opieką i... i poskarżę się Jej Królewskiej Mości!

– Niech się pani skarży – odparłam spokojnie. – To w żaden sposób nie wpłynie na moją decyzję. Moje pełnomocnictwa są bardziej niż wystarczające, by zabrać pani wnuki. A teraz przepraszam najmocniej, czekają na mnie ważne sprawy.

Wyszłam za drzwi i złapałam oddech. Uff... Wolałabym cały dzień łązić po górach, niż dyskutować z takimi damami!

– Panno Niks! – zawołał mnie ktoś ze schodów prowadzących na piętro. Bliźnięta błyskawicznie zbiegły na dół i zamarły, nie mogąc zdecydować się, by podejść bliżej.

– Naren – poprawiłam. – Naprawdę nazywam się Flossia Naren.

– A pani... pani wcale nie jest stara – ze zdziwieniem zauważyła Erna.

– Panno Naren, powóz jest gotowy – z najwyższym szacunkiem zawołał mnie lokaj, któremu nie tak dawno wyjaśniłam, że polecenia magajustycjariusza powinny być wykonywane bez szemrania i natychmiast.

– Już pani sobie jedzie? – Erwin skrzywił się i wyglądał, jakby miał zamiar wybuchnąć płaczem.

– Tak. Ja sobie jadę, a wy razem ze mną – powiedziałam. – Łapcie szybko swoje skarby, ile tam dacie radę unieść, i pędem do powozu.

– A... a co z babcią? – Erna jednak była znacznie rozsądniejsza od brata, który nie miał nawet cienia wątpliwości co do tego, czy mam prawo tak po prostu wsadzić jego i siostrę do powozu i gdzieś zawieźć.

– Nie będzie miała nic przeciwko – odparłam.

– Dokąd nas pani zabiera? – chciał wiedzieć Erwin.

– Do stolicy – odpowiedziałam. – Na jakiś czas zamieszkacie w pewnym miejscu, w którym nauczą was wielu ciekawych rzeczy, a potem...

– A co potem? – gwałtownie zapytał chłopiec.

– Zgadnij – zaproponowałam i mimowolnie się uśmiechnęłam.

Erwin spojrzał na mnie, potem na Ernę i otworzył usta, by głośno krzyknąć z radości, jak zrobiłby to każdy normalny jedenastoletni chłopiec. Ale przyłożyłam palec do warg i ani pisnął.

– No już, szybciotko, nie będę na was czekać – przypomniałam i bliźnięta rzuciły się po schodach na górę.

No cóż, trzeba będzie napomknąć znajomym z Kolegium, by możliwie

szybko nauczyli dzieci chociażby podstaw. Podejrzewałam, że po tym jak przekażę wiadomość w pewne miejsce, w porcie pojawi się dosyć niedbale zamaskowany okręt bojowy domu Aolle. Chyba warto uprzedzić również Arneliusza, niech rozkaże, by na gości czekano, bo już ja znam naszych wojaków, na pewno podniosą zupełnie niepotrzebny rejwach!

Może nie miałam racji, ale wydawało mi się, że dzieci będą znacznie szczęśliwsze z ojcem. A jeśli chodziło o rodzinę Liselle, to Ewina miała jeszcze młodszego syna, a on, o ile się nie myliłam, nie mniej niż pięcioro dzieci. Tak że na pewno zdoła wybrać spośród nich godnego następcę, a Erwin i Erna już nie będą musieli wracać do tego majątku.



– Cóż, Wasze Królewskie Moście, to by było na tyle – zakończyłam swój meldunek najjaśniejszym małżonkom. Arneliusz co rusz z niezadowoleniem spoglądał w kierunku Ramei, a ona udawała, że tego nie zauważa. Zresztą awantury w rodzinie panującej mnie nie obchodziły i nie byłam ciekawa, co król powie swojej małżonce w związku z próbą ukrycia przed nim całej sprawy.

– I co teraz będzie z tymi dziećmi? – spytała Ramea, patrząc gdzieś w bok. Wyraźnie nie miała ochoty, by spojrzeć na mnie, ale potrafiłam to zrozumieć: zamiast pomóc jej przyjaciółce, ostatecznie zniszczyłam rodzinę Ewiny. Ale kto mógł przewidzieć, że wszystko tak się potoczy?

– Sądząc z doniesień, tydzień temu w okolicy latarni na przylądku Fergon[4] widziano trzy okręty rodziny Aolle – uprzejmie poinformował nas Arneliusz. – Poruszają się pewnie, nie tracą czasu na handlarzy, nie podnoszą znaków bojowych. Niedługo powinni tu być.

Ciekawe, dlaczego Arneliusz uznał, że należało wysłać te dzieci na

północ, ostatecznie w dobrych rękach mogły stać się wspaniałą bronią? Oczekiwał ze strony domu Aolle jakichś wyrazów wdzięczności? Całkiem możliwe, miłościwie nam panujący monarcha potrafił planować rozgrywkę z wyprzedzeniem wielu ruchów i któż mógł wiedzieć, co konkretnie miał na myśli w danej sytuacji. Tak czy siak, jego decyzja była zgodna z moją, co mnie cieszyło.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość. – Skinęłam głową. – Dokładnie tego się spodziewałam. Mogę odejść?

– Oczywiście, panno Naren, jesteśmy całkowicie zadowoleni z wyników przeprowadzonego dochodzenia – król odpowiedział zwyczajową formułką.

– W takim razie pozwolę sobie pożegnać się – stwierdziłam i opuściłam królewski gabinet.

Zbliżając się już do domu, pomyślałam, że mogłabym napisać obszerny list do pana Szlossa, literata. Ostatecznie historia ta była gotową fabułą do jego kolejnej powieści, nad którą damy będą płakać rzewnymi łzami. W sumie dlaczegoż by nie...?

ROZDZIAŁ 18

Pytania i odpowiedzi

Polecie[5] to moja ukochana pora roku. Jest jeszcze ciepło, a w dzień nawet gorąco, ale z nieba nie leje się przerażający skwar, który atakuje miasto w pierwszych miesiącach lata. Noce robią się zauważalnie chłodniejsze, ale jednak nie aż tak jak na jesieni. A niebo staje się wysokie i porażająco pełne gwiazd. Zresztą akurat gwiazdy w mieście i tak słabo widać...

Jechałam sobie jedną z centralnych ulic Zarzecza, leniwie rozmyślając na odwieczny temat mądrości Matki Natury. Po drodze próbowałam zdecydować, czy samej wpaść do kramu, czy może jednak wysłać Rimę. Z jednej strony samodzielne kupowanie zapasów było poniżej mojej godności, ale z drugiej – jeśli wyślę kucharkę po zakupy na kolację, to miałam wszelkie szanse się onej kolacji nie doczekać. Rima pełna najlepszych chęci uda się na targ, gdzie przy odrobinie umiejętności można sporo zaoszczędzić, i utknie w mieście na czas nieokreślony. Poza tym przypomniałam sobie, że i tak miałam zamiar zamówić sobie nowe buty, więc skoro już byłam w okolicy, skręciłam w sąsiednią uliczkę.

Ale nie było mi pisane dotrzeć ani do szewca, ani do masarza. Na ulicy, gdzie mieściły się przybytki handlarzy śmieciem wszelakim, które to śmieci nosiły dumną nazwę antykwariatu, nagle zauważyłam znajomą postać. Najpierw uznałam, że to wyobraźnia płata mi figle, ale już po chwili

przekonałam się, że wzrok jednak mnie nie mylił. Nie miałam najmniejszego zamiaru przegapić takiej okazji, bo nie wiadomo, kiedy mogła trafić się kolejna, więc ryknęłam na całe gardło:

– Panie Garresz!!!

– Panna Naren? – odpowiedział zawołany i z radością przekonałam się, że to rzeczywiście on. – Miło mi znowu panią zobaczyć.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jak JA się cieszę, że pana widzę – rzuciłam szczerze, zsiadłam z konia i złapałam uzdę.

– Gdybym był jakieś dwieście lat młodszy – z rozbawieniem odparł Garresz – to niech mi pani wierzy, że nie pozostałbym obojętny!

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi i ruszyłam obok niego, prowadząc kobyłę.

– Co pana sprowadza z powrotem do Arastenu? – spytałam.

– Bywam tu dość regularnie. – Smok wzruszył ramionami. Jego ubranie nie rzucało się w oczy, ale było solidne i wygodne – ni to średnio zamożny handlarz, ni to po prostu doświadczony podróżnik. – Kupuję różne rzeczy do mojej... hmm... kolekcji.

– A poza tym zawsze warto skorzystać z okazji i sprawdzić, co w ludzkich miastach piszczy? – spytałam.

– Dokładnie tak – odpowiedział Garresz, zachowując stoicki spokój. – Ale musi się pani zgodzić, panno Naren, że to żadne przestępstwo. Ja tylko słucham, co ludzie gadają, a oni zwykle gadają dużo i chętnie.

– Niech się pan zlituje – roześmiałam się. – Czy ja pana o cokolwiek oskarżam? A nawet na odwrót, jest mi to bardzo na rękę. Gdybym przypadkiem na pana nie wpadła, nie mam pojęcia, jak miałabym pana szukać!

– O, to chciała mnie pani widzieć? – zapytał smok ze skąpym uśmiechem. Na widok tego grymasu wszystkie wątpliwości co do jego

prawdziwej natury znikają bez śladu – ludzie tak po prostu nie potrafią. Niestety, nie umiałam opisać, co takiego szczególnego było w tym uśmiechu, niemniej jednak wyczuwałam owo „coś” wyraźnie i klarownie. – A w jakim celu?

– Chciałam podziękować za prezent – powiedziałam powoli, bawiąc się odruchowo końcem wodzy. – Okazał się bardzo przydatny w pewnej mojej... hmm... wycieczce w interesach.

– Cieszę się – krótko skwitował Garresz.

– I jeszcze chciałam zadać panu kilka pytań – ciągnęłam. – Oczywiście, jeżeli znajdzie pan dla mnie chwilę czasu.

– Nigdzie się nie śpieszę – odpowiedź napawała optymizmem. – Ale wydaje mi się, panno Naren, że rozmowa na środku ulicy, gdzie przyciągamy uwagę przechodniów dookoła, nie jest najlepszym pomysłem. Tym bardziej że chyba jest pani dość dobrze znana w tych okolicach.

– Ma pan całkowitą rację. W takim razie może udamy się do mnie?

Nie odmówił i po drodze do mojego domu wymienialiśmy jedynie nic nieznaczące komentarze. Dyskusje o sprawach zawodowych, a tym bardziej sprawach zawodowych tego typu nie powinny odbywać się na ulicy.

– W takim razie o co chciała mnie pani zapytać? – Garresz podjął wątek natychmiast po tym, jak zasiedliśmy w moim gabinecie, a ja nalałam wino do kieliszków. – I muszę powiedzieć, że ma pani doskonałe wino, nawet w królewskich piwnicach trudno o lepsze!

– Ono właśnie stamtąd pochodzi – wyjaśniłam. To Jego Królewska Mość zrobił mi kiedyś prezent z okazji święta zimowego, nieco spóźniony, ale w życiu nie przyszłoby mi do głowy się uskarżać. Taka oznaka uwagi ze strony Arneliusza była naprawdę sporo warta. – Panie Garresz, proszę powiedzieć uczciwie, wiedział pan, co się ze mną stanie, i właśnie dlatego zrobił mi taki prezent, czymkolwiek by on naprawdę był?

– Panno Naren, gdybym potrafił zaglądać w przyszłość – mój rozmówca odpowiedział ze smutnym uśmiechem – to proszę mi wierzyć, że udałoby się uniknąć bardzo wielu nieszczęść.

Logiczne, gdyby smoki istotnie potrafiły dokładnie przewidzieć przyszłość, to mało prawdopodobne, by Garresz pozwolił swojemu synowi tak głupio zginąć. Ale jednak...

– Ja tylko miałem przecucie – ciągnął powoli. – A od dzieciństwa uczymy się, że takim przecuciom trzeba ufać i koniecznie postępować zgodnie z nimi. Nie, nie miałem pojęcia, co się z panią stanie i kiedy, poczułem tylko, że pewnego dnia ten przedmiot może się pani bardzo przydać. I właśnie dlatego go pani oddałem.

– Gdyby nie posłuchał pan tego przecucia, to nie tylko ja miałabym na głowie spory problem.

– Aż tak? – Garresz spojrzał na mnie z nieukrywaną ciekawością. – Opowie mi pani o tym?

– Oczywiście – westchnęłam. Liczyłam na to, że dowiem się czegoś więcej o starożytnym bóstwie i smoczycich przecuciach. Jeśli w tym celu musiałam najpierw podzielić się własnymi wrażeniami, to gotowa byłam opowiadać nawet całą noc!

– Tylko bardzo proszę, bez „panów Garreszów” – dodał smok. – To brzmi zbyt... po ludzku. Tym bardziej że Garresz to imię, a nie nazwisko.

– Dobrze – zgodziłam się bez większych oporów. – W takim razie niech pan nazywa mnie Flossią.

– Umowa stoi. – Skinął głową. – No więc, Flossio, co takiego się pani przydarzyło i w czym tak pomógł mój prezent?

Rozpoczęłam opowieść i nie mogłam nie zauważyć, jak wraz z upływem czasu na twarzy Garresza malował się coraz mocniej niepokój. Co prawda pod koniec nieco się rozluźnił, ale i tak widać było, że moja historia go

poruszyła.

– Widzę, że przeczucie istotnie mnie nie zawiodło – powiedział, gdy skończyłam. – Ale w życiu bym nie pomyślał, że aż tak...

– Tak pan uważa? – Wzięłam z biurka swój kieliszek. – Garresz, a teraz chciałabym posłuchać pana. Co takiego mi pan podarował? Co to był za stwór? I o co chodzi z tym całym Lasem? Jeżeli teraz powie mi pan, że nie ma o żadnej z tych rzeczy najmniejszego pojęcia, to po prostu nie uwierzę!

– I będzie pani miała rację... – Smok usiadł wygodniej i dolał sobie wina. Nieoczekiwanie w mojej głowie zrodziła się kompletnie bezsensowna myśl, że do tej pory nigdy nie miałam okazji zobaczyć żywego smoka w jego prawdziwej postaci. Trupa w górach nie liczyłam. Może poprosić Garresza, by się dla mnie zmienił? Nie no, to byłaby kompletna głupota! Może nawet mi nie odmówi, ale po pierwsze, po tym wszystkim z mojego domu zostałyby naprawdę niewiele, a po drugie, sąsiedzi dostaną zbiorowego zawału! Pies tańczył z sąsiadami, ale domu mi szkoda...

– Może zaczniemy od tego, co w tym wszystkim jest najprostsze – zaczął Garresz. – Chociaż wydaje mi się, że w całej tej historii nie ma nic, co zasługiwałoby na miano prostego... Jeśli idzie o przeczucia, to chyba ten temat już zamknęliśmy, czyż nie, Flossio?

– Chyba rozumiem. Jeżeli coś, nazwijmy to głosem wewnętrznym, krzyczy panu do ucha, że koniecznie trzeba na przykład oddać pewien artefakt znajomemu magowi czy zrobić jeszcze coś w tym stylu, to należy się posłuchać.

– Dokładnie – podsumował smok. – W przeciwnym wypadku wydarzenia mogą zacząć rozwijać się zgodnie z najgorszym możliwym scenariuszem. A ponieważ wszyscy wielokrotnie mieliśmy okazję się o tym przekonać, to chyba tylko wśród najmłodszych można znaleźć osobników chętnych, by postępować wbrew swoim przeczuciom.

– A co to był za kamyczek? – spytałam niecierpliwie.

– Kamyczek? – nieoczekiwanie Garresz roześmiał się. Jego śmiech wydawał się jeszcze bardziej niehumaniczny niż uśmiech i nawet ja poczułam się lekko nieswojo, mimo że widziałam w życiu najprzeróżniejsze osobliwości. – Zresztą skąd miałaby pani wiedzieć... Flossio, to nie był żaden kamyczek, tylko swoisty kokon, w którym spała sobie pewna niematerialna istota. Kiedy rzuciła go pani na ołtarz tamtego stwora, nad którym buszował wicher energetyczny, kokon w oczywisty sposób został zniszczony, a istota się obudziła. Skutki tego wydarzenia miała pani przyjemność odczuć na własne oczy.

– I była to bardzo wątpliwa przyjemność! – prychnęłam. – Ale co to za istota? Chce mi pan powiedzieć, że przez dłuższy czas nosiłam na szyi coś, co zdolne było powstrzymać starożytne bóstwo?

– Absolutnie nic pani nie groziło. – Garresz skwitował moje obawy ruchem ręki.

– Do zniszczenia kokonu potrzebna była niesamowita ilość energii. Taka jak przy obudzeniu tamtego stwora – i jednak powstrzymałbym się przed nazywaniem go bóstwem. Jeśli idzie o samą istotę... – Garresz na chwilę zamilkł, jak gdyby szukając właściwych słów. Natychmiast okazało się jednak, że wcale nie byłam daleka od prawdy. – Flossio, trudno mi to wszystko wyjaśnić w waszym języku. Niektóre z naszych pojęć nie są przetłumaczalne, czego bardzo żałuję.

– Ale niech pan mimo wszystko spróbuje – poprosiłam.

– Jeżeli miałbym udzielić krótkiej odpowiedzi, to dokładnie tak, jak powiedziałem, jest to pozbawiona rozumu i ciała istota, posiadająca ogromny potencjał destrukcyjny – kontynuował Garresz po chwili namysłu. – I wszystko, co może ona zrobić po uwolnieniu się z kokonu, to zniszczenie pierwszego, co stanie jej na drodze. W tym konkretnym wypadku był to

budzący się starożytny stwór.

– A co się następnie z tą... istotą stało? – spytałam podejrzliwie. – Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że teraz lata sobie po świecie absolutnie przez nikogo niekontrolowana?

– Oczywiście, że nie – odparł smok. – Podstawowa wada tej broni, a z drugiej strony może i jej podstawowa zaleta to wspomniany już brak nawet zalążka rozumu. Niszczy ona przeciwnika, a przy tym całkowicie wyczerpuje własne zasoby. I oczywiście natychmiast ginie. Tak więc proszę się nie przejmować, Lasowi i jego mieszkańcom zupełnie nic nie zagraża.

– Powiedział pan „broni”? – Nadstawiłam uszu. – To wasz wynalazek?

– Nie. – Garresz wyraźnie nie miał ochoty na zgłębianie tego tematu, ale chyba zdecydował, że skoro już zaczął, to powinien powiedzieć wszystko. – To ludzki wynalazek.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam – przyznałam.

– Nie miała pani najmniejszej szansy o nim usłyszeć – głos mego rozmówcy brzmiał nadzwyczaj ponuro. – Powstał bardzo dawno temu. A takich... kokonów zachowało się tyle co nic. Jeden przypadkiem znalazł się w naszym rodzinnym skarbcu, nawet nie potrafię powiedzieć w jaki sposób.

Zamyśliłam się. Broń o tak niszczycielskiej mocy miałyby być starożytnym ludzkim wynalazkiem? Ale jeżeli opracowano go przed laty, a następnie wiedza ta została utracona, to dlaczego nikt do tej pory jej nie odtworzył, tak jak stało się to z wieloma innymi bojowymi technikami i zaklęciami? Czyżby nikomu się nie udało? Któż to mógł wiedzieć... Szczerze mówiąc, starożytni magowie mieli w arsenale wiele takich sztuczek, które dla dobra ogółu powinny pozostać zapomniane. Ale bardziej interesowała mnie inna kwestia.

– Garresz, jeżeli mówi pan, że kokon można otworzyć, tylko uderzając go ogromną ilością energii – a osobiście widziałam, co konkretnie ma pan na

myśli, to zakładałabym, że do jego zapieczętowania potrzebne są porównywalne nakłady mocy, czyż nie? Ale żaden z obecnie żyjących magów nie potrafi wyemitować tak potężnego impulsu, chyba że pracowaliby w grupie, na co bym raczej nie liczyła.

– Flossio, sama odpowiedziała pani na to pytanie – skomentował Garresz.
– Powiedziała pani „z obecnie żyjących magów”, czyż nie?

– Ach, rozumiem... – Potarłam czubek nosa. Niejednokrotnie już miałam okazję słyszeć, że my, obecne pokolenie, nie możemy w żaden sposób równać się z magami, którzy potrafili (przynajmniej jeśli wnioskować z legend) ruszać góry z posad i jednym spojrzeniem zawracać rzeki (niechby mi jeszcze ktoś powiedział, po co miałabym robić coś takiego?).

No dobrze. Historia zrobiła się nieco bardziej klarowna. Z opowieści smoka mogłam wywnioskować tylko jedno: miałam niesamowite szczęście. Po pierwsze, spotkałam Garresza, a po drugie, podarował mi ów zalegający w skarbcu od niepamiętnych czasów kokon. W przeciwnym razie zostałyby ze mnie mokra plama na skałach, a losy całego świata... Cóż, obawiam się, że po śmierci zbyt wiele bym się nimi nie przejmowała.

– Flossio, przepraszam za to, co teraz powiem – ciągnął Garresz. – Ale z mojego punktu widzenia fakt, że ludzie nie mają już wybitnie potężnych magów, może mnie tylko cieszyć.

– Doskonale rozumiem – uśmiechnęłam się – więc niech pan nie przeprasza. Nawet w dzisiejszych czasach dobry mag bojowy spokojnie mógł stanąć w szranki ze smokiem, więc strach pomyśleć, co wyprawiali nasi przodkowie, zdolni do opiewanych w legendach czynów (czyli zawracania rzek, przesuwania gór i całej reszty podobnie bezsensownych czynności). Dziwne, że smokom w tak niesprzyjających warunkach w ogóle udało się przeżyć!

– Dziękuję bardzo – westchnął mój rozmówca. – Ale, niestety, każdy

medal ma dwie strony. Nie ma już potężnych magów, ale ludzie są teraz kompletnie bezbronni przy spotkaniu z takim stworem z Lasu. Po prostu dlatego, że nie mają pojęcia, z czym się zetknęli i jak można z tym czymś walczyć.

– O tak... – mruknęłam. – A ja jednak jestem ciekawa, gdzie się to wszystko podziało. Słyszałam wersję, zgodnie z którą to skutek stopniowego zanikania magii.

– Magia nie może zanikać – roześmiał się Garresz, jakbym powiedziała coś niesłychanie zabawnego. – Przecież jest ona integralną częścią naszego świata. Nie, Flossio, teorie o tym, że zanika, można włożyć między bajki dla szarych ludzi i nic ponad to.

– Tak pan uważa? – Uniosłam brew. Ciekawe rzeczy opowiada pan smok! – W takim razie jak mamy wyjaśnić fakt, że każde kolejne pokolenie magów, poza rzadkimi wyjątkami, jest słabsze od poprzedniego?

– Flossio, ale kto pani powiedział, że to następne pokolenie RZECZYWIŚCIE jest słabsze? – zapytał Garjesz. – W jaki sposób można zmierzyć zdolności waszych magów? A przy okazji, co sądzi pani o magach dziedzicznych?

– Mogę powiedzieć wyłącznie to, co jest pewne: zdolności magiczne są dziedziczne i czasami dzieci są potężniejsze od rodziców – odparłam. – Niestety, problem polega na tym, że magowie niezbyt często miewają dzieci. Garresz, niech mi pan powie wprost, o co panu chodzi!

Smok posłał mi skąpy uśmiech. Chyba moja porywczość go bawiła.

– Flossio, przecież ja niczego nie ukrywam. Niech pani zapyta samą siebie: kto określa, że młodzi magowie są słabsi od poprzedników. Kto i w jaki sposób?

– Ale przecież to i tak widać. – Zmarszczyłam brwi. – Nie potrafią zrobić wielu z tych rzeczy, które robiono dosłownie jeszcze przed stu laty. Nie mają

dość mocy, by stosować te czy owe zaklęcia i...

– Ależ jeśli się orientuję, to pani jak najbardziej może powtórzyć wszystko, co robili jej dziadek i pradziadek. I chyba nie pomyłę się, mówiąc, że umie pani nawet więcej od nich. – Garresz przymrużył oko.

– Wyjątki tylko potwierdzają regułę. – Wzruszyłam ramionami. – Przecież cała reszta...

– Większość tej całej reszty nie jest magami dziedzicznymi – delikatnie zwrócił mi uwagę Garresz. – Czy wie pani może, w jaki sposób zorganizowana jest ich nauka?

– Tylko ogólnie – odparłam. – Słyszałam, że Kolegium wyszukuje dzieci, które przejawiają choćby załóżki magicznych zdolności, we wszystkich krajach znajdujących się w strefie jego wpływów. Nauka... mają swoje szkoły. Nigdy nie miałam okazji żadnej odwiedzić, szkolił mnie dziadek.

– Nie wydaje się pani przypadkiem, że sama może odpowiedzieć na wszystkie swoje pytania? – Smok przerzucił piłeczkę na moją stronę. Chyba cała rozmowa naprawdę go bawiła.

– Ma pan na myśli... – zaczęłam powoli – że te młodziaki nie umieją nic sensownego tylko dlatego, że niczego ich się nie uczy?

– Nie byłbym aż tak kategoryczny. – Garresz uniósł dłoń w pojednawczym geście. – Oczywiście uczą... minimalnych podstaw. A przecież każde zaklęcie ma tyle niuansów, że tylko geniusz może dojść do wszystkiego sam. Tymczasem znakomita większość młodych magów nie zalicza się do geniuszy.

– Słusznie... – westchnęłam, przypominając sobie, jak dziadek wtłaczał mi do głowy szczegółowe zasady pewnego bardzo skomplikowanego zaklęcia. Niektóre z nich wymyślone zostały jeszcze przez prapradziadka, następnie pradziadek udoskonalił je, a dziadek wpadł na kilka następnych oryginalnych pomysłów...

– A przy okazji, Flossio, proszę sobie przypomnieć, jak dawno miała pani okazję zobaczyć w opracowaniach Kolegium coś naprawdę ciekawego? – dodał Garresz.

– Nie pamiętam – rzuciłam naburmuszona. Sama zastanawiałam się nad tą sprawą nie dalej jak zeszłej zimy. – Wychodzą im kompletne bzdury, nie wiem, po co w ogóle marnują na to czas! Niedawno spotkałam znajomego, on również skarżył się, że w ciągu ostatnich siedmiu lat nie opracowano żadnego nowego bojowego zaklęcia... – urwałam. – Garresz! Co chce pan przez to powiedzieć? Że Kolegium...

– Ja już powiedziałem wszystko, co chciałem – uśmiechnął się smok. – I wydaje mi się, że powinna pani wszystko sobie przemyśleć.

– Chyba tak... – mruknęłam. Zastanowić się poważnie i bez pośpiechu. Poza tym stanowczo brakowało mi informacji, a ich zebranie również wymagało czasu... – Niczego sobie zagadka!

– Ale przecież rozwiązywanie zagadek to pani praca, czyż nie?

– O tak! Tylko skala tych zagadek wydaje się rosnąć z dnia na dzień. No dobrze, Garresz, chyba rozumiem, o co panu chodzi. Mam nadzieję, że nie odmówi pan kolejnego spotkania, gdy będę już miała mniej więcej jasny obraz sytuacji?

– Oczywiście. – Skinął głową.

– Cóż... – westchnęłam. – W takim razie wróćmy do tego stwora z Lasu. Czym on właściwie był?

– Trudno powiedzieć. – Smok wzruszył ramionami. – W dawnych czasach na tym świecie spotykało się wiele zadziwiających istot i trzeba przyznać, że nie zawsze były one przyjaźnie nastawione do otoczenia.

– Przecież do tej pory można je spotkać – zauważyłam. – Proszę nie uznać tego za obrazę, ale pana samego bez trudu można do nich zaliczyć.

– Ma pani całkowitą słuszność – uśmiechnął się Garresz. – Ale, Flossio,

proszę mi wierzyć, w porównaniu z niektórymi stworami ze starożytności jesteśmy niewinnymi i niegroźnymi istotami.

– Chętnie uwierzę... – Wzdrygnęłam się. Garresz zamyślił się na chwilę.

– Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, jak nazywał się gospodarz tego Zamku–Nad–Lasem?

– Reie Fein – odparłam. – Werger Fein.

– Fein... – Smok w zamyśleniu podrapał się po podbródku. – Ciekaw jestem, czy to przypadkiem nie skrót od Feinariss?

– A to kto? – spytałam nieufnie.

– Był kiedyś taki bardzo znamienity człowiek – wyjaśnił Garresz. – Rist Feinariss. Nie był co prawda magiem, ale miał ku temu pewne zdolności. I muszę pani powiedzieć, że był wyznawcą pewnego dosyć nieprzyjemnego kultu, z gatunku tych wymagających ofiar ludzkich. Tu miała pani rację...

Zmarszczyłam brwi. Ta wersja nie bardzo pasowała do legendy, w której przodek Feina uciekał przed prześladowaniami ze strony władz, a o świątyni nikt nic nie słyszał i tylko niektórzy wiedzieli, że kiedyś istniała. Może po prostu nikt nie znał prawdy?

– Najbardziej fascynujące jest to, że faktycznie udało mu się przywołać... coś – ciągnął Garresz. – Akurat jedną z tych zadziwiających istot, o których wspominałem przed chwilą. Mało tego, prawdopodobnie Feinariss w jakiś sposób się ze stworem dogadał: otrzymał od niego pewną pomoc, a w zamian dokarmił. Warto wspomnieć, że w stosunku do Rista Feinarissa nawet wiecznie walczący między sobą władcy wykazali się rzadką zgodnością i nie uspokoili, póki nie wygnali go na skraj zamieszkałych ziem. Ale uczciwie powiem, że o tym Lesie nie miałem okazji usłyszeć nawet słowa.

– Przecież on musiał się skądś wziąć – zauważyłam przytomnie. – Są w bajkach żywe drzewa, ale żeby cały las...

– Nie zdziwiłbym się na wieść, że ktoś tchnął w ten Las życie wyłącznie

po to, by zamknąć w nim Feinarissa – mruknął Garresz. – Wy, ludzie, zawsze mogliście poszczycić się wyobraźnią!

Nie mogłam nie zgodzić się z tym stwierdzeniem, tym bardziej że teoria wyglądała na dość prawdopodobną. Takie rozwiązanie w sumie byłoby całkiem zgrabne i na pewno mniej kosztowne niż próba obsadzenia całej okolicy blokadami i magami bojowymi. Ostatecznie Feinariss mógł w każdej chwili ruszyć w przeciwnym kierunku, a wtedy wojna z nim i jego nieświętej pamięci opiekunem trwałaby do skończenia świata.

– Ale ci panowie się nieźle urządzili – zauważyłam. – Dogadują się z Lasem, nie czczą nieznannej istoty, żadnego Rista Feinarissa nie pamiętają. Ciekawe, co tam się stało?

– Obawiam się, że nigdy się tego nie dowiemy – mruknął Garresz. – Słyszałem tylko, że najmłodszy syn Feinarissa nie udał się na banicję wraz z ojcem, gdyż nie podzielał jego przekonań. Ale za to chyba przyjaźnił się z jakimiś magami.

– Z czego można wywieść wcale zgrabną teorię – uśmiechnęłam się. – Syn zebrał kilku magów bojowych i ruszył do walki z własnym ojcem. Mam wrażenie, że nie miał specjalnego problemu, by podejść do starego Feinarissa bardzo blisko. Wystarczyło tylko powiedzieć, że się rozmyślił i teraz popiera poglądy ojca w całej rozciągłości. A, i jeszcze przyprowadził swoich przyjaciół magów.

– Zgadza się, ludzie bywają dosyć łatwowierni – przytaknął Garresz. – Nawet ci najmądrzejsi.

– A dalej... – rozważałam. – Sądząc z tego, co widziałam, ci magowie to i owo potrafili, skoro udało im się zniszczyć świątynię i jakoś poradzić sobie ze stworem. Co prawda ich mocy tak czy siak wystarczyło wyłącznie na to, by go zapieczętować, a nie ostatecznie zniszczyć. I najpewniej wszyscy przy tym zginęli. Młodszy Feinariss wziął na siebie odpowiedzialność za

ocalałych ludzi i na zawsze pozostał w Lesie. A ten ostatni nadal broni swoich mieszkańców przed pomiotem tego... stwora. Potem przez osiemset lat ludzie szczęśliwie zapomnieli o tym, jak to wszystko się naprawdę odbyło.

– Cóż, całkiem zgrabna teoria – zgodził się smok. – Ale czy w tej chwili jest to aż tak istotne?

– Zgadzam się, nie jest. Ale, Garresz, nie mogę przestać analizować zjawisk, które widzę. Taka już moja natura.

– Rozumiem – uśmiechnął się. – Nasz lud również odczuwa coś podobnego. Ale, Flossio, czy odpowiedziałem na wszystkie pani pytania?

– O tak – odparłam. – Jak najbardziej. Co prawda obawiam się, że po tych pańskich odpowiedziach mam jeszcze więcej pytań niż na początku, ale na to już nic nie poradzimy. Dziękuję bardzo, że zechciał pan poświęcić mi tyle czasu.

– Ja również dziękuję za bardzo ciekawą rozmowę. – Smok lekko skłonił głowę.

– Niezbyt często mam okazję do szczerych kontaktów z ludźmi.

– Miło jest być wyjątkiem. – Uśmiechnęłam się i na tym się pożegnaliśmy, ustaliliśmy jeszcze, w jaki sposób w razie konieczności mogłam szybko skontaktować się z Garreszem.

Po odprowadzeniu gościa do drzwi usiadłam w swoim ulubionym fotelu i głęboko się zamyśliłam.

Cóż, sprawę Zamku–Nad–Lasem niniejszym można było uznać za mniej więcej wyjaśnioną. A zresztą, nawet gdybym nie miała okazji poznać opowieści o Riście Feinarissie, jakoś bym to przeżyła.

Prychnęłam i odegnałam kompletnie niedotyczące tematu myśli. Całkiem pożyteczne są te całe kokony. Mało prawdopodobne, by zadziałały w rękę zwykłego maga bojowego, zwyczajnie zabraknie mu mocy, żeby zniszczyć

powłokę, ale i tak nie odmówiłabym, gdyby mi ktoś sprezentował jeszcze jeden czy dwa. Kto wie na co jeszcze będę miała okazję w życiu trafić. Wtedy w Lesie też się nie spodziewałam, że spotkam potwora! „Oj tak, Flossio – powiedziałam sama do siebie. – Trzeba było poprosić Garresza, żeby pogrzebał w tym swoim skarbcu, a nuż znajdzie jeszcze coś cennego!”

Nic dziwnego, że Kolegium tak dokładnie sprawdza wszystkie pogłoski związane ze starożytnymi znaleziskami. Nikt nie wie, co może skrywać w sobie najzwyklejszy na pierwszy rzut oka żelazny pierścionek...

Historia wyżej wymienionego pierścionka była szeroko dyskutowana przez wszystkich magów i Kolegium co rusz wypominano tamten błąd. Zaczęło się od tego, że jakiś chłop chciał oczyścić sobie kawałek lasu pod ogródek i przypadkiem wykopał niewielką szkatułkę, której nie udało mu się otworzyć.

Oczywiście takie wydarzenie nie mogło przejść niezauważone, więc wkrótce we wsi pojawili się przedstawiciele Kolegium, skonfiskowali znalezisko i z wielką pompą zabrali je do swojej miejscowej siedziby. W końcu udało im się otworzyć solidnie zaczarowaną szkatułkę, w której znaleźli właśnie prościutki żelazny pierścionek z topornie oszlifowanym diamentem oraz plik rozsypujących się ze starości, prawie zupełnie nieczytelnych papierów. Oczywiście natychmiast podniósł się niesamowity raban, gdyż z jakiegoś powodu wszyscy byli przekonani, że ta dziwna ozdóbka jest legendarnym pierścieniem Rigila, największego maga bojowego starożytnych czasów, i zawiera solidny kawałek mocy tegoż maga. (Najwidoczniej kipiała w nim tak, że na wszelki wypadek wołał ulokować część gdzie indziej). A skoro tak, to Kolegium trzymało w rękach źródło energii magicznej o nieograniczonej pojemności. No, jakkolwiek by patrzeć, łakomy kąsek dla każdego maga!

Ale ile największe umysły Kolegium by się starały, kompletnie nic z tego

nie wychodziło. Pierścionek pozostawał zwykłym kawałkiem metalu i zdecydowanie odmawiał przejawiania jakichkolwiek cech magicznych.

Aż ktoś szczególnie domyślny wpadł na to, by jednak zerknąć na znalezione razem z błyskotką dokumenty. Kiedy ich treść udało się w końcu odszyfrować, magowie gremialnie zaczęli wrywać sobie włosy, brody i co kto tam jeszcze miał. Okazało się mianowicie, że zlekceważone papiery były ni mniej, ni więcej, tylko listami od jakiegoś starożytnego lowelasa do jego damy serca, a pierścionek był po prostu oryginalnym podarunkiem. Nie wiadomo, co strzeliło zakochanemu bałwanowi do głowy, by oprawić brylant w żelazo. Najpewniej była to jakaś alegoria poetycka, na przykład wskazująca, że jego siła i toporność tak samo podkreślały piękno damy jak zwykle żelazo szlachetność drogiego kamienia. Tak czy inaczej, Kolegium natychmiast utajniło materiały dotyczące „pierścienia Rigila”. Ale, niestety, słuchy już się rozeszły i w krótkim czasie cały kontynent śmiał się z poszukiwaczy starożytnych artefaktów.

Śmiech śmiechem, ale Kolegium to i owo jednak udało się odnaleźć. Można sądzić, że starożytni magowie mieli zwyczaj tworzenia solidnie naładowanych artefaktów, najpewniej na wszelki wypadek. A skoro taki ładunek w ciągu paru wieków nie wyczerpał się samoistnie, można łatwo sobie wyobrazić, do czego zdolni byli ludzie, którzy tworzyli te niewinnie wyglądające błyskotki! Jednym słowem, w ziemi, na dnie morza, jak również w smoczych skarbcach nadal zalegała cała masa potencjalnie niebezpiecznych zabawek, a Kolegium (jak również każdy pojedynczy mag) gotowe było wiele oddać, by dostać którąś z nich w swoje ręce. Nawet malutka kolekcja tragicznie zmarłego smoka Arasza została wywieziona co do ostatniego kamyczka i o ile mi było wiadomo, przez jakiś czas badała ją kilku przedstawicieli Kolegium. Co prawda nic ciekawego tam nie znaleźli, ale nie zmieniało to faktu, że magiczna instytucja czuwała i nie lekceważyła

żadnego przedmiotu, który mógł się okazać cokolwiek wart.

Naładowane artefakty to jedno – bardzo mało wśród nich rzeczy prawdziwie wielofunkcyjnych, a poza tym przydawały się wyłącznie dopóty, dopóki nie wyczerpały zapasu energii. Niestety, ponowne ich naładowanie było niemożliwe. Natomiast zupełnie inaczej rzecz się miała z wiedzą uważaną obecnie za straconą. Gdy skromny badacz imieniem Miry, który najpierw próbował swoich sił na polu magomedycyny, a potem rozczarowany porzucił ją i poświęcił resztę życia na poszukiwanie starożytnej wiedzy, przypadkiem odnalazł w bibliotece jakiegoś bogatego kupca wyświechtaną książczynę, z początku nawet nie miał pojęcia, co właściwie znalazł. Ale kiedy się w tym połapał, ogarnęło go przerażenie, ponieważ książka ta, co prawda w postaci zaszyfrowanej, wyjaśniała sposoby, przy użyciu których można zmienić kwitnące ziemie w pustynie, nie wysyłając w tym celu ani jednego maga bojowego. O nie, żadnych działań typu wypalania ziemi do gołej skały, tylko dwa czy trzy dość proste zaklęcia plus w szczególny sposób przygotowane dekokty, które należało rozpylić nad wskazanym terenem!

Oczywiście badacz poinformował Kolegium o znalezisku i książka została skonfiskowana, po czym uroczyście zniszczona w obecności wielu zebranych świadków. Ale o ile pamiętałam, sam Miry po tej historii również jakoś niezauważalnie zniknął z horyzontu i już więcej się nie pojawił. Osobiście uważałam, że kopia tej niebezpiecznej księgi nadal leży gdzieś w bibliotece Kolegium, a dostęp do niej ma zaledwie kilku wybrańców. Po prostu nie byłam w stanie uwierzyć, że Kolegium mogło ot, tak sobie dobrowolnie odrzucić taką wiedzę. Chociażby dlatego, że w wypadku wojny byłaby ona doskonałym asem w rękawie. Kolegium przymykało oczy na drobne lokalne niesnaski, ale stanowczo nie popierało wojen na wielką skalę, zakłócających normalny tryb życia. A jeżeli zagrozić wojowniczym

władcom, a może nawet i zademonstrować, jaki los może spotkać ich ziemie, jeżeli nie skończą swoich bratobójczych gier, ich bitewny zapach na pewno szybko ostygnie.

Szczerze mówiąc, podejrzewałam, że te wszystkie działania Kolegium bezpośrednio powiązane były z tym, o czym opowiadał Garresz. Trzeba było się nad tym wszystkim dobrze zastanowić...

W końcu moje rozmyślania przerwane zostały przez Rimę, która już od dłuższej chwili przestępowała z nogi na nogę w drzwiach gabinetu.

– Czego? – spytałam leniwie, obserwując unoszące się ku sufitowi pierścienie dymu.

– Psze pani, posłaniec przyjechał – ponuro odpowiedziała kucharka, która moim zdaniem była z gruntu niezdolna do spojrzenia na świat choć trochę radośniej. Z drugiej strony nie było w tym nic dziwnego, jeżeli wziąć pod uwagę, w jaki sposób potraktował ją los. Rima była niewolnicą od urodzenia i nim trafiła do mnie, miała straszliwego pecha, jeśli idzie o właścicieli. Podstarzały lubieżnik był jeszcze nie najgorszym z nich, bo z rąk kolejnego pana biedaczka wyszła okaleczona na całe życie. Człowiek ten kochał okrutne zabawy ze sługami do tego stopnia, że w końcu ta pasja zaprowadziła go do kamieniołomów. No i dobrze...

– Co za posłaniec, skąd? – spytałam, daremnie oczekując na ciąg dalszy.

– Przekazał coś?

– Przekazał – przytaknęła Rima. – W pałacu na panią czekają.

Znowu! Ledwie się zabiorę do spokojnego, odpoczynkowego śledztwa w sprawie jakiejś kradzieży czy morderstwa, a już coś się zaczyna dziać u Jego Królewskiej Mości! Nawiasem, jakoś często ostatnio... Który to już raz? W sumie to o niczym nie świadczy, ostatnia zima była całkiem spokojna. Jednak miałam nadzieję, że tym razem nie będziemy rozmawiać o czymś w rodzaju trupa poborcy podatkowego, bo kolejnej takiej przygody mogłabym nie

przeżyć! Z westchnieniem wstałam i zaczęłam się zbierać. Biedny Wislas, a obiecałam, że pomogę mu w złapaniu pewnego wyjątkowo bezczelnego złodzieja. Przestępca ów miał takie szczęście, tak się wyślizgiwał z rąk sprawiedliwości, że nie można było wykluczyć używania przez niego magii. No cóż, major będzie musiał poradzić sobie własnymi siłami. A zresztą, może to królewskie zadanie nie zajmie mi aż tak wiele czasu...

Niestety, wszelkie nadzieje na to rozwiały się przy pierwszych słowach Jego Wysokości. Niech mi ktoś powie, dlaczego jakiś uprzejmy złodziej nie mógłby zacząć się i ukraść cennej relikwii rodzinnej z królewskiego skarbcza? Złapałabym go z wielką przyjemnością, dla odmiany nie oddalając się ze stolicy i mojego domu w szczególności!

Tym razem problem dotyczył miejsca nie tak oddalonego jak pamiętny Las, ale również nie bliskiego. W najlepszym razie tydzień drogi, może nawet dłużej. Na dodatek chodziło nie o zwykłe morderstwo, kradzież czy podejrzenia jakiejś kumoszki, że sąsiedzi składają jej kury w ofierze demonowi.

W okolicach cichej i spokojnej wsi zaczęli znikać ludzie. I to znikali bez śladu. A lasy w tamtych okolicach były gęste i nieprzebyte (swoją drogą, dlaczego znowu las?!), więc średnio raz do roku koniecznie komuś udawało się zabłądzić, i to tak skutecznie, że nie szło go potem odnaleźć. Bo ostatecznie jak przeszukać takie gęstwiny? Poza tym na pewno były tam również jakieś drapieżne zwierzęta, tak że w zasadzie zniknięcia ludzi nikogo specjalnie nie dziwiły. Ale nie w takich ilościach...

– I co, tamtejsze władze nawet nie próbowały rozwiązać sprawy na własną rękę, tylko od razu rzuciły się słać listy do stolicy? – spytałam z przekąsem.

– Oczywiście, że próbowały, panno Naren – brzmiała odpowiedź. – Niestety, lokalne dochodzenie nie przyniosło żadnych wyników. Przesłany z

najbliższego garnizonu mag również nie zdołał wykryć nic podejrzanego. A tymczasem ludzie nadal giną.

– Czyli giną ludzie... – mruknęłam. – I Wasza Królewska Mość chce, żebym pojechała tam i wyjaśniła, co się dzieje... za marne trzysta arów?

– Panno Naren, czy coś budzi pani niezadowolenie? – krótko zapytał Arneliusz. – O ile się nie mylę, to w końcu pani praca.

– A jak wam się wydaje, co może budzić moje niezadowolenie? – prychnęłam. – Oczywiście, że honorarium! Wasza Królewska Mość, doskonale wiecie, że praca na wyjeździe opłacana jest z bonusem pięćdziesięcioprocentowym, i za każdym razem próbujecie...

– Już, już, zrozumiałem! – Król zamachał rękoma. – Oczywiście właśnie uświadomiłem sobie ogrom popełnionego błędu, dostanie pani wszystkie należne pieniądze, co do miedziaka!

– Oraz zwrot kosztów podróży – przypomniałam. Była to nasza stara prywatna gra. Arneliusz za każdym razem próbował machlojek przy honorarium, a ja stawałam okoniem. Na razie prowadziłam ze sporą przewagą.

To obywatele klasy średniej płacili mi za każdy dzień dochodzenia. W ten sposób moje ceny były mniej przerażające – zawsze mieli nadzieję, że dochodzenie zakończy się szybko i uda się coś zaoszczędzić. (Wiedziałam, że niektórzy moi niezbyt uczciwi koledzy specjalnie zwlekali, ale ja nigdy nie upadłam aż tak nisko). Za to dla ludzi bogatych ceny były zupełnie inne: całkiem znaczna suma za rozwiązanie całej sprawy, z czego połowa awansem. Oczywiście w przypadku zaistnienia nieprzewidzianych okoliczności opłata odpowiednio się powiększała. Nie gwarantowałam zwrotu pieniędzy w przypadku nieudanego dochodzenia, ale jak dotąd taki precedens się nie wydarzył. Z drugiej strony klienci zwykle wiedzieli, na co idą, i gotowi byli zapłacić odpowiednią sumę.

– Niestety, nie zdołam przydzielić pani odpowiednio dużej eskorty – dodał Arneliusz nagle.

– A po grzyba mi w ogóle jakaś eskorta? – spytałam chmurnie.

– Panno Naren, w świetle ostatnich wydarzeń... – Król zrobił wyrazistą pauzę. – Nie chciałbym pani stracić.

– Jakie konkretnie wydarzenia ma Wasza Królewska Mość na myśli? – Uniosłam brwi.

– Mówię o niedawnym zamachu na pani osobę – spokojnie odpowiedział Arneliusz. Zakłęłam w myśli. Cholerny major Wislas jednak nie utrzymał języka za zębami! Chociaż... Najpewniej jak każdy służbista po prostu ze wszystkimi szczegółami zameldował wyżej stojącym o zakończeniu dochodzenia, a tam już ktoś wyciągnął wnioski i przekazał raport dalej.

– Poza tym odnoszę wrażenie, że mogły mieć miejsce również inne... incydenty – zauważył król, patrząc na mnie badawczo.

Odwzajemniłam mu się dość cierpkim spojrzeniem. Nie, nie miał możliwości dowiedzieć się o moim porwaniu, chyba że Laurinne się wygadał. Ale mało prawdopodobne, by król osobiście odpytywał porucznika, a nikomu poza nim młodzieniec nie powiedziałby słowa. Z drugiej strony... Arneliusz naprawdę mógł pójść i osobiście go zapytać!

– Nawet jeśli, to nie jestem ich świadoma – oznajmiłam chłodno. – No dobrze, Wasza Królewska Mość. Skoro Wasza Wysokość nalega, to wolałabym zobaczyć jako moich towarzyszy oddział bera[6] Boichy albo Durgi. Jak rozumiem, możliwe, że w tamtych okolicach pojawili się rozbójnicy, więc przyzwoici żołnierze mogą mi się przydać.

Boicha i Durga byli najemnikami, i to naprawdę dobrymi. Chyba nawet oni sami nie mieli pojęcia, jakim cudem i skąd znaleźli się wraz z oddziałami w Arastenie. Na oko pochodzili skądś z dalekiego wschodu. Ich niewielkie oddziały miały tylko jedną wadę – w czasie wolnym od służby koszmarnie

się upijali i wdawali w bójki z pierwszym, kto stanął im na drodze. A ponieważ nawet pijani w trupa najemnicy w jakiś kompletnie niezrozumiały sposób zachowywali swoje doskonałe umiejętności bojowe, cierpiała na tym zwykle strona przeciwna, wprowadzona w błąd przez żalosny wygląd przeciwników. Z powodu awantur ci ostatni co rusz trafiali co aresztu, gdzie trzeźwieli i wysłuchiwali kolejnej umoralniającej przemowy dowódcy, ale niewiele to pomagało. Poza tym najemnicy nie uznawali mundurów ani jednakowego uzbrojenia, na skutek czego oddziały wyglądały bardzo malowniczo i niespecjalnie różniły się od band rozbójników, które zwalczały, nie bez sukcesów. Osobiście podejrzewałam, że przed wstąpieniem na służbę królewską chłopcy ze wschodu zaliczyli również ten etap i właśnie dlatego z bandami radzili sobie znacznie lepiej od regularnego wojska. Poza tym podstawową zaletą najemników, nie licząc oczywiście ich umiejętności bitewnych, było to, że absolutnie nie dawało się ich przekupić, nawet oferując góry złota. Kontraktu z najemcą przestrzegali jak przykazań świętej księgi.

Osobiście nie znałam wszystkich dowódców najemników, ale swego czasu miałam okazję trochę współpracować ze wspomnianą dwójką i byłam z wyników tej współpracy całkiem zadowolona. Ale, niestety...

– Panno Naren, przecież wyznaczyłem pani stałego towarzysza. – Arneliusz z naganą pokręcił głową. – Jak mogła pani o tym zapomnieć!

– Bym tylko spróbowała! – prychnęłam.

– Czyli pojedzie z panią oddział porucznika Laurinne’a.

– Najemnicy! – warknęłam.

– Panno Naren, czy pani pozwala sobie na kłótnie z królem?

– A proszę sobie wyobrazić, że tak! Z najemnikami miałam do czynienia nie raz i nie dwa, więc wiem, czego mam się po nich spodziewać przy spotkaniu z jakąś bandą. A boję się nawet pomyśleć, jak zachowa się ten

żółtodziób!

– Moim zdaniem, powinna pani doskonale wiedzieć, czego się spodziewać po poruczniku Laurinnie – uśmiechnął się Arneliusz. Nasza rozmowa chyba zaczynała go bawić.

– Nieprzyjemności! – ryknęłam, ledwo powstrzymując się przed tym, by spojrzeniem zagotować staw z łabędziami. Biedne ptaszyska nie były przecież niczemu winne.

– Panno Naren... – Arneliusz nagle zmienił ton – rozumiem, że ten młodzieniec nie jest zbytnio doświadczonym dowódcą, ale proszę mi wierzyć, ma w swoim oddziale całkiem zasłużonych żołnierzy. Tym bardziej że w tej chwili żadnego z berów nie ma w stolicy i nieprędko tu, wróca.

– Od tego trzeba było zacząć – burknęłam. – Mam rozumieć, że gdzieś trwa zadyma?

– Jeszcze nie. – Arneliusz wykręcił się od udzielenia prostej odpowiedzi. Hm... Ale przynajmniej stało się oczywiste, dlaczego na dworze ostatnio pojawiło się tylu magów bojowych! Stanowczo coś było na rzeczy. Ale niech tam, poradzą sobie beze mnie. – Niemniej, panno Naren, nie mogę puścić tam pani zupełnie samej, więc bardzo proszę, jakikolwiek byłby pani stosunek do tego młodego człowieka...

– Mój stosunek do niego jest zupełnie normalny – przerwałam surowo. Gdy król ci rozkazuje, to jeszcze można się z nim wykłócać. Ale jeśli prosi, i to jeszcze takim tonem... – Oczywiście nie ma żadnej jego winy w tym, że ciągle wpada w jakieś kłopoty. A raczej w tym, że to kłopoty znajdują jego. Wasza Królewska Mość, czyżby właśnie dlatego Wasza Wysokość próbuje wysłać go gdzieś z dala od stolicy? – nie mogłam się powstrzymać przed wbiciem mu szpilki.

– Cóż, panno Naren, to jest jakiś pomysł – uśmiechnął się Arneliusz. – Czyli mogę uznać, że osiągnęliśmy porozumienie?

– Proszę dorzucić kolejne dziesięć procent, a zabiorę tego waszego porucznika nawet na drugi koniec kontynentu. – Uśmiechnęłam się. Taki uśmiech w moim wykonaniu mógł przestraszyć nawet doświadczonego weterana, ale król ani drgnął.

– To grabież w biały dzień! – poskarżył się tylko.

– Żadna grabież, rekompensata za straty moralne – odpowiedziałam z godnością. Z jakiegoś powodu nie miałam najmniejszych wątpliwości, że przyjdzie mi odnieść te straty...

ROZDZIAŁ 19

Dwór

Podróż jednak zaczęła się wyjątkowo przyjemnie. Laurinne zdążył już się nauczyć, kiedy lepiej zostawić mnie w spokoju, a kiedy można podejść z pytaniem, i zachowywał się idealnie. Nie niepokoił mnie bez potrzeby, nie przybiegał z byle głupstwem i zajmował się właśnie tym, czym powinien: w miarę swych możliwości dowodził gwardzistami, zapewniał nam przyzwoite noclegi i dowiadywał się o najkrótszą drogę do miejsca przeznaczenia. Dzięki jego wysiłkom bardzo szybko dotarliśmy do celu.

Po drodze próbowałam zastanowić się nad dziwnymi aluzjami Garresza, ale z mizernym skutkiem: brakowało mi danych, a że nie mogłam przecież zabrać ze sobą domowej biblioteki (ani tym bardziej dziadkowej), moje konstrukcje logiczne miały wyłącznie wymiar teoretyczny – innymi słowy, tworzyłam bajki. Zresztą w najbliższym czasie miałam do roboty coś zupełnie innego, czas najwyższy był wziąć się do właściwego dochodzenia. W doniesieniach maga z miejscowego garnizonu, który próbował badać sprawę na własną rękę, nie znalazłam niczego wartościowego. Tak, zgodnie ze świadectwami miejscowych ginęli ludzie. Tak, żadnego nie udało się odnaleźć. Nie, więcej informacji nie było.

Po dotarciu na miejsce mnie również nie udało się dowiedzieć wiele więcej. Mieszkańcy wsi wyglądali na nieźle wystraszonych, starosta

powtórzył dokładnie to samo, co znajdowało się w raporcie, dodając kilka mało znaczących szczegółów, i na tym sprawa utknęła.

Siedziałam przy stoliku w domku, który miał mi posłużyć za tymczasowe lokum, i w milczeniu paliłam fajkę. Laurinne ulokował się naprzeciwko i wyglądało na to, że ma zamiar czekać tak ma moje rozkazy choćby do pojutra. Bardzo cieszył mnie fakt, że ostatnimi czasy porucznik zrobił się milczący, co pozwalało mi myśleć w ciszy i spokoju, bo na samą jego obecność potrafiłam nie zwracać uwagi.

Starosta podrzucił mi pomysł, który na pierwszy rzut oka wyglądał w sumie całkiem sensownie. Że niby ludzie ginęli nie tak sobie po prostu – bo jak sięga ludzka pamięć, nic takiego nie miało w okolicy miejsca – tylko ktoś ich porywał. Kto? Po co? A to już niech łaskawa pani mag–justycjariusz sama się dowie, bo przecież pani za to pieniądze płacą, i to niemałe...

No dobra, załóżmy, że to ma ręce i nogi. Kto i po co, można dojść potem. Najpierw trzeba zastanowić się nad faktami. Fakt pierwszy: te okolice były ciche i spokojne, w najgorszym razie raz do roku ktoś zabłądził w borze po pijaku i już nie wrócił. Ale nigdy się nie zdarzyło, żeby ludzie ginęli masowo, jak teraz. Fakt drugi: bez śladu znikają zazwyczaj kobiety, dzieci oraz nastolatki. Znacznie rzadziej dorośli mężczyźni. Czyli ktoś szukał łatwej zdobyczy, przy czym wybierał przede wszystkim wchodzących do lasu samotnie albo w niewielkich grupach. Ale dlaczego w takim razie ocalili mężczyźni, którzy ruszyli na poszukiwanie swoich żon i dzieci? Przecież również chodzili po dwóch albo po trzech, ale wracali cało i zdrowo.

Oczywiście w ostatnich czasach zaginięcia były sporadyczne, ale tylko dlatego, że do pobliskiego wspaniałego lasu pełnego jagód i grzybów prawie nikt już nie chodził.

Hipoteza o rozbójnikach odpadała w przedbiegach. Po pierwsze, zwykle wybierali oni bardziej ludne miejsca. A po drugie, woleli bogatsze zdobycze.

Bo i cóż takiego można ukraść biednym chłopom?

Gdyby zaś w lesie pojawił się jakiś niebezpieczny drapieżnik, mało prawdopodobne, by zwracał uwagę na wiek i płeć ofiar. Z drugiej strony mógł po prostu wybierać zdobycz, która wyglądała na słabszą i mniej groźną. Jednak miejscowi myśliwi, którzy kilkakrotnie przeczesywali las, nie znaleźli żadnego śladu po większym drapieżcy. Było tu trochę wilków, ale w tych okolicach nie ruszały ludzi nawet w zimie, mając do dyspozycji obfitość leśnej zwierzyny. Istniała możliwość, że jakiemś bardzo dużemu wilkowi przez ten upał odbiło i zaczął polować wyłącznie na dwunogów, ale... W takim razie nadal powinny pozostać jakieś ślady: kości, strzępy ubrań, koszyki... Ostatecznie zaginione kobiety nie zbierały grzybów do podołka! A raczej trudno uwierzyć, że wilk ludojad w celu skonsumowania jakiejś tam chłopki zaciągałby ciało w ciche, spokojne miejsce, po czym wracał na miejsce zbrodni celem zatarcia śladów.

Czyli nie mogli to być zbrojcy ani drapieżniki. Co pozostawało? Dobre pytanie. Możliwe, że na ludzi polował tutaj jakiś szaleniec. Z drugiej strony nawet najbardziej zmyślny morderca nie zdoła zatrzeć wszystkich śladów. No dobrze, zamaskuje miejsce przestępstwa, usunie, co się da, lecz nie zlikwiduje własnego zapachu – a przecież miejscowi przeczesali las z psami. Naturalnie mógłby jeszcze użyć środka paraliżującego węch, ale to z kolei można rozpoznać po zachowaniu zwierzaka. Myśliwi niczego podobnego nie zauważyli.

Do szukania czegokolwiek w okolicznych chaszczach potrzebowałabym całej armii, a nie byłam nawet pewna, kogo lub czego miałabym szukać. Mogłam co prawda złapać ze dwa tuziny ptaków i przy ich pomocy obejrzeć sobie okolicę. Ale straciłabym na to tydzień albo i więcej oraz potworną ilość magicznej energii, bo te głupiutkie stworzenia trzeba bez przerwy kontrolować! Najprostszym i najpewniejszym sposobem jak zwykle okazało

się łowienie na żywca. Miejscowi kompletnie nie nadawali się na przynętę, ponieważ bali się nawet zbliżyć do lasu. Łowienie na żywca... Tajemniczy osobnik (lub osobnicy) wolał kobiety i dzieci, w najgorszym wypadku zadowalał się starcami. W naszym maleńkim oddziale byłam jedyną kobietą. Ostatecznie kapral Iwas mógłby od biedy uchodzić za staruszka, ale sama szerokość barów zdradzała w nim doświadczonego wojownika. Cała reszta z wyjątkiem Laurinne'a to były postawne dryblaszy. Aha...

– Poruczniku! – zawołałam. Młodzieniec drgnął i wlepił we mnie pełne oddania oczy. – Niech pan zdejmie mundur.

Takie polecenie biedaka zaskoczyło, ale wykonał je bez szemrania. Pod kurtką mundurową skrywała się czysta koszula, której jednak daleko było do nowości, a pod kołnierzem widać było nawet ślady po cerowaniu.

– Yhym... – Obeszłam Laurinne'a dookoła, zastanowiłam się i rozczochrałam mu włosy. W ten sposób porucznik natychmiast upodobił się do chłopaka ze wsi. – Spodnie i kurtkę panu znajdziemy, bo mundur jest do niczego... Buty mogą zostać, wyglądają na dość sfatygowane... – Ofiara tych manipulacji przyglądała mi się z coraz większą ciekawością. Zwyczajnie przypominałam sobie naszą wyprawę do Targowej Dzielnicy. Przy tamtej okazji Laurinne z powodzeniem udawał młodego oberwańca, który próbował zostać najemnikiem. Ta sama sztuczka mogła zadziałać po raz drugi. – No dobrze, niech pan odłoży szpadę, no właśnie. Widziałam, że nasz waleczny gospodarz posiada wspaniałą tasak z czasów trzeciej wojny górskiej, pospolite ruszenie takich używało. Pan łaskawie pójdzie do niego i pożyczycie to cudo. Wyjdzie nam młody postrzeleniec, z uwagi na niedobór lat i doświadczenia niezbyt groźny...

– Eeee... panno Naren... – porucznikowi w końcu udało się wtrącić słówko. – A po co ta cała maskarada?

– A nie powiedziałam panu? – zdziwiłam się teatralnie. – Jedziemy na

przeszpiegi!

Nasze przygotowania nie zajęły wiele czasu i już następnego poranka ruszyliśmy w drogę. Ja darowałam sobie jakiegokolwiek większe zmiany, tylko zaplotłam warkocz, po czym powiązałam chustę tak, by węzeł znalazł się tuż za lewym uchem. Muszę powiedzieć, że dość skomplikowany węzeł i nauka zawiązywania go zajęła mi kiedyś nieco czasu.

– Iwasie, niech pan trzyma. Ten drobiażdżek jest dostrojony do mnie – powiedziałam kapralowi przed opuszczeniem wsi. – Jeżeli zacznie dawać jakieś sygnały, to zbieracie się i wsiadacie na konie, wskaże wam drogę.

– Panno Naren... – Kapral ostrożnie odebrał ode mnie wisiołek. – A może jednak pojedę z wami?

– Nie ma po co – odparłam. – Niech się pan nie przejmuję, przypilnuję pańskiego ukochanego porucznika. Nie obiecuję, że zwrócę bez żadnego zadrapania, ale to już, jak się uda...

– Panno Naren, ja przecież wiem, że pani jest damą ostrożną – Iwas skomplementował mnie niezgrabnie. – Tylko że pan Laurinne... ech! – podstarzały żołnierz urwał i machnął ręką. Doskonale go rozumiałam: porucznik był jeszcze młody i w gorącej wodzie kąpany, a po głowie hulał mu wiatr.

– Jeżeli nie zginie, nim skończy ćwierć wieku, to może jeszcze wyrośnie z niego coś sensownego – oznajmiłam pocieszająco. – Iwasie, niech się pan nie martwi. Mojej ostrożności powinno wystarczyć dla nas obojga.



Wbrew temu, czego się można było spodziewać, nasza droga bynajmniej nie prowadziła w głąb lasu, lecz w kierunku dokładnie przeciwnym. Liczyłam, że jeszcze przed obiadem dotrzemy do sąsiedniej wsi, z której

przez las prowadziła całkiem przyzwoita droga. Pchanie się z końmi na ścieżki grzybiarzy było kompletnie pozbawione sensu, a nie uważałam kilkudniowych spacerów po gęstwinie za rozrywkę wybitnie przyjemną.

Kiedyś okolice te były gęsto zaludnione, ale po zakończeniu ostatniej wojny magicznej pozostały tu wyłącznie wielkie pustkowia. W ciągu dwustu lat zarosły lasami, a następnie na skrajach tej gęstwiny zaczęli osiedlać się ludzie. Nie uprawiali dużych pól, raczej zagony z warzywami, a poza tym polowali. I chyba nawet niezgorzej im się wiodło.

Nasze królestwo jest całkiem spore, ale zaludnione niezbyt gęsto, przy czym ludzie wolą osiedlać się w pobliżu większych miast, szczególnie na wybrzeżu. Mało kto wybierał na miejsce zamieszkania ziemie położone w głębi lądu, a jeśli nawet, były to właśnie wspólnoty zbieraczy i myśliwych.

W tych okolicach zachowało się to i owo ze starych czasów. Tubylcy opowiadali, że w różnych miejscach w głębi lasu myśliwi trafiali czasami na ruiny, a nawet przynosili stamtąd odłamki barwnych szkieł czy fragmenty kolorowych mozaik i paneli. Drogi w starożytności również były znacznie lepsze od obecnych, na przykład tej, po której jechaliśmy teraz, nie zdołał zniszczyć nawet czas i korzenie drzew.

Kiedy ponownie pojawili się tutaj ludzie, jednym z pierwszych ich przedsięwzięć było oczyszczenie drogi, która tak fortunnie prowadziła przez cały las na przełaj, aż stopniowo zaczęła ponownie nadawać się do użytkowania. W przeciwnym razie do najbliższego miasteczka trzeba by jeździć okrężną trasą, co wydłużyłoby czas podróży parokrotnie. W chwili obecnej z drogi korzystano niezbyt często, ale też nie na tyle rzadko, by ponownie zarosła. Dla mnie najciekawsze było właśnie to, że trakt przechodził akurat przez tę część lasu, w której najczęściej znikali ludzie. O dziwo, w żadnej z sąsiednich wsi zaginięcia nie osiągnęły podobnie wielkiej skali. Dowiedziałam się tylko, że gdzieś tam zaginął młody chłopak, który

wyruszył do miasta po prezent dla narzeczonej. Co prawda krążyły plotki, że to ojciec zmuszał go do żeniaczki, więc biedak mógł po prostu uciec w poszukiwaniu lepszego losu i tyle, niemniej jednak... Tak czy siak, musiałam skorzystać z tej trasy.

Do interesującej mnie wsi dotarliśmy szybciej, niż przypuszczałam, i bez żadnych przygód. Mieli tam nawet karczmę, w której zjedliśmy szybki posiłek, pozwoliliśmy koniom nieco odpocząć i ruszyliśmy dalej leśną drogą.

– Panno Naren... – porucznik odezwał się chyba po raz pierwszy od chwili wyjazdu ze wsi i zabrzmiało to dosyć niepewnie. – Pozwoli pani pytanie?

– Laurinne... – odpowiedziałam z ciężkim westchnieniem. – Ile razy mam panu powtarzać, niech pan pyta bez tych „pozwalańek”! Doprawdy zachowuje się pan jak dziecko!

– Panno Naren, czego pani szuka w tym lesie?

– Jeszcze nie wiem – odparłam. – Czegokolwiek, co da mi wskazówkę, w jakim kierunku prowadzić śledztwo.

Zapanowało chwilowe milczenie.

– Widzi pan, Laurinne, mam poważne wątpliwości co do tego, czy w tym lesie działają zwykli porywacze – rzuciłam, odpowiadając na kolejne, niezadane pytanie.

– Ale w takim razie kto? Demony...? – Młodzieniec sposepniał.

– Poruczniku... – Skrzywiłam się. – Demony, duchy i cała reszta tego świnstwa ku mojej wielkiej radości nie trafiają się na każdym kroku, o ile nikt ich oczywiście specjalnie nie przyzwie. A w tym miejscu nie odczuwam obecności istot nadprzyrodzonych. Przynajmniej na razie.

– Ale w takim razie kto mógłby...? – Laurinne nie zdołał utrzymać języka za zębami.

– Przecież mówię, że nie mam pojęcia. – Wzruszyłam ramionami. –

Przyjechałam tu właśnie po to, by się dowiedzieć. A przy okazji, sprawa zapowiada się ciekawie.

– Panno Naren. Jeszcze jedno pytanie... – Laurinne zerknął niepewnie.

– Słucham?

Biedak zmieszał się jeszcze bardziej.

– Panno Naren, czy ja dobrze zrozumiałem, że... znaczy... jakby to byli rozbójnicy, bandyci, to na pewno zatrzymaliby tę karawanę, o której ludzie gadali w karczmie. Znaczy tę, która ciągnęła przez las do miasta prawie zupełnie bez ochrony. Ich nikt nie ruszył, a dzieci giną... Czyli to nie rozbójnicy, bo tu nie ma za bardzo kogo grabić...

Spojrzałam na Laurinne'a z zainteresowaniem. Czyżby dzięki częstemu obcowaniu ze mną w tej pustej głowie pojawiły się jakieś pożyteczne myśli? Zabawne!

– O dziwo, ma pan całkowitą rację – odrzekłam, a na twarzy porucznika wykwitł pełen niedowierzania uśmiech. – Przyznam, że zastanawiałam się już nad jakimś opętańcem czy szaleńcem, ale nawet najostrożniejszy z nich nie da rady nie zostawić w ogóle żadnych śladów. A przecież kobiet i dzieci szukano długo, z psami, i to nie jakimiś tam podwórzowcami, tylko dobrymi psami myśliwskimi!

– Westchnęłam ciężko. – Przyznam się panu, mam wrażenie, że ta sprawa naprawdę śmierdzi magią, i to paskudnie. Mam pewne podejrzenie i chciałabym je sprawdzić.

– I właśnie po to się przebraliśmy? – upewnił się Laurinne.

– Owszem. I jeszcze żeby nie przestraszyć mojego „klienta”, postaram się powstrzymać od jakichkolwiek działań magicznych. Oczywiście, jeżeli wszystko okaże się zgodne z moimi podejrzeniami. Tak więc niech pan spróbuje przynajmniej nie połamać sobie rąk i nóg, dobrze?

– Myśli pani, że to jakiś mag? – Porucznik wyglądał na zaniepokojonego.

– A co w tym dziwnego? Wśród nas również pełno jest wszelakich ludzkich śmieci. Albo osobników niedouczonej, co bywa jeszcze gorsze. Dobrze, poruczniku, proszę mnie nie rozpraszać! A w ogóle, od teraz nie jest pan porucznikiem. Cicho mi być! – podniosłam głos, widząc, że młodzieniec próbuje coś powiedzieć. – Imię zachowa pan własne, nie sądzę żeby w tych okolicach o panu słyszeli, a przynajmniej nie będzie się pan motał. Natomiast ja jestem aktualnie Felicją Noiren, handlarką końmi i różnościami, co by się nie trafiło. – Z uśmiechem dotknęłam skomplikowanego węzła na chuście. Zwykle w taki sposób ubierali się przemytnicy, którzy faktycznie handlowali wszystkim po trochu, w tym ludźmi. W młodości miałam okazję się z nimi zetknąć i ze znajomości tej wyniosłam pożyteczną wiedzę o tajnych znakach. Jeżeli w lesie zamieszkali jacyś rozbójnicy, to powinni uznać mnie za swoją.

– A pan jest moim, że tak powiem, ochroniarzem, a w istocie jakimś tam dalekim krewnym. Ciotka Felicja ma paskudny charakter, więc proszę się nie dziwić i nie obrażać, jak zacznę panem pomiatać.

– Bardziej się chyba nie da – burknął porucznik pod nosem.

– Że co? – Uniosłam brwi i odezwałam się jazgotliwym głosem handlarki: – Co ty tam mamrociesz?

– Nic, absolutnie nic, ciotuniu, przesłyszalaś się! – Laurinne włączył się do gry.

– Ujdzie – pochwaliłam.

– A podróżujemy w interesach? – upewnił się porucznik.

– Tak, na jarmark w mieście – przytaknęłam. – Akurat za parę dni się zaczyna. No więc jedziemy kupić kilka koników! – Walnęłam Laurinne a w ramię tak mocno, że prawie zarył nosem w końską grzywę. – A cała reszta moich pomocników to nicponie straszliwe, popili się i zostali w karczmie, niedługo nas dogonią! Ale to nic, cioteczka Felicja sama sobie poradzi, nie pierwszyczna!

– Cioteczka Felicja to ma strasznie paskudny głos – zauważył porucznik.

– A ty spróbuj przekrzyczeć handlarzy na jarmarku! – prychnęłam. Postać Felicji Noiren lubiłam znacznie bardziej niż pozostałe ze swego repertuaru, chociażby dlatego, że udając ją, nie musiałam ukrywać paskudnego charakteru, zamiast tego pozwalając mu rozkręcić się na całość.

– Tylko czy handlarka końmi jeździłaby na takiej... eee... – Porucznik wyraziście wskazał spojrzeniem moją kobyłę i rozsądnie przełknął słowo „szkapa”.

– Cioteczka Felicja ma dość pieniędzy – odparłam. – Może sobie pozwolić na drobne dziwactwa. No i jak, chyba wszystko pasuje do legendy?

Dzień chylił się ku końcowi. Następnego ranka mieliśmy dotrzeć do tego właśnie rejonu, w którym działy się dziwne rzeczy. Ale na razie leśna droga nie miała dla nas żadnych niespodzianek.

– Panno Naren... – odezwał się porucznik i poprawił się śpiesznie: – Ja pamiętam, że pani jest teraz Felicją Noiren, tylko że ja chciałem zapytać pannę Naren.

– To niech pan pyta – pozwoliłam. – Ale, Laurinne, to ostatni raz, kiedy wspomina pan moje prawdziwe nazwisko, zrozumiano?

– Tak... – Chłopak pokiwał głową. – Panno Naren, ja się już dawno chciałem dowiedzieć... Pani przecież jest magiem, więc może...

– No? – pogoniłam go.

– Może faktycznie jest na mnie jakieś przekleństwo? – zapytał Laurinne, wlepiając oczy w grzywę swojego konia, – Nie to, które... znaczy, pani sama wie, tylko tak... Bo jeśli nie, to dlaczego ja wszystkim przynoszę pecha? I jeszcze sam zawsze...

– Hm... – Myśl ta nie była całkowicie bezzasadna, spojrzałam więc na porucznika uważniej. Szczęśliwie nie musiałam w tym celu naruszać przebrania, w końcu oprócz zdolności magicznych posiadałam również inne.

Po prostu wolałam nie rozpowiadać o nich na lewo i prawo.

Ale na Laurinnie nie ciążyło żadne poważne przekleństwo. Owszem, wisiało na nim może z dziesięć zwykłych, życiowych i niewykonalnych, jak na przykład: „Ażebyś pękł!” od jakiegoś biedaka, którego koń porucznika ochlapał błotem. I jeszcze jedno dosyć oryginalne, od kolegi: „A żebyś całe życie się z samej pensji utrzymywał!”. Pozbyłam się ich jednym ruchem ręki i powiedziałam:

– Nie ma na panu żadnego poważnego przekleństwa, proszę spać spokojnie.

– Dziękuję, panno Naren – odpowiedział ponurym tonem. – Czyli po prostu taki mój los...

– Nie ma za co – mruknęłam. – A pan niech spojrzysz na to w taki sposób: niewykluczone, że ten ciąg nieszczęść kiedyś się skończy i nagle zacznie pan mieć powodzenie równo we wszystkim!

Laurinne wzdrygnął się zauważalnie. Najwyraźniej taka perspektywa również nieszczególnie go cieszyła. Roześmiałam się i ruszyliśmy dalej.

Noc, spędzona na skraju lasu, minęła zadziwiająco spokojnie. Do naszego małego ogniska nie podeszło żadne dzikie zwierzę ani człowiek. Nawet nocne ptaki w lesie nawoływały jakoś niechętnie. Porównując tutejsze okolice do Lasu, gdzie mieliśmy szczęście trafić przed paroma miesiącami, miało się wrażenie spaceru po wesołym gaju, choć czubki tutejszych drzew ginęły z oczu gdzieś wysoko, a niektórych pni nie objęłoby dwóch ludzi.

Spałam smacznie i nawet wszechobecne komary zbytnio mnie nie niepokoiły. Zbliżała się jesień, więc czas krwiopijców również dobiegał końca. Natomiast Laurinne rankiem okrutnie ziewał, z czego łatwo było wywnioskować, że w nocy nie spał jak wszyscy normalni ludzie, tylko udawał strażnika, czyli podpierając sobie powieki zapałkami, wpatrywał się w mrok otaczający polanę. Oczywiście i tak nic tam nie dojrzał, umęczył się

bez sensu, a teraz przysypiał w siodle, ryzykując, że zleci z tego swojego humorzastego konika głową w dół.

Nasza sielankowa podróż zaczynała mnie nudzić. Jeżeli okaże się, że to wszystko na próżno i po prostu marnowałam czas, to nawet nie będę miała kogo winić, z wyjątkiem własnej głupoty. Kto wie, może ten nieznany sprawca (bądź sprawcy) nie zaryzykuje zbliżenia się do dwójki podróżnych, z których jeden ma przy pasie przerażająco wyglądający tasak? Wszak porucznik nie ma wypisane na czole, że nie umie z niego korzystać (tasak to coś całkiem innego niż szpada), a samej broni nie ostrzono od czasów tej właśnie ostatniej wojny, z której przywiózł ją właściciel!

Znudziłam się ostatecznie i zaczęłam podśpiewywać pod nosem starą piosenkę o bardzo nieprzyzwoitej treści. Laurinne udawał, że nie słucha, ale czerwony był jako ten mak! Los najwyraźniej jednak się nade mną zlitował, ponieważ moja kobyła nagle parsknęła i zaczęła strzyc uszami. Na leśne zwierzę reagowałyby zupełnie inaczej, przez tyle lat wspólnego życia całkiem dobrze poznałam jej zwyczaje. Przed nami, za zakrętem drogi, czekali ludzie z krwi i kości, i nie żadne tam bezcielesne stwory. Zresztą duchy w biały dzień?

– Laurinne – rzuciłam półgłosem – cokolwiek by się teraz działo, niech pan siedzi cicho. Rozmawiać będę ja.

Porucznik pokiwał rozczochraną głową na znak, że wszystko rozumie, a po chwili minęliśmy zakręt i nos w nos zetknęliśmy się z komitetem powitalnym. Było ich tylko dwóch i pieszo, ale konie pewnie przywiązali gdzieś niedaleko. Poza tym za krzakami przy drodze musiał chować się ktoś jeszcze i to z umiarkowanym powodzeniem: słyszałam jego sapanie i lekki szelest liści. Jaka zasadzka, już się boję!

– Hej! – zawołał jeden z mężczyzn. – Szanowni przejeżdżający państwo, nie śpieszcie się tak! Trzeba myto zapłacić!

– A to z jakiej okazji? – spytałam kłótniwie. – Twoja droga czy jak?

– To prywatny teren! – stwierdził drugi.

– Od kiedy? – Wsparałam ręce na biodrach. – Ile to ja już lat tędy jeżdżę, zawsze był normalny las, a już tym bardziej droga!

– Bo wcześniej do nikogo nie należały, a teraz już jak najbardziej tak. – Pierwszy splunął pod nogi. – Tak więc, szanowni państwo, poprosimy opłatę za przejazd!

– Ja cię zaraz! – Spróbowałam najechać na bezczelnego osobnika koniem, ale zwinnie odskoczył do tyłu. W rękach tego drugiego pojawiła się niewielka kusza, którą całkiem niedwuznacznie wycelował w moją pierś.

Wspaniała scena. Nawet jeżeli byli to rozbójnicy, to jacyś kompletnie niewydarzeni, skoro nie zdołali odczytać dobrze znanego wszystkim mniej więcej przyzwoitym przestępcom znaku – węzła na mojej chuście.

Nigdy nie przepadałam za kuszami, a od chwili gdy nie tak dawno temu prawie przybito mnie do drzwi parą bełtów, moja sympatia zmaląła jeszcze bardziej.

– Szanowna pani się nie rzuca – poprosił kusznik. – I pani chłoptaś niech nie łapie za broń, bo to nic nie pomoże.

– I co teraz, kochanieńki, będziesz krzyczał „sakiewka albo życie”? – Felicja Noiren nie zamierzała dać za wygraną. – Bo jeszcze może się zdarzyć, że chybisz, a póki będziesz przeładowywał, to sama cię uspokoję!

Zapanowało krótkie milczenie. Chłopak wyraźnie nie mógł strzelić, nie mając ku temu bezpośredniego powodu, a ja nie zamierzałam mu tego powodu dostarczać. Nie wiadomo, jak długo jeszcze udawalibyśmy posągi, ale w pewnym momencie krzaki nieoczekiwanie zatrzeszczały i na drodze pojawił się kolejny uczestnik tej farsy. Miał na sobie nieco lepsze ubranie niż ta dwójka zagrządzająca nam drogę, a do tego fizjonomię doświadczonego oszusta. Zapiisałam w pamięci znaki szczególne – jaskrawe piegi, malutką

szramę na podbródku i źle usunięty tatuaż na lewym nadgarstku. Niestety, nie można już było rozpoznać, jak wyglądał w czasach świetności.

– No tak... – powiedział, zwracając się do dwójki pilnującej drogi. – Nicponie jedne, coście sobie wymyślili? Niby po co tu stoicie?

Kusznik mruknął coś niewyraźnie i opuścił broń, a drugi chłopak ponuro gapił się w ziemię.

– Szanowna pani im wybaczy! – zwrócił się do mnie nowo przybyły. – Durnie to durnie są, mają powiedziane, żeby przyzwoitych ludzi traktować z szacunkiem, ale im to można sto razy powtarzać, a i tak będą próbowali kogoś ograbić!

– A pan szanowny to kto? – spytałam chmurnie. – I co to za bzdury tych dwóch gadało? Że niby las do kogoś należy i droga też. Chciałabym ja wiedzieć, od kiedy to?

– Ależ, szanowna pani, to nie żadna bzdura! – Piegowaty rozpląnął się w uśmiechu. – Wcześniej był tu majątek, a teraz gospodarze wrócili i wszystko jest jak należy, nawet z kompletem papierów. Tylko to już pani dziedziczka lepiej wytłumaczy, my ludzie nieważne, mamy tylko drogi pilnować. Ja jestem starszy nad tą dwójką nicponi, Winc się nazywam...

– Przestań mleć ozorem! – przerwałam ten słowotok. – I gadaj z sensem!

– Toć przecież mówię – Winc wcale się nie obraził. – Pani kazała, jak przyzwoity człowiek będzie drogą jechał, to powitać uprzejmie i do niej odprowadzić. Tylko czy ja to tym kretynom wytłumaczę?! – Machnął w kierunku przestępującej z nogi na nogę dwójki. – Dla nich czy krzywogęby chłop, czy szanowna pani to to samo. Dranie jedne, już ja wam wbiję do łbów... Tak więc, proszę szanownej pani, zapraszam za mną, odprowadzę ze wszystkimi honorami...

– A dokąd to zamierzasz nas odprowadzać? – spytałam podejrzliwie. – Ja się nie wybieram z wizytą do twojej pani, mam własnych spraw wór i

sakiewkę.

– Szanowna pani się zlituje, nie odmawia nam! – bardzo przekonująco zaczął błagać Winc. – Przecie i tak się wieczór zbliża, w lesie będziecie nocować? Nasza pani to strasznie gości lubi...

„Mam nadzieję, że nie na kolację” – pomyślałam z ironią. Dalsze odmowy nie miały sensu, przecież i tak zamierzałam sprawdzić, co się w tej okolicy działo. A ta nie wiadomo skąd przybyła „pani” mogła znać odpowiedzi na część moich pytań.

– No, może... – mruknęłam niezdecydowana. – W takim razie... A to daleko?

– Ależ skąd! – zapewnił Winc. – Zaraz tylko konia przyprowadzę i w jedną chwilę będziemy na miejscu!

Droga rzeczywiście okazała się niedaleka. Wkrótce przed naszymi oczami pojawiła się dość świeża przesieka, odchodząca w bok od głównego traktu. Samozwańczy przewodnik nie odpowiadał wprost na żadne pytania i tylko obiecywał, że pani to opowie wszystko, co goście wiedzieć powinni, a on człowiek nieważny, więc może z nie domysłu palnąć coś głupiego, za co go pani potem ze skóry obłupi.

Laurinne jechał nieco za mną i wyczuwałam, że niezbyt mu się to wszystko podobało. Mogłam biedaka zrozumieć, cała sytuacja zbytnio przypominała straszne bajki, w których naiwnych podróżników zwabiano do pozornie gościnnego domu, po czym robiono im różne przerażające rzeczy. Z tym że nie zaliczałam siebie do grupy naiwnych podróżnych, natomiast porucznik miał prawo bać się ile wlezie, byleby tylko wykonywał rozkazy. A już miałam przyjemność się przekonać, że nawet śmiertelnie przerażony pamiętał o obowiązkach służbowych.

W końcu drzewa rozstały się i przed nami pojawił się arcyciekawy widok. Okazało się, że myśliwi ze wsi bynajmniej nie kłamali i w głębi lasu

rzeczywiście można było natrafić na starożytne budowle. Ta konkretna nie tylko się zachowała, ale gołym okiem widać było, że niedawno została wyremontowana. Był to całkiem spory, solidny kamienny dom, utrzymany w starożytnych tradycjach architektonicznych, rówieśnik zamków Lagarst i Liselle. Z czasów jego świetności w gęsto zaludnionych okolicach pozostało niewiele: ruiny starożytnych świątyń, czasami fragmenty murów obronnych i innych fortyfikacji. Chyba tylko niektóre zamki jeszcze stały... Ale ten budynek miał szczęście, wyglądał na stary, ale nie na rozsypujący się. Solidna budowla, w której nie wstyd podejmować gości, a nawet można przetrwać niewielkie oblężenie. W każdym razie oblężenie czasu ten dom przetrzymał całkiem nieźle. Winc zeskoczył z konia i otworzył przed nami bramę, po czym kiedy zsiadaliśmy i przekazywaliśmy wodze sługom, gdzieś wyparował. Ale i tak wrócił prawie natychmiast.

– Zapraszam szanowną panią – powiedział. – Pani już na was oczekuje. I tak bardzo fortunnie żeście przyjechali, zaraz kolacja będzie!

Budynek zbudowano na planie niedomkniętego kwadratu i poprowadzono nas na wewnętrzny dziedziniec. Widać było, że do tego miejsca ręce robotników jeszcze nie dotarły, niektóre płyty na dziedzińcu były popękane, pokruszone i wymagały wymiany, przy ścianie bezczelnie rosło kilka krzywych drzew, a w basenie fontanny, która kiedyś stanowiła ozdobę podwórca, usadowił się wspaniały rozłożysty krzak, cały usiany karmazynowymi jagodami. Na miejscu właścicielki tego bym nie ruszała, bo kompozycja wyglądała ładnie i egzotycznie.

Niestety, nie mieliśmy okazji dokładniejszego obejrzenia otoczenia.

– Przepraszam, że kazałam państwu czekać! – zabrzmiał dźwięczny kobiecy głos.

Odwróciłam się. Zbliżała się do nas najpewniej gospodyni majątku, wysoka, postawna dama pod pięćdziesiątkę, może nawet starsza. Ubrana była

zgodnie z najnowszą stołeczną modą, co w tutejszej głuszy wyglądało cokolwiek dziwacznie (do otoczenia bardziej pasowałyby szaty sprzed trzystu lat). Z tkaniny, którą zużyto na bogatą suknię, zgodnie z moimi wykonanymi naprędce obliczeniami można by uszyć kilka namiotów albo na przykład żagiel dla statku. A klejnotów, które dekorowały zwiędłą szyję, uszy i palce gospodyni starczyłoby na wyposażenie niewielkiej armii. Bardzo ciekawe...

– Muszę przeprosić za maniery moich ludzi – arcyuprzejmie ciągnęła kobieta. – Niestety, przychodzi mi obywać się tym, co mam do dyspozycji, a dobre maniery znajdują się bardzo daleko na liście ich zalet.

Milczałam i bez najmniejszej żenady gapiłam się na właścicielkę majątku. Niechaj sobie gada, potem przyjdzie kolej na mnie. Żeby tylko Laurinne nie palnął czegoś głupiego! Ale porucznik chyba pamiętał o moim ostrzeżeniu, milczał, jakby nabrał wody w usta, i udawał, że ogląda nadgryzione zębem czasu posągi stojące w narożnikach dziedzińca.

– Państwo pozwolą, że się przedstawię – mówiła tymczasem dama. – Sanija Darai, właścicielka tego wspaniałego miejsca, do usług. Arnaia Darai – dodała znacząco. – Czy mogłabym poznać państwa imiona?

– A czemuż by nie! – prychnęłam i wykazując kompletny brak dobrych manier, podrapałam się po potylicy. – Ja jestem Felicja Noiren, handluję sobie nieco, jak się trafi. A to tutaj nieporozumienie – wskazałam kciukiem przez ramię – nazywa się Laurinne. Też mi niebiosy zesłały pomocnika! – Wychyliłam się w kierunku damy i szepnęłam znacząco: – Wnuk mojego ostatniego męża, musiałam wziąć nicponia ze sobą, mimo że pożytku z niego tyle co mleka od kozła, umie się tylko pod nogami plątać!

– Niech cioteczka przestanie obcym ludziom bzdury opowiadać! – nieoczekiwanie wtrącił się Laurinne, a ja ze zdumienia niemal podskoczyłam. – Ile to niby pożytku z tych cioteczki pomocników? Tyle co się upili i teraz odpoczywają sobie w karczmie! Jakby wujek mnie nie wysłał do

towarzystwa, to jechałaby cioteczka sama, a to przecież wstyd dla tak szacownej damy!

– No dobra, niech będzie na twoje! – Wymierzyłam Laurinne;ówi delikatnego szturchańca, ale nieco przesadziłam i chłopak prawie zarył nosem w ziemię. A za to przedstawienie jeszcze mi odpowie! – Arnaio Darai, proszę sobie wyobrazić, te durnie, moi pomocnicy, jak się dorwali do chmielu i panienek, to odciągnąć kompletnie nie szło! Zostawiłam ich i ruszyłam sama, jak odeśpią, to dogonią, a jak nie, to ich strata, na zapłacie zaoszczędzę. Nie pierwszy raz przecież, jak byłam młodsza, to doskonale sobie radziłam bez żadnych pomocników!

– Teraz jest bardzo trudno o dobrych służących – odpowiedziała gospodyni ze współczuciem. Moim zdaniem, nasze przedstawienie przyniosło efekt i arnaia Darai już nie cieszyła się z tego, że skrupulatny Winc ściągnął tak dziwnych gości. Chyba handlarka końmi jednak nie była najbardziej odpowiednim towarzystwem dla szlachetnej damy. Ale za bramę nikt nas jeszcze nie wyrzucił.

– Och, czemu ja państwa trzymam na dworze?! – sumitowała się gospodyni. – Pani Noiren, zapraszam, zapewne chce się pani odświeżyć po podróży. Zaraz ktoś przygotowuje dla państwa pokoje, a niedługo podadzą kolację. Przecież nie odmówicie mi towarzystwa przy posiłku?

– Cioteczka Felicja nigdy nie odmówi jedzenia na cudzy rachunek... – mruknął Laurinne, wyraźnie licząc na to, że Darai go usłyszy. Co się z nim dzieje? Próbuje zgrywać bohatera?

– Z przyjemnością się przyłączę – zakrzyknęłam ochoczo. – Arnaio Darai, liczę na to, że ma pani lepszego kucharza niż w tamtej karczmie. Dawno nie miałam okazji jeść czegoś równie paskudnego!

– Mam wspaniałego kucharza. – Gospodyni uśmiechnęła się nieco sztucznie. Wezwany pstryknięciem palców Winc zaprowadził nas do domu.

Wewnątrz ślady zniszczenia były znacznie bardziej widoczne. Po wprowadzeniu się do tego domu Sanija Darai widocznie rozkazała, by do porządku doprowadzono tylko kilka pomieszczeń, a resztę zostawiła na lepsze czasy. Wszędzie dookoła zalegał kurz, a po kątach walały się odłamki szkła i jakieś skorupy. Niemniej prowadzące na piętro schody okazały się czysto zamiecione, a poręcze z kolorowego kamienia nosiły nawet ślady niedawnego polerowania.

– Służący nie wiedzą, w co ręce włożyć – poskarżyła się Darai, zbierając spódnice, by nie szorować nimi po kurzu. – Doprowadzenie tego domu do porządku po tylu latach... Trudno sobie nawet wyobrazić, ile jeszcze czasu upłynie, zanim w końcu odzyska dawną świetność!

– Pani wynajmie z dziesięć babin we wsi, to raz dwa wyliżą te ruiny do połysku – mruknęłam.

– Niestety, nie posiadam aż takich zasobów finansowych – odparła Darai ze smutkiem, odruchowo bawiąc się naszyjnikiem wartości średnio dwóch domów w mieście. – Muszę radzić sobie własnymi siłami...

Ledwo powstrzymałam śmiech, gdyż wyobraźnia podsunęła mi obraz, jak wieczorem arnaia zdejmuje swoją sutą suknię i własnoręcznie myje podłogi czy też poleruje wzorzyste panele na ścianach. Chociaż akurat sukni zdejmować nie musiała, za jednym przejściem tymi falbanami dałaby radę zebrać minimum połowę kurzu i pajęczyn z podłogi i ścian dookoła.

Winc wskazał nam mniej więcej wysprzątane pokoje, znajdujące się tuż obok siebie, po czym ulotnił się. Teoretycznie goście powinni teraz odpocząć po długiej drodze.

Nie miałam jednak najmniejszego zamiaru odpoczywać. Złapałam porucznika za kołnierz i wciągnęłam go do wyznaczonego mi pokoju, nim zdążył wejść do swojego.

– Co to był za cyrk? – syknęłam, przekonawszy się, że nikt nas nie

podśłuchuje. W tym celu również nie musiałam korzystać z tradycyjnej magii, co okazało się wyjątkowo przydatne. – Co panu do głowy strzeliło?

– Panno Naren... – Biedak próbował bezskutecznie wydostać kołnierz spomiędzy moich palców. – Pamiętam, że kazała mi pani milczeć, ale...

– Ale...? – Zgromiłam go wzrokiem.

– Ta pani... – Laurinne wyraźnie miał problemy z mówieniem, więc niechętnie wypuściłam jego koszulę, żeby przypadkiem nieboraka nie zadusić. – Ta pani, znaczy się gospodyni...

– Laurinne, rozumiem, o kogo panu chodzi! – westchnęłam z irytacją. – Na razie widzieliśmy tu tylko jedną kobietę, starczy tego precyzowania!

– Tak jest, panno Naren! – Porucznik przełknął ślinę i ciągnął: – No więc ta arnaia Darai tak na panią patrzyła... nieprzyjemnie. Miałem wrażenie, że się domyśla, że nie jest pani zwykłą handlarką... A poza tym, panno Naren, pani nie jest podobna do zwykłej handlarki... przepraszam...

– Laurinne, z panem to zawsze są jakieś problemy! – Nie wiedziałam, czy złościć się, czy śmiać. – W takim razie za kogo ona mnie mogła pańskim zdaniem uznać?

– Nie wiem. – Porucznik poważnie patrzył na mnie z dołu. – Ale jeżeli będzie coś podejrzewać, to przecież pani niczego się od niej tak po prostu nie dowie, prawda?

– Ogólnie rzecz biorąc, ma pan rację. – Pokiwałam głową. – Czyli uznał pan, że pomoże biednej cioteczce Felicji podtrzymać wizerunek starej wiedźmy, do tego zachłannej i gadatliwej?

– Znaczy... – Młodzieniec spuścił głowę. – Przepraszam, panno Naren. Ja chciałem jak najlepiej.

– I mam szczerą nadzieję, że nie wyjdzie panu tak jak zawsze – odparłam zgryźliwie. – Ale pies z panem tańczył, proszę iść się umyć po podróży. Bo już zaraz będą nas wołać na kolację.

W oczekiwaniu na zaproszenie do stołu spróbowałam chwilę się zastanowić. Tak... Laurinne chyba miał rację – spojrzenie, którym obrzuciła mnie Darai, było bardzo uważne i na pewno podejrzliwe. Może powinnam podziękować biednemu porucznikowi? Hm...

Swoją drogą, jeżeli ktoś w tej okolicy był podejrzany, to sama Sanija Darai. Przykro mi, ale skąd niby w tej głuszy pośrodku lasu miałyby się wziąć szlachetnie urodzona dama, tym bardziej obwieszona klejnotami o bajecznej wartości? Pozostawało tylko mieć nadzieję, że gospodyni sama nam o wszystkim opowie i że przy okazji nie spróbuje nas otruć przy stole. No dobrze, jeśli się postaram, truciznę wyczuję bez większego problemu, tylko jak odmówić spożycia doprawionego nią dania, nie wywołując podejrzeń? A jeśli wspomnieć Zamek–Nad–Lasem i te na pierwszy rzut oka niegroźne ziółka, którymi mnie tam poczęstowano... Niestety, po występie Laurinne'a nie miałam najmniejszej możliwości wykręcić się od kolacji. No cóż, pozostawało liczyć na szczęście!



Chwilowo wyglądało na to, że szczęście nie zamierzało odwracać się do mnie plecami. A przynajmniej nie udało mi się wykryć żadnych podejrzanych domieszek w podawanych na stół daniach. Co prawda nie oznaczało to, że takowych nie było, ale przynajmniej na razie się nie ujawniły.

Arnaia Darai, przebrana w inną, nie mniej bogatą suknię koloru wiśni, z całych sił odgrywała rolę gościnnej gospodyni i nawet nieźle jej to wychodziło.

– A tak w ogóle, czemu pani siedzi w tej głuszy? – spytałam wprost, gdy znudziło mi się słuchanie jej szczebiotania. Koniec końców nie ma przepisu,

że bogata handlarka musi być wzorem dobrych manier. – Czyżby nie mogła pani znaleźć bardziej przyzwoitego miejsca?

– Ach, pani Noiren, kiedyś były tu przepiękne posiadłości. – Darai uśmiechnęła się miło. – Niestety, podczas wojny wszystko uległo zniszczeniu, a moi przodkowie, którzy uciekając do dalekich krajów, uniknęli śmierci, nigdy nie ośmielili się wrócić.

– A więc uznała pani, że zaryzykuje. – Skinęłam głową, w międzyczasie oskubując nóżkę jakiegoś ptaka, który w smaku przypominał kuropatwę. Rzeczywiście mieli tu doskonałego kucharza. – I warto było wlec się na kraniec świata dla takich ruin?

– Obawiam się, że pani tego nie zrozumie – odrzekła gospodyni. – Przecież moja rodzina prawie zapomniała o swoich korzeniach, swoim gnieździe rodowym. Przypadkiem znalazłam dokumenty, z których dowiedziałam się o istnieniu tego majątku, i postanowiłam odzyskać to, co powinno należeć do mnie.

– Tylko jaki w tym sens? – Wzruszyłam ramionami. – I tak miała pani szczęście, że dom ocalał. No a teraz go pani wyremontuje i co? Będzie tu mieszkała? Może latem w tej okolicy jest przyjemnie, ale w zimie zostaje tylko wycić z tęsknoty za cywilizacją! Na setkę wiorst żywej duszy, sami myśliwi, którzy już się prawie oduczuli rozmawiania w ludzkim języku. I po co to pani?

– Rozumiem, że na początku będzie ciężko – odparła Darai łagodnie. – Ale nie zamierzam poprzestać na dotychczasowych osiągnięciach. To bogate ziemie, które mają za sobą lata odpoczynku. Przy dobrym gospodarzu te okolice mogą doskonale prosperować!

– Przepraszam najmocniej, a pani to ile ma lat? – Zmrużyłam oczy i oparłam łokcie na stole. – Widzę, że już niemało, a ludzie nie żyją aż tak długo, jak by chcieli. No dobrze, doprowadzi pani majątek do porządku,

może jeszcze ściągnie tu setkę czy dwie chłopów, zaorze ziemię i co dalej? Komu się to wszystko dostanie? Jak ma pani dzieci, to dlaczego nie przyjechały tu z panią?

Moje pytanie wyraźnie się Darai nie spodobało. A mnie nie podobała się cała rozmowa. Wszystkie te brednie o odrodzeniu gniazda rodowego brzmiały jak żywcem wyjęte z jednego z ostatnio modnych łązawych romansów o perypetiach szlacheckiej rodziny na przestrzeni paru stuleci. Nawet osioł by zrozumiał, że odtworzenie tutejszych pól uprawnych pochłonie masę wysiłków, czasu i pieniędzy, więc nie potrafiłam powiedzieć, po co to wszystko starzejącej się damie, która chyba nawet nie miała spadkobierców.

– Niestety, nie posiadam dzieci – odezwała się gospodyni sztywno. – Jednakowoż mam sporo innych krewnych i wybranie spośród nich godnego dziedzica nie nastreczy większych problemów. Najważniejsze jest, by całkowicie popierał on moje dążenia... – Umoczyła wargi w winie. – A poza tym jeszcze niezbyt mi śpieszno do umierania. Członkowie naszej rodziny żyją długo.

– A nie boi się pani tu mieszkać? – wykonałam próbny strzał. – Słyszałam, że coś niedobrego się w okolicy dzieje, ludzie po wsiach giną.

– Chłopskie brednie! – prychnęła Darai. – Tyle już tu siedzimy, a nie widzieliśmy nawet dzikiego zwierza większego od zająca.

– Niech będzie... – mruknęłam. – Pani sprawa... Ja tobym za nic nie ryzykowała osiedlenia, w takiej głuszy. Jakby co, to nawet pomocy nie ma skąd wołać!

– Mam nie najgorszych strażników – odpowiedziała gospodyni niejasno i pośpiesznie zmieniła temat: – A dlaczego pani przemiły siostrzeniec nic nie je?

Laurinne faktycznie grzebał w swoim talerzu jak kura w nawozie, nie

zmniejszając za bardzo zawartości. Czyżby też bał się trucizny?

– On to jest chłopak prosty, nienawykły do takich frykasów. – Wyszczrzyłam zęby. – Pewnie nie wie nawet, od której strony się do nich zabrać!

– No cóż, wydaje mi się, że następne danie powinno spodobać się wam obojgu – czarująco uśmiechnęła się Darai i na jej znak na stół podano wspaniale pachnące pieczyście. Nawet podejrzenia co do możliwej trucizny nie zdołały powstrzymać mnie przed spróbowaniem, a to naprawdę wiele mówiło o umiejętnościach kucharza. Laurinne również przestał się krygować i rzucając mi przepęlnione bólem spojrzenia, oddał honory doskonale przyrządzonemu jeleniowi.

– A co to za przyprawa? – spytałam. – Kojarzę zapach, tylko nijak nie potrafię sobie przypomnieć.

– Ależ, pani Noiren, nie sądzi pani chyba, że znam się na takich rzeczach! – roześmiała się Darai. – Musi pani spytać mojego kucharza, ale proszę się zgodzić, że jest prawdziwym mistrzem w swojej sztuce?

– Oj, tak! – z mojej odpowiedzi wprost biła szczerść.

– Pozwolą państwo, że poczęstuję ich jeszcze czymś – rzekła gospodyni i tuż koło mnie pojawił się służący z tacą, na której mieściły się trzy wysokie szklanki z bladopomarańczowym płynem. – Zaręczam, że żadne z was w życiu nie miało okazji spróbować czegoś podobnego.

– Ależ dlaczego? – odparłam, wzięłam szklankę i ostrożnie powąchałam zawartość. – Dojrzały sok zimnopłodki alaiskiej, czyż nie?

– Zna się pani na tym? – Darai wyglądała na zdziwioną.

– Na czym to ja się nie znam... – mruknęłam. – To jak, mam rację?

– Tak, całkowitą. To właśnie on, trzyletniego dojrzewania. – Gospodyni uśmiechnęła się czarująco. – Z całego serca zapraszam do spróbowania!

– Proszę wybaczyć, arnaio Darai, ale nie mam najmniejszego zamiaru –

odpowiedziałam z nie mniej słodkim grymasem, a pod stołem boleśnie kopnęłam porucznika, który akurat zdążył unieść szklankę do ust. – I tobie, siostrzeńcze, nie radzę!

Laurinne drgnął, prawie wylewając delikatesowy napitek, i pośpiesznie odstawił szklankę na stół.

– Ależ dlaczego? – gospodyni zauważalnie się zmartwiła.

Mogłam tylko uśmiechnąć się w odpowiedzi. Sok alaiskiej zimnopłodki smakuje zaiste wybornie, a kosztuje tyle, że nie każdy wielmoża może sobie pozwolić na posiadanie tego smakołyku na swoim stole. Osobiście uważałam, że koszt soku tłoczonego z tej skromnej jagody był sztucznie podbijany, ale z drugiej strony w takim owocu jest go śmiesznie mało, więc wyciskanie to praca szalenie niewdzięczna. Przy okazji, jagody zimnopłodki na surowo smakują wyjątkowo paskudnie. Ale za to dobrze dojrzały sok, który nie pleśnieje ani nie kiśnie, nabiera z czasem wręcz bajecznego smaku i koloru. Oczywiście im starszy, tym jest on droższy, dokładnie jak w przypadku dobrego wina.

Ale oprócz powyższych zadziwiających cech zimnopłodka ma jeszcze jedną, o której wie niewielu. Do wybrańców musiała też należeć nasza gospodyni i właśnie dlatego zaoferowała nam ten napój. Po co – stanowiło kwestię zupełnie odrębną, ale chyba i na nią znałam już odpowiedź.

– A to dlatego, arnaio Darai – odparłam – że poczęstowała nas pani wspaniałym pieczystym. Przyprawionym wilczogórkiem i czerwonym orzechem błotnym.

Laurinne zauważalnie pobladł, chyba przerażony tymi czarownie brzmiącymi nazwami.

– Nie ma się czego bać, mały – pocieszyłam go. – Te ziółka są kompletnie niegroźne, tylko nazwy mają nieciekawe. Ale za to w połączeniu z sokiem alaiskiej zimnopłodki dają bardzo paskudny efekt...

Darai milczała, coraz mocniej zaciskając wargi. Najwyraźniej poważnie zepsułam jej plany.

– Jaki? – nie wytrzymał porucznik.

– Będzie cię wykręcać, aż wyrzycasz wszystkie flaki – oświeciłam go uprzejmie.

– Nie jest to śmiertelne, ale wyjątkowo nieprzyjemne. Czyż nie, arnaio Darai?

– Pani... nie jest zwykłą handlarką – wycodziła gospodyni przez zęby.

– Oczywiście, że zwykłą nie jestem! – prychnęłam. – A pani wcale nie taka mądra, skoro nie zauważyła tego tutaj.

Wskazałam wymyślny węzeł na swojej chuście. Twarz arnai nie zmieniła wyrazu, czyli najpewniej nie miała pojęcia o zbójceckich znakach.

– Nie no – zauważyłam z pewną urazą – a mnie to się wydawało, że nasze plemię wszędzie rozpoznają, a tu masz...

– Nie obchodzi mnie, co to wszystko oznacza i kim pani naprawdę jest – rzuciła Darai, wstając zza stołu. – Winc!

Laurinne również zerwał się na nogi, z łomotem odrzucając krzesło, a ja poszłam w jego ślady. Do sali jadalnej wpadło kilku barczystych drabów z Wincem na czele i nie miałam najmniejszych wątpliwości co do ich zamiarów.

– Brać ich – rozkazała Darai, cofając się w kierunku ściany.

– Laurinne – syknęłam – niech pan walczy na poważnie, ale proszę się postarać, żeby mi pana nie zabili ani nie uszkodzili za bardzo!

– Rozumiem – odparł młodzieniec i w tym momencie zaczęła się paskudna bójka.

Tasak natychmiast poleciał gdzieś w kąt, czego naturalnie się spodziewałam, bo porucznik przecież zupełnie nie umiał się nim posługiwać.

Trzeba przyznać, że nie stracił animuszu i przez pewien czas całkiem skutecznie jako oręża używał ciężkiego krzesła.

Ja miałam przy sobie długi nóż i nawet zdążyłam z niego skorzystać, ale, niestety, utknął w czyjejs ręce, więc musiałam go porzucić. Wtedy też wskoczyłam na stół i jeszcze przez chwilę całkiem nieźle radziłam sobie, używając nóg. Jeden celny kopniak akurat wystarczył, by skrócić na bok czyjąś facjatę, a przy okazji nie pozwolić się złapać. Niestety, taka rozrywka nie mogła trwać długo, gdyż Winc przypomniał sobie magiczny wpływ, jaki miała na mnie kusza, i po krótkiej chwili celowały we mnie aż trzy sztuki owej wspaniałej broni.

– Szanowna pani, a może jednak po dobroci! – rzucił nasz były przewodnik, trzymając się za szczękę (nie ma to jak wartość bojowa podkutego buta). – Proszę stamtąd złązić albo będzie gorzej...

Odpowiedziałam długą niecenzuralną tyradą, ale jednak zlazłam ze stołu i nawet pozwoliłam się przeszukać. Za plecami głucho jęknął Laurinne, który oberwał butem w żebra. Komuś w końcu udało się odebrać mu krzesło, a ponieważ porucznik nie chciał się poddać po dobroci, to się z nim specjalnie nie cackali.

Zabrali mi wszystko, łącznie z pierścionkami i kolczykami, nie mówiąc już o niezliczonych wisiorkach. Buty również musiałam zdjąć i wyciągnięto z nich wszystko, co wartościowe, czyli nóż z za cholewki i schowane tamże w ukrytej kieszonce złote monety. Tyle dobrego, że paska nie ruszyli, nieźle bym wyglądała w opadających spodniach... Laurinne został poddany identycznej procedurze, tyle że znacznie mniej delikatnie.

– Jeszcze mnie popamiętasz – obiecałam Darai gniewnie. – Kiedy nasi się dowiedzą, jak mnie potraktowałaś, to z tej chałupy nie pozostanie kamień na kamieniu!

– Obawiam się, że nigdy się o tym nie dowiedzą – odpowiedziała mi

Darai z uśmiechem pełnym wyższości i odwróciła się do Winca. – Zamknijcie ich jak należy, potem się nimi zajmę.



Owszem, zamknęli nas całkiem porządnie, a przynajmniej solidne okute żelazem drzwi nie dałyby się wyważyć nawet taranem.

No cóż... Przespacerowałam się po celi, w której służy pani Darai łaskawi byli nas zakwaterować. Siedem kroków wzdłuż i pięć wszerz, małe okienko pod samym sufitem, pewnie dla wentylacji. Do powały daleko, głębokie tu mieli piwnice. Mały światek nad drzwiami, też za wysoko, chyba żeby stanąć komuś na ramionach. Od ścian i podłogi ciągnęło lodowatym chłodem, a jeżeli wziąć pod uwagę, że zostawiono nas bez butów i okryć wierzchnich, to warunki niespecjalnie komfortowe. Z mebli jedynie wąska drewniana prycza przy ścianie, na którą natychmiast wlałam i podciągnęłam nogi, żeby nie stać na zimnej podłodze.

– Laurinne! – zawołałam porucznika, stojącego na środku celi. – Czego pan tam sterczy, miejsca starczy! A poza tym cieplej będzie...

Osobiście nieszczególnie przejmowałam się zimnem. Magowie mają doskonałą termoregulację i przy odrobinie wysiłku mogłabym w ogóle spać nago na śniegu. Inna rzecz, że nigdy nie miałam tak durnych pomysłów. Ale skoro w tym komfortowym pomieszczeniu nawet ja czułam się nieco niewyraźnie, to co dopiero mówić o zwykłym człowieku, takim jak porucznik!

Chłopak jeszcze chwilę pomarudził, ale ostatecznie poddał się i ułożył na pryczy, rękami obejmując kolana i przyciskając plecy do moich. W ten sposób rzeczywiście zrobiło się cieplej, chociaż niekoniecznie wygodniej – mój towarzysz miał strasznie kościste plecy.

– Mocno się panu oberwało? – spytałam.

– Chyba nie – odparł Laurinne z wahaniem, wsłuchując się we własne odczucia.

– Parę sińców... I jeszcze nogę mi rozcięli, jak zdejmowali buty.

– Założę się o każde pieniądze, że pańskim własnym nożem – westchnęłam i przekręciłam się, żeby ocenić skalę katastrofy. Nie śmiertelne, ale też nieszczególnie przyjemne... Po chwili namysłu ściągnęłam chustę z głowy. – Proszę, niech pan to przynajmniej opatrzy, bo jeszcze się skończy jakimś zakażeniem.

– Panno Na... – nagle porucznik urwał. – Na pewno nas tu nikt nie słyszy?

– Nie – odparłam. – Czy pan naprawdę sądzi, że nie sprawdziłam tego na samym początku? Laurinne, niezłą ma pan o mnie opinię!

– Przepraszam, panno Naren – wymamrotał i wziął chustę. – I co teraz?

– A teraz poczekamy i zobaczymy, co zamierza zrobić nasza droga gospodyni. Chociaż już sobie mniej więcej wyobrażam co...

– Panno Naren, ale po co ona chciała nas truć? – zapytał Laurinne. – Tym całym... sokiem?

– Po to, by uniknąć pobojuwiska, które tam urządziliśmy! – prychnęłam.

– Nie prościej byłoby użyć jakiegoś środka nasennego? – zdziwił się porucznik.

– A pewnie, że prościej. Z tym że wielu ludzi, szczególnie handlarzy, nosi przy sobie amulety nastawione akurat na takie drobne świństwa, więc mogliby rozpoznać podobny specyfik. Przecież widział pan, ile mi u szyi dyndało wszelakich błyskotek, – Uśmiechnęłam się na myśl, że przeważająca część tych wisiorów nie była warta nawet fałszywego rissa. – A tak nikt by nic nie podejrzewał. Zwykle przyprawy, rzadki napój... A chorujących gości znacznie łatwiej jest uwięzić. Laurinne, niech mi pan uwierzy, że kiedy

wnętrznosci panu pukają do gardła, ostatnie, o czym człowiek myśli, to walka.

– Ale pani jednak zaczęła coś podejrzewać... – uparcie ciągnął młodzieniec.

– Przypomniałam sobie Zamek–Nad–Lasem i miłą dziewczeczkę imieniem Olor – odparłam. – Ona też korzystała z całkiem niewinnych ziółek. Zapach przyprawy natychmiast wzbudził moją czujność, nigdy wcześniej nie widziałam, żeby pieczone z jelenia przyprawiano wilczogórkiem i orzechem błotnym. Co prawda muszę przyznać, że wyszło nie najgorzej. A w momencie, gdy podano sok zimnopłodki... Zresztą pana to i tak nic nie obchodzi.

Strach pomyśleć, ile czasu i wysiłku dziadek poświęcił na wbijanie mi do głowy właściwości rozmaitych roślin i ich połączeń. Z tej całej wiedzy w życiu przydał mi się tylko malutki ułamek, ale za to w taki sposób, że gotowa byłam zamówić złote obwoluty dla starożytnych dziadkowych zielników.

– Ale w takim razie dlaczego nie użyła takich samych... niewinnych ziółek, by nas po prostu uśpić? – To pytanie było całkiem niegłupie.

– Pojęcia nie mam. – Wzruszyłam ramionami. – Może nie zna takich ziół, a może potrzebuje nas całkowicie świadomych?

– Do czego?

– Obstawiam, że ma zamiar nas zabić – oznajmiłam beztróska.

– Dlaczego?! – Czułam, jak Laurinne się wzdrygnął. – Po co jej to wszystko?

– Przecież mówię, że chwilowo mam tylko podejrzenia, ale za to uzasadnione – westchnęłam. – Widzi pan, poruczniku, nasza przemiła gospodyni jest wiedźmą.

– Co?! – Biedak nie wytrzymał i odwrócił się. Nie wiem, co takiego dojrzał na mojej potylicy, ale następne pytanie brzmiało znacznie spokojniej.

– To... prawda?

– Najprawdziwsza – mruknąłam. – A do tego zalatuje od niej jakimś świństwem. Oczywiście na poziomie energetycznym... tak że nasuwa się tylko jeden wniosek: Sanija Darai bawi się w składanie ofiar z ludzi.

Laurinne zeszywniał.

– I... tych ludzi ze wsi... to też ona? – zapytał głucho.

– Obawiam się, że tak – westchnęłam ponownie.

Zgadza się, Sanija Darai istotnie była wiedźmą. Bardzo potężną i bardzo niemłoda. Skoro wyglądała na pięćdziesiąt lat, to naprawdę musiała mieć pewnie ze trzy razy tyle. Starsza ode mnie i niewątpliwie bardziej doświadczona. Ale miałam przewagę w jednym: Darai (nie sądziłam, by miała jakiegokolwiek prawo do posługiwania się tytułem „arnai”) nie wiedziała, że ma do czynienia z magiem. To stary problem – mag nie może wykryć wiedźmy, jeżeli się odpowiednio nie nastroi, ale i wiedźma nie zdoła wyczuć maga, nim nie zacznie on pracować albo jeśli ona specjalnie nie będzie go szukać. Ja doskonale wiedziałam, na co zwracać uwagę, natomiast Darai nie podejrzewała, kim jestem, inaczej nie zostałabym potraktowana do tego stopnia niedbale.

Składanie ofiar z ludzi to poważna sprawa i kara za taką zbrodnię również jest bardziej niż poważna. O tym, w jakim celu Darai to robiła, świadczyło owo niedbale wypowiedziane zdanie: „Na tamten świat się na razie nie wybieram” oraz fakt, że w lesie ginęły przeważnie kobiety i dzieci. Wszystko sprowadzało się do jednego. Dosyć popularnego w pewnych kręgach poglądu głoszącego, że w celu przedłużenia własnego życia należy zabierać cudze. Popełniali ten błąd nie tylko wiedźmy i magowie. I w takim wypadku wszystkie elementy wskakiwały na swoje miejsca: siła młodości, której źródłem były dzieci i nastolatki, dająca życie moc kobiet... Mężczyźni byli z tego punktu widzenia całkiem bezużyteczni, jakkolwiek nie urażałoby to ich

dumy. Hm, a co ze starcami? Czyżby na dokładkę potrzebowała mądrości? Ale w sumie dlaczego nie? Zresztą na dwadzieścia kobiet i dzieci zginęło troje staruszków, mogło więc się okazać, że Darai nie miała z tym kompletnie nic wspólnego. Albo też chodziło jej o zmylenie tropu, ale to już mniej istotne.

Mimo to uważałam, że moje domysły i gołosłowne oskarżenia nie wystarczą, i chciałam złapać Darai na gorącym uczynku. Ale nie dawało mi spokoju jedno pytanie... Jakim cudem Kolegium przegapiło tak potężną wiedźmę? Przez bardzo wiele lat udawało jej się naprawdę skutecznie ukrywać, a teraz jakby ją kto spuścił z łańcucha! Niewykluczone, że wcześniej również bawiła się w te niebezpieczne gierki, ale skoro nikt jej nie złapał, to musiała być bardzo ostrożna. Dlaczego więc teraz zabrała się do tych surowo karanych praktyk w zasadzie otwarcie? Wszystko to wyglądało jak w strasznej bajce. Ten leśny dom, gdzie każdy podróżny jest mile widziany, ale skąd już nigdy nie wróci na trakt... Ale przecież wiedźma musiała rozumieć, że to nie mogło trwać wiecznie! Nie, coś w tym wszystkim nie grało. Będę musiała porządnie przesłuchać Darai przed przekazaniem jej w ręce Kolegium. Miałam wrażenie, że wiedźma ukrywa coś ważnego. Niewykluczone co prawda, że po prostu odbiło jej na stare lata, ale przeczucie, że sprawa ma drugie, a może i trzecie dno, nie dawało mi spokoju.

Zresztą zgadywać sobie mogłam do upadłego, a chwilowo i tak pozostawało wyłącznie czekać na rozwój wydarzeń. Siedzenie w kompletnej bezczynności było nudne, więc dla zabicia czasu zagaiłam:

– Laurinne, a jak czuje się pańska siostra? Leida, o ile się nie mylę?

Porucznik za moimi plecami drgnął. Chyba zdążył już zanurzyć się z głową w fascynujących rozmyślaniach o wiedźmach, ofiarach z ludzi oraz innych tego rodzaju rozrywkach i kompletnie nie spodziewał się tak

gwałtownej zmiany tematu.

– P–panno Naren, wszystko dobrze – odparł z lekkim zająknięciem. – Miała pani rację, w tamtej szkole jest dobrze traktowana i podoba jej się tam.

Ani przez chwilę w to nie wątpiłam. W zasadzie pytanie zadałam wyłącznie dlatego, że nie tak dawno widziałam Laurinne’a w mieście spacerującego w towarzystwie młodszej siostry. Dziewczynka wyglądała kwitnąco i nawet jej kalectwo było niemal niezauważalne.

– A majątek?

– Majątek... – Porucznik na chwilę zamilkł. – Tam... znaczy nikt tam nie został. W samym zamku jeszcze mieszka kilkoro służących, ale reszta wróciła do swoich wsi, tak jak pani przewidywała.

– Rozumiem. – Miło jest po raz kolejny mieć rację. – Laurinne, niech mi pan powie: czy ten wasz majątek nie przynosił w ogóle żadnych zysków?

Sądząc z ruchów za moimi plecami, porucznik najpierw pokręcił głową, a następnie skojarzył, że nie posiadam oczu na potylicy, i odpowiedział na głos:

– Prawie żadnych, panno Naren. Przecież ojcu zostawili tyle co nic, najgorsze ziemie... A poza tym on przez całe swoje życie służył w gwardii i nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić. Ledwo starczało na zapłacenie podatków.

Na takie stwierdzenie mogłam tylko westchnąć. No dobrze, skąd stary gwardzista miał wiedzieć, kiedy i co się sieje czy sadi, jakie ziemie lepiej jest przeznaczyć pod pola, a na których wypasać bydło? Ale przynajmniej jego potomkowie mogli się postarać i opanować trudną sztukę gospodarowania na roli!

– Lucjusz próbował hodować owce – Laurinne wydawał się słyszeć moje myśli. – Znaczący mój starszy brat. Ojciec mu mówił, że to nie przystoi szlachcicowi... Ale i tak nic z tego nie wyszło. Już pierwszej zimy padły

wszystkie co do jednej.

– No tak, rozumiem... – Mogłam tylko pokręcić głową. Ale rodzinka! Jeden bardziej od drugiego pechowy.

– Panno Naren, a czemu pani pyta? – nagle odezwał się Laurinne.

– Tak sobie. – Wzruszyłam ramionami. – Z ciekawości. A co?

– Nie, nic... – Laurinne zamilkł, po czym ostrożnie podjął: – Panno Naren... Wie pani, miałem honor zostać przedstawionym pani szanownemu dziadkowi... A oprócz niego ma pani jakichś krewnych?

Milczałam. Porucznik potrafił zadawać niewygodne pytania. Zresztą żadna to tajemnica.

– Przepraszam, jeśli powiedziałem coś nie tak... – w głosie mego rozmówcy zabrzmiało zakłopotanie.

– Niech pan nie przeprasza, nie ma za co – westchnęłam. – Oprócz dziadka nie mam nikogo.

– Przepraszam... – szepnął ledwie słyszalnie porucznik.

– Ach, to drobiazg – prychnęłam. – Wszystko zdarzyło się zbyt dawno i prawie nic nie pamiętam. Poza tym to żaden sekret, całe miasto gadało, i to nawet niejednym razem.

Faktycznie, nie było żadnej tajemnicy, to wydarzenie było aż nazbyt głośne. Miałam wtedy nie więcej niż pięć lat i nasza rodzina, za owych czasów znacznie liczniejsza niż obecnie, mieszkała w bogatej dzielnicy Arastenu. Pewnego razu w biały dzień do bramy zapukał goniec i zapytał, czy pan Naren jest w domu. Otworzyła służąca, która odparła, że owszem, pan jest, po czym dostała do rąk jakiś pakiet i goniec natychmiast odjechał. Świadkiem tej rozmowy była sąsiadka i wyłącznie dzięki temu ostatecznie udało się odtworzyć rozwój wydarzeń. Tak więc goniec odjechał, a po paru minutach nasz dom wyleciał w powietrze, zabierając życie mojego ojca, matki, jeszcze nienarodzonego brata i kilku służących.

Tamtego dnia dziadek swoim zwyczajem wyjechał jeszcze przed świtem, nie uprzedzając o tym zupełnie nikogo. Mnie natomiast nie było w domu czystym przypadkiem – ktoś nie domknął furtki na tyłach domu i uciekłam na sąsiednią ulicę, by pobawić się z miejscową dzieciarnią. Tam też po katastrofie odnalazł mnie dziadek, który w jednej chwili postarzał się o jakieś dwadzieścia lat. Kilka dni spędziłam w jakimś nieznanym miejscu, potem był port, statek – po raz pierwszy zobaczyłam morze i natychmiast je pokochałam – i długa podróż. Po upływie trzech tygodni już bawiłam się w berka z młodszymi dziećmi księcia Garastasa, który udzielił nam schronienia.

Nikomu nie udało się odnaleźć ani gońca, ani tym bardziej człowieka, który wysłał pakiet do naszego domu. Wiadomo było tylko, że ktoś użył bardzo silnego zaklęcia bojowego, które najprawdopodobniej aktywowało się pod wpływem dotyku ręki mojego ojca, Ferrama Narena. Nawet dziadek gubił się w domysłach, komu jego syn stanął ością w gardle do tego stopnia, by zajęto się nim w taki sposób. Ojciec był uznanym specjalistą od trudnych spraw kradzieży i morderstw i dokładnie tak samo jak ja (w odróżnieniu od dziadka) nie cierpiał mieszać się do polityki. Wiele razy słyszałam tę historię od dziadka, ale podobno mimo wieloletnich wysiłków ostatecznie nigdy nie zrozumiał, komu ojciec tak bardzo przeszkadzał. Wiele razy pytałam dziadka także o powody, dla których tak szybko uciekł z Arastenu. Na to pytanie również nigdy nie chciał odpowiedzieć.

– Panno Naren... – Odwróciłam się i napotkałam spojrzenie Laurinne’a. Moja krótka i niespecjalnie emocjonalna opowieść najwyraźniej jednak bardzo go dotknęła. Nawet oczy mu pociemniały. – Nie powinienem był pytać...

– Laurinne, starczy już tego przeproszania – rzuciłam ostro. – Powtarzam, to zdarzyło się zbyt dawno i naprawdę mało co pamiętam. Cała moja wiedza o tej sprawie pochodzi wyłącznie ze słów dziadka, i tyle.

– Ale... – Porucznik sposepniał jeszcze bardziej. – Panno Naren, może teraz znowu powiem coś głupiego, ale... dlaczego pan Naren był tak pewny, że ktoś chciał zabić właśnie pani ojca?

Spojrzałam na niego jak na dziwaczny eksponat ze słynnych zbiorów Kolegium, którą nagle zdecydowały się wyjść z gablotki i zacząć rozmowę o pogodzie.

– Laurinne, czasami mnie pan naprawdę zaskakuje – stwierdziłam w końcu. – Niby wiatr w głowie hula, ale czasem jak pan coś powie, to nie wiadomo, czy stać, czy siadać!

– A...? – Porucznik zamrugął.

– Wie pan, mnie taka myśl również przychodziła do głowy. – Uśmiechnęłam się krzywo. – I to nie raz.

Dziadek milczał jak grób, ale z innych źródeł dowiedziałam się, że akurat w tamtym okresie zakończył głośne dochodzenie, w wyniku którego światło dzienne ujrzały brudne sprawki pewnego bogatego i wysoko postawionego wielmoży. Było tam sporo ciekawostek, zaczynając od defraudacji i kończąc na uwodzeniu nieletnich, dla pełnego obrazu brakowało chyba tylko sztuk zakazanych. Tak więc, szczerze powiedziawszy, ten i ów miałby powody do zemsty właśnie na dziadku, a nie na mym ojcu. Poza tym goniec nie spreyczował, dla którego konkretnie pana Narena – Fergususa czy Ferrama – przeznaczona była przesyłka. Nie było też niczym dziwnym, że zakłęcie zadziało na dotyk ręki ojca, gdyż był najbliższym bezpośrednim krewnym dziadka. W takim wypadku pośpieszna ucieczka za morze również była całkiem zrozumiała – dziadek zapewne się obawiał, że jego wróg nie zadowolony się połowicznym sukcesem. A do czego jeszcze zdolny był człowiek, którego nie obchodziło, że razem z Fergususem Narenem zginie cała jego rodzina? Jestem pewna, że gdyby dziadek był sam i nie miał nic do stracenia, nigdzie by nie wyjechał, tylko zmierzył się z nieznanym wrogiem.

Ale pozostawałam ja, ostatnia nadzieja na kontynuowanie „dynastii”. I dziadek zdecydował, że się wycofa. Osobiście uznawałam jego decyzję za wysoce rozsądną.

– Ja również – przyznał Laurinne, gdy dokończyłam tę myśl.

Zamilkliśmy, słysząc szcęk zamka. Drzwi otworzyły się, wpuszczając kilku barczystych pacholków ze świty Darai. Bez słowa złapali porucznika pod łokcie i wywlekli za drzwi.

– Hej, a co ze mną?! – krzyknęłam za nimi. Laurinne przez ramię rzucił mi spojrzenie, które było równocześnie wystraszone i pełne przekonania, że nie może mu się stać nic złego.

– Ech, jakby pani wiedziała, gdzie jej tak śpieszno... – odburknął w odpowiedzi jeden z bandytów. – Jeszcze się zdąży.

Skwitowałam to stwierdzenie mruknięciem i wygodniej ułożyłam się na pryczy. No dobrze. Teraz trzeba było trochę poczekać. Najważniejsze to nie przegapić właściwej chwili...

ROZDZIAŁ 20

Błędy

Odczekałam tyle czasu, ile zgodnie z moimi obliczeniami potrzeba było Darai na przygotowania, po czym uznałam, że czas najwyższy działać. Wiadomo że zawsze lepiej jest przyjść wcześniej niż za późno.

Szkoda, że nie wzięli mnie jako pierwszej, ale, niestety, nawet z daleka niespecjalnie wyglądałam na młodą pannę. Ba, w obecnym przebraniu nie przypominałam nawet kobiety w wieku rozrodczym. Pewnie wiedźma uznała, że zostawi mnie na czarną godzinę, a na razie zajmie się młodym porucznikiem. Był co prawda mężczyzną, ale spokojnie mógł uchodzić za dzieciaka, szczególnie bez munduru gwardzisty.

Uśmiechnęłam się i ruszyłam w kierunku wyjścia. Faktycznie, Darai nawet nie podejrzewała, że gości maga. Żadnych zabezpieczeń, otwarcie masywnych drzwi nie sprawiło mi najmniejszego nawet problemu. Na zewnątrz nie było ani śladu ochrony, co czyniło moje zadanie nieprzyzwoicie wręcz prostym. Z drugiej strony z ogłuszonego strażnika mogłabym zdjąć buty, bo chodzenie na bosaka po zimnej i brudnej kamiennej podłodze nie należy do przyjemności. No nic, jakoś przeżyję.

Z trzeciej strony cudze przepocone buty... Chyba jednak wolałam iść na bosaka! Teraz należało odnaleźć porucznika. Logika podpowiadała mi, że

nasza gospodyni będzie znajdować się w tym samym miejscu co i on.

Ponieważ strażnicy zdjęli z nas wszystko, co się tylko dało, nie mogłam powiesić na szyi Laurinne'a któregoś ze swoich amulecików ani zostawić sobie czegoś należącego do niego. Ale przecież oddałam porucznikowi własną chustę, by opatrzył nogę. Uśmiechnęłam się z zadowoleniem. Teraz należało tylko mieć nadzieję, że prowizoryczny opatrunek nie spadł gdzieś po drodze.

Dla maga znalezienie własnej rzeczy to drobiazg, szczególnie jeżeli przedmiot jest mu dobrze znany i często używany. Ruszyłam przez piwnice, nie zastanawiając się nawet, gdzie skręcić, chociaż przyznać trzeba, że dookoła rozciągał się prawdziwy labirynt. Nie zdziwiłabym się na wieść, że pod ziemią ten budynek był dwa albo nawet i trzy razy większy niż na powierzchni! Nie chciałam marnować mocy ani zawczasu ujawniać swojej obecności, więc kilka razy chowałam się przed przechodzącymi tu i tam pomocnikami wiedzy. Poszukiwanie przedmiotu powoduje nieznaczną emisję energii magicznej, którą trudno jest wykryć. Gdybym natomiast zabrała się do usypiania tych panów, a tym bardziej wdała w walkę, stałabym się znacznie bardziej widoczna. Naturalnie nie miałam najmniejszej ochoty na przedwczesne odkrycie przed przeciwnikiem swojej prawdziwej tożsamości. Zresztą walka wręcz z barczystymi chłopami też nie wydawała się zachęcającą perspektywą.

Przede mną pojawił się migotliwy blask pochodni i usłyszałam głosy. Chyba dotarłam do celu.

Ostrożnie wyjrzałam zza rogu i moim oczom ukazała się scena, która zgodnie z zatwierdzoną przez Kolegium ogólną klasyfikacją przestępstw podpadała minimum pod kaźń przez spalenie (oczywiście nie na stosie, tylko znacznie bardziej higienicznie, przy użyciu specjalnego, właśnie w tym celu stworzonego zaklęcia). I nawet nie trzeba by specjalnie szukać okoliczności

obciążających!

Niewielkie pomieszczenie urządzone zostało całkowicie zwyczajnie. Żadnych tam magicznych symboli na ścianach, świec z tłuszczu dziewic, przyprawionego żółcią potwora morskiego (już sam ich zapach wystarczy, by stracić zapał do zabaw w nekromagię, w których akcesoria tego typu są powszechnie stosowane), żadnych podejrzanych przedmiotów. Wiedźmy na poziomie Sanii Darai nie potrzebowały takich tandetnych dekoracji.

Laurinne z rękoma skutymi za plecami klęczał pośrodku pomieszczenia, a wiedźma jedną ręką odchyłała jego głowę do tyłu. Porucznik nawet nie próbował oporu, zaklęte więzy tak czy owak nie pozwalały mu nawet drgnąć. Bohaterka dzisiejszego wieczoru ostrym paznokciem kreśliła na gardle Laurinne'a – delikatnym, jeszcze zupełnie chłopięcym – skomplikowane znaki. Takim pazurem można było przeciąć nie tylko ludzkie gardło, ale i skórę wołu. Zdążyłam akurat na początek zabawy i pogratulowałam sobie w myślach wyczucia czasu. Poza tą dwójką w komnacie nie było nikogo.

Na wargach porucznika wykwitł szczęśliwy uśmiech. Hm... czy on aby na pewno był całkowicie przytomny? Jeśli Darai dla pewności rzuciła na niego to i owo, to mogło mnie czekać sporo pracy, wiedźmie zaklęcia potrafią być naprawdę parszywe do zdejmowania. Ale już w następnej sekundzie zrozumiałam, że chłopak po prostu mnie zauważył i z oczywistych powodów się z tego ucieszył. Żeby tylko z radości nie zaczął krzyczeć czegoś w rodzaju:

„Panno Naren, tu pani jest!”.

Tak więc generalnie scenka mi się podobała, ale nie mogłam dłużej zwlekać.

– Arnaio Darai, a cóż takiego robi pani mojemu młodemu towarzyszowi?
– spytałam najuprzejmiejszym tonem, jaki tylko potrafiłam z siebie wykrzesać.

Cóż, jedno tej wiedźmie trzeba przyznać, na dźwięk mojego głosu i czując dotyk ładunku energetycznego na plecach, ani na chwilę nie straciła opanowania.

– Podejrzewałam, że nie jest pani tą, za którą się podaje – odparła z godnością. – Nie jest pani żadną handlarką ani przemytniczką, bo przecież o to chodziło w pani aluzjach? W takim razie kim?

– Flossia Naren, do usług – przedstawiłam się.

– Naren? Nie jest pani przypadkiem krewną Fergususa Narena? – Wiedźma nagle się ożywiła.

– To mój dziadek. – Nadal byłam uprzejma. – Ale chyba nie będziemy teraz rozmawiać o zdrowiu krewnych? Raczej innym razem, w bardziej odpowiednim otoczeniu. A teraz proszę opuścić ręce i cofnąć się pod ścianę.

– Nic z tego! – Darai zaśmiała się sucho i nieprzyjemnie. – Póki chłopak znajduje się w moich rękach, nie odważy się pani niczego mi zrobić, zawsze zdążę poderżnąć mu gardło!

– Muszę poinformować panią, że ten chłopak jest porucznikiem gwardii królewskiej – odparłam chłodno, wysyłając krótki impuls magiczny. Miałam nadzieję, że Laurinne wpadnie na to, że nie należy z łomotem upuszczać łańcuchów na kamienną posadzkę. Na szczęście wpadł! Krótki łańcuch wydał tylko stłumione brzęknięcie.

– To zmienia postać rzeczy – mruknęła Darai. – Widzi pani, zawsze marzyłam, że uda mi się wykończyć kogoś z tej sfory...

Ostry jak brzytwa paznokieć przesunął się po gardle Laurinne'a, zostawiając na nim cienką karmazynową kreskę. Jeszcze trochę i...

Ale ja również nie czekałam – ładunek energii trafił w plecy Darai, która drgnęła i odwróciła się w moim kierunku. W żadnym wypadku nie mogłam jej zabić – sąd Kolegium musiał się odbyć! – ale z drugiej strony jak miałam sobie z nią poradzić i jeszcze jej przy tym zbyt nie uszkodzić? Z potężną i

wyraźnie nie do końca normalną wiedźmą, która miała ochotę rozsmarować mnie po ścianie? O dziwo, od mąk niezdecydowania uwolnił mnie Laurinne, który z fascynująco spokojnym wyrazem twarzy spuścił własne kajdany na głowę stojącej tyłem do niego wiedźmy. Darai na sekundę zamarła, a następnie jej oczy uciekły w głąb czaszki, a ciało miękko wylądowało na podłodze.

– Dziękuję, poruczniku – rzuciłam z pewnym zaskoczeniem. – Nieźle to panu wyszło. Ale skąd ten pomysł?

– Ja... Po prostu przypomniałem sobie, jak pani kiedyś mówiła, że belt z kuszy zadziała na maga tak samo jak na zwykłego człowieka, jeżeli strzelać z zaskoczenia. No więc uznałem, że jeśli uderzę ją w głowę, to efekt będzie ten sam. – Laurinne uśmiechnął się niepewnie i podniósł rękę do gardła. Patrząc na zakrwawioną dłoń, zbladł.

– Drobiazg – zapewniłam biedaka i odrzuciłam jego głowę do tyłu tym samym gestem, którym przed chwilą robiła to Darai. – To nic takiego. Zaraz pana podłataam...

Zajęło mi to mniej niż minutę, a następnie dopilnowałam, by Darai została dokładnie skuta wspianiałymi wielofunkcyjnymi łańcuchami, które dodatkowo wzmocniłam pętami magicznymi. (O dziwo, coś z najnowszych opracowań Kolegium jednak mi się przydało, dzięki im niech będą ogromne, że raz jeden wymyślili coś pożytecznego!) Następnie uspiłam ją, zaciągnęłam do pustej celi i na wszelki wypadek zamknęłam.

Ochoczo zabrałam się do przeszukania domu. Żaden ze służących nas nie niepokoił, chyba wszyscy uznali, iż Darai zajęta jest własnymi mrocznymi sprawami, a wiedźmy w takich chwilach zwykle nie są specjalnie towarzyskie.

– Myślę, że Iwas powinien być już niedaleko – rzuciłam, gdy już odzyskaliśmy naszą własność i zaczęliśmy plądrować komnaty gospodyni, w

których znalazło się całe mnóstwo rzeczy, za których samo posiadanie człowiekowi groziło jakieś trzydzieści lat w pojedynczej celi.

– Że jak...? – Laurinne spojrzał na mnie bez zrozumienia.

– Niech pan to odłoży! – Zabrałam porucznikowi przedmiot wyglądający jak skrzyżowanie kandelabru z trąbą. – Ja pana bardzo proszę, trochę ostrożniej! O czym to ja... A, tak. Pamiętaj pan, że dałam Iwasowi swój wisiołek?

– Tak, oczywiście...

– Powinien był już wysłać sygnał.

Zakładałam, że zrobię to sama, ale, niestety, wyszło inaczej. Jednak takie zabaweczki zwykle mają dodatkowe sztuczki w zapasie. W chwili gdy ludzie Darai zdjęli ze mnie wszystkie błyskotki, łącznie z parą do tej, którą zostawiłam kapralowi, alarm włączył się samoistnie.

Minęło już sporo czasu, więc jeżeli zgodnie z rozkazem gwardziści już tu zmierzają z maksymalną prędkością, to powinni niebawem dotrzeć na miejsce. To tylko ja z porucznikiem wlekliśmy się jak ślimaki, a żołnierze najpewniej zjawią się tu jeszcze przed świtem.

A na razie nie miałam do roboty nic poza przeglądaniem rzeczy Darai. Przede wszystkim interesowały mnie papiery, ale było ich śmiesznie mało i przeważnie dotyczyły prowadzenia gospodarstwa. Świadcstwa zakupu, potwierdzenia zastawu, jakieś rachunki i weksle. Poszukiwania skrytek nic nie dały, najpewniej wiedźma wolała trzymać najważniejsze informacje w głowie, a jeżeli nawet otrzymywała jakieś listy czy inne tajemne papiery, to niszczyła je natychmiast po przeczytaniu. Trzeba przyznać, że to rozsądna polityka... Ale nic to, czasu na przepytanie zatrzymanej miałam aż nadto.

Na tym skończyłam pożyteczne zajęcia. Nie bardzo chciało mi się łapać pachółków Darai po ciemnych korytarzach – tym mogli się później zająć gwardziści, więc bezwstydnie poszłam spać, zajmując bez ceregieli sypialnię

pani domu. Noc upłynęła mi spokojnie, bez żadnych koszmarów i rano obudziłam się w naprawdę doskonałym nastroju.

Świtało. Wyrzałam przez okno i przywołałam pierwszą lepszą ptaszykę, po czym obejrzałam sobie za jej pośrednictwem okolicę. Doskonale, „mytnicy” powrócili na stanowisko i właśnie zbliżał się do nich oddział z Iwasem na czele. Chyba tak jak się spodziewałam, spędzili noc w siodłach. Nie pierwszozna dla nich. Jak wiadomo, dobry żołnierz może spać w każdej sytuacji, nawet na końskim grzbiecie podczas nocnej jazdy.

Gwardziści bardzo się przydadzą. Niby mogłam po prostu przetrzucić Darai przez łąk siodła (choć moja kobyła pewnie nie byłaby tym zachwycona) i zabrać ze sobą. Ale potrzebowałam też części jej zbiorów, a możliwości transportowe jednego konia są ograniczone. Zmuszanie sług więdźmy do takiej pracy było zadaniem niezbyt wdzięcznym i nie do końca bezpiecznym. Zresztą lak czy siak należało ich aresztować, ten i ów na pewno miał coś interesującego do powiedzenia. I to było zadanie akurat dla gwardzistów.

Uznałam, że Iwas wraz z oddziałem powinni pojawić się już niebawem, i udałam się w odwiedziny do Darai, zabierając dla towarzystwa porucznika, który ziewał rozdzierająco. Pewnie znów biedaczyna postawił sobie za punkt honoru wartę przez noc.

Czekała nas niemiła niespodzianka: drzwi celi, w której wczoraj zamknęłam więdźmę, były otwarte na oścież, a ona sama zniknęła.

– Panno Naren! – Laurinne patrzył na mnie z takim wyrazem twarzy, jakby na jego oczach runęło niebo.

– No tak... – wycedziłam przez zęby.

Więdźma nie mogła uwolnić się sama, czyli musiał jej ktoś pomóc. A to oznaczało, że gdzieś w domu przebywał mag albo jeszcze jedna więdźma. Może nie tak silna jak Darai, ale też i nie z tych najgorszych, zdjęcie moich

zakłęk wymagało pewnych umiejętności.

„Flossio, byłaś niewybaczalnie niedbała!” – skarciłam sama siebie. Zbyttno się rozleniwiłam, nie przewidując żadnych komplikacji. Ależ kompromitacja... Gwardziści powinni wyłapać służących, bo jaśnie pani się nie chce! A wyszło na to, że to właśnie pośród nich skrywał się tajemniczy osobnik, do ostatka wierny swojej pani.

Świadomość, że ktoś właśnie utarł mi nosa, była bardzo nieprzyjemna, ale cóż począć... Oczywiście na przyszłość będę mądrzejsza, lecz w tej chwili takie obietnice nic nie zmieniały. Najważniejsze, żeby Darai nie zdążyła uciec!

Gdy byliśmy już u wyjścia z piwnic, usłyszałam jakieś podejrzone dźwięki.

– Laurinne, ten hałas zupełnie mi się nie podoba! – rzuciłam, ignorując zrozpaczone spojrzenie porucznika. – Idziemy, szybko!

Gdy wkroczyliśmy na wewnętrzny dziedziniec, zabawa trwała już w najlepsze. Gwardziści sprawnie odpierali atakujących ich zbirów Darai, którzy, jak się okazało, całkiem nieźle władali bronią. Wiedźmy nigdzie nie było widać.

– Iwas! – Laurinne dostrzegł swojego wiernego kaprała dokładnie w chwili, gdy został on zaatakowany przez dwóch postawnych pacholków z szablami i wyglądało na to, że długo nie wytrzyma. – Już idę!

Mogłam tylko splunąć – czego w końcu można żądać od dzieciaka?! Laurinne złapał czyjąś upuszczoną broń i rzucił się do walki. Pilnowałam się, by nikomu nie wleźć pod ostrze, i próbowałam jednocześnie zlokalizować wiedźmę. Złapałam jej ślad, ale spróbuj, człowieku, zrozumieć, czy świeży, czy nie!

Wyglądało na to, że gwardia miała przewagę, ale... Nieoczekiwanie wykryłam źródło mocy. Ktoś całkiem niedaleko splatał zakłęk, silne i

niebezpieczne. Ale to przecież...

Nie zdążyłam nawet skończyć myśli, gdy spadło na dziedziniec. Darai widocznie nie tylko składała ofiary z ludzi, ale też uprawiała sztuki zakazane. Nigdy przedtem nie widziałam niczego podobnego na własne oczy i szczerze mówiąc, byłabym całkiem wdzięczna losowi za oszczędzenie mi takiego widowiska.

Niespodzianie spękane płyty dziedzińca zaczęły się unosić i rozpadać, a spod nich wydobywały się... musiały to być ofiary wiedźmy. Martwe od dłuższego czasu, rozkładające się, teraz wstawały na magiczny rozkaz. I to wcale nie tak powoli i niezgrabnie, jak powinny to robić zgodnie z legendami! Co za paskudztwo... Przekonałam się, że podniesiony trup wygląda jeszcze ohydniej, niż można sobie to wyobrazić. Wręcz nieprzyzwoicie!

Nie, trupy nie zmieniły się w upiory, to po prostu niemożliwe. Pozostały zwykłymi bezmózgimi powłokami, sterowanymi cudzą wolą, więc nie potrafiły skutecznie walczyć, lecz wyłącznie tępo i pokornie kroczyć do przodu, póki przy życiu nie pozostanie nikt z ludzi, których rzucający zaklęcie nazwał wrogami. Najpaskudniejsze w tym wszystkim było to, że dwóch zabitych gwardzistów również przyłączyło się do gromady niezgrabnie podrygujących truposzy.

A jeszcze gorsze okazało się to, że nie dało się ich w żaden sposób skrzywdzić. Ot, taka oczywistość: trupa nie da rady zabić drugi raz, na nic rąbanie go szablą, kłucie włóczniami, cięcie... Nie pomoże strzelanie z kuszy czy nawet rzadkiej w tych okolicach broni palnej. Truposz z odciętymi nogami poczołga się dalej na rękach. Odcięte ramiona będą pełzać samodzielnie, a odrąbany czerep jeszcze capnie zębami. Skuteczne byłoby chyba tylko poszatkowanie na małe kawałeczki, ale nawet one będą się jeszcze ruszały. Można ich było chyba tylko spalić i akurat to nawet

potrafiłam, tylko że...

Zakląłam w myśli. Następnie zakląłam jeszcze raz, już głośno. Gwardziści i solidny tłumek podniesionych trupów wymieszali się, trwała walka. Nie wszyscy słudzy Darai zginęli i teraz żołnierze dostawali solidne ciągi.

Mogłam bez wysiłku zmienić wszystkich obecnych w popiół, ale po prostu nie miałam prawa! Niestety, takie zaklęcia nie potrafią odróżnić swojego od obcego, a miałam wrażenie, iż Jego Królewska Mość nie ucieszyłby się zbytnio na wieść, że razem z tym paskudztwem spopieliałam oddział gwardzistów z porucznikiem Laurinne'em na czele. A oto i on we własnej osobie, przebił się do mnie i próbował coś powiedzieć, dysząc ciężko jak zajeżdżony koń. Można by rzec, że sama nie widziałam, w co się wpakowaliśmy!

Tymczasem truposze spychały gwardzistów na środek dziedzińca, ku wyschniętej fontannie, przy której stałam. Jeden i drugi próbował dobrać się do mojej osoby, więc spopieliałam dwa stwory na miejscu, ale nie rozwiązywało to ogólnego problemu. Nadal było ich ponad dwadzieścia i razem ze sługusami Darai dawało to w sumie sporą siłę.

Pozostawał tylko jeden sposób. Wybrane przeze mnie zaklęcie również nie dawało się zastosować wybiórczo, ale przynajmniej pozostawiało przy życiu tych z obecnych, którzy jeszcze nie zdążyli umrzeć. Niestety, z uwagi na poziom komplikacji potrzebowałam dłuższej chwili na skupienie i zbudowanie formuły.

– Poruczniku, potrzebuję kilku minut, by się skupić! – ryknęłam do mojego towarzysza, który właśnie stawiał czoło dwóm drabom. – I niech mi pan je zapewni albo zginiecie tu wszyscy!

Laurinne nawet się nie odwrócił, ale pokiwał głową, że zrozumiał. Odcięłam się od hałasu, szczękania broni i desperackich przekleństw,

mimoходом zauważając, że mimo młodego wieku porucznik nieźle włada pałaszem, a w każdym razie nie został nawet draśnięty, podczas gdy sam zdołał położyć już dwóch przeciwników. Pewnie miał dobrych nauczycieli...

Napastnicy chyba w końcu dostrzegli, że w obecnej sytuacji to ja, a nie uzbrojeni po zęby gwardziści, stanowią największe zagrożenie, więc usilnie próbowali dotrzeć do mojej osoby. Na szczęście żołnierze bohatersko osłaniali mnie własnymi ciałami.

Byłam bliska ukończenia formuły. Już odczuwałam zwykły w tym wypadku efekt uboczny – postacie wokoło poruszały się powoli, jak w gęstym kisielu. I tak samo nieśpiesznie leciał w moim kierunku rzucony czyjąś ręką nóż. Któryś z atakujących pewnie zrozumiał, że nie da rady podejść bliżej, i spróbował ataku na odległość. Nie mogłam zaprzestać formowania czaru i odbić ostrza ani się uchylić – w tej sytuacji niedokończone zaklęcie uderzyłoby we mnie – przygotowałam się więc na cios. Nic strasznego, mało prawdopodobne, by okazał się śmiertelny. Najważniejsze to nie zgubić rytmu przy splataniu zaklęcia.

Trzy. Zamarłam z rękoma uniesionymi nad głową. W chwili finalizowania formuły mag jest najbardziej podatny na zranienia, ponieważ nie może sobie pozwolić nawet na sekundę dekoncentracji.

Dwa. Zamknęłam oczy – zaraz ostrze noża wbije się w moje ciało, a muszę za wszelką cenę pozostać na miejscu.

Jeden. Nic się nie wydarzyło. Nie zastanawiałam się nad przyczyną – formuła została zakończona i pozostawało mi tylko ją aktywować. Co też uczyniłam. I dopiero wtedy otworzyłam oczy.

Doskonale. Zaklęcie zadziało właściwie – w takich sprawach jeszcze ani razu się nie pomyliłam. Oczywiście kiedyś zawsze przychodzi ten pierwszy raz, ale bardzo mnie cieszyło, że mój nie nastąpił dzisiaj. I tak już popełniłam dość błędów!

A tego tutaj w planach nie miałam – porucznik klęczał tuż przy mnie i patrzył z dołu okrągłymi z przerażenia oczami. Znajdował się wystarczająco blisko, by objęła go moja osobista strefa ochronna i nie trafił pod wpływ zaklęcia. A teraz moje nerwy czekała kolejna ciężka próba.

Ten kretyn umyślił sobie, że zasłoni mnie własnym ciałem! Tyle dobrego, że starczyło mu wyobraźni, by nie wpaść na mnie całym pędem, w przeciwnym razie nawet nie chcę sobie wyobrażać skutków tej katastrofy! Lepiej byłoby dla wszystkich, gdyby zajmował się swoimi bezpośrednimi obowiązkami, to znaczy machał swoim żelastwem i nie pchał się w sprawy magów–justycjariuszy! Nóż powinien trafić mnie w prawy bok, nieco poniżej piersi, i najpewniej ześlizgnąłby się tylko po żebrach, bo gruba skóra mojej kurtki wcale nie jest taka łatwa do przebicia. Niezbyt to przyjemne, ale do wytrzymania, a tymczasem porucznika ostrze trafiło prosto pod lewą łopatkę.

– Laurinne, jest pan kretynem – rzuciłam z irytacją. Mówiłam już to panu?

– Pan... panno Naren... – Chłopak próbował złapać mnie za rękę, ale mu się nie udało. – Panno Naren, mu... ..szę pani powie... chcia... bym pani pofiezieć...

Zakaszła i na ustach pojawiła mu się krew. No tak, płuco...

– Potem mi pan powie – przerwałam to jego nie wyraźne mamrotanie. – A teraz niech pan da spokój z umieraniem i położy się na ziemi twarzą w dół.

Laurinne zagryzł wargi i wykonał rozkaz. Chyba miał zamiar bohatercko wyzionąć ducha u moich stóp, ale gryzło się to z moimi planami. Rozdarłam koszulę na plecach porucznika. Oż Matko Noann, czy kogo się tam w takich sytuacjach przywołuje, jaki on chudy! Wszystkie żebra można przeliczyć, łopatki jak skrzydełka i każdy krąg widać. Nie ma co, w ubraniu wyglądał znacznie solidniej...

No tak... Krwi niewiele, ale płuco naruszone – dobrze, że nie dostał w

tętnicę, bo już bym miała kolejnego trupa. A skoro nadał nie umarł, to będzie żył. Nie to żebym była orłem w magomedycynie, w końcu to nie moja specjalizacja, ale mag–justycjariusz powinien to i owo w tym za kresie umieć.

Położyłam ręce na plecach Laurinne’a po obu stronach sterczącego z rany sztyletu. Porucznik oddychał ciężko, drżał i zdawało mi się, że ledwo powstrzymuje szloch. Bolało go, a poza tym bardzo się bał. Nie powiedziałabym, że było mi go szczególnie żal – ostatecznie cierpiał wyłącznie na skutek własnej głupoty. Bałam się, że podskoczy w najmniej odpowiedniej chwili, więc po prostu przycisnęłam biedaka do ziemi kolanem.

– Laurinne, niech pan przestanie jęczeć – rozkazałam. – Jest pan oficerem gwardii królewskiej czy panną na wydaniu? Proszę leżeć spokojnie! Powinien pan wiedzieć, że kiedyś miałam zamiar zostać magomedykiem, więc zaraz będzie okazja sprawdzić, ile bym była warta...

Porucznik zamilkł i chyba zacisnął zęby na nadgarstku, żeby powstrzymać jęki. Bez ceregieli przymierzyłam się i gwałtownie wyciągnęłam sztylet, natychmiast zamykając ranę formułą powstrzymującą krwawienie. W sumie nawet nie skłamałam. Rodzice od dzieciństwa przygotowywali mnie do pracy magomedyka, uznając, że zawód maga–justycjariusza nie jest odpowiedni dla kobiety. Magiem–justycjariuszem, oczkiem w głowie i kontynuatorem dynastii Narenów, miał zostać mój brat, ale, niestety, nie miał okazji pojawić się na tym świecie. Nie powiem, żebym specjalnie żałowała swojej niespełnionej kariery w tej dziedzinie, ale to i owo jednak potrafiłam.

– A teraz będzie naprawdę bolało – uprzedziłam. – Jakoś pan to przeżyje.

Nie miałam najmniejszego zamiaru cackać się z porucznikiem i marnować dodatkowej mocy na znieczulenie. I bez tego po rzuconym zaklęciu oraz tych wszystkich manipulacjach będę się czuła jak wyżęta

szmata. Obstawiałam, że to, co zrobiłam, faktycznie okazało się dosyć bolesne. Laurinne syknął, ale nie ważył się poruszyć, chociaż miałam wrażenie, że ugryzł się w rękę do krwi.

– I to by było na tyle – powiedziałam ze zmęczeniem, otrząsając dłonie. – Może pan wstawać, poruczniku.

– Że jak? – Wzrok miał błędny.

– Mówię, żeby pan wstawał. – Podniosłam się na nogi. – I nie patrzył na mnie tak, jakbym wyciągnęła go z mogiły. Każdy magiczny konował by pana tak samo podłatał. Niech pan nie marnuje czasu, potrzebuję pana. Przytomnego i na własnych nogach – westchnęłam. – Potem będzie pan musiał ze dwa dni odpocząć, ale na razie proszę brać się do roboty!

A roboty było niemało. Wpierw musieliśmy ściągnąć wszystkie trupy na jedną kupę. Miałam poważne podejrzenia, że wśród nich zapałętało się również kilku całkiem żywych sługusów Darai, ale nie było czasu na dokładne sprawdzanie. Samej wiedźmy w pobliżu nie wyczuwałam. Może się przyczaiła, a może jednak uciekła. Opcja druga byłaby niezbyt przyjemna, ale nie mogłam natychmiast rzucić wszystkiego i udać się w pościg, najpierw należało opanować ten bałagan na dziedzińcu. Użyte przeze mnie zaklęcie działało na każdą istotę z krwi i kości, nawet jeżeli nie była już żywa. W związku z tym nic nie poradziłoby na przykład przeciwko ożywionym kamiennym posągom. Bez wdawania się w detale techniczne można powiedzieć tyle, że należało ono do czarów, które niegdyś zostały utracone, a następnie odtworzone, i w sposób, którego nie będę tu opisywać, współdziałało z czasem, zatrzymując go dla wszystkich, którzy trafili w strefę czaru.

Ognisko wyszło naprawdę pokaźnych rozmiarów – ale przynajmniej uwolniliśmy się od tych paskudnych chodzących trupów. Następnym krokiem było rozdzielenie ludzi Darai i gwardzistów. Nie było to trudne, ale

bardzo męczące – nie ma to jak przewracać ciężkie ciała wrogów, by następnie krępować je tym, co trafi się pod rękę. W dodatku zastygłe w najprzedziwniejszych pozycjach postacie nie dawały się związać, że tak powiem, klasycznie i w rezultacie najpewniejszym sposobem unieruchomienia tych drabów było wiązanie ich szyja do szyi, ręka do nogi sąsiada i tak dalej...

W głębi duszy byłam nawet wdzięczna, że Laurinne uniknął działania zaklęcia, bo sama straciłabym na tę zabawę o wiele więcej czasu, a akurat jego nie miałam w nadmiarze.

– Panno Naren, chyba już – zameldował zasapany porucznik. W koszuli rozdartej na całej długości wyglądał jak wypisz, wymaluj uliczny obwieś.

– Dobrze. – Skinęłam głową. – Niech pan stanie bliżej, żeby mi przypadkiem nie trafić pod zaklęcie.

Teraz zostało tylko odczarować gwardzistów oraz ludzi Darai, ale nie zdążyłam tego zrobić. Na szczęście nawet nie zaczęłam formuły, bo jak już wspominałam, przerywanie bywa brzemienne w skutki.

Słyszając za plecami niegłośne klaskanie, wykonałam gwałtowny obrót. Darai! Ale jak?! Jakim cudem udało jej się podejść mnie kompletnie niepostrzeżenie, przecież się pilnowałam? Czy może jednak powinnam zrobić się nieco mniej pewna siebie i zacząć od czasu do czasu po prostu patrzeć na boki?

– Doskonale, panno Naren, doskonale! – ironicznie rzuciła wiedźma. – Całkiem oryginalne rozwiązanie, chyba je sobie zapamiętam...

– Bardzo mi to schlebia – wyszczerzyłam się w odpowiedzi. Przygotowywała się do ataku, tyle to zrozumiałby każdy głupi! Jakbym nie miała w tej chwili dosyć na głowie...

Uderzyła znienacka, ale zdążyłam zareagować, a nawet odepchnąć Laurinne'a – dla niego trafienie pod lecące zaklęcie skończyłoby się bardzo

źle. Nie, zdecydowanie niepojęte było, jakim cudem Kolegium udało się przegapić Darai: wiedźma nie była wiele słabsza od maga bojowego na przyzwoitym poziomie!

Z boku nasz pojedynek wyglądał niezbyt ciekawie, wręcz nudno. Dwie kobiety po prostu stały naprzeciwko siebie i świdrowały się nawzajem spojrzeniami. Powie trze się nie gotowało, ziemia nie topiła, a w okolicy nie widać było żadnych przelatujących piorunów, jakie zwykle są obowiązkowym elementem pojedynków magów bojowych. Zresztą gdyby na miejscu Darai był zwykły mag bojowy, miałabym o wiele łatwiej, bo nie ma to jak wyrobione nawyki. Nie, każda z nas po prostu próbowała zdusić wystawioną przez przeciwniczkę tarczę i jak dotąd wychodziło, że siły są równe i będziemy tak stały, aż którejś skończy się rezerwa mocy.

Podziękowałam losowi za to, że zawsze miałam bardzo szerokie, a czasem też zaskakujące znajomości, z których część stanowili magowie bojowi. Darai używała brutalnej siły, a ja tymczasem szukałam słabych punktów w jej obronie. I w końcu się udało! Wymacałam lukę i uderzyłam całą mocą, doskonale rozumiejąc, że drugiej szansy nie dostanę.

Przeciwniczka cofnęła się o krok, zawahała na ułamek sekundy i tej malutkiej przerwy starczyło mi na to, by skorzystać z warsztatu zwykłego maga bojowego, który pozwala z łatwością ogłuszyć wiedźmę, jakkolwiek potężna by była.

– Laurinne, niech ją pan zwiąże – rozkazałam ochryple, gdy Darai upadła na kamienne płyty dziedzińca. – I to zwiąże solidnie, zaknebluje... Ja zaraz...

Starczyło mi jeszcze sił, żeby przywrócić do życia gwardzistów, po raz kolejny solidnie zaczarować pęta Darai i sprawdzić, czy wśród jej ludzi przypadkiem nie kryje się mag albo wiedźmin. Nic... Całkiem prawdopodobne, że znalazł się wśród spalonych przeze mnie trupów, ale w takim wypadku nie miałam już żadnej możliwości sprawdzenia.

– Wiedźmę do domu, zamknąć i pilnować na okrągło – poleciłam. – W razie czego natychmiast mnie wołajcie.

– A pani... – zająknął się Laurinne, ale powstrzymałam go gestem.

– A ja, poruczniku, zaraz padnę. I póki nie nastąpiło to wprost na środku dziedzińca, spróbuję jednak znaleźć jakieś bardziej odpowiednie miejsce...

Byłam umęczona do granic możliwości. Z ręką na sercu, wołałabym brać udział w zawodach magów bojowych, to było znacznie prostsze! I mówiąc szczerze, w danej chwili kompletnie nie obchodziła mnie ani Darai, ani jej podejrzanę, jak na wiedźmę, umiejętności, ani cała reszta tutejszych dziwactw.



Kiedy otworzyłam oczy, z początku nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie się znajduję. Potem uświadomiłam sobie, że w domu wiedźmy. Rano nie dotarłam daleko i padłam na pierwszą napotkaną kozetkę. Ktoś zdjął mi buty i nakrył czymś, co podejrzanę przypominało zasłonę. Tak czuła troska wprawiała mnie w doskonały humor, ale nie miałam czasu, by się zastanawiać, kto był tajemniczym dobroczyńcą, należało zająć się Darai.

Włożyłam buty i próbowałam bez większego sukcesu przygładzić rozczochrane po tych wszystkich przygodach włosy. Dobrze, że nie było tu żadnego lustra... Kiedy tylko wstałam, natychmiast ktoś uchylił drzwi i zajrzał do środka. Był to oczywiście Laurinne, który, szczerze mówiąc, wyglądał wprost koszmarnie. Nie zdziwiłabym się, gdyby nie powierzył pilnowania wiedźmy komuś innemu i spędził przy jej boku cały ten czas, który ja spokojnie przespałam.

– Poruczniku, to pana robota? – spytałam zamiast powitania i ruchem głowy wskazałam kozetkę. – Gdzie pana nauczono przykrywać damy

zakurzonymi zasłonami?

– To nie zasłona, tylko gobelin – odparł młodzieniec tonem urażonej godności.

– Nieważne, i tak jest zakurzony – odcięłam się. – Niemniej dziękuję panu bardzo. A przy okazji, co takiego chciał mi pan powiedzieć, kiedy udawał śmiertelnie rannego?

Nieoczekiwanie Laurinne zaczerwienił się.

– Nnnie pamiętam – skłamał, a ja uznałam, że nie będę dogrzebywać się do prawdy. – Panno Naren, ja... powinienem przeprosić... Znowu pani przeszkodziłem i prawie wszystko zepsułem.

– Pańskie szczęście, że skończyło się właśnie na „prawie” – mruknęłam. – Laurinne, wierzę, że działał pan z jak najlepszych pobudek, ale może jednak się umówimy: będzie pan rzucał mi się na ratunek wyłącznie w przypadkach, kiedy go o to poproszę. Nie będę zaprzeczać, że sztuczka z łańcuchem udała się panu nad podziw, ale to raczej wyjątek aniżeli reguła. No to jak, umowa stoi?

– Tak jest, panno Naren! – Spojrzenie porucznika nieco pojaśniało. Chyba spędził sporo czasu na zamartwianiu się i teraz czuł ulgę, że tak łatwo mu się upiekło. – Cokolwiek pani rozkaże.

– Doskonale. A jak tam nasza więźniarka?

– Leży dokładnie tak, jak ją położyliśmy – całkowicie poważnie odparł porucznik. – Nawet nie próbowała się ruszyć...

– Mam nadzieję, że żyje? – zachmurzyłam się.

– Żyje – zapewnił mnie Laurinne.

– W takim razie chodźmy, chciałabym z nią porozmawiać przed wyruszeniem w drogę powrotną.

Chyba jednak nieco przesadziłam. Darai wyglądała na poważnie zamroczoną. Ocknęła się co prawda, ale tak jak powiedział porucznik, nie

podjęła żadnej próby uwolnienia się.

Łagodnie mówiąc, nie byłam w tej chwili w szczególnie radosnym nastroju i nie miałam najmniejszego zamiaru się z wiedźmą cackać.

– Sanija Darai, wiedźma – wycedziłam, gdy posadzono ją naprzeciw mnie na krześle. – To prawdziwe imię?

Zapytana powoli skinęła głową. Zresztą prawdziwość jej imienia nie była w tej chwili najistotniejsza.

– Ile pani faktycznie ma lat? – spytałam.

Po chwili milczenia otrzymałam odpowiedź i zagwizdałam w myśli. Ta czarująca dama była starsza od mojego dziadka, co mówiło o niej naprawdę wiele. Jeżeli wiedźma zdołała przeżyć tyle lat i nie trafić w ręce magów Kolegium, świadczyło to o jej nadprzeciętnej mądrości i ostrożności.

– Od jak dawna składa pani ofiary z ludzi? – zadałam następne pytanie, co prawda nieszczególnie licząc, że otrzymam odpowiedź.

Darai lekko wzruszyła ramionami.

– Czy od dawna...? – powiedziała cicho. – Nie pamiętam... Chyba od zawsze.

– Sądząc po tym, że nigdy dotąd pani nie złapano, była pani wyjątkowo ostrożna – powiedziałam. Czyżbym naprawdę przesadziła? Czy może to skutek ciosu w głowę? Otepienie wiedźmy mi się nie podobało. – Dlaczego w takim razie zaczęła pani działać jawnie?

– Ja... – Zapytana spojrzała na mnie tępo. – Tak... Zaczęłam się starzeć. Zbyt szybko, zbyt... A miałam jeszcze tyle do zrobienia! I dlatego musiałam... On mówił, że tutaj są dzikie okolice, że nikt się niczego nie dowie...

– On? – Wychyliłam się do przodu. – Jaki on? O kim pani mówi?

Darai milczała, wbijając puste spojrzenie w przestrzeń. No dobrze, podejźmy do sprawy od drugiej strony...

– Ten majątek naprawdę należy do pani rodziny? – spytałam. Wiedźma pokręciła głową.

– Nie... Oczywiście, że nie. To po prostu wygodne miejsce. I dom nadal stał...

– A dokumenty? Sfałszowane?

– Nie, dokumenty są prawdziwe... – Temu stwierdzeniu towarzyszył blady uśmiech. – Nie kosztowały mnie szczególnie dużo.

– Skąd ma pani pieniądze? – spytałam. – Pani biżuteria ma ogromną wartość...

– No właśnie. – Wiedźma zaczęła odzywać. – Sprzedałam część, ale i bez tego niemało mi zostało. Ciężko jest rozstawać się z rodzowymi klejnotami, lecz jeśli jest to potrzebne dla sprawy... Ostatecznie to tylko kamienie i metal.

– Sprawy? – Napięłam uwagę. – Jaką sprawę ma pani na myśli?

– Przecież powiedziałam. – Darai lekko kiwała się na krześle. – Zaczęłam się starzeć... zbyt szybko, zbyt...

Westchnęłam. Ona faktycznie miała coś nie tak z głową. No dobrze, to jakie można wyciągnąć wnioski? Szczerze mówiąc, nic sensownego. Jakimś cudem przegapiona przez Kolegium wiedźma, trzeba dodać, że bardzo bogata i chyba rzeczywiście mająca w sobie szlachetną krew, nagle porzuca swoje stałe miejsce zamieszkania i udaje się w dzikie lasy. Po drodze z nieznanego powodu kupuje papiery potwierdzające jej prawo własności tego majątku, chociaż potajemne zajęcie go byłoby znacznie prostsze. A potem zaczyna wielki bal, zabijając tłumy Bogu ducha winnych ludzi w imię jakiejś tajemniczej „sprawy”. Co to za brednie?! Do tego jakiś tajemniczy „on”. Chociaż może to akurat po prostu sobie wymyśliła.

– I jak, pomogło? – spytałam gwałtownie. – Przestała się pani starzeć?

– Nie... – Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. – Jeszcze nie. Ale przecież to nie jest takie proste, a ja dopiero zaczęłam...

Kątem oka dostrzegłam wyraz twarzy Laurinne'a, którego zapomniałam wyrzucić z pokoju na czas przesłuchania Darai. Najwyraźniej gotów był udusić tę czarującą starszą panią własnymi rękoma.

– Kto wczoraj panią uwolnił? – zadałam kolejne pytanie.

Darai wzruszyła ramionami.

– Czy był to któryś ze służących?

Ponowne wzruszenie ramionami.

– Czy któryś z nich miał zdolności magiczne?

– Nie... – w końcu jakaś odpowiedź. – Żaden z nich.

– W takim razie kto panią uwolnił?

Znowu nieokreślony gest, ni to „nie wiem”, ni to „nie powiem”.

– Czy przebywał tu ktoś jeszcze oprócz pani i służących?

– Tylko wasza dwójka.

Zgrzytnęłam zębami. Albo Darai naprawdę nie miała pojęcia, kto ją uwolnił, albo nie chciała go zdradzać. Zdażyłam sprawdzić to wcześniej: wśród tych jej sług, którzy pozostali przy życiu, nie było żadnego mającego choćby załączki zdolności magicznych. Czyżby to faktycznie ktoś obcy? Ale w takim razie w jaki sposób pozostał niezauważony?

– To pani podniosła zmarłych? – ciągnęłam.

– Tak, ja – tym razem wiedźma nawet nie próbowała zaprzeczać, szkoda tylko, że kłamała, co było widać gołym okiem.

– Skąd zna pani to zaklęcie? – natychmiast uczepliłam się tego wątku.

– Ja... znam je od dawna, tylko ani razu nie stosowałam.

– Jak na pierwszy raz, doskonale pani wyszło. – Podałam jej chłodny uśmiech. – Darai, proszę mnie nie okłamywać. Jest pani wiedźmą. A struktura użytego wczoraj zaklęcia różniła się od tego, co potrafi wiedźma, nieważne, jak potężna. To robota maga. Kim on jest?

– Nie wiem... – Spojrzenie więźniarki znowu zrobiło się mętne. Chyba w ten sposób nic z niej nie wyciągnę...

– Kto poradził pani przeniesienie się w te okolice? – spytałam, zmieniając temat. Brak odpowiedzi.

– Dlaczego nie mogła pani dalej zajmować się swoimi sprawami tam, gdzie mieszkała wcześniej?

Milczenie.

– Mieszkała pani w zbyt gęsto zaludnionych okolicach? Nie udałoby się pani ukryć zniknięcia miejscowych?

Nieznaczny ruch głowy. Można było go traktować zarówno jak odpowiedź twierdzącą, jak i przeczącą. Ale chyba raczej twierdzącą. Przenosiny wyraźnie stanowiły dla Darai temat zakazany i tak po prostu niczego mi nie powie. Mogłam co prawda użyć pewnych sposobów, ale... Są hałaśliwe, brudne i długotrwałe, poza tym tortury nie były zajęciem zaliczanym do moich ulubionych. Niech zajmą się tym specjaliści Kolegium, w końcu mają większe doświadczenie.

– Gdzie pani mieszkała przed przyjazdem tutaj? – zadałam to pytanie, niespecjalnie licząc na odpowiedź. – Gdzie jest pani dom?

– Mam majątek... – Nieoczekiwanie Darai odżyła. – Majątek w Ilwanie... Oniemiałam. Ilwana! Co tu się, do licha, działo?!

Sądząc z jego miny, Laurinne był równie zaskoczony jak ja. Ilwaną nazywano obszar znajdujący się w dolinie rzeki o identycznej nazwie. Rzeki, która między innymi zaopatrywała w wodę wspaniałe miasto Estal.

Przygryzłam wargę. Co z tego wynika? Wiedźma, która przez wiele lat cicho i spokojnie mieszka sobie w Stalwii, nieoczekiwanie zrywa się z miejsca, przyjeżdża do Arastenu i zaczyna żyć pełnią życia, jak gdyby kompletnie nie dbała o to, że jej wyczyny trafią do wiadomości publicznej. Po prostu nie mogłam uwierzyć, by Darai nie miała świadomości, co ją

czeka! Już sam fakt, że dożyła swoich lat, świadczył, że do tej pory była wyjątkowo ostrożna. I nagle jak gdyby straciła rozum, rozhulała się...

I jeszcze jakiś „on”. Jakiś tajemniczy pan, który przekonał wiedźmę, że nic jej nie grozi. Ale czy na pewno przekonał? A czy ten pan nie był przypadkiem magiem i nie popracował nad umysłem Darai? Trzeba by sprawdzić, tylko na to potrzebowałabym czasu, i to sporo, a w obecnej sytuacji akurat czasu brakowało mi najbardziej... Jednak ta teoria wyglądała na całkiem prawdopodobną. Jeżeli uznamy, że pewien mag istotnie zmusił Darai, by zrobiła to, co zrobiła, wszystkie jej dziwactwa stawały się wytłumaczalne. To z kolei rodziło kolejną tajemnicę: kim był ten nieznajomy i jakie korzyści mogły mu przynieść działania wiedźmy?

Zbyt wyraźne, zbyt hałaśliwe... Wiedźma zostanie szybko wykryta i tak samo prędko ktoś określi, skąd pochodzi. Ze Stalwii, przeklętej Stalwii! Wniosek...? Ano nic a nic przyjemnego, stalwijska wiedźma, która z jakichś przyczyn nie została wykryta, pojawia się na terenie Arastenu i zaczyna na całego prowadzić działalność przestępczą. W tym momencie rodzi się całkiem naturalne pytanie: dlaczego magowie z bratniej Stalwii nie zwrócili na tę niebezpieczną damę większej uwagi? Czy to przypadkiem nie oni wysłali wiedźmę, by zabawiła się w Arastenie, tworząc w ten sposób zagrożenie dla obywateli sojuszniczego państwa?

To była kolejna prowokacja. Wyraźna i bezczelna, taka, której nie da się nie zauważyć ani przemilczeć. Będę musiała oddać Darai w ręce Kolegium, a tamtejsi spece szybko wyciągną z niej wszystko, co ja mogłam tylko zgadywać. Czyli o sprawie dowiedzą się tłumy ludzi i nie ma szans na zachowanie jej w tajemnicy.

Gdybym tylko mogła poznać imię osoby, która przysłała wiedźmę tutaj! Ale ona go tak po prostu nie wypowie. Nie dlatego, że nie chce, ale zwyczajnie nie potrafi. Całkiem prawdopodobne też, że nie poda tego imienia

nawet na torturach. Jeżeli tajemniczy „on” założył jej dobrą blokadę, Darai umrze, w chwili gdy ktoś spróbuje wyciągnąć z niej szczegóły. Nie było mi szkoda biednej ogłupionej staruszki – zbyt wiele ludzkich istnień miała na sumieniu. Ale i tak chciałabym wiedzieć, kto i po co próbował poszczuć na siebie Arasten i Stalwią!

– Proszę ją wyprowadzić – rozkazałam. – I nie spuszczaście jej z oczu, jest nadal niebezpieczna. Trzeba się stąd zabierać.

Laurinne otworzył drzwi na oścież i dwójka warujących po drugiej stronie gwardzistów wyprowadziła Darai z komnaty. Porucznikowi nie było spieszno, by ruszyć za nimi.

– Panno Naren – rzucił półgłosem – to znowu pan z Estalu?

– Dokładnie tak, Laurinne – odparłam. – Chociaż nie jestem pewna, czy faktycznie pochodzi on z Estalu. Równie dobrze może okazać się panem z Arastenu. Albo z Welsji. Tudzież dowolnie wybranego północnego księstwa.

– Tym razem... – Z oczu porucznika zniknęło gdzieś zwykłe szczenięce spojrzenie. Wyzierała z nich powaga. – Tym razem nie uda się ukryć, że wiedźma pochodzi ze Stalwii, czyż nie, panno Naren?

– Dokładnie tak, Laurinne... – powtórzyłam i ścisnęłam skronie palcami. – Szkoda, że wczoraj tak słabo ją pan walnął. Odrobinę mocniej i udałoby nam się uniknąć całej masy problemów.

– Panno Naren, ale komu to wszystko potrzebne? – Porucznik spróbował zajrzeć mi w twarz. – Po co?

– Nie mam bladego pojęcia. – Wstałam i podeszłam do okna. – Mogę powiedzieć jedno: ten tajemniczy ktoś prawie na pewno jest magiem, i to bardzo potężnym. Był tuż obok, a ja go nie zauważyłam. Może nawet teraz czai się gdzieś nieopodal.

– Dlaczego pani tak uważa?

– Laurinne, czy pan w ogóle słuchał, co mówiłam? – Rzuciłam

chłopakowi niechętnie spojrzenie. – A zresztą, pewnie pan i tak nie zrozumiał. Zbyt późno się domyśliłam: to nie Darai podniosła trupy. W całym tym zamieszaniu po prostu nie zwróciłam uwagi – to był kompletnie nie jej styl, tam działał właśnie mag, a nie wiedźma.

Była to najczystsza prawda. Dopiero teraz, po odtworzeniu w pamięci wszystkich wydarzeń i przeprowadzeniu ich dokładnej analizy, zrozumiałam, że przegapiłam prawdziwego przeciwnika. Pomylenie „podpisu” dwóch magów jest właściwie niemożliwe, a tym trudniej jest przegapić różnicę pomiędzy pracą maga a wiedźmy. Niemniej jednak mnie się ta trudna sztuka z powodzeniem udało i nie miałam kompletnie nic na swoje usprawiedliwienie. Pewnie od zbyt dawna nie trafiła mi się żadna trudniejsza sprawa, co zaowocowało ogólnym rozprężeniem i teraz zbierałam plony własnego lenistwa.

No trudno, nie mam zwyczaju spędzania długich godzin na umartwianiu się. Najpewniej plany nieznanego wroga nie polegały na zniszczeniu oddziału gwardzistów i jednocześnie mnie, w przeciwnym razie nie wywinęłabym się tak łatwo. No cóż, teraz mogłam tylko zagrać zgodnie z cudzymi zasadami: zabrać Darai do stolicy, przekazać w ręce Kolegium i oczywiście złożyć raport Jego Królewskiej Mości.

Najbardziej w tym wszystkim irytowało mnie to, że ponownie stałam się pionkiem na czyjejs planszy. Poprzednio udawało mi się jeśli nie wychodzić zwycięsko z kolejnych partii, to przynajmniej je remisować. Najwyraźniej taka opcja nie była dla tajemniczego przeciwnika satysfakcjonująca i odebrał mi możliwość udawania, że nic się nie stało. Zbyt wielu świadków, żywa Darai, żeby ją szlag, jej słudzy...

No cóż... Jeżeli byłam wciągana do rozgrywki, to chciałabym przynajmniej poznać jej zasady. I uda mi się to albo nie nazywam się Flossia Naren!



Droga powrotna upłynęła nam w ciężkim milczeniu. Gwardziści nie mogli się otrząsnąć po starciu z „żywymi” trupami i tęsknili za znajomym środowiskiem w stolicy. Ja pragnęłam jak najszybciej oddać Darai w ręce Kolegium i opowiedzieć Arneliuszowi o swoich podejrzeniach. Niektórych był świadom, innych się prawdopodobnie domyślał, ale to za mało.

Dokładnie jak się spodziewałam, Arneliusz przyjął mój meldunek bez szczególnych emocji, ale nie pozwolił sobie zwątpić w moje słowa.

– Panno Naren, ma pani rację – podsumował, gdy skończyłam. – To istotnie wygląda na prowokację. Czyli uważa pani, że ta Darai nie zdradzi magom z Kolegium, kto wysłał ją do Arastenu?

– Myślę, że nie – odparłam. – W najlepszym przypadku poda jakieś imię, ale kto nam zagwarantuje, że prawdziwe? Wasza Królewska Mość, to za mało.

– Owszem, za mało...

– Czy może Wasza Wysokość wie o czymś, czego ja nie jestem świadoma? – spytałam wprost.

– Nie, panno Naren, jestem skonfundowany nie mniej niż pani – zapewnił król. – A moi zaufani do radcy tak samo. Nie widzimy powodu, dla którego ktoś mógłby potrzebować wojny pomiędzy Arastenem a Stalwią. Mam tu na myśli dostatecznie ważki powód. Jeśli idzie o przyczyny nieoczywiste, to, niestety, nadal nie są nam one znane... Ale prowadzimy dochodzenie w tym kierunku.

– Obawiam się, że niedługo może już być za późno – wycedziłam przez zęby i na tym się pożegnaliśmy.

W domu oczekiwał na mnie dziadek, któremu liczna siatka informatorów pewnie już dawno doniosła, że wróciłam do stolicy ze zdobyczą, i teraz pałał chęcią poznania wszystkich szczegółów.

– No cóż, Floszso, opowiadaj. Widzę, że coś tu śmierdzi! – rozkazał, widząc moją niechęć do prowadzenia rozmowy.

– I to jak śmierdzi! – parsknęłam. – Czy przypadkiem nic ci nie mówi imię Sanija Darai?

– Darai? – Kosmate brwi dziadka ruszyły ku górze. – To ona jeszcze żyje?

– Czyli ją znasz – skonstatowałam. – A byłbyś łaskaw powiedzieć skąd?

– Spotkaliśmy się kiedyś. – Dziadek obdarzył mnie krzywym uśmiechem i wygodniej ulokował się w fotelu. – Dawno temu, kiedy nie tylko ciebie, ale nawet twojego ojca jeszcze nie było w planach. Dzięki mnie ta ślicznotka wylądowała w lochach na dwadzieścia lat, jeśli mnie pamięć nie myli...

– Za co?

– Nie wystarczało jej spokojne życie, próbowała tego i owego ze sztuk zakazanych – mgliście odparł dziadek, po czym spojrzał na mnie uważnie. – A z jakiegoż to powodu interesuje cię Darai?

– A z takiegoż to, że właśnie tę miłą damę przekazałam dziś w ręce Kolegium – burknęłam.

– No cóż, wygląda na to, że odsiadka niczego jej nie nauczyła i panna wzięła się za stare gierki. – Dziadek pokiwał głową z ubolewaniem. – Ale, Floszso, nie przeciągaj, tylko opowiadaj!

Mogłam tylko westchnąć w odpowiedzi. Zaraz oberwie mi się za niedbalstwo, a przy okazji za parę innych rzeczy również.

W miarę jak opowiadałam, zaciekawienie na twarzy dziadka ustępowało miejsca głębokiej trosce. Aż wreszcie...

– Byłaś niewybaczalnie nieostrożna! – ryknął, w chwili gdy doszłam do

tęgo, jak odkryłam zniknięcie Darai. Z zadowoleniem przyjął fakt, że udało mi się dokładnie określić moment wybuchu. Nie żeby było to szczególnie trudne... – Nie mogę uwierzyć... Czy ja naprawdę zmarnowałem te wszystkie lata, kiedy próbowałem zrobić z ciebie sensownego maga? Floszszu, sprawiasz, że zaczynam żałować czasu poświęconego na twoje kształcenie!

– Poczekaj chwilę – powiedziałam pojednawczo, zapalając fajkę. – Przecież to jeszcze nie koniec...

Tak więc ciągnęłam opowieść, a dziadek pochmurniał coraz bardziej. Gdy doszłam do swoich wniosków na temat nieznanego maga, który przez cały ten czas czaił się gdzieś w okolicy, twarz dziadka przypominała chmurę gradową.

– Floszszu... – Wbrew moim oczekiwaniom w jego głosie nie było ani irytacji, ani pretensji, jedynie obawa. – W co ty żeś się wpakowała?

– Sama chciałabym to wiedzieć – mruknęłam. – W jakąś niezrozumiałą intrygę, przy czym ktoś najwyraźniej chce mnie wykorzystać. A mnie się to wcale a wcale nie podoba.

– Mnie się to również nie podoba! – zachrypiął dziadek, waląc pięścią w podłokietnik. – Sądząc z tego, z jakim rozmachem ten ktoś prowadzi rozgrywkę, w przypadku gdy nie będzie miał z ciebie korzyści, po prostu cię sprzątnie, i tyle!

– Czy tobie się wydaje, że ja tego nie rozumiem? – odburknęłam. – I właśnie dlatego chciałabym połapać się w wydarzeniach.

– Floszszu, lepiej będzie, jak stąd wyjedziesz – oświadczył dziadek. – Wyjedziesz możliwie jak najdalej i przeczekasz.

– Czyli postąpię tak samo jak ty kiedyś? – Zmrużyłam oczy. – Po prostu ucieknę?

Dziadek milczał zmieszany.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wykrztusił w końcu.

– Powiedziałałam już wszystko, co chciałam. Przecież nie zdecydowałeś się wyjechać z Arastenu na północ jedynie dla kaprysu, prawda? Obawiałeś się kogoś. A także ratowałeś mnie.

– Sama na to wpadłaś? – burknął dziadek ironicznie.

– Prawie – odpowiedziałam z chłodnym uśmiechem. – To przecież ciebie wtedy próbowano zabić, a nie ojca, mam rację?

– Wychowałem potwora... Jakby mi własnych problemów brakowało... Tak, Floszso, masz rację! Uciekłem z Arastenu, ponieważ nie chciałem, żebyś została zupełnie sama, i tyle. Powiesz mi teraz, że nie miałem racji?

– Miałaś całkowitą rację – odparłam. – Ale to oznacza, że ktoś się wtedy na ciebie poważnie zawziął.

– Czy rozmawiamy o ówczesnych sprawach, czy o bieżących? Floszso, tamtych ludzi dawno już nie ma na tym świecie, a ja jeszcze poskrzypuję i ty również żyjesz, co moim zdaniem przemawia na korzyść podjętej wówczas decyzji!

– Ale ja się przecież z nią nie spieram – odparłam ugodowo. – Chciałam tylko powiedzieć, że nie mam zamiaru nigdzie jechać, zanim nie zrozumiem, co tu się dzieje.

– Dobry mag–justycjariusz przyda się wszędzie! – prychnął dziadek.

– Zgadza się, tyle że dobry mag–justycjariusz wcale nie ma ochoty brać pierwszego lepszego miejsca – ucięłam. – A mnie osobiście całkiem podoba się obecne.

– Floszsa, jesteś bardziej uparta od osła!

– Cecha rodzinna – skwitowałam uprzejmie. – Czyli mogę liczyć na twoją pomoc? Niestety, niezbyt dobrze orientuję się w dworskich intrygach, do ciebie mi w tej materii daleko jak do gwiazd...

– Tylko bez bezczelnych pochlebstw, proszę! – Dziadek rzucił mi

spojrzenie spode łba. – Ile razy ci powtarzałem: trzeba wiedzieć, co się na dworze dzieje, albo pewnego pięknego dnia obudzisz się z ręką w nocniku! Ale nie, ty nic tylko lataasz z zadartym ogonem po górach i lasach... Floszszu, nie jesteś już małą dziewczynką, powinnaś się ustatkować!

– Jeżeli mówiąc o ustatkowaniu się masz na myśli siedzenie w domu i marudzenie, to lepiej będę dalej latać po górach i lasach, jak się raczyłeś wyrazić – odparłam. – Ale jak sam przed chwilą powiedziałeś, nie jestem już małą dziewczynką, tak że starczy tego wychowywania i powiedz mi po prostu, pomożesz czy nie?

– Oczywiście, że tak! – Dziadek patrzył na mnie z dezaprobatą, ale w głębi duszy chyba nawet się cieszył, że ponownie musiałam zwrócić się do niego o pomoc. – Przecież nie porzucę rodzonej wnuczki na pastwę losu i jej własnej głupoty.

Na takie stwierdzenie mogłam tylko westchnąć, dziadka nie da się przerobić.

– A ty nadal nie urodziłaś mi następcy – dodał smętnie.

– A ty może poczekaj z grzebaniem mnie – uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 21

Wiedźma

Padało od trzech dni. Kocham deszcz, szczególnie kiedy nie muszę wychodzić z domu. Siedząc sobie w ukochanym fotelu w towarzystwie dobrej książki, naprawdę przyjemnie słuca się szelestu za oknem. Co prawda w tej chwili miałam na głowie inne rzeczy niż czytanie i nie zwracałam najmniejszej uwagi na szum deszczu, a mój nastrój już od paru ładnych dni utrzymywał się na dosyć niskim poziomie.

Krótki wykład na temat obecnych wydarzeń na królewskim dworze, który uprzejmie zaserwował mi dziadek, nie wniósł niczego nowego, a to dobrze nie wróżyło. Nawet po wycofaniu się z zawodu dziadek zachował się informatorów, więc lepiej orientował się w wydarzeniach w świecie wyższych sfer niż jakikolwiek dworak. We dwoje długo zastanawialiśmy się nad sytuacją, ale koniec końców musieliśmy zgodnie przyznać, że nie możemy znaleźć w zachowaniu naszej arystokracji ani jawnych, ani też ukrytych oznak żadnego dojrzewającego spisku czy innego paskudztwa. Zresztą ja osobiście na to nie liczyłam. Ktokolwiek rozpoczął rozgrywkę tej klasy, był wystarczająco zapobiegliwy, by nie wpaść na drobiazgach. Byłoby szalenie naiwne spodziewać się, że przy kolacji wygada się o swoich sprawach jakiemuś kompanowi od kieliszka. Nie żebym się z tego nie ucieszyła... „Mój drogi, proszę sobie wyobrazić, w przyszłym tygodniu

planuję jednak zacząć tę wojnę pomiędzy Arastenem a Stalwią”. „No co też pan mówi, jakie to ciekawe! A proszę spróbować tego pasztetu, jest wprost wyborny...”

Ciekawe, czy Kolegium udało się wyciągnąć z Darai nazwisko człowieka, który namówił ją do niezgodnych z prawem zabaw? A jeśli tak, to czy szanowni magowie będą łaskawi podzielić się tą wiedzą ze mną i Arneliuszem, czy też będą woleli wykorzystać ją dla własnych celów? Miałam pewne znajomości wśród członków tej szacownej organizacji, ale, niestety, byli zbyt nisko w hierarchii dziobania, by mieć dostęp do najważniejszych informacji. Poza tym podchodzenie do ludzi z takimi pytaniami mogło się okazać brzemiennie w skutki. Zbytняя ciekawość nie prowadzi do niczego dobrego – fakt powszechnie znany i zawsze aktualny.

Trafiłam w ślepy zaułek i stąd brała się moja chandra oraz niechęć do robienia czegokolwiek. Raz po raz wracałam myślą do pojedynku z Darai, próbując zrozumieć, gdzie popełniłam błąd. I po raz kolejny dochodziłam do wniosku, że w żadnym wypadku nie mogłam nie zauważyć obcego maga. Ale skoro nie mogłam go nie zauważyć, to może wcale go tam nie było? Przynajmniej wśród służby w majątku nie było nikogo mającego choćby śladowe zdolności magiczne. Nie znalazłam też żadnych śladów tego typu działalności wokół domu. No dobrze, ale w takim wypadku jakim cudem Darai udało się podnieść trupy w sposób całkiem niedostępny zwykłej wiedźmie; sposób, z którego skorzystać mógł tylko silny mag? Darai przecież była właśnie zwykłą wiedźmą – starą, potężną i doświadczoną – i tylko tyle, bez żadnych odchyień. Za to byłam gotowa ręczyć!

„To nie ślepy zaułek, tylko jakieś błędne koło” – pomyślałam chmurnie, zapalając wygasłą fajkę. Po pokoju i bez tego krążyły kłęby dymu, ale niespecjalnie się tym przejmowałam.

Po dojściu do logicznego wniosku, że dziś i tak nic pożytecznego nie

wymyśle, postanowiłam odwiedzić dziadka, by wysłuchać kolejnej dawki dworskich plotek. Plotki miejskie zawsze ciekawiły mnie znacznie bardziej, ale w tym konkretnym przypadku osobiste preferencje nie grały żadnej roli. Powinnam tylko zawczasu uprzedzić dziadka o swojej wizycie, ponieważ od zawsze miał skłonności do nagłych wycieczek nie wiadomo dokąd, a nie miałam specjalnej ochoty na bezowocne spacery w deszczu.

Otworzyłam okno – na zewnątrz zrobiło się zauważalnie chłodniej – i zmrużyłam oczy, wyglądając jakiegoś ptaka, który nadałby się do roli posłańca. Już od dawna planowałam udomowić jakąś wronę, żeby przynajmniej w mieście nie szukać za każdym razem nowej, ale ciągle miałam na głowie inne sprawy. Jak na złość wszystkie ptaki schowały się przed deszczem i nigdzie nie widać było nawet głupiego wróbla. Czyli czekała mnie wycieczka do dziadka bez zapowiedzi.

Z irytacją zatrzasnęłam okiennicę – na parapecie już zebrała się kałuża wody, padało całkiem konkretnie. Dlaczego Kolegium nie mogło się zebrać i wymyślić jakiegoś sposobu na komunikację w myśli? Przecież to tak bardzo ułatwiłoby wszystkim życie! Nie musielibyśmy szukać ptaków posłańców, chrzanić się z nimi... Może podrzucić szanownym kolegom pomysł? Jako bazy można użyć zasady, zgodnie z którą takie ptaki przekazują wiadomości. Zresztą nie, zagalopowałam się, przecież ptak nie jest równorzędnym uczestnikiem komunikacji, po prostu nakłaniamy go do swojej woli i wymuszamy wykonanie takiej czy innej czynności.

Stop! Zastygłam w miejscu z obawy, że przepłoszę jeszcze nie do końca sformułowaną myśl. Jeżeli... Jeżeli to, o czym właśnie myślałam, było możliwe, mogło się okazać, że rozsypane elementy tej piekielnej układanki właśnie połączyły się w całkiem zgrabną całość!

Można nagiąć do swojej woli ptaki i zwierzęta, również te bardziej rozumne, na przykład psy, chociaż praca z nimi zawsze jest cięższa. I nikt nie

udowodnił, że czegoś podobnego nie da się zrobić z człowiekiem, który na dobrą sprawę również jest zwierzęciem, cokolwiek by na ten temat mówili liczni zwolennicy boskiego pochodzenia własnego gatunku. Nie szukając daleko, wystarczyło przypomnieć sobie złodzieja Ireo Szczęściarza, który użył magii, by zmusić chłopca stajennego do wykonywania swoich rozkazów. Z tym że on złapał dzieciaka śpiącego i tak naprawdę trzymał w stanie nieświadomości. Z przytomnym człowiekiem taka sztuczka najpewniej była znacznie trudniejsza do przeprowadzenia. Ale chyba jednak nie niemożliwa. A jeżeli wziąć pod uwagę metody prowadzenia przesłuchań przez speców z Kolegium...

Sztuka przesłuchiwania magów nie jest dostępna dla każdego chętnego i trzeba się jej długo uczyć, więc magowie z takimi umiejętnościami są dosyć cenieni przez Kolegium... Oczywiście na torturach każdy, czy to mag, czy zwykły człowiek, wyśpiewa wszystko, co tylko przesłuchujący sobie zażyczy, ale istnieje również możliwość, że weźmie na siebie cudze grzechy. Jak przekonać się, czy nie kłamie? Właśnie na tym polega praca magokatów.

Oczywiście nazwa ta niezbyt dokładnie oddaje istotę rzeczy, nie mniej jednak... O ile wiedziałam, magokaci przejmowali kontrolę nad ciałem i rozumem przesłuchiwanej osoby, tak że nie mogła ona ani sprzeciwiać się pytaniom, ani też niczego przemilczeć czy skłamać... Kosztowało to wiele wysiłku, ale metoda była bardzo skuteczna. A jeśli można zmusić człowieka do udzielenia odpowiedzi na pytania, to kto powiedział, że nie da się zmusić go, by zrobił coś wbrew swojej woli?

Podeksytowana zaczęłam krążyć po gabinecie. No dobrze, założmy, że ktoś rzeczywiście sterował Darai. Kto? Niewątpliwie mag, do tego bardzo potężny i sprawny, żaden inny po prostu nie podołałby takiemu zadaniu.

A przy okazji, skoro już byłam tak pewna, że można sterować całkowicie przytomnym człowiekiem, to wypadałoby sprawdzić to, że tak powiem, w

praktyce. Do dyspozycji miałam tylko dwa króliki doświadczalne: Rimę i Dima. Po chwili namysłu odrzuciłam stajennego, ponieważ był lekko zwariowany i zdawało się, że mieszka w swoim własnym, niedostępnym dla innych ludzi świecie. Eksperymentu z jego udziałem nie da się uznać za miarodajny. Czyli Rima...

Usiadłam w fotelu, zamknęłam oczy i skupiłam się. Zastosuję tę samą sztuczkę, która działa w przypadku ptaków, i zobaczę, co z tego wyjdzie.

Kucharka właśnie przygotowywała obiad i bardzo szybko udało mi się odszukać jej świadomość. Oddziaływanie na inną osobę w ten sposób było niesłychanie dziwnym uczuciem, po prostu brak mi słów, by to opisać. Powiem tylko, że okazało się nie takie proste. Nawet całkowicie nieświadoma Rima całkiem skutecznie sprzeciwiała się moim próbom zmuszenia jej do, powiedzmy, przesunięcia naczyń na stole. Nie chciałam naciskać mocniej z obawy, że mogę jej zrobić krzywdę. Ale wreszcie udało mi się jakoś wejść w rezonans ze świadomością kucharki i na mój rozkaz dodała więcej przypraw do przygotowywanej pieczeni. Wówczas zostawiłam biedaczkę w spokoju i popadłam w zamyślenie.

Nawet po tak prostej sztuczce odczuwałam znaczne zmęczenie. Można by z tego wywnioskować, że manipulacje umysłem potężnej wieźmy były parokrotnie trudniejsze, tym bardziej że na pewno musiała zauważyć cudzy wpływ i całkiem świadomie mu się sprzeciwiać (z tego też powodu magokaci są zwykle bardzo potężni i cenieni wcale nie mniej od magów–justycjariuszy). Czyli mag sterujący Darai musiał mieć albo wręcz bajeczną moc, której rozmiarów po prostu nie byłam w stanie sobie wyobrazić, albo też... kryło się za tym coś innego. Ciekawe, a co, jeśli... Jeśli człowiek dobrowolnie pójdzie na współpracę i pozwoli komuś sobą sterować? Na ile uprości to zadanie ewentualnego manipulatora? Ta teza również dawała się sprawdzić wyłącznie doświadczalnie, ale już nie na służących. Mimo że

Rima i Dim mieszkali ze mną od dawna, straszliwie bali się jakichkolwiek spraw związanych z magią. Zresztą w domu starałam się nie nadużywać mocy, więc nie mieli powodów do obaw. Ale na pewno nie zgodziliby się wziąć udziału w moich badaniach, a zmuszanie ich nie miało najmniejszego sensu, nie tego potrzebowałam.

Mogłam zadowolić się już wysnutymi wnioskami, ale zżerała mnie zwykła ludzka ciekawość, która wymagała natychmiastowego zaspokojenia. Może faktycznie powinnam odwiedzić dziadka? Ale on na pewno nie wpuściłby mnie dobrowolnie do swojej świadomości, to już raczej mnie czekała rola królika doświadczalnego, a na to nie miałam najmniejszej ochoty! Wychodziło... Wychodziło na to, że miałam tylko jedną kandydaturę do tej roli.

Za drugim razem miałam więcej szczęścia, gdyż na drzewie przy bramie kuliła się przemoknięta wrona, która zapewne czekała na chwilę, gdy Rima wyrzuci resztki. Niestety, biedaczka pozbawiona została obiadu, ponieważ swoją okrutną wolą zmusiłam ją najpierw do opuszczenia wygodnej gałęzi, potem do odbycia wycieczki na parapet i następnie do miasta. Oczywiście Laurinne nie zrozumie wiadomości przekazanej sposobem zwykle używanym przez magów, ale wrona potrafi dostarczyć również liścik. Miałam szczerą nadzieję, że porucznik w dniu dzisiejszym nie odbywa służby, w przeciwnym razie jego towarzyszy czekał widok zaprawdę niezapomniany.

Mimo niepokąźnego wyglądu ptak okazał się całkiem szybki, a przynajmniej pojawił się z powrotem wyjątkowo prędko. Ciekawe, spodziewałabym się, że wrona nigdy więcej nie zawita na moje podwórze, a ona jednak wróciła i zasiadła na poprzednim miejscu z pełnym pretensji krakaniem, po czym nastroszyła pióra i ponownie pogrzyżyła się w oczekiwaniu. Może powinnam powiedzieć Rimie, by rzuciła na podwórko jakiś ochłap?

Niestety, nie zdążyłam wprowadzić w życie tej decyzji, wypełnionej miłością do braci naszych mniejszych, ponieważ pod bramą pojawił się mój przyszły obiekt doświadczeń. Również całkiem szybko, czyli na pewno nie stał na warcie, bo stamtąd raczej trudno się urwać.

Mokry porucznik wyglądał cokolwiek załóżnie, ociekał deszczówką, kapało mu nawet z koniuszka nosa i płaszcz z kapturem w niczym nie pomagał. W zasadzie gwardziści powinni nosić jeszcze mundurowe nakrycie głowy, ale zwykle zostawiali je w domu, zakładając wyłącznie w razie ostrej konieczności. Nic dziwnego, rzecz była szkaradna jak mało co, nawet zimowe czapki wyglądały przy tym elegancko i gustownie. Widocznie deszcz lejący jak z cebra nie kwalifikował się jako „ostra konieczność” i Laurinne wolał zmoknąć. Szczęśliwie jego płaszcz okazał się całkiem przyzwoity, więc ubranie porucznika może i ucierpiało, ale przynajmniej nie było przemoknięte na wskroś.

– Panno Naren... – Od progu oddał mi honory. Wyglądał na zaniepokojonego i przepełnionego gotowością, by natychmiast gdzieś pędzić i coś robić. – Czy coś się stało?

– Nic się nie stało, po prostu jest mi pan potrzebny powiedziałam. – Proszę wejść i siadać. Albo nie, niech pan lepiej postoi, póki nieco nie wyschnie. Albo siada tam, na parapecie, i tak jest zalany.

Najwidoczniej Laurinne zdążył już przyzwyczać się do moich manier, ponieważ bez słowa sprzeciwu ulokował się na parapecie, obrzucając smętnym spojrzeniem własny mundur.

– Proszę posłuchać – zaczęłam i pokrótce nakreśliłam mu obraz sytuacji, zaczynając oczywiście od tego, czego domyśliłam się przed chwilą.

– Panno Naren! – zawołał porucznik, nawet nie wysłuchawszy do końca. – Ale to przecież oznacza... To oznacza, że pani... że pani...

– Że nie aż tak bardzo skopałam sprawę – dokończyłam. – Chociaż

mogłam na to wpaść wcześniej. Ale wystarczy już o tym. Teraz przejdźmy do powodów, dla których jest mi pan potrzebny.

W paru zdaniach opisałam mu istotę planowanego eksperymentu. W tym momencie na jego twarz wypłynął wyraz niepewności.

– Nie mogę wydać panu rozkazu – zakończyłam swoją przemowę. – Ani zmusić. Tak więc, poruczniku, ma pan pełne prawo odmówić i...

– Zgadzam się – nie pozwolił mi skończyć. – Panno Naren, co mam robić?

– Nic – odparłam. Skąd się biorą tacy jak Laurinne? Przecież nawet nie zapytał, jakie skutki dla niego będzie miało to doświadczenie. Nie ma dość rozumu, by bać się na poważnie, czy po prostu aż tak bardzo mi ufa? Hm... – Niech pan spróbuje nie myśleć o niczym konkretnym. I kiedy poczuje moją, powiedzmy, obecność, nie stawia oporu. Poruczniku, proszę mieć na uwadze, że to na pewno nie będzie przyjemne, ale skoro już się pan zgodził, niech to jakoś wytrzyma. Poza tym proszę dobrze zapamiętać wszystkie swoje wrażenia, a potem opowiedzieć mi, co pan czuł.

Laurinne skinął głową, a na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia.

– Proszę się nie napinać – poleciłam. – I o niczym nie myśleć. Nie powinno to panu sprawiać trudności...

Udało mi się wprowadzić swoje zamysły w życie za trzecią próbą. Było to zaiste niezwykle odczucie, jak gdybym wślizgnęła się do cudzego rozumu, który nie stawiał żadnego oporu, w cudze ciało (gwoli ścisłości, ciało głodne) jak dłoń do jeszcze nienoszonej rękawiczki. Czyli tak to wyglądało... Faktycznie, jeżeli obiekt nie sprzeciwiał się, to sterowanie nim było znacznie prostsze i prawie nie wymagało wysiłku. Ale by obiekt się nie sprzeciwiał, to musiał zgodzić się na wpuszczenie postronnej osoby do swojej świadomości... Czyli Darai zrobiła to dobrowolnie.

I nieznanymi mi mag miał możliwość obserwowania wydarzeń oczami

wiedźmy, i w odpowiedniej chwili wtrącił się. A przy okazji, jak wyglądała kwestia magii? Przecież chciałam sprawdzić jeszcze jedną tezę...

Nakłoniłam porucznika, by przeszedł przez cały pokój w kierunku biurka – na jego twarzy malowało się bezgraniczne zdumienie połączone z lekkim przestraszaniem, ale nic ponad to – i wyciągnąć rękę. Spróbujmy czegoś prostego, na przykład...

Świeca na biurku zajęła się płomieniem i natychmiast stopiła do połowy. Laurinne krzyknęła i kontakt urwał się. Ale przecież się udało!

– Poruczniku, doskonale! – powiedziałam, podchodząc. – Wszystko jest dokładnie tak, jak podejrzewałam! Co pan tam ma? Proszę pokazać.

– To nic, panno Naren, drobiazg... – Chłopak próbował schować rękę za plecami, ale złapałam go za szczupły nadgarstek i odwróciłam dłoń wnętrzem ku górze.

Koniuszki palców miał oparzone, jak zdarza się to niedoświadczonym magom, którzy dopiero zaczynają pracować z ogniem. Najpewniej włożyłam nieco zbyt dużo siły w próbę zapalenia świecy.

– Faktycznie drobiazg – rzuciłam, dotykając palców porucznika, i po oparzeniach nie został nawet ślad. Puściłam go i wróciłam na swój fotel. – Dziękuję panu bardzo, naprawdę mi pan pomógł. A teraz proszę opowiedzieć, jak to wyglądało od drugiej strony.

– Hm... – Laurinne zastanowił się. – Panno Naren, bardzo dziwne odczucie, jakby ciało równocześnie należało do mnie i do kogoś innego. A jeszcze jak się samo poruszało, to... ogólnie niewyraźnie...

– Nie bał się pan?

– Gdybym nie wiedział, kto mi to robi, to pewnie bym się przestraszył. – Wzruszył ramionami. – Ale to przecież była pani.

Mogłam tylko westchnąć. Mało prawdopodobne, by udało mi się wydusić z Laurinne'a bardziej składną opowieść.

– No dobrze – powiedziałam. – Zróbmy podsumowanie.

Laurinne w milczeniu skinął głową i ponownie ulokował się na parapecie, a ja z westchnieniem odchyliłam się na oparcie fotela.

– Pamięta pan, jak powiedziałam, że najpewniej jakiś mag sterował Darai? Jak przed chwilą oboje się przekonaliśmy, jest to wykonalne, a nawet lepiej, banalnie proste, jeżeli osoba sterowana nie sprzeciwia się naciskowi na swój umysł. Utrzymanie stałego kontaktu jest trudniejsze i będzie wymagało praktyki, ale to nieważne. Tak więc Darai przynajmniej raz dobrowolnie pozwoliła naszemu tajemniczemu magowi, by zrobił z nią coś podobnego.

– Dlaczego przynajmniej raz? – Laurinne zmarszczył brwi.

– Ponieważ jeden raz wystarczy na założenie pewnej blokady w świadomości człowieka – wyjaśniłam. Ten fakt również przypomniałam sobie przed chwilą, przy okazji rozmyślań o magokatach.

Przestępcy, a przynajmniej ci z nich, którzy również parają się magią, potrafią stawiać całkiem skuteczny opór próbom przesłuchania, mogą też próbować skończyć ze sobą. Przenikanie do cudzej świadomości raz po raz jest zbyt męczące nawet dla najlepszego magokata, więc używają oni czegoś w rodzaju kotwic: zostawiają pewne znaki w świadomości przesłuchiwanej osoby, by następnym razem móc przejść po niej znacznie łatwiej, gdyż ofiara już nie będzie miała możliwości się bronić. A żeby więzień nie stawiał oporu ani nie próbował się zabić, do jego świadomości wprowadzane są specjalne blokady, po których człowiek staje się fizycznie niezdolny do samobójstwa czy prób walki, niezależnie od jego własnych chęci w tej materii.

Laurinne patrzył na mnie wyczekująco, więc ciągnęłam:

– Jak by to panu wyjaśnić... To coś podobnego do ogranicznika, który nie pozwala na zamknięcie drzwi. Nawet jeżeli za drugim razem człowiek nie będzie chciał wpuścić do swojego umysłu tego maga, to nie będzie to miało żadnego znaczenia. Wydaje mi się, że nawet jeśli Darai wyraziła zgodę na

taką... hm... współpracę, nasz tajemniczy nieznajomy nie przegapił możliwości dodatkowego zabezpieczenia. Stąd też jej niechęć do podania jego imienia czy nawet opisanie powiązanych z nim wydarzeń – wiedźma nie mogła tego zrobić, ponieważ jej zabroniono.

– A w jaki sposób udało jej się uwolnić? – zapytał Laurinne.

– Myślę, że nasz tajemniczy przestępca nie utrzymywał ciągłego połączenia z Darai – odparłam. – To jednak kosztuje wiele czasu i wysiłku. Pewnie przy kolejnej próbie nawiązania kontaktu zrozumiał, że wiedźma została schwytana. A że ona sama była nieprzytomna, nie pozostawało mu nic innego, jak przejąć kontrolę nad ciałem i uwolnić ją.

– Czy to naprawdę jest aż takie łatwe? – zapytał Laurinne podejrzliwie. – Przecież dobrze ją pani skuła.

– Poruczniku – uśmiechnęłam się – to „dobrze” wystarczyłoby do utrzymania wiedźmy. Wszystkie moje zaklęcia były obliczone wyłącznie na nią. Jestem pewna, że mag zdjął je bez większego wysiłku. Swoją drogą, to całkiem ciekawe...

– Co takiego?

– Zamknęłam moc wiedźmy i związałam jej ciało zaklęciami. Ale zaklęcia te nie miały żadnego wpływu na moc innego człowieka, który skorzystał z jej ciała – rzuciłam w zamyśleniu. – A poza tym maga, który korzysta z cudzego ciała, nie sposób jest wykryć, podczas gdy on może pracować z pełną mocą i nie zostawia żadnego siadu. A przy okazji, Laurinne, mam jeszcze jedną nieprzyjemną wiadomość. Najpewniej nie jest to klasyczny mag, tylko niezależny, tak samo jak ja.

Sądząc z wyrazu twarzy porucznika, nic nie rozumiał, więc musiałam wyjaśnić mu różnicę pomiędzy magami klasycznymi a niezależnymi. Czasami naprawdę dziwi mnie, o jak wielu całkiem oczywistych sprawach zwykli ludzie nie mają bladego pojęcia!

– Dlaczego pani tak uważa? – Porucznik nie mógł się uspokoić.

– Laurinne, proszę użyć własnej głowy – fuknęłam. – Skuliśmy Darai naprawdę sumiennie, nie mogła nawet poruszyć palcem. Knebel też miała założony. A klasyczny mag, nawet korzystając z cudzego ciała, nadal potrzebuje rąk do wykonywania gestów oraz ust do wymawiania zaklęć. Nie mówiąc już o tym, że w celu podniesienia trupów mag klasyczny musiałby przez bitą godzinę dekorować okolicę potrzebnymi symbolami i robić różne inne przygotowania. Nie, poruczniku, to mag niezależny i wcale a wcale mi się to nie podoba.

– Panno Naren, ale dlaczego on już nie wrócił? – Jednak od czasu do czasu porucznik potrafił zadawać dobre pytania. – Po tym jak pani drugi raz uwięziła Darai?

– Tego również nie rozumiem – przyznałam. – Mam wrażenie, że ten człowiek próbował narobić dookoła Darai możliwie dużo hałasu, przekonać wszystkich o potędze stalwijskiej wiedźmy, a potem zobaczyć, co z tego wyjdzie. Jeśli się uda, również wykończyć mnie. Ale mam wrażenie, że bynajmniej nie zajmuję pierwszego miejsca na liście jego celów.

Ale jednak to było dobre pytanie, dlaczego mag nie wrócił do ciała Darai? Rozproszyły go ważniejsze sprawy? Czy po prostu już osiągnął to, co zamierzał, a mianowicie wielki skandal dookoła wyczynów stalwijskiej wiedźmy, i zdecydował, że na tym poprzestanie? Gdybym tylko znała odpowiedzi...

– Tak więc, Laurinne, teraz wiem już, jak to wszystko zrobili, ale nadal nie mam zielonego pojęcia po co! – dokończyłam myśl. – Zresztą kłamie, powód jest oczywisty, komuś potrzebna jest wojna pomiędzy Arastenem a Stalwią, tylko do czego?

Zamilkłam.

– Panno Naren – nieoczekiwanie odezwał się porucznik – jak się pani

wydaje, czy magowie z Kolegium mogli wyciągnąć z Darai nazwisko człowieka, który ją do tego wszystkiego zmusił?

– Sama bym chciała wiedzieć – mruknęłam. – Ale jeśli pan uważa, że mogę ot, tak sobie wpaść do siedziby Kolegium i zapytać pierwszą napotkaną osobę, to jest pan w błędzie. Jeżeli ten tajemniczy nieznajomy faktycznie ustawił w umyśle Darai solidne mury, czyli właśnie zakaz dzielenia się związaną z nim informacją, to mało prawdopodobne, by Kolegium je przegapiło. I całkiem możliwe, że zdołali je zburzyć, bo mają tam paru całkiem niezłych magów, prawdziwych speców w swojej dziedzinie.

– Czyli jeśli zakaz zostanie usunięty, Darai może opowiedzieć o tym tajemniczym nieznajomym? – podsumował Laurinne.

– Myślę, że tak. – Skinęłam w odpowiedzi. – W trakcie przesłuchań na pewno wyciągnęli z niej wszystko, co wiedziała, a nawet jeszcze więcej. Tylko ja się, niestety, tego nie dowiem...

– A jeżeli spytać bezpośrednio Darai? – podsunął porucznik, patrząc na mnie znacząco, i spojrzenie to zupełnie nie pasowało do młodzieńca, którego przywykłam w nim widzieć – zdecydowane i z niebezpiecznym ogniem gdzieś w głębi.

– Laurinne, oszalał pan? – roześmiałam się, rozumiejąc aluzję. – Włamać się do siedziby Kolegium? Nie no, osobiście wolę mniej skomplikowane sposoby na popełnienie samobójstwa! A zresztą... – Nagle również nabrałam chęci do działania. – Na pewno wie pan, kiedy mają ją stracić?

– Pojutrze rano na centralnym placu – powiedział porucznik. – Publiczna kaźń, wszystko jak należy...

– Widzę, że nie pochwała pan takich rzeczy – zauważyłam.

– A co w nich dobrego? – odburknął młodzieniec. – Ludzie już sobie zajmują miejsca, jak na jakieś wielkie przedstawienie...

– Ale nic z tym nie zrobimy, taka tradycja – westchnęłam, ponieważ

sama również niezbyt przepadałam za publicznymi egzekucjami. – Zresztą nie o tym rozmawiamy. Jeżeli ta... hm... impreza odbędzie się pojutrze rano, to już jutro powinni przywieźć Darai do miasta.

– Dlaczego? – z głosu Laurinne’a było niezrozumienie.

– Ponieważ siedziba Kolegium znajduje się jakieś trzy dni drogi stąd – wyjaśniłam. – A magowie z Kolegium są wygodni i nie będą podróżować po nocy, żeby tylko zdążyć dowieźć wiedźmę przed wyznaczonym czasem. A to oznacza, że pewnie już wyjechali. Na noc zamkną ją gdzieś w Wieży Więziennej, na pewno jest już w takim stanie, że nie będzie próbować ucieczki.

– A dostanie się do wieży jest na pewno znacznie prostsze niż do siedziby Kolegium, czyż nie, panno Naren? – rzekł Laurinne.

– Poruczniku, po panu się czegoś podobnego nie spodziewałam – zauważyłam z udawanym zgorszeniem. – Ale ma pan rację, to całkowicie wykonalne.

No cóż... Już od dłuższego czasu nie miałam okazji wziąć udziału w takiej przygodzie! Scena jak z kiepskiej powieści, niezależny mag potajemnie przekrada się do Wieży Więziennej, aby równie potajemnie zadać kilka pytań uwięzionej tam wiedźmie! A może nie warto się chować? Przecież mogłam wejść tam całkowicie zgodnie z prawem, miałam wszystkie potrzebne do tego upoważnienia. Ale w takim wypadku Kolegium natychmiast dowiedziałoby się o moim zainteresowaniu uwięzioną wiedźmą, a tego wolałabym uniknąć. W zasadzie nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego z takim uporem unikałam kontaktów z Kolegium, bo na razie nie doświadczyłam ze strony tej organizacji żadnych nieprzyjemności. Niemniej jednak... Przyzwyczajona byłam ufać swojej intuicji, a ona przekonywała, że dla mojego własnego dobra lepiej będzie, jeśli Kolegium nadal będzie uważać mnie za zwykłego niuchacza, który nie potrafi powiązać razem kilku

rozbieżnych w czasie wydarzeń. A przynajmniej do chwili, kiedy w końcu zrozumie, w jaki sposób owe wydarzenia są groźne dla mnie osobiście i otoczenia ogółem.

– Panno Naren, pójdę z panią – zadeklarował Laurinne, przerywając moje rozmyślenia.

– Tego mi tylko brakowało!

– Ale, panno Naren, Jego Królewska Mość rozkazał żeby pani towarzyszył!

Dobre sobie, ten dzieciak jeszcze miał czelność się ze mną wyklócać!

– Tak po prostu wziął i rozkazał? – spytałam.

– Dokładnie tak. – Porucznik skinął głową.

– Wliczając w to wycieczki niezgodne z prawem?

– Znaczy... – Laurinne nieco się zawstydział, ale dosyć szybko znalazł właściwą odpowiedź: – Jego Królewska Mość tego nie sprecyzował, ale z jego rozkazu mogę wnioskować, że powinienem towarzyszyć pani w każdych okolicznościach!

– To jakiś koszmar – powiedziałam całkowicie szczerze. Trzeba będzie jednak przedyskutować sprawę z Arneliuszem i niech nieco doprecyzuje swoje polecenie, nim nadgorliwość tego chłopaka doprowadzi mnie do szaleństwa! – No dobrze. Zabiorę pana ze sobą. W przeciwnym razie na pewno spróbuje pan potajemnie mnie śledzić, narobi hałasu i wszystko zepsuje.

– Dziękuję, panno Naren – jego odpowiedź brzmiała całkowicie poważnie. Ja mogłam tylko skwitować ją prychnięciem.

– Czekam na pana jutro wieczorem. Niech pan się ubierze po cywilnemu, najlepiej w coś ciemnego – poleciłam.

– Tak jest, panno Naren. – Młodzieniec skinął głową i ulotnił się.

No cóż... Nie miałam innego wyboru, jak zabrać porucznika ze sobą, w przeciwnym razie mógł nieźle pokrzyżować mi szyki. Niech mu będzie, nie powinien mi za bardzo przeszkadzać, może postać na warcie, jeżeli uda mi się dotrzeć do Darai i zmusić ją do mówienia.

Niestety, będę musiała maksymalnie ograniczyć używanie magii, by nie wykryła mnie eskorta z Kolegium.



Wieża Więzienna była przybytkiem niezbyt przyjemnym, ale dokładnie to samo można powiedzieć o każdym więzieniu. Była jedyną pozostałością po kiedyś stojącym na skraju miasta i budzącym szacunek zamku. Zresztą w tamtych czasach przedmieścia nie były jeszcze przedmieściami, a nawet miasto jako takie nie istniało. Budowlę wzniesiono bardzo sumiennie, stała tam już od wieków i na razie nie zamierzała się rozpadać, więc została nieco przerobiona od wewnątrz i przystosowana do trzymania szczególnie niebezpiecznych przestępców, takich jak wiedźma Sanija Darai.

Nie wątpiłam w to, że moc Darai została na głucho zapieczętowana przez mago–katów Kolegium, a dodatkowo na wieźmie wisiało całe mnóstwo zaklęć krępujących. Unieszkodliwiona w ten sposób będzie siedziała w wieży i czekała na egzekucję. Wstęp do środka mieli nieliczni, a na miejscu przebywała spora liczba strażników, którzy na dodatek byli obrzydliwie sumienni. Tak czy owak, od dawna nie miały tam miejsca żadne incydenty i nie spodziewałam się, by ten stan rzeczy w najbliższym czasie uległ zmianie.

Następnego dnia ostrożnie podpytałam tu i ówdzie, dowiadując się, że wiedźma rzeczywiście powinna lada chwila przybyć do miasta i oczywiście znaleźć się w Wieży Więziennej. Nawiasem mówiąc, było tam w obecnej chwili trochę pustawo. Oszczędny Arneliusz wolał trzymać przestępców na

państwowym garnuszką jak najkrócej, czyli jedynie przez te kilka dni, które mijały od zakończenia procesu sądowego do spotkania z katem, a czasem nawet krócej.

Wieczorem, natychmiast po zapadnięciu zmroku, pod moją bramą zjawił się Laurinne. Szczęśliwie posłuchał mojej rady i był ubrany w coś niedającego się opisać, ale niewątpliwie cywilnego. Nikt nie zdołałby odgadnąć, jaki kolor miały te szmaty pierwotnie, a w chwili obecnej dało się o nich powiedzieć tylko to, że były ciemne i tyle dobrego.

– Dojedziemy do mostu Królewskiego – powiedziałam. – A stamtąd trzeba będzie iść na piechotę. To niezbyt daleko.

Porucznik w milczeniu skinął głową i ruszyliśmy.

Przejście przez posterunki ochrony i dostanie się do samej Wieży Więziennej poszło nam nieprzyzwoicie wręcz łatwo. Właściwie posterunki minęliśmy, prawie się nie kryjąc – w tym miejscu jeszcze zaryzykowałam zastosowanie prościutkiego zaklęcia, które rozpraszało skierowaną na nas obcą uwagę. Co prawda na wszelki wypadek wybrałam w tym celu sztuczkę nie z magicznego arsenału, lecz z wiedźmiego. Dokładnie tak samo łatwo wkroczyliśmy do wieży – chyba powinnam napomknąć Arneliuszowi, że obecna ochrona nie jest wystarczająca. Maga, jeżeli użyje on nawet najprostszego zaklęcia, wykryłyby ustanowione przy wejściu zabezpieczenia, ale były one niezdolne do złapania wiedźmy, nawet całkiem potężnej. Wypadałoby zmienić ten stan rzeczy. Hm... Ciekawe, w jaki sposób mam wytłumaczyć Arneliuszowi, skąd posiadam takie informacje? Czyżbym spróbowała pod osłoną nocy przekraść się do Wieży Więziennej w celu sprawdzenia jej zabezpieczeń? W sumie dlaczego nie, od zawsze słyszałam z ekscentryczności...

Wewnątrz więzienia rozproszyłam zaklęcie – dookoła panował mrok, a nadzorcy raczej nie powinni urządzać sobie wycieczek po wieżowych

schodach. Ostatecznie niespecjalnie mieli nawet kogo pilnować.

Darai znalazłam z łatwością. Zamknięto ją w celi na czwartym piętrze. Ochrona, która powinna była pilnować więźniarki, na dobre zapuściła korzenie w wartowni.

Na dźwięk słowa „cela” w wyobraźni pojawia się zwykle mała klitka o wymiarach dwa kroki na półtora, z ciężkimi, okutymi żelazem drzwiami, mocnym zamkiem i kratą w oknie, jeżeli takowe zostało przewidziane w planach architektonicznych. W Wieży Więziennej takich luksusów nie było. No dobrze, cele mierzyły akurat dwa kroki na półtora i kraty również były, ale to by było na tyle. Ludzie, którzy przystosowywali wieżę do jej obecnego profilu, uznali, że nie wiadomo, co może wpaść do głowy osobnikowi siedzącemu za zamkniętymi drzwiami, więc raczej powinien być na widoku. Tak więc na korytarzach odgrodzono niewielkie klitki, ledwo wystarczające, by się w nich obrócić. Na wyposażeniu celi było posłanie ze słomy, kubek, gliniany dzbanek na wodę – i tyle.

Darai siedziała w kącie, skulona, z kolanami podciągniętymi do piersi. W tej chwili już nie wyglądała na szlachetną damę, śledzącą najnowsze trendy mody. Nie, teraz prezentowała się dokładnie tak, jak powinna wyglądać stara wiedźma. Śledczy przebrali ją w suknię ze sztywnego szarego płótna, a splecione siwe włosy zasłaniały jej całą twarz, nadgarstki i kostki krępowały ciężkie łańcuchy. Wiedźma musiała być bardzo słaba – spece z Kolegium wycisnęli ją jak cytrynę, a czasu na regenerację nie miała.

– Laurinne – szepnęłam – proszę stanąć przy schodach i dać znać, jeśli ktokolwiek będzie tamtędy szedł.

Porucznik w milczeniu skinął głową i został na klatce schodowej. Ja natomiast podeszłam do samej kraty, za którą siedziała wiedźma.

– Sanijo! – zawołałam szeptem. – Sanijo Darai, słyszy mnie pani?

Zawołana drgnęła i powoli podniosła głowę. Wyglądała koszmarnie, co

było widoczne nawet w niepewnym świetle kopcającej pochodni – jedynej na cały korytarz. W tej chwili Darai wyglądała nie na pięćdziesiątkę, lecz na wszystkie przeżyte lata. Nie był to przyjemny widok.

– To pani? – zdziwiła się.

– Ano ja... – Przykucnęłam, by lepiej widzieć jej twarz. – Chciałam zadać pani kilka pytań.

– Nie... – Wiedźma wzdrygnęła się całym ciałem. – Proszę... żadnych więcej pytań...

Cicho brzęknęły łańcuchy, Darai zasłoniła twarz okaleczonymi rękoma. Pokręciłam głową z dezaprobatą – spece z Kolegium najpierw zastosowali tradycyjne metody przesłuchań, a dopiero potem przeszli do magicznych.

– Wszystko im pani opowiedziała – stwierdziłam. – O tym pani tajemniczym znajomym.

– Tak... – szepnęła więźniarka.

– W takim razie proszę opowiedzieć mi to samo – poprosiłam. – Wydaje mi się, że teraz już może pani to zrobić?

– O tak... – Darai roześmiała się ochryple, po czym zaczęła kaszleć i przez dłuższą chwilę nie mogła złapać oddechu. – Mogę powiedzieć pani to samo, co powiedziałam im: że nic o nim nie wiem!

– Czarujące... – mruknęłam. – Tak po prostu pozwala pani jakiemuś magowi sobą sterować, on wymusza na pani opuszczenie domu i zajęcie się rzeczami, za które grozi najwyższy wymiar kary. Następnie, ponownie korzystając z pani ciała, stawia opór magowi–justycjariuszowi... A pani próbuje mnie przekonać, że nic o nim nie wie?

– Dokładnie tak... – Wiedźma podniosła głowę i spojrzała wprost na mnie. Jej oczy były zmęczone i obojętne. – Nawet nie znam jego prawdziwego imienia.

– Ale jakież musiał pani podać?

– Przedstawił się jako Naor – odparła Darai.

Naor? Bardzo miłe i całkiem zmyślne – wziąć sobie imię jednego ze sławnych bohaterów starożytności. Nie potrafiłam sobie w tej chwili przypomnieć, czym dokładnie wsławił się akurat ten, ale ani przez chwilę nie wątpiłam, że popełnił całą masę czynów szlachetnych i niebezpiecznych dla otoczenia!

– Ale jak go pani w ogóle poznała? – spytałam. Nie, chyba to wszystko nie miało sensu. Mało prawdopodobne, bym wyciągnęła z Darai coś pożytecznego.

– Napisał do mnie... – Wiedźma nieco się ożywiła. – Prowadziłam korespondencję z wieloma magami. Mówił, że usłyszał o mnie od któregoś z moich znajomych. Przez jakiś czas wymienialiśmy listy i było to bardzo interesujące... Adresy zwrotne za każdym razem były inne – karczmy i tego rodzaju miejsca.

– Zachowała pani te listy? – spytałam.

– Nie, nie zbieram takiej korespondencji – odparła Darai. – Nieprzyjemne doświadczenia mnie nauczyły...

– Szkoda – rzuciłam całkowicie szczerze. Naprawdę szkoda, wiele bym dała za możliwość przeczytania tych listów! – I co się stało potem?

– Potem... – Wiedźma odrzuciła z twarzy siwe kosmyki. – Naor wiele opowiadał o nowym sposobie komunikacji pomiędzy magami, bezpośrednio i na dowolną odległość. Pisał, że ciekawi go, czy metoda ta zadziała również w przypadku wiedźmy...

– No cóż, w takim razie rozumiem – mruknęłam. – Pani również się zainteresowała i zaproponowała przeprowadzenie doświadczenia na własnej osobie, nieprawdaż?

– Dokładnie tak. Doświadczenie się powiodło, porozmawialiśmy... Potem... Pamiętam wszystko jak przez mgłę. Spakowałam się i wyjechałam z

majątku, zabierając ze sobą tylko kilku służących i wszystkie posiadane pieniądze oraz klejnoty. Potem ten dom w lesie i... i...

– I te wszystkie zabójstwa – dokończyłam za nią. Chyba ten cały Naor nieźle urobił swoją ofiarę. – Wydaje mi się, że bynajmniej nie z własnej woli urządziła pani ten... karnawał?

– Nie. – Darai pokręciła głową. – Nie chciałam tego zaczynać, ale... musiałam. A potem... To wciąga. Człowiek już nie może bez tego żyć. Panno Naren, nie będę szukać usprawiedliwień, podobało mi się to i już nie mogę nawet określić, gdzie sprawiała to wola Naora, a gdzie moja własna.

– I to właśnie on uwolnił panią z piwnicy.

– Pewnie tak. Odzyskałam przytomność już na zewnątrz – przyznała wiedźma. – Widziałam, jak pani i ten chłopiec wybiegliście na dwór, ale nawet gdybym była magiem, to nie starczyłoby mi mocy, żeby podnieść tylu...

– Ale gdy starłyśmy się twarzą w twarz, Naora już nie było, czyż nie? – przerwałam jej. Tego byłam pewna, walczyłam z Darai, a nie z magiem.

– Odszedł – potwierdziła. – Ja... zagapiłam się i właśnie wtedy wykorzystwała pani okazję...

– Ale dlaczego nie wrócił później? – spytałam. – Nie wyciągnął pani z rąk Kolegium ani z tego więzienia?

– Pewnie już nie jestem mu dłużej potrzebna – uśmiechnęła się Darai. – Brzmi jak streszczenie kiepskiego romansu, wykorzystał mnie i porzucił...

– I nie ma pani żadnych sugestii co do tego, po co mu to wszystko było potrzebne?

– Najmniejszych.

Zamilkłam. Cóż, niewiele tego. Ale i tak...

– A co pani czuła, kiedy Naor bezpośrednio panią sterował? – spytałam po chwili. – Bo o ile rozumiem, przez większość czasu działała pani prawie

samodzielnie, kierując się pozostawionymi przez niego wskazówkami, a mag nawiązywał kontakt tylko od czasu do czasu?

– Tak, ma pani rację. Trudno to opisać... Zrozumiałam tylko, że był bardzo potężny. – Spojrzała na mnie. – Niewątpliwie potężniejszy od pani, i to znacznie.

– Bardzo mnie to pocieszyło – burknęłam.

– Było jeszcze coś... – ciągnęła Darai. – Prawie nieuchwytnie, może ktoś inny by nie zauważył, ale ja mimo wszystko jestem wiedźmą...

Nadstawiłam uszu. Wiedźmy naprawdę potrafią czuć rzeczy niedostępne dla innych, nawet jeżeli są oni i dziesięciokroć magami. Tyle to sama wiedziałam.

– A co konkretnie?

– Nie mogę tego opisać – westchnęła Darai. – To odczucie... po prostu odczucie, ale z niewiadomego powodu przy każdym kontakcie z nim przypominały mi się Białe Siostry.

– Białe Siostry?! A co one z tym mają wspólnego? Pokojowa wspólnota...

– Nie, nie o nich mówię. Białe Siostry to skały na przylądku Fergon, tam gdzie stoi ta słynna latarnia morska. Widziałam je raz w życiu, ale czegoś takiego się nie zapomina, nie wiem nawet dlaczego, skały jak skały... Nie mam pojęcia, dlaczego je tak nazwano.

– Czyli skały na przylądku Fergon – westchnęłam. Nic nie lepiej! – Może jeszcze coś?

– Nic więcej nie wiem – rzuciła Darai ze zmęczeniem. – Panno Naren...

– Tak?

– Spełniłam pani prośbę – jej głos zabrzmiał niespodziewanie stanowczo.

– Niech teraz pani spełni moją.

– Nie mogę pani stąd wypuścić – stwierdziłam. – Proszę nawet nie prosić.

– Rozumiem. – Wiedźma pokiwała głową i nieoczekiwanie złapała za pręty kraty, zbliżając twarz do mojej. – Proszę o coś innego...

– O co?

– Znam swoją winę i wiem, że zasłużyłam na śmierć. – Jej spojrzenie nadal było twarde. – Ale, panno Naren, nie chcę umierać jako rozrywka dla tłumu. I dlatego proszę, by zabiła mnie pani tu i teraz.

– Ma pani do tego prawo. – Po chwili namysłu skinęłam głową. Mówiłam już, że nie przepadam za publicznymi egzekucjami, jest w nich coś... wstrętnego.

– Zrobi to pani?

– Tak – odparłam bez chwili wahania. I nawet nie dlatego, że jakoś szczególnie żałowałam dumnej wiedźmy. Natomiast obawiałam się, że ów tajemniczy Naor mógłby niespodziewanie powrócić do jej ciała rano, na placu. A na kaźni będą obecni zarówno Jego Królewska Mość, księżę następca tronu i wiele innych osób na wysokich stanowiskach. Darai i jej prośba bardzo ułatwiły mi zadanie.

Nie powinnam używać magii – pozostałyby ślady, po których magowie z Kolegium mieli spore szanse trafić do mnie, akurat w tej materii posiadali całkiem niezłych specjalistów. Ale nieobce mi były pewne umiejętności, które nabyłam jeszcze jako nastolatka u wspomnianych wcześniej przemytników.

– Darai, niech mi pani powie, za co mój dziadek przed laty wpakował panią do więzienia? – spytałam, wyciągając rękę przez kratę.

– On mnie jeszcze pamięta? – w głosie wiedźmy zabrzmiało radosne zdziwienie, zupełnie niepasujące do osoby mającej za chwilę umrzeć.

– Proszę sobie wyobrazić, że tak. – Uśmiechnęłam się, dotykając jej szyi. Najważniejsze to wiedzieć, gdzie i w jaki sposób nacisnąć. Nie zostanie śladu. Żadnego.

– On się wtedy tak bardzo obraził... – Wiedźma powoli osuwała się na podłogę, nadal trzymając się kraty. – Byliśmy tacy młodzi i głupi... weseli...

Odczekałam chwilę, przekonałam się, że Darai nie oddycha, i podniosłam się z klęczek. Dla pewności jeszcze chwilę poczekałam, patrząc na martwą wiedźmę. Jej twarz lekko się wygładziła, jak gdyby odmłodziła i wyglądała na prawie szczęśliwą. Ciekawe, co takiego wesołego ona i mój dziadek wyprawiali w czasach burzliwej młodości...?

– Laurinne – zawołałam szeptem – nie zasnął pan tam przypadkiem?

– Nie, panno Naren. – Porucznik wynurzył się z ciemności i rzucił mi dosyć dziwne spojrzenie.

– Coś pan słyszał? – spytałam.

– Wszystko, panno Naren – rzekł tonem skruchy.

– A ile pan zrozumiał?

– Że miała pani rację – odparł. – I że Darai nie miała o niczym pojęcia. Ale teraz... Panno Naren, przecież mimo wszystko czegoś się pani dowiedziała?

– Tak, i to rzeczy całkiem fascynujących. Teraz mamy do dyspozycji pana Naora, a do tego Białe Siostry z przylądka Fergon. No dobrze, poruczniku, zabieramy się stąd. Wolę rozmyślać w przyjemniejszej atmosferze.

– Tak jest, panno Naren – odparł chłopak. – Pozwoli pani pytanie?

– Pozwalam – westchnęłam. Tego się nie da zwalczyć...

– Czy gdyby Darai pani nie poprosiła, to pani i tak by ją... – Laurinne przełknął ostatnie słowo, ale i tak doskonale zrozumiałam, co miał na myśli.

– Jak pan to zgadł? – mruknęłam.

Porucznik wzruszył ramionami, w mroku jego ruch był ledwo zauważalny.

– Ja... po prostu pomyślałem: a co się stanie, jeśli ten mag wróci jutro? Przecież tam na placu będą ludzie, zwykli mieszczanie, nawet dzieci... I co on zrobi?

Nie odpowiedziałam i pomyślałam tylko, że mimo iż nasze myśli biegły podobnymi torami, momenty kluczowe okazały się różne. Ja pomyślałam o królu i księciu, a Laurinne o zwykłych ludziach. Cóż... Tłum mieszczan to też spory problem, ale... Co stanie się z krajem i tymi wszystkimi zwykłymi obywatelami, jeżeli w jednej chwili stracą władcę, jego następcę, a przy okazji jeszcze paru ministrów? Dobrze jeszcze, jeżeli królowej uda się potem utrzymać władzę – a jeśli nie? Porucznik powinien się jeszcze bardzo wiele nauczyć.

ROZDZIAŁ 22

Zbiegi okoliczności

Po nocnej wycieczce do Wieży Więziennej zdecydowanie miałam powody do rozmyślań. Atmosfera również sprzyjała kontemplacji, gdyż nadal lał deszcz. Publiczna kaźń ostatecznie nie odbyła się z powodu niespodziewanej śmierci spodziewanej ofiary, więc darowano sobie magiczne rozpędzanie chmur nad stolicą i nie należało oczekiwać w najbliższym czasie poprawy pogody.

Tak właściwie wiedźma nie powiedziała mi zbyt wiele. A te szczątkowe informacje, których udzieliła, były tak mgliste, że po prostu nie miałam pojęcia, od której strony się do nich zabrać.

Białe Siostry na przykładu Fergon... W moim księgozborze nie znalazłam żadnych informacji o tych skałach, czyli czekała mnie kolejna wycieczka do dziadka a może nawet do biblioteki królewskiej... Ale ta kwestia nie należała do pilnych, choć byłam ciekawa możliwych powiązań owych skał ze wspólnotą Białych Sióstr. Informacje na ten temat również mogły okazać się przydatne... Wspólnota ta była całkowicie pokojowa i trudniła się barwieniem drogich tkanin, czerpiąc z tego całkiem wymierne zyski. Białe Siostry miały swoje tajemnice, których strzegły równie zazdrośnie jak smok swego skarbcza. Na razie nikomu nie udało się dobrać składu farb pozwalającego powtórzyć kolory, którymi te ciche kobiety

barwiły materie oraz nici do haftu.

Wspólnota jako taka była wyłącznie żeńska, mężczyźni nie mieli tam wstępu. Trudno powiedzieć, w jaki sposób następowało naturalne powiększanie populacji, całkiem prawdopodobne, że siostry znajdowały sobie partnerów na kilka nocy. Poza tym często przygarniały dziewczynki z sierocińców, a niektóre biedne rodziny chętnie pozbywały się dopiero co narodzonych córek na rzecz bogatej wspólnoty: lepszy to los niż ciągły głód, choroby i śmierć przed ukończeniem dziesięciu lat. Zresztą nieważne...

Problem polegał na tym, że chwilowo nie miałam bladego pojęcia, w którą stronę kierować poszukiwania, każdy drobiazg mógł się okazać bezcenny, ale równie dobrze kompletnie bezwartościowy, a ja po prostu nie miałam jak tego ustalić, więc trzeba było chwytać się każdego wątku.

Co poza tym... Poza tym miałam jakiegoś maga, który przedstawiał się jako Naor. Stąd wynikała konieczność sprawdzenia, co to był za bohater i czym się wsławił. Ludzie bardzo rzadko biorą sobie przyzwiska, jak to się mówi, z sufitu, prawdopodobnie nasz tajemniczy mag uważał, że był w jakiś sposób podobny do tego całego Naora.

Zresztą informacje o Naorze mogłam uzyskać bez wychodzenia z domu. Przyniosłam do gabinetu ogromne tomiszczce, które całkiem niedawno pozyskałam w majątku Lagarsta, zasiadłam w swoim ukochanym fotelu i otworzyłam książkę na spisie treści. Aha, co my tu mamy... Przeróżne mity i legendy, o, tutaj, „Legenda o Naorze” w sześciu wariantach, z uwagą „najpełniejszy i najbardziej dokładny zbiór opowieści o bohaterze Naorze, które przetrwały do naszych dni”. Cóż, akurat tego tekstu raczej nie należało brać na wiarę, w innej książce mogła znaleźć się kolejna historia opisująca interesujące mnie wydarzenia „najpełniej i najbardziej dokładnie” na odwrót. Ale pewne elementy takich legend zwykle do siebie pasowały i właśnie na to liczyłam.

Przewertowałam strony w poszukiwaniu potrzebnej i gruby tom niespodziewanie łatwo otworzył się akurat na początku pierwszej wersji „Legendy o Naorze”. Ja koś podejrzanie łatwo, jak na książkę nigdy nieczytaną, a przecież wyglądała, jakby ją wzięto do rąk w najlepszym razie dwa razy. To dawało do myślenia... Wyglądało na to, że o ile pozostałe bajki kompletnie poprzednie go właściciela nie interesowały, o tyle „Legendę...” czytał niejednokrotnie. Odwróciłam książkę do światła – faktycznie, rogi stronic były lekko zatłuszczone, jeden okazał się zagięty – niektórzy ludzie robią tak, nie mając pod ręką zakładki, pewne fragmenty w tekście zostały lekko zaznaczone, czasem rysikiem, a w innych miejscach po prostu paznokciem. Bardzo ciekawe... Kogo mogła do tego stopnia zainteresować starożytna legenda? I to właśnie historia Naora! Czy aby na pewno był to zbieg okoliczności? Jakoś nie chciało mi się wierzyć! Książka była całkiem nowa, według notki na stronie tytułowej wydana pięć lat temu. I w tymże czasie albo odrobinę później znalazła się w majątku Lagarsta. A co wydarzyło się tam niedługo potem? No właśnie, gospodarz został oskarżony o praktykowanie sztuk zakazanych i skazany przez Kolegium. Kolejny zbieg okoliczności?

Miałam wrażenie, że „Legendę...” we wszystkich jej wersjach studiował nie kto inny, tylko Ferenc Lagarst. Ale co mogło do tego stopnia zaciekawić go w tej opowieści? Cóż, mało prawdopodobne, bym miała się tego dowiedzieć bez zapoznania z nią...

Nie zajęło to wiele czasu, chociaż czytałam dosyć powoli, zwracając baczną uwagę na zaznaczone fragmenty. Po zakończeniu lektury w mojej głowie nie pojawiły się żadne genialne pomysły – można wręcz powiedzieć, że przybyło w niej niezrozumienia. Sądząc z legendy, ten cały Naor był niezłym nicponiem. W każdym razie opowiadała o tym, jak to starożytny bohater narobił sobie kłopotów w jednym królestwie, po czym uciekł do

innego, tam również nabroił i tak sobie biegał od jednego patrona do drugiego, aż na całym kontynencie zabrakło miejsca, gdzie mógłby się czuć bezpieczny. Królowie wykazali się wyjątkową zgodnością i wyznaczyli za głowę delikwenta sowite nagrody. Co prawda w czterech wersjach legendy tłumaczono to knowaniami tajemniczych wrogów Naora, a w kolejnej – zemstą obrażonej przez niego wiedźmy (ostatnia zaś nie tłumaczyła sprawy w żaden sposób), ale osobiście uznałam, że starożytny bohater po prostu lubił zaszaleć i nie zastanawiał się nad konsekwencjami swoich czynów. Tak więc w końcu Naor zrozumiał, że nie ma już dokąd uciekać, a sensu w ucieczce też niewiele, jako że byle wiejski kundel zna go z wyglądu i każdy na pewno przy pierwszym spotkaniu przekaże odpowiednim władzom, i głęboko się zamyślił.

Wyraźnie należał on do ludzi, którzy potrafią nie tylko szaleć, ale również pracować głową, wpadł więc na genialny wręcz pomysł: skłócić królów pomiędzy sobą.

Legendy nie wspominały, w jaki konkretnie sposób się do tego zabrał, ale skutki okazały się łatwe do przewidzenia: zamiast usiąść i przedyskutować wydarzenia, monarchowie ruszyli na sąsiadów i wkrótce po prostu wytrzebili się nawzajem. Tymczasem ich armie po śmierci władców z rozpędu dalej zabijały kogo popadło. I właśnie w tym momencie Naor zrozumiał, co uczynił, uniósł się honorem, wtrącił, powstrzymał wojska (znowuż legendy nie wspominały w jaki sposób, ale przecież był bohaterem). Po czym ludzie jednomyślnie uznali, że nie potrzebują innych władców prócz Naora, i natychmiast go koronowali.

Warto dodać, że bohater niedługo cieszył się panowaniem nad całym kontynentem, pewnie biedaka znudził brak przygód, albo też wymęczyły zdobyczne królowe. Tak czy siak, pewnego pięknego dnia po prostu szlachetnie abdykował. Że niby zbyt trudno jest równocześnie rządzić i

dokonywać wielkich czynów. I w tej kwestii zgadzało się wszystkie sześć wersji legendy. Dalszy los bohatera pozostał nieznan.

Hm... Zamyśliłam się, trzymając otwartą książkę na kolanach. Oj, czyżby? Nie, to wszystko było zbyt proste! Bohater z legendy skłócił ze sobą królów, mając na celu wyłącznie ratowanie swojej skóry. Tajemniczy mag który nazwał się Naorem, również próbował skłócić ze sobą Arneliusza i Nikkeja, ale mało prawdopodobne, by w tym samym celu! W takim razie po co? Pójść w ślady poprzednika, poczekać, aż królowie wyniszczą siebie nawzajem, po czym zagarnąć władzę? A fe, jakie to niesmaczne i banalne... Jakoś nie chciało mi się wierzyć, że mag zdolny do tak zgrabnych posunięć miał na celu wyłącznie włożenie sobie na łeb korony i posadzenie tyłka na tronie. Władzę można było zdobyć innymi, znacznie prostszymi i pewniejszymi sposobami niż odgrywanie scenek z legendy. Tym bardziej że obecnie panujący królowie posiadali masę dziedziców, z prawego i lewego łoża, a poza tym istniało jeszcze Kolegium, które nie dopuściłoby do zamieszek, a już tym bardziej zajęcia tronu przez jakiegoś nadmiernie ambitnego maga.

Ale fakty pozostawały faktami: ktoś uparcie szczył na siebie władców, a w całej historii wyraźnie maczał palce jakiś mag, przedstawiający się jako Naor. I właśnie epizod, w którym opowiadano o tym, jak starożytny bohater skłócił ze sobą królów, został w tekście podkreślony. Najpewniej był to tylko kawałek mozaiki, jeden ruch w skomplikowanej grze, która prowadzona była nie pierwszy rok i której celu, niestety, nie znałam.

Co mógł wiedzieć o magu zwanym Naorem Ferenc Lagarst? Dlaczego interesowała go właśnie ta legenda? Po co zaznaczał fragmenty na marginesach? Niestety, Lagarsta nie było już wśród żywych i nie mogłam go o to spytać. Zresztą...

Gwałtownie zerwałam się na równe nogi – książka z łoskotem spadła na

podłogę – i otworzyłam okno. Moja znajoma oblazła wrona nadal zajmowała strategiczne stanowisko na drzewie przy bramie. „Uparta jakaś się trafiła” – pomyślałam i przywołałam ptaka. Właściwie to nawet nie był jakoś specjalnie oblazły, po prostu ktoś trochę podskubał biedaczysko. Pewnie wpadł w łapy kota. Ale nic to, skoro już się u mnie zadowił, to niech trochę popracuje!

Tak samo jak poprzednim razem nie musiałam długo czekać na porucznika. Mogłoby się nawet wydawać, że Laurinne nie robił nic innego, tylko siedział i czekał, aż go wezwę. Ciekawą służbę mają ci nasi gwardziści!

– Poruczniku, czy pan w ogóle ma jakieś obowiązki służbowe? – zagałam zamiast powitania, bo myśl ta zaprzętnęła mnie na dobre.

– Tak jest, panno Naren – w jego głosie zabrzmiało niejakie zdziwienie. – Tylko z jakiegoś powodu ostatnio rzadko trafiam na warty...

– Ale cała reszta, jakieś tam apele czy ćwiczenia się panu zdarzają? – nie odpuszczałam.

– Oczywiście. – Porucznik zdziwił się jeszcze bardziej. – Ale w razie czego Iwas mnie zastępuje, a poza tym otrzymałem przecież rozkaz od Jego Królewskiej Mości. Czemu pani pyta?

– Tak sobie, z ciekawości – mruknęłam. – Dobra, przejdźmy do rzeczy. Laurinne, zna pan tę książkę?

Skinęłam głową w kierunku leżącego na biurku tomiszca.

– Owszem – odrzekł porucznik po dokładnym obejrzeniu książki. – Chyba to ta sama, którą pani ode mnie eee... odkupiła.

– A nie pamięta pan przypadkiem, w jaki sposób znalazła się w pańskim domu?

Młodzieniec zamyślił się na dłuższą chwilę.

– Na pewno nie jest z tych starych – powiedział wreszcie. – Znaczy nie z tych, które od dawna leżały w bibliotece...

– Tyle to sama wiem – rzuciłam. – Została wydana dopiero przed pięcioma laty.

– Ojciec czasami zamawiał różne rzeczy z miasta – ciągnął porucznik. – Co prawda rzadko, bo przecież nie mieliśmy za wiele pieniędzy, a były ważniejsze sprawy niż książki... Pewnie tę również zamówił.

– Czyli nie pamięta pan – westchnęłam. – Laurinne, a proszę mi powiedzieć, czy przed tym pożarem pański ojciec poruszał się o własnych siłach?

– Tak. Bolały go stawy, ale chodził normalnie. To dopiero potem...

Mogłam tylko westchnąć. Już miałam nadzieję, że skoro Ferenc Lagarst nie mógł sam pójść do biblioteki, to ktoś musiał mu tę książkę przynosić, po czym odnosić z powrotem. Mało tego, ów ktoś najpewniej był służącym. A służącego można odnaleźć i odpytać. Niestety...

– Panno Naren, chyba sobie przypominam – odezwał się porucznik nagle.

– Co pan pamięta? – podskoczyłam.

– Znaczy o tej książce... Ona przecież jest bardzo droga, niech pani zobaczy, złote tłoczenia, kolorowe obrazki, byłem w kramie i pytałem... – Młodzieniec uciekł spojrzeniem. Wszystko jasne, jednak poszedł dowiedzieć się, czy przypadkiem nie przepłaciłam mu za ten nieszczęsny foliał. – Nie mieliśmy zbyt dużo pieniędzy, więc tak drogi zakup trudno jest ukryć... No więc to było przy okazji urodzin Lucjusza, mojego starszego brata. Ojciec obiecał, że podaruje mu konia, dobrego, pod siodło. Brat od wielu lat o takim marzył, uczciwie mówiąc, mieliśmy w majątku same klacze... – Laurinne spojrzał na mnie. – Jeżeli ojciec coś obiecywał, to zawsze dotrzymywał słowa. Ale Lucjusz tego konia nie dostał, tylko jakiś tam drobiazg w zamian. Ojciec powiedział, że ceny wzrosły i dlatego z koniem nie wyszło. No więc ja tak sobie myślę, że może on wtedy zamówił z miasta tę książkę, tylko nikomu o tym nie powiedział? I dlatego mu zabrakło trochę na tego konia, w

końcu liczyliśmy każdego rissa...

– Nawet bardzo prawdopodobne... – mruknęłam. A nie pamięta pan przypadkiem, czy wtedy nie wydarzyło się jeszcze coś?

– Nie, absolutnie nic nadzwyczajnego. – Laurinne wzruszył ramionami. – Tylko jakiś stary znajomy ojca przyjechał w odwiedzin. Rzadko miewaliśmy gości Przecież ojciec na dodatek był zesłany...

Zrozumiałe, ostatecznie kto miałby ochotę na wizytę u przyjaciela banity kosztem ryzyka, że jego osobą zainteresują się panowie z wydziału ochrony? (Jak przyznał mi sam Arneliusz, obserwowali oni majątek Lagarstów). Poza tym miałam wrażenie, że Lagarst również nie miał specjalnej ochoty oglądać towarzyszy, którzy odwrócili się od niego, wierząc w kłamliwe – byłam tego prawie pewna – oskarżenia. Założyłabym się też o każde pieniądze, że gospodarz wstydział się biedy, w którą popadła jego rodzina. Niezbyt dobra atmosfera dla odwiedzin.

Kolejny zbieg okoliczności? Gość, po którego wizycie Lagarst zamawia drogą książkę z legendami o Naorze, po czym wielokrotnie ją czyta, i to bardzo uważnie. Dlaczego właśnie tę? Z uwagi na to, że zawierała kilka wersji tej samej opowieści? Różniły się paroma szczegółami, ale poza tym były bardzo podobne. Czego w takim razie szukał Lagarst i z jakiego powodu?

– Kto to był? Mam na myśli tego gościa – spytałam.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem – odparł Laurinne.

– Co to ma do rzeczy, widział pan czy nie! – zniecierpliwiłam się. – Jak się nazywał?

– Nazwisko... – Porucznik wyglądał na zagubionego. – Ojciec go porządnie nie przedstawił, powiedział tylko coś w rodzaju: „To mój stary przyjaciel” i tyle.

Potem zamknęli się w gabinecie, przez całą noc rozmawiali i rano ten

człowiek odjechał. Nazwisko miał jakieś takie bardzo proste, ale, panno Naren, przepraszam, nie pamiętam...

– Przynajmniej niech mi go pan opisz – rzuciłam bez większej nadziei. W końcu czego żądać od dzieciaka...

Tymczasem okazało się, że już wtedy miał on całkiem niezłą pamięć wzrokową i był w stanie dostarczyć mi całkiem dokładny opis ówczesnego gościa Lagarsta. Szkoda tylko, że powierzchowność tegoż gościa była absolutnie przeciętna. Znacznie więcej uwagi chłopak poświęcił wtedy koniowi, przepięknemu weirenowi. Najpewniej w odróżnieniu od gospodarza gość nie cierpiał na brak funduszy. Ale mogło się też zdarzyć, że wierzchowiec nie był czystej krwi, ciemna maść jest u weirenów rzadkością, a gdzie niby Laurinne miał porządnie nauczyć się końskich cech rasowych?

– Ten człowiek nie miał żadnych znaków szczególnych? – spytałam bardziej dla zasady.

Porucznik pokręcił głową, ale potem zamyślił się jeszcze i nareszcie oznajmił:

– Poruszał się bardzo wyprostowany, jak gdyby kij połknął, służące sobie z tego żartowały...

– Wojskowi zwykle mają taką postawę. – Wzruszyłam ramionami.

– Nie był wojskowym. – Laurinne ponownie pokręcił głową. – Przecież ojciec służył w gwardii. Bywaliśmy w stolicy i miałem okazję się napatrzeć. I nawet emerytowanego wojskowego w życiu bym nie pomylił z cywilem!

Cóż, może warto było uwierzyć porucznikowi na słowo. Emerytowanych wojaków faktycznie można wyróżnić z tłumu jednym rzutem oka.

– To był najzwyczajniejszy człowiek – ciągnął Laurinne. – Tylko miał coś dziwnego z plecami, jak gdyby mu się nie zginały.

Hm... Może jakiś uraz kręgosłupa? Nawet jeżeli leczył go magomedyk, skutki mogły dawać o sobie znać, szczególnie w przypadku poważnego

uszkodzenia. Cóż, był to nie najgorszy znak szczególny.

– Da pan radę go poznać, jak zobaczy? – spytałam.

– Wydaje mi się, że tak – w głosie porucznika brakowało pewności.

– A przy okazji, ten pański bezimienny gość jechał do miasta czy w przeciwnym kierunku? – doprecyzowałam.

– Nie mam pojęcia – przyznał smętnie. – Przynajmniej w mojej obecności nigdy nie powiedział, gdzie się udaje. Ani skąd przyjechał.

I jak ja niby miałam szukać człowieka bez imienia, o niezbyt określonym wyglądzie i jednej jedynej cesze wyróżniającej w postaci niezginających się pleców? Nie wiedziałam nawet, czy bywał on w Arastenie, a nawet czy jeszcze żył... Ani też czy warto go szukać. Mogło się okazać, że razem z Lagarstem urządzili sobie po prostu wspominki z czasów młodości, setek razem wypitych butelek i dziesiątek obmacanych panien pierwszej oraz drugiej świeżości!

– Panno Naren, czemu mnie pani o to wszystko pyta? – Laurinne w końcu dojrzał, by przejawić wsteczne zainteresowanie.

– Widzi pan, poruczniku, wątek ponownie ucieka mi w przeszłość. – Uśmiechnęłam się niewesoło. – Szkoda tylko, że uczestnicy wydarzeń albo już nie żyją, albo zaginęli bez śladu.

Kto jeszcze mógł znać przyjaciół Lagarsta z czasów służby w pałacu? Laurinne'a mogłam nie pytać, dorastał w majątku i nie miał pojęcia o kręgu znajomości ojca. Ale w takim razie kogo? Zapewne towarzyszy z czasów służby. I być może również Jego Królewską Mość... Trzeba będzie przy okazji zadać parę pytań, ale bardzo ostrożnie.

– Poruczniku, może pan sobie iść, już nie jest mi pan potrzebny – rzuciłam, przypomniawszy sobie o obecności młodzieńca.

– Tak jest, panno Naren – mruknął, wyraźnie mając nadzieję na kolejną szaloną wycieczkę. – Panno Naren... Czy mogłaby pani już nie przysłać po

mnie wrony?

– A to dlaczego? – Uniosłam brwi. – Ma pan coś przeciwko wronom?

– Ja nie – zaprzeczył porucznik śpiesznie. – Ale jak poprzednim razem przyleciała z pani notatką, to byłem sam, a dzisiaj... znaczy... nabrudziła wprost na głowę kapitanowi Stezhesowi, akurat jak mi wydawał polecenia. Przepraszam...

Zagryzłam wargę, by nie roześmiać się w głos.

– Cóż, postaram się coś wymyślić – obiecałam. – Na przykład wyjaśnię wronie, jak wyglądają dystynkcje wojskowe, i przekonam, by nie brudziła na głowę pana przełożonych. A teraz proszę już iść, muszę przemyśleć parę rzeczy.

Zastanawiałam się przez jakiś czas, ale nie wymyśliłam nic wartościowego. Wszystko sprowadzało się do braku informacji, i to informacji kluczowych, bez których nie mogłam zrobić zupełnie nic, bo wszystkie hipotezy budowałam w próżni. Ostatecznie dałam sobie spokój.



Minęło parę dni, w ciągu których zdążyłam rozwikłać kilka sprytnie przeprowadzonych kradzieży, złapać mordercę i prawie przestać myśleć o tajemniczym Naorze, który kompletnie zniknął w natłoku innych spraw.

Pewnego ranka, gdy dopiero co wstałam z łóżku Rima zameldowała o przybyciu gościa. Ponieważ wróciłam grubo po północy, a przedtem przez kilka godzin w towarzystwie bardziej smutnego niż zwykle majora Wisłasa przetrząsałam najprzeróżniejsze knajpy w Rozbójniczej Dzielnicy w poszukiwaniu podejrzanego, miałam wielką ochotę powiedzieć, że jestem zajęta i natychmiast wrócić do łóżka. Niemniej kazałam jednak kucharce, by odprowadziła przybysza do gabinetu, zakląłam w myśli – bo w końcu miałam

nadzieję, że przynajmniej jeden dzień spędzę spokojnie! – i zesłałam przywitać gościa.

Ku mojemu wielkiemu zdumieniu był to nikt inny tylko Weren Szloss, ziemianin i uznany literat w jednej osobie. Prędko kazałam Rimie podać herbatę.

– Cóż pana sprowadza? – spytałam po wymianie uprzejmości i zaproszeniu go, by ulokował się możliwie wygodnie. – Znowu się panu załęgły duchy w majątku? Czy może narzucają się piękne nieznajome?

– No co też pani mówi...! – Szloss zamachał ręką ma z nieudawanym przerażeniem. – Nie, panno Naren, u mnie cisza i spokój.

– Cieszę się, że przynajmniej ktoś żyje w spokoju. – Uśmiechnęłam się. – Słyszałam, że pańska najnowsza powieść cieszy się u czytelników sporym powodzeniem?

– Tak jest! – Pisarz lekko się zaczerwienił. – Bardzo dobrze ją przyjęto, bardzo! Ale mój wydawca poskarżył się, że ostatnimi czasy się powtarzam, same tylko stare domy i majątki, duchy i zjawy... W zasadzie właśnie dlatego tu jestem.

– Co pan powie? – zdziwiłam się. – A w jakim konkretnie celu?

– O, ja tylko chciałem o coś zapytać – sumitował się Szloss. – Panno Naren, bardzo niezręcznie się czuję, zajmując pani cenny czas, ale proszę mi wierzyć, że uznałem za naprawdę konieczne...

– A może przejdziemy do konkretów? – ponagliłam.

– Widzi pani, panno Naren, moja następna powieść będzie nosić tytuł „Jednooki człowiek i kary koń”...

– Oryginalne – mruknęłam. – A mogę wiedzieć dlaczego, jeśli to oczywiście nie tajemnica?

– Moim zdaniem, brzmi całkiem dobrze – uczciwie przyznał Szloss. – Widzi pani, całkiem niedawno spędziłem przemiły wieczór z sąsiadem, tym

hodowcą koni...

– Czyżby się panowie pogodzili?

– Tak w zasadzie to my się nigdy nie kłóciliśmy. – Gość wzruszył ramionami. – Sprawa sądowa o tamten skrawek ziemi nie jest moim zdaniem wystarczającym powodem, by psuć dobrosąsiedzkie stosunki... Jednym słowem, neir Rem opowiedział mi historię związaną z niedawnym porwaniem kupionych przez niego koni...

– A jakże, pamiętam – mruknęłam. Jak bym mogła zapomnieć... – Tylko, neir Szloss, nijak nie potrafię zrozumieć, czego pan ode mnie oczekuje?

– Chciałem tylko zapytać, czy mógłbym użyć tej historii w swojej nowej książce? Nie całości oczywiście, po prostu zaciekał mnie sposób porwania tych koni... No więc dziś przyjechałem w interesach do miasta i uznałem, że tak powiem, iż osobiście... hm...

– A niech pan używa, ile chce – pozwoliłam. – Ta historia nie dotyczy żadnych spraw państwowych, banalna kradzież...

Mówiąc to, nieco mijałam się z prawdą, ale przecież nie mogłam opowiedzieć osobie postronnej o swoich podejrzeniach dotyczących osoby, która zamówiła uprowadzenie tych koni.

– Dziękuję, panno Naren! – Szloss rozpromienił się z radości. – Widzi pani, chcę napisać o tym, jak w celu uzyskania czegoś niezwyklego i rzadkiego najprzeróżniejsi ludzie uciekają się do przestępstwa, a nawet morderstwa. Najpierw chciałem, żeby tą rzadką rzeczą był jakiś klejnot czy dzieło sztuki, ale po opowieści neira Rema uznałem, że będzie to koń.

– Jakiś rumak niezwyklej chyżości? – spytałam.

– Tak, to również, ale chyże rumaki trafiają się znacznie częściej niż takie konie – nieco mgliście zauważył Szloss. – A poza tym potrzebowałem oznaki zewnętrznej, po której nawet człowiek niezbyt znający się na koniach wyścigowych mógłby zrozumieć, że to rzadkie i niezwykle zwierzę.

– Ale co takiego niezwykłego jest w karym koniu? – zdziwiłam się, przypomniawszy sobie tytuł przyszłej książki.

– Ma pani całkowitą rację, w zwykłym karym koniu nie ma nic niezwykłego – uroczyście oznajmił Szloss. Ale weiren maści „stare srebro” [7] jest niezwykle rzadki! Mój sąsiad tak twierdzi, a on zna się na tym jak nikt inny! Dla weirenów nawet zwykła kara maść to straszliwa rzadkość, a coś tak niezwykłego to już w ogóle...

– Co pan powiedział?! – Uświadomiwszy sobie sens jego słów, aż podniosłam się z fotela. – Kary weiren...?

– No właśnie – potwierdził Szloss z satysfakcją, a ja na parę chwil straciłam zdolność mowy. Nie, to po prostu niemożliwe...

– Przepraszam, neir Szloss, a czy ten... hm... rarytas... to pan sam wymyślił? – spytałam ostrożnie.

– Nie do końca. Podzieliłem się swoim pomysłem z neirem Remem – wyjaśnił Szloss. – I długo debatowaliśmy, co takiego niezwykłego może być w wyglądzie zewnętrznym konia, a potem on zaproponował właśnie takiego weirena...

– Czy on sam miał kiedykolwiek okazję widzieć takiego konia? – Nie wierzyłam własnym uszom. Takie zbiegi okoliczności po prostu się nie zdarzały! Ale mimo wszystko... – Czy może były to rozważania czysto teoretyczne?

– Owszem, przypomniał sobie, że kilka lat temu widział weirena tej maści – odparł Szloss. Wydawało się, że grad wydobywających się ze mnie pytań go nie zdziwił. – I to nawet tutaj, w stolicy. Neir Rem zawsze żałował, że nie dogonił tamtego człowieka i nie spróbował odkupić od niego konia. Ale tak bardzo zszokował go widok, że nie od razu o tym pomyślał... Co prawda potem ludzie mówili mu, że właścicielowi tego konia nie raz oferowano ogromne sumy, ale kategorycznie odmawiał sprzedaży.

– A kim był ten właściciel? – Aż pochyliłam się do przodu.

– O dziwo, jakimś urzędnikiem – spokojnie odparł Szloss. – Wydawało by się, że taki koń bardziej pasuje do jakiegoś sławnego wojownika czy chociażby bogatego młodego szlachcica, a nie podstarzałego gryzipiórka...

– Czy pański sąsiad nie podał przypadkiem jego imienia?

– Nie, teraz to już sam nie pamięta, od tamtej chwili minęło siedem lat – zmartwił się pisarz. – Też go o to pytałem, myślałem, że może uda mi się go znaleźć i obejrzeć konia na własne oczy, jeżeli ten człowiek nadal go ma, ale, niestety, nie Rem nie zapamiętał imienia. Tylko tyle, że na pewno był to urzędnik z kancelarii królewskiej. Ktoś mu to wtedy powiedział na ulicy, a poza tym nawet z ubrania było widać...

„Wszyscy bogowie, którzy tylko istniejecie, pobłogosławcie skromnego literata Szlossa i jego nową powieść!” – pomyślałam ze szczerą wdzięcznością. Była to poszlaka, i to jaka! Nawet nie znając imienia człowieka na karym weirenie, który prawdopodobnie odwiedzał Ferencę Lagarsta w jego majątku, miałam teraz wystarczające informacje. Urzędnik z kancelarii królewskiej! Ilu starszych ludzi o dziwnym zwyczaju niezginania pleców mogło tam pracować?

– Ale w sumie to dla mnie niezbyt istotne – ciągnął Szloss. – Przecież nie będę pisał o prawdziwym właścicielu tego konia, tylko o jego własnych przygodach. O wszystkich, do których rąk to zwierzę trafiło. Kogoś koń kochał, kogo innego nienawidził. Jedni traktowali go dobrze, a kto inny uważał go wyłącznie za drogą zabawkę czy środek do podniesienia własnego statusu... Panno Naren, jak się pani wydaje, czy powieść tego typu będzie cieszyć się powodzeniem?

– A co, ma pan zamiar zrezygnować ze swojego ukochanego bohatera? – zdziwiłam się.

– Nie do końca, bo wydawca własnoręcznie mnie poćwiartuje –

odpowiedział z uśmiechem. – Najpewniej pojawi się on w kilku epizodach, na przykład przy okazji tamtej kradzieży, albo na chwilę zostanie właścicielem konia, jeszcze nie zdecydowałem. Ale na pewno tym razem nie będzie głównym bohaterem!

– Odważne – przyznałam. – Ale mam wrażenie, że pan sobie poradzi. Czy dobrze mi się wydaje, że ta historia nie będzie miała szczęśliwego zakończenia?

– Sam jeszcze nie wiem – westchnął Szloss. – Może ostatni właściciel zapędzi tego konia na śmierć, a może przeżyje długie lata i mimo wszystko spokojnie umrze ze starości...

– A przy okazji, jeśli to nie tajemnica, kim jest jednooki człowiek? – spytałam. Mój nastrój znacznie się polepszył i byłam gotowa zabawić Szlossa rozmową nawet przez dłuższą chwilę.

– Kimś, kto odegra rolę kluczową dla losów konia – poważnie stwierdził pisarz, a potem roześmiał się. – Brzmi zabawnie, czyż nie? Ale póki co trudno mi powiedzieć, przecież opracowałem tylko ogólną koncepcję. Zacznę pisać i dowiem się, czy to zwiastun złego losu, czy może odwrotnie, dobrego...

– No cóż, będę z niecierpliwością czekać na ukazanie się książki – odpowiedziałam z uśmiechem.

Rozmawialiśmy ze Szlossiem jeszcze jakiś czas. Dokładnie opisałam mu przeprowadzone dochodzenie w sprawie kradzieży rozplodowych kobył, sposób, którego użył złodziej, by ukraść konie z gospody, i jeszcze rozmaite drobiazgi związane ze śledztwem, po czym się pożegnaliśmy.

Czyżby mi się w końcu poszczęściło? No ale niech ktoś powie, jak w takich warunkach nie wierzyć w zbiegi okoliczności?! Gdybym nie znała Szlossa, gdyby konie nie zostały ukradzione właśnie jego sąsiadowi, gdyby pisarzowi nie przyszedł do głowy oryginalny pomysł, gdyby nie uznał, że

spyta mnie o pozwolenie w sprawie użycia historii kradzieży... Tak wiele przeróżnych „gdybów”! Ale wszystkie zbiegły się w jednym punkcie i Szloss opowiedział mi o urzędniku na karym weiren, który najpewniej mieszkał gdzieś w Arastenie.

Pozostawało tylko dowiedzieć się, kim był ten człowiek. Na pewno mógł mi o nim opowiedzieć dziadek, który znał każdą godną uwagi osobę w tym mieście, A mało prawdopodobne, by ten urzędnik był drobną płótką, skoro mógł sobie pozwolić na zakup weirena, tym bardziej o tak rzadkim umaszczeniu.

Natychmiast zebrałam się, rozkazałam, by osiodłano konia, i już po chwili wyjechałam w deszcz, który nie miał najmniejszego zamiaru przestać padać. Wrona na drzewie przy bramie odprowadziła mnie długim spojrzeniem, nastroszyła się jeszcze bardziej i znowu znieruchomiła. „Jednak jakaś dziwna, dlaczego nie mogła schować się gdzieś indziej? Przecież Rima jej nie dokarmia... Pewnie skutek kontuzji po spotkaniu z jakimś ulicznym kotem”. Uśmiechnęłam się do siebie i pogoniłam kobyłę. Ona sama wyraźnie chciała możliwie szybko ponownie znaleźć się pod dachem, w cieplej, wygodnej stajni, tak więc zostałam uraczona czymś względnie przypominającym szybki kłus, a chwilami nawet galop.

Miałam sporo szczęścia i dziadek siedział w domu. Przy kiepskiej pogodzie mój kochany krewny zawsze narzekał na ból stawów i starał się nie wychodzić na dwór. Ale osobiście miałam wrażenie, że był on zdrowszy od wielu młodych ludzi i tylko z jakiegoś dziwnego powodu udawał rozsypujący się zabytek muzealny. Ostatecznie nie był tak przeraźliwie stary, jak się mogło wydawać, szczególnie jeśli uwzględnimy, że był magiem.

– Floszso, co się u ciebie znowu stało? – spytał zrzędlawie, gdy jak burza wpadłam do jego zagrożonego domostwa.

– Chwilowo nic – odparłam i podekscytowana zaczęłam krążyć po

pokoju. – Po prostu mam ochotę jeszcze raz sprawdzić twoją pamięć!

– Znowu grzebiez w jakichś starych sprawach? – Dziadek uniósł brwi. – Skąd w tobie nagle zamiłowanie do historii?

– Jeżeli moja teza się potwierdzi, to opowiem wszystko ze szczegółami – zapewniłam. – Na razie to tylko teoria wymagająca weryfikacji. Ale skoro nie masz ochoty mi pomóc, to chyba powinnam zwrócić się do kogoś innego. Będzie to dłużej trwało, ale...

– Floszszu, daj spokój z tymi gierkami! – Dziadek trzasnął ręką w podłokietnik fotela. – Jest to w jakiś sposób związane z tą śmierdzącą intrygą, w którą wpakowałaś się z czystej głupoty?

– Jeszcze nie wiem – odparłam. – Jeżeli wszystko jest właśnie tak, jak mi się wydaje, to tak, jest związane. Człowiek, którego szukam, może coś wiedzieć o tym dziwnym spisku. I wydaje mi się, że cała historia nie zaczęła się wczoraj ani dziś, tylko minimum kilka lat temu. Im szybciej zrozumiem, o co chodzi temu typowi, który próbuje skłócić ze sobą Arasten i Stalwię, tym większe szanse, że uda mi się mu przeszkodzić i samej przy tym nie ucierpieć.

– Floszszu, jesteś bardziej uparta od osła. – Dziadek z rezygnacją machnął ręką.

– Powtarzasz się – prychnęłam. – I możesz jeszcze powiedzieć, że powinnam wyjechać gdzieś daleko i poczekać, aż wszystko się samo rozwiąże.

– Już i tak zrozumiałem, że to nie zadziała. Mogę liczyć wyłącznie na to, że będziesz miała szczęście i nie skręcisz sobie karku. W końcu moich rad i tak nie chcesz słuchać!

W odpowiedzi mogłam się tylko uśmiechnąć, dziadek tak czy siak nie zaprzestanie prób przekonania mnie, ale pomoc pomoże – nie ma innego wyboru.

– To kogo tym razem szukasz? – pogonił mnie dziadek nadal niezadowolonym tonem.

– Pewnego człowieka – zaczęłam, wygodniej sadowiając się w fotelu, ale przerwał mi:

– No ja rozumiem, że nie konia!

– Wiesz co, w zasadzie nie odmówiłabym również znalezienia konia – zauważyłam, przez chwilę podziwiałam wyraz niezrozumienia na twarzy rozmówcy i kontynuowałam: – Kilka lat temu ten człowiek najprawdopodobniej mieszkał w Arastenie i pracował w królewskiej kancelarii, przy czym raczej nie był chłopcem na posyłki. Ze znaków szczególnych mogę podać tylko jeden, ale dosyć charakterystyczny: miał sztywne plecy, pewnie po ciężkim urazie. Poza tym, jeżeli możemy zaliczyć to do znaków szczególnych, posiadał karego weirena...

– Możesz na tym poprzestać. – Dziadek uniósł rękę, mimo że w zasadzie nic więcej nie miałam do powiedzenia. – Pierwsza część opisu jest bardziej niż wystarczająca. Mówisz, że służył w kancelarii...

Urwał i zmrużył oczy. Czekałam cierpliwie.

– Wergiusz Starsis, neir – powiedział w końcu. Faktycznie, oficjalnie zajmował stanowisko pomocnika starszego sekretarza królewskiej kancelarii. Ale tak na prawdę pracował w wydziale ochrony i podlegał departamentowi bezpieczeństwa państwowego.

Wyrwało mi się mimowolne gwizdnięcie.

– Uszkodził plecy, gdy wyrzucono go z okna poddasza wprost na bruk – ciągnął dziadek. – Co miało miejsce podczas wykonywania pewnego... hmm... wyjątkowo delikatnego zadania dla Jego Królewskiej Mości Arasta. Kto inny by umarł na miejscu, ale Starsis doczekał przybycia magomedyka. Zresztą każdy inny na jego miejscu na pewno zostałby kaleką... – Dziadek marzycielsko przymknął oczy. – Floszszu, to był wspaniały eksperyment,

wręcz rozkoszny... Magomedycy ze stolicy włosy sobie z głowy wyrywali, że nie mieli okazji być przy nim obecni.

– A czy mogę prosić o jakieś konkrety? – upomniałam się.

Czasami dziadek pogrążał się we wspomnieniach, na śmierć zapominając, że jego słuchacze nie mieli okazji być obecni przy opisywanych wydarzeniach.

– Ach, tak... Mówiąc pokrótce, Starsis miał poważnie uszkodzony kręgosłup. Pozostał przy życiu, ale na pewno nie dałby rady chodzić. I tamten magomedyk, który udzielał mu pomocy, zdecydował się na ryzykowny krok... Chociaż osobiście mam wrażenie, że Starsis mu po prostu rozkazał – dodał dziadek gwoli sprawiedliwości. – Zastąpił on uszkodzony kawałek kręgosłupa... można powiedzieć, że protezą. Nie pytaj mnie o szczegóły! – zastrzegł, widząc, że mam zamiar coś powiedzieć. – Sama wiesz, że na medycynie znam się tyle, żeby odróżnić żywego od trupa i udzielić pierwszej pomocy...

Stwierdzenie to kompletnie mijало się z prawdą. Pewne rzeczy umiał nawet lepiej ode mnie. Ale akurat to w tej chwili było niezbyt istotne.

– O dziwo, eksperyment zakończył się sukcesem i pacjent przeżył, a po jakimś czasie nawet stanął na nogach. Co prawda potem przez resztę życia musiał chodzić, nie zginając pleców. Dochodziło do śmiesznych sytuacji, bo przecież nie mógł nawet wykonać dworskiego ukłonu zgodnie z zasadami! Ale musisz przyznać, że to niewielka zapłata za to, by nie spędzić reszty życia w postaci rośliny.

– W zupełności się zgadzam – mruknełam, nieoczekiwanie przypomniawszy sobie Eryha Dorzhe’a. Ciekawie dlaczego w jego wypadku nie zastosowano identycznego sposobu... – A co się stało z tym medykiem? Pewnie zyskał spore powodzenie?

– Nigdy więcej o nim nie słyszałem – przyznał dziadek. – Kolegium go

potem długo szukało, sama rozumiesz, że to naprawdę ciekawy wynalazek... Ale on jakby pod ziemię się zapadł. Ludzie gadali, że wykończyli go konkurenci z własnego cechu. Niestety, nigdy więcej nie udało się powtórzyć eksperymentu, pewnie biedak znał jakiś sekret.

– Szkoda – stwierdziłam. – Ale odeszliśmy od głównego tematu. Co z tym Starsisem?

– A co ma być? – zdziwił się dziadek. – Jeszcze przez dłuższy czas służył w swoim departamencie i o ile mi wiadomo, kilka lat temu przeszedł na emeryturę z powodu stanu zdrowia, w końcu naprawdę miał już swoje lata. Ale nadal interesował się sprawami wydziału. W stolicy od dawna się nie pojawił, boby o tym wiedział. I to by było na tyle.

– Rozumiem... – mruknęłam. – Mam nadzieję, że jeszcze żyje, w przeciwnym razie będę niepokieszona!

– Gdyby umarł, ktoś by mnie o tym powiadomił. – zapewnił dziadek. – Ludzie gadają, że w ostatnich latach Starsis mieszka w swoim domu na przedmieściach, w znacznym odosobnieniu. Nigdy nie miał bliskich przyjaciół, skutki uboczne wykonywanego zawodu, że tak powiem...

„I tu się mylisz – zauważyłam w myśli. – Przynajmniej jednego przyjaciela Starsis miał, Ferenca Lagarsta. I chciałabym ja wiedzieć, o czym oni rozmawiali w trakcie tamtej ostatniej wizyty Starsisa w majątku Lagarsta!”

Zresztą jeśli Starsis jeszcze żył, to moje życzenie miało spore szanse się spełnić. Pozostawał drobiazg: odwiedzić delikwenta i nieco go przycisnąć. Pytanie tylko, czy będzie chciał podzielić się ze mną informacją...! Jeżeli Starsis przez całe życie pracował w wydziale ochrony, i to jeszcze w departamencie bezpieczeństwa państwowego, na pewno umiał trzymać język za zębami. Ale ja miałam w rękawie kilka asów i żywiłam głęboką nadzieję, że skłonią one staruszkę do mówienia.

– Pojadę do niego – poinformowałam dziadka. – Spróbuję porozmawiać. Mam nadzieję, że moje domysły się potwierdzą!

– No cóż... – mruknął. – Potem się podzielisz wrażeniami.

– Oczywiście – zapewniłam już na progu.

Zgodnie z posiadanymi przez dziadka informacjami obecnie Starsis mieszkał gdzieś na północnych przedmieściach Arastenu. Nie najgorsza dzielnica, przeważnie osiedlali się tam ludzie ceniący spokój i odosobnienie. Całkiem odpowiednie miejsce dla kogoś takiego jak on. Mogłam sprawdzić adres w kancelarii królewskiej, ale to kosztowałoby sporo czasu i papierkologii, a przy okazji wzbudziło niepotrzebne zainteresowanie ze strony całej masy ludzi. Znacznie łatwiej było samej pojechać na miejsce i przepytać sąsiadów, szczególnie że deszcz w końcu raczył przestać siąpić, a spomiędzy chmur nawet wyjrzało słońce.

Przy okazji, warto byłoby zabrać ze sobą Laurinne'a. Po pierwsze, jeżeli faktycznie dobrze zapamiętał gościa Lagarsta, to powinien rozpoznać Starsisa albo też powiedzieć, że to nie on (choć taki obrót sprawy byłby dla mnie bardzo nieprzyjemny). Jeżeli natomiast był to jednak Starsis i przyszyłoby mu do głowy zapierać się czy zaprzeczać, jakoby odwiedzał zesłanego oficera, to miałabym przy sobie żywego świadka tej wizyty. Co samo w sobie było niezłym atutem...

Zastanowiłam się nad trasą, po czym wysłałam ptaka po Laurinne'a. Pamiętając, że prosił o nieprzysyłanie wron, tym razem wybrałam wróbla. Mieliśmy spotkać się na obrzeżach miasta i stamtąd razem wyruszyć na poszukiwania Starsisa.

ROZDZIAŁ 23

Szpieg

Moja kobyła chyba uznała poprzednio osiągniętą prędkość za mocno przesadną, toteż tym razem niespecjalnie się wysilała i na miejsce przeznaczenia dotarłam lekko spóźniona. Natomiast porucznik jak zwykle okazał się punktualny i już czekał. Cokolwiek by mówić, zabawny dzieciak...

– Panno Naren... – Zasalutował.

– Laurinne, proszę sobie darować te ceremonie. – Machnęłam ręką. – Ruszamy. A przy okazji, mam nadzieję, że tym razem mój ptak nie obraził nikogo z pańskiego dowództwa?

Młodzieniec wziął moje pytanie na poważnie i pokręcił głową przecząco.

– Panno Naren, jeśli to nie tajemnica, dokąd jedziemy? – zapytał.

– Żadna tajemnica... – westchnęłam. – Dzięki nieprawdopodobnemu zbiegowi okoliczności udało mi się odnaleźć człowieka, który przed kilkoma laty odwiedził pańskiego ojca. A raczej: mam wielką nadzieję, że okaże się, iż to właśnie on – poprawiłam się.

– Myśli pani, że on... znaczy ten człowiek, mógł opowiedzieć ojcu coś takiego, co wzbudziło w nim zainteresowanie tamtą legendą? – to pytanie porucznikowi udało się sformułować prawie wyraźnie.

– Dokładnie tak. Niech pan sam pomyśli: najpierw wizyta tego gościa, a

muszę nadmienić, że wcale nie jest on zwykłym mieszczaninem... Potem pański ojciec z niezrozumiałego powodu sprowadza sobie z miasta bardzo drogą książkę i dokładnie studiuje jedną z legend. Potem...

– Potem był pożar – rzucił Laurinne.

– No właśnie... – zamilkłam na moment. – Muszę powiedzieć, że bardzo to wszystko dziwne. Ale nic... Zostawmy na razie domysły. Najpierw trzeba się upewnić, czy człowiek, którego szukamy, to właśnie on.

Odnalezienie domu Wergiusza Starsisa okazało się niezbyt trudne. Wystarczyło parę rissów i rozmowny piekarz opowiedział nam, jak dotrzeć na miejsce, a nawet dodał od siebie garść istotnych informacji. Z jego słów wynikało, że sam Starsis już od kilku lat nie pojawiał się na ulicy, pewnie chorował, a w domu rządziła ni to gospodyni, ni to jakaś krewna. No cóż, zobaczymy...

Dom Starsisa niczym nie wyróżniał się wśród sąsiadujących. Niewielki budynek, opleciony dziką larriką, przestronne podwórko, jakieś przybudówki. Sądząc z oznak, stajnia nie była pusta. Ciekawe, czy stał w niej kary weiren?

Na moje pukanie furtkę otworzył starzejący się sługa. Bacznie wypytał mnie o imię, status i cel wizyty, po czym podrapał się po potylicy i otworzył bramę.

– Niech szanowni państwo raczą poczekać – powiedział z szacunkiem. – Zamelduję pani...

Czekanie nie trwało długo, wkrótce wyszła do nas niewysoka, chudziutka kobieta o zmęczonej, spokojnej twarzy, wyjątkowo bezbarwna i zaledwie odrobinę zaniepokojona wizytą niezależnego maga–justycjariusza.

– Panna Naren? – zwróciła się do mnie. – Jestem Anija Starsis. Czemu zawdzięczam honor?

– Muszę zobaczyć się z Wergiuszem Starsisem – odparłam. – Wnioskuje,

że jest pani jego krewną?

– Tak, siostrzenicą – potwierdziła kobieta. – Obawiam się... Panno Naren, obawiam się, że w chwili obecnej wuj nie jest w stanie pozwalającym na przyjmowanie gości...

– Wielka szkoda. – Zmarszczyłam brwi. – Ale moja sprawa jest dosyć pilna. Myślę, że niezależnie od stanu pani wuja, gdy tylko pozna on cel mojej wizyty, to znajdzie w sobie siły, by odpowiedzieć na kilka pytań.

Kobieta wyraźnie się wahała.

– Tak więc czy mogę się zobaczyć z neirem Starsisem? – powtórzyłam z naciskiem.

– Tak, oczywiście – odparła w końcu. – Może go pani zobaczyć... Zapraszam, proszę za mną. Ars, zajmij się końmi państwa, znowu zaczyna padać, więc chyba warto zabrać je do stajni.

– Lepiej nie – powstrzymałam sługę, którzy rzucił się do mojej kobyły. – Jeżeli państwo pozwolą, to sama zajmę się moim koniem. Nie lubi obcych.

Anija skinęła głową i przygotowała się na cierpliwe czekanie. Złapałam wodze kobyły i poprowadziłam ją do bramy stajni. Porucznik ruszył moim śladem.

Moja Szarka nie przepadała za obcymi ludźmi, ale nie aż do tego stopnia, ja natomiast potrzebowałam pretekstu, by osobiście zajrzeć do stajni. Wprowadziłam kobyłkę do środka i zerknęłam dookoła. Koni było niewiele, Anija Starsis trzymała chyba tylko parę zaprzęgową i jeszcze jednego pod wierzch, sądząc z niezbyt reprezentacyjnego wyglądu, przeznaczonego wyłącznie dla służących. Ale poza tym w środku znajdował się jeszcze jeden wierzchowiec, na którego widok z radością zrozumiałam, że czas poświęcony na tę wizytę nie zostanie zmarnowany.

Kiedyś już wspominałam, że nawet w półmroku nie sposób pomylić weirena z żadnym innym koniem. Teraz przed moimi oczyma spokojnie stał i

z ciekawością spoglądał na gości właśnie jeden z nich, i to karej maści. Zresztą tylko człowiek całkiem pozbawiony wyobraźni mógłby nazwać go karoszem, skóra zadbanego i dokładnie wyczyszczonego konia lśniła srebrem, w słońcu efekt musiał być oszałamiający... Ale gdy podeszłam bliżej, zrozumiałam, że koń był bardzo stary, a jego pysk całkiem siwy.

– Jaki śliczny – powiedziałam, głaszcząc ciekawskiego weirena po jedwabistych chrapach.

– Oj, tak, a jaki był pięć lat temu! Jakbym powiedział, to szanowna pani by nie uwierzyła. – Stajenny był chętny do rozmowy. – Już wtedy nie był młody, a teraz to z niego prawdziwy staruszek. Prawdę mówiąc, kto inny już by go dawno wysłał do mydlarni, ale pani mówi, że jej szkoda...

– Mnie też by było szkoda – odezwał się Laurinne. W porównaniu z tym siwym pięknisiem jego gniady taien wyglądał jak zwykły worek z kośćmi, co dopiero mówić o mojej nierasowej kobyłce! – Pewnie swego czasu się napracował?

– Tak, stary pan to tylko na nim jeździł – westchnął stajenny. – Ile razy go chcieli kupić, jakie pieniądze obiecywali, ale nie sprzedał.

– A nie próbowali ukraść? – spytałam z czystej ciekawości.

– A jakże, pewno, że próbowali – uśmiechnął się stajenny. – Ale nic z tego. Jednego takiego złodzieja szary sam zdeptał...

– Dobry konik... – Uśmiechnęłam się i jeszcze raz pogłaskałam siwy pysk. – No cóż, Laurinne, chodźmy.

Ruszyłam w kierunku wyjścia, gdzie cierpliwie czekała na nas Anija Starsis z narzuconym na głowę kapturem płaszczka – deszcz znów się rozpadał.

– Panno Naren – szepnął porucznik, gdy tylko mnie dogonił. – Mogę się mylić, ale moim zdaniem to ten sam koń... A przynajmniej ma na pysku dokładnie taką szramę, jak pamiętam.

– Koń jako taki kompletnie nic nie znaczy – westchnęłam i podeszłam do gospodyni. – Przepraszam, że kazaliśmy pani czekać.

– Nic się nie stało – odpowiedziała bladym uśmiechem. – Zapraszam, zaprowadzę państwa.

Siostrzenica Starsisa stanowczo nie należała do osób rozmownych, może była to cecha rodzinna. Zaprowadziła nas na piętro i otworzyła usta tylko po to, by naciskając klamkę, powiedzieć:

– Proszę bardzo. To mój wuj.

Zatrzymałam się w progu, rozumiejąc już, że moje plany właśnie legły w gruzach. Chyba zapas szczęścia na dziś został wyczerpany...

Na szerokim łóżku nieruchomo leżał Wergiusz Starsis. Na dźwięk otwieranych drzwi do pokoju nawet nie drgnął. Najpewniej po prostu go nie zarejestrował. Niewidzące spojrzenie na wpół przymkniętych oczu skierowane było donikąd, z kącika ust ściekała błyszcząca nitka śliny. Na ten widok Anija podeszła i fachowym gestem dokładnie otarła wargi staruszka.

No tak, mogliśmy zobaczyć Wergiusza Starsisa, ale rozmowa z nim już nie bardzo wchodziła w grę.

– Od dawna jest w takim stanie? – spytałam mimo wszystko.

– Ponad trzy lata – po chwili namysłu stwierdziła Anija. – Nigdy nie skarżył się na zdrowie i ten paraliż kompletnie wszystkich zaskoczył. Chociaż pewnie takie rzeczy zawsze przychodzą niespodziewanie...

– Ponad trzy lata... – powtórzyłam z namysłem, spojrzawszy na porucznika. Przypadek czy... – A od jak dawna pani tu mieszka?

– Tutaj od chwili gdy wuj przeszedł na emeryturę i przeniósł się do tego domu – odparła spokojnie. – Wcześniej również prowadziłam mu gospodarstwo. Wuj zupełnie nie znał się na takich sprawach, a ja uznałam, że wolę pracować dla niego niż dla kompletnie obcych ludzi.

Zamilkła, a ja nie drażyłam tematu, pewnie życie osobiste jej się nie

ułożyło.

– Nie przypomina pani sobie, czy zanim wuj został sparaliżowany, nie dostawał przypadkiem listów? – spytałam. – Może jakieś nieoczekiwane odwiedziny, posłaniec?

– On zawsze dostawał listy – westchnęła Anija. – Czasami wydawało mi się, że ta jego emerytura to zwykłe udawanie. Jeśli idzie o gości... Nie, nie przypominam sobie. Wuj rzadko ktokolwiek odwiedzał, wolał sam jeździć do ludzi. – Spojrzała na staruszkę. – Często zdarzało mu się zniknąć na kilka dni.

– A jak to się stało? – wtrącił się Laurinne.

– Wieczorem wuj jak zwykle poszedł do siebie, siedział do późna – odrzekła Anija. – A potem nie pojawił się na śniadaniu. Otworzyłam drzwi... – wzdrygnęła się nieznacznie – a on leżał koło kominka, cudem nie trafił w ogień, jak padał... Oczywiście wezwałam magomedyka, ale powiedział, że wątpi, by udało mu się pomóc. I rzeczywiście nie pomógł...

– No cóż, bardzo to niefortunne... – wycodziłam przez zęby. Ech, Starsis, dlaczego nie mogłeś poskrzypieć jeszcze parę lat przynajmniej!

– Czasami odzyskuje przytomność – nieoczekiwanie dodała Anija – Na bardzo krótko... Poznaje mnie, próbuje mówić, ale... To się już od dawna nie zdarzyło. Obawiam się...

Nie dokończyła zdania, ale zrozumiałam: czas dany Wergiuszowi Starsisowi miał lada chwila dobiec końca. Z jednej strony to nawet lepiej – bo przecież kto życzyłby sobie takiego losu? Ale z drugiej... Kto teraz odpowie na moje pytania?

– Rozumiem – powiedziałam. – Neuro Starsis, a czy nie mogłaby pani na chwilę zostawić nas samych z wujem?

– Oczywiście. – Anija skinęła głową nadal z tym samym spokojem. Ta kobieta chyba nigdy niczemu się nie dziwiła. – Ale, panno Naren, jeżeli

mimo wszystko chce pani spróbować z nim porozmawiać, to nie ma to najmniejszego sensu. On nas nawet nie słyszy.

– Zobaczymy – stwierdziłam i wyczekująco spojrzałam na Anię, która cofnęła się i zamknęła za sobą drzwi.

Upewniłam się, że nie podsłuchuje, i odwróciłam do staruszka.

– Panie Starsis! – zawołałam, próbując wymacać przebłysk świadomości. Bez skutku. – Słyszysz mnie pan? Panie Starsis!

Nic, żadnego efektu.

– Panno Naren, i co teraz? – zapytał Laurinne cicho.

– A jak pan myśli? – burknęłam. – A przy okazji, poruczniku, pan go przecież poznał, czyż nie?

– Tak. – Młodzieniec rzucił krótkie spojrzenie na leżącego. – Oczywiście teraz koszmarnie wygląda, ale zaręczam, że to on wtedy przyjeżdżał do ojca. A poza tym koń...

– Czemu się pan przyczepił do tego konia? – rzuciłam niecierpliwie. – Proszę raczej pomyśleć o tym, że jedyny człowiek, który mógł rzucić jakiegokolwiek światło na wydarzenia, nie może powiedzieć ani słowa!

Usiadłam wprost na brzegu łóżka Starsisa i wpadłam w głębokie zamyślenie. Fakt, miałam teraz całkiem zgrabną wersję, szkoda tylko, że również żadnych szans na jej sprawdzenie, wszyscy uczestnicy tamtej historii albo nie żyli, albo znajdowali się w drodze na tamten świat. Co prawda pozostawał mi jeszcze Laurinne, ale co z tego?!

– Panno Naren, ale kim właściwie jest ten człowiek? – odezwał się porucznik, którego zmęczyło milczenie.

– Wergiusz Starsis – odparłam chmurnie. – Służył w wydziale ochrony, departament bezpieczeństwa państwowego. Kilka lat temu przeszedł na emeryturę, ale chyba dalej interesował się sprawami wielkiego świata. Chciałabym wiedzieć, co przywiało go do waszego majątku i o czym

rozmawiali z pańskim ojcem.

– Ale... Nie ma pani w ogóle żadnych pomysłów? – zapytał Laurinne. Spojrzałam na niego z góry.

– Pomysły to ja mam zawsze – odparłam powoli. – I wydaje mi się, że Ferenc Lagarst był jedynym człowiekiem, z którym Starsis mógł podzielić się swoimi podejrzeniami... albo nawet nie podejrzeniami, tylko przecuciami. Ale też wie pan, ludzie tacy jak on zwykle nie mają przecuć ni z gruszki, ni z pietruszki...

– Czyli Starsis dowiedział się czegoś dziwnego? – powiedział Laurinne. – Czegoś, co go... przestraszyło?

– Nie wiem, czy przestraszyło, ale na pewno zaniepokoiło. Poruczniku, ciekawi mnie jedna rzecz: czy pański ojciec przypadkiem nie miał jakichś kontaktów z wydziałem ochrony?

– Panno Naren, nie mam pojęcia. – Pytanie wyraźnie go zaskoczyło.

– Rozumiem, skąd miałby pan wiedzieć – westchnęłam. Przy okazji trzeba będzie sprawdzić ten wątek, najprościej pytając Arneliusza przy kolejnym spotkaniu. Wyglądało to całkiem logicznie, z kompletnie postronną osobą Starsis nie miał po co dzielić się swoimi wątpliwościami. – Tak czy owak, coś pańskiemu ojcu opowiedział, coś ważnego... A ten z jakiegoś powodu kupił tamtą książkę i długo studiował legendę o Naorze.

– Czyli Starsis mógł zrobić jakąś aluzję związaną z Naorem? – porucznik wykazał się niebywałą pomysłowością.

– Bardzo prawdopodobne. Albo pański ojciec sam doszedł do jakichś wniosków.

I pewnie próbował skontaktować się ze Starsisem. Chyba nie zabroniono mu prowadzenia korespondencji?

– Nie zabroniono – potwierdził Laurinne. – Tylko mało kto do niego pisał...

– To nieistotne. – Machnęłam ręką. – Najważniejsze, że on mógł napisać list do Starsisa, a list ten dotarł do adresata. Z tym że po drodze mógł zostać przeczytany jeszcze przez kogoś. Bo wasz majątek był obserwowany, wiedział pan o tym?

– I... co z tego? – porucznik nie zrozumiał. – Co dalej?

– Dalej, jak sam pan powiedział, był pożar – rzuciłam.

Nagle do głowy przysłała mi pewna bardzo nieprzyjemna myśl. Niestety, nie wszystkie robocze hipotezy koniecznie muszą być przyjemne.

– Laurinne, proszę mi powiedzieć, czy wiedział pan, że pański ojciec bawił się w nekromagię?

– Co...?! – Porucznik, który oglądał drobiazgi stojące na półce nad kominkiem, odwrócił się w moim kierunku. Jego twarz nagle straciła wszystkie kolory i wyróżniały się na niej tylko oczy: wielkie i w jednej chwili pociemniałe.

– Pytam, czy wiedział pan, że pański ojciec, a najpewniej również starszy brat praktykowali nekromagię – powtórzyłam cierpliwie.

– Nie... – Laurinne przełknął ślinę i nagle wybuchnął: – To niemożliwe!

– Niestety, możliwe – westchnęłam. – Poruczniku, to, co pańska matka nazywała losem czy przekleństwem, było wyłącznie zaklęciem kary skierowanym przeciwko ludziom, którzy złamali zakaz wykorzystania pewnych rodzajów magii. Zaklęcie to trafia całą rodzinę przestępcy, wszystkich... – Zacięłam się na chwilę, nie chcąc zdradzić Arneliusza. – Wszystkich, w których płynie jego krew, wliczając w to dzieci i wnuki.

Laurinne milczał. Zresztą nie zauważyłam szczególnego szoku. Wyglądał raczej jak człowiek, któremu udało się w końcu połączyć wszystkie elementy układanki.

– Czyli to tak... – mruknął. – A ja się cały czas zastanawiałem... co to za przekleństwo, po co? Ale... – Porucznik spojrzał mi w oczy. – Panno Naren,

ojciec nie robił niczego podobnego. Zauważyłbym!

– Możliwe, że nie chciał pana w to wciągać. Szczerze mówiąc, wygląda na to, że niewiele pan o nim wiedział.

– O czymś takim bym wiedział – powtórzył uparcie. – Gdyby on i Lucjusz próbowali coś przede mną ukryć, wiedziałbym to, ja...

Nieoczekiwanie zaczął opowiadać wszystko, co pamiętał o ojcu – chaotycznie, co rusz gubiąc wątek i płacząc się, wybiegając kilka lat do przodu, to znów cofając się. Było to dziwne i nie na miejscu przy łóżku chorego starca, ale nie przerywałam, a nawet poczułam zainteresowanie. Zetknęłam się z Lagarstem na bardzo krótki czas, ale to wystarczyło, bym wyrobiła sobie opinię. Wydał mi się nieco skryty, ale też bystry, mądry i zadziwiająco kochający życie – i to w jego sytuacji! To, co usłyszałam od Laurinne’a, a jeszcze wcześniej od Jego Królewskiej Mości, w żadnej sposób nie kłóciło się z moimi wrażeniami. Ferenc Lagarst nie wyglądał na człowieka zdolnego uwieść niepełnoletnią córkę towarzysza broni ani na kogoś, kto pakowałby syna w nekromagiczne gierki. Przywykłam ufać swojej intuicji, która nader rzadko mnie zawodziła. Teraz też nie miałam powodów, by ignorować jej głos.

Laurinne urwał swój nieskładny monolog w pół słowa, widząc chyba, że się rozproszyłam.

– Nie wierzy mi pani? – zapytał.

Spojrzałam w chmurne szare oczy i nieoczekiwanie powiedziałam zupełnie coś innego, niż miałam zamiar:

– Wierzę – i dodałam to, co już od dłuższej chwili nie dawało mi spokoju: – Dookoła pańskiego ojca wydarzyło się zbyt dużo niezrozumiałych rzeczy, poczynając od jego zesłania i kończąc na oskarżeniu o praktykowanie sztuk zakazanych.

– Ja... – Laurinne westchnął, jak gdyby nie wierząc własnym uszom. – Ja

próbowałem z nim rozmawiać... po pożarze. Ale on nigdy nie powiedział, za co go wygnano...

– Ale pan wie – rzuciłam tonem twierdzącym.

– Tak. – Porucznik zaczął obracać w palcach jakąś figurkę. – Opowiedziała mi matka. O tym, co napisali w wyroku. Ale ona w to nie wierzyła, rozumie pani?! On nie mógł... nie mógł...

– Ja również w to nie wierzę – stwierdziłam i była to całkowita prawda. – Wydaje mi się, że Ferenc Lagarst został wrobiony, tylko nie bardzo rozumiem, kto i po co to zrobił.

Najpewniej był to ktoś, kto oczekiwał, że Ferenc zostanie stracony. Jednak Arneliuszowi udało się uratować życie rywala i tajemniczy osobnik przyczaił się, zadowolając usunięciem Lagarsta ze sceny.

Potem zesłany oficer znowu zrobił coś, co zagroziło jego tajemniczemu wrogowi. I owym czymś niewątpliwie była próba wysłania listu do Wergiusza Starsisa. Ale do czego w takim razie doszedł Lagarst?!

I oto zaraz pada oskarżenie o uprawianie nekromagii, zakłęcie kary, śmierć bliskich osób... Lagarst musiał być zamieszany w coś bardzo interesującego. Gdyby tylko żył! Ale, niestety, dopiero co przeniósł się na lepszy ze światów, a Starsis nie mógł rozjaśnić mroków naszej niewiedzy.

– Chyba lepiej będzie w tym nie grzebać – nieoczekiwanie rzucił Laurinne.

– Dlaczego? – spytałam.



– Jeżeli to prawda... że ojciec został fałszywie oskarżony... – Porucznik podniósł na mnie oczy i mimowolnie zauważyłam, jak dorosłe wydawało się

w tej chwili jego spojrzenie. – Jeżeli komuś przeszkadzał... A ten ktoś miał możliwość zorganizować najpierw zesłanie, a potem zakłęcie kary! Panno Naren, to przecież musi być ktoś bardzo wpływowy, nie sądzi pani?

Skinęłam głową twierdząco. Było w tym sporo racji. Powiedzmy, że każdy w miarę znający się na swojej robocie dworak mógł spreparować poszlaki wystarczające do zesłania Lagarsta. W końcu nie jest to aż takie trudne. Ale zakłęcie kary... Tutaj oskarżenie nie mogło być gołosłowne i opierać się o jakiś durny liścik! Potrzebne były dowody, a skoro zostało zastosowane zakłęcie, dowody takie musiały się znaleźć! Oskarżyciel musiałby być mistrzem w swoim fachu, by przedłożyć fałszywki, które wystarczyłyby do przekonania Kolegium. Albo też... Pstryknęłam palcami – oczywiście! W oskarżenia pochodzące od kogoś z zewnątrz Kolegium tak po prostu nie uwierzy, to pewne. Ale słowa kogoś ze swoich, szczególnie jeśli ten ktoś był wystarczająco poważany, zostałyby sprawdzone znacznie mniej dokładnie. Czyli tajemniczy nieznajomy (lub nieznajoma) wchodził w skład przynajmniej Małej Rady Kolegium. Albo też miał wpływ na któregoś z jej członków. Nie ma to jak dobra wiadomość!

„O ile prościej byłoby od razu uwierzyć w winę Lagarsta i zapomnieć o sprawie raz na zawsze!” – pomyślałam. No tak, może i prościej, tylko że całkiem niebezzasadnie zakładałam, że człowiek, który z takim uporem próbował zmusić Ferenca Lagarsta do milczenia, mógł mieć jakiś wpływ na obecne wydarzenia.

– Panno Naren, a on...? – Laurinne skinął w kierunku Starsisa. – Jego też... próbowali się pozbyć?

Chwilę milczałam.

– Wydaje mi się, że tak – oznajmiłam w końcu. – Ale mam wrażenie, że nie zdążyli. Pamięta pan, jego siostrzenica powiedziała, że Starsisa znaleziono koło kominka? Mam wrażenie, że otrzymał wieści o tym, co stało

się z waszym majątkiem. Mało prawdopodobne, by pismo zawierało jakieś szczegóły co do tego, kto pozostał przy życiu. – Rzuciłam spojrzenie na bezwładnego staruszka. – Starsis nie był już młody, wiek plus zdenerwowanie... Ta wiadomość oraz świadomość tego, że on i Lagarst zostali wykryci, jak najbardziej wystarczyła, by dostał udaru.

– A listu nikt nie znalazł, ponieważ mógł wrzucić go do kominka? – Laurinne ponownie przyjemnie mnie zdziwił.

– Całkiem prawdopodobne. – Wzruszyłam ramionami. – Ale nadal są to tylko hipotezy, poruczniku. Tylko i wyłącznie hipotezy...

– W takim razie dlaczego... dlaczego człowiek, który oskarżył ojca o to wszystko, nie doprowadził sprawy do końca? Mam na myśli... znaczy... przecież ojciec pozostał przy życiu.

– Wydaje mi się, że w pojedynkę nie stanowił żadnego zagrożenia dla zamysłów naszego tajemniczego spiskowca – odparłam. – Nie miał prawa opuszczać majątku, a nawet jeśli, to nie bardzo miał możliwości. Listy na pewno były dokładnie kontrolowane, wysłany goniec z ustną wiadomością również mógł zostać złapany. Nie, pański ojciec już w niczym nie mógł mu przeszkodzić...

Laurinne milczał smętnie.

– A najmniej przyjemny w tym wszystkim jest fakt, że nadal nie wiemy kompletnie, ale to kompletnie nic – stwierdziłam w końcu. – Starsis był moją ostatnią nadzieją, ale...

– Panno Naren... – Porucznik gapił się gdzieś poza mnie z otwartymi ustami.

Odwróciłam głowę i nie uwierzyłam własnym oczom: Wergiusz Starsis patrzył wprost na mnie, i to nie poprzednim szklanym spojrzeniem, tylko jak najbardziej rozsądnym, a do tego próbował coś powiedzieć.

– A... ja... – dosłyszałam. – Ani...

– Chce pan, żebym zawołała jego siostrzenicę? – spytałam szybko, pochylając się nad nim, po czym ryknęłam przez ramię: – Laurinne!

– Już!

Trzasnęły drzwi i usłyszałam, jak porucznik woła Anię Starsis.

– Panie Starsis, zna mnie pan? – mówiłam szybko. – Jestem Flossia Naren, niezależny mag–justycjariusz. Młodzieniec ze mną to syn Ferenc Lagarsta. Muszę wiedzieć, czego pan i Ferenc się domyśliliście. Bo on przecież coś panu napisał? Otrzymał pan od niego jakiś list?

Słaby ruch głowy mógł przy pewnej dozie dobrej woli zostać uznany za potwierdzające skinienie głowy.

– Zachował się?

Ponownie ten sam gest.

– Czy to, o czym z Ferencem rozmawialiście, było jakoś związane z magiem o imieniu Naor?

– Nnnie... – Po podbródku Starsisa znowu ciekła ślina. – Nnnie... Fffere...

– Niezwiązane? – próbowałam zrozumieć jego mamrotanie.

– Fffere...

– Czyli jednak związane? Podzielił się pan z Ferencem swoimi podejrzeniami, a on doszedł do czegoś więcej? Tak?

Ponownie twierdzące skinienie głowy.

– On... – zastanowiłam się. – Czy Ferenc zrozumiał, jakie są prawdziwe cele tego człowieka?

Starsis patrzył wprost na mnie, dyszał płytko i często, widać było, że ta wymuszona niemota straszliwie go męczy.

– Został zesłany dlatego, że powziął jakieś podejrzenia? – spytałam, nie bardzo licząc na odpowiedź.

– Mmma... – staruszek znowu spróbował coś powiedzieć, ale nagle

otworzyły się drzwi, przez które do pokoju wbiegli Laurinne i Anija Starsis.

– Wuju!

– Ani... – uwaga staruszka skierowała się na nią. – Anni...

– Wuju, słucham cię! – Anija padła na kolana u wezglowia łóżka.

– Anni... osta... wola – mówienie przychodziło Starsisowi z ogromnym trudem, ale teraz słowa były trochę wyraźniejsze.

– Twoja ostatnia wola? – domyśliła się Anija.

– Osta... wola... – powtórzył, patrząc wprost na siostrzenicę, po czym przeniósł spojrzenie na mnie. – Ani... oni... papie...ry... oni...

– Chcesz, żebym oddała twoje papiery panie Naren? – Anija zmarszczyła brwi. Chyba przyzwyczała się rozumieć wuja w chwilach, gdy przebłyski świadomości występowały częściej.

Sądząc z wyrazu twarzy starca, siostrzenica pojęła wszystko właściwie.

– Pa...piery... – powtórzył. – Oni... papiery... wszy–skie... sin... wszys–kie... papiery... tam...

Jego szczęka poruszyła się po raz ostatni i zamarła. Spojrzenie, które również zatrzymało się na zawsze, uciekło w kierunku sufitu.

Anija po chwili wahania podniosła się, chwilę stała, patrząc na wuja, po czym delikatnie zamknęła mu oczy.

– No i tyle... – powiedziała spokojnie i spojrzała na mnie. – Panno Naren, słyszała pani ostatnią wolę mojego wuja. Może pani zabrać jego papiery. Wszystkie przechowywane są tutaj i w sąsiednim pokoju, tam miał gabinet... – Szybko otarła łzę. – Ja muszę wydać polecenia... Przepraszam bardzo.

Kobieta szybkim krokiem wyszła z pokoju. Ja i Laurinne spojrzeliśmy po sobie.

– Nie traćmy czasu – rzuciłam. – Pan zabiera się do szafy z książkami, a ja szukam w biurku. Proszę uważnie przeglądać książki, mogą tam być

włożone jakieś kartki.

– Ale, panno Naren...

– Poruczniku, szybko – powtórzyłam tonem, który tłumiał protesty w zarodku. – Słyszał pan ostatnią wolę zmarłego.

Do chwili, gdy przyszli służący, którzy mieli zająć się ciałem Starsisa, ja i Laurinne zdążyliśmy przetrząsnąć zarówno sypialnię, jak i gabinet, ale nie znaleźliśmy nic wartościowego, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Ani korespondencji, ani dziennika... Sprawdziłam, w pokojach zamontowano skrytki, ale nie było w nich żadnych dokumentów. Za pozwoleniem Anii szybko przeszukaliśmy również inne pomieszczenia, ale tam również nic nie znaleźliśmy.

– No dobrze, przejrzę to wszystko w domu – rzuciłam, zbierając znalezione papiery, których było wcale nie tak mało, do pulchnej teczki. – Poruczniku, niech pan to trzyma i stara się nie zgubić. Chodźmy.

Pożegnaliśmy się z Anią Starsis, która bynajmniej nie wyglądała na przygniecioną smutkiem, ale w sumie to nic dziwnego, po czym udaliśmy się do stajni. Stajenny stał przy karym weirenem i delikatnie głaskał konia.

– Jakoś on się dziwnie zachowuje – powiedział na nasz widok. – Może cudze wierzchowce się nie podobają? Ale przecież wcześniej nie widziałem, żeby tak reagował...

– Neir Starsis nie żyje – rzuciłam krótko, kierując się ku swojej kobyle.

– Oż ty... – Stajenny pokręcił głową i znowu poczochnął końską grzywę.

– Czujesz, że nie ma już pana, co, Sin?

– Co powiedziałaś? – Nadstawiłam uszu.

– Mówię, że on pewnie czuje, że pan nie żyje – powtórzył stajenny.

– Nie, chodzi mi o to, jak nazwał konia... – Zmarszczyłam brwi.

– A, to on się przecież Sin nazywa.

„Papiery... wszystkie... sin... wszystkie... papiery... tam...” – zabrzmiało mi w głowie. Czy mogło być tak, że Starsis próbował powiedzieć...

– A przy okazji, pani cię wołała – powiedziałam stajennemu.

– Już idę. – Skinął głową. – Szanowni państwo sobie poradzą z końmi?

– Nie pierwszozna – odparłam. – Damy sobie radę...

Gdy tylko wyszedł na dwór, rzuciłam się ku weirenowi. Starsis kochał tego konia, często u niego bywał i nikogo to nie dziwiło. Dlaczego stajnia nie miałyby okazać się dobrym miejscem na przechowywanie ważnych papierów? W domu szukano by ich w pierwszej kolejności, a tutaj to najpierw trzeba się domyślić! Gdzie Starsis mógł urządzić skrytkę? Nie, przetrząśnięcie całości zajmie zbyt dużo czasu, prościej użyć czarów. Wyczulone na magię konie zaczęły się denerwować. Jedyne moja kobyłka ograniczyła się do położenia po sobie uszu, ale ona miała bogate doświadczenie.

– Laurinne, niech pan przytrzyma konia! – rozkazałam, pamiętając o stratowanym złodziejaszku, po czym wkroczyłam do boksu weirena.

Młodzieniec bez słowa złapał ogłowie i zaczął głaskać wierzchowca po szyi. Ja padłam na kolana – podniesienie zmyślnie umocowanej deski zajęło sekundę...

Porucznik, który do tego momentu ze zdumieniem obserwował moje działania, wytrzeszczył oczy na widok wyciągniętej ze skrytki płaskiej szkatułki, w jakiej przechowuje się listy, dokładnie owiniętej natłuszczoną tkaniną. Nie miałam czasu, by sprawdzać, co jest w środku, stajenny mógł wrócić w każdej chwili, więc pośpiesznie zamknęłam skrytkę.

Zdażyłam wepchnąć szkatułkę do torby przy siodle w ostatniej chwili przed powrotem parobka.

– Szanowni państwo się pomylili – powiedział. – Pani mnie nie wołała.

– To w takim razie coś przekręciłam, przepraszam cię bardzo –

westchnęłam, wyprowadzając kobyłę na podwórze. Miałam ochotę na pożegnanie pogłaskać starego konia, ale uznałam, że nie będę wracać. – Laurinne, jedziemy.

– Tak jest, panno Naren.

Już siedząc w siodle, omiotłam spojrzeniem podwórze. Miałam wrażenie, że ktoś się na mnie gapi. Ale nic, nikogo, tylko na płocie tkwiła oblazła wrona. Czy to przypadkiem nie ta sama, która kręciła się przy moim podwórzu? Ciekawostka... Czyżby mnie, paskuda jedna, szpiegowała?! To wyjaśniałoby, dlaczego ten przekłety ptak mókł na deszczu, zamiast schować się gdzieś, jak cała reszta pierzastej zgrai.

Może to tylko moja wyobraźnia się rozszalała, ale nie miałam prawa wykluczyć takiej możliwości. Czyli ktoś do tego stopnia był ciekaw, czym się zajmowałam i gdzie bywałam, że nie żałował czasu i wysiłków, by nasłać na mnie szpiega? I to jakiego! Kto by podejrzewał niewinnego ptaka? Powinien był wybrać bardziej przyzwoicie wyglądającą wronę, bo ta obskubana stanowczo za bardzo rzucała się w oczy.

– Laurinne, czego pan tam sterczy? – rzuciłam z pretensją, popędzając konia. – Proszę nie zostawać w tyle!

– Tak jest, panno Naren... – Porucznik dogonił mnie i ulokował się obok, rzucając w moim kierunku niepewne spojrzenia. – A proszę mi powiedzieć, czy...

– Laurinne, czy pan może przynajmniej na chwilę zamilknąć? – Rzuciłam się na niego, nawet nie próbując zniżyć głosu. – I bez pana mam dosyć problemów! Proszę łaskawie zamknąć usta i jechać w ciszy!

Chłopak spojrział na mnie z urazą, ale zamknął się. W milczeniu dojechaliśmy do mojego domu. Przekazałam konia Dimowi, po czym usiadłam wprost na ganku. Deszcz postanowił być uprzejmy i przestał lać. Porucznik, nadal wyglądając na uosobienie obrażonej niewinności, usiadł na

schodkach obok. Zbierałam kamyczki i rzucałam je do kałuży przy bramie. Trzeba powiedzieć Dimowi, żeby zasypał ją żwirem...

W końcu doczekałam się, wrona wyfrunęła skądś zza domu i zajęła swój posterunek obserwacyjny na drzewie przy bramie. Laurinne prześledził moje spojrzenie i zmarszczył brwi. Domyśli się czy nie?

– Panno Naren – zaczął znowu – i co teraz zrobimy?

– Poruczniku, pojęcia zielonego nie mam – burknęłam. – To była ostatnia nitka i ona również się urwała. – W udawanej złości uderzyłam się pięścią w kolano. – Dlaczego ten staruch nie mógł przetrzymać jeszcze chociaż kwadransa?!

– Pewnie tak bardzo się zdenerwował, że... znaczy nie wytrzymał – westchnął Laurinne. Idąc za moim przykładem, zaczął zbierać kamyczki i rzucać, tylko celował nie w kałużę, lecz w słup przy bramie.

– To koszmar, poruczniku, po prostu koszmar – jęknęłam. – Przecież on nie powiedział mi nic, kompletnie nic! A ja tak bardzo liczyłam...

– I co pani teraz zrobi?

– Nie mam pojęcia – odparłam chmurnie. – Chyba nie został już żaden żywy świadek. Czyli pozostaje mi tylko zapomnieć o sprawie... To hańba dla mnie, po prostu hańba.

– Ale, panno Naren, to przecież nie było oficjalne dochodzenie – pocieszył mnie Laurinne. – Nikt się nie dowie.

– Wystarczy, że ja sama o tym wiem! – prychnęłam. – Poruczniku, czy to drzewo pana w jakiś sposób uraziło?

Laurinne istotnie zmienił cel na drzewo przy bramie, za każdym razem ciskając coraz wyżej i wyżej.

– Tak się tylko zastanawiam, uda mi się trafić tę wronę czy nie – rzucił w zamyśleniu.

– A co panu zrobił ten biedny ptak? – spytałam chmurnie.

– Wie pani, po prostu nie cierpię wron – odparł. – Mam przecież pokoje pod samym dachem, a te paskudne ptaszyska bladym świtem urządzają taki raban, że martwego mogłyby obudzić!

Mówiąc to, porucznik wybrał trochę większy kamień i gwałtownie, prawie bez zamachu rzucił go w kierunku przedmiotu dyskusji. Zwykły ptak zdążyłby wznieść się do lotu, ale ten, a raczej osobnik nim sterujący, był tak bardzo ciekaw końca naszej rozmowy, że nie zdążył się uchylić. Pocisk trafił i oblazła wrona z ochrypłym krakaniem runęła gdzieś na ziemię po drugiej stronie bramy.

– Zadowolony pan? – spytałam ponuro. – W takim razie chodźmy do środka, czas na obiad.

– Nie jestem... – Laurinne zaczął protestować, ale boleśnie ścisnęłam jego ramię.

– Jest pan – powiedziałam cicho. To, że wrona nie mogła nas już widzieć, nie oznaczało jeszcze, że nie mogła nas słyszeć. – Proszę wstać i idziemy.

Tylko w domu mogłam się rozluźnić – miał wystarczającą ochronę, bym nie musiała obawiać się tego typu szpiegów.

– Poruczniku, doskonała robota – pochwaliłam go szczerze. – Jak się pan domyślił?

– Znaczy... – Zapytany patrzył na czubki swoich butów. – Panno Naren, znaczy... czasem się pani zdarzy... tego... powiedzieć coś gwałtownego... Ale żeby tak bez najmniejszego powodu – po prostu nie pamiętam. Czyli miała pani jakiś powód mnie zrugać... A potem zobaczyłem, jak patrzy pani na tego ptaka...

– Doskonale – rzuciłam radośnie. – Scenka udała nam się nad podziw. Nie wiem, czy osoba, która mnie śledziła, uwierzyła w całość tego przedstawienia, ale pozostaje nadzieja na lepsze.

– Panno Naren, a co ze szkatułką? – przypomniał Laurinne.

– Zaraz zobaczymy – odparłam. Szkatułka została już przyniesiona do domu przez Dima, który schował ją w słomie do rozpalania kuchennego paleniska. Jak dobrze jest mieć służących, którzy nie zadają zbędnych pytań: Rima przekazała stajennemu polecenie, a on wykonał je bez słowa. – Co prawda nie wydaje mi się, żeby w listach, o ile faktycznie są tam jakieś listy, było otwarcie napisane o domysłach pańskiego ojca.

Papierów w szkatułce było całkiem sporo. Później miałam zamiar dokładnie przejrzeć wszystkie, ale w tej chwili zwracałam uwagę głównie na te z najpóźniejszymi datami. Starsis, niech będą mu za to wielkie dzięki, przechowywał nie tylko zasługującą na uwagę korespondencję przychodzącą, ale też brudnopisy własnych listów, co znacznie ułatwiało mi pracę.

Ale dokładnie tak, jak podejrzewałam, ostatni list Ferenca Lagarsta nie zawierał kompletnie nic podejrzanego. Nie żebym spodziewała się innego wyniku, po drodze przesyłka na pewno została sprawdzona przez wielu ludzi, zaczynając od pracowników wydziału ochrony wyznaczonych do pilnowania majątku, a kończąc na szpiegach tajemniczego spiskowca. Lagarst z pewnością to rozumiał, jak również to, że każdy szyfr mógł zostać rozpracowany. Nie sądziłam też, by korzystał z niewidocznego atramentu, ujawniającego się przy nagraniu czy użyciu specjalnego środka, takie sztuczki również były doskonale znane specjalistom. Nie, jeżeli te listy zawierały jakąkolwiek wartościową informację, została ona schowana w sposób nietradycyjny. Oczywiście Starsis musiał go znać, ale, niestety, zza grobu już nie mógł odpowiadać na niczyje pytania...

– Nic z tego, poruczniku, tak z marszu nic nie zrozumiemy – przyznałam z żalem, odkładając papiery. – Trzeba się dobrze zastanowić.

– Rozumiem... – westchnął Laurinne.

– A skoro pan wszystko rozumie, to możemy pójść i zająć się obiadem. I bardzo proszę, niech pan przestanie się krygować. Proszę uznać to za manewr

taktyczny.

– Tak jest, panno Naren – odparł młodzian chmurnie.

Zdążyłam już zauważyć, że niechęć do jedzenia na cudzy rachunek rozrosła się w jego przypadku do skali manii. Jak człowiek mógł być tak... hm... trudno mi tak od razu znaleźć na to właściwy przymiotnik! Jednym słowem, odpowiednie miejsce dla osobnika tego pokroju to jakiś klasztor pokutników, a nie gwardia królewska.

Przy obiedzie do głowy przyszedł mi jeszcze jeden pomysł, z tych niezbyt przyjemnych, niemniej jednak całkiem ciekawych. Czy możliwe było, by Ferenc Lagarst zrozumiał, że jego zamiary zostały wykryte, jedyny przyjaciel wyeliminowany z gry – wcześniej czy później musiał dowiedzieć się o losie Starsisa – i po prostu się poddał? Raczej nie, zupełnie nie leżało to w jego charakterze. I założyłabym się, że starszy syn również był zamieszany bynajmniej nie w sztuki zakazane. Najpewniej Lagarst wtajemniczył go w sprawę, a może nawet chciał wykorzystać jako łącznika pomiędzy sobą a Starsisem. Chociaż akurat do roli posłańca bardziej nadawałby się nieślubny syn z kucharką, w końcu kto podejrzewałby cokolwiek dziwnego w tym, że dzieciak ze wsi rusza do miasta, powiedzmy, na jarmark? Bo pierworodnego na pewno całkiem uważnie śledzono... Ale zarówno Lucjusz Lagarst, jak i tamten chłopak, którego imienia ostatecznie nie poznałam, zginęli w pożarze. Starsis odpadł, ale mógł mieć jakichś następców, pewnych ludzi w wydziale ochrony, którzy również wtajemniczeni byli w tę historię. Lagarst mógł mieć nadzieję na przekazanie im wiadomości, ale w jaki sposób?

Popatrzyłam na porucznika.

Lagarstowi pozostał tylko jeden syn, do tego – zapewne o tym wiedział – nie z jego krwi. I co z tego wynikało? Dlaczego Lagarst nie wciągnął go do tej sprawy?

Czyżby pożałował go, rozumiejąc, że naiwny dzieciak, który w dodatku

nie potrafi kłamać, zostanie złapany w jednej chwili, zanim dotrze do adresata? Po czym osoby zainteresowane z łatwością wyciągną z niego wszystkie szczegóły...

– Niech pan posłucha... – zagaiłam. – A kto zdecydował, że powinien pan rozpocząć służbę w gwardii, pan, czy może pański ojciec?

– Ja – odparł porucznik, rzucając mi zdumione spojrzenie. – Ojciec nie chciał, żebym wyjeżdżał, przekonywał do pozostania, ponieważ... znaczy... w ogóle... Uważał, że życie w stolicy nie jest dla mnie, mam niewłaściwy charakter, żeby się wdzięczyć albo wspinać po cudzych plecach, a bez pieniędzy i kontaktów niczego tu nie osiągnę...

– Obstawiam, że już się pan przekonał, że miał rację? – Uniosłam brew.

– Ale przecież jakoś sobie poradziłem – stwierdził Laurinne z uporem. – I mam nadzieję, że uda mi się awansować przynajmniej na kapitana!

Stłumiłam uśmiech. Lagarst był bardzo mądrym człowiekiem. Mógł po prostu rozkazać, by syn został w domu, i ten by niewątpliwie posłuchał. Tymczasem on po prostu zwątpił w zdolność swojego potomka w kwestii możliwych osiągnięć życiowych, podejrzewałam też, że zwątpił bardzo zgrabnie. Dokładnie na tyle, żeby chłopaczkę zapalił się do udowodnienia ojcu, w przeszłości doskonałemu oficerowi, że też się do czegoś nadaje. Oj, tak, Lagarst doskonale wiedział, jak bardzo uparty i konsekwentny jest jego przybrany syn, zyskał więc pewność, że młodzieniec nie ucieknie z powrotem do rodzinnego majątku po napotkaniu pierwszych trudności. I miał rację.

Ale na co on w tym wszystkim liczył? Najpewniej chciał, by w mieście Laurinne poznał właściwych ludzi, przez których można było trafić na kogoś godnego zaufania. Ale jak planował tego wszystkiego dopilnować?

– Poruczniku, pański ojciec na pewno dawał panu jakieś rady co do tego, z kim w stolicy warto się przyjaźnić, a kogo należy unikać? – zauważyłam

niby mimochodem.

– Oczywiście. Jak zwykle. Mówił, żeby trzymać się z daleka od bogatych dzieciaków, nie grać w gry hazardowe, nie przesadzać z piciem, starać się nie wspierać żadnej z frakcji politycznych... Panno Naren, sama pani wie, jak to jest.

Miał rację, wiedziałam. Przy dworze zawsze tworzyły się koalicje, partie, frakcje popierające tego lub tamtego szlachcica. Trzymanie się z dala od tego wszystkiego było dość trudne nawet dla niezależnego maga–justycjariusza, możliwe, że dla zwykłego porucznika także.

– A ja przecież i tak nie mam pieniędzy ani na hazard, ani na wino – ciągnął Laurinne. – A te wszystkie intrygi przy dworze...

– Niech pan mówi – zachęciłam. – Udaje się panu nie brać w nich udziału? To co pan robi, jeśli ktoś pyta otwarcie, czy popiera pan frakcję neiry Klaryny Tessin, czy arnaia Tera Lagrama?

– Cóż, panno Naren, po prostu udaję idiotę, który nie widzi, co dzieje się za płotem placu apelowego, i kompletnie nie rozumie, o czym w ogóle mowa. – W jego odpowiedzi zauważyłam solidną dozę autoironii.

– Ciekawa postawa życiowa – mruknęłam. – Muszę zauważyć, że całkiem zrósł się pan z rolą.

Porucznik pochylił głowę, chyba ta uwaga niezbyt mu się spodobała.

– A czy ojciec nie prosił przypadkiem, by przekazał pan wiadomość komuś mieszkającemu w mieście? – spytałam wprost. Jednak aluzje w jego przypadku były marnowaniem powietrza, rozumiał je z ogromnym trudem.

– Nie. – Chłopak podniósł głowę i spojrzał na mnie z pewnym zagubieniem. – Nawet mnie to zdziwiło. Przed odjazdem pytałem, czy nie mam przypadkiem przekazać komuś listu albo jakiejś ustnej informacji. Ale ojciec powiedział, że nie został nikt, z kim chciałby utrzymywać kontakt.

– Jest pan pewien? – spytałam na wszelki wypadek.

– Całkowicie, panno Naren. Przy każdej wizycie w domu pytałem go ponownie, ale nigdy mnie o nic podobnego nie poprosił.

Czyżby Lagarst się jednak poddał? Uznał, że nie będzie narażał dzieciaka? Jedynej osoby, która w tej sytuacji mogła zadbać o jego okaleczone córki? Któż to teraz mógł wiedzieć...

– Co prawda ostatnim razem wydawało mi się, że się waha – nagle dodał Laurinne. – Kiedy poszedłem do niego, żeby się pożegnać, i jak zwykle spytałem, czy nie chciałby przekazać komuś wiadomości...

– A w czym wyraziło się jego wahanie? – spytałam.

– To znaczy... – Porucznik zastanowił się, próbując sobie przypomnieć. – Jak gdyby zastanawiał się nad czymś przez kilka minut, ale w końcu uśmiechnął się i odparł, że nic mu nie trzeba...

– I tyle?

– A potem jak zwykle powiedział, żebym się dobrze prowadził – dodał Laurinne z pewnym zawstydzeniem. – Służył godnie i nie uchybił honorowi rodziny... I tak dalej w tym stylu.

– Poruczniku, ja pana bardzo proszę powtórzyć mi to „dalej w tym stylu”! Lagarst mógł powiedzieć coś, czego jego syn nie zrozumiał od razu, a może w ogóle miał zrozumieć dopiero po dłuższej chwili. Poza tym całkiem prawdopodobne, że słowa te bynajmniej nie były przeznaczone dla jego uszu...

– Powiedział... – Laurinne zmarszczył brwi, wyraźnie nie rozumiejąc, o co mi chodzi. – Powiedział: „Bój się ludzi, którzy udają słabszych lub głupszych, niż są naprawdę, tych, którzy ukrywają swoje prawdziwe ja. Są oni groźniejsi niż tacy, którzy przeceniają swoje zdolności, czego by one nie dotyczyły”. I jeszcze potem dodał – porucznik rzucił mi spojrzenie, z którego przebijało poczucie winy – „szczególnie dotyczy to magów i dworaków”. Nawet powtórzył to dwa razy, „magów i dworaków”. Nawet pomyślałem

przez chwilę, że chodzi mu o panią...

– Ciekawe... – Zmarszczyłam brwi.

Bardzo ciekawe. Czy Lagarst mógł liczyć, że o tych słowach dowie się ktoś jeszcze? Chociaż... Jeżeli naprawdę był taki, jak opowiadał porucznik, jeżeli współpracował ze Starsisem, musiał być mądry i przenikliwy. Czy mógł wpaść na to, że nie jestem żadnym „starszym królewskim śledczym”, jak przedstawił mnie jego syn? Dlaczego by nie? Oczywiście takie stanowisko faktycznie istniało, ale podałam swoje prawdziwe nazwisko, a do tego byłam bardzo podobna do dziadka, który często pojawiał się w pałacu za czasów służby Lagarsta. Myślę, że łatwo przejrzał on niezgrabne kłamstwo syna, ale z jakiegoś powodu zdecydował, że pozostawi to odkrycie dla siebie.

Szkoda, że Lagarst był nie tylko przenikliwy, ale także bardzo skryty! Oczywiście nie miał pojęcia, czy może mi ufać, chociaż z drugiej strony reputacja rodziny Naren znana jest daleko poza granicami naszego królestwa. Lecz ile to warte w takich okolicznościach? Gdyby mi zaufał... Czy może bał się, że wezmę jego opowieść za bredzenie staruszka, który stracił rozum? Kto to mógł teraz wiedzieć!

Ale mimo to uznał, że przynajmniej zrobi aluzję do jakiejś osoby. I to nie mnie, tylko synowi. Czyżby liczył, że Laurinne powtórzy mi tę rozmowę? Chłopak na pewno powiedział ojcu, że został wyznaczony na mojego stałego towarzysza.

– A czy przypadkiem nie opowiadał pan ojcu o pewnych wydarzeniach związanych z tak zwanym panem z Estalu? – spytałam gwałtownie.

Sądząc z koloru, na który zabarwiła się twarz porucznika, trafiłam w sedno.

– Ja... panno Naren, ja... tak, powiedziałem mu trochę, ale nie wspomniałem żadnego pana z Estalu, mówiłem po prostu o tajemniczym osobniku – przyznał się ze skruchą. – Przecież kazała mi pani milczeć tylko o

tym... Czy może nie powinienem był w ogóle nic mówić?

– Oczywiście, że nie powinien pan! – prychnęłam. – Ale wie pan co, mam wrażenie, że pański długi język w tym przypadku bardzo nam się przysłużył...

Można założyć, że z poplątanej opowieści swojego syna Lagarst zdołał coś zrozumieć. A może nawet wyciągnął z niego jakieś szczegóły, i to w taki sposób, że Laurinne nawet tego nie zauważył. Tak czy siak, Lagarst zrozumiał, że siedzę w tej całej historii po uszy i czy chcę czy nie, będę musiała jakoś ją rozwikłać. Najpewniej ta aluzja była jedyną pomocą, jakiej mógł mi udzielić. W zasadzie całkiem prawdopodobne było, że Lagarst obawiał się nadmiernych uszu nawet we własnym majątku i właśnie dlatego nie powiedział nic wprost. I mniejsza nawet o przekupionych służących, dopiero co przekonałam się, że śledzenie i podsłuchiwanie dawało się załatwić również przy pomocy zwykłych ptaków, a nawet słodkich, niewinnie wyglądających myszek.

Czyli zakładał, że byłam wystarczająco inteligentna, żeby zrozumieć, o kim mowa. „Magowie i dworacy”! Czy może „mag i dworak”? Nadworny mag? Kto wie, kto wie... Ale może po uważnym przestudiowaniu listów Starsisa i Lagarsta uda mi się dojść, kogo ten drugi miał na myśli!

– Cóż, lepsze to niż nic – stwierdziłam. – Laurinne, jeśli uda się panu przypomnieć sobie jeszcze coś, co mówił pański ojciec, proszę koniecznie dać znać, może się to okazać bardzo ważne.

– Oczywiście, panno Naren. – Młodzieniec poważnie skinął głową.

Było jeszcze coś... Porucznika widziano w moim towarzystwie, towarzyszył mi do domu Starsisa. Możliwe również, że tajemniczy spiskowcy byli świadomi, że Laurinne był synem Ferenca Lagarsta (w danym wypadku niezbyt liczyło się, że synem nierodzonym). Pytanie brzmiało, czy dali się oni złapać na moje dzisiejsze przedstawienie i przekonać, że niczego

u Starsisa nie uzyskaliśmy? I czy wierzyli w to, że porucznik faktycznie był takim idiotą, jakiego udawał? Ja doskonale wiedziałam, że w jego komedii była solidna doza prawdy, ale reszta świata, szczególnie biorąc pod uwagę tożsamość jego ojca, jak najbardziej mogła uznać, że młodzieniec został wtajemniczony w sprawy Lagarsta. A w takim przypadku jego życie niewarte było nawet fałszywej monety.

– Laurinne! – zawołałam, w chwili gdy porucznik już zaczął się żegnać. – Proszę chwilę zaczekać. Niech pan tu podejdzie.

Młodzieniec zbliżył się, mierząc mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Proszę nie łązić samotnie po ulicach, szczególnie w nocy – powiedziałam całkiem poważnie. – Nie pić w nieznanym towarzystwie. Nie chodzić nigdzie z przyjaźnie zachowującymi się ludźmi, których widzi pan po raz pierwszy w życiu. I na wszelkich bogów, niech pan udaje, że jest niemy!

– Mówi pani dokładnie to samo co mój ojciec – zauważył Laurinne.

– Jeżeli chwilę popracuje pan głową, to zrozumie, dlaczego to mówię – odparłam chłodno. – I mam nadzieję, że nie marnuję powietrza.

Zdjęłam z szyi jedną ze swoich wielu błyskotek, wisiołek na cienkim sznurku. Prościutkie zakłęcie ochronne i jeszcze jakieś drobiazgi. Mało prawdopodobne, by pomogło przeciwko poważnemu wrogowi, ale jednak... Włożyłam wisiołek na szyję porucznika, który z niezrozumieniem popatrzył na mnie z dołu.

– Panno Naren, co to takiego? – zapytał.

– Tak na wszelki wypadek – rzuciłam z roztargnieniem. – Jeśli poczuje pan, że wisiołek się nagrzewa, to proszę uważać. Ale, Laurinne, to nie jest żaden cudowny artefakt, ten drobiazdek może pana uprzedzić o niebezpieczeństwie, ale nie uratować, proszę o tym pamiętać. Niech pan się uważnie rozgląda na boki.

– Ale w takim razie po co? Skoro pani mówi, że i tak mnie to nie uratuje... – Porucznik wzruszył ramionami. Krnąbrny dzieciak, jeszcze mi będzie dogadywał!

– Jeżeli mimo wszystko pana zabiją, to przynajmniej dowiem się o tym pierwsza – odparłam zgryźliwie.

Tym razem młodzieniec nie znalazł wystarczająco dobrej odpowiedzi, więc rzucił tylko krótkie pożegnanie i zniknął za drzwiami. Może faktycznie spojrzy dookoła raz i drugi, zanim się w coś wpakuje.

A na mnie czekały listy.

ROZDZIAŁ 24

Listy

Musiałam zwrócić honor zarówno Starsisowi, jak i Ferencowi Lagarstowi. Męczyłam się nad ich korespondencją od kilku dni, ale bez najmniejszego skutku. Mało prawdopodobne, by dwójka starych przyjaciół stosowała jakiś wyjątkowo skomplikowany szyfr, raczej było to coś absolutnie banalnego... i właśnie dlatego niedającego się wykryć. Ani Starsis, ani Lagarst nie używali magii, nie wspominając już o zwykłych sposobach szyfrowania – sprawdziłam wszystkie sobie znane (zebrała się ich całkiem długa lista) i nie znalazłam kompletnie nic. W końcu do głowy wkradła mi się myśl, że dwójka podstarzałych konspiratorów mogła używać dwóch identycznych książek, na przykład tego nieszczęsnego zbioru legend, oznaczając szyfrem, powiedzmy numery stron, słów i tak dalej. Ale, powtórzę to, nie znalazłam w ich listach żadnych oznak szyfru. Staruszkowie nie pisali anagramami, nie podkreślali żadnych poszczególnych liter. Były to najzwyczajniejsze, długie i raczej nudne listy starszych osób. Starsis dokładnie i drobiazgowo opowiadał o ostatnich wydarzeniach i plotkach, przy czym robił to w taki sposób, że mimo najlepszych chęci nie można było doszukać się żadnej aluzji na temat sprawy, która interesowała mnie najbardziej. Lagarst tak samo dokładnie i w szczegółach opisywał swoje życie w majątku, postępy synów w nauce, kłopoty finansowe, nieurodzaj i całą resztę rolniczych bredni.

Przeczytałam ich wypociny kilka razy, czując, jak moja frustracja rośnie

coraz bardziej. Przecież one mu siły zawierać coś ważnego, bardzo ważnego, szczególnie nie te najświeższe! Starsis i Lagarst pisali do siebie niezbyt często, ale o ile mogłam wnioskować na podstawie dat – regularnie, mniej więcej raz na dwa albo trzy miesiące. Z tym że w okresie, zanim spalił się zamek Lagarsta, a Starsis dostał udaru – korespondencja stała się znacznie bardziej ożywiona. Nadal nie było w niej nic, do czego mogliby doczepić się uważni szpiedzy, ale przecież sam fakt istnienia tak obfitej wymiany listów nie mógł nie zaniepokoić ich pana. Najpewniej Starsis czegoś się domyślił i właśnie wynik jego rozważań tak bardzo chciałam poznać! Może zachowały się nie wszystkie listy? Może te ostatnie, najważniejsze, nie dotarły do adresata albo zostały przez niego zniszczone po przeczytaniu? Któż to mógł wiedzieć...

Odłożyłam wymiętoszone kartki i przetałam zmęczone oczy. Obaj staruszkowie mieli dosyć drobne, staromodne pismo, pełne podkreśleń i zawijasów, które wyjątkowo utrudniały brnięcie przez tekst. W zasadzie trochę to dziwne, widziałam inne papiery Starsisa i tam jego pismo nie obfitowało w ozdobniki. Może w tamtych czasach uczono trzymania się określonego stylu przy różnych typach korespondencji? Trzeba zapytać dziadka. Tak czy siak, czekało mnie zwrócenie się do niego o pomoc, mimo że nie miałam na to najmniejszej ochoty. Ale po prostu nie potrafiłam rozgryźć tej łamigłówki samodzielnie... Bezmyślnie obracałam w dłoni nożyk do cięcia papieru, poniewierający się na zagraconym biurku. Co takiego mogło wymyślić dwóch staruszków, by umożliwić sobie wymianę wiadomości bez obawy o to, że zobaczą je niepożądane oczy? To musiało być coś tak prostego, że ocierało się o genialność!

Nieoczekiwanie moje spojrzenie zahaczyło o mętne odbicie, które przemknęło przez wypolerowane ostrze wąskiego nożyka. Czyżby mi się wydawało? A może jednak... Z zapartym tchem zbliżyłam to malutkie

zaimprovizowane lusterko do rozłożonych na biurku listów Lagarsta. Przez parę minut wpatrywałam się w odbicie, po czym odchyliłam na oparcie krzesła i patrząc w ciemny sufit wybuchnęłam cichym śmiechem. Kto by pomyślał... Faktycznie, wszystko, co genialne, jest w swojej istocie proste! Czyli nie było żadnego szyfru! Wyobrażam sobie, jak głowili się szpiedzy mający filtrować korespondencję Lagarsta...

Pismo Starsisa na innych dokumentach było proste i wyraźne. Wszystkie te zawijasy na literach, które tak bardzo utrudniały mi czytanie jego listów do Lagarsta, były niczym innym tylko pismem! Szybkopisem z Danzheru[8]! Tylko adresat musiał najpierw domyślić się, że list należy czytać w odbiciu lustrzanym, a do tego do góry nogami. Niezli emeryci, konspiratorzy jedni! Ale ile zachodu musiało wymagać napisanie długiego listu, dopisując do kompletnie nic nieznaczących słów o ostatnich miejskich plotkach absolutnie inne słowa w obcym języku. Zresztą przy pewnym doświadczeniu mogło to nie zajmować specjalnie dużo czasu. I trzeba przyznać, że ponownie miałam szczęście. Gdybym przypadkiem nie zbliżyła do listu tego noża, gdybym nie zauważyła czegoś dziwnego w wersach odbijających się w ostrzu, gdybym w końcu nie znała odpowiedniego języka, to nigdy w życiu nie dałabym rady złamać nietypowego „szyfru”!

Bez dalszego wahania wyciągnęłam kieszonkowe lusterko i wezwałam płomyk–towarzysza. Czekало mnie wiele pracy.



Czytanie prawdziwych listów Starsisa i Lagarsta zakończyłam około południa następnego dnia. Przyznam, że zaczerpnięte z nich informacje nieco mnie zastanowiły. Bardzo wiele wyjaśniały.

Teraz już nie wątpiłam, że Lagarst nawet nie tyle miał jakieś powiązania

z wydziałem ochrony, ile był tajnym agentem, pracującym najpewniej w parze z Wergiuszem Starsisem. Ten i ów mógł powiedzieć, że to dziwne, gdyż szlachetni panowie – a Lagarst należał przecież do starożytnego i szanowanego rodu – zwykle z wielką pogardą traktowali pracowników wydziału ochrony, a samo szpiegostwo było im po prostu wstrętne. Urażało ich pojęcie honoru szlacheckiego. Moim zdaniem, większości z tych panów zwyczajnie brakowało intelektu, by zawodowo zajmować się takimi sprawami.

Sądząc z oznak, żaden tam omszały honor nie przeszkadzał Ferencowi Lagarstowi w łączeniu kariery wojskowej z wykonywaniem pewnych delikatnych zadań. Nie wątpiłam, że głośno mówił dokładnie to samo co jego przyjaciele szlachcice i udawał, że gardzi „brudnymi szpiegami”. Cokolwiek by mówić, doskonała przykrywka! Któż mógłby podejrzewać zasłużonego oficera, bohatera kilku kampanii wojennych, o to, że pracuje dla departamentu zajmującego się zapewnieniem bezpieczeństwa państwa? Ciekawe tylko, czy Jego Królewska Mość wiedział? Ba, nie mógł nie wiedzieć, ale nie napomknął mi o tym ani słówkiem. Pewnie Lagarst zajmował się naprawdę delikatnymi sprawami...

W takim razie nic dziwnego, że Arneliusz nie uwierzył w rzucone na takiego oficera durne oskarżenie. Doświadczony pracownik ochrony nie mógł wpakować się w coś tak głupiego. Ale z drugiej strony król nie mógł ogłosić tego publicznie! Nie mógł również pozwolić, by tak po prostu stracono mu jednego z najlepszych agentów, i mimo wszystko zdołał wyciągnąć Lagarsta z tego bagna, nawet kosztem wygnania go ze stolicy. Najpewniej liczył, że z czasem zdoła przywrócić oficera na dawne stanowisko, ale z jakiegoś powodu zrezygnował.

A przy okazji... Trzeba będzie zapytać Laurinne'a, czy jego ojciec nie miał przypadkiem w zwyczaju długich wyjazdów, kiedy jeszcze pozwalało

mu na to zdrowie. Mogło się okazać, że Lagarst nadal wykonywał jakieś zadania, gdyż pozostawienie dobrego pracownika, by gnił sobie w głuszy i nie przynosił żadnego pożytku, było kompletnie niezgodne z charakterem Arneliusza. Oczywiście nie bardzo dawało się skierować zesłanego oficera na stalwiański czy welski dwór, ale mimo to Lagarst nadal mógł spokojnie pracować gdzieś na prowincji, na peryferiach, pod cudzym nazwiskiem.

Choć akurat to wszystko kompletnie się w obecnej sytuacji nie liczyło. Po przeczytaniu listów przed moimi oczyma zaczął się rysować obrazek znacznie bardziej interesujący. To i owo musiałam sobie dopowiedzieć, ponieważ korespondencja w szkatułce nie była kompletna, a Lagarst i Starsis nie bawili się w szczegółowe roztrząsanie wydarzeń, których przebieg obaj doskonale znali. Zresztą miałam wrażenie, że zrekonstruowana wersja i tak niezbyt odbiegała od rzeczywistości.

Przed laty Lagarst wchodził w skład poselstwa na dwór króla Stalwii i tam zwrócił uwagę na pewną osobę. Niestety, w obecnej chwili nie miałam skąd zaczerpnąć informacji, co było w niej takiego interesującego, ale jakiś powód na pewno istniał. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, dana osoba nie żywiła specjalnej sympatii do Arastenu ani jego władcy i bez najmniejszego skrępowania prezentowała swoje poglądy otoczeniu. W tamtych latach rządy sprawował Arast Trzeci, a jego stosunki z najjaśniejszym sąsiadem dalekie były od ideału i co rusz owocowały konfliktami. Tak czy siak, owo poselstwo nie zakończyło się sukcesem i mało tego, wspomniana już osoba konkretnie się do tego przyczyniła.

W czasie gdy na tron wstąpił Arneliusz, stosunki ze Stalwią nieco się poprawiły, tym bardziej że tam również nastąpiła zmiana władcy. W początkowym okresie Arneliusz i Nikkej koegzystowali całkiem zgodnie.

I proszę sobie wyobrazić zdumienie Lagarsta, gdy pewnego dnia spotkał przy dworze Arneliusza tę właśnie osobę, która przed laty przeszkodziła w

zawarciu bezterminowego porozumienia pokojowego! Oczywiście oficer bezpieczeństwa był człowiekiem bardzo ostrożnym i nie zaczął od rzucenia się w kierunku starego znajomego i oskarżenia go o wszystkie możliwe grzechy. Uznał natomiast, że trochę delikwenta poobserwuje, a przy okazji podzielił się swoimi podejrzeniami ze Starsisem. Tymczasem interesująca nas osoba przejawiała teraz aż nazbyt wyraźny brak zaufania do Stalwii, dokładnie tak samo jak wcześniej miało to miejsce w stosunku do Arastenu. Najpewniej celem całej awantury było popchnięcie młodego i nadal gorącogłowego Arneliusza do kolejnego konfliktu. Szczęśliwie mimo młodości obecnie nam panujący monarcha razem z tytułem ar-księcia porzucił wybuchowy temperament i niespecjalnie słuchał cudzych „dobrych rad”, szczególnie w przypadkach, gdy nie darzył oferującej je osoby całkowitym zaufaniem. A osobiście miałam wrażenie, że w całym królestwie nie udałoby się zbierać nawet dziesiątki ludzi, których Arneliusz darzył zaufaniem.

Ani Starsis, ani Lagarst nie śpieszyli się, by podzielić się swoimi podejrzeniami z Jego Królewską Mością. W końcu komu potrzebne gołosłowne oskarżenia? Najwyraźniej spróbowali za to wysłać ogon za interesującym ich człowiekiem, i to z całkiem niezgorszymi skutkami.

Ciekawe, skąd wzięło się przezwisko tego maga? Mało prawdopodobne, by otrzymał je od agentów, w końcu tajemniczy osobnik, który wrobił Sanję Darai, przedstawił się jako Naor i najpewniej był tym samym człowiekiem. Czyli najpewniej osobiście przybrał takie imię w celach konspiracji, do komunikacji z towarzyszami, a następnie zostało ono ujawnione. I mogłam tylko zgadywać w jaki sposób. Przechwycona korespondencja, podsłuchana rozmowa? Niestety, nie miałam pojęcia, ale też nie było to dla mnie najistotniejsze.

Lagarst z uwagi na swoją oficerską rangę musiał pojawiać się w pałacu i po prostu nie mógł nie zostać zauważony przez obiekt obserwacji jego i

Starsisa. Obstawiałabym, że na początku rzeczony obiekt mógł nawet nie podejrzewać Lagarsta o szpiegostwo, ale przynajmniej go rozpoznał. A następnie w jakiś sposób odkrył, że Ferenc bynajmniej nie był takim prostaczkiem, jak mogło się wydawać. Trzeba zauważyć, że mag nie wpadł w panikę, tylko całkiem szybko i z zimną krwią zorganizował Lagarstowi dożywotnie zesłanie, po czym na jakiś czas przyhamował. Pewnie niezbyt mu się spieszyło i akurat to nie było specjalnie dziwne – gotowa byłam się założyć, że Naor był magiem i miał do dyspozycji znacznie dłuższe życie niż zwykli śmiertelnicy. Musiał więc tylko chwilę przeczekać.

Tymczasem Starsis zaczął się starzeć i powoli wycofywać z czynnej służby, ale nadal utrzymywał stały kontakt z Lagarstem, regularnie informując przyjaciela o poczynaniach Naora. Ten ostatni chyba zdecydował, że dość już odczekał, i ponownie zabrał się z zapalem do roboty. Arasten i Stalwia znalazły się wówczas na krawędzi wojny, której uniknęliśmy istnym cudem. W tamtym okresie nasz szanowny monarcha wykazał się niesamowitym kunsztem dyplomatycznym i uspokoił najjaśniejszego sąsiada, idąc w tym celu na pewne ustępstwa. Z listów wynikałoby, że Starsis odegrał całkiem poważną rolę w tamtej historii. Najpewniej w obliczu poważnego zagrożenia zdecydował się jednak zameldować Jego Królewskiej Mości o swoich podejrzeniach, a ten przyjął otrzymane informacje do wiadomości.

Prawdopodobnie właśnie w tamtym okresie Naor zrozumiał, że staruszkowie nadal stanowią dla niego zagrożenie, a przy okazji uświadomił sobie, jak bardzo przeliczył się w stosunku do Lagarsta. Mag uznał go za zwykłego wykonawcę i grubo się pomylił. W parze Starsis – Lagarst to właśnie ten drugi był mózgiem. Starsis nawet po przejściu na emeryturę śledził poczynania Naora, a Lagarst analizował dane i rzucał całkiem oryginalne pomysły. Z opisu działań przeciwnika wywnioskował, że lada chwila stosunki pomiędzy Arastenem a Stalwią ponownie się zaognią.

Naszemu emerytowi pewnie udało się zapędzić Naora w kąt, ale, niestety, domyślił się, skąd nadchodzi prawdziwe zagrożenie. Można było pozbyć się Starsisa, pozbawiając w ten sposób Lagarsta oczu i uszu w stolicy, ale śmierć znanego pracownika wydziału bezpieczeństwa państwowego wywołałaby niepotrzebne podejrzenia, nawet w przypadku upozorowania jej na nieszczęśliwy wypadek. Niewykluczone, że do zbadania sprawy zaproszony by został niezależny mag–justycjariusz, a to z kolei mogło grozić Naorowi ogromnymi problemami.

I właśnie wtedy załatwił oskarżenie Lagarsta o praktykowanie sztuk zakazanych. Wyraźnie posiadał już w tamtej chwili mocne powiązania w Kolegium, w przeciwnym wypadku nie poszłoby mu aż tak łatwo. Ale i tu się przeliczył! Lagarst pozostał przy życiu. Z drugiej strony: Starsis został wyłączony z gry, a Lagarst nie miał już nikogo zaufanego oraz stracił kontakt ze stolicą. W tym miejscu Naor zatrzymał się, całkiem słusznie uznając, że Lagarst nie stanowił już żadnego zagrożenia. Zresztą nie wątpiłam, że majątku Ferenc Lagarsta pilnowano bardzo dokładnie, by uniknąć jakichkolwiek prób poinformowania króla. Ba, Ferenc mógł nawet podejmować takie próby, ale szybko się przekonał, że nie odnoszą one skutku.

Niestety, dalej mogłam już tylko zgadywać. Nawet w swojej tajemnej korespondencji Lagarst i Starsis wyrażali się bardzo mgliście, aluzjami zrozumiałymi tylko dla nich dwóch. Żaden z nich nie podał ani prawdziwego imienia Naora, ani szczególnych cech, które umożliwiłyby mi jego rozpoznanie. Tymczasem po pałacu wałęsały się tłumy magów! Nawet takich, którzy przedtem służyli w Stalwii – wielu uciekło przed paskudnym charakterem Nikkeja.

A tak w zasadzie... Zabębniłam palcami po stole, marszcząc brwi. Może Starsis był stary i miał sztywne plecy, ale nie uskarżał się chyba na zdrowie,

skoro mógł jeździć konno. To niech mi ktoś powie, dlaczego nagle i niespodziewanie został sparaliżowany? Czyżby faktycznie po otrzymaniu wieści o pożarze w majątku przyjaciela? Szkoda, że nie dopytałam się Anii Starsis, kiedy dokładnie miało miejsce to nieszczęście z jej wujem. Prawdziwa szkoda. Istniała również możliwość, że stało się to przed pożarem. Rozważmy przez chwilę następujący scenariusz: na widok tego, jak zaktywizowała się korespondencja między stolicą a majątkiem Lagarsta, Naor poważnie się zaniepokoił. Może nie udało mu się przeczytać listów, uznał więc, że porozmawia sobie bezpośrednio ze Starsisem, używając w tym celu tego samego sposobu, z którego kilka lat później skorzystał w kontaktach z Darai. I chyba przesadził, albo też ofiara stawiała zbyt twardy opór próbom wdarcia się do jej umysłu. Poza tym dochodziły mnie plotki, że pracownikom wydziału zakładano specjalne blokady, nie gorsze od posiadanych przez urzędników sądowych: przy próbie nieupoważnionego wyciągnięcia z agenta informacji z użyciem magii powinien on po prostu umrzeć. Starsis przeżył, ale całkowicie wypadł z gry. Możliwe też, że Naorowi nawet udało się czegoś dowiedzieć i właśnie dlatego zapłonął dom Lagarsta. Teraz kolejność wydarzeń również nie była specjalnie istotna. Liczył się wynik. Na razie wszystko do siebie pasowało. Stosunki pomiędzy Arneliuszem i Nikkejem zaczęły się psuć jakieś trzy lata temu. Ale Arneliusz był doskonałym dyplomatą, a oprócz tego człowiekiem znacznie spokojniejszym od swojego świętej pamięci ojca. Zawsze udawało mu się łagodzić wszystkie konflikty i Naor, gdy już to zrozumiał, wziął się do roboty znacznie bardziej bezczelnie.

Mało prawdopodobne, by historia z księżniczką Mairin została zaplanowana zawczasu. Chyba nawet Naor z legendy nie byłby do czegoś takiego zdolny. Ale fakt, że Nikkej w końcu nie dostał ciała swojej ukochanej córki, jak najbardziej pasował do zamierzeń Naora obecnego. Czyli moje

porwanie też było jego sprawką. A raczej nie jego, tylko pary estalskich młokosów, ale stanowczo stał za nimi Naor, nie było innej możliwości. Cokolwiek by mówić, doskonały pretekst – w końcu zabójstwo magajustycjariusza to nie żarty. Zresztą najpewniej Naor doskonale rozumiał, że raczej nie dam się tak po prostu zabić. I raczej to ja odpytam tych estalskich szczeniaków, a nie na odwrót. Po czym opowiem o sprawie publicznie, oni do wszystkiego się przyznają i wtedy dopiero się zaczniesz...! Szkoda tylko, że przeliczył się w swych szacunkach. I okazało się, że kierowana wyłącznie pobudkami osobistymi zniweczyłam jego wspaniały plan. A poza tym jakoś tak się złożyło, że dalej również co rusz pałętałam się biedakowi pod nogami... Wystarczy wspomnieć chociażby historię z epidemią!

Najpewniej właśnie w tamtym momencie Naor podjął poważną decyzję o usunięciu mnie z pola rozgrywki, jak choćby przez tamto durne porwanie weirenów oraz kusznika, który prawie przyszpilił mnie do drzwi. Ale wtedy również szczęście mi dopisało, więc osiągnął tylko jedno: wzmogłam czujność i zaczęłam analizować wydarzenia, próbując dogrzebać się do ich sedna. Na dokładkę kolejnym głupim zbiegiem okoliczności w pobliżu mojej osoby znalazł się porucznik Laurinne. Gdyby nie on, zapewne nigdy nie udałooby mi się powiązać pewnych wątków. I teraz w końcu wykryłam związki pomiędzy Lagarstem a Starsisem. Mało prawdopodobne, by Naor wiedział, że miałam w rękach ich korespondencję, a już tym bardziej, że udało mi się ją odczytać, ale tak czy siak nie powinnam się jeszcze rozluźniać. W końcu mogło się okazać, że to małe przedstawienie bynajmniej go nie oszukało...

Podsumowując, w całej sprawie pozostawało kilka niewyjaśnionych elementów. Księga z legendami. Po co Lagarst ją kupił, z taką uwagą czytał tę całą „Legendę o Naorze”, a nawet robił notatki na marginesach? O co w nich chodziło? Czy książka mogła zostać kupiona, by zagrać Naorowi na

nosie i przypomnieć mu, że żyją jeszcze ludzie, którzy to i owo o nim wiedzą? Mało prawdo podobne, to byłoby zbyt głupie i dziecinne. Poza tym musiał być jakiś powód, dla którego ten mag wybrał sobie właśnie takie przezwisko! Czyżby tylko przez wzgląd na podobieństwo motywów? Przecież w legendzie Naor skłócił ze sobą królów, ratując własną skórę, a nie dążąc do władzy. Chociaż z drugiej strony kto mógł wiedzieć, jak to wszystko było naprawdę...? A w zgadywanki mogłam bawić się do skończenia świata.

Wzięłam książkę i ponownie przejrzałam „Legendę o Naorze”. Głupia bajka, nic ponad to! Bohater przez chwilę panował, po czym ruszył dalej dokonywać bohaterskich czynów, uprzednio przekazawszy władzę nad wszystkimi ziemiami „radzie najdostojniejszych mężów ze wszystkich podbitych królestw”, by już nigdy więcej nie pojawili się pojedynczy władcy kłócący się pomiędzy sobą. Jeżeli wierzyć legendzie, kraje pod rządami rzezonej rady prosperowały wyłącznie do chwili, gdy Naor zniknął bez śladu. Pewnie po cichu pilnował interesu, a gdy tylko go zabrakło, rada rozpadła się, a jej śladem natychmiast pierzchł sojusz połączonych ziem. Znaleźli się krewni nieżyjących władców i wszystko znów było po staremu.

Hm... Zabawne. A może obecny Naor nie miał zamiaru zniknąć, tylko chciał osobiście stanąć na czele „rady najdostojniejszych mężów”? Rady? Przy okazji, najwyższy organ Kolegium Magów nazywał się dokładnie tak samo. Zabawny zbieg okoliczności.

I tutaj również można było kombinować w nieskończoność. Niewykluczone, że mając w garści ostatnie otrzymane dane, Lagarst domyślił się prawdziwego celu naszego Naora. Szkoda tylko, że nie poinformował o tym Starsisa, pewnie po prostu nie zdążył. A dowodów nie miałam właściwie żadnych, nie licząc tej korespondencji. Zresztą ile tak naprawdę była ona warta? Przecież nie zawierała nawet imion...

Cóż, wystarczy tego.

Odłożyłam książkę i zamyśliłam się. W chwili obecnej Naor powinien się bardzo pilnować. Nie miał pojęcia, jaką wiedzę dysponowałam. A nawet jeśli domyśliłabym się czegoś istotnego, to powstawało pytanie, czy tej wiedzy użyję. Tak czy owak, całkiem prawdopodobne było, że nadal miałam podstawy do obaw o swoje życie. Chociaż z drugiej strony dziadka również wielokrotnie próbowano zabić, ale na razie udawało mu się przeżyć wszystkich swoich wrogów i skutecznie zdobywać nowych. Zdecydowanie powinnam się pilnować. A poza tym koniecznie porozmawiać z Arneliuszem. I to nie prosząc oficjalną drogą o posłuchanie, ponieważ jeśli Naor faktycznie mieszka w pałacu, wzbudzi to jego podejrzenia, tylko czekając, aż zostaną wezwana.

Co jeszcze miałam? Ano miałam Laurinne'a. Mało prawdopodobne, by nasz tajemniczy mag nie wiedział, kim ten młodzieniec był dla Ferenca Lagarsta. Na widok porucznika w moim pobliżu powinien za każdym razem spływać zimnym potem. A może i nie... Laurinne już nie pierwszy rok mieszkał w stolicy, odpytanie go tak, by nic nie zauważył, i upewnienie się, że nie miał pojęcia o sprawach ojca, było dziecinnie proste. Ale ostatnia wizyta porucznika w majątku, na dodatek w moim towarzystwie, mogła Naora zaniepokoić. Pewnie zastana wiał się właśnie, czy to zbieg okoliczności, czy jednak nie, a jeśli nie, to czego się mogłam dowiedzieć. Żeby zapytać o to mnie, musiałby najpierw mnie schwytać, co nie było takie łatwe. Natomiast w przypadku Laurinne'a sprawy miały się zgoła odwrotnie. Chyba miałam wszelkie po wody, by się o dzieciaka martwić...

Prychnęłam, wydechając chmurkę dymu. Czemu ja się w ogóle nim przejmowałam? Ani krewny, ani nawet przyjaciel. Jedyne przyboczny. Oczywiście nie należało zapominać, że kilka razy naprawdę mi pomógł, ale były to zwykłe przypadki. Porucznik przynosił znacznie więcej szkody niż

pożytku. Niemniej jednak – co zrozumiałam z pewnym zdumieniem – naprawdę będzie mi szkoda, jeżeli go zabiją. Ciekawostka, nie spodziewałabym się po sobie takich sentymentów! Wystarczy tylko przypomnieć sobie, jak bardzo z początku irytowała mnie sama obecność porucznika. Potem chyba przyzwyczaiłam się do jego dziwactw, a niektóre cechy osobowości Laurinne’a uznałam nawet za warte szacunku.

Poza tym – co uświadomiłam sobie dopiero teraz – ufałam porucznikowi, co było dla mnie absolutnie nietypowe. Nie, doskonale zdawałam sobie sprawę, że każdy w miarę sensowny śledczy na przesłuchaniu wyciśnie z niego wszystko, co tylko będzie chciał. Chociaż może i nie? Taki człowiek, z obsesją na punkcie honoru, zdolny jest odgryźć sobie język, byle tylko nie zdradzić istotnych informacji. O ile tylko nie trafi w ręce maga, ponieważ ten nie pozwoli przesłuchiwanemu popełnić samobójstwa... Ale nawet nie o to chodziło. W całym tym mieście Laurinne był jedyną chyba osobą (z wyjątkiem dziadka), do której zaryzykowałabym odwrócenie się plecami. Może powinnam dopisać do tej listy również Arneliusza, ale po chwili namysłu uznałam, że jednak nie warto. Król przypuszczalnie zdobyłby się na to, by poświęcić nawet cennego maga–justycjariusza dla dobra państwa. Najpewniej po wszystkim męczyłyby go wyrzuty sumienia, ale akurat to z mojego punktu widzenia niespecjalnie się liczyło. Mogło wydawać się to dziwne, przecież nie znałam porucznika specjalnie dobrze, ale z jakiegoś powodu w niego nie wątpiłam.

A skoro już mowa o wątpliwościach. Ciekawe, dlaczego nie przyszło mi nawet do głowy, że Laurinne mógł się okazać czymś pionkiem? Nawet tego całego Naora, przecież chłopak wcale nie musiał wiedzieć, dla kogo pracował. To, że porucznik „nie wyglądał” na podstawioną figurę, nadal nie oznaczało, że nią nie był. I to, że kompletnie nie umiał kłamać, również nie było wiele warte. Mogli go wykorzystywać nawet i bez jego wiedzy... Może

warto by porozmawiać sobie z nim od serca?

Uśmiechnęłam się. Cóż, Flossio, chyba niedługo zaczniesz się bać własnego cienia! Nie żeby w obecnych okolicznościach to specjalnie dziwiło...

W każdym razie próba usunięcia porucznika nadal wydawała się całkiem prawdopodobna. Nie byłoby to wcale trudne, mimo że pewnie wzbudziłoby podejrzenia. Oczywiście najmniej ich wywołuje śmierć gwardzisty na wojnie, ale na szczęście ta opcja była obecnie niewykonalna. A wszczynanie wojny tylko po to, by pozbyć się jednego porucznika, było nieco przesadne nawet dla Naora.

Niemniej w najbliższym czasie spodziewałam się jakiegoś konfliktu. Nikkej od pewnego czasu patrzył na Arneliusza nieprzychylnie, a skoro Naor poważnie zabrał się do roboty, w końcu coś musiało się wydarzyć. Miałam wrażenie, że tym razem mag zadziała bardziej energicznie i na pewno przez Nikkeja. Z Arneliuszem takie gierki z góry skazane były na niepowodzenie, nasz król po prostu nie dawał się sprowokować.

Co mogłam teraz zrobić? Po pierwsze, przy najbliższej okazji odwiedzić pałac. Po drugie, porozmawiać z porucznikiem, może zdoła przypomnieć sobie coś jeszcze, w końcu tego Starsisa mu się udało! Trzecie, podzielić się informacją z dziadkiem, może on również miałby jakieś wartościowe pomysły co do tego, kim jest ten cały Naor i czego chce.

Czyli miałam plan i mogłam przystąpić do działania!



Niestety, ostatecznie musiałam jednak nadal czekać, co doprowadzało mnie do cichego szału. Teoretycznie nie miałam przecież żadnego powodu do wizyty w pałacu. Tyle dobrego, że własnego dziadka nadal mogłam

odwiedzać, nie wywołując żadnych podejrzeń.

Po wysłuchaniu całej opowieści dziadek przez dłuższą chwilę milczał, chyba próbując przetrwać informacje, po czym popatrzył na mnie z mimowolnym szacunkiem w oczach.

– Cóż, Floszsa, to żeś sobie piwa nawarzyła! – stwierdził w końcu.

– Ja sobie nawarzyłam?! – prychnęłam. – Moim zdaniem, wpakowałam się w ten kocioł zupełnym przypadkiem. Ale skoro już w nim siedzę, to chyba się zgodzisz, że powinnam jakoś wyleźć?

– No oczywiście – odburknął dziadek. – I masz rację, powinnaś być ostrożniejsza. Już próbowali cię sprzątnąć, mogą spróbować po raz kolejny. A ja, o ile nie zapomniałaś, nadal mam nadzieję doczekać prawnuka!

– Tylko nie zaczynaj od nowa! – skrzywiłam się. – Tego mi tylko brakowało do pełni szczęścia!

– Chyba masz rację, w chwili obecnej taka rozmowa jest nieco nie na miejscu – nieoczekiwanie zgodził się ze mną dziadek. – Ale powiedz mi, co masz zamiar zrobić?

– A ja myślałam, że ty mi coś podpowiesz – rzuciłam złośliwie. – No nic to. Na początek mam zamiar poinformować o wszystkim Arneliusza. Myślę, że sam już wpadł na to, że ktoś usilnie próbuje wzniecić wojnę pomiędzy Arastenem a Stalwią. Poza tym w wydziale bezpieczeństwa, szczególnie w państwówce, nie pracują idioci.

– I co dalej?

– Dalej... Dalej trzeba w jakiś sposób ustalić, kim jest ten cały Naor – ciągnęłam.

– I tu muszę przyznać, że bardzo liczę na ciebie.

– Miło mi słyszeć – mruknął dziadek. – A mogę wiedzieć, jaką rolę przygotowałaś dla mnie w swoich planach?

– Czy potrafisz przypomnieć sobie, którzy magowie podjęli pracę u

Arneliusza na początku jego rządów? Zapewne ten przez nas poszukiwany nie opowiadał wszem wobec, że uprzednio służył w Stalwii, ale kto to może wiedzieć... Ukrywanie czegoś takiego jest dosyć głupie, w każdej chwili można trafić na starego znajomego, dokładnie tak, jak to miało miejsce w przypadku Lagarsta. Więc najpewniej po prostu nie obnosił się z tym...

– A czy ten ktoś ma jakieś znaki szczególne? – zapytał dziadek.

– Nie. – Posłałam mu szeroki uśmiech. – Jest aktywnym członkiem Kolegium, akurat w to nie wątpię. Możliwe, że wchodzi w skład Małej Rady, choć w sumie to żaden wyróżnik. Ale... Chyba mam jeden, najważniejszy: prawdopodobnie ten człowiek jest magiem niezależnym.

– W takim wypadku nie mogę ci podać żadnego nazwiska. – Dziadek rozłożył ręce. – W stolicy nie ma żadnych magów oprócz ciebie, mnie i tego twojego kolegi. A przynajmniej w pałacu na pewno, bo bym o tym wiedział!

Hm... jeżeli dziadek tak mówił, to miał ku temu wystarczające podstawy. Zresztą rzeczywiście mogło się okazać, że Naor i mag, który sterował Darai, byli dwiema różnymi postaciami. Naor niekoniecznie musiał działać samodzielnie? No właśnie...

– Dobrze, to przynajmniej podaj mi pasujących do opisu aktualnych członków Kolegium, pracujących przy dworze Arneliusza – poprosiłam. – Szczególnie takich, którzy mają wyraźnie negatywny stosunek do Stalwii.

Lista wyszła całkiem długa, nie miałam pojęcia, że tak wielu magów było czynnymi członkami Kolegium! Zresztą mnie również tam zapraszano, i to nie raz, ale niezmiennie odmawiałam. O ile wiedziałam, swego czasu również dziadek robił dokładnie to samo. Jeśli wierzyć jego słowom, żaden niezależny mag–justycjariusz nigdy nie był i nie będzie członkiem Kolegium.

Wyjaśnienie jest proste: członek Kolegium mimo wszystko musiał przestrzegać pewnych zasad i dbać przede wszystkim o interesy tej szacownej instytucji, a dopiero potem o całą resztę spraw. Mag–justycjariusz

nie może sobie na coś takiego pozwolić. Ale dziadek zwykle szczególnie akcentował fakt, że w Kolegium nie ma miejsca właśnie dla maga niezależnego, a dopiero potem dla justycjariusza...

Takie twierdzenie chyba wymaga pewnego wyjaśnienia. Nie każdy mag–justycjariusz jest magiem niezależnym i odwrotnie, nie każdy niezależny mag jest justycjariuszem. Po prostu jakoś tradycyjnie się złożyło, że justycjariuszami najczęściej zostają właśnie magowie niezależni. Nie oznacza to, że takiej kariery nie może zrobić mag klasyczny, ale dla niego wiąże się ona ze sporymi trudnościami. Wystarczy przypomnieć sobie podstawową niedogodność magii klasycznej. Nim taki mag wyrysuje wszystkie potrzebne symbole i przypomni sobie pasujące do danej okazji zaklęcie, przestępca z dziesięć razy zdąży się ukryć i zatrzeć po sobie ślady!

Tymczasem mag niezależny zasadniczo nie bardzo ma gdzie się podziać. Możemy wiele, ale w każdej dziedzinie przegrywamy z zawodowcem. Władam magią bojową, medyczną i całym mnóstwem innych, ale czekałyby mnie spore trudności przy stawaniu w szranki z wyspecjalizowanym magiem bojowym, a magomedyk zostawi mnie daleko w tyle przy leczeniu jakiejś ciężkiej choroby czy rany.

Gdybym poświęciła życie na doskonalenie umiejętności w jednej dziedzinie, również by mi się to udało, ale dla maga niezależnego takie życie jest zbyt nudne. Niektórzy z nich zostają magami nadwornymi, tam również potrzeba uniwersalnych umiejętności, ale zdarza się to dosyć rzadko. Tymczasem zawód maga–justycjariusza jest wręcz doskonały i daje okazję do wykorzystania wszystkich zdolności i wiedzy maga niezależnego.

I właśnie dlatego niezależni magowie–justycjariusze znajdują się nieco w odosobnieniu od całej reszty. Ale, niestety, nie wiedziałam za bardzo, co takiego magowie niezależni mają przeciwko Kolegium jako takiemu. Dziadek zawsze udzielał w tej materii odpowiedzi wykrętnych, niejasnych i

na zasadzie „bo tak”.

Trzymałam w ręku listę możliwych podejrzanych. Tylko co teraz, osobiście poznać każdego i poczekać, czy któryś nie zdradzi się z przestępczymi zamiarami? Nie miałam do dyspozycji takiej ilości czasu!

Zamyśliłam się, i to chyba nawet głęboko, ponieważ dziadek wołał mnie nie raz i nawet nie dwa, zanim w końcu go dosłyszałam.

– Floszsz, ogłuchłaś czy co?!

– Przepraszam, o co pytałeś? – odezwałam się ugodowym tonem.

– Pytałem, co zamierzasz dalej robić – zachrypiał dziadek.

– Myślę, że w takim wypadku najlepsze będzie łowienie na żywca – rzuciłam. – Nie martw się, nie będę ryzykować. Najpierw trzeba to wszystko dokładnie obmyślić...

Spędziłam z dziadkiem jeszcze trochę czasu, po czym zaczęłam zbierać się do powrotu. I tak nie doszliśmy do niczego sensownego, a wolałam nie wtajemniczać go w swój na razie jedyny plan. Pewnie dziadek pozostał w świętym przekonaniu, że sama zamierzałam być przynętą, ale ja nie miałam zamiaru aż tak ryzykować. Miałam tylko jednego kandydata na rolę wabika i był nim, jak można się łatwo domyślić, porucznik Laurinne. Problem polegał na tym, że tym razem nie bardzo mogłam użyć go bez opowiadania mu o całej sprawie. No dobrze, nie ma co udawać, owszem, mogłam. Może nawet okazałoby się to całkiem sensowne, tylko... Głupie to, ale wolałam, żeby w tym wypadku porucznik sam zdecydował, czy chce brać udział w samobójczej misji, czy nie. Ostatecznie sprawa tyczyła się człowieka, który całe życie traktował go jak własnego syna, oraz tego, kto był winny zesłania oraz śmierci Ferenca Lagarsta. Co prawda miałam poważne podejrzenia, że chłopak zgodzi się, nawet jak zaproponuję mu skok na głowę z najwyższej wieży w mieście, niemniej jednak nadal pozostawała iluzja wolnego wyboru.

Już dawno zauważyłam, że porucznik zwykle kręci się gdzieś w pobliżu i

natychmiast zjawia na każde zawołanie, ale tym razem nie musiałam go nawet wzywać – wpadliśmy na siebie na moście prowadzącym do Zarzecza, gdzie mieszkałam.

– Laurinne? – zdumiałam się na widok znajomej postaci. – Co pan tu robi?

– Panno Naren... – Porucznik wstrzymał konia i zasalutował. – A... czy pani po mnie nie posyłała?

– Ja? – zdziwiłam się jeszcze bardziej. – Nie, dlaczego pan tak uważa?

– Znaczy... – Młodzieniec zwiesił głowę. – W okolicy cały czas kręcił się jakiś wróbel, więc uznałem, że...

– O, jakie to do pana podobne! – roześmiałam się. – Lada chwila zacnie pan brać za mojego posłańca każdego miejskiego ptaka!

– Na to wygląda, panno Naren. – Laurinne nieoczekiwanie się uśmiechnął. – Albo za szpiega. Nie wiem, czy mi pani wierzy, ale na sam widok wrony kusi mnie, żeby potraktować ją czymkolwiek, co się nawinie pod rękę!

– Ostrożność godna pochwały, ale proszę nie przeszarżować – mruknęłam. Przed nami przez most przepelzał wóz, do oporu wyładowany beczkami, musieliśmy więc wlec się noga za nogą.

– Panno Naren, ale nawet gdyby nie ten wróbel – nieoczekiwanie Laurinne zniżył głos – to i tak bym do pani przyjechał.

– A to po co? Przypomniał pan sobie coś ciekawego?

Porucznik potrząsnął głową i całkiem cicho, tak że ledwie słyszałam jego głos w ulicznym gwarze, powiedział:

– Pamięta pani, jak mówiła mi, że jeśli ten wisiołek, który mi pani dała, się nagrzeje, to w pobliżu jest jakieś niebezpieczeństwo? – Laurinne poczekał na moje skinienie i ciągnął: – Panno Naren, ja nie chcę wyjść na panikarza, ale... Niech pani dotknie.

Młodzieniec wyciągnął zza kołnierza munduru sznurek z wisiorkiem i upuścił kamyk w moją wyciągniętą dłoń. No nieźle! Ozdóbka była wprost rozżarzona! Od samego ciepła ciała by się tak nie rozgrzała.

– Panno Naren, czyli to nie wytwór mojej wyobraźni? – zagaił porucznik, obserwując moją minę.

– A od dawna to trwa? – rzuciłam, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi.

– Drugi dzień – przyznał Laurinne. – Oczywiście nie cały czas... Jak jestem w pałacu, to kamień jak kamień, ale wystarczy, że wyjdę na ulicę, i już się zaczyna.

Chyba znowu miałam rację, porucznika ktoś śledził, i to wyraźnie ktoś niemający dobrych zamiarów. I to śledził nawet w tej chwili, na ulicy wcale nie jest to trudne, a na moście było tylu ludzi, że łatwo było wmieszać się w tłum.

– Laurinne, niech pan wymyśli powód, by się na chwilę zatrzymać – rozkazałam. Przez kilka sekund młodzieniec z niezrozumieniem mrugał, by nagle zwiesić się w siodle i pełnym głosem stwierdzić:

– Panno Naren, popręg się pani poluzował, trzeba by podciągnąć! Bo może...

– Może to jednak nie mnie, tylko kobyle? – spytałam jadownicę, ściągając wodze.

– Przepraszam najmocniej. – Laurinne pokornie spuścił głowę. – Nie pomyślałem, jak to zabrzmiało...

– Bardzo do pana podobne – prychnęłam, zsiadając. – Proszę mi pomóc... Kiedy porucznik majstrował przy siodle, ja udałam, że poprawiam strzemię, a równocześnie ostrożnie się rozglądałam. Kimkolwiek była śledząca nas tajemnicza osoba, widać wyczuła, że coś jest nie tak, ponieważ zapobiegawczo zaciśnięty w pięści kamyk stróż zaczął powoli się ochładzać.

Szpiedzy zostawili nas w spokoju, chyba doszedłszy do wniosku, że o ile Laurinne miał niezbyt wielkie szanse wykrycia ogona, ja jak najbardziej byłam do tego zdolna. Szkoda, miałam nadzieję, że obejrzę sobie tego obserwatora, a jeśli się uda, to nawet z nim po gadam...

– Szkoda... – wycedziłam przez zęby. – Nic z tego. Laurinne, ruszamy, i tak się już przez nas zrobił zator.

ROZDZIAŁ 25

Bal

Drogę do mojego domu pokonaliśmy w milczeniu. Laurinne podejrzliwie zerkał na boki, a ja przeczesywałam otoczenie w poszukiwaniu magicznego szpiega – bez skutku. Widać nasz tajemniczy wróg uznał, że chwilowo się wycofa, a podstawowym obiektem jego uwagi nie byłam ja, tylko właśnie Laurinne. Wynikało z tego, że najprawdopodobniej dobrze oceniłam sposób myślenia Naora, a on kupił mój spektakl i uwierzył, że Starsis nie zdążył przed śmiercią nic przekazać. Podejrzewałam, że teraz będzie polował na porucznika, próbując ustalić, czy posiada on jakieś potencjalnie niebezpieczne informacje. Jeżeli uzna, że tak... Zresztą zamierzałam zabezpieczyć się dodatkowo.

– Panno Naren – odezwał się Laurinne, gdy weszliśmy do domu – pozwoli pani pytanie?

– Proszę mówić – westchnęłam z rezygnacją.

– Dowiedziała się pani czegoś z tych listów?

– Niezbyt wiele, ale wystarczy do szczęścia. I właśnie dlatego jest mi pan potrzebny. Chodźmy, musimy poważnie porozmawiać.

Naturalnie mówienie w większości spadło na mnie. Staralam się nie zagłębiać w swoje domysły, ale i tak wyłuszczenie całej sprawy zajęło sporo czasu. Laurinne słuchał w milczeniu i przerwał mi tylko raz, gdy

nadmieniłam, jakiego sposobu szyfrowania danych używali Starsis i Lagarst.

– Znam go – oznajmił zaskoczony.

– Skąd?

– Gdy ja i Lucjusz byliśmy dziećmi i bawiliśmy się w rozbójników, prowadziliśmy w ten sposób tajemną korespondencję. – Laurinne zaczerwienił się. – Znaczący oczywiście... nie aż tak skomplikowaną, nie znaliśmy języka Danzheru, po prostu pisaliśmy, używając lustra. Lucjusz mnie nauczył, a jego pewnie ojciec...

– Nie mógł mi pan wcześniej powiedzieć? – prychnęłam. – Zmarnowałam przez to tyle czasu!

– Ależ, panno Naren, skąd ja mogłem wiedzieć... – w głosie porucznika brzmiała uraza.

– Rzeczywiście – przerwałam mu. – Przecież nawet nie widział pan tych listów. Ale starczy już o tym, niech pan słucha dalej...

Powoli dobiegłam do końca historii, a raczej do chwili obecnej. Laurinne nadal trwał w milczeniu, zgarbiony, z łokciami wspartymi na kolanach.

– I co pan powie? – spytałam w końcu.

– Nie wiem, panno Naren... – odparł w zamyśleniu. – Jeżeli wszystko jest tak, jak pani mówi, to wychodzi, że kompletnie nie znałem własnego ojca.

– Wątpię, by nawet pańska matka wiedziała więcej – mruknęłam. – I jak tam pańskie wyobrażenia o honorze szlacheckim, nie ucierpiały za bardzo? W końcu pański ojciec zajmował się rzemiosłem niegodnym szlachcica, a przynajmniej większość z nich tak uważa.

– Niegodne szlachcica jest siedzenie z założonymi rękami i przymykanie oczu na to, że różni dranie próbują wszcząć wojnę – rzucił Laurinne chmurnie, ale jakoś się nie wyprostował.

– Aha, czyli rozpatruje pan sprawę pod tym kątem – poczułam przyjemne zdziwienie. – Cóż, to nawet lepiej...

W tym momencie przysłała mi do głowy pewna ciekawa myśl.

– Przy okazji, Laurinne, od dawna już chciałam pana o to zapytać – rzuciłam. – Pamięta pan smutne okoliczności, w których się poznaliśmy?

– Jak mógłbym zapomnieć – odburknął.

– Odniosłam wrażenie, że wtedy przez jakiś czas mnie pan śledził – ciągnęłam. – Proszę się łaskawie przyznać, jak udało się panu zrobić to w taki sposób, że nie zauważyłam?

Młodzieniec w końcu spojrział wprost na mnie i nieoczekiwanie się uśmiechnął.

– Panno Naren, rozumiem, o co pani chodzi – powiedział prawie wesoło.

– Tego mnie i Lucjusza również uczył ojciec. To znaczy dopiero teraz rozumiem, czego dokładnie nas uczył, ale wtedy po prostu się bawiliśmy.

– W rozbójników?

– Ano... chowaliśmy się przed sobą nawzajem w lesie, w samym zamku, tam jest wiele zakamarków... Szukaliśmy „tajemnych kryjówek”... A potem ojciec opowiadał, jak zrobić to samo w mieście... Ale w pani przypadku zastosowałem jego nauki po raz pierwszy!

– Chyba Lagarst był niezgorszym nauczycielem, skoro pana nie przyłapałam, szczególnie że był to pierwszy raz – powiedziałam. Oczywiście mogłabym się wykręcać, że nie spodziewałam się ogona, ale była to kiepska wymówka. – Cóż, jest to dodatkowe potwierdzenie moich wniosków... Laurinne, niech pan jeszcze raz wyteży pamięć. Nie przypomina pan sobie przypadkiem, z kim przestawał pański ojciec jeszcze za czasów bytności w stolicy? Wiem, że był pan wtedy dzieckiem, ale może jednak?

– Bardzo słabo pamiętam tamte czasy. – Chłopak po kręcił głową. – Ojciec prawie nie bywał w domu... Nawet jeżeli ktoś go odwiedzał, to nie zapamiętałem. Zresztą najlepiej pamiętam czasy, dopiero gdy wyjechaliśmy z miasta... Tylko króla zapamiętałem, ale to pewnie z przestachu.

– Nie rozumiem. – Zmarszczyłam brwi. – Kiedy to Jego Królewska Mość odwiedzał pański dom?

– Nie, źle mnie pani zrozumiała! – Laurinne pokręcił głową. – Skądże, on u nas nigdy nie był! Po aresztowaniu ojca matka wywalczyła posłuchanie u Jego Królewskiej Mości i zabrała nas ze sobą – mnie i Lucjusza.

„Rzeczywiście – przypomniałam sobie – Arneliusz mówił, że Magea przyjechała z oboma chłopcami”.

– Nie powiedziała nam, co to za człowiek, pewnie żebyśmy się nie przestraszyli – dodał Laurinne z pewnym zawstydzeniem. – Ale Lucjusz skądś się dowiedział i wygadał. A potem cały czas się trząśł... A ja nijak nie mogłem uwierzyć, że to faktycznie król. I gapiłem się na niego kompletnie nieprzyzwoicie... W tamtych czasach wydawało mi się, że król jest ogromnego wzrostu, koniecznie w purpurowym płaszczu, z berłem albo mieczem, jak w bajkach. A Jego Królewska Mość był taki... zwykły.

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Żeby Arneliusz wiedział, jak wygląda w oczach malutkich dzieci!

– Czyli niczego pan nie pamięta – westchnęłam. – Prawdziwa szkoda...

– Panno Naren, a co ma pani zamiar robić dalej? – zapytał Laurinne poważnie. – Poinformuje pani Jego Królewską Mość?

– Poinformować poinformuję – mruknęłam. – I oczywiście król uwierzy mi na słowo, jednak nadal nie znam prawdziwego nazwiska tego... Naora. I nie poznam, póki w jakiś sposób się nie zdradzi. A on tak po prostu się nie zdradzi, ostrożny jest, sukinsyn!

– Pani... chce go pani jakoś sprowokować? – zapalił się porucznik. – Panno Naren, niech mi pani... niech mi pani pozwoli sobie pomóc!

I tyle. Nawet nie musiałam pytać, już gotów był wepchnąć łeb w paszczę bestii. I znowu tknęło mnie pewne podejrzenie. Skąd w nim tyle ognia, czyżby też ciągnęło go do bohaterskich czynów? „Flossio, zdecyduj się

wreszcie, czy możesz do końca ufać temu dzieciakowi – powiedziałam sobie. – A jeżeli nie, to lepiej będzie, jak wygonisz go na dobre, póki jeszcze nie jest za późno!”

– Mówi pan, że chce pomóc? – mruknęłam. – Jest pan gotów zaryzykować, zagrać rolę wabika, ściągnąć na siebie tego całego tajemniczego pana albo przynajmniej któregoś z jego sługusów?

– Tak jest, panno Naren – odpowiedź padła cicha, ale bardzo stanowcza.

– Ale dlaczego tak bardzo chce pan mi pomóc? – spytałam. – Laurinne, co pan będzie z tego miał? Czy może nie rozumie pan, co ryzykuje? Ma pan jedną głowę i jeśli ją pan straci, to nie wstawi jej na miejsce nawet najlepszy magomedyk.

Laurinne patrzył na mnie bez słowa, a zmarszczka na środku jego czoła ciągle się pogłębiała, aż ciemne brwi prawie się zetknęły.

– Panno Naren, nie ufa mi pani? – zapytał wreszcie.

– Poruczniku, jeśli to pana pocieszy, ja nikomu nie ufam – odparłam. – A już najbardziej ludziom, których motywów nie rozumiem. Byłoby znacznie prościej, gdy by chodziło panu o sławę, przygody czy pieniądze. Ale w tej rozgrywce nie zyska pan ani uznania, ani majątku i sam pan to doskonale rozumie. W takim razie dlaczego nadal pan tu jest? I bardzo proszę, żeby nie wspominał pan o rozkazie Jego Królewskiej Mości. Nie sięga on aż tak daleko!

– W takim razie... Panno Naren, ja nie wiem, co mam powiedzieć. – Wbrew oczekiwaniom porucznik zachował spokój, a przynajmniej pozornie. – Zresztą ja po prostu nie umiem ładnie przemawiać. A jeśli mi pani nie wierzy, to tym bardziej nie zdołam pani przekonać...

– Nie musi mnie pan o niczym przekonywać – prychnęłam. – Wystarczy, że powie pan prawdę. Może nawet uwierzę.

– Panno Naren, już powiedziałem, że nie wiem, jak to wyjaśnić... –

Laurinne zagapił się na swoje chude ręce. Tutaj jest wmieszane tyle różności...

– To proszę zacząć po kolei – zaproponowałam. Czułam nawet pewną ciekawość. Chyba moje podejrzania w stosunku do Laurinne’a były bezpodstawne, to nie ten typ człowieka, którego można zastraszyć lub kupić, ale i tak interesowało mnie, co też usłyszę.

– Dobrze. – Chłopak na chwilę zamilkł. – Najpierw ja... czułem, że powinienem przynajmniej jakoś... przecież pani mi uratowała życie w czasie tej zarazy! Tylko co mogłem zrobić? Więc pomyślałem... – Wzruszył ramionami. – Znaczą pewnego dnia zebrałem się na odwagę... czy nawet bezczelność... i napisałem podanie, że proszę, aby wyznaczyć mnie na pani stałego towarzysza. Nawet się nie spodziewałem, że ono w ogóle dotrze do Jego Królewskiej Mości. Pewnie bardzo pani przeszkadzałem?

– Chwileczkę!! – Uznałam, że chyba się przesłyszałam. – Chce pan powiedzieć, że była to PAŃSKA inicjatywa?!

– Znaczą się... no tak.

Na chwilę straciłam dar mowy. Ażeby tego Arneliusza...! Chociaż mogło się też zdarzyć, że właśnie zachodził w głowę, gdzie by tu porucznika spławić, i całe to podanie spadło mu jak z nieba. Jednym słowem, obaj byli siebie warci!

– Proszę mówić dalej – nakazałam.

– Dalej nie bardzo jest o czym – rzucił porucznik, teraz patrząc gdzieś w bok. – Zaczęła się kołomyja... Chciałem zrobić coś pożytecznego, a nie po prostu stać na warcie. Poza tym... Panno Naren, pewnie ma pani rację, jednak ciągnęło mnie do przygód... Odrobinę. A koło pani zawsze się coś dzieje.

Ukryłam uśmiech.

– Potem, po całej tej historii z panem z Estalu, z Darai... zrozumiałem, że to już nie żarty – ciągnął Laurinne. – A kiedy opowiedziała mi pani, co tak

naprawdę stało się z moim ojcem... – Przerwał na chwilę, a potem dodał, patrząc na mnie spode łba: – Myśli pani, że ktoś mnie mógł przekupić? Czy przestraszyć? Żebym mu meldował, co ma pani zamiar zrobić?

– Nie będę ukrywać, przychodziły mi do głowy takie myśli – odparłam. – Co prawda ta o przekupieniu jest mało prawdopodobna z powodu pańskich durnych zasad odnośnie do honoru. To samo, jeśli idzie o „przestraszyć”. Bo w końcu czym można przerazić tak odważnego młodzieńca? Ale, Laurinne, pana jak najbardziej można zaszantażować. Przecież ma pan siostrę, a ona w tej chwili znajduje się w stolicy...

– Leidy nie ma w mieście – przerwał mi porucznik z ukrytym zadowoleniem w głosie. – Już od trzech tygodni.

– A co się z nią stało? – zdumiałam się. – Wysłał pan biedaczkę z powrotem do majątku?

– Nie. – Teraz Laurinne uśmiechał się leciutko.

– W takim razie dokąd? – Czasami jednak potrafił mnie zaskoczyć. Mimo wszystko starczyło mu wyobraźni, by usunąć dziewczynkę z zasięgu możliwego zagrożenia!

– Znaczy... pewnie powinienem pani powiedzieć. – Porucznik raptem spochmurniał. – Po prostu na wszelki wypadek. Iwas zabrał ją do swoich krewnych. Mieszkają daleko stąd, na południu. A zaręczam pani, że nikt oprócz mnie nie wie, że Iwas w ogóle ma jakąś rodzinę.

– Ufa mu pan na tyle, żeby powierzyć siostrę? – spytałam sarkastycznie.

– Ja przecież nie jestem panią, panno Naren – w odpowiedzi brzmiała nie mniejsza ironia. – Ojciec wierzył Iwasowi jak samemu sobie, mam wrażenie, że to dobra rekomendacja.

– Cóż, pańska sprawa. A przy okazji, czy Iwas przypadkiem nie był wtajemniczony w sprawy pańskiego ojca? Mam na myśli te tajemne.

– Raczej nie. – Laurinne potrząsnął głową. – Był jego przybocznym i

tyle. Oczywiście kiedy wróci, mogę zapytać, ale wydaje mi się, że o tamtych sprawach Iwas nic nie wie. Ojciec mógł mu ufać, ale mało prawdopodobne, by wtajemniczał go we wszystkie szczegóły.

– Proszę mimo wszystko zapytać – poleciłam. – A jeszcze lepiej będzie, jak sama go zapytam. Ale, Laurinne, odeszliśmy od tematu pańskich motywów. Wyliczył pan już wszystkie?

– Chyba tak – odparł niepewnie, z nieznanego powodu nieznacznie się rumieniąc. – Oczywiście w tej chwili najbardziej chciałbym się dowiedzieć, kto zrobił mojego ojca... A poza tym... Nawet nie wiem...

Spojrzałam na porucznika jeszcze raz. Chudy, trochę niezgrabny dzieciak... Naiwny i uparty, naprawdę trudno o gorszą kombinację. Ale po bliższej analizie stawało się oczywiste, że ostatnimi czasy stracił sporo ze swojej naiwności, za to ani grama upor. Co do rozsądku, to już kiedyś wspominałam, że Laurinne był bardziej inteligentny, niż wydawał się na pierwszy rzut oka, a jego problemy z wysławianiem chyba powoli zanikały. Więc ostatecznie mogło nawet wyrosnąć z niego coś sensownego, chyba że po drodze głupio zginie.

– Panno Naren, powiedziałem, co wiedziałem – nieoczekiwanie dodał porucznik.

– I jeszcze... U nas nie jest to przyjęte, ale mogę przysiąc przed Bogiem, że nie kłamię.

– Laurinne, a w jakiego boga pan wierzy? – spytałam.

– A po co to pani?

– Zwykła ciekawość. – Wzruszyłam ramionami. – Poza tym powinnam chyba wiedzieć, czyim imieniem ma pan zamiar przysięgać. Czy to jakaś tajemnica?

– Nie, dlaczego... – Laurinne spojrzał na mnie z ukosa. – Nasza rodzina wyznawała Zapomnianego.

Nie udało mi się powstrzymać gwizdnięcia. Zresztą to by pewne rzeczy wyjaśniało.

Kult Zapomnianego był dosyć dziwny, nie bardzo nawet dawał nazwać się kultem. Jego wyznawcy nie pamiętali imienia swojego Boga, a raczej mieli masę wersji jego imienia, tylko że nie można było z całą pewnością ustalić, które z nich było prawdziwe. Nie zachowały się nawet wyraźne legendy, więc Boga określano po prostu jako Zapomnianego. Nie wznoszono do niego modłów, nie składano ofiar, nie wielbiono publicznie, nie można go było o nic prosić, nie można było modlić się o odpuszczenie grzechów. Można było w niego jedynie wierzyć. Jego nauki z jednej strony były bardzo proste, ale z drugiej...

– Czy ja dobrze pamiętam, że wyznawcy Zapomnianego w swoich postępkach powinni kierować się wyłącznie poczuciem honoru oraz sumieniem? Oczywiście ci z nich, którzy takowe posiadają?

– Mniej więcej się zgadza, panno Naren. – Laurinne wyraźnie nie miała chęci drążyć tego tematu, chyba sam już żałował, że powiedział za dużo.

Cóż... Ale przynajmniej teraz lepiej rozumiałam jego zachowania i kierujące nim motywy. Nigdy nie zejdzie ze ścieżki, którą uważa za właściwą, i nigdy nie zdradzi tego, kogo uzna za godnego swojej wierności. Ale nadal o ile prościej mają wyznawcy innych religii, z dokładnie ustalonymi listami grzechów i kar za owe przewiny! W przypadku Zapomnianego człowiek stąpał po cienkim lodzie, nigdy nie wiedząc do końca, co właściwe, a co nie. Tak w zasadzie mógł liczyć wyłącznie na siebie. Zresztą, otrząsnęłam się, przecież ja sama żyłam dokładnie w ten sposób. Hm... Idąc dalej tym tropem, to chyba mnie również można było uznać za wyznawczynię Zapomnianego!

– Swoją drogą, co otrzyma pan w nagrodę za bezgrzeszne życie? – spytałam.

– Tego nikt nie wie – padło całkowicie poważnym tonem.

– A jako karę za złe uczynki?

– Wieczność – odrzekł Laurinne. – Wieczność z samym sobą. Panno Naren, mam wrażenie, że to bardzo długi czas...

Mogłam tylko westchnąć. Porucznik miał rację, więźniowie odizolowani w pojedynczych celach czasami wariowali w ciągu niecałego roku, co dopiero mówić o wieczności! A całkiem prawdopodobne, że nikt nie pozwolił grzesznikowi uciec w szaleństwo i biedak będzie musiał raz po raz przypominać sobie własne postęпки... W końcu wiadomo, że najokrutniejszym sędzią dla człowieka jest właśnie on sam. Tylko co zrobić z tymi, którzy postępowali tak, jak uznali za słuszne i właściwe, tylko w drodze do swojego celu zmarnowali setki ludzkich istnień? I to pytanie również zadałam porucznikowi.

– Tacy ludzie nigdy nie wybierają Zapomnianego – odparł natychmiast, jak gdyby miał zawczasu przygotowaną odpowiedź na to właśnie pytanie. – Panno Naren, nie bardzo umiem to wyjaśnić, ojcu się lepiej udawało...

– I tak rozumiem – uśmiechnęłam się.

Mimo wszystko... Trzeba jednak specyficznego człowieka, by wybrać sobie takiego boga i zrezygnować z prostych, dokładnych zasad głoszonych przez inne religie: zrobisz tak, to będziesz zbawiony, a jak owak, to potępiony. Mogłam zrozumieć, jak radził sobie Ferenc Lagarst. Ale Laurinne? Ciekawe, dokąd go ta ścieżka zaprowadzi...

Ale chwilowo należało dać spokój teologicznej debacie, nie czas na to ani miejsce. Innym razem...

„Cóż, Flossio, zaryzykujesz, by mu uwierzyć? – spytałam sama siebie z ironią i natychmiast odpowiedziałam: – Skoro już przywykłam ufać intuicji, a teraz ona mówi mi, że Laurinne nie kłamie, to czemu miałabym dziś jej nie posłuchać?”

– No dobrze, poruczniku – rzuciłam z westchnieniem. – Przed takimi argumentami muszę ustąpić. Proszę uznać, że mnie pan przekonał.

– Naprawdę? – odpowiedział nieco niepewnym uśmiechem. Chyba mój brak wiary go obraził. Ciekawe dlaczego?

– Nie mam w zwyczaju kłamania w tak drobnych sprawach – odparłam. – Cóż... Skoro już doszliśmy do porozumienia, to może spróbujmy wymyślić coś, co wywabi Naora z jego nory.

Jednak tego dnia nie doszliśmy do niczego wartościowego. Udało mi się tylko wytłumaczyć porucznikowi, na kogo powinien zwracać uwagę w pierwszej kolejności, oraz poradzić mu, by możliwie najrzadziej opuszczał teren pałacu. Słudzy Naora raczej nie powinni ryzykować i dobierać mu się do skóry w takim miejscu: dookoła za dużo postronnych oczu oraz uszu, jak również niemało magów, którzy mogli wykryć podejrzaną aktywność, jeżeli ktoś próbowałby skorzystać z agresywnych zaklęć.

Niestety, ja nadal nie miałam pretekstu do odwiedzin w pałacu i już zaczynałam się zastanawiać nad tym, czy jednak nie iść bez zaproszenia. Z drugiej strony moja bezczynność mogła upewnić Naora, że zrezygnowałam z dalszego śledztwa. Może to nawet lepiej, zawsze warto dodatkowo uspić jego czujność.

Wzięłam kilka spraw niemających żadnego związku z polityką – ot, parę kradzieży i morderstwo na podłożu zazdrości. Miałam zamiar trochę oderwać się od tematu pana Naora i jak najbardziej mi się to udało.

Dziadek swoimi kanałami zbierał wszystkie plotki i pogłoski dotyczące się stosunków między Arastenem i Stalwią. Ze wszystkich oznak wynikało, że chwilowo na tym polu panował spokój. Bardzo możliwe, że Naor chciał trochę odczekać i upewnić się, że nie dotarłam do sedna sprawy i nie stanowią większego zagrożenia.

Parę razy wzywałam do siebie porucznika – niby w celu udzielenia mi

pomocy w dochodzeniach, chociaż nie miałam z niego specjalnego pożytku. Niestety, u niego też panował spokój, nikt nie próbował go śledzić, a przynajmniej nie z morderczymi zamiarami. Czasami kamyk stróż się nagrzewał, ale w granicach normy. A w takich wypadkach nie sposób ustalić z całą pewnością, czy przypadkiem nie reagował na przykład na zwykłych kieszonkowców.

Jednym słowem, nie działo się kompletnie nic znaczącego. Lecz mogła to być cisza przed wielką burzą...



Tymczasem polecie jakoś niezauważalnie zbliżyło się do końca i nastąpiła pora jesiennych świąt. Nie przepadałam za tym okresem i w miarę możliwości próbowałam znaleźć się możliwie najdalej od stolicy, by uniknąć udziału we wszelakich obchodach. Nie potrafiłam znaleźć w nich nic wesołego ani zajmującego, a poza tym zawsze było mi szkoda marnować czas na bezsensowne zabawy.

Niestety, tym razem nie miałam żadnej mniej lub bardziej istotnej przyczyny, dla której mogłabym zrezygnować z udziału w balu z okazji początku jesieni. Wyjazd ze stolicy byłby cokolwiek nierozsądny, sporo rzeczy mogło zdarzyć się podczas mojej nieobecności! Dziadek przecież też wyjechał akurat wtedy, gdy miała miejsce cała ta historia z Lagarstem... I teraz miałam czasami podejrzenia, czy przypadkiem nie wywabiono go wtedy z miasta celowo!

Przyjęcie zapowiadało się na wyjątkowo tłumne i tak samo wyjątkowo nudne, ale nie mogłam odrzucić zaproszenia. Z drugiej strony mogło się okazać, że miałabym w końcu sposobność zamienić parę słów na osobności z Jego Królewską Mością, a w świętującym tłumie nie wywoła to takich

podejrzeń jak wproszenie się na po słuchanie. Czyli nie ma tego złego...

Zastanawiałam się usilnie, co mogłabym z tej okazji na siebie włożyć. Pojawienie się na balu w spodniach zostałyby uznane za co najmniej nieprzyzwoite. Nic żeby specjalnie obchodziły mnie normy przyzwoitości, ale warto było okazać przynajmniej odrobinę szacunku dla gospodarza wieczoru. Zresztą tak czy siak będą mnie wytykać palcami, ale jeżeli włożę suknię, to przynajmniej nie wywołam skandalu.

Suknię odnalazłam dopiero po dłuższych poszukiwaniach. Kilka lat temu przywiozłam ją z północnych wysp, ale od tamtej pory ani razu nie nosiłam. Zdążyła beznadziejnie wyjść z mody, lecz mieszkańcy Arastenu mieli bardzo mgliste pojęcie o modzie księstw północnych, więc w sumie nie ryzykowałam za bardzo. Poza tym była to jedyna suknia, w której nie wyglądałam jak strach na wróble.

Ubrałam się i przejrzałam w lustrze, czując spore zadowolenie ze swojego wyglądu. Ciemnoczerwona suknia z czarnym haftem oraz długimi szerokimi rękawami dokładnie opinała figurę i miękkimi falami rozszerzała się ku dołowi. Była wysoko zabudowana, zarówno z przodu, jak i z tyłu. I niechaj dworki sobie zgadują, czy mam pod tym jedwabistym materiałem jakieś łuski, czy może po prostu szyję w zmarszczkach!

Niestety, musiałam zrezygnować ze swojego pasa z mnóstwem bardziej lub mniej potrzebnych błyskotek oraz garści amuletów, choć korzyść z nich niewielka. Ale poza tym na tym przeklętym balu musiałam powstrzymać się przed paleniem, co „cieszyło” mnie jeszcze bardziej. Z drugiej strony dlaczego miałabym zrezygnować ze swoich zwyczajów? Co najwyżej zaszokuję jeszcze kilka osób, nic nowego... Podjąwszy taką decyzję, wpadłam w nieco lepszy humor i mogłam kontynuować przygotowania.

Zwykle zaplatam włosy w warkocz i spinam je w węzeł na potylicy, ale tego dnia zdecydowałam się zmienić fryzurę. Zaplotłam dwa warkocz, które

przerzuciłam na piersi, i uznałam, że jestem całkiem zadowolona ze swojego wyglądu. Dodatkowo zmajstrowałam sobie zawój z ciemnoczerwonej jedwabnej chusty pod kolor sukni. Takie nakrycia głowy były całkiem modne na wyspach, ale z jakiegoś powodu w Arastenie nie zyskały popularności. Ogólnie moje odbicie mnie samej jak najbardziej się podobało, a zdanie reszty społeczeństwa uważałam za wyjątkowo mało istotne.

Wynajęty powóz szybko dostarczył mnie pod pałac królewski, gdzie trafiłam w mrowie wystrojonych w balowe szaty dam i kawalerów. Szczęśliwie dokoła mnie z jakichś powodów natychmiast tworzyła się pusta przestrzeń, a kobiecy śmiech zaczynał brzmieć dziwnie sztucznie. Nie mam pojęcia, do jakich wniosków doszły dworki, jeśli idzie o moją suknię, ale z drugiej strony niezbyt mnie to interesowało. Najbardziej ze wszystkiego miałam ochotę znaleźć się możliwie daleko stąd, najlepiej w głuchym lesie przy ognisku i pał sześć tego całego króla... Tym bardziej że sądząc z kłębiących się tu tłumów, miałam marne szanse, by złapać go bez świty.

Postanowiłam skrócić sobie czas tej męki przyjemnymi rozmyślaniami o sprawach zawodowych, czyli zabójstwach, gwałtach i rozbojach z użyciem ostrych narzędzi. Usunęłam się pod wysokie okno, ale nawet tam nie miałam spokoju: co rusz jakiś dworak podchodził, żeby złożyć mi wyrazy szacunku, jak również przedstawić swoją żonę, potomków i krewnych. Niestety, takie rytuały były nie do uniknięcia i mogłam tylko uzbroić się w cierpliwość, ukradkiem zgrzytając zębami.

Na szczęście Jego Królewska Mość nie kazał długo na siebie czekać i wkrótce wszyscy goście zaproszeni zostali do ogromnej sali balowej, która niedawno zyskała nowy wystrój. Z ulgą odnotowałam, że były tu gigantyczne okna, a oprócz nich niewielkie balkoniki – na którymś będzie można się schować, gdy wszyscy o mnie zapomną. Przy drzwiach sali stali na warcie honorowej gwardziści, i to sami oficerowie (niebawem mieli zastąpić ich

zwykli szeregowcy, dając szlachetnym panom możliwość dołączenia do gości). Oczywiście wśród nich znajdował się również porucznik Laurinne. Widząc mnie, młodzieniec na dłuższą chwilę zatracił uroczyście drewniany wyraz twarzy. Wydawało się, że zobaczył mnie po raz pierwszy w życiu i zjawisko to pozbawiło go spokoju duszy. Ciekawe, co się biedakowi stało? Czyżbym aż tak koszmar nie wyglądała w tej sukni, że przeraziłam nawet mojego wiernego towarzysza?

Arneliusz wygłosił uroczystą przemowę, po której zaprosił wszystkich zebranych, by bawili się na miarę sił. I świętowanie się rozpoczęło...

Po chwili stało się oczywiste, że rozmowa z Jego Królewską Mością sam na sam będzie niemożliwa, dookoła kręcili się dworacy, nie sposób było poruszać w ich obecności poważnych tematów.

Udało mi się uciec do okna w kącie. Było otwarte, mogłam więc spokojnie zapalić i tak też postąpiłam.

Panowie i damy zajęli się sobą nawzajem, zostawiając mnie w spokoju, i mogłam porozmyślać, ignorując panujący dokoła hałas. Rozpoczęły się tańce, a ja żywiłam pewne uprzedzenia w stosunku do współczesnej muzyki i podrygiwania w jej rytm. Co prawda obserwowanie złożonych ruchów tancerzy było całkiem zabawne, ale moim zdaniem mogliby po prostu zebrać się w korowód, znacznie to prostsze i weselsze. Bo te wszystkie pas wyglądały po prostu głupio. Wyelegantowani panowie niewiarygodnie przypominali koguty dumnie kroczące naprzeciw kur. A damy odpowiadały krygowaniem się i kokieterią. Z pewną nostalgią pomyślałam o północy. Tam ludzie byli prostsi, a zabawy może bardziej toporne, ale też znacznie ciekawsze od tutejszych. Wyobrażam sobie, co powiedziałyby księżę Garastas na widok tej chodzącej oranżerii. Pewnie zaproponowałyby wypuścić na salę kilka rysi dla ożywienia atmosfery. (Jego zwierzaki były udomowione, ale nie zawsze i nie wszystkich o tym uprzedzano). Chociaż możliwe, że się

myliłam i na północy również weszły już w modę te kurze tańce...

Zatopiona we wspomnieniach kompletnie nie zauważyłam, że muzyka się zmieniła, a ktoś ze wszystkich sił próbował zwrócić na siebie moją uwagę, kasłając delikatnie. Ocknęłam się z zamyślenia i ujrzałam przed sobą porucznika.

– O, tu pan jest – westchnęłam. – I co nowego stało się w naszym wspaniałym królestwie?

– Nnnic... chyba... – odparł niepewnie.

– Chce mi pan o czymś powiedzieć? – inwigilowałam całkiem przyjaznym tonem i młodzieniec chyba przypomniał sobie, po co do mnie podszedł.

– Panno Naren... pozwoli pani... do tańca...?

Przyznam, że nieco mnie zatkało.

– Założył się pan z kimś czy co? – spytałam. Całkiem prawdopodobna wersja, koledzy mogli wrobić dzieciaka nawet w coś bardziej głupiego.

– Nie! – Laurinne potrząsnął głową. – Panno Naren, pozwoli pani...?

– Chyba muszę, w przeciwnym razie nie zostawi mnie pan w spokoju – prychnęłam i odłożyłam fajkę na parapet. Miałam nadzieję, że nikt jej w międzyczasie nie zawłaszczy...

Hm... Porucznik i tak sięgał mi do ucha, a dziś w dodatku miałam pantofle na obcasach. Cóż, będziemy wyglądać dość zabawnie. Zresztą i tak wszystko jedno, tylko skąd w nim ta chęć do zrobienia z siebie pośmiewiska? Spróbuj, człowieku, zrozumieć! Uznał, że pokaże komuś, jaki to jest odważny? Całkiem możliwe.

– Poruczniku, ostrzegam: ostatni raz tańczyłam jakieś pięć lat temu, więc proszę uważać na nogi – uprzedziłam.

– Panno Naren, przyjąłem do wiadomości. – Ukłonił się i podał mi ramię. Wczekał na odpowiedni moment i wciągnął mnie w krąg tańczących

(niektórzy ze zdziwienia zgubili krok). Byłam przyjemnie zaskoczona, Laurinne okazał się dobrym partnerem, prowadził całkiem pewnie i tylko z uporem godnym lepszej sprawy unikał spoglądania mi w twarz. Do tego ręka, która powinna spoczywać na mojej talii, wydawała się wisieć w powietrzu. Cóż, chyba biedak nieco przeszacował swoją pewność siebie.

– A dlaczego ostatnio tańczyła pani pięć lat temu? – zapytał nieoczekiwanie. Patrzcie państwo! A ja gotowa byłam przysiąc, że nie odważy się otworzyć ust.

– Jakoś się tak złożyło. Nie jestem częstym gościem na balach. I pewnie sam pan zauważył, że nie kręci się dookoła mnie tłumek kawalerów.

– Idioci – oznajmił porucznik, dziwiąc mnie jeszcze bardziej.

– Laurinne, czy nie jest pan przypadkiem pijany? – zapytałam, patrząc na niego z góry.

– Nie, panno Naren – odparł. – Niestety.

– Ale dlaczego „niestety”? – zainteresowałam się.

Porucznik zachowywał się zupełnie inaczej niż zwykle i chciałam poznać przyczyny. Czyżby w międzyczasie znalazł sobie damę serca, która niktzemnie go porzuciła? Ale co ja miałam z tym wspólnego?

Niestety, odpowiedzi na swoje pytania nie otrzymałam, ponieważ taniec dobiegł końca i młodzieniec pochylił się przede mną w ukłonie, wyglądając całkiem zadowolonego z faktu, że nie musi odpowiadać. Rzuciłam spojrzenie za otwarte okno. Już dawno zapadł zmrok, na dworze panowała głęboka noc, czyli mogłam stąd zniknąć, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Wypełniłam tak zwany obowiązek towarzyski, a nie musiałam przecież sterczeć w pałacu do rana. Oczywiście szkoda, że nie udało się zamienić słowa z Arneliuszem, czekało mnie szukanie odpowiedniej okazji... I z tą oto myślą ruszyłam w kierunku drzwi i dopiero na schodach zauważyłam, że Laurinne wyszedł za mną.

– A o co panu teraz chodzi? – spytałam mało uprzejmie. I znowu porucznikowi udało się mnie zadziwić.

– Przecież jest pani dziś moją damą – stwierdził. – Muszę odprowadzić panią do domu.

Zastanowiłam się, czy przypadkiem nie poczęstował się jakimś proszkiem z suszonych grzybów czy morskich wodorostów? Bo nawet na to wyglądał. Błada twarz i karmazynowe plamy na policzkach, oczy pałają niedobrym blaskiem, a do tego zachowanie rażąco różniące się od zwykłego. Ale mówił względnie płynnie, jego źrenice również wydawały się normalne, brak spowolnień ruchowych... Halucynacji Laurinne również chyba nie miał. Mogłam tylko rozłożyć ręce w myśli, zabrakło mi pomysłów, co się biedakowi mogło stać.

Mój powóz podjechał dosyć szybko. Przy okazji, jest to jeden z powodów, dla których lubię opuszczać wszelakie tłumne przyjęcia bardzo wcześnie albo bardzo późno, kiedy już przewali się fala gości. Kiedy wszyscy naraz zaczynają zbierać się do domu, przy głównym podejździe nie sposób wepchnąć igły, a ile razy zdarzyło się, że dwie karoce zaczepiły się kołami! Hałas, rejwach, woźnice krzyczą na konie, panowie na woźniców, świszczą baty, konie rżą desperacko... Jednym słowem, przepiękne zakończenie wspaniałego wieczoru.

Po drodze porucznik nie próbował narzucać mi swojej osoby, jego koń spokojnie stukał kopytami po prawej stronie powozu i nawet zaczęłam mieć nadzieję, iż na tym nieoczekiwany napływ jego podejrzanego odwagi się skończy. Ale wkrótce okazało się, że była to nadzieja płonna.

Laurinne doczekał się, aż opuszczę powóz, po czym wszedł na ganek, najwyraźniej zamierzając otworzyć przede mną drzwi. To przestawało się mieścić w jakichkolwiek granicach.

– Poruczniku, pańska uwaga staje się natrętna i cokolwiek uciążliwa –

zauważyłam, wymijając go. – Czy byłby pan łaskaw opuścić mój dom, moje podwórko i najlepiej również tę ulicę?

– Oczywiście, panno Naren, jak pani sobie życzy. – Młodzieniec skłonił rozwichrzoną głowę i przemówił nieoczekiwanie gładko: – Jak tylko uzyskam pewność, że bezpiecznie dotarła pani do swoich komnat, natychmiast odejdę i nie będę się dalej narzucał.

– Co pan wygaduje...? – zaczęłam, ale natychmiast przypomniałam sobie idiotyczne dworskie zasady. Zresztą niektórym musiały się one podobać. Jeżeli kawaler zgłaszał się, by odprowadzić damę do domu, a ona nie protestowała, to bynajmniej nie oznaczało to, że pożegnają się przed drzwiami tegoż domu. O nie, do obowiązków kawalera należało odprowadzenie prawie do samej sypialni i chyba nie muszę dodawać, że bardzo często pożegnanie odroczone zostawało do rana? Ale z jakiej mańki porucznik uznał, że musi wypełnić ten idiotyczny rytuał?

Westchnęłam.

– No dobrze, rozumiem, że łatwo się pana nie pozbędę. I obstawiam też, że nie mają sensu próby przekonania pana, że sama potrafię pokonać te dziesięć stopni i nie skręcić sobie przy tym karku? – Rzuciłam porucznikowi niezadowolone spojrzenie. – Tak też myślałam. No dobrze, niech pan odprowadza, tylko szybko, bardzo proszę!

Dzięki Bogu, nie mam ogromnego majątku z szeregiem pokoi i długimi ciągami schodów! Stopni faktycznie było dziesięć i oto w końcu było piętro i drzwi prowadzące do mojej sypialni.

– Poruczniku, jesteśmy na miejscu – oznajmiłam, otwierając je. – Proszę bardzo, może się pan przekonać, że ani za portierami, ani pod komodą nie chowają się żadni bandyci, mojej czci nic nie grozi, więc może pan stąd zniknąć, o co go bardzo proszę! Po tym durnym balu strasznie chce mi się spać...

Mówiąc to, przestałam zwracać na Laurinne'a uwagę, rzuciłam na stolik pierścionki, ściągnęłam zaimprovizowane nakrycie głowy i zaczęłam rozplatać warkocze.

– Dobrej nocy, panno Naren – odezwał się drewnianym głosem porucznik za moimi plecami.

Odwróciłam się, by spytać, jak długo jeszcze ma zamiar sterczeć w drzwiach, ale okazało się, że w drzwiach już go nie było. Jakimś niezrozumiałym sposobem zdołał znaleźć się tuż za mną i gdy tylko się odwróciłam, wyciął kolejny numer – nieoczekiwanie złapał mnie za ramiona i złożył na moich wargach mocny pocałunek.

Tak bardzo zatkało mnie na podobną bezczelność, że nawet nie spróbowałam go odepchnąć. Zresztą pocałunek długo nie potrwał i Laurinne szybko się ode mnie oderwał.

– Do reszty pan zwariował? – spytałam.

– Tak jest – przyznał uczciwie i pocałował mnie ponownie. Chyba fakt, że nie spopieliłam go na miejscu, dodał nieborakowi pewności siebie. I trzeba przyznać, że jego zamiary dawały się zinterpretować w sposób jednoznaczny.

„Ażeby cię szlag!” – pomyślałam, ale po kolejnych paru sekundach uznałam, że nie spuszczę chłopaka ze schodów. Po czymś takim na pewno by się ode mnie nie odczepił. Natomiast jeżeli otrzyma to, o co tak walczy, to gotowa byłam założyć się o setkę arów przeciwko stęchłemu jajku, że uwolnię się od jego dziwnych zakusów raz na zawsze! Chociażby dlatego, że realne spełnienie jego życzeń nie będzie miało nic wspólnego z fantazjami. A ja... No cóż, w najgorszym razie będzie to ciekawe doświadczenie, a tracić nic nie traciłam! Co prawda nie bardzo wiedziałam, jak go potem traktować, ale przecież zawsze mogłam udać, że kompletnie nic się nie stało. Nie byłby to pierwszy raz...

Wszystkie te myśli przemknęły mi przez głowę niemal jednocześnie, po

czym stłumiłam śmiech i położyłam dłoń na głowie porucznika. Mogłabym przysiąc, że spodziewał się różnych rzeczy, ale na pewno nie takiego obrotu spraw i chyba dopiero teraz zaczął się naprawdę bać. Trzeba oddać mu honor, natychmiast wziął się w garść i połapał w sytuacji.

Wbrew moim oczekiwaniom jego pocałunki okazały się całkiem przyjemne. A przynajmniej nie zalatywało od niego ani gorzałą, ani kiepskim karrisem, ani żadnym innym świństwem. Jego miękka grzywka łaskotała mnie w twarz, a do tego Laurinne nie miał za bardzo pojęcia, co zrobić z rękoma. Przyznam uczciwie, trochę chciało mi się śmiać, ponieważ nigdy jeszcze nie miałam okazji sprawdzać swoich sił w uwodzeniu niedorostków. Chociaż tu powstawało pytanie, kto kogo uwodził!

– No dobrze, niech pan na chwilę przestanie – rozkazałam, nie bez trudu odpychając go od siebie. – I zamknie drzwi.

Zapewne oczekiwał, że dodam „od drugiej strony”, ale nic takiego nie powiedziałam. Kiedy nasz odważny porucznik zamykał drzwi – a zrozumiał mnie całkiem dobrze i użył zasuwę – sięgnęłam do tyłu, rozpięłam suknię i pozwoliłam jej ześlizgnąć się na podłogę, pozostając w samej halce. Szczerze powiedziawszy, ta ostatnia niewiele zakrywała, pod suknię takiego kroju nie sposób wiele założyć. Po odwróceniu się z powrotem porucznika czekał całkiem ciekawy widok, a przynajmniej na to liczyłam. Zresztą, sądząc z wyrazu jego oczu, tak właśnie było.

– No i czego pan tam stoi? – spytałam. – Pragnę zauważyć, że pan pierwszy zaczął, więc proszę nie udawać słupa od latarni, tylko zdjąć na początek przynajmniej buty!

Moim zdaniem, porucznik już niezbyt cieszył się z faktu, że zaczął tę całą kołomyję, jakiegokolwiek motywy by nim kierowały. Zdaje się, że liczył co najwyżej na jeden pocałunek ukradziony z zaskoczenia, a następnie spodziewał się otrzymać porządnego kopa i wylecieć za bramę. Bo chyba nie

mógł oczekiwać, że najdzie mnie chęć, by się zabawić?

Ale rozkaz wykonał bez słowa sprzeciwu, a następnie z własnej inicjatywy pozbył się munduru, pozostając, w samej koszuli. Tymczasem z mojego ramienia zaczęło spelzać cienkie ramiączko i gdy podeszłam na wyciągnięcie ręki, Laurinne na chwilę stracił oddech.

– Poruczniku, niech mi pan powie uczciwie, czy kiedykolwiek widział pan nagą kobietę? – spytałam podejrzliwie.

Chłopaczek spiekł raka, co widać było nawet w świetle księżyca, po czym kilka razy skinął głową.

– A wie pan, co z nią robić? – dociekałam dalej.

Zaczerwienił się jeszcze bardziej, a kiwnięcie wyszło mu znacznie mniej pewnie. No to już wszystko wiedziałam. W najlepszym razie miał okazję raz czy drugi pobaraszkować z wiejskimi dziewczynami tam w majątku, po czym znalazł się w stolicy. A tutejsze panny wołały okazalszych kawalerów, najlepiej jeszcze z ciężką sakiewką. Przy czym tyczyło się to zarówno dworek, jak i najpodlejszych służących. Tymczasem porucznik po prostu nie miał pieniędzy na dom publiczny. Cóż, mogło być gorzej...

– Rozumiem. W takim razie... – westchnęłam. Zresztą nie mogłam powiedzieć, że sytuacja całkiem mi się nie podobała, nawet na odwrót, dawno nie miałam takiego ubawu. Poza tym miało to wszystko jakiś posmak świeżości... – W takim razie, Laurinne, niech pan leży i się nie kręci.



Patrzyłam w sufit i oddawałam się leniwym myślom. Nie miałam stałego partnera... zgadza się, od dłuższego czasu. Cokolwiek by mówić, mój zawód nie sprzyja długim związkom, a poza tym nie każdy mężczyzna zgodzi się tolerować taką damę. Mogłam nie brać pod uwagę przygodnych kawalerów,

bo właśnie dlatego byli oni przygodni – w zasadzie przy każdym wyjeździe gdzieś dalej od stolicy jakiś się trafiał. Co prawda ostatnio w tej materii nie miałam za wiele szczęścia, bo jak tu romansować, gdy wlecze się za tobą tuzin żołnierzy z przepełnionym energią porucznikiem na czele! Przecież nie mogłam biegać na potajemne schadzki, to już nie te lata...

Ręka Laurinne'a z dziwną ostrożnością obejmowała moje ramiona, oddech łaskotał szyję. Minęłabym się z prawdą, mówiąc, że nie było to miłe. Poza tym trzeba przyznać, że porucznik znowu przyjemnie mnie zdziwił. Oczywiście był niedoświadczony, ale za to nie było w nim ani odrobiny brutalności oraz pośpiechu. To rzadkie u kogoś w jego wieku, a zawsze w mężczyznach ceniłam właśnie delikatność i dbałość o kochankę.

Nieoczekiwanie uświadomiłam sobie, że w zasadzie powinnam zapytać jeszcze o coś. Pewnie wypadało zrobić to znacznie wcześniej, ale jakoś zawsze wylatywało mi z głowy.

– Laurinne, a proszę mi powiedzieć, jak pan właściwie ma na imię? – spytałam i nieoczekiwanie zrozumiałam, że zaraz na pewno się roześmieję. Czarująca sytuacja, wprost jak z klasycznego dowcipu. Pytać mężczyznę o imię dopiero po znalezieniu się z nim w jednym łóżku!

– Laur – mruknął porucznik.

– Jak?! – Nie wierzyłam własnym uszom i nawet uniosłam się na łokciu by lepiej widzieć jego twarz.

– Laur – powtórzył wyraźniej. – Rodzice spodziewali się dziewczynki i planowali nazwać ją Laura. Ale urodziłem się ja, a oni zdecydowali, że nie będą zmieniać imienia.

– Nie mogę powiedzieć, że był to z ich strony najlepszy pomysł – osądziłam. – W połączeniu z nazwiskiem Lagarst to imię jeszcze jakoś brzmi, ale Laur Laurinne?! Nie, pan pozwoli, ale będę używać nazwiska.

– Jak pani sobie życzy – odparł cicho.

– A pan może mówić mi po imieniu – pozwoliłam łaskawie. – Oczywiście w przypadku nieobecności osób postronnych. Rozumie pan?

– Tak jest, panno... Flossio.

Laurinne patrzył na mnie wprost i znowu zdziwiło mnie to, co widziałam w jego spojrzeniu. Szare oczy były radosne, ale równocześnie wystraszone, a gdzieś w głębi źrenic czaiło się niedowierzanie, jak gdyby młodzieniec spodziewał się, że lada chwila ten sen pryśnie. Ani odrobiny samozadowolenia. Gdybym zobaczyła choć cień, to jak dziadka kocham porucznik przeliczyłby gołym tyłkiem wszystkie stopnie na schodach.

Spojrzałam mu w oczy i uznałam, że zachowam dla siebie planowane ostrzeżenie. Dotyczące tego, że nie powinien rozpowiadać wszem wobec o wydarzeniach dzisiejszej nocy. Z jakiegoś powodu coraz bardziej umacniała się we mnie pewność, że Laurinne nie miał zamiaru chwalić się przed przyjaciółmi. A zresztą, nawet gdyby się pochwalił, to kto mu uwierzy? Roześmieją się, poklepią po ramieniu i doradzą, by mniej pił. Ale mimo wszystko wydawało mi się, że do tego nie dojdzie.

– Flo... – powiedział Laurinne cicho, a ja mimowolnie się wzdrygnęłam. Tak nazywała mnie Lela. Najpierw chciałam zabronić zdrabniania mojego imienia w ten sposób, ale natychmiast zmieniłam zdanie. Wykreśliłam byłą niewolnicę ze swojego życia, więc wspomnienia o niej nie miały prawa bytu ani w tym domu, ani w mojej głowie.

– Tak?

– Ma pani włosy jak węże... – Porucznik ostrożnie przeciągnął dłonią po moich nadal nierozplecionych do końca warkoczach.

– Mówi pan, że węże? – Rozległ się cichy syk i błyszczący czarny gad owinał się dookoła nadgarstka Laurinne'a, podczas gdy drugi położył łeb na jego piersi i zajrzał w oczy nieruchomym żółtym spojrzeniem. Lubiłam tę sztuczkę, wymyśliłam ją jeszcze w dzieciństwie po przeczytaniu legendy o

kobiecie, która miała na głowie żmije zamiast włosów. Komu innemu taki widok wystarczyłby, by jąkać się do końca życia, ale porucznik chyba przeżył już całą swoją dzisiejszą porcję strachu. – Nie boi się pan?

– Nie. – Jasna grzywka majtnęła się raz i drugi. – Przecież one nie są prawdziwe, prawda?

– Prawdziwe czy nie, ale bez większego problemu mogłyby pana udusić – uśmiechnęłam się. – No dobrze, starczy na dziś iluzji...



O dziwo, obudziłam się o świcie. Zasłony były zaciągnięte niedokładnie i po mojej twarzy powoli pełzł promyczek słońca. Zmrużyłam oczy, ale nie spieszyłam się ze wstawaniem. Nie miałam też ochoty zapaść z powrotem w sen. Przyczyna tak nietypowego zachowania spokojnie posapywała u mego boku i wyraźnie nie miała zamiaru się obudzić. A ponieważ porucznik nie mógł się poszczycić żelaznymi nerwami, tak mocny sen mógł być wyłącznie skutkiem głębokiego wyczerpania. No cóż, w zasadzie miał powody...

Na początku chciałam udać śpiącą i umożliwić chłopczkowi ucieczkę. Ale po chwili zastanowienia zrezygnowałam. Z jednej strony nie miałam przecież pojęcia, ile jeszcze mógł przespać, a z drugiej mogło mu przyjść do głowy spróbować mnie „obudzić”. Tak więc wniosek był bardzo prosty: zniknąć musiałam ja. W przeciwnym razie czekała mnie niezręczna rozmowa z porucznikiem. Nie miałam ochoty patrzeć, jak się czerwieni, ucieka spojrzeniem i mamrocze coś pod nosem. A na pewno zrobiłby jedno, drugie i trzecie... Nie wiedziałam, co go wczoraj naszło, ale pozostawało mieć nadzieję, że dzisiaj dojdzie do siebie i uświadomi sobie, co narobił. Chciałam wybrnąć z całej tej głupiej sytuacji, ponosząc możliwie minimalne straty własne, tak więc Laurinne miał szczęście – nie czekało go poranne

wyjaśnianie wzajemnych stosunków, a ja miałam zamiar udać, że kompletnie nic się nie stało.

Utwierdziłam się w tej myśli, po czym wstałam, bezgłośnie się ubrałam i wyszłam z pokoju. Uznałam, że nie będę budzić Dima, sama osiodłałam swoją kobyłę i ruszyłam w odwiedzin do dziadka.

Mój kochany krewny w odróżnieniu ode mnie wstawał zwykle z pierwszymi promieniami słońca, więc moja wizyta powinna była go zdziwić. Przygotowałam sobie nawet pretekst dla odwiedzin, ale ostatecznie i tak nie miałam okazji go użyć.

– Dzień dobry – rzuciłam, wchodząc do biblioteki. Dziadek siedział przy oknie w fotelu z wysokim oparciem i kartkował jakiś ogromny foliak.

– Nie wątpię, że dobry! – stwierdził złośliwie, obrzuciwszy mnie spojrzeniem. – Widzę, że zdecydowałaś się jednak skorzystać z mojej rady?

– O co ci chodzi? – nie zrozumiałam.

– O to, że jednak znalazłaś sobie chłopca – prychnął dziadek. – No, w końcu! Bo już zacząłem się obawiać, że do reszty ci rozum odjęło...

– Skąd taki wniosek?! – zdumiałam się.

– Floszsz! – Dziadek zagapił się na mnie niemalże z obrazą i wykrzywił wargi.

– Nie próbuj robić ze mnie idioty! Widziałaś się w lustrze? No to zobacz! Masz pysk zadowolony jak kot, który dorwał się do pańskiej śmietany.

– Pysk jak pysk – odburknęłam, mimowolnie spoglądając na swoje odbicie. Nie zauważyłam na nim nic szczególnego, ale dziadek chyba znał mnie lepiej niż ja sama i faktycznie miał szansę coś zauważyć. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że tak uważny był tylko on jeden. Spróbowałam zmienić temat: – A tak w ogóle to mam do ciebie sprawę.

– Oczywiście. Znowu potrzebujesz jakiejś książki?

– Oczywiście! – zmałpowałam go kpiąco. – Bo cóż jeszcze?

Przesiedziałam u dziadka prawie do południa, bo książka naprawdę była mi potrzebna, a żeby ją znaleźć, konieczne okazało się przekopanie kilku szaf. Chyba ostatecznie dziadek zwątpił w słuszność wywodów odnośnie do mojej osoby. Może to i lepiej, bo zaczęłyby się znowu czepiać o tego dziedzica, a co jak co, nie miałam najmniejszego zamiaru spełniać akurat tego kaprysu (a już tym bardziej spełniać go z Laurinne'em!). Zresztą gdyby krewniak dowiedział się, kto został moim wybrankiem, pewnie natychmiast zmieniłby zdanie w kwestii mojego zdrowia psychicznego.

ROZDZIAŁ 26

Złe wieści

Po powrocie do domu nie znalazłam żadnych śladów Laurinne'a, co nie mogło nie cieszyć. Jeszcze bardziej ucieszył mnie posłaniec z listem od Jego Królewskiej Mości. Pojutrze miałam stawić się w pałacu i być obecna na kolejnym przyjęciu, a przy okazji otrzymać od Arneliusza jakieś instrukcje. Czułam przez skórę, że coś się szykowało, więc w imię wzięcia udziału w owym czymś gotowa byłam znieść nawet kolejny bal. Nie mówiąc o tym, że w końcu miała mi się nadarzyć okazja do rozmowy w cztery oczy z królem.

Dwa dni minęły jak z bicza strzelił, spraw miałam dosyć, ale wszystkie w granicach miasta i niezbyt znaczące. No dobrze, moi klienci mogli nie uważać ich za drobiazgi, ale dla mnie to była zwykła rutyna. Tajemnicza kradzież (gospodarze podejrzewali, że brak śladów włamania oznaczał, że złodziej musiał użyć magii, ale ostatecznie okazało się, iż klejnoty zagarnął ich ukochany synek), kilka anonimów z groźbami... jednym słowem, nic szczególnego. Nawet dobrze, bo mogłam spokojnie zająć się sprawą Arneliusza. A jakoś tak się składało, że od niego nigdy nie dostawałam nudnych zleceń.



I ponownie centralny podjazd, wystrojeni dworacy oraz ich lśniąca od klejnotów żona, sztywni lokaje i błyszczący parkiet sali balowej. Nie pofatygowałam się nawet, by zmienić suknię, i ponownie włożyłam czerwoną z czarnym haftem. Była wygodna, a jeżeli inne damy życzyły sobie codziennie zmieniać ubrania po to tylko, by móc pochwalić się dostatkami, to był to ich problem, nie mój.

Tym razem szczęśliwie nie czekał mnie długi pobyt w tłumie dworaków. Podstarzały kamerdyner, którego dobrze znałam jako jednego z zaufanych ludzi Arneliusza, poprosił dyskretnie, bym udała się za nim, co też uczyniłam.

Jego Królewska Mość czekał w swoim roboczym gabinecie – nie w tym wystawnym pomieszczeniu, gdzie przy jednym stole mogło zasiadać dwudziestu ministrów naraz, w tym, gdzie często urządzał prywatne spotkania z najprzeróżniejszymi ludźmi. Niejednokrotnie miałam honor tu bywać, tak więc król nie marnował czasu na powitania, odesłał kamerdynera i pytająco spojrzął na stojącego obok podstarzałego maga dworskiego. Był to Deien Ress, również jeden z niewielu zaufanych ludzi Arneliusza, który służył jeszcze jego ojcu. W owej chwili Ress sprawdzał, czy gabinet był wystarczająco chroniony przed podsłuchem i chyba miał zamiar pozostać w nim z nami. Czyli on też był wtajemniczony w planowaną rozmowę...

– Panno Naren – cicho powiedział Arneliusz, doczekawszy się skinienia maga potwierdzającego, że wszystko w porządku – przyznam, że nie bardzo wiem, od czego zacząć.

– W takim razie niech Wasza Królewska Mość zacznie od początku – poradziłam. Było to ukochane powiedzenie mojego dziadka. – Widzę, że sprawa jest tym razem wyjątkowo delikatna?

– Nawet nie tyle delikatna, panno Naren – poskarżył się król. – W przeciwnym razie nie byłbym aż tak... hm... zagubiony.

Arneliusz zagubiony? Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Ciekawe rzeczy!

– Widzi pani, panno Naren, muszę prosić panią o coś innego niż rozpoczęcie dochodzenia – ciągnął. – Chodzi o to, że nie mam nic do zbadania... jeszcze.

– Ma Wasza Królewska Mość jakieś podejrzenia i chce, żebym je sprawdziła? – Ten wariant zdawał się najbardziej prawdopodobny.

– Dokładnie, coś w tym rodzaju. – Arneliusz powoli skinął głową. – Pewnie jest pani wiadome, że na święto jesieni przybyło do nas kilku poddanych mojego najjaśniejszego brata, Jego Wysokości Nikkeja...

– Oczywiście, jest mi wiadome. – Nadstawiłam uszu. Oho, ho! Czyżby Naor znowu zabrał się do roboty? – I co w związku z nimi wydało się wam niezwykle?

– W związku z nimi kompletnie nic – odparł monarcha. – Bywali na jesiennych świętach również w latach ubiegłych i wszystkich doskonale znam. Znacznie bardziej interesująca jest osoba, która właśnie się pojawiła i oczywiście obecna będzie na dzisiejszym bankiecie. Poza tym ów pan poprosił mnie o osobiste posłuchanie, twierdząc, że działa na polecenie... zresztą co tam, rozkaz Jego Królewskiej Mości Nikkeja. I ma przekazać mi od niego pewną wiadomość.

– Cóż to za pan? – spytałam nieco gwałtownie. – Jego osoba nie wzbudza zaufania?

– I właśnie o to chodzi, panno Naren, i właśnie o to chodzi! – Arneliusz uniósł znacząco palec. – Czy znany jest pani niejaki Raimo Boras?

Jeżeli miał zamiar mnie zaskoczyć, to mu się udało.

– Oczywiście – odparłam. – Raimo Boras jest najlepszym magiem bojowym przynajmniej na tym kontynencie. Miałam okazję poznać go dostatecznie blisko, by z całą pewnością oświadczyć, że jego sława nie jest w

żaden sposób przesadzona. Mimo to... Od kiedy to Boras podejmuje się misji dyplomatycznych?

– Panno Naren, ja również bardzo chciałbym to wiedzieć – westchnął Arneliusz.

– Mało tego, coraz bardziej przychyliam się ku myśli, by nie udzielać temu dostojnemu panu posłuchania.

– Wasza Królewska Mość się czegoś obawia – było to stwierdzenie. – Co wzbudza wasz niepokój?

– A czy nie wystarczy sam fakt, że na moim dworze pojawił się stalwiański mag bojowy? – Arneliusz uniósł brwi. – Panno Naren, ostatnimi czasy stosunki ze Stalwią są dosyć chłodne. Sama pani o tym doskonale wie. Mój najjaśniejszy brat uważa, mało tego, jest pewien, że ukrywamy przed nim jakieś szczegóły dotyczące się śmierci księżniczki Mairin. – Nadal patrzyłam Jego Królewskiej Mości prosto w oczy bez najmniejszych obaw, że się zdradzę. – I to go martwi. Bardzo martwi, panno Naren.

– Jego Królewska Mość Nikkej zawsze szukał dziury w całym. – Wzruszyłam ramionami. – Właśnie z tego powodu nie zostałam w jego kraju. Nie podoba mi się, gdy przy najmniejszych podejrzeniach ciąga się ludzi do więzienia, a ja musiałam babrać się w tych bzdurach, zamiast zajmować prawdziwymi przestępstwami.

– Owszem – zgodził się Arneliusz. – Ale ostatnimi czasy jego podejrzliwość przyjmuje zastraszające rozmiary. Oprócz tego warto brać pod uwagę pewne wydarzenia, o których opinia publiczna nie została poinformowana, pani natomiast jest ich świadoma. I co pani powie?

– Uważam, że należy Borasa wysłuchać – stwierdziłam po chwili namysłu. – Ale macie rację, nie w cztery oczy. Oczywiście powstrzymanie maga tego poziomu w razie jakichś głupich działań z jego strony nie jest łatwe, ale...

– Ale kilku innych magów przynajmniej zablokuje go na jakiś czas – dokończył Arneliusz pośpiesznie. – Zresztą nie wydaje mi się, by Nikkej wynajął go do roli najemnego zabójcy. Znacznie tańsze i łatwiejsze byłoby wysłanie kilku najemników bądź przekupienie służących, by dosypali mi trucizny do zupy. Nie mówiąc o tym, że najlepszy mag bojowy chyba nie zgodziłby się na coś takiego?

– Jeszcze dziwniej wygląda w charakterze posłańca – prychnęłam. – Wasza Królewska Mość się myli. Boras może zgodzić się na wiele, o ile będzie dokładnie wiedział, co otrzyma w zamian. Poznałam go wystarczająco dobrze. Poza tym może również prowadzić własną grę. Mówicie, że będzie obecny dziś na balu?

– Jest zaproszony. – Arneliusz wyglądał na zmartwionego.

– Pomówię z nim – zdecydowałam. – Spróbuję dowiedzieć się, czego chce. O ile, rzecz jasna, będzie chciał ze mną rozmawiać. – Król pytająco uniósł brwi i musiałam wyjaśnić: – Rozstaliśmy się... mmm... nie do końca pokojowo.

– A więc to tak... – Arneliusz westchnął, po czym znów się nachmurzył i dodał: – Wysłałem Jej Królewską Mość oraz dzieci do podmiejskiej rezydencji.

– Nie wydaje mi się, by ucieszyli się z takiej decyzji – zauważyłam.

– Moja żona jest mądrą kobietą. – Arneliusz odpowiedział wymuszonym uśmiechem. – Ramea wie, kiedy można się kłócić, a kiedy lepiej milczeć.

Nawet nie próbowałam pytać o ar-księcia. Mimo że był on młodzieńcem ze sporym temperamentem, rozkazów ojca zwykle słuchał bez słowa sprzeciwu. Poza tym nie wątpiłam, że pozwolono mu zabrać ze sobą tylu przyjaciół i ślicznych panien, ile tylko chciał. Albo też Arneliusz wyjaśnił synowi, jak się sprawy mają. W tej rodzinie nie było idiotów, więc nie sądziłam, by Jego Wysokość miał się stawiać.

– No cóż, zobaczymy... – westchnęłam.

– Panno Naren... – powiedział Arneliusz. – Mam nadzieję, że uda się pani wyjaśnić obecne wydarzenia. Nikt nie ma nawet cienia pomysłu, o co może chodzić Nikkejowi, a to bardzo nieprzyjemne.

– Całkowicie się z wami zgadzam – odparłam szczerze. – A przy okazji, Wasza Królewska Mość, może się okazać, że sprawa, o której chcę wam opowiedzieć, jest w jakiś sposób powiązana. Zresztą jestem tego prawie pewna...

– O czym pani mówi? – Król spojrzał na mnie z uwagą.

Zerknęłam na Ressa, który w trakcie całej mojej rozmowy z władcą zachowywał milczenie. Może Arneliusz mu ufał, ale... Teraz widziałam Naora w każdym aktywnym członku Kolegium, a Ress się do nich zaliczał.

Król zrozumiał mnie absolutnie poprawnie i rzucił:

– Deienie, bardzo proszę, niech nas pan zostawi samych.

Nawet jeżeli ta prośba uraziła starszego maga, w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać. Po prostu krótko się uklonił i wyszedł.

Nastąpiła moja kolej, by sprawdzić ochronę gabinetu. Wolałabym, żeby Ress nie usłyszał tego, o czym miałam zamiar opowiedzieć.

– Tak więc, panno Naren? – ponaglił mnie Arneliusz.

– Myślę, że Wasza Królewska Mość jeszcze pamięta o epidemii – powiedziałam powoli. – I o panu z Estalu. Wiecie również, że miał wówczas miejsce zamach na moje życie. Powinniście też pamiętać, w jaki sposób złapana została silna wiedźma. Jeżeli rozpatrzymy wszystkie te sprawy z osobna, to są one może ciekawe, lecz nic ponad to. Ale, Wasza Królewska Mość, nie tak dawno przekonałam się, że wiele z dziwnych wydarzeń, które miały miejsce w ostatnich czasach, jest ze sobą ściśle powiązanych i stanowi dzieło rąk tej samej osoby.

– To zaiste ciekawe... – skomentował Arneliusz neutralnym tonem. –

Proszę mówić dalej.

– Korzenie tej historii sięgają w niezbyt daleką przeszłość – ciągnęłam. – I proszę sobie wyobrazić, że wcale niepoślednią rolę odegrał w niej dobrze wam znany Ferenc Lagarst, jak również imć Wergiusz Starsis. Wasza Królewska Mość, czy znacie może to nazwisko?

– Znam, panno Naren – potwierdził Arneliusz, zauważalnie pochmurniejąc. – Chyba istotnie trafiła pani na coś ciekawego. Proszę mówić!

I po raz kolejny opowiedziałam historię, która zaczęła się nie rok ani nie dwa temu.

– Wasza Królewska Mość, czy mam rację i Lagarst był tajnym agentem? – spytałam, a Arneliusz skinął głową twierdząco. – Mogliście mi przecież powiedzieć!

– Przepraszam, panno Naren. – Król rozłożył ręce. – Przyzwyczajenie. Ferenc rzeczywiście był agentem, i to bardzo dobrze zamaskowanym. Gdyby nie tamten wypadek... – Władca ze smutkiem pokręcił głową.

– Ani on, ani Starsis nie zameldowali o swoich podejrzeniach? – spytałam po zakończeniu opowieści, mimo iż sam wyraz twarzy rozmówcy świadczył, że słyszał o sprawie po raz pierwszy.

– Nie – rzucił król. – Ferenc najpewniej nie miał takiej możliwości, a Wergiusz... cóż, Wergiusz zawsze starał się najpierw zdobyć niezbite dowody.

– W tym konkretnym wypadku powinien był zmienić zwyczaję – westchnęłam. – Wasza Królewska Mość, wiecie już wszystko, do czego udało mi się dojść. – Mówiąc to, nieco minęłam się z prawdą. Musiałam naturalnie opowiedzieć o pierwszym zamachu na moją osobę, ale nie zdradziłam prawdy o księżniczce Mairin. I tak nie miało to w całej sprawie wielkiego znaczenia. – Jak sami widzicie, nasz tajemniczy osobnik zwany

Naorem nadal się nie uspokoił.

– Uważa pani, że wizyta pana Borasa w jakiś sposób wiąże się z tą historią?

– Jestem bardziej niż pewna – odparłam. – Myślę, że Naor ponownie zaczął działać, i to dokładnie tak, jak przewidywałam, manipulując Jego Wysokością Nikkejem. Tymczasem Boras... Tu nie wiadomo do końca. Może być ślepy wykonawcą, ale równie prawdopodobne jest, że działa całkiem świadomie. Widzi Wasza Królewska Mość, w jego wypadku trudno jest mówić o czymkolwiek z całą pewnością.

Faktycznie, kroilo się coś arcyciekawego, dzięki obecności Borasa nawet wykraczającego poza zwykłe normy. Tam, gdzie pojawiał się Boras, zawsze coś się działo. Albo też na odwrót, po prostu miał zdolność trafiania w samo centrum wydarzeń.

Ostatni raz widzieliśmy się kilka lat temu i dokładnie tak, jak przyznałam się Jego Królewskiej Mości, rozstaliśmy się w niezbyt przyjaznej atmosferze po poważnej kłótni w pewnej zasadniczej sprawie. Szczerze mówiąc, nie sprawdzałam, co porabiał Boras w ciągu tych lat. Oczywiście jego imię co rusz wypływało w plotkach, ale nigdy specjalnie o niego nie wypytywałam. Jak się okazało, niesłusznie. Coś przez ten czas musiało się zmienić.

– Panno Naren, a nie uważa pani, że to właśnie pan Boras może być tym... tak zwanym Naorem? – Arneliusz wypowiedział moją myśl na głos.

Chwilę milczałam.

Jak najbardziej gotowa byłam uwierzyć, że Boras prowadził jakąś swoją grę. Na pewno miał ku temu wystarczająco dużo rozumu oraz arogancji. Szatka nawet i najlepszego z najlepszych maga bojowego zawsze była dla niego trochę zbyt ciasna. Bo w końcu czym jest taki mag? Maszyną do zabijania, kupowaną przez tego, kto ma więcej pieniędzy, i tyle. A Boras nigdy nie był tępym narzędziem i pewnie właśnie stąd brała się jego

paskudna reputacja. Kto by się ucieszył, jeżeli, powiedzmy, katapulta czy inne urządzenie oblężnicze w samym środku walki udałoby się na spacer po okolicach, a po powrocie przeszło na stronę przeciwnika z jakichś wyłącznie dla siebie zrozumiałych powodów?

Mogłam ręczyć, że Boras był nieprzekupny. Z drugiej strony nikt i nigdy nie mógł mu ufać całkowicie. Boras zawsze był zbyt zapatrzony w siebie i pilnował wyłącznie własnych interesów. Przewaga ilościowa w postaci jednego maga bojowego to bardzo dużo i tę właśnie część rozumieli wszyscy, więc do Borasa zawsze ustawiała się kolejka chętnych chcących przeciągnąć go na swoją stronę. Mógł sobie pozwolić na luksus wyboru, tyle że kryteria tegoż wyboru były niezrozumiałe dla większości zwykłych śmiertelników, ponieważ wymagały umiejętności myślenia na dziesięć kroków do przodu. Trzeba również wspomnieć, że zwykle Boras pakował się w rozmaite awantury nie dla pieniędzy i po osiągnięciu celu szybko tracił zainteresowanie sprawą. Podobał mu się sam proces gry. A właśnie teraz szykowała się kolejna skomplikowana rozgrywka, dla której polem miało stać się nasze królestwo. Czy muszę mówić, że podejrzenia rosły we mnie bujnie?

– Nie, Wasza Królewska Mość – zaprzeczyłam. – Może pracować dla Naora z jakichś swoich powodów, ale mało prawdopodobne, by sam nim był. To kompletnie nie jego styl. Boras nie czekałby tyle czasu. Poza tym, o ile mi wiadomo, na arasteńskim dworze pojawił się po raz pierwszy. Ale może wiedzieć coś o Naorze i postaram się to z niego wyciągnąć.

– Panno Naren, bardzo na panią liczę – powiedział Arneliusz. – A w świetle wszystkiego, co zostało właśnie powiedziane, mam zamiar odmówić panu Borasowi osobistego posłuchania.

– Całkiem rozsądne ze strony Waszej Wysokości. – Wykonałam płytki ukłon i jak zwykle rozstaliśmy się zadowoleni z siebie nawzajem.

W sali trwały tańce. Oczywiście nadal były to te same nieznośne tańce z przysiadami i ukłonami. Obrzuciłam spojrzeniem pary na parkiecie, dostrzegłam kilka znajomych twarzy ze świty Nikkeja, ale rzucającej się w oczy figury Borasa nigdzie nie było. Zamiast tego mój wzrok wyłowił Laurinne'a, co absolutnie nie poprawiło mi humoru. Od pamiętnej nocy porucznik nie pokazywał mi się na oczy, pozwalając żywić nadzieję, że przeszły mu jego romantyczne ciągoty. Ale chyba poważnie się pomyliłam. Młodzieniec wyglądał na kompletnie nieobecnego duchem i wszystkie próby przyjaciół wciągnięcia go do ogólnej hałaśliwej rozmowy spełzały na niczym. Nie mam pojęcia, o czym Laurinne rozmyślał, że do tego stopnia pogrążył się w zadumie, ale mimo to zauważył mnie prawie natychmiast. W jego szarych oczach pojawił się niezrozumiały błysk, a następnie chwilowe zagubienie na jego twarzy zastąpił wyraz zdecydowania i porucznik ruszył przez szeregi tańczących w moim kierunku. Ale nie zdążył.

– Flossio, czy to ciebie widzę, czy może wzrok mnie myli? – usłyszałam znajomy głos nad uchem, odwróciłam się na pięcie i ujrzałam nie kogo innego jak samego Raimo Borasa. – Widzę, że jednak nie myli i rzeczywiście to ty! Floss, wyglądasz wprost olśniewająco!

– Mógłbyś wymyślić coś świeższego – warknęłam. – Ten komplement słyszałam przynajmniej setkę razy, a może nawet więcej.

– Ale za to nikt nie będzie mógł oskarżyć mnie o niestałość! – Boras żartobliwie rozłożył ręce, po czym złapał moją dłoń i złożył na niej szarmancki pocałunek. – Floss, ile to lat się nie widzieliśmy?

– Kilka – westchnęłam. – Cóż sprowadza cię w nasze okolice? Czyżby Jego Królewska Mość zdecydował się postraszyć tutejszych zbójców?

– Nie, już mam pracę, dosyć nudną zresztą – odrzekł Boras. – A co, macie tu jakichś rozbójników?

– Tutaj nie, ale bliżej gór i na przełęczach – ile tylko dusza zapragnie –

odparłam.

– Mają nawet swoich magów bojowych, a to rozbójnicze gniazdo stanowi swoiste państwo w państwie. Co prawda chwilowo zachowują się mniej więcej przyzwoicie.

– No cóż, jeśli zaczną broić, to wiesz, do kogo się zwrócić! – roześmiał się Boras, wesoło połyskując brązowymi oczyma, na co mimowolnie uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Jego uroku osobistego można było używać do kruszenia murów zamiast taranu. Przez jakiś czas nawet wydawało mi się, że byłam w nim zakochana, i nawet teraz odczuwałam coś... – Floss, pozwolisz zaprosić się do tańca?

– Tylko nie w ten tłum – uprzedziłam, mimo że nie miałam najmniejszej ochoty na tańce. Ale obiecałam Arneliuszowi, że dowiem się, czego tylko zdołam, tak więc...

– Żaden problem, zaraz to załatwię... – Boras pstryknął palcami, wzywając służącego, coś mu powiedział i tamten natychmiast się ulotnił. Po kolejnej minucie muzyka zmieniła się na dobrze mi znaną melodię, która zawsze kojarzyła mi się z osobą Raimo, ponieważ właśnie do jej wtóru odbyło się nasze pierwsze spotkanie.

Boras podał mi rękę i po chwili poprowadził w tańcu dokładnie tak jak kilka lat temu. Dookoła natychmiast pojawiły się inne pary, migały pstrokate suknie oraz uśmiechnięte twarze. Taniec z Raimo był przyjemnością chociażby dlatego, że przy nim nie wydawałam się za wysoka. Matka natura nie poskąpiła mi wzrostu, ale on przewyższał mnie o dwie dłonie, którym towarzyszyła odpowiednia budowa. Pewnie górowaliśmy nad resztą gości jak para koni pociągowych wśród tabunu stepowych koników.

Podczas tego wirowania ponownie dostrzegłam Laurinne'a. Stał w oddali koło kolumny i wyglądał tak, jakby umarł mu właśnie ktoś bliski. Natychmiast jednak wyrzuciłam porucznika z głowy, gdyż musiałam jakoś

pociągnąć Raimo za język. I bez tego usta mu się nie zamykały, ale gadał o kompletnych błahostkach, nie dotykając najważniejszego – a w takich rozmówkach był prawdziwym mistrzem. Ja również co nieco umiem i kilka następnych godzin spędziliśmy w sposób bardzo zajmujący, próbując wyciągnąć z siebie nawzajem jakieś wartościowe informacje. Ani przez chwilę nie wątpiłam, że Raimo również próbował się czegoś dowiedzieć, tak więc szczerze częstowałam go najbardziej nieprawdopodobnymi pogłoskami i plotkami, jakie tylko potrafiłam sobie przypomnieć. W odpowiedzi otrzymałam oczywiste bajki. Ogólnie wieczór minął całkiem przyjemnie i nawet udało mi się dowiedzieć tego i owego. Teraz przydałoby się zastanowić nad tym wszystkim w ciszy i spokoju...



Ruszyliśmy do domów długo po północy, a Raimo zaproponował, że mnie odprowadzi. Ponieważ dobrze pamiętałam, czym skończyło się takie odprowadzanie poprzednim razem, uprzejmie, acz niezłomnie odmówiłam. Nie żebym miała coś przeciwko temu, by znaleźć się z nim ponownie w łóżku, w końcu zostały mi po tym jak najprzyjemniejsze wspomnienia. Ale nie lubię, gdy ktoś próbuje wykorzystywać mnie do własnych celów, a nie miałam najmniejszych wątpliwości, że właśnie to było zamiarem Raimo. Czy to miał nadzieję, że stracę czujność i zdradzę się z czymś istotnym, czy to chodził mu po głowie jeszcze jakiś pomysł, ja nie zamierzałam dawać mu szansy. I tak już wystarczająco zaniepokoił mnie sposób, w jaki Boras ze mną rozmawiał – jak gdyby nic się nie stało. Właściwie powinniśmy wyminąć się bez odwracania głowy i udawać, że kompletnie się nie znamy... Ale skoro ja sama nie zrobiłam tego z całkiem konkretnych powodów, oczywiste było, że on również miał swoje.

Wydawało się, że moja odmowa rozczarowała go, ale bez przesady. Miałam wrażenie, że bez większego trudu znajdzie sobie damskie towarzystwo na tę noc, przy jego powierzchowności i tak gładkim języku było to dziecinnie proste.



Na Zarzecznej panowała błogosławiona cisza. Nareszcie, po hałasie i gwarze w sali balowej. Położyłam się do łóżka, ale szybko zrozumiałam, że po podnietach w pałacu i tak nie zasnę, więc przeniosłam się do małego gabinetu. Nie tego, w którym przyjmowałam gości, ale osobistego, połączonego z sypialnią. Usiadłam w fotelu z fajką w zębach i zamyśliłam się. Na razie nie miałam jeszcze całego obrazu sytuacji, ale to i owo powinno się wyjaśnić, po tym jak Boras przekaze Arneliuszowi wiadomość. Chwilowo było po prostu za wcześnie na wnioski. Byłam pewna jednego: komuś bardzo marzyła się wojna. Ale do tego wyводу doszłam już jakiś czas temu, prawda? Więc pojawienie się Borasa było po prostu kolejnym ogniwem łańcuszka. Łańcuszek! Jeszcze czego! Raczej kłębka, w którym nie widać końców. Ale nic to, nie pierwszy raz...

Chyba jednak na chwilę przysnęłam, ponieważ obudziły mnie krzyki. Cóż, chyba nie było mi pisane odpocząć tej nocy.

– Flossio! – ponownie rozległo się na dole. Hmm... Wołanie nie dobiegało od strony bramy. Okna moich pokoi wychodzą na przeciwną stronę, gdzie nie ma już domów i otwiera się wspaniały widok na pole i znajdujący się w oddali las. Głos wyjątkowo dobrze mi znany, ale... co tu się działo? – Flossio!

Na sąsiednim podwórzu rozszczękał się pies i skrzypnęła otwierana okiennica, widocznie te wrzaski kogoś obudziły. Za to Dim, który powinien

już dawno zareagować, spał jak zabity!

Narzuciłam na ramiona szal, podeszłam do otwartego okna, oparłam się o parapet i z ciekawością wyjrzałam na zewnątrz. No tak, dokładnie tak, jak myślałam...

– Cóż to, miasto się pali? – spytałam, gdy nocny gość przestał mnie wzywać i zrobił sobie przerwę. – Ale w takim razie coś się panu pomyliło, trzeba krzyczeć:

„Pożar!” albo „Ratunku!”, ale nie „Flossio”!

– Pani... – Z wysokości piętra doskonale widziałam uniesioną bladą twarz oraz oczy, które w świetle księżyca wydawały się prawie czarne. – Pani...

– Niech pan przestanie wydzierać się na całą ulicę – rozkazałam. – Mieszkają tu przyzwoici ludzie, którzy w nocy śpią, a nie włączają się i straszą biednych mieszkańców. I tak już pan obudził wszystkich, kogo się tylko dało. O mojej reputacji pan przypadkiem nie pomyślał?

– Panno Naren...! – Zadziwiające, ten idiota mimo wszystko wpadł na to, by zdjąć mundur i przebrać się w cywilne ciuchy. – Przepraszam, nie pomyślałem, ja...

– Widzę, że pan nie pomyślał – warknęłam. – I to akurat nie jest szczególnie dziwne. Czy będziemy dalej tak do siebie wrzeszczeć, czy może jednak wejdzie pan i wyjaśni, co mu tym razem strzeliło do głowy?

Moje zaproszenie porucznik odebrał w sposób nieco niespodziewany: lekko przeskoczył przez płot (przyznam, że nie spodziewałam się po nim takich wyczynów), po czym w jednej chwili znalazł się na moim parapecie, czemu w dużym stopniu pomogła porastająca całą ścianę larrika.

– Czarujące – stwierdziłam i cofnęłam się w głąb gabinetu. – Jeszcze nikt nigdy nie włąził do mnie przez okno. Laurinne, czy ja się w końcu doczekam jakichś wyjaśnień, czy jednak nie?

Młodzieniec zeskoczył z parapetu, obrzucił spojrzeniem pokój, dostrzegł

otwarte drzwi prowadzące do sypialni, zerknął na mnie, po czym nagle, jak gdyby ktoś przeciął mu sznurki, padł na krzesło koło okna.

– Czekam – przypomniałam chłodno.

– Myślałem... – Porucznik patrzył na mnie i na jego twarzy zobaczyłam taką ulgę, że zrobiło mi się naprawdę nieswojo. – Myślałem, że... pani... z nim...

– Z kim: nim, Laurinne, znowu się pan zaczął jąkać? – spytałam zgryźliwie, mimo że już doskonale rozumiałam, o co w tym wszystkim chodziło.

– On tak na panią patrzył... – ciągnął porucznik zamiast odpowiedzi, po czym z nieoczekiwaną mocą złapał mnie w pasie i przyciągnął do siebie. – Pomyślałem...

– Żeby pana coś ciężkiego w ciemną strzeliło – powiedziałam łagodnie. Nie, to chyba mnie wcześniej coś strzeli! Ten szalony dzieciak okazał się na tyle głupi, by dostać ataku zazdrości z powodu Borasa. – Laurinne, nie wie pan przypadkiem, czemu ja mam takie szczęście do kretyńców? – westchnęłam i ponieważ nie wiedziałam, co jeszcze zrobić, położyłam mu ręce na ramionach. Po czym z litością dodałam: – Poruczniku, powinien pan znaleźć sobie kochankę. A jeszcze lepiej dwie.

– Po co? – Popatrzył na mnie z dołu bez cienia zrozumienia.

– Żeby wyrzucić z głowy te idiotyczne myśli, które się tam zaległy – wyjaśniłam.

– Chciałabym ja wiedzieć, co pan sobie wmówił.

– To nie są żadne idiotyczne myśli! – rzekł z ogromną powagą i pojęłam, że żadne przekonywanie nie pomoże. – Kocham panią.

No cóż... Tego się właśnie obawiałam. Jeżeli młody osioł pokroju Laurinne'a wbije sobie coś do głowy, wybicie owego czegoś nigdy nie jest proste!

– Mam szczerą nadzieję, że wkrótce panu przejdzie – oznajmiłam. – A przy okazji, co miał pan zamiar zrobić, gdyby zastał tu Borasa?

– Ja... – Sądząc z wyrazu twarzy, nad tym szczegółem w ogóle się nie zastanowił. – Nie wiem...

– Ale ja wiem. Powiedziałyby pan coś głupiego, po czym przeniósł się na tamten świat. A co najciekawsze, Boras nie miałby z tego tytułu żadnych problemów. Przecież nie ma pan na sobie munduru, więc skąd miałby wiedzieć, że puścił z dymem królewskiego gwardzistę? Zresztą gdyby miał pan na sobie mundur, to spaliłby pana z nie mniejszą przyjemnością, a wtedy...

Zamilkłam. A wtedy... trzeba przyznać, że stałoby się to nie najgorszym pretekstem! Nie gorszym niż tamto porwanie mojej cennej osoby. Morderstwo gwardzisty królewskiego, arnaia, oficera, popełnione przez maga pracującego dla głowy sąsiedniego państwa – to dla podżegaczy wojennych istne wielkie ciastko z ogromną ilością kremu! Boras z łatwością mógłby utrzymywać, że został sprowokowany, a ja musiałabym to potwierdzić, ponieważ niewątpliwie właśnie tak by się sprawy miały. Nasuwający się wniosek brzmiał, że wszyscy, a w szczególności Laurinne, mieliśmy spore szczęście, że nie pozwoliłam, by Boras odprowadził mnie do domu. Cóż, zaprawdę słusznie słucham swojej intuicji!

– Ale przecież go tu nie było – odezwał się porucznik, a ja ocknęłam się z rozmyślań.

– I za to powinien pan dziękować swojemu Zapomnianemu! – burknęłam.
– Laurinne, stoję na bosaka na zimnej podłodze. Chyba udam się już do łóżka, a jeżeli nie ma pan ochoty natychmiast opuścić tego domu, to nawet może do mnie dołączyć.

Porucznik oczywiście nie miał zamiaru się wynosić, ale w najmniej odpowiedniej chwili złapał mnie atak śmiechu w zupełnie nieadekwatnej

sytuacji.

– Flo, co się stało? – Młodzieniec wyglądał na tak przerażonego, że roześmiałam się jeszcze głośniejsze. – Czy ja coś nie tak...

– Nie – uspokoiłam go. – To nie z pana się śmieję.

– W takim razie z czego?

Nie odpowiedziałam, ale oczami wyobraźni widziałam wyraz twarzy Raimo Borasa w chwili, gdy dowie się, kogo wybrałam zamiast jego wspaniałej osoby, po czym roześmiałam się na cały głos.

– Flo... a od dawna... go pani zna? – zapytał porucznik, gdy nieco się uspokoiłam.

– Raimo? – sprecyzowałam.

– Jeżeli to właśnie tak nazywa się człowiek, z którym pani tańczyła, to tak, jego właśnie – rzucił Laurinne nieoczekiwane jadowicie. Znowu złapał mnie atak wesołości.

– Od dłuższego czasu – westchnęłam, przekręciłam się na brzuch i podparłam podbródek rękoma. – Hmm... to już będzie ze... Zresztą, jak powiem, to i tak pan nie uwierzy. I czemu pan tak na mnie patrzy? Chce pan zapytać, czy pomiędzy nami coś było?

Wbrew temu, czego mogłam się spodziewać, porucznik nie uciekł spojrzeniem, tylko chmurnie skinął głową. Chyba nie należał do ludzi lubiących się dzielić. No cóż, to było nawet zabawne...

– Skoro tak bardzo to pana ciekawi, mogę powiedzieć, że tak, ja i Raimo byliśmy ze sobą dość blisko – odparłam całkiem obojętnie. – Poza tym także razem pracowaliśmy. Ale potem się rozstaliśmy.

– Dlaczego? – zapytał Laurinne.

– A nie wydaje się panu przypadkiem, że pańska ciekawość staje się nieco uciążliwa? – rzuciłam. Ale nie, stanowczo mu się nie wydawało. – Zresztą pies z panem tańcował. Opowiem, nie ma w tym żadnej tajemnicy.

Historia, po której ja i Raimo rozstaliśmy się raz na zawsze, była dosyć banalna i wyjątkowo nieprzyjemna. Nie, nie zastałam go z inną kobietą ani on nie złapał mnie na zdradzie. W tamtych czasach oboje byliśmy już wystarczająco dorośli i umiarkowanie cyniczni, więc przymykaliśmy oczy na niegroźne rozrywki partnera. Po prostu krańcowo różniliśmy się opiniami w kwestii pewnej sprawy zawodowej.

W tamtym czasie prowadziłam dochodzenie na terenie naszego wielce szanownego sąsiada, wielkiego księcia welskiego. Welsja nie jest krajem specjalnie dużym ani też szczególnie majątnym, więc w całym księstwie nie znalazł się żaden przyzwoity mag–justycjariusz (uczciwie mówiąc, nie znalazł się w ogóle żaden) i książę musiał zwrócić się o pomoc do najbliższych sąsiadów. A ponieważ on i Arneliusz się przyjaźnili, udałam się na miejsce. Natomiast Jego Królewska Mość Nikkej wysłał do Welsji Raimo, trudno powiedzieć w jakim konkretnie celu. Nikkej twierdził, że w celu zapewnienia wystarczającej ochrony mojej cennej osobie, ale raczej skłaniałam się ku myśli, że Raimo chciał na własne oczy sprawdzić, w której części Welsji najłatwiej byłoby rozpocząć kampanię wojenną, jeżeli nadarzy się taka okazja. Bez wystarczająco dobrego powodu nie zostałby wpuszczony na teren księstwa, a w tamtym okresie już uważał działanie incognito za coś poniżej swojej godności. Tymczasem nadarzyła się doskonała okazja. Tym bardziej że miał również powód zobaczyć się ze mną, czyli połączyć pożyteczne z przyjemnym.

W Welsji natomiast wydarzyła się dosyć przykra historia. Ktoś wyciął w pień leśną osadę, wszystkich, wliczając w to nawet małe dzieci. Miejscowi winili za to upiora albo inną siłę nieczystą. Nie udało im się samym znaleźć leża krwio pijców, nadworni magowie księcia też nie potrafili pomóc, więc ostatecznie wezwano mnie.

Starczył mi jeden rzut oka, by stało się oczywiste, że żadne upiory czy

przemienicy nie mieli z tym nic wspólnego, ci drudzy w ogóle są zbyt ostrożni i żeby urządzić tak krwawe pobojuwisko, musieliby najpierw postradać rozum. Poza tym nie znalazłam żadnych śladów siły nieczystej. Co prawda od chwili, gdy popełniono zbrodnię, do dnia mojego przyjazdu minęło już sporo czasu, więc czekało mnie trudne zadanie. Ale nie byłoby z tym większego problemu, gdyby nie Raimo.

Łążenie za mną krok w krok było dla niego zbyt nudne, tak więc próbował na miarę swych sił wziąć udział w dochodzeniu. A ponieważ nie chciał słuchać moich poleceń, osiągnął jeden jedyny skutek – z jakiegoś powodu miejscowi uznali, że to właśnie on był upiorem. I oczywiście zażądali sprawiedliwości. Chłopi się burzyli, mnie brakowało argumentów, by ułagodzić sytuację, a Raimo wpadł w całkiem spodziewany szal – chyba nikt nigdy tak bardzo go nie obraził – i gotów był zmieść z powierzchni ziemi wieś, w której się zatrzymaliśmy. I nie były to czcze pogrożki, w ataku wściekłości Boras był zdolny do większych rzeczy.

Jednym słowem, nie bardzo miałam możliwość rozwiązać sprawę pokojowo, więc zaproponowałam miejscowym, by na własne oczy przekonali się, że Raimo nie jest żadnym upiorem. Niestety, on sam nie miał ochoty dobrowolnie wziąć udziału w sprawdzaniu i musiałam uciec się do podstępu. Ostatecznie miejscowi przekonali się, że nie mieli racji, i przeprosili, ale Boras nigdy mi nie wybaczył, że opowiedziałam się po stronie wieśniaków. A, zapomniałam wspomnieć, że procedura polegała na przeszyciu podejrzanego drewnianym kołkiem – prości ludzie uważają, że na skutek tego upiory natychmiast giną. Raimo oczywiście przeżył, ale ze zrozumiałych powodów zdecydował się nie czekać na zakończenie dochodzenia. I od tamtego czasu się nie widzieliśmy. Tymczasem okazało się, że wieś została spustoszona nie przez żadne upiory (osobiście wątpiłam w sam fakt ich istnienia, ponieważ nie udało mi się spotkać ani jednego),

tylko najzwyklejszych skazańców, którzy uciekli z arasteńskich kopalni żelaza i z niewiadomego powodu trafili w tamte okolice.

– A mnie się wydawało, że on w ogóle nie był na panią zły – z niedowierzaniem zauważył Laurinne po wysłuchaniu mojej historii.

– Mnie również tak się wydawało i to mi się zupełnie nie podoba – odparłam. – Raimo nie należy do ludzi, którzy łatwo zapominają o urazach. Zresztą potrafi na czas jakiś odłożyć osobiste pobudki na bok, jeżeli ma jakiś większy cel. Wydaje mi się, Laurinne, że Raimo jest w jakiś sposób związany z Naorem.

– Słyszałem, jak w pałacu mówiono, że prosił Jego Królewską Mość o osobiste posłuchanie, ale mu odmówiono – powiedział porucznik, dając tym samym dowód, że sumiennie wykonywał moje polecenie dotyczące zwracania uwagi na plotki. – Wydaje mi się, że wspomiano o jakiejś wiadomości od Jego Wysokości Nikkeja.

– Dokładnie to samo usłyszałam dziś od Jego Królewskiej Mości – potwierdziłam. – Ciekawi mnie, czego chce Nikkej, ale mam wrażenie, że i tak w najbliższym czasie Arneliusz mi o tym powie.

– Wszystko mu pani opowiedziała? – Laurinne wykonał się przenikliwością. Siedział na łóżku, obejmując rękoma kolana, i nie odrywał ode mnie oczu. Ciekawe, co też podziwiał z takim zainteresowaniem? Nie miałam na plecach żadnych obrazów...

– Oczywiście. – Przeciągnęłam się. – Dalsze milczenie byłoby równoznaczne z przestępstwem. Cóż... Nie wiem, o co Raimo tak naprawdę chodziło, ale stanowczo chciał coś ode mnie wyciągnąć.

– A pani pewnie chciała się czegoś dowiedzieć od niego? – rzekł porucznik domyślnie.

– Dokładnie tak. Ale to wcale nie jest aż takie łatwe... – westchnęłam. – Raimo potrafi trzymać język za zębami i co jak co, ale w łóżku ze mną na

pewno nie zdradziłyby nic ciekawego, a szkoda, bo gdyby to mogło pomóc, to... – Spojrzałam w twarz porucznika i parsknęłam. – Co panu jest? Szokuje pana stopień mojego zdeprawowania? Nie zdobyłby się pan na coś takiego w imię króla i ukochanej ojczyzny?

Młodzieniec spojrział na mnie bez zrozumienia, po czym nagle wybuchnął krótkim śmiechem.

– Nie wiem – odparł w końcu. – Jakoś nigdy nie miałem okazji.

Na jego twarzy wypisane było jeszcze jedno pytanie, ale gotowa byłam się założyć, że porucznik nie odważy się go zadać.

– Laurinne, jeżeli martwi to pana do tego stopnia, to powiem otwarcie: nie mam zamiaru odbudowywać stosunków z Raimo nawet w imię tego, by powstrzymać wojnę – oświadczyłam, zaledwie odrobinę mijając się z prawdą. Gdybym była pewna, że Boras może się rozluźnić i przy tej okazji coś palnąć, to bez chwili wahania zaciągnęłabym go do łóżka. Ale porucznik nie musiał o tym wiedzieć. Zresztą fakt, że gorący romans pomiędzy mną a Raimo pozostał w dalekiej przeszłości, nie ulegał wątpliwości. – A poza tym dlaczego my cały czas rozmawiamy o sprawach zawodowych...? Niech mi pan lepiej opowie, co go opętało?

– O co pani chodzi? – Jego zdziwienie wyglądało prawie naturalnie.

– Proszę nie udawać, doskonale pan zrozumiał! – Uniosłam się na łokciach, zbliżając swoją twarz do jego. – Laurinne, niech mi pan wyjaśni powody swojego dziwnego wyboru. Mogłabym zrozumieć pański pociąg do starszej kobiety, gdyby wybrał pan którąś z dam dworu, one są przynajmniej piękne. Ale dlaczego ja?

– One... tak, są piękne – mruknął porucznik i uciekł spojrzeniem. Ale jednak nie zbył tematu milczeniem i niech mu będą za to wielkie dzięki. – Piękne, tylko... sztuczne. Flo, wydaje mi się czasem, że jeżeli zdejmie się z nich klejnoty, rozpuści włosy, zmyje farbę z twarzy...

Mimowolnie parsknęłam śmiechem.

– Faktycznie, ze znakomitą większością lepiej takich rzeczy nie robić, bo człowiek może się poważnie przestraszyć!

– Nawet nie o to mi chodzi... – Chłopak pokręcił głową. – Czasem patrzę... i mam wrażenie, że pod tym całym pudrem, pod tymi... nie wiem nawet, jak się to wszystko nazywa, kompletnie nic nie ma. Wie pani, są takie drewniane lalki, z tych najtańszych. – Spojrzał na mnie z ukosa. – Więc czasem mi się wydaje, że te wszystkie damy też mają taki kawałek drewna zamiast twarzy i rysują na nim, co tylko zechcą...

– Laurinne, ale ma pan fantazje. – Wzdrygnęłam się, przez chwilę wyobrażając sobie elegancką damę z drewnianą kulą zamiast głowy. Hm, w zasadzie porucznik nawet nie tak bardzo mijał się z prawdą...

– No, fantazje – przytaknął. – Ale one naprawdę zachowują się jak te lalki! Mówią rzeczy, w które same nie wierzą... albo po prostu nie rozumieją. Kłamią na każdym kroku, udają... Czasem mam wrażenie, że w całym tym mieście jest pani jedyną prawdziwą kobietą.

– Aż tak? – Nie znalazłam dobrej odpowiedzi. – Ale dlaczego?

– Nie próbuje pani udawać kogoś innego – ciągnął Laurinne poważnie. – Znaczący może pani odgrywać różne role, ale to w związku z pracą i nadal pozostaje pani sobą. I inni w pani towarzystwie również nie muszą udawać...

– To nadal nie wyjaśnia powodów pana wyjątkowo dziwnego zachowania – stwierdziłam.

– Czyżby? – zdziwił się. – Czyli po prostu nie umiem wyjaśnić tego, co czuję... przepraszam.

Zamilkłam. W zasadzie rozumiałam nawet, co próbował powiedzieć.

– Gdyby uważniej się pan rozglądał, to zobaczyłby więcej takich ludzi – zauważyłam.

– Wiem. – Ponownie mnie zadziwił. – Jego Królewska Mość do nich

należy. Oraz Iwas. Ojciec taki był. I chyba pani dziadek również jest, mimo że prawie zupełnie go nie znam.

– Bardzo dobrze, że pan to zauważył – stwierdziłam. – Ale miałam na myśli kobiety, które są młodsze i ładniejsze ode mnie. Proszę uwierzyć, one naprawdę istnieją.

– Flo, nie wydaje mi się. Pani jest jedyna w swoim rodzaju. Może jest tak, jak pani mówi, i gdzieś są te młodsze i ładniejsze, tylko po co mi one? Bo przecież one nie są panią...

Nie bardzo wiedziałam, czy mam się teraz śmiać, czy płakać. To było koszmarne, po prostu koszmarne, a myślałam, że Laurinne sprawił mi już dosyć kłopotów! Nie, tamto to był zaledwie przedsmak, prawdziwy problem pojawił się dopiero teraz, gdy ten niemożliwy dzieciak w jakiś sposób się we mnie zakochał. Nie powiem, żeby nie schlebiał mi taki obrót spraw, jakoś nie byłam przyzwyczajona do bycia obiektem adoracji młodziutkich oficerów, zwykle celowali oni raczej w dworskie ślicznotki. Ale mimo wszystko miałam nadzieję, że niedługo ten dziwny atak szaleństwa porucznikowi minie, bo w przeciwnym razie... Mimowolnie poczułam dla niego litość. Niestety, byłam daleka od idealnego obrazu, który niewątpliwie nakreślił w swojej wyobraźni. Potrafiłam zarówno kłamać, jak i udawać, gdy było mi to na rękę. I bynajmniej nie byłam aż tak szlachetna, jak mogłam wydać się osobie niezbyt dobrze mnie znającej. Obawiałam się, że gdy porucznik sobie to uświadomi, czeka go gorzkie rozczarowanie. Chociaż mogło się zdarzyć, że przedtem zdąży dorosnąć na tyle, żeby nie zrobić niczego głupiego.

– No dobrze, starczy już na ten temat – stwierdziłam.

Chłopak spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem i smutkiem, jak gdyby rozumiał, że ten dziwaczny związek nie ma i nie może mieć przyszłości. Może nawet faktycznie to pojmował.

Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam jego policzek, który był jeszcze

zupełnie gładki. Laurinne złapał moją dłoń i dotknął wargami nadgarstka.

– A tak w zasadzie mamy już prawie rano – zauważyłam. – Nie wiem, jak pan, ale jeżeli ja nie prześpię się przynajmniej paru godzin, to będę rzucać się na ludzi w najbliższym otoczeniu. Bo widzi pan, niedospana bywam bardzo wściekła...

– A więc nikomu nie pozwolę pani obudzić – odparł porucznik całkiem poważnie, a ja mimowolnie się uśmiechnęłam.



Niestety, jego szlachetne zamiary spaliły na panewce, ponownie obudziłam się przed nim, tym razem słysząc pukanie do drzwi.

– Panno Naren – odezwała się Rima na korytarzu – Poślaniec do pani... z pałacu, mówił, że pilne...

– Przekaż, że zaraz zejdę! – poderwałam się na łóżku. Co takiego mogło się stać w pałacu? Nie pozwólcie bogowie, by Raimo jednak wpadł na pomysł żeby zaatakować króla...!

– On już odjechał był – ciągnęła Rima. – Prosił przekazać, że pilnie czekają na panią w pałacu, i tyle.

Padłam na skraj łóżka i gwałtownie wypuściłam powietrze. A może to nic takiego? Pewnie Arneliusz chciał powiedzieć mi coś ważnego. Gdyby to jemu coś się stało, to nikt by nie czekał do rana...

Potrząsnęłam ramieniem porucznika. No tak, to był problem, teraz trzeba było schować go przed spojrzeciami sąsiadów! Czy może nie chować? Wszyscy dawno się przyzwyczaili, że często przyjeżdżają do mnie ludzie w mundurach, jeden więcej, jeden mniej... Do licha, on przecież nie był w mundurze!

– Muszę zauważyć, że ma pan całkiem mocny sen! – stwierdziłam z niezadowolaniem, gdy przyczyna moich problemów łaskawie otworzyła oczy. – Proszę się natychmiast ubierać! Wzywają mnie do pałacu.

– Jadę z panią – zerwał się porucznik, ale powstrzymałam go:

– I dokąd się pan wybiera ubrany w ten sposób? Proszę jechać do siebie, przebrać się i... niech będzie, proszę czekać na mnie w parku czy coś...

– Tak jest! – Laurinne skinął głową i natychmiast o nim zapomniałam.



Szczęśliwie w nocy chyba nie stało się nic straszego, ale pałac i tak huczał jak rozdrażniony ul. Bez większych ceremonii zaprowadzono mnie do gabinetu Arneliusza.

Król wyglądał na nieco zmartwionego i przechadzał się w kółko po drogim parkiecie.

– Przepraszam, że musiałem zerwać panią bladym świtem – powiedział zamiast powitania.

– Widzę, że Boras jednak powiedział Waszej Wysokości coś ciekawego – domyśliłam się.

– Dokładnie tak, zdecydował, że nie będzie przeciągał. – Arneliusz posłał mi krzywy uśmiech. – Gdy przekazano mu moją odmowę w kwestii osobistego posłuchania, on... hm... na cały pałac ogłosił cel swojego przyjazdu. Tak więc, panno Naren, nie udało nam się zachować sprawy w tajemnicy.

– Szkoda. – Przygryzłam wargę. – A jakąż niespodziankę miał dla nas wasz najjaśniejszy brat?

– Wojnę, panno Naren – powiedział Arneliusz całkiem zwyczajnie, a ja z

jakiegoś powodu w ogóle się nie zdziwiłam.

ROZDZIAŁ 27

Wedle zasług

Cokolwiek planowała osoba za tym wszystkim stojąca, przygotowała się do całej awantury naprawdę nie najgorzej. Nie do końca rozumiałam, dlaczego z wiadomością należało wysłać właśnie Borasa, ale możliwe, że wyłącznie po to, by posłańca nie dało się uwięzić i dokładnie przepytąć, w końcu stawanie do uczciwej walki przeciwko Raimo to pomysł z gatunku samobójczych, a zebranie wystarczającej ilości magów, by go obezwładnić, również nie było proste.

Wiadomość przekazana przez Borasa okazała się cokolwiek lakoniczna i wprawiała dwór w oszołomienie. Postarał się, żeby jej ogłoszenie nastąpiło przy, jak się to mówi, możliwie szerokim audytorium. Był wyjątkowo, wręcz podręcznikowo uprzejmy, aż niemal zakrawało to na obelgę, ale... Co niby mogliśmy zrobić?

Samo żądanie nie miało w sobie niczego nadzwyczajnego: wcześniej czy później Nikkejowi musiała znudzić się zabawa w dyplomację, w której nie był specjalnie mocny i właśnie dlatego zawsze wybierał brutalną siłę. Zdziwiwał natomiast sam obiekt jego zainteresowania.

Tak więc dworacy budowali hipotezy, dwór huczał od plotek i pogłosek, a w gabinecie królewskim przez całą noc trwały tajne narady. Na kolejną z nich zaproszono również mnie.

W królewskim gabinecie nie było tłumów: starszy doradca wojskowy, para nadwornych magów – Deien Ress i Lir Tawal, młody, ale o ile było mi wiadomo, całkiem sensowny. Również obecnych było dwóch dobrze mi znanych panów w mundurach wydziału ochrony, a konkretnie, departamentu bezpieczeństwa państwowego.

Pułkownik Larris szybko wprowadził mnie w sprawę i ledwo się powstrzymałam, żeby nie zagwizdać. Wysunięte przez Nikkeja żądania były, łagodnie mówiąc, zadziwiające. Nasz najjaśniejszy sąsiad miał zamiar odzyskać jakieś ziemie, które w zamierzonych czasach podobno należały do Stalwii, a następnie zostały jej niesłusznie odebrane. Że tak powiem, chciał zaprowadzić sprawiedliwość historyczną.

– Dziwne – powiedziałam, patrząc na zajmującą całą ścianę gabinetu mozaikę wyobrażającą mapę. Oczywiście była ona mniej dokładna niż mapy wojskowe, ale dawała ogólne pojęcie o terenach sąsiadujących państw. – Zrozumiałabym, gdyby Nikkej zażądał ziem w północnym regionie Ten czy na wybrzeżu, ale to...

– Panno Naren, sami czujemy się nie mniej skonfundowani – przyznał Larris. – Można było oczekiwać, że wcześniej czy później Stalwia ponownie spróbuje odzyskać Zatokę Awilską, ale tu musi chodzić o coś innego. Tylko o co?

– Wasza Królewska Mość, ale czego oczekujecie ode mnie? – spytałam, odwracając się do króla. – Niestety, nie znam się na polityce w takim stopniu, w jakim bym czasem chciała. I jeżeli potrzebujecie właśnie politycznych spekulacji, to...

– Jestem tego doskonale świadom – Arneliusz nie dał mi skończyć. – Już mieliśmy przyjemność spotkać się z panem Narenem i wysłuchać jego opinii.

Sądząc z grymasu Ressa, w jego przypadku przyjemność ta była mocno wątpliwa. Zresztą Ress, dokładnie tak samo jak większość dworskich

magów, nie przepadał za moim dziadkiem. Reszta obecnych również nie wyglądała na specjalnie uszczęśliwionych. Czy oznaczało to, że dziadek nie powiedział im tego, co chcieli usłyszeć? Czy może powiedział, ale w swoim zwykłym stylu?

– Niestety, pan Naren nie potrafił zaproponować żadnej nowej hipotezy oprócz tych, które już wysunęliśmy – ciągnął Arneliusz. – Zgodnie z jego sugestią wydarzenia mogą być w jakiś sposób związane ze znaną pani postacią, a to oznacza...

Król zamilkł znacząco, a ja doskonale go rozumiałam: jeżeli rzeczywiście była to sprawka Naora, dziadek nie miał tu kompletnie nic do roboty. Doskonale znał się na intrygach politycznych, ale Naor... o nim najwięcej wiedziałam ja. Czyli wychodziło na to, że kochany krewniak nawet nieszczególnie się wysiłał, tylko od razu wrobił w całą sprawę mnie.

– Wasza Królewska Mość... – równie wyraziście zawiesiłam głos.

– Panno Naren, może pani mówić – powiedział król. – Wszyscy obecni o nim wiedzą.

Czyli zebrał tu swoich najbardziej zaufanych ludzi. Cóż, mogłam tylko mieć nadzieję, że Jego Królewska Mość wiedział, co czyni!

– Proszę przynajmniej pozwolić mi się zastanowić. Czy może wydaje wam się, że tak od ręki odgadnę motywy naszego wspólnego przyjaciela? O ile oczywiście to właśnie on za tym wszystkim stoi!

– Panno Naren, bardzo proszę. Czekamy – odparł Arneliusz.

Westchnęłam. Najlepiej rozmyśla mi się z fajką w zębach i w wygodnym fotelu, a nie pod wyczekującymi spojrzeniami kilku osób. Muszę przyznać, że bardzo mnie to irytowało.

– Panno Naren, proszę zapalić, jeśli ma pani ochotę – zaproponował król, nie patrząc na mnie. Już zdążył się zagłębić w jakichś papierach, chyba nie chcąc marnować nawet chwili czasu.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość. – Uśmiechnęłam się i zaczęłam nabijać fajkę. Cokolwiek by mówić, zdążył mnie całkiem nieźle poznać!

Arneliusz czytał swoje papiery, od czasu do czasu zamieniał parę słów z doradcą, pułkownik Larris cicho omawiał coś ze swoim kolegą, Ress w zamyśleniu badał swoje ręce i od czasu do czasu z niezadowoleniem zerkał na mnie, a Tawal ze znudzeniem wyglądał przez okno.

No cóż, nie było co tak siedzieć i patrzeć w sufit...

Czyli Nikkej zażądał jakiegoś kompletnie bezsensownego skrawka ziemi i na tym polegała cała zagadka. Zapaliłam fajkę – Larris spojrzał na mnie z widoczną zazdrością – i ponownie zatopiłam się w oglądaniu mapy.

W odróżnieniu od Arastenu Stalwia miała pecha, jeśli idzie o położenie. Nasz kraj prawie w całości zajmuje duży półwysep, którego brzegi pełne są wygodnych zatok i zalewów. Na północnym wschodzie, tam gdzie zaczyna się kontynent, mieszczą się tamte pechowe góry, w których zginęła księżniczka Mairin. Nie ma w nich ani złota, ani kamieni szlachetnych, wyłącznie rozbójnicy na przełęczach, co z każdego punktu widzenia było cokolwiek wątpliwą zaletą. Bardziej na wschód góry stawały się dostępnejsze i właśnie tam siedzieli „żelaźni neirowie”. Jeszcze trochę na wschód i góry zmieniały się w porośnięte lasem płaskie wzgórza, skąd pozostawał żabi skok do doliny rzeki Ilwany, za którą zaczyna się step. I rzeka ta była jedyną naturalną granicą Arastenu od tej strony.

Na północno-zachodnim krańcu półwyspu rozciągało się Wielkie Księstwo Welskie, które nie wślawiło się niczym konkretnym. Tamtejsi mieszkańcy łapali ryby wzdłuż swoich brzegów i nie pchali się daleko w morze, szczególnie że w tamtych okolicach duże statki praktycznie nie miały możliwości dotarcia do brzegu. Ale to miało też swoje zalety, ponieważ za wąską cieśniną zaczynały się włości książąt północnych – nieskończona mnogość wysp, od ogromnych do całkiem malutkich. Mieszkańcy wysp w

zdecydowanej większości byli piratami, więc fakt, że przy północnych brzegach Arastenu nie mogło zacumować nic większego od kutra rybackiego, mógł zostać uznany za wielki uśmiech losu. Oczywiście piraci potrafili lawirować pomiędzy małutkimi wyspami i rafami, ale nawet ich statki nie odważały się zbliżyć do brzegu w obawie przed rozbiciem – pływy w tamtych okolicach były straszne. Zresztą nie mieli szczególnych powodów, aby pchać się na ląd, ponieważ na wybrzeżu mieszkali przeważnie niebogaci rybacy i myśliwi. A poza tym Arasten utrzymywał przyjacielskie stosunki z większością północnych książąt, mimo że specjalnie się z tym nie afiszował.

Stolica kraju znajdowała się w zachodniej części półwyspu. Mieliśmy tu sporą zatokę, do której wpadała rzeka Ten. I właśnie u jej ujścia leżało miasto, a brzegi zatoki dawno zmieniły się w gigantyczny port. Właśnie stąd wypływały statki na wyspy zachodnie, przez ocean, ale również na północ i na południowy kontynent. Bez walk się nie obywało, czasem północni piraci udawali, że nie pamiętają, jak wygląda arasteńska flaga, i próbowali skubać statki handlowe, ale nie było to zbyt częste. Zwykle wybierali południowych kupców, a czasem też urządzali rajdy na archipelagi zachodnie. Kogoś to mogło dziwić, ale mieszkańcy północy na swoich pozornie kruchych statkach przebyli ocean, na długo zanim ruszyły w tamtym kierunku ogromne żaglowce.

Całkiem daleko na północy istniał jeszcze jeden ni to kontynent, ni to gigantyczna wyspa, ale nikt nie wybierał się w tamtym kierunku z misją krajoznawczą. Nie bardzo było po co.

Natomiast Stalwia w okresie kształtowania granic politycznych została zepchnięta w głąb lądu i dostęp do morza posiadała wyłącznie przy południowych granicach. Niestety, nie miała z niego wiele pożytku, ponieważ dokładnie tak samo jak północne wybrzeże Arastenu tamte wody nie były żeglowne dla większych statków i tylko najbardziej doświadczeni

nawigatorzy potrafili bez przeszkód przedostać się pomiędzy rafami, których w tamtych okolicach było pełno.

Stalwia od dawna ostrzyła sobie zęby na Zatokę Awilską, której posiadanie pozwoliłoby ich statkom bez przeszkód wychodzić na otwarte morze i tym samym stworzyć Arastenowi konkurencję w handlu z południowymi państwami. Ale, niestety, nasz kraj wbił długą mackę w głąb ziem Stalwii, odcinając sąsiada od morza i nie mając najmniejszego zamiaru ustąpić. To również miało sens – za prawo dostępu do morza Stalwia słono płaciła i te pieniądze stanowiły znaczącą pozycję w budżecie państwowym Arastenu. Oczywiście Stalwia uważała też arasteńskie osady nad brzegiem zalewu za wrzód na tyłku i już nie raz wybuchały z ich powodu spory, ale Arasten zawsze był górą. Jak już wspomniałam, po otrzymaniu swobodnego dostępu do morza Stalwia mogłaby stworzyć konkurencję w handlu morskim, na co Arasten nie mógł pozwolić.

Tak czy siak, gdyby Nikkej zażądał tego wąskiego paska ziemi wzdłuż Zatoki Awilskiej, byłoby to całkowicie zrozumiałe i dające się wyjaśnić, ale... Zdecydował się zgłosić swoje prawa do księstwa Tarnaj, jednego z mnóstwa mikropaństw wtulonych pomiędzy Stalwię i Arasten. I właśnie tego nikt nie mógł pojąć.

Wydawałoby się, po co Arastenowi jakieś księstwo?

I dlaczego Nikkej postawił ultimatum właśnie Arneliuszowi, a nie księżnie tarnajskiej? Akurat to było całkiem proste, Tarnaj od wielu lat znajdował się pod opieką Arastenu, umowa zawarta została jeszcze przez pradziadków obecnych władców. Gdyby nie ta umowa, malutki Tarnaj zostałby już dawno pożarty przez większych sąsiadów bądź Stalwię właśnie. Szczerze mówiąc, nie byłam do końca pewna, dlaczego nie został on ani w tamtych zamierzonych czasach, ani teraz po prostu przyłączony do Arastenu, ale może władcy potrzebowali swoistego buforu? To już były zgadywanki...

Pykałam fajkę, zadymiając systematycznie okolicę. Ress dostał demonstracyjnego ataku kaszlu, Tawal drgnął i spojrzał na kolegę. Plecy Arneliusza wyrażały bezgraniczną cierpliwość, wojskowi się naradzali, a czas uciekał.

Boras oświadczył, co następuje: Nikkej żąda niewtrącania się do jego działań. Tarnaj zostanie pokojowo przyłączony do Stalwii – przekonanie księżnej, by uciekła pod opiekę silniejszego sąsiada, nie będzie szczególnie trudne, zwłaszcza jeżeli zabierze się do tego Raimo. Jeśli natomiast Arasten wmisza się do konfliktu, Stalwia uzna się za zwolnioną ze wszystkich uprzednio podjętych w stosunku do sąsiada zobowiązań i zacznie działać zgodnie z prawem wojennym.

Prowokacja bardzo udana, Arasten nie mógł się nie wtrącić, zostawiając Tarnaj na łasce i niełasce Stalwii. A wtrącanie oznaczało wszczęcie wojny, której nikt się nie spodziewał.

Ale ładnie wyszło, nie ma co! Nawet ja gotowa byłam to przyznać. Może w świetle ostatnich wydarzeń należało przyjąć warunki Stalwii, ale... jeżeli na terenie Tarnaju znajdowało się coś, co koniecznie potrzebne było Borasowi (a w domyśle Naorowi) – bo jak inaczej tłumaczyć niespodziewane zainteresowanie tym skrawkiem ziemi? – to w żadnym razie nie mieliśmy prawa im tego oddać.

– Wasza Królewska Mość, muszę was rozczarować – rzuciłam. Ress drgnął, a ostatecznie umęczony Tawal zerknął na mnie z nadzieją. Arneliusz odwrócił się i również rzucił pytające spojrzenie. – Obawiam się, że nie mam do zaoferowania mnogości hipotez. Działania te stanowczo mają na celu wszczęcie wojny, a wiemy, że takie próby podejmowane były już niejednokrotnie. Tym razem trafili w cel, czyż nie?

– Postaramy się zakończyć sprawę pokojowo – sucho skomentował doradca Lermen.

– Bardzo chciałabym mieć nadzieję, że negocjacje zakończą się sukcesem – odparłam. – Ale obawiam się, że trzeba przygotować się na najgorsze. Ale akurat to wiedzieliście nawet beze mnie, czyż nie?

Ress patrzył na mnie z nienajlepiej skrywaną pogardą. No tak, zająć tyle czasu wielmożnych państwa, a nawet samego króla, a ostatecznie stwierdzić, że nie ma się żadnych wartościowych pomysłów – to właśnie są Narenowie, zarówno dziadek, jak i wnuczka! Myśl ta dawała się tak wyraźnie wyczytać z jego twarzy, że nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Panie Lermen, a nie pomyślał pan, że to może być manewr rozpraszać? – spytałam, a wojskowy doradca podskoczył.

– Oczywiście – odparł. – Jako pierwszą wersję przyjęliśmy, że faktycznym celem Stalwii jest jednak Zatoka Awilska, a atak na Tarnaj ma posłużyć wyłącznie odciążeniu uwagi. Ale sądząc z doniesień, Stalwianie nie przejawiają żadnej aktywności ani w tamtym rejonie, ani w żadnym innym.

– W okolicach Tarnaju również nie byli specjalnie aktywni – zauważył Larris i ironicznie dodał: – Sądząc z doniesień...

– W każdym razie wszystkie oddziały stacjonujące na granicy powinny zachować wzmożoną czujność – zauważył jego towarzysz, kapitan Grais. – Stosowne rozkazy zostały już wysłane.

Skinęłam głową. Niczego innego się nie spodziewałam.

– Nie mogę wykluczyć możliwości, że Tarnaj nie jest zwykłym pretekstem dla wszczęcia wojny – dodałam po chwili milczenia. – Dlaczego właśnie to księstwo? Dlaczego nie Azol? Albo Gramm? O ile mi wiadomo, oni również zawarli umowy z Arastenem.

– Położenie? – zasugerował Grais.

– Nie widzę szczególnej różnicy. – Radca zmarszczył brwi. – Chyba tylko taką, że te dwa księstwa są znacznie większe od Tarnaju. Mogłyby

stawiać opór.

– Azol jest większy, ale nie posiada regularnej armii – zaprzeczył Grais. – A w Grammie... Sam pan wie, jaką tam mają sytuację. Już trzeci rok dzielą tron książęcy, powszechny chaos, o jakim oporze mówimy?! Ze wszystkich trzech wymienionych księstw to właśnie Tarnaj może stawiać opór. Długo nie wytrzymają, ale...

– Faktycznie, dziwne to. – Larris poparł kolegę. – No więc, panno Naren, dlaczego pani zdaniem wybrany został właśnie Tarnaj?

– Mogę tylko zgadywać, że na terenie księstwa znajduje się coś, co albo Nikkej, albo Boras, albo Naor, albo wszyscy wyżej wymienieni koniecznie chcą dostać w swoje ręce. I jednym kamieniem zabijają w ten sposób dwa węży: otrzymują owo „coś” oraz wszczynają wojnę. Nie jestem natomiast w stanie nawet zgadywać, po co im to ostatnie.

– Ciekawe. – Arneliusz wstał i przespacerował się po gabinecie. Spojrzał na magów. – Deien? Jakie jest pana zdanie?

– Wasza Królewska Mość, jestem w rozterce – przyznał zapytany. Wyglądał na niezbyt zadowolonego. – Po co potrzebna jest wojna...? Niestety, również nie mam żadnych teorii. Co się zaś tyczy Tarnaju... Konieczne jest przeprowadzenie badań w celu określenia, co takiego szczególnego to księstwo może posiadać. Nie potrafię przypomnieć sobie nic wyjątkowego. Tawal, a pan?

Jego kolega w milczeniu pokręcił głową. Widać było, że nie najlepiej się tu czuje. Zaproszono go na zamkniętą naradę, obdarzono zaufaniem, a on nie mógł nawet przedstawić żadnej hipotezy!

– No cóż, w takim razie niech panowie... badają – krótko stwierdził Arneliusz. – Panno Naren... mam nadzieję, że pani rozumie?

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość – uśmiechnęłam się. – Macie zamiar zapędzić mnie do Tarnaju, żebym na miejscu dowiedziała się, co w

nim skusiło Stalwian czy kogo tam jeszcze?

– Dokładnie. Niech pani spróbuje zrozumieć, czy to kolejna zachcianka Nikkeja, czy rzeczywiście stoi za nim jakaś szara eminencja. Wiem, że pani w to nie wątpi, ale osobiście nie mogę wykluczyć również pierwszej możliwości. Natomiast jeżeli potwierdzi się pani wersja, to bardzo proszę, by spróbowała pani znaleźć jakieś dowody. W miarę możliwości niezbite.

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość – odpowiedziałam i tym razem darowałam sobie nawet targowanie się o honorarium. Wszyscy mieliśmy lepsze rzeczy do roboty.



Ultimatum głosiło, że w przypadku odrzucenia przez Arasten zaproponowanych warunków Stalwia natychmiast wprowadzi wojska na teren Księstwa Tarnajskiego. Oczywiście „natychmiast” oznaczało w praktyce „dwa, trzy tygodnie” albo i więcej – bo właśnie tyle czasu potrzebował Boras, by dotrzeć do Estalu. Mieliśmy niewielki zapas czasu, nawet jeżeli Nikkej już trzymał wojska na granicy, a Boras wysłał ptaka z listem. Było to mało prawdopodobne, gdyż już mielibyśmy w rękach odpowiednie meldunki, a z Tarnaju na razie nie przyszły żadne niepokojące wieści.

Trzeba przyznać Arneliuszowi – rozkaz wymarszu wydany został natychmiast, a gońcy na posterunki graniczne wyruszyli już w nocy. Król chyba już od dłuższego czasu spodziewał się po sąsiedzie czegoś w tym stylu, bo trzymał oddziały w pogotowiu niedaleko od Tarnaju.

I właśnie dlatego ostatnie tygodnie spędziłam w siodle, licząc dni do chwili dotarcia na miejsce i budując kolejne hipotezy na temat tego, co tym razem podrzucił nam zmyślny przeciwnik. Arneliusz, nie zastanawiając się

specjalnie, udzielił mi prawa przemawiania w swoim imieniu, tak że teraz, wyobraźcie sobie mili państwo, byłam „głosem królewskim”. Ironia losu – dopiero co uzurpowałam sobie to prawo i teraz nagle otrzymałam je naprawdę. Wolałabym podróż incognito, żeby bez większego hałasu próbować połapać się w wydarzeniach na miejscu, ale, niestety, król uznał, że w ten sposób zapewnia mi większe bezpieczeństwo. „Głos królewski” to poważniejsza ranga niż poseł i w razie wypadku mogłam liczyć, że będę przez przeciwnika traktowana z szacunkiem.

– Panno Naren! – Dogonił mnie Laurinne. Bez niego przecież nie mogło się obejść.

Na wieść o tym, że mam zamiar udać się w okolice, gdzie lada chwila mogą rozpocząć się działania wojenne, porucznik oświadczył, że jeżeli nie zostanie tam oficjalnie wysłany jako mój towarzysz, to splami swoje nazwisko porzuceniem posterunku, ale i tak ruszy moim śladem. Oczywiście powiedział to tylko mnie, a nie swojemu dowództwu, lecz miałam absolutną świadomość, że nie żartował. Zresztą nikt nie miał zamiaru pozbawiać mnie wiernego obrońcy.

– Przed chwilą przyleciał ptak pocztowy – poinformował porucznik.

– Skąd, ze stolicy? – Zmarszczyłam brwi.

– Nie, z miasteczka, gdzie stacjonują nasi – brzmiała odpowiedź. – Chyba Nikkej nas wyprzedził. Niech pani lepiej sama przeczyta...

Krótką wiadomość nie zawierała żadnych przyjemnych informacji. Okazało się, że awangarda Nikkeja bez większych przeszkód przekroczyła już granice księstwa. Miejscowi stawiali opór, ale w najlepszym razie zdolni byli wyłącznie do tego, by wytrzymać do przybycia oddziałów arasteńskich.

Księżna tarnajska oficjalnie przekazała dowództwo swoich wojsk generałowi Lagranowi i „oddała los księstwa w ręce najjaśniejszego sąsiada”, czyli postąpiła dokładnie tak, jak można się było spodziewać.

– Nie podoba mi się to – wycedziłam przez zęby. Sądząc z wyrazu twarzy porucznika, on również nie był specjalnie zachwycony.

Nie ma sensu rozpisywać się, jak dotarliśmy do obozu wojskowego w pobliżu granicy ani jak tarnajski dowódca wprowadzał mnie w sytuację. Garnizon arasteński utrzymywał pogotowie bojowe, niebawem powinny były dotrzeć posiłki, ale na razie mieliśmy sobie radzić z tym, co było na stanie – ostatecznie Nikkej również nie wysłał przeciwko nam wielotysięcznego wojska. Ale z drugiej strony jego oddziały również spodziewały się posiłków i kółko się domykało.

Według wszelkich oznak Stalwianie na coś czekali i sądząc z gwałtownej reakcji na moje przybycie, owym „czymś” byłam właśnie ja. Gdyby jeszcze zdradzili dlaczego...

Już następnego ranka do naszego obozu dostarczona została wiadomość, z której wynikało, że przeciwnik pod dowództwem Raimo Borasa proponował rozmowy pokojowe.

– Ciekawe, co takiego chce mi powiedzieć – mruknęłam, odrzucając papier. Oczywiście nie chodziło o żaden pokój. Najpewniej Boras w imieniu Nikkeja po raz kolejny zażąda, żebyśmy nie mieszały się do konfliktu tarnajskiego oraz wycofali wojska z terenu księstwa. Równie oczywiste było, że ja – bo właśnie ja reprezentowałam interesy Arastenu w imieniu Arneliusza – odmówię i wtedy Raimo z czystym sumieniem wyda rozkaz do ataku.

Możliwe, że opisuję te wszystkie wydarzenia nieco chaotycznie, ale właśnie tak odbiły się w mojej pamięci. Poza tym nigdy nie byłam specjalnie mocna w dziedzinie, która dotyczyła rozkazywania oddziałom, jak również całej reszty spraw wojennych. Ale akurat w tym wypadku wystarczała mi świadomość, że ani Boras, ani Nikkej, ani Naor, kimkolwiek był, nie powinni dostać tego nieszczęsnego skrawka ziemi, zanim zrozumiem, dlaczego był im

tak bardzo potrzebny.



Rozmowy odbyły się mniej więcej tak, jak to sobie wyobrażałam. Na środku umówionego terenu (czyli pola na skraju lasu) spotkaliśmy się ja, Boras oraz paru wyższych oficerów obu stron. W moim przypadku doszedł jeszcze osobisty ochroniarz (Laurinne zostały w obozie wyłącznie wtedy, gdybym go związała jak świniaka na ubój). W pewnej odległości nudzili się magowie bojowi oraz kilka oddziałów wojska. Boras również nie polegał wyłącznie na własnych umiejętnościach i nie pogardził obecnością zwykłych żołnierzy.

Raimo oficjalnym tonem ponownie odczytał ultimatum i zaproponował nam opuszczenie wskazanego terenu oraz wyprowadzenie oddziałów poza granice księstwa. Ja nie mniej oficjalnym tonem w imieniu księżny tarnajskiej oraz Arneliusza odmówiłam, po czym Boras tak samo zabójczo uprzejmie poinformował, że jeżeli nie posłuchamy głosu rozsądku, to będzie musiał rozpocząć działania wojenne.

– Nie posłuchamy – stwierdziłam, naruszając protokół. Ja i Boras staliśmy tuż koło siebie, żeby nie drzeć się przez całe pole. – Raimo, sam to dobrze wiesz, więc wystarczy tego gadania.

– Floss, a jaki masz interes w pakowaniu się w tę całą awanturę? – Mój przeciwnik wesoło uniósł brwi. – Bo przecież, o ile dobrze pamiętam, nigdy nie obchodziły cię gry polityczne, czyż nie?

– Obawiam się, że moje gusta od chwili naszego ostatniego spotkania nieco się zmieniły – zauważyłam. – O ile dobrze pamiętam, to również ty uważałeś bycie chłopcem na posyłki za coś poniżej swojej godności. Czy może się mylę?

– Bynajmniej. – Raimo zmrużył oczy, co nie wróżyło dobrze. Chyba trafiłam w czuły punkt. – Ale, Floss, o ile pamiętasz, kocham grać. A jeżeli na początku rozdanie jest słabe... Tym ciekawsza partia.

– Nie do końca rozumiem twoją metaforę – odparłam. – Ale i tak widzę jedno. Nie siedzisz w tym wyłącznie z czystej ciekawości. Wydaje mi się, że będziesz z tego wszystkiego coś miał...

– Co ty powiesz? – Raimo odpowiedział uśmiechem. – Chyba wiesz o moich pobudkach więcej niż ja sam! Floss, to do ciebie podobne!

Wzruszyłam ramionami i zebrałam się do odejścia. Nie, głupio byłoby się spodziewać, że Boras zrobi choćby aluzję do tego, czego poszukiwał w tej głuszy.

– Floss! – rzucił nagle. – Zaczekaj.

Odwróciłam się.

– Mówię to nie jako przedstawiciel Jego Królewskiej Mości Nikkeja. – Z twarzy Raimo zniknął błazeński uśmiech. – Tylko we własnym imieniu. No więc, Floss, mam dla ciebie propozycję: rzuć to wszystko w cholerę. Uwierz mi na słowo, w Arastenie nie czeka cię nic dobrego.

– Czy dobrze rozumiem, że proponujesz, bym do ciebie dołączyła? – Teraz nastąpiła moja kolej, by zmrużyć oczy. – Raimo, masz o sobie naprawdę wysoką opinię, skoro uważasz, że na to pójdę. Albo po prostu kiepsko mnie znasz.

– Floss, daj spokój! Taka powaga do ciebie nie pasuje. Oj tak, pamiętam, teraz jesteś przecież „głosem” Jego Królewskiej Mości Arneliusza... Ale to są sprawy władców, a czy ty i ja jesteśmy wrogami? Czy nie mam prawa zaproponować ci czegoś po prostu z czystego serca? Pamiętasz, jak miło spędzaliśmy razem czas? Chociażby w tamtej uroczej wsi w Welsji?

– Mówisz o tej samej, gdzie wzięli cię za upiora? – Uniosłam brwi. Boras miał ciekawe wyobrażenia o przyjemnym spędzaniu czasu!

– Dokładnie o tej. – Nadal się uśmiechał. – A ty zaproponowałaś miejscowym, żeby przebili mnie kołkiem i przekonali się, że żadnym upiorem nie jestem.

– Co też z wielką przyjemnością uczynili – podsumowałam.

– Co też w życiu by im się nie udało, gdyby nie dopadli mnie śpiącego... To przecież była twoja robota, czyż nie? – Uśmiech Borasa zrobił się nieprzyjemny.

– Nic nie słyszałem...

No i tak... Całkiem niedawno opowiedziałam tę historię porucznikowi. Czyli jednak nieźle mu wtedy dopiekłam...

– A co miałam zrobić? – Wzruszyłam ramionami. – Spaliłbyś tę wioskę do gołej ziemi, a ja musiałam dokończyć dochodzenie. Myślałby kto, że aż tak bardzo ucierpiełaś z tego powodu! A po sprawdzeniu miejscowi byli naprawdę chętni do pomocy.

– Pewnie masz rację. – Boras westchnął. – Ale, Floss, od tamtej chwili żywiłem ciągłą chęć, by dać ci odczuć to, co wtedy przeżyłem.

Raimo był magiem bojowym, a ja tylko justycjariuszem, poza tym nie spodziewałam się ataku. Bardzo to głupie z mojej strony, ale po prostu nie oczekiwałam ze strony Raimo czegoś tak podłego i nie zdążyłam zareagować na czas.

Krótki, bardzo mocny impuls energii w moim kierunku. Nawet gdybym była przygotowana na atak, to niezbyt prawdopodobne, bym z tak niewielkiej odległości zdołała odbić cios jednego z najlepszych magów bojowych współczesności. Moc przyjęła postać i kształt krótkiego, grubego drewnianego kołka – z jednej strony trzeba przyznać, że Raimo miał poczucie humoru, ale z drugiej – że też mu się chciało marnować siły na materializację! Było to ostatnie, co zobaczyłam. Kołek wbił się w mój brzuch. Gorący wybuch ostrego bólu, nogi zrobiły się miękkie, chyba leciała

mi krew z ust. Udało mi się tylko zarejestrować resztkami świadomości czyjś desperacki krzyk, po czym wszystko dookoła zawyło i załomotało.

No tak, mieliśmy ze sobą magów bojowych, a oni atakowali jako pierwsi. Faktycznie, zamach na życie niezależnego maga–justycjariusza, na posłańca, na „głos królewski”, przeprowadzony przy setce świadków to nie to samo, co zamach, o którym nikt się nie dowiedział! Czyli to tak... Chyba Naor mimo wszystko obawiał się, że Arastenowi uda się rozwiązać sprawę pokojowo, i chciał się zabezpieczyć. Takiej obrazy jak zabójstwo maga–justycjariusza żaden król nie mógł puścić płazem.

A Raimo mimo wszystko mi nie wybaczył. Sama jestem sobie winna, nie powinnam była mu ufać...

Dwójka całkiem dobrych magów bojowych przeciwko Borasowi. Ciekawe, kto przeżyje tę awanturę? Obawiałam się, że już się tego nie dowiem. I dziadek w końcu nie doczeka się prawnuka... Jak to wszystko głupio wyszło...

Ale po co, po co ta wojna? Bo przecież nie z powodu małego, durnego księstwka... Przeleciało mi to przez głowę w mgnieniu oka, przez sekundę miałam wrażenie, że już zaraz olśni mnie jakaś myśl, ale zamiast tego straciłam przytomność.



Flo!... Flo!... – słyszałam gdzieś z daleka. Ktoś lał zimną wodę na moją twarz. Żyłam, o dziwo. Chyba byłam mocniejsza, niż sama się spodziewałam, co nie mogło nie cieszyć. Wsłuchiłam się w siebie. No tak. Nie miałam czucia w dolnej części ciała (może to nawet lepiej). Miałam też problemy z poruszaniem rękami. Pewnie ten przeklęty kołek jednak wbił się dosyć głęboko i zahaczył o kręgosłup. Cokolwiek by mówić, paskudne, ale

mimo wszystko nie śmiertelne. Tyle tylko, że w celu doprowadzenia się do porządku przyjdzie mi się napracować – swoisty mechanizm obronny, posiadany przez każdego maga, włączył się sam z siebie, ale wystarczył wyłącznie na to, bym nie umarła z upływu krwi czy szoku. Stanowczo nie wystarczało to dla całkowitej regeneracji organizmu. To już gorzej...

Mimo wszystko otworzyłam oczy, czując, że nawet to proste działanie przychodzi mi z wielkim trudem. Wprost nad sobą zobaczyłam bladą twarz Laurinne'a. Widząc, że doszłam do siebie, porucznik chciał powiedzieć jeszcze coś, ale nie zdołał i ograniczył się do urywanego westchnienia i otarcia twarzy rękawem. Nie żeby po tej operacji zrobiła się czyściejsza.

Mundur Laurinne'a był podarty dosłownie na strzępy i zalany już zasychającą krwią. Nie byłam pewna, czy to jego własna, czy może moja, ale zakładałam raczej to drugie. Mokre włosy przylepiły mu się do czoła, ręce lekko drżały, jak zdarza się to w sytuacjach wielkiego napięcia. Zdumiałam się, pojmując, że to on wyciągnął mnie z samego środka rozpoczynającej się bitwy. Ani na pierwszy, ani na drugi rzut oka nie wyglądał na zdolnego do takich ćwiczeń fizycznych.

Ciekawe, gdzie się znajdowaliśmy? Dookoła las, obok płynął strumyk... No dobrze, naukami przyrodniczymi mogłam zająć się potem, teraz ważniejsze było co innego.

Szczęśliwie Laurinne położył mnie wyjątkowo dogodnie – tuż przy strumieniu, i to w ten sposób, że moja prawa dłoń znalazła się w wodzie. Oczywiście dla moich celów wystarczyłaby również otaczająca roślinność, ale to długie i trudne, a bieżąca woda pasowała akurat. Co prawda na skutek moich manipulacji strumyk wymrze na wiele dni drogi w górę i w dół prądu i jeszcze przez wiele lat nie pojawi się w nim nic żywego, ale... Siebie ceniłam znacznie bardziej niż przyrodę.

– Laurinne... – wysiliłam się, by coś powiedzieć. – Kołek... niech go pan

wyciągnie...

– Ale... – Porucznik w pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale chyba uznał, że jednak wiem, co robię.

Pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem, szczególnie że młodzieńcowi drżały ręce.

– Dureń – szepnęłam. – Proszę ciągnąć mocniej... zaprzyj się nogą czy coś... Tym razem się udało.

– Niech się pan cofnie – rozkazałam przez zęby. – I w żadnym razie mnie nie dotyka... I się nie zbliża... do wody...

A dalej ponownie spadła na mnie ciemność, świadomość uznała, że wyłączy się i nie będzie przeszkadzać organizmowi w leczeniu ran. Byle tylko Laurinne nie wpadł na pomysł, by rzucić się w moim kierunku – w takim stanie nie zrobiłoby mi specjalnej różnicy, czy użyję energii żywiołu, czy żywej istoty. W zasadzie duża żywa istota była nawet bardziej pożądana, więc porucznikowi groziło poważne niebezpieczeństwo.

Gdy otworzyłam oczy po raz kolejny, słońce chyliło się już ku zachodowi. Wsłuchałam się w siebie. Tak, chyba mogłam poruszać nogami, ran w ciele brak, ból całkiem do zniesienia. Reszta mało istotna.

Próba podniesienia się do pozycji siedzącej zakończyła się powodzeniem. Rozejrzałam się dookoła. No cóż... Strumyk można było uznać za nieżywy, wszystkie mieszkające w nim drobiazgi wodne także. Mało tego, w kręgu o promieniu około dziesięciu stóp, na środku którego leżałam, trawa wyschła i pożółkła, a jakiś krzak stracił wszystkie liście i zsechł się jak po silnym mrozie. Laurinne był w pobliżu. Siedział na ziemi i w skupieniu zaciągał zębami własnoręcznie wykonany opatrunek na ramieniu. Chyba jednak coś go drasnęło. Na widok moich ruchów porucznik ożywił się, ale pozostał w miejscu.

– Może pan podejść – powiedziałam i oblizałam suche wargi. – Teraz jest

tu bezpiecznie.

– Flo... – Młodzieniec w jednej chwili znalazł się przy moim boku. Wyraźnie nie bardzo wiedział, jak zachowywać się w takiej sytuacji ani co mówić. – Pani...

– Żyję, Laurinne – stwierdziłam. – W sporej części dzięki panu. Moim zdaniem, ratowanie sobie nawzajem życia staje się między nami tradycją, nie sądzi pan?

– Tak, tylko że zostałem mocno w tyle z punktacją. – Uśmiechnął się niespodziewanie wesoło.

– I najpewniej budzi to pana głęboki smutek. – Mój uśmiech chyba wyszedł trochę krzywy.

– Nnnie... źle mnie pani zrozumiała – zmieszał się. – Nie to chciałem powiedzieć...

– Nieważne. – Uznałam, że lepiej zmienię temat: – Nie wie pan przypadkiem, czym zakończyła się tamta walka?

– Nie. – Laurinne potrząsnął rozwichrzoną głową. – Gdy pani upadła, zaczęła się taka... Szczerze mówiąc, nie oglądałem się do tyłu, miałem ważniejsze sprawy na głowie.

– Rozumiem... – westchnęłam. – A jakim cudem w ogóle udało się panu mnie podnieść i dotaszczyć tutaj?

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Ale niby co miałem zrobić?

– No dobrze – mruknęłam pod nosem. – A raczej nic dobrego. Laurinne, co pan myśli o tym, by pójść na zwiady?

– Po co? – zdziwił się.

– Przecież musimy się dowiedzieć, kto wygrał tamtą potyczkę – odparłam. – Mam mocne podejrzenie, że Stalwianie, ale kto to może wiedzieć...? Poruczniku, niech pan idzie, już. Obiecuję, że nigdzie stąd nie zniknę.

– Ale... – zaczął Laurinne i musiałam powtórzyć swój rozkaz dosłownie, wiedząc, że aluzji i tak nie zrozumie.

– Poruczniku, ja bardzo proszę, niech się pan nie kłóci, tylko idzie. Widzi pan, oprócz innych spraw chciałabym przeprać ubranie i doprowadzić się do porządku. Oczywiście rozumiem, że już widział mnie pan bez niego, i to nie raz, niemniej jednak chyba się pan zgodzi, że to dosyć intymna sprawa.

Młodzieniec się zaczerwienił.

– Przepraszam... Oczywiście, już idę.

Nie było go przez dłuższy czas. Dokładnie przepłukane w strumieniu ubranie zdążyło prawie wyschnąć na wietrze. Zeskrobywanie z siebie zaschniętej krwi i błota w zimnej wodzie okazało się dosyć trudne, ale lepsze to niż nic. Podejrzewam, że nadal nie pachniałam jak krzew róż, ale przynajmniej nie czułam się, jakbym przed chwilą zanurkowała w kupie nawozu.

W chwili powrotu porucznika byłam już całkowicie ubrana. Uczciwie mówiąc, nawet nie usłyszałam, kiedy podszedł. No proszę, przy odrobinie chęci potrafił nie tupać jak źle wychowany koń!

– No i co tam? – spytałam, przygryzając źdźbło trawy. Trawa była niesmaczna, jesienna, ale nie miałam czym zająć rąk, a fajkę gdzieś zgubiłam.

– Nic – odparł porucznik, siadając na trawie koło mnie. – I nikogo. Znaczący się żywych. A trupów sporo. – Wzdrygnął się. – Zarówno w naszych kolorach, jak i ich... Nie bardzo wiadomo, kto wygrał.

Mogłam tylko westchnąć. No tak, skąd dzieciak, który w życiu nie był na wojnie, miałby połapać się w śladach pozostawionych przez oba oddziały? Ale nic. W tej chwili najważniejsze było wydostanie się stąd. I to możliwie szybko.

– Da pani radę iść? – zapytał Laurinne natychmiast. Chyba

wypowiedziałam to ostatnie zdanie na głos.

– A mam jakiś wybór? – prychnęłam, wstając. Niestety, zrobiłam to zbyt gwałtownie i natychmiast się zachwiałam. Ogólnie sytuacja była całkiem jasna: mogłam trzymać pion i nawet wykonywać pewne czynności niewymagające zbytniego wysiłku (udało mi się umyć), ale gdy sprawa tyczyła się chodzenia...

Nie zdążyłam powiedzieć nic na ten temat – porucznik w milczeniu podstawił ramię. W tej sytuacji jego niski wzrost okazał się nawet całkiem wygodny, ale w chwili gdy oparłam się na młodzieńcu niemal całym swoim ciężarem, jego twarz skrzywiła się z bólu.

– A to co za nowości? – spytałam, zdejmując rękę z ramienia Laurinne’a i nieoczekiwanie przypominając sobie jego manipulacje z opatrunkiem. – Jest pan ranny? Proszę pokazać!

– Nie trzeba – zaprotestował. – To naprawdę drobiazg, a pani nawet bez tego... Ale sądząc z jego bladej twarzy i kropli potu na czole, ten „drobiazg” nie był aż tak mały. Przyschnięty opatrunek musiałam zedrzeć. Porucznik syczał przez zęby, ale siedział spokojnie.

– Niczego sobie! – powiedziałam, gdy w końcu udało mi się rozwinąć nierówno nałożone szmaty. Chyba Laurinne został poważnie draśnięty przez któregoś z magów – na jego ramieniu widniał głęboki ślad, nie oparzenie, ale coś w tym stylu. Trochę bardziej w lewo i straciłby rękę. I z taką raną najpierw wyciągnął mnie z pola bitwy, po czym pokonał tę drogę jeszcze dwa razy i nadal trzymał się na nogach? Poczułam mimowolny szacunek dla dzieciaka. – Czego się pan tak ciska?

Porucznik milczał ponuro, więc musiałam zaprzestać manipulacji i pokrótce wyjaśnić mu sytuację:

– Laurinne, wolałabym, żeby w naszym duecie, skoro już mamy tego pecha i siedzimy we dwójkę w tym przeklętym lesie, był tylko jeden kaleka.

Z uwagi na dziwny zbieg okoliczności owym tymczasowym kaleką będę ja. Proszę mi wierzyć, że wyleczenie pana wcale nie jest trudne, a taki wydatek energetyczny nie ma już dla mojego stanu wielkiego znaczenia. Odrobina więcej, odrobina mniej, to już nie gra roli. – Złapałam oddech i dokończyłam: – Więc proszę przestać zgrywać bohatera. Jeszcze czeka pana wleczenie mnie, bo sam pan widzi, jak chodzę. Rozumie pan?

– Rozumiem – odburknął i pokornie nadstawił ramię. Mam wrażenie, że pracowałam niezbyt schludnie, ale nie miałam sił na delikatność.

– A teraz chodźmy – rozkazałam, czując paskudne drżenie rąk. – Tylko niech pan się najpierw umyje, bo wygląda pan, jakby się tarzał w błocie.

– Ale... przecież mówiła pani, że mam się nie zbliżać do wody – przypomniał mi.

– Teraz już można – odparłam. – Tylko proszę jej nie pić, naprawdę nie radzę. Martwa woda to wyjątkowe paskudztwo.

Laurinne posłusznie się umył, co prawda nie wkładając w to za wiele serca, i w końcu mogliśmy wyruszyć w drogę...

Zresztą wyruszyć to za dużo powiedziane. Raczej pokuśtykać. Natychmiast odrzuciłam pomysł udania się w stronę drogi. Oczywiście, jeżeli w potyczce zwyciężyli nasi odważni żołnierze, wspierani przez dwóch magów bojowych, to trafienie na patrol byłoby bardzo mile widziane. Ale jeżeli wygrała strona przeciwna, lepiej było unikać miejsc, gdzie można spotkać ludzi ze Stalwii. Przynajmniej do chwili, aż dojdę do siebie wystarczająco, by nie obawiać się zwykłych żołnierzy. O ile będąc w pełni sił, mogłam próbować mierzyć się ze średniej klasy magiem bojowym, o tyle z Borasem nie miałam szans nawet u szczytu formy. W swojej dziedzinie był on geniuszem.

Ostatecznie uznałam, że powinniśmy ruszyć lasem wzdłuż drogi, co miało po krótkiej chwili doprowadzić nas do wsi, w której zatrzymał się na

noc nasz oddział. Nie mieliśmy pojęcia, kto ją w tej chwili kontrolował, i o tym usilnie starałam się nie myśleć. Zakładałam, że zanim dotrzemy na miejsce, przestanę chwiać się jak trzcina na wietrze i będę potrafiła o siebie zadbać.

– Flo – nieoczekiwanie odezwał się Laurinne – mogę zapytać?

– Proszę bardzo – westchnęłam. Przedzieranie się przez gęsto podszyty las wcale nie było łatwe.

– Tak sobie pomyślałem... – W tym miejscu porucznik musiał przerwać, by pomóc mi przeleźć nad pnem zwalonego drzewa. – Pani jest potężnym magiem, wszyscy tak mówią... Sam widziałem, co pani potrafi. No więc dlaczego?...

– Dlaczego co konkretnie? – spytałam chmurnie. – Jeżeli mówi pan o tym, jak Borasowi udało się zrobić we mnie dziurę, to wszystko jest banalne. Po pierwsze, nie spodziewałam się ataku. Po drugie, ja jestem w zasadzie magiem o szerokim profilu, a on wysoko wykwalifikowanym magiem bojowym. Zabijanie to jego zawód i w tej materii nikt nie może się z nim równać.

– Nawet nie o to mi chodzi... – Laurinne oddychał coraz ciężiej, ale akurat to mnie nie dziwiło, w końcu ważyłam swoje. – Pamiętam, jak mnie pani leczyła... To dlaczego siebie...

Porucznik potknął się, przygryzł język i nie dokończył zdania.

– Chce pan wiedzieć, czemu leżałam tam jak świnia w rzeźni, zamiast skoczyć na nogi i pokazać Borasowi gdzie raki zimują? – spytałam. – Jak by to panu prosto wyjaśnić...

– Nie musi pani prosto – powiedział. – Czy może uważa pani, że nie zrozumie?

– A kto tam pana wie... No dobrze. Spróbuję wyjaśnić. No więc każdy mag jest swoistym zamkniętym konturem energetycznym...

– Tylko mag? – przerwał mi Laurinne i mimowolnie poczułam zdziwienie.

– Dobre pytanie – przyznałam. – Nie, nie tylko. Każda żywa istota. Ale w naszym wypadku jest to najbardziej widoczne. Poruczniku, potrafi pan wyobrazić sobie zamknięty kontur? – Zapytany krótko przytaknął. – Doskonale. No więc... gdy pracujemy... czy prościej mówiąc, rzucając czar, otwieramy ten kontur. Następuje wyrzut energii, który jest tym mocniejszy, im potężniejszy jest mag. Na razie wszystko jasne?

– Jak najbardziej – odparł.

– Wydatkowana energia magiczna odtwarza się kosztem zasobów organizmu maga – ciągnęłam. – Nie będę panu opowiadać w szczegółach, bo to pana nie interesuje. Ale tak czy siak jedni regenerują się szybciej, drudzy wolniej. Przy czym bardzo niezalecane jest przekraczanie pewnego poziomu wydatku mocy, ponieważ w przeciwnym razie mag może po prostu umrzeć.

Zamilkłam, próbując złapać oddech. Laurinne cierpliwie czekał.

– Jak już wspominałam, Raimo Boras jest jednym z najlepszych żyjących magów bojowych – przyznałam niechętnie. – I doskonale umie mordować sobie podobnych. W moim przypadku kontur energetyczny został otwarty od zewnątrz. Taka rana nie jest dla mnie śmiertelna, potrafiłabym zamknąć kontur i prawie natychmiast zaleczyć ranę... gdyby nie blokada.

– To dlatego, że kołek był drewniany? – porucznik wykazał się niespodziewaną domyślnością.

– Dlaczego pan tak uznał? – zdziwiłam się, usuwając gałąź sprzed twarzy.

– Znaczący... – Chłopak sapnął. – Bo przecież staruszkowie gadają, że w upiора koniecznie trzeba wbić drewniany kołek, bo znowu wstanie. I większość potworów też się boi drewna.

– Laurinne, dziękuję panu bardzo za komplement – zakpiłam. – Ale ma

pan rację. Drewno faktycznie doskonale blokuje. Uczeni wymyślili masę naukowych wyjaśnień, ale w tej chwili nie potrafiłabym podać nawet połowy. Tak czy owak, trudno jest myśleć nad uzdrawianiem, jeżeli energia z ciebie leci jak z dziurawej beczki!

– I co pani zrobiła? – w głosie porucznika brzmiała ciekawość.

– Przecież pan widział – westchnęłam. – W razie konieczności mag może podładować się cudzą energią. Na przykład żywiołu – wody, ognia, ziemi czy powietrza. Co prawda te dwa ostatnie dosyć słabo reagują... a zabawa z ogniem jest po prostu niebezpieczna. Szczęśliwie w pobliżu trafił się strumyk... – Wpakowałam się twarzą w pajęczynę i zakląłam. Nie cierpię tego! Szanuję pająki, ale pajęczyn nie znoszę! – A poza tym istnieje również energia żywych istot, od roślin po ludzi. Widział pan, jak wyschła trawa dookoła mnie? Ale to tylko w skrajnym wypadku...

– Dlaczego?

– Bo taką energię bardzo łatwo jest zabrać – odparłam. – I zbyt łatwo się do tego przyzwyczaić. Był mag i nie ma maga, został pasożyt.

– Czyli to tak jak upiór? – zapytał porucznik.

– Dokładnie, tylko o poziom wyżej – potwierdziłam. – Pamięta pan Darai i jej ofiary z ludzi? To jeden z rodzajów takiego żerowania. Co prawda wiedźma liczyła przede wszystkim na moc krwi swoich ofiar, a energii zabierała tyle co nic.

– A czy krew... – zaczął porucznik, ale zbyłam go machnięciem ręki.

– Bzdury... Wszystkie te bajki o wampirach... Ani razu nie trafiłam na prawdziwego. Byli najprzeróżniejsi wariaci, którzy uważali się za krwiopijców, byli tacy jak Darai, były po prostu dzikie stworzenia, ale prawdziwego wampira... – Złapałam kurczowo oddech i uznałam, że zmienię temat: – Laurinne, robi się ciemno. W takim tempie daleko nie zajdziemy. Trzeba poszukać jakiegoś miejsca na nocleg.

Do tej sprawy porucznik podszedł z pełną odpowiedzialnością. Ulokowaliśmy się na pobliskiej polance, dookoła której wznosiła się ściana z niziutkich świerków, a Laurinne natychmiast zabrał się do rąbania gałęzi na posłania. Co prawda z tym rąbaniem to nieco przesadnie powiedziane, oficerskim kordzikiem niewiele można było zdziałać. Raczej po prostu łamał gałęzie, przy okazji niemiłosiernie drapiąc sobie ręce i rozszarpując resztki ubrania. Trochę to trwało i patrząc na rosnący stos zieleni, w końcu nie wytrzymałam:

– Poruczniku, może już starczy? Według moich najskromniejszych szacunków można na tym położyć przynajmniej oddział wojska. Po co tyle?

– Chciałem zrobić szałas – odparł poważnie. – Widziała pani, jak słońce siadało? Będzie padać. Po za tym zawsze to cieplej.

Chciałam powiedzieć, że nie pozwolę nam przemoknąć ani zmarznąć, ale w porę ugryzłam się w język. Marnowanie mocy również na to... Niechaj dzieciak robi, co chce. Pewnie nawet mu przyjemnie, że może wziąć na siebie rozwiązywanie takich problemów.

Obserwowanie porucznika było ciekawe. Już wcześniej wiedziałam, że nie ma dwóch lewych rąk, ale teraz miałam kolejną okazję, by się o tym przekonać. Powstały szałas nie wyglądał szczególnie imponująco, ale był dosyć solidny, a zaimprovizowany dach nie powinien przeciekać. Pewnie Laurinne nauczył się tego jeszcze w swoim majątku, najpewniej nie raz i nie dwa polował oraz nocował w lesie. W tej chwili jego umiejętności przydały się jak znalazł.

– Będziemy rozpalać ognisko? – zapytał po zakończeniu budowy.

Skinęłam głową. Było już dosyć ciemno, a nie spodziewałam się ani księżycy, ani gwiazd – niebo było pełne chmur. Chyba mój towarzysz się nie pomylił i faktycznie miało padać.

– Z drogi nas nie zobaczą – osądziłam. – A osobiście nie mam specjalnej

ochoty siedzieć po ciemku.

Po kolejnym kwadransie na polanie zrobiło się znacznie przytulniej, malutkie ognisko dawało niewiele światła, ale widzieliśmy swoje twarze. Siedziałam, oplatając rękoma kolana, patrzyłam na ogień i rozmyślałam. Po drugiej stronie ogniska porucznik roztrącał węgle długą gałęzią i, o dziwo, milczał.

– Chciałabym jednak wiedzieć, kto dziś wygrał... – wypowiedziałam na głos najistotniejsze w tej chwili pytanie. Faktycznie wiele od niego zależało.
– Koni szkoda...

Mojej kobyły naprawdę było mi bardzo szkoda. Przyzwyczaiałam się do niej, a ona do mnie. Ba, jak dotąd nie miałam lepszego od niej wierzchowca. Oczywiście mogłam kupić coś młodszego, ładniejszego, szybszego. Tyle tylko, że konia o tak spokojnym charakterze jak moja Szarka jeszcze nie spotkałam. Miałam nadzieję, że nie trafiła pod zbłąkany pocisk energetyczny ani nie złamała nogi w jakimś parowie.

Porucznik niechętnie skinął głową, a jego twarz spochmurniała. Jego również potrafiłam zrozumieć – miał tylko jednego konia i zakup kolejnego wiązał się z poważnymi problemami. Wierzchowce ze stajni służbowej zwykle nie były najlepsze, oczywiście z wyjątkiem tych przeznaczonych dla gońców oraz dla oficerów na wszelki wypadek. Laurinne jako młody stażem porucznik mógł się spodziewać, że zarządca stajen wepchnie mu najgorszą chabetę, oczekując wymiernej wdzięczności za jej ewentualną wymianę na coś lepszego.

– Mam nadzieję, że wszystkim naszym udało się wycofać... – rzucił porucznik, a ja przez chwilę poczułam się nieswojo. No ale ostatecznie żołnierze byli ludźmi i mogli o siebie zadbać. A konie w takim pobojuwisku są znacznie bardziej bezbronne. – Dobrze, że Iwasa z nami nie było...

– Jest panu tak bardzo drogi? – spytałam. Kapral nie zdążył wrócić przed

naszym wyjazdem, czego naprawdę żałowałam. Miałam ochotę na dłuższą pogawędkę z nim!

Laurinne wzruszył ramionami.

– Pamiętam go, odkąd byłem malutki – powiedział, zupełnie niezdziwiony zmianą tematu. – Chyba już pani mówiłem, że służyli razem z ojcem, a on uratował Iwasowi życie...? Kiedy ojca... kiedy ojca zesłano, kapral ruszył za nim. Wiele mnie nauczył.

– Fechtunku również? – spytałam przy okazji, chociaż bardzo w to wątpiłam. Stary żołnierz po prostu nie wyglądał na mistrza szpady. Może w większej bitwie niespecjalnie się liczyło, jak Laurinne włada bronią, ale miałam okazję zaobserwować i była to dobra szkoła. Stanowczo nie to, czego mógł nauczyć zwykły żołnierz.

– Nie – porucznik potwierdził moje myśli. – Fechtunku uczył mnie ojciec.

– Ferenc Lagarst – sprecyzowałam bez wyraźnego powodu.

– Ojciec – uciął porucznik, i to takim tonem, że moje brwi ze zdziwienia ruszyły w górę. Młodzieniec wyprostował się, a jego twarz w świetle ogniska nagle zrobiła się całkiem dorosła. – Flo, ja wiem, że zawdzięczam swoje narodziny innemu człowiekowi. Tylko że ja tego innego nie widziałem na oczy, nie znam i uczciwie mówiąc, nawet nie chcę poznać. A wychował mnie człowiek o imieniu Ferenc Lagarst i tylko jego będę nazywał ojcem!

– Jak pan woli – rzuciłam cicho, ale Laurinne jeszcze nie skończył.

– Przecież on wiedział, że nie jestem jego synem – oznajmił. – Jestem przekonany, że wiedział! Jednak nigdy nie robił żadnych różnic pomiędzy mną a Lucjuszem. Kochał mnie, Flo, rozumie pani? I nauczył wszystkiego, czego uczył również Lucjusza. Tak więc proszę nigdy więcej nie mówić, że nie jest moim ojcem. Niech nawet nie mam prawa do jego nazwiska!

– Laurinne, niech się pan uspokoi – poprosiłam. Mój porucznik nie

przestawał mnie zadziwiać. – Szczerze mówiąc, jest mi całkiem obojętne, czyim synem pan jest. A przy okazji, lubię, kiedy się pan wścieka. Przestaje się pan wtedy jąkać i mamrotać.

– Znowu pani sobie ze mnie żarty stroi – burknął Laurinne, gwałtownie tracąc tę dziwną dorosłość i ponownie zmieniając się w dzieciaka.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Ale chyba się rozproszyliśmy. Zaczęło się od rozważań, kto wygrał. A od tego przecież zależy, co będziemy robić dalej.

– I co będziemy robić? – zapytał porucznik chmurnie.

– Dobrze byłoby jutro wydostać się z lasu przed zapadnięciem zmroku – powiedziałam. – Dotrzeć do swoich i zapoznać się z sytuacją. A potem bardzo chciałabym odnaleźć Borasa i sobie z nim pogadać...

– Ja również bardzo chciałbym go odnaleźć – powoli wycedził mój towarzysz, a ja mimowolnie zadrżałam, słysząc ton jego głosu. – Ale nie w celach towarzyskich.

– W takim razie co ma pan zamiar z nim zrobić? – Byłam autentycznie ciekawa.

– Zabić – stwierdził Laurinne krótko i zwięźle.

– Zwariował pan! – Nie udało mi się powstrzymać nerwowego śmiechu. – Raimo robi z pana pieczyste!

– Nie wydaje mi się. – Twarz porucznika ponownie się zmieniła, a mnie ogarnęły wątpliwości, czy aby na pewno była to kwestia wyłącznie niepewnego światła z ogniska. Takiego spojrzenia u porucznika również nigdy przedtem nie widziałam – skupionego, poważnego i niebezpiecznie wyrachowanego. – Teraz wiem, że magowie również mają słabe punkty, szczególnie jeśli nie spodziewają się ataku. I dlatego go zabiję. Flo, uda mi się, jestem tego pewien.

– Laurinne, żeby pana wzięło i strzeliło – powiedziałam ze złością. – O

co panu chodzi? To przecież wojna, a na wojnie wszystkie chwytby są dozwolone.

– Flo, wojna to wojna, ale on zaatakował „głos króla”, posła, parlamentariusza! – odparł młodzieniec z oburzeniem i wrzucił swoją gałązkę do ogniska, wzniecając snop iskier. – A nawet gdyby nie była pani posłem... Za panią zabiję każdego.

Nie znalazłam na to odpowiedzi. Zresztą co tu można było powiedzieć?

– Laurinne, chyba czas spać – westchnęłam, naruszając panującą ciszę. – Jutro musimy wcześniej ruszyć.

Jednak nie mogłam zasnąć. Próbowałam myśleć o niechybnej wojnie, o tym, czego tak naprawdę chciał Jego Królewska Mość Nikkej... czy może Raimo Boras... czy sam Naor. O swojej roli w tym wszystkim. Ale myśli z uporem uciekały w innym kierunku. Ostatecznie poddałam się i pozwoliłam, by płynęły, gdzie mają ochotę. Wyszło... Szczerze mówiąc, nic mi nie wyszło.

Co ten dzieciak we mnie widział? Na co mu byłam potrzebna? Z punktu widzenia zwykłego człowieka nie byłam już najmłodsza, do tego nieładna, o paskudnym charakterze i jeszcze paskudniejszym zwyczaju wyśmiewania go. W jego warunkach życiowych Laurinne powinien znaleźć sobie młodą wdowę, a może nawet mężatkę – bogatą, litościwą, dobrą, żeby kochała go nade wszystko. Bo przecież na to zasługiwał. Albo ewentualnie młodą pannę, dla której byłby romantycznym bohaterem z gatunku tych, którzy w romansach zawsze napotykają niezliczone trudności, ale kończą swoje dni w bogactwie i chwale. A co zamiast tego miał porucznik?

Przywołałam płomyk-towarzysza, maleńki niczym robaczek, i spojrzałam w błękitnawej poświacie na leżącego obok młodzieńca. Jesienny las był chłodny, a poza tym rzeczywiście zaczął kropić deszcz i szalas okazał się bardzo potrzebny. Musieliśmy ulokować się tuż obok siebie, objęci,

zarówno z powodu ciasnoty, jak i panującego zimna. Laurinne zasnął natychmiast, co w sumie nie było dziwne, dzień naprawdę nie należał do łatwych. Patrząc na twarz śpiącego, z trudem mogłam uwierzyć, że to właśnie on przed chwilą siedział przy ognisku i mówił rzeczy, które znacznie bardziej pasowały do doświadczonego mężczyzny – we śnie wyglądał na bardzo młodego. Pachniał krwią, potem, końmi, dymem ogniska i mułem (mój zapach pewnie nie był przyjemniejszy), ale wszystko to zagłuszał aromat świerkowych igieł i żywicy.

Deszcz zaszumiał mocniej, ale puchate igły świerkowych gałęzi nie przepuszczały wody do szałasów. Ja natomiast nagle i niespodziewanie wyraźnie uświadomiłam sobie, że w swoim życiu nigdy nie spotkałam mężczyzny, który mógł za mnie ruszyć na pewną śmierć. Zgadza się, wielu się zaklinało, że gotowi są dla mnie umrzeć, ale który z nich naprawdę zaryzykowałby własne życie? Żaden. Tylko Laur Laurinne, porucznik gwardii królewskiej, który nie skończył jeszcze dwudziestu lat i którego nigdy nie traktowałam poważnie...

Westchnęłam ciężko i uśmiechnęłam się w jego włosy...

– Flo, co się dzieje? Coś się stało? – głos porucznika był senny, ale też zaniepokojony.

– Nic. Niech pan śpi – powiedziałam i pozwoliłam, by przytulił mnie mocniej. Mogę przysiąc, że żaden mężczyzna, którego znałam, nie obudziłby się z tak głębokiego snu, nawet gdybym urządziła tu demonstracyjny atak hysterii.

Laurinne otrzymał właśnie to, czego pragnął. I mam rozumieć, że pragnął nie litości ani zachwytów nad tym, jak dobrze znosi przypadające mu w udziale trudności. Chciał, żeby zaakceptować go takim, jaki był, i tylko tyle.

ROZDZIAŁ 28

Zacisze

Poranek wstał zimny i pochmurny. Deszcz skończył się, zanim ziemia nasiąknęła na dobre, ale trawa była wilgotna i śliska, łatwo o upadek.

Zbieraliśmy się w milczeniu, mimo że do zbierania nie było wiele. Laurinne zdołał nawet posiąć szpadę, czy może celowo zostawił ją gdzieś, by nie plątała się między nogami – koniec końców nie była to klinga rodowa. Z drugiej strony dla kogoś takiego jak on porzucenie broni było nie do pomyślenia, więc jednak zgubił. Rzemień był ucięty równo, jak gdyby nożem. Czyli pewnie ktoś go zahaczył, a porucznik miał w tamtej chwili ważniejsze rzeczy na głowie aniżeli szpada. Dobrze, że przynajmniej nie stracił noża.

Po zakończeniu tej niewielkiej gimnastyki umysłowej zaczęłam się zastanawiać nad poważnymi sprawami. W nocy przyszła mi do głowy myśl, by nie wracać do wsi, tylko ruszyć wprost do stolicy. W zasadzie nie było to niemożliwe, ale po chwili zastanowienia jednak zrezygnowałam. Tutaj jechaliśmy prawie trzy tygodnie, i to mając zapasowe konie. Sami również byliśmy w znacznie lepszej formie. Teraz, pieszo, do tego stopnia obszarpani i prawie bez pieniędzy, dotarlibyśmy z powrotem w najlepszym razie przed pierwszym śniegiem. No dobrze, jako mag–justycjariusz mogłam zażądać

nieograniczonego kredytu, ale na myśl, że musiałabym demonstrować swoje zdolności przed każdym kramarzem, robiło mi się niedobrze.

Poza tym nadal musieliśmy ocenić bieżącą sytuację, a nie mieliśmy ku temu innej możliwości niż powrót do obozowiska.

Kolejnego dnia nie potrafię odtworzyć dokładnie, w pamięci pozostało mi przede wszystkim tylko ciągle rosnące uczucie głodu. Laurinne znalazł kilka grzybów, ale po chwili namysłu zabroniłam mu nawet próbować. Mimo że wyglądały nawet na jadalne, kompletnie nie budziły mojego zaufania, a zatrucie potrzebne nam było jak dziura w moście. Przynajmniej wody w lesie było dość, by spokojnie kilka razy się w niej utopić – co pół godziny trafialiśmy na jakiś strumyk, więc przynajmniej ten problem odpadał.

Do głowy pchały mi się natrętne myśli. Naor chciał dostać to księstwo, tak? – ale po co mu ono?! Co tu takiego było? Ot, wąski skrawek ziemi, na którym nawet nie rośnie nic sensownego.

– Laurinne! – zawołałam. O ile było mi wiadomo, porucznik otrzymał nie najgorsze domowe wykształcenie. Może będzie potrafił przypomnieć sobie coś ciekawego na temat tutejszych okolic. – Proszę mi powiedzieć, wie pan coś o tym miejscu?

– Trochę wiem. – Chłopaka w ogóle nie zdziwiło to pytanie i tylko strzepnął pajęczynę z twarzy. Chyba bliższe kontakty ze mną odczyły go dziwienia się czemukolwiek. – Jeżeli się nie mylę, kiedyś ziemie te należały do rodu Takein. Bardzo szacowna rodzina. Chyba w Arastenie przeżyli jacyś ich dalsi krewni. Takeinowie mieli bardzo duże posiadłości, zajmowały prawie jedną trzecią księstwa. A potem ród wygasł i ziemie przeszły na własność korony.

– A co jest tutaj takiego, co mogłoby zainteresować Stalwię? Właśnie tutaj, a nie w Tarnaju w ogóle.

Nad tym również chwilę się zastanawiałam. Jeżeli ktoś planował zająć

księstwo, to najprościej byłoby od razu ruszyć na stolicę, która znajdowała się dalej na północ. Tymczasem Stalwianie z jakiegoś powodu weszli od tej strony, mimo że nie było tu nawet większych miast.

Laurinne zastanowił się.

– Chyba nic specjalnego – odparł w końcu z pewnym wahaniem. – Do stolicy daleko. Ziemia... ziemia jest biedna, sama pani widziała. Dawniej wypasano tu owce, czytałem, że rodzina Takein zrobiła na tym majątek...

„Owce! – pomyślałam. – Wprost wspaniale! Czy to oznacza, że Naor... albo może Boras zdecydował się zająć hodowlą?”

Im dłużej się zastanawiałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że za Borasem prawie na pewno stał Naor, ale też dał on Raimo ogromną swobodę działania. Bardzo prawdopodobne, że mag kompletnie nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło, ale miałam spore problemy, by wyobrazić sobie człowieka, który potrafiłby do tego stopnia Raimo nabrać. Jeżeli takowy istniał i faktycznie był Naorem, już samo to wystarczało, by uznać go za poważnego przeciwnika. Najpewniej Boras jedynie udawał, że pracuje dla innego maga, podczas gdy sam prowadził własną grę. To byłoby znacznie bardziej do niego podobne. Hm... Może więc nie powinnam się wtrącać, tylko poczekać i zobaczyć, jak Boras doprowadzi swój pomysł do końca i rozprawi się z Naorem? Kuszące, kuszące...

– A następnie... – Laurinne zatrzymał się, żeby odczepić od nogawki spodni pęd kłującego krzaka. – Następnie, zdaje się, wybuchła jakaś zaraza i nikt z Takeinów nie przeżył. Zgłosiła się cała masa chętnych do przejęcia ich ziemi, ale ówczesny książę zagarnął wszystko dla siebie. Co prawda od tamtej pory wszystko się zaczęło sypać. Chłopi uciekli, kto gdzie mógł: wielu do Arastenu, reszta jakoś bieduje. Nic sensownego tu nie rośnie, hodowla owiec również nie bardzo wychodzi, chyba Takeinowie mieli jakieś sekretne sposoby... – Porucznik westchnął. – W zamku tymczasowo umieszczono

posterunek straży granicznej. Tymczasowo... czyli już jakieś pięćdziesiąt lat temu.

Prychnęłam. Słusznie mówią, że nie ma nic bardziej trwałego od rzeczy tymczasowych.

– I to chyba tyle. Więcej nic nie wiem – zakończył Laurinne.

– Cóż, to wcale nie tak mało – stwierdziłam. Czułam, że coś w tej opowieści tkwi między wierszami, ale co konkretnie? – A w zamku stacjonuje wielu ludzi?

– Niespecjalnie – odparł porucznik. – To przecież granica z Arastenem, a my mamy z Tarnajem umowę... W razie czego oni od razu zawiadamiają nasze najbliższe posterunki, dokładnie tak jak teraz.

Zamek Takein... Skąd ja tak dobrze znałam tę nazwę? Pewnie trafiłam na nią w jakiejś książce, ale dlaczego ją zapamiętałam? W tej chwili bardzo brakowało mi dziadka oraz jego biblioteki. Miałam całkiem niezłą pamięć, ale bardzo daleko jej było do idealnej pamięci dziadka. Prawie dosłownie mógł cytować każdą przeczytaną kiedyś książkę, od podręczników po zbiorki zbereźnych wierszyków. Byłam pewna, że on natychmiast przypomniałby sobie to nazwisko i powiedział, z czego słynął stary zamek.

Zamek? A czy przypadkiem nie znajdował się tam przedmiot potrzebny Borasowi? (Zapomnijmy chwilowo o Naorze, żeby się do reszty nie pogubić). Całkiem prawdopodobne – żebyśmy jeszcze tylko wiedziały, co to takiego! Ale jeżeli założyć, że ta teoria jest prawdziwa, wiele rzeczy stawało się całkiem zrozumiałych. W zamku byli żołnierze, na pewno również mag i nie dało się tak po prostu wejść do środka bez wszczynania alarmu. Boras był doskonałym magiem bojowym, więc mógłby wedrzeć się tam w pojedynkę, ba, po prostu rozłożyć zamek na poszczególne kamyczki. Ale z jakiegoś powodu tego nie zrobił, tylko próbował otrzymać te ziemie w sposób mniej więcej zgodny z prawem, za pośrednictwem Nikkeja. Dlaczego? Może

obawiał się, że w trakcie szturmu przypadkiem uszkodzi obiekt swoich poszukiwań? I znowu: co to mogło być? Jakiś artefakt? Całkiem prawdopodobne, Boras zawsze lubił grzebać w starożytnych historiach i znajdować relikwie, które wydawały się dawno utracone. Po czym oczywiście używać ich zgodnie ze swoim widzimisię. Teoria była całkiem zgrabna. Boras potrzebował czegoś znajdującego się w zamku Takein. Nie mógł tak po prostu wdrzeć się do zamku i owego czegoś zabrać. Po pierwsze obawiał się, że uszkodzi artefakt, a po drugie Kolegium niezbyt przychylnie spojrzaloby na taki akt rozboju w biały dzień.

Natomiast jeżeli Boras, oficjalnie znajdujący się w służbie Stalwii, rozpocznie wojnę z Tarnajem (a przy okazji również z Arastenem) i w jej trakcie zburzy zamek do fundamentów, Kolegium nie powie mu złego słowa. Po prostu dlatego, że walki pomiędzy lokalnymi władcami rozpatruje wyłącznie w aspekcie stosowania się do formalnych zasad i postanowień. A o ile rzecz odbywa się zgodnie z regułami i mag bojowy działa nie według własnego widzimisię, tylko na podstawie rozkazów mocodawcy, to wszystko jest w najlepszym porządku. Na drobne nieściskości Kolegium zwyczajowo przymykało oczy.

A to z kolei nie było do Borasa podobne. Gdyby pragnął zawładnąć cennym artefaktem, to zdanie Kolegium byłoby mu całkowicie obojętne. A poza tym niechby najpierw spróbowali ustalić, kto konkretnie głuchą nocą rozniósł w strzepy pograniczny zamek... Nie, to wszystko zostało zaplanowane przez bardziej przewidującego człowieka, czyli miałam rację i za Borasem stał Naor, który na razie wolał raczej unikać bacznej uwagi Kolegium.

Tymczasem Arneliusz okazał się orzeszkiem trudnym do zgryzienia nawet dla tajemniczego Naora, a dodatkowo jeszcze ja plątałam się pod nogami. Oczywiście teraz wojna była nieunikniona. Otwarty atak na maga–

justycjariusza przechodził wszelkie granice. Jeżeli Boras na to poszedł, to stawka faktycznie była wysoka, a Naor musiał mieć na niego dobry haczyk. Szkoda, że nie wiem jaki!

W każdym razie musiałam Borasa wyprzedzić. I po nim, i po jego mocodawcy należało się spodziewać nieprzyjemnych niespodzianek...

Niechby szlag trafił te stare zamki z ich nie mniej starożytnymi lokatorami! W takich skarbcach można było znaleźć chyba wszystko! A to ktoś kiedyś miał zadatki na maga, a to znów inny maczał palce w sztukach zakazanych...



Gdy zgodnie z moimi obliczeniami znajdowaliśmy się już dosyć blisko osady, porucznik, któremu chyba chodziły po głowie podobne myśli, zapytał:

– Flo, a może powinienem pójść i sprawdzić, co dzieje się we wsi? Pchanie się tam...

– Laurinne, jeszcze nie straciłam rozumu do reszty, żeby pchać się do wsi bez wywiadu. Co prawda pan również nigdzie nie idzie. Proszę na razie usiąść i odpocząć.

Rozejrzałam się dookoła. Na szczęście mimo kiepskiej pogody ptaki nie pochowały się w lesie. Wybrałam krzykliwą srokę i po sekundzie ptak zerwał się z gałęzi, lecąc w stronę wsi. Śledzenie otoczenia poprzez ptasie oczy nie jest szczególnie przyjemne, więc uznałam, że poczekam, aż mój szpieg dotrze do gospody, i dopiero wtedy zobaczę co i jak. Nie trwało to specjalnie długo. Ku mojej wielkiej uldze okazało się, że w gospodzie, w której ze wszystkimi wygodami ulokował się dowódca, od chwili naszego wyjazdu kompletnie nic się nie zmieniło. A przynajmniej budynek był cały, domy dookoła również, a na podwórku dostrzegłam kilku żołnierzy w dobrze mi

znanych mundurach.

– Chodźmy – rzuciłam, otwierając oczy. – Chyba wszystko jest w porządku. Chociaż odrobina kamuflażu nie zaszkodzi...

Kamuflaż sprowadzał się do zwykłego zakłęcia rozproszenia uwagi przypadkowych przechodniów, ale ku mojej wielkiej radości nie musiałam nawet marnować mocy. Wyglądało na to, że mieszkańcy pochowali się po domach i siedzieli tam, bojąc się wychylić nos na ulicę. Za to nasi odważni wojacy wykazali się zaiste ponadprzeciętną spostrzegawczością – zauważyli mnie i porucznika, dopiero gdy przekroczyliśmy już bramę gospody. Zakładałam też, że nasze pojawienie się wywołało należyte wrażenie, szczególnie biorąc pod uwagę stan naszej odzieży.

– Panno Naren! – przepchnął się do mnie pułkownik Garan. Na jego twarzy dostrzegłam nieudawaną, prawie euforyczną radość. Wyobrażam sobie, jak męczył się ów szacowny jegomość, w pełnych barwach wyobrażając sobie składanie Jego Królewskiej Mości meldunku w sprawie mojego zaginięcia bez śladu! – Żyje pani! Co za szczęście!

– Zgadza się, panie pułkowniku. O dziwo, żyję, co w dużej mierze zawdzięczam porucznikowi Laurinne'owi. – Próbowałam odciągnąć trochę uwagi od mojej osoby, ale pułkownik nie dał się złapać na haczyk. Porucznik stanowczo nie aspirował do roli bohatera dnia, odszedł na bok i zaczął szukać kogoś wzrokiem, pewnie kolegów z oddziału.

– Panno Naren, muszę z panią...

– Panie pułkowniku! – Uniosłam dłoń. – Proszę mi uwierzyć, pół godziny zwłoki nic nie zmieni. – Rozejrzałam się dokoła i zauważyłam właściciela gospody. – Hej, panie szanowny! Poproszę obiad i wannę, najlepiej jedno i drugie gorące. Dokładnie w takiej kolejności. Dla tamtego młodzieńca to samo. I szybciej, szybciej!

Chyba nawet w łachmanach wyglądałam dostatecznie przekonująco,

ponieważ karczmarz nawet nie próbował wątpić w moją wypłacalność, tylko rzucił się wykonywać polecenie. Zresztą niech by spróbował nie posłuchać, gdy dokoła pełno było żołnierzy Jego Królewskiej Mości!

Umywszy pobieżnie ręce i twarz, zasiadłam do nakrytego stołu i poczułam się znacznie lepiej. W perspektywie miałam gorącą kąpiel, na którą dziewczki służebne już zaczynały grzać wodę, popędzane okrzykami gospodarza. I to nastrajało mnie jeszcze przychylniej do świata.

– Już mogę słuchać – oznajmiłam po zaspokojeniu pierwszego głodu. – Pułkowniku, czy będzie pan tak uprzejmy i poinformuje mnie, czym zakończyła się ta wczorajsza bitwa?

– Remisem, panno Naren – brzmiała odpowiedź. Co prawda nie zauważyłam na twarzy pułkownika szczególnej radości.

– REMISEM? – Brwi same powędrowały mi ku górze. – Remis z Raimo Borasem? A to dopiero! W jaki sposób się to panu udało?

– Uczciwie mówiąc – pułkownik wyglądał na nieco zawstydzonego – to on zaproponował remis. A ja musiałem się zgodzić. Widzi pani, jeden z naszych magów zginął, drugi... Jednym słowem, kontynuowanie bitwy nie miało sensu. Boras zaproponował remis i zaoferował nam jeszcze sześć dni na ustalenie ostatecznej odpowiedzi w kwestii tego terenu...

– Doskonale – rzuciłam sucho. Chyba Boras miał ochotę na zabawę w kotka i myszkę. – Raport do Jego Królewskiej Mości i generała Lagrana?

– Został już wysłany – westchnął pułkownik. – Ale...

Nie skończył, ale i tak zrozumiałam. W ciągu trzech dni gołąb pocztowy miał szansę dotrzeć do stolicy, tyle samo trzeba czekać na odpowiedź... A nikt przecież nie gwarantował, że ptak w ogóle dotrze do celu. Poza tym jakiej niby pomocy mógł udzielić Jego Królewska Mość? Jakkolwiek smutne by to było, ani wojsko, ani magowie bojowi póki co nie potrafili poruszać się z prędkością lecącego ptaka, a dostępne siły nie wystarczały, by poradzić

sobie z Borasem. Gdyby nie jego obecność, obie strony konfliktu miałyby porównywalne szanse, ale, niestety...

– Obawiam się, że nie otrzymamy odpowiedzi na czas – pułkownik wypowiedział moje myśli na głos. – Spodziewałbym się, że Boras wyłapie nasze ptaki.

– Rozumiem – stwierdziłam, wstałam od stołu i podeszłam do okna. Wyrzesałam na zewnątrz i zobaczyłam Laurinne'a otoczonego towarzyszami broni. Ciekawe, czy nasze konie ocalały?

Nie, Jego Królewska Mość nie pomoże. Nie mówiąc o tym, że wojsko tu wiele nie zdołało... a odpowiedzi na męczące mnie pytanie w sprawie zamku Takein mogła udzielić tylko jedna osoba.

– Poruczniku! – zawołałam.

– Tak jest, panno Naren. – Młodzieniec zerwał się na nogi.

– Niech mi pan znajdzie w okolicy jakąś wronę – poprosiłam. Pułkownik wytrzeszczył oczy, a Laurinne, niezdziwiony nawet odrobinę, zaczął rozglądać się po okolicy. Jednak szybko zmieniłam zdanie – wrony są bardzo mądre, ale zwykle nie ruszają daleko od miejsca zamieszkania, więc ich znajomość geografii pozostawia wiele do życzenia. – Poruczniku! Proszę darować sobie tę wronę i niech mi pan przyniesie gołębia, o ile jakieś ocalały.

Gołąb istotnie się znalazł, a wtłoczenie do jego małego mózdzku moich poleceń nie zajęło szczególnie wiele czasu. Teraz ostatnia kwestia – byłam prawie pewna, że Boras czatował na nasze ptaki, a zależało mi, by ten konkretny jednak dotarł do celu. Proste zakłęcie z wiedźmiego arsenału i gołąb powinien przestać ściągać na siebie nadmierną uwagę czy to ludzi, czy drapieżników. Porucznik patrzył mi na ręce, chociaż teoretycznie powinien teraz znaleźć sobie coś ciekawszego do roboty. Nie zamierzałam zawracać sobie nim głowy, podeszłam do okna i podrzuciłam skrzydlatego posłańca do góry, a on błyskawicznie zniknął w niebie nad lasem.

– A teraz, panie pułkowniku, proszę zadbać o to, by żywa dusza nie opuściła tej wsi. Proszę również dopilnować, żeby nie dostał się tu nikt z zewnątrz – poleciłam. – Przy okazji, nie należy zbyt gadać o tym, że wróciłam. Nie jestem pewna, czy Boras uważa mnie za nieżyjącą, ale jeżeli istotnie tak jest, to mamy w ręku przynajmniej jakiś atut.

– Rozumiem, panno Naren. – Pułkownik skinął głową. – Uważa pani... eee... że czeka nas jeszcze jedna walka z nim?

– Dlaczego? Możemy jeszcze pozostawić Takein w jego rękach i się wycofać. – Wzruszyłam ramionami. – Nie wydaje mi się, by ruszył naszym śladem. Co pan powie na taki rozwój wydarzeń?

– Panno Naren, taki rozwój wydarzeń jest kompletnie nie do przyjęcia – odparł Garan sucho, a ja przyznałam, że pierwsze wrażenie okazało się mylne – wcale nie był aż takim panikarzem, jak mi się wydawało. Zresztą kto by nie spanikował, stojąc naprzeciwko Borasa? – Czekam na pani dalsze rozkazy.

– Już pan je usłyszał – powiedziałam. – I póki nie otrzymam pewnych informacji, nie będziemy podejmować żadnych dalszych działań.

„I mam nadzieję, że jednak te informacje otrzymam” – dodałam w myśli.



Czas ciągnął się niewyobrażalnie powoli, najpewniej dlatego, że nie miałam nic do roboty. Poranek zaczynał się od doniesień, które nie zawierały absolutnie nic nowego. Stalwianom nigdzie się nie spieszyło, nas również nie ruszali – Boras rzeczywiście czekał. Było to dziwne i zupełnie do niego niepodobne. Ale jeżeli Raimo nie dążył do tego, by rozruszać się w solidnej bitce, to prawdopodobnie miał w tej materii bardzo szczegółowe instrukcje. Zresztą z kim miałby walczyć? Jeden z naszych magów bojowych zginął, drugi ledwo co odzyskał przytomność, resztę można było uznać w

najlepszym razie za czeladników tej dwójki, a posiłki nadal nie dotarły i nikt nie wiedział, czy zdążą na czas.

Ale na co dokładnie on czekał? Czyżby również na posiłki? Nie rozśmieszajcie mnie! Niemniej fakt pozostawał faktem – Stalwianie nie posuwali się w kierunku stolicy księstwa. Za to pomiędzy nimi a Arastenem pozostawała tylko graniczna twierdza Takein i, jak meldowali zwiadowcy, dojścia do niej już były zablokowane. Wyglądało na to, że się nie myliłam.

Bardzo interesowała mnie również inna kwestia: czy Boras uważał mnie za zmarłą? Jeżeli tak, to miałam niewielką przestrzeń dla manewrów. Jeżeli nie... No cóż, nie bardzo mogłam cokolwiek zrobić. Gotowa byłam przysiąc, że po tamtej niewielkiej awanturze Stalwianie pełzali na brzuchach po polu bitwy, mając nadzieję na znalezienie mojego trupa. W okolicy musiało być pełno osmalonych kawałków ciał niemożliwych do identyfikacji, ale naturalnie nie miałam pojęcia, do jakiego wniosku ostatecznie doszedł Boras.

Moje próby uzyskania jakichkolwiek informacji o zamku Takein spełzły na niczym. Żaden z tubylców nie wiedział nic pożytecznego o wspaniałej przeszłości tego kamiennego monstrum, ludzi przybyłych ze mną ze stolicy tym bardziej nie było warto pytać. A przynajmniej żaden z nich nie potrafił powiedzieć mi więcej niż porucznik Laurinne.

Co jakiś czas odczuwałam nieznośną chęć, by pod osłoną nocy przekraść się do dyskretnie otoczonego przez Stalwian zamku i w nim pomyszkować. Powstrzymywało mnie jedno – ktoś mógł mnie nakryć podczas takiej wycieczki. Szczęśliwie lub też pechowo pułkownik Garan uznał, że przekwateruje tarnajskich żołnierzy w pobliże naszego obozu. W zamku pozostawił wyłącznie minimalną załogę potrzebną do jego obrony. Zresztą było to minimum wystarczające, gdyby Stalwianie nie mieli do dyspozycji Borasa. Tłumaczyłam sobie, że pchanie się tam w nadziei na łut szczęścia byłoby szczytem głupoty i powinnam po prostu czekać na wieści z Arastenu.

Miałam szczerą nadzieję na to, że zaczarowany przeze mnie ptak zdoła dotrzeć do stolicy, jak również że dziadek mógł zaoferować jakąś informację o zamku Takein albo przynajmniej sugestię co do tego, co mogło być schowane w tych ruinach. Na pewno natknęłam się na wzmiankę o rodzinie Takein w kontekście jakiejś ciemnej historii – niestety, zupełnie nie potrafiłam przypomnieć sobie szczegółów. Najpewniej w tamtej chwili mało mnie to interesowało, tak więc dotycząca jej informacja prześlizgnęła się po skraju świadomości i pozostawiła po sobie wyłącznie mgliste wspomnienie. A szkoda, wielka szkoda... Gdybym potrafiła przypomnieć sobie cokolwiek, może zdołałabym ugrać trochę czasu...

Podobnie bezproduktywne myśli męczyły mnie również tego wieczora. Minęły już trzy doby z sześciu, które zaoferował nam Boras. Gołębie pocztowe pewnie właśnie dotarły do stolicy, o ile oczywiście nie zostały upolowane przez Stalwian albo zeżarte przez drapieżniki. Mogłam pokładać nadzieję wyłącznie w moim skrzydlatym wysłanniku. Może z tym gołębkiem to jednak był głupi pomysł? Mogłam przecież wybrać mniejszego i szybszego ptaka... Na przykład jaskółkę. Ale z drugiej strony skąd wziąć jaskółkę jesienią? Nie mówiąc już o tym, że znacznie trudniej byłoby ją nakierować na właściwy adres w Arastenie niż pocziwego zjadacza grochu.

Siedziałam na parapecie i patrzyłam na wiszący nad brzegiem lasu księżyc, który jak zwykle na jesieni był ogromny i rudy, gdy ktoś zapukał do drzwi. A nawet nie zapukał, tylko ledwo słyszalnie zaskrobał.

– Kto tam? – spytałam leniwie.

– To ja – odpowiedź wypowiedziana została półgłosem. – Czy mogę wejść?

– Proszę – westchnęłam.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie, wpuszczając do pokoju porucznika, i tak samo cicho zamknęły się za jego plecami. Po raz kolejny zdziwiłam się, że

przy odrobinie chęci Laurinne potrafił poruszać się cicho, a nie łomotać butami! Na przykład w tej chwili pod jego ciężarem nie zaskrzypiała ani jedna deska podłogowa, a już zdążyłam się przekonać, że były one dość zdradliwe. Co prawda okazało się, że przyszedł na bosaka, ale nawet bez butów przekradanie się po tej rozeschniętej podłodze nie należało do łatwych.

– Co się stało? – spytałam, przygryzając ustnik fajki.

– Nic... – Porucznik wzruszył ramionami. – Po prostu chciałem się dowiedzieć... Ptak z odpowiedzią jeszcze nie przyleciał?

– I nie przyleci – westchnęłam. – Po prostu nie zdąży, Laurinne, przecież sam pan doskonale to rozumie.

– W takim razie po co pani w ogóle wysłała wiadomość? – Młodzieniec zmarszczył brwi.

– Mam nadzieję, że zdoła dotrzeć do stolicy – odparłam. – To najważniejsze. I jeżeli wszystko pójdzie tak, jak zaplanowałam, to może będziemy mieli szansę. A przynajmniej Jego Królewska Mość zostanie uprzedzony i tego mogę być pewna.

– Tylko ile w tym sensu? – burknął porucznik. – Gdzie on, a gdzie my...

– Coś się pan nie pali, by oddać życie za swojego króla. Cóż to za pesymistyczne nastroje?

– Flo, to żaden pesymizm, a tylko i wyłącznie zdrowy rozsądek – tak samo chmurnie odparł Laurinne.

– Znaczy się zdrowy rozsądek w pana głowie? – zakpiłam. – A skąd on się tam w ogóle wziął?

Porucznik w żaden sposób nie zareagował na moje słowa.

– Laurinne, co pana gryzie? Proszę mi powiedzieć – rozkazałam. – I ile można powtarzać, by pan nade mną nie stał? Niech pan siada.

Przesunęłam się, zwalniając kawałek miejsca na parapecie i młodzieniec z widoczną niechęcią usiadł, skulony i z rękoma wciśniętymi pomiędzy

kolana.

– Niechże się pan wyprostuje – burknęłam, lekko klepiąc porucznika w plecy. – Nie mogę patrzeć, jak oficer gwardii królewskiej garbi się jak stara babina! Proszę mówić, co się takiego stało?

– W zasadzie nic się nie stało. – Laurinne wyprostował plecy, ale nie oderwał spojrzenia od podłogi. – Po prostu... Wszyscy wiedzą, że zostały nam trzy dni, a potem znowu się zacznie. Wielu już widziało, jaki ten Boras jest naprawdę, więc...

– Tchorzą? – Uniosłam brwi. – Zresztą doskonale ich rozumiem. Osobiście też nie mam najmniejszej ochoty na ponowne spotkanie z Borasem. Coś jeszcze?

– Jeszcze... – Młodzieniec w końcu rzucił mi ponure spojrzenie z ukosa. – Jeszcze gadają, że nie ma najmniejszego sensu iść na pewną śmierć z powodu durnego kawałka pustkowia i starego zamku, tym bardziej że to nawet nie jest Arasten!

– Laurinne... – Złapałam go za ramię i zmusiłam, by odwrócił się w moim kierunku. – Czy ja dobrze rozumiem, że właśnie w wolnej formie sypie mi pan swoich towarzyszy broni?

– Całkowicie...

– Tylko dlaczego przyszedł pan z tym do mnie, a nie do pułkownika? O ile się nie mylę, to przecież jego podstawowe zadanie – pilnowanie ducha bojowego w szeregach.

– Pan pułkownik ma na wszystko jedną odpowiedź: „Składałeś przysięgę, to teraz ją wypełniaj” – prychnął porucznik. – A poza tym widać przecież, że on również się boi...

– Ale czego pan chce ode mnie? – spytałam. – Żebym wygłosiła natchnione przemówienie przed żołnierzami, przekonując ich, by równymi szeregami ruszyli na Stalwian przy wtórze pieśni i werbli? Laurinne,

zapewniam, że pomylił pan adres.

– Flo, ja wszystko rozumiem... – Teraz porucznik obserwował księżyc za oknem.

– Po prostu... Chciałem uprzedzić.

– Wspaniale mają się sprawy w naszym wojsku – mruknęłam. – Arneliusz będzie zachwycony! Przy okazji, rano mi pan pokaże, kto tam dokładnie maści wodę, przecież nie może być, żeby wszyscy naraz się przestraszyli. Widziałam, że są tu również starzy weterani, którzy przeszli ogień i wodę, więc nawet Boras im tak od razu włosów nie zjeży. Sądząc z wyrazu pana twarzy, mam rację? Ktoś rozpowiada bajki i straszy rekrutów?

– Jak się pani domyśliła? – zapytał Laurinne.

– Nie pierwszy rok żyję na tym świecie – odparłam. – I wszystkie te historie znam aż za dobrze. Zresztą dobrze, że zwrócił pan na to uwagę. Tylko bardzo proszę, niech pan nie podnosi hałasu, tych szeptaczy trzeba będzie cicho zdjąć i wypytać... bardzo dokładnie. Jestem gotowa postawić ar przeciwko stęchłemu jajku, że nie sami na to wpadli.

– Myśli pani, że to Stalwianie ich przekupili? Po co?

– Chce pan powiedzieć, że nie widzi celu? – prychnęłam. – Właśnie po to się tak robi: dla osłabienia morale. Poruczniku, kiedyś panu opowiem, jakie bajki wymyślałam, by przekonać księcia Mirgana, że wcale nie chce atakować księcia Erstana... To było na północy – wyjaśniłam, widząc zainteresowanie w oczach chłopaka. – Dostyc dawno temu. Erstan jakoś tam Mirgana obraził, po czym kompletnie o sprawie zapomniał, a tamten dusił w sobie pretensję, dusił i w końcu uznał, że trzeba wrogowi odpłacić. Walka z Erstanem była dla niego gwarantowanym samobójstwem – tamten miał ze dwa razy więcej statków i sporo większą drużynę. Mirgan przyjaźnił się z Garastasem, pod którego opieką wtedy mieszkałam. Księżciu nie udało się przekonać przyjaciela, więc padło na mnie...

– Udało się pani? – spytał porucznik.

– Tak, i to nawet całkiem niezłe! Najważniejsze, że ostatecznie nikt się nie domyślił, komu Erstan zawdzięcza nieoczekiwaną sławę i reputację bohatera z legend... Nawiasem mówiąc, on sam dziwił się najbardziej.

– Czyli księżę Mirgan zmienił zdanie? – dopytywał się porucznik.

– Najzabawniejsze w tym wszystkim, że nie. – Uśmiechnęłam się. – Prawie cała jego drużyna się zbuntowała, odmówili walki z Erstanem, ale ten idiota z kilkoma przybocznymi mimo wszystko wyruszył na wyprawę. Żeby udowodnić...

– I co? – Laurinne słuchał chciwie, jak gdyby był dzieciakiem, któremu opowiada się bajkę.

– Jak to co? Musiałam mu zorganizować znak od Boga. – Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu. – Statek Mirgana zatonął, w chwili gdy zwrócił się dziobem w kierunku wysp Erstana. Pamiętam, że pogoda akurat była wspaniała, słoneczko, słabiutki wiaterek, prawie żadnych fal... To długa historia, jeśli opowiadać ze wszystkimi szczegółami, ale ostatecznie Mirgan jednak zrezygnował ze swojej durnej zemsty. Przynajmniej tym razem.

– A to dopiero... – mruknął porucznik. – Czy w tamtych okolicach naprawdę ktoś jeszcze wierzy w takie... znaki?

– Chce mi pan powiedzieć, że w naszych nie wierzą? Mam przypomnieć, jak pańscy gwardziści nie odważyli się nosa wsadzić do Lasu? Czy może teraz nikt nie słucha tych szeptaczy, tylko się wszyscy z nich śmieją? Laurinne, ludzie są wszędzie tacy sami. I nawet jeżeli nie żywią szczerej wiary w swoje bóstwa czy wszelakie potwory, to chętnie zamaskują w ten sposób tchórzostwo. A przy okazji, czy pan się nie boi?

– Boję się – niechętnie przyznał porucznik. – Tylko że...

– Pamiętam – westchnęłam. Wyznawca Zapomnianego kieruje się jedynie swoim obowiązkiem i honorem, strachu na tej liście nie

przewidziano. – Widzi pan, jest nas już przynajmniej dwoje. To wcale nie tak mało, nie sądzi pan?

– Wydaje mi się, że przeciwko wojsku będzie akurat w sam raz – całkiem poważnie stwierdził Laurinne. – Tylko oni mają jeszcze Borasa. Jeżeli weźmie go pani na siebie, to w takim razie mnie chyba pozostanie wojsko...

Przez chwilę patrzyłam na niego bez zrozumienia.

– Czy pan tak sobie żartuje? – spytałam w końcu.

– A co mi jeszcze pozostaje? – rzucił melancholijnie. – Flo... A czego chciała się pani dowiedzieć od swojego szanownego dziadka? Bo przecież ten ptak poleciał do niego?

– Dlaczego pan tak uznał? – zdziwiłam się.

– Przecież nie przywiązała pani do niego notatki – powiedział Laurinne. – Czyli to była wiadomość dla maga... A do jakiego maga w stolicy mogła pani wysłać wiadomość? Najpewniej do pani dziadka właśnie.

– Dlaczego uważa pan, że nie mógł to być żaden z królewskich magów?

– Bo najpewniej właśnie któryś z nich jest Naorem. – Porucznik podniósł na mnie uważne spojrzenie. – Czy podjęłaby pani ryzyko przekazywania wiadomości przez nich? A poza tym sama pani powiedziała, że czeka na jakieś ważne informacje, a mało prawdopodobne, by pytała pani o radę kogoś innego niż pan Naren, czyż nie?

Nagrodziłam porucznika ironicznym aplauzem.

– Doskonała konstrukcja logiczna – przyznałam. – Przy odrobinie chęci znalazłabym w niej z dziesięć ogromnych dziur, ale niech tam. Ma pan całkowitą rację, wysłałam wiadomość do dziadka. Przekaze królowi, co powinien, ale to nie był najważniejszy powód. Widzi pan, natknęłam się gdzieś na wzmiankę o rodzinie Takein, ale nie potrafię sobie przypomnieć, przy jakiej okazji to było.

– Myśli pani, że Boras potrzebuje tych terenów nie dlatego, że... znaczy

w sensie nie tylko jako księstwa, ale właśnie jako byłych ziem rodziny Takein? – Laurinne ponownie zadziwił mnie swoją domyślnością. – Bo mnie pani również o nich pytała...

– Dokładnie tak – potwierdziłam. – Jest tu coś, co Boras koniecznie chce dostać w swoje ręce. A ja chcę się dowiedzieć, co to takiego. I mam nadzieję, że dziadek sobie przypomni.

– Żeby tylko nie za późno – burknął Laurinne. – Przecież sama pani mówiła, że ptak nie zdąży...

– Kiedy on wcale nie musi zdążyć – rzuciłam z uśmiechem. – Poruczniku, pamięta pan tamten mały eksperyment, który przeprowadziliśmy przed eskapadą do wieży więziennej?

– A... Chce pani skontaktować się z panem Narenem... znaczy... w myśli?

– Właśnie.

– Ale po co w takim razie w ogóle jakiś ptak? – to pytanie było całkiem rozsądne.

– Po to, że wcale nie jestem pewna, czy zdołam dotrzeć do dziadka – odparłam. – Odkąd pamiętam, zawsze otaczał się takimi osłonami, że... Jednym słowem, czując, że ktoś próbuje wejść mu do głowy, może tak delikwenta poczęstować... A ja osobiście całkiem cenię swój zdrowy umysł, więc wolę dziadka uprzedzić. Oczywiście powinnam była zrobić to wcześniej, ale kto mógł przewidzieć taki obrót spraw? Poza tym nie ma żadnej gwarancji, że na taką odległość połączenie w ogóle zadziała.

– Ale i tak... – Laurinne patrzył na mnie z nieukrywanym zachwytem. – Jeżeli pani się uda, czy to oznacza, że inni magowie też będą mogli korzystać z tej metody? I bardzo szybko przekazywać wiadomości?

– Może i tak... – mruknęłam. – Ale wydaje mi się, że zanim podam to odkrycie do wiadomości publicznej, powinnam się bardzo dobrze zastanowić. Mało prawdopodobne, by Kolegium do tej pory na coś takiego

nie wpadło, a jeżeli nadal nie upublicznili swojego odkrycia, to musi ono mieć jakieś dobrze ukryte wady.

Zastanawiałam się nad tym już kilka razy, ale na razie rozpaczliwie brakowało mi danych – dotąd nie miałam okazji użyć myślowego kontaktu na większą odległość. A przecież to również był pomysł Naora. Własny albo wyciągnięty z jakiejś starożytnej księgi... Nie o to teraz chodziło.

– Ale jeżeli to mimo wszystko zadziała? Jeżeli uda się pani skontaktować z panem Narenem?

– Hm... Mam nadzieję, że będzie miał jakąś podpowiedź albo przynajmniej naprowadzi mnie na myśl co do prawdziwego celu Borasa. Jeżeli owo „coś” nadal jest przechowywane w zamku Takein, to może warto spróbować je zgarnąć...? Wtedy można będzie potargować się z Borasem – rzuciłam, mimo że nadzieja na taki akurat rozwój wypadków była nikła.

– Rozumiem. – Laurinne pokiwał głową. – Ale czy chce pani powiedzieć, że ten przedmiot... jeżeli to faktycznie jest przedmiot, nadal tak po prostu sobie tam leży? Przecież w tym zamku już od dawna są w zasadzie koszary, więc wszystko, co tylko się dało, na pewno zostało wywrócone do góry nogami.

– Cóż, obstawiam, że przedmioty tego typu zwykle nie leżą na widoku – mruknęłam. – Najczęściej, o ile człowiek nie wie dokładnie, gdzie i na co patrzeć, to spędzi na poszukiwaniach mnóstwo czasu. Tak więc, Laurinne, myśl o tym, by przeszukać zamek, przyszła mi do głowy nie raz i nie dwa, ale robienie tego na ślepo... Można w ten sposób stracić miesiące. – Zamilkłam na chwilę i dodałam: – Zresztą, o ile nie otrzymam wiadomości od dziadka, możemy nie mieć innego wyjścia.

– Do zamku najpierw trzeba się dostać – słusznie zauważył porucznik. Ostatnimi czasy ogólnie zadziwiał mnie nie wiadomo skąd zaczerpniętym zdrowym rozsądkiem. Czyżby przedtem tylko udawał? Nie no, udawać w ten

sposób się po prostu nie da... Czy może po prostu miałam na niego dobry wpływ? Kto to mógł wiedzieć...

– Tak, nad tym też już myślałam – przyznałam. – Trzeba podpytać miejscowych, czy tam nie ma przypadkiem jakichś przejść. W każdym szanującym się zamku po prostu muszą istnieć tajemne przejścia...

– Już pytałem – odparł Laurinne. – Tych, którzy bywali w zamku.

– Nie przestaje pan mnie zaskakiwać – stwierdziłam całkowicie szczerze.
– Jak panu to w ogóle przyszło do głowy?

Porucznik nieznacznie wzruszył ramionami.

– Tak na wszelki wypadek, a nuż się przyda... Przypomniałem sobie Zamek–Nad–Lasem. Gdyby nie te tajemne przejścia...

– I w jaki sposób wyjaśnił pan pytanym swoją ciekawość? – Odpowiedź na to pytanie również mogła okazać się całkiem interesująca.

– Po co? – zdziwił się. – Przecież ostatecznie jestem oficerem, a oni zwykłymi żołnierzami. Nie mam obowiązku tłumaczyć im, dlaczego pytam.

Rzuciłam młodzieńcowi podejrzliwe spojrzenie. Cóż, mogło się okazać, że jeszcze nie raz mnie zaskoczy. Zresztą miałam już okazję wyśledzić, że porucznik jąkał się wyłącznie w rozmowach ze mną, natomiast w obliczu podwładnych potrafił zachowywać się jak człowiek starszy stopniem. Wiedziałam również, że w towarzystwie równych sobie Laurinne nie czuł się stremowany.

– I czego się pan dowiedział? – spytałam. – Możemy dostać się jakoś do zamku? Porucznik potrząsnął głową, aż grzywka zleciała mu na oczy. Może powinnam zaproponować, żeby się ostrzygł?

– Mówią, że wcześniej na pewno były tam jakieś przejścia – odpowiedział. – Ale większość została zasypana dawno temu, kiedy Takein oblegał któryś z sąsiadów. Potem gdy wszyscy Takeinowie wymarli, a w zamku umieszczono garnizon, znaleziono jeszcze jedno: żołnierze korzystali

z niego żeby wymykać się do wsi bez przepustki, tylko że ktoś ich zakapował dowódcy.

– Laurinne, no co za słownictwo! – prychnęłam. – Słusznie mówią, że kto z kim przestaje...

– I co z tego...? – obraził się. – Pani pewnie nie słyszała, jakich słów używa pułkownik!

– Dlaczego nie, słyszałam, i to nie raz – odparłam. – Ale co z tym przejściem?

– Również zasypane – pocieszył mnie. – Może istnieją jeszcze jakieś, ale o nich nikt nie wie. Tak więc...

– Rozumiem – mruknęłam. – Poruczniku, a jak w zamku wygląda kwestia wody?

– Mają studnie. – Laurinne nie wyglądał na zdziwionego pytaniem. – Chyba im starcza.

Zamyśliłam się, przypominając sobie okolice zamku Takein widziane oczami ptaka. Była tam fosa, może trochę zarośnięta i wyschnięta, ale nadal całkiem imponująca. Czyli gdzieś powinny być również otwory ściekowe. Nie można wykluczyć, że nieźle schowane i prawie na pewno zakratowane – w końcu nie tylko mnie do głowy mogła przyjść myśl, by dostać się do zamku w tak egzotyczny sposób – ale mało prawdopodobne, by w chwili obecnej ktokolwiek o nich pamiętał. A skoro tak, istniała szansa, że uda mi się dostać do środka, pozostając niezauważoną. Niewielka to przyjemność pakować się do kanału ściekowego, ale cóż zrobić?

„Trzeba będzie wysłać tam jakiegoś ptaka – zdecydowałam. – I porządnie się rozejrzeć”.

Dookoła zamku przez lata wyrósł młody las, okolicy nie czyszczono pewnie, od chwili gdy zmarł ostatni Takein. Też mi się znaleźli uważni Stróże... Z drugiej strony czego mieli się bać przy samej granicy z

Arastenem? Tak czy siak, to niedbalstwo tarnajskiej straży granicznej było nam w tej chwili bardzo na rękę – dotarcie do zamku po szczerym polu okazałoby się znacznie trudniejsze!

– Późno już – stwierdziłam na głos. – Laurinne, niech pan idzie spać. Gdzie pana zakwaterowali?

– Na parterze – odpowiedział porucznik. – Pan pułkownik przywiózł ze sobą tyle adiutantów i różnej czeladzi, że siedzimy sobie na głowach. Myślałem, żeby pójść spać do stajni, bo tam jednak ciszej, ale takich mądrych wielu i ktoś mnie już wyprzedził.

– Rozumiem – uśmiechnęłam się.

Już zauważyłam, nasz pułkownik istotnie lubił otaczać się pochlebcami z szeregow podwładnych. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że ta cecha jego charakteru w żaden sposób nie wpływa na umiejętności zawodowe. Zresztą gdyby Arneliusz nie był tego człowieka pewien, to mało prawdopodobne, by go tu wysłał.

Zauważyłam spojrzenie porucznika, który całkiem otwarcie mi się przyglądał. Światło księżyca wyraźniej podkreśliło rysy jego twarzy, która znowu wydawała się bardzo dorosła. Chciałabym zobaczyć, co z niego wyrośnie za jakieś dziesięć lat, o ile oczywiście uda mu się dotrzeć do tak sędziwego wieku...

– Laurinne, niech pan nawet o tym nie myśli – rzuciłam srogo, ponieważ wyraz oczu młodzieńca nie dawał się zrozumieć opacznie.

– Ale dlaczego? – zabrzmiała w tym pewna uraza.

– Bo łóżko skrzypi wprost potwornie – odpowiedziałam czystą prawdę. – Obudzimy cały dom. Zapomniał pan, że istnieje coś takiego jak moja reputacja?

– Ale pani przecież jest magiem – zauważył Laurinne.

– I co z tego?

– Czy nie może pani zrobić tak, żeby łóżko nie skrzypiało? – zapytał niewinnie. Spojrzałam na niego i roześmiałam się nieco wbrew sobie. Rzeczywiście, kompletnie zapomniałam o tym, że magii można użyć w celu tak prozaicznym! A skoro Laurinne miał rację, to... Mogło się przecież okazać, że nie pozostało nam zbyt wiele życia, więc czy warto było przejmować się skromnością?

ROZDZIAŁ 29

Znalezisko

Oczywiście wystarczyło, bym przysnęła, i natychmiast obudziło mnie coś w rodzaju szturchnięcia. Ponieważ nikt nawet nie próbował mnie popychać, uznałam, że mi się wydawało. Dopiero po ocknięciu się z resztek snu uświadomiłam sobie, że ktoś próbował ostrożnie (w dużym cudzysłowie) dotrzeć do mojej świadomości. Czyżby to...? Skupiłam się.

„Kto tam?” – zadałam pytanie.

„A kto to twoim zdaniem może być? Wielki książę welski we własnej osobie! – brzmiała odpowiedź. Byłam prawie pewna, że to dziadek, nawet myślogłós był pełen pretensji i złośliwości. – Ale oczywiście zażadasz dowodów, czyż nie, Floszsz?”

„Oczywiście, przecież nie mogę uwierzyć ci na słowo!” – prychnęłam w myśli.

„No dobrze, dobrze... Twoją pierwszą sprawą było wykrycie złodzieja sieci rybackich starego Loza zwanego Znaczoną Meduzą na wyspie Garre. Wystarczy?”

„Hm... Wolałabym, żebyś podał mi imię złodzieja” – zauważyłam.

„Wolisz wersję oficjalną czy tę do użytku domowego?” – zapytał dziadek. To na pewno był on, ale mimo wszystko...

„Mogą być obie”.

„Cóż, w takim razie wszystkim oznajmiłaś, że sieci ukradzione zostały przez miejscowego przygłupa. Jak on się tam nazywał, Szusza chyba? Jednym słowem, tego, który utonął w czasie przyływu. Podczas gdy tak naprawdę, o ile mnie pamięć nie myli, podwędził je siostrzeniec samego Meduzy, a staruch uznał, że nie będzie prał brudów poza domem, przekonał cię, żebyś milczała, i sam zajął się złodziejem. He, he... – prawie usłyszałam śmiech dziadka. – Wiosłem po grzbiecie. Chłopak chyba na całe życie zapamiętał, że kradzież nie popłaca. Wystarczy ci?”

„Jak najbardziej – odparłam. – Czyli można przejść do właściwej sprawy...”

„Czekaj, lepiej powiedz mi, jak wpadłaś na pomysł takiego kontaktu?”

Rozumiałam, że dziadek równocześnie czuł dumę z wnuczki i zazdrość, że to nie on sam doszedł do takiego sposobu komunikacji. Tymczasem ja nie miałam specjalnie czym się chwalić, ponieważ rzecz nie została wymyślona przeze mnie, o czym natychmiast dziadka poinformowałam.

„No cóż, przynajmniej jakiś pożytek z tego twojego Naora – burknął. – Pozostaje tylko nadzieja, że takiej rozmowy nie można podsłuchać, bo w przeciwnym razie będzie niezbyt wesoło...”

„Owszem. I co, udało ci się dowiedzieć czegoś na interesujący mnie temat?”

„Oczywiście – poinformował mnie dziadek. – A gdybyś kiedyś bardziej się wysilała przy lekcjach, to zaoszczędziłabyś teraz masę czasu!”

„A może tak bez moralizowania? – spytałam ugodowo. – Wcale nie jestem pewna, czy Naor nie potrafi wykryć takiej dyskusji, więc im dłużej rozmawiamy, tym bardziej ryzykujemy”.

„Oczywiście, Floszso, twój dziadek stracił resztki rozumu i nie rozumie najprostszych rzeczy! – zezłościł się mój rozmówca, ale szybko odzyskał

spokój.

– No dobrze... Takeinowie mieli w swojej historii wiele ciekawych momentów, zapewne wpadłaś na to nawet bez mojej pomocy...”

„Tak, gdzieś widziałam to nazwisko, tylko nie udało mi się przypomnieć sobie, gdzie dokładnie” – przyznałam się.

„I co ty byś beze mnie zrobiła! – westchnął dziadek z udawanym smutkiem i sporą dozą samozadowolenia. – No więc, jak pewnie wiesz, rodzina ta pochodzi z arystokracji przedarastowej, nazywali się najjaśniejszymi książętami...” Akurat tyle pamiętałam. Przodek naszego sławnego Arneliusza, imć Arast^[9] Larrain kilkaset lat temu z ogniem i mieczem przyszedł w te okolice, podzielone w tamtych czasach na kilkadziesiąt malutkich państweczek, pogrążonych w lokalnych wojenkach i żelazną ręką zaprowadził porządek. Po połączeniu ziem bez specjalnego zastanawiania nazwał powstałe duże państwo oraz jego stolicę na własną cześć – Arastenem (ten człowiek zdecydowanie cierpiał na niedobór skromności), siebie odpowiednio królem, a swoich dowódców oraz pozostałych przydatnych ludzi – nową arystokracją. Można śmiało założyć, że żaden z nich oprócz samego króla nie mógł poszczycić się szlacheckim pochodzeniem, ale to mało kogo obchodziło. Oprócz skromności Arastowi Larrainowi brakowało również wyobraźni, chyba że po prostu chciał w ten sposób zażartować (jak już chyba kiedyś wspominałam, królowie z tej dynastii mieli dosyć oryginalne poczucie humoru). Tak czy siak, nazwiska, które szczerze rozdawał swoim towarzyszom, z niewiadomego powodu zaczynały się od tej samej litery co jego własne. Cóż, przynajmniej dzięki temu można było ze sporym prawdopodobieństwem odróżnić nowo powstałą arystokrację od starej – ostatecznie Arast nie wyciął szlacheckich rodów, zamieszkujących te tereny od zarania dziejów, do ostatniego człowieka! Od tamtej chwili minęło wiele lat, ale podział zachował się nadal. Wśród

„starych” dworzan po dziś dzień było wielu takich, którzy za nic nie chcieli łączyć rodów z „nowymi”. Chociaż Jej Królewska Mość Ramea pochodziła właśnie z jednej z takich rodzin.

Oprócz tego Arast Larrain (chyba po to, by się nie mylić, możliwe, że jego wykształcenie nie stało na najwyższym poziomie) zlikwidował wszystkie tytuły i wprowadził zamiast nich nowe. Oczywiście zostało to bardzo niechętnie odebrane przez starą arystokrację, ale musiała ona pogodzić się z nową sytuacją. Co prawda spora część nadal nie zapomniała o odebranych tytułach. Tak więc jeżeli na waszej drodze staje pan przedstawiający się jako „hrabia jakiś tam”, to jest on albo obcokrajowcem, albo przedstawicielem partii konserwatystów, którzy już od kilku stuleci walczyli o powrót, że tak powiem, do źródeł.

Podsumowując, nazwisko Takein było bardzo stare, rodzina ta była kiedyś całkiem majątna i miała spore posiadłości ziemskie. Po zapanowaniu Arasta Larraina Takeinowie stracili sporą część swojego majątku, który przeszedł na własność Arastenu, i rodzina zaczęła powoli chylić się ku upadkowi, aż ostatecznie wygasła ponad sto lat temu. Władza w Tarnaju przeszła w ręce innego rodu jeszcze wcześniej. Ale nie to było najciekawsze.

„Chodziły słuchy, że Takeinowie parali się magią – poinformował mnie dziadek.

– I nie to żeby zwykłą magią, tym to się bawi co druga napotkana osoba, tylko... Po pierwsze, tym i owym ze sztuk zakazanych”.

„A jak brzmi po drugie?” – poczułam ciekawość.

„Po drugie, niektórzy z całkowitą powagą twierdzili, że w rodzinie Takein przechowywano pewną wiedzę, którą odziedziczyli po którymś z przodków. A przodek ten zgodnie z legendą był jednym z magów biorących udział w wojnie. Floszsa, rozumiesz, dokąd zmierzam?”

„No pewnie! – potwierdziłam. Wojna Magów miała miejsce bardzo

dawno, ponad siedemset lat temu, ale pamięć o niej nadal trwała. – I jak, udało się coś im udowodnić?”

„Cóż, o ile mi wiadomo, Kolegium wykazywało ogromne zainteresowanie rodem Takein – odparł dziadek. – Wiele razy próbowano pociągnąć ich do odpowiedzialności za praktykowanie sztuk zakazanych, ale w końcu nic z tego nie wyszło. Czy to Takeinowie faktycznie nie parali się niczym podobnym, czy też udało im się jakoś wywinąć. Jeśli idzie o dziedzictwo... Po epidemii zamek opustoszał, przetrząsnęto go do fundamentów – ciągnął – ale Kolegium chyba niczego nie znalazło i uznało, że nie znajdzie, skoro pozwolili umieścić tam żołnierzy”.

„Ktoś wyraźnie nie stracił jeszcze nadziei na odszukanie tam czegoś – zauważyłam. – Skoro nasi przyjaciele tak bardzo chcą dostać się do zamku, muszą liczyć na to, że zdobędą dziedzictwo Takeinów. A przy okazji, o jaką wiedzę może chodzić? I w jakiej postaci Takeinowie otrzymali ją od przodka? To jakiś artefakt, czy może coś innego?”

„Na ten temat brakuje nawet szczątkowych informacji – odparł dziadek. – Ale, Floszso, nie słyszałem również bajek o żadnym tam magicznym mieczu, pierścieniu czy innym śmieciu. Dlatego też, zakładając, iż zwykle źródłem wiedzy jest książka, osobiście uważam, że szukać należy właśnie książki. Książki, zwoju, czegoś w tym stylu właśnie...”

„Dokładnie na tej samej zasadzie źródłem wiedzy może okazać się leżąca w piwnicy płyta kamienna z wyrytym na niej zaklęciem” – prychnęłam.

„Nie sądzę, żeby mag chciał tachać ze sobą kamienną płytę – zauważył dziadek ironicznie. – Mimo że teoria faktycznie jest niezgorsza... Ale, Floszsa, ja nadal myślę, że to coś małego, takiego, by dało się łatwo schować i przewieźć w inne miejsce. Przy okazji, bibliotekę Takeinów wywieźli do ostatniej kartki, ale nie oznacza to, że poszukiwana przez ciebie książka schowana była właśnie tam. Sama znasz te wszystkie stare zamki...”

„Ano znam – westchnęłam. – I absolutnie nie wiadomo, jak się tamten przodek nazywał?”

„Wiadomo, ale nie wyobrażam sobie, w jaki sposób miałyby ci to pomóc. Bagran Takein Drugi. Magister jakiegoś zakonu, Białego Księżyca czy tam ichniej gwiazdy, tutaj źródła nie są zgodne. Zresztą mieli w tamtych czasach tyle magicznych zakonów, że naprawdę łatwo się w nich pogubić. Piszą, że był ogromnego wzrostu i niesamowicie silny, dla żartu mógł podnieść konia – i to rękoma. A co potrafił za pomocą magii...”

„Rozumiem... – mruknęłam. – No cóż, dziękuję!”

„Postaraj się wrócić do domu w jednym kawałku – nagle poprosił dziadek. – I bądź ostrożna z tymi żołnierzami!”

„O co ci chodzi?” – zdumiałam się.

„O to, że większość z nich jest bardziej tępą od kołka. A ja nadal liczę, że mój prawnuk będzie nieco mądrzejszy od dębowego pniaka!”

„Nie wiem, dlaczego w ogóle zaczynasz tę rozmowę” – dziwiłam się nadal, chociaż nieco fałszywie.

„Floszsa, ja cię tam oczywiście nie widzę – parsknął dziadek – ale dostatecznie dobrze znam, żeby zrozumieć, że nie jesteś w tej chwili sama. A kogo jeszcze możesz tam mieć? Nie mów mi, że jakiegoś kowala czy innego piekarza. Mam nadzieję, że aż tak nisko byś nie upadła... Czyli to któryś z bohaterskich wojaków, tyle dobrego, jeśli nie szeregowiec!”

Splunęłam w myśli. Dziadek faktycznie doskonale mnie znał, skoro się domyślił... I co teraz zrobisz? Zresztą jego również można zrozumieć.

„Chyba nigdy nie dałam ci powodu, byś wątpił w mój zdrowy rozsądek” – zauważyłam ostrożnie.

„Tylko ci się tak wydaje! – uciął dziadek. – Dość, Floszsa, na dworze jest głęboka noc, ja jestem stary, a te ćwiczenia wymagają więcej wysiłku, niż sobie wyobrażałem... Tak więc do zobaczenia”.

„Do zobaczenia – odparłam. – Obiecuję, że postaram się wrócić żywa”.
Odpowiedzi nie otrzymałam – dziadek uciął kontakt. A więc to tak...

No cóż, przynajmniej dowiedziałam się kilku ciekawych rzeczy. Boras faktycznie miał jakieś powody, żeby przeszukać zamek. Pewnie Naor trafił w jakichś archiwach Kolegium – bo już nie wątpił w to, że był członkiem owej szacownej instytucji – na wiadomości o rodzie Takein i związanych z nim legendach. Mogły znajdować się tam również spisy znalezionych w zamku Takein rzeczy i ksiąg. Pewnie Naor miał powody, by zakładać, że rodzinna relikwia nadal znajduje się w zamku. Czyli właśnie na to złapał Borasa. Raimo nigdy w życiu by nie odmówił, mając możliwość dostania w swoje ręce utraconej wiedzy z czasów Wojny Magów. Powiedziałabym nawet, że w takim celu gotów był nie tylko słuchać Naora, ale nawet słuchać go bez szemrania. Do czasu, oczywiście. Pewno Boras liczył, że otrzyma dziedzictwo Bagrana Takeina Drugiego na wyłączną własność i, jak to mówią ulicznicy, „wykoleguje” Naora. Chciałabym zobaczyć, czy mu się to uda...

Rozmyślałam całą noc, ponieważ sen uparcie nie chciał przyjść i dopiero przed świtem na krótką chwilę się zdrzemnęłam.

Obudził mnie Laurinne, do którego dopiero teraz dotarło, że jeśli ktoś zobaczy go wychodzącego z mojego pokoju (a ktoś zobaczy go na pewno, ponieważ wnioskując z dolatujących z dołu dźwięków, reszta wojsków była już na nogach), to moja reputacja znacząco ucierpi. Czy muszę mówić, że po wczorajszym przypomnieniu porucznik martwił się o tę przekłętą reputację bardziej nawet niż ja sama?

– Coś wymyślimy – pocieszyłam go i zaczęłam się ubierać. – W bardzo dobrej chwili mi pan wczoraj przypomnieli, że jestem magiem. Oraz że zdążyłam kompletnie zapomnieć, że można stosować magię również w celach jak najbardziej życiowych.

– Flo, jest pani w doskonałym nastroju – zauważył Laurinne nieco podejrzliwie. – Czyżby...?

– W nocy miałam przyjemność porozmawiać z dziadkiem. – Rozpromieniłam się w pełnym samozadowolenia uśmiechu. – Szczęśliwie pan to przespał, zresztą i tak kompletnie nic by pan nie usłyszał... Jednym słowem, potwierdził on moje myśli i w zamku Takein faktycznie może być schowane coś wartościowego.

– I teraz chce pani się tam dostać? – porucznik wykazał się domyślnością. – Czas nam się kończy...

– Ma pan rację. – Zatrzymałam się na środku pokoju, by przepleść warkocz. – Czasu faktycznie mamy już mało, więc nie możemy sobie pozwolić na marnowanie go. Ruszam w kierunku zamku. Obejrzę sobie okolice przy pomocy ptaków, a potem spróbuję dostać się do środka.

– Spróbujemy – poprawił mnie Laurinne cicho, acz stanowczo.

– Ażeby pana... – rzuciłam bez złości. Mogłam się spodziewać, że tak po prostu nie odpuści. Zresztą, czy naprawdę musiałam go zostawiać? – Dobrze, spróbujemy. Ale widzą niebiosa, że sama miałabym z tym znacznie mniej problemów.

– I ma pani nadzieję w ciągu pozostałego nam czasu odnaleźć to, na co poluje Boras? – zapytał porucznik z błyskiem w oku. – Czy może pan Naren powiedział, czego i gdzie mamy szukać?

– Nie – odparłam, skręcając warkocz w węzeł na potylicy i zawiązując na głowie chustę. – Miał pomysł co do tego, co to może być. Co prawda nie wyobrażam sobie, gdzie miałyby się znaleźć. Ale jeśli się nie uda... Cóż, będzie znaczyć, że los tak chciał!

Na twarzy Laurinne'a bardzo czytelnie wypisany był jego stosunek do takich stwierdzeń. W zasadzie sam pomysł znalezienia księgi (czy co tam jeszcze Bagran Takein Drugi pozostawił swoim potomkom) w ogromnym

zamku w tak krótkim czasie był, łagodnie mówiąc, bzdurny. Oczywiście użyję magii, ale niewielka nadzieja, że cokolwiek to pomoże. Mimo to przyzwyczajona byłam nastawiać się optymistycznie (oczywiście cały czas przygotowując się na gorszy obrót spraw), więc było za wcześnie na załamywanie rąk.

– Niech pan idzie – poleciłam porucznikowi.

– Ale...

– Od samego rana się naradzamy – oznajmiłam z naciskiem, popychając go w kierunku drzwi. – Nic w tym zdrożnego.

– Ale ja... – Laurinne z pewnym zwątpieniem popatrzył na swoje bose stopy i wymiętą koszulę.

– Nikt tego nie zauważy – zapewniłam. – Proszę nie zapominać, że mimo wszystko jestem magiem!

Jeżeli do dzisiejszego poranka czas ledwo się włókł, to teraz nagle ruszył galopem. Dnia ledwo starczyło mi na to, by odpytać miejscowych i mniej więcej rozejrzeć się po okolicach zamku, używając w tym celu leśnych ptaków. Pułkownik wyznaczył kilku swoich ludzi do zrobienia porządku z wichrzycielami wśród żołnierzy, z czego się bardzo cieszyłam: dzięki temu na mnie i porucznika mało kto zwracał uwagę.

Miałam zamiar wyjść ze wsi, a nawet z całego wojskowego obozowiska niezauważona. Całkiem prawdopodobne, że ludźmi Naora byli nie tylko ci, którzy przekonywali naszych żołnierzy do złożenia broni. Mógł być jeszcze ktoś niezdradzający niczym swojej tożsamości i należało zachować środki ostrożności, by moja eskapada nie wyszła na jaw przedwcześnie. Uczciwie mówiąc, wolałabym nawet, by w ogóle nie wyszła na jaw.

Wróciłam do pokoju dosyć wcześnie, ale raczej nie zwróciło to niczyjej uwagi. Oczywiście w pewnym momencie ktoś mógłby wejść i odkryć moją nieobecność, ale jeżeli szczęście mi dopisze, to do tej chwili powinnam już

być w zamku.

Niezauważone wydostanie się z karczmy oraz poza obręb wsi okazało się bardzo łatwe. Mimo że nasze odważne wojsko tym razem czuwało jak należy, nikt i tak nie mógł mnie zauważyć.

Na skraju lasu czekał na mnie Laurinne. Miał dotrzeć tu własnym sumptem i sądząc z tego, że już był na miejscu, poradził sobie doskonale. Musiałam przyznać, że Lagarst nie zmarnował czasu przeznaczonego na kształcenie synów. Poza tym chyba trafił mu się niezgorszy materiał, bo niektórych można tresować do upadłego, nie odnosząc żadnego skutku.

– Ruszamy. Tylko szybko, nie mamy specjalnie dużo czasu – rzuciłam cicho, przykrywając zaklęciem rozproszenia uwagi również porucznika. Był to czar niemal identyczny z tym, jakiego użyłam w Zamku–Nad–Lasem, tylko tym razem zaczerpnięty z wiedźmiego repertuaru. W zamku Takein mieli własnego maga, a ja wolałam nie zostać uznana za stalwiańskiego szpiega. Natomiast wiedźmy ów mag nie wykryje, bo nie będzie się nawet spodziewał jej obecności w tych okolicach.

W sumie nasza wycieczka mało różniła się od setki innych podobnych, jakie odbywałam wcześniej. Las pokonaliśmy dosyć szybko, udało nam się też dotrzeć do samego zamku bez ściągania na siebie uwagi – okolice dosyć mocno zarosły i znalezienie nas w tych chaszczach było utrudnione nawet bez żadnych zaklęć. Porucznik w razie konieczności faktycznie potrafił poruszać się prawie bezgłośnie, a ja nigdy nie skarżyłam się na niezgrabność. Oczywiście, musieliśmy zachować ostrożność, ale żaden stalwiański patrol nas nie zauważył. Niemniej ku mojemu wielkiemu smutkowi wyraźnie rzucało się w oczy, że wrogi obóz mógł się pochwalić czujniejszymi strażami od naszych. Laurinne chyba z wielkim trudem przeszedł nad tym do porządku dziennego i wyglądał na bardzo zasmęconego. Jeżeli jednak uda mu się awansować, to gotowa byłam się założyć, że w podległym mu

oddziale panowała będzie żelazna dyscyplina.

Mury zamku Takein znajdowały się tuż nad naszymi głowami, mimo że cokolwiek słabo widoczne z powodu krzewów zarastających obficie fosę. Spróbujcie przedzierać się przez kolczaste gałęzie, nie hałasując i mając pod nogami chlupiące błoto. Średnia przyjemność. Ale za to doskonała ochrona przed ciekawskimi spojrzeniami.

Szukałam suchszego miejsca. W tej chwili w zamku było znacznie mniej lokatorów niż za czasów świetności rodziny Takein, tak więc nie korzystali oni ze wszystkich tuneli ściekowych. Przy odrobinie szczęścia powinnam znaleźć jakiś nieużywany. Jeżeli nie, to czekała nas wycieczka przez działający, a tego naprawdę i z głębi serca chciałam uniknąć. Nie żebym aż tak bardzo się brzydziła, ale mimo wszystko...

Zajęło to dłuższą chwilę, ale ostatecznie poszukiwania pustego miejsca w trawie porastającej ścianę rowu zakończyły się powodzeniem.

– Chyba jednak mamy szczęście – wyszeptałam. – Laurinne, trzeba rozkopać tę dziurę.

Porucznik musiał się napracować, ale jego wysiłki nie poszły na marne – po chwili zarośnięty i częściowo zapchany śmieciami otwór ściekowy powiększony został do odpowiedniej szerokości.

– Niech pan idzie przodem – rozkazałam, gdy w końcu otworzył się przed nami wąski, ciemny tunel. Ja tu trochę posprzątam. Bo jeśli któryś ze Stalwian zajrzy do tego parowu, będzie bardzo zabawnie...

Wędrówka przez tunel okazała się dosyć długa i męcząca – przejście było zbyt wąskie i niskie nie tylko dla mnie, damy całkiem postawnej, ale nawet porucznika, który był niski i dosyć chudy. Raz i drugi drogę zagrodziły nam żelazne kraty, zamontowane tam przy budowie właśnie na wypadek prób dostania się do zamku tą drogą. Nie sprawiły mi one specjalnych trudności, ale nas dodatkowo spowolniły.

– Ślepy zaułek! – ogłosił Laurinne, gdy moje spodnie na kolanach zrobiły się już całkiem dziurawe, a ja sama gotowa byłam kląć pełnym głosem. – Flo, tu jest ceglany mur!

– Doskonale, czyli jesteśmy na miejscu! – ucieszyłam się. Faktycznie, kto i po co miałyby w ten sposób zamykać nieczynny tunel ściekowy w połowie długości? Przecież tam były kraty... Logiczniej już postawić ścianki na końcach. – Niech się pan cofnie!

– Ciekawe jak? – burknął Laurinne, tuląc się do ściany. Przejście było zbyt wąskie i po prostu nie byłam w stanie przecisnąć się obok niego.

– Coś się pan zrobił rozmowny – zauważyłam. – Proszę zatkać uszy, zaraz to wyleci...

Miałam serdecznie dosyć pokonywania kolejnych przeszkód z zachowaniem pełnej ciszy, więc biedny ceglany murek został wywalony niewyszukanym zakłębieniem bojowym, które rozwaliło cegły w drobny mak i podniosło chmurę kurzu. Przez wąskie przejście wpadło słabe światło, a ja zgasiłam płomyk–towarzysza.

– Naprzód! – poleciłam, popychając porucznika.

Młodzieniec niezgrabnie wygramolił się na zewnątrz, a ja ruszyłam za nim, odruchowo próbując strzepnąć z siebie drobinki gruzu. Po wydostaniu się z przejścia i przetarciu oczu zauważyłam, że Laurinne z niewiadomego powodu stoi przy ścianie z rękoma uniesionymi nad głowę. Sekundę później dostrzegłam również, że w pomieszczeniu, znajdującym się gdzieś na piwnicznych poziomach, jest pełno ludzi, którzy nie są zbyt przyjaźnie nastawieni...

Stacjonujący w zamku Takein mag mógł nie być specjalnie potężny, ale za to okazał się ogromnie wyczulony na rozbłyśki cudzej mocy. Wykrył mnie już przy forsowaniu drugiej kraty. Jednym słowem, w zamku zaczęła się panika, mag przejął dowodzenie w swoje ręce, poszukał pustek w ścianach,

oczywiście znalazł porzucony tunel i zorganizował zasadzkę.

Laurinne miał sporo szczęścia, że przy wyjściu nie potraktowano go bełtem z kuszy! Odważni obrońcy chcieli jednak dostać w swoje ręce żywych szpiegów i poznać plany Stalwian. Całkiem rozsądna decyzja, szczególnie że zamkowa załoga utraciła kontakt ze światem ponad tydzień temu. Oblegający nie przepuszczali ptaków ani ze zwykłymi, ani z magicznymi wiadomościami, tak więc miejscowy garnizon kompletnie nie miał pojęcia, co działo się dookoła i czy przypadkiem w ogóle o nich nie zapomniano.

Tutejszy mag, Irme Klawis, sporo o mnie słyszał, więc przynajmniej nie musiałam długo udowadniać, że jestem właśnie tą osobą, za którą się podawałam. Co prawda nieco zasmucił się na wieść, że nie przybyłam w celu uratowania zamku i przegonienia oblegających na cztery wiatry (ostatecznie to nie moja specjalizacja), tylko po prostu szukam czegoś w Takein.

– Nie wiem, co też pani wymyśliła, panno Naren – stwierdził chmurnie, gdy wyłuszczyłam swoje zamiary – ale ten zamek swego czasu przeszukano od góry do dołu. Jeżeli nawet było tu coś schowane, to wszystko dawno znaleziono.

– Niech pan to powie Raimo Borasowi – poradziłam, a Klawis się wzdrygnął. – Jest przekonany, że poszukiwany przez niego przedmiot znajduje się w tym zamku, a ja dostatecznie dobrze go znam i na pewno nie pchałby się tutaj, nie mając całkowitej pewności.

– A czy to nie może być manewr rozpraszający? – zapytał mag z nadzieją.

– Też się nad tym zastanawiałam – przyznałam. – Ale na to nie wygląda. Oczywiście, patrząc z boku, taka myśl była jak najbardziej zrozumiała, ale... Nie miałam zamiaru wprowadzać Klawisa we wszystkie szczegóły tej historii, i tak zmarnowaliśmy dość czasu.

– Cóż, pani sprawa – burknął. Był dosyć młody, niezbyt wysoki i

absolutnie daleko mu było do przystojniaka. Prawdopodobnie wstąpił do wojska, żeby pozbyć się kompleksu niższości, ale chyba nie udało mu się to do końca. – Panno Naren, zamek jest do pani dyspozycji, proszę szukać, czego pani tylko zechce... O ile pani zdąży.

– Spróbuję – mruknęłam.

Czas istotnie się kurczył, noc dobiegła już końca i trwał szósty dzień. Jeżeli jutro Stalwianie nie dostaną satysfakcjonującej odpowiedzi, oblężenie zmieni się w szturm i na tym sprawa się skończy.

Przez cały dzień razem z porucznikiem przeczesywałam zamek od piwnic po strychy. Gdybym nie miała okazji spróbować, nigdy bym nie uwierzyła, że jestem zdolna do czegoś podobnego! Klawis miał rację, cała budowla została wypatroszona długo przed naszymi narodzinami. Była tu cała masa skrytek, tajemnych schodów i korytarzy, które doświadczony mag z łatwością wykrywał, ale schowki były puste, a ukryte przejścia zarosły pajęczynami. Na strychach podniszczonych wieżyczek, w piwnicach ani w stajni również nie znalazłam nic oprócz sporej ilości szczurów, myszy, a nawet wielkiego gniazda zajętego przez sowę, sądząc z poniewierających się w pobliżu wypluwek. Lokatorki na szczęście nie było w pobliżu, bo na widok tego, jak przetrząsam jej dom, mogłaby dostać zawału.

Liczyłam na to, że poszukiwany przez nas przedmiot będzie miał przynajmniej słabe magiczne tło, ale chyba pomyliłam się w założeniach. Znalazłam kilka takich rzeczy, ale wszystkie należały do Klawisa, a poszukiwanej przez nas księgi wśród nich nie było. Odniosłam też wrażenie, że w tym zamku nikt oprócz maga nie był zainteresowany czytaniem – stara biblioteka służyła głównie jako przechowalnia kurzu. Wojacy zresztą nie mają czasu na czytanie i nie wchodzi to w zakres ich obowiązków. „Może faktycznie warto poszukać raczej kamiennej płyty z wyrytymi napisami?” – pomyślałam.

– Niech się pan zastanowi, gdzie jeszcze nie szukaliśmy? – spytałam, gdy późnym wieczorem zmęczeni jedliśmy kolację w kuchni.

– Panno Naren, chyba wszędzie – odparł Laurinne z rezygnacją. Niedaleko kręcił się kucharz, więc musiał trzymać się konwenansów. – Chyba tylko do studni nie zajrzeliśmy...

– Studnie są codziennie używane, a samo urządzenie tam skrytki byłoby wyjątkowo niewygodne. – Machnęłam ręką. – Jakby była jakaś wyschnięta, to inna sprawa.

Odsunęłam talerz i podeszłam do drzwi. Na dworze zapadał zmrok. Mieszkańcy zamku, wyjątkowo „ucieszeni” moją opowieścią o upłynięciu terminu podanego przez Borasa, również spoglądali w niebo i co chwila sprawdzali broń, choć nie było z tego żadnego pożytku.

Laurinne wyszedł za mną.

– Panno Naren... – powiedział cicho.

– Co? – spytałam.

– Ma pani pajęczynę we włosach... pamiętam, że pani nie lubi...

– Poruczniku, mam wrażenie, że to najmniejszy z moich problemów w chwili obecnej – westchnęłam. – Niech pan zdejmie, gdzie ona jest?

Odwróciłam się w jego kierunku i przechyliłam głowę. Nieoczekiwanie mój wzrok padł na budynek stojący na drugim końcu dziedzińca. Nie wyglądał na stajnię, a poza tym już ją przeszukaliśmy. Poza tym kto miałby budować stajnię z takiego kamienia i tak niską?

– A co to takiego? – Zmarszczyłam brwi i złapałam za rękaw pierwszego lepszego żołnierzyka. – Co to za buda?

– To? – Zapytany podrapał się za uchem. – Znaczy się pan kapitan mówili, że to coś jakby grobowiec. Tyle że tam już nic nie ma, same tylko kości, a i te nie wszystkie. Tego, no, poprzedni panowie trzymali tam swoich zmarłych... – Chłopak mimowolnie się wzdrygnął i nakreślił ochronny znak.

– Proszę pani, my tam nawet nie wchodzimy. Niby nic takiego nie ma, a i tak się człowiek boi...

– Rozumiem. – Puściłam go. – Dziękuję za pomoc. Laurinne!

– Tak jest, panno Naren! – Porucznik patrzył na grobowiec z ciekawością myśliwego.

– Ruszamy, czego pan tak sterczy! Już noc zapada, a widzę, że ten cały grobowiec bynajmniej nie jest mały!

Grobowiec faktycznie okazał się dosyć obszerny, najpewniej Takeinowie mieli zamiar chować w nim trupy niejednego wiek i budowali z zapasem. Zresztą od zewnątrz nie wyglądał szczególnie imponująco, ale za to w środku...

Przeważająca część budowli znajdowała się pod poziomem gruntu i prowadziły tam schody. Tak jak przeczuwałam, nekropolia znajdowała się dosyć głęboko. Wewnątrz panował bałagan: grobowiec był przeszukiwany równoległe z zamkiem i wiele nagrobków zostało rozbitych lub przewróconych. Tyle dobrego, że ktoś zadbał przynajmniej o zebranie kości z podłogi i ułożenie ich w kamiennych trumnach. Niestety, ów dobroczyńca chyba nie zastanawiał się nad tym, co robi, albo wyjątkowo się śpieszył, więc niektórzy z rezydentów sarkofagów mieli na przykład po trzy ręce, podczas gdy inni żadnej.

– Laurinne, niech się pan nie boi – rzuciłam, widząc, że porucznik rozgląda się ostrożnie. – Najświeższy tutejszy nieboszczyk ma ponad półtorej setki lat, tak więc mimo najszczerzych chęci nie wstanie.

– Nie boję się – zaprotestował. – Po prostu to miejsce jest takie... takie...

– Robi wrażenie, zgadza się – odrzekłam. Cóż, Takeinowie przejawiali wyraźne ciągoty ku awangardzie. Czarny granit w połączeniu z jakimś nieznanym mi ciemnoczerwonym kamieniem, biała inkrustacja – to wszystko wyglądało koszmarnie. Co prawda w czasach, gdy budowano zamek,

grobowiec mógł być ostatnim krzykiem mody i wzorem dobrego smaku. Kiedyś kamienne płyty były ozdobione złotem i kamieniami szlachetnymi, ale po tym zostały wyłącznie ślady – ludzie grabiący nekropolię nie zawahali się przed zbezczeszczeniem zwłok, a co dopiero mówić o wyposażeniu. Zresztą można było założyć, że zabrano z grobów wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

Niemniej dokładnie sprawdziłam każdy z nich, jak również wszystkie nisze, zaczynając od samego wejścia. Nic. Pod posadzką i w ścianach również nie było skrytek.

– Tu leży Bagran Takein Drugi – powiedziałam do porucznika, siadając na brzeżku jednego z najbardziej okazałych sarkofagów. Wewnątrz żółta czaszka szczyrzyła się w niewesołym uśmiechu.

– Jest pani pewna? – w głosie porucznika słychać było ton wątpliwości.

– Na nagrobku jest wyryte jego imię. – Wytężyłam wzrok w słabym oświetleniu.

– Hm... żadne klejnoty się oczywiście nie zachowały, nawet znak jego zakonu zdjęli... O, niech pan patrzy, to chyba właśnie on.

Wskazałam wyryty głęboko w kamieniu symbol: okrąg, a w nim czteroramienną gwiazdę. Wcześniej tu również znajdowały się chyba jakieś zdobienia. Dziadek mówił, że Takein należał do zakonu „Białego Księżyca czy tam ichniej gwiazdy”. Czyli źródła jednak nie były sprzeczne, po prostu kronikarze nie mieli pełnych informacji. Kto to mógł wiedzieć, czy zakon po prostu łączył w sobie dwa pozostałe, czy może Takein należał do obu? Ciekawe rozważania, tylko jaki z nich pożytek?

– Tutaj wszystkie kości są tak pomieszane, że nie idzie zrozumieć, czy to na pewno ten Takein, czy jednak nie... – mruknął Laurinne.

– Cóż, to na pewno nie jego... – Wzięłam do ręki czyjąś kość ramieniową, która sądząc z wymiarów należała do kobiety lub nastolatka, po czym

odłożyłam ją na bok. – A cała reszta... Dziadek mówił, że Bagran był wyjątkowo wysoki i całą resztę również miał odpowiednią. Ten tutaj to największy szkielet w całym grobowcu. Wynika z tego... Laurinne, niech pan spojrzy na jego rękę. – Podniosłam kość. – Musiała być grubości mojego uda!

Porucznik wzdrygnął się nieznacznie i odszedł na bok. Z jakiegoś powodu nie przepadał za trupami, nawet tak starymi i niegroźnymi.

– Hm... – mruknęłam tymczasem, oglądając rękę sławnego Takeina. Ostatnia nadzieja właśnie zgasła. Laurinne podszedł do dalszej ściany i z ciekawością coś na niej badał. Światło mojego płomyka-towarzysza w zupełności do tego wystarczało.

– Laurinne, co pan tam znalazł?

– Flo, tu są jakieś napisy – odparł. – Niech pani spojrzy...

Natychmiast ruszyłam w jego kierunku. Czyżbym miała rację i ta tajemna „wiedza” rzeczywiście wyryta została na kamiennej płycie? Natychmiast zrozumiałam swoją pomyłkę. Na ścianie wyliczono wszystkich, którzy pochowani zostali w grobowcu. Nic dziwnego, że Laurinne nie zdołał tego odczytać – Takeinowie używali starożytnego dialektu, którego ja sama nie znałam zbyt dobrze. Machinalnie policzyłam imiona na liście. A co, jeśli...

– Poruczniku... niech pan przeliczy wszystkie nagrobki – powiedziałam powoli. – Tylko nie na głos. Ile panu wychodzi?

– Czterdzieści sześć – zameldował Laurinne po chwili milczenia i okrążeniu grobowca. – Ale mogę się mylić, sporo jest rozbitych.

– Nie, mnie wyszło dokładnie tak samo. – Z rozczarowaniem pokiwałam głową.

– A po co to pani?

– Jakoś tak. Pomyślałam, że jeśli liczba pochowanych nie będzie pasowała do ilości grobów... Ale nie, to byłoby zbyt proste – westchnęłam.

– Flo, może jednak odda pani panu Takeinowi jego rękę? – nieco nerwowo zasugerował porucznik, zerkając na kość, której nadal nie odłożyłam na miejsce.

– Chyba powinnam. – Uśmiechnęłam się, wracając do sarkofagu. – Mam nadzieję, że biedak się nie obrazi i nie będzie nawiedzał mnie nocami!

Na takie stwierdzenie Laurinne mógł tylko westchnąć. Odłożyłam kość na miejsce, poprawiłam... i zamarłam.

– Flo, co się dzieje?! – sądząc z głosu, porucznik przygotował się na najgorsze. Na przykład na to, że urażony martwy mag złapał mnie kościaną ręką za gardło i próbuje udusić. – O co chodzi?

– Poruczniku, niech pan patrzy, tutaj! – wybuchnęłam podekscytowana. – Widzi pan?!

– Ale co? Co powinienem widzieć?

– Tutaj! – Podsunęłam mu przed oczy kość Takeina. Porucznik z trudem się opanował, by nie uciec gdzie pieprz rośnie. – Ślad! Ta ręka była złamana, teraz pan widzi?

– Tak, ale... – Laurinne zerknął na mnie. – Dlaczego to panią tak dziwi?

– Sądząc ze śladu, złamanie jest stare – mruzczałam. – Czyli najpewniej zranił się, kiedy był jeszcze dzieckiem albo we wczesnej młodości, dokładniej teraz nie powiem. Poruczniku, czy pan naprawdę nie pojmuje?

Młodzieniec pokręcił głową.

– Przecież on podobno był magiem! – zirytowałam się. – Magiem o nadprzeciętnej mocy i zdolnościach! Jeżeli nawet przypadkiem zdarzyło mu się złamać rękę, to po takim złamaniu nie powinien zostać nawet ślad!

– Ale jeśli sama pani mówi, że stało się to, gdy był dzieckiem, to może po prostu jeszcze nie umiał... – zaczął porucznik, ale przerwałam mu:

– Bzdura! Takich rzeczy magowie uczą się w pierwszej kolejności!

– I... Co to oznacza? – zapytał Laurinne. Wyraźnie nie podzielał mojego entuzjazmu. Może powinnam jednak przestać wymachiwać przed nim tą kością?

– To nie jest Takein... – oznajmiłam. – A przynajmniej nie Bagan Takein Drugi. Niech pan chwilę zaczeka...

Rzuciłam się do kolejnego sarkofagu, na którym również widniał znak zakonny – stylizowany ptak w trójkącie. Nie miałam pojęcia, jak się nazywał ten zakon, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Ten szkielet bardzo ucierpiał, więc nie udało mi się potwierdzić swojej teorii, ale za to trzeci, w sarkofagu z identycznym symbolem, spodobał mi się znacznie bardziej.

– A ten tutaj? – Laurinne zbliżył się ostrożnie.

– To samo... – Ledwo mogłam powstrzymać podekscytowanie, obracając w dłoniach czaszkę. – Proszę spojrzeć. Ta dama za życia wyraźnie miała problemy z zębami. Leży pod znakiem zakonu, nazywała się Beara Takein, przeżyła tyle, ile normalnemu człowiekowi się nawet nie śniło – proszę spojrzeć na daty. Czyli również była magiem. Ale żeby mag nie potrafił wyleczyć sobie zębów?!

– Flo... Ale przecież tu wszystkie kości są wymieszane! – porucznik spróbował przemówić mi do rozsądku. – Może to jakaś zupełnie obca kobieta, nie mag!

– Może i inna – zgodziłam się bez oporu. – Ale Bagan... Zgodzi się pan, że trudno pomylić go z kimś innym?

– No... tak – musiał przyznać Laurinne. – I co to może oznaczać?

– Hm... – Odłożyłam czaszkę na miejsce i przygryzłam wargę. – Niech pan spojrzy: zarówno Bagan, jak i Beara... oboje byli magami, i to nie z tych najsłabszych. Pewnie są tu też inni, nie mamy czasu szukać. Na pewno chowano ich ze wszystkimi regaliami i pewnie również jakimiś artefaktami, a chętnych na takie rzeczy zawsze było w nadmiarze...

– Czyli szczególnie sławnych członków rodziny Takein grzebano gdzie indziej? – domyślił się w końcu porucznik.

– Na to wygląda. Niczego sobie podstęp! Imiona wyryte na ścianie, w sarkofagach też ktoś leży, przy czym na pewno dobierali podobnych nieboszczyków. Zostawienie pustego grobu jest zbyt podejrzane, nie sądzi pan? Ale gdzie oni znaleźli takiego giganta, żeby położyć go zamiast Bagrana?!

– Mili ludzie, nie ma co... – burknął porucznik, rozglądając się dookoła. – Ale dlaczego ci, którzy szukali tu przed panią, nie wykryli oszustwa?

– Pewnie nie przyglądali się kościom – prychnęłam. – Grobowiec przeszukano bardzo dawno, kiedy było tu pełno błyskotek. Złoto im mogło zaćmić oczy. Zresztą ja też miałam sporo szczęścia – światło dobrze padało!

– Ale gdzie w takim razie są prawdziwi Takeinowie? – zapytał Laurinne. Patrzył na mnie ze swoim zwykłym wyrazem twarzy, jak gdyby czekając, że zaraz wypuszczę z rękawa białego gołębia.

– Sama chciałabym wiedzieć. – Rozejrzałam się dookoła. – Mam nadzieję, że nie są pochowani gdzieś na sąsiednich wzgórzach. Zresztą zaraz sprawdzimy...

To „zaraz” rozciągnęło się na bitą godzinę, po upływie której nadal nie miałam pojęcia, gdzie podziali się szczególnie zasłużeni nieboszczycy rodziny Takein.

– Albo pod nami jest jeszcze jedno pomieszczenie, albo są za ścianą – powiedziałam. – Jeżeli w ogóle zostali pochowani w zamku, a nie gdzie indziej!

– Flo, jedną chwilę!

Laurinne wyskoczył na zewnątrz i zaraz wrócił.

– Jeżeli mam wnioskować z dachu – zameldował lekko zdyszany – to od zewnątrz ten grobowiec nie wydaje się większy niż od środka...

– Doskonale. Czyli nie za ścianą... Ale pod nami również nie wyczuwam pustki i na tym właśnie polega problem. Chociaż...

Zamyśliłam się. To, że ja nie potrafiłam znaleźć pustki, nie oznaczało, że naprawdę jej tam nie było. A jeśli spróbować inaczej...?

Wiedźmie sztuczki są bardziej męczące niż magiczne, ale czasami również bardziej skuteczne. Jednak mimo sporego wysiłku nie dostrzegłam właściwie nic. Ot, słaby cień czegoś niemożliwego do zinterpretowania... Nawet jeżeli pod podłogą coś było, to zostało zamaskowane wyjątkowo skutecznie. I miałam tylko jeden sposób, by przekonać się o prawdziwym stanie rzeczy.

– Proszę się cofnąć, bo pana trafi – poleciłam. Zastanawiać się nad mechanizmem skrytki mogę potem, teraz nie miałam na to ani czasu, ani cierpliwości.

– Chce pani przebić podłogę? – domyślił się Laurinne. – A jeśli tam jest jakaś pułapka?

– Nawet jeśli tam jest, to i tak jej nie wykryję. Na bok, już!

Rozwalenie podłogi wymagało sporego wysiłku. Głupio wyjdzie, jeżeli pod spodem znajdę po prostu litą skałę! Ale gdy opadł kurz, zobaczyliśmy przed sobą całkiem wygodne schody prowadzące pod ziemię. Najpewniej przykrywająca je płyta dawała się odsunąć albo podnieść, ale nie udało mi się odkryć magicznego mechanizmu. Dobrze, że w ogóle wpadłam na pomysł, iż pod tym grobowcem może znajdować się drugi!

To pomieszczenie okazało się dwukrotnie mniejsze, więc siłą rzeczy sarkofagi były bardziej stłoczone. A więc to tu leżeli najdostojniejsi przedstawiciele rodu Takein... Ta część grobowca pozostała nienaruszona, na ścianach zachowały się nawet ozdobne kotary, powietrze było zimne, suche i niczym nie pachniało – wyglądało to na robotę maga.

Odsunęliśmy pokrywę jednego z sarkofagów, by ujrzeć pod nią szkielet

w pełnym rynsztunku bojowym: zbroja oraz ogromny miecz, jakich używano ze trzysta lat temu, jeśli nie dawniej. Pod kolejnymi dwiema płytami leżały bogato odziane kobiece szkielety, jedna z dam pochowana została z malutkim dzieckiem, pewnie umarła przy porodzie.

Niestety, na sarkofagach brakowało imion. Zdobiły je wyłącznie znaki zakonów, jeżeli oczywiście nieboszczyk do któregoś należał. Tutaj znajomy już ptak w trójkącie, tam zupełnie obcy symbol, a tutaj coś względnie przypominającego gwiazdę w okręgu. Może właśnie to było miejsce spoczynku Bagrana?

Ale nie, w sarkofagu znajdowały się niezgorzej zachowane zwłoki. Trudno powiedzieć dlaczego, ale ciało nie rozsypało się w proch, tylko zmumifikowało. Może do tego również przyłożył rękę mag...? Nieboszczyk wyglądał na młodego, gęste jasne włosy opadały mu na zapadnięte oczodoły, wydało mi się też, że jego szata miała dosyć niezwykły krój. Spojrzałam na datę na płycie i gwizdnęłam – chłopak miał ponad pięćset lat.

– A broń ma prawie jak nasza – zdziwił się Laurinne, kiedy poinformowałam go o swoim odkryciu. – Czy wtedy takiej używano?

Na piersi mumii faktycznie leżała szpada, która mało różniła się od tych noszonych przez oficerów gwardii. Ciekawe... W tamtych czasach preferowano inną broń. Tylko mi tu brakowało kolejnej zagadki!

Ostrożnie podniosłam szpadę i wyciągnęłam ją z nieco popękanej pochwy. Nie mogła pochwalić się bogatymi zdobieniami, ale jeżeli wiem cokolwiek o broni, to nie pogardziłby nią nawet król. W świetle mojego płomyka-towarzysza błysnęła krawędź ostrza. Fascynujące, ani śladu rdzy! Laurinne patrzył na klingę jak na niespełnione marzenie życia.

– Jeśli ma pan ochotę, to proszę ją wziąć – zaproponowałam, chowając broń do pochwy i wyciągając w jego kierunku. – Wydaje mi się, że temu panu sprawa jest raczej obojętna, a pan stracił swoją.

To była prawda, porucznik stracił swoją oficerską szpadę, wyciągając mnie z pola bitwy, i naturalnie nikt nie miał zamiaru dawać mu w prezencie nowej. Biedak musiał się zadowolić jakimś koszmarnym, ze sto razy przekuwany pałaszem po zabitym w potyczce szeregowcu.

– Nie. – Pokręcił głową, ważąc szpadę w dłoni. Widać było, że się waha.
– Flo, nie warto. Nieboszczyków okradać...? Poza tym ona i tak dla mnie za ciężka.

– No dobrze, jak pan chce! – Zabrałam szpadę, odłożyłam z powrotem i przeszłam do kolejnego sarkofagu. – To on!

Tak samo jak na pozostałych brakowało tu imienia, tylko połyskiwał głęboko wryty w kamieniu znak: czteroramienna żelazna gwiazda w srebrnym kręgu. Czyżby rzeczywiście...?!

– Laurinne, proszę mi pomóc! – rozkazałam i we dwójkę z trudem zdjęliśmy ciężką pokrywę.

Za życia Bagran Takein był potężnym mężczyzną, ale w tej chwili nie to mnie interesowało. Nie zrobiły na mnie również wrażenia klejnoty, którymi obwieszony był jego szkielet. W pozostałościach rąk Bagran trzymał książkę. Nie ciężki, okuty metalem i upstrzony ozdobami foliał, którym przy odrobinie chęci można nawet zabić adwersarza (co miałam swego czasu okazję zrobić), tylko niewielką grubą książeczkę w wyświechtanej skórzanej oprawie. Czaszka maga szczyrzyła się do nas, jak gdyby zadowolona z dowcipu.

Wyciągnęłam książkę z grobu, nie sprawdzwszy nawet, czy nie ma tam przypadkiem pułapki. Nie było – po raz kolejny miałam szczęście. Ale tak bardzo chciałam w końcu zajrzeć do tej książki, że nawet nie zdążyłam się z tego ucieszyć.

– Flo, to ona?! – Laurinne również palił się z ciekawości.

– Chyba tak... Niech pan chwilę poczeka! – odpędziłam go, przewracając

szybko stronice.

Tekst również zapisano w starym dialekcie, ale mimo mojej wyjątkowo kiepskiej jego znajomości już na pierwszy rzut oka mogłam zrozumieć, dlaczego Boras tak bardzo pragnął dostać tę książkę w swoje ręce.

Sądząc z tych zapisków, Bagran Takein był magiem bojowym i znał zaklęcia... Jednym słowem, starczyłoby ich, aby zamienić Arasten w pustynię. I co miałam teraz z tym fantem zrobić? Szantażować Borasa? Nie, to było zbyt niebezpieczne. Skutki trafienia tej wiedzy w jego ręce byłyby nie do ogarnięcia rozumem.

Czaszka Bagrana szczyrzyła się do mnie z wyraźną ironią i wkrótce zrozumiałam dlaczego: książka była chroniona, i to tak, że moja moc po prostu nie była wystarczająca do jej zniszczenia. A nie miałam już czasu, by sprawdzić, w jaki sposób można poradzić sobie z tak niebezpieczną rzeczą.

– Laurinne, musimy się stąd możliwie szybko wynieść, w tym zamku jesteśmy jak w pułapce na myszy! – rzuciłam do porucznika.

„Trzeba dotrzeć jeśli nie do Arastenu, to chociażby do granicy Tarnaju i przedstawicielstwa Kolegium, niechaj oni sobie radzą z tym problemem” – zdecydowałam. W tej chwili Kolegium wydawało mi się znacznie bezpieczniejszym wariantem niż ten, w którym książka trafiała w ręce Borasa.

– Ruszamy! – rozkazałam, ale dokładnie w tej samej chwili podłoga pod naszymi nogami zachwiała się i usłyszeliśmy huk. Z sufitu poleciał gruz.

– Co to?! – Porucznik złapał się grobowca, żeby zachować równowagę.

– Chyba już mamy północ. Szósta doba minęła, Boras zdecydował się na atak. A to pech! No dobrze, będziemy liczyć na to, że póki on tu roznosi zamek kamyk po kamyczku, my zdołamy uciec trochę dalej... Chodźmy już!

Ruszyliśmy w kierunku wyjścia. Nagle Laurinne skoczył do tyłu.

– A pan dokąd?

– Po szpadę! – odparł. – Nie mogę bez broni...

– A co z pańskimi przekonaniem na temat grabieży? – spytałam ironicznie.

– Chyba to nie jest najwłaściwszy czas na myślenie o nich – osądził. – Poza tym wydaje mi się, że tamten człowiek ucieszyłby się, wiedząc, że korzystamy z jego broni po to, by uchronić dziedzictwo rodziny przed wpadnięciem w niewłaściwe ręce. Flo, co ja takiego śmiesznego powiedziałem?

– Nic, nic – zapewniłam śpiesznie. – Po prostu przypomniał mi pan bohatera pewnej powieści... A myślałam, że Szloss swoje postacie po prostu wymyśla. Niechże pan idzie, tylko szybko! I potem mnie dogoni...

Zamek płonął. Za każdym razem mnie to fascynuje – co niby może się palić w starej kupie kamieni? Ale paliło się, i to jak! Cały dziedziniec zalany był odblaskami purpurowych płomieni. O ile zdołałam dojrzeć, brama została już sforsowana i walka pod nią trwała w najlepsze. Może lepiej było przeczekać w grobowcu? Czy jednak uciekać, póki wszyscy zajęci są własnymi sprawami?

Wahałam się zbyt długo. Po lewej stronie coś grzmotnęło, na kamienie dziedzińca upadła drewniana krata, zasłaniająca przedtem wejście na galerię. Na tle pożaru pojawiła się wysoka męska postać. Rozpoznałam ją prawie natychmiast, ale było już za późno...

– No co za spotkanie! – Uśmiechnięty Raimo Boras patrzył na mnie z rękoma wspartymi na biodrach. No tak, liczyłam, że Klawis wytrzyma przynajmniej przez chwilę, ale Boras poradził sobie z tym zamkiem jak z zabawką. – Floss, a byłem pewien, że cię wykończyłem!

– Ja również przez chwilę tak myślałam – przyznałam.

– Cieszę się, że żyjesz – oświadczył Boras całkiem szczerze. – Gdyby nie twój upór i ciekawość, pewnie szukałbym tego drobiażdżku przez dłuższą

chwilę... A ty go dla mnie znalazłaś, za co jestem głęboko wdzięczny!

Jak bardzo przykre by to było, miał całkowitą rację. Nikt nie powiedział, że Borasowi udałoby się odnaleźć wejście do drugiej komory grobowca, co oznaczało, że dostarczyłam mu zdobycz na złotej tacy.

– I po co ci ona? – spytałam. – I czy na pewno tobie?

– Czy naprawdę uważasz, że odpowiem na takie pytanie? – Boras uniósł brwi. – Nie bądź naiwna... Powiedzmy, że się przyda. Do czego – to już inna sprawa...

Chyba opinia o rozmówcy była bardzo wyraźnie wypisana na mojej twarzy, ponieważ nagle zamilkł, a potem dodał cicho:

– Floss, nie radzę ci robić nic głupiego. Bardzo nie chciałbym cię znowu pokaleczyć... mimo wszystko. Bądź tak miła i oddaj mi książkę.

– I mam rozumieć, że natychmiast po tym mnie zabijesz? – spytałam z przekąsem, mimo że doskonale znałam odpowiedź. Boras nie zostawiał żywych świadków, a już tym bardziej świadków tak dobrze poinformowanych. – Szybko i bez bólu?

Czułam żal, że umieram w takiej chwili – jeszcze moment i nie byłoby tu po mnie nawet śladu. Niestety, czasu zawsze jest za mało. Miałam nadzieję, że porucznik będzie miał wystarczająco dużo rozsądku, by się gdzieś przyczaić, a potem uciec możliwie daleko.

– Tak, mimo że nawet smutno mi z tego powodu – westchnął Boras. – Floss, uwierz mi, jest mi naprawdę przykro. Gdybyś była choć odrobinę głupsza, to nic by ci nie groziło. Ale, niestety, domyśliłaś się...

– I nawet nie zaproponujesz mi pójścia na kompromis i wspólnej pracy? – To przeciąganie było głupie, nie spodziewałam się znikąd ratunku i nawet na niego nie czekałam, po prostu zawsze to kolejna minuta życia...

– Floss, przecież nie jestem kretynem! – prychnął Boras. – Tylko kompletny idiota może na poważnie zaproponować coś takiego niezależnemu

magowi, szczególnie jeśli jesteś nim ty. Tak więc nie zamierzam marnować czasu na gadanie. Oddaj mi książkę.

– A co, jak nie oddam?

– Cóż... – Boras wzruszył ramionami. – W takim wypadku sam ją sobie wezmę, a ty umrzesz nie tak szybko, jak byś chciała. Widzisz, nie będę ryzykował całości książki i używał przeciwko tobie czegoś zbyt mocnego, ale za to ogień... Ogień zrodzony z magii nie robi jej żadnej krzywdy, wydaje mi się, że już zrozumiałaś, iż jest chroniona. Za to ty spłoniesz jak świeca. – Uśmiechnął się krzywo, a mnie przeszedł dreszcz. Dużo wiedział, drań. To pewnie znowu sprawka Naora. – Nie możesz się ze mną równać, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Niestety, prawda – westchnęłam. – Łap.

Gruby tomik zakreślił w powietrzu łuk. Raimo złapał go lewą ręką.

– Dziękuję – rzucił. – Zawsze byłaś mądrą dziewczynką. A teraz przepraszam...

– Panie Boras!

Na dźwięk tego głosu syknęłam przez zęby, a Boras ze zdziwieniem popatrzył na Laurinne'a, który pojawił się jakby znikąd. Co za kretyn z tego porucznika!

– A kimże ty jesteś? – zapytał mag z pobłażliwą wesołością. – I czego ode mnie chcesz?

– Porucznik gwardii królewskiej Laurinne, do usług, panie Boras. Zgodnie z rozkazem Jego Królewskiej Mości zostałem wyznaczony na towarzysza panny Naren i...

– Dobrze, rozumiem, jesteś jej chłopcem na posyłki. – Boras machnął ręką. Musiał być naprawdę w wyjątkowo dobrym humorze, skoro Laurinne nadal żył.

– Jeżeli nie chcesz towarzyszyć jej na tamten świat, to się cofnij. Ty mnie

nie interesujesz.

– Przepraszam, panie Boras – chłodno ciągnął porucznik, wyciągając z pochwy starożytną szpadę. Gdzież się podziła jego niepewność?! – Mam obowiązek bronić panny Naren.

– Floss, gdzie jest hodowla takich szczeniaków? – spytał Boras ze śmiechem. – Bobym sobie jednego wziął! Dziecko, czy ty tak na poważnie?

– Jestem zmuszony prosić pana o skrzyżowanie ze mną broni – zakończył Laurinne. Oficjalne wyzwanie, oficjalnie już się nie da, ale na co on liczył? Boras pozbędzie się go jednym pstryknięciem palców! Jednak mimo wszystkich swoich wad Laurinne bynajmniej nie był idiotą i już miałam przyjemność się o tym przekonać. – Oczywiście może pan zmienić mnie w garstkę popiołu, ale w takim wypadku zostawiam sobie prawo uznania pana za tchórza, który uciekł przed pojedyńkiem.

Brzmiało to tak absurdalnie, że straciłam zdolność mowy. Boras chyba również, skoro nie zrobił nic, by choćby przerwać porucznikowi, który kontynuował:

– Wiele razy słyszałem, że jest pan najlepszym magiem bojowym po tej stronie oceanu. Czy mimo to boi się pan ze mną walczyć? – Laurinne lekko rozłożył ręce, jak gdyby chciał pokazać, jak bardzo go to śmieszy. – Czy może oduczył się pan władania szpadą? Znaczący ja rozumiem, spalanie ludzi pewnie jest łatwiejsze... A może – porucznik pogardliwie uniósł podbródek – nigdy nie umiał pan walczyć? I nosi szpadę jako ozdóbkę?

Widziałam, jak wściekłość Borasa rośnie. Zawsze był dumny ze swoich umiejętności fehmistrza. Właściwie jest to rzadkość wśród magów, zwykle szlifują oni zdolności magiczne, całkiem słusznie zakładając, że zawsze będą mogli się przy ich użyciu obronić. Boras natomiast miał zgoła odmienny punkt widzenia: zdarzało się, że sytuacja nie pozwalała zdradzić się z umiejętnościami magicznymi, by nie zawalić zadania, i w takich wypadkach

umiejętność władania ostro zakończonym kawałkiem stali mogła się bardzo przydać!

– No dobrze. – Uśmiechnął się nagle. – Niech będzie, poświęcę ci kilka minut, to jest nawet zabawne. Floss, weź, póki co potrzyмай. – Książka pokonała drogę z powrotem do mnie. – Tylko bądź grzeczna i stój spokojnie, kiedy ja będę sobie rozmawiał z tym natrętnym młodym człowiekiem...

– Żadnej magii – uprzedził Laurinne. Ten dzieciak miał czelność stawiać Borasowi warunki!

– W twoim wypadku z łatwością poradzę sobie bez niej – odparł mag i ponownie zwrócił się do mnie: – Floss, miej to na uwadze. Jeśli tylko zauważę, że próbujesz coś zrobić, to natychmiast zapomnę o tych wszystkich rycerskich głupotach i ten chłopaczek zamieni się w śliczną pochodnię. Nie mam pojęcia, na ile jest ci drogi, ale jednak uważam za stosowne uprzedzić... – Wyjął szpadę, odpiął pochwę i odrzucił ją na bok. – To co, zaczynamy?

Potrząsnęłam głową, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że to jakiś dziwny sen. Obrazek był jak rodem z maligny – płonący zamek na tle czarnego nieba, ciała zabitych, jarzące się szczątki i Raimo Boras, niedościgniony mag bojowy, krzyżujący szpady z zielonym dzieciakiem, który z niewiadomego powodu wybrał bardzo skomplikowaną metodę na popełnienie samobójstwa. I żadnej magii! Zrozumiałam, że zaraz wybuchnę histerycznym śmiechem, i przygryzłam wargę. Miałam książkę w ręku, ale nie mogłam zniszczyć jej magicznie, przynajmniej nie w tak krótkim czasie. Była naprawdę dobrze chroniona, poza tym Boras natychmiast zauważyłby taką próbę, a zawsze dotrzymywał obietnic. Może to głupie, ale nie chciałam składać Laurinne'a w ofierze. Tak czy owak, czekała go śmierć, ale niech przynajmniej zginie w uczciwym pojedynku.

Tymczasem Boras i porucznik rozkręcili się na dobre, brzęk szpad przebiegał się nawet przez odgłosy pożaru. Boras był silniejszy, wyższy i

naturalnie miał dłuższe ramiona. Z drugiej strony Laurinne okazał się znacznie lżejszy i zwinniejszy. Jeśli natomiast szło o umiejętności... Nie jestem znawczynią, ale pamiętałam, że porucznik przeszedł naprawdę dobrą szkołę, gdy tymczasem jego przeciwnik chyba nie miał ostatnio okazji fechtować. Ze zdziwieniem zrozumiałam, że porucznik miał szansę – malutką, prawie niezauważalną, ale miał! Zresztą natychmiast zrozumiałam, że się mylę. Może Boras nie był prawdziwym mistrzem, ale doświadczenie i siła również się liczyły. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak bardzo cierpiał nadgarstek Laurinne'a, gdy parował ciosy! A poza tym... sam przyznał, że szpada była dla niego zbyt ciężka. Odrobinę, ale jednak... Oznaczało to, że jego ręka niedługo się zmęczy, a wtedy Boras będzie tylko musiał poczekać na odpowiedni moment. Chociaż mogło się też zdarzyć, że jeszcze się z porucznikiem pobawi jak kot z myszą, poniży go raz i drugi...

Wydarzenia rozwijały się całkowicie zgodnie z przewidywaniami. Laurinne poruszał się coraz wolniej, Borasowi udało się raz go drasnąć, niespecjalnie groźnie, ale chyba boleśnie. Zdążyli się odwrócić i teraz patrzyłam w twarz porucznika, bardzo skupioną, niewyrażającą emocji, jakby był to wyłącznie trening. Żadnej zaciętości, wściekłości czy żądzy mordy, nie wspominając już o desperacji. To było zadziwiające.

Miałam związane ręce, mogłam wyłącznie stać i patrzeć. Boras miał lepszy refleks ode mnie i gdybym spróbowała zaatakować go od tyłu, to ucierpielibyśmy zarówno ja, jak i porucznik. A ten ostatni stanowczo coś planował. Żebym tylko wiedziała co! I czy odgrywałam w tym planie, o ile faktycznie istniał, jakąś rolę?

Boras, nacierając, prawie przyparł porucznika do kupy żarzących się drewnianych odłamków. Teraz chłopak cofał się i bronił, ale ponownie udało mu się wywinąć. Laurinne znów znalazł się plecami do mnie. Mogłam teraz zobaczyć twarz Borasa – spokojną, lekko pogardliwą, chyba faktycznie

dobrze się bawił. Jednak to, co zdarzyło się już w następnej minucie, w żaden sposób nie mieściło się w jego planach.

Nieoczekiwanie porucznik przeszedł z obrony do ataku. Boras nie spodziewał się takiego wigoru po wyraźnie zmęczonym przeciwniku, więc cofnął się krok i drugi, ale natychmiast odzyskał rezon i kontratakował. Jednakże Laurinne nie próbował nawet sparować ciosu. Zamiast tego zanurkował pod ramieniem przeciwnika i z całych sił pchnął go ręką w pierś. Mag nie zdążył zareagować, poleciał do tyłu i – nie uwierzyłam własnym oczom! – trafił na ułamany palik sterczący ze strzaskanej drewnianej kraty! Ostry kawałek drewna ukośnie wbił się pod jego lewą pachę, wyszedł od przodu i natychmiast zajął się ogniem – Boras próbował pozbyć się obcego ciała, które blokowało jego kontur energetyczny. Gdyby Laurinne zawahała się choćby na chwilę, nie miałby nawet cienia szansy. Ale on się nie wahał...

Boras ciężko osunął się na ziemię, demonstrując niebiosom głęboką ranę w poprzek gardła, z którą nie przeżyłby żaden człowiek, nawet będący po dziesięciokroć magiem bojowym. Porucznik trochę chyba przesadził, pewnie takiej siły wymagało na polowaniu przecięcie gardła jelenia czy nawet niedźwiedzia, ale nie człowieka.

– Laurinne! – zawołałam półgłosem.

Młodzieniec odwrócił się do mnie, a następnie ponownie spojrzął na niezdradzającego oznak życia Borasa, jak gdyby nie wierzył własnym oczom.

– On... – Potrząsnął głową i pochylił się nad trupem. – Nie żyje... chyba.

Uśmiechnął się lekko szalonym uśmiechem i ruszył w moim kierunku. Chwiały się, poplamione krwią ręce mu drżały, a mokre od potu włosy przykleiły się do czoła.

– Laurinne... – powiedziałam, tłumiąc nerwowy śmiech. – Pan... Czy pan to wymyślił zawczasu? Z tym... kołkiem?

– Nnnie... – Porucznik ponownie i z pewnym niedowierzaniem obejrzał

dzieło własnych rąk. – Myślałem, że może uda mi się chociaż go drasnąć... Zabiłby mnie, ale przynajmniej nie jak prosiaka w masarni... – Potrząsnął głową. – Myślałem, że podejdzie, żeby mnie dobić, to sięgnę go nożem, zatrzymam chwilę, a pani... Potem zobaczyłem tę kratę, kolek... uznałem, że spróbuję... – Chłopak spojrział na mnie nie bez dumy. – Flo, przecież obiecałem pani, że go zabiję! Co pani robi?

– Przecież sam pan widzi! – burknęłam, nawet nie próbując ukryć paskudnego drżenia rąk, i podeszłam do nadal płonących szczątków kratownicy. Przeżyte zdenerwowanie chyba podziałało na mnie pozytywnie, głowa w końcu zaczęła pracować i natychmiast pojawił się w niej plan działania.

Laurinne ze zdziwieniem przyglądał się temu, jak otworzyłam książkę, nie patrząc, wyrwałam kilka stron ze środka i rzuciłam w ogień. Stary pergamin w jednej chwili zmarszczył się, a w następnej zajął wesołym płomieniem. Tymczasem ja wyrwałam kolejne strony i wrzucałam je do ognia, pilnując, by żadnej nie porwał wiatr.

– Słyszałem, jak on mówił, że książka jest chroniona – skomentował porucznik za moimi plecami.

– Przed oddziaływaniem magicznym i jako całość – mruknęłam. – Tymczasem tu mamy najzwyklejszy w świecie ogień, a ona została przedarta. Mogę tylko powiedzieć, że to zawsze jest słaby punkt tego typu zaklęć. W całości tę książkę można było topić, palić zarówno magicznym ogniem, jak i zwykłym, i kompletnie nic by jej się nie stało. Pewnie autor zaklęcia nie wpadł na to, że ktoś spróbuje porwać tak cenny artefakt na strzepy... – Westchnęłam ciężko, mając nadzieję, że moja gra nie wygląda na zbyt naciągana. – Boras sam mi podpowiedział... Szkoda, że wcześniej nie pomyślałam, mogliśmy spalić ją już tam na dole!

Wyrwałam kolejne kilka stron, po czym wrzuciłam do ognia grubą

oprawę.

– I tyle. Właśnie tam powinna się znaleźć!

Jednak mam nie najgorszy refleks. Zdążyłam krzyknąć: „Padnij!” i przewrócić Laurinne’a na ziemię. Nad naszymi głowami przeleciało kilka ognistych odłamków, a obok upadł bliżej nieokreślony kawałek czegoś. Na wszelki wypadek się odsunęłam.

– C–c–co to było? – Laurinne potrząsnął głową, strzepując z włosów piasek i popiół.

– Ach, to... – Wyplułam zgrzytający w zębach piach. – Efekt kolapsu... Nie bardzo mam dobre wyjaśnienie. Pokrótce, Boras zawsze miał solidny zapas energii na nieprzewidziany wypadek, trzymał go w pogotowiu. To jest dosyć niebezpieczne, ale pozwala magowi klasycznemu atakować bardzo szybko, prawie jak niezależnemu. Mag umarł, a energia właśnie znalazła ujście. Laurinne, niech pan lepiej nie patrzy w tamtym kierunku, nawet mnie chce się rzygać...

– Nie będę – obiecał porucznik i zaczął wstawać, po czym syknął przez zęby i padł z powrotem na ziemię.

– Hej, co panu jest? – zaniepokoiłam się. – Trafiło pana?

– Nie. – Popatrzył na mnie żałośnie. – Chyba skręciłem nogę...

– Laurinne, pan się nigdy nie zmieni! – Już nawet nie próbowałam powstrzymać wyrywającego się na zewnątrz nerwowego chichotu. – Zabić najlepszego maga bojowego, przy czym pozostać przy życiu, ale skręcić kostkę na równym miejscu! Jest pan wprost niesamowity!

Jak to zwykle bywa, odważni wojacy dotarli, kiedy było już po wszystkim, i znaleźli nas właśnie tak: przytulonych na środku płonącego dziedzińca i histerycznie śmiejących się z czegoś zrozumiałego wyłącznie dla naszej dwójki. W żebra wbijał mi się kant dobrze schowanej pod kurtką książki Bagrana Takeina Drugiego...

ROZDZIAŁ 30

Dochodzenie

– Tak więc, panno Naren, twierdzi pani, że zniszczyła książkę, która pani zdaniem zawierała niebezpieczne zaklęcia z czasów Wojny Magów? – Przewodniczący Wielkiej Rady przemawiał chłodno i beznamiętnie, dokładnie tak, jak powinien ktoś na jego stanowisku.

– Zgadza się – odparłam krótko. Miałam już po dziurki w nosie takich pytań. Najpierw zadawała je Mała Rada, teraz w końcu zebrała się Wielka... Ale nie ma zmiłuj, musiałam raz po raz powtarzać to samo. Co jak co, ale nigdy nie zdarzyło mi się zaplątać w zeznaniach.

– Dlaczego pani to zrobiła? – Przewodniczący na pewno zapoznał się już z protokołami przesłuchań, ale musiał ponownie zadać mi to pytanie.

– Uznałam, że wiedza zawarta w tej książce może stanowić poważne zagrożenie – powtórzyłam to samo wyświechtane zdanie.

– Zdążyła pani przeczytać ją w całości? – to był Deien Ress. Okazało się, że mój stary znajomy wchodził zarówno w skład Małej, jak i Wielkiej Rady. Przyznam, że niespecjalnie cieszyłam się z tego powodu, bo nie przepadaliśmy za sobą.

– Nie.

– W takim razie w jaki sposób określiła pani, że całe to dzieło stanowiło zagrożenie? – Złośliwie zmrużył oczy.

Przewodniczący, postawny mężczyzna o lekko siwiejących włosach,

popatrzył na niego z aprobatą. Tego maga prawie nie znałam, wiedziałam tylko, że nazywa się Ainor Tanne, niegdyś był znanym magomedyką, a obecnie zajmował się badaniami naukowymi.

– Nie powiedziałam, że cała treść książki była niebezpieczna – odparłam spokojnie. – Dopuszczam możliwość, że mogły znajdować się w niej również zaklęcia nieszkodliwe.

– Niemniej uznała pani, że pozbędzie się tego niewątpliwie bezcennego źródła informacji – nacierał Ress.

Poczułam niepokój. Na posiedzeniach Małej Rady nie był do tego stopnia aktywny. Chciał wykazać się przed Tannem? Czy może miał inne powody do takiego zachowania?

– Zgadza się – odparłam.

– Na jakiej podstawie? – odezwał się przewodniczący.

– Panowie, na bardzo prostej. – Postawa obronna ostatecznie mi się znudziła. – Na tę książkę polował Raimo Boras. Oprócz niego w okolicy mógł znajdować się również ktoś inny. Nie miałam pojęcia, czy uda mi się zachować ten niebezpieczny przedmiot i przekazać go do Kolegium, dlatego uznałam zniszczenie go za lepsze rozwiązanie niż oddanie w obce ręce. Moim zdaniem, jeden wrogo nastawiony mag, któremu udało się zastosować choć jedno z tych zaklęć, narobiłby tyle szkód, że nie zrównoważyłyby tego potencjalne korzyści użycia tej książki w celach pokojowych. A muszę dodać, że są one cokolwiek wątpliwe!

– Niemniej Borasowi prawie udało się zdobyć księgę – zauważył kolejny mag. Tego znałam, doświadczony mag pogodnik z południowego wybrzeża Arastenu, Lott Sernail, dość młody, pewnie mój rówieśnik.

– Owszem. – Skinęłam głową – I to już mój błąd.

– Pani błąd mógł okazać się fatalny w skutkach – rzucił Tanne. – Dlaczego nie pozbyła się pani księgi natychmiast, gdy zrozumiała, co wpadło

w jej ręce?

– W tamtej chwili liczyłam jeszcze, że uda mi się dotrzeć do przedstawicielstwa Kolegium – odpowiedź ta była całkowicie prawdziwa. – Poza tym odkryłam, że księga chroniona była przed zniszczeniem, a ja nie miałam czasu na szukanie sposobu, by obejść tę ochronę.

– Ale ostatecznie jednak się to pani udało – zauważył Ress.

– Tak, dzięki Borasowi – odparłam spokojnie, mimo że tak naprawdę ledwo hamowałam irytację. Wiedziałam, że moje odpowiedzi nie wyglądały szczególnie przekonująco, ale innych nie miałam, a kłamstwo mogło okazać się niebezpieczne.

„Trzymaj się swojej wersji – polecił mi dziadek, a jego rad warto było słuchać. – Nie mają przeciwko tobie kompletnie nic. Ostatecznie będą cię jeszcze musieli nagrodzić!” Akurat w te nagrody nie bardzo wierzyłam. Wielka Rada wyglądała na nastawioną wyjątkowo nieprzychylnie. W sumie trudno się dziwić, przeszło im koło nosa dziedzictwo Takeinów!

– Jak mamy to rozumieć? Byliście w zмовie? – Ress nie chciał dać za wygraną. Stanowczo coś za tym stało! Nigdy przedtem się tak nie zachowywał! Ale po co miałyby mnie obsmarowywać, i to jeszcze w tak idiotyczny sposób?

– Oczywiście, że tak – odparłam jadowicie i mag aż podskoczył ze zdumienia. Tanne i pozostali nadstawili uszu. – Uzgodniliśmy, że jeśli nie będę stawiać oporu, to zabije mnie szybko.

– Panno Naren, bardzo proszę, by powstrzymała się pani od żartów, które są tu zupełnie nie na miejscu – poprosił przewodniczący sucho. – Zebraliśmy się tutaj bynajmniej nie w celu odbycia pogawędki towarzyskiej.

– W takim razie może nie będziemy odchodzić od tematu posiedzenia i próbować ustalić, czy przypadkiem nie byłam w zмовie z Raimo Borasem i jak dokładnie podpowiedział mi on sposób zniszczenia książki? –

rozzłościłam się. – Mam wrażenie, że wszystko to ustalone zostało podczas wstępnego dochodzenia, a wszystkie protokoły są do panów całkowitej dyspozycji. Poza tym, o ile nie wystarczy wam słowo niezależnego magajustycjariusza, to przypomnę, że mam świadka.

– Panno Naren, proszę się tak nie gorączkować – poprosił Tanne ugodowo. – Takie są procedury. Zresztą, mając na uwadze pani nieposzlakowaną reputację, wydaje mi się, że możemy darować sobie powtarzanie szczegółów. Panowie, czy zapoznaliście się z protokołami?

Panowie potwierdzili, że faktycznie się zapoznali, niektórzy nawet kilka razy. Ress próbował protestować, ale nie otrzymał prawa głosu. To mimo wszystko było dziwne... Zwykle nadworny mag nie wykazywał w stosunku do mnie tak jawnej niechęci, nie leżało to w jego zwyczajach. Zresztą szybko zostawiłam go w spokoju, ponieważ do sali wprowadzono mojego jedyne go świadka – porucznika Laurinne'a. Od chwili rozpoczęcia śledztwa widziałam go zaledwie raz, podczas konfrontacji, i młodzieniec mnie nie zawiódł. Jego zeznania były idealne, mówił dokładnie to, co powinien był powiedzieć, i miałam całkowitą pewność, że powtórzy to tyle razy, ile będzie musiał.

– Porucznik gwardii królewskiej Laur Laurinne – ogłosił sekretarz. – Świadek i bezpośredni uczestnik opisywanych wydarzeń.

Zerknęłam w kierunku porucznika. Trzeba przyznać, że nie wyglądał najlepiej: blady, ciemne kręgi pod oczami, poruszał się jakoś niepewnie, jak gdyby próbując nie wykonywać gwałtownych ruchów... Zresztą nic dziwnego, Laurinne był osobnikiem wrażliwym, a przesłuchanie w Kolegium obliczone było raczej na ludzi o mocniejszych nerwach.

– Panie Afaz – odezwał się przewodniczący – wydaje mi się, że nie ma sensu po raz kolejny zapoznawać się z zeznaniami porucznika Laurinne'a?

– Dokładnie tak, panie Tanne – skłonił głowę jeden z magów, niemłody już, o uważnym spojrzeniu małych czarnych oczu, chowających się pod

pomarszczonymi powiekami. W stosunku do niego starałam się być możliwie ostrożna, magokat mimo wszystko nie należał do ludzi, z którymi warto psuć sobie stosunki. – Porucznik Laurinne potwierdza wszystko, co powiedziane zostało przez pannę Naren. Słowne i pisemne zeznania są dokładne, precyzyjne i niesprzeczne. Natomiast fakt zniszczenia książki podanym przez pannę Naren sposobem można uznać za potwierdzony z całą pewnością. – Afaz odetchnął i rzucił mi ostre spojrzenie. – Panowie, dokumenty potwierdzające są przed wami. Poświadczone zgodnie z protokołem...

Przewodniczący łaskawie skinął głową i zaszeleścił papierami. A ja nieoczekiwanie zrozumiałam, o jakim potwierdzeniu z całą pewnością była mowa. Czyli to dlatego Laurinne był blady jak trup i poruszał się jak mucha w smole!

– Chce pan powiedzieć – gwałtownie podniosłam się z miejsca – że świadek został przesłuchany przez magokata?!

– Panno Naren, dlaczego to panią tak dziwi? – Tanne oderwał się od papierów i uniósł krzaczaste brwi. – Musieliśmy się upewnić, że ten młody człowiek podał nam wszystkie – i to absolutnie wszystkie! – szczegóły.

– Pan przewodniczący ma całkowitą rację. – Afaz wbił we mnie nieruchome, rybie spojrzenie. – Istniała wyłącznie jedna metoda potwierdzenia pani słów lub zaprzeczenia im i Rada musiała z niej skorzystać.

– I zakładam, że mieli panowie pozwolenie Jego Królewskiej Mości Arneliusza na uzyskanie w ten sposób zeznań od porucznika gwardii królewskiej? – wysyczałam przez zęby. – Czy Jego Królewska Mość w ogóle cokolwiek o tym wie?

– Panno Naren! – Ress podniósł rękę. W jego spojrzeniu nie było nawet odrobiny przychylności. – Musi pani rozumieć, że w zaistniałej sytuacji Kolegium może postępować wedle własnego uznania i nie potrzebuje w tym

celu żadnego pozwolenia od władz świeckich. – Nagle ton jego głosu zrobił się zwodniczo przymilny: – Jak również, panno Naren, proszę nie zapominać, że w chwili obecnej jest pani świadkiem i uczestnikiem opisywanych wydarzeń, ale w każdej chwili może pani zostać podejrzaną i nawet status pani nie uratuje.

Oniemiałam, co najpewniej wyszło mi na dobre... Czyli to tak! Sprawa zmierzała w kierunku dosyć nieoczekiwanym, który, przyznam, kompletnie mi się nie podobał. „Trzymaj się swojej wersji! – przedrzeźniałam w myśli dziadka.

– Łatwo powiedzieć! Czy może powinnam po prostu opowiedzieć im o swoich domysłach co do Naora i niech się męczą? Ale nie, w takim wypadku nie wyjdę stąd przez następne trzy lata. Nie mówiąc o tym, że każdy z tych magów mógł się okazać Naorem. Nawet Ress... Czy nie? Mało prawdopodobne, by Naor w tak oczywisty sposób okazywał niechęć w stosunku do mojej osoby. Ale Ress mógłby dla niego pracować...” Musiałam zachować milczenie, ale tylko bogowie wiedzą, ile mnie to kosztowało!

– Panie Ress, proszę nie przesadzać – wtrącił się przewodniczący, słusznie oceniając wyraz mojej twarzy. – Na razie nie mamy żadnych podstaw, by podejrzewać pannę Naren o jakiegokolwiek działania niezgodne z prawem.

– Na razie nie mamy – zgodził się Ress.

– Zeznania świadka również nie dają powodów, by wątpić w to, co opowiedziała nam panna Naren – z naciskiem ciągnął Tanne. – Czyż nie, panie Afaz?

– Dokładnie tak – potwierdził zapytany, świdrując mnie wzrokiem. Laurinne patrzył w podłogę, nie reagując na otoczenie. Musiał naprawdę nieźle oberwać! Ciekawa byłam, dlaczego przewodniczący nagle utemperował Ressa? Bał się skandalu? A jużci... Nie chciał psuć stosunków

ze mną? Chyba również nie. Szkoda, że nie miałam dobrych znajomych w Kolegium, naprawdę chciałabym wiedzieć, co się kryło za kulisami!

Tanne zadał jeszcze kilka pytań, na które odpowiadałam przez zaciśnięte zęby, ale w miarę możliwości uprzejmie, a następnie zaproponował, by wypowiedziała się reszta zebranych. Oczywiście skorzystali z prawa głosu wciąż ci sami: Ress, który optował za tym, by kontynuować dochodzenie, i Sernail, który chciał się dowiedzieć czegoś więcej o sposobie zniszczenia książki. Kolejnych paru w ogóle nieznanym mi magów spytało o mniej istotne szczegóły (głównie o to, czy może udało mi się w przelocie zapamiętać przynajmniej coś z przeczytanego tekstu, na które to pytanie oczywiście odpowiedziałam przecząco) i na tym zebranie Rady się zakończyło.

– Panno Naren, bardzo panią proszę, by w najbliższym czasie nie opuszczała pani Arastenu – powiedział na pożegnanie przewodniczący.

– To jak mam niby pracować? – spytałam gniewnie.

– Cóż, panno Naren, będzie pani musiała na jakiś czas zrezygnować z pracy w terenie. – Tanne rozłożył ręce. – Będziemy zajmowali się wyjaśnianiem okoliczności związanych z tak dziwnym zachowaniem Raimo Borasa, a pani może udzielić nieocenionej pomocy w dochodzeniu...

– Zna pan mój cennik? – Posłałam mu słodki uśmiech i przewodniczący wyraźnie spochmurniał. Nawet Kolegium nie miało prawa żądać ode mnie darmowych usług. – Widzę, że pan zna. W takim razie proszę dać znać, jeśli moja pomoc okaże się potrzebna, a chwilowo pozwoli pan, że się pożegnám! Laurinne!

Porucznik podniósł głowę, ledwo zauważalnie się skrzywił i spojrzął na mnie z nadzieją.

– Idziemy – rozkazałam i posłałam wartownikowi, który właśnie ruszył w kierunku porucznika, takie spojrzenie, że biedak aż się cofnął. – Szybko!

– Panno Naren, pan porucznik będzie nam jeszcze potrzebny... – Ress próbował mnie powstrzymać, ale udałam, że nie słyszę.

– Panie Tanne, czyżby miał pan zamiar pozbawić mnie nie tylko możliwości poruszania się poza miastem, ale również towarzysza? – Zmrużyłam oczy, ignorując Ressa. Sądząc z oznak, przewodniczący z niewiadomego powodu stanął po mojej stronie, więc to raczej do niego należało spacyfikowanie dworskiego maga.

– W żadnym razie. – Uśmiechnął się w odpowiedzi. Naprawdę chciałabym wiedzieć, co myśli! – Jeżeli pani albo ten młody człowiek będziecie nam potrzebni, to zawsze możemy was wezwać, czyż nie?

– Dokładnie tak – wycedziłam. – Miłego dnia, panie Tanne!

– Do zobaczenia, panno Naren – uprzejmie odpowiedział przewodniczący. Jego spojrzenie świdrowało mi plecy. Afaz patrzył beznamiętnie, dokładnie tak, jak powinien dobry magokat. Ress odwrócił się i pocierał skronie, jak gdyby próbując pozbyć się bólu głowy, cała reszta zajęta była rozmową.

– Panno Naren... – odezwał się porucznik, gdy tylko wyszliśmy z sali posiedzeń. Nie mógł za mną nadążyć, ale chciałam możliwie szybko wydostać się z siedziby Kolegium.

– Laurinne, niech pan wytrzyma – rzuciłam. – I póki co siedzi cicho.

Chłopak w milczeniu skinął głową, dogonił mnie i przez chwilę siedł obok.

– Panno Naren! – zawołał ktoś z tyłu. No czego tam jeszcze?!

Okazało się, że to Lir Tawal, drugi zaufany mag Arneliusza. On nie wchodził w skład żadnej z Rad, ale tak samo jak wielu innych kręcił się w pobliżu, polując na świeże plotki. Chciałabym wiedzieć, kto w tej chwili pilnował bezpieczeństwa Jego Królewskiej Mości.

– Czego pan sobie życzy? – spytałam gwałtownie. Nie miałam specjalnej

ochoty na rozmówki i mimo że Tawal zawsze był dla mnie uprzejmy, chciałam możliwie szybko się go pozbyć.

– Panno Naren, mam nadzieję, że wszystko z panią w porządku? – zapytał z niepokojem. – Wygląda pani, jakby...

– Ze mną wszystko jest w najlepszym porządku – odparłam. Tego jeszcze brakowało! Niektórzy mężczyźni są gorsi niż baby na bazarze. Zaraz zaczniesz się pchać ze swoim współczuciem, a motyw ma wypisany na twarzy: dowiedzieć się czegoś ciekawego, o czym członkowie Wielkiej Rady by się nie wygadali! Obrzydliwe... – Przepraszam, bardzo się śpieszę.

– Panno Naren... – Tawal zaczął iść obok. – Dotarła do mnie pogłoska, że niektórzy członkowie Rady nie są do pani nastawieni zbyt przychylnie...

– To już ich problem – ucięłam.

– Obawiam się, że pani również – odparł mag poważnie, ostrożnie dotykając mojego łokcia. – Trudno powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, ale na pewno wiem, że istnieją ludzie pani niechętni. I że jest ich wielu.

– Dziękuję, ale jestem tego świadoma. – Przyśpieszyłam kroku.

– Panno Naren, może pani na mnie liczyć – szepnął Tawal ledwo dosłyszalnie. – Na mnie i na innych. W Kolegium nie ma jedności, proszę o tym pamiętać...

Został z tyłu i skręcił w jakiś korytarz, a ja mogłam tylko półgłosem zakląć. No nieźle! Najpierw Ress próbuje rzucić mi się do gardła, Tanne zakłada mu kaganiec, teraz Tawal z ofertą pomocy! A on co się spodziewa z tego mieć?! „W Kolegium nie ma jedności”! Udało mu się mnie zdziwić, to na pewno... W tych wszystkich gierkach po prostu nie sposób się połapać bez butelki orty, a ja bez tego miałam dosyć problemów! I to paskudne poczucie, że ktoś znowu próbował posłużyć się mną do osiągnięcia własnych celów, tyle że tym razem nie był to wyłącznie Naor, lecz całe Kolegium! Zresztą,

jeżeli Naor do niego należał, co można było uznać praktycznie za pewnik, to gra po prostu przeniosła się na nowy poziom. A ja nadal nie miałam pojęcia o zasadach, jak również o stawkach i celu rozgrywki!

Tym razem zakląłam w północnym dialekcie – w rodzimym języku po prostu zabrakło mi określeń, które mogły w pełni wyrazić moje emocje – wyleciałam pod otwarte niebo i zażądałam osiodłania koni. Spojrzałam na Laurinne’a, który w świetle słońca wyglądał jeszcze gorzej, zakląłam ponownie, na cały głos. Porucznik nie zareagował, chyba był już na granicy wytrzymałości.

– Wytrzyma pan przynajmniej do gospody? – spytałam.

– Oczywiście. Ale wolałbym do Arastenu... – Młodzieniec mówił bardzo cicho i wiedziałam dlaczego: w tej chwili każdy głośny dźwięk był dla niego torturą.

– Trochę daleko – stwierdziłam. – Ale zobaczymy, jak nam pójdzie. Laurinne, jedziemy.

– Tak jest.

Otworzono bramę. Nareszcie! Przez ostatni tydzień bez przerwy tkwiłam w tym przeklętym majątku. Szczęśliwie dla mnie do chwili naszego powrotu z Tarnaju zdążyła zebrać się wyłącznie Mała Rada, a i to niekompletna, więc miałam czas zameldować o sytuacji Jego Królewskiej Mości i porozmawiać z dziadkiem. Nie zdążyłam poinstruować porucznika, ale wyglądało na to, że poradził sobie i bez moich pouczeń.

Jechaliśmy w milczeniu. Laurinne spróbował nawiązać rozmowę, ale powstrzymałam go gestem: tutaj, tak blisko siedziby Kolegium, stanowczo lepiej było nie mleć językiem. A zawsze lepiej dmuchać na zimne, niż potem płakać.

Do karczmy dotarliśmy już po zmroku i jak na złość nie było tam wolnych pokoi, nawet w stajni ktoś nocował. Cóż, jesień, najgorętszy sezon

na handel, więc ludzie ciągnęli do stolicy... Nie miałam ochoty na noc pod otwartym niebem – polecie się skończyło, a jesień była zimna i mokra. Dlatego też daliśmy koniom odpocząć, zjedliśmy kolację i ruszyliśmy dalej. Przyznam, że żywiłam pewne obawy co do tego, czy porucznik wytrzyma takie tempo, ale na razie nie narzekał. Niestety, nie mogłam mu pomóc, moje umiejętności magomedyka w tym wypadku były niewystarczające, potrzebowałam jeszcze kilku specyfików. Na szczęście Laurinne jednak dotrwał do Arastenu, chociaż przez chwilę obawiałam się, że będę musiała przerzucić go przez siodło jak porwaną narzeczoną i wieźć dalej w charakterze ładunku.

Do mojego domu dotarliśmy, gdy zaczynało już świtać. Szczęśliwie w środku nie czekały żadne niespodzianki i za to dzięki niech będą losowi...

– Niech pan spocznie – poleciłam białemu jak świeżo tynkowana ściana porucznikowi. – I chwilę posiedzi w spokoju, zaraz spróbuję doprowadzić pana do porządku.

Sądząc po tym, że Laurinne nie zaprotestował ani słówkiem, gdy najpierw zaprowadziłam go do domu, a następnie wciągnęłam do gabinetu na piętrze, można było zakładać, że naprawdę czuł się fatalnie. „Ósmy poziom, nie mniej – oszacowałam stopień oddziaływania. – Skoro już zajął się nim sam Afaz... I może nawet nie tylko on. A dla nieprzygotowanego człowieka...” Ponownie zakląłam przez zęby i zabrałam się do pracy.

Ciekawe, czego tak bardzo chcieli się od porucznika dowiedzieć? Przecież nie potrzebowali specjalisty poziomu Afaza, żeby zobaczyć, jak paliłam księgę, to niedawne wydarzenie i jeżeli przesłuchiwana osoba gotowa jest współpracować, to procedura przesłuchania była prosta jak splunięcie. A mało prawdopodobne, by Laurinne stawiał opór, ostatecznie rozumiał, o jaką stawkę idzie gra. Ale nic, będę mogła zapytać go później, gdy poczuje się już nieco lepiej...

– Flo – odezwał się przedmiot moich rozmyślań – chciałem...

– Powiedziałam, żeby siedział pan cicho – przerwałam mu, kończąc przygotowania. – Proszę to wypić. Powinno pomóc. Niech pan pije, nie ma tu co wachać! Przecież pana nie otruję...

Na twarzy Laurinne'a dawała się wyczytać pewna wątpliwość w tej kwestii, ale jednak wypił oferowany specyfik. Z ciekawością czekałam na wyniki – dotąd nie miałam okazji wypróbować tej mikstury na żadnej ofierze.

– I jak? – spytałam w końcu.

– Tt–taktyka wojskowa... – wykrztusił Laurinne, desperacko przełykając ślinę. Trupia bladość nieco ustąpiła, ale nie wyglądał przez to dużo lepiej. – Jeżeli w jednym miejscu jest wyjątkowo źle, to trzeba przenieść uwagę wroga na inny odcinek frontu... A pani jeszcze mówiła, że mnie nie otruje!

– Widzę, że faktycznie lepiej się pan czuje – skonstatowałam. – Proszę popić. I niech pan tak na mnie nie patrzy, to orta.

Laurinne z obawą spróbował napoju, przekonał się, że to faktycznie orta, i nieco rozluźnił.

– Całkiem nieźle się pan trzyma – pochwaliłam.

– Flo, a co mam zrobić? – Uśmiechnął się blado. – Muszę pani coś powiedzieć...

– Słucham. – Przysiadłam na podłokietniku fotela. – Przyznam, że jestem bardzo zdziwiona. Oczywiście widział pan wiele ciekawych rzeczy, ale poznanie szczegółów absolutnie nie wymaga zapraszania najwyższej klasy magokata. Interesował go Boras?

– Dokładnie tak. – Laurinne przymknął oczy, jego ciemne rzęsy wyraźnie odbijały się na tle bladej twarzy. – Ale nie tylko on. O ile dobrze zrozumiałem, najbardziej interesowała ich pani.

– Ja? – Zmarszczyłam brwi. – A co dokładnie?

– Nie wiem... – Porucznik pokręcił głową i uświadomiłam sobie, że faktycznie nie miałam prawa spodziewać się po biedaku, by zrozumiał, czego konkretnie szukał magokat! – Po prostu... znaczy... Flo, nie wiem jak to wyjaśnić... Ale to, czego szukali, było powiązane z panią. Szczególnie ostatnie miesiące...

Wciągnęłam powietrze przez zaciśnięte zęby. Sprawdzały się moje najgorsze przewidywania. Może to tylko naturalne wścibstwo Kolegium, ale dlaczego właśnie teraz? Czy dałam choć jeden powód, by zwątpili w moje intencje? Ale nie było to ważne, liczyło się co innego – ile zdołali wyciągnąć z Laurinne'a?

– Próbowałam sprawić, by nic nie zobaczyli – dodał porucznik cicho.

– To było bardzo głupie! – warknęłam może nieco zbyt gwałtownie. – I właśnie dlatego w tej chwili czuje się pan aż tak parszywie. Im większy opór człowiek stawia magokatowi, tym bardziej obrywa w trakcie przesłuchania, a sensu w tym i tak nie ma żadnego, bo zawodowiec pokroju Afaza wyciągnie wszystko, co będzie chciał, i jeszcze odrobinę.

– Tyle to zrozumiałem – przyznał Laurinne. – I dlatego ja... znaczy...

– Co? – Zmarszczyłam brwi.

– Gdy szukali wspomnień o pani, podsuwałem im... – Na jego twarzy wystąpiły ceglaste rumieńce, a ja przygryzłam wargę, żeby się nie roześmiać. – Znaczy... co innego... Pomyślałem, że gorzej będzie, jak dowiedzą się, że szuka pani Naora, a nie o tym...

– Nie przestaje mnie pan zdumiewać – przyznałam. Cóż, młodzieńcowi można było tylko pozazdrościć zaradności: magokat chciał dowiedzieć się o mnie jak najwięcej, więc zobaczył dokładnie to, co porucznik wiedział. Chciałabym zobaczyć minę Afaza na widok paru z tych momentów! Oczywiście i tak mógł on wyciągnąć wszystko, czego potrzebował, ale chyba nie dostał rozkazu uszkodzenia ofiary, a po naprawdę dogłębnym

przesłuchaniu Laurinne mógł zwariować. – Ciekawe, czy ta pańska sztuczka podziałała, a jeśli tak, to w jakim stopniu...

– To jeszcze nie wszystko – dodał.

– Jeszcze coś?

– Potem zaczęli grzebać dalej. – Porucznik spojrział na mnie z dołu. – Już nie o pani, tylko o moim dzieciństwie.

Gwizdnęłam. No proszę, proszę...

– Czego konkretnie szukali?

– Nie mam pojęcia. – Pokręcił głową. – Przecież bardzo słabo pamiętam tamte czasy, już kiedyś pani mówiłem. A oni zmuszali mnie, żebym przypominał sobie nie majątek, tylko to, co działo się tutaj, zanim ojca zdegradowano.

– Tego tylko brakowało! – rzuciłam zdenerwowana i wstałam.

Nie, teraz to już kompletnie nic nie rozumiałam. No niech będzie, wiedza o mnie mogła im się przydać. Ale czego Afaz szukał w dzieciństwie Laurinne'a? Kto wydał mu ten rozkaz? Tak głębokie wyszukiwanie mogło zabić przesłuchiwaną osobę i magokat doskonale o tym wiedział! Czy może była to jego osobista inicjatywa?

I znowu ślepy zaułek. Nie mogłam przecież zażądać odpowiedzi od Tannego, Afaza i reszty.

– Niech pan czeka... – Coś w słowach porucznika wzbudziło moją czujność. – Powiedział pan „szukali”. Kto jeszcze nad panem pracował oprócz Afaza?

– Afaz to taki starszawy i pomarszczony? – sprecyzował Laurinne. Skinęłam głową. – On pytał tylko o Borasa. Dowiedział się, czego chciał, i już. A następnego dnia przyszło jeszcze dwóch, nie przedstawili się i powiedzieli ochronie, że mają polecenie od przewodniczącego Rady, by sprawdzić kilka szczegółów... Że niby to drobiazg i nie ma sensu ściągać w

tym celu pana Afaza, bo on ma ważniejsze sprawy.

– Kto, kto to był? – spytałam niecierpliwie.

– Nie wiem – stwierdził porucznik ze smutkiem. – Nie przedstawili się. Ale na posiedzeniu na pewno żadnego z nich nie widziałem. Jeden... jeden z nich wydał mi się znajomy, ale nigdy wcześniej go nie spotkałem. Tyle że nadal coś... – zamyślił się. – Nie, nie wiem. Ni to głos, ni to maniery...

– Niech mi pan ich opisz – rozkazałam. Słaba nadzieja, nie każdego członka Kolegium znałam z nazwiska, a już tym bardziej z twarzy.

Już wiele razy wspominałam, że porucznik miał doskonałą pamięć wzrokową. Opis wyszedł krótki, ale treściwy i barwny. Jednego z tych magów chyba znałam, kilka razy spotkałam go w siedzibie Kolegium. Jak mu tam było? Ach tak! Wac Ilgon, młody i dosyć uznany magomedyk, który wślawił się tym, że wynalazł metodę bezoperacyjnego usuwania z ran ciał obcych. Co prawda po tym nie wymyślił już nic sensownego, a przynajmniej nic nowego o nim nie słyszałam. Drugiego przesłuchującego nie udało mi się rozpoznać i właśnie to było bardzo dziwne. No dobrze, mógł potrzebować Ilgona, na wypadek gdyby przyszło ściągać Laurinne'a z pogranicza lepszego świata – na takim przesłuchaniu zawsze obecny jest magomedyk i Afazowi również musiał towarzyszyć któryś z nich. Czyli ten drugi mag był katem. Ale akurat ilość magokatów w Kolegium była bardzo ograniczona i każdego doskonale znałam z widzenia. I ani jeden nie pasował do opisu! Nie mówiąc już o tym, że żaden nie był aż tak młody... W takim razie kim był ten człowiek?

Poczułam się trochę nieswojo. Jeżeli ktoś udawał magokata, nie będąc nim, a przy okazji całkiem profesjonalnie poprowadził przesłuchanie i pytał o całkiem ciekawe rzeczy... Musiał to być albo Naor we własnej osobie, albo ktoś z jego podwładnych – mało prawdopodobne, by przeprowadzał operacje o takiej skali całkowicie sam. Ciekawe, czy ten lipny kat nabrał Ilgona, czy

tamten wiedział, co robi? Przydałoby się zamienić z nim parę słów, ale jak niby miałam to zrobić?

Na dodatek „kat” wydał się porucznikowi znajomy, mimo że nie potrafił przypomnieć sobie twarzy. A pamięć miał doskonałą, oko do szczegółów również. Czyli jeżeli mówił o głosie i manierach, to bardzo prawdopodobne było, że już kiedyś tego człowieka spotkał. A jeśli nie rozpoznał twarzy, to... Najprostsze wyjaśnienie, „kat” się osłonił. Zwykłych ludzi dawało się oszukać zmianą twarzy, ale zmiana głosu i drobiazgi typu ulubionych gestów, fraz czy sposobu poruszania były znacznie trudniejsze do podrobienia niż zwykłe nałożenie iluzji. Czyli ten fałszywy „kat” założył, że taka maskarada wystarczy, by zmylić ochronę i Laurinne’a. Ilgona najwyraźniej się nie obawiał, a ponieważ każdy mag mógł z łatwością zobaczyć prawdziwą twarz osoby chowającej się za maską iluzji, wychodziło na to, że medyk doskonale wiedział, z kim idzie na tę niebezpieczną wyprawę. Gdybym tylko mogła go przesłuchać! Ale, niestety, taka możliwość nie wchodziła w grę...

– Chyba miał pan przyjemność spotkać któregoś z pomocników Naora – poinformowałam porucznika, który cichutko siedział w fotelu. – A może nawet jego we własnej osobie. Ale na wszystkich bogów, znanych i nieznanym, czego on się chciał dowiedzieć?! Laurinne, po cholere mu było pańskie dzieciństwo, co pan mógł takiego widzieć?

– Właśnie o to chodzi, że nic! – rzucił z rozpaczą. – Chyba ten mag bardzo się wściekał, bo w końcu nie udało mu się zmusić mnie, żebym zobaczył cokolwiek. Wszystko było... jak za mgłą. Jakieś cienie, głosy i tyle. Widziałem swojego ojca, ale potem ten drugi mag powiedział, żeby kończyć, póki mnie nie zabili.

– Ojca? – Nadstawiłam uszu. – Ojca...

Lagarst polował na Naora i akurat to wiedzieliśmy z całą pewnością. Znał

też prawdziwą tożsamość maga, ale brakło mu dowodów... Może przy pomocy partnera potrafiłby je zdobyć, ale został zesłany i stracił swobodę działania. Ale i tak się nie wycofał, za co zapłaciła cała jego rodzina.

Już założyłam, że Naor dowiedział się o zainteresowaniu ze strony Lagarsta i właśnie dlatego go wrobił – chcąc pozbyć się przeszkody. Na pewno się znali, czyli Lagarst widział jego twarz.

– Nie rozumiem – rzuciłam w zamyśleniu. – Po co mu było właśnie pańskie dzieciństwo? Jeżeli chciał się przekonać, czy Lagarst nie wtajemniczył pana w swoje sprawy, to znacznie logiczniejsze byłoby skorzystanie z późniejszych wspomnień, gdy był pan starszy i bardziej świadomy.

– Może zdecydował, że gdyby ojciec mi cokolwiek opowiedział, to pani już by o wszystkim wiedziała? – zasugerował Laurinne, a ja się z tym zgodziłam.

– Owszem. Gdybym posiadała te same dane co pański ojciec, to już poradziłabym sobie z całą łamigłówką. A ponieważ nadal drepczę w miejscu, to jaki wniosek może z tego wysnuć Naor?

– Boi się pani działać – stwierdził porucznik. – Chociaż to kompletnie do pani niepodobne.

– I znowu ma pan rację – odpowiedziałam mu krzywym uśmiechem. – A w takim razie co? Albo wyczekuję na odpowiedni moment i zbieram niezbite dowody, albo...

Laurinne patrzył z nieukrywanym zainteresowaniem, jak zawsze gdy informowałam go o swoich wnioskach.

– Albo chcę go sprowokować. Wymusić zrobienie pierwszego kroku – ciągnęłam. – On również nie zna moich celów. Cóż, to nawet nieźle. Gdybym jeszcze wiedziała na pewno, czy pańskie wspomnienia o mnie go oszukały...

Porucznik spochmurniał. Wyraźnie nadal nie mógł się otrząsnąć.

– Niech pan da spokój – powiedziałam, rozumiejąc jego rozterki. – Nie potrafiłby pan stawić oporu magokatowi... A raczej temu, kto się za niego podawał. Poza tym sprzeciw tylko upewniłby go, że szuka we właściwym kierunku. Ale jeżeli pokonawszy tenże sprzeciw, zamiast naszych rozmów o Naorze zobaczył pewne igraszki... Cóż, w takim razie mógł uwierzyć, że właśnie to usiłuje pan z takim poświęceniem ukryć. Przynajmniej mam na to szczerą nadzieję.

– A jeśli nie? – zapytał Laurinne posępnie.

– W takim wypadku zrozumiał, że wiem co nieco o Naorze. Ale co dokładnie... – Nabiłam fajkę i zapaliłam. – Przecież nie powinien zakładać, że opowiedziałam panu absolutnie wszystko!

– Dlaczego pani tak uważa?

– Sądząc z tego, jak dokładnie się osłania, nie ufa otoczeniu. A ludzie zwykle sądzą innych własną miarą. – Uśmiechnęłam się. – Poza tym w zasadzie ma rację.

Porucznik wzruszył ramionami i zapatrzył się w podłogę.

– Ale to wszystko są zgadywanki – podsumowałam. – Równie dobrze mógł uznać, że od dawna o wszystkim wiem, a pan jest z moimi domysłami na bieżąco. Tak więc, Laurinne, musi pan teraz zachować podwójną ostrożność. Jeżeli uzna, że należy przepytać pana ponownie, tym razem już nie na terenie Kolegium, gdzie musiał zachować przynajmniej minimalną ostrożność, to nie dam za pańskie zdrowie i życie nawet fałszywego rissa! – Wypuściłam kółko dymu i spojrzałam na porucznika, który z każdą chwilą pochmurniał coraz bardziej. Faktycznie, niezbyt radosne, z myśliwego stać się zwierzyną, doskonale to rozumiałam! – Mało kto odważy się zaatakować mnie, a jeśli nawet, to nie poddam się tak od razu. Pan natomiast jest dla maga łatwą zdobyczą, a nie chciałabym stracić stałego towarzysza.

– Pani... mówi to poważnie? – Laurinne spojrzał na mnie z takim zdumieniem, że poczułam rozbawienie.

– W zasadzie to już się do pana przyzwyczaiłam – odpowiedziałam całkiem szczerze. – Można z panem pracować, choć nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek to powiem!

Porucznik posłał mi nieśmiały uśmiech.

– Ale nie zbaczajmy z tematu – dodałam. – Skończyliśmy na tym, że ani ja, ani Naor chwilowo nie możemy wykonać kolejnego kroku. Ja nie mam dosyć informacji, nie mogę nawet ustalić, kim on jest, a mam tłumy podejrzanych! Tymczasem on nie wie, co dokładnie wiem ja. Ślepy zaułek.

– Flo, to co ma pani zamiar zrobić? – zapytał Laurinne.

– Wyczekiwać. – Uśmiechnęłam się bez cienia wesołości. – W końcu co jeszcze mogę? Jego Królewska Mość został uprzedzony, więc... Tfu, kompletnie wyleciało mi z głowy! Laurinne, czy już się pan nieco lepiej czuje?

– Tak jest.

– W takim razie proszę natychmiast jechać do pałacu... – Usiadłam przy biurku, żeby napisać liścik, ale natychmiast zrezygnowałam. – I przekazać ustną wiadomość ode mnie Jego Królewskiej Mości. Jak pan to zrobi, już pańska w tym głowa. Mogłabym pojechać sama, ale lepiej będzie nie pojawiać się tam zbyt często, a pan mimo wszystko służy w pałacu, więc wzbudzi mniej podejrzeń...

Porucznik poważnie skinął głową.

– Proszę powtórzyć królowi, że jeden z jego zaufanych magów wzbudza moje podejrzenia – poleciłam. – Ten, który przedtem nie wywoływał żadnych. Wydaje mi się, że zrozumie. Na razie nie warto podejmować w tej sprawie żadnych kroków, nie mamy dowodów, ale warto zachować ostrożność.

Wypowiadanie imion było niebezpieczne, a w świetle tego, o czym rozmawiałam z Arneliuszem wcześniej, powinien się domyślić, że chodzi o Deiena Ressa. Nie bardzo mogłam uwierzyć, że to właśnie on był Naorem, ale nie należało takiej możliwości całkowicie wykluczać...

– W takim razie do dzieła – zakomenderowałam. – I niech pan weźmie konia z mojej stajni, bo ten pański potwór jeszcze pana zrzuci.

– Flo, nie trzeba – Laurinne zdecydowanie odmówił. – Przecież sama pani zawsze mówi o swojej reputacji...

– Ale co takiego gorszącego może być w tym, że pożyczyłam towarzyszącemu mi oficerowi konia? – zdziwiłam się. – Poruczniku, niech się pan ze mną nie spiera. Każę, by Dim osiodłał Ruta, on jest spokojnym chłopcem w odróżnieniu od tego pana gniadosza. A jeżeli tak bardzo niepokoi pana moja reputacja... – westchnęłam – to niech pan będzie przygotowany na to, że w każdej chwili ktoś może zagrozić panu możliwością upublicznienia naszych dosyć bliskich stosunków.

– Myśli pani, że Naor może uciec się do szantażu?

– Oczywiście! – prychnęłam. – Niby dlaczego miałby tego nie zrobić? Wracając do sedna, czy mam pana uczyć, jak reagować na takie groźby?

– Chyba nie trzeba. – Laurinne wstał. – Wysłucham wszystkiego, co taki osobnik powie. Będę błagał, by tego nie robił, nawet nie przyjdzie mi specjalnie udawać. A jeśli coś zaproponuje, to poproszę o chwilę do namysłu... w przypadku jeśli będzie mu chodziło o ojca lub coś w tym stylu. Jeżeli nie da mi czasu, to będę musiał się zgodzić. Tak dobrze?

– Bardzo dobrze. – Uśmiechnęłam się z zadowoleniem. Porucznik zdecydowanie robił postępy. – Tylko proszę nie zgadzać się zbyt łatwo, bo to zawsze podejrzenie wygląda. I tyle, niech pan już idzie. A, jeszcze jedno!

– Słucham, Flo? – Młodzieniec zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na mnie pytająco.

– Wydaje mi się, że Iwas powinien był już wrócić. Proszę go do mnie przysłać.

Laurinne skinął głową, potwierdzając, że wszystko rozumie, ale nadał sterczał w drzwiach.

– Szpady panu nie oddam – rzuciłam, ponownie zapalając fajkę, która tymczasem zgasła. – Nie ma co ściągać na pańską osobę dodatkowej uwagi. Niech pan dziękuje losowi, że Kolegium miało ważniejsze sprawy na głowie i udało się tę broń schować. W przeciwnym razie straciłby ją pan na dobre. Oni tam żywią wprost chorobliwą miłość do starożytnych rarytasów, nawet jeżeli nie ma w nich ani ociupiny magii, jak w tej pańskiej szpadzie.

– Ale co ja mam zrobić bez broni? – zapytał porucznik ponuro. – Tylko, Flo, proszę mi nie proponować, że mi pani pożyczy pieniądze!

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło! – zachnęłam się. – Przecież i tak by pan nie wziął... No dobrze. W sumie nie rzuca się w oczy, rękojeść zwykła i bez klejnotów... Niech pan zamówi inną pochwę, moim zdaniem, na to powinno panu funduszy wystarczyć. A na razie proszę sobie radzić ze służbową, mam nadzieję, że jakąś zamiast tej poprzedniej panu dadzą?

– Powinni – westchnął Laurinne, w myśli wyraźnie przeliczając oszczędności. – Ale mimo wszystko...

– Po co ona panu? – nie zdołałam się pohamować. – Przecież i tak nie pasuje panu do ręki!

– To nic, przyzwyczaję się – odburknął. – To teraz nie pasuje, a za parę lat...

– Cóż, jest pan optymistą. Robić tak dalekosiężne plany... No nic! Niech pan rusza i przyśle do mnie Iwasa. Szpadę dostanie pan później.

– Tak jest! – Porucznik w końcu wyszedł.

Kolejny ból głowy... Przyzwyczaiałam się, że odpowiadam wyłącznie za siebie, i nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak zapewnić bezpieczeństwo

jeszcze komuś. A Laurinne, żeby to szlag trafił, był mi nadal potrzebny. Chociażby dlatego, że interesował się nim Naor, a ja nie miałam najmniejszej ochoty oddać porucznika w jego ręce. Ale co tam. Był wystarczająco ostrożny, by nie wpaść w jakiś idiotyczny sposób, a nie mogłam go przecież trzymać na łańcuchu!

Potrząsnęłam głową, odganiając te myśli, i zaczęłam się zastanawiać nad poważniejszymi sprawami. W moim umyśle zaczął się kształtować pewien obraz, ale nadal ziały w nim ogromne dziury. Ustawiałam posiadane informacje tak i owak, ale nijak nie chciały one złożyć się w sensowną całość.

Z rozmyślań wyrwała mnie Rima, która zaanonsowała gościa. Okazało się, że kapral Iwas już dawno wrócił do stolicy i po otrzymaniu rozkazu od Laurinne'a natychmiast się u mnie zjawił. Zeszłam na dół.

– Panno Naren... – Stary żołnierz od progu oddał mi honory. – Chciała mnie pani widzieć?

– Tak. Proszę, niech pan siada, kapralu. – Wskazałam mu fotel dla gości. Usiadłam naprzeciwko, zapaliłam i zmierzyłam starszego mężczyznę spojrzeniem.

– Proszę mi powiedzieć, kiedy wstąpił pan na służbę do Ferenca Lagarsta?

– To już będzie... – Kapral zastanowił się, podrapał po potylicy. – Jakieś dziesięć lat u niego służyłem, zanim... znaczy pewnie pani już wie, panno Naren. A jak go zesłali, to ruszyłem z nim.

– To sporo czasu... Niech mi pan jeszcze powie, w jakim departamencie służył Lagarst?

Sądząc z wyrazu oczu kaprała, coś wiedział na pewno.

– Znaczy się... – Iwas wziął głęboki oddech. – Pewnie pani mogę powiedzieć, panno Naren. On był zapisany jako gwardzista, ale tak

naprawdę... tego, no...

– Podlegał pod departament bezpieczeństwa – dokończyłam za niego. – Prawda?

– Tak jest, panno Naren. – Kapral pochylił siwą głowę. – Tyle że on tego nikomu nie mówił i wykonywał zadania... znaczy się... różne.

– Był pan jego zaufanym? – spytałam.

– Jak by to pani powiedzieć... Ufał mi odrobinę więcej niż innym ludziom. Czasami wysyłał z jakimś poleceniem, ale jeżeli idzie o jego sprawy służbowe, to tutaj pan Lagarst był jak kamień, ani razu nawet słówkiem nie zdradził co i jak!

Mogłam się tylko uśmiechnąć niewesoło. Tak, tego można się było spodziewać. Wiernego żołnierza można wysłać z jakimś zadaniem, ale to oczywiste, że Lagarst nie troszczył się, by wyjaśniać mu wszystkie szczegóły. Z jednej strony było to całkiem rozsądne, ale z drugiej – ile wartościowej informacji mogłabym otrzymać, gdyby Iwas był wtajemniczony w sprawy swojego pana! Zresztą równie dobrze wiedza ta mogła znaleźć się w rękach dowolnej innej osoby, więc ostrożność Lagarsta była bardziej niż uzasadniona.

Zadałam jeszcze kilka pytań. Otrzymane odpowiedzi pasowały do moich przemyśleń. Lagarst przyzwyczajony był działać samodzielnie, zbierając wszystkie fakty, wszystkie dowody. Zawodowiec... Ale właśnie tutaj i teraz jego metody pracy wyjątkowo mi bruździły!

– A z kim pan Lagarst przyjaźnił się przed zesłaniem? – spytałam i Iwas sumiennie wyliczył mi wszystkie nazwiska, jakie tylko potrafił sobie przypomnieć.

Przeważająca część nic mi nie mówiła, niektóre rozpoznałam: dworacy, towarzysze z pułku. Niestety, teraz mogłam tylko zgadywać, czy byli to agenci Lagarsta, czy osoby całkowicie postronne, czy może przeciwnicy!

Nie, tutaj kapral również nie potrafił mi pomóc...

Pozwoliłam Iwasowi odejść, wróciłam do swojego pokoju i jeszcze raz spróbowałam zebrać do kupy wszystkie posiadane informacje. Tym razem również bez skutku. Wszystko się rozsypywało, rozpełzało w oczach jak zamek z piasku podczas przypływu. Nie miałam żadnego dowodu prócz poszlak, żadnego potwierzonego faktu, same tylko pomysły i domysły.

Powinnam jeszcze raz naradzić się z dziadkiem, może wspólnie uda nam się coś wymyślić. Dzisiaj było już zbyt późno, należało wybrać się do niego jutro, za dnia. Tak czy siak, na pewno będzie chciał usłyszeć szczegółową opowieść o tym, co działo się na posiedzeniu Rady, a i wiadomości o fałszywym magokacie powinny go zainteresować. To nawet dziwne, że kochany dziadunio sam mnie jeszcze nie odwiedził! Nie chce ściągać nadmiernej uwagi? Jakie to do niego podobne...

Za oknem było już całkiem ciemno, zaczął padać deszcz – jesienny i zimny. Nazajutrz wszystkie drogi będą nieprzejezdne i nawet dobrze, że zabroniono mi opuszczać Arasten – podróżowanie po jesiennym błocie to żadna przyjemność!

– Psze pani... – Rima wsadziła głowę w drzwi. – Tutaj do pani pan... Kogo tam jeszcze przywiało?

– Zaraz zejdem – rzuciłam, odkładając fajkę.

Na dole, o dziwo, siedział Laurinne, na wskroś przemoknięty i przemarznięty.

– Co pana tu przygnało? W taką pogodę dobry pan psa na dwór nie wyrzuci, a pan się szlaja... – skarciłam go. – Wypełnił pan moje polecenie?

– Tak jest. – Porucznik spojrział na mnie z urazą. – Chyba Jego Królewska Mość wszystko zrozumiał.

– I chciał pan o tym zameldować? – spytałam.

– Nie... – odparł Laurinne, patrząc w podłogę, gdzie dookoła jego butów

zebrała się już solidna kałuża. – Muszę pani o czymś opowiedzieć.

– Laurinne, z panem to tylko same problemy – stwierdziłam, godząc się z nieuniknionym. – Mógł pan przynajmniej poczekać, aż deszcz zelżeje, ale nie... Rima! Przynieś ręcznik i coś suchego dla porucznika!

– Flo, nie trzeba... – zaczął Laurinne, ale ucięłam te słabe protesty.

– I tak już mam jezioro na podłodze, a jeśli będzie pan siedział w mokrym, to na pewno się przeziębi. Widzę przecież, że już ma pan dreszcze.

Akurat to się zgadzało. Na początku wydało mi się, że Laurinne szczęka zębami wyłącznie z zimna, ale potem zaczęłam podejrzewać, że to nie do końca prawda.

– Niech się pan przebierze w suche rzeczy i idziemy na górę – poleciłam. – A tam mi pan opowie, co mu się takiego ciekawego przydarzyło.

Jeśli idzie o suche ubrania, to miałam do dyspozycji wyłącznie swoje. O dziwo, zaoferowana koszula na ramionach porucznika wyraźnie się opinała, choć gotowa byłam się założyć, że w niej utonie. Za to spodnie trzeba było podkasać i teraz porucznik wyglądał jak dzieciak z ulicy. A póki on przebierał się i próbował wysuszyć na wskroś przemoknięte włosy, ja bez najmniejszego skrępowania podziwiałam widoki. Przez lato Laurinne zauważalnie zmężniał i już nie przypominał chudego żrebaka o patykowatych nogach, mimo że nadal dawało się na nim przeliczyć wszystkie żebra. Było oczywiste, że nigdy nie stanie się mężczyzną rosłym i masywnym, jak chociażby Boras, lecz pozostanie raczej tak samo niski i szczupły jak w tej chwili. Złapałam się na tym, że oglądam młodzieńca jak rodowodowego konia na jarmarku, i mimowolnie uśmiechnęłam się do tego porównania.

Na górze nalałam porucznikowi szklankę orty – takie picie szlacheckiego napoju to czysta obraza, ale lepsze to niż późniejsze leczenie przeziębienia! – i spytałam:

– To co sprowadza pana w taką ulewę?

– Flo, przypomniałem sobie coś – oświadczył ze śmiertelną powagą.

– Co takiego?

– Kiedyś sprawdzała pani na mnie, czy łatwo jest kontrolować drugą osobę za jej zgodą – ciągnął. – Pomyślałem sobie, że ze wspomnieniami przecież może być tak samo. I jeśli nie będę się sprzeciwiał, to może uda się pani coś zobaczyć?

– O co panu w tej chwili chodzi? – zapytałam ostrożnie, mimo że i tak z grubsza zrozumiałam ideę. Coś takiego!

– Tamten mag bardzo chciał się dowiedzieć, co takiego widziałem czy słyszałem kiedyś bardzo dawno temu – odparł Laurinne. – Jemu się nie udało, ponieważ zabrakło czasu, a ja stawiałem opór. Ale co, jeśli faktycznie było tam coś ważnego? Może mogłaby pani sama sprawdzić...

– A dlaczego uważa pan, że znam się na sztuczkach magokatów?

– Mówiła pani o tym wszystkim z taką pewnością siebie... – Porucznik pochylił głowę.

Mogłam się tylko uśmiechnąć smutno, dzieciak po prostu nie wiedział, o co prosi.

– Oczywiście to i owo potrafię – odrzekłam. – Ale, Laurinne, ja naprawdę jestem w tym daleka od profesjonalizmu. Bardzo daleka! Pamięta pan, jak źle się czuł po tamtych przesłuchaniach? To proszę pomnożyć to przez sześć. Jeszcze pan nie doszedł do siebie po tamtym i przyznam uczciwie, że nie mam pojęcia, czym może się skończyć powtórna procedura.

– To nic, wytrzymam – upierał się. – Przecież sama pani mówiła, że jeśli nie stawiać oporu, to będzie łatwiej. I jeszcze mówiła pani – wtedy, dawno – że magokaci zostawiają coś w rodzaju znaczników w świadomości przesłuchiowanych osób, prawda? Jeżeli tamten również je robił... to będzie pani miała łatwiej, prawda?

– Ma pan doskonałą pamięć – mruknęłam.

– Nie mogę narzekać. – Spojrzał na mnie wprost i spojrzenie to było wyjątkowo zdeterminowane. – Flo, jeżeli mamy szansę przynajmniej czegoś się dowiedzieć, to powinna pani to zrobić. Przecież sama pani mówiła, że nie mamy czasu... A nie żyje już nikt, kto mógłby cokolwiek nam opowiedzieć! Ojciec, Starsis... Tylko sam Naor, ale jego przecież nie spytamy!

– Żeby go pytać, to trzeba go najpierw złapać, a jak mamy go złapać, nie wiedząc, kim jest? – parsknęłam. – Mamy tu niewielkie zakłete koło...

– Gdybym sam mógł sobie cokolwiek przypomnieć... – Laurinne pokręcił głową.

– Flo, próbowałem, ale nic mi nie wyszło. Migają jakieś strzępy, drobiazgi, a o znajomych ojca kompletnie nic.

– Nic dziwnego, ile pan miał lat w tamtej chwili? Oczywiście, że mógł pan coś widzieć albo słyszeć. Inna sprawa, że z uwagi na wiek czy ogólne niezrozumienie sytuacji po prostu nie uświadomił pan sobie, co to konkretnie było. I oczywiście, że tego nie zapamiętał. Czy raczej wydaje się panu, że nie zapamiętał – westchnęłam. – Na to właśnie liczył fałszywy „kat”.

– Jemu się nie udało. Ale pani powinno! – stwierdził Laurinne z mocą.

– Czyli jest pan zdecydowany spróbować. – Zdążyłam już zrozumieć, że przekonywanie go byłoby bezcelowe. – I skąd w panu te autodestrukcyjne skłonności? Znoszenie takich tortur...

– A skąd pani wie, jak to wygląda? – zapytał z ciekawością.

– Dobry mag–justycjariusz – powiedziałam powoli – powinien na własnej skórze odczuć to, co ma zamiar w przyszłości stosować w praktyce. A przynajmniej tak uważał mój mistrz.

– A kto był pani mistrzem?

– Oczywiście mój ukochany dziadek. – Uśmiechnęłam się sarkastycznie.

– O tak, on pozwolił mi w pełni poczuć, jak wygląda przesłuchanie pierwszego stopnia. Laurinne, niech pan się tak nie cieszy, w pana wypadku

w najlepszym razie zastosowali ósmy. Na pierwszym odczucia są znacznie ciekawsze.

– To skoro pani wie, jak to jest, to sama pani rozumie, że w razie konieczności można wytrzymać – stwierdził chłopak beczelnie, ale widać było, że mimo wszystko czuje się nieswojo.

W odpowiedzi tylko prychnęłam. Niechaj sobie zgrywa twardziela, pożyjemy, zobaczymy. Może naprawdę uda mi się coś wygrzebać z jego wspomnień. Dzieciaki mają zadziwiającą zdolność znajdowania się w najprzeróżniejszych miejscach, widzą i słyszą najbardziej zaskakujące rzeczy. Inna sprawa, że natychmiast o tym zapominają... A przynajmniej tak im się wydaje. Wszystko, co kiedykolwiek wiedzieliśmy czy słyszeliśmy, na zawsze zostaje w naszej pamięci, trzeba tylko umieć się do tej wiedzy dobrać.

Zdecydowanie odpędziłam nadzieję na cud, który wyprowadzi dochodzenie ze ślepego zaułka braku dowodów czy świadków. Niestety, cuda się nie zdarzają, a te, które od czasu do czasu widzujemy, są albo oszustwem, albo dziełem czyichś zdolnych rąk.

– Niech pan siada. – Wskazałam Laurinne'owi fotel z niskim oparciem. – Zadbam o to, by nie mógł się pan poruszyć, proszę się nie bać. W przeciwnym razie na pewno będzie się pan rzucał i wszystko mi zepsuje.

– Cokolwiek pani powie, Flo. – Porucznik odchylił głowę na oparcie, uśmiech wyszedł mu nieco nerwowo. – Ale ja nie będę się rzucał.

Przymknęłam oczy i na nadgarstkach chłopaka zamknęły się niewidzialne pęta, które skutecznie przytwierdziły je do podłokietników, podczas gdy inne przymocowały ramiona do oparcia fotela. Nie to, żeby siła woli Laurinne'a budziła we mnie jakieś wątpliwości, ostatecznie już miałam szansę się z nią zapoznać, ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

– Proszę się rozluźnić i zamknąć oczy – poleciłam, kładąc dłonie na jego skroniach, i powtórzyłam to samo, co już kiedyś miałam okazję mówić: –

Niech pan postara się o niczym nie myśleć i nie próbuje niczego przede mną chować, bo wyjdzie tylko gorzej.

Laurinne ledwo zauważalnie skinął głową, a ja zabrałam się do pracy. Zwlekanie nie miało sensu, im bardziej napięty był, powiedzmy, „obiekt doświadczeń”, tym bardziej bolesne okazywało się przenikanie do jego pamięci. A nie bardzo chciałam do reszty pozbawić porucznika rozumu, i tak miał go niezbyt wiele.

Zamknęłam oczy i zanurzyłam się w odmętach cudzej pamięci. Uprzednio miałam okazję zrobić coś podobnego tylko raz albo dwa, przy czym chodziło wtedy o świeże wspomnienie, ale teraz... teraz chciałam dostać się do bardzo dalekiej przeszłości. Stłumiłam pokusę, by obejrzeć oczami porucznika ostatnie wydarzenia, i ruszyłam dalej. Nigdy przedtem nie miałam okazji dotrzeć aż tak głęboko i „znaczniki” pozostawione przez tamtego nieznanego maga okazały się wyjątkowo przydatne. Zakręciło mi się w głowie, urywki wspomnień wirowały dookoła, mieszały się, splatały w niezrozumiały wzór. Rozpoznałam niektórych ludzi: tu był Jego Królewska Mość, który wydawał się porucznikowi niedościgniony i majestatyczny, tam towarzysze broni... Dalej, jeszcze dalej... Wspomnienia o pożarze w rodzowym majątku ominęłam, załatywało od nich takim bólem i goryczą, że bałam się tam zagubić. Poza tym akurat o tamtych wydarzeniach wiedziałam wszystko lub prawie wszystko.

Na chwilę otworzyłam oczy, by przywrócić poczucie rzeczywistości. Rzeczywistość sprowadzała się do tego, że bardzo kręciło mi się w głowie i zaschło w gardle. Laurinne zmrużył oczy, oddychał ciężko, pojękując, jego czoło było mokre od potu, a ja poniewczasie zastanowiłam się nad tym, jak on odczuwał skutki moich topornych manipulacji. Nie byłam przecież doświadczonym magokatem, który potrafił sprowadzić efekty uboczne do minimum. Zresztą było za późno, żeby się cofać, więc rzuciłam się jeszcze

głębiej, zaczynając od miejsca, gdzie uprzednio się zatrzymałam.

Niektóre sceny były bardzo wyraźne i dokładne. Oto Ferenc Lagarst, jeszcze nie stary – miałam szczęście i chyba wpadłam od razu do dziecięcych wspomnień Laurinne'a. Przystojny mężczyzna, który wydawał się małemu dziecku prawdziwym bajkowym wielkoludem. Barczysty, o żołnierskiej postawie widocznej na pierwszy rzut oka nawet w cywilnym ubraniu, mądrych, wesołych oczach i z ledwo zauważalną siwizną w ciemnych włosach. Pochylił się nad Laurinne'em i karci go, wskazując na drugiego chłopca, czarnowłosego, zapłakanego i z rozbitym nosem. To pewnie starszy brat porucznika... jak mu tam, Lucjusz? A tu matka, Magea. Porucznik rzeczywiście odziedziczył po niej kolor włosów, delikatne rysy twarzy oraz oczy, wielkie, szare i wyraziste. A oprócz tego uparty podbródek...

Kolejne jaskrawe wspomnienie: jesienny las, pod nogami chłopca wije się zasypana liśćmi ścieżka – bawią się z ojcem i starszym bratem... tak, pewnie w chowanego. Nieoczekiwanie Laurinne traci równowagę i zjeżdża do jakiejś jamy, próbując łapać się trawy... W twarz szczyrzy mu się jakaś czaszka – najpewniej wilcza. Ma szczęście, że jest tak mały – to pułapka na wilki i udało mu się nie trafić na zastrzone pale. Na nich nadziany jest nie tylko wilczy szkielet... Człowiek... Kłusownik czy może przypadkowy przechodzień? Nieważne, jest tu już od dłuższego czasu, nie wiadomo, czy umarł od razu, czy długo się męczył, nie doczekawszy pomocy. Najgorszy jest zapach, od którego żołądek wywraca się na nice i jeszcze ta twarz, opuchnięta, na poły rozłożona... To zapewne dlatego Laurinne nie toleruje nieświeżych trupów. Zbyt wielki szok, nawet ja potrafiłam to zrozumieć!

Zresztą te sceny też były mało istotne. Musiałam dostać się jeszcze dalej, do najwcześniejszych wspomnień, i tam szukać dokładniej, mając nadzieję na chociażby najbliższy ślad...

Gdy po raz kolejny wynurzyłam się do rzeczywistości, byłam spocona jak

mysz. Laurinne też nie wyglądał najlepiej – z przygryzionej dolnej wargi po podbródku ciekł mu cienki strumyczek krwi. Skurczone, blade z napięcia palce wbiły się w podłokietniki fotela.

Czas najwyższy był przerwać i dobrze to wiedziałam. Takie eksperymenty mogły się skończyć dosyć paskudnie, nie byłam też osobą, którą by cieszyły męczarnie drugiego człowieka. Ale nie chciałam porzucać pracy w połowie – dopiero co dotarłam do wspomnień związanych ze stolicą.

Tak więc kontynuowałam – przyznam uczciwie, resztkami sił. Dawno nie pracowałam aż tak ciężko, ale mój upór został nagrodzony – udało mi się coś zobaczyć. A nawet nie tyle zobaczyć, ile usłyszeć. Dzieciakom rzeczywiście zdarza się trafić w najmniej spodziewane miejsca, a porucznik chyba miał wrodzoną zdolność do wpadania w tarapaty...

Niewyraźne, mgliste wspomnienie: mały Laurinne bawi się w chowanego z bratem i wchodzi za portierę w gabinecie ojca. I dalej – nie tyle obrazy, co dźwięki. Ktoś wchodzi do gabinetu, Laurinne poznaje głos ojca, ale ten drugi człowiek jest obcy. Ferenc Lagarst rozmawia z tym nieznanym półgłosem, można zrozumieć wyłącznie urywki zdań, Laurinne nawet się im nie przysłuchiwał. Ale mnie to wystarczyło. Pozostawał zupełny drobiazg – zniszczyć cudze „znaczniki”.

Otworzyłam oczy – skończyłam w ostatniej chwili, z ust porucznika wyrwały się już nie jęki, lecz ochryple krzyki, jego koszula nadawała się wyłącznie do wyżęcia. Zdjęłam magiczne pęta i Laurinne w jednej chwili osunął się w fotelu, dysząc jak umęczony koń. Wiedziona nieoczekiwanym impulsem przytuliłam się do niego, przyciskając do piersi jego mokrą głowę.

– Już – powiedziałam cicho, głaszcząc go po rozczochranych włosach. – Już po wszystkim...

Laurinne odpowiedział czymś pomiędzy śmiechem i jękiem. Po chwili spojrzał na mnie z dołu.

– Flo... jako mag powinna pani wiedzieć... czy magowie nie mogli sprawić, by ta... procedura... była mniej... mniej...

– Bolesna? – podpowiedziałam. – Widzi pan, zwykle jest ona stosowana na ludziach podejrzanych o popełnienie ciężkich przestępstw lub na ochotnikach. Z tymi pierwszymi nikt specjalnie się nie cacka, a ci drudzy świadomie godzą się cierpieć. Tak że po prostu nikt nie widzi sensu, by marnować czas i wysiłek na uczynienie procedury bardziej przyjemną. Czy to dobra odpowiedź na pańskie pytanie?

– W zupełności. – Laurinne niechętnie oderwał się ode mnie i wyprostował. – Czy to wszystko przynajmniej nie poszło na marne? Mam na myśli, Flo, dowiedziała się pani chociaż czegoś?

– Czegoś się dowiedziałam – mruknęłam, nabijając fajkę. – Teraz chciałabym tylko zrozumieć, czy ma to jakiś sens, czy jest zwykłym zbiegiem okoliczności. Tak naprawdę dowiedziałam się łącznie dwóch rzeczy, które mogły naprowadzić na jakiś ślad. Niestety, oba wspomnienia nie były zbyt wyraźne – w końcu czego można się spodziewać po dziecku! – a poza tym nie można ich było uznać za poszlaki. Laurinne nie dosłuchał też rozmowy do końca: został odkryty i ojciec wyprowadził go za drzwi. Uważnie obejrzeć gościa chłopiec również nie zdążył.

Kilka zdań. Głos, na pewno zmieniony przez czas. Sylwetka. Ruchy. Te wspomnienia nic nie znaczyły, ale równocześnie były bezcenne. Jeżeli użyć ich jako podpowiedzi... Kto wie, coś mogło z tego wyniknąć.

– Co pani widziała? – porucznik nie chciał się odczepić.

– Lepiej, żeby pan nie wiedział – ucięłam, otworzyłam drzwi i krzyknęłam na dół: – Rima! Nakrywaj do stołu! – po czym ponownie odwróciłam się do Laurinne'a. – Zaraz zjemy kolację, a potem...

– Lepiej już pojedę – powiedział, wstając z trudem z fotela.

– Nigdzie pan nie pojedzie – odparłam. – W deszczu, po ciemku i jeszcze

w takim stanie... Chce pan sobie kark skręcić? Pan wybaczy, ale nie pozwolę na to.

– To niech mi pani odpowie, co widziała – zażądał porucznik. Dobre sobie!

– A jak będzie się pan wyklócał, to go pozbawię daru mowy – obiecałam, ukrywając uśmiech. – Laurinne, marsz na dół. Rima przygotowała dziś coś niezwykłego na cześć powrotu ukochanej pani.

Musiał usłuchać. Zwykle nie pojawiał się u mnie przed kolacją, chyba że w ważnej sprawie, i zawsze znikał przed śniadaniem. Musiałabym go namawiać z pół godziny, żeby zechciał ze mną zjeść, a byłam po prostu zbyt leniwa, by się w to bawić. Dziś nie miałam wyboru, zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie powinnam gdziekolwiek wypuszczać porucznika w takim stanie, szczególnie w świetle tego, czego właśnie się dowiedziałam... Niestety, był on celem, i to celem bezbronnym, ponieważ umiejętność władania bronią mu nie pomoże, gdy Naor weźmie się do niego na poważnie. Co prawda gdy na poważnie weźmie się on do mnie, to też długo nie wytrzymam. Ale póki mam możliwość, by odroczyć to nieuniknione spotkanie, należy z niej korzystać...

ROZDZIAŁ 31

Prawda

Udziadka jak zwykle było nabałaganione – oboje wyjątkowo nie lubimy, gdy służący wkraczają do naszej największej świątyni, czyli gabinetu. Sami natomiast nigdy nie mamy czasu na sprzątanie, tak więc w miejscu naszego zamieszkania zawsze panuje chaos. Co prawda akurat gospodarze z łatwością się w tym wszystkim odnajdują, a cała reszta świata nie ma w naszych gabinetach nic do roboty...

– Czekam na ciebie od wczoraj – powitał mnie dziadek czule, ale raczył nawet podnieść się na spotkanie, złapał mnie za ręce i długo oglądał w słabym jesiennym świetle. – Ależ ty wyglądasz! Jakby świeżo z lochów! Widziałas się w lustrze?

– Oczywiście. Nic nadzwyczajnego. Sam byś trafił na przesłuchanie do Kolegium, a ja bym sobie popatrzyła...

– Też mi znalazła straszałkę! – prychnął dziadek, wypuścił mnie i popchnął w kierunku fotela.

– A co, zdarzało ci się? – spytałam nie bez ciekawości.

– Zdarzało. – Dziadek skrzywił się, jakby łyknął octu. Z wyrazu jego twarzy dawało się wyczytać, że w tej chwili, nic więcej nie powie. Ale nie szkodzi, innym razem również mogę wypytać, jakie to problemy miał z Kolegium. W konkretnej chwili bardziej interesował mnie własny los. –

Siadaj, Floszszu, i opowiadaj. Od początku do końca i ze wszystkimi szczegółami!

– Masz dobrą osłonę? – spytałam na wszelki wypadek, lokując się w fotelu i zakładając nogę na nogę. Sięgnęłam po fajkę, ale się rozmyśliłam – nie chciałam bez potrzeby złościć dziadka. Nie pierwszy raz, wytrzymam.

– Za kogo ty mnie uważasz? – uniósł się. – Nie pierwszy rok pracuję w tym zawodzie. Wiem, jak się osłonić przed podsłuchem!

– No i dobrze – odpowiedziałam ugodowo. W zasadzie właśnie dlatego przyjechałam do dziadka, zamiast zapraszać go do siebie: był znacznie bardziej doświadczony i znał parę sztuczek, o których ja nie miałam pojęcia. Niestety, z niezrozumiałych przyczyn nie chciał się nimi dzielić. Pewnie liczył, że przekaze mi tę wiedzę uroczyście na łożu śmierci, ale żywiłam spore obawy co do tego, czy dożyję tej chwili. – Tak więc...

Opowieść zajęła mi nieco czasu. Dziadek słuchał bez przerywania, ale sądząc z tego, jak pochmurniała jego twarz, historia mu się bardzo nie podobała.

– To nawet nie to, że się wpakowałaś, Floszszu – podsumował. – Wpakowałaś się wprost koncertowo! Przyznam, że mnie by się lepiej nie udało...

– Jestem wnuczką godną słynnego dziadka. – Uśmiechnęłam się i mimo wszystko zapaliłam. Nie usłyszałam żadnej uwagi, czyli myśli dziadka zajęte były problemem znacznie ciekawszym. – Co jeszcze mi powiesz?

– Powiem... – Skrzywił się. – Powiem, że dotarłaś bardzo blisko tego całego Naora, kimkolwiek jest. I masz rację... Sądząc z oznak, nie ma on pojęcia, ile o nim wiesz i czy wiesz cokolwiek. Czeka, aż zrobisz pierwszy krok.

– A jeśli go nie zrobię? – spytałam.

– W takim razie nie podejmuję się prognozowania wydarzeń – prychnął

dziadek, nalał sobie orty i jednym haustem opróżnił szklankę. No nieźle! – Na twoim miejscu nie wypuszczałbym inicjatywy z rąk.

– Najlepszą obroną jest atak? – Uniosłam brew i również sięgnęłam po butelkę. – Ale nadal nie mam pojęcia, czy to właściwy człowiek. To, co zobaczyłam we wspomnieniach porucznika, absolutnie nie wystarcza.

– Ale jest lepsze niż nic – rzucił dziadek i nagle spojrzał na mnie z chytrym błyskiem w oku. – Floszszu, ten chłopak naprawdę ci ufa, skoro pozwolił grzebać w swojej głowie!

– Nie da się ukryć – odparłam spokojnie.

– A czy on przypadkiem nie pracuje też dla kogo innego? – głos dziadka zabrzmiał niespodziewanie srogo. – Widzę, że ty również mu ufasz. Zapomniałaś, czego cię uczyłem?

– Nie zapomniałam. – Wytrzymałam jego spojrzenie bez cienia wahania. – Ta myśl również mnie przyszła do głowy nie raz i nie dwa, akurat w to nie możesz wątpić. Sprawdzałam, również nie raz. Porucznik nie jest szpiegiem.

– To z nim byłaś tamtej nocy – skonstatował dziadek. – No tak! Kobiety! Twoja prababka była taka sama... Że ja niby wierzę i mniejsza o całą resztę!

– I jak, czy intuicja chociaż raz ją zawiodła? – Uśmiechnęłam się.

– Ani razu – stwierdził z pretensją i zerknął na mnie chmurnie. – Ale ty nie jesteś nią. To już czwarte pokolenie, sama wiesz, że wiedźmie zdolności się rozcieńczają. Tym bardziej że u nas nie są dziedziczone w linii żeńskiej.

– Ale mnie również intuicja często ratowała – zauważyłam. – Zresztą jeśli chcesz, to możesz sam porucznika przesłuchać. Nie sądzę, by miał coś przeciwno. I sam zrozumiesz, co to za człowiek...

– Daruję sobie. – Machnął ręką. – Syn Ferenca Lagarsta, co jeszcze można powiedzieć! Skoro nawet ty mu ufasz, to co pozostaje bezbronnemu staruszkowi?!

Stłumiłam śmiech. Bezbronny staruszek nadal mógł poradzić sobie ze

mną bez szczególnego wysiłku: jak na maga, byłam nadal dość młoda i nie osiągnęłam pełni mocy, podczas gdy po jego stronie stało doświadczenie, które mnie się nawet nie śniło.

– Ale zboczyliśmy z tematu – zauważył. – Pies z nim tańczył, z tym twoim dzieciakiem, jak ci się chce z nim bawić, to się baw. Ale to zabawny zbieg okoliczności, że właśnie on ci się trafił... nie sądzisz?

– Trochę tak – zgodziłam się. – Gdyby został moim przybocznym po pierwszym zamachu, to poważnie bym się zastanawiała, czy to nie Naor go podesłał. Ale... nie. Zaręczam, że spotkaliśmy się przypadkowo. Przecież Naor nie mógł przewidzieć, czym skończy się historia tamtego nieszczęsnego smoka!

– Ale został przy tobie – odparł dziadek. Czarne oczy, przysłonięte pomarszczonymi powiekami, patrzyły ostro i przenikliwie. – A to już nie wygląda na zbieg okoliczności.

– Podsuwanie mi syna Lagarsta nie leży w interesie Naora. – Pokręciłam głową. – Przecież nie miał pojęcia, do czego mogę się dogrzebać! Raczej sam by się zajął dzieciakiem. Nie raz już się nad tym zastanawiałam...

– Cóż, w twoich słowach jest ziarno prawdy. Czyli to jednak zbieg okoliczności. No dobrze... Zdarzają się gorsze. Ale mam wrażenie, że dla Naora to, że wasza dwójka jest teraz nierozłączna, było sporą niespodzianką – roześmiał się dziadek. – A kiedy jeszcze złapałaś jego ślad...

– Osobiście dziwię się, że Laurinne nadal żyje – stwierdziłam ponuro. – Powiedzmy, że Naor czekał na odpowiedni moment, żeby ustalić, czy chłopak wie cokolwiek o sprawach Ferenca Lagarsta. Ale moment już się nadarzył i nadal...

– Może nie chciał, żebyś zrobiła się jeszcze bardziej czujna. Albo... nastawiła przeciwko niemu. – Dziadek ponownie napełnił swoją szklanekę. Orta jest zdradliwym napojem, ale jak wiedziałam, kochany dziadek mógł ją

pić całymi butelkami, i to bez najmniejszych skutków ubocznych. Czyli pewnie znał kolejny sekret, którym jak zwykle się nie dzielił. – Floszso, nie zwróciłaś uwagi? Kilka razy próbował cię usunąć. I to tak dosyć... bezpośrednio. A potem nagle zostawił w spokoju. O czym to świadczy?

– Jestem Naorowi do czegoś potrzebna? – Pyknęłam z fajki. – Również nad tym myślałam. Co prawda nadal nie rozumiem, w jakim konkretnie celu. Ni to po prostu starał się, by pościg ruszył fałszywym tropem, ni to...

– Jeżeli dajesz się poprowadzić fałszywym tropem, to znaczy, że zmarnowałam cały czas poświęcony twojej osobie. I jeśli jest coś, co nie wzbudza moich wątpliwości, to fakt, że doprowadzisz rozpoczętą sprawę do końca...

– No co za komplement! – Przyjemnie się zdziwiłam. Mistrz rzadko rozpieszczał mnie takimi słowami, zwykle słyszałam raczej o swoim lenistwie, braku wykształcenia i niechęci do myślenia.

– Nie przerywaj mi! – Skrzywił się. – O czym to ja mówiłem? Ach tak... Każdy, kto zna cię dłużej niż parę tygodni, jest doskonale świadom, że puszczanie cię fałszywym tropem wcale nie jest proste. Naor – jeżeli wniosek o tym, że jest nim jeden z magów nadwornych, jest słuszny – obserwował cię przez wiele lat. Możliwe, że początkowo go nie interesowałaś, ale w świetle ostatnich wydarzeń...

– I co w takim razie? Pragnął właśnie tego, bym... doprowadziła sprawę do końca?

– Nie mam innych teorii. Można powiedzieć, że to taki sprawdzian... On prowadził swoją grę, a przy okazji podrzucał ci zagadki, tu epidemia, tam jeszcze coś... Ty je rozwiązywałaś, ale nie mogłaś dotrzeć do organizatora, chociaż przeczuwałaś, że ktoś za tym wszystkim stoi.

– Nie cierpię być czyimś pionkiem – rzuciłam przez zęby. Cóż, dziadek chyba miał rację. Gdyby Naor zabrał się do tego na poważnie, to już dawno

mógłby się mnie pozbyć. Czyli mimo wszystko nie miał takiego zamiaru. – A już wyjątkowo nie lubię, gdy ktoś testuje moje umiejętności! W takim razie czego twoim zdaniem on ode mnie chce?

– Osobiście wolałbym mieć w tobie sojusznika, a nie wroga – uśmiechnął się dziadek. – Floszso, niezależny mag–justycjariusz to nie jest jakaś tam drobna płotka.

– Co mu się w takim razie nie podoba w naszym koledze? – prychnęłam.

– Obartelu? – Dziadek uniósł kudłate brwi. – Też znalazłaś obiekt do porównań! Po pierwsze jest od ciebie trzy razy starszy, po drugie to tchórz, a po trzecie jest o wiele słabszy. Przypomnij sobie, jakimi sprawami zajmujesz się ty, a jakimi on!

– Mówisz o tym wszystkim z taką znajomością rzeczy... – mruknęłam w zamyśleniu. – Może Naor do ciebie również się dobierał, co?

Dziadek stęknął i nalał sobie jeszcze orty. Moje pytanie wyraźnie mu się nie spodobało.

– Już od dawna wycofałem się z czynnej pracy – rzucił sucho. – I nie stanowią szczególnej wartości dla tego typu... osobników.

– Dwadzieścia lat temu jeszcze się nie wycofałeś – zauważyłam.

– Dwadzieścia lat temu dopiero co wróciłem z północy – odburknął i zmarszczył brwi.

– A przedtem? – dopytywałam się. – Przecież przed kimś uciekałeś, gdy zabrałeś mnie stąd po śmierci rodziców.

– To nie ma żadnego związku z tym twoim Naorem. – Pokręcił głową. – To... Floszso, kiedyś ci wszystko opowiem, ale uwierz mi, że tamta historia w żaden sposób nie wiąże się z obecnymi wydarzeniami. – Nieoczekiwanie uśmiechnął się drapieźnie. – Chociażby dlatego, że jej organizator od dawna nie żyje...

– Co ty powiesz! – gwizdnęłam. Dziadek nadal miał masę tajemnic,

nawet przede mną. Ciekawe, o co poszło mu z tamtym magiem, który zabił moich rodziców, i jak sobie z nim poradził? To musiało być w czasach, gdy jeszcze mieszkaliśmy na wyspach, pamiętam, że często wyjeżdżał i czasami wracał dopiero po długim czasie, tak że... Zresztą teraz było to niezbyt istotne. – Trzymam za słowo, kiedyś opowiesz. A skoro jesteś tak bardzo przekonany, że tamten człowiek i Naor w żaden sposób nie są ze sobą powiązani...

– Jestem całkowicie pewien – przerwał mi dziadek. – Powiedziałem przecież, że tam poszło o sprawy osobiste. Floszso, nie rozpraszaaj się!

– Próbuję. Czyli twoim zdaniem Naor chce, żebym się do niego przyłączyła?

– Chyba tak. Na jego miejscu postąpiłbym dokładnie tak samo.

– Boras nawet robił aluzje w tym kierunku... – stwierdziłam w zamyśleniu. – Proponował, żebym rzuciła „te bzdury”, i mówił, że nie mam już w Arastenie nic do roboty. Wtedy uznałam, że jak zwykle plecie trzy po trzy, ale jeżeli założymy, że faktycznie działał na polecenie Naora...

– To wszystko się zgadza. – Dziadek pokiwał głową. – Ale to by była dosyć toporna... hm... propozycja współpracy. Zresztą akurat po Raimo bym się innej nie spodziewał, on zawsze był aż za bardzo bezpośredni. Nawet się ucieszyłem, gdy go w końcu rzuciłaś...

– Ach tak?! – wściekłam się. Borasa kochany dziadek wypominał mi przez chyba trzy lata, uważając maga bojowego za wyjątkowo udaną partię. – Czy mógłbyś przynajmniej teraz nie wtrącać się do mojego życia osobistego?!

– Floszso, uspokój się. – Przesunął butelkę w moją stronę. – Wróćmy do tematu. Nasz Naor prawdopodobnie jest graczem. Sprawdzał cię... badał, czy pasujesz do jego celów. Pewnie doszedł do wniosku, że faktycznie się nadasz...

– Przesłuchanie w Kolegium było kolejną próbą? – skrzywiłam się.

– Całkiem prawdopodobne. Bo jak inaczej wyjaśnisz dziwaczne zachowanie Ressa i Tannego?

– Myślisz, że obaj działali na rozkaz Naora? – Również przyszła mi do głowy podobna myśl.

– Niewykluczone. – Dziadek zabębnił palcami po blacie. – Przecież już doszliśmy do tego, że Naor nie działa samotnie. Musi mieć swoich ludzi zarówno w pałacu, jak i w Kolegium! Ale Ress...

Dziadek skrzywił się i na chwilę przerwał. Czekałam cierpliwie.

– Nie potrafię sobie wyobrazić Deiena jako sługusa Naora – rzekł w końcu. – Znam go od dawna. To człowiek wyjątkowo uczciwy, oddany rodzinie królewskiej do ostatniej kropli krwi.

– Może to, co Naor mu zaproponował, okazało się wystarczająco kuszące, by zapomniał o swojej wierności? – zasugerowałam.

– Nie ten typ. Ale nawet jeżeli poczynimy takie założenie... Deien jest zbyt inteligentny, by tak po prostu wystawić swoją niechęć do ciebie na widok publiczny. Nie, on załatwiłby sprawę zupełnie inaczej. Mógł zorganizować ci przesłuchanie, a nawet uwięzienie, ale takie wyraźne i toporne działanie przeciwko...

– W takim razie... – Przez chwilę w zamyśleniu ssałam ustnik fajki. – Ress znajdował się pod kontrolą Naora?

– Niewykluczone. Sama powiedziałaś, że po posiedzeniu wyglądał dziwnie.

– Pocierał skronie – przypomniałam sobie. – Jak gdyby głowa go bolała... Cóż, możliwe. A Tanne...

– Tanne również jest jednym z niewielu wysokiej rangi członków Kolegium, którym jestem skłonny ufać – powiedział dziadek. – Jest sprawiedliwy, ale nie okrutny. Nie wątpię, że zachowanie Ressa go

zaskoczyło, więc po prostu próbował zminimalizować możliwe straty. Kolegium nie potrzebuje skandalu, mimo że Naorowi bardzo zależałoby na jego rozpętaniu.

– Potwierdzasz moje myśli – uśmiechnęłam się. – Bardzo ciekawie to wychodzi... I jeszcze ten Tawal. Pamiętasz? Powiedział, że w Kolegium nie ma zgody.

– W Kolegium nigdy nie było zgody, nawet jeżeli z boku mogło wydawać się inaczej. Nigdy nie brakło tam różnych, nazwijmy to, wpływów. Po prostu nikt z zewnątrz o tym nie wiedział... – Dziadek zamilkł, ogrzewając szklanekę w dłoniach. – I bardzo dziwne jest, że Tawal ci o tym powiedział. Bardzo, bardzo dziwne... Dopuszczam możliwość, że należy on do jakiegoś ugrupowania młodych magów, wiesz, tych, co mają skłonności do żądania reform i innych bzdur. Ale żeby tak po prostu uwierzyli obcej osobie, a już tym bardziej proponowali pomoc... To już kompletnie do niczego nie pasuje.

– Takie mamy czasy – powiedziałam. – Wszystko się zmienia.

– Są rzeczy, nad którymi czas nie ma władzy – stwierdził dziadek z mocą.

– Czyli uważasz, że Tawal również należy do towarzystwa Naora? – zasugerowałam.

– Nie wykluczam. Floszszu, szkoda, że go spławiłaś. Może warto było z nim porozmawiać... w atmosferze wzbudzającej zaufanie.

– Przepraszam, miałam wtedy inne rzeczy na głowie.

– Tak czy siak – powoli ciągnął dziadek – nasz przyjaciel nie zadowolili się tym, co już osiągnął... Floszszu, co masz zamiar zrobić? O ile rozumiem, masz podejrzanego, choć nie chcesz podać mi jego imienia.

– Boję się, że nie mam racji – przyznałam. – No dobrze... Jeżeli nasze wnioski są słuszne, to Naor czeka na mój ruch. I jeżeli dam do zrozumienia, że wiem, kim jest i czego chce... Jak myślisz, czy mogę liczyć na to, że się ujawni?

– Wydaje mi się, że tak – potwierdził dziadek. – Mam wrażenie, że gra zbliża się do końca i taki sojusznik jak ty na pewno nie będzie zbędny... Ale w jaki sposób chcesz powiadomić go o swoich domysłach?

– Akurat na to chwilowo nie mam pomysłu – odparłam. – Potrzebuję czegoś takiego... żeby było zrozumiałe wyłącznie dla niego.

– Książka? – Dziadek posłał mi krzywy uśmiech.

– Mam wziąć ją pod pachę i tak spacerować po ulicach? – rzuciłam jadownicę. – Czy może użyć któregoś z zaklęć?

– Niezła myśl... – mruknął dziadek. – A przy okazji, nadal nie rozumiem, czemu wtedy oszukałaś swojego... towarzysza!

– To akurat jest bardzo proste – westchnęłam. – Potrzebowałam kogoś, kto poświadczyłby, że książkę faktycznie zniszczyłam. Oczywiście Laurinne potwierdziłby wszystko, co tylko mu kazać, ale już wtedy nie wykluczałam możliwości przesłuchania w Kolegium. I jak widzisz, wyszło na moje.

– Ale gdyby przesłuchiwali ciebie...

– Cóż, tutaj mogłam liczyć wyłącznie na łut szczęścia. – Rozłożyłam ręce. – Na razie mi się upiekło. Ale poza tym... książka faktycznie jest jedyną rzeczą, za pomocą której mogę dać Naorowi do zrozumienia, że go mam... nawet jeżeli nie jest to do końca prawda.

– Mam pewien pomysł – powiedział dziadek. – Ale obawiam się, że ci się nie spodoba.

– To opowiedz – poprosiłam, lokując się wygodniej.

Pomysł rzeczywiście mi się nie spodobał, ale nie miałam z czego wybierać. Spieraliśmy się z dziadkiem niemalże do ochrypnięcia, ale ostatecznie zgodziłam się, że jego wariant jest jedynym możliwym w tej sytuacji, i ptak z wiadomością ruszył pod dobrze mi znany adres.

Przyszło poczekać. Zdążyliśmy w tym czasie wykończyć butelkę orty i napocząć następną, dwa razy przekartkować tę nieszczęsną książkę –

dziedzictwo Bagrana Takeina Drugiego, i przekonać się, że praktycznie znałam ją na pamięć, dokładnie tak samo jak dziadek. Przez całą drogę do stolicy w zasadzie nie robiłam nic innego, tylko studiowałam te zapiski, udając, że prowadzę dziennik. A dziadek robił dokładnie to samo, kiedy mnie i porucznika męczono w Kolegium. Książeczka zawierała mnóstwo różnych świństw, ale trafiały się również fragmenty całkiem ciekawe, które z powodzeniem mogły zostać użyte w życiu codziennym. No więc teraz siedzieliśmy i rozważaliśmy, jak te zaklęcia najlepiej zastosować.

– Panie Naren... – Przed uchylone drzwi wsunęła się do gabinetu głowa służącego dziadka, wyglądającego na równie starego co jego pan, ale też godnego zaufania i przenikliwego. Dziadek wszędzie ciągał go ze sobą już od jakichś trzydziestu lat, cały czas narzekał na jego niedbalstwo i zapominalstwo, ale nie zamierzał go zwalniać. – Młody człowiek do pana z wiadomością. Nie chciał podać nazwiska.

Dziadek zerknął na kawałek papieru, po czym przekazał go mnie. Westchnęłam – dokładnie ten sam list, który wysłaliśmy. Całkowicie zgodnie z zawartymi w nim poleceniami. Zresztą czego innego się spodziewałam?

– Wołaj – rozkazałam i po chwili do gabinetu wszedł porucznik Laurinne, desperacko próbując nie stukać obcasami.

– Panie Naren... Panno Naren... Porucznik Laurinne do usług – przywitał się. Dokładnie tak jak mu kazano, miał na sobie cywilne ubranie. Już miałam wątpliwą przyjemność obejrzeć go sobie w tym stroju – porucznik wyglądał równie korzystnie jak ja w modnej sukni balowej – i mogłam tylko ciężko westchnąć. Dziadek natomiast obrzucił młodzieńca takim spojrzeniem, jednocześnie badawczym i ironicznym, że biedak w jednej chwili zrobił się cały czerwony. Do dziadka daleko mi jak do gwiazd i nadal nie umiem tak patrzeć...

– Niech pan siada, młody człowieku – polecił dziadek, patrząc na mnie z

ironią. Dopiąłam to, co pozostało w szklance, i zacisnęłam wargi.

Laurinne niezgrabnie ulokował się na brzeżku fotela. Dziadek nie śpieszył się z rozpoczęciem rozmowy: łyknął jeszcze orsy, następnie wstał, poszperał na półce, wyciągnął skądś długą, wygiętą fajkę i zaczął ją z wielką znajomością rzeczy nabijać. Czyli to tak! Mnie ciągle rugał za palenie, a sam również nie był bez grzechu! Czy może był to spektakl obliczony wyłącznie na użytek Laurinne'a? W końcu nigdy wcześniej nie widziałam, by dziadek palił.

– Przy was do reszty można zdrowie stracić. Już tyle lat temu rzuciłem...
– burknął, nie wypuszczając ustnika spomiędzy zębów. Powąchałam: karris najlepszego gatunku, dokładnie taki, jakiego sama używałam. Nie zdziwiłabym się na wieść, że korzystamy z usług tego samego sprzedawcy.

Milczałam. Podejrzewam, że w tamtej chwili byliśmy do siebie wyjątkowo podobni, z fajkami w zębach, chmurni... Laurinne przenosił spojrzenie ze mnie na dziadka, póki w końcu nie zauważył przedmiotu leżącego na stole. Sądząc z tego, jak okrągłe zrobiły się jego oczy, rozpoznał go natychmiast.

– Widzę, że widział już pan tę książeczkę – z zadowoleniem skostatował dziadek, obserwujący porucznika. – Czyż nie, młody człowieku?

– Tak jest, panie Naren – zameldował młodzieniec półgłosem i spojrzał na mnie.

– Ale jak to... Przecież pani ją...

– Laurinne, oszukałam pana. – Bezradnie rozłożyłam ręce. – Za co bardzo przepraszam, ale nie miałam innego wyjścia.

– Chciała pani zostawić ją dla siebie, zamiast oddać do Kolegium? – w głosie porucznika nieoczekiwanie zadźwięczała stal i dziadek rzucił mi spojrzenie pełne wesołego zdumienia.

– To również – przyznałam. – Ale przede wszystkim chciałam wyjść z

rąk Kolegium żywa i w jednym kawałku. W tym celu musiałam ich przekonać, że książka została zniszczona. A pan był doskonałym świadkiem.

– Rozumiem... – mruknął. Wyraz okrutnego bólu w jego spojrzeniu został zastąpiony przez nieoczekiwane skupienie.

– To dobrze, że pan rozumie, młody człowieku – nieoczekiwanie wtrącił dziadek.

– Bo razem z moją wnuczką ugania się pan za niejakim Naorem, czyż nie?

– Tak jest, panie Naren – odparł porucznik sucho, nie patrząc na mnie.

– I pański tatuś był w tej sprawie umoczony po same uszy – dziadek niespodzianie przeszedł na uliczny żargon. – O ile rozumiem, doskonale pan wie, kto wypchnął ojca na zesłanie i jeszcze mu dokopał oskarżeniem o nekromagię? A skoro tak, to powinien pan być żywo zainteresowany tym, by schować głęboko te pańskie dziecinne urazy i popracować głową, jak tego drania dorwać.

– Rozumiem, panie Naren. – Laurinne wytrzymał spojrzenie dziadka bez mrugnięcia. – Dla sprawy jestem gotów na wszystko. O ile ma pan rację i Naora można „dorwać”.

– Można, można – odparł dziadek, wypuszczając pierścienie dymu. – Tylko że jest nam pan w tym celu potrzebny. Młody człowieku, niech pan zwróci uwagę, że panu nie rozkazuję. Nie mam takiej możliwości, jestem słabym staruszkiem, który dawno wycofał się z czynnego życia. A nawet Floszsa w zasadzie nie ma prawa panu rozkazywać...

– Panie Naren, nie musi mnie pan namawiać. – Spojrzenie porucznika zrobiło się zimne. Ciekawe, o czym w tej chwili myślał? – Niech mi pan powie, co mam zrobić.

– Nic nadzwyczajnego, młody człowieku – powiedział dziadek z uśmiechem. – Zaraz wróci pan do pałacu. I będzie zagubiony i

oszołomiony... wydaje mi się, że nawet nie będzie pan musiał udawać. Gdy spotka pan dworskiego maga, podzieli się pan z nim tym, co widział.

– Którego konkretnie dworskiego maga? – sprecyzował porucznik, uparcie nie patrząc na mnie. – Panie Naren, ich tam jest niemało.

– Wydaje mi się – dziadek zerknął na mnie – że wystarczy nam pan Ress. Zresztą, jeżeli pierwszy trafi się pan Tawal, to też nie będzie źle.

– Co mam im powiedzieć?

– Że odwiedził pan moją wnuczkę... w pewnej sprawie. – Dziadek ponownie się uśmiechnął. – I przypadkiem zobaczył książkę, która była wyjątkowo podobna do tej, którą Floszsa zniszczyła w zamku Takein. I teraz, rozumie pan, jest pan zamyślony i pełen podejrzeń... Nic więcej nie musi pan mówić, nawet jeżeli będą pytać. Zresztą i tak pan nic więcej nie wie.

– Panie Naren, wszystko rozumiem. – Laurinne podniósł się i skłonił głowę w wojskowym ukłonie. – Pozwoli pan odejść?

– Niech pan idzie, młody człowieku – pozwolił dziadek łaskawie. – Floszso, odprowadź porucznika. Bo jeszcze tu u mnie zabłądzi...

– To absolutnie nie jest konieczne... – zaczął młodzieniec, ale już wstałam i popchnęłam go w kierunku drzwi.

– Poruczniku, niech się pan nie wyklóca z moim dziadkiem. To bezcelowe.

Do drzwi frontowych szliśmy w milczeniu. Dziadek nie skłamał, rzeczywiście ma spory dom, do tego zaprojektowany kompletnie bez sensu i gość bez przewodnika istotnie mógłby zabłądzić.

– Laurinne, czego się pan tak boczy? – spytałam w końcu. – Czyżby się pan obraził?

– A jak pani uważa, Flo? – Porucznik łypnął w moim kierunku złym spojrzeniem.

– To głupie – stwierdziłam. – Gdyby pan wiedział, że książka ocalała, oboje mielibyśmy problemy. I nie wiadomo, czy po wszystkim by nas wypuścili. Pan był świadkiem, ja winowajczynią. Zresztą ze mną jeszcze mogli się jakoś dogadać, ale z panem... Po co ktoś ma wiedzieć, że do rąk Kolegium trafił cenny artefakt z przedwojennego okresu?

– Chce pani powiedzieć, że mnie... uratowała? – Laurinne wykrzywił wargi. O ile mogłam poznać, był wściekły i bardzo nie pasowało to do jego zwykłego zachowania...

– Nad tym niech się pan zastanowi w wolnym czasie – rzuciłam. – I jeśli wymyśli coś pożytecznego, to z tym do mnie przyjdzie. A na razie proszę ruszać do pałacu. Zakładam, że pamięta pan instrukcje?

– Tak jest, panno Naren – wycedził przez zęby. No tak, rzeczywiście był bardzo obrażony. Ale to nic, zastanowi się chwilę i zrozumie, że innego wyjścia po prostu nie miałam.

– Cóż, życzę panu powodzenia. – Zamknęłam za nim drzwi wejściowe, westchnęłam i wróciłam do dziadka.

Ten z przyjemnością pykał fajkę i czekał na mnie.

– No cóż, dzieciak ma charakter – stwierdził, gdy tylko pojawiłam się w progu. – I to jaki charakter!

– Oj, tak... – mruknęłam, siadając w fotelu. Już od pewnego czasu wiedziałam, że porucznik miał mocny charakter. Ale chyba nadal nie zdawałam sobie sprawy, do czego był zdolny!

– Szkoda, że jest zbyt młody – westchnął dziadek. – Ale jeżeli dożyje trzydziestki, to będzie z niego wspaniały mężczyzna!

– Czytasz mi w myślach – mruknęłam i by odciągnąć dziadka od rozmyślań na temat przyszłości Laurinne'a, spytałam: – A jeśli Naor mimo wszystko złapie się na haczyk, to co mam robić?

– Cóż, dokładnie tak, jak zdecydowaliśmy, w tej chwili najlepiej będzie

zagrać kartą współpracy korzystnej dla obu stron. Myślę, że ci to zaproponuje. Oczywiście będziesz musiała oddać książkę Takeina...

– Nie jestem pewna, czy zdołam z nim wygrać – rzuciłam w zamyśleniu.
– Tobie by się to mogło udać, ale nie mnie. Ze mnie intrygantka jak z miotły szpada. Oczywiście zmierzenie się z nim byłoby ciekawe, ale... nie. Nie zaryzykuję.

– To już twoja sprawa. – Dziadek zauważalnie się zasmucił. – Ale co w takim razie masz zamiar zrobić? Nie mów tylko, że chcesz go zabić, gdy się u ciebie pojawi!

– Jak na to wpadłeś? – uśmiechnęłam się.

– Floszszu, wybij to sobie z głowy! – Dziadek aż się uniósł nad fotelem, a na jego twarzy odmalowała się prawdziwa trwoga. – Nawet nie próbuj! Na pewno będzie się pilnował i wolę nie zgadywać, czym taka próba może się skończyć! I po co ci to? On przecież nie pracuje sam, tyle już wiemy...!

– Nie, oczywiście, że nie zamierzam go atakować – odparłam. – Dokładnie tak, jak proponowałeś od początku, zgodzę się na współpracę, chociażby po to, by dowiedzieć się, kto jeszcze dla niego pracuje. Ale dalej... Jeżeli jego grupa zostanie pozbawiona głowy, a lista członków przekazana Kolegium...

– Floszszu, to są marzenia! – Dziadek walnął pięścią w podłokietnik. – Jesteś pewna, że sobie z nim poradzisz? Kim on jest? Magiem bojowym? Czy kimś innym? Pamiętasz, jak swego czasu podejrzewałaś, że Naor to mag niezależny?

– Pamiętam, ale sam powiedziałaś, że w Kolegium nie ma magów niezależnych – zauważyłam.

– Mam pewien pomysł... – mruknął dziadek, rozpalając na nowo zgasłą fajkę. – Rzeczywiście nie ma tam magów niezależnych. Ale ktoś mógł wpaść na pomysł, by udawać maga klasycznego.

– To jest możliwe? – zdumiałam się.

– A jak to sprawdzisz? Jeżeli na zewnątrz widać wszystkie oznaki maga klasycznego, to kto będzie podejrzewał, że delikwent w rzeczywistości jest niezależny?

Zamyśliłam się. Faktycznie, sama z powodzeniem mogłabym udawać maga klasycznego. Znałam ich metody i zaklęcia, a jeśli przygotować się trochę lepiej... Ale po co ta maskarada?

– Żeby nie wywoływać podejrzeń – odpowiedział dziadek na niezadane głośno pytanie. – Żeby nie być w Kolegium czarną owcą. Przecież sama wiesz, że w ogóle nie ma tam magów niezależnych i jeżeli nagle by się jakiś pojawił, to wieść o tym rozniosłaby się na cały kontynent. A jakie są cele tego człowieka... – pokręcił głową – i na ile dobrze potrafi zaplanować swoje kroki... Floszszu, masz rację. Nie dasz rady się z nim mierzyć, a ja nie jestem w stanie pomóc. To zbyt niebezpieczny przeciwnik. – Dziadek uważnie spojrzał mi w oczy. – Co masz zamiar zrobić?

– Mam pewien pomysł – odparłam. – Ale chwilowo o nic nie pytaj. Jeżeli mi się uda, to dobrze. A jak nie... to będziemy się dalej zastanawiać.

Wstałam.

– Książkę zabieram. Będzie mi potrzebna.

– Floszszu, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Pamiętaj o tym... że mam tylko ciebie... – Potrząsnął siwą głową i zmienił ton: – A może poszczuć na Naora tego twojego porucznika? Z Borasem poradził sobie naprawdę nieźle!

– Miał szczęście – odparłam bez uśmiechu. – Teraz możemy liczyć wyłącznie na siebie. Nie martw się. Nie będę ryzykować, nie mając ku temu ważnej przyczyny.

– Mam taką nadzieję... – burknął dziadek. Zatrzymałam się w drzwiach.

– Ile czasu potrzebujesz na spakowanie? – spytałam.

– Najcenniejszą rzecz zawsze noszę przy sobie. – Dotknął wypukłego

czoła i spojrział na mnie z ironią. – Ale przyznam, że chciałbym zabrać ze sobą to i owo z umeblowania...

– Nie śmiałałabym rozłączyć cię z ukochanym fotelem. – Pohamowałam uśmiech.

– Ale nadal... nie czekaj.

Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia i odeszłam, zachowując w pamięci jego surowe spojrzenie i starczą twarz...

Mój plan był bardzo niebezpieczny, ale nie potrafiłam wymyślić innego rozwiązania. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że ten, na kogo liczyłam, odpowie na moje wezwanie...



– Panno Naren – obudziła mnie Rima – jakiś pan do pani. Czekaj na dole.

– Zaraz zejdę – odparłam. – Rima! Spytaj, czy gość czegoś nie potrzebuje.

– Już pytałam, psze pani, niczego mu nie trzeba. Czekaj na panią.

– A jak wygląda? – spytałam.

– Znaczy się taki... – kucharka się zawahała. – Czarniawy, wysoki... Chyba już u pani był, psze pani.

– Dobrze, powiedz, że zaraz zejdę. Jeżeli to ten, o kim myślałam, to...

Błyskawicznie się umyłam, zaplotłam warkocz, ubrałam i zeszłam na dół.

– Nie gniewa się pani, że jestem tak wcześnie? – powitał mnie gość. – O ile zdołałem zrozumieć, sprawa jest pilna, więc nie zwlekałem.

– Jestem szczęśliwa, widząc pana zarówno wczesnym rankiem, jak i głęboką nocą! – odpowiedziałam szczerze, padając na swój fotel.

Garresz uśmiechnął się skąpo. Skoro pojawił się tu tak szybko, udało mi

się wysłać mu wezwanie zgodnie ze wszystkimi kanonami sztuki, dokładnie tak, jak mnie uczył.

– Flossio, co się tu u pani stało? – zapytał. No cóż, smokowi nasze ludzkie sprawy zapewne wydają się czymś w rodzaju zabawy w piaskownicy!

– Czyżby nie był pan na bieżąco z ostatnimi wydarzeniami? Na przykład jeśli idzie o wojnę ze Stalwią...

– Faktycznie dotarły mnie słuchy. – Smok wyraźnie się ze mnie śmiał. – Oprócz tego słyszałem, że trafiła pani na listę podejrzanych Kolegium, i przyznam, że mnie to zdziwiło.

– Nie wie pan nawet, jak bardzo zdziwiło to mnie! – prychnęłam. – Pokrótkce opowiem panu, co się stało i do czego udało nam się dojść, a potem najpewniej poproszę o pomoc...

– Postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy – obiecał Garresz – ale proszę nie żądać ode mnie niemożliwego. Niech pani zrozumie, nie możemy zbyt mieszzać się do ludzkich spraw.

– Rozumiem – odparłam. – I mam wrażenie, że nie uzna pan mojej prośby za coś nadzwyczajnego. Zresztą sam pan musi zdecydować. Proszę posłuchać...

Możliwie krótko opowiedziałam smokowi przebieg ostatnich tygodni, kładąc szczególny nacisk na wydarzenia dookoła książki i tajemniczego Naora. Tutaj musiałam zagłębić się w przeszłość, ponieważ Garresz nie był świadom wszystkich powiązań, ale z tym również poradziłam sobie w rekordowo krótkim czasie.

– Ciekawe – skomentował, gdy skończyłam opowieść. – Rzeczywiście przypomina mi to sprawy sprzed paru wieków, ale tylko po części.

– Jakże konkretnie? – zaniepokoiłam się.

– Dokładnie tamte, które opisano w waszych legendach.

– Czyli chce mi pan powiedzieć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę? – Zmarszczyłam brwi. – Wiedziałam, że legendy o Naorze są osnute na faktach, ale...

– Oczywiście, że się zdarzyło, w końcu to pamiętam! – Smok był wielce rozbawiony. – Co prawda byłem wtedy bardzo malutki, ale jednak to i owo zostało mi w głowie. Skoro pamiętam Wojnę Magów, to Naora tym bardziej! Flossio, a pani w ogóle zna takie pojęcie?

– Wojna Magów? – spytałam, łapiąc za fajkę. – Oczywiście. Jak twierdzą wszystkie encyklopedie, był to dosyć długi okres ciągłych lokalnych wojen z aktywnym udziałem magów, który zakończył się utworzeniem Kolegium Magów i zatwierdzeniem zestawu reguł, których naruszenie skutkuje dla maga sporymi nieprzyjemnościami, aż do kary śmierci włącznie. To wszystko miało miejsce jakieś siedemset lat temu, czy może nawet więcej.

– Siedemset osiemdziesiąt – poprawił Garresz. – Niestety, słabo pamiętam tamten okres, byłem zupełnie mały, ale wiele słyszałem od starszych krewnych.

Zamurowało mnie. Siedemset osiemdziesiąt lat... Garresz był „mały”, co dla smoka oznacza trzydzieści, czterdzieści lat, nie więcej. Spojrzałam na swojego rozmówcę nieco inaczej. Wiele bym dała za to, by móc się dowiedzieć tyle co on w ciągu tak długiego okresu! A zresztą, czy ludzki rozum w ogóle mógł to wszystko pomieścić?

– To, co ludzkie książki określają jako „lokalne konflikty z aktywnym udziałem magów” – ciągnął Garresz – w rzeczywistości było właśnie Wojną Magów. Zawsze dziwiło nas, jak aktywnie wy, ludzie, badacie magię, jak szukacie nowych dróg... Niektórzy nawet wygłaszali opinie, że należałoby was nieco... wyhamować. Ale stanowili mniejszość, cała reszta była po prostu ciekawa, co wydarzy się dalej.

– Sądząc z tego, co pan mówi, dowiedzieli się... – mruknęłam.

– Dokładnie tak, Flossio. – Garresz skinął głową. – Zobaczyliśmy ludzkich magów w całej okazałości. Teraz już nikt nie pamięta, od czego się to wszystko zaczęło, całkiem prawdopodobne, że właśnie od jakiejś lokalnej wojenki. Jeden mag obraził drugiego... a po chwili już nikt się nie zastanawiał, kto ma rację, a kto nie.

Przyznam, że patrzyłam na smoka z pewną zazdrością. Może gdzieś w archiwach Kolegium zachowały się dokładne zapisy o wydarzeniach tamtego okresu, ale ogólnie dostępne źródła opisywały okres wojny bardzo sucho i skrótowo, bez szczegółów, jak gdyby tamte mroczne czasy były mało ważne, albo nawet wątpiono w ich prawdziwość. I oto nagle miałam przed sobą żywego świadka wydarzeń, który – no co za szkoda! – był wtedy tak młody, że mało co pamiętał i przeważnie powtarzał to, co słyszał od innych. Ale mnie nawet to w zupełności wystarczało!

– I... jak to było? – spytałam.

– To było potworne – krótko odparł Garresz. – Flossio, już kiedyś rozmawialiśmy o tym, że współcześni ludzcy magowie są żalonymi cieniami swoich przodków.

– Tak, zrobił pan bardzo czytelną aluzję – prychnęłam.

Rozmach przodków robił wrażenie. Jeżeli Garresz mnie nie oszukiwał – a nie miał ku temu najmniejszych powodów – to starożytni magowie bojowi zdolni byli wygenerować impuls energii, który w jednej chwili zrównywał z ziemią całe miasto. Obecnie magowie również umieli niszczyć miasta, ale potrzebowali na to znacznie więcej czasu i siły. I tu pojawia się pytanie: gdzie w takim razie podzieli się tamci starożytni mistrzowie? Dlaczego ich zdolności nie zostały przekazane potomkom? Odpowiedź mogła być tylko jedna...

– Czy dobrze rozumiem, że tamci magowie po prostu pozabijali się nawzajem? – spytałam.

– Dokładnie tak – potwierdził Garresz. – Siebie nawzajem i całą masę kompletnie niezwiązanych ze sprawą ludzi. Ale, Flossio, muszę pani powiedzieć, że w kwestii zniszczenia najbardziej niebezpiecznych magów ogromną rolę odegrało Kolegium.

– A czy Kolegium nie zostało utworzone po wojnie?

Od dzieciństwa wbijano mi do głowy, że Kolegium od chwili swojego powstania zajmowało się niewdzięczną pracą wyszukiwania i odtwarzania wiedzy utraconej w czasach wojny, wychowywaniem nowych magów w miejsce tych, którzy wówczas zginęli, oraz tworzenia reguł, zgodnie z którymi żyją i pracują obecnie wszyscy magowie. Podejrzywałam, że w rzeczywistości sprawy nie wyglądały tak zachwycająco łatwo i słodko do bólu w zębach, jak opisywały to księgi, a Kolegium od czasu do czasu stosowało bynajmniej nie pokojowe metody, ale akceptowałam to jako rzecz, która rozumie się sama przez się. Nie miałam ani czasu, ani ochoty, by drobiazgowo zagłębiać się w sprawy, które działy się w niepamiętnych czasach. Okazało się, że niesłusznie.

– Pod koniec wojny – zgodził się Garresz. – O ile mi wiadomo, kilkoro waszych najbardziej zmyślnych, ale niezbyt potężnych magów, którzy potrafili również myśleć, a nie tylko dążyć do władzy, zebrało się i postanowiło działać wspólnie. W tamtym okresie już wiele ludzi miało dosyć nieprzerwanej wojny, a była to wojna zaiste straszliwa! Opowiadano mi, że na polach bitew magów bojowych wrzała ziemia, a w okolicy jeszcze przez wiele lat nie pojawiała się nic żywego. Dalej Garresz mógł nie opowiadać. Mniej więcej potrafiłam sobie wyobrazić, na co mogli wpaść tamci spryciarze, którzy założyli Kolegium, a których imion historia nie zachowała. Nie byli w stanie otwarcie sięgnąć po władzę, ponieważ nie mieli możliwości przeciwstawienia się magom bojowym. Ale za to mogli stworzyć pewną siłę przewyższającą władzę królewską. I właśnie tą siłą stało się Kolegium. A

tych, którzy mogli stanąć na drodze do realizacji tych planów, po prostu się pozbyli. Pewnie poczekali, aż ci najsilniejsi wybiją się nawzajem, a cała reszta... Podstępem i oszustwem można zniszczyć nawet najpotężniejszego maga bojowego. Jeden z najlepszych magów współczesności, magomedyk Eintofer, zginął absolutnie idiotycznie – ów pan miał słabość do pieprznych rozrywek i zadźgała go we śnie pijana portowa dziwka. I teraz zgaduj–zgadula, czy zrobiła to z własnej woli...?

Prawdopodobnie Kolegium wykonało również sporo pracy na polu oficjalnej wersji historii. Z kronik zniknęły wszystkie opisy wojen, a zamiast nich pojawiła się oficjalna wersja wydarzeń. Jakieś dokumenty musiały się zachować, ale dostęp do nich był bardzo surowo ograniczony. Wątpię, by z tymi starożytnymi tekstami swobodnie mógł się zapoznać każdy szeregowy członek Kolegium.

Garresz z zainteresowaniem obserwował moją twarz.

– Flossio, chyba sama pani wszystko zrozumiała – skomentował w końcu. – I co pani teraz powie?

– Co powiem? – Opadłam na oparcie fotela. – Garresz, ja powiem, że to ogromna szkoda, że wśród ludzi nie ma już magów, którzy jednym ruchem ręki potrafią zbudować most przez rzekę. I że to bardzo dobrze, że nie ma również magów, którzy dokładnie takim samym gestem mogą rzeczony most zniszczyć, a przy okazji zagotować rzekę.

– Flossio, naprawdę pani tak myśli? – Smok zmrużył oczy.

– Proszę sobie wyobrazić, że tak – odparłam sucho. – Boję się nawet pomyśleć o tym, co mogłoby się stać, gdyby w okolicy pojawił się taki mag jak ci z przeszłości.

– Panno Naren, Kolegium do tego nie dopuści – uśmiechnął się Garresz. – Mają oni wyjątkowo dobry powód, by tak dokładnie zbierać po miastach i wsiach wszystkie dzieci mające chociażby załączki magicznego talentu.

– „Z iskry rozgorzeje płomień”? – zacytowałam jedno z haseł Kolegium. Co by nie mówić, brzmiało cokolwiek dwuznacznie. Płomień może rozgorzeć, ale równie dobrze może zgasnąć. – Czyli szczególnie utalentowane dzieci...

Nie dokończyłam zdania, ale smok zrozumiał.

– Obawiam się, Flossio, że dokładnie tak – potwierdził. – Powiem pani, jak to wyglądało wtedy, ponad siedemset lat temu. W tamtych czasach bardzo długo szukałaby pani w mieście magomedyka czy maga bojowego. Mam powiedzieć dlaczego?

– Sama się domyślę – powiedziałam powoli. Chyba faktycznie już rozumiałam. – Ponieważ każdy mag zależnie od okoliczności mógł zarówno leczyć, jak i walczyć, i kto wie co jeszcze...

– Teraz nie zobaczy pani nic podobnego. – Garresz pochylił się, oparł łokcie na kolanach i nad czymś się zamyślił.

Ja również się zamyśliłam. Tacy magowie stali się wielką rzadkością. Teoretycznie magomedyk mógł opanować zaklęcie bojowe, ale w żadnych warunkach nie mógł się mierzyć z prawdziwym magiem bojowym. A mag bojowy mógł wyleczyć siebie samego, ale już nie potrafił pomóc towarzyszowi. W najlepszym razie umiał zatamować krwotok, ale tylko tyle. Nie dlatego, że wiedza różnych cechów była trzymana w tajemnicy, po prostu... Właściwie dlaczego? Czyżby brakowało im mocy? Nie sądzę. Sama byłam przykładem na to, że jeden człowiek potrafi opanować wiedzę z różnych szkół. Inna rzecz, że było mi daleko do zawodowego magomedyka (ale raczej wyłącznie dlatego, że nie poświęciłam tej dziedzinie wiedzy wystarczającej uwagi). Za to z magiem bojowym niższego stopnia z powodzeniem mogłam się mierzyć.

– Flossio, tacy jak pani stanowią wielką rzadkość – smok wydawał się słyszeć moje myśli. – Mam wrażenie, że Kolegium chętnie pozbyłoby się

was ostatecznie, ale nie wszyscy się na to zgadzają.

– Rozumiem. – Skinęłam głową. – Dla Kolegium bardzo wygodny jest stan rzeczy, gdy każdy zajmuje się wyłącznie swoją działką i nie pcha do cudzych. Znacznie łatwiej jest kontrolować cechy niż wszechstronnie rozwiniętych samotników. Dobrze pana rozumiałam?

– Dokładnie tak.

Zastanowiłam się chwilę i spytałam:

– Garresz, proszę powiedzieć, skąd pan tyle wie o sprawach Kolegium? I dlaczego tak bardzo interesują pana nasze zabawy?

Zapytany odpowiedział skąpym uśmiechem.

– Opowiedziałem już dosyć, by przestać udawać, że usłyszałem o wszystkim od babci podczas długich zimowych wieczorów – odparł. – Chociaż akurat od niej również usłyszałem wiele ciekawych rzeczy... W tamtych dawnych czasach ustaliliśmy... hm... że będziemy pilnować tego, co dzieje się u ludzi. Widzi pani, nas to wszystko również dotyczy. W tamtej wojnie ucierpiało niemało moich współplemieńców.

Milczałam. Takie podejście można było zrozumieć. Ciekawe, czy Kolegium wiedziało o tych... obserwatorach? Całkiem możliwe, że tak. To dosyć zabawna gra: ty wiesz, że ja wiem, że ty wiesz... Pytanie tylko, kto wiedział więcej.

– I co może mi pan powiedzieć o obecnej sytuacji? – spytałam nie bez ironii.

– Na razie jest względnie stabilna. – Garresz wzruszył ramionami bardzo ludzkim gestem. – Nie ma wśród was przesadnie potężnych magów, a przeważająca część wiedzy utracona została w trakcie wojny i do tej pory jej nie odzyskano. Ale mam wrażenie, że z czasem na nowo odtworzycie wszystko, co zostało zapomniane.

– Jeżeli Kolegium nam pozwoli – odparłam zimno. – Nie wydaje mi się,

żeby ktokolwiek tam był zainteresowany odtwarzaniem zabójczego zaklęcia bojowego. Mimo że marzy o tym naprawdę wiele osób, proszę mi wierzyć.

– Ale to wydaje się wszystkich urządać, czyż nie, Flossio? I tu wracamy do tego pani Naora, który z jakiegoś powodu potrzebuje wojny i uparcie wyszukuje starożytne artefakty.

– Owszem – potwierdziłam. – A przy okazji, opowiedział pan o wojnie, ale nawet nie wspomniał o prawdziwym Naorze, tamtym z legend.

– O nim nie bardzo jest co opowiadać. – Garresz ponownie wzruszył ramionami.

– Był potężnym magiem, który próbował stworzyć organizację będącą alternatywą Kolegium. Ogólnie podobieństwo było spore, z tym że Kolegium szło w kierunku zrównania mocy żyjących wówczas magów i niedopuszczenia do pojawienia się innych zbyt potężnych... egzemplarzy. Przecież wie pani, jaka jest podstawowa zasada Kolegium.

– Oczywiście. Nie mieszać się w sprawy zwykłych ludzi, o ile sytuacja nie przeradza się w poważną wojnę. „Zachować i pomnożyć” – to drugie hasło Kolegium.

– Właśnie... – Garresz odchylił się na oparcie fotela i spojrzał na mnie z ukosa. – Pomnożyć to, co tworzą zwykli ludzie. Wyniszczające wojny w tym przeszkadzają i właśnie dlatego Kolegium do nich nie dopuszcza... A zachowują wiedzę, w żadnym wypadku jej nie stosując. Przecież wie pani, że bynajmniej nie wszystkie wynalazki trafiają do publicznego użytku?

– Tak... – Zastanowiłam się. Co stało się z tamtym magomedyką, który uratował życie Wergiusza Starsisa? Co stało się z wielu innymi talentami? – Hamują postęp?

– Dokładnie. W przeciwnym wypadku wcześniej czy później pojawi się ktoś, kto zrozumie, że nauka magiczna może być rozwijana dalej, a to równie dobrze może zakończyć się drugą wojną. – Garresz wyglądał wyjątkowo

poważnie. – Przy okazji, to samo tyczy się również zwykłych ludzkich wynalazków. Podpowiedzieć pani, czy sama pani wpadnie?

– Wpadnę – prychnęłam. – Broń palna, prawda?

Garresz skinął głową. Akurat to zgadzało się co do joty. Od chwili gdy prawie dwieście lat temu jakiś nieznany geniusz wynalazł ognistą mieszankę i stworzył coś na kształt obecnej armaty, niewiele się w tej dziedzinie zmieniło. Jaki był sens używania niepewnych mechanizmów, powiedzmy, do obłożenia zamku, skoro mag bojowy kosztował znacznie mniej, a działał sporo pewniej? Małe armaty montowano na statkach, których właściciele nie mogli sobie pozwolić na wynajem maga bojowego na każdy rejs. Działały niezgorzej, ale nic ponad to. Od czasu do czasu podejmowano próby skonstruowania broni, którą można by trzymać w ręku, ale nic z tego nie wychodziło: prototypy były zbyt ciężkie i nieporęczne, a ich ładowanie zajmowało tyle czasu, że przeciwnik uzbrojony w zwykły łuk mógł w międzyczasie pobawić się w strzelanie do nieruchomej tarczy. A poza tym te mikroarmaty co rusz wybuchały, więc...

– Mojego dziadka strącono z armaty – zauważył Garresz, a ja drgnęłam z zaskoczenia. – W locie. Na śmierć.

Prawie upuściłam fajkę z wrażenia. Trafić lecącego smoka? Z armaty? Z tej nieporęcznej maszyny?

– Widzę, że jest pani zdziwiona – skonstatował smok z rozbawieniem. – To wszystko również zostało zapomniane... W tamtych czasach ludzie potrafili wiele rzeczy, które teraz są nie do pomyślenia. Podejmowano nawet próby wtopienia magii do takich wynalazków... jak armaty właśnie. Czy teraz pani rozumie, czym zajmuje się Kolegium?

– O tak! – powiedziałam, przez chwilę wyobraziwszy sobie wojnę z udziałem mechanizmów bojowych i magów o nieograniczonych możliwościach. Przyznam, że czułam się przy tym nieswojo. – Garresz, a

jakie były cele grupy Naora?

– Dokładnie odwrotne – prychnął smok. – Kolegium dawało ludziom możliwość życia tak, jak było im wygodniej, i jakkolwiek wyglądałoby to z boku, zmusiło magię do pracy na rzecz ludzkości. Może nie najpotężniejszą magię, ale jednak... Tymczasem Naor uważał, że magowie zasługują na coś więcej. W zupełnym uproszczeniu, sądził on, że tylko magowie godni są, by rządzić, a cała reszta ludzkości to bydło, którego należy pilnować.

Pasowało to do znanej mi legendy. Tamten Naor zagarnął władzę nad całym kontynentem, po czym zorganizował coś w rodzaju wybieralnego organu zarządzającego. Nie zdziwiłabym się, słysząc, że wchodził w jego skład wyłącznie magowie.

– Ale jeśli dobrze rozumiem, projekt tamtego Naora zakończył się fiaskiem – powiedziałam.

– Tak... O ile pamiętam, był on zbyt ambitny i nie potrafił dogadywać się z ludźmi – odparł Garresz. – Więc został bardzo szybko otruty przez któregoś z podwładnych. Bardzo prawdopodobne, że był to agent Kolegium. I wszystko powróciło do normy. Widzi pani... ludziom nie bardzo odpowiadało życie zgodnie z widzimisię jakiegoś maga. W tamtych czasach magowie łączyli się w zakony, wie pani o tym? – Przytaknęłam, a smok kontynuował: – No więc zakony często walczyły pomiędzy sobą, ale w rządzenie państwem wtrącały się wyłącznie wtedy, gdy im to pasowało. Natomiast rutynowe rządy, administracja – to było dla nich zbyt nudne. Tak więc ostatecznie ludzie byli sobie, a zakony sobie. Oczywiście istniały jakieś tam podatki na ich rzecz i temu podobne... Ale proszę się zgodzić, to nie to samo co pilnowanie każdego twojego kroku przez jakiś zakon? Tamci magowie w zasadzie nie wtrącali się do życia zwykłych ludzi. Zajmowały ich sprawy znacznie bardziej globalne.

– I Kolegium w pewnym stopniu kontynuuje tę tradycję – dodałam w

zamyśleniu. – Podatki na jego rzecz, cechy magów... Przy tym żadnego jawnego wtrącania się w sprawy państwowe. Do chwili kiedy pojawia się zagrożenie wielką wojną czy coś w tym rodzaju. Dobrze rozumiem?

– Tak.

– Czyli obecny Naor idzie w ślady swojego poprzednika? – wygłosiłam pytanie retoryczne.

– Na to wygląda. – Garresz przeciągnął się nieznacznym ruchem, kompletnie nieludzkim, raczej kocim, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało w odniesieniu do smoka. – Rozpocząć większą wojnę, a kiedy Kolegium będzie ją powstrzymywać, załatwić swoje sprawy. Usunąć najbardziej niebezpiecznych działaczy Kolegium, zastąpić ich swoimi zwolennikami... Zajmie to chwilę, ale takich spraw nie można załatwić szybko, w tej chwili jest to wielka i skomplikowana organizacja, nie to co poprzednio.

– A on przygotowuje się nie pierwszy rok – mruknęłam. – Och, Garresz...

– Co takiego, Flossio? – Uśmiechnął się. – Nie lubi pani takich gier?

– Straszliwie nie lubię – przyznałam.

– To po co się pani w to wszystko pakowała?

– Nie miałam innego wyjścia. Cóż... mogę tylko podziękować panu za informacje. Teraz bardzo wiele rozumiem. I czy mogę prosić o niewielką przysługę? Nie mam czym zapłacić, ale...

– Flossio, kiedyś się rozliczymy. – W oczach Garresza tańczyły płomienie, mimo że nie zapaliłam świecy. – Czego pani sobie życzy?

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę i smok odszedł. A ja nałałam sobie orty, wygodniej usiadłam w fotelu i głęboko się zamyśliłam.

Dokładnie tak – teraz rozumiałam znacznie więcej. Jeżeli gdziekolwiek pojawiał się wyjątkowo utalentowany mag, natychmiast trafiał on pod opiekę Kolegium. Jeżeli był zwykłym praktykiem, jak taki Eintofer czy inny Boras, to nikt go nie ruszał mimo sporej mocy i niechaj sobie spokojnie pracuje.

Było to nawet pożyteczne, młode pokolenie powinno mieć kogoś, kogo mogło podziwiać. Oczywiście ani Eintofera, ani Borasa nie można było określić jako ludzi normalnych, ale to również było Kolegium na rękę – zawsze można powiedzieć, że w każdym geniuszu drzemie szaleniec, w związku z czym nie należy traktować ich pomysłów zbyt poważnie.

Ale jeżeli mag nie zadowolął się już posiadaniem i poszukiwał czegoś nowego... To miał dwie drogi. Albo pracował dla Kolegium i wszystkie wynalazki znikwały w archiwach, albo... znikał mag.

Cóż, wszystko do siebie pasowało. Najpotężniejsi magowie nie pracują, ponieważ zajęci są badaniami teoretycznymi. Nauka dla nauki, magia dla magii... Może kiedyś w przyszłości się przyda, ale na razie te prace były hamowane.

A przy okazji... Historia o tamtym magomedyku, który towarzyszył fałszywemu katowi, jak najbardziej pasowała do ogólnego obrazu. Przecież Wac Ilgon nie był praktykującym medykiem. Miał na koncie jeden udany wynalazek, po którym zaczął prace dla Kolegium. Mogło się zdarzyć, że wymyślił coś wyjątkowego, ale nie pozwolono, by pokazał to ludziom. Czy był zadowolony z takiego obrotu spraw? Oczywiście, że nie. Jaki jest sens robienia wynalazków, jeśli nigdy nie zostaną zastosowane w praktyce? Mimo to Ilgon okazał się na tyle inteligentny, by się nie stawiać lecz udać, że wszystko mu pasuje. I właśnie dlatego nadal żyje. Ilu jeszcze było takich magów? Miałam wrażenie, że niemało.

I najpewniej to właśnie ich obecny Naor rekrutował do swojej gwardii. Młodzi, utalentowani, potężni, a równocześnie dostatecznie podstępni, przenikliwi – ci, którzy przyjęli strategię przetrwania, by nie zniknąć bez śladu. I oczywiście ambitni oraz uważający się za kogoś stojącego ponad zwykłymi ludźmi. Tacy również byli niezbędni. Boras zaliczał się właśnie do tej kategorii. A jeżeli cecha ta szła w parze z talentem...

Mimowolnie się wzdrygnęłam. A jeśli chodzi o Borasa... Do głowy przyszła mi kompletnie szalona myśl czy Kolegium przypadkiem nie miało na celu osłabieniu praktykujących magów na tyle, by móc bez strachu dyktować własne warunki? Bo prawa i reguły sobie, ale jeżeli jakiś wyjątkowo urażony mag bojowy (a sama miałam kilku takich wybuchowych znajomych) nieoczekiwanie zdecyduje się przybyć na posiedzenie Kolegium i nieco podsmażyć wszystkich tam obecnych, powstrzymanie go może chwilę zająć. Chociażby dlatego, że on ma ciągłą praktykę w warunkach bojowych. Z drugiej strony nawet niepraktykujący członkowie Kolegium mogli potrafić coś, w porównaniu z czym nawet tenże nieszczęsny Boras będzie wyglądał dosyć żałośnie. Cóż, to było całkiem prawdopodobne!

Ale z tego wynikało, że Naor był nieprzeciętną osobistością. Zrozumiał to wszystko – ciekawe, czy sam, czy ktoś jednak mu podpowiedział? – przez długi czas szukał sojuszników, przygotowywał się i w końcu podjął działania. O tak, przez długi czas czekał na właściwy moment. Kilka lat temu jego plan został zniweczony przez Ferenca Lagarsta, który mógł się nawet nie domyślać prawdziwej przyczyny wydarzeń, lecz widział tylko, że Naor chciał wojny pomiędzy Arastenem a Stalwią... A on chwilę odczekał i ponownie zabrał się do roboty, i tym razem prawie osiągnął sukces. Prawie...

Uśmiechnęłam się. Czyli on czeka, aż uczynię pierwszy krok? Cóż, już go uczyniłam.

ROZDZIAŁ 32

Pożegnanie

Dwa dni mi upłynęły na oczekiwaniu. Musiałam odmówić klientowi – proponował pracę w terenie, a ja nie mogłam opuszczać stolicy. Zresztą akurat teraz nie miałam ochoty na wyjazd, czekałam na finał mego planu. Prawdopodobnie koniec gry był już blisko...

Laurinne się nie pojawił i to mnie martwiło. Czyżby aż tak się obraził? Zresztą ciekawił mnie nie tyle jego nastrój, ile to, czy zdołał wykonać zadanie otrzymane od dziadka. Nie chciałam porucznika wzywać – mojego domu na pewno pilnowano, a po co zawczasu uprzedzać przeciwnika o swoich planach? Pozostawało tylko czekać, kiedy młodzieniec raczy mnie odwiedzić.

Pod wieczór drugiego dnia nie wytrzymałam. Ostatecznie nikt nie zabronił mi odwiedzać pałacu, więc... Nie miałam pojęcia, dlaczego porucznik nadal nie odmeldował się w sprawie wykonania czy też niewykonania polecenia, ale nie mogłam dłużej siedzieć i czekać.

Do pałacu nie dotarłam – już na moście zobaczyłam znajomą postać i wstrzymałam konia.

– Panno Naren... – Laurinne z rezerwą skłonił głowę. Siedział na swoim humorzastym rumaku, a na postronku prowadził mojego Ruta. – Cóż za

nieoczekiwane spotkanie!

– Nie da się ukryć... – wycedziłam.

– Akurat do pani jechałem – uprzejmie ciągnął Laurinne. – Zwrócić konia. Bardzo mnie pani wtedy poratowała.

– Nie musi pan dziękować – wyszczerzyłam się, rozumiejąc, że porucznik nie bez powodu zaczął taką rozmowę. – A ja wyjechałam na spacer. Znudziło mi się siedzenie w czterech ścianach. Przy okazji, będę bardzo wdzięczna za pańskie towarzystwo przy obiedzie.

– Jak pani rozkaże, panno Naren. – Porucznik odpowiedział mi jeszcze bardziej nienaturalnym uśmiechem.

– Owszem, rozkażę – oznajmiłam, zawracając kobyłę. – Nudzę się wprost koszmarnie. Zna pan jakieś świeże plotki?

– Niezbyt wiele, panno Naren. – Laurinne wzruszył ramionami. – Ale opowiem, co wiem.

– Doskonale! – zawołałam z nadmiernym entuzjazmem i prawie przez całą drogę wysłuchiwałam, która z dworek planuje zająć miejsce faworyty Jego Ar-książęcej Mości. Porucznik musiał zbierać te plotki celowo, nigdy nie zauważyłam, by podobne sprawy go ciekawiły.

Na szczęście droga do mojego domu nie była zbyt daleka, bo cierpliwość mogła mi się ponownie skończyć.

– Panno Naren – nieoczekiwanie odezwał się Laurinne, który wyczerpał zapas plotek – myśli pani, że ktoś może nas teraz podsłuchiwać?

– Nie powiem panu na pewno. Myślę, że może – syknęłam.

– Używając koni?

– Nie – odparłam. – Przecież mówiłam, że magia działa na konie w sposób niedający się przewidzieć, więc użycie ich jako szpiegów jest praktycznie niemożliwe.

– To dobrze – ton porucznika był śmiertelnie poważny. – Gdybym ciągle myślał o tym, że mój własny koń mnie śledzi...

Z zaskoczenia prychnęłam, a następnie roześmiałam się w głos, aż obejrzał się za mną któryś z kramarzy.

– Jeżeli nie ciąga pan na sobie jakiegoś paskudztwa – powiedziałam, gdy skończyłam się śmiać – to mało prawdopodobne, by w tym hałasie zdołali nas usłyszeć. Ale pana koń nie wyglądał, jakby się denerwował, czyli najpewniej nic na panu nie wisi. Nie brał pan przypadkiem od kogoś jakichś przedmiotów?

– Nie. – Laurinne pokręcił głową. – Tylko szpadę... ale jest służbowa. Podjechałam bliżej i przeciągnęłam dłonią nad pochwą. Z boku mogło wyglądać to tak, jakbym gładziła porucznika po udzie. On również to zrozumiał i zauważalnie poczerwieniał.

– Czysta – stwierdziłam. – A przynajmniej nie czuję żadnych śladów magii. Nie obejmował pan żadnych przyjaciół?

– Nie mamy tego w zwyczaju. – Laurinne zerknął na mnie. – Ściszałem im ręce, to tak. Ale dziś mam inne rękawiczki...

Na wszelki wypadek sprawdziłam – również czysto. Chyba jednak agenci nie zaryzykowali zbliżania się do porucznika.

– Czyli to w ramach konspiracji opowiedział mi pan wszystkie dworskie plotki? – spytałam wesoło.

– Przecież sama pani prosiła! Myślałem, że ma pani jakiś powód...

– A ja uznałam, że pan go ma, odkąd się znamy, nie zachowywał się pan tak poważnie – zauważyłam. – Co się panu stało?

Laurinne gapił się na grzywę swojego konia.

– Rozumiem. Obraził się pan i uznał, że będzie poważnym i niezłomnym mężczyzną. Prawie się panu udało. Proszę jeszcze trochę poćwiczyć i przysięgam, że uda się panu nabrać nawet mnie!

– Znowu się pani ze mnie śmieje? – Młodzieniec spojrział na mnie z ukosa. Spojrzenie to było nie tyle obrażone, ile po prostu złe.

Wjeżdżaliśmy już na podwórze.

– Oczywiście – odparłam, zsiadając i rzucając wodze stajennemu. – Powinien się pan już przyzwyczaić. Chodźmy do domu. Nie ma co informować całej ulicy o trudnościach w naszych wzajemnych relacjach...

Porucznik nie skomentował.

– I co? – spytałam, rozsiadając się w ukochanym fotelu. – Co pana tak męczy? To, że oszukałam pana w sprawie tej książki, czy to, że użyłam pana jako wabika dla Naora?

– A jak się pani wydaje? – Laurinne ulokował się na parapecie i patrzył na mnie z dumą i pogardą. Gdyby na moim miejscu była inna kobieta, zrobiłby wrażenie. Mnie chciało się śmiać.

„Chłopiec dorasta – pomyślałam nieoczekiwanie. – Jeszcze rok czy dwa i pod jego spojrzeniem będą posłusznie mdlały dworki... To nic, że wygląda niepokojąco, ale za to ma taki charakter, że żadna nie wytrzyma! Pewnie to lepiej...”

– Nie mam pojęcia – przyznałam. – Nigdy nie byłam dziewiętnastoletnim chłopakiem i nie potrafię sobie wyobrazić, co dzieje się w pańskiej głowie. Ale mam nadzieję, że ma pan dosyć zdrowego rozsądku, by zrozumieć, dlaczego tak postąpiłam.

– Rozumiem – odparł Laurinne chmurnie. – Przecież mi pani wyjaśniła. Gdybym wiedział, że książka ocalała, to zarówno Afaz, jak i ten drugi by się tego dowiedzieli...

– W takim razie o co panu chodzi?

– Zawczasu to pani sobie przemyślała? – porucznik nie chciał porzucić tego tematu.

– Jeżeli to dla pana takie ważne, to nie – odparłam. – To była

spontaniczna decyzja. Akurat zaszlachtował pan Borasa, a ja, pewnie z powodu szoku nerwowego, wpadłam na to, jak postąpić. Zadowolona to pana?

– To znaczy... – Laurinne wbił wzrok w podłogę.

– Proszę przestać udawać bohatera tragedii – rozkazałam. – Nie pasuje to do pana, a poza tym gra pan nieprzekonująco.

– Mogła mi pani opowiedzieć, gdy już było po wszystkim...

– Nie – odparłam. – Skąd miałam wiedzieć, co może się panu przydarzyć w pałacu? Tam jest mnóstwo zakamarków, w razie czego nawet nie znajdą trupa. Proszę mi wierzyć, nie miał pan najmniejszego powodu, by znać prawdę! I niech mi pan lepiej powie, czy udało mu się porozmawiać z którymś z dworskich magów?

– Tak – porucznik chyba zdecydował, że będzie małomówny.

– Mam z pana każde słowo wyciągać kleszczami? – Zmarszczyłam brwi.

– Laurinne, nie jestem w tej chwili w nastroju do żartów czy znoszenia pańskich fanaberii. Jeżeli jest pan tak bardzo urażony prośbą mojego dziadka, to jestem gotowa przeprosić. Oczywiście wyłącznie w sytuacji, gdy natychmiast opowie pan, jak pan tę prośbę spełnił!

– Flo, nie warto. – Laurinne w końcu spojrzał na mnie i tym razem wyraz jego oczu wydał mi się ironiczny. – I tak nie wyjdą pani szczerze przeprosiny.

– Zdecydowanie pana nie poznaję – przyznałam. – Ale skoro nie potrzebuje pan przeprosin, to niech pan będzie łaskaw i zamelduje mi, co tam się działo ze wspomnianymi dworskimi magami!

– Nie udało mi się złapać żadnego z nich w pojedynek – w końcu odpowiedział Laurinne. – Mimo że kilka razy próbowałam. Koniec końców zaczęło to wyglądać podejrzanie i musiałem... w zasadzie musiałem porozmawiać z obydwoma.

– Naprawdę? – mruknęłam. – Bardzo to ciekawe. Niech pan kontynuuje.

– A raczej rozmawiałem z panem Ressem – poprawił się porucznik. – A

pan Tawal słuchał. Powiedziałem to, co mi pan Naren kazał. Pan Ress zadał kilka pytań, o to, jak książka wyglądała, gdzie ją widziałem i tyle. A Tawal... on zapytał, po co to wszystko mówię.

– I co pan odpowiedział?

– Powiedziałem, że się o panią boję – ciągnął Laurinne ponuro. – Że oczywiście rozumiem pani zainteresowanie tą książką, ale obawiam się, że znowu stanie się pani ofiarą kogoś, kto będzie na nią polował. Miałem rację?

– Jak najbardziej, wyszło panu bardzo udane kłamstwo – pochwaliłam.

– Dlaczego uważa pani, że to było kłamstwo? – Teraz porucznik patrzył mi w oczy.

– Nawet jeśli była to prawda, to jakie to ma znaczenie? – Wzruszyłam ramionami. – Naprawdę wyszło bardzo dobrze. Myślę, że dziadek będzie zadowolony.

– A pani?

– A co ze mną? – nie zrozumiałam. – A! Ja również jestem zadowolona. Co panu odpowiedzieli?

– Żebym się nie martwił. Postarają się tą sprawą zająć – odparł Laurinne sztywno. – Prosiłem, by dali słowo, że nic pani nie zrobią, ale nie mogli mi nic podobnego obiecać.

– Nic dziwnego! – prychnęłam. – Cóż... Teraz pozostaje tylko czekać. Doskonale pan sobie poradził, poruczniku, i bardzo mi pomógł.

– Flo, cieszy mnie, że mogłem pomóc. – Laurinne wstał i krótko się uklonił. – Czy mogę odejść?

– A gdzie się pan wybiera?

– Z powrotem do koszar – rzucił przez zęby.

– Nie zapomniał pan przypadkiem, że jest moim towarzyszem? – spytałam. – Laurinne, niech pan da spokój. Nie otworzy pan tych drzwi, póki

ja tego nie zechcę. I nie radzę skakać przez okno, wygląda to głupio i dziecinnie. – Wstałam i podeszłam do niego. – Może mi pan wyjaśnić, o co poszło? Czy mam pana uspokajać jak histeryczną panienkę?

– W żadnym razie! – Porucznik odskoczył do tyłu. – Ma mnie pani za dzieciaka?

– Hm... – Udałam, że się zastanawiam. – Cóż, biorąc pod uwagę naszą różnicę wieku, nie widzę w tym nic zdrożnego. Ma pan jeszcze jakieś pretensje?

– Nie... – Laurinne zapadł się w sobie. Cofnął, ponownie usiadł na parapecie. – Nie, Flo... To tylko...

– Tylko po raz kolejny przekonał się pan, jak bardzo nie mam uczuć, jestem zimna... i dalej według listy. – Uśmiechnęłam się. – Ale to też nie po raz pierwszy. W takim razie co?

– Zobaczyłem panią obok dziadka – przyznał cicho. – On wydawał mi polecenia, a pani po prostu patrzyła...

– Chciał pan, żebym wzięła go w obronę? – spytałam.

– Nie! Nie o to chodzi... Po prostu byliście... byliście w tamtej chwili tak bardzo do siebie podobni... – Laurinne westchnął.

– Nieprawda, nie jestem aż tak stara – spróbowałam zażartować, ale porucznik nie był w nastroju do żartów.

– Nawet nie chodzi mi o wygląd... Oboje mieliście identyczne spojrzenia, pełne wyczekiwania. – Wykrzywił wargi. – Tylko naprzód, tylko schwytać zdobycz i... i tyle.

Rozumiałam. A on chciał, żebym w tamtej chwili pomyślała również o nim. Takie to naiwne, takie dziecinne... i szczerze. Gdybym była młodsza, to... A zresztą nie. Nic by się nie zmieniło. Niestety albo na szczęście – tego powiedzieć nie mogłam, ale byłam taka, jaka byłam, i tyle. Laurinne nie był pierwszym, który próbował mnie zmienić, i jeśli nie udało się to innym

mężczyznom, to mało prawdopodobne, by udało się jemu.

– Czyżby nie wiedział pan, jaka jestem? – spytałam, siadając obok. – To proszę się teraz nie skarżyć.

– Ja się nie skarżę – westchnął. – I wszystko wiedziałem. Po prostu chyba dopiero teraz zrozumiałem.

– I co? – spytałam z ciekawością. Laurinne nie był panienką, więc nie zapyta, czy cokolwiek dla mnie znaczy, a ja nie powiem...

– Nic. – Nieoczekiwanie uśmiechnął się i mimo że uśmiech wyszedł mu gorzki, chyba już się pozbierał. – Przeżyję. Flo, przepraszam za tę scenę. Tak jakoś wyszło... Przepraszam.

– To pan jeszcze nie widział scen. – Musiałam przyznać, że bardzo mi ulżyło. – Każdemu się zdarza...

Chwilę milczeliśmy. Cisza zaczynała się przeciągać i już zastanawiałam się nad tym, jak ją przerwać, kiedy zrobił to porucznik.

– Flo... Mam tylko jedno pytanie. Dlaczego mi pani w ogóle pozwoliła... na to? Masz ci los...

I co miałam mu niby odpowiedzieć na takie pytanie? Prawdę? A w sumie dlaczego nie?!

– Najpierw z ciekawości – odparłam i nie mogąc się powstrzymać, dodałam: – A poza tym... Laurinne, nie przyszło panu przypadkiem do głowy, że jest mi pan potrzebny w tym samym celu, w którym podstarzałe damy znajdują sobie młodych kochanków?

Sądząc z tego, jak się zaczerwienił, przyszło. Chociaż mogło się okazać, że jego zmieszanie miało zupełnie inne powody, ponieważ głośno powiedział:

– Wcale nie jest pani podstarzała!

W tych słowach brzmiała taka uraza, że poczułam rozbawienie. Chyba Laurinne faktycznie nie uważał mnie za staruchę. A co, jeśli...

– Jeżeli powiem panu, ile naprawdę mam lat – ciągnęłam – to myślę, że w jednej chwili pan stąd zniknie.

– No to niech pani powie! – Porucznik naburmuszył się.

Podaliśmy liczbę. Przez chwilę panowało milczenie, po czym Laurinne pokręcił głową i powiedział:

– Nie może być!

– Jeśli pan nie wierzy, to proszę zapytać pałacowych magów, w którym roku magowi–justycjariuszowi Fergusowi Narenowi narodziła się wnuczka. – Wzruszyłam ramionami. – Może pan nawet zapytać jego osobiście. Odpowie, nie ma w tym żadnej tajemnicy.

Miałam wrażenie, że w tym momencie dążenie do poznania prawdy w poruczniku nieco przycichło. Chyba bał się dziadka znacznie bardziej niż mnie, i to całkowicie słusznie.

– Wszystko jedno... – nieoczekiwanie podsumował porucznik po chwili namysłu, a następnie dodał straszliwie banalne zdanie, wyraźnie próbując być uprzejmym:

– Kobieta ma tyle lat, na ile wygląda.

– Laurinne, ktoś pana oszukał! – parsknęłam. – Kobieta ma zawsze osiemnaście lat. Przynajmniej do momentu, gdy jej córka skończy osiemnaście lat.

– Wezmę to pod rozwagę – odparł poważnie.

Pewnie gdzieś w głębi duszy rozdzierały go wątpliwości. I trzeba powiedzieć, że wkładał wiele wysiłku w to, by w żadnym razie nie wydawać się takim młodym kochankiem uwieszonym na szyi niemłodej kobiety. Chyba nawet było mi go żal, ale nie mogłam na to nic poradzić. I ogólny bieg rozmowy również mi się nie podobał, nie cierpię dyskusowania na tak osobiste tematy.

Chłopak znowu patrzył w podłogę, a ja na chwilę się zamyśliłam. Chyba

tak... Uśmiechnęłam się. Cóż, skoro podjęłam decyzję, to podjęłam...

– Laurinne, starczy tych cierpień – powiedziałam. – Zbyt poważnie pan do wszystkiego podchodzi. Może się okazać, że nie dożyjemy jutra, a pan marnuje czas na puste gadanie!

– Co? – Podniósł głowę. Wyraźnie oderwałam go od jakichś czarnych myśli.

Ja tylko się uśmiechnęłam i wyszłam z gabinetu, pozostawiając drzwi otwarte. Cóż, jeżeli okaże się tak niedomyślny, że... A nie, jednak odgadł!

– Flo... – Stał w progu, nie mogąc się zdecydować, by wejść. – Jak tu u pani... pusto!

– Czyżby? – Rozejrzałam się dookoła. – A! Nie mam co robić, więc zdecydowałam się posprzątać. Rima już nie ma sił na cokolwiek poważnego, tyle co kurze pościere, więc wszystko poukładałam.

– Mówi pani... – Laurinne obrzucił pokój ciekawskim spojrzeniem. Rzeczywiście, nie było w nim już zwykłego bałaganu, książki leżały w schludnych stosach, na fotelach nie poniewierały się ubrania, z drobiazgów został tylko miedziany wazonik na kominku z prawie zupełnie wyblakłym zimowym bukietem. Porucznik spojrzał na niego, nieoczekiwanie zaczerwienił się i umknął spojrzeniem.

– Ano mówię – odrzekłam, zamykając drzwi. – Laurinne, może w końcu przestanie pan cierpieć? Mnie i tak pan nie zmieni, a pańska posępna mina psuje mi nastrój!

– Nawet nie myślałem nad tym, żeby panią zmieniać. – Porucznik uśmiechnął się nieśmiało. – Przecież to już nie byłaby pani, mam rację?

– Pewnie tak – odparłam. – A skoro tak...

„Czy warto było to robić? – spytałam sama siebie po chwili. – Może lepiej, gdyby został na mnie obrażony? Byłoby mu lżej. Z drugiej strony dlaczego ja muszę się nad tym zastanawiać? Ostatecznie to on jest

mężczyzną. Przeżyje... A ja – uśmiechnęłam się – jestem słabą kobietą. I będę musiała sama o siebie zadbać...”



Laurinne uciekł jeszcze przed świtem. Obudził mnie jakiś dźwięk – porucznik ubierał się, usiłując nie hałasować. Jak zwykle próbował zniknąć przed śniadaniem, a może po prostu śpieszył się na wartę.

– Niech pan weźmie mojego Ruta – powiedziałam sennie. – Albo nie. Niech pan nie bierze. Muszę dziś po południu pojechać gdzieś w interesach, a moją Szarkę zna całe miasto.

– I tak nie zamierzałem brać pani konia – burknął Laurinne, wyraźnie niezadowolony z tego, że się obudziłam.

– No i dobrze... – Naciągnęłam kołdrę na głowę. – A, i jeśli Dim nadal śpi, to niech pan będzie uprzejmy i go obudzi. Kobyle podkowa się poluzowała, miał ją wczesnym rankiem zabrać do kowala...

– Jak najbardziej – obiecał Laurinne.

– I niech pan wieczorem nie przyjeżdża. – Ziewnęłam. – Będę u dziadka. Zresztą jak pan chce, może pan wpaść tam do nas. Chyba mu się pan spodobał...

– Nnnie, dziękuję bardzo. – Porucznik pokręcił głową, zapinając bandolier. – Pewnie musicie porozmawiać sam na sam, a ja będę tylko przeszkadzał!

– Jak pan chce – burknęłam. Uniosłam głowę i spojrzałam na porucznika: szczupła młodzięcza postać w dobrze skrojonym mundurze, zgrabna sylwetka, twarz niezbyt dobrze widoczna w półmroku. Głębokie cienie jak gdyby postarzyły go o kilka lat i zrozumiałam, jak Laurinne będzie wyglądał

po upływie tego czasu. – Niech pan już idzie.

– Do zobaczenia, Flo – powiedział i nieoczekiwanie podszedł do mnie. Pocałował, zamarł na chwilę, wpatrując się w moją twarz, po czym szybko wyszedł.

– Do zobaczenia... – powiedziałam za nim. – Do szybkiego zobaczenia...

Po wyjściu porucznika zdecydowałam, że zdrzemnę się jeszcze godzinę czy dwie. Nawet mi się to udało i nie przeszkadzały w tym żadne natarczywe myśli – umiem się od nich odciąć.

– Psze pani... – Do drzwi ostrożnie zaskrobała Rima. – Jakiś pan tam do pani...

– Powiedz, że zaraz zejść – mruknęłam sennie i potrząsnęłam głową, wracając do świata jawy.

Ubrałam się i uczesałam staranniej niż zwykle. Spojrzałam w lustro – twarz blada, pod oczami sińce – piękny widok, całą noc nie spałam, męczyłam się w rozterkach... O tym niespaniu w nocy to się nawet zgadzało, lecz przyczynę mojej bezsenności trudno było nazwać męczarniami!

Gość czekał w gabinecie, na mój widok wstał i uklonił się.

– Dzień dobry, panno Naren.

– Dzień dobry, panie Tawal – odparłam, mając nadzieję, że moje spojrzenie nie zdradza ogarniającego mnie podniecenia. – Co sprowadza pana o tak wczesnej godzinie?

– Myślę, że pani wie, panno Naren.

– Domyślam się, panie Tawal, a to nie jest to samo – powiedziałam w tym samym tonie. – Czy będzie pan tak uprzejmy i poda mi cel swojej wizyty?

– Z przyjemnością, panno Naren. – Mag się uśmiechnął. – Hm... Widzę, że pani dom jest w wystarczającym stopniu broniony przed podsłuchem. To godne pochwały, tak właśnie...

– Staram się, panie Tawal. – Uśmiechnęłam się słodko. – Sam pan rozumie, wymagania zawodu.

– Rozumiem, rozumiem... – Pokiwał głową. Uśmiech na jego młodej twarzy wydawał się przyklejony. – Ale, panno Naren, akurat ktoś o pani profesji powinien być ostrożniejszy w swoich działaniach.

– Nie wiem, o co panu chodzi, panie Tawal. – Próbowałam wyglądać na zdezorientowaną.

– Myślę, że nie ma sensu owijać w bawełnę. – Po uśmiechu Tawala nie został nawet ślad. – Panno Naren, doskonale rozumie pani, o co mi chodzi.

– Nie mam pojęcia – poskarżyłam się. – Może mnie pan oświeci?

– No dobrze, jeżeli ma pani ochotę bawić się w te gierki, to powiem wprost. Dotarła pani bardzo daleko, panno Naren. Gra z panią była czystą przyjemnością.

– Co pan powie... – mruknęłam.

– Proszę sobie wyobrazić. – Tym razem uśmiech Tawala był całkiem szczery. – Po tych wszystkich przewidywalnych magikach i dworakach... No niechże pani nie udaje, że nie ma pojęcia, o czym mówię!

– A jeśli tak właśnie jest?

– Panno Naren, nie wierzę! Przecież to nie z własnej inicjatywy ten pani porucznik przyszedł, by opowiedzieć mojemu koledze o pewnej rzeczy... a przy okazji mnie? Domyśliła się pani, czyż nie?

– Ano tak – mruknęłam. Przeciąganie tej sceny nie miało sensu, ostatecznie właśnie o to mi chodziło. – Jak mam pana teraz nazywać?

– Tak samo jak przedtem. Jestem Lir Tawal i nim pozostanę. A to przezwisko... wyszło całkiem zabawne, nie sądzi pani?

– O tak. Musiałam się przez pana trochę namęczyć. A przy okazji, w jaki sposób mogę się przekonać, że jest pan właśnie Naorem? Może jest pan tylko

kolejną płótką.

– Oho! – zachwycił się. – A teraz muszę udowodnić, że to właśnie ja jestem Naorem i to komu, samej Flossii Naren! Dobrze sobie!

– Będę rozmawiać tylko z Naorem osobiście – rzuciłam chłodno. – Nie interesują mnie pacholki. Nie po to tyle czasu zmarnowałam na jego poszukiwania, by prowadzić rozmowy z byle kim!

Tawała chyba nieco zatkało. Ale szybko odzyskał panowanie nad sobą.

– Nie pomyliłem się, jeśli idzie o panią, panno Naren – stwierdził z rozbawieniem. – No dobrze... Jakich dowodów pani potrzebuje? Gra z panią sprawiła mi taką przyjemność, że odpowiem na każde pytanie.

– O czym rozmawiał pan z Ferencem Lagarstem, zanim został on odesłany z miasta? – spytałam. Tak, we wspomnieniach porucznika na pewno widziałam Tawała. Głos i sposób poruszania należały do niego, a twarzy Laurinne i tak nie widział.

– A więc do tego również się pani dogrzebała – mruknął Tawał. – Szkoda, że Ilgon mnie powstrzymał. Trzeba było dzieciaka przycisnąć, wiedziałem, że mnie zapamiętał... Bez tych jego wspomnień potrzebowałyby pani dłuższego czasu.

– Obiecał pan, że odpowie na moje pytanie – przypomniałam. Czyli pod maską magokata ukrywał się Tawał. W takim razie zrozumiałe, że wydał się porucznikowi znajomy...

– Owszem. – Złożył palce i spojrzał na mnie z ironią. – Lagarst był nieznośnie natrętny. Widział mnie jeszcze w Estalu. Niestety, byłem tam nieco niedbały i w wyniku tego musiałem zmienić władcę. A gdy spotkał mnie ponownie w Arastenie, powziął masę podejrzeń. Oczywiście nie mógł mi naprawdę przeszkodzić, ale gdyby słuchy dotarły do uszu pewnych ludzi w Kolegium... Musiałbym się tłumaczyć, a to proces długotrwały i skomplikowany. Ten uparty człowiek szedł za mną krok w krok, gdzie ja,

tam on. Byłby z niego doskonały pies tropiący! Gdy w końcu mi się to znudziło, uznałem, że porozmawiam sobie z nim od serca... – Tawal strzelił palcami, a ja się skrzywiłam. – Oczywiście nie miał pojęcia o moich dalekosiężnych planach, interesował go wyłącznie Arasten. Zaproponowałem układ: on pozwala mi działać, jak chcę, a ja zostawiam w spokoju jego i jego rodzinę.

– Lagarst się nie zgodził... – powiedziałam.

– Nawet nie liczyłem, że się zgodzi. – Tawal wzruszył ramionami. – Należał do ludzi, dla których obowiązek jest ponad wszystko. Panno Naren, pani go nie znała, był straszliwym człowiekiem. Nic dziwnego, że tak bardzo ceniono go w pracy. Po to, by mnie powstrzymać, gotów był poświęcić bliskie osoby. Straszliwy człowiek... – powtórzył Tawal z zauważalnym zadowoleniem. – Z przyjemnością ciągnąłbym tę grę, ale on akurat uznał, że zwróci się do Kolegium. Nie miał dowodów, ale poszlaki mogły wystarczyć! Szkoda... Musiałem zrobić pierwszy krok. Proszę zwrócić uwagę! – Podniósł palec wskazujący. – Umiem cenić godnych przeciwników!

– Co on panu takiego w końcu powiedział? – spytałam. – Czyżby pan nie pamiętał? Wydaje mi się, że nie tak często panu odmawiają...

– O, w tym ma pani rację – uśmiechnął się Tawal. – Pamiętam jego słowa... Kiedy zaproponowałem, że spłacę długi ciężące na majątku, który został zastawiony jeszcze przez dziadka jego żony, a jeszcze dorzucę coś ponadto, Lagarst zadarł nos o tak. – Zrobił minę pełną wyższości. – I oświadczył, że niby jego honor nie jest na sprzedaż za żadne pieniądze, a synowie woleliby być dziećmi oficera zabitego przy wykonywaniu obowiązków niż dziećmi sprzedajnego drania. Mocno powiedziane! Ale niewiele w tym sensu. Gdy spytałem go, jaki ma stosunek nie do własnego życia, ale do życia żony i dzieci...

– To co? – wyraziłam zainteresowanie.

– Spoliczkował mnie – odparł Tawal z wyraźną niechęcią. – Tak po prostu, jak chłop ze wsi. I powiedział... Przepraszam, panno Naren, dobre wychowanie nie pozwala mi powtórzyć tych słów, którymi nazwał mnie arnai Lagarst! Ogólny sens sprowadzał się do tego, że jestem... hm... człowiekiem bez honoru, w związku z czym spodziewa się on po mnie każdego świństwa. Ale ponoć na wszelki wypadek ma schowane pewne listy...

– I wtedy nie zaryzykował pan, by cokolwiek robić. – Pokiwałam głową.

To wszystko było we wspomnieniach Laurinne'a. Zarówno ciche, ale gniewne głosy rozmówców, jak i dźwięk ogłuszającego policzka, który rozdarł tę grząską półciszę... I co najważniejsze – słowa. Właśnie tamte. Porucznik zapamiętał wtedy niewiele, był zbyt przestraszony, ale mimo wszystko...

– Niestety tak – prychnął Tawal niezbyt wesoło. – Kto wie do kogo były adresowane tamte listy! Uznałem, że będę działał inaczej.

– Zwykle usunięcie Lagarsta wydało się panu zbyt prostym rozwiązaniem? – spytałam.

– Dokładnie – mruknął. – Znacznie ciekawsze było obserwowanie, jak się wścieka, nie mogąc nic zrobić! O tak, to był jeden z moich najlepszych pomysłów... – Zmrużył oczy jak najedzony kocur. – Plama na honorze dla kogoś takiego jak Lagarst... Rozumie pani, prawda?

– O tak! – odparłam szczerze, obserwując rozmówcę z przepełnioną wstrętem ciekawością.

– Wiedziałem, że pani to doceni – stwierdził. – Proszę sobie wyobrazić, że on nawet po zesłaniu się nie uspokoił! Miał przyjaciela... jak mu tam... Starsisa! Mimo wszystko próbowali dojść, co ja takiego planuję. Nawet musiałem na jakiś czas wstrzymać prace. Zresztą zajmowałem się wtedy innymi sprawami... Stracili na to masę czasu, zdążyłem się nawet znudzić. –

Tawal uśmiechnął się protekcjonalnie. – Gdybym nie wspomniał w tamtej rozmowie z Lagarstem, czyją drogą idę, on by się nigdy nie domyślił. Zresztą i tak nie dotarł do końca. Jego myśli nie poszły dalej niż do wojny pomiędzy tymi śmiesznymi królami. Starsisa tak samo... przez dosyć długi czas.

– Prawie się domyślił – zauważyłam.

– Owszem. Do czegoś w końcu doszedł, korespondencja między nimi się ożywiła. Uznałem, że sprawdzę, co wie Starsis – ten był bliżej, ale staruszek dostał udaru. Nieprzyjemne. – Rozłożył ręce. – Niestety, nie miałem pojęcia, gdzie on faktycznie służył, uznałem go wyłącznie za przyjaciela Lagarsta! Nawet nie zakładałem, że miał blok przeciwko magicznym przesłuchaniom. – Tawal ponownie się uśmiechnął. – Panno Naren, proszę sobie wyobrazić, jaka ironia losu: jeden mag uratował mu życie, a drugi w zasadzie zabił...

– Faktycznie – mruknęłam. – A jak udało się panu zorganizować Zakłęcie Kary dla Lagarsta?

– A, to już było banalne. – Tawal machnął ręką. – Uznałem, że muszę się zabezpieczyć. Jeżeli Lagarst miał Starsisa, to mógł mieć jeszcze kogoś. Przecież nie mogłem dopuścić, by informacje o mnie wpadły w cudze ręce! Lagarst nie chciał słuchać ostrzeżeń, no to musiałem... hm... poczynić taką aluzję, by zrozumiał. Chyba potem się w końcu uspokoił. Ale Jego Królewska Mość tak tego drania bronił, że w zasadzie powinienem uważać również na niego.

Zamilkł. Uważnie go obserwowałam. Ciekawe, dlaczego mag nagle zrobił się wobec mnie taki gadatliwy i szczery? Z jego poprzednich postępów mogłam wyciągnąć wyłącznie jeden wniosek: był wyjątkowo ostrożny. Skoro do tej pory nie został złapany, musiał zachowywać się bardzo oględnie, a teraz nagle zaczął barwnie opisywać mi swoje dzieje! Z jednej strony dawało się to wyjaśnić megalomańskim pragnieniem, by chętnie się przed kimś swoimi osiągnięciami – akurat do tej roli nadawałam

się bardzo dobrze, szczególnie że znałam całe tło wydarzeń. A jeżeli Tawal uznał mnie za osobę godną zaufania... Z drugiej strony natomiast... Cóż, nie chciałam o tym nawet myśleć!

– Historię ze smokiem również pan sfabrykował? – spytałam o pierwsze, co przyszło mi do głowy.

– Nie! – Roześmiał się. Wydawał się spokojny, ale zielonobrazowe oczy patrzyły zimno i uważnie, jakby nawet na chwilę się nie rozluźnił. Głupio byłoby uważać, że taki człowiek może stracić kontrolę nad sytuacją. W takim razie po co to wszystko? Wniosek był tylko jeden... – Po prostu zbieg okoliczności – ciągnął. – Akurat zacząłem realizować nowy plan, ponieważ poprzedni trzeba było odrzucić z uwagi na cały szereg przyczyn. A tutaj takie zrządzenie losu – stalwiańska księżniczka porwana! Samo w sobie było to oczywiście drobiazgiem, ale kiedy wróciła pani do stolicy bez dziewczyny, zrozumiałem, że czegoś się pani dowiedziała.

– Czyli wiedział pan, po co smokom dziewice? – upewniłam się.

– Oczywiście – odparł. – W pewnym okresie spędziłem wiele czasu w bibliotekach Kolegium i wysnułem pewne wnioski. Zadziwiający jest natomiast fakt, że pani o tym wie!

– Panie Tawal, ja jestem magiem–justycjariuszem. – Uśmiechnęłam się szeroko. – Jakich to historii człowiek w tym zawodzie nie usłyszy! Czyli tamtych młokosów również pan nasłał?

– Oczywiście – odparł. – Ich zresztą nawet nie trzeba było nasyłać. Wystarczyła jedynie aluzja... A kiedy tak zgrabnie się ich pani pozbyła, zainteresowałem się panią na poważnie. I muszę przyznać, że miała pani niesamowite szczęście!

– Chodzi panu o tę historię z koźmi? – spytałam.

– Owszem. Mój człowiek dowiedział się o nich, sprawa była dyskutowana w środowisku dosyć szeroko, więc uznałem, że sytuacja akurat

odpowiednia. Ale wtedy również wyszła pani z wody suchotka! – Tawal uniósł ręce. – A kiedy dowiedziałem się, że odwiedziła pani majątek Lagarsta... Już nie mogłem zostawić pani w spokoju. Tym bardziej że obok cały czas kręcił się ten dzieciak, jego syn.

– Wiedział pan, kim on jest?

– Nie od razu, ale się domyśliłem. Bardzo mi kogoś przypominał. Dopiero potem sobie skojarzyłem: żonę Lagarsta, taka sama z niej była szara myszka... Gdybym wiedział wcześniej, kim on jest, to dzieciak nie zbliżyłby się do pani na strzał z armaty! Ale, niestety, ja również popełniam błędy i o jego pochodzeniu dowiedziałem się dopiero po pani wizycie w tamtym majątku, a i to przypadkiem. Przecież interesowała się pani pewnymi dokumentami? A ja akurat tamtędy przechodziłem i również... wykazałem zainteresowanie.

– Czyli to tak – rzuciłam.

– Interesowała mnie pani coraz bardziej – ciągnął Tawal. – Musiałem zorganizować dla pani pułapkę, by sprawdzić, co jeszcze pani potrafi.

– Darai?

– Naiwna kobieta, chociaż wydawałoby się, że w tym wieku powinna mieć więcej rozumu. – Pokręcił głową. – Prowadziła korespondencję chyba z połową Kolegium i była przekonana, że nikt nie wie, iż jest wiedźmą, a nie magiem!

– A przy okazji, dlaczego zwidywały jej się Białe Siostry na przylądku Fergon? – przypomniałam sobie nieoczekiwanie. W końcu nie udało mi się nic na ten temat dowiedzieć. – I to wspomnienie z jakiegoś powodu kojarzyło się z panem...

– Ach, to tego pani nie wie... – Tawal uśmiechnął się. – Białe Siostry nie są zwykłymi skałami. Są jedyną pozostałością po siedzibie Naora. Widzi pani, po jego śmierci magowie Kolegium zniszczyli to miejsce. A sądząc ze

świadectw ludzi tamtego okresu, pałac był wyjątkowo piękny. Nie zbudowany, ułożony z kamienia, tylko z niego wyrosły. Białe Siostry to pozostałości wież. Cała reszta znajduje się pod wodą. Miałem nadzieję, że uda mi się odtworzyć pałac, ale obawiam się, że chwilowo jest to ponad moje siły.

– Ciekawe – mruknęłam. No tak, i tutaj wszystko okazało się proste. Pewnie wiedźma złapała echo tamtego marzenia, nie uświadamiając sobie, co właściwie widzi. – Czy Borasa również przysłał pan?

– Dokładnie tak! Silny, ale zaprawdę jego głupota mogła równać się z ambicją. A poza tym blisko panią znał. Niestety, nic z tego nie wyszło. Był kiepskim aktorem. Zabić pani również nie dał rady.

– W takim razie w Kolegium to również były pańskie sztuczki?

– Oczywiście – odparł. – Kompletnie się pani zaplątała i uznałem, że udzielę podpowiedzi. Przecież zrozumiała pani, że Ress nie działał z własnej woli?

– Naturalnie. Swoją drogą, jak udało się panu to osiągnąć? Za nic nie uwierzę, żeby Ress zgodził się wpuścić pana... hm... do swojej głowy!

– Pewnie, że się nie zgodził – uśmiechnął się Tawal. – Ale widzi pani, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi i akurat przed posiedzeniem zaprosiłem go na śniadanie. A znam pewne zioła, które odpowiednio dobrane ułatwiają zadanie. Przy okazji, to właśnie Darai pomogła mi zestawić właściwą mieszankę.

Mogłam tylko westchnąć. To, jak zdradliwe bywają zioła, na pierwszy rzut oka wyglądające całkiem niewinnie, przekonałam się już na własnej skórze. Ciekawe, co myślał Ress, gdy odkrył, że ktoś inny przemawia jego ustami?

– Ale dlaczego z takim uporem próbował pan zagonić mnie do kąta? – spytałam, rozpalając fajkę.

– Chciałem sprawdzić, czy magowie niezależni naprawdę są aż tak dobrzy, jak się o nich mówi – uśmiechnął się Tawal.

– Niech pan nie udaje – poprosiłam. – Sam jest pan magiem niezależnym, więc mógł pan eksperymentować na sobie.

– Tego również się pani domyśliła! – zdumiał się. Moim zdaniem, nieco sztucznie.

– Dokładnie tak. – Wydmuchnęłam kółko dymu. – Jakim cudem udało się panu tak długo ukrywać ten fakt przed Kolegium?

Tawal posłał mi krzywy uśmiech.

– Odrobina umiejętności aktorskich. Dobry mistrz. Szkoda, że już nie żyje, ale zdążył wyjaśnić mi to, co najważniejsze, zanim trafiłem w pole widzenia Kolegium. A najważniejszy, panno Naren, był cel. W imię takiego celu można poudawać maga klasycznego, a nawet wiedźmina!

„Chciałabym ja wiedzieć, kto był twoim mistrzem!” – pomyślałam, ale nie spytałam, ponieważ w ten sposób odeszlibyśmy zbyt daleko od tematu. A już i tak rozmowa zaczynała lekko dryfować.

– Czyli wydałam się panu odpowiednią kandydatką... Ale do czego, panie Tawal? Czyżby miał pan za mało pomocników?

– Więcej niż dosyć – odparł. – Ale, niestety, wszyscy przeszli już przez ręce Kolegium, a to oznacza, że mają zbyt wąskie spojrzenie na świat i, nie bójmy się tego słowa, są zastraszeni. Panno Naren, mam nadzieję, że rozumie pani, jak bardzo niemile jest w Kolegium widziany... hm... indywidualizm?

– Domyślam się – potwierdziłam. Słowa Tawala zgadzały się z opowieściami Garresza.

– A czy wie pani, kim dla Kolegium są magowie niezależni? – zapytał.

– Niech mnie pan oświeci.

– Jesteśmy relikdami – stwierdził. – Odłamkami wspaniałej przeszłości magów. Wtedy przecież wszyscy byli... tacy jak my.

– Zdaję sobie z tego sprawę – mruknąłam.

– Nawet i to... – zdziwił się przyjemnie, a jego zielonkawe oczy zrobiły się lodowate, co zupełnie nie korespondowało z przyjaznym uśmiechem. – Cóż, w takim razie powinna pani wiedzieć również, że mamy prawo istnieć, dopóki do niczego się nie wtrącamy. Obserwują nas jak takie zabawne zwierzątka, ale wcześniej czy później wymrzą ostatecznie, a Kolegium będzie świętować zwycięstwo, skoro uda mu się wepchnąć wszystkich w identyczne ramy!

– Bardzo to kształćące – powiedziałam. – Ale mimo wszystko, panie Tawal, za bardzo zбочyliśmy z tematu. Powiedzmy, że wierzę, iż to właśnie pan jest Naorem. W ogólnych zarysach rozumiem również pańskie cele, więc o tym możemy skończyć. Interesuje mnie wyłącznie, czego chce pan ode mnie?

– Współpracy, panno Naren – powiedział cicho. – Współpracy. Nie mam dość wiernych ludzi... Nie, nawet nie tak. Nie mam poręcznych ludzi. Takich, którzy nie zostali złamani, potrafią sami myśleć i podejmować decyzje, a nie postępować jedynie zgodnie z moimi poleceniami! Ludzi, którzy podzielają moje przekonania...

– Jest pan tak bardzo pewien, że podzielam pana przekonania? – spytałam.

– Wydaje mi się, że jeśli dobrze się pani zastanowi, to zrozumie, że obrana przez Kolegium droga prowadzi w ślepy zaułek – odparł Tawal poważnie. – Magowie wymierają. Coraz mniej jest prawdziwe dobrych specjalistów i tylko średniacy żyją sobie w spokoju. Magów niezależnych można policzyć na palcach. A ci istniejący mają jedną drogę – justycjariusz albo mag nadworny, ale tutaj również kariery nie zrobisz... Panno Naren, jest pani wystarczająco inteligentna i pragmatyczna, by to rozumieć. Czyżby było pani wszystko jedno, kim zostaną pani dzieci?

„I ten również o dzieciach!” – uśmiechnęłam się w myśli, a głośno spytałam:

– Czyli proponuje mi pan, żebym się do niego przyłączyła? A co otrzymam w zamian?

– Wolność, panno Naren – odpowiedział natychmiast. – Wolność wyboru. Tak bardzo podoba się pani jej praca?

– Proszę sobie wyobrazić, że tak.

– Cóż... – Na kilka sekund mój rozmówca się zmieszał. Chyba miał problem, by to pojąć. – Czyli będzie się pani zajmować nią dalej... Ale bez konieczności oglądania się na zasady Kolegium, wszystkie te postanowienia w sprawie sztuk zakazanych... Co pani o tym sądzi?

„Te postanowienia bynajmniej nie powstały z niczego – mogłabym powiedzieć, ale zmilczałam. Nijak nie potrafię go rozgryźć! Albo faktycznie wierzy w to, co mówi, albo tak dobrze udaje. Co mam zrobić? Nie żebym miała wielki wybór...”

– Brzmi kusząco – odparłam. – Ale przyznam, że pana propozycja jest... niespodziewana.

– Rozumiem. – Tawal skłonił głowę. – Ale, panno Naren, nie mogę dać pani czasu do namysłu. Po pierwsze, zbyt wiele pani wie. Po drugie, jest mi pani potrzebna. Nie wierzę, że domyśliwszy się moich celów, nie zastanawiała się pani nad swoją przyszłością. Proszę decydować teraz.

Udałam, że się waham. Zresztą faktycznie się zastanawiałam. Gdybym nie brała udziału w tych wszystkich wydarzeniach, to Tawal miałby szansę mnie przekonać. Dla maga swoboda działania znaczy naprawdę dużo. Tyle że... Ferenc Lagarst i Wergiusz Starsis. Lucjusz, Magea, Mia, malutki Lenn i syn kucharki, którego imienia w końcu nie poznałam. Córka towarzysza Lagarsta, którą Naor wykorzystał do swoich celów. Smarkacze z Estalu. Psiarz oraz ci, którzy tamtej wiosny umarli w trakcie epidemii. Wiedźma

Darai i jej ofiary. Zwykli mieszkańcy Tarnaju i żołnierze z zamku Takein. Kto jeszcze...?

– Jest pan przekonujący – powiedziałam, odkładając fajkę. – I ma pan rację. Sporo myślałam nad tym, co robić dalej. Szkoda, że nie przyszedł pan wcześniej. Naprawdę nie warto było tak długo się ze mną bawić, potrafiłabym docenić pana pomysły również przedtem.

– Możliwe, że pani tak, ale za to ja nie potrafiłbym należycie ocenić pani, nie mając możliwości obejrzenia jej przy pracy – uśmiechnął się Tawal. – To jak?

– Może pan na mnie liczyć – przyznałam również z uśmiechem. – A w charakterze gestu dobrej woli proszę przyjąć ode mnie ten drobiazdek. Bo przecież jej pan szukał?

Na stole między nami pojawiła się książka w wyświechtanej skórzanej oprawie.

– Oho! – Mag ostrożnie wziął ją do rąk. – Tak, panno Naren, chyba faktycznie pani nie doceniłam! Przyznam, liczyłam, że Boras znajdzie tę książkę, w zasadzie był to wabik na niego, ale po przesłuchaniu... Byłam przekonany, że ją pani zniszczyła.

– Ja również umiem dobrze grać. I również umiem używać ludzi do własnych celów.

– Tak właśnie pomyślałem, panno Naren, że miała pani jakiś powód, by trzymać przy sobie tego dzieciaka – powiedział Tawal z zadowoleniem. – A raczej najpierw uznałem, że potrzebuje go pani jako źródła wiedzy o Lagarście... W końcu to jego syn!

– Tak, ale durny niemożebnie – zarzuciłam wędkę.

– Owszem – potwierdził mag, złośliwie mrużąc oczy. – Żeby pani tylko wiedziała, ile nieprzyjemnych chwil przeżyłem na wieść, czyj syn pojawił się na dworze! I to jeszcze tak zręcznie! Przedstawił się cudzym nazwiskiem...

Pewnie wśród oficerów trafili się znajomi jego ojca, w przeciwnym razie nigdy by mu się nie udało wstąpić do gwardii!

– Oj, tak! – Pokiwałam głową.

Cóż, wychodziło na to, że Tawal nie miał pojęcia o roli, którą przy wcieleniu Laurinne’a do gwardii odegrał Jego Królewska Mość? Zresztą skąd niby miał się dowiedzieć? Był dworskim magiem, a nie doradcą wojskowym ani szefem wydziału śledczego czy bezpieczeństwa, którzy mogli wejść do Arneliusza w każdej chwili i pilnowali takich spraw! Nie ma co, porucznik miał sporo szczęścia. Arasteński dwór ma tę zaletę, że prawa ręka często nie ma pojęcia co robi lewa! Czasami to bardzo przeszkadza, ale w tym konkretnym wypadku okazało się pomocne.

– Przyznam, że się zdziwiłem, jakiego pani sobie wzięła towarzysza – dodał Tawal. – I dopiero później usłyszałem, że został pani narzucony. Uznałem wtedy, że przy pani charakterze pozbędzie się go pani przy pierwszej możliwej okazji!

– Miałam taki zamiar. Ale ostatecznie uznałam, że go zatrzymam. Jak pan widzi, miałam powody. Przydał się.

– Piękna akcja – przyznał Tawal, niedbale gładząc grzbiet starożytnej księgi. – Wszyscy się nabrali. Nawet ja! Dziękuję, panno Naren. To bezcenny artefakt!

– I co mamy robić dalej? – spytałam, ponownie rozpalając fajkę.

– Chwilowo nic – odparł, chowając książkę w zanadrzu. – Dam pani znać, gdy będzie to konieczne. W tej chwili przygotowuję pewną akcję i gdy tylko będę miał taką możliwość, poinformuję panią o szczegółach. A teraz, panno Naren, pozwoli pani, że się pożegnám!

– Wszystkiego najlepszego, panie Tawal – powiedziałam życzliwie, utrzymując pogodny wyraz twarzy.

Wyszedł, a ja przez dłuższą chwilę nie mogłam uwierzyć, że wszystko się

udało. Zdziałało właśnie tak, jak na to liczyłam.

„Jednak ja i dziadek jesteśmy dobrzy w swoim fachu. – Nalałam sobie pełną szklankę orty, którą wychyliłam duszkiem, próbując nie dzwonić ząbami po szkło. – Dobrze odgadliśmy, jakim typem człowieka jest ten cały Naor. I Garreszowi również wielkie dzięki, bez niego nic by się nie udało...” Wstałam. Okrążyłam gabinet. Nic podejrzanego.

Pochyliłam się i spojrzałam na podłogę. Pod fotelem Tawala leżał guzik, dokładnie taki sam jak na jego ubraniu – jakiś fioletowy kamień oprawiony w srebro. Pewnie upuścił... Nawet się do niego nie zbliżyłam.

– A teraz, Flossio... – powiedziałam do siebie. – Szybko. Bardzo szybko... Kto wie na jak długo wystarczą ochronne zaklęcia Garresza!

Nie spodziewałam się, że Naor, czyli Tawal, zjawi się u mnie tak szybko. Dobrze, że zawnoczułam się do przygotowań.

Szybko wypatroszyłam skrytkę – wyciągnęłam kilka grubych kopert i jeszcze raz sprawdziłam ich zawartość: dla Deiena Ressa, dla Ainora Tannego, dla Jego Królewskiej Mości – po czym schowałam papiery do torby. Nie miałam nic więcej do spakowania, bez większości drobiazgów doskonale mogłam się obejść.

Szarki w stajni nie było. Jeszcze o świcie zabrał ją Dim – tę ślicznotkę faktycznie znało całe miasto! Posłusznego Ruta również nie było, wyłącznie młoda, humorzasta kobyłka, kupiona całkiem niedawno. Musiałam osiodłać ją sama, ale potrafiłam to zrobić i bardzo szybko wyjechałam z podwórza, nawet nie zamykając za sobą bramy. Niech tam...

Ponownie użyłam sztuczki, która pozwalała mi pozostać niezauważoną, więc ani szurający miotłą stróż z domu naprzeciwko, ani kucharka sąsiadów nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi, nawet gdy kobyłka wpakowała się w kałużę i ochlapała wodą wszystkich, którzy mieli pecha znaleźć się w pobliżu.

Po chwili byłam już w drodze do domu dziadka. Miałam tylko nadzieję, że posłuchał mojego ostrzeżenia i zawczasu zaczął się pakować!

– I jak? – powitał mnie w progu.

– Zrobione – rzuciłam przez zęby. – A ty jak, gotowy?

– Oczywiście! Powiedziałem przecież, że najcenniejszą rzecz zawsze noszę przy sobie! – Uśmiechnął się. – To i owo już wysłałem, resztę doślą mi później. A jak nie, to pies z nimi. Jak ty się czujesz? – zatroskał się nagle. – Jesteś pewna, że wszystko pójdzie jak trzeba?

– Tak – powiedziałam twardo. – Zgadliśmy. To Tawał. Dokładnie tak, jak mówiłeś, Ress jest zbyt oddany rodzinie królewskiej...

– Nie o to mi chodzi! – Dziadek machnął ręką.

– A... Oczywiście. A przy okazji, poczęstujesz mnie obiadem?

– Zaraz rozkażę, by podawali. – Dziadek zawołał służącego i kazał mu nakryć do stołu. – Siadaj. Wyglądasz jak duch powstały z grobu.

– Ty również.

– Bo się o ciebie martwiłem! – zdenerwował się dziadek. – Ty i te twoje awantury! Jeszcze nie wiadomo, czym to wszystko się skończy!

– Myślę, że jeszcze przed wieczorem się dowiemy – wymamrotałam z pełnymi ustami. Byłam nieprzytomnie głodna, od wczoraj miałam w ustach tyle co tę szklankę orty. – Całe miasto się dowie...

Do dziadka zbliżył się służący, skłonił się z szacunkiem i coś szepnął.

– Wyjeżdżamy rano – powiedział dziadek. – Wcześniej nie ma sensu, brak odpowiednich statków. Znalazł się jeden, a i to tylko na Triss, odpływa jutro... Ale nic to, tam zawsze jest pełno statków, znajdziemy jakiś. Nocowanie w porcie to nie na moje lata... – westchnął. – Przy okazji, zabierasz ze sobą służących?

– Zabieram. – Skinęłam głową. – Już ich wysłałam, czekają w porcie.

Szkoda, że trzeba będzie zostawić konie...

– Szkoda – powtórzył dziadek. Lubił konie, ale w miejscu, gdzie się udawaliśmy, utrzymywanie ich było zbyt drogie i niepotrzebne. – Poleciałem, żeby przekazano je w dobre ręce. I wynajęłam powóz. Woźnica prześpi się w stajni.

– Dobrze.

Rozmowa się nie kleiła. Wykonaliśmy wszystko, co przewidywał plan, i pozostawało wyłącznie czekać.

Doczekaliśmy się. Akurat wstaliśmy od stołu, gdy obok domu dziadka z dzwonieniem i łomotem kopyt przeleciały dwa wozy straży ogniowej. Jechały akurat w stronę Zarzecznej.

– Chodź, posłuchamy, co ludzie bajają – rozkazał dziadek i ruszyłam jego śladem.

Daleko za miastem unosił się czarny słup dymu, jaki zwykle zdarza się przy dużych pożarach. Ale inne dymy się nie pojawiały, albo drużyna strażacka pracowała wyjątkowo dobrze, albo... Potrząsnęłam głową – kto jak kto, ale ja doskonale znałam przyczynę!

– To jest nawet podobne do tego świństwa, za pomocą którego zabito ojca – powiedziałam niby mimochodem, patrząc na horyzont. – Tylko wtedy zadziało na dotyk, a tutaj...

Dziadek nastroszył się jak stary kruk, parsknął z niezadowoleniem, ale jednak odpowiedział:

– To znana sztuczka... w pewnych kręgach. Jeśli nie dotkniesz tego... hm... obiektu, to po jakimś czasie zakłęcie i tak zadziała. Oczywiście to żadna celność... Przecież nie brałaś tego guzika do rąk?

– Oczywiście, że nie – odparłam.

– No właśnie – skonstatował dziadek. – Dziwne, że tyle czasu minęło. Zwykle takie zakłęcia działają prawie natychmiast. Garresz pomógł?

Zerknął na mnie z ciekawością.

– Tak – westchnęłam. Faktycznie, Garresz nałożył na mój dom czary ochronne i zrobił coś jeszcze. To trochę nieuczciwe, ale przecież to sprawa pomiędzy mną a nim, czyż nie? – Zadziwiająca...

– Co tam jeszcze? – zapytał dziadek.

– Pewnie Naor czekał, aż się rozluźnię – odparłam beznamiętnie. – Próbował dowiedzieć się tego i owego, w międzyczasie sam też opowiedział wiele ciekawych rzeczy.

– Co dokładnie? – wyraźnie się zaciekawił. Musiałam opowiedzieć.

Szkoda domu, podobał mi się. Minie sporo czasu, nim przegrzebią się przez resztki i zrozumieją, że nie ma tam ani mojego ciała, ani szczątków dwójki służących!

Czy Laurinne uwierzy w moją przedwczesną śmierć? Tyle dobrego, że w tej chwili siedział albo u siebie w domu, albo w pałacu, gdzie nie ma miejsca na rozmowy o wielkim pożarze w zamożnej, ale nadal plebejskiej Dzielnicy Zarzecznej. O to na razie mogłam się nie martwić, więc skupiałam się na innych myślach.

– Jednak jedziemy? – w końcu przerwał je dziadek. Wyszliśmy za bramę, na ulicy pełno było ludzi, którzy patrzyli na niechętnie zmniejszający się słup dymu.

– A co zrobić? – burknęłam ledwo słyszalnie. Osoby chowające się pod osłoną zaklęcia raczej nie powinny wydawać głośnych dźwięków. Oczywiście chciałabym przed odjazdem przekonać się, że wszystko pójdzie tak, jak było pomyślane, ale to już... kwestia szczęścia.

– Niczego sobie! – powiedziała z podziwem stojąca obok śliczna kupiecka żona.

– Na pół nieba płonie!

– To wszystko magowie – burknął jej postawny mąż, który również z

nieudawaną ciekawością patrzył w dal. – Coś wymyślą, sami zemrą... No i tyle, ale uczciwi ludzie się potem przez nich palą! Pewnie tyle towaru się zmarnowało...

– Cicho! – syknęła jego żona. – Widzisz, pan Naren osobiście wyszli... Dobrego wam dnia, panie Naren!

– I wam również – prychnął dziadek. Z niewiadomego powodu nie przepadał za kupcami. Zresztą za arystokracją przepadał w stopniu jeszcze mniejszym i właśnie dlatego zamieszkał w tej dzielnicy, a nie bliżej miejsca, gdzie mieszkali średniozamożni neirowie czy arnaie.

– Chodźmy do domu – szepnęłam.

– Czyli taka jest cena jego szczerości – z zadowoleniem mruknął dziadek, kiwając głową.

Mogłam tylko westchnąć – nasze myśli szły podobnymi torami. Tak, Naor faktycznie opowiedział mi to i owo... Problem polegał na tym, że znakomitą większość z tych rzeczy już wiedziałam. Swoją szczerością miał zamiar uspić moje podejrzenia i z kim innym ten numer pewnie by się udał. Znaczący: ja jako partnerka? Dama dzielająca jego przekonania? Wspaniale. Inna kobieta mogłaby dać się nabrać, ale ja już znałam wartość słów Naora. Nie potrzebował sojuszników, lecz wyłącznie podwładnych lub... spalonych węgielków. Człowiek mocny, zdolny, by grać na równi z nim... Naor wykazywał się ostrożnością i usuwał z drogi każdego z nich.

A szczerość... Cóż, trup już nic nikomu nie powtórzy, a nawet człowiek taki jak Lir Tawal musiał opowiedzieć przynajmniej coś i komuś. I nawet jeżeli mówił, że potrzebuje silnych i samodzielnych ludzi... To najpewniej będzie wolał wychować ich sam. Wiązanie się z kimś takim jak ja było dla niego zbyt niebezpieczne i Naor doskonale o tym wiedział.

Wszystkie moje założenia były poprawne i teraz pozostawało tylko czekać, czy dalej Tawal również zachowa się tak, jak przewidziałam.



Zasnęłam w fotelu z książką grubo po północy, a obudziłam się, gdy było jeszcze ciemno. Nie miałam ochoty spać dalej, beczynne siedzenie było głupie, więc obudziłam dziadka.

– Już czas? – Spojrzał za okno. – Co robisz na nogach o tak wczesnej porze?

– Jak zjemy śniadanie i się spakujemy, to będzie już jasno – odparłam. – To jak...?

– No dobrze, dobrze... – burknął dziadek. – Idź i każ, żeby podali śniadanie...

– Przecież zwolniłeś służących – przypomniałam. – Zostawiłeś tylko tego twojego starucha i stajennego.

– No to sama coś znajdź. – Dziadek machnął ręką. – I powiedz tam...

– Dawno powiedziałam – prychnęłam. – Już zaprzęgają, więc nie przeciągaj! Zebraliśmy się błyskawicznie. Dziadek wyszedł, a ja zatrzymałam się na chwilę i położyłam na stole listy. Chwilę myślałam, a potem przycisnęłam je szpadą w starej popękanej pochwie. W ten sposób ten, kto zjawi się w tym domu pierwszy, na pewno zauważy papiery... Na wszelki wypadek jednak napisałam na kartce, dla kogo przeznaczona była szpada, i położyłam notatkę na kupce listów.

Wynajęty powóz okazał się niezbyt wygodny, ale nie miałam prawa się skarżyć. Przynajmniej konie były dosyć szybkie i o świcie wyjechaliśmy za granice Arastenu.

Patrzyłam przez okno i zapamiętywałam – jak mogłam nigdy przedtem nie zauważyć, jak piękna jest stolica? Miasto otulone było poranną mgłą, w

której kryła się senna Dzielnica Zarzeczna, ale też i hałaśliwa Rozbójnicza, gdzie dopiero co zaczęły cichnąć odgłosy nocnego imprezowania. Nie widać był również nadrzecznych domów, pewnie Gannis Waisz ani jego towarzysze w tej chwili nie spali, tylko ślęczeli nad książkami, ucząc się do egzaminów, które na tutejszym uniwersytecie odbywają się właśnie w tym okresie.

Słońce już wyłocilo zarówno wieże pałacu królewskiego, jak i iglice uniwersytetu po tamtej stronie rzeki oraz kopułę obserwatorium... Arasten jest zielonym miastem, a na jesieni złotym ze wzorami we wszystkich odcieniach czerwieni. Jesień trwała właśnie w najlepsze, liście jeszcze nie zdążyły opaść i stolica odziana była w złoto i karmazyn... Piękne. Tyle lat patrzyłam na to wszystko i nawet nie myślałam o tym, jak bardzo kocham Arasten. Tutaj się urodziłam, tu spędziłam wiele lat...

Powóz wyjechał za miejskie mury i ruszył drogą prowadzącą do północnego portu. Nikt nas nie zatrzymywał. Nawet dziwne, że Tawal nie wydał rozkazu, by nie wypuszczać z miasta Fergusa Narena. Z drugiej strony jakie niby miał do tego prawo? Nie, raczej nie zrobiłby czegoś tak głupiego...

– Co ci? – Dziadek zmarszczył brwi, widząc, jak łapię się za pierś, jak gdyby ktoś przeszył mnie piorunem. – Floszsz?

Spojrzałam – w jednym z wielu wisiorków mignął i natychmiast zgasł złocisty płomyk, a błyskotka, która wcześniej ledwo zauważalnie jarzyła się ciepłym światłem, zmieniła się w zwyczajny tani amulecik, jakich w handlowy dzień pełno jest na kramach.

– Co się tam jeszcze dzieje?

– Jak widzę, zadziało – rzuciłam i obejrzałam się. Nie, nic nie widać, a mgła zagłusza dźwięki. Chociaż... wydawało się, że gdzieś brzmi dzwon strażacki, ale nie mogłam dojść, z której części miasta dolatuje dźwięk.

– Co zadziało? – nie rozumiał dziadek.

– A tak... Taki mały pomysł, mój i Garresza... – w końcu musiałam się

przyznać.

– Floszszo! Czyli jednak dogadałaś się z nim również co do tego! – zaczął dziadek, ale zbyłam go ruchem ręki.

Garresz poradził sobie doskonale! Póki jego zakłęcie się nie uruchomiło, wisiołek połyskiwał tym ledwo widocznym światełkiem, a gdy tylko zadziałało, kamyczek zgasł. A zadziałało, w chwili gdy Tawał dotarł do właściwej strony. Wiadomo było, że zaczniesz od wyszukania najniebezpieczniejszych zaklęć! Ale cokolwiek by mówić, dobrze utrafił z czasem! W przeciwnym razie umęczyłabym się strasznie, czekając na wieści!

– Niesłusznie wątpięś – powiedziałam, bawiąc się niepotrzebnym już wisiorkiem. – Wiedziałam, że Garresz nie zawiedzie. Koniec końców to również w jego interesie...

– Nie gadaj za dużo – uspokoił mnie dziadek. – Potem opowiesz...



Dobrze, że udało nam się pozbyć Naora... to znaczy Tawała. Razem z Garreszem długo dyskutowaliśmy nad tym, co można z nim zrobić. Mogłam spróbować zabić go osobiście, ale pilnował się i – w co nie wątpiałam – w wielu sprawach mógł się okazać potężniejszy ode mnie. Mało prawdopodobne, by zaufał mi na tyle abym miała szansę go wykończyć!

– Czyli uważa pani, że on rozpozna dowolne jej zakłęcie? – zapytał smok po wysłuchaniu moich słów.

– Dokładnie tak.

– Również wiedzicie? – Uniósł brew.

– Wnioskując po tym, jak ściśle współpracował z Darai – uśmiechnęłam się krzywo – o nich również może sporo wiedzieć. Wolałabym nie

ryzykować.

– Czyli jest chroniony ze wszystkich stron...

– Prawie. – Spojrzałam smokowi prosto w oczy, mimo że było to niełatwe. – Nie wie o panu. I właśnie o to pana proszę, niech mi pan pomoże pozbyć się Tawala.

– W jaki konkretnie sposób? – zapytał Garresz. – Mam go spalić? Czy może rozdeptać?

– Nie! Trzeba zrobić tak, by jego śmierć wyglądała... naturalnie. Powiedzmy, na skutek nieostrożności. Pan Tawal wypróbował jakieś zaklęcie, ale, no co za pech, sobie z nim nie poradził!

– Rozumiem... – mruknął Garresz. Chyba go zaintrygowałam. – Czyli stawia pani na książkę?

– Oczywiście – odparłam. – Nie mam innych możliwości. Na pewno da się złapać, po prostu nie zdoła się oprzeć takiej pokusie! I jeżeli w trakcie jej studiowania coś uruchomi... Garresz, sama sobie z tym nie poradzę. Pan jest moją ostatnią nadzieją!

– Flossio, chyba wiem, co może się pani przydać – powiedział smok w zamyśleniu. – Czyli mówi pani, że w trakcie studiowania książki... Niech mi ją pani pokaże!

Posłusznie przekazałam mu gruby tomik. Garresz przerzucił kilka stron, przeczytał parę wersów, ruszył dalej. Zatrzymał się prawie w połowie, chwilę zastanowił i zmarszczył brwi.

– To tutaj się nada – powiedział. – Nie wiem, kiedy Tawal dotrze do tego rozdziału, ale nie da się z tym nic zrobić, nie znajdziemy bardziej pasującego. Flossio, proszę spojrzeć, to zaklęcie bojowe. Jeżeli nie czytać go na głos ani nie podejmować żadnych działań, jest absolutnie bezpieczne. A teraz...

Miałam wrażenie, że powietrze pod dłonią Garresza zgęściło się, z jakiegoś powodu zatkały mi się uszy. Skupione spojrzenie smoka

nieoczekiwanie zamgliło się, zrobiło kompletnie nieludzkie, a jego rysy wykrzywiły, tracąc zwykłe kształty.

– I gotowe! – Zatrzasnął książkę i podał ją mnie. Jego źrenice stopniowo zmieniały się z pionowych na zwykłe. – Na tej książce jest mocna osłona. Flossio, niech pani jej już nie otwiera. Przeczyta pani to zaklęcie i zmieni się w popiół.

– Nie będę. – Zważyłam książkę w dłoni. – Czy to pewna metoda?

– Pewniejszej nie ma – uśmiechnął się smok. – Rodzina Takein była stara i zaklęcia na książce są mocne, ze starożytnych, ale my jesteśmy o wiele starsi, więc... Flossio, proszę mi powiedzieć, co chce pani osiągnąć, wyłącznie zabijając Tawala... czy też Naora? O ile zrozumiałem z pani opowieści, nie działał sam.

– Owszem. – Skinęłam głową. – Ale to właśnie on jest głową tej... alternatywnej organizacji. Oczywiście istnieją również inni, ale nie wydaje mi się, by ktoś z nich pasował do roli przywódcy. W przeważającej ilości są zastraszeni i złamani, więc bez kierownictwa Tawala są niewiele warci. A ustalenie, kto był w tę całą sprawę zamieszany, to robota dla Kolegium, nie dla mnie!

– Miejmy nadzieję, Flossio, że ma pani rację – odparł Garresz.



Arasten – zielony, złoty, karmazynowy – pozostał w tyle, dookoła ciągnęły się portowe przedmieścia. Przed nami otwierał się północny port.

Zawsze było tu pełno statków, dopiero co przybyłych i odpływających, więc znalezienie potrzebnego okazało się wcale nie takie proste. W końcu dotarliśmy do pękatej kupieckiej krypy, która udawała się na wyspę Triss, znajdującą się kilkaset wessów od wybrzeża Arastenu. A tam już zupełnie

łatwo było przesiąść się na statek udający się do dalekich krajów i właśnie na to z dziadkiem liczyliśmy. Nasze oszczędności pozwoliłyby przeczekać na Trissie tyle, ile będzie trzeba, by złapać odpowiedni statek.

I oto burta statku. Tu poranna mgła prawie całkowicie się rozproszyła i już dawno się zobaczyły przystań. Załadunek dobiegał końca, sprawdzano listę pasażerów...

Już dawno staliśmy na rufie, nikt nie ważył się niepokoić nas żadnymi głupstwami. Służący ulokowali się pod pokładem razem z resztą pospólstwa.

– Nie żałujesz? – zapytał dziadek, nie patrząc na mnie. Patrzyłam na daleki, zamglony Arasten. Bosman coś krzyknął, marynarze wzięli się do roboty, pokład pod stopami zakołysał się – statek odbijał od przystani.

– Nie – powiedziałam, nawet nie próbując kłamać.

Pasek ciemnej wody, który oddzielał nas od przystani, stawał się coraz szerszy. W tym momencie wyciągał nas do wyjścia z portu holownik na wiosłach, ale jeszcze chwila i statek ruszy pod żaglami, ja i dziadek postaramy się podnieść potrzebny wiatr.

– Co tam się dzieje na przystani?

– Co za różnica... – Nie odrywałam spojrzenia od dalekiego miasta.

Moich uszu doleciał czyjś krzyk. Coś w rodzaju: „Trzymajcie go! Bo się zabije!”.

– Co tam się dzieje...? – mamrotał dziadek.

– Flo!!! – usłyszałam desperacki krzyk, a natychmiast po nim plusk. Odwróciłam się plecami do burty i spojrzałam w niebo. Podmuch wiatru ostatecznie rozwiął mgłę, wyrzało słońce, jesiennie chłodne i jasne...

– Co ty powiesz! – mruknął dziadek, obserwując wydarzenia z tyłu. Spojrzał na mnie. – Floszszu, tego również... nie żałujesz?

W odpowiedzi pokręciłam głową i uśmiechnęłam się.

– Mam nadzieję, że umie pływać. A jak nie, to wyłowią! – mruknął i również się odwrócił. Położył rękę na moim nadgarstku, spojrzał w oczy, z zadowoleniem skinął głową do jakichś swoich myśli. Po czym dodał ze swoją niepowtarzalną intonacją, ni to z pretensją, ni to z pochwałą: – Zuch! Jak on się dowiedział, do jakiego portu jedziemy?

– Przecież zostawiłeś stajennego – odparłam. – Jego zapytał.

– Ale on nie wiedział!

– Oj tam, nie wiedział. Gdy wyjeżdżaliśmy, powiedziałaś woźnicy, gdzie ma jechać. Stajenny stał obok, na pewno słyszał.

Dziadek tylko splunął.

– Jak myślisz – spytałam, zmieniając temat – czy księżę Gargan nas przyjmie?

– Cóż, o ile tylko zapomniał, jak prawie utopiłaś go w przeręblu... – uśmiechnął się dziadek.

– Ile lat temu to było! Dziecięce igraszki... – Wzruszyłam ramionami.

– A przy okazji, czemu on, a nie Garastas? – zapytał dziadek niedbale.

– U Garastasa będą nas szukać w pierwszej kolejności, o ile w ogóle się do tego zaborą. – Poprawiłam chustę. – Ale do Gargana trzeba jeszcze dotrzeć. Przecież pamiętasz jego wyspy!

– Oczywiście, że tak. Gniazdo rozbójników!

– Daj spokój – rzuciłam ugodowo. – A przy okazji... O ile mnie pamięć nie myli, on jest z domu Aolle, czyż nie?

– Zgadza się. – Dziadek skinął głową. – A po co ci to? Chcesz zostać morską wiedźmą?

– Zobaczymy na miejscu – odparłam wymijająco i nic więcej nie powiedziałam. Strzeliły żagle – wyszliśmy z portu, holownik odpłynął i na statku zawrzała praca. Patrzyłam na głębokie jesienne niebo, po którym

płynęły kudłate obłoki. Ciekawe, czy Garresz w tej chwili spacerował po Arastenie, czy leciał gdzieś tam, wyżej, niż sięgało ludzkie oko? A czy z wysokości swojego lotu mógł nas dostrzec?

Potrząsnęłam głową i mimo wszystko odwróciłam się ku rufie. Przystani nie było już widać, tylko za statkiem pieniały się fale, migały żagle innych jednostek, a we mgle topniał brzeg Arastenu...

Koniec

Przypisy

[1] W rodzinach arystokratycznych powszechnie stosuje się magiczne wzmocnienie linii dziedzicznej, które gwarantuje przynajmniej zewnętrzne podobieństwo potomków do rodziców. Przy tym dzieci pary, w której wzmocniana jest linia obu małżonków, dziedziczyły po ojcu, z wyjątkiem przypadków szczególnych (wymagających dodatkowej interwencji magicznej). Taka sytuacja wystąpić może, w momencie gdy jedyną dziedziczką starożytnego arystokratycznego rodu jest kobieta i mąż bierze jej nazwisko. Dzieci mężczyzny o wzmocnionej linii magicznej i zwykłej kobiety dziedziczą cechy po linii ojca. Zakładając, że procent małżeństw przedstawielek arystokracji z mężczyznami znajdującymi się niżej od nich na drabinie społecznej jest wystarczająco mały, w razie związku zwykłego mężczyzny i kobiety ze wzmocnioną dziedziczną linią dzieci będą dziedziczyć cechy z linii matki, ale tylko w pierwszym pokoleniu. Dalej działać zaczynają prawa przyrody i można znowu zwrócić się do maga w celu wzmocnienia nowej już linii dziedzicznej. (I właśnie dlatego w rodzinach, w których przyjęte jest przyjmowanie mężczyzn do rodu, a nie oddawanie dziewczynek do innych rodzin, dzieci mogą drastycznie różnić się od krewnych w linii matki).

[2] Nekromagia – sposób komunikacji z umarłymi, wzywanie duchów osób nieżyjących. Czasami pojęcie to jest traktowane obszerniej i wlicza się do niego podnoszenie trupów oraz sterowanie nimi.

[3] Ar – księżę (ar – księżna) – tytuły noszone w Arastenie przez następców tronu.

[4]Przylądek Fergon – najdalej położony zachodni koniec półwyspu Arasten. Kiedyś położona tam była twierdza strażnicza, ale w trakcie ostatniej wojny magów została ona zniszczona. W tej chwili na przylądku znajduje się latarnia, światło której widziane jest na wiele dziesiątek wessów.

[5] W opisywanych okolicach rok dzieli się na sześć sezonów: jesień, przedzime, zima, wiosna, lato, polecie.

[6] Ber – nazwa, której używa się w stosunku do dowódców oddziałów najemnych. W tłumaczeniu z jednego z dalekowschodnich dialektów znaczy ona dosłownie „stojący na czele”.

[7] Stare srebro – maść końska, kara, ale grzywa i ogon konia mają domieszkę jaśniejszych włosów, a oprócz tego posiada on widoczne przebarwienia w okolicy pachwiny i pod pachami, na skutek czego wygląda jak powleczony srebrem.

[8] Szybkopis z Danzheru – jeden z wariantów pisma Danzheru, południowej krainy, która wsławiła się ogromną ilością mieszkających w niej narodów i na skutek tego ośmioma językami państwowymi. Na pierwszy rzut oka (szczególnie ludzi pochodzących z północy) pismo to wydaje się zestawem delikatnych zawijasów i ozdóbek, czasem nawet ornamentem. Jeden „zawijas” jest całym słowem i może mieć kilka znaczeń w zależności od kontekstu, sposobu napisania i określonych oznaczeń zawartych w słowach sąsiednich. Dandzherowie piszą od prawej do lewej strony. Szybkopis jest zwykle stosowany w korespondencji wewnętrznej, a poza granicami kraju istnieje bardzo ograniczona liczba osób potrafiących go przeczytać.

[9] „Swego czasu podejmowano próby określenia pochodzenia pierwszego króla dynastii Larrainów. Na podstawie zachowanych danych udało się z grubsza określić okolicę, gdzie się narodził, i badacze ruszyli na poszukiwania. Bardzo szybko odkryli, że w miejscowym narzeczu „arastem”

nazywa się wodne zwierzę, mające spore rozmiary i wyjątkowo łagodny temperament, o ile nie zostanie rozdrażnione. W takim wypadku natomiast stanowiło śmiertelne zagrożenie dla otoczenia. Na tym poszukiwania korzeni dynastii utknęły. Pierwszy Larrain stanowczo miał bardzo osobliwe poczucie humoru”. (Z notatnika Flossii Naren).

CZEŚĆ I

KIRA IZMAJŁOWA



MAG
NIEZALEZNY
FLOSSIA NAREN



fabryka słów
WWW.FABRYKA.PL